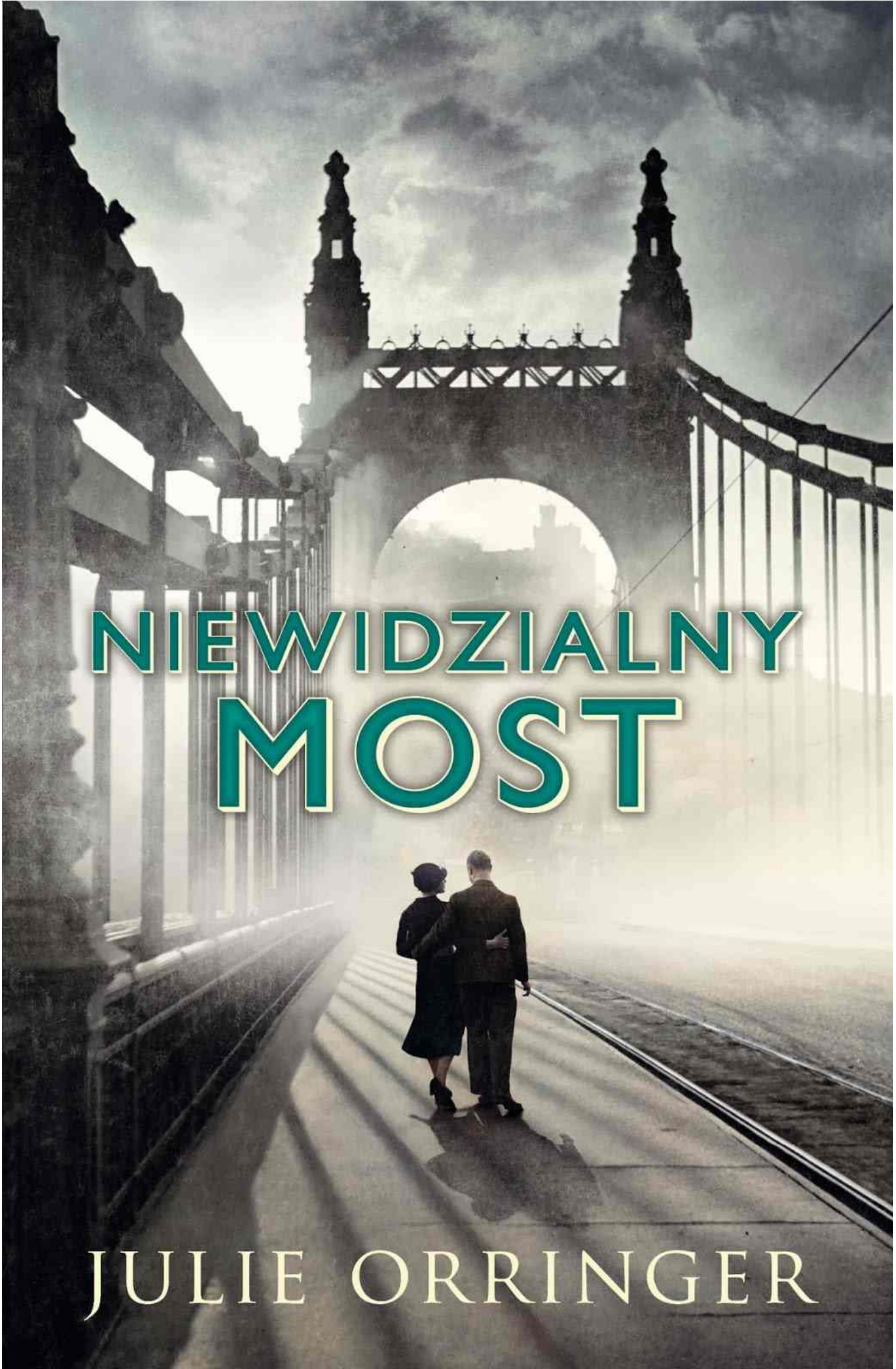
NIEWIDZIALNY
MOST
JULIE ORRINGER

JULIE ORRINGER

NIEWIDZIALNY MOST

PRZEKŁAD
AGNIESZKA MITRASZEWSKA
NINA DZIERŻAWSKA

WYDAWNICTWO CZARNA OWCA
WARSZAWA 2013

Dla braci Zahavów

O temporal O mores! O mekkora nagy córesz.

Co za *czasyl* Co za obyczaje! Co za straszne *curis.*

„Kaczeniec", gazeta batalionów pracy, obóz w Banhidzie, 1939 rok

Od strony Bułgarii głucho dudnią armaty,
Grzmot odbija się od górskiej grani i cichnie z wahaniem.
Usypana blokada myśli, zwierząt, wozów i ludzi;
Postękując, droga wznosi się, niebo pędzi ze swoją grzywą.
W tym chaosie poruszenia jesteś we mnie, bez przerwy,
Jaśniejesz w głębi mej świadomości, ruch na zawsze zastygły
I uciszony, jak anioł zdjęty grozą na widok wielkiego
karnawału śmierci.
Albo robak w miąższu spróchniałego drzewa,
przygotowujący jego pogrzeb.

Miklós Radnóti, *Widokówki,* napisane do żony
podczas marszu śmierci z Heidenan, 1944 rok

Jest tak,
Jakbym leżał
Pod nisko zawieszonym niebem i oddychał
Przez ucho igielne.

W.G. Sebald, z *Unerzäblt*

CZĘŚĆ I

Ulica Szkół

Rozdział pierwszy

List

PÓŹNIEJ MIAŁ JEJ OPOWIADAĆ, że ich historia zaczęła się w Węgierskiej Operze Królewskiej w przededniu jego wyjazdu Ekspresem Zachodnioeuropejskim do Paryża. Był rok 1937, wrzesień, wyjątkowo jak na tę porę roku zimny wieczór. Brat koniecznie chciał go zabrać do opery w ramach prezentu pożegnalnego. Wystawiano *Toscę,* miejsca mieli na galerii. Nie dla nich marmurowe łuki jednego z trzech wejść frontowych, korynckie kolumny i belkowanie heroicznej fasady budynku. Im przypadło skromne boczne wejście, bileter o czerwonej twarzy, wytarta drewniana podłoga, ściany przyozdobione zniszczonymi operowymi afiszami. Dziewczęta w sukienkach do kolan wspinały się na schody pod rękę z mężczyznami w wyświeconych garniturach; emeryci spierali się z siwymi żonami, gramoląc się do góry wąską klatką schodową. Na górze było wesoło i gwarno: podawano napoje w salonie z lustrami i drewnianymi ławkami ustawionymi wzdłuż ścian, powietrze gęstniało od papierosowego dymu. Drzwi na drugim końcu pomieszczenia wychodziły na salę koncertową, olbrzymią, jarzącą się światłami jaskinię z sufitowym freskiem przedstawiającym greckich bogów i rzędami pozłacanych foteli. Andras nie spodziewał się, że kiedykolwiek zobaczy budapeszteńską operę, i pewnie by się tu nie znalazł, gdyby Tibor nie kupił biletów. Tibor uważał jednak, że życie w Budapeszcie musi oznaczać przynajmniej jeden wieczór z Puccinim w Operaház. Wychylił się z galerii, by pokazać Andrasowi lożę admirała Horthy'ego, w której siedział tego wieczoru tylko jakiś sędziwy generał w husarskim mundurze. Na samym dole widać było, jak bileterzy w smokingach prowadzą widzów do ich miejsc. Mężczyźni byli w strojach wieczorowych, a we włosach kobiet błyszczały klejnoty.

– Gdyby tylko Mátyás mógł to zobaczyć – powiedział Andras.

– Zobaczy, Andráska. Przyjedzie do Budapesztu po maturze i po roku będzie miał go dość.

Andras musiał się uśmiechnąć. Obaj z Tiborem przeprowadzili się do Budapesztu po ukończeniu gimnazjum w Debreczynie. Wychowali się w Konyárze, maleńkim miasteczku na wschodnich równinach, i im także stolica wydawała się kiedyś pępkiem świata. Teraz Tibor chciał jechać na studia medyczne do Włoch, a Andras, który spędził tu tylko rok, wybierał się na studia do Paryża. Nim przyszły wieści z École Spéciale d'Architecture, wszyscy myśleli, że to Tibor wyjedzie pierwszy.

Przez ostatnie trzy lata pracował jako sprzedawca w sklepie z butami na Váci utca, odkładając pieniądze na studia i ślęcząc nad podręcznikami do medycyny z takim zapamiętaniem, jakby od tego zależało jego życie. Gdy rok wcześniej Andras się do niego przeprowadził, wyglądało na to, że wyjazd Tibora wkrótce dojdzie do skutku. Zdał już egzaminy i złożył papiery do szkoły medycznej w Modenie. Myślał, że formalności na uczelni i wiza zajmą pół roku. Tymczasem szkoła medyczna w Modenie umieściła go jako cudzoziemca na liście oczekujących i poinformowała, że może upłynąć nawet rok lub dwa, nim zostanie przyjęty.

Tibor ani razu nie wspomniał o własnej sytuacji, odkąd Andras dowiedział się o swoim stypendium, nie okazał też ani szczypty zazdrości. Kupił za to bilety do opery i pomógł bratu wszystko zaplanować. Gdy przygasły światła i orkiestra zaczęła stroić instrumenty, Andrasa ogarnął wstyd: choć wiedział, że winszowałby Tiborowi, gdyby ich role się odwróciły, podejrzewał jednak, że nie zdołałby ukryć zazdrości.

Z bocznych drzwi kanału dla orkiestry wyłonił się w świetle reflektorów wysoki, żylasty mężczyzna o włosach jak białe płomienie. Gdy wchodził na podium, wśród publiczności rozległy się okrzyki zachwytu. Musiał aż trzy razy się ukłonić i podnieść ręce w geście poddania, nim wszyscy zamilkli; następnie odwrócił się ku orkiestrze i uniósł pałeczkę. Po chwili przenikliwej ciszy smyczki i instrumenty dęte wybuchły kaskadą dźwięków, które zalały pierś Andrasa, wypełniając ją tak, że prawie nie mógł oddychać. Aksamitna kurtyna poszła w górę i ukazało się wnętrze włoskiej katedry, oddane wiernie, z najdrobniejszymi szczegółami. Z witraży sączyło się bursztynowe i lazurowe światło, a niedokończony fresk przedstawiający Marię Magdalenę jak duch przezierał z jednej ze ścian. Człowiek w pasiastym więziennym ubraniu wkradł się do kościoła i ukrył w jednej z ciemnych kaplic. Potem pojawił się malarz, by pracować nad freskiem, a tuż za nim zakrystianin, który najwyraźniej próbował skłonić malarza do uporządkowania pędzli i szmat przed kolejną mszą. Następnie wkroczyła diwa Tosca, pozująca malarzowi do fresku Marii Magdaleny.

Szeroka karminowa spódnica omiatała kostki jej nóg. Popłynęły pieśni, wypełniając Operaház aż po zdobiony plafon na suficie: w roli malarza Cavaradossiego tenor o miękkim brzmieniu klarnetu, dojrzały bas uciekiniera Angelottiego, ciepły, morelowy sopran węgierskiej diwy Zsuzsy Toronyi w roli Toski. Dźwięk był tak solidny, tak namacalny, że Andrasowi wydawało się, że mógłby wychylić się z galerii i łapać go garściami. Sam budynek opery staje się instrumentem, pomyślał, architektura dopełnia brzmienia dźwięku, rozszerza jego zasięg, wzmacnia go i ogarnia.

– Nigdy tego nie zapomnę – szepnął do brata.

– Spróbowałbyś tylko – odparł Tibor. – Spodziewam się, że ty też weźmiesz mnie do opery, gdy cię odwiedzę w Paryżu.

W czasie przerwy pili w salonie z lustrami kawę w małych filiżankach i spierali się o treść opery. Czy niechęć malarza do zdrady przyjaciela była dowodem pozbawionej egoizmu lojalności, czy aktem pychy i brawury? Czy jego wytrzymałość na późniejsze tortury powinna być odczytana jako sublimacja namiętności do Toski? Czy Tosca byłaby w stanie ugodzić nożem barona Scarpię, gdyby jej zawód śpiewaczki operowej nie podsunął jej tego melodramatycznego rozwiązania? Ta dyskusja sprawiała Andrasowi słodko-gorzką przyjemność. Jako mały chłopiec godzinami słuchał debat Tibora z przyjaciółmi na tematy filozoficzne, literackie czy sportowe. Zawsze pragnął, by wreszcie nadszedł dzień, w którym i on powie coś, co brat uzna za zabawne lub przenikliwe. Teraz, gdy stali się sobie równi, Andras miał wyjechać, wsiąść do pociągu, który wywiezie go setki kilometrów stąd.

– Co ci jest? – zapytał Tibor, kładąc dłoń na ramieniu brata.

– To ten dym papierosowy – odparł Andras i zakaszlał, odwracając wzrok. Poczuł ulgę, gdy światła przygasły na znak, że przerwa dobiegła końca.

Po trzecim akcie, gdy kurtyna została podniesiona niezliczoną ilość razy, martwa Tosca i nieżywy Carvadossi cudownie ożyli, a zły Scarpia ze słodkim uśmiechem przyjął bukiet czerwonych róż, Andras i Tibor przepchnęli *się* do wyjścia i zaczęli schodzić po zatłoczonych schodach. Na zewnątrz blado świeciły gwiazdy, konkurując z łuną miasta. Tibor wziął brata pod rękę i poprowadził go do frontowego wejścia od strony alei Andrássyego, gdzie spod trzech wspaniałych marmurowych łuków wylewała się publiczność z amfiteatru i elegancko ubrani bywalcy lóż.

– Chciałbym ci pokazać główne foyer – powiedział Tibor. – Powiemy bileterowi, że coś zostawiliśmy.

Andras podążył za nim do głównego wejścia i dalej do oświetlonego kandelabrami holu, który oskrzydlały marmurowe schody wiodące na galerię. Schodzili po nich wieczorowo ubrani mężczyźni i kobiety, ale Andras widział tylko architekturę: rzeźbienia wzdłuż schodów, sklepienie krzyżowe, różowe kolumny korynckie, na których wspierała się galeria. Miklós Ybl, Węgier z Székesfehérváru, wygrał międzynarodowy konkurs na zaprojektowanie gmachu budapeszteńskiej opery. Andras dostał od ojca na ósme urodziny album z jego szkicami i wiele godzin spędził, studiując właśnie to wnętrze. Podczas gdy wychodząca publiczność płynęła obok, on patrzył na sklepienie, próbując przywołać z pamięci rysunki i pogodzić je z trójwymiarową rzeczywistością z takim zapamiętaniem, że prawie nie zauważył, gdy ktoś stanął przed nim i coś powiedział. Zamrugał oczami i zmusił się do skoncentrowania wzroku na osobie stojącej przed nim, potężnej kobiecie w sobolowym futrze, która sprawiała wrażenie, jakby stanął jej na drodze. Ukłonił się i usunął na bok.

– Nie, nie – zaprotestowała. – Jest pan dokładnie tam, gdzie powinien. Co za szczęście, że na pana wpadłam! Nigdy bym pana nie znalazła.

Próbował sobie przypomnieć, gdzie i kiedy mógł ją wcześniej spotkać. Jej dekolt zdobiła diamentowa kolia, a spod futra było widać różową jedwabną suknię. Ciemne włosy ułożyła w ciasne loczki. Wzięła go pod ramię i poprowadziła w stronę schodów frontowych.

– To pan był wtedy w banku, prawda? – zapytała. – Miał pan kopertę z frankami.

Teraz sobie przypomniał: to była Elza Hász, żona dyrektora banku. Andras spotkał ją kilka razy w synagodze na Dohány utca, gdzie czasami bywali z Tiborem w piątkowe wieczory. Tamtego dnia potrącił ją w holu banku; upuściła pasiaste pudło na kapelusze, a jemu wypadła na ziemię koperta z frankami. Koperta otworzyła się i wokół nich wysypały się różowo-zielone banknoty jak konfetti. Andras otrzepał pudło i podał je kobiecie, następnie patrzył, jak znikła za drzwiami z napisem „wstęp wzbroniony”.

– Wygląda pan na rówieśnika mojego syna – powiedziała teraz. – Sądząc po walucie, podejrzewam, że wybiera się pan na studia do Paryża.

– Jutro po południu.

– Chcę pana prosić o przysługę. Mój syn studiuje w Beaux-Arts i chciałabym dać panu paczkę dla niego. Czy to byłby duży kłopot?

Chwilę mu zajęło, nim odpowiedział. Zgoda na wzięcie paczki dla kogoś w Paryżu oznaczała, że naprawdę wyjeżdża, że opuszcza braci, rodziców i kraj, by zrobić krok w nieznane w Europie Zachodniej.

– Gdzie mieszka pani syn?

– W Dzielnicy Łacińskiej oczywiście – odparła ze śmiechem. – W skromnym mieszkaniu malarza na poddaszu, nie w pięknej willi jak Cavaradossi. Choć mówi, że ma bieżącą ciepłą wodę i widok na Panthéon. O, już mam samochód!

Do krawężnika podjechało szare auto i pani Hász zamachała na szofera.

– Proszę przyjść jutro przed południem. Benczúr utca dwadzieścia sześć.

Otuliła szyję futrzanym kołnierzem i pobiegła do samochodu, nie oglądając się na Andrasa.

– No i? – zapytał Tibor, który dogonił go na schodach frontowych. – Może byś mi powiedział, o co chodziło.

– Zostałem kurierem międzynarodowym. Madame Hász chce, żebym wziął do Paryża paczkę dla jej syna. Spotkaliśmy się w banku tego dnia, gdy wymieniałem pengő na franki.

– I zgodziłeś się?

– Tak.

Tibor westchnął, spoglądając na żółte tramwaje na bulwarze.

– Strasznie tu będzie nudno bez ciebie, Andraska.

– Bzdura. Moim zdaniem w ciągu tygodnia znajdziesz sobie dziewczynę.

– O tak, dziewczyny uwielbiają biednych sprzedawców butów.

Andras uśmiechnął się.

– No nareszcie i ty użalasz się nad sobą! Już zaczynało mnie denerwować, że jesteś taki wielkoduszny i zdystansowany.

– Ani trochę. Mógłbym zabić cię gołymi rękami za to, że jedziesz. Ale co by mi to dało? Żaden z nas by wtedy nie wyjechał.

Uśmiechnął się, lecz za okularami w srebrnych oprawkach jego oczy pozostały smutne. Wziął Andrasa pod rękę i pociągnął go w dół po schodach,

nucąc fragment uwertury. Ich mieszkanie znajdowało się trzy ulice dalej, przy Hársfa utca. Gdy dotarli do drzwi, zatrzymali się jeszcze na chwilę. Niebo nad Operaház było bladopomarańczowe od świateł miasta, słychać było dzwonienie tramwajów z bulwaru. W półmroku Tibor wydawał się Andrasowi przystojny jak aktor filmowy, z kapeluszem na bakier, białym jedwabnym szalikiem przerzuconym przez jedno ramię. W tym momencie wyglądał jak człowiek gotowy na fascynujące i niekonwencjonalne życie. O wiele lepiej nadawał się do tego, by wysiąść z pociągu w obcym kraju i zająć tam należne mu miejsce. I wtedy Tibor mrugnął i wyciągnął klucze z kieszeni. W następnej chwili ścigali się już po schodach jak uczniaki z gimnazjum.

Pani Hász mieszkała blisko parku Városliget, z jego bajkowym zamkiem i wielkimi rokokowymi łaźniami na świeżym powietrzu. Jej kremowożółty dom na Benczúr utca, w stylu willi włoskiej, otaczały z trzech stron ukryte przed światem ogrody. Nad białym murem widoczne były tylko wierzchołki szpalerów drzew. Andras słyszał też plusk fontanny i zgrzyt grabi ogrodnika. Wydało mu się, że to nietypowe dla Żydów miejsce zamieszkania, lecz na futrynie drzwi dostrzegł przybitą gwoździami mezuzę – srebrny cylinder opleciony złotym bluszczem. Usłyszał stukot obcasów po marmurze i zgrzyt potężnego zamka. Służąca o srebrnych włosach otworzyła mu drzwi i zaprosiła go do środka. Znalazł się w zwieńczonym kopułą holu o różowej marmurowej podłodze, na intarsjowanym stoliku stała chińska waza z wiązanką kalii.

– Pani Hász jest w salonie – powiedziała służąca.

Podążył za nią przez hol i korytarz z łukowatym sklepieniem. Zatrzymali się przed drzwiami, przez które słychać było crescendo i decrescendo kobiecych głosów. Nie mógł zrozumieć słów, ale było dla niego jasne, że to kłótnia: jeden głos wspinał się coraz wyżej, aż umilkł; drugi, cichszy niż ten pierwszy, choć podniesiony, nalegał po swojemu.

– Proszę tu poczekać – poprosiła pokojówka i weszła do środka, by go zaanonsować.

Oba głosy starły się jeszcze na moment, jakby kłótnia miała coś wspólnego z Andrasem. Następnie pokojówka znów się pojawiła i wprowadziła gościa do wielkiego, jasnego pokoju, który pachniał tostami z masłem i kwiatami. Na podłodze leżały różowo-złote perskie dywany; białe adamaszkowe fotele współgrały z dwiema łososiowymi kanapami, a na niskim stoliku stał wazon żółtych róż. Pani Hász wstała z fotela w narożniku. Przy biurku pod oknem

siedziała starsza pani we wdowiej czerni, z włosami przykrytymi koronkowym szalem. Trzymała zapieczętowany woskiem list, który położyła na stosie książek i zabezpieczyła szklanym przyciskiem do papieru. Pani Hász podeszła do Andrasa i uścisnęła jego rękę w swojej dużej, zimnej dłoni.

– Dziękuję, że pan przyszedł – powiedziała. – To moja teściowa, starsza pani Hász.

Skinęła głową w stronę starszej kobiety drobnej budowy, z pooraną zmarszczkami twarzą, która wydała się Andrasowi piękna pomimo żałoby. Jej wielkie szare oczy emanowały cichym bólem. Ukłonił się i powitał ją oficjalnie.

– *Kezét csókolom.* – Całuję pani dłoń.

Starsza pani Hász skinęła mu głową.

– A więc zgodził się pan wziąć paczkę dla Józsefa – zagaiła. – To bardzo miło z pana strony. Jestem pewna, że i bez tego ma pan dość spraw do załatwienia.

– To żaden kłopot.

– Nie będziemy pana zatrzymywać – zapewniła młodsza pani Hász. – Simon dorzuca jeszcze do paczki ostatnie rzeczy. Zadzwonię po coś do jedzenia. Wygląda pan na głodnego.

– Och, proszę nie robić sobie kłopotu – zaoponował András.

Choć zapach tostów przypomniał mu, że nic jeszcze nie jadł, obawiał się, że najskromniejszy nawet posiłek w tym domu będzie oznaczał rozwlekły ceremoniał, którego reguły są mu obce. Poza tym spieszyło mu się: za trzy godziny miał pociąg.

– Młodzi ludzie zawsze są w stanie coś zjeść – stwierdziła młodsza pani Hász, przywołując służącą.

Wydała jej dyspozycje i odesłała ją do kuchni. Starsza pani Hász przeniosła się z krzesła przy biurku na jedną z łososiowych kanap i skinęła na Andrasa, by do niej dołączył. Usiadł, martwiąc się, że jego spodnie zostawią ślady na jedwabiu. Wydawało mu się, że aby bezpiecznie spędzić godzinę w tym domu, musiałby ubrać się o klasę lepiej. Starsza pani zaplotła dłonie przed sobą i spytała, co Andras zamierza studiować w Paryżu.

– Architekturę – odparł.

– Ach tak. Będzie więc pan kolegą Józsefa w Beaux-Arts?

– Ja będę w École Spéciale – wyjaśnił Andras. – Nie w Beaux-Arts. Młodsza pani Hász usadowiła się na kanapie naprzeciwko.

– École Spéciale? – zdziwiła się. – József o niej nie wspominał.

– To w większym stopniu szkoła zawodowa niż Beaux-Arts – wyjaśnił Andras. – Tak mi się w każdym razie wydaje. Będę tam na stypendium ufundowanym przez Izraelita Hitköység. To był szczęśliwy przypadek.

– Przypadek?

Andras wyjaśnił, że naczelny „Past and Future", czasopisma, w którym pracował, wysłał kilka projektów okładek Andrasa na paryską wystawę prezentującą prace młodych artystów z Europy Środkowej. Jego projekty zostały wybrane spośród innych i zaprezentowane, a wykładowca École Spéciale zauważył je na wystawie i zasięgnął informacji o Andrasie. Naczelny powiedział mu, że Andras chciałby być architektem, ale na Węgrzech trudno było Żydom dostać się na wydział architektury. Na węgierskich uniwersytetach wciąż obowiązywały archaiczne kwoty z lat dwudziestych, które ograniczały liczbę studentów żydowskiego pochodzenia do sześciu procent. Wykładowca z École Spéciale napisał kilka listów i petycji do komisji rekrutacyjnej z prośbą o miejsce dla Andrasa. Budapeszteńskie stowarzyszenie Żydów Izraelita Hitköység miało pokryć czesne i koszty utrzymania. Wszystko to wydarzyło się w ciągu zaledwie kilku tygodni i w każdej chwili wydawało się, że cała sprawa spali na panewce. Ale się udało, Andras jednak jedzie. Jego zajęcia rozpoczynają się za sześć dni.

– Ach! Co za szczęście! – wykrzyknęła młodsza pani Hász. – I stypendium!

Ale przy ostatnich słowach spuściła oczy i Andras znów poczuł się jak w szkole w Debreczynie: zrobiło mu się wstyd, jakby go rozebrano do naga. Kilka razy spędził popołudnie w domach chłopców, którzy mieszkali w mieście, a ich ojcowie byli bankierami lub prawnikami, którzy nie musieli mieszkać na stancji u biednych rodzin, którzy spali sami w swoich łóżkach, nosili w szkole uprasowane koszule i codziennie mieli w domu obiad. Matki niektórych chłopców skwapliwie okazywały mu litość, inne traktowały go z grzeczną niechęcią. W ich obecności też czuł się nagi. Teraz zmusił się do tego, by spojrzeć matce Józsefa w oczy, i powiedział:

– Tak, to wielkie szczęście.

– A gdzie będzie pan mieszkał w Paryżu?

Potarł rękami spodnie.

– Chyba spytam kogoś, gdzie studenci wynajmują pokoje.

– Nonsens – zaoponowała starsza pani Hász. – Po prostu zatrzymasz się u Józsefa.

Jej synowa zakaszlała i przygładziła włosy.

– Nie powinnyśmy się zobowiązywać w jego imieniu – stwierdziła. – Może nie mieć miejsca dla gościa.

– Och, Elzo, ależ z ciebie straszna snobka – fuknęła starsza pani Hász. – Pan Lévi wyświadcza Józsefowi przysługę. Może mu przecież dać się przespać na kanapie, przynajmniej przez kilka dni. Zadepeszujemy do niego dziś po południu.

– A oto kanapki – zmieniła z ulgą temat młodsza pani Hász. Służąca wtoczyła do pokoju stolik do herbaty. Oprócz serwisu była tam szklana patera ze stosem kanapek tak bladych, że wyglądały, jakby były ulepione ze śniegu. Obok leżały szczypce, jakby tego rodzaju kanapki nie znosiły kontaktu z ludzką ręką. Starsza pani Hász wzięła szczypce i nałożyła górę kanapek na talerz Andrasa, znacznie więcej, niż sam by się odważył wziąć. Gdy młodsza pani Hász wzięła kanapkę w dłoń, Andras odważył się jedną zjeść. Składała się z miękkiego białego chleba z odciętą skórką i kremowego sera z koperkiem. Cieniutkie jak bibułka plasterki papryki były jedyną oznaką, że kanapki powstały na Węgrzech.

Gdy młodsza pani Hász nalewała Andrasowi herbatę do filiżanki, starsza podeszła do biurka, wzięła biały kartonik i poprosiła gościa, by zapisał na nim swoje nazwisko i godzinę przyjazdu pociągu. Zadepeszuje do Józsefa, który wyjdzie po niego na dworzec w Paryżu. Dała mu szklane pióro ze złotą stalówką, tak delikatne, że obawiał się go użyć. Nachylił się nad niskim stolikiem i napisał informacje wersalikami, przerażony, że złamie pióro lub poplami atramentem perski dywan. Pobrudził sobie tylko palce, co zauważył dopiero wtedy, gdy ostatnia kanapka okazała się fioletowa. Zastanawiał się, jak długo Simon, czy ktokolwiek się tym zajmował, będzie jeszcze pakował przesyłkę dla Józsefa. Z holu dobiegał dźwięk walenia młotkiem; miał nadzieję, że zamykają już skrzynię.

Starsza pani Hász była wyraźnie zadowolona, że Andras zjadł wszystkie kanapki. Uśmiechnęła się do niego smutno.

– A więc będzie pan pierwszy raz w Paryżu.

– Tak – odparł Andras. – Pierwszy raz za granicą.

– Niech pan się zanadto nie przejmuje moim wnukiem – powiedziała. – W gruncie rzeczy to kochany chłopak, jak się go bliżej pozna.

– József to prawdziwy dżentelmen – wtrąciła młodsza pani Hász, czerwieniąc się aż po cebulki swoich kręconych włosów.

– To bardzo uprzejme z pani strony, że chce pani do niego zadepeszować.

– Żaden problem – zapewniła starsza pani Hász.

Napisała adres Józsefa na innym kartoniku i wręczyła go Andrasowi. W tej chwili do salonu wszedł mężczyzna w stroju kamerdynera, dźwigając wielką drewnianą skrzynię.

– Dziękuję, Simon – powiedziała młodsza pani Hász. – Możesz ją postawić tutaj.

Kamerdyner postawił skrzynię na dywanie i wyszedł. Andras zerknął na złoty zegar na kominku.

– Dziękuję za kanapki. Powinienem już iść.

– Proszę jeszcze chwilkę poczekać – powiedziała starsza pani. – Chciałabym panu dać jeszcze jedną rzecz.

Podeszła do biurka i wyjęła spod przycisku do papieru zalakowany list.

– Przepraszam pana bardzo – wtrąciła młodsza pani Hász. – Przecież rozmawiałyśmy na ten temat.

– Dlatego nie będę się powtarzać – powiedziała starsza kobieta, zniżając głos. – Odsuń rękę z łaski swojej, Elzo.

Młodsza kobieta potrząsnęła głową.

– György by się ze mną zgodził. To niemądre.

– Mój syn to dobry człowiek, ale nie zawsze wie, co jest mądre, a co niemądre – powiedziała starsza pani Hász.

Uwolniła delikatnie ramię z uścisku młodszej kobiety, wróciła do łososiowej kanapy i wręczyła Andrasowi kopertę. Widniało na niej nazwisko C. MORGENSTERN i adres w Paryżu.

– To wiadomość dla kogoś zaprzyjaźnionego z rodziną – wyjaśniła starsza pani Hász, patrząc spokojnie Andrasowi w oczy. – Być może uzna mnie pan za

przesadnie ostrożną, ale nie do końca ufam węgierskiej poczcie. Różne rzeczy giną lub dostają się w niepowołane ręce.

Mówiąc, nie spuszczała wzroku z Andrasa, jakby chciała dać mu do zrozumienia, żeby nie pytał, co właściwie ma na myśli ani jakie sprawy mogą wymagać aż takiej ostrożności.

– Wolałabym, żeby pan o tym nikomu nie wspominał. A szczególnie mojemu wnukowi. Proszę po prostu kupić znaczek i wrzucić list do skrzynki w Paryżu. Będę panu bardzo wdzięczna.

Andras włożył list do kieszeni na piersi.

– Nic łatwiejszego – zapewnił.

Młodsza pani Hász stała sztywno przy biurku. Jej policzki płonęły pod warstwą pudru. Jedną rękę wciąż trzymała na stosie książek, jakby chciała w ten sposób ściągnąć list z powrotem na miejsce. Ale Andras widział, że jest już za późno, starsza pani Hász pokonała ją i teraz będzie musiała udawać, że nic nadzwyczajnego się nie stało. Przywołała obojętny wyraz twarzy, wygładziła spódnicę i podeszła do kanapy, na której siedział Andras.

– No cóż... – Zaplotła ramiona na piersi. – Chyba wszystko załatwione. Mam nadzieję, że mój syn będzie panu pomocny w Paryżu.

– Tak, dziękuję za wszystko – powiedział Andras. – Czy to jest ta przesyłka, którą mam wziąć?

– Tak – potwierdziła młodsza pani Hász i wskazała skrzynię.

Skrzynia była tak wielka, że pomieściłaby co najmniej dwa kosze piknikowe. Gdy Andras ją podniósł, coś go szarpnęło w krzyżu. Zrobił kilka chwiejnych kroków do wyjścia.

– Mój Boże – zaniepokoiła się młodsza pani Hász. – Da pan sobie radę?

Zdołał tylko kiwnąć głową.

– Och nie. Proszę się nie fatygować – powiedziała i nacisnęła guzik w ścianie.

Pojawił się Simon. Wziął skrzynię od gościa i wyszedł frontowymi drzwiami. Andras poszedł za nim, a starsza pani Hász odprowadziła go na podjazd, gdzie czekał duży szary samochód. Wyglądało na to, że ktoś miał go odwieźć do domu. Samochód był angielski, marki Bentley. Żałował, że Tibor tego nie widzi. Starsza pani Hász położyła dłoń na jego ramieniu.

– Dziękuję panu za wszystko – powiedziała.

– Cała przyjemność po mojej stronie – ukłonił się na pożegnanie Andras.

Ścisnęła jego ramię i wróciła do środka. Drzwi zamknęły się za nią bezszelestnie. Gdy samochód ruszał, András obejrzał się jeszcze, by spojrzeć na dom. Przyjrzał się oknom, nie wiedząc właściwie, co spodziewał się w nich dojrzeć. Nie dostrzegł żadnego ruchu, poruszenia firanki czy zarysu twarzy. Wyobraził sobie, jak młodsza pani Hász wraca do salonu w bezsilnym milczeniu, a starsza wchodzi w głąb kremowego domu, do pokoju z meblami o nadmiarze ornamentów, które zdają się ją dusić, pokoju, z którego okien roztaczał się smutny widok. Odwrócił się, oparł rękę na skrzyni Józsefa i po raz ostatni podał adres na Hársfa utca.

Rozdział drugi

Ekspres Zachodnioeuropejski

Oczywiście powiedział Tiborowi o liście. Jak mógłby nie wyjawić takiej tajemnicy bratu. W ich wspólnej sypialni wziął kopertę i spojrzał na nią pod światło. Była zalakowana czerwonym woskiem, w którym starsza pani Hász odcisnęła swój monogram.

– Co o tym myślisz? – zapytał.

– Zwykłe intrygi – odparł Tibor i się uśmiechnął. – Fantazje starszej pani w połączeniu z paranoją na temat poczty. Były kochaś, ten Morgenstern na rue de Sévigné. Założę się.

Oddał list Andrasowi.

– Teraz masz do odegrania rolę w tym melodramacie.

Andras włożył list do kieszeni walizki i postanowił o nim nie zapomnieć. Następnie sprawdził swoją listę po raz setny i przekonał się, że nic już mu nie pozostało, tylko wyjechać do Paryża. Aby zaoszczędzić na taksówce, pożyczyli z Tiborem taczkę ze sklepu spożywczego po sąsiedzku i tym sposobem przetransportowali walizkę Andrasa i wielką skrzynię Józsefa na dworzec Nyugati. W kasie doszło do nieporozumienia na temat paszportu Andrasa, który wyglądał na zbyt nowy, by wzbudzić zaufanie. Trzeba było wezwać oficera emigracyjnego, a następnie jego zwierzchnika i w końcu überoficera w płaszczu ze złotymi guzikami, który zrobił mały znaczek na brzegu paszportu i obsztorcował pozostałych za odrywanie go od obowiązków. Parę minut po rozwiązaniu tego problemu Andras, grzebiąc w skórzanym chlebaku, upuścił paszport na tory, przez szparę pomiędzy pociągiem i peronem. Jakiś miły dżentelmen zaproponował swój parasol, Tibor wsunął parasol pomiędzy peron i pociąg i przesunął paszport do miejsca, z którego można było go wyciągnąć.

– No, teraz przynajmniej wygląda autentycznie – stwierdził Tibor, wręczając go Andrasowi.

Paszport był brudny i w jednym rogu naderwany przez czubek parasola. Andras włożył go z powrotem do kieszeni i skierowali się do drzwi wagonu trzeciej klasy, przed którymi konduktor w czerwono-złotej czapce sprawdzał bilety.

– No cóż – powiedział Tibor – musisz chyba iść do swojego przedziału.

Jego oczy za szkłami okularów zwilgotniały. Położył dłoń na ramieniu Andrasa.

– Pilnuj paszportu.

– Dobrze – odparł brat, nie ruszając się z miejsca.

Czekał na niego cudowny Paryż! Nagle zrobiło mu się słabo ze strachu.

– Proszę wsiadać! – zawołał konduktor i spojrzał znacząco na Andrasa.

Tibor ucałował Andrasa w oba policzki i przyciągnął do siebie na dłuższą chwilę. Gdy byli mali i wyjeżdżali do szkoły, ojciec zawsze kładł im ręce na głowie i odmawiał modlitwę przed podróżą, zanim wsiedli do pociągu. Teraz Tibor szeptał cicho. *Niech Bóg skieruje twe kroki ku spokojowi i wybawi cię z rąk wszelkich wrogów. Niech cię uchroni od wszelkich nieszczęść na tej ziemi. Niech Bóg da miłosierne spojrzenie wszystkim, którzy cię widza.* Ucałował Andrasa jeszcze raz.

– Gdy wrócisz, będziesz światowcem – powiedział. – Architektem. Zbudujesz mi dom. Liczę na to, słyszysz?

Andras nie potrafił wydusić z siebie słowa. Długo wypuszczał powietrze z płuc i patrzył na gładką betonową powierzchnię peronu, na której pełno było międzynarodowych naklejek z walizek. Niemcy. Włochy. Francja. Więź z bratem odczuwał gdzieś w trzewiach, w żyłach, jakby byli zrośnięci ze sobą. Myśl o tym, że wsiądzie do pociągu i zostaną rozdzieleni, wydawała mu się równie nienaturalna jak to, że mógłby przestać oddychać. Lokomotywa zagwizdała. Tibor zdjął okulary i przycisnął palcami nasadę nosa.

– Dość tego – powiedział. – Do zobaczenia wkrótce. Idź już.

Jakiś czas po zmroku Andras patrzył przez okno na małe miasteczko, w którym były niemieckie nazwy ulic i szyldy w witrynach sklepów. Nie zauważył, jak pociąg przejechał granicę; gdy spał z tomikiem wierszy Petőfiego na kolanach, wyjechali z otoczonego zewsząd lądem małego owalnego terytorium

Węgier, by ruszyć w wielki świat. Osłonił twarz po bokach rękami, wypatrując na wąskich drogach Austriaków, ale nie zdołał nikogo dostrzec. Domy były coraz mniejsze i rzadziej rozrzucone i miasteczko płynnie przeszło w wieś. Austriackie stodoły, pełne cieni w świetle księżyca. Austriackie krowy. Austriacki wóz pełen srebrnego siana. Daleko, na tle granatowego nieba, widać było ciemnogranatowe góry. Uchylił okno. Powietrze na zewnątrz było świeże i pachniało dymem.

Miał dziwne uczucie, że nie wie, kim jest, że znalazł się poza mapą własnego życia. To wrażenie było całkowicie przeciwne do tego, co odczuwał, gdy podróżował na wschód, z Budapesztu do Konyáru, by odwiedzić rodziców. W czasie tamtych podróży do miejsca swego urodzenia miał poczucie, że są to wyprawy w głąb siebie, w stronę jakiegoś najważniejszego jądra, jakby tej najmniejszej matrioszki, wielkości ziarnka ryżu, która znajduje się w samym sercu rosyjskiej lalki trzymanej przez matkę w kuchni na parapecie. Ale kim miałby teraz być ten Andras Lévi w pociągu jadącym na zachód przez Austrię? Zanim opuścił Budapeszt, nie zastanowił się nad tym, jak słabo jest przygotowany na tę przygodę – pięcioletnie studia architektoniczne w Paryżu. Z Wiedniem lub Pragą by sobie poradził; zawsze miał dobre stopnie z niemieckiego, którego zaczął się uczyć w wieku dwunastu lat. Ale chciały go akurat Paryż i École Spéciale, a tam będzie musiał się posługiwać swoją prawie zapomnianą francuszczyzną, będącą efektem zaledwie dwóch lat nauki. Znał właściwie tylko nazwy pożywienia, części ciała i przymiotniki wyrażające pochwałę. Podobnie jak inni chłopcy w szkole w Debreczynie nauczył się na pamięć francuskich określeń pozycji seksualnych widniejących na starych fotografiach przekazywanych sobie przez uczniów z rocznika na rocznik: *croupade, les ciseaux, à la grecque.* Karty z fotografiami były tak stare i zużyte, że wizerunki pary w miłosnych objęciach przypominały jedynie srebrne duchy i to tylko wówczas, gdy trzymało się karty pod odpowiednim kątem. Poza tym cóż on wiedział o Francji czy języku francuskim? Wiedział, że kraj z jednej strony oblewa Morze Śródziemne, a z drugiej Atlantyk. Wiedział co nieco o historii bitew w czasie Wielkiej Wojny. Znał słynne katedry w Reims i w Chartres, Notre Dame, Sacré-Coeur. I to było, poza kilkoma jeszcze strzępami wiedzy, wszystko. W ciągu kilku tygodni, które miał na przygotowanie się do wyjazdu, miętosił strony starych rozmówek, kupionych za parę groszy w antykwariacie na Szent István körút. Książeczka musiała być wydana jeszcze przed Wielką Wojną, bo podawała takie na przykład zwroty: „Gdzie mógłbym wynająć konny zaprzęg?” lub Jestem Węgrem, ale mój przyjaciel jest Prusakiem”.

W ubiegły weekend pojechał do Konyáru, żeby pożegnać się z rodzicami, i gdy poszli na poobiedni spacer do sadu, przyznał się ojcu do swoich obaw. Nie miał zamiaru o tym mówić; pomiędzy chłopcami a ich ojcem obowiązywała milcząca zgoda, że jako węgierscy mężczyźni nie powinni okazywać słabości, nawet w obliczu kryzysu. Ale gdy tak szli między rzędami jabłoni w wysokiej po kolana dzikiej trawie, Andras poczuł, że musi to powiedzieć. Dlaczego, zastanawiał się na głos, spośród wszystkich wystawionych w Paryżu artystów wybrano akurat jego? Na jakiej podstawie komisja rekrutacyjna École Spéciale uznała, że właśnie on zasługuje na ich względy? Nawet jeśli jego prace zasługiwały na uznanie, skąd wiadomo, że zdoła po raz kolejny zrobić coś równie dobrego, a zwłaszcza skąd pewność, że sprawdzi się jako student architektury, dyscypliny całkowicie różnej od rzeczy, którymi się zajmował dotychczas? W najlepszym razie, powiedział ojcu, był beneficjentem niezasłużonego zaufania, a w najgorszym zwykłego oszustwa. Ojciec odrzucił głowę do tyłu i się zaśmiał.

– Oszustwa? – zapytał. – Ty, który czytałeś mi Miklósa Ybla, gdy miałeś osiem lat?

– Kochać jakąś dziedzinę sztuki to jedno, mieć umiejętności to co innego.

– Kiedyś mężczyźni studiowali architekturę tylko dlatego, że było to szlachetne zajęcie – powiedział ojciec.

– Są szlachetniejsze zajęcia. Na przykład medycyna.

– Do tego ma powołanie twój brat. Ty jesteś przeznaczony do czego innego. A teraz masz też czas i pieniądze, by się rozwijać w tym kierunku.

– A jeśli mi się nie uda?

– No cóż, będziesz miał o czym opowiadać.

Andras podniósł z ziemi gałąź i smagnął nią trawę.

– To trąci egoizmem – stwierdził. – Jechać na studia do Paryża na czyjś koszt.

– Pojechałbyś na mój koszt, gdyby było mnie na to stać, wierz mi. Nie pozwolę, byś myślał, że to egoizm.

– A co będzie, jak ojciec znów zachoruje na zapalenie płuc w tym roku? Skład drzewny nie poprowadzi się sam.

– Dlaczego nie? Mam majstra i pięciu dobrych robotników. A Mátyás jest niedaleko, gdybym potrzebował pomocy.

– Mátyás, ten kogucik? – Andras potrząsnął głową. – Nawet gdyby udało się ojcu go złapać, to i tak niewiele zrobi.

– Jak będzie trzeba, to zrobi – zapewnił go ojciec. – Mam nadzieję, że nie będzie trzeba. Ten urwipołeć będzie miał dość problemów z zaliczeniem klasy przy tych wszystkich wygłupach, które uskutecznia w tym roku. Wiesz, że przystąpił do jakiegoś zespołu tanecznego? Występuje po nocach w klubie i nie przychodzi rano na lekcje.

– Słyszałem o tym. To między innymi dlatego nie powinienem wyjeżdżać tak daleko na studia. Ktoś powinien mieć na niego oko, jak się przeprowadzi do Budapesztu.

– To nie twoja wina, że nie możesz studiować w Budapeszcie – powiedział ojciec. – Jesteś zdany na łaskę okoliczności. Znam to uczucie. Ale korzystaj najlepiej, jak możesz, z tego, co jest ci dane.

Andras rozumiał sens tych słów. Ojciec uczęszczał do żydowskiego seminarium teologicznego w Pradze i zostałby rabinem, gdyby nie przedwczesna śmierć jego ojca. Jako dwudziestolatek przeżył różne tragiczne zdarzenia, które słabszego człowieka przywiodłyby do rozpaczy. Potem fortuna odwróciła się tak diametralnie, że wszyscy w miasteczku uznali, że Bóg szczególnie go sobie upatrzył i umiłował. Andras wiedział jednak, że całe dobro, które go spotkało, zawdzięczał uporowi i ciężkiej pracy własnych rąk.

– To błogosławieństwo, że jedziesz do Paryża. – przekonywał ojciec. – Lepiej wyjechać z tego kraju, w którym Żydzi muszą się czuć obywatelami drugiej kategorii. Jestem pewien, że w najbliższym czasie lepiej nie będzie. Miejmy nadzieję, że nie będzie jeszcze gorzej.

Teraz, gdy Andras jechał na zachód w przyciemnionym przedziale, znów słyszał w myślach te słowa. Dotarło do niego, że pod tymi wszystkimi obawami tli się jeszcze jeden skrywany lęk. Przypomniał mu się artykuł, który niedawno przeczytał w gazecie, o strasznym zajściu kilka tygodni temu w polskim mieście Sandomierz. W środku nocy ktoś powybijał okna w sklepach w dzielnicy żydowskiej i powrzucał do środka owinięte w papier pociski. Gdy sklepikarze odwinęli opakowanie, okazało się, że są to odrąbane kopyta kozłów. Na papierze widniał napis: „Stopy Żydów”.

W Konyárze nic podobnego nigdy się nie zdarzyło. Żydzi i nie-Żydzi żyli obok siebie dość spokojnie od stuleci. Ale Andras wiedział, że ziarno może w każdej chwili zakiełkować. W szkole podstawowej w Konyárze koledzy nazywali

go *Zsidócska,* Żydek. Gdy razem pływali, jego obrzezanie było wstydliwym piętnem. Kiedyś złapali go i próbowali wepchnąć mu do zaciśniętych ust kawałek kiełbasy wieprzowej. Starsi bracia tych samych chłopców męczyli Tibora, a młodsi już czekali, aż Mátyás zacznie chodzić do szkoły. Jak ci chłopcy, dziś dorośli mężczyźni, zareagowaliby na wiadomości z Polski? To, co jemu wydawało się zbrodnią, dla nich mogło być aktem sprawiedliwości, na który dają przyzwolenie. Oparł czoło o chłodną szybę i przyglądał się obcemu krajobrazowi, zdziwiony tym, że jest tak bardzo podobny do jego rodzinnych równin.

W Wiedniu pociąg zatrzymał *się* na dworcu o wiele wspanialszym niż jakikolwiek dworzec, który zdarzyło się Andrasowi oglądać. Jego fasada, wysoka na dziesięć pięter, zrobiona była ze szklanych tafli wzmocnionych rusztowaniem ze złoconego żelaza. Podpory zdobiły zawijasy, kwiaty i cherubinki, które wydawały się odpowiedniejsze dla buduaru. Andras wysiadł z pociągu i idąc za zapachem chleba, trafił do wózka, z którego kobieta w białym czepku sprzedawała precle z solą. Nie chciała jednak przyjąć od niego pengő ani franków. Uparcie przemawiała do niego po niemiecku, tłumacząc mu, co ma zrobić, i wskazując kantor. Kolejka do wymiany waluty wiła się aż za róg budynku. Andras popatrzył na kolejkę, potem na stacyjny zegar i na precle. Minęło już osiem godzin, odkąd zjadł górę delikatnych kanapek w domu na Benczúr utca.

Andras poczuł klepnięcie w ramię i gdy się obejrzał, zobaczył dżentelmena z dworca Keleti, który pożyczył Tiborowi parasol, by odzyskali upuszczony paszport. Mężczyzna był ubrany w szary podróżny garnitur i lekki płaszcz. Łagodny blask złotej dewizki od zegarka zdobił jego kamizelkę. Był potężnie zbudowany i wysoki, ciemne faliste włosy, zaczesane do tyłu, odsłaniały wysokie czoło. Miał w ręku lakierowaną teczkę i egzemplarz „La Revue du Cinema".

– Chętnie kupię panu precla, za pozwoleniem – zaproponował. – Mam trochę drobnych szylingów.

– Nie chciałbym nadużywać pana uprzejmości – zaoponował Andras.

Mężczyzna kupił dwa precle i usiedli na ławce opodal, żeby je zjeść. Dżentelmen wyjął z kieszeni chusteczkę z monogramem i rozpostarł ją na kolanach.

– Wolę świeże precle niż to, co mają do zaoferowania w wagonie restauracyjnym – powiedział. – Poza tym pasażerowie pierwszej klasy są również pierwszej klasy nudziarzami.

Andras kiwnął głową, jedząc w milczeniu. Precel był jeszcze ciepły, sól szczypała go w język.

– Rozumiem, że jedzie pan dalej niż do Wiednia – zagaił mężczyzna.

– Do Paryża. Na studia.

Tamten spojrzał uważnie na Andrasa oczami, wokół których widać było głębokie zmarszczki.

– Przyszły naukowiec? Prawnik? – zapytał.

– Architekt.

– Znakomicie. Praktyczna dziedzina sztuki.

– A pan? – spytał Andras. – Dokąd jedzie?

– Też do Paryża – odparł mężczyzna. – Kieruję tam teatrem imienia Sary Bernhardt. Choć może należałoby powiedzieć, że to teatr kieruje mną. Jak jakaś wymagająca kochanka, niestety. Teatr, oto sztuka niepraktyczna.

– Czy sztuka musi być praktyczna?

– Nie, na pewno nie – zaśmiał się mężczyzna. – Chodzi pan do teatru? – zapytał po namyśle.

– Nie dość często.

– Będzie pan musiał przyjść do Sary Bernhardt. Niech pan pokaże moją wizytówkę i powie im w kasie, że to ja pana przysyłam. Jest pan przecież moim rodakiem.

Wyciągnął wizytówkę ze złotego pudełeczka i wręczył ją Andrasowi. „NOVAK Zoltán, reżyser, Teatr im. Sary Bernhardt".

Andras słyszał o Sarze Bernhardt, ale niewiele o niej wiedział.

– Czy madame Bernhardt występowała w tym teatrze? – zapytał. – Lub – zawahał się – nadal występuje?

Jego towarzysz złożył papierowe opakowanie po preclu.

– Kiedyś tak – odparł. – Przez wiele lat. Wtedy teatr nazywał się Théâtre de la Ville. Ale to było jeszcze, zanim tam zacząłem pracować. Obawiam się, że madame Bernhardt już od dawna nie żyje.

– Ale ze mnie ignorant – zawstydził się Andras.

– Ależ skąd. Przypomina pan mnie samego za młodu, gdy po raz pierwszy jechałem do Paryża. Da pan sobie radę. Pochodzi pan z dobrej rodziny. Widziałem, jak pański brat się o pana martwi. Proszę zachować moją wizytówkę, na wszelki wypadek. Zoltán Novak.

– Andras Lévi.

Uścisnęli sobie ręce i wrócili każdy do swojego wagonu – Novak do kuszetki w pierwszej klasie, a Andras do bardziej spartańskich wygód w klasie trzeciej.

Nim dotarł do Paryża, minęły kolejne dwa dni. Dwa dni podróży przez Niemcy, kraj będący źródłem narastającego w całej Europie strachu. W Stuttgarcie był przestój z powodu jakiegoś problemu technicznego; coś wymagało naprawy, by pociąg mógł jechać dalej. Andrasowi zrobiło się słabo z głodu. Nie było innego wyjścia jak wymienić kilka franków na marki i kupić coś do jedzenia. W kantorze szczerbata matrona w szarym uniformie kazała mu podpisać dokument zobowiązujący go do wydania wszystkich marek na terenie Niemiec. Próbował wejść do kafejki obok dworca, by kupić kanapkę, lecz na drzwiach widniał napis, ręcznie wykonany gotyckim liternictwem: „Żydzi – niepożądani". Popatrzył przez szklane drzwi na młodą dziewczynę, która czytała, komiks za ladą z ciastkami. Miała może piętnaście lub szesnaście lat, na głowie białą chustkę, a na szyi cienki złoty łańcuszek. Uniosła oczy i uśmiechnęła się do Andrasa. Zrobił krok do tyłu i spojrzał na marki, które trzymał w dłoni – na rewersie orzeł ze swastyką w szponach, na awersie wąsaty profil Paula von Hindenburga – następnie na dziewczynę. Te marki były zaledwie kropelką krwi w wielkim krwiobiegu niemieckiej gospodarki, lecz nagle poczuł przemożną chęć pozbycia się ich za wszelką cenę. Nie chciał jeść niczego, *co* mógłby za nie kupić. Nawet gdyby znalazł sklep, w którym *Juden* nie są *unerwünscht.* Szybkim ruchem, upewniwszy się, że nikt go nie obserwuje, wrzucił brzęczące monety do rynsztoka, z którego rozległo się echo. Następnie wrócił do pociągu, nic nie zjadłszy, i głodny przejechał ostatnie sto kilometrów do granicy niemieckiej. Z peronu każdej stacji i stacyjki mijanej po drodze powiewały nazistowskie flagi. Czerwone sztandary zatknięte na dachach budynków, na balkonach, ich miniaturki w rączkach dzieci maszerujących po boisku szkoły obok torów. Nim przekroczyli granicę z Francją, Andras miał uczucie, jakby wstrzymywał oddech od wielu godzin.

Za oknem widać było francuską wieś, pola i małe osady z drewniano-ceglanymi domami, potem niekończące się płaskie przedmieścia i w końcu

arrondissements samego Paryża. Na dworzec wjechali po jedenastej wieczorem. Szarpiąc się ze swoim skórzanym chlebakiem, płaszczem i portfolio, Andras przedostał się korytarzem do drzwi i wysiadł. Na przeciwległej ścianie zobaczył piętnastometrowe malowidło przedstawiające poważnych młodych żołnierzy o pełnych determinacji oczach, idących na Wielką Wojnę. Na drugiej ścianie wisiały namalowane na płótnie obrazy z obecnej wojny w Hiszpanii, tak przynajmniej zgadywał Andras, sądząc po mundurach. Z głośników trzeszczały francuskie komunikaty. Na peronie wśród podróżnych słychać było niskie pomruki francuszczyzny i zaśpiewy włoskiego, na tle twardszych fraz niemieckich, polskich i czeskich. Andras rozejrzał się po tłumie, szukając wzrokiem młodego człowieka w drogim płaszczu, który kogoś by wypatrywał. Nie zapytał, jak József wygląda, ani nie poprosił o jego fotografię. Nie przyszło mu do głowy, że mogą mieć kłopot z rozpoznaniem się. Coraz więcej pasażerów tłoczyło się na peronie, a paryżanie biegli im naprzeciw, lecz Józsefa nie było. Wśród zamieszania Andras dostrzegł Zoltána Novaka; objęła go na powitanie kobieta w eleganckim kapeluszu i jesionce z futrzanym kołnierzem. Novak ją pocałował i skierowali się ku wyjściu, za nimi podążyli tragarze z jego bagażem.

Andras odebrał własną walizkę i wielkie pudło Józsefa. Stał i czekał, tłum początkowo gęstniał, by potem zacząć rzednąć. Wciąż nie widział młodego energicznego człowieka, który miał go wprowadzić w paryskie życie. Usiadł na drewnianej skrzyni i poczuł, że kręci mu się w głowie. Potrzebował przecież noclegu. Musiał coś zjeść. Za kilka dni miał się zgłosić w École Spéciale, gotów na rozpoczęcie studiów. Patrzył na rząd drzwi z napisem SORTIE i na światła samochodów na zewnątrz. Minął kwadrans, potem drugi, a Józsefa Hásza ani śladu.

Sięgnął do kieszeni na piersi i wyciągnął kartonik, na którym starsza pani Hász zapisała adres wnuka. To był jedyny punkt zaczepienia. Za sześć franków zgodził tragarza z twarzą morsa, by pomógł mu załadować bagaż i wielką skrzynię Józsefa do taksówki. Podał kierowcy adres Józsefa i ruszyli w stronę Dzielnicy Łacińskiej. W drodze taksówkarz cały czas zabawiał go po francusku, ale Andras nie rozumiał ani słowa.

Właściwie nie zauważył nawet miasta przemierzanego w drodze do Józsefa Hásza. W świetle latarni przewalały się tumany mgły, a wiatr przyklejał mokre liście do szyb taksówki. Oświetlone na złoto budynki migały za oknem, ulice pełne były sobotnich balowiczów, kobiet i mężczyzn obejmujących się swobodnie. Taksówka przejechała przez most na rzece, zapewne na Sekwanie, i przez chwilę Andras pozwolił sobie na fantazję, że to jest Dunaj, że znajduje się w Buda-

peszcie i wkrótce dotrze do mieszkania na Hársfa utca, gdzie wystarczyło wejść po schodach, by móc wgramolić się do łóżka z Tiborem. Ale taksówka zatrzymała się przed szarym kamiennym gmachem i kierowca wysiadł, by wyładować bagaż. Andras poszukał w kieszeni drobnych. Taksówkarz dotknął ręką czapki, wziął od Andrasa franki i powiedział coś, co brzmiało podobnie do węgierskiego *bocsánat,* „przykro mi", a co dopiero po jakimś czasie Andras rozszyfrował jako *bon chance.* Taksówka odjechała, zostawiając go na ulicy w Dzielnicy Łacińskiej.

Rozdział trzeci

Dzielnica Łacińska

BUDYNEK, W KTÓRYM MIESZKAŁ József Hász, został zbudowany z surowo wykończonego piaskowca, miał sześć pięter, wysokie okiennice i zdobione balkony z balustradami z kutego żelaza. Z ostatniego piętra dobiegały fale pełnego energii jazzu; za rozświetlonymi szybami okien kornet, fortepian i saksofon toczyły sprzeczkę. Andras podszedł, by zadzwonić, ale drzwi były uchylone. W holu stała grupka dziewcząt w obcisłych jedwabnych sukienkach z kieliszkami szampana; paliły papierosy o aromacie fiołków. Prawie nie zwróciły na niego uwagi, gdy wtargał bagaż do środka i postawił go pod ścianą. Z sercem w gardle podszedł do jednej z nich i dotnął jej ramienia. Spojrzała na niego bojaźliwie i uniosła pomalowaną brew.

– József Hász? – zapytał.

Uniosła palec i wskazała na samą górę owalnej klatki schodowej.

– *Là-bas* – powiedziała. – *En haut.*

Wtargał bagaż i masywną skrzynię do windy i nacisnął guzik najwyższego piętra. Wyszedł z windy wprost na tłum mężczyzn i kobiet, w objęcia dymu i muzyki jazzowej. Wyglądało na to, że cała Dzielnica Łacińska zebrała się dziś u Józsefa Hásza. Zostawił bagaż w korytarzu i wszedł przez otwarte drzwi do środka mieszkania. Kilkakrotnie zwracał się do podchmielonych balowiczów, powtarzając pytająco imię i nazwisko Józsefa. Po wędrówce przez labirynt wysokich pokoi znalazł się na balkonie, obok Józsefa Hásza, wysokiego, szczupłego młodzieńca w aksamitnym smokingu. Ten spojrzał na Andrasa dużymi szarymi oczami z wyrazem zdezorientowania podlanego szampanem i zapytał o coś po francusku, wznosząc kieliszek.

– Obawiam się, że na razie musimy poprzestać na węgierskim. – Andras pokręcił głową.

József zmrużył oczy.

– A którym z Węgrów jesteś, jeśli wolno spytać?

– Andrasem Lévim. Tym z telegramu twojej matki.

– Jakiego telegramu?

– Czy matka nie przysłała telegramu?

– Och, mój Boże, rzeczywiście! Ingrid mówiła coś o jakimś telegramie. – József położył dłoń na ramieniu Andrasa i wsadził głowę do środka, krzycząc: – Ingrid!

Na balkonie pojawiła się blondynka w kostiumie gimnastycznym drukowanym we wzorki. Stanęła z jedną ręką wspartą na biodrze. Nastąpiła gwałtowna wymiana słów po francusku, po czym Ingrid wyjęła ze stanika złożony telegram. József otworzył go, przeczytał, popatrzył na Andrasa, przeczytał ponownie i zaczął się histerycznie śmiać.

– Biedaku! – wykrzyknął. – Miałem po ciebie wyjść na dworzec dwie godziny temu.

– Owszem, taki był zamysł.

– Pewnie miałeś ochotę mnie zabić!

– Nic straconego – powiedział Andras.

Jego skronie pulsowały wraz z muzyką, oczy mu łzawiły, wnętrzności skręcały się z głodu. Było dla niego jasne, że nie może zostać u Józsefa Hásza, ale nie potrafił sobie wyobrazić tego, że ruszy teraz w miasto na poszukiwanie noclegu.

– No cóż, jak dotąd całkiem nieźle poradziłeś sobie bez mojej pomocy – powiedział József. – Oto dotarłeś do mojego domu, gdzie szampana wystarczy nam na całą noc, a i innych miłych rzeczy także, jeśli wiesz, co mam na myśli.

– Mnie jest potrzebny tylko jakiś cichy kąt do spania. Daj mi koc i połóż mnie gdziekolwiek.

– Obawiam się, że tu nie ma cichych kątów – odparł József. – Będziesz musiał się za to napić. Ingrid da ci drinka. Chodźmy.

Wciągnął Andrasa do mieszkania i powierzył go opiece Ingrid, która wręczyła gościowi prawdopodobnie ostatni czysty kieliszek w całym budynku i nalała mu musującego szampana. Dla siebie wzięła całą butelkę. Wzniosła

toast za Andrasa, złożyła, na jego ustach długi i pachnący papierosowym dymem pocałunek i wciągnęła go do pokoju od frontu, w którym pianista grał na skróty *Downtown Uproar,* a goście właśnie zaczynali tańczyć.

Rano obudził się na kanapie pod oknem, na twarzy miał jedwabną bluzkę, w głowie watę, koszulę rozpiętą, marynarkę zwiniętą pod głową, a lewe ramię zdrętwiałe. Ktoś przykrył go pierzyną i rozsunął zasłony. Snop promieni słonecznych padał mu na pierś. Andras gapił się na sufit, na którym kwiatowe ornamenty gipsowego plafonu wiły się wokół smukłej mosiężnej obudowy żyrandola. Wiązka złotych łodyg wyrastała z sufitu, a na końcu każdej z nich była żarówka w kształcie płomienia. Aha, Paryż, pomyślał i uniósł się na łokciach. Pokój był pełen pamiątek po nocnej imprezie, pachniał rozlanym szampanem i przekwitłymi różami. Andras miał niejasne wspomnienie długiego tête-à-tête z Ingrid, a następnie konkursu picia, w którym wziął udział wraz z Józsefem i Amerykaninem o szerokich barach. Potem nie pamiętał już nic. Jego bagaż i skrzynię Józsefa wniesiono do środka, stały teraz obok kominka. Józsefa nie było. Andras zwlókł się z kanapy i powędrował przez hol do łazienki z białymi kafelkami, ogolił się przy umywalce i wziął kąpiel w wannie na lwich nogach, do której prosto z kranu leciała gorąca woda. Następnie ubrał się w jedyną czystą koszulę, spodnie i marynarkę. Gdy szukał w pokoju od frontu swoich butów, usłyszał zgrzyt zamka. To József przyniósł pudełko z cukierni i gazetę. Rzucił ciastka na niski stolik.

– Już nie śpisz?

– Co to jest? – zapytał András, patrząc na pudełko owinięte wstążką.

– Lekarstwo na twojego kaca.

Andras otworzył pakunek, a w środku było sześć ciepłych croissantów owiniętych woskowanym papierem. Do tego momentu starał się nie dopuścić do siebie myśli o tym, jak straszliwie jest głodny. Zjadł jednego czekoladowego rogalika i był już w połowie drugiego, gdy nagle się zreflektował i zaproponował ciastko gospodarzowi, ale ten odmówił ze śmiechem.

– Jestem już od dawna na nogach – powiedział József. – Zdążyłem zjeść śniadanie i przeczytać gazetę. Hiszpania to wrak. Francja nie chce wysłać wojsk. Ale na pierwszej stronie mamy dwie nowe królowe piękności, rywalizujące o tytuł Miss Europe: śliczną, ciemną mademoiselle de Los Reyes z Hiszpanii oraz tajemniczą mademoiselle Betoulinsky z Rosji.

Rzucił gazetę Andrasowi. Dwie zimne piękności w białych wieczorowych kreacjach spoglądały z fotografii na pierwszej stronie.

– Podoba mi się ta de Los Reyes – powiedział Andras. – Te usta.

– Wygląda na nacjonalistkę – powiedział József. – Ja wolę tę drugą. Poluzował pomarańczowy jedwabny szalik i usiadł na kanapie, rozkładając ramiona na zaokrągleniu oparcia.

– Spójrz na ten bałagan – powiedział. – Służąca przychodzi dopiero jutro rano. Będę musiał dziś zjeść kolację na mieście.

– Powinieneś otworzyć tę skrzynię. Jestem pewien, że matka przysłała ci coś dobrego na kolację.

– Skrzynia! Zapomniałem!

Przeciągnął ją przez cały pokój spod kominka i podważył wieko nożem do masła. W środku było pudełko ciastek migdałowych, koszerne rogaliki z czekoladą, puszka, do której ledwo się zmieścił cały Linzer torte, wełniana bielizna na zimę, pudełko z papeterią już zaadresowaną do rodziców, lista krewnych, których miał odwiedzić, lista rzeczy, które miał kupić matce, w tym pewne intymne artykuły z bielizny, do tego nowa lornetka teatralna oraz para butów uszytych specjalnie przez jego szewca na Váci utca, którego talentowi, jak stwierdził József, nie dorównuje żaden paryski szewc.

– Mój brat pracuje w sklepie obuwniczym na Váci utca – powiedział Andras i wymienił nazwę sklepu.

– Obawiam się, że to nie ten – powiedział József z odrobiną pogardy w głosie.

Ukroił kawałek Linzer torte, zjadł i stwierdził, że to czysta kulinarna doskonałość.

– Dobry z ciebie chłop, Lévi, że targałeś cen tort przez całą Europę. Jak mógłbym ci się odwdzięczyć?

– Możesz mi poradzić, jak tu sobie zorganizować życie – odpowiedział Andras.

– Jesteś pewien, że chcesz moich rad? – zapytał József. – Straszny ze mnie utracjusz i libertyn.

– Obawiam się, że nie mam wyboru. Nie znam w Paryżu nikogo poza tobą.

– No to masz szczęście!

Jedli Linzer torte prosto z puszki; József polecił mu żydowski akademik, sklep z zaopatrzeniem dla artystów i studencki klub, w którym można tanio zjeść. On sam, rzecz jasna, w nim nie jada – zwykle przynoszą mu posiłki do domu z restauracji na bulwarze Saint-Germain – ale jego znajomi, którzy tam bywają, uważają, że jest niczego sobie. Natomiast fakt, że Andras będzie w École Spéciale, a nie w Beaux Arts, oznacza, że niestety nie będą razem na studiach, choć dla Andrasa może to i lepiej. József słynie raczej ze zgubnego wpływu na przyjaciół. A może teraz, skoro już załatwili sprawę urządzenia Andrasa w Paryżu, wyszliby na balkon zapalić i przyjrzeć się miastu?

András puścił Józsefa przodem przez sypialnię i wysokie szklane drzwi balkonowe. Dzień był zimny, a wczorajsza mgła przerodziła się w mżawkę. Za parawanem chmur słońce wyglądało jak srebrna moneta.

– No proszę – rzekł József. – Najpiękniejsze miasto na ziemi. Ta kopuła to Panthéon, a tam widać Sorbonę. Na lewo St. Etienne-du-Mont, a jeśli się trochę wychylisz, zobaczysz skrawek Notre Dame.

Andras oparł dłonie o balustradę i patrzył na morze nieznanych, szarych budynków pod zimnym welonem mgły. Kominy tłoczyły się na dachach jak jakieś dziwne ptaki, za równymi rzędami mansard obitych cynkowaną blachą widać było zieloną plamę parku. Daleko na zachodzie, niewyraźna z powodu dużej odległości, niknęła w chmurach wieża Eiffla. Pomiędzy nim a tym symbolem Paryża znajdowało się tysiące nieznanych ulic, sklepów i istot ludzkich wypełniających tak wielki obszar, że wieża wydawała się cienka i delikatna na tle granitowoszarych chmur.

– No i co*?* – spytał József.

– Wielkie to miasto, prawda?

– Wystarczająco, by wypełnić człowiekowi czas. Prawdę mówiąc, za parę minut muszę wyjść. Jestem umówiony na lunch z niejaką mademoiselle Betoulinsky z Rosji. – Mrugnął i wyprostował krawat.

– Masz na myśli tę dziewczynę, która wczoraj miała cekinową kreację?

– Obawiam się, że niezupełnie – odparł József z leniwym uśmiechem. – To całkiem inna mademoiselle.

– Może mógłbyś mi jedną pożyczyć?

– Nie ma mowy, stary – odparł József. – Wszystkie są mi potrzebne.

Prześlizgnął się przez drzwi balkonowe i wrócił do wielkiego pokoju od frontu, założył pomarańczowy, jedwabny szalik i luźną wełnianą marynarkę w kolorze dymu. Chwycił chlebak Andrasa, a Andras wziął walizkę i zjechali windą na dół.

– Szkoda, że nie mogę cię odprowadzić do tego akademika, ale jestem już spóźniony na spotkanie – wytłumaczył się József, gdy wynieśli już wszystko na ulicę. – Ale masz tu pieniądze na taksówkę. Ależ tak, proszę cię, weź. I wpadnij kiedyś na kieliszek, dobrze? Daj znać, jak ci się wiedzie.

Poklepał Andrasa po plecach, uścisnął mu rękę i poszedł w stronę Panthéonu, pogwizdując.

Madame V., właścicielka akademika, znała kilka bezużytecznych słów po węgiersku i mnóstwo niezrozumiałych słów w jidysz, ale nie miała dla Andrasa wolnego miejsca na stałe. Udało jej się poinformować go, że może się przespać na kanapie w holu na górze, ale powinien jak najszybciej zacząć szukać innego lokum. Wciąż oszołomiony po wczorajszym wieczorze, Andras ruszył w Dzielnicę Łacińską, między artystycznie zaniedbanych studentów z płóciennymi torbami, teczkami pełnymi rysunków, rowerami, stosami ulotek politycznych, obwiązanymi sznurkiem pudełkami z ciastkarni, koszami do robienia zakupów na targu i bukietami kwiatów. Wśród nich czuł się zbyt sztywny i prowincjonalny, choć miał na sobie to samo ubranie, w którym jeszcze tydzień temu w Budapeszcie czuł się jak wielkomiejski elegant. Na lodowatej ławce na jakimś burym skwerku przeczesał swoje rozmówki w poszukiwaniu słówek po francusku: cena, student, pokój, ile kosztuje. Ale czym innym było rozumieć, że *chambre á louer znaczy* pokój do wynajęcia, a czym innym zadzwonić do drzwi i po francusku spytać o pokój. Szedł od Saint-Michel do Saint-Ger-main, od rue du Cardinal-Lemoine do rue Clovis, przeklinając swój brak uwagi na lekcjach francuskiego i zapisując sobie lokalizacje różnych *chambres á louer.* Był całkowicie wyczerpany i wciąż jeszcze nie zebrał się na odwagę, by nacisnąć któryś dzwonek. Wrócił do akademika z poczuciem klęski.

Tej nocy, gdy próbował przyjąć wygodną pozycję na zielonej kanapie w holu, młodzi ludzie z całej Europy kłócili się, walczyli, palili papierosy, śmiali się i pili jeszcze długo po północy. Żaden z nich nie mówił po węgiersku i nikt nie zauważył, że znalazł się wśród nich ktoś nowy. W innych okolicznościach Andras pewnie by się do nich przyłączył, ale był tak zmęczony, że ledwo miał siłę przewrócić się na drugi bok. Kanapa, wąska i twarda, wyposażona w drewniane

poręcze, sprawiała wrażenie, jakby ktoś zaprojektował ją jako narzędzie tortur. Gdy młodzi ludzie w końcu położyli się spać, spod boazerii wyłoniły się szczury, by zapolować przed świtem na odpadki. Biegały po całym holu i ukradły Andrasowi chleb, który odłożył sobie z kolacji. Zapachy przepoconych butów, niemytych męskich ciał i smażonego tłuszczu przeniknęły do jego snu. Gdy się ocknął, obolały i wyczerpany, doszedł do wniosku, że jedna noc w zupełności wystarczy. Rano pochodzi po dzielnicy i zapyta w pierwszym miejscu, które reklamuje pokój do wynajęcia.

Na rue des Écoles, obok małego wybrukowanego placyku z rozłożystym kasztanem, znalazł budynek ze znajomym już ogłoszeniem w oknie: *chambre á louer* Zapukał do pomalowanych na czerwono drzwi i założył ręce na piersi, chcąc stłumić przypływ niepokoju. Drzwi otworzyły się i ukazała się w nich niska, zażywna jejmość o krzaczastych brwiach i opuszczonych kącikach ust nadających jej groźny wyraz. Na nosie tkwiły okulary w czarnych, grubych oprawkach, które sprawiały, że oczy wydawały się małe i dalekie, jakby należały do innej, mniejszej osoby. Jej grube siwe włosy były z jednej strony przyklejone do głowy, jakby właśnie ucięła sobie drzemkę w fotelu z uszami, opierając głowę z jednej strony. Położyła pięść na biodrze i gapiła się na Andrasa. Zbierając całą odwagę, wydukał z trudem, w czym rzecz, wskazując na ogłoszenie w oknie i niepoprawnie wymawiając wyrazy.

Konsjerżka zrozumiała, o co chodzi. Gestem zaprosiła go do wąskiego, wyłożonego kafelkami holu i poprowadziła na górę spiralną klatką schodową ze świetlikiem w dachu. Gdy już nie dało się wejść wyżej, przeszli korytarzem do długiego i wąskiego pokoju na mansardzie, z żelaznym łóżkiem pod ścianą, ceramiczną miską na drewnianym stojaku, wiejskim stołem i zielonym drewnianym krzesłem. Dwa mansardowe okna wychodziły na rue des Écoles, jedno było otwarte, a na parapecie znajdowało się porzucone gniazdo z resztkami trzech niebieskich jajeczek. W kominku były zardzewiały ruszt, złamany widelec do opiekania, stara skórka od chleba. Konsjerżka wzruszyła ramionami i wymieniła cenę. Andras poszukał w pamięci nazw liczebników i zaproponował połowę ceny. Konsjerżka splunęła na podłogę, zatupała nogami, zaczęła wymyślać Andrasowi po francusku i w końcu się zgodziła.

I tak się zaczęło jego życie w Paryżu. Miał już adres, mosiężny klucz, własny widok z okna. Jego panorama, podobnie jak Józsefa, obejmowała Panthéon i jasną wapienną wieżę zegarową kościoła St. Étienne-du-Mont. Po drugiej stronie ulicy był Collège de France i wkrótce Andras miał nauczyć się używać go jako punktu orientacyjnego, gdy tłumaczył, gdzie mieszka: *34 rue des Écoles, en face*

de Collège de France. Obok znajdowała się Sorbona, a nieco dalej, wzdłuż bulwaru Raspail, École Spéciale d'Architecture, gdzie w poniedziałek miał rozpocząć zajęcia. Gdy już posprzątał i wyczyścił pokój, rozpakował swoje rzeczy do skrzyni po jabłkach, policzył pieniądze i zrobił listę zakupów. Zszedł na dół do sklepu i kupił słoik dżemu z czerwonych porzeczek, pudełko taniej herbaty, pudełko cukru, sitko do parzenia, torebkę orzechów włoskich, mały gliniany słoiczek masła, długą bagietkę i jako jedyne szaleństwo odrobinę sera.

Cóż to była za przyjemność wkładać klucz do zamka, otwierać drzwi do własnego pokoju. Wypakował sprawunki na parapet i rozłożył przybory do rysowania na stole. Następnie usiadł, zatemperował ołówek nożem i naszkicował widok Panthéonu na pustej kartce pocztowej. Na odwrocie napisał swoją pierwszą wiadomość z Paryża: „Drogi Tiborze, jestem na miejscu! Mam własne poddasze. Jest dokładnie tak, jak marzyłem! W poniedziałek zaczynam zajęcia. Hurrrra! *Liberté, égalité, fraternité!* Ściskam, Andras". Brakowało mu jedynie znaczka. Pomyślał, że mógłby pożyczyć znaczek od konsjerżki, wiedział, że za rogiem jest skrzynka pocztowa. Gdy zastanawiał się, gdzie dokładnie ją widział, przypomniała mu się koperta, pieczęć woskowa i monogram. Zapomniał o obietnicy danej starszej pani Hász. Jej przesyłka do C. Morgensterna na rue de Sévigné wciąż czekała w walizce. Wyciągnął walizkę spod łóżka, obawiając się, że list może gdzieś przepadł, lecz był tam nadal, w kieszeni, do której go włożył, z nienaruszoną pieczęcią. Zbiegł na dół do mieszkania konsjerżki i z pomocą rozmówek oraz gwałtownej gestykulacji zdołał ją poprosić o dwa znaczki. Odnalazł *boîte aux lettres* i wrzucił kartkę do Tibora. Następnie, wyobrażając sobie radość jakiegoś starszego siwowłosego dżentelmena, gdy dostanie poranną pocztę, wrzucił list pani Hász w anonimową ciemność skrzynki.

Rozdział czwarty

École Spéciale

ABY DOSTAĆ SIĘ DO SZKOŁY, musiał przejść Ogród Luksemburski, minąć bogato zdobiony Palais, fontannę, grządki kwiatowe pełne późnych nagietków i lwich paszczek. Dzieci puszczały w fontannie eleganckie małe łódeczki, a Andras z rodzajem urażonej dumy przypomniał sobie żaglówki z odpadków drewna, które puszczali z braćmi koło młyna w Konyárze. Po drodze minął zielone ławki, krótko przystrzyżone lipy i karuzelę z kolorowymi konikami. Po drugiej stronie parku widać było coś, co przypominało Andrasowi małe, brązowe domki dla lalek. Gdy podszedł bliżej, usłyszał brzęczenie pszczół. Zawoalowany pszczelarz nachylał się nad jednym z ulów, machając dymiącym pojemnikiem.

Andras przeszedł wzdłuż rue de Vaugirard obok sklepików z artykułami dla artystów, wąskich kafejek i szkoły podstawowej pełnej małych dziewczynek, a potem szerokim bulwarem Raspail z jego nobliwymi kamienicami. Czuł się już trochę bardziej paryżaninem niż tuż po przyjeździe. Na sznurku na szyi miał klucz od własnego mieszkania, a pod pachą egzemplarz „L'Oeuvre". Szalik zawiązał tak samo, jak robił to József Hasz, a skórzaną torbę przewiesił na skos przez pierś, tak jak widział, że robią to studenci w Dzielnicy Łacińskiej. Jego życie w Budapeszcie – praca w „Past and Future", mieszkanie na Hársfa utca, znajomy dźwięk tramwajowego dzwonka – zdawało się należeć do zupełnie innego świata. Z nagłą dojmującą tęsknotą wyobraził sobie Tibora, jak siedzi przy ich zwykłym kawiarnianym stoliku na ulicy, z widokiem na pomnik Jókai Mór, słynnego pisarza, który uciekł przed Austriakami w czasie powstania w 1848 roku, przebrany za własną żonę. Nieco dalej na wschód Mátyás rysuje pewnie w swoim zeszycie, podczas gdy reszta klasy uczy się łacińskich deklinacji. A co z rodzicami? Musi do nich dziś wieczór napisać. Dotknął srebrnego zegarka w kieszeni. Ojciec dał go do naprawy tuż przed jego wyjazdem. Był stary i piękny, cyfry namalowane pajęczym kaligraficznym pismem, wskazówki opalizujące

ciemnoniebieskim metalem. Zegarek działał równie dobrze jak za życia dziadka Andrasa. András pamiętał, jak wdrapywał się ojcu na kolana, by nakręcić zegarek, uważając, żeby nie naciągnąć sprężyny zbyt mocno. Jego ojciec, Béla Farciarz, gdy był małym chłopcem, robił dokładnie to samo. I oto ten sam zegarek wylądował w Paryżu w 1937 roku, w czasach, w których ludzie przemieszczali się o ponad tysiąc kilometrów w zaledwie kilka dni, telegramy dochodziły po drutach w kilka minut, a sygnał radiowy docierał w powietrzu natychmiast. Cóż to za czasy dla studenta architektury! Budynki, które zaprojektuje, będą jak statki, by ludzkie istoty pożeglowały nimi ku horyzontowi XX wieku, a potem poza mapy i w stronę nowego stulecia.

Zorientował się, że minął już gmach École Spéciale, więc musiał zawrócić. Młodzi ludzie napływali do środka przez wysokie granatowe drzwi w samym środku szarego, neoklasycystycznego budynku z nazwą szkoły wykutą na gzymsie. École Spéciale d'Architecture! Chcieli go tutaj. Zobaczyli jego prace i wybrali go, a on przyjechał. Wbiegł po schodach frontowych i przez granatowe drzwi. Na ścianie w korytarzu była tablica ze złotymi płaskorzeźbami, po-piersiami dwóch mężczyzn*:* Emile'a Trélata, który założył szkołę, i Gastona Trélata, który przejął po ojcu funkcję jej dyrektora. Emile i Gaston Trélat. Zawsze ich będzie pamiętał. Przełknął dwukrotnie, przygładził włosy i wszedł do sekretariatu.

Młoda kobieta za biurkiem wyglądała jak postać ze snu. Jej skóra miała kolor ciemnego orzecha włoskiego, krótko przycięte włosy błyszczały jak jedwab. Spojrzenie miała przyjazne, oczy w ciemnej oprawie spoczęły na nim spokojnie. Nie przyszło mu do głowy, żeby coś powiedzieć. Jeszcze nigdy nie widział tak pięknej kobiety ani nie spotkał w swoim życiu nikogo afrykańskiego pochodzenia. Teraz ta cudowna, młoda, czarnoskóra Francuzka zwróciła się do niego z pytaniem, którego nie zrozumiał, więc wymamrotał jedno ze znanych mu francuskich słówek – *désolé* – i napisał swoje imię i nazwisko na karteczce, którą położył na biurku. Młoda kobieta przeszukała stos grubych kopert w drewnianym pudełku i wyjęła jedną z nich z jego nazwiskiem, Lévi, napisanym równymi drukowanymi literami na samej górze.

Podziękował jej swoją nieporadną francuszczyzną. Powiedziała, że nie ma za *co.* Może zostałby tam i gapił się dalej, gdyby nie weszła w tym momencie grupa studentów, pozdrawiając ją i nachylając się nad biurkiem, by ją ucałować. *Eh, Lucia, ça va, bellissima?* Andras przemknął z powrotem na korytarz, przyciskając do piersi kopertę. Wszyscy zebrali się pod szklanym dachem centralnego atrium,

gdzie wywieszono właśnie listę uczestników zajęć w pracowniach. Usiadł na niskiej ławce i otworzył kopertę, w której znalazł listę przedmiotów.

COURS	PROFESSEUR
HISTOIRE D'ARCHITECTURE	A. PERRET
LES STATIQUES	V. LE BOURGEOIS
ATELIER	P. VAGO
DESSINAGE	M. LABELLE

Wszystko tak po prostu, jakby było rzeczą zupełnie naturalną, że Andras będzie studiował te przedmioty pod kierunkiem słynnych architektów. W kopercie była także długa lista lektur obowiązkowych i tekstów źródłowych oraz mały kartonik z odręcznie napisaną po węgiersku (przez kogo?) informacją o tym, że Andras, jako stypendysta, będzie mógł kupić na kredyt książki i przybory w księgarni na bulwarze Saint-Michel.

Przeczytał tę wiadomość wielokrotnie, rozejrzał się po atrium, zastanawiając się, kto mógł ją napisać. Tłum studentów nie dawał mu żadnej wskazówki. Żaden z nich nie wyglądał ani trochę na Węgra. Wszyscy byli beznadziejnie, perfekcyjnie paryscy. W jednym rogu stała jednak blisko siebie trójka niepewnie wyglądających mężczyzn. Na pierwszy rzut oka było widać, że są studentami pierwszego roku, a nazwiska na ich kopertach wskazywały na żydowskie pochodzenie: Rosen, Polaner, Ben Yakov. Pozdrowił ich uniesioną dłonią, a oni skinęli głowami w milczącym porozumieniu. Najwyższy z nich przywołał go gestem ręki.

Rosen był chudy, piegowaty, miał potargane rude włosy i anemiczne początki koziej bródki. Wziął Andrasa za ramię i przedstawił Bena Yakova, który przypominał przystojnego francuskiego gwiazdora filmowego Pierre'a Fresnaya; Polanera, małego, drobnego, o krótko przystrzyżonych włosach i delikatnych dłoniach. Andras przywitał się z nimi i powtórzył własne imię i nazwisko. Jego towarzysze wrócili do szybkiej rozmowy po francusku, a Andras usiłował uchwycić wątek. Rosen był najwyraźniej przywódcą grupy; panował nad rozmową, a pozostali słuchali lub odpowiadali. Polaner sprawiał wrażenie nerwowego, zapinał i odpinał ostatni guzik swojej starej, zniszczonej marynarki. Przystojny Ben Yakov rzucał spojrzenia grupie młodych kobiet. Jedna z nich pomachała mu, odpowiedział jej tym samym. Następnie nachylił się w stronę

Polanera i Rosena, by powiedzieć jakiś sprośny dowcip, i wszyscy trzej się roześmiali. Choć Andras męczył się, próbując zrozumieć, o czym jest mowa, i choć prawie wcale się do niego nie zwracali, bardzo chciał ich poznać. Gdy poszli sprawdzić listy zajęć w pracowniach, ucieszył się, że trafili do tej samej grupy.

Po jakimś czasie studenci zaczęli wychodzić na ogrodzone murem podwórze, gdzie wysokie drzewa rzucały cień na rzędy drewnianych ławek. Jeden ze studentów przyniósł pulpit i postawił go na niewielkim wybrukowanym placyku. Pozostali usiedli na ławkach. Spoza murów słychać było szum ruchu ulicznego. Ale Andras był tu, w środku, siedział obok trzech studentów, których imiona znał; był jednym z nich i jego miejsce znajdowało się po tej stronie muru. Starał się zapamiętać to uczucie, wyobrażał sobie, jak by o tym napisał do Tibora, do Mátyása. Ale zanim ułożył sobie w głowie zdania, otworzyły się drzwi z boku budynku i wyszedł z nich jakiś mężczyzna. Wyglądał na wojskowego; ubrany był w długą szarą pelerynę z czerwoną podszewką, miał krótką trójkątną bródkę i podkręcone na wosk wąsy. Jego oczy za binoklami bez oprawki były zmrużone, a spojrzenie intensywne. W jednej ręce miał laskę, a w drugiej coś, co wyglądało na kawałek szarej skały. Każdy by się ugiął pod ciężarem tego kamulca, ale on szedł przez dziedziniec wyprostowany, z podbródkiem uniesionym pod regulaminowym kątem. Wstąpił na mównicę i położył na niej skałę z głuchym tąpnięciem.

– Baczność – zagrzmiał.

Studenci ucichli i stanęli wyprężeni, ich plecy wyprostowały się, jakby ktoś pociągnął za jakieś niewidzialne sznurki. Wysoki młody mężczyzna w wystrzępionej koszuli roboczej usiadł po cichu na ławce obok Andrasa i nachylił głowę w jego stronę.

– To Auguste Perret – powiedział po węgiersku. – Był moim nauczycielem, a teraz będzie twoim.

Andras spojrzał na młodego człowieka z zaskoczeniem i ulgą.

– To ty napisałeś tę wiadomość w moim pakiecie – domyślił się.

– Słuchaj – powiedział młody mężczyzna. – A ja będę tłumaczył.

Więc Andras słuchał. Stojąc na mównicy, August Perret uniósł w górę kamulec w obu dłoniach i o coś zapytał. Chodziło, według tłumacza Andrasa, o to, czy ktoś wie, co to za budulec. Może pan w pierwszym rzędzie? Tak jest, to jest beton. Żelbet. Nim skończą te pięcioletnie studia, każdy będzie wiedział wszystko o wzmocnionym betonie. Dlaczego? Bo to on jest przyszłością

nowoczesnych miast. Dzięki niemu powstaną budynki wyższe i bardziej wytrzymałe niż jakiekolwiek zbudowane do tej pory. Wysokość i wytrzymałość, tak jest, i piękno. Tu, w École Spéciale, nie dajemy się jednak uwodzić pięknu; zostawiamy to uprzywilejowanym adeptom tej drugiej szkoły. To szkoła dla dżentelmenów, miejsce, gdzie chłopcy bawią się sztuką *dessinage;* nas tutaj, w École Spéciale, interesuje prawdziwa architektura, budynki, w których ludzie mogą mieszkać. Jeśli nasze projekty są piękne, tym lepiej; ale niech będą piękne pięknem należącym do zwykłego człowieka. Jesteśmy tu, bo wierzymy, że architektura jest sztuką demokratyczną; bo jesteśmy przekonani, że forma i funkcja są równie ważne; bo my, awangarda, zrzuciliśmy więzy arystokratycznej tradycji i zaczęliśmy myśleć samodzielnie. Niech każdy, kto marzy o zbudowaniu Wersalu, wstanie i wyjdzie. Ta druga szkoła jest trzy przystanki metrem stąd.

Profesor zamilkł z ramionami wskazującymi w kierunku bramy, nie odrywając oczu od rzędów studentów.

– *Non?* – krzyknął. – *Pas un?*

Nikt się nie poruszył. Profesor stał przed nimi jak posąg. Andras miał uczucie, jakby był jedną z figur na obrazie, sparaliżowaną na całą wieczność wyzwaniem rzuconym przez Perreta. Ludzie będą podziwiać ten obraz w muzeach setki lat później. A on wciąż będzie siedział na ławce, lekko nachylony w kierunku białobrodego mężczyzny w pelerynie, tego generała pośród architektów.

– Co roku wygłasza to samo przemówienie – szepnął Węgier siedzący obok Andrasa. – Teraz będzie o waszej odpowiedzialności w stosunku do studentów, którzy przyjdą po was.

– *Les étudiants qui viennent après vous* – kontynuował profesor, a Węgier tłumaczył.

Ci studenci polegają na was, że będziecie się pilnie uczyć. Jeśli nie, oni też na tym stracą. Będą was uczyć ci, którzy studiowali przed wami. W École Spéciale nauczycie się współpracować, gdyż życie architekta oznacza ścisłą współpracę z innymi ludźmi. Możecie mieć własną wizję, ale bez pomocy kolegów ta wizja nie jest warta papieru, na którym powstała. W tej szkole Emile Trélat uczył Roberta Mallet-Stevensa, Mallet-Stevens uczył Fernanda Fenzy'ego, Fernand Fenzy uczył Pierre'a Vago, a Pierre Vago będzie uczył was.

W tym momencie profesor wskazał na audytorium i młody człowiek siedzący obok Andrasa wstał i grzecznie się ukłonił. Podszedł do profesora Perreta na mównicy i zaczął przemawiać po francusku. Pierre Vago. Ten

człowiek, który tłumaczył Andrasowi – ten młodzieniec o nieco wygniecionym wyglądzie, w poplamionej tuszem koszuli roboczej – to P. VAGO z listy wykładowców Andrasa. Będzie prowadził jego zajęcia w pracowni. Jego profesor. Węgier. Andrasowi zrobiło się nagle słabo. Po raz pierwszy wydało mu się, że ma szansę przetrwać jakoś w École Spéciale. Nie był w stanie skoncentrować się na tym, co Pierre Vago mówił w swojej eleganckiej francuszczyźnie z minimalnym akcentem. Pierre Vago rzeczywiście napisał tę notatkę po węgiersku. Prawdopodobnie właśnie Pierre'owi Vago Andras zawdzięcza, że w ogóle tu jest.

– Hej – powiedział Rosen, pociągając Andrasa za rękaw. – *Regardes-toi.*

Z powodu zdezorientowania Andras nie zauważył, że zaczęła mu lecieć krew z nosa. Czerwone plamy błyszczały na białej koszuli. Polaner spojrzał na niego z niepokojem i podał mu chusteczkę. Ben Yakov zbladł i odwrócił głowę. Andras wziął chusteczkę i przycisnął ją do nosa. Rosen kazał mu odchylić głowę do tyłu. Parę osób odwróciło się, by sprawdzić, co się dzieje. Andras siedział, krwawiąc w chusteczkę, było mu wszystko jedno, kto na niego patrzy, bo nigdy w życiu nie był szczęśliwszy.

Nieco później tego samego dnia, po uroczystym otwarciu roku akademickiego, gdy już krwotok z nosa ustał, a Andras oddał własną czystą chusteczkę w miejsce tej zakrwawionej, po pierwszych zajęciach w pracowniach i po wymianie adresów z Rosenem, Polanerem i Benem Yakovem, znalazł się w ciasnym gabinecie Vago. Siedział na drewnianym stołku przy desce kreślarskiej. Na ścianach wisiały szkice, projekty, czarno-białe akwarele pięknych i fantastycznych budynków, rysunek miasta w skali z lotu ptaka. W jednym kącie leżała sterta poplamionych farbą ubrań, o ścianę opierała się powyginana rama roweru. Na półkach były stare książki, błyszczące czasopisma, czajnik, mały drewniany samolot i rzeźba dziewczyny z chudymi nogami zrobiona z odpadów. Vago odchylił się do tyłu w swoim krześle na sprężynie i zaplótł ręce za głową.

– A więc – powiedział – oto jesteś, prosto z Budapesztu. Cieszę się, że przyjechałeś. Nie byłem pewien, czy ci się uda w tak krótkim terminie, ale musiałem spróbować. To barbarzyństwo, te uprzedzenia, kto ma co studiować, i kiedy, i jak. To nie jest kraj dla takich jak my.

– Ale… przepraszam, że pytam, czy pan jest Żydem, panie profesorze?

– Nie, jestem jak raz katolikiem. Wychowanym w Rzymie – wymawiał „r” twardo jak Włosi.

– To skąd pańska troska?

– A nie powinienem się troszczyć?

– Niektórym jest wszystko jedno.

– A innym nie – wzruszył ramionami Vago.

Otworzył teczkę z dokumentami, którą miał na biurku. A tam były kolorowe reprodukcje okładek wykonanych przez Andrasa dla „Past and Future": linoryty przedstawiające skrybę nad zwojem papieru, ojca i dwóch synów w synagodze, kobietę zapalającą dwie cienkie świece. Andras zobaczył swoje prace jakby po raz pierwszy. Sentymentalne tematy, oczywista i dziecinna kompozycja. Nie mógł uwierzyć, że dzięki nim znalazł się na tej uczelni. Nie miał dość czasu, by złożyć swoje portfolio, którego używał przy rekrutacji na węgierskie wydziały architektoniczne – szczegółowych rysunków Parlamentu i Pałacu, dokładnie wymierzonych szkiców wnętrz kościołów i bibliotek, prac, nad którymi ślęczał godzinami przy swoim biurku w „Past and Future". Podejrzewał jednak, że nawet te rysunki wydawałyby się niezdarne i amatorskie w porównaniu z pracami Vago wiszącymi na ścianach – czystymi projektami i szkicami pięknych elewacji.

– Przyjechałem tu, by się uczyć, sir – powiedział Andras. – Te grafiki zrobiłem już dawno temu.

– Znakomita robota – pochwalił Vago. – Jest w niej precyzja, znajomość perspektywy, rzadkie u artysty amatora. Masz wielki naturalny talent, to oczywiste. Kompozycje są niesymetryczne, ale zachowują równowagę. Tematy są stare jak świat, ale technika współczesna. To dobre cechy przyszłego architekta.

Andras sięgnął po jedną z okładek, tę, na której był ojciec i synowie w czasie modlitwy. Wyrzeźbił linoryt przy świeczce w mieszkaniu na Hársfa utca. Choć wówczas nie zdawał sobie z tego sprawy – ale właściwie dlaczego nie, skoro dziś wydawało się to takie oczywiste? – człowiek w tałesie to jego ojciec, a chłopcy to jego bracia.

– Świetna praca – powiedział Vago. – Nie tylko ja tak myślę.

– Ale to nie jest architektura – zaprotestował Andras i oddał okładkę.

– Architektury się jeszcze nauczysz. A tymczasem musisz nauczyć się francuskiego. Inaczej tu nie przetrwasz. Mogę ci pomóc, ale nie będę w stanie tłumaczyć każdych zajęć. Będziesz więc przychodził tutaj każdego ranka, godzinę przed zajęciami w pracowni, i będziesz ze mną ćwiczył francuski.

– Tutaj, z panem, sir?

– Tak. Od teraz będziemy mówić wyłącznie po francusku. Nauczę cię wszystkiego, co sam umiem. I na miłość boską, przestaniesz do mnie mówić sir, jakbym był jakimś oficerem w wojsku. – Jego oczy patrzyły poważnie, ale usta wydął, jak to zwykle czynili Francuzi. – *L'architecture n'est pas un jeu d'enfants* – powiedział głębokim, dźwięcznym głosem, który idealnie naśladował barwę i intonację profesora Perreta. – *L' architecture, c'est l'art le plus sérieux de tous.*

– *L'art le plus sérieux de tous* – powtórzył Andras tym samym głębokim tonem.

– *Non! Non!* – zawołał Vago. – Tylko mnie wolno naśladować głos *Monsieur le Directeur.* Ty masz mówić głosem Andrasa, skromnego studenta. Nazywam się Andras Skromny Student – wyrecytował Vago po francusku. – Proszę bardzo, powtórz.

– Nazywam się Andras Skromny Student.

– Nauczę się znakomitej francuszczyzny od pana Vago.

– Nauczę się znakomitej francuszczyzny od pana Vago.

– Będę powtarzał wszystko, co mówi.

– Będę powtarzał wszystko, co mówi.

– Ale nie głosem *Monsieur le Directeur.*

– Ale nie głosem *Monsieur le Directeur.*

– Pozwól, że cię o coś zapytam – powiedział Vago po węgiersku z przejęciem. – Czy dobrze zrobiłem, że cię tu sprowadziłem? Czy jesteś bardzo samotny? Czy to wszystko cię bardzo onieśmiela?

– Onieśmiela – odparł Andras. – Ale czuję się dziwnie szczęśliwy.

– Ja na początku nie czułem się dobrze, gdy się tu znalazłem – przyznał Vago, siadając głębiej w fotelu. – Przyjechałem trzy tygodnie po tym, jak ukończyłem szkołę w Rzymie i zacząłem studia na Beaux-Arts. To nie jest uczelnia dla kogoś z moim temperamentem. Te pierwsze miesiące były straszne! Z całego serca nienawidziłem Paryża. – Wyjrzał przez okno na zimne i szare popołudnie. – Codziennie chodziłem, przyglądając się miastu, okolicom Bastylii, ogrodom Tuileries, Ogrodowi Luksemburskiemu, katedrze Notre Dame, Operze. Przeklinałem każdy kamień na kamieniu. Paryż nie dorasta przecież do pięt Budapesztowi, jeśli jeszcze tego nie zauważyłeś. Po jakimś czasie przeniosłem się

do École Spéciale. I wtedy zakochałem się w Paryżu. Teraz nie wyobrażam sobie życia gdzie indziej. Ty też tak się poczujesz.

– Ja już zaczynam się tak czuć.

– Poczekaj – uśmiechnął się Vago – to dopiero początek.

Rano kupował zawsze pieczywo w *boulangerie* obok domu i gazetę na rogu ulicy; gdy wrzucał monety w wystawioną dłoń właściciela stoiska z prasą, ten wyśpiewywał gardłowe *Merci.* Po powrocie na górę zjadał croissanta i pił słodką herbatę w słoiku po dżemie. Przeglądał zdjęcia w gazecie i próbował śledzić wydarzenia hiszpańskiej wojny domowej, w której Front Populaire tracił pole na rzecz Nationalistes. Nie pozwalał sobie na zakup węgierskiej gazety, by dowiedzieć się więcej. Pasjonujący charakter informacji czynił tłumaczenie łatwiejszym. Codziennie były nowe doniesienia o okrucieństwach: nastolatkach rozstrzelanych w rowach, staruszkach rozniesionych na bagnetach w sadach oliwnych, wsiach bombardowanych z powietrza. Włochy oskarżyły Francję o pogwałcenie jej własnego embarga na broń; duże transporty sowieckiej amunicji docierały do armii republikańskiej. Z drugiej strony Niemcy zwiększyły liczebność Legionu Condor do dziesięciu tysięcy ludzi. Andras czytał te doniesienia z coraz większą desperacją, zazdroszcząc młodym ludziom, którzy uciekli do Hiszpanii, by tam walczyć po stronie republikańskiej. Wszyscy byli teraz zaangażowani, wiedział o tym. Każda inna postawa oznaczała obojętność.

Z głową pełną strasznych obrazów z hiszpańskiego frontu szedł pełnymi liści ulicami w stronę École Spéciale, usiłując zagłuszyć je powtarzaniem francuskich słówek związanych z architekturą: *toit, fenêtre, porte, mur, corniche, balcon, balustrade, souche de cheminée.* Na uczelni słuchał o różnicy pomiędzy cokołem a stylobatem, podstawą a zwieńczeniem. Dowiedział się, którzy z jego profesorów po cichu wynoszą ozdoby nad względy praktyczne, a którzy są wyznawcami kultu żelbetu Perreta. W czasie zajęć ze statyki odwiedził Sainte-Chapelle, gdzie dowiedział się, jak trzynastowieczni inżynierowie odkryli sposób wzmocnienia budynku przez użycie ściśniętych prętów i wsporników z metalu. Wzmocnienia ukryte były w witrażach ciągnących się na całą wysokość kaplicy. Gdy poranne światło sączyło się na czerwono i niebiesko przez witraże, stał w środku nawy i doświadczył czegoś w rodzaju świętego uniesienia. Nieważne, że to kościół katolicki, a w jego oknach byli Chrystus i różni święci. To, co czuł, miało mniej wspólnego z religią, a więcej z poczuciem harmonii tego projektu, idealnego spotkania formy z funkcją w tym budynku. Pojedyncza wysoka

pionowa powierzchnia sugerowała drogę do nieba lub do głębszego wtajemniczenia. Architekci potrafili to osiągnąć już setki lat temu.

Pierre Vago, zgodnie z przyrzeczeniem, udzielał Andrasowi codziennych godzinnych lekcji. Francuski, którego Andras uczył się w szkole, szybko powrócił i w ciągu miesiąca chłopak nauczył się więcej, niż udało mu się wynieść z gimnazjum. W połowie października lekcje stały się właściwie długimi rozmowami. Vago miał talent do wynajdywania tematów, którym Andras nie potrafił się oprzeć. Zapytał o lata spędzone w Konyárze i w Debreczynie – czego Andras się uczył, jakich miał przyjaciół, gdzie mieszkał, kogo kochał. Andras powiedział Vago o Évié Kereny, dziewczynie, która pocałowała go w ogrodzie Muzeum Dériego w Debreczynie, a potem nieczule go odtrąciła; opowiedział mu historię jedynej pary jedwabnych pończoch matki, podarunku na święto Chanuki, kupionego za pieniądze, które Andras zarobił, wykonując dla kolegów szkolnych prace z rysunku (bracia zawsze rywalizowali o to, który kupi jej lepszy prezent; gdy odpakowała pończochy, zareagowała z tak dziecinną radością, że nikt nie kwestionował zwycięstwa Andrasa. Później tego samego wieczoru Tibor przygniótł Andrasa do ziemi na podwórzu i wcisnął mu twarz w zamarzniętą ziemię, dokonując zemsty starszego brata). Vago, który nie miał rodzeństwa, lubił słuchać o Mátyásié i Tiborze. Kazał Andrasowi opowiadać ich historie i tłumaczyć ich listy na francuski. Szczególnie zainteresował go zamiar Tibora, by odbyć studia medyczne we Włoszech. Sam poznał w Rzymie pewnego młodego Włocha, którego ojciec był profesorem na uniwersytecie medycznym w Modenie. Napisze do niego i zobaczy, co da się zrobić. Andras nie zwrócił specjalnie uwagi, gdy Vago o tym wspomniał. Wiedział, że Vago jest bardzo zajęty, że międzynarodowe listy idą długo i że ten Włoch niekoniecznie ma taki sam stosunek do edukacji młodych węgierskich Żydów. Ale pewnego ranka Vago przywitał Andrasa, trzymając w ręku list: otrzymał wiadomość od profesora Turano, że być może zdoła załatwić Tiborowi miejsce na uczelni od stycznia.

– Mój Boże! – wykrzyknął Andras. – To cud! Jak się to panu udało?

– Właściwie oceniłem wartość moich kontaktów – uśmiechnął się Vago.

– Muszę natychmiast wysłać telegram do Tibora. Skąd można to zrobić?

Vago podniósł dłoń do góry.

– Nie wysyłałbym mu jeszcze informacji – powiedział. – To nadal jedynie możliwość. Nie powinniśmy na próżno rozbudzać jego nadziei.

– Ale jakie są szansę, pana zdaniem? Co powiedział ten profesor?

– Powiedział, że będzie musiał zwrócić się z tym do komisji rekrutacyjnej. To szczególny przypadek.

– Powie mi pan, jak tylko coś będzie wiadomo?

– Oczywiście – odparł Vago.

Ale Andras musiał się z kimś podzielić dobrą wiadomością, więc tego wieczoru w stołówce klubu studenckiego na rue des Écoles powiedział o tym Polanerowi, Rosenowi i Benowi Yakovowi. Był to ten sam klub, który polecił József tuż po przyjeździe. Za sto dwadzieścia pięć franków tygodniowo mieli tam codzienne obiady, które w dużej mierze opierały się na diecie ziemniaczano-fasolowo-kapuścianej. Jedli w podziemnym pomieszczeniu o studziennej akustyce, przy długich stołach, na których tysiące studentów wyryło swoje imiona. Andras przekazał im wieści o Tiborze swoją francuszczyzną z silnym węgierskim akcentem, próbując przekrzyczeć hałas. Pozostali unieśli kieliszki i życzyli Tiborowi powodzenia.

– Cóż za smakowity paradoks – zwrócił uwagę Rosen. – W związku z tym, że jest Żydem, musi opuścić monarchię konstytucyjną, by studiować medycynę w kraju rządzonym przez faszystowski reżim. Przynajmniej nie musi dołączać do nas w tutejszej demokracji, gdzie inteligentni, młodzi ludzie korzystają z wolności słowa z takim zapamiętaniem. – Mówiąc to, spojrzał na Polanera, który spuścił wzrok i zaczął się przyglądać swoim drobnym białym dłoniom.

– O co chodzi? – zapytał Ben Yakov.

– O nic – odparł Polaner.

– Co się stało? – dopytywał się Ben Yakov, który nie znosił o czymś nie wiedzieć.

– Powiem ci, co się stało – rzekł Rosen. – Wczoraj w drodze na uczelnię Polanerowi urwała się rączka od teczki do portfolio. Musieliśmy się zatrzymać i naprawić ją kawałkiem sznurka. Spóźniliśmy się na poranny wykład, jak pewnie zauważyliście – weszliśmy dopiero kwadrans po dziesiątej. Musieliśmy usiąść z tyłu, obok tego z drugiego roku, Lemarque'a – tego blondyna, skurczybyka, który zawsze jest taki złośliwy w pracowni. Powiedz im, Polaner, co powiedział, jak usiedliśmy.

– Co tobie się wydawało, że usłyszałeś – podkreślił Polaner, odkładając łyżkę obok talerza po zupie.

– Powiedział „brudne Żydki”. Słyszałem to bardzo wyraźnie.

– Tak było? – zapytał Ben Yakov, patrząc na Polanera.

– Nie wiem – odparł Polaner. – Coś powiedział, ale nie słyszałem.

– Obaj to słyszeliśmy. Wszyscy wokół słyszeli.

– Masz paranoję – rzucił Polaner, ale delikatna skóra wokół jego oczu się zaczerwieniła. – Ludzie się zaczęli oglądać dlatego, że się spóźniliśmy, a nie dlatego, że nazwał nas brudnymi Żydami.

– Może tam, skąd pochodzisz, to jest na porządku dziennym, ale tutaj tak nie jest – stwierdził Rosen.

– Nie mam zamiaru o tym dłużej rozmawiać – skwitował Polaner.

– Zresztą cóż możesz zrobić? – wtrącił Ben Yakov. – Niektórzy zawsze będą idiotami.

– Dać mu nauczkę – powiedział Rosen. – Ot co.

– Nie – zaoponował Polaner. – Nie chcę kłopotów z powodu czegoś, co być może w ogóle się nie wydarzyło. Wolę się nie wychylać. Chcę studiować i zrobić dyplom. Rozumiecie?

Andras rozumiał. Pamiętał to uczucie ze szkoły podstawowej w Konyárze, pragnienie bycia niewidzialnym. Nie spodziewał się jednak, że on sam albo któryś z jego kolegów doświadczą tego samego w Paryżu.

– Ja rozumiem – zapewnił. – Ale uważam, że Lemarque nie powinien... – zawahał się, szukając francuskiego słowa – czuć się bezkarny, mówiąc takie rzeczy. O ile rzeczywiście tak powiedział.

– Lévi wie, o co mi chodzi – powiedział Rosen.

Oparł podbródek na dłoni i zapatrzył się w miskę z zupą.

– Z drugiej strony nie jestem pewien, co właściwie powinniśmy z tym zrobić. Gdybyśmy komuś o tym powiedzieli, to byłoby nasze słowo przeciwko słowu Lemarque'a. A on ma wielu przyjaciół wśród studentów czwartego i piątego roku.

Polaner odsunął swój talerz.

– Muszę wracać do pracowni. Mam jeszcze pracę na całą noc.

– Daj spokój, Eli – powiedział Rosen. – Nie złość się.

– Ja się nie złoszczę. Po prostu nie chcę kłopotów, to wszystko.

Polaner włożył kapelusz i owinął szalik wokół szyi. Patrzyli, jak wychodzi pomiędzy stołami, z głową wciśniętą w ramiona w zniszczonej sztruksowej marynarce.

– Wierzysz mi, prawda? – zapytał Rosen Andrasa. – Wiem, co usłyszałem.

– Wierzę ci. Ale zgadzam się, że nic nie możemy zrobić.

– Mówiliśmy przed chwilą o twoim bracie – powiedział Ben Yakov. – Chyba wolę ten temat.

– No właśnie – przytaknął Rosen. – Zmieniłem temat i sami widzicie.

– Vago twierdzi, że jest jeszcze za wcześnie, by się cieszyć. – Andras wzruszył ramionami. – To się może jeszcze nie udać.

– Ale może się udać – powiedział Rosen.

– Tak. No i wówczas przeprowadzi się, jak sam zauważyłeś, do faszystowskiej dyktatury. Trudno powiedzieć, czy należy mu tego życzyć. Każdy scenariusz jest skomplikowany,

– Palestyna – powiedział Rosen. – Państwo żydowskie. Tego sobie powinniśmy życzyć. Mam nadzieję, że twój brat będzie mógł studiować we Włoszech Mussoliniego. Niech zrobi dyplom z medycyny pod nosem Il Duce. Jednocześnie ty, Polaner, Ben Yakov i ja ukończymy architekturę w Paryżu. A potem wszyscy wyemigrujemy. Zgoda?

– Nie jestem syjonistą – zaoponował Andras. – Moim domem są Węgry.

– Teraz chyba niezupełnie, prawda? – zauważył Rosen.

Andrasowi trudno było się z tym nie zgodzić.

Przez następne dwa tygodnie czekał na wieści z Modeny. Na statyce liczył rozkład ciężaru wzdłuż wewnętrznych łuków Pont au Double, szukając ukojenia w symetrii równań. Na zajęciach z rysynku wykonał w skali fasadę Gare d'Orsay, z wdzięcznością zatracając się w szczegółowym wymierzaniu skomplikowanych powierzchni zegara i drzwi zwieńczonych łukami. W pracowni bacznie obserwował Lemarque'a, który często rzucał tajemnicze spojrzenia Polanerowi, ale nie powiedział niczego, co można by uznać za obelgę. Każdego ranka spoglądał na listy na biurku Vago, szukając koperty z włoskim znaczkiem. Mijał dzień za dniem, a list nie nadchodził.

Aż pewnego popołudnia, gdy Andras siedział w pracowni, wycierając gumką cieniutkie linie zrobione ołówkiem na swoim rysunku Gare d'Orsay, do sali weszła piękna Lucia z sekretariatu ze złożonym na pół kawałkiem papieru w ręku. Podała go studentowi piątego roku, który nadzorował zajęcia, i wyszła, nie patrząc na nikogo.

– Lévi – powiedział nadzorujący młody człowiek o poważnym spojrzeniu, z nastroszonymi blond włosami. – Le Colonel czeka na ciebie w swoim prywatnym gabinecie.

W sali zaległa cisza. Ołówki zawisły nad rysunkami w znieruchomiałych dłoniach. Le Colonel – tak nazywany był w szkole Auguste Perret. Wszystkie oczy zwróciły się na Andrasa. Lemarque przesłał mu krzywy uśmiech. Andras zgarnął ołówki do torby, zastanawiając się, czego może chcieć od niego Perret. Przyszło mu do głowy, że może jakoś jest zaangażowany w sprawę Tibora we Włoszech. Może Vago poprosił go o pomoc. Może uruchomił swoje kontakty zagraniczne i teraz oznajmi mu nowinę.

Andras wbiegł po schodach do skrzydła, gdzie znajdowały się prywatne gabinety profesorów, i stanął przed zamkniętymi drzwiami Perreta. Ze środka dobiegały go niskie głosy Perreta i Vago. Zapukał. Vago krzyknął, żeby wszedł. Otworzył drzwi. Wewnątrz w snopie światła obok jednego z wysokich okien wychodzących na bulward Raspail stał profesor Perret w samej koszuli. Vago był pochylony nad biurkiem Perreta z telegramem w ręku.

– Dzień dobry – powiedział Perret, odwracając się od okna.

Gestem wskazał Andrasowi skórzany fotel obok biurka. Andras usiadł, upuszczając na ziemię swoją torbę z przyborami. Powietrze w gabinecie Perreta było nieruchome. W przeciwieństwie do gabinetu Vago, gdzie na ścianach pełno było rysunków, na rajzbrecie stosy projektów, wszędzie stały rzeźby zrobione z odpadków, gabinet Perreta był ucieleśnieniem porządku i ascezy. Trzy ołówki leżały równiutko na biurku pokrytym tłoczoną skórą. Na półkach ułożono równo rulony projektów. Świeża, biała makieta Théâtre des Champs-Élysées nakryta była szklanym kloszem na konsoli.

Perret odchrząknął i zaczął:

– Dostaliśmy niepokojące wieści z Węgier. Jako żywo niepokojące. Być może łatwiej będzie, jeśli profesor Vago wytłumaczy ci to po węgiersku. Choć, jak słyszę, twój francuski znacznie się poprawił.

Wojskowy ton zniknął z głosu i profesor posłał Andrasowi tak życzliwe i smutne spojrzenie, że jego dłonie pokryły się zimnym potem.

– To dość skomplikowane – powiedział Vago po węgiersku. – Pozwól, że spróbuję ci wyjaśnić. Otrzymałem wieści od ojca mojego kolegi, profesora w Modenie. Jest dla twojego brata miejsce na uniwersytecie medycznym w Modenie.

Vago zamilkł. Andras wstrzymał oddech i czekał.

– Profesor Turano wysłał list do organizacji żydowskiej, która ufundowała ci stypendium. Chciał dowiedzieć się, czy nie znalazłyby się jakieś pieniądze również dla twojego brata. Niestety jego prośba spotkała się z odmową. W tym tygodniu na Węgrzech weszły nowe ograniczenia: od dziś żadna organizacja nie może wysyłać pieniędzy żydowskim studentom za granicę. Twoje fundusze z Izraelita Hitköység zostały zamrożone przez rząd węgierski.

Andras zamrugał powiekami, próbując zrozumieć, co to oznacza.

– Nie jest to jedynie problem Tibora – ciągnął Vago, patrząc Andrasowi w oczy. – To także twój problem. Krótko mówiąc, nie masz już dostępu do stypendium. Szczerze mówiąc, młody przyjacielu, twoje stypendium nie zostało jeszcze ani razu wypłacone. Czek za pierwszy miesiąc nie przyszedł, więc zapłaciłem twoje czesne z własnej kieszeni, sądząc, że chodzi o jakieś chwilowe opóźnienie.

Zamilkł, zerkając na profesora Perreta, który przyglądał się, jak Vago wyjaśnia wszystko po węgiersku.

– Pan Perret nie wie, skąd pochodziły pieniądze, i nie musi tego wiedzieć, więc nie zdradzaj zbytniego zdziwienia. Powiedziałem mu, że wszystko jest w porządku. Nie jestem jednak zamożnym człowiekiem i, choć chciałbym, nie jestem w stanie płacić za twoje studia przez kolejny miesiąc.

W piersi Andrasa wezbrała lodowata kra, powolna i zimna. Jego czesne nie może być nadal opłacane. Jego czesne w ogóle nie było opłacone. Nagle zrozumiał życzliwość i smutek Perreta.

– Uważamy pana za zdolnego studenta – powiedział Perret po francusku. – Nie chcemy pana stracić. Czy pańska rodzina mogłaby coś pomóc?

– Moja rodzina? – głos Andrasa zabrzmiał płasko i niepewnie w wysoko sklepionym gabinecie.

Zobaczył w myślach ojca, jak układa kawałki dębiny w składzie drzewnym, matkę, jak gotuje paprykę z ziemniakami na ogniu w kuchni na wolnym powietrzu. Pomyślał o szarych jedwabnych pończochach, tych, które dał jej na Chanukę dziesięć lat temu – jak złożyła je równiutko i przechowywała w papierowym opakowaniu, by wkładać tylko do synagogi.

– Moja rodzina nie ma takich pieniędzy – powiedział.

– To straszne – powiedział Perret. – Żałuję, że nic nie możemy zrobić. Przed kryzysem oferowaliśmy wiele stypendiów, ale dziś…

Wyjrzał przez okno na niskie chmury i pogładził swoją wojskową bródkę.

– Pana czesne jest zapłacone do końca miesiąca. Zobaczymy, co da się zrobić do tego czasu, ale obawiam się, że nie mogę dać panu zbyt wielkiej nadziei.

Andras przetłumaczył słowa w myślach: „Nie ma zbyt wielkiej nadziei".

– A co do twojego brata – wtrącił Vago. – To wielka szkoda. Turano tak chciał mu pomóc.

Andras próbował otrząsnąć się z szoku, w którym się znalazł. To ważne, żeby dobrze zrozumieli, jaka jest sytuacja Tibora, gdy chodzi o pieniądze.

– To nic nie szkodzi – powiedział, usiłując powstrzymać drżenie głosu. – Stypendium nie ma znaczenia, to znaczy dla Tibora nie ma. Odkłada pieniądze na studia od sześciu lat. Na pewno ma już dość, by kupić bilet na pociąg i zapłacić czesne i koszty w pierwszym roku. Zadepeszuję do niego dziś wieczorem. Czy ojciec pana kolegi mógłby to miejsce dla niego zatrzymać?

– Myślę, że tak – odparł Vago. – Zaraz do niego napiszę, jeśli sądzisz, że to jest możliwe. Ale może twój brat, skoro odłożył trochę pieniędzy, mógłby pomóc tobie?

– Nie mogę mu o tym mówić. – András pokręcił głową. – Nie ma dość pieniędzy dla nas obu.

– Tak mi przykro – powiedział znowu Perret i podszedł, podając Andrasowi rękę. – Profesor Vago mówi, że jest pan pomysłowym młodym człowiekiem. Może uda się panu znaleźć jakieś wyjście z tej sytuacji. Ja ze swej strony też zastanowię się, co moglibyśmy zrobić.

Po raz pierwszy Perret go dotknął. Andras miał uczucie, jakby dowiedział się, że cierpi na śmiertelną chorobę, jakby cień śmierci pozwolił Perretowi

porzucić konwenanse. Poklepał Andrasa po plecach, odprowadzając go do drzwi gabinetu.

– Odwagi – powiedział, salutując i otwierając drzwi na korytarz.

Andras zszedł po schodach w żółtym zakurzonym świetle, minął salę, w której pozostawił na desce kreślarskiej rysunek Gare d'Orsay, minął sekretariat, w którym siedziała piękna Lucia, i przez granatowe drzwi szkoły, które przyzwyczaił się już uważać za swoje, wyszedł na zewnątrz. Ruszył bulwarem Raspail aż do poczty, gdzie poprosił o blankiet depeszy. W wąskich niebieskich linijkach napisał wiadomość, którą ułożył w drodze: MASZ MIEJSCE NA UNIWERSYTECIE MEDYCZNYM W MODENIE DZIĘKI PRZYJACIELOWI VAGO. POSTARAJ SIĘ NATYCHMIAST O PASZPORT I WIZY. HURRRRA! Przez chwilę, zamroczony żalem nad samym sobą, zastanawiał się, czy nie wyrzucić „hurra". Ale w ostatniej chwili dodał to słowo, płacąc dodatkowe dziesięć centymów, i wyszedł z powrotem na bulwar. Samochody nadal mknęły, popołudniowe światło padało pod tym samym kątem co zawsze, przechodnie spieszyli się ze swoimi zakupami, rysunkami i książkami, całe miasto było zupełnie nieczułe na to, co przed chwilą wydarzyło się w jednym z gabinetów w École Spéciale.

Nic nie widząc, nie myśląc, poszedł łukiem rue de Fleurus w stronę Ogrodu Luksemburskiego, gdzie znalazł zieloną ławkę w cieniu platanu. Ławka stała opodal pasieki i Andras widział zakapturzonego pszczelarza, jak zagląda do plastrów w ulu. Głowę, ramiona i nogi mężczyzny obsiadły pszczoły, które wyglądały jak ciemne plamy. Ruszały się powoli, otumanione dymem, przemieszczały się po ciele pszczelarza jak krowy po pastwisku. Andras nauczył się w szkole, że pszczoły potrafią zmienić swoją naturę, gdy wymagają tego okoliczności. Gdy umiera królowa, inna pszczoła może zająć jej miejsce; porzuca wówczas swoje poprzednie życie, przybiera nową postać cielesną i zupełnie inną rolę. Zaczyna składać jaja i prowadzić konwersacje ze świtą na temat zdrowia roju. On, Andras, urodził się Żydem i całe życie dźwigał związane z tym brzemię. Gdy miał osiem dni, obrzezano go. Na szkolnym podwórku musiał znosić kpiny chrześcijańskich dzieci, a w klasie dezaprobatę nauczyciela, gdy nie mógł chodzić do szkoły w szabas. W Jom Kippur pościł; w szabas szedł do synagogi; w wieku trzynastu lat przeczytał fragment Tory i wobec żydowskiego prawa stał się mężczyzną. W Debreczynie uczęszczał do żydowskiego gimnazjum, a po jego ukończeniu zaczął pracować w żydowskim czasopiśmie. Mieszkali z Tiborem w żydowskiej dzielnicy Budapesztu i chodzili do synagogi na ulicy Dohány. Gdy w jego życiu pojawiło się widmo *numerus clausus,* opuścił rodzinę i wyjechał na studia do Paryża. Nawet tu byli tacy ludzie jak Lemarque, grupy studentów

demonstrujących przeciwko Żydom i sporo antysemickich gazet. A teraz na jego barkach spoczęło nowe brzemię, nowy *tsure.* Przez chwilę, gdy tak siedział na ławce w Ogrodzie Luksemburskim, zastanawiał się, co by było, gdyby odrzucił swoją żydowską tożsamość, pozbył się swojej religii jak zbyt ciężkiego płaszcza na wiosnę. Przypomniał sobie, jak stał w Sainte-Chapelle we wrześniu, jaka święta cisza tam panowała, a w jego głowie rozbrzmiewały nieliczne znane mu fragmenty łacińskiego nabożeństwa: *Kyrie eleison, Christe eleison.* Panie, zmiłuj się nad nami, Chryste, zmiłuj się nad nami.

Przez chwilę wydawało mu się to proste i łatwe: zostać chrześcijaninem, mało tego, nawet katolikiem, tak jak chrześcijanie, którzy wyobrazili sobie Notre Dame i Saint-Chapelle, kościół Macieja i bazylikę Świętego Stefana w Budapeszcie. Odrzucić swoje poprzednie życie, przyjąć nową historię. Otrzymać to, co nie było mu dane. Otrzymać miłosierdzie.

Ale gdy zaczął zastanawiać się nad słowem „miłosierdzie", przyszło mu do głowy słowo w języku jidysz: *rachmones,* którego rdzeń pochodził od *rechem,* hebrajskiego słowa oznaczającego łono. *Rachmones:* współodczuwanie tak głębokie i niepodważalne jak to, co matka czuje do dziecka. Modlił się o nie co roku w synagodze w Konyárze w wigilię Jom Kippur. Prosił o wybaczenie, pościł, na koniec tego święta czuł się czysty jak łza. Co roku czuł potrzebę przeprowadzenia rachunku duszy, wybaczenia innym i otrzymania od nich wybaczenia. Każdego roku w synagodze stali obok niego bracia – po lewej mały i pełen ognia Mátyás, po prawej szczupły Tibor o głębokim głosie. Dalej był ojciec w znajomym tałesie, a za przepierzeniem dla kobiet matka – cierpliwa, wyrozumiała, jak opoka, jej obecność była pewnikiem, nawet gdy jej nie widzieli. Tak samo nie mógł przestać być Żydem, jak nie mógł przestać być bratem swoich braci i synem swoich rodziców.

Wstał, rzucił ostatnie spojrzenie na pszczelarza i ule i ruszył przez park do domu. Nie myślał teraz o tym, co się wydarzyło, lecz o tym, co będzie musiał zrobić: znaleźć pracę, jakiś sposób na to, by zarobić potrzebne na studia pieniądze. Nie był, rzecz jasna, Francuzem, ale to nie miało znaczenia. Przecież w Budapeszcie tysiące robotników pracowało na czarno i nikt o tym nie wiedział. Jutro sobota. Biura będą zamknięte, ale sklepy i restauracje nie – piekarnie, sklepy spożywcze, księgarnie, sklepy z zaopatrzeniem dla artystów, kawiarnie, sklepy z odzieżą męską. Jeśli Tibor mógł pracować na pełen etat w sklepie z obuwiem, a wieczorami uczyć się z książek o anatomii, Andras także mógł pracować i studiować jednocześnie. Gdy dotarł do rue des Écoles, już formułował

w myśli niezbędne zdanie: Szukam pracy. Po węgiersku – *Állást keresek.* Po francusku – *Je cherche... je cherche...* pracy. Znał to słowo: *un boulot.*

Rozdział piąty

Teatr Sary Bernhardt

TEJ JESIENI TEATR SARY BERNHARDT wystawiał *Matkę,* nową sztukę Bertolta Brechta, każdego wieczoru z wyjątkiem poniedziałków. Teatr znajdował się w samym centrum miasta na place du Châtelet, Na widowni było siedem poziomów luksusowych foteli, a publiczność mogła dodatkowo cieszyć się świadomością, że to właśnie tę przestrzeń wypełniał niegdyś głos samej Sary Bernhardt, wprawiając w drżenie kryształki tego samego żyrandola. Gdzieś za kulisami była garderoba o kremowych ścianach i licznych złoceniach, ze złotą wanną, w której słynna aktorka podobno kąpała się w szampanie. W pierwszą sobotę listopada zespół miał niezaplanowaną próbę: Claudine Villareal-Bloch, grająca w sztuce tytułową rolę, doznała dotkliwego skurczu strun głosowych, który wszyscy po cichu przypisali jej nowemu romansowi z młodym brazylijskim attaché prasowym. W tych nieco krępujących okolicznościach przywołano zastępczynię madame Villareal-Bloch, by przejęła od niej główną rolę. Marcelle Gérard krążyła wściekła po swojej garderobie, zachodząc w głowę, jak Claudine Villareal-Bloch śmiała zrobić jej taki numer. Wyglądało to na świadomą próbę upokorzenia jej. Madame Villareal-Bloch wiedziała przecież, że madame Gérard, zdenerwowana swoim zastępstwem, w ogóle nie przygotowała się do roli. Tego ranka zapomniała w czasie próby kwestii i jąkała się zupełnie nieprofesjonalnie. Tymczasem Zoltán Novak w gabinecie obok pił czystą szkocką i zastanawiał się, co z nim będzie, jeśli sztuka zejdzie szybko z afisza, jeśli Marcelle Gérard, tak jak to uczyniła dziś rano w czasie próby, zablokuje się. Nowa sztuka Brechta zdobyła taką popularność, że jutro na przedstawienie miał przybyć sam minister kultury. Sytuacja nie przedstawiała się różowo. Jeśli nazajutrz dojdzie do publicznej kompromitacji, to Novak, Węgier, będzie o nią obwiniany. Francuzom porażki się nie zdarzają.

Zoltán Novak miał wielką chęć na papierosa. Nie mógł jednak zapalić. Wczoraj wieczorem, gdy dowiedział się o chorobie madame Villareal-Bloch, żona

schowała mu papierosy, wiedząc, że ma tendencję do przesady. Kazała mu przysiąc, że nie kupi następnej paczki, i zapowiedziała, że gdyby palił, poczuje zapach dymu z jego ubrania. Gdy tak chodził po gabinecie w stanie pobudzenia nerwowego wynikającego z braku nikotyny, wszedł asystent produkcji z listą ważnych spraw. Kierownik rekwizytów nie miał łopat potrzebnych do sceny trzeciej; czy mają kupić łopaty, czy zagrać bez nich? Nazwisko madame Gérard zostało wydrukowane z błędem w programie teatralnym (Guerard, pomyłkowo), czy trzeba wydrukować cały nakład od nowa? No i na dole czeka chłopak, który szuka pracy. Twierdzi, że zna pana dyrektora, przynajmniej tak się można domyślać z jego złej francuszczyzny. Jak się nazywa? Jakoś tak z cudzoziemska. Lévi. Undrash.

Kupić nowe łopaty dla robotników. Zostawić w programie błąd – za drogo by kosztował druk nowego. Nie, nie zna żadnego Léviego Undrasha, a nawet gdyby znał, to na miły Bóg, nie ma w tej chwili pracy dla nikogo.

Andras tak bardzo chciał przyjść do szkoły w poniedziałek z dobrą wiadomością dla profesora Vago: znalazł pracę, będzie miał z czego opłacić czesne i zostaje na uczelni. Wlókł się jednak bulwarem Raspail, kopiąc po drodze w bezsilnej frustracji gałązki drzew. Cały weekend wędrował po Dzielnicy Łacińskiej w poszukiwaniu pracy. Pytał od frontu i od podwórza, w piekarniach i warsztatach. Odważył się nawet zapukać do drzwi pracowni graficznej, gdzie projektant w zarękawkach ślęczał nad deską kreślarską. Mężczyzna popatrzył na Andrasa z czymś w rodzaju pogardliwego rozbawienia i powiedział mu, żeby wrócił, jak zrobi dyplom. Andras brnął dalej, głodny, mokry od deszczu, przemarznięty, ale się nie poddawał. We mgle przeszedł na drugą stronę Sekwany, zastanawiając się, do kogo się zwrócić o pomoc. Gdy podniósł głowę, zobaczył, że znalazł się na place du Châtelet. Przyszło mu wówczas do głowy, że mógłby wstąpić do teatru Sary Bernhardt. Akurat było wpół do ósmej i Novak mógł być już w teatrze przed przedstawieniem. Został tam jednak potraktowany odmownie – jakiś młody człowiek grzecznie i z żalem poinformował go potokiem szybkiej i pełnej współczucia francuszczyzny, że rozmawiał osobiście z dyrektorem, ale ten nie rozpoznał jego nazwiska. Andras spędził resztę tego dnia i cały następny, szukając pracy, ale na niewiele się to zdało. W końcu wrócił do domu, usiadł przy stole pod oknem, trzymając w ręku telegram od brata.

NIEPRAWDOPODOBNA WIADOMOŚĆ! DZIĘKUJĘ TOBIE I VAGO. JUTRO ZŁOŻĘ PODANIE O WIZĘ STUDENCKĄ. MODENA. HURRRA! TIBOR.

Dałby teraz wszystko, by zobaczyć się z Tiborem, opowiedzieć mu, co się stało, i spytać o radę. Ale Tibor był tysiąc dwieście kilometrów stąd, w Budapeszcie. Nie można pytać go o radę w telegramie, a list szedłby zbyt długo. Opowiedział wszystko oczywiście Rosenowi, Polanerowi i Benowi Yakovowi w klubie studenckim podczas weekendu. Ich gniew z powodu jego sytuacji był satysfakcjonujący, współczucie pokrzepiające, ale niewiele mogli zrobić, by mu pomóc. Żaden z nich nie był jego bratem; nie rozumieli tak jak Tibor, ile znaczyło dla niego to stypendium i co będzie oznaczać jego utrata.

O siódmej rano w École Spéciale było jeszcze pusto. W pracowniach panowała cisza, na podwórzu nie było żywego ducha, w auli królowało echo. Wiedział, że jeśli poszuka, znajdzie paru studentów śpiących przy swoich deskach kreślarskich, bo pracowali całą noc, pijąc kawę i paląc papierosy, pochyleni nad rysunkami lub makietami. Nieprzespane noce były w École Spéciale normą. Niektórzy mówili o pigułkach, które wyostrzają umysł i pozwalają nie spać przez kilka dni, a nawet tygodni. Krążyły legendy o artystycznych olśnieniach, które przychodziły po siedemdziesięciu dwóch godzinach nieprzerwanej pracy. Były też opowieści o fatalnych załamaniach. Jedna z pracowni nazywana była *l'atelier du suicide.* Starsi studenci opowiadali młodszym o człowieku, który zastrzelił się, gdy jego rywal zdobył Prix du Amphithéâtre. W tej pracowni do dziś obok tablicy był na ścianie ślad pocisku. Gdy Andras zapytał o to Vago, ten opowiedział mu, że kiedy sam był studentem, też słyszał tę historię i że nikt nie umiał jej potwierdzić. Ale odgrywała rolę ostrzeżenia.

W gabinecie Vago paliło się światło. Z dziedzińca Andras widział żółty prostokąt. Wbiegł po schodach i zapukał. Długo czekał, nim Vago otworzył drzwi. Stał przed Andrasem w skarpetkach, trąc oczy palcami poplamionymi tuszem. Kołnierzyk koszuli miał rozpięty, włosy w dzikim nieładzie.

– Ty – powiedział po węgiersku. Małe słówko przyprawione odrobiną czułości. *Te.*

– Ja – odparł Andras. – Wciąż jeszcze tutaj.

Vago wprowadził go do gabinetu i gestem wskazał, by usiadł na tym samym stołku co zawsze. Następnie zostawił Andrasa na kilka minut samego i gdy

wrócił, wyglądał tak, jakby umył twarz gorącą wodą i wytarł szorstkim ręcznikiem. Pachniał mydłem pumeksowym, które dobrze usuwało plamy tuszu z palców.

– No i? – zapytał Vago, siedząc za biurkiem.

– Tibor przesyła serdeczne podziękowania. Właśnie składa podanie o wizę.

– Napisałem już do profesora Turano.

– Dziękuję – powiedział Andras. – Bardzo dziękuję.

– A ty jak się masz?

– Niezbyt dobrze, jak pan się domyśla.

– Martwisz się, jak zapłacisz za czesne.

– A pan by się nie martwił?

Vago odsunął krzesło i poszedł wyjrzeć przez okno. Po chwili odwrócił się i przesunął palcami przez włosy.

– Posłuchaj – powiedział. – Nie mam specjalnej ochoty uczyć cię dziś francuskiego. Może byśmy pojechali na wycieczkę? Mamy jeszcze półtorej godziny do zajęć w pracowni.

– To pan jest profesorem.

Vago zdjął z drewnianego wieszaka płaszcz i włożył go. Popchnął Andrasa przed sobą przez drzwi i zbiegł za nim po schodach, a potem wyszli przez granatowe drzwi szkoły. Na bulwarze zaczął grzebać w kieszeni, szukając drobnych. Poprowadził Andrasa w dół po schodach do stacji metra Raspail właśnie w chwili, gdy na peron wjechał pociąg. Pojechali do Motte-Picquet i przesiedli się w ósemkę, a potem znowu na stacji Michel-Ange Molitor. W końcu dotarli do zapyziałej stacji o nazwie Billancourt. Vago poprowadził Andrasa w górę po schodach na jakiś bulwar na przedmieściu. Powietrze było tu świeższe niż w centrum miasta; sklepikarze polewali chodnik wodą przed przybyciem klienteli, niektórzy myli witryny sklepów. Dziewczynki w krótkich czarnych płaszczykach szły żwawo gęsiego za matroną w kapeluszu z piórkiem.

– Już niedaleko – powiedział Vago.

Poprowadził Andrasa bulwarem, potem skręcili w ulicę handlową i w długą mieszkalną, by w końcu skręcić w mniejszą uliczkę, wzdłuż której stały szare bliźniaki i solidne domy kryte czerwoną dachówką, zza których nagle wyłonił się

dom w kształcie wielkiego białego statku. Trójkątny, zbudowany na wąskiej trójkątnej działce u zbiegu dwóch ulic. Mieszkania miały okna przypominające bulaje i głęboko osadzone balkony z rozsuwanymi szklanymi drzwiami, jakby budynek rzeczywiście był statkiem oceanicznym. Pruł naprzód dziobem z okrągłymi oknami i białymi łukami z żelbetu.

– Architekt? – zapytał Vago.

– Pingusson – odparł Andras.

Kilka tygodni temu wybrali się, by obejrzeć jego projekty do pawilonu Wystawy Międzynarodowej. Student piątego roku, który był ich przewodnikiem, opowiadał o prostocie linii u Pingussona i jego niekonwencjonalnym wyczuciu proporcji.

– Tak jest – potwierdził Vago. – Jeden z naszych, człowiek z École Spéciale. Poznałem go pięć lat temu na sympozjum architektonicznym w Rosji i od tego czasu się przyjaźnimy. Napisał kilka ostrych tekstów do „L'Architecture d'Aujourd'hui". Tekstów, które przyciągnęły ludzi do tego pisma, gdy tylko weszło na rynek. Nieźle też gra w pokera. Gramy razem w każdą sobotę. Czasem wpada też profesor Perret – nie zna się na pokerze, ale lubi gadać.

– Wyobrażam sobie – powiedział Andras.

– Zgadnij, o czym rozmawialiśmy w ostatnią sobotę.

Andras wzruszył ramionami.

– No, spróbuj zgadnąć.

– O wojnie domowej w Hiszpanii?

– Nie, młody przyjacielu. Rozmawialiśmy o tobie. O twoich kłopotach. O stypendium. O braku pieniędzy. Perret tymczasem dolewał nam szampana. Pierwszorzędnego Canard-Duchêne z tysiąc dziewięćset dwudziestego szóstego roku, który dostał w prezencie od klienta. Georges-Henri – czyli Pingusson – to nadzwyczaj inteligentny człowiek. Jest autorem wielu wspaniałych budynków tu w Paryżu i dostał za nie niemało nagród. Jest również inżynierem, nie tylko architektem. W pokera gra jak ktoś, kto umie liczyć. Ale gdy pije szampana, górę bierze jego romantyzm i dezynwoltura. Około północy rzucił na stół książeczkę czekową i powiedział Perretowi, że jeśli on, Perret, wygra następne rozdanie, to wówczas on, to znaczy Pingusson, dorzuci się do twojego czesnego.

Andras patrzył na Vago szeroko otwartymi oczami.

– I co się potem stało?

– Perret oczywiście przegrał. Jeszcze nie widziałem, żeby kiedykolwiek wygrał z Pingussonem. Szampan zrobił już jednak swoje. A Perret jest sprytny. Sprytniejszy od Pingussona.

– Co pan ma na myśli?

– Później wszyscy wyszliśmy na ulicę i czekaliśmy na taksówkę. Perret był trzeźwy jak rybka. Potrząsnął głową i powiedział: „Strasznie szkoda tego Léviego, to prawdziwa tragedia". A Georges-Henri, upojony szampanem, praktycznie padł przed nim na chodniku na kolana i zaczął go błagać, by zgodził się udzielić ci pożyczki. Pięćdziesiąt procent kosztów studiów i ani centyma mniej. ‚Jeśli chłopak zdobędzie drugą połowę", mówi, „niech zostanie na uczelni".

– Pan żartuje.

– Bynajmniej.

– Ale następnego ranka odzyskał rozum.

– Nie. Perret kazał mu wszystko poświadczyć pisemnie jeszcze tej samej nocy. On ma zresztą wobec Perreta zobowiązania i wyświadczył mu wiele przysług.

– A jakiego zabezpieczenia chciałby dla pożyczki?

– Żadnego – odparł Vago. – Perret powiedział mu, że jesteś dżentelmenem. I że będziesz dobrze zarabiał po dyplomie.

– Pięćdziesiąt procent! – wykrzyknął Andras. – Mój Boże. Od Pingussona.

Znów popatrzył na miękki profil budynku, jego biały wyniosły dziób.

– Niech mi pan powie, że to nie żarty.

– Nie żartuję. Mam na biurku podpisany list.

– Ale chodzi przecież o tysiące franków.

– Perret przekonał go, że warto ci pomóc.

Andras poczuł, że ściska go w gardle. Nie będzie płakał, nie tutaj, na rogu ulicy w Boulogne-Billancourt. Szurnął butem po chodniku. Musi być jakiś sposób, by zdobyć drugą połowę funduszy. Skoro Perret dokonał dla niego cudu, skoro wytrzasnął dla niego pieniądze i uważał go za dżentelmena, to on musi sprostać wyzwaniu i znaleźć brakującą część. Zrobi, co będzie trzeba. Jak długo

szukał pracy? Parę dni? Czternaście godzin? Paryż jest wielkim miastem. Znajdzie pracę. Musi.

Bywały takie dni, gdy w teatrze Sary Bernhardt pojawiał się dobry duszek; przedstawienie powinno się rozsypać, ale jakoś do tego nie dochodziło. W dniu debiutu Marcelle Gérard w tytułowej roli w *Matce* wszystko zdawało się zmierzać ku katastrofie. Godzinę przed tym, jak kurtyna miała pójść w górę, Marcelle pojawiła się w gabinecie Novaka, grożąc odejściem. Powiedziała mu, że nie jest w stanie sprostać wyzwaniu, że skompromituje się przed publicznością, krytykami, ministrem kultury. Novak ujął jej dłonie i zaczął ją błagać o rozsądek. Wiedział, że ona sprosta tej roli. Na przesłuchaniu wypadła bez zarzutu. Claudine Villareal-Bloch otrzymała rolę tylko dlatego, że Novak nie chciał faworyzować madame Gérard. Choć od ich romansu upłynęło dużo czasu, ludzie wciąż gadali. Bał się, że to dotrze do jego żony właśnie teraz, gdy ich wzajemne stosunki i tak są trudne. Marcelle to oczywiście rozumiała. Przecież rozmawiali o tym, gdy podejmował decyzję o obsadzie. Nie przyszłoby mu do głowy, żeby dać jej tę rolę, gdyby nie pewność, że będzie znakomita. Jej obawy były całkiem zrozumiałe. Przecież nawet sama Sarah Bernhardt musiała pokonać paraliżujący strach przed wyjściem na scenę w roli Fedry w 1879 roku. Nie miał żadnych wątpliwości, że z chwilą gdy Marcelle stanie na scenie, będzie wymarzoną Brechtowską aktorką w tej roli. Ona sama na pewno też to wie. Nie wie? Ale gdy skończył, madame Gérard cofnęła swoje dłonie i bez słowa wróciła do garderoby, zostawiając Novaka samego.

Być może, jego głębokie zatroskanie przywołało tego wieczoru ze ścian teatru ducha samej Sary Bernhardt; być może było to kolektywne zatroskanie całego zespołu, obsady, obsługi technicznej, oświetleniowców, bileterów, kostiumologów, woźnych, garderobianych. Jakikolwiek był tego powód, nim wybiła dziewiąta, wahanie Marcelle Gérard znikło bez śladu. Minister kultury siedział w swojej loży, dyskretnie popijając coś ze srebrnej piersiówki. Były z nim lady Mendl i pani Reginaldowa Fellowes. Lady Mendl miała we włosach pawie pióra, a Daisy Fellowes wyglądała bosko w jedwabnej nefrytowej garsonce od Schiaparelli. Wojna domowa w Hiszpanii przyniosła do Francji modę na komunistyczny teatr. Widownia pękała w szwach. Światła przygasły. I wtedy Marcelle Gérard wkroczyła na scenę i wydała z siebie aksamitny głos jakby samej Sary Bernhardt. Ze swojego miejsca za kulisami Zoltán Novak patrzył, jak madame Gérard daje wirtuozerski popis w roli matki, przy którym gra otumanionej miłością Claudine Villareal-Bloch wydawała się żenująca.

Zadowolony odetchnął z ulgą tak głęboko, aż pogratulował sobie w duszy, że żona zabroniła mu palić papierosy ściskające jego pierś jak żelazna obręcz. Jak dobrze pójdzie, nie będzie już musiał leczyć się na suchoty. Czas spędzony w Budapeszcie w łaźniach leczniczych sprawił, że jego płuca oczyściły się ze złej krwi i dolegliwości. Sztuka się obroniła. A jego teatr może nawet przetrwa – kto wie? – pomimo coraz dłuższych rzędów czerwonych cyfr w księgach i długów rosnących uparcie każdego tygodnia.

Ogarnął go tak wspaniały nastrój, gdy po spektaklu wysłuchał pochwał ministra kultury i przekazał je zarumienionej i zdyszanej madame Gérard, że będąc jeszcze w korytarzu przy garderobach, wypił dwa kieliszki szampana, jeden po drugim. Zanim wyszedł, Marcelle zawołała go do swego sanktuarium i pocałowała w usta, tylko raz, niewinnie, jakby wszystko zostało mu wybaczone. O północy wyszedł przez tylne drzwi na nieprzyjemną mżawkę. Żona z pewnością czeka na niego w sypialni, z rozpuszczonymi włosami, spryskana lawendą. Ale nie zdążył zrobić nawet trzech kroków, gdy ktoś zaatakował go od tyłu, chwytając za ramię, aż upuścił teczkę. W ostatnim czasie w okolicy teatru zdarzały się napady rabunkowe; zwykle był bardzo ostrożny, ale dziś szampan sprawił, że zapomniał o ostrożności. Działając za podszeptem instynktu, którego nabył w czasie wojny, odwrócił się z rozmachem i wymierzył napastnikowi cios w żołądek. Ciemnowłosy młodzieniec upadł na krawężnik. Zoltán Novak schylił się po teczkę i dopiero wówczas usłyszał, że tamten stęka. *Novak-úr. Novak-úr.* Jego własne nazwisko z węgierskim tytułem grzecznościowym. Twarz młodego człowieka wydawała mu się jakby znajoma. Novak pomógł mu wstać i otrzepał mu rękaw z wilgotnych liści. Młodzieniec obmacał ostrożnie swoje żebra.

– Czy ty się w ogóle zastanawiasz? Jak można się tak do kogoś podkradać od tyłu? – powiedział Novak po węgiersku, starając się lepiej dojrzeć twarz chłopca.

– Nie chciał się pan ze mną spotkać w swoim gabinecie – wystękał młody człowiek.

– A powinienem był? My się znamy?

– Andras Lévi – przedstawił się z trudem młodzieniec.

Undrash Lévi. Chłopak z pociągu. Przypomniał sobie zakłopotanie Andrasa w Wiedniu i jego wdzięczność, gdy kupił mu precla. A teraz uderzył biedaka w brzuch. Pokręcił głową i uśmiechnął się żałośnie.

– Panie Lévi – powiedział – proszę przyjąć moje przeprosiny.

– Nie ma o czym mówić – odparł młody człowiek gorzko, masując sobie żebra.

– Pchnąłem pana wprost do rynsztoka – powiedział Novak z konsternacją.

– Nic się nie stało.

– Może pan się ze mną kawałek przejdzie? Mieszkam niedaleko stąd.

Poszli więc razem i Andras opowiedział mu całą historię, począwszy od tego, jak dostał i utracił stypendium, a skończywszy na ofercie Pingussona. To go właśnie sprowadza. Po prostu musiał znów porozmawiać z Novakiem. Jest gotów podjąć się najgorszej pracy. Naprawdę jakiejkolwiek. Może pastować buty aktorom, zamiatać podłogi lub opróżniać popielniczki. Musi zacząć zarabiać na swoje pięćdziesiąt procent. Pierwszą opłatę ma wnieść już za trzy tygodnie,

W tym momencie znaleźli się przed domem Novaka na rue de Sèvres. Na górze w zasłoniętych oknach sypialni paliło się światło. Mgła zmoczyła Novakowi włosy i osiadła na rękawach jego płaszcza; obok Lévi drżał z zimna w cienkiej marynarce. Novak przypomniał sobie księgi rachunkowe, które zamknął tuż przed pójściem na przedstawienie. Księgowy wpisał tam czerwonym atramentem równiutkie kolumny cyfr świadczących o trudnym położeniu teatru Sary Bernhardt. Jeszcze kilka tygodni na minusie i będą musieli go zamknąć. Z drugiej strony, z Marcelle Gérard w roli matki, kto wie, co się może zdarzyć? Wiedział, *co* się dzieje w Europie Wschodniej, zdawał sobie sprawę, że wycofanie funduszy na stypendium Andrasa to tylko jeden z symptomów znacznie poważniejszej choroby. Za młodu widział na Węgrzech zdolnych żydowskich młodzieńców, którzy padali ofiarą *numerus clausus.* Zdało mu się zbrodnią, by ten młody człowiek musiał się ugiąć teraz, gdy udało mu się dotrzeć aż tutaj. Teatr nie był organizacją charytatywną, lecz chłopak nie prosił przecież o jałmużnę. Szukał pracy. Chciał robić cokolwiek. Zatrudnienie kogoś, kto potrzebuje pracy, z pewnością byłoby w zgodzie z duchem sztuki Brechta. A czyż sama Sarah Bernhardt nie była Żydówką? Jej matka była żydowską prostytutką z Holandii, a przecież Żydem jest się po matce. On to wiedział. Choć ochrzczono go w katolickim kościele i posłano do katolickich szkół, jego matka też była Żydówką.

– Dobrze, panie Lévi – powiedział, kładąc dłoń na ramieniu chłopca. – Proszę przyjść do teatru jutro po południu.

Andras uśmiechnął się do niego tak promiennie i z taką wdzięcznością, że Novak poczuł ukłucie strachu. Takie zaufanie. Tyle nadziei. Wolał nawet nie myśleć, co grozi na świecie takiemu chłopcu jak Andras Lévi.

Rozdział szósty

Praca

W *Matce* grało dwadzieścia siedem osób : dziewięć aktorek i osiemnastu aktorów. Pracowali po sześć dni w tygodniu, by dać siedem przedstawień. Za kulisami na nic nie było czasu i wszyscy mieli rozliczne potrzeby. Trzeba było naprawiać i prasować kostiumy, wyprowadzać na spacer pieski, wysyłać listy, parzyć herbatkę na struny głosowe, zamawiać obiady. Od czasu do czasu potrzebny był dentysta lub lekarz. Musieli powtarzać kwestie i odbywać krótkie regenerujące drzemki. Trzeba było pielęgnować romanse poza sceną. Dwaj mężczyźni zakochani w dwóch kobietach, a każda z nich kochała nie tego mężczyznę, co trzeba. Pomiędzy zakochanymi fruwały liściki. Wysyłano, otrzymywano i niszczono kwiaty. Wysyłano i zjadano czekoladki. Andras trafił do tego tygla gotów do pracy. Asystent inspicjenta natychmiast skierował go do zajęć. Jeśli panu Hammondowi urwała się sznurówka, Andras miał mu znaleźć nową. Jeśli pudełek madame Pillol zgłodniał, zadaniem Andrasa było go nakarmić. Liściki krążyły pomiędzy dyrekcją a gwiazdami, pomiędzy inspicjentem a jego asystentem, pomiędzy kochankami. Gdy do teatru przybyła pozbawiona roli Claudine Villareal-Bloch, chcąc wrócić na afisz, należało ją ukoić komplementami (w gruncie rzeczy asystent inspicjenta powiedział Andrasowi, że Villareal-Bloch została na dobre zwolniona; Marcelle Gérard była tak dobra w tej roli, że po raz pierwszy od pięciu lat teatr Bernhardt wyprzedawał bilety każdego wieczoru). Andras nie bardzo sobie wyobrażał, jak przedtem udawało się cokolwiek załatwić bez niego. Zanim rozpoczęło się przedstawienie w pierwszym dniu jego pracy, był tak wyczerpany, że nie miał siły go nawet obejrzeć zza kulis. Zasnął na kanapie, ale nie wiedział, że jest ona potrzebna do drugiego aktu, i obudził się w ostatniej chwili, gdy dwaj maszyniści podnieśli ją i ruszyli na scenę. Zeskoczył z mebla w momencie, gdy aktorzy schodzili ze sceny po pierwszym akcie, i natychmiast znalazł się pod ostrzałem niezliczonych próśb o pomoc.

Tego wieczoru został w pracy jeszcze długo po przedstawieniu. Claudel, asystent inspicjenta, powiedział mu, że musi zawsze poczekać, aż wszyscy aktorzy pójdą do domu; dziś ociągała się Marcelle Gérard. Tkwił pod jej garderobą, czekając, aż skończy rozmawiać z Zoltánem Novakiem. Wyczuwał nutkę podekscytowania w jej szybkiej francuszczyźnie dobiegającej zza drzwi. Podobała mu się i nie miałby nic przeciwko temu, by pomóc jej w czymś jeszcze, nim pójdzie do domu. W końcu monsieur Novak pojawił się w drzwiach, z lekko zmarszczonym czołem. Wyglądał na zaskoczonego widokiem Andrasa.

– Już północ, chłopcze – powiedział. – Czas iść do domu.

– Monsieur Claudel kazał mi zostać, póki nie wyjdą wszyscy aktorzy.

– Ach tak. Dobra robota. Mam tu coś dla ciebie, kup sobie coś do jedzenia, to zaliczka na pierwszą tygodniówkę – powiedział Novak, wręczając Andrasowi zwitek banknotów. – Kup sobie porządną kolację, nie precel – dodał, idąc w stronę gabinetu i masując dłonią kark.

Andras rozwinął banknoty. Dwieście pięćdziesiąt franków. Wystarczy na obiady w klubie studenckim na dwa tygodnie. Zagwizdał cicho z podziwem i włożył pieniądze do kieszeni marynarki.

Z garderoby wyłoniła się madame Gérard, bez makijażu scenicznego jej szeroka twarz wyglądała blado i zwyczajnie. W ręku trzymała brązową turecką walizkę, a na szyi miała zawiązany szalik, jakby czekała ją daleka droga do domu. Claudel powiedział jednak, że madame Gérard ma jeździć taksówką, więc Andras poprosił ją, żeby poczekała przy wyjściu, podczas gdy sam wyszedł zatrzymać auto na quai de Gesvres, O tej porze nie było już amatorów autografów. Madame Gérard dała ich ponad sto przy wyjściu dla artystów po przedstawieniu. Gdy szli w stronę krawężnika, Andras wziął ją pod rękę. Czuł, że tweed jej płaszcza jest cienki i wytarty na łokciu. Zatrzymała się przy otwartych drzwiach taksówki i spojrzała mu w oczy. Jej twarz okalał szalik, miała szerokie wypukłe czoło i cienkie kreski brwi; widoczne kości policzkowe nadawały jej szlachetny wygląd, mogłaby zagrać królową, jednak służyły jej równie dobrze w roli matki z proletariatu.

– Jesteś tu nowy – zainteresowała się. – Jak się nazywasz?

– Andras Lévi – odparł z lekkim ukłonem.

Powtórzyła to dwukrotnie, jakby uczyła się jego nazwiska na pamięć.

– Miło mi cię poznać, Andras Lévi. Dziękuję za taksówkę.

Wsiadła do auta, otuliła nogi połami płaszcza i zamknęła drzwi. Gdy patrzył, jak taksówka jedzie wzdłuż quai de Gesvres w stronę pont d'Arcole, zorientował się, że ponownie odtwarza ich krótki dialog w myślach. Wydawało mu się, że słyszy jej słowa *très heureux de faire votre connaissance,* co po węgiersku brzmiało *örülök, hogy megismerhetem.* Jak to możliwe, że *très heureux* brzmiało zupełnie jak *Örülök? Czy* wszyscy w Paryżu są po cichu Węgrami? Zaśmiał się do siebie na głos: kobiety z prawego brzegu ubrane w futra, teatromani w długich limuzynach, wielbiący jazz studenci w wyświeconych marynarkach, wszyscy oni, gdy zajadają bouillabaisse z bagietką, tak naprawdę mają chętkę na faszerowaną paprykę z pajdą chłopskiego chleba. Gdy przechodził przez most, czuł coraz wyraźniej lekkość w piersi. Miał pracę. Zarobi na swoje pięćdziesiąt procent. Na stole czekały zatemperowane ołówki i niewykluczone, że jeszcze dziś w nocy skończy rysunki dworca d'Orsay.

Pracował całą noc bez przerwy i udało mu się nie zasnąć w czasie porannych zajęć. Potem położył się w kącie biblioteki i spał kilka godzin. Gdy się obudził, do klapy marynarki miał przypiętą wiadomość napisaną ręką Rosena: „Spotkajmy się w Blue Dove o piątej, leniu jeden". Andras usiadł i przetarł oczy pięściami. Wyciągnął z kieszeni zegarek ojca i sprawdził godzinę. Czwarta. Za trzy godziny znów musi iść do pracy. Teraz miał ochotę pójść do domu i położyć się do łóżka. Powlókł się do toalety, gdzie zauważył, że gdy spał, na jego górnej wardze pojawił się namalowany tuszem wąsik à la Clark Gable. Zostawił wąsik, przeczesał włosy palcami i pociągnął za poły marynarki.

Blue Dove Café była o pół godziny drogi bulwarem Raspail, przez most i uliczkami Dzielnicy Łacińskiej. Andras pojawił się jako pierwszy. Usiadł przy stoliku na tyłach, obok baru, i zamówił najtańszą pozycję z karty – dzbanek herbaty. Herbatę serwowano z dwoma maślanymi herbatnikami, każdy z migdałem pośrodku. To dlatego studenci tak lubili Blue Dove Café. Za szczodrość. W Dzielnicy Łacińskiej rzadko serwowano z herbatą dwa ciastka, a już na pewno nie z migdałami. Gdy zjadł herbatniki i wypił herbatę, pojawili się Rosen, Polaner i Ben Yakov. Zdjęli szaliki i przyciągnęli krzesła do stolika. Rosen ucałował Andrása w oba policzki.

– Cudowny wąsik – powiedział.

– Myśleliśmy, że nie żyjesz – dodał Ben Yakov. – Albo straciłeś przytomność.

– Prawie umarłem.

– Zrobiliśmy zakłady. Rosen uważał, że będziesz spał całą noc. Ja założyłem się, że przyjdziesz. Polaner wstrzymał się od zakładów, bo nie ma pieniędzy.

Polaner się zaczerwienił. Z całej trójki to on pochodził z najbogatszej rodziny, jej królestwem był przemysł tekstylny w Krakowie, ale ojciec Polanera nie miał pojęcia, jakie są ceny w Paryżu. Pieniądze, które mu wysyłał co miesiąc, nie wystarczały na jedzenie i ubrania. A Polaner, wiedząc, że jego dług wobec ojca rośnie, nie chciał prosić o więcej. Wychowany w bogatej rodzime, nigdy nie pracował i nie przychodziło mu do głowy, by rozwiązać swój problem zarobieniem pieniędzy. Zamawiał więc w kawiarniach gorącą wodę, reperował buty gęstym gipsem używanym do budowy makiet i zabierał na później dodatkowy chleb z klubowej stołówki.

Andras wiedział, że skoro ma w kieszeni zwitek banknotów, to przyszła jego kolej, by postawić wszystkim drinki. Zamówili whisky z wodą sodową w małych szklaneczkach, drink amerykańskich gwiazd filmowych. Przeklinali węgierski rząd za próbę wyeliminowania Andrasa z ich towarzystwa, a następnie wypili za jego nową rolę posłańca z liścikami miłosnymi aktorów i opiekuna psów. Gdy nic już nie zostało z whisky and soda, zamówili jeszcze jeden duży dzbanek herbaty.

– Ben Yakov ma dziś schadzkę – obwieścił Rosen.

– Jak to schadzkę? – zapytał Andras.

– Randkę. Spotkanie. Być może romantycznej natury.

– Z kim?

– Z piękną Lucią, a z kim? – odparł Rosen.

Ben Yakov zaplótł palce i wyginał je w cichym poczuciu triumfu. Nad stolikiem zaległa cisza. Wszyscy podziwiali Lucie z jej głębokim, aksamitnym głosem i skórą w kolorze polerowanego mahoniu. W nocy, gdy leżeli samotnie w łóżkach, wyobrażali sobie, że zdejmuje ubranie i halkę i stoi przed nimi naga w ich ciemnych pokojach. W dzień deprymowały ich uzdolnienia, jakimi wykazywała się na zajęciach w pracowni. Nie tylko pracowała w biurze, ale była także studentką czwartego roku, jedną z najlepszych, i chodziły słuchy, że jej prace chwalił sam Mallet-Stevens.

– Zdrowie Bena Yakova – zaproponował Andras, unosząc swoją filiżankę.

– Zdrowie – powtórzyli.

Ben Yakov podniósł dłoń w skromnym proteście.

– Oczywiście od niego nigdy się nie dowiemy, co zaszło – powiedział Rosen. – Romanse Bena Yakova są jego prywatną sprawą.

– W przeciwieństwie do romansów monsieur Rosena – wtrącił Ben Yakov. – Te są publiczną własnością. Gdyby tylko wiedziały o tym twoje kobiety!

– To przecież miasto miłości – zaoponował Rosen. – Wszyscy powinniśmy się kochać.

Użył wulgarnego słowa *baiser.*

– Co się stało, Polaner? Obraziłem cię?

– Nie słuchałem.

– Polaner jest dżentelmenem – powiedział Ben Yakov. – Dżentelmeni *ne baisent pas.*

– Przeciwnie – wtrącił Andras. – Dżentelmeni to wielcy *baiseurs.* Właśnie skończyłem czytać *Les Liaisons dangereuses.* Pełno tam dżentelmenów, którzy *baisent.*

– Nie jestem pewien, czy masz kwalifikacje, by wziąć udział w tej rozmowie – zaprotestował Rosen. – Polaner przynajmniej ma w kraju *petite amie.* Swoją krakowską narzeczoną, mam rację? – Uderzył Polanera w ramię, a ten znów się zaczerwienił.

Wspominał o listach od dziewczyny, córki producenta wełny, którą miał poślubić z woli ojca.

– On już to robił, czy chce o tym mówić, czy nie – ciągnął Rosen. – Ale ty, Andras, jeszcze tego nie robiłeś.

– To nieprawda – powiedział Andras, choć tak właśnie było.

– Paryż jest pełen dziewcząt – nie dawał za wygraną Rosen. – Powinniśmy umówić cię na randkę. Mam na myśli spotkanie zawodowe.

– Za czyje pieniądze? – zainteresował się Ben Yakov.

– Czyż artyści nie powinni mieć mecenasów? – wykrzyknął Rosen. – Gdzie się podziali nasi mecenasi?

Wstał i powtórzył to pytanie głośno w stronę sali. Paru klientów baru wzniosło w górę szklanki. Ale nie było wśród nich potencjalnych mecenasów; wszyscy byli studentami, na stolikach przed nimi były dzbanki z herbatą, talerzyki z herbatnikami, lewicowe gazety, a na grzbietach mieli poprzecierane marynarki.

– Przynajmniej znalazłem pracę – powiedział Andras.

– Oszczędzaj, oszczędzaj! – krzyknął Rosen. – Nie możesz przecież pozostać prawiczkiem.

W pracy biegał od jednego zlecenia do następnego, jak podkuchenny w kuchni wydającej dwunastodaniowy obiad. Kończył robić jedną rzecz i już musiał brać się za następną. Presja czasu wciąż rosła. Claudel, asystent inspicjenta, miał prawdziwie baskijski temperament i bywało, że rzucał rekwizytami, które przed ponownym występem szły do naprawy. Z tego też powodu odszedł szef rekwizytorni, a same rekwizyty popadały w coraz bardziej opłakany stan. Claudel terroryzował suflerów, maszynistów, asystenta reżysera i garderobianą. Terroryzował nawet swego przełożonego, samego inspicjenta, monsieur d'Aubigné, który za bardzo go się bał, by poskarżyć się Novakowi. Claudel szczególnie upodobał sobie terroryzowanie Andrasa, który zawsze starał się być pod ręką. Andras wiedział, że Claudel nie ma złych intecji. Był perfekcjonistą, a każdy perfekcjonista dostałby szału za kulisami teatru Bernhardt. Liściki przepadały, wszędzie walały się bezpańskie rekwizyty, ginęły istotne części kostiumów, nikt nigdy nie wiedział, ile jeszcze czasu zostało do kurtyny lub do końca przerwy. Wydawało się cudem, że spektakle w ogóle się odbywają. W ciągu pierwszego tygodnia Andras zbudował skrzynki pocztowe do komunikacji pomiędzy inspicjentem, asystentem inspicjenta, dyrektorem, obsadą i obsługą techniczną. Kupił dwa tanie zagary ścienne i powiesił je za kulisami; zbił kilka surowych półek i poustawiał na nich rekwizyty, oznaczając każde miejsce informacją, do którego aktu i sceny są potrzebne. Po kilku dniach w teatrze atmosfera się uspokoiła. Bywało, że zagrano cały akt, a Claudel nie wybuchnął ani razu. Maszyniści powiedzieli o tym inspicjentowi, który powiedział o tym Zoltánowi Novakowi, a sam Novak pogratulował Andrasowi. Ośmielony sukcesem Andras poprosił o siedemdziesiąt pięć franków tygodniowo na kawę, śmietankę, herbatniki czekoladowe i chleb z dżemem dla wszystkich pracowników za kulisami; pieniądze otrzymał. Wkrótce jego skrzynka pocztowa zapełniła się liścikami z wyrazami wdzięczności.

Szczególnie interesowała się Andrasem madame Gérard. Wołała go nie tylko wtedy, gdy trzeba było coś załatwić, ale także dla towarzystwa. Po przedstawieniu, gdy reszta obsady już poszła do domu, lubiła, by Andras siedział u niej w garderobie i rozmawiał z nią, podczas gdy zmywała makijaż. Demakijaż trwał bardzo długo i Andras zaczął podejrzewać, że ona boi się iść do domu. Wiedział, że mieszka sama, choć nie wiedział gdzie. Wyobrażał sobie różowe mieszkanie wyklejone starymi plakatami teatralnymi. Niewiele mówiła o włas-

nym życiu, ale dowiedział się, że odgadł jej pochodzenie: urodziła się w Budapeszcie; matka nauczyła młodą Marcelle i węgierskiego, i francuskiego. Ale od Andrasa wymagała mówienia po francusku. Praktyka to najlepszy sposób, by nauczyć się języka, powtarzała. Chętnie słuchała opowieści o Budapeszcie, o pracy w „Past and Future", o jego rodzinie. Opowiedział jej o tanecznym talencie Mátyása i planowanym wyjeździe Tibora do Modeny.

– A czy Tibor zna włoski? – zapytała, wcierając krem w czoło. – Uczył się tego języka?

– Nauczy się szybciej niż ja francuskiego. W szkole zdobył trzy lata z rzędu nagrodę z łaciny.

– Pewnie nie może się już doczekać?

– To prawda – odparł Andras. – Ale musi wytrwać do stycznia.

– A czym się jeszcze interesuje poza medycyną?

– Polityką. Sprawami międzynarodowymi.

– Jak to młody człowiek. Ale czym jeszcze? Co robi, gdy ma trochę wolnego czasu? Ma przyjaciółkę? Czy będzie musiał kogoś zostawić w Budapeszcie?

Andras potrząsnął głową.

– Pracuje dzień i noc. Nie ma wolnego czasu.

– No tak – westchnęła madame Gérard, przecierając policzki wilgotną gąbką.

Spojrzała na Andrasa nieobecnym wzrokiem, z wysoko podniesionymi wąskimi łukami brwi.

– No a ty? – zapytała. – Pewnie masz jakąś przyjaciółkę?

Andras zaczerwienił się głęboko. Nigdy nie rozmawiał na ten temat z dojrzałą kobietą, nawet z własną matką.

– Ani widu, ani słychu – odparł.

– Rozumiem – powiedziała madame Gérard. – Może więc nie będziesz miał nic przeciwko zaproszeniu na obiad do mojej przyjaciółki. Węgierka, którą znam, utalentowana nauczycielka tańca klasycznego, ma córkę o kilka lat młodszą od ciebie. Bardzo ładna dziewczyna, na imię jej Elisabet. Wysoka blondynka, bardzo zdolna, ma świetne stopnie z matematyki. Wygrała jakiś paryski konkurs

matematyczny, biedaczka. Na pewno zna węgierski, choć uważa się za Francuzkę. Może przedstawi ci paru przyjaciół.

Wysoka blondynka, Francuzka, która zna węgierski i może mu pokazać inne oblicze Paryża: nie mógł przecież odmówić. W myślach słyszał Rosena, jak mu powtarza, że nie może na zawsze zostać prawiczkiem. Odpowiedział więc, że będzie mu bardzo miło przyjąć zaproszenie na obiad w domu przyjaciółki Marcelle Gérard. Madame Gérard zanotowała adres i nazwisko na odwrocie własnej wizytówki.

– A więc w niedzielę w południe – powiedziała. – Niestety sama nie będę mogła przyjść, bo przyjęłam już inne zaproszenie. Ale zapewniam cię, że nie masz się czego obawiać ze strony Elisabet ani jej matki.

Wręczyła mu wizytówkę.

– Mieszkają niedaleko stąd, w Marais.

Spojrzał na adres, zastanawiając się, czy dom jest w tej części Marais, którą odwiedził w ramach lekcji historii. I nagle doznał gwałtownego wstrząsu i musiał przeczytać adres po raz drugi. „Morgenstern – napisała madame Gérard – 39 rue de Sévigné".

– Morgenstern – powiedział na głos.

– Tak. Dom stoi na rogu rue d'Ormesson. – W tym momencie zauważyła coś dziwnego w wyrazie twarzy Andrasa. – Coś nie tak?

Miał ochotę wszystko jej powiedzieć o swojej wizycie w domu na Benczúr utca, o liście, który przywiózł do Paryża, ale przypomniał sobie prośbę pani Hász o dyskrecję i szybko ochłonął.

– Nic takiego – odparł. – Po prostu już dawno nie przebywałem w kulturalnym towarzystwie, to wszystko.

– Na pewno znakomicie sobie poradzisz – zapewniła go madame Gérard. – Większy z ciebie dżentelmen niż wszyscy znani mi dżentelmeni razem wzięci.

Wstała i posłała mu swój królewski uśmiech – *coś* w rodzaju prywatnego przedstawienia dowodzącego własnego autorytetu i elegancji. Następnie owinęła się chińskim szlafrokiem i wycofała za ozdobiony złotymi lipami parawan.

Tej nocy siedział na łóżku i wpatrywał się w adres na wizytówce. Wiedział, że świat węgierskiej emigracji w Paryżu jest mały i że madame Gérard jest w nim

znakomicie ustosunkowana. Czuł jednak, że ten przypadek musi mieć jakieś głębsze znaczenie. Był pewien, że zapamiętał adres właściwie. Nie przekręcił nazwiska Morgenstern ani nazwy ulicy rue de Sévigné. Ekscytowała go myśl, że dowie się, czy Tibor miał rację, zgadując, że list był adresowany do dawnej miłości starszej pani Hasz. Gdy przybędzie do Morgensternów, czy zastanie tam siwowłosego dżentelmena – być może teścia madame Morgenstern – który jest tym tajemniczym „C"? Jaki jest związek Haszów z Budapesztu z nauczycielką tańca z Marais? I jak uda mu się nie wspomnieć o tym wszystkim Józsefowi Hászowi, gdy znów go spotka?

W kolejnych dniach jednak nie miał zbyt wiele czasu, by zastanawiać się nad planowaną wizytą u Morgensternów. Do końca semestru został tylko miesiąc, a za trzy tygodnie studenci mieli obronę jesiennych projektów. Swój projekt, makietę dworca d'Orsay, na podstawie własnego rysunku z dokładnymi wymiarami, Andras miał dopiero zbudować. Plany były gotowe. Musi jeszcze kupić materiały, przestudiować topografię terenu, by zrobić podstawę makiety, szablony na formy makiety, powycinać formy, narysować łukowate okna, tarcze zegarów i detale z kamienia i wszystko poskładać. Spędził cały tydzień w pracowni otoczony swoimi rysunkami. W nocy, po pracy, pochłaniały go przygotowania do egzaminu ze statyki, a popołudniami chodził na wykłady Perreta o nieszczęsnym dziewiętnastowiecznym pałacu Fonthill Abbey, udającym katedrę, którego wieża zawaliła się trzy razy ze względu na błędy konstrukcyjne, pośpiech przy wznoszeniu i użycie kiepskiej jakości materiałów.

Gdy w sobotę po południu przyszedł do pracy, intrygowało go już tylko to, jak to możliwe, że zapomniał uprać swoją jedyną białą koszulę w przededniu proszonego obiadu i odłożyć choćby franka na prezent dla gospodyni. Gdy przyznał się madame Gérard do problemu z ubraniem, natychmiast znalazł się u garderobianej madame Courbet, która szyła wszystkie kostiumy robotników i żołnierzy potrzebne do *Matki.* Podczas gdy na scenie rozgrywała się rewolucja, madame Courbet zajęta była inną walką: szyciem pięćdziesięciu paczek dla małych baletnic, które tej zimy miały występować z recitalem w teatrze Bernhardt. Andras zastał ją siedzącą wśród zwojów białego tiulu, usianego małymi jedwabnymi kwiatkami. Jej maszyna do szycia stukotała głośno w samym sercu tej śnieżnobiałej chmury. Była kobietą po pięćdziesiątce, o ptasiej urodzie, zawsze nienagannie ubraną w dobrze skrojone stroje. Dziś jej zielona wełniana suknia była przyprószona niteczkami jak płatkami śniegu. Trzymała w ręku szpulkę srebrnobiałych nici. Zdjęła okulary, by przyjrzeć *się* Andrasowi.

– A, młody pan Lévi – powiedziała. – Kolejne zażalenie od pana Claudela czy też komuś znowu poszedł szew? – Wydęła usta z dezaprobatą.

– Tym razem chodzi o mnie – odparł. – Niestety, potrzebna mi koszula.

– Koszula? Będzie pan grał w sztuce?

– Nie. – Zaczerwienił się. – Potrzebuję koszuli na jutrzejszy obiad.

– Rozumiem. – Odłożyła nici i splotła ramiona. – To niecodzienne zlecenie.

– Przykro mi, że panią fatyguję, widzę, że jest pani bardzo zajęta.

– Przysłała pana madame Gérard, prawda?

Andras skinął głową.

– Ach ta kobieta – westchnęła madame Courbet.

Wstała jednak ze swojego krzesełka i stanęła przed Andrasem, lustrując go z góry na dół.

– Nie zrobiłabym tego dla pierwszego lepszego – zastrzegła. – Ale z pana dobry człowiek. Zajeżdżą tu pana na śmierć i prawie nic panu nie płacą, ale pan jest wobec mnie zawsze w porządku. To więcej, niż można powiedzieć o niektórych.

Wzięła miarkę krawiecką ze stołu i przypięła sobie do nadgarstka poduszeczkę na szpilki.

– A więc koszula, jaką noszą dżentelmeni, tak? Na pewno chce pan gładką, białą koszulę oksfordzką. Nic wymyślnego.

Kilkoma szybkimi ruchami wzięła miarę z Andrasa i poszła do szafy z napisem CHEMISES. Wyjęła z niej ładną białą koszulę ze sztywnym kołnierzykiem. Pokazała Andrasowi specjalną kieszonkę na sztuczną krew; w jednej ze sztuk bohater co wieczór ginął zasztyletowany przez zazdrosnego kochanka swojej żony i madame Courbet musiała wciąż dostarczać koszule. Z szuflady z napisem CRVT wybrała niebieski jedwabny krawat w kuropatwy.

– To krawat dla arystokraty – wyjaśniła. – Krawat bogacza uszyty z niczego. Proszę spojrzeć.

Odwróciła go na drugą stronę, by pokazać, że resztkę jedwabiu połączyła ze zwykłą bawełną pod spodem. Andras założył koszulę i krawat, a ona zaznaczyła na niej niezbędne poprawki. Wieczorem dała mu gotową koszulę opakowaną w papier.

– Proszę nikomu nie mówić, skąd pan to ma – poprosiła. – Nie chcę, żeby się to rozeszło.

Ale na do widzenia uszczypnęła go z sympatią w ucho.

Gdy wychodził do domu, przyszedł mu do głowy wspaniały pomysł. Poszedł do głównego wejścia, gdzie Pély, dozorca, zamiatał szczotką marmurową podłogę. Jak zwykle ustawił koło drzwi frontowych bukiety kwiatów z poprzedniego tygodnia. Rano przyjdzie po nie florystka, by wymienić je na świeże. Andras dotknął dłonią czapki na powitanie.

– Jeśli nikt już tych kwiatów nie potrzebuje, czy mógłbym je wziąć? – zapytał.

– Oczywiście! Weź wszystkie. Ile tylko chcesz.

Zgarnął olbrzymie naręcze róż, lilii, chryzantem, jakichś gałęzi z czerwonymi jagódkami, sztucznych ptaszków na zielonych gałązkach i puszystych gałęzi iglastych. Nie pojawi się u Morgensternów na rue de Sévigné z pustymi rękami. Nie on.

Rozdział siódmy

Obiad

ZALEDWIE PARĘ TYGODNI WCZEŚNIEJ Andras miał zajęcia z Perretem o architekturze Marais. Zrobili sobie wycieczkę, by obejrzeć Hôtel de Sens, piętnastowieczny miejski pałac z wieżyczkami i lwimi gargulcami, skomplikowanym dachem i przeładowaną fasadą. Andras spodziewał się, że wykład Perrena będzie surową krytyką, analizą zalet prostoty. Lekcja dotyczyła jednak siły tego budynku, doskonałego rzemiosła, które pozwoliło mu przetrwać. Perret przesunął dłonią po kamiennej fasadzie przy wejściu, zwracając uwagę studentów na pieczołowitość, z jaką zostały wykute w kamieniu klińce gotyckich łuków. Gdy prowadził wykład, na ulicy pojawiło się dwóch ortodoksyjnych Żydów na czele grupy uczniów w jarmułkach. Obie grupy przyglądały się sobie nawzajem. Chłopcy szeptali coś do siebie, patrząc na Perreta w wojskowej pelerynie; kilku ociągało się, jakby chcieli usłyszeć, co mówi. Jeden z nich zasalutował, a jego nauczyciel skarcił go w języku jidysz.

Teraz Andras szedł na tyłach Hôtel de Sens, obok wypielęgnowanych, strzyżonych ogrodów i grządek obsadzonych na zimę fioletowym jarmużem. Dźwigając naręcze kwiatów, przeszedł na drugą stronę ruchliwej rue de Rivioli. Uliczki Marais odznaczały się szczególną atmosferą, jakby się znalazł na planie filmowym. W „Cinescope” i „Film Complet” Andras widział miniaturowe miasta zbudowane wewnątrz olbrzymich studiów w Los Angeles. Tego dnia blade błękitne zimowe niebo wyglądało jak łukowate sklepienie studia i wydawało mu się, że za chwilę zobaczy statystów w średniowiecznych strojach przechadzających się po uliczkach i ekipę zdjęciową z megafonem i skomplikowanym sprzętem technicznym. Koszerne sklepy, hebrajskie księgarnie i synagogi miały szyldy w języku jidysz, jakby znalazł się w innym kraju wewnątrz tego samego miasta. Nie widział antysemickich napisów, które w budapeszteńskiej dzielnicy żydowskiej były normą. Ściany budynków były gołe lub pokryte reklamami mydła, czekolady czy papierosów. Gdy Andras wszedł w

wąski korytarz rue de Sévigné, obok niego przejechała taksówka, prawie pozbawiając go równowagi. Odzyskał grunt pod nogami, przerzucił wielki bukiet na drugie ramię i sprawdził adres, który dała mu madame Gérard.

Naprzeciwko była witryna z drewnianym szyldem w kształcie małej baletnicy, a pod nim napis ÉCOLE DE BALLET-MME MORGENSTERN, MAÎTRESSE. Przeszedł przez ulicę. Wzdłuż narożnego budynku po obu jego stronach ciągnęły się częściowo zasłonięte zazdrostkami okna i gdy wspiął się na palce, mógł zobaczyć pustą salę z podłogą z żółtego drewna. Jedna ściana była całkowicie wyłożona lustrami; wzdłuż pozostałych przymocowano drążki z polerowanego drewna. W rogu przycupnęło pianino, a obok niego stolik ze staromodnym gramofonem, którego czarna tuba w kształcie kwiatu surfinii odbijała światło. Jakieś wspomnienie ruchu i muzyki tkwiło w wirujących cząsteczkach kurzu, niezależnie od tego, czy trwała tam lekcja, czy nie.

Do budynku wchodziło się przez zielone drzwi z witrażowymi szybkami. Andras nacisnął dzwonek i czekał. Przez przezroczystą część drzwi widział, że po schodach idzie jakaś kobieta przy kości. Otworzyła mu i oparła rękę na biodrze, przyglądając mu się bacznie. Miała czerwoną twarz, na głowie chustkę i pachniała papryką zupełnie jak kobiety, które przywoziły na targ w Debreczynie warzywa i kozie mleko.

– Pani Morgenstern? – zapytał z wahaniem.

Nie wyglądała na nauczycielkę tańca klasycznego.

– Gdzie tam – powiedziała po węgiersku. – Proszę wejść i zamknąć za sobą drzwi, żeby się nie wychłodziło.

Musiał więc pomyślnie przejść jej inspekcję; ucieszył się, bo zapachy dochodzące ze środka przyprawiały go z głodu o zawrót głowy. Wszedł do holu, a kobieta mówiła szybko po węgiersku, odbierając od niego płaszcz i kapelusz. Cóż za wielki bukiet. Zobaczymy, czy jest na górze jakiś duży wazon, żeby go pomieścić. Obiad jest prawie gotowy. Przygotowała faszerowaną kapustę i ma nadzieję, że ją lubi, bo poza tym nic więcej nie ma, tylko gałuszki i kompot owocowy, no i kurczak na zimno i ciasto orzechowe. Niech idzie za nią na górę. Nazywa się pani Apfel. Weszli na drugie piętro, gdzie poprowadziła go do pokoju frontowego z tureckimi dywanikami i ciemnymi meblami; kazała mu poczekać na panią Morgenstern.

Usiadł na szarej pluszowej kanapce i nabrał głęboko powietrza. Obok cudownego zapachu faszerowanej kapusty wyczuwał cytrynowy aromat wosku

do mebli i słaby zapach anyżku. Przed nim na małym rzeźbionym stoliku była miseczka z cukierkami. Kryształowe gniazdko wypełnione różowymi i fioletowymi lukrowanymi jajeczkami. Wziął jedno i zjadł: anyżkowe. Wyprostował krawat i upewnił się, że nie widać bawełnianej podszewki. Po chwili usłyszał stukot obcasów w korytarzu. Szczupły cień przesunął się po ścianie i do pokoju weszła dziewczyna z niebieskim wazonem w rękach. Z wazonu sterczały na wszystkie strony kwiaty, gałęzie, sztuczne ptaki, lekko zmęczone lilie i róże z opuszczonymi główkami. Spoza tej gęstwiny przekwitających roślin dziewczyna spojrzała na Andrasa, jej ciemne włosy tworzyły jakby skrzydło nad jej czołem.

– Dziękuję za kwiaty – powiedziała po francusku.

Gdy stawiała wazon na szafce, zorientował się, że to wcale nie dziewczyna; jej rysy miały ostrzejsze linie twarzy dojrzałej kobiety, była wyprostowana jak osoba ćwicząca od lat taniec klasyczny. Była jednak gibka i drobna, a jej dłonie na wazonie wyglądały jak rączki dziecka. Andras zmieszał się głęboko, widząc, jak układa kwiaty. Dlaczego przyniósł tyle zwiędniętych kwiatów? Po co te ptaki? I te wszystkie gałęzie? Czemu nie kupił po prostu czegoś małego i prostego na rogu, na przykład bukiecika stokrotek? Albo bukietu łubinu? Ile to mogło kosztować? Parę franków? Leśna nimfa uśmiechnęła się do niego przez ramię, a następnie podeszła, by się przywitać.

– Claire Morgenstern – powiedziała. – Miło mi w końcu pana poznać, panie Lévi. Słyszałam o panu wiele dobrego od madame Gérard.

Uścisnął jej rękę, starając się nie gapić na jej twarz. Wyglądała o wiele młodziej, niż sobie wyobrażał. Myślał, że będzie kobietą w wieku madame Gérard, ale ona nie mogła mieć więcej jak trzydzieści lat. Jej uroda była cicha i zaskakująca – miała drobne kości, usta przypominające jakiś gładki owoc z różową skórką, wielkie, inteligentne, szare oczy. Claire Morgenstern: a więc to było to „C” na kopercie, a nie jakiś starszy dżentelmen, dawny kochanek starszej pani Hász. Jej duże szare oczy były oczami pani Hász, cichy smutek, który w nich dostrzegał, był lustrzanym odbiciem wyrazu oczu starszej pani. Ta Claire Morgenstern musiała być córką pani Hász. Upłynęła dłuższa chwila, nim Andras mógł coś powiedzieć.

– Przyjemność z panią poznać – powiedział nienaturalnie szybko po francusku, wiedząc, że nie mówi poprawnie, jeszcze zanim skończył. Przypomniał sobie za późno, że powinien wstać, i choć próbował sobie przypomnieć właściwe słowa, wciąż dukał: – Dziękuję mnie za zaproszenia. – Usiadł z powrotem.

Madame Morgenstern spoczęła obok niego na niskim fotelu.

– Wolałby pan mówić po węgiersku? – zapytała w ojczystym języku. – Nie ma problemu.

Podniósł głowę i spojrzał na nią, jakby znalazł się na dnie studni.

– Może być francuski – odparł po węgiersku. A potem jeszcze raz po francusku: – Może być francuski.

– Dobrze więc – zgodziła się. – Musi mi pan opowiedzieć, jak jest teraz na Węgrzech. Od lat nie byłam w kraju, a Elisabet nigdy tam nie była.

Jakby w reakcji na wypowiedzenie tego imienia pojawiła się wysoka dziewczyna o surowym wyrazie twarzy, z dzbankiem zimnej herbaty. Była szeroka w ramionach, zupełnie jak pływacy, których Andras tak podziwiał na kąpielisku Palatinus Strand w Budapeszcie. Spojrzała na niego z niecierpliwą pogardą, nalewając mu herbatę.

– Oto moja Elisabet – dokonała prezentacji pani Morgenstern. – Elisabet, to jest Andras.

Andras nie mógł uwierzyć, że ta dziewczyna jest córką madame Morgenstern. W jej rękach dzbanek wyglądał jak dziecinna zabawka.

Pił herbatę i przyglądał się to matce, to córce. Madame Morgenstern mieszała herbatę długą łyżeczką, podczas gdy Elisabet, odstawiwszy dzbanek na stolik, rzuciła się na fotel, zerkając jednocześnie na zegarek.

– Jeśli teraz nie siądziemy do obiadu, spóźnię się na film – powiedziała. – Mam się spotkać z Marthe za godzinę.

– Na jaki film? – zapytał Andras, szukając tematu do rozmowy.

– Nie byłby pan zainteresowany – odparła. – Jest po francusku.

– Ależ ja znam francuski – zaoponował Andras.

Elisabet uśmiechnęła się do niego drwiąco.

– Czy mogłaby pan mówić we francuski? – zapytała.

Madame Morgenstern przymknęła oczy.

– Elisabet – wtrąciła.

– Co?

– Wiesz co.

– Po prostu chcę zdążyć do kina – stwierdziła i zabębniła piętami o podłogę. Następnie odwróciła głowę w stronę Andrasa i powiedziała: – Piękny krawat.

Andras spojrzał w dół. Gdy się pochylił, by wziąć szklankę herbaty, jego krawat odwrócił się na drugą stronę i teraz bawełniana podszewka była dla wszystkich widoczna, podczas gdy złote kuropatwy fruwały sobie niewidoczne dla oka po drugiej stronie. Zrobiło mu się gorąco ze wstydu. Odwrócił krawat i zaczął się wpatrywać w herbatę.

– Obiad na stole! – zakomunikowała u drzwi zaróżowiona na twarzy pani Apfel, poprawiając chustkę. – Siadajcie, zanim kapusta wystygnie.

Posiłek podano w prawdziwej jadalni, z błyszczącymi fornirem serwantkami na porcelanę i białym obrusem na stole: klimat domu na Benczúr utca, pomyślał Andras. Ale tu nie było anemicznych kanapek; stół uginał się od półmisków z faszerowaną kapustą, kurczakiem, misek z galuszkami, jakby miało do niego zasiąść osiem osób, a nie trzy. Madame Morgenstern usiadła u szczytu stołu, Andras i Elisabet naprzeciwko siebie. Pani Apfel podała kapustę faszerowaną i galuszki; Andras, wdzięczny za zwrot akcji, wsunął koniec serwetki za kołnierzyk i zaczął jeść. Elisabet zmarszczyła brwi, spoglądając na talerz. Odsunęła na bok kapustę i zaczęła jeść galuszki, po jednej małej kluseczce.

– Słyszałem, że interesujesz się matematyką – zagaił Andras w stronę czubka jej spuszczonej głowy.

Podniosła na niego oczy.

– Matka to panu powiedziała?

– Nie, madame Gérard. Mówiła, że wygrałaś jakiś konkurs.

– Każdy może wygrać konkurs w liceum.

– Czy chciałabyś studiować matematykę?

– Jeśli w ogóle pójdę na studia. – Wzruszyła ramionami.

– Kochanie, nie możesz żywić się samymi kluskami – powiedziała cicho madame Morgenstern, spoglądając na talerz Elisabet. – Kiedyś lubiłaś faszerowaną kapustę.

– To okrutne jeść mięso – odparła Elisabet, patrząc na Andrasa. – Widziałam, jak zabijają krowy. Wbijają im nóż w szyję i rozcinają tak, żeby wypłynęła krew. Byliśmy w ramach lekcji biologii u szocheta. To barbarzyństwo.

– Nieprawda – wtrącił Andras. – Znaliśmy z braćmi rytualnego rzeźnika w naszym mieście. Był przyjacielem ojca i obchodził się ze zwierzętami bardzo delikatnie.

Elisabet przyglądała mu się badawczo.

– A jak twoim zdaniem delikatnie zabić krowę? – zapytała. – Co właściwie robił? Pieścił je, aż zdechły?

– Stosował tradycyjną metodę – odparł Andras tonem ostrzejszym, niż zamierzał. – Jedno szybkie cięcie w szyję. Nie mogło boleć dłużej niż sekundę.

Madame Morgenstern odłożyła sztućce i wytarła usta serwetką, jakby źle się czuła, a Elisabet przybrała triumfalny wyraz twarzy. Pani Apfel stała w drzwiach z dzbankiem wody, czekając na rozwój wydarzeń.

– Mów dalej – ponagliła Elisabet. – Co potem robił, gdy już dokonał nacięcia?

– Myślę, że już zakończyliśmy ten temat – powiedział z naciskiem Andras,

– Nie, proszę. Chciałabym usłyszeć, co było dalej, skoro już zacząłeś o tym mówić.

– Dość, Elisabet – wtrąciła madame Morgenstern.

– Ale rozmowa właśnie zaczyna być interesująca.

– Powiedziałam: dość.

Elisabet zmięła serwetkę i rzuciła ją na stół.

– Skończyłam – stwierdziła. – Możesz tu siedzieć z naszym gościem i jeść mięso, ja idę do kina z Marthe.

Odrzuciła włosy do tyłu i wstała, wpadając na panią Apfel, która trzymała dzbanek wody, a następnie przeszła przez hol i słychać było, jak tłucze się jeszcze gdzieś w odległym pokoju. Kilka minut później dobiegło ich echo kroków na schodach. Trzasnęła drzwiami na dole, aż zadzwoniły witraże.

Pani Morgenstern oparła czoło o dłoń.

– Proszę mi wybaczyć, panie Lévi.

– Nie ma o czym mówić – odparł. – Wszystko w porządku. – Mówiąc szczerze, nie miał nic przeciwko temu, że zostali sami. – Z mojego powodu proszę

sobie niczego nie wyrzucać – powiedział. – To nie był zbyt fortunny temat konwersacji. Przepraszam.

– Nie ma potrzeby – odparła madame Morgenstern. – Elisabet bywa niemożliwa, to wszystko. Nie jestem w stanie na nią wpłynąć, gdy dojdzie do wniosku, że jest na mnie zła.

– Dlaczego miałaby być na panią zła?

Uśmiechnęła się blado i wzruszyła ramionami.

– Obawiam się, że to dość skomplikowane. Ona ma szesnaście lat. Jestem jej matką. Nie lubi, gdy mam cokolwiek wspólnego z jej życiem towarzyskim. Nie wolno mi też jej przypominać, że jesteśmy Węgierkami. Uważa Węgrów za naród nieoświecony.

– Bywa, że tak właśnie się czuję – odparł Andras. – Ostatnio wiele czasu poświęcam na to, by stać się bardziej francuski.

– Pańska francuszczyzna jest znakomita.

– Nieprawda – zaoponował Andras. – Jest okropna. Obawiam się, że nie przyczyniłem *się* też do tego, by obalić przekonanie pani córki, że Węgrzy to barbarzyńcy.

Madame Morgenstern zasłoniła dłonią uśmiech.

– Szybko pan zareagował historyjką o rzeźniku.

– Przepraszam – zaśmiał się Andras. – Chyba nigdy nie rozmawialiśmy na ten temat przy obiedzie.

– A więc rzeczywiście znał pan rzeźnika w pańskim miasteczku.

– Tak. I przyglądałem się, jak pracuje. Obawiam się jednak, że Elisabet miała rację, to było okropne!

– Musiał pan dorastać gdzieś… na wsi, tak?

– *W* Konyárze – odparł. – Pod Debreczynem.

– W Konyárze? To niedaleko od Kaby, gdzie urodziła się moja matka. – Przez jej twarz przemknęła chmura.

– Pani matka? – wtrącił. – Ale już tam nie mieszka?

– Nie – powiedziała madame Morgenstern. – Mieszka w Budapeszcie.

Zamilkła, by po chwili skierować rozmowę na inne tory.

– A więc jest pan także Hajdú, chłopakiem z równin?

– Tak – odparł. – Mój ojciec ma skład drewna w Konyárze.

Najwyraźniej nie chciała rozmawiać o swojej rodzinie. Był już bliski wspomnienia o liście – chciał jej powiedzieć: „znam pani matkę" – ale odpowiednia chwila minęła i rozmowa o Konyárze zdawała się przynosić im ulgę. Od przyjazdu do Paryża i od czasu, gdy opanował na tyle francuski, by rozmawiać z ludźmi, opowiadał wszystkim, że pochodzi z Budapesztu. Czy ktokolwiek wiedziałby, gdzie jest Konyár? Ci, którzy wiedzieli, jak na przykład József Hász lub Pierre Vago, kojarzyli go z małym zacofanym miejscem, miejscem, z którego lepiej uciekać. Nawet nazwa brzmiała śmiesznie – jak z rubasznych dowcipów. Ale tak naprawdę był z Konyáru, z tego domu z klepiskiem przy torach kolejowych.

– Mój ojciec jest lokalną osobistością w miasteczku – powiedział Andras.

– Naprawdę? A z czego zasłynął?

– Z niesamowitego farta – odparł Andras. I nagle poczuł przypływ odwagi: – Opowiedzieć pani jego historię, tak jak ludzie ją sobie opowiadają?

– Oczywiście – poprosiła i splotła ręce na piersi w oczekiwaniu.
Zrelacjonował jej historię tak, jak mu ją zawsze opowiadano:

Zanim ojciec stał się właścicielem składu drzewnego, przeżył sporo niepowodzeń, dzięki którym zyskał przydomek Béla Farciarz. Jego własny ojciec zachorował, gdy Béla był w szkole rabinackiej w Pradze. Umarł, gdy tylko Béla wrócił do domu. Winnica, którą odziedziczył, została całkowicie zniszczona. Jego pierwsza żona zmarła w połogu wraz z dzieckiem: dziewczynką. Wkrótce potem spłonął jego dom. Wszyscy trzej jego bracia zginęli na wojnie, a matka pogrążyła się w żałobie i utopiła się w rzece Tisza. W wieku trzydziestu lat Béla był zrujnowany, bez grosza przy duszy i bez rodziny. Przez jakiś czas żył dzięki pomocy społeczności Żydów Konyáru, spał w synagodze, jadł, co mu ludzie dali. Pod koniec upalnego lata przybył do nich słynny rabin z Ukrainy, który przez jakiś czas mieszkał w synagodze. Studiował z mężczyznami Torę, rozstrzygał spory, udzielał ślubów, rozwodów, modlił się o deszcz, tańczył na dziedzińcu ze swoimi uczniami. Pewnego ranka o świcie natknął się na ojca Andrasa, śpiącego w świątyni. Słyszał historię jego nieszczęść, którą opowiadali sobie ludzie w miasteczku, uważając, że mężczyzna nosi brzemię klątwy. Odnosili się do niego z wdzięcznością, jakby wziął na siebie całe zło, również to, które mogłoby przypaść innym. Rabin obudził Bélę błogosławieństwem, a Béla popatrzył na niego

wystraszony. Rabin był wymizerowanym człowiekiem z długą śnieżnobiałą brodą, jego brwi sterczały z czoła jak skrzydła, a oczy miał ciemne i nieprzeniknione.

– Słuchaj, Béla Lévi – wyszeptał w półmroku świątyni. – Wszystko z tobą w porządku. Bóg wymaga więcej od tych, których bardziej kocha. Musisz przez dwa dni pościć, a potem weź rytualną kąpiel i przyjmij pierwszą pracę, jaką ci zaproponują.

Nawet jeśli Béla Farciarz wierzył w cuda, jego nieszczęścia uczyniły go sceptycznym.

– Jestem zbyt głodny, żeby pościć – odparł.

– Przyzwyczajenie do głodu czyni post łatwiejszym – powiedział rabin.

– A skąd mam wiedzieć, czy nie jestem przeklęty?

– Staram się nie zastanawiać, skąd pewne rzeczy wiem. Po prostu wiem – odparł rabin, ponownie pobłogosławił Bélę i zostawił go samego w świątyni.

Béla Farciarz nie miał nic do stracenia. Pościł przez dwa dni i wykąpał się w rzece w nocy. Następnego ranka, gdy szedł w stronę torów kolejowych bliski omdlenia z głodu, zerwał jabłko z karłowatej jabłoni przy białym ceglanym domku. Właściciel składu drewna, ortodoksyjny Żyd, wyszedł na próg i zapytał go, co on sobie wyobraża.

– Kiedyś miałem winnicę – odparł Béla. – Gdybyś wówczas zerwał sobie trochę winogron, nie miałbym nic przeciwko temu. Gdy miałem dom, chętnie bym cię w nim ugościł. Moja żona dałaby ci coś do jedzenia. Teraz nie mam ani winnicy, ani domu. Nie mam też żony. Ani jedzenia. Ale mogę pracować.

– Nie ma tu dla ciebie pracy – odparł łagodnie mężczyzna – ale wejdź i zjedz coś.

Mężczyzna nazywał *się* Zindel Kohn. Jego żona Gitta postawiła przed Bélą chleb i ser, Béla zjadł posiłek razem z Zindelem, Gittą i ich pięciorgiem małych dzieci. Gdy jadł, po raz pierwszy wyobraził sobie, że reszta jego życia nie musi być ukształtowana przez przeszłe nieszczęścia. Nie miał jeszcze wówczas pojęcia, że ten dom stanie się jego własnym, a jego dzieci będą jadły chleb i ser przy tym właśnie stole. Pod koniec dnia miał jednak pracę: chłopak, który obsługiwał piłę mechaniczną w składzie drewna Zindela Kohna, postanowił zostać uczniem ukraińskiego rabina. Wyjechał tego ranka bez uprzedzenia.

Sześć lat później Zindel Kohn i jego rodzina przeprowadzili się do Debreczyna, a Béla Farciarz przejął skład. Poślubił ciemnowłosą dziewczynę o

imieniu Flora, która urodziła mu trzech synów, i zanim najstarszy skończył dziesięć lat, Béla zarobił dość pieniędzy, by kupić skład na własność. Interes szedł świetnie. Ludzie w Konyárze potrzebowali materiałów budowlanych i drewna na opał o każdej porze roku. Wkrótce nikt już nie pamiętał, że przydomek Farciarz miał być ironiczny. Jego historia zostałaby całkiem zapomniana, gdyby nie wrócił ukraiński rabin. Tuż przed świętem Rosz Haszana, gdy na świecie trwał głęboki kryzys gospodarczy, rabin spędził wieczór u Béli w domu i spytał go, czy mógłby opowiedzieć jego historię w synagodze. Przypomniałoby to Żydom z Konyáru, co Bóg może zrobić dla człowieka, który nie poddaje się rozpaczy. Béla Farciarz się zgodził. Rabin opowiadał, a Żydzi z Konyáru słuchali. Choć Béla podkreślał, że jego szczęście jest wynikiem tylko i wyłącznie szczodrości innych, ludzie zaczęli go uważać za coś w rodzaju świętego. Dotykali jego domu na szczęście, prosili go, by był sandakiem, czyli odpowiednikiem ojca chrzestnego dla ich dzieci. Wszyscy wierzyli, że Béla ma w sobie coś świętego.

– Ty pewnie też tak myślałeś jako dziecko – powiedziała madame Morgenstern.

– O tak! Myślałem, że jest niezwyciężony – jeszcze bardziej, niż zwykle myślą dzieci o swoich rodzicach – odparł Andras. – Czasem żałuję, że straciłem to złudzenie.

– No tak, rozumiem.

– Moi rodzice się starzeją – wyjaśnił Andras. – Martwię się, że są sami w Konyárze. Mój ojciec miał w zeszłym roku zapalenie płuc i nie mógł potem pracować przez miesiąc.

Z nikim jeszcze o tym w Paryżu nie rozmawiał.

– Mój młodszy brat uczy się w szkole niedaleko Konyáru, ale jest pochłonięty własnym życiem. A teraz mój starszy brat wyjeżdża, na studia medyczne do Włoch.

Przez twarz madame Morgenstern przemknął cień, jakby coś ją zabolało.

– Moja matka też się starzeje – powiedziała. – Od bardzo dawna się z nią nie widziałam.

Zamilkła i spojrzała w stronę okna wychodzącego na zachód. Światło późnego lata padło na jej twarz, podświetlając miękki kształt ust.

– Niech mi pan wybaczy – rzekła, próbując się uśmiechnąć.

Podał jej chusteczkę, którą przyłożyła do oczu. Musiał zwalczyć odruch, by ją dotknąć, by pogładzić jej kark i plecy.

– Może za długo się zasiedziałem – powiedział.

– Och, nie – zaprotestowała. – Nawet pan jeszcze nie zjadł deseru.

W tym momencie weszła pani Apfel z ciastem orzechowym, zupełnie jakby słuchała za drzwiami jadalni. Andras znów poczuł wilczy apetyt. Zjadł trzy kawałki ciasta i popił kawą ze śmietanką. Opowiadał jednocześnie madame Morgenstern o swoich studiach, o profesorze Vago, o wycieczce do Boulogne-Billancourt. Lepiej mu się z nią rozmawiało niż z madame Gérard. Miała zwyczaj zastanawiać się chwilę w ciszy, nim odpowiedziała. Przygryzała usta w trakcie namysłu, a gdy coś mówiła, jej głos był niski i serdeczny. Po obiedzie poszli z powrotem do salonu i oglądali album z pocztówkami. Jej znajomi tancerze podróżowali po całym świecie, od Chicago po Kair. Była nawet ręcznie pokolorowana kartka z Afryki: troje zwierząt, które wyglądały jak sarny, ale były drobniejsze i bardziej wdzięczne, miały proste sterczące do góry rogi i oczy o migdałowym kształcie. Po francusku nazywały się *gazelle.*

– *Gazelle* – powtórzył Andras. – Spróbuję zapamiętać.

– Proszę się postarać. – Uśmiechnęła się. – Następnym razem pana przeegzaminuję.

Gdy popołudniowe światło zaczęło przygasać, wstała i poprowadziła Andrasa do holu, gdzie na błyszczącym wieszaku wisiał jego płaszcz i kapelusz. Podała mu je, oddając przy okazji chusteczkę do nosa. Gdy schodzili po schodach, pokazała mu fotografie na ścianie, portrety byłych uczennic: dziewczynek spowitych w lekkie chmury tiulu lub zwoje ulotnego jedwabiu, młodych tancerek, jak sylfidy, zaczarowanych przez kostiumy, makijaż i oświetlenie sceniczne. Patrzyły z powagą, ich ramiona były blade i nagie jak gałęzie drzew zimą. Miał ochotę zatrzymać się i popatrzeć dłużej. Zastanawiał się, czy któraś z fotografii przedstawia samą madame Morgenstern, gdy była dzieckiem.

– Dziękuję za wszystko – powiedział, gdy dotarli na dół.

– Proszę bardzo. – Położyła szczupłą dłoń na jego ramieniu. – To ja panu powinnam podziękować. To miło z pana strony, że pan został.

Andras, w reakcji na dotyk jej ręki, tak mocno się zaczerwienił, że poczuł pulsowanie krwi w skroniach. Otworzyła drzwi i powiało popołudniowym

chłodem z ulicy. Nie był w stanie odwrócić się, by wypowiedzieć słowa pożegnania. „Następnym razem pana przeegzaminuję”. Ale oddała mu jednak chusteczkę do nosa, jakby nie mieli się już spotkać. Pożegnał się z progiem domu i z jej stopami w brązowych pantoflach. Następnie odwrócił się, a ona zamknęła za nim drzwi. Nie zastanawiając się, wrócił tą samą drogą w stronę rzeki, aż dotarł do pont Marie. Tam zatrzymał się na samym początku mostu i wyjął chusteczkę. Była jeszcze lekko wilgotna w miejscu, które przycisnęła do oczu. Jak we śnie, włożył róg chusteczki do ust i poczuł słony smak, który tam zostawiła.

Rozdział ósmy

Gare d'Orsay

TEJ NOCY NIE MÓGŁ SPAĆ. Nie mógł przestać myśleć o najdrobniejszych szczegółach popołudnia u Morgensternów. Wstydził się bukietu, który wyglądał jeszcze gorzej, gdy wniosła go do salonu w niebieskim szklanym wazonie. Przypomniał sobie chwilę, gdy zorientował się, że ona jest córką starszej pani Hász, i jak się zmieszał, gdy to zrozumiał – jak powiedział: „przyjemność z panią poznać" i „dziękuję mnie za zaproszenie". Jak trzymała się cały czas prosto, zupełnie jakby wciąż tańczyła, aż do momentu, gdy Elisabet wyszła – jak wówczas jej plecy zaokrągliły się i pojawiły się na nich koraliki kręgów i jak miał ochotę jej dotknąć. Jak słuchała, gdy opowiadał historię ojca. Pamiętał ciepło jej ramienia, gdy siedziała obok niego na kanapie w salonie, przewracając kartki albumu z pocztówkami. No i chwilę przy drzwiach, gdy położyła mu dłoń na ramieniu. Próbował sobie przypomnieć, jak ona wygląda – ciemna fala włosów na czole, szare oczy, które wyglądały, jakby były za duże do jej twarzy, czysta linia podbródka, usta, które zagryzała, gdy się zastanawiała nad tym, co mówi – ale nie był w stanie połączyć tych elementów w całość jej obrazu. Znów przypomniał sobie jej uśmiech znad ramienia w półobrocie, dziecinny i mądry jednocześnie. Ale co on sobie myśli? O co mu właściwie chodzi? Cóż za absurd, myśleć w ten sposób o takiej kobiecie jak Claire Morgenstern – on, Andras, dwudziestodwuletni student, który mieszka w nie ogrzewanym pokoju i pije herbatę ze słoika po dżemie, bo go nie stać na kawę ani na filiżankę. Ona jednak nie pozbyła się go, rozmawiała z nim, śmiała się z jego opowieści, przyjęła jego chusteczkę, dotknęła jego ramienia w sposób świadczący o poufałości.

Godzinami przekręcał się w łóżku z boku na bok, próbując przestać o niej myśleć. Gdy niebo za oknem stało się szaroniebieskie, chciało mu się płakać. Całą noc nie spał i wkrótce będzie musiał wstać i pójść na zajęcia, a potem do pracy, gdzie madame Gérard będzie go wypytywała o przebieg wizyty. Był poniedziałek rano, początek nowego tygodnia. Noc już się skończyła. Jedyne, co

mu pozostało, to wstać z łóżka i napisać list, by wysłać go jeszcze przed zajęciami na uczelni. Wziął kawałek papieru do rysunków i zaczął pisać na brudno:

Szanowna Madame Morgenstern,

dziękuję za

Za co? Za miłe popołudnie? Jakże banalnie to brzmi. Zupełnie jakby chodziło o jeszcze jedno zwykłe popołudnie. Cokolwiek to było, na pewno nie było to zwykłe popołudnie. Co ma napisać? Chciał wyrazić madame Morgenstern swoją wdzięczność za gościnę. To na pewno. Ale chciał też wysłać zawoalowaną wiadomość o tym, co czuł i co czuje teraz – o tym, że pomiędzy nimi popłynął jakby prąd elektryczny i że wciąż go czuje; że trzyma ją za słowo, że zobaczą się znowu. Przekreślił to, co napisał, i zaczął list od początku.

Szanowna Madame Morgenstern,

choć to brzmi absurdalnie, od czasu naszego rozstania cały czas myślę o Pani. Chciałbym wziąć Panią w ramiona, powiedzieć Pani milion rzeczy, zadać milion pytań. Chciałbym dotknąć Pani szyi i odpiąć perłowy guzik na Pani karku.

I co dalej? Co by zrobił, gdyby miał taką możliwość? Przez jedną krótką upojną chwilę pomyślał o tych starych fotografiach przedstawiających skomplikowane pozycje seksualne, o srebrnych wizerunkach splecionych ze sobą par, widocznych jedynie pod pewnym kątem. Przypomniał sobie, jak stał w przebieralni obok sali gimnastycznej z czterema innymi chłopcami, każdy z nich pochylony nad swoją fotografią, z kostkami nóg spętanymi spodenkami gimnastycznymi, każdy z nich w samotnej udręce, podczas gdy zdjęcia pary pojawiały się i znikały. Jego karta przedstawiała kobietę leżącą na kanapce z nogami podniesionymi do góry w kształcie litery „V”. Ubrana była w wiktoriańską suknię, ukazującą ramiona i dekolt, leżała w ekstazie z gołymi nogami wyciągniętymi w stronę sufitu, a mężczyzna, robił to, co robiono również w epoce wiktoriańskiej.

Zarumieniony ze wstydu i pożądania, wykreślił kolejne linijki listu, by zacząć od początku. Umoczył stalówkę i wytarł nadmiar atramentu.

Szanowna madame Morgenstern,

dziękuję za gościnność i za Pani przemiłe towarzystwo. Moje mieszkanie jest zbyt skromne, bym mógł zrewanżować się Pani zaproszeniem, ale chętnie oferuję swą pomoc, gdyby Pani jej kiedykolwiek potrzebowała. Mam nadzieję, że Pani nie zawaha się o nią poprosić. Tymczasem pozostaję w nadziei, że jeszcze się zobaczymy.

Z poważaniem,

Andras Lévi

Czytał raz za razem brudnopis, zastanawiając się, czy nie powinien napisać listu po francusku zamiast po węgiersku. W końcu zdecydował, że po francusku prędzej zrobi jakiś kretyński błąd. Przepisał list na czysto na białym cienkim papierze, który złożył na pół, wsunął do koperty i zakleił, nim zaczął czytać go po raz setny. Następnie wrzucił list do tej samej niebieskiej skrzynki, do której wrzucił list od jej matki.

W tym tygodniu cieszył się, że ma dużo żmudnej pracy z budową makiety. W pracowni wyciął prostokąt z grubej klejonej tektury, który miał być podstawą makiety, i ołówkiem zaznaczył zarys bryły budynku. Na innym kawałku tektury naniósł zarysy czterech elewacji, korzystając skrupulatnie ze swojego rysunku z wymiarami. Jego ulubionym narzędziem była linijka z prawie przezroczystego plastiku, przez którą widział linie narysowane ołówkiem, przecinające się z linią rysowaną. Ta linijka z milimetrową podziałką była wysepką dokładności w morzu zadań, które miał przed sobą. Kawałkiem pewności pośród niepewności. Każdy fragment makiety musiał być zrobiony z solidnego materiału, którego nie można było kupić z przeceny ani zastąpić tańszym. Wszyscy jeszcze pamiętali, co się wydarzyło w pierwszym tygodniu roku akademickiego, gdy Polaner, próbując oszczędzać swój niewielki zasób franków, użył do makiety brystolu, a nie grubej tektury. W trakcie oceny, gdy profesor Vago dotknął dachu makiety ołówkiem, jedna ze ścian załamała się i cały zamek z papieru runął. Tektura była droga. Andras nie mógł sobie pozwolić na pomyłkę, ani w rysunku wykonanym tuszem,

ani wycinając części budynku. Miło było pracować wraz z Rosenem, Benem Yakovem i Polanerem, którzy budowali École Militaire, Rotonde de la Viliette i Théâtre de l'Odéon. Nawet zadowolony z siebie Lemarque stanowił dla niego pewną rozrywkę. Postanowił zbudować makietę Cirque d'Hiver o dwudziestu fasadach i słychać było, jak klnie, nanosząc ściana po ścianie na tekturę.

Na zajęciach ze statyki królował porządek matematyki: równania z trzema niewiadomymi, by obliczyć liczbę i grubość stalowych prętów, ciężar, który może dźwigać jedna podpora, dokładny rozkład obciążenia wzdłuż łuku. Pod zniszczoną tablicą stał zaniedbany Victor Le Bourgeois, profesor statyki i praktykujący architekt i inżynier, który podobnie jak Vago był ponoć bliskim przyjacielem Pingussona. W zapamiętaniu zapisywał kredą niekończące się labirynty cyfr. Jego zaniedbanie wyrażało się dziurą na kolanie spodni, nieśmiertelną warstwą kredowego pyłu na marynarce, aureolą rudych potarganych włosów oraz skłonnością do gubienia gąbki do tablicy. Gdy jednak zaczynał śledzić zależność pomiędzy matematycznymi abstrakcjami a prozaicznymi materiałami budowlanymi, cały chaos związany z jego wizerunkiem znikał. Andras dawał mu się porwać do świata analizy matematycznej, gdzie problem madame Morgenstern nie istniał, gdyż nie dałoby się go opisać równaniem.

W teatrze natomiast odczuwał ulgę, gdy mógł wypowiedzieć na głos jej imię, rozmawiając z madame Gérard. W przerwie w czasie wtorkowego przedstawienia Andras przyniósł madame filiżankę mocnej kawy i gdy ją piła, czekał przy drzwiach jej garderoby. Podniosła na niego oczy i spojrzała spod wdzięcznych łuków brwi; była pełna godności nawet w poplamionym sadzą ubraniu i chusteczce na głowie do roli matki.

– Nie miałam wieści od madame Morgenstern – powiedziała. – Jak się udał obiad?

– Całkiem przyjemność – odparł Andras i zaczerwienił się. – To znaczy przyjemny.

– Całkiem przyjemny, mówi.

– Tak – potwierdził. – Całkiem. – Jego francuskie słownictwo zawiodło go w tym momencie.

– Aha – skwitowała madame Gérard, jakby rozumiała wszystko. Rumieniec Andrasa pogłębił się: wiedział, że doszła do wniosku, że coś zaiskrzyło pomiędzy nim i Elisabet. Rzeczywiście coś zaiskrzyło, ale niezupełnie to, co ona sobie wyobrażała.

– Madame Morgenstern jest bardzo miła – powiedział.

– A mademoiselle?

– Mademoiselle jest bardzo… – Przełknął ślinę i popatrzył na rząd świateł nad lustrem madame Gérard. – Mademoiselle jest bardzo wysoka.

Madame Gérard odrzuciła głowę w tył i zaczęła się śmiać.

– Bardzo wysoka! – powtórzyła. – Rzeczywiście. I bardzo uparta. Znałam ją, jak była małą dziewczynką i bawiła się lalkami; przemawiała do nich tak władczo, że myślałam, że się popłaczą. Ale niech pan się nie boi Elisabet. Ona nie zrobi nikomu krzywdy, naprawdę.

Zanim Andras zdążył zaprotestować i powiedzieć, że nie boi się Elisabet ani trochę, zabrzmiał podwójny dzwonek, by zasygnalizować koniec przerwy. Madame musiała jeszcze się przebrać, a Andras miał własne obowiązki przed rozpoczęciem trzeciego aktu. Gdy aktorzy weszli na scenę, czas znów zaczął się wlec. Wciąż myślał o liście, który napisał, i o tym, kiedy może się spodziewać odpowiedzi. Jego list mógł dojść do adresatki tego popołudnia, a ona mogła wysłać od razu odpowiedź. Jej list mógł się więc pojawić już jutro rano. Było całkiem możliwe, że otrzyma zaproszenie na obiad w najbliższą niedzielę.

Kolejnego wieczoru, gdy przedstawienie wreszcie się skończyło i Andras zrobił wszystko, *co* do niego należało, pobiegł do siebie na rue des Écoles. Widział już oczami wyobraźni list w kremowej kopercie świecący bladym światłem w ciemnym korytarzu, zaadresowany równym, ładnym pismem madame Morgenstern, tym samym, którym podpisała pocztówki w albumie. „Od Marie z Maroka”. „Od Marcela z Rzymu”. Kim był Marcel i co do niej pisał z Rzymu?

Gdy otworzył wysokie czerwone drzwi mosiężnym kluczem, od razu zobaczył, że na konsolce leży koperta. Puścił drzwi i rzucił się w jej stronę. Ale nie była to kremowa, pachnąca fiołkami papeteria, której się spodziewał. Była to pomarszczona brązowa koperta, zaadresowana pismem jego brata Mátyása. W przeciwieństwie do Tibora Mátyás rzadko pisał, a gdy mu się to zdarzało, jego listy były krótkie i rzeczowe. Ten był gruby, a na kopercie widniał dwa razy droższy znaczek niż zwykle. Pierwszą myślą Andrasa było, że coś się stało rodzicom – ojciec miał wypadek, matka była chora na grypę – drugą, że był śmieszny, spodziewając się listu od madame Morgenstern.

Na górze zapalił cenną świeczkę i usiadł przy stole. Otworzył kopertę scyzorykiem. W środku były pogniecione stroniczki, aż pięć, najdłuższego listu,

jaki Mátyás kiedykolwiek do niego napisał. Charakter pisma miał zamaszysty i nieporządny, przyprawiony kleksami. Andras przeleciał wzrokiem pierwsze linijki, spodziewając się złych wieści o rodzicach, ale ich nie znalazł. Gdyby coś było nie tak, Tibor zatelegrafowałby przecież. List dotyczył samego Mátyása. Mátyás dowiedział się, że Andras pomógł Tiborowi zdobyć miejsce na uczelni od stycznia. Gratuluje więc im obu, Andrasowi, że tak skutecznie wykorzystał swoje wspaniałe kontakty, i Tiborowi, że w końcu doczekał się wyjazdu z Węgier. Teraz on, Mátyás, nie ma już innego wyjścia, jak tu pozostać, sam jeden, jako dziedzic wiejskiego składu drewna. Czy Andrasowi się wydaje, że łatwo mu słuchać zachwytów rodziców nad wspaniałymi studiami Andrasa, nad jego świetnymi osiągnięciami, nad tym, jak to cudownie, że teraz i Tibor będzie mógł studiować medycynę, i jakimi obaj są dobrymi synami? Czy Andras nie zapomina, że Mátyás też mógłby chcieć studiować za granicą? Czy zapomniał już wszystko, co Mátyás mu mówił na ten temat? Czy myśli, że Mátyás ma zamiar zrezygnować z własnych planów? Jeśli tak, to lepiej niech się zastanowi. Mátyás zbiera pieniądze i jeśli zgromadzi dość przed końcem szkoły, nie będzie się przejmował maturą. Ucieknie do Ameryki, do Nowego Jorku i zacznie grać w teatrze. Jakoś sobie poradzi. W Ameryce trzeba mieć tylko dużo samozaparcia i być pracowitym. A gdy już wyjedzie, to Tibor i Andras będą musieli się martwić o skład drewna i rodziców, bo on, Mátyás, nie ma zamiaru wracać.

Na końcu ostatniej strony, napisane nieco równiejszym pismem, jakby Mátyás odłożył list na jakiś czas i wrócił do niego, gdy jego gniew już się wypalił, było skruszone „Mam nadzieję, że u Ciebie wszystko w porządku". Andras roześmiał się krótko, wyczerpany. Mam nadzieję, że u ciebie wszystko w porządku! Równie dobrze mógł napisać „Mam nadzieję, że umrzesz".

Wziął arkusz papieru ze stołu. „Kochany Mátyásie – napisał – jeśli to Ci trochę pomoże, wiele razy czułem się strasznie od przyjazdu do Paryża. Właśnie teraz tak się czuję. Wierz mi, gdy mówię, że nie wszystko tu jest wspaniałe. Gdy chodzi o Ciebie, nie mam najmniejszych wątpliwości, że zrobisz maturę i pojedziesz do Ameryki, jeśli tego właśnie chcesz (choć ja wolałbym Cię widzieć tu, w Paryżu). Wcale nie spodziewam się, że przejmiesz skład od Apy, a i sam Apa tego nie oczekuje. Chce, żebyś skończył studia". Mátyás miał jednak rację, podnosząc ten temat. Słusznie się gniewał, bo nie było łatwego wyjścia z sytuacji. Pomyślał o Claire Morgenstern, która powiedziała: „Od dawna się nie widziałam z matką, od bardzo dawna". Jak zmienił się wyraz jej twarzy, oczy wypełnił smutek odzwierciedlający smutek w oczach jej matki. Co je rozdzieliło?

Dlaczego madame Morgenstern nie może wrócić? Z wysiłkiem wrócił myślami do swojego listu.

„Mam nadzieję, że nie będziesz się na mnie długo gniewał, Mátyáska, lecz Twój gniew dobrze o Tobie świadczy: jest dowodem na to, że dobry z ciebie syn. Gdy skończę studia, wrócę na Węgry i niech Bóg ma w opiece Anyę i Apę i da im do tego czasu zdrowie, bym mógł potem się nimi opiekować". Tymczasem będzie się o nich martwił, tak samo jak pozostali bracia. „Tymczasem spodziewam się, że jak zawsze jesteś zachwycający i nieustraszony! Ściskam, Andras".

Wysłał odpowiedź następnego dnia rano z nadzieją, że w ciągu dnia otrzyma wiadomość od madame Morgenstern. Gdy wrócił wieczorem do domu, na stoliku w holu nie było jednak listu. Dlaczego właściwie spodziewał się, że do niego napisze? Ich reakcja towarzyska została zakończona. Miał okazję doświadczyć jej gościnności i podziękował jej za to. Jeśli wyobrażał sobie, że jest między nimi jakaś więź, to się mylił. Zresztą więź miała się przecież zadzierzgnąć między nim a jej córką, a nie samą madame Morgenstern. Tej nocy nie mógł spać i leżał, drżąc z zimna i myśląc o niej, przeklinając siebie samego za te niedorzeczne nadzieje. Rano znalazł w miednicy warstewkę lodu. Rozbił ją myjką i spryskał twarz lodowato zimną wodą. Na zewnątrz silny wiatr postrącał i porozbijał o chodnik dachówki. W piekarni Andras dostał gorący chłopski chleb prosto z pieca za cenę czerstwego pieczywa. To będzie jedna z najzimniejszych zim w historii, powiedziała sprzedawczyni. Andras wiedział, że potrzebuje cieplejszej jesionki, wełnianego szalika i nowych fleków do butów. Na żadną z tych rzeczy nie miał pieniędzy.

Przez cały tydzień temperatura spadała. Na uczelni kaloryfery ledwo grzały. Studenci piątego roku zajmowali miejsca obok nich, a ci z pierwszego marzli przy oknach. Andras ślęczał godzinami nad makietą Gare d'Orsay, dworca, który sam już przechodził do historii. Choć nadal służył jako terminal dla pociągów z południowo-zachodniej części Francji, jego perony były zbyt krótkie dla obecnie używanych pociągów. Gdy poszedł tam, by dokonać koniecznych pomiarów, dworzec wyglądał na zaniedbany i przestarzały. Niektóre z jego wysokich okien były popękane, a łuki zdobiły tatuaże z pleśni. Nie cieszyło go to, że dzięki tekturowej makiecie wspomnienie dworca przetrwa; uważał ją raczej za lichy hołd złożony rozsypującemu się reliktowi przeszłości. W piątek szedł samotnie do domu, zbyt przygnębiony, by dołączyć do pozostałych w Blue Dove, gdy na konsolce w holu dostrzegł kopertę ze swoim nazwiskiem, odpowiedź, na którą czekał cały tydzień. Otworzył ją jeszcze w holu. „Andras, było mi bardzo miło Cię gościć. Koniecznie do nas jeszcze kiedyś wpadnij. Pozdrowienia, C. Morgenstern".

Nic więcej. Nic pewnego. „Koniecznie do nas jeszcze kiedyś wpadnij”: co to właściwie znaczy? Usiadł na schodach i położył czoło na kolanach. Cały tydzień na to czekał! „Pozdrowienia”. Serce waliło mu w piersi, jakby miało się jeszcze wydarzyć coś cudownego. Czuł smak wstydu, jak kawałek metalu na języku.

Po pracy nie mógł znieść myśli o powrocie do swojego maleńkiego pokoju, o położeniu się do łóżka, w którym spędził już pięć bezsennych nocy, myśląc o Claire Morgenstern. Zamiast tego poszedł w stronę Marais, otulając się ciaśniej cienkim płaszczem. Miał ochotę iść nieznanymi ulicami prawego brzegu, gubić drogę i znów ją odnajdować, odkrywać uliczki i zaułki o dziwnych nazwach – rue des Mauvais Garçons, rue des Guillemites, rue des Blancs-Manteaux. Powietrze pachniało dziś zimą, inaczej niż w Budapeszcie, gdzie czuć było zapach węgla brunatnego i zbliżającego się śniegu. Paryski zapach był bardziej wilgotny, dymny i słodki: liście kasztanowca gnijące w rynsztoku, cukrowy, brązowy zapach prażonych orzechów, mocna woń spalin dochodząca z bulwarów. Wszędzie wisiały plakaty reklamujące lodowiska, jedno w Lasku Bulońskim, drugie w Bois de Vincennes. Nie wiedział, że w Paryżu jest zimą dość zimno, by dało się jeździć na łyżwach. Oba plakaty obiecywały jednak, że stawy są zamarznięte na kość. Na jednym było trio misiów polarnych; drugi przedstawiał małą dziewczynkę w czerwonej krótkiej spódniczce z rękami schowanymi do futrzanej mufki i jedną szczupłą nogą pozostawioną w tyle.

Na rue des Rosiers przed jednym z plakatów stali mężczyzna i kobieta i bezwstydnie się całowali z rękami ukrytymi głęboko pod płaszczem drugiego. Andrasowi przypomniała się gra z dzieciństwa w Konyárze: za piekarnią była ściana z białego kamienia, zawsze ciepła, bo po drugiej stronie stał piec. Zimą po szkole chłopcy spotykali się tam, by całować się z córką piekarza. Córka piekarza miała blade brązowe piegi na nosie, jakby ktoś go posypał ziarnem sezamowym. Za dziesięć fillérów przyciskała chłopców do ściany i całowała tak, że nie mogli złapać oddechu. Za pięć fillérów można było popatrzeć, jak robi to z kimś innym. Zbierała, na łyżwy. Miała na imię Orsolya, ale nikt tak na nią nie mówił. Wołali na nią Korcsolya, czyli po węgiersku łyżwy. Andras raz się z nią całował. Poczuł, jak jej język bada wnętrze jego ust, gdy go przyciskała do ciepłej ściany. Nie mógł mieć wtedy więcej niż osiem lat. Orsolya miała z dziesięć. Trzej jego koledzy przyglądali się, zagrzewając go okrzykami. W połowie pocałunku otworzył oczy. Orsolya też miała otwarte oczy, ale jej były nieobecne, myślała o czymś innym – może właśnie o łyżwach. Nigdy nie zapomni, gdy pierwszy raz zobaczył, jak jeździ na łyżwach po zamarzniętym stawie, srebrne rozbłyski metalowych łyżew były jak porozumiewawcze mrugnięcia okiem, stalowe pożegnanie z całowaniem się za

pieniądze. Tej zimy o mały włos nie umarła na zapalenie płuc, bo jeździła na łyżwach przy każdej pogodzie. „Ta dziewczyna zginie pod lodem", przepowiedziała matka Andrasa, przyglądając się, jak Orsolya kręci piruety w czasie marcowego deszczu. Ale nie zginęła pod lodem. Przetrwała sezon na stawie i następnej zimy znów się na nim pojawiła, by w kolejnym roku wyjechać do szkoły średniej. Widział ją teraz w czerwonej spódniczce, w szarej mgle, odległą i samotną.

Labiryntem średniowiecznych uliczek dotarł na rue de Sévigné i skierował się w stronę domu madame Morgenstern. Nie miał zamiaru tu przyjść, ale oto był, stał po drugiej stronie ulicy i kołysał się na piętach. Była prawie północ i na górze nie paliło się żadne światło. Przeszedł na drugą stronę ulicy i zajrzał przez okno ponad zazdrostkami do ciemnego studia. Widać było gramofon z tubą w kształcie kwiatu, czarną i okrutnie błyszczącą w samym rogu pomieszczenia, było też pianino ze swoim płaskim zębiastym grymasem. Drżał w swoim płaszczu, wyobrażając sobie dziewczynki w różowych spódniczkach poruszające się po powierzchni żółtej podłogi studia. Było strasznie, niewyobrażalnie zimno. Co on tu robi na ulicy o północy?

Było tylko jedno wytłumaczenie tego zachowania: zwariował. Presja tutejszego życia, jedynej szansy na to, by zrobić z siebie mężczyznę i artystę, okazała się dla niego zbyt wielka. Oparł głowę o ścianę przy wejściu, próbując spowolnić rytm oddechu. Za chwilę, powiedział sobie, otrząśnie się z tego szaleństwa i odnajdzie drogę do domu. I wówczas podniósł wzrok i zobaczył coś, czego nieświadomie szukał: przy wejściu wisiał mały rozkład zajęć w szklanej gablotce, takiej jakich używa się do wywieszenia karty dań przed restauracją. Zamiast karty dań był tam mały prostokątny kartonik zatytułowany *Horaire des Classes.*

Plan, rozkład jej życia. Oto był, napisany jej własną ręką. Poranki poświęcała na prywatne lekcje, wczesne popołudnia na zajęcia z początkującymi, a późniejsze popołudnia ze średnio zaawansowanymi i zaawansowanymi. W środy i piątki miała wolne poranki. W niedziele – popołudnia. Teraz przynajmniej wiedział, kiedy może zajrzeć przez to okno, by ją zobaczyć. Jutro wydawało się zbyt odległe, ale musiał się z tym pogodzić.

Cały następny dzień próbował odwrócić od niej myśli. Poszedł do pracowni, gdzie wszyscy zbierali się w niedziele, by pracować; budował swoją makietę, żartował z Rosenem, słuchał o nie ustępującej fascynacji Bena Yakova piękną Lucią, podzielił się swoim chłopskim chlebem z Polanerem. W południe nie mógł już dłużej wytrzymać. Zszedł w dół do metra na bulwarze Raspail i pojechał do Châtelet. Stamtąd biegł całą drogę na rue de Sévigné. Gdy się znalazł na miej-

scu, był zgrzany i zasapany w zimowym chłodzie. Zajrzał ponad zazdrostkami do studia. Grupa małych dziewczynek w strojach do tańca pakowała baletki do płóciennych toreb i trzymając w rękach zwykłe buty, ustawiała się w kolejce do drzwi. Przy zadaszonym wejściu do studia tłoczyły się matki i guwernantki; matki w futrach, guwernantki w wełnianych jesionkach. Kilka małych dziewczynek przedarło się przez tę zaporę i pobiegło w stronę sklepu ze słodyczami. Poczekał, aż tłumek przy wejściu stopnieje, i wówczas zobaczył ją w środku przy samych drzwiach: madame Morgenstern w czarnej spódniczce do ćwiczeń, ciasno owinięta szarym swetrem. Jej włosy zebrane były na karku w luźny węzeł. Gdy wszystkie dziewczynki, poza jedną, zostały odebrane, madame Morgenstern wyłoniła się na ulicę, trzymając ostatnią uczennicę za rękę. Wyszła na chodnik lekkim krokiem w baletkach, jakby nie chciała zniszczyć ich podeszew na kamieniu. Andras poczuł chęć do ucieczki.

Dziewczynka zauważyła go. Puściła rękę madame Morgenstern i zrobiła kilka kroków biegiem w jego kierunku, mrużąc oczy, jakby dobrze go nie widziała. Gdy znalazła *się* na tyle blisko, że mogła dotknąć jego ramienia, zatrzymała się i odwróciła z powrotem. Wzruszyła ramionami pod niebieskim płaszczykiem.

– To jednak nie papa – powiedziała.

Madame Morgenstern podniosła oczy, chcąc przeprosić mężczyznę, który nie okazał się być papą. Gdy zorientowała się, że to Andras, uśmiechnęła się i pociągnęła za brzeg swetra, w który była owinięta, gestem tak dziecinnym i nieśmiałym, że gorąco zalało pierś Andrasa. Pokonał dystans kilku dzielących ich płyt chodnikowych. Nie odważył się ścisnąć jej dłoni na powitanie, nie był w stanie patrzeć jej w oczy. Gapił się na chodnik z rękami w kieszenich, w których znalazł dziesięciocentymową monetę ocalałą z porannych zakupów pieczywa.

– Spójrz, co znalazłem – powiedział do dziewczynki, podając jej monetę.

Wzięła monetę i obejrzała ją dokładnie.

– Pan to znalazł? – zapytała. – Może ktoś ją zgubił.

– Znalazłem ją we własnej kieszeni – wyjaśnił. – To dla ciebie. Jak pójdziesz z mamusią do sklepu, możesz sobie kupić cukierka albo nową wstążkę do włosów.

Dziewczynka westchnęła i włożyła monetę do kieszonki torby.

– Raczej wstążkę – powiedziała. – Nie wolno mi jeść cukierków. Psują się od nich zęby.

Madame Morgenstern położyła dłoń na ramieniu dziewczynki i przyciągnęła ją do drzwi.

– Możemy poczekać w środku, obok pieca – zaproponowała. – Będzie cieplej.

Odwróciła się, by spojrzeć na Andrasa, chcąc dać mu do zrozumienia, że zaproszenie obejmuje również jego. Wszedł za nią do środka w stronę małego żelaznego piecyka, który stał w rogu studia. Za szybką syczał ogień i dziewczynka przyklękła, by popatrzeć na płomienie.

– A to niespodzianka – powiedziała madame Morgenstern, podnosząc na niego szare oczy.

– Byłem na spacerze – wtrącił pośpiesznie Andras. – Studiuję architekturę dzielnicy.

– Pan Lévi jest studentem architektury – wyjaśniła dziewczynce madame Morgenstern. – Będzie projektował piękne budynki.

– Mój tata jest lekarzem – poinformowała dziewczynka, nie patrząc na nich.

Andras stał obok madame Morgenstern i grzał ręce przy piecyku; jego palce znajdowały się o centymetry od jej dłoni. Przyjrzał się jej paznokciom, szczupłym, zwężającym się czubkom palców, ptasim kostkom rysującym się pod skórą. Przyłapała go na tym, że się przygląda, więc odwrócił oczy. Grzali dłonie w milczeniu, czekając na ojca dziewczynki, który pojawił się kilka minut później: niski, wąsaty pan z monoklem, z torbą lekarską w ręku.

– Sophie, a gdzie twoje okulary? – zapytał, marszcząc brwi.

Dziewczynka wyjęła z torby okulary w złotej oprawce.

– Madame, bardzo proszę, jeśli to możliwe, pilnować, by miała je na nosie – poprosił.

– Spróbuję – obiecała madame Morgenstern i się uśmiechnęła.

– Spadają mi, gdy tańczę – zaprotestowała dziewczynka.

– Pożegnaj się, Sophie – polecił ojciec. – Bo się spóźnimy na obiad.

W drzwiach Sophie odwróciła się i pomachała. Wyszli wraz z ojcem, a Andras stał w studiu sam na sam z madame Morgenstern. Odeszła od pieca, by zebrać kilka przedmiotów pozostawionych przez uczennice: rękawiczkę, spinkę

do włosów, czerwony szalik. Włożyła wszystko do kosza, który stał obok pianina. *Objects trouvés.*

– Chciałbym pani jeszcze raz podziękować – powiedział Andras, gdy cisza przeciągnęła się ponad jego wytrzymałość. Zabrzmiało to bardziej obcesowo, niż chciał, po węgiersku, z niskim wiejskim zaśpiewem. Odchrząknął i powtórzył to samo po francusku.

– Ależ Andras – zaprotestowała. – Napisał pan taki miły list. I w ogóle nie ma potrzeby mi dziękować. Jestem pewna, że dla pana to nie było najmilsze popołudnie.

Nie mógł jej powiedzieć, jakie dla niego było to popołudnie ani jaki był cały ostatni tydzień. Znów w wyobraźni zobaczył, jak ona się uśmiecha i pociąga za połę swetra, gdy go rozpoznała, takim nieświadomym i nieśmiałym gestem. Zwinął kapelusz w rękach, patrząc na błyszczącą podłogę studia. Piętro wyżej dało się słyszeć ciężkie kroki Elisabet lub pani Apfel.

– Czy zniechęciłyśmy pana na dobre? – zapytała madame Morgenstern. – Mógłby pan znowu przyjść jutro? Elisabet zaprosiła przyjaciółkę na lunch, a potem może pojedziemy na łyżwy w Bois de Vincennes.

– Nie mam łyżew – powiedział prawie niedosłyszalnie.

– My też nie – uspokoiła go. – Zawsze wypożyczamy. Tam jest bardzo miło. Spodoba się panu.

„Tam jest bardzo miło. Spodoba się panu”, jakby to naprawdę miało się wydarzyć. A potem zgodził się i rzeczywiście tak było.

Rozdział dziewiąty

Bois de Vincennes

TYM RAZEM, GDY PRZYSZEDŁ na obiad na rue de Sévigné, nie miał na sobie teatralnego krawata ani nie przyniósł snopka zwiędłych kwiatów; włożył starą, ulubioną koszulę, wziął butelkę wina i tarte gruszkową z cukierni obok. Pani Apfel jak zwykle przygotowała ucztę: zapiekankę ziemniaczano– Jajeczną *rakott krumpli,* wazę zupy marchwianej, surówkę z czerwonej kapusty i jabłek z kminkiem, ciemny, chłopski chleb i trzy rodzaje sera. Madame Morgenstern była wyciszona; wyglądało na to, że cieszy się z obecności przyjaciółki Elisabet, tęgiej dziewczyny o grubych brwiach, w brązowej wełnianej sukience. Była to Marthe, z którą Elisabet poszła zeszłym razem do kina. Zajmowała Elisabet rozmową o sprawach szkolnych: kto zrobił z siebie głupka na geografii, kto wygrał konkurs na solo i kto jedzie do Szwajcarii na narty w trakcie zimowej przerwy semestralnej. Co jakiś czas Elisabet rzucała Andrasowi spojrzenie, jakby chciała, by zauważył, że jest wykluczony z rozmowy. Na zewnątrz zaczął padać śnieg. Andras nie mógł już się doczekać, kiedy wyjdą. Odczuł ulgę, gdy pokrojono i zjedzono tarte gruszkową i mogli wreszcie włożyć jesionki i wyruszyć.

O drugiej trzydzieści wsiedli do metra do Bois. Gdy wyszli ze stacji, Elisabet i Marthe pobiegły przodem ramię w ramię, podczas gdy madame Morgenstern szła z Andrasem. Mówiła o swoich uczennicach, o zbliżającym się zimowym przedstawieniu, o ostatniej fali chłodów. Miała na sobie czerwoną wełnianą czapeczkę w kształcie dzwonu; kosmyki włosów wychodziły, wijąc się spod wywiniętego brzegu, a na rondku zbierały się płatki śniegu.

Na zaśnieżonym terenie Bois, pośród gołych wiązów i dębów oraz pokrytych szronem iglaków, pełno było mężczyzn i kobiet z łyżwami. Od strony jeziorka rozlegały się okrzyki i nawoływania łyżwiarzy i zgrzyt łyżew po lodzie. Doszli do zamarzniętego jeziorka z małymi wysepkami na środku i ogrodzonymi brzegami, pełnego paryżan. Na lodzie dostojni mężczyźni i kobiety w jesionkach poruszali

się wolno wokół wysepek. Na małym wzgórzu stał domek ze szklanym wejściem. Czerwony napis głosił, że za pięćdziesiąt centymów można tam wypożyczyć łyżwy. Elisabet i Marthe zaprowadziły towarzystwo do środka i ustawiły się w kolejce do wypożyczalni. Andras nalegał, by wypożyczyć łyżwy dla wszystkich. Wolał się nie zastanawiać, co te utracone dziesięć franków będzie dla niego oznaczało w nadchodzącym tygodniu. Na wilgotnej zielonej ławce zmienili buty na łyżwy i wkrótce szli chwiejnie w dół po gumowej ścieżce do jeziora.

Andras wskoczył na lód i pomknął w stronę większej z dwóch wysp, by przetestować, czy łyżwy są ostre i trzymają równowagę. Tibor nauczył go jeździć na łyżwach, gdy miał pięć lat; codziennie jeździli na stawie przy młynie w Konyárze, na łyżwach, które zrobił im ojciec z odpadków drewna wykończonych grubym drutem. Gdy chodzili do szkoły w Debreczynie, ślizgali się na sztucznie chłodzonym, perfekcyjnie gładkim lodowisku przy Piac utca, o idealnym, owalnym kształcie. Andras poruszał się na lodzie lekko i zwinnie, szybciej niż bracia lub koledzy. Nawet teraz na tych tępych, wypożyczonych łyżwach czuł się żwawo i pewnie. Omijał łyżwiarzy w ciężkich płaszczach, jego marynarka łopotała za nim, a czapka wyglądała, jakby miała za chwilę sfrunąć na ziemię. Gdyby zatrzymał się na chwilę, zauważyłby może młodych ludzi przyglądających się z zazdrością, jak pędzi obok, ciekawe spojrzenia dziewcząt i zniecierpliwione miny osób starszych. Ale on czuł jedynie czystą radość z szybowania po gładkiej tafli, z szybkiej wymiany ciepła pomiędzy jego łyżwami a zamarzniętym lodem. Zrobił kółko wokół większej wyspy, doganiając kobiety z pełną szybkością, a następnie wślizgnął się pomiędzy madame Morgenstern a Elisabet tak zgrabnie, że aż się zatrzymały z okrzykiem.

– Czy mógłby pan uważać, jak pan jeździ? – zganiła go Elisabet po francusku. – Może pan komuś zrobić krzywdę.

Wzięła Marthe pod ramię i obie pojechały dalej. Andras został z madame Morgenstern w chmurze padającego śniegu.

– Zwinnie pan się przemieszcza – powiedziała i uśmiechnęła się do niego spod dzwonu swojego kapelusika.

– Może na lodzie tak – odparł Andras i się zaczerwienił. – Nigdy nie byłem zbyt dobry w sportach.

– Wygląda pan jednak na takiego, co umie tańczyć.

– Nie za dobrze.

Roześmiała się i ruszyła przodem. W szarym świetle popołudnia jezioro wyglądało jak japońskie obrazy, które Andras widział na Wystawie Międzynarodowej. Wiecznie zielone rośliny rozpościerały swoje ciemne skrzydła na tle jasnego nieba, a wzgórza wyglądały jak gołębie trzymające się razem w obronie przed zimnem. Madame Morgenstern mknęła po lodzie z łatwością, z plecami prostymi jak struna, zaokrąglonymi ramionami, jakby to była po prostu jeszcze jedna forma baletu. Ani razu się nie potknęła i nie oparła o Andrasa, gdy okrążali jezioro. Nawet gdy wjechała na gałązkę iglaka i straciła równowagę, przeskoczyła na drugą nogę, nie spojrzawszy nawet na niego. Gdy ponownie kończyli okrążenie mniejszej wyspy, podjechała bliżej do niego.

– Kiedyś z bratem chodziliśmy w Budapeszcie na łyżwy – powiedziała. – Jeździliśmy w Városliget, niedaleko naszego domu. Zna pan to piękne jezioro obok zamku Vajdahunyad?

– Pewnie, że znam.

Nie stać go było na bilet wstępu, gdy mieszkał w Budapeszcie, ale obaj z Tiborem chodzili tam wieczorami, by popatrzeć na łyżwiarzy. Zamek, amalgamat tysiąca lat stylów architektonicznych, został zbudowany czterdzieści lat wcześniej z okazji obchodów tysiąclecia. Elementy romańskie, gotyckie, renesansowe i barokowe przeplatały się ze sobą w bryle budynku. Idąc wzdłuż jego dziwnej fasady, można było odbyć podróż w czasie. Zamek był podświetlony od dołu i zawsze grała tam muzyka. Wyobraził sobie cienie dwojga dzieci, madame Morgenstern i jej brata – ojca Józsefa Hásza? – padające na lód na tle jaśniejszego cienia zamku.

– Czy pani brat dobrze jeździł na łyżwach? – zapytał.

Madame Morgenstern zaśmiała się i zaprzeczyła ruchem głowy.

– Żadne z nas nie jeździło dobrze, ale się dobrze bawiliśmy. Czasem zapraszałam koleżanki. Trzymałyśmy się za ręce, a mój brat prowadził nas jak drewniane kaczuszki na sznurku. Był dziesięć lat starszy i o wiele cierpliwszy, niż ja bym była na jego miejscu.

Madame Morgenstern zacisnęła wargi, jadąc dalej, i włożyła dłonie do rękawów. Andras trzymał się blisko niej, zerkając na jej profil pod rondkiem kapelusika.

– Mogę panią nauczyć walca, jeśli ma pani ochotę – zaproponował.

– O, nie! Nie potrafię wykonać żadnych skomplikowanych ewolucji.

– To nie jest skomplikowane – odparł i pojechał przodem, by jej pokazać kroki. Był to prosty walc, który opanował w Debreczynie, mając dziesięć lat: trzy kroki do przodu, łuk i zwrot, trzy kroki do tyłu, łuk i zwrot. Powtórzyła kroki, jadąc za nim po lodzie. Potem odwrócił się twarzą do niej. Nabrał powietrza i położył dłoń na jej talii. Jej ramię otoczyło go, a dłoń w rękawiczce znalazła jego dłoń. Zanucił parę taktów *Brin de Muguet* i poprowadził ją w tańcu. Początkowo się zawahała, zwłaszcza przy zwrocie, ale wkrótce zaczęła się poruszać tak lekko, jak to sobie wyobrażał, mocno trzymając go za rękę. Wiedział, że Rosen, Polaner i Ben Yakov śmialiby się z niego, widząc, jak tańczy na oczach ludzi, ale się nie przejmował. Przez kilka chwil, gdy w jego głowie trwała muzyka, ta lekka istota w czerwonym kapelusiku przywarła do niego, jej ręka schowała się w jego dłoni. Poczuł ustami zimny, wilgotny śnieg z jej kapelusza. Czuł na szyi jej oddech. Spojrzała na niego z dołu i ich oczy spotkały się na moment, nim odwrócił wzrok. Przypomniał sobie, że cokolwiek do niej czuje, jest to beznadziejne; była dojrzałą kobietą mającą skomplikowane życie, profesję, córkę w szkole średniej. Walc skończył się i w jego głowie zapadła cisza. Opuścił ramiona, a ona przesunęła się na bok, by jechać dalej przy nim. Okrążyli wyspę dwa razy, nim ponownie się odezwała.

– Sprawia pan, że tęsknię za Węgrami – powiedziała. – Już ponad szesnaście lat tam nie byłam. Całe życie Elisabet.

Popatrzyła na łyżwiarzy, a spojrzenie Andrasa powędrowało za jej wzrokiem. Widzieli przed sobą zielony i brązowy kolor: jesionki Elisabet i Marthe. Elisabet wskazywała coś na brzegu jeziora, ciemną sylwetkę psa goniącą coś mniejszego i ledwie widocznego.

– Czasem myślę, że mogłabym tam wrócić – powiedziała półszeptem madame Morgenstern. – Ale znacznie częściej myślę, że już nigdy nie wrócę.

– Wróci pani – zapewnił Andras zdziwiony pewnością swego głosu.

Wziął ją pod ramię, a ona się nie broniła. Wyjęła za to dłoń z rękawa i położyła ją na jego rękawie. Zadrżał, choć nie było mu zimno. Jeździli w ten sposób w milczeniu, aż okrążyli jeszcze raz małą wyspę. I wówczas rozległ się znajomy, głęboki głos: to madame Gérard wołała ich po imieniu: *Andráska. Klárika.* Węgierskie zdrobnienia, jakby wszyscy nadal byli w Budapeszcie. Madame Gérard podjechała do nich w nowym płaszczu z futrzanym kołnierzem, w futrzanej czapce, a za nią trzech innych aktorów z teatru. Objęły się na powitanie z madame Morgenstern, śmiały się razem, mówiły o pięknie śniegu i tłumie ludzi na zamarzniętym jeziorze.

– Klárika, kochana, tak się cieszę, że cię widzę. A oto i Andráska. A tam jest pewnie Elisabet. – Uśmiechnęła się porozumiewawczo i mrugnęła do Andrasa, a potem zawołała Elisabet i Marthe. Gdy te zaczęły narzekać na mróz, zaprosiła wszystkich na gorącą czekoladę w kawiarni. Usiedli razem przy długim drewnianym stole i pili czekoladę z fajansowych kubków. Andrasowi łatwo przyszło pogodzić się z tym, że to inni mówią, a rozmowa zlewa się z rozmowami innych łyżwiarzy w zatłoczonej kawiarni. Przypływ uczuć, którego doznał tuż przed przybyciem madame Gérard, zaczął już opadać. Madame Morgenstern znów wydawała mu się bardzo odległa.

Gdy skończyli pić czekoladę, odebrał buty z wypożyczalni, a potem razem poszli w stronę skraju lasku. Wciąż szukał okazji, by wziąć madame Morgenstern pod rękę i pozostać z nią nieco w tyle. Z tyłu została jednak Marthe i dołączyła do Andrasa. Mróz zelżał, a ona miała zdeterminowany i poważny wyraz twarzy.

– To naprawdę beznadziejne – zakomunikowała. – Ona nie chce mieć z panem nic wspólnego.

– Kto? – zapytał Andras, domyślając się z niepokojem, że jego zachowanie było aż nadto oczywiste.

– Elisabet! Życzy sobie, żeby przestał pan się na nią gapić. Myśli pan, że to tak przyjemnie, jak się człowiekowi cały czas przygląda jakiś żałosny Węgier?

Andras westchnął i spojrzał do przodu, gdzie szła Elisabet z madame Gérard, a zielony płaszcz plątał jej się wokół nóg. Zatrzymała się, by powiedzieć coś do madame, która odrzuciła głowę w tył i zaczęła się śmiać.

– Ona nie jest panem zainteresowana – oświadczyła Marthe. – Już ma chłopaka. Nie trzeba znów ich odwiedzać. Nie ma też sensu próbować oczarować jej matkę.

– Rozumiem. – Andras odchrząknął i dodał: – No cóż, dziękuję, że mi to pani powiedziała.

– To mój obowiązek jako przyjaciółki Elisabet. – Marthe skinęła z godnością głową.

Doszli do obrzeża parku i madame Morgenstern znów znalazła się obok, jej rękaw dotykał jego płaszcza. Stali przy wejściu do metra, słychać było huk pociągów pod ziemią.

– Może by pan z nami pojechał? – zaproponowała.

– Tak! Niech pan z nami pojedzie! – wykrzyknęła madame Gérard. – Bierzemy taksówkę. Podrzucimy pana do domu.

Było ciemno i coraz zimniej. Ale Andras nie miał ochoty jechać w zatłoczonym metrze z Elisabet, Marthe i madame Morgenstern. Perspektywa jazdy taksówką z madame Gérard i pozostałymi też mu się nie uśmiechała. Chciał być sam, samotnie znaleźć drogę do domu i zamknąć się przed światem w swoim pokoju.

– Chyba pójdę na piechotę – powiedział.

– Ale za tydzień zapraszamy pana znów na obiad – powiedziała madame Morgenstern spod rondka kapelusika; jej policzki były nadal zaróżowione od wysiłku. – Mam nadzieję, że się pan do tego przyzwyczai.

Czy mógł odpowiedzieć inaczej?

– Tak, tak, chętnie przyjdę.

Rozdział dziesiąty

Rue de Sévigné

I TAK OBECNOŚĆ ANDRASA na niedzielnych obiadach przy rue de Sévigné stała się tradycją. Szybko wykształcili przyzwyczajenia: Andras po przyjściu wymieniał uprzejmości z madame Morgenstern; Elisabet siedziała i patrzyła na niego spode łba lub drwiła z jego ubrania albo akcentu; gdy jej się nie udawało go zdenerwować tak jak przy pierwszym obiedzie, zaczynała się nudzić i wychodziła z Marthe, która pielęgnowała własną pogardliwą wyższość w stosunku do niego. Gdy już Elisabet wyszła, siedzieli z madame Morgenstern i słuchali muzyki z gramofonu, oglądali czasopisma o sztuce, pocztówki, czytali poezję, by ćwiczyć jego francuski, lub rozmawiali o jego rodzinie i dzieciństwie. Czasem próbował podjąć temat jej przeszłości – brata, którego od lat nie widziała, tajemniczych wydarzeń, które doprowadziły do narodzin Elisabet i przywiodły madame Morgenstern do Paryża. Jej się jednak zawsze udawało zmienić temat rozmowy, odsuwała jego delikatne pytania jak ręce niepożądanego partnera w tańcu. A kiedy on rumienił się, gdy obok niego siedziała, lub jąkał się w odpowiedzi na komplement, który mu powiedziała, nie dawała po sobie poznać, że to w ogóle zauważa.

Wkrótce dokładnie znał kształt jej paznokci, krój i materiał każdej z jej zimowych sukni, wzór koronki chusteczek, które nosiła w kieszeni. Wiedział, że lubi przyprawić jajka pieprzem, że nie toleruje mleka, że uwielbia piętkę od chleba. Wiedział, że była w Brukseli i we Florencji (choć nie wiedział z kim). Wiedział, że kości jej prawej stopy bolą ją, gdy pogoda jest wilgotna. Jej humory łatwo się zmieniały, lecz gdy popadała w gorszy nastrój, starała się utrzymać go w ryzach dzięki żartom na własny temat, amerykańskim melodiom puszczanym na gramofonie i pokazywaniu Andrasowi zdjęć najmłodszych uczennic w strojach scenicznych. Wiedział, że jej ulubiony balet to *Apollo,* a najmniej lubiła *La Syllphide,* bo uważała, że jest przetańczona i rzadko wystawiana w sposób oryginalny. Uważał, że sam wie o balecie zawstydzająco mało, ale madame

Morgenstern nie miała mu tego za złe. Puszczała muzykę z baletów i opowiadała mu, co się dzieje w danym momencie na scenie, w czasie gdy muzyka nasila się i wycisza. Czasem rolowała dywan w salonie i robiła mu minipokaz choreograficzny, a gdy tańczyła, twarz zarumieniała jej się z radości. On zaś brał ją na spacery po Marais, opowiadając jej historię architektury budynków, wśród których żyła na co dzień: szesnastowiecznego Hôtel Carnavalet z jego płaskorzeźbami czterech pór roku; bramy dla powozów z głową Meduzy w Hôtel Amelot de Bisseuil, która otwierała się często dla Beaumarchais'go; synagogi Guimarda na rue Pavée, z jej falistą fasadą przypominającą zwoje Tory. Zastanawiała się, jak mogła wcześniej nie zwrócić na te miejsca uwagi. Mówiła, że otworzył jej oczy na wymiar jej dzielnicy, którego pewnie sama by nie odkryła.

Choć powtarzała, że Andras ma otwarte zaproszenie, bał się, że pewnej niedzieli pojawi się u madame Morgenstern i zastanie tam innego mężczyznę, jakiegoś wąsatego kapitana, lekarza w tweedowej kamizelce czy utalentowanego rosyjskiego choreografa, czterdziestoletniego znawcę kultury, któremu nigdy nie dorówna, autorytet w sprawach, w których dżentelmeni powinni być biegli: wina, muzyki i sposobów na to, by kobieta się śmiała. Lecz zatrważający rywal nigdy się nie pojawił, a przynajmniej nie w niedzielne popołudnie. Ten wycinek tygodnia zdawał się należeć tylko do Andrasa.

Poza domem na rue de Sévigné życie toczyło się normalnie – czy też tak, jak przyzwyczaił się już, że miało mu upływać jako studentowi architektury w Paryżu. Budowa makiety posuwała się naprzód, ściany były już wycięte ze sztywnej, białej tektury i czekały na montaż. Choć wielkość makiety była porównywalna z pudłem na płaszcz, nosił ją codziennie do szkoły i z powrotem. Zdecydował się na to ze względu na niedawne przypadki wandalizmu, zawsze skierowane, jak się zdaje, przeciwko żydowskim studentom École Spéciale. Studentowi trzeciego roku Jeanowi Isenbergowi ktoś zalał projekty tuszem; studentce czwartego roku Anne-Laure Bauer ukradziono drogie podręczniki do statyki na tydzień przed egzaminem. Andras i jego koledzy na razie nie ucierpieli, ale Rosen uważał, że to tylko kwestia czasu, nim sami padną ofiarą szykan. Profesorowie zwołali ogólne zgromadzenie i surowo przemawiali do studentów, zapowiadając nieprzyjemne konsekwencje dla sprawców i zachęcając wszystkich, którzy mają jakąś wiedzę na ten temat, do zgłoszenia się, ale nikt tego nie zrobił. W Blue Dove Rosen rozwijał własną teorię. Kilku studentów należało do Front de la Jeunesse oraz grupy zwanej Le Grand Occident, których otwarty nacjonalizm był jedynie przykrywką dla antysemityzmu.

– Ten cwaniak Lemarque jest marionetką Jeunesse – stwierdził przy ciasteczkach migdałowych i kawie. – Założę się, że to on za tym stoi.

– To nie może być Lemarque – powiedział Polaner.

– Dlaczego nie?

Polaner zaczerwienił się lekko, splatając swoje szczupłe ręce.

– Pomagał mi przy projekcie.

– Pomagał, tak? – warknął Rosen. – Uważałbym na twoim miejscu. Ten mały *salopard* równie łatwo może ci poderżnąć gardło, jak przywitać się z tobą.

– Jeśli będziesz przeciwko wszystkim, nie będziesz miał przyjaciół – powiedział dyplomatyczny Ben Yakov, którego głównym pragnieniem było przypodobanie się jak największej liczbie ludzi, zarówno kobiet, jak i mężczyzn.

– No to co? – odparł Rosen. – Nie rozmawiamy o popołudniowej herbatce.

Andras w głębi duszy zgadzał się z Rosenem. Od czasu dziwnego incydentu z Polanerem na początku roku miał co do Lemarque'a mieszane uczucia. Przyglądał mu się i trudno było nie zauważyć dziwnego wyrazu twarzy, z jakim Lemarque patrzył na Polanera. Jakby było w nim jednocześnie coś atrakcyjnego i odpychającego albo jakby przeżywanie odrazy do Polanera sprawiało mu przyjemność. Miał zwyczaj podkradać się do Polanera i znajdować pretekst, by coś do niego powiedzieć w czasie zajęć: Czy mógłby pożyczyć pantograf? Czy mógłby zerknąć, jak Polaner rozwiązał to trudne zadanie ze statyki? Czy to czasem nie jego szalik znalazł na dziedzińcu? Polanerowi nie mieściło się w głowie, żeby Lemarque mógł mieć inną motywację niż przyjaźń. Ale Andras nie ufał Lemarque'owi ani studentom ze zmrużonymi oczami, którzy siedzieli razem z nim w kafeterii, paląc niemieckie papierosy, ubrani w zapięte pod szyję koszule i wojskowe kurtki, jakby chcieli być w każdej chwili gotowi do walki. W przeciwieństwie do pozostałych studentów nosili krótko przystrzyżone włosy i wypolerowane buty. Andras słyszał, jak niektórzy mówili o nich lekceważąco *la garde.* No i byli też tacy, którzy subtelniej dawali wyraz swoim opcjom politycznym: gdy mijali Andrasa, Rosena, Polanera czy Bena Yakova na korytarzu, zdawali się patrzeć przez nich na wskroś, choć codziennie widywali się na dziedzińcu lub w holu.

– Musimy przeprowadzić infiltrację tych grup – powiedział Rosen. – Front de la Jeunesse. Grand Occident. Chodzić na ich spotkania, dowiedzieć się, co knują.

– To znakomity pomysł – odparł Ben Yakov. – Zdemaskują nas i połamią nam karki.

– A co mieliby planować twoim zdaniem? – zapytał Polaner gniewnie. – Przecież nie urządzą pogromu w Paryżu.

– A dlaczego nie? – zaprotestował Rosen. – Myślisz, że to im nie przyszło do głowy?

– Czy moglibyśmy porozmawiać o czymś innym? – poprosił Ben Yakov.

Rosen odsunął swoją filiżankę po kawie.

– O, tak! – wykrzyknął. – Błagam, opowiedz nam o swoim ostatnim podboju sercowym. Cóż może być bardziej pilnego i istotnego?

Ben Yakov zaśmiał się tylko z zaczepki Rosena, co tego ostatniego rozsierdziło jeszcze bardziej. Wstał, rzucił na stół pieniądze i przewiesił sobie płaszcz przez ramię w drodze do drzwi. Andras złapał własny kapelusz i poszedł za nim; nie chciał, by przyjaciel odchodził w gniewie. Dogonił go na rogu Saint-Germain i Saint– Jacques, gdzie stanęli obok siebie, czekając, aż zmienią się światła.

– Ty nie uważasz, że opowiadam bzdury, prawda? – zapytał Rosen z rękami w kieszeniach i spojrzeniem utkwionym w oczach Andrasa.

– Nie – odparł Andras, szukając w myślach francuskich słów, by wyrazić to, co chciał. – Po prostu przewidujesz kilka ruchów na szachownicy do przodu.

– Och – rozchmurzył się Rosen. – Umiesz grać w szachy?

– Grywaliśmy z braćmi. Nie byłem zbyt dobry. Mój starszy brat opanował zbiór strategii obronnych opisanych w książce przez jednego z rosyjskich mistrzów. Nie byłem w stanie mu podskoczyć.

– A nie mogłeś sam przeczytać tej książki? – uśmiechnął się Rosen.

– Mógłbym, gdyby jej tak dobrze nie schował!

– Być może ja właśnie próbuję znaleźć taką książkę.

– Nie trzeba szukać daleko – powiedział Andras. – Plakaty tego Front de la Jeunesse wiszą w całej Dzielnicy Łacińskiej.

W zapadającym zmierzchu dotarli do Petit Pont na początku rue Saint–Jacques i przeszli na drugą stronę rzeki. Gdy znaleźli się na placu Charlemagne, wieże Notre Dame odbijały ostatnie promienie zachodzącego słońca. Poszli w

stronę katedry. Zatrzymali się, by popatrzeć na smutnych świętych pilnujących wejść; jeden z nich dzierżył w rękach własną odciętą głowę.

– Wiesz, co chciałbym zrobić, jak będę dorosły? – zapytał Rosen.

– Nie, co?

– Przeprowadzić się do Palestyny. Zbudować świątynię z jerozolimskiego kamienia. – Przerwał i spojrzał na Andrasa, jakby chciał powiedzieć: „No, śmiej się, jeśli chcesz", ale ten wcale się nie śmiał.

Myślał o zdjęciach Jerozolimy, które wydrukowało „Past and Future". Tamtejsze budynki emanowały czymś w rodzaju geologicznej wieczności, jakby nie postawiły ich ręce ludzkie. Nawet na czarno-białych fotografiach kamień zdawał się świecić złotym światłem.

– Chciałbym zbudować miasto na pustyni – oświadczył Rosen. – Nowe miasto w miejscu, gdzie kiedyś było stare. Na planie starodawnego miasta, ale złożone z samych nowych budynków. Żelbeton Perreta jest dla Palestyny idealny. Tani i lekki, chłodny w upały, gotów do nabrania dowolnego kształtu.

Gdy mówił, zdawał się widzieć to wszystko gdzieś na horyzoncie, miasto na pofałdowanych wydmach.

– A więc jesteś marzycielem – stwierdził Andras. – Nigdy bym nie przypuszczał.

Rosen zmusił się do uśmiechu.

– Nie mów pozostałym. – I podniósł znowu wzrok na wieże Notre Dame, gdzie pasek złotego światła był już cienki jak włos. – Przyjdziesz, prawda? Na jedno z tych spotkań Jeunesse? Zobaczymy, co knują.

Andras się wahał. Zastanawiał się, co by powiedziała na tego rodzaju infiltrację madame Morgenstern. Próbował sobie wyobrazić, że opowiada jej to wszystko w niedzielne popołudnie: o swojej odwadze i zuchwalstwie. O głupocie?

– A jeśli ktoś nas rozpozna? – zapytał.

– Nie rozpozna – odparł Rosen. – Nie będą nas w tym gronie szukać.

– Kiedy mają spotkanie?

– To już lepiej, Lévi.

*

Postanowili przeprowadzić infiltrację spotkania rekrutacyjnego Le Grand Occident, wychodząc z założenia, że siłą rzeczy na takim spotkaniu jest dużo nowych twarzy. Miało się odbyć w sobotę w hali na rue de L'Université w Saint-Germain-des-Prés. Aie najpierw trzeba było przetrwać semestralne oceny prac. Andras skończył wreszcie swój Gare d'Orsay, nie śpiąc dwie noce z rzędu; w piątek rano makieta bieliła się nieskalana na tekturowej podstawie. Wiedział, że wykonał dobrą robotę, był to efekt wielogodzinnych żmudnych pomiarów i prac konstrukcyjnych. Rosen, Ben Yakov i Polaner również nie żałowali wysiłku i oto na stołach w pracowni stały białe jak duchy wersje École Militaire, Rotonde de la Viliette i Théâtre de l'Odéon. Miały być oceniane po kolei najpierw przez kolegów, następnie studentów drugiego, trzeciego i czwartego roku, Médarda, opiekuna pracowni z piątego roku, a na koniec przez samego Vago. Andras sądził, że przyzwyczaił się do konstruktywnej krytyki w „Past and Future", zresztą miał już za sobą kilka ocen prac tej jesieni i żadna z nich nie była tak ostra jak oceny, które regularnie wygłaszał naczelny pisma.

Gdy jednak rozpoczęła się jego ocena, komentarze od początku były bardzo krytyczne. Linie niedokładne, metody konstrukcji amatorskie; nie próbował nawet oddać szklanej powierzchni elewacji frontowej budynku ani pokazać tego, co było najbardziej uderzającą charakterystyką gmachu – sposobu, w jaki Sekwana, która płynęła u jego stóp, rzucała światło na wysoką fasadę o lustrzanych właściwościach. Zrobił makietę martwą, powiedział jeden ze studentów czwartego roku. Pudełko na buty. Trumna. Nawet Vago, który wiedział lepiej niż ktokolwiek, jak ciężko Andras nad nią pracował, skrytykował całkowity brak życia. W swojej poplamionej farbą koszuli roboczej i nadspodziewanie eleganckiej kamizelce stał nad makietą i patrzył na nią z niekłamanym rozczarowaniem. Wyjął mechaniczny ołówek z kieszeni i stukał jego końcem w wargę.

– Żmudna reprodukcja – powiedział. – Jak polonez Chopina zagrany na uczniowskim recitalu. Wszystkie nuty zostały z pewnością zagrane, ale zrobiłeś to bez artyzmu.

I na tym się skończyło. Odwrócił się i przeszedł do następnej makiety, a Andras wpadł do lochu poniżenia i nieszczęścia. Vago miał rację; odtworzył budynek zupełnie bez jakiegokolwiek natchnienia. Jak mógł tego nie dostrzec wcześniej? Nie bardzo pocieszyło go to, że inni studenci pierwszego roku wypadli równie słabo. Nie mógł uwierzyć, jak pewny siebie się czuł jeszcze pół godziny temu, przekonany o tym, że wszyscy uznają jego makietę za wyraźną zapowiedź, że będzie wspaniałym architektem.

Wiedział, że szkoła słynie z wydawania trudnych ocen semestralnych, że niewielu studentom pierwszego roku udawało się zachować miłość własną. Był to rodzaj szkolnego rytuału inicjacyjnego, hartowania, które miało ich przygotować na głębsze i bardziej wyrafinowane poniżenie związane z oceną ich własnych projektów. Ta ocena była jednak znacznie ostrzejsza, niż sobie wyobrażał – a co gorsze, opinie były całkowicie uzasadnione. Pracował niestrudzenie i okazało się, że to za mało. O wiele za mało. Jego upokorzenie było jakoś związane, choć nie był w stanie tego nazwać, z osobą madame Morgenstern i ich wzajemną relacją – jakby dzięki zbudowaniu dobrej makiety Gare d'Orsay mógł rościć sobie większe prawo do jej uczucia. Teraz nie mógł opowiedzieć jej o przebiegu oceny bez zdemaskowania siebie jako zbyt aroganckiego głupca. Wyszedł z École Spéciale w fatalnym nastroju, na tyle głęboko zakorzenionym, że przez całą noc i kolejny ranek nie potrafił się z niego otrząsnąć. Wciąż był przybity, gdy poszedł na spotkanie z Rosenem w sprawie infiltracji.

Hala znajdowała się za rogiem wyniosłego budynku Beaux-Arts, kilka ulic na wschód od Gare d'Orsay. Andras nie chciał nawet patrzeć w tamtym kierunku. Wiedział, że oceny jego pracy są trafne; zaaferowany detalami budynku zapomniał o wrażeniu, jakie robi całość, o tym, co czyni go wyjątkowym i tak żywym. To była klasyczna wpadka studenta pierwszego roku, powiedział mu Vago przed wyjściem. Ale skoro tak, dlaczego Vago nie ostrzegł go przed nią na samym początku? Rosen też darzył wyjątkową nienawiścią przedmiot swojej pracy – École Militaire. Obaj solidarnie patrzyli spode łba, idąc rue de *l'* Université.

Ponieważ spotkanie, na które zmierzali, służyło rekrutacji, nie musieli ukrywać się ani udawać kogoś innego. Przybyli wraz z innymi uczestnikami, wyglądającymi w większości na studentów. Na mównicy ustawionej na niskiej scenie chudy jegomość w źle dopasowanym szarym garniturze przedstawił się jako pan Dupuis, „sekretarz samego przewodniczącego Pemjeana". Zaklaskał w dłonie, by uciszyć audytorium. Zgromadzenie zamilkło. Wzdłuż przejść chodzili ochotnicy, rozdając specjalny dodatek gazety „Le Grand Occident". Sekretarz Samego Przewodniczącego Pemjeana ogłosił, że w dodatku specjalnym można znaleźć credo organizacji, które obecnie przeczytają zgromadzonym członkowie zarządu. Sześciu ponurych młodych mężczyzn pojawiło się na scenie z egzemplarzami dodatku w rękach. Kolejno czytali o tym, że Żydzi muszą być usunięci z wpływowych stanowisk we Francji i że powinni przestać sprawować władzę nad Francuzami; że żydowskie organizacje muszą być rozwiązane, gdyż w

gruncie rzeczy pracują na rzecz osiągnięcia światowej dominacji, bezwstydnie chowając się za hasłami pomocy Żydom; że prawa obywatelskie Francuzów powinny być Żydom odebrane i trzeba zacząć ich traktować jak cudzoziemców – nawet tych, których rodziny osiadły we Francji wieki temu; oraz że wszelkie żydowskie mienie powinno przejść na własność skarbu państwa.

Po odczytaniu każdego z tych punktów zrywał się aplauz. Niektórzy z obecnych wykrzykiwali słowa poparcia, a inni podnosili w górę pięści. Jeszcze inni wyglądali, jakby się nie zgadzali, parę osób podjęło nawet polemikę.

– A co z Żydami, których ojcowie lub bracia zginęli za Francję w Wielkiej Wojnie? – zawołał ktoś z balkonu.

– Ci syjoniści zginęli dla własnej chwały, nie dla chwały Francji – odparł Sekretarz Samego Przewodniczącego. – Izraelitom nie można zaufać, że będą służyli Francji. Trzeba im zabronić posiadania broni.

– Czemu nie mieliby umierać właśnie oni, skoro ktoś musi? – zapytał inny słuchacz.

Rosen zacisnął dłonie na oparciu krzesła przed sobą tak mocno, że aż zbielały mu kostki. Andras nie miał pojęcia, co zrobi, gdyby przyjaciel zaczął krzyczeć.

– Jesteście tu, bo wierzycie w potrzebę czystości Francji, takiej Francji, jaką zbudowali nasi dziadowie i ojcowie – ciągnął Sekretarz Samego Przewodniczącego. – Jesteście tu, by poświęcić wasze siły sprawie oczyszczenia Francji. Ci, którzy przyszli tu w innym celu, mogą wyjść. Potrzebni nam są tylko najwięksi patrioci, osoby o największych sercach.

Sekretarz zamilkł i czekał. Wśród audytorium zaczął narastać cichy grzmot. Jeden z sześciu mężczyzn, którzy czytali program, zakrzyknął: *Vive la France!*

– Staniecie się częścią międzynarodowego sojuszu… – zaczął sekretarz, ale jego słowa zagłuszył łoskot uderzeń staccato, drewniany łomot, który sprawił, że nie można było zrozumieć, co mówi. I po chwili, równie nagle jak się pojawił, umilkł. Sekretarz odchrząknął, wygładził klapy marynarki i rozpoczął ponownie.

– Staniecie się częścią…

Tym razem łoskot był jeszcze głośniejszy niż przedtem. Dobiegał ze wszystkich stron. Niektórzy uczestnicy spotkania wstali z krzeseł i uruchomili drewniane klekotki na kijach. Podobnie jak poprzednio po kilku chwilach łoskotu zapadła cisza.

– Cieszę się, panowie, z waszego entuzjazmu – ciągnął sekretarz. – Ale bardzo proszę, poczekajcie, aż…

Hałas wybuchł ponownie i tym razem nie ucichł. Mężczyźni z klekotkami – było ich może dwudziestu albo trzydziestu na widowni – wyszli do przejść między sektorami i hałasowali najgłośniej, jak się dało. Andras dopiero teraz zauważył, że były to kołatki używane w czasie święta Purim – drewniane instrumenty służące do robienia hałasu w czasie odczytywania historii Estery za każdym razem, gdy padało imię złego Hamana. Spojrzał na Rosena, który także zorientował się, co się dzieje. Sekretarz walił w mównicę. Sześciu ponurych facetów na scenie stało na baczność, jakby czekali na rozkaz sekretarza. Coraz więcej osób wylewało się z rzędów do przejść, rozwijając wielkie transparenty i trzymając je wysoko, by wszyscy mogli je zobaczyć. *Ligue Internationale Contre l'Antisemitisme*, głosił jeden z nich. „Nie francuskim hitlerowcom", mówił inny. *Liberté, Egalité, Fraternité,* głosił trzeci. Mężczyźni trzymający transparenty wznieśli triumfalny okrzyk, a w odpowiedzi z widowni dał się słyszeć groźny ryk. Chudy sekretarz przewodniczącego stał się zaskakująco fioletowy na twarzy. Rosen wydał z siebie okrzyk i pociągnął Andrasa do przejścia, gdzie obaj pomogli rozwinąć jeden z transparentów. Jeden z członków Ligi, wysoki, szeroki w ramionach człowiek w trójkolorowej chustce na szyi, wyciągnął megafon i zaczął krzyczeć: – Wolni obywatele Francji! Nie pozwólcie tym bigotom zatruwać waszych umysłów!

Sekretarz ryknął, wydając jakiś rozkaz sześciu mężczyznom o surowych obliczach, i po chwili w audytorium rozpętało się pandemonium. Fotele się opróżniły. Jedni ciągnęli za transparenty, inni ganiali osoby z klekotkami. Sześciu mężczyzn, którzy odczytali manifest organizacji, ruszyło za człowiekiem z megafonem, lecz inni bronili do niego dostępu, on tymczasem nadal wzywał do *Fraternité! Egalité!* Sekretarz zniknął za kurtyną na tyłach sceny. Andrasa wciąż ktoś popychał, kopał w kolana, walił łokciami w pierś. Ale on nie puszczał transparentu. Uniósł drzewce wysoko i skandował: „Nie francuskim hitlerowcom". Rosena już nie było u jego boku; Andras nie mógł go nigdzie dojrzeć. Ktoś próbował wyrwać mu transparent i chłopak zaczął się z nim siłować. Ktoś inny złapał go za kołnierzyk i Andras otrzymał cios w szczękę. Zatoczył się w stronę kolumny, plunął na ziemię krwią. Wokół niego ludzie wrzeszczeli i bili się. Utorował sobie siłą drogę do wyjścia, sprawdzając stan zębów językiem i zastanawiając się, czy będzie musiał iść do dentysty. W westybulu znalazł Rosena, szarpiącego się z potężnym łysym człowiekiem w roboczych drelichach. Udając, że ma zamiar dołożyć Rosenowi, złapał tamtego w

pasie i odciągnął od kolegi, który poleciał z impetem, uderzając ramieniem w ścianę. Facet w drelichach, gdy zorientował się, że stoi z pustymi rękami, ruszył z powrotem do audytorium. Andras i Rosen wytoczyli się z budynku, minęli idących gęsiego policjantów, którzy wchodzili po schodach, by uspokoić zamieszki. Gdy znaleźli się poza zasięgiem tłumu, pobiegli rue de Solférino, aż do quai d'Orsay, gdzie rzucili się na ławkę, głośno dysząc.

– Więc nie byliśmy jedyni – stwierdził Rosen, obmacując sobie żebra opuszkami palców. Andras badał językiem wnętrze ust. Policzek mu wciąż krwawił w miejscu, gdzie przeciął go zębami, ale zęby były całe. Na odgłos szybkich kroków podniósł oczy i zobaczył trzech członków Ligi biegnących ulicą z łopocącymi transparentami. Za nimi pędzili jacyś ludzie, a za nimi policjanci.

– Wiele bym dał, żeby jeszcze raz zobaczyć wyraz twarzy tego sekretarza – powiedział Rosen.

– Masz na myśli Sekretarza Samego Przewodniczącego?

Rosen uderzył się dłońmi w kolana i parsknął śmiechem. Wówczas jednak przemknął obok nich ambulans jadący w stronę audytorium. Za chwilę przejechał następny. Niedługo potem przebiegli obok kolejni członkowie Ligi; ci byli bladzi i przerażeni, wlekli transparenty po chodniku, a kapelusze ściskali w dłoniach. Andras i Rosen przyglądali im się w milczeniu. Musiało się wydarzyć coś poważnego: ktoś z członków Ligi doznał obrażeń. Andras zdjął kapelusz i położył go na kolanach. Adrenalina zamieniała się powoli w strach. Le Grand Occident nie była jedyną grupą tego rodzaju. Musiało być bardzo wiele takich zebrań w całym Paryżu, a co w takim razie działo się w mniej oświeconych miastach Europy? Andras owinął się ciaśniej marynarką, znów poczuł zimno. Rosen wstał; on też zamilkł i spoważniał.

– Czekają nas tu o wiele gorsze rzeczy– powiedział. – Zobaczysz.

Następnego dnia na rue de Sevigné madame Morgenstern i Elisabet siedziały w milczeniu, gdy Andras opowiadał im o zajściach z ostatnich czterdziestu ośmiu godzin. Opowiedział im o ocenie, o tym, jak bardzo spadło jego dobre samopoczucie, o zebraniu i o tym, co się na nim wydarzyło. Pokazał im artykuł z najnowszego „L'Oeuvre" i przeczytał go na głos. Gazeta opisywała zakłócone spotkanie rekrutacyjne i bijatykę, która się wywiązała. Każda ze stron obwiniała przeciwników o przemoc. Pamjean skorzystał z okazji, by zwrócić uwagę na przebiegłość i wojowniczość Żydów, a Gérard Lecache, przewodniczący

Ligue Internationale Contre l'Antisemitisme, nazwał incydent dowodem na bigoterię, ignorancję i barbarzyństwo Le Grand Occident. Dwaj członkowie Ligi, jak się okazało, zostali pobici do nieprzytomności i leżeli obecnie w szpitalu Hôtel-Dieu.

– Mało brakowało, mógł pan zginąć – powiedziała Elisabet jak zwykle cierpkim tonem, ale przez chwilę wydawało się, że spojrzała na niego z rzeczywistą troską. – Co pan sobie wyobrażał? Myślał pan, że stawi czoło wszystkim tym brutalom? Was trzydziestu na ich dwustu?

– Nie byliśmy częścią tego planu – odparł Andras. – Nie wiedzieliśmy, że członkowie LICA tam będą. Gdy zaczęli hałasować, dołączyliśmy do nich.

– Wszyscy razem żałosni głupcy – zawyrokowała Elisabet.

Madame Morgenstern utkwiła spojrzenie swoich szarych oczu w Andrasie.

– Musi pan uważać, żeby nie popaść w kłopoty z policją – ostrzegła. – Niech pan pamięta, że jest we Francji gościem. Nie chciałby pan chyba zostać deportowany z powodu takiego incydentu.

– Nie deportowaliby mnie za to – odparł Andras. – Stanąłem przecież w obronie francuskich ideałów.

– Owszem, deportowaliby pana – powiedziała madame Morgenstern. – I to byłby koniec pańskich studiów. Za wszelką cenę musi pan dbać o swój status we Francji. Sama pańska obecność w tym kraju ma wymiar polityczny.

– On tu i tak długo miejsca nie zagrzeje – stwierdziła Elisabet, która najwyraźniej już przemogła swoje chwilowe współczucie. – Wyleci ze szkoły jeszcze w tym roku. Jego profesorowie uważają go za beztalencie. Nie słuchałaś?

Odkleiła się od pluszowego fotela i powlokła leniwie do swojego pokoju, skąd słychać było, jak się szasta, szykując do wyjścia. Po chwili wyłoniła się w oliwkowozielonej sukience i czarnej pelerynie. Zaplotła warkocz i wyszorowała policzki, aż stały się czerwone. Z niewielką torebką w jednej ręce i rękawiczkami w drugiej stanęła w drzwiach salonu i machnęła od niechcenia.

– Nie czekaj na mnie – zwróciła się do matki.

Następnie, jakby coś jej się jeszcze przypomniało, spojrzała na Andrasa.

– Nie ma potrzeby przychodzić za tydzień, Mistrzu Francji – rzuciła. – Będę jeździć na nartach w Chamonix z Marthe. Szczerze mówiąc, wolałabym, żeby pan się całkiem zniechęcił.

Przewiesiła torebkę przez ramię i zbiegła po schodach. Usłyszeli, jak trzasnęły i zabrzęczały drzwi.

Madame Morgenstern wsparła czoło ręką.

– Jak długo jeszcze będzie taka pana zdaniem? Pan pewnie taki nie był, gdy miał szesnaście lat, prawda?

– Byłem gorszy – przyznał Andras i się uśmiechnął. – Ale nie mieszkałem wtedy w domu, więc matce to zostało oszczędzone.

– Zagroziłam, że wyślę ją do szkoły z internatem, ale ona doskonale wie, że nie miałabym serca. Ani pieniędzy zresztą.

– No cóż – westchnął. – A długo zabawi w Chamonix?

– Dziesięć dni – odparła. – Jeszcze nie była poza domem tak długo.

– A więc zobaczę cię dopiero w styczniu? – zapytał Andras. *Maga* – węgierskie „ty" – wypowiedziane na głos zadźwięczało mu w uszach, ale i tak było już za późno. Zresztą madame Morgenstern nie zwróciła uwagi na to przejęzyczenie. Wstał pod pretekstem, że musi już iść do pracy, wziął płaszcz i kapelusz z wieszaka u szczytu schodów. Zatrzymała go jednak, kładąc dłoń na jego ramieniu.

– Zapomniał pan o *Spectacle d'Hiver* – powiedziała. – Mam nadzieję, że pan przyjdzie?

Zimowy recital jej uczennic. Wiedział oczywiście, że odbędzie się w przyszłym tygodniu. W czwartek wieczorem, w teatrze Sary Bernhardt. Sam przecież projektował plakaty. Nie spodziewał się jednak, że będzie miał jakiś pretekst, by przyjść. Tego wieczoru miał nie pracować, bo *Matka* nie była grana w czasie zimowych ferii. Madame Morgenstern patrzyła na niego z cichą nadzieją, czuł ciepło jej dłoni przez materiał marynarki. W ustach miał pustynię, ręce mokre od potu. Powiedział sobie, że to zaproszenie nic nie znaczy, że całkowicie mieści się w granicach ich konwencjonalnej znajomości: mógł zostać zaproszony jako przyjaciel rodziny i potencjalny zalotnik Elisabet. Zmusił się do grzecznej odpowiedzi, że z przyjemnością przyjdzie, i wykonali swój cotygodniowy rytuał pożegnalny: wieszak, jego rzeczy, schody i cnotliwe do widzenia. Na progu zatrzymała przez chwilę jego wzrok. Zmarszczyła brwi, a usta świadczyły o głębokim namyśle. Gdy już miała coś powiedzieć, dwie dziewczynki w czerwonych szkolnych mundurkach przebiegły obok w pogoni za białym pieskiem.

Musieli się odsunąć od siebie i chwila prysła. Madame Morgenstern podniosła rękę w geście pożegnania i weszła do środka, zamykając za sobą drzwi.

Rozdział jedenasty

Ferie zimowe

TEGO ROKU CLAIRE MORGENSTERN uczyła w swoim, studiu przy rue de Sévigné dziewięćdziesiąt pięć dziewcząt w wieku od ośmiu do czternastu lat. Trzy najstarsze miały wkrótce rozpocząć zajęcia w szkole baletowej Ballet Russe de Monte Carlo. Od dwóch miesięcy przygotowywała dzieci do *Spectacle d'Hiver;* kostiumy były uszyte, młode tancerki nauczone, jak mają się wcielić w płatki śniegu, cukiereczki i łabędzie, scenografia zimowego ogrodu czekała w gotowości. W tym tygodniu plakat autorstwa Andrasa pojawił się w całym mieście: sylwetka dziewczynki śnieżynki na tle rozgwieżdżonego nieba, jedna nóżka wyciągnięta do tyłu w arabesce, słowa *Spectacle d'Hiver* wężowato ciągnące się za jej uniesioną ręką jak ogon komety. Za każdym razem, gdy go widywał – w drodze do szkoły, na ścianie domu naprzeciwko Blue Dove, w piekarni – słyszał w myślach słowa madame Morgenstern: „Mam nadzieję, że pan przyjdzie?".

W środę, w dniu próby kostiumowej, poczuł, że już dłużej nie wytrzyma, musi się z nią zobaczyć. Przyjechał do teatru Sary Bernhardt o zwykłej porze, niosąc duży placek śliwkowy do kawy. Korytarze za kulisami pełne były dziewczynek spowitych w biały i srebrny tiul; gdy przechodził tamtędy w stronę kącika kawowego, kręciły się wokół jak zamieć śnieżna. Pokroił placek scyzorykiem na małe kawałeczki. Grupa dziewczynek w kostiumach śnieżynek czekała za kulisami na wejście na scenę. Gdy tak stały na paluszkach, zaczęły rzucać spojrzenia w stronę stolika kawowego i ciasta. Andras usłyszał zapowiedź wejścia kolejnej grupy tancerek. Madame Morgenstern – Klary, jak nazywała ją madame Gérard – nigdzie nie było widać.

Obserwował zza kulis, jak małe baletnice tańczyły swój taniec. Była wśród nich dziewczynka, której ojciec przyszedł po nią spóźniony po zajęciach. Gdy po występie wbiegła za kulisy, pokazała Andrasowi nowe okulary z drucianymi zausznikami, które owijały się wokół uszu. Te na pewno nie spadną w tańcu,

wyjaśniła. Gdy właśnie robiła piruet, by mu to zademonstrować, usłyszał za sobą śmiech madame Morgenstern.

– Ach! – zawołała. – Nowe okulary.

Andras rzucił na nią okiem. Ubrana była w strój do prób, ciemne włosy upięła ciasno przy głowie.

– Sprytne – powiedział. – W ogóle nie spadają.

– Tylko wtedy, gdy ja chcę – odparła dziewczynka. – Zdejmuję je w nocy.

– Oczywiście – powiedział Andras. – Nie chciałem przez to powiedzieć, że zawsze je nosisz.

Dziewczynka przewróciła oczami w stronę madame Morgenstern i podbiegła do stolika kawowego, przy którym inne śnieżynki zajadały placek śliwkowy.

– A to niespodzianka – powiedziała madame Morgenstern. – Spodziewałam się pana zobaczyć dopiero w weekend.

– Pracuję tu na wypadek, gdyby pani zapomniała – powiedział Andras, krzyżując ramiona na piersi. – Odpowiadam za wygody i zadowolenie artystów.

– To ciasto to pana sprawka?

– Dziewczynki nie mają nic przeciwko temu.

– Ale ja mam. Nie pozwalam im na słodycze za kulisami – powiedziała, mrugając, i podeszła do stolika, by wziąć kawałek ciasta śliwkowego. Placek był zbity i złotawy, na wierzchu miał przepołowione mirabelki.

– Och – westchnęła. – Pyszny. Nie powinien pan. Przynajmniej niech pan też zje kawałek.

– To byłoby nieprofesjonalne.

Madame Morgenstern zaczęła się śmiać.

– Akurat jestem niestety bardzo zajęta. Muszę przygotować następną grupę dziewczynek do wejścia na scenę.

Strzepnęła złote okruszki z dłoni, a on zaczął sobie wyobrażać, jak śliwkowo smakowałyby jej palce.

– Przepraszam, że przeszkadzam – powiedział i już chciał dodać „to ja już pójdę”, gotów zostawić ją na próbie, ale pomyślał o swoim pustym pokoju i wielu godzinach, które dzieliły dzisiejszy wieczór od jutrzejszego, oraz o

niewyobrażalnie długim czasie rozciągającym się po czwartku – czasie, w którym nie będzie miał pretekstu, by się z nią spotkać. Podniósł na nią oczy.

– Zapraszam panią dziś na drinka.

Aż podskoczyła.

– Och nie – wyszeptała. – Nie mogę.

– Proszę, Klaro – nalegał. – Jeśli pani odmówi, nie wiem, co zrobię. Potarła ramiona, jakby było jej zimno.

– Andras...

Wymienił kawiarnię i godzinę. Zanim miała czas zaprotestować, odwrócił się i poszedł w stronę wyjścia za kulisami, a potem na białą grudniową ulicę.

W Café Bédouin było ciemno, skrzypiały skórzane kanapy, granatowe pluszowe zasłony stały się z wiekiem lawendowe. Za barem ciągnęły się rzędy zakurzonych butelek z rżniętego szkła, relikt dawniejszej epoki picia alkoholi. Andras przybył tam godzinę wcześniej, od razu chory ze zniecierpliwienia, niezupełnie wierząc w to, co zrobił. Czy naprawdę zaprosił ją na drinka? Zwrócił się do niej po imieniu, w bardziej intymnie brzmiącym języku węgierskim? Zwrócił się do niej, jakby jego uczucie było w ogóle do przyjęcia, a może mogło nawet zostać odwzajemnione? Czego się właściwie spodziewał? Jeśli ona przyjdzie, to tylko po to, by potwierdzić, że zachował się niewłaściwie, i być może powiedzieć mu, że już nie może przychodzić na niedzielne obiady. Jednocześnie był pewien, że ona już od tygodni zdaje sobie sprawę z jego uczuć, musi o nich wiedzieć od dnia, gdy razem jeździli na łyżwach w Bois de Vincennes. Najwyższy czas, by zdobyć się wobec siebie nawzajem na szczerość; być może powinien przyznać się, że przywiózł list z Węgier od jej matki. Gapił się na drzwi, jakby chciał otworzyć je siłą woli. Za każdym razem, gdy wchodziła jakaś kobieta, podskakiwał na fotelu. Potrząsał zegarkiem ojca, by upewnić się, że nic się nie zepsuło, nakręcił go na wszelki wypadek raz jeszcze, by nie przestał chodzić. Minęło pół godziny, a potem następne. Spóźniała się. Spoglądał na dno szklanki po whisky, zastanawiając się, ile czasu może tak siedzieć, nie zamawiając następnego drinka. Kelnerzy przechodzili obok, rzucając mu gorliwe spojrzenia. Zamówił następną whisky i pił ją pochylony nad szklanką. Nigdy w życiu nie był tak zdesperowany i nie czuł się bardziej absurdalnie. W końcu drzwi otworzyły się jeszcze raz i stanęła przed nim w swoim czerwonym kapelusiku i

dopasowanym szarym płaszczu, zdyszana, jakby przebiegła całą drogę z teatru. Zerwał się z fotela.

– Bałam się, że pana nie zastanę – westchnęła z ulgą.

Zdjęła kapelusz i wcisnęła się na kanapkę pod ścianą. Miała na sobie elegancki gabardynowy żakiet zapięty pod szyją srebrną broszką w kształcie harfy.

– Spóźniła się pani – powiedział Andras, czując w głowie szum whisky, jakby wleciał rój pszczół.

– Próba skończyła się dziesięć minut temu! Wybiegł pan, zanim miałam szansę powiedzieć, o której tu dotrę.

– Bałem się, że w ogóle nie będzie pani chciała się ze mną spotkać.

– Racja. Nie powinnam tu być.

– Po co więc pani przyszła?

Sięgnął przez stolik po jej rękę. Miała lodowate palce, ale nie pozwoliła mu ich ogrzać. Wysunęła rękę z jego dłoni, rumieniąc się ze spuszczoną głową.

Kelner przyszedł, żeby przyjąć zamówienie w nadziei, że młody człowiek wyda teraz nieco więcej, gdy pojawiła się jego przyjaciółka.

– Piję whisky – powiedział. – Niech się pani ze mną napije. To drink amerykańskich gwiazd filmowych.

– Nie jestem w nastroju – odparła i zamówiła *brunelle* i wodę. – Nie mogę zostać – powiedziała, gdy kelner odszedł. – Jeden drink i idę do domu.

– Mam pani coś do powiedzenia – rzekł Andras. – Dlatego chciałem, żeby pani przyszła.

– Co takiego?

– W Budapeszcie, zanim wyjechałem, poznałem kobietę o nazwisku Elza Hász.

Madame Morgenstern zbladła. – Tak?

– Byłem w jej domu na Benczúr utca. Widziała, jak wymieniam w banku pengő na franki, i chciała mi dać paczkę dla syna w Paryżu. Była tam jeszcze jedna kobieta, starsza, która poprosiła mnie, bym wziął coś jeszcze. List do niejakiego C. Morgensterna na rue de Sévigné, o którego nie powinienem pytać.

Madame Morgenstern tak zbladła, że Andras przestraszył się, że zemdleje. Gdy przyszedł kelner z drinkami, wzięła swój koktajl i wypiła od razu pół szklanki.

– Myślę, że jest pani Klarą Hász – powiedział, zniżając głos. – A w każdym razie była nią pani. I że kobieta, którą poznałem, jest pani matką.

Jej usta drżały; zerknęła w stronę drzwi. Przez chwilę wyglądała, jakby miała zamiar uciec. Ale potem oparła się, a jej ciało zesztywniało.

– Dobrze – westchnęła. – Proszę mi powiedzieć, co pan wie i czego pan chce.

Jej głos zniżył się do szeptu. Brzmiało to tak, jakby przede wszystkim się bała.

– Nic nie wiem – odparł, sięgając znowu po jej rękę. – Niczego nie chcę. Chciałem pani po prostu opowiedzieć, co się wydarzyło. Jaki to był dziwny zbieg okoliczności. Chciałem, żeby pani wiedziała, że spotkałem się z jej matką. Wiem, że pani jej od lat nie widziała.

– I to pan przywiózł skrzynię dla mojego bratanka Józsefa? – zapytała. – Mówił pan z nim o tym? O mnie?

– Nie, nie powiedziałem ani słowa.

– Dzięki Bogu – westchnęła. – Nie wolno panu o tym mówić, rozumie pan?

– Nie – odparł. – Nie rozumiem. Nie mam pojęcia, co to wszystko znaczy. Pani matka błagała mnie, bym nikomu nie mówił o liście. Nie powiedziałem. Nikt o tym nie wie. Albo prawie nikt, bo pokazałem go mojemu bratu, gdy dotarłem do domu po wizycie u pani matki. On uważał, że to z pewnością list miłosny. Klara zaśmiała się ponuro.

– List miłosny! W pewnym sensie tak.

– Szkoda, że nie wiem, o co w tym wszystkim chodzi.

– To sprawa prywatna. Przykro mi, że został pan w to wplątany. Nie mogę kontaktować się bezpośrednio z moją rodziną w Budapeszcie, a oni nie mogą niczego wysłać do mnie. József nie może się dowiedzieć, że tu jestem. Na pewno nic mu pan nie powiedział?

– Nic a nic – stwierdził Andras. – Pani matka z naciskiem o to prosiła.

– Przepraszam, że robię z tego taki dramat. Ale to bardzo ważne, by pan zrozumiał. Gdy byłam dziewczynką, zdarzyły się w Budapeszcie straszne rzeczy.

Teraz jestem bezpieczna, ale tylko dopóty, dopóki nikt nie wie, że tu jestem ani kim byłam przedtem.

Andras ponownie zobowiązał się do milczenia. Jeśli jego milczenie ma się przyczynić do jej bezpieczeństwa, będzie milczał. Gdyby poprosiła go o podpisanie się własną krwią na szarym marmurze kawiarnianego stolika, wziąłby nóż i zrobiłby to. Dokończyła drinka, nie odzywając się i nie patrząc mu w oczy. Widział, że srebrna harfa drży na jej szyi.

– Jak wyglądała moja matka? – zapytała w końcu. – Czy posiwiała?

– Ma pasma siwych włosów – odparł Andras. – Miała na sobie czarną suknię. Jest bardzo drobna, podobnie jak pani.

Opowiedział jej o wizycie – jak wyglądał dom, co mówiła jej szwagierka. Nie mówił o smutku matki, o twarzy wyrażającej wieczną żałobę, którą do dziś pamiętał. Na cóż by się to zdało? Powiedział jej za to kilka rzeczy o Józsefie Hásie – o tym, jak przenocował Andrasa po przyjeździe do Paryża i dał mu rady, jak żyć w Dzielnicy Łacińskiej.

– A co z Györgym? – zapytała. – Ojcem Józsefa?

– Pani bratem.

– Tak – potwierdziła cicho. – Czy jego też pan widział?

– Nie – odparł Andras. – Byłem tam tylko około godziny, w środku dnia. Pewnie był w pracy. Z tego, jak wygląda dom, wnoszę jednak, że nie powodzi mu się najgorzej.

Klara położyła dłoń na skroni.

– Trudno mi to wszystko ogarnąć. Chyba wystarczy jak na jeden raz. – I dodała: – Lepiej już pójdę.

Ale gdy wstała, by włożyć płaszcz, zachwiała się i musiała złapać się stołu.

– Nic pani nie jadła, prawda?

– Potrzebuję chwili spokoju.

– Jest taka restauracja…

– Tylko nie restauracja.

– Mieszkam parę ulic stąd. Chodźmy do mnie na herbatę. A potem odprowadzę panią do domu.

Poszli więc na jego poddasze. Wspięli się po schodach na samą górę kamienicy pod numerem 34 na rue des Écoles, aż do jego pustego pokoju, w którym hulały przeciągi. Zaoferował jej krzesło stojące przy biurku, ale nie chciała usiąść. Stanęła przy oknie i spoglądała na ulicę, na Collège de France po drugiej stronie, gdzie nocami siedzieli na schodach kloszardzi, nawet przy najzimniejszej pogodzie. Jeden z nich grał na harmonijce; muzyka przywiodła Andrasowi na myśl niekończące się prerie z amerykańskich filmów, które oglądał w maleńkim kinie w Konyárze. Gdy Klara słuchała, on rozpalił w kominku, opiekł kilka kromek chleba i zagrzał wodę na herbatę. Miał tylko jedną szklankę – słoik po dżemie, którego używał od pierwszego śniadania w tym mieszkaniu. Ale miał też kilka kostek cukru, podebranego z cukierniczki w Blue Dove. Wręczył Klarze herbatę, a ona posłodziła ją jedyną łyżeczką. Miał nadzieję, że ona zacznie mówić, że wyjawi straszną tajemnicę swej przeszłości, cokolwiek to było. Nie potrafił domyślić się szczegółów, ale przeczuwał, że sprawa ta musi mieć związek z Elisabet: przypadkowa ciąża, zazdrosny kochanek, gniewna rodzina, niewypowiedziany wstyd.

Przez nieszczelne okno dmuchał przeciąg i Klara zadrżała. Podała mu słoik z herbatą.

– Ty też się napij – powiedziała. – Nim wystygnie.

Poczuł, jak z emocji ściska mu się gardło. Pierwszy raz zwróciła się do niego poufałym *te* zamiast bardziej formalnego *maga.*

– Nie – podziękował. – Zrobiłem ją dla ciebie.

Dla ciebie: *te.* Podał jej szklankę, a ona zacisnęła ręce na jego dłoniach. Herbata drżała w słoiku pomiędzy nimi. Chwyciła ją i odstawiła na parapet. Potem przysunęła się do niego, objęła go w pasie i wsunęła swoją ciemną głowę pod jego podbródek. Uniósł dłoń, by pogłaskać ją po plecach, nie wierząc własnemu szczęściu, martwiąc się, że ta bliskość jest jedynie skutkiem jego rewelacji i jej rozhuśtanych emocji. Ale gdy tak drżała w jego ramionach, zapomniał, co ich do tej chwili przywiodło. Pozwolił, by jego ręka wędrowała wzdłuż wygiętej linii jej pleców, pozwolił sobie na badanie ich architektury. Byli tak blisko, że poczuł ruch jej klatki piersiowej, gdy wzięła gwałtownie oddech; po chwili odsunęła się od niego, kręcąc głową.

Podniósł do góry ręce w geście kapitulacji. Ale ona już zdejmowała płaszcz z wieszaka, owijała szalik wokół szyi, wkładała czerwony kapelusik w kształcie dzwonka.

– Przepraszam – powiedziała. – Muszę już iść, przepraszam.

O siódmej wieczorem następnego dnia poszedł obejrzeć *Spectacle d'Hiver.* Teatr wypełniały rodziny małych tancerek, zdenerwowany i rozgadany tłum. Rodzice przynieśli dla córek bukiety róż owinięte wstążkami. Przejścia udekorowano girlandami ze świerku, pachniało różami i choinką. Zapach ten obudził go z odurzenia, w którym trwał od poprzedniego wieczoru. Była za kulisami; zobaczy ją za dwie godziny.

W kanale dla orkiestry zaczęły grać skrzypce i kurtyna się podniosła, ukazując sześć dziewcząt w białych trykotach ze sterczącymi kawałkami tiulu. Wyglądały, jakby unosiły się nad srebrną podłogą, ich ruchy były powolne i precyzyjne. Ona właśnie tak się porusza, pomyślał. Przepoiła ich ruchy własną płynnością i precyzją, przelała je w ich ciała jak w kształtujące się naczynia. Czuł się, jakby znalazł się w jakimś dziwnym śnie; coś się w nim załamało poprzedniego wieczoru. Nie miał pojęcia, jak się w tej sytuacji zachować. Nic go na to w dotychczasowym życiu nie przygotowało. Nie mógł sobie też wyobrazić, co ona sobie myśli – co myśli teraz o nim, po tym, gdy ją w ten sposób dotykał. Miał ochotę pobiec za kulisy i mieć już to z głowy, cokolwiek by się zdarzyło.

W czasie przerwy jednak, gdy rzeczywiście mógł pójść za kulisy, uległ fali paniki, tak głębokiej i lodowatej, że ledwo mógł oddychać. Zszedł na dół do męskiej toalety i zamknął się w kabinie, próbując przeczekać przyspieszone tętno. Oparł czoło o chłodny marmur ściany. Głosy mężczyzn wokół miały na niego kojący wpływ; byli ojcami, ich głosy brzmiały jak głosy ojców. Potrafił sobie nawet wyobrazić, że gdy wyjdzie, będzie na niego czekał jego własny ojciec. Béla Farciarz, choć niezbyt chętnie dawał rady, powiedziałby mu, co zrobić. Gdy wyszedł jednak, nikt znajomy na niego nie czekał; był w Paryżu sam, a Klara znajdowała się piętro wyżej.

Zamrugały światła na znak, że przerwa się kończy. Wszedł na górę i znów zajął swoje miejsce w momencie, gdy sala pogrążała się w ciemnościach. Po chwili szelestów i skrzypienia zapaliło się niebieskie światło pod wybiegiem dla tancerek; z kanału dla orkiestry uleciały wysokie, zimne dźwięki instrumentu dętego, a śnieżynki przyfrunęły, by rozpocząć swój taniec. Wiedział, że Klara stoi tuż za kulisami po lewej stronie. To ona dawała znaki muzykom, by zaczynali grać. Dziewczynki tańczyły perfekcyjnie, potem zastąpiły je nieco wyższe tancerki, a potem jeszcze wyższe, jakby baletnice dorastały za kulisami w

chwilach, gdy światło przygasało. Na koniec jednak wszystkie zebrały się na scenie, by się ukłonić, i przywołały nauczycielkę.

Pojawiła się w czarnej, prostej sukni z pomarańczową dalią za uchem, jak dziewczyna z obrazu Muchy. Najpierw ukłoniła się młodym tancerkom, a potem publiczności. Pochyliła głowę ku muzykom i dyrygentowi. A następnie znikła znów za kulisami, pozostawiając dziewczynki w glorii aplauzu i kolejnych odsłon kurtyny.

Andras poczuł, że zakrada się panika. Słyszał coraz bliżej jej stunogie kroki. Zanim jednak wzięła go we władanie, wyszedł ze swego rzędu i pobiegł za kulisy, gdzie Klara stała otoczona zarumienionymi dziewczynkami w tiulach. Nie sposób było się do niej przedostać. Ale szukała chyba kogoś, może jego, bo rozglądała się ponad głowami dziewcząt w kierunku sceny. Jej wzrok przemknął po nim i powrócił na chwilę. Nie wiedział, czy jej uśmiech właśnie w tym momencie przygasł, czy mu się wydawało. Zauważyła go w każdym razie. Zdjął kapelusz i stał tak, miętosząc rondo, aż tłum wokół niej zaczął rzednąć. Gdy rodzice ruszyli za kulisy, by podarować córkom kwiaty, zaczął żałować, że przyszedł z pustymi rękami. Zauważył, że wielu rodziców ma róże także dla niej, nie tylko dla córek. Będzie miała górę kwiatów do zabrania do domu i ani jednego od niego. Ojciec małej Sophie w okularach przyniósł dla madame szczególnie duży bukiet zrobiony, jak zauważył Andras, z czerwonych róż. Spostrzegł, że ona serdecznie dziękuje, ale nie przyjmuje niezliczonych zaproszeń na uroczyste obiady po przedstawieniu. Mówi wszystkim, że jest zmęczona i musi odpocząć. Minęła prawie godzina, nim wszystkie dziewczynki i ich rodzice wyszli, zostawiając Andrasa i Klarę samych za kulisami. Do tego czasu jego kapelusz całkiem już stracił kształt. Jej ręce pełne były kwiatów; nie mógł jej objąć ani nawet podać jej dłoni.

– Trzeba było nie czekać – powiedziała, uśmiechając się do niego karcąco.

– Niezłe naręcze róż – wykrztusił.

– Jadł pan kolację?

Nie jadł i powiedział jej o tym. W rekwizytorni znalazł kosz na kwiaty. Załadował je do niego i nakrył płótnem, żeby nie zmarzły. Gdy podawał jej płaszcz, natrafił na pytające spojrzenie dozorcy Pélyego, który zaczął już zamiatać opady tego wieczoru – warstwę cekinów i płatków róż. Andras uchylił kapelusza na pożegnanie i wyszli drzwiami dla artystów.

Wzięła go pod rękę, gdy szli ulicą, i pozwoliła się zaprowadzić do restauracji o bielonych ścianach w Bastille. Było to miejsce, które wielokrotnie mijał w czasie swoich spacerów po Paryżu; nazywało się Aux Marocaines. Na niskich stolikach stały zielone miseczki ze strączkami kardamonu. Na ścianach wisiały półki z marokańską ceramiką. Wszystko zbudowano na małą skalę, jakby specjalnie dla Klary. Mógł sobie tu pozwolić na kolację, choć ledwo, ledwo. Tydzień wcześniej dostał od monsieur Novaka świąteczną premię.

Kelner w fezie zaprowadził ich do narożnego stolika i usiedli obok siebie. Jedli pitę, duszone warzywa z glinianego garnka, rybę z grilla, pili miód. Rozmawiali tylko o przedstawieniu i o Elisabet, która wyjechała do Chamonix z Marthe; rozmawiali też o pracy Andrasa i jego egzaminach, które zdał celująco. Cały czas czuł jej ruchy i ciepło tuż obok, jej ramię muskało jego ramię. Gdy piła, przyglądał się jej ustom, jak dotykają brzegu kieliszka. Nie mógł przestać gapić się na zarys jej piersi pod dopasowaną suknią.

Po obiedzie zamówili mocną kawę z maleńkimi różowymi makaronikami. Nadal żadne z nich nie wspomniało o tym, co zdarzyło się poprzedniego wieczoru – ani o rozmowie dotyczącej jej rodziny, ani o tym, co zaszło między nimi później. Raz czy dwa Andras miał wrażenie, że jakiś cień przemknął przez jej twarz. Czekał, że go skarci, że niepotrzebnie wspomniał jej o spotkaniu z matką i szwagierką, albo powie, że nie chce, by odniósł mylne wrażenie. Gdy tego nie zrobiła, zaczął się zastanawiać, czy chciałaby udawać, że to się po prostu nie wydarzyło. Kiedy skończyli, zapłacił rachunek mimo jej protestów, podał jej płaszcz i skierowali się w stronę rue de Sévigné. Niósł ciężki kosz z kwiatami, myśląc o śmiesznym bukiecie, który przyniósł na pierwszy niedzielny obiad. Nie miał wówczas pojęcia, co go czeka, był całkowicie nieprzygotowany na to, co miało mu się przydarzyć – na wstrząs związany z silnym pociągiem, na tortury jej bliskości w czasie niedzielnych popołudni, na przyjemność z rosnącego zbliżenia, obciążoną poczuciem winy, i na tę niesłychaną chwilę wczorajszego wieczoru, gdy ujęła jego dłonie, gdy objęła go w pasie i położyła mu głowę na piersi. Co będzie dalej? Wieczór prawie się skończył. Właściwie doszli już do jej domu. Gdy skręcali w jej ulicę, zaczął padać delikatny śnieg.

Na progu jej oczy znów pociemniały. Oparła się o drzwi i westchnęła, patrząc na róże.

– Dziwne – powiedziała. – Co roku w grudniu robimy zimowe przedstawienie, a ja zawsze czuję się po nim tak samo. Jakby nie było już na co czekać. Jakby wszystko było skończone. – Uśmiechnęła się. – Melodramatyczne, prawda?

Wypuścił z płuc powietrze.

– Przepraszam, jeśli… wczoraj… – zaczął.

Przerwała mu, kręcąc głową, i powiedziała, że nie ma za co przepraszać.

– Nie powinienem był pytać o pani rodzinę – rzekł. – Gdyby pani chciała o niej mówić, sama by pani mi powiedziała.

– Raczej nie – przyznała. – Przyzwyczaiłam się już, że wszystko ukrywam.

Znów pokręciła głową, a Andrasa nawiedziło wspomnienie z wczesnego dzieciństwa – nocy, którą spędził w sadzie w czasie, gdy jego brat Mátyás leżał chory w łóżku z wysoką gorączką. Wezwano lekarza, zastosowano plastry, leki, nic nie pomagało. Gorączka rosła i rosła i wyglądało na to, że wszyscy są przekonani, że Mátyás umrze. Andras tymczasem schował się wśród gałęzi jabłonki ze swoją straszliwą tajemnicą: to on zaraził Mátyása chorobą, bawiąc się z nim, choć matka powiedziała mu, żeby trzymał się od niego z daleka. Jeśli Mátyás umrze, będzie to jego wina. Jeszcze nigdy nie czuł się taki samotny. Dotknął ramienia Klary i poczuł, że zdrżała.

– Zmarzłaś.

Pokręciła głową. Następnie wyjęła z małej torebki klucz i obróciła go w zamku, by otworzyć drzwi. Ale jej ręka zaczęła drżeć; odwróciła się i uniosła ku niemu twarz. Nachylił się i musnął ustami kącik jej ust.

– Wejdź – powiedziała. – Na chwilkę.

W skroniach mu łomotało, wszedł za nią do środka. Położył dłoń na jej talii i przyciągnął ją do siebie. Spojrzała na niego wilgotnymi oczami i wtedy uniósł ją lekko i pocałował. Jedną ręką zamknął drzwi, cały czas ją trzymając. Znów ją pocałował. Zdjął cienką kurtkę, rozpiął czarne, błyszczące guziki jej płaszcza, zepchnął go z jej ramion. Stali przy wejściu, a on ją całował – najpierw usta, potem szyję przy dekolcie sukienki, potem zagłębienie pomiędzy piersiami. Rozwiązał czarną wstążkę, którą miała w talii. Sukienka spadła na ziemię, tworząc ciemną kałużę u jej stóp, a ona stała przed nim w różowej halce i pończochach, z czerwono-złotą dalią we włosach. Zanurzył ręce w jej ciemnych lokach i przytulił ją. Znów go pocałowała i wsunęła mu ręce za koszulę. Słyszał siebie wypowiadającego jej imię; znowu pogłaskał paciorki jej kręgosłupa, krągłość bioder. Przywarła do niego. To nie mogła być prawda. To była prawda.

Poszli na górę do jej sypialni. Będzie to pamiętał do końca życia: jak niezręcznie im było tam iść, a on cały czas myślał, że ona zmieni zdanie, jego

niedowierzanie, gdy zdjęła przez głowę różową halkę. Jak szybko poradziła sobie z jego krępującymi podwiązkami do skarpet, źle zacerowanymi skarpetami i bielizną tak znoszoną, że prawie przezroczystą. Lekko zaznaczone krągłości jej ciała tancerki, ślicznie uformowany pępek, cień pomiędzy nogami. Chłodny dotyk pościeli, jej własnej pościeli. Miękkość jej skóry. Jej piersi. Jego pewność, że to wszystko skończy się w jednej krępującej chwili, jak tylko ona dotknie go ręką; jego szalone próby myślenia o czymś innym, gdy to zrobiła. Słowo *baiser* kołaczące mu się po głowie. Niewyobrażalna rozkosz dotykania jej ciała. Szokujące gorąco w niej. W tym momencie wszystko mogło mieć swój kres – Paryż, cały świat – a gdyby się nie przejął, umarłby szczęśliwy, i tak nie znalazłby bardziej wszechobejmującego i świetlistego nieba.

Później leżeli na łóżku, a on patrzył w sufit, na wzór kwiatów i liści. Położyła się na boku z ręką na jego piersi. Aksamitna senność przykuła go do łóżka, jego głowę do jej poduszki. Jej zapach był w jego włosach, na rękach, wszędzie.

– Klara – powiedział. – Czyja umarłem? Jesteś tu jeszcze?

– Jestem – odparła. – Nie umarłeś.

– Co my mamy teraz zrobić?

– Nic – powiedziała. – Poleżymy sobie trochę,

– Dobrze – zgodził się więc i leżał.

Po paru minutach zabrała rękę z jego piersi i odwróciła się, a potem wstała i wyszła z sypialni. Po chwili usłyszał plusk wody, huk i syk piecyka gazowego. Gdy pojawiła się znów w drzwiach sypialni, miała na sobie szlafrok.

– Chodź do wanny – powiedziała.

Nie trzeba go było namawiać. Poszedł za nią do łazienki o białych kafelkach, gdzie do porcelanowej wanny lała się woda. Zrzuciła na ziemię szlafrok i weszła do wody, a on patrzył oniemiały. Mógłby tak stać i patrzeć na jej kąpiel całą noc. Jej obraz wypalił się na jego siatkówce: małe, wysokie piersi; bliźniacze skrzydła bioder; gładka płaszczyzna brzucha. Teraz w elektrycznym świetle łazienki zauważył coś, czego przedtem nie dostrzegł: księżycowatą bliznę z bladymi śladami szwów, tuż ponad trójkątem jej ciemnych włosów. Podszedł, by jej dotknąć. Przesunął dłonią po jej brzuchu aż do blizny i zbadał ją końcami palców.

– To był trudny poród – wyjaśniła Klara. – Skończył się cesarskim cięciem. Ona już wtedy oznaczała dla mnie zbyt wiele.

Andras nagle zobaczył Klarę w wieku piętnastu lat, jak męczy się na metalowym łóżku. Wizja ta dopadła go z siłą rozpędzonego pociągu. Ugięły się pod nim kolana, musiał przytrzymać się o ścianę.

– Wejdź razem ze mną – powiedziała i wyciągnęła do niego rękę. Wszedł do wanny i znurzył się w wodzie. Wzięła myjkę i umyła go od stóp do głów; do zagłębienia w dłoni nalała szamponu i wmasowała mu go we włosy. Potem znowu się kochali, powoli, w wannie, i pokazała mu, jak ją pieścić, a on doszedł do wniosku, że jego życie się skończyło i że już nigdy nie będzie chciał robić nic innego. Potem umył ją, tak jak ona umyła jego, każdy centymetr jej ciała, a potem oszołomieni poszli do łóżka.

Nic nie przygotowało go na to, by choćby snuć fantazje, że można spędzać dni tak, jak oni spędzili następne dziesięć. Później w najczarniejszych chwilach kolejnych lat ciągle wracał do tych dni, aby pamiętać, że gdyby umarł, a śmierć oznaczałaby jakąś bezkształtną ciszę, zamiast drugiego życia, pełnego światła, to przeżył te dni z Klarą Morgenstern.

W czasie ferii nie grano sztuki Brechta. Elisabet miała zostać w Chamonix do drugiego stycznia. Pracownia była zamknięta; zajęcia na uczelni zaczynały się dopiero po Nowym Roku; przyjaciele Andrasa rozjechali się do domów. Pani Apfel pojechała do synowej w Aix-en-Provence. Przestały się nawet pojawiać plakaty o spotkaniach antyżydowskich organizacji. Przez całą dobę ulice były pełne ludzi, którzy albo szli na zakupy, albo na przyjęcia. Klara też dostała zaproszenia na kilka przyjęć, ale odwołała wszystkie spotkania. Andras poszedł na swoje zimne poddasze, by wziąć coś do ubrania i szkicownik, zamknął za sobą drzwi i przeniósł się na rue de Sévigné.

Udali się po zakupy spożywcze: kartofle na placki ziemniaczane, pieczonego kurczaka na zimno, chleb, ser, wino, placek pełen owoców. W sklepie muzycznym na rue Montmartre kupili płyty po pięć franków sztuka – operetki, balety i amerykański jazz. Objuczeni i z pustymi kieszeniami wrócili do mieszkania Klary i tam rozłożyli obozowisko. Tego wieczoru zaczynało się święto Chanuka. Zrobili placki ziemniaczane, wypełniając kuchnię ciężkim zapachem gorącego oleju, i zapalili świece. Kochali się w kuchni, w sypialni i raz, nieporadnie, na schodach. Następnego dnia poszli na łyżwy na drugie lodowisko, to w Lasku Bulońskim, bo mniej było prawdopodobne, że spotkają tam kogoś znajomego. Kolorowo ubrani łyżwiarze odcinali się od szarości popołudnia; na środku lodowiska był oznaczony obszar, gdzie co sprawniejsi mogli

demonstrować piruety. Andras i Klara jeździli, aż im usta posiniały na mrozie. Każdego wieczoru kąpali się razem, każdego ranka budzili się i kochali. Andras otrzymał zdumiewające wykształcenie w dziedzinie doświadczania przyjemności przez istotę ludzką. W nocy, gdy budził się i myślał o Klarze, zachwycało go, że może obrócić się i przytulić do niej. Zaskoczył ją znajomością gotowania, którą zawdzięczał obserwowaniu matki. Umiał zrobić *palacsinta,* cienkie naleśniki z dżemem, czekoladą lub nadzieniem jabłkowym; *paprikás burgonya,* galuszki i czerwoną kapustę z kminkiem. Po południu ucinali sobie cudowne drzemki. W środku dnia kochali się na białym łóżku Klary, podczas gdy za oknem padała marznąca mżawka. Kochali się późnym wieczorem w studiu na dole na dywanikach, które przynosili z góry. Raz, w drodze z kawiarni do domu, kochali się pod ścianą na jakiejś małej uliczce.

Świętowali Nowy Rok na placu Bastylii wraz z tysiącami rozbawionych paryżan. Potem wypili butelkę szampana w salonie i zrobili sobie ucztę z zimnego pasztetu z chlebem, sera i korniszonów. Żadne z nich nie miało ochoty spać, wiedząc, że kolejny dzień będzie już ostatnim z tej serii niemożliwych dni. Gdy przyszedł świt, zamiast iść spać, włożyli płaszcze i czapki i poszli na spacer nad rzekę. Słońce oświetlało złotym blaskiem przypory Notre Dame; ulice pełne były taksówek ze zmęczonymi imprezowiczami jadącymi do domów. Siedzieli na ławce w zmarzniętym ogrodzie na wschodnim końcu Île St.-Louis, całowali się w lodowate ręce, a Andrasowi przypomniał się wiersz Marota, którego nauczył się z profesorem Vago.

D'Anne qui luy jecta de la Neige

Anne (par jeu) me jecta de la Neige
Que je cuidoys froide certainement;
Mais estoit feu, l'expérience en ay– Je;
Car embrasé je fuz soubdainement.
Puis que le feu loge secretement
Dedans la Neige, ou trouveray je place
Pour n'ardre point? Anne, ta seule grace
Estaindre peult le feu que je sens bien,
Non point par Eau, par Neige, ne par Glace,
Mais par sentir une feu pareil au mien.

A gdy ona protestowała przeciwko szesnastowiecznej francuszczyźnie po bezsennej, ale za to zakrapianej alkoholem nocy, wyszeptał jej do ucha inną wersję, spontaniczne węgierskie tłumaczenie tej gorącej wymiany pomiędzy poetą a jego dziewczyną: Anne rzucała, w niego śniegiem i choć śnieg był zimny, jemu było gorąco, bo znalazł się w jej ramionach. Skoro w śniegu potajemnie żyje płomień, jak uniknąć poparzenia? Tylko Anna może utrzymać w ryzach płomień. I to nie wodą ani śniegiem, ani lodem, lecz własnym płomieniem, takim samym jak jego.

Gdy obudził się tego popołudnia, Klara mocno spała u jego boku, z potarganymi włosami. Wstał, włożył spodnie, umył twarz. W głowie pulsował mu ból. Posprzątał w salonie resztki pikniku z poprzedniego wieczoru, zrobił w kuchni kawę, wypił powoli filiżankę czarnej i potarł skronie. Chciał, żeby Klara wstała i była z nim, ale nie zamierzał jej budzić. Umył więc filiżankę i chodził samotnie po mieszkaniu. Po pokoju jadalnym, gdzie jedli razem pierwszy obiad, po salonie, gdzie ją pierwszy raz zobaczył. Dokładniej przyjrzał się łazience z cudownym piecykiem gazowym, gdzie spędzili godziny, kąpiąc się w wannie. W końcu zatrzymał się w holu przed pokojem Elisabet. Ich migracje po mieszkaniu nigdy się tutaj nie skończyły, ale teraz otworzył pchnięciem drzwi. Pokój Elisabet był nadspodziewanie uporządkowany; jej sukienki wisiały miękkim rzędem w otwartej szafie. Dwie pary brązowych butów stały równo poniżej: po lewej karmelowe, po prawej kasztanowe. Na toaletce stała pozytywka z wymalowanymi na pokrywce tulipanami. W srebrną szczotkę do włosów wetknięty był srebrny grzebień. Pusty flakon po perfumach świecił zielono-żółtym światłem. Otworzył górną szufladę: szarawe bawełniane majtki i szarawe bawełniane biustonosze. Kilka chusteczek do nosa. Kilka postrzępionych wstążek do włosów. Złamany suwak logarytmiczny. Całkiem wyciśnięta tubka kleju. Sześć papierosów owiniętych kawałkiem papieru.

Zamknął szufladę i usiadł na małym drewnianym krzesełku obok łóżka. Przyjrzał się żółtej kapie, szmacianej lalce, która trzymała wartę w cichym pokoju, i wyobraził sobie, jak wściekła byłaby Elisabet, gdyby się dowiedziała, co się wydarzyło w czasie jej nieobecności. Choć był w tym mały element triumfu, był też strach; Andras wiedział, że jeśli ona się dowie, w żadnym razie się z tym nie pogodzi. Nie wiedział, jaki wpływ może mieć jej gniew na matkę, ale wiedział, że więzy Klary z Elisabet były o wiele silniejsze niż jej słaba więź z nim. Blizna na brzuchu przypominała mu o tym za każdym razem, gdy się kochali.

Odwrócił się, wyślizgnął z pokoju i poszedł do Klary, wciąż śpiącej w wygniecionej pościeli. Zwinęła się w kłębek wokół jego poduszki. Była naga, nogi zaplątane miała w pierzynę. W srebrnym, północnym świetle zimowego popołudnia widać było cieniutkie zmarszczki w kącikach jej oczu, delikatne oznaki wieku. Kochał ją, pragnął jej, poczuł, że na jej widok znów zaczęła mu żywiej pulsować krew. Wiedział, że oddałby własne życie, by ją chronić. Chciał zabrać ją do Budapesztu, by ukoić straszną ranę, którą jej zadano, cokolwiek to było. Chciał zobaczyć, jak wchodzi do salonu domu na Benczúr utca, chciał włożyć jej dłonie w ręce matki. Czuł łzy w oczach, gdy myślał o tym, że ma tylko dwadzieścia dwa lata, jest studentem i nie może zbyt wiele dla niej zrobić. Życie, które prowadzili przez ostatnie dziesięć dni, nie było prawdziwym życiem. Nie pracowali, nie troszczyli się o nikogo prócz siebie, prawie nie potrzebowali pieniędzy. Pieniądze były jednak dla niego ciągłym zmartwieniem. Upłyną jeszcze lata, nim będzie miał jakiś stały dochód. Jeśli uda mu się skończyć studia, dopiero za cztery i pól roku zostanie architektem. A żył już dość długo i napotkał w życiu tyle trudności, by wiedzieć, że człowiekowi rzadko udaje się zrealizować plany.

Dotknął jej ramienia. Otworzyła szare oczy i spojrzała na niego.

– Co się stało? – zapytała i usiadła na łóżku, owijając się pierzyną.

– Nic się nie stało – odparł, siadając obok niej. – Myślałem po prostu o tym, co będzie dalej.

– Och, Andras – westchnęła i uśmiechnęła się leniwie. – Tylko nie to. To temat, który w tej chwili najmniej mi odpowiada.

Tak to właśnie wyglądało, za każdym razem, gdy któreś z nich zaczynało mówić na ten temat, odsuwali go od siebie, pozwalali mu odpłynąć w niebyt, oddając się kolejnej przyjemności. To wcale nie było trudne. Ich prawdziwe życie zaczynało wyglądać o wiele mniej realnie niż to, które wiedli razem na rue de Sévigné. Teraz jednak ich czas miał się ku końcowi. Nie mogli już dłużej unikać tego tematu.

– Mamy jeszcze sześć godzin – powiedział. – Potem nasze życie zaczyna się na nowo.

Objęła go.

– Wiem.

– Chcę dzielić z tobą wszystko – powiedział. – Prawdziwe życie. Niech mi Bóg dopomoże! Chcę, żebyś była ze mną w dzień i w nocy, każdej nocy. Chcę mieć z tobą dziecko. – Po raz pierwszy powiedział to na głos i czuł, jak krew uderza mu do głowy.

Klara długo milczała. Opuściła ramiona, oparła się o poduszkę, włożyła rękę w jego dłoń,

– Ja już mam dziecko – odparła.

– Elisabet to nie dziecko.

A te wzruszające buty na dnie szafy. Malowana pozytywka na toaletce. Ukryte papierosy.

– Jest moją córką – powiedziała Klara. – Od szesnastu lat żyję dla niej. Nie mogę po prostu zacząć nowego życia.

– Wiem. Ale ja nie mogę przestać cię widywać.

– Może tak byłoby mimo wszystko najlepiej – wyszeptała i odwróciła od niego wzrok. – Może powinniśmy z tym skończyć. Rzeczywistość może wszystko zniszczyć.

Ale czym byłoby jego życie bez niej, teraz, gdy wiedział, co to znaczy być z nią? Miał ochotę się rozpłakać albo chwycić ją za ramiona i mocno nią potrząsnąć.

– Czy cały czas tak myślałaś? – zapytał. – Ze to po prostu zabawa? Że gdy zacznie się znów nasze zwykłe życie, to skończymy z tym?

– Nie zastanawiałam się nad tym, co będzie dalej – przyznała. – Nie chciałam. Ale teraz musimy się nad tym zastanowić.

Wstał, wziął z krzesła spodnie i koszulę. Nie był w stanie na nią spojrzeć.

– Ale po co? Przecież i tak już zdecydowałaś, że to niemożliwe.

– Andras, proszę, nie idź jeszcze.

– Dlaczego miałbym zostać?

– Nie bądź na mnie zły. Nie wychodź w ten sposób.

– Nie jestem zły – powiedział.

Ale skończył się ubierać, wyciągnął walizkę spod łóżka i zaczął pakować te kilka sztuk ubrania, które przyniósł z rue des Écoles.

– Nie wiesz o mnie wszystkiego – powiedziała. – Gdybyś wiedział, być może byś się przestraszył albo odmieniłoby to twoje uczucia do mnie.

– Tak – wtrącił. – Ty też nie wiesz o mnie wszystkiego. Ale co to ma teraz za znaczenie?

– Nie bądź dla mnie okrutny – powiedziała. – Jestem równie nieszczęśliwa jak ty.

Chciał wierzyć, że to prawda, ale nie mógł; on się przed nią otworzył, a ona się wycofała. Włożył resztę rzeczy do walizki, zatrzasnął zamki, podszedł do wieszaka w holu, zdjął z niego płaszcz. Odprowadziła go do schodów i stała tam na bosaka, z gołymi ramionami, owinięta prześcieradłem. Wyglądała jak grecki posąg. Zapiął płaszcz. Nie mógł uwierzyć, że zejdzie ze schodów, a potem wyjdzie przez drzwi, nie wiedząc, kiedy się znów z nią zobaczy. Wyciągnął do niej rękę. Dotknął jej ramienia. Pociągnął za róg prześcieradła tak, że opadło z jej ciała. Stała przed nim naga w półmroku holu. Nie mógł wytrzymać jej widoku, nie mógł jej dotknąć ani pocałować. Zrobił więc to, co przed chwilą wydawało mu się niemożliwe: zszedł ze schodów, na oczach wszystkich tych małych baletnic w ich eterycznych strojach, otworzył drzwi i ją opuścił.

CZĘŚĆ II

Stłuczone szkło

Rozdział dwunasty

Wydarzenia w pracowni

ZAJĘCIA ROZPOCZĘŁY SIĘ W pierwszy styczniowy poniedziałek dwudniowymi warsztatami. W ciągu czterdziestu ośmiu godzin mieli zaprojektować wolno stojący dom o powierzchni pięćdziesięciu metrów kwadratowych z ruchomą ścianą, dwoma oknami, wanną, wnęką kuchenną. Ich zadaniem było przygotowanie elewacji frontowej, rozkładu mieszkania i makiety. Czterdzieści osiem godzin, podczas których nikt, komu zależało na tym projekcie, nie jadł, nie spał ani nie opuszczał pracowni. Dla Andrasa projekt ten stał się lekiem przynoszącym zapomnienie, chłopak czuł, jak czas przeczyszcza mu żyły wyobrażał sobie, jak sprawia, że zapomni dziesięć dni z Klarą. Nachylał się nad powierzchnią deski kreślarskiej i starał się, by to ona stała się mapą jego mózgu. Ocena Gare d'Orsay pozostawiła ślad; poprzysiągł sobie, że nigdy więcej nie zostanie upokorzony przed resztą grupy, przed tym zadowolonym z siebie Lemarkiem i kolegami ze starszych lat. Po trzydziestu godzinach bez snu przyjrzał się swojemu projektowi i stwierdził, że narysował dom rodzinny w Konyárze, z kilkoma jedynie zmianami. Jedna sypialnia, nie dwie. Wanna w domu zamiast cynowej balii w zewnętrznej łazience. Nowoczesna kuchnia w środku. Jedna ze ścian stała się ruchoma; w lecie można było ją otworzyć, by dom był lepiej skomunikowany z ogrodem. Fasada była biała i gładka, z dzielonym oknem. W czasie drugiej bezsennej nocy narysował ruchomą ścianę na planie półkola; gdy była otwarta, tworzyła zacieniony zakątek. W ogrodzie narysował kamienną ławeczkę, okrągły, mieniący się basen. Dom jego rodziców przerobiony na daczę. Obawiał się, że może to absurd, że wszyscy od razu zorientują się, co to jest: projekt chłopaka Hajdú, toporny i prymitywny. Oddał go w ostatniej chwili i ku swojemu zdziwieniu Vago zareagował akceptującym skinieniem głowy i krótką notką pełną pochwał; nawet najbardziej bezwzględni starsi studenci niechętnie chwalili projekt.

W teatrze Sary Bernhardt zdjęli scenografię do *Matki* i prowadzili przesłuchania do *Fuente Ovejuna* Lope de Vegi. Choć Zoltán Novak błagał madame Gérard, ona nie chciała roli w nowej sztuce; zaproponowano jej rolę Lady Makbet w Théâtre des Ambassadeurs, a Novak nie mógł jej tyle samo zapłacić. Andras cieszył się z jej odejścia. Nie był w stanie na nią patrzeć, nie myśląc o Klarze i nie zastanawiając się, czy ona wie, co między nimi zaszło. Dzień przed przeprowadzką do Ambassadeurs pomagał jej pakować garderobę: jej chiński szlafrok, serwis do herbaty, przybory do makijażu, tysiące listów, kartek i prezencików od fanów. Gdy razem pracowali, opowiedziała mu o członkach swojego nowego zespołu, z których dwoje występowało w amerykańskim kinie, a jeden nawet z Helen Hayes w *Grzechu Madelon Claudet.* Nie mógł się skupić, by słuchać. Miał ochotę opowiedzieć jej, co się wydarzyło. Nikomu o tym nie mówił. Czuł, że nawet gdyby zwierzył się kolegom ze studiów, pomniejszyłoby to ich związek i uczyniło go powierzchownym i nietrwałym. Lecz madame Gérard znała Klarę; ona by wiedziała, co to znaczy. Może nawet mogłaby mu dać jakąś nadzieję? Zamknął więc drzwi garderoby i wszystko opowiedział, pomijając jedynie sprawę listu.

Madame Gérard słuchała z powagą. Gdy skończył, wstała i zaczęła chodzić w tę i z powrotem po zielonym dywaniku przed lustrem, jakby próbowała sobie przypomnieć monolog. W końcu odwróciła się i położyła ręce na oparciu swojego krzesła.

– Wiedziałam – rzekła. – Wiedziałam i powinnam była zareagować. Gdy was zobaczyłam w Bois de Vincennes, od razu wiedziałam. Dziewczyna w ogóle cię nie obchodziła. Patrzyłeś tylko na Klarę. To fakt. – Odwróciła od niego oczy i zaśmiała się ponuro. – Choć jestem stara, byłam trochę zazdrosna. Ale nie sądziłam, że będziesz dążył do spełnienia swej miłości.

Andras potarł dłońmi o spodnie.

– Nie powinienem był – powiedział.

– To dobrze, że ona to skończyła – zawyrokowała madame Gérard. – Wiedziała, że to nie jest stosowne. Zaprosiła cię do swego domu, sądząc, że może będziesz przyjacielem jej córki. Trzeba było przestać tam chodzić, gdy zorientowałeś się, że nie dbasz o nią.

– Wówczas było już za późno – odparł. – Nie mogłem przestać.

– Nie znasz Klary. Nie możesz jej znać po paru obiadach i tygodniowym romansie. Nigdy jeszcze nie uszczęśliwiła żadnego mężczyzny. Miała wiele okazji,

by się zakochać. W dodatku, wybacz, w dojrzałych mężczyznach, a nie w studentach pierwszego roku architektury. Nie myśl, że nie miała mnóstwa adoratorów. Jeśli w ogóle bierze mężczyzn na poważnie, to tylko dlatego, że chce wyjść za mąż, czyli chce, by ktoś uczynił jej życie łatwiejszym, zaopiekował się nią. Czego ty, mój drogi, nie jesteś w stanie jej zapewnić.

– Nie trzeba mi o tym przypominać.

– Ktoś jednak powinien, jak widać!

– Ale co teraz? – zapytał. – Nie potrafię udawać, że nic się nie wydarzyło.

– Dlaczego nie? Między wami już koniec. Sam to powiedziałeś.

– Dla mnie to nie koniec. Nie potrafię przestać o niej myśleć.

– Radziłabym ci spróbować – powiedziała madame Gérard. -Znajomość z nią nie przyniesie ci nic dobrego.

– A więc to wszystko? Mam o niej zapomnieć?

– Byłoby najlepiej.

– To niemożliwe.

– Biedaku – powiedziała ze współczuciem madame Gérard. -Przykro mi. Ale dasz sobie radę. Młodzi mężczyźni to potrafią.

Znów zajęła się pakowaniem złotych i srebrnych przyborów, do pudełka z dziesiątkami małych szufladek. Uśmiechnęła się do swoich myśli. Obracając w palcach tubkę różu, odwróciła się do niego.

– Przystąpiłeś do znakomitego klubu, teraz gdy Klara z tobą zerwała. Większości panów nie udaje się tak daleko zajść.

– Błagam – zaoponował. – Nie mogę słuchać, jak pani tak o niej mówi.

– To wszystko przez ojca tej dziewczyny. Myślę, że wciąż go kocha.

– Ojca Elisabet? – zapytał. – On tu jest, w Paryżu? Wciąż się z nim widuje?

– O nie. Zmarł wiele lat temu, o ile wiem. Ale, jak być może się jeszcze przekonasz, śmierć nie stanowi przeszkody dla miłości.

– Kim był?

– Niestety, nie wiem. Klara utrzymuje swoją historię w tajemnicy.

– A więc to beznadziejne. Mam z niej zrezygnować, bo jest zakochana w nieżyjącym mężczyźnie.

– Pozwól, żeby to pozostało tym, czym było, pięknym epizodem. Zaspokojeniem wzajemnej ciekawości.

– Dla mnie było czymś więcej.

Przekrzywiła głowę i posłała mu ten swój okropny wszystkowiedzący uśmiech.

– Obawiam się, że nie jestem odpowiednią osobą do udzielania porad miłosnych, chyba że chcesz stracić romantyczne złudzenia.

– Niech mi pani wybaczy, że zostawię ją samą z tym pakowaniem.

– Nie ma potrzeby prosić o wybaczenie, mój drogi.

Wstała, pocałowała go w oba policzki i odprowadziła na korytarz. Nie miał wyboru, musiał wrócić do własnej pracy. W cichej konsternacji żałował, że w ogóle jej o wszystkim opowiedział.

Wielką ulgą dla niego i zarazem wspaniałą wiadomością był telegram z Budapesztu z informacją, że przyjeżdża Tibor. Jego zajęcia w Modenie miały się zacząć pod koniec stycznia, ale zanim uda się do Włoch, miał przyjechać na tydzień do Paryża. Gdy telegram przyszedł, Andras wykrzyczał dobrą wiadomość na klatce schodowej w swojej kamienicy tak głośno, że konsjerżka wyszła upomnieć go, by nie przeszkadzał innym lokatorom. Uciszył ją, całując w czoło i pokazując telegram: przyjeżdża Tibor! Tibor, jego starszy brat. Konsjerżka wyraziła nadzieję, że ten starszy brat nauczy Andrasa manier, i zostawiła go w holu, by sam cieszył się nowiną. Andras nie wspominał o Klarze w listach do Tibora, ale czuł się tak, jakby brat wiedział, jakby się domyślał, że Andras jest w rozpaczy, i właśnie dlatego postanowił przyjechać.

Niecierpliwe wyczekiwanie wizyty – najpierw odległej o trzy tygodnie, potem dwa, a potem tydzień – dawało mu energię, by rano iść na zajęcia, a potem do pracy. Teraz, gdy *Matka* zeszła już z afisza i nie było madame Gérard, popołudnia u Sary Bernhardt niemiłosiernie się ciągnęły. Zorganizował wszystko za kulisami tak sprawnie, że nie miał zbyt wiele roboty w czasie, gdy aktorzy prowadzili próby; chodził w tę i z powrotem, bojąc się coraz bardziej, że monsieur Novak zorientuje się, że nie jest już potrzebny. Pewnego popołudnia, po tym, gdy nadzorował dostawę drewna na scenografię do *Fuente Ovejuna,* podszedł do stolarza i zaproponował mu pomoc przy jej budowaniu. Stolarz dał mu coś do

roboty. W ciągu tego popołudnia Andras zbijał z desek panele; po godzinach studiował projekt nowej scenografii. Był to inny rodzaj architektury, chodziło tu przede wszystkim o iluzję i wrażenia: spłaszczona perspektywa, by wnętrza wyglądały na głębsze, ukryte drzwi, przez które aktorzy mogli pojawiać się lub znikać, fragmenty, które można było obrócić tyłem do przodu, by stworzyć całkiem nowe miejsce. Wieczorami przed zaśnięciem zaczaj się zastanawiać nad scenografią, próbując nie myśleć o Klarze. Fasady kamieniczek mających przedstawiać hiszpańskie miasto mogłyby zostać umieszczone na kółkach i być obracane, gdy w danej scenie potrzebne były ich wnętrza. Wykonał kilka szkiców, by pokazać, jak by to mogło wyglądać, a następnie rozrysował projekt w serii rysunków technicznych. W drugim tygodniu pracy w charakterze asystenta stolarza pokazał majstrowi swoje rysunki. Ten zapytał go, czy sądzi, że ma milionowy budżet. Andras powiedział, że kosztowałoby to mniej niż budowa dwóch osobnych wnętrz. Stolarz podrapał się po głowie i powiedział, że musi porozumieć się ze scenografem. Scenograf, wysoki mężczyzna o okrągłych ramionach, z krzywo przyciętym wąsikiem i monoklem, przyjrzał się projektowi i zapytał, dlaczego Andras wciąż pracuje jako popychadło. Czy chciałby zarabiać trzy razy więcej? Scenograf miał niezależny warsztat na rue des Lombards i zwykle zatrudniał asystenta, ale ten ostatni skończył właśnie Beaux-Arts i przyjął propozycję pracy poza stolicą.

Andras oczywiście chciał pracować. Z drugiej strony Zoltán Novak uratował mu życie. Nie mógł po prostu porzucić teatru Sary Bernhardt. Wziął wizytówkę scenografa i gapił się na nią cały wieczór, zastanawiając się, co począć.

Następnego ranka poszedł do gabinetu Novaka, by z nim o tym porozmawiać. Gdy zapukał, długo trwała cisza, a potem dało się słyszeć skłócone męskie głosy. Drzwi otworzyły się gwałtownie i pojawili się dwaj mężczyźni w garniturach z tenisu, z teczkami w rękach i zaczerwienionymi twarzami, jakby Novak obraził ich w najgorszy sposób. Włożyli kapelusze i wyszli, mijając Andrasa bez skinienia głowy ani nawet spojrzenia. W gabinecie stał Novak z rękami opartymi na biurku, patrząc, jak ci dwaj oddalają się korytarzem. Gdy zniknęli, wyszedł zza biurka i nalał sobie szklankę whisky z karafki stojącej na stoliku pod ścianą. Spojrzał przez ramię na Andrasa i wskazał szklankę. Andras uniósł dłoń i pokręcił głową.

– Nalegam – powiedział Novak, nalał whisky i dodał nieco wody.

Andras jeszcze nie widział, by Novak pił alkohol przed zmierzchem. Wziął od niego szkło i usiadł w jednym ze starych skórzanych foteli.

– *Egészségedre.* – Novak wzniósł szklankę, opróżnił ją i postawił na biurku. – Zgadnij, kim byli ci ludzie, którzy przed chwilą wyszli.

– Nie mam pojęcia – odparł Andras. – Ale wyglądali dość ponuro.

– To nasi ludzie od finansów. Ci sami, którzy zawsze jakoś przekonywali miasto, by nie zamykało teatru.

– I?

Novak usiadł w fotelu i splótł ręce przed sobą.

– Pięćdziesiąt siedem osób – powiedział. – Tyle muszę dziś zwolnić według nich. W tym siebie i ciebie.

– To znaczy wszystkich.

– Otóż to – odparł. – Zamykają nas. Przynajmniej do następnego sezonu. Nie mogą już dłużej dopłacać, mimo że jesienią osiągnęliśmy zysk. *Matka* zarobiła najwięcej ze wszystkich paryskich przedstawień. Ale to nie wystarczy. Ten teatr jest workiem bez dna. Czy wiesz, ile kosztuje ogrzanie pięciu kondygnacji otwartej przestrzeni?

Andras wypił whisky i poczuj jak fałszywe ciepło rozchodzi mu się po piersi.

– To co pan zrobi?

– A co ty byś zrobił? Co zrobiliby aktorzy? A pani Courbet? A Claudel, Pély i pozostali? To katastrofa. Nie jesteśmy w dodatku jedyni. Zamykają cztery teatry.

Usiadł wygodniej w fotelu i palcem przesunął po wąsach, patrząc na półki z książkami.

– Nie jestem pewien, co zrobić. Pani Novak jest w niezbyt dobrej formie, jak to mówią. Tęskni za rodzicami, którzy są w Budapeszcie. Jestem pewien, że przyjmie to jako znak, że mamy wracać do domu.

– A pan wolałby zostać – domyślił się Andras.

Novak westchnął głęboko szeroką piersią.

– Rozumiem, co czuje Edith. To nie jest nasz dom. Wygospodarowaliśmy sobie kącik, ale nic tu nie należy do nas. Jesteśmy przecież Węgrami, a nie Francuzami.

– Gdy spotkałem pana w Wiedniu, wydawało mi się, że nikt nie wygląda bardziej parysko.

– Teraz rozumiesz, jakim byłeś żółtodziobem – odparł Novak, uśmiechając się ponuro. – Ale co będzie z tobą? Musisz przecież zapłacić za studia.

Andras opowiedział mu o propozycji pracy jako asystent scenografa monsieur Forestiera i dodał, że właśnie w tej sprawie przyszedł prosić o radę. Novak złożył razem ręce i klasnął z aprobatą.

– Byłoby szkoda cię stracić, ale to znakomita możliwość i otwiera się w odpowiednim czasie. Oczywiście musisz ją przyjąć.

– Nie wiem, jak panu dziękować za to, co pan dla mnie zrobił -powiedział Andras.

– Dobry z ciebie chłopak. Ciężko tu pracowałeś. Nigdy nie żałowałem, że cię zatrudniłem.

Wychylił resztę whisky i popchnął szklankę po biurku w stronę Andrasa.

– Nie nalałbyś mi jeszcze? Muszę iść i powiadomić resztę. Mam nadzieję, że przyjdziesz jutro do pracy. Będzie dużo roboty przy zamykaniu teatru. Musisz powiedzieć Forestierowi, że nie mogę cię zwolnić przed końcem miesiąca.

– Jutro przyjdę jak zwykle.

Tego wieczoru szedł do domu z przerażającym poczuciem pustki. Nie będzie już teatru Sary Bernhardt, nie będzie widywał monsieur Novaka ani Claudela, ani Pély'ego, ani Marcelle Gérard. Nie będzie też widywał Klary. Klary też nie. Biała, twarda skorupka jego życia pękła i się rozsypała. Był lekki i pusty w środku, wszystko uleciało. Pusty i lekki na styczniowym wietrze, dryfował w stronę domu. Na rue des Écoles 34 ruszył schodami na górę – ile tych niekończących się stopni było? – czując, że nie ma dość energii, by pouczyć się jeszcze przed zaśnięciem ani nawet umyć twarz i się rozebrać. Chciał tylko położyć się tak, jak stał, w spodniach, w butach, w płaszczu, naciągnąć na głowę pierzynę i przetrwać jakoś godziny do świtu. Gdy znalazł się jednak na górze, zauważył cienką linię światła pod swoimi drzwiami i kiedy położył rękę na klamce, okazało się, że drzwi są otwarte. Pchnął je na oścież. W kominku płonął ogień, na stole było wino i chleb, a na jedynym krześle siedziała z książką w rękach Klara.

– *Te* – powiedział. Ty.

-I ty – powiedziała.

– Jak tu weszłaś?

– Powiedziałam konsjerżce, że są twoje urodziny. Powiedziałam, że chcę ci zrobić niespodziankę.

– A co powiedziałaś swojej córce?

Spojrzała na okładkę książki.

– Powiedziałam jej, że idę zobaczyć się z przyjacielem.

– Szkoda, że to nieprawda.

Wstała, podeszła do niego i położyła mu ręce na ramionach.

– Proszę cię, Andras. Nie rozmawiaj ze mną w ten sposób.

Odsunął się od niej, zdjął płaszcz i szalik. Wydawało mu się, że przez bardzo długą chwilę nie potrafi wydobyć z siebie głosu; podszedł do kominka i założył ręce na piersi, patrząc na walącą się piramidę rozżarzonego węgla.

– Dla mnie trudne było choćby to, że nie wiedziałem, czy w ogóle cię jeszcze zobaczę – zaczął. – Powiedziałem sobie, że koniec z nami, ale nie byłem w stanie sam siebie o tym przekonać. Wreszcie zwierzyłem się Marcelle. Była miła i powiedziała mi, że nie jestem osamotniony w tej biedzie. Twierdzi, że wstąpiłem do wspaniałego klubu mężczyzn, których rzuciłaś.

Jej szare oczy pociemniały.

– Rzuciłam? Czy uważasz, że to właśnie zrobiłam?

– Rzuciłaś, zerwałaś, odeszłaś, chyba nieważne, jak to nazwiemy.

– Doszliśmy do wniosku, że to niemożliwe.

– Ty doszłaś do takiego wniosku.

Podeszła do niego i przeciągnęła rękoma po jego ramionach, a gdy podniosła na niego wzrok, zobaczył, że ma w oczach łzy. Ku swojemu przerażeniu poczuł, że jego też szczypią oczy. Oto stała przed nim Klara, ta, której imię wiózł ze sobą z Budapesztu; Klara, której głos słyszał we śnie.

– Czego ty chcesz? – powiedział do jej włosów. – Co ja mam teraz zrobić?

– Jestem nieszczęśliwa – powiedziała. – Nie mogę z tym skończyć. Chcę cię znać, Andras.

– A ja chcę poznać ciebie – odparł. – Nie lubię sekretów.

Mówiąc to, wiedział jednak, że tajemnice czynią ją jeszcze bardziej pociągającą; choć to, że nie mógł jej do końca poznać, było swoistą torturą, ta świadomość, że są jakieś pokoje poza tymi, w których go przyjmuje.

– Będziesz musiał mieć do mnie cierpliwość – powiedziała, – Postaraj się, abym ci zaufała.

– Potrafię być cierpliwy – odparł.

Przyciągnął ją do siebie tak blisko, że poczuł napór jej miednicy; miał ochotę sięgnąć w głąb jej ciała i chwycić ją za kości.

– Claire Morgenstern – powiedział. – Klárika.

Będzie moją zgubą, pomyślał. Ale nie mógł jej odrzucić, tak jak nie można oddzielić geometrii od architektury, zimna ze styczniowego dnia ani zimowego nieba z widoku za oknem. Pochylił się i pocałował ją. A potem po raz pierwszy wziął ją do swojego łóżka.

Gdy następnego ranka wyszedł z domu, świat wyglądał zupełnie inaczej. Zniknęła drętwota tygodni spędzonych bez Klary. Znów stał się człowiekiem, znów czuł, że składa się z krwi i kości, i ona też. Wszystko błyszczało przesadnie w zimowym słońcu; każdy szczegół ulicy rzucał mu się w oczy, jakby widział go po raz pierwszy. Jak to się stało, że dotąd nie zauważył, że światło pada na nagie gałęzie lip przed jego domem, że załamuje się i rozprasza na mokrych kamieniach bruku, odbija się ostrymi jak igły promieniami od wypolerowanych mosiężnych klamek na drzwiach przy jego ulicy? Rozkoszował się stukotem własnych obcasów na chodniku, zakochał się w widoku zamarzniętej fontanny w Ogrodzie Luksemburskim. Najchętniej wyraziłby na głos wdzięczność za piękny, długi korytarz bulwaru Raspail, który codziennie wskazywał mu drogę wzdłuż kamienic z epoki Haussmanna do granatowych drzwi École Spéciale.

Zachwycił się pustym dziedzińcem skąpanym w zimowym świetle, z pustymi zielonymi ławkami, zamarzniętymi trawnikami, ścieżkami mokrymi od roztopionego śniegu. A siedzący na gałęzi ptak z nakrapianą piersią wyraźnie powtarzał: Klara, Klara.

Wbiegł po schodach do pracowni i zaczął szukać nowego projektu, który robili wspólnie z Polanerem. Pomyślał, że poświęci mu chwilę czasu, nim pójdzie do gabinetu Vago na poranną lekcję francuskiego. Projektu jednak nigdzie nie było. Pewnie Polaner zabrał go ze sobą do domu. Wziął więc książkę ze słownictwem architektonicznym, którego miał się uczyć tego poranka z Vago, i

zbiegł do toalety. Pchnął drzwi i zaczął po omacku szukać kontaktu. Z przeciwległego końca pomieszczenia dobiegł go jakiś niski chrapliwy jęk.

Andras zapalił światło. Ktoś siedział na betonowej podłodze, pod ścianą za pisuarami i umywalkami, ciasno zwinięty w literę G.

Nieduża postać mężczyzny w aksamitnej marynarce. Przed nim leżały rysunki projektu, pogniecione i podeptane butami.

– Polaner?

Znów ten odgłos. Chrapliwy jęk. A potem wymówiono jego imię.

Andras podszedł i ukląkł obok na betonie. Polaner nie patrzył na Andrasa, może nie mógł. Jego twarz był ciemna od sińców, nos złamany, oczy schowane w fałdach fioletowej skóry. Trzymał kolana pod brodą.

– Mój Boże – powiedział Andras. – Co się stało? Kto to zrobił?

Cisza.

– Nie ruszaj się – polecił i z trudem wstał.

Odwrócił się i wybiegł z łazienki, dalej przez dziedziniec, po schodach do gabinetu Vago. Otworzył drzwi bez pukania.

– Lévi, co się dzieje, u licha?

– Eli Polaner został pobity prawie na śmierć. Jest w męskiej toalecie na parterze.

Pobiegli na dół. Vago próbował zbadać Polanera, ale ten nie chciał podnieść głowy ani się wyprostować. Andras błagał go. Gdy w końcu odsłonił twarz, Vago aż jęknął. Polaner zaczął płakać. Jeden dolny ząb został wybity; splunął krwią na beton.

– Zostańcie tu obaj – powiedział Vago. – Idę zadzwonić po karetkę.

– Nie – zaprotestował Polaner. – Tylko nie karetka.

Ale Vago już wybiegł, trzaskając drzwiami prowadzącymi na dziedziniec. Polaner przetoczył się na plecy, ramiona opadły mu bezwładnie. Pod aksamitną marynarką miał rozdartą koszulę; ktoś napisał coś czarnym tuszem na jego piersi.

Feygele. Żydowski pedzio.

Andras dotknął rozdartej koszuli, napisu. Polaner się wzdrygnął.

– Kto to zrobił?

– Lemarque – odparł Polaner, a potem wymamrotał coś, czego Andras dobrze nie usłyszał i nie potrafił zrozumieć: – *J'étais coin...*

– *Tu étais quoi?*

– *J'étais coincé* – powiedział Polaner i powtórzył jeszcze, by Andras zrozumiał. Złapali go w pułapkę. Wyprowadzili go w pole. Szepnął: -Prosił, żebym się z nim tu spotkał. I przyszedł tu z trzema innymi.

– Żebyś się z nim tu spotkał w nocy? – zapytał Andras. – Żeby pracować nad projektem?

– Nie. – Polaner spojrzał na niego pobitymi i zapuchniętymi oczami, – Nie po to, żeby pracować.

Feygele.

Nie od razu zrozumiał. Spotkanie w nocy: randka. A więc to wcale nie przyszła polska narzeczona pisząca do niego listy sprawiła, że Polaner nie interesował się paryskimi kobietami.

– O mój Boże – westchnął Andras. – Zabiję go. Wbiję mu zęby do gardła.

Vago wszedł z apteczką. Grupka studentów zebrała się pod drzwiami toalety.

– Proszę odejść – krzyknął przez ramię, ale studenci stali w miejscu. Brwi Vago zbliżyły się do siebie w kształt litery „V". – Natychmiast! – wrzasnął.

Cofnęli się, wymieniając cicho jakieś uwagi. Drzwi się zatrzasnęły. Vago ukląkł na podłodze obok Andrasa i położył rękę na ramieniu Polanera.

– Już jedzie karetka – powiedział. – Wyliżesz się z tego.

Polaner zakaszlał, splunął krwią. Próbował jedną ręką owinąć się koszulą, ale okazało się to dla niego zbyt dużym wyzwaniem; ramię opadło mu na betonową podłogę.

– Powiedz mu – powiedział Andras.

– Co ma mi powiedzieć? – zapytał Vago.

– Kto to zrobił.

– Inny student? – domyślił się Vago. – Stanie przed komisją dyscyplinarną. Zostanie wydalony z uczelni. Wytoczymy mu sprawę.

– Nie, nie – jęknął Polaner. – Gdyby moi rodzice się dowiedzieli…

W tym momencie Vago zauważył napis na piersi Polanera. Opadł na pięty i zakrył usta ręką. Przez długi czas nie odezwał się ani nie poruszył.

– No dobrze – powiedział w końcu. – Dobrze.

Odsunął strzęp koszuli Polanera, by przyjrzeć się jego obrażeniom. Pierś i brzuch były czarne od sińców. Andras nie mógł na to patrzeć. Naszły go mdłości i musiał pochylić się nad jedną z porcelanowych umywalek. Vago zdjął marynarkę i przykrył nią Polanera.

– Dobrze – powtórzył. – Pojedziesz do szpitala i tam się tobą zajmą. Później zajmiemy się resztą.

– Nasz projekt – powiedział Polaner, dotykając pogniecionych arkuszy.

– Nie martw się tym – powiedział Vago. – Coś poradzimy.

Pozbierał arkusze i podał je ostrożnie Andrasowi, jakby była szansa ich uratowania. Potem, słysząc sygnał karetki na zewnątrz, pobiegł dać wskazówki sanitariuszom, jak trafić do męskiej toalety. Dwaj mężczyźni w białych fartuchach wnieśli nosze; Polaner zemdlał z bólu, gdy go dźwignęli. Andras przytrzymał drzwi, gdy wynosili chłopca na dziedziniec. Na zewnątrz zebrał się tłum. Studenci przybywali na poranne zajęcia i wiadomość szybko się rozeszła. Sanitariusze musieli przeciskać się przez tłum, niosąc Polanera wzdłuż kamiennej ścieżki.

– Nie ma się na co gapić! – krzyczał Vago. – Wracajcie do swoich sal.

Ale zajęcia się jeszcze nie zaczęły; była dopiero za piętnaście ósma. Odwrócili się i rozeszli dopiero wtedy, gdy sanitariusze wnieśli Polanera do karetki. Andras stał przy drzwiach na dziedziniec, trzymając projekty Polanera jak ciało chorego zwierzęcia. Vago położył mu rękę na ramieniu.

– Chodź do mojego gabinetu – powiedział.

Andras ruszył za nim. Wiedział, że to ten sam dziedziniec, po którym przeszedł tego ranka, z tą samą pokrytą szronem trawą i zielonymi ławkami, z tymi samymi mokrymi ścieżkami lśniącymi w słońcu. Wiedział, ale nie był w stanie tego dostrzec. Był wstrząśnięty tym, że w ciągu kwadransa piękno na tym świecie może zmienić się w brzydotę.

W gabinecie Vago opowiedział Andrasowi o innych przypadkach. W ubiegłym roku w lutym ktoś zrobił szablon ze słów „brud” i „świnie” i naniósł je

na projekty końcowe grupy żydowskich studentów piątego roku; wiosną student z Wybrzeża Kości Słoniowej został w nocy wyciągnięty z pracowni i pobity na cmentarzu za szkołą. Ten student też miał obraźliwy, rasistowski napis na piersi. Żaden ze sprawców nie został zidentyfikowany. Gdyby Andras miał jakieś informacje, pomógłby im wszystkim.

Andras się wahał. Siedział na swoim zwykłym miejscu, na stołku, pocierając kciukiem ojcowski zegarek.

– A co będzie, jeśli ich zidentyfikują?

– Zostaną przesłuchani. Podejmiemy wobec nich kroki dyscyplinarne i prawne.

– A ich koledzy tymczasem zrobią coś jeszcze gorszego. Będą przecież wiedzieli, że to Polaner doniósł.

– Lepiej nic nie robić? – zapytał Vago.

Andras puścił zegarek w czeluść kieszeni. Zastanawiał się, co ojciec poradziłby mu w takiej sytuacji. Co Tibor by mu kazał zrobić. Nie było nad czym dumać: obaj uznaliby go za tchórza, gdyby się wahał.

– Polaner wspomniał o Lemarque'u – powiedział szeptem, a potem powtórzył nazwisko głośniej. – Lemarque i paru innych. Nie wiem, kto jeszcze.

– Fernand Lemarque?

– Tak mówił Polaner – odparł Andras i powtórzył Vago wszystko, o czym wiedział.

– Dobrze – powiedział Vago. – Porozmawiam z Perretem. A tymczasem... – Otworzył książkę ze słownictwem architektonicznym na stronie z rysunkami różnych struktur dachu, z pionowymi *poinçons,* z ich przyporami *contre-fiches* i podobnymi do żeber *arbalétriers.* – Siedź tu i ucz się – polecił, zostawiając Andrasa samego w gabinecie.

Andras oczywiście nie był w stanie się skupić, nie mógł wyrzucić ze swoich myśli widoku Polanera na podłodze, czarnego napisu na jego piersi, pogniecionych arkuszy projektu. Andras znał desperację i samotność, wiedział, jak to jest być oddalonym o tysiące kilometrów od domu, wiedział, co znaczy nosić w sobie tajemnicę. Ale jak bardzo nieszczęśliwy musiał być Polaner, by wyobrazić sobie, że Lemarque może być jego kochankiem? Że mógłby dzielić z nim intymną chwilę nocą, w męskiej toalecie?

Nie minęło pięć minut i do gabinetu Vago wpadł Rosen z czapką w ręku. Za nim stał Ben Yakov, speszony, jakby próbował powstrzymać Rosena przed tym wtargnięciem.

– Gdzie jest ten mały łajdak?! – krzyknął Rosen. – Gdzie on jest, ten fałszywy drań? Jeśli go tu ukrywają, daję słowo, że pozabijam ich wszystkich!

Od strony gabinetu Perreta nadbiegł Vago.

– Trochę ciszej – powiedział. – To nie piwiarnia. Gdzie jest kto?

– Pan wie kto – odparł Rosen. – Fernand Lemarque. To on powtarza szeptem *sale Juif*. On też rozwiesił plakaty Front de la Jeunesse. Widział je pan: „Młodzieży Francji! Spotykajmy i łączmy się!". I tym podobne bzdury, akurat w Salle des Sociétés Savantes, kto by pomyślał! Przecież to ruch antyparlamentarny, antysemicki i w ogóle anty. On jest jedną z ich marionetek. To cała grupa. Z trzeciego roku, piątego. Stąd, z Beaux-Arts i innych szkół w całym Paryżu. Wiem, bo byłem na ich spotkaniach. Wiem, co chcą nam zrobić.

– Dobrze – powiedział Vago. – Może opowie mi pan o tym po zajęciach w pracowni.

– Po zajęciach w pracowni! – Rosen splunął na podłogę. – Właśnie że teraz! Chcę opowiedzieć o tym policji.

– Już zawiadomiliśmy policję.

– Gówno prawda! Nikogo nie zawiadomiliście. Nie chcecie skandalu.

Teraz korytarzem nadciągnął sam Perret w furkoczącej pelerynie.

– Dość – powiedział. – Zajmiemy się tym. Proszę się udać na zajęcia do pracowni.

– Nie mam zamiaru – oświadczył Rosen. – Sam znajdę tego łajdaka.

– Młody człowieku – powiedział Perret. – Są pewne aspekty tej sprawy, których pan nie rozumie. Nie jest pan kowbojem, a to nie jest Dziki Zachód. Ten kraj ma wymiar sprawiedliwości, który został już powiadomiony. Jeśli nie ściszy pan głosu i nie zacznie zachowywać się jak dżentelmen, zostanie pan relegowany ze szkoły.

Rosen odwrócił się i zszedł po schodach, przeklinając pod nosem. Andras i Ben Yakov podążyli za nim do pracowni; Vago dołączył do nich dziesięć minut później. O dziewiątej rozpoczęły się zajęcia, kontynuacja wczorajszego tematu, jakby projekt *maison particulier* był jedyną sprawą wartą uwagi.

Tego popołudnia Andras, Rosen i Ben Yakov odnaleźli Polanera w długiej i wąskiej sali szpitalnej, napełnionej zimowym światłem. Leżał na wysokim łóżku, z nogami na poduszkach, z nosem w gipsie, z ciemnofioletowymi wysiękami pod oczami. Trzy złamane żebra. Złamany nos. Rozległe obrażenia całego ciała. Symptomy wewnętrznego krwawienia – spuchnięty brzuch, niestabilne tętno i temperatura, wylewy podskórne. Objawy wstrząsu. Symptomy wyziębienia organizmu. Tyle im powiedział lekarz. Na wykresie w nogach łóżka można było sprawdzić temperaturę, tętno i ciśnienie krwi mierzone co piętnaście minut. Gdy otoczyli łóżko, otworzył spuchnięte powieki, wymówił dziwne polskie imiona i stracił przytomność. Przyszła pielęgniarka z dwoma termoforami, które włożyła Polanerowi pod prześcieradło. *Zmierzyła,* mu tętno, ciśnienie krwi i temperaturę i naniosła wyniki na kartę.

– Jak on się czuje? – zapytał Rosen, wstając.

– Jeszcze nie wiemy – odparła.

– Nie wiecie? Czy to jest szpital? Czy pani jest pielęgniarką? Czy nie na tym polega pani praca, żeby wiedzieć?

– Daj spokój, Rosen – zaoponował Ben Yakov. – To nie jej wina.

– Chciałbym porozmawiać z lekarzem.

– Obawiam się, że ma teraz obchód.

– Na miłość boską. To nasz przyjaciel. Chcę się tylko dowiedzieć, czy z nim bardzo źle.

– Żałuję, że nie potrafię tego stwierdzić.

Rosen usiadł z powrotem i zakrył twarz rękami. Poczekał, aż pielęgniarka się oddaliła.

– Słowo daję! – powiedział. – Słowo daję, jak tylko złapię tych drani! Nie obchodzi mnie, co ze mną będzie. Nie obchodzi mnie, czy mnie wyrzucą ze szkoły. Pójdę do więzienia, jeśli będzie trzeba. Ale oni pożałują, że się urodzili.

Podniósł wzrok na Andrasa i Bena Yakova.

– Pomożecie mi ich znaleźć?

– Po co? – spytał Ben Yakov. – Żeby pogruchotać im czaszki?

– Och, przepraszam – syknął Rosen. – Nie możesz przecież ryzykować, że złamią ci twój przepiękny nos.

Ben Yakov wstał i złapał Rosena za koszulę na piersi.

– Myślisz, że mi przyjemnie patrzeć na niego w takim stanie? -zapytał. – Myślisz, że sam nie chciałbym ich zabić?

Rosen wyrwał się z uścisku Bena Yakova.

– Nie tylko o niego chodzi. Ludzie, którzy mu to zrobili, nam zrobiliby to samo.

Wziął płaszcz i przewiesił go przez ramię.

– Wszystko mi jedno, czy pójdziecie ze mną, czy nie. Idę ich szukać, a gdy znajdę, odpowiedzą za to, co zrobili.

Wcisnął czapkę na głowę i poszedł w stronę wyjścia z oddziału.

Ben Yakov z ręką na karku przyglądał się Polanerowi. Potem westchnął i usiadł obok Andrasa.

– Spójrz na niego. Boże, po co on spotykał się z Lemarkiem po nocy? Co on sobie wyobrażał? Chyba nie jest... no wiesz, tym, co mówili?

Andras przyglądał się, jak z każdym oddechem porusza się pierś Polanera – ledwo unosząc prześcieradło.

– A gdyby był? – zapytał.

– Wierzysz w to? – Ben Yakov pokręcił głową.

– To nie jest niemożliwe.

Ben Yakov wsparł podbródek na ręku i gapił się na poręcz łóżka. Przez chwilę wcale nie był podobny do Pierre'a Fresnaya. Oczy miał spuchnięte i wilgotne, usta ułożyły się w nierówny grymas.

– Kiedyś – zaczął – gdy mieliśmy się spotkać z tobą i Rosenem w kawiarni, Polaner powiedział coś na temat Lemarque'a. Powiedział, że nie uważa go tak naprawdę za antysemitę, że niby on nienawidzi siebie samego, a nie Żydów. Że musi udawać przed innymi, aby otoczenie nie zorientowało się, kim naprawdę jest.

– A ty co na to odpowiedziałeś?

– Że Lemarque może się wypchać.

– Ja bym zareagował tak samo,

– Nie – zaprotestował Ben Yakov. – Ty byś go wysłuchał. I miałbyś mu do powiedzenia coś mądrego. Zapytałbyś go, dlaczego tak myśli.

– On jest bardzo zamkniętą osobą – powiedział Andras. -Być może wcale nie powiedziałby więcej, nawet gdybyś spytał.

– Ale czułem, że coś jest nie tak. Ty też pewnie to zauważyłeś. Pracowaliście razem nad projektem. Każdy widział, że on źle spał i był taki cichy, gdy w pobliżu kręcił się Lemarque. Bardziej milczący niż zwykle.

Andras nie wiedział, co odrzec. W ostatnim czasie był pochłonięty myślami o Klarze, o zbliżającej się wizycie Tibora, o własnej pracy. Był świadom stałej obecności Polanera w swoim życiu, wiedział, że Polaner jest przyczajony i ostrożny, widywał go też pogrążonego w myślach, ale do głowy mu nie przyszło, że on może mieć w życiu prywatnym problemy równie poważne jak on sam. Skoro romans z Klarą był dla niego tak trudnym przeżyciem, to co mówić o skrywanym przed otoczeniem uczuciu Polanera do Lemarque'a? Nie zastanawiał się przedtem, jak to jest być mężczyzną, który woli mężczyzn. W Paryżu było mnóstwo chłopców zachowujących się jak dziewczyny i dziewcząt przypominających mężczyzn. Wszyscy wiedzieli, gdzie są słynne kluby i bale, gdzie się spotykają: Magic-City, Monocle, Bal de la Montagne-Sainte-Geneviève. Ten świat jednak wydawał się Andrasowi obcy. Czy stykał się z nim w ogóle w swoim życiu? W gimnazjum niektórzy chłopcy pielęgnowali swoje przyjaźnie, które wydawały się pokrewne miłości z jej zdradami i intrygami; bywało też, że razem z kolegami z klasy stali rzędem w ciemności, z szortami wokół kostek, i razem się onanizowali. Był w szkole jeden chłopak, o którym mawiano, że kocha chłopców – Willi Mandl, szczupły blondyn, który grał na pianinie, nosił białe haftowane skarpetki; ktoś go kiedyś widział w sklepie z używaną odzieżą, jak w zamyśleniu głaszcze damską torebkę z niebieskiego jedwabiu. Ale wszystko należało do mglistego świata dzieciństwa i w żaden sposób nie oddziaływało na jego obecne życie.

Chory otworzył oczy i spojrzał na Andrasa. Andras dotknął rękawa Bena Yakova.

– Polaner – powiedział Andras. – Słyszysz mnie?

– Są tam? – spytał Polaner niewyraźnie.

– My tu jesteśmy – odpowiedział mu András. – Śpij spokojnie. Będziemy przy tobie.

Rozdział trzynasty

Gość

OSTATNI RAZ ANDRAS był na Gare du Nord we wrześniu, gdy przyjechał pociągiem z Budapesztu. Teraz, w końcu stycznia, kiedy czekał na peronie na przyjazd Tibora, aż trudno mu było uwierzyć, jak wielki bagaż ignorancji przywlókł ze sobą do Paryża tych parę miesięcy temu. Nie miał bladego pojęcia ani o architekturze, ani o mieście. O miłości wiedział mniej niż nic. Nigdy nawet nie dotknął obnażonego ciała kobiety. Nie znał francuskiego. Tabliczki z napisami SORTIE przy wyjściach mogły równie dobrze mówić: TY IDIOTO. Wydarzenia kilku ostatnich dni dowiodły jedynie, jak niewiele wciąż wiedział o świecie. Miał poczucie, że dopiero zaczyna ogarniać bezmiar własnego braku doświadczenia i pożałowania godnej ignorancji. Właściwie prawie nic jeszcze nie zrobił, by temu zaradzić. Przedtem miał nadzieję, że do czasu ponownego spotkania z bratem poczuje się mężczyzną, który liznął nieco świata. Teraz jednak nie mógł już nic na to poradzić. Tibor będzie musiał pogodzić się z tym, że jest taki, jaki jest.

Kwadrans po piątej Ekspres Zachodnioeuropejski zatrzymał się na dworcu, wypełniając halę ze szkła i stali przeraźliwym zgrzytem hamulców. Tragarze opuścili schodki i wysiedli. Na peron wylali się pasażerowie, kobiety i mężczyźni wykończeni nocną podróżą. Młodzi mężczyźni w jego wieku, niewyspani i niepewni w zimowym półmroku stacji, przypatrywali się tablicom z napisami i szukali swojego bagażu. Andras rozejrzał się po twarzach pasażerów. Gdy nie dostrzegł Tibora wśród wychodzących, przestraszył się, że brat jednak zrezygnował z przyjazdu. I wtedy ktoś położył mu rękę na ramieniu. Odwrócił się, a na peronie Gare du Nord stał Tibor Lévi.

– Co za spotkanie – powiedział i przyciągnął Andrasa do siebie.

W piersi Andrasa wezbrały bąbelki szczęścia i ulga, jak we śnie. Przytrzymał brata na wyciągnięcie ręki. Tibor zlustrował Andrasa od stóp do głów i jego wzrok spoczął na dziurawych butach.

– Masz szczęście, że twój brat jest sprzedawcą w sklepie obuwniczym – powiedział. – Albo raczej był. Te brudne oksfordy nie przetrwałyby kolejnego tygodnia.

Odebrali walizki Tibora i wzięli taksówkę do Dzielnicy Łacińskiej. Trasa wydała się Andrasowi nadspodziewanie krótka i prosta; dopiero teraz do niego dotarło, jak oszwabił go pierwszy paryski taksówkarz. Przemknęli bulwarem Sewastopolskim, przez Île de la Cité i już po chwili skręcali w rue des Écoles. Dzielnicę Łacińską spowijała mgła deszczu, na chodnikach tłoczyły się parasole. Szybko wnieśli walizki Tibora do środka i po schodach na górę. Gdy stanęli w progu poddasza Andrasa, Tibor zaczął się śmiać.

– No co? – zdziwił się Andras. Był dumny ze swojego skromnego pokoju.

– Jest dokładnie tak, jak to sobie wyobrażałem – powiedział Tibor. – Ze wszystkimi szczegółami.

Pod spojrzeniem brata Andras po raz pierwszy miał poczucie, że paryskie mieszkanie naprawdę do niego należy, jakby dzięki temu utworzyła się ciągłość między nim a miejscami, gdzie mieszkał wcześniej, życiem, które prowadził, zanim we wrześniu wsiadł do pociągu na dworcu Nyugati.

– Wejdź – powiedział teraz. – Rozbierz się, rozpalę w kominku.

Tibor zdjął płaszcz, lecz nie pozwolił Andrasowi skrzesać ognia.

Nie miało to żadnego znaczenia, że byli w mieszkaniu Andrasa, że Tibor ma za sobą trzydniową podróż. Po prostu zawsze tak było: starszy opiekował się młodszym. Gdyby to było mieszkanie Matyasa i Andras złożyłby mu wizytę, to on łamałby szczapki i wkładał pod drwa papier na rozpałkę. Po kilku minutach Tiborowi udało się rozpalić silny ogień. Dopiero wówczas zdjął buty i położył się na łóżku.

– Co za ulga! – westchnął. – Od trzech dni nie kładłem się do snu. – Naciągnął na siebie kapę i po chwili już spał.

Andras rozłożył książki na stole i próbował się uczyć, ale nie mógł się skupić. Chciał się dowiedzieć, co słychać u Matyasa i rodziców. Co słychać w Budapeszcie – nie w polityce, o tym każdy mógł przeczytać w węgierskich gazetach – ale w ich dzielnicy, u znajomych, chciał zapytać o wszystkie te drobne zmiany, które wyznaczają upływ czasu. Chciał też powiedzieć Tiborowi, co przydarzyło się Polanerowi, do którego znów zaszedł tego ranka. Kolega wyglądał jeszcze gorzej niż przedtem, cały opuchnięty, zaczerwieniony i rozpalony.

Oddychał chrapliwie, a pielęgniarki pochylały się nad nim, opatrując wylewy i podając mu leki na podniesienie ciśnienia. Zespół lekarzy debatował przy jego łóżku nad celowością i ryzykiem operacji. Utrzymywały się symptomy krwotoku wewnętrznego i lekarze nie mogli się zgodzić co do tego, czy lepiej operować, czy poczekać, by krwotok sam ustał. Andras próbował zrozumieć medyczny żargon i poskładać w sensowną całość francuskie terminy anatomiczne, ale nie rozumiał wszystkiego, a bał się o cokolwiek pytać. Przerażała go myśl, że będą ciąć Polanera, a jeszcze bardziej to, że cały czas krwawi w środku. Andras został aż do momentu, gdy przyszedł profesor Vago, by przejąć czuwanie; nie chciał zostawiać Polanera samego na wypadek, gdyby ten się ocknął. Ben Yakov nie pojawił się tego ranka, nikt też nie wiedział, gdzie przepadł Rosen po tym, jak wyszedł ze szpitala w poszukiwaniu Lemarque'a.

Zmusił się do skupienia nad książką: rojem zadań ze statystyki, które wyglądały jak mrowisko. Zmusił je do posłuszeństwa, zaczął pisać równiutkie kolumny cyfr na czystym arkuszu w kratkę. Policzył wektory siły działającej na pięćdziesiąt stalowych prętów w obciążonej ścianie żelbetowej, zlokalizował punkty największego napięcia w przyporze katedry, oszacował odchylenie pod wpływem wiatru hipotetycznej stalowej budowli dwa razy wyższej niż wieża Eiffla. Każdy budynek kryje w sobie tę milczącą matematykę, mrowie cyfr uwięzionych w konstrukcjach. Od godziny już rozwiązywał zadania, gdy Tibor jęknął i usiadł na łóżku.

– Mmm – westchnął. – Czy wciąż jestem w Paryżu?

– Obawiam się, że tak – odparł Andras.

Tibor chciał koniecznie zabrać brata na kolację. Poszli do baskijskiej restauracji, znanej z dobrej zupy ogonowej. Kelner, osiłek o szerokich barach, bębnił talerzami o stół i rzucał przekleństwami w stronę kuchni. Zupa była cienka, mięso rozgotowane, ale baskijskie piwo rozgrzało i rozkleiło Andrasa. Nareszcie miał brata przed sobą, siedzieli razem przy stole, jedli kolację jak dorośli mężczyźni, którymi się stali. Ależ matka by się śmiała, widząc ich w tym barze dla prawdziwych facetów nad kuflami piwa.

– Powiedz szczerze – poprosił Andras. – Jak się miewa anya? Jej listy są zbyt pogodne. Boję się, że gdyby *coś* było nie tak, nie powiedziałaby mi.

– Byłem w Konyárze tydzień przed wyjazdem – powiedział Tibor. – Był też Mátyás. Anya próbuje namówić apę do przeniesienia się do Debreczyna na zimę. Chce, żeby miał blisko do lekarza na wypadek, gdyby znowu dostał zapalenia płuc. On oczywiście nie chce o tym słyszeć. Powtarza, że nie ma zamiaru

chorować, zupełnie jakby miał na to jakiś wpływ. A gdy biorę stronę anyi, ojciec pyta mnie, co ja sobie wyobrażam, że mówię mu, co ma robić. Jeszcze nie jesteś lekarzem, Tibi, powtarza, grożąc mi palcem.

Andras roześmiał się, choć wiedział, że sprawa jest poważna. Obaj pamiętali, jak ciężko chorował poprzednio Bela Farciarz i jak bardzo matka na nim polega.

– Co mają zamiar zrobić?

– Na razie zostają w Konyárze.

– A Mátyás?

Tibor pokręcił głową.

– Wieczorem przed wyjazdem zdarzyło się coś dziwnego. Poszliśmy z Mátyásem na spacer w stronę mostu kolejowego nad tym strumieniem, w którym łowiliśmy w lecie płotki.

– Tak, wiem – potwierdził András.

– Noc była zimna, most oblodzony. W ogóle nie powinniśmy byli tam chodzić. Staliśmy jakiś czas na moście, patrząc w gwiazdy, i zaczęliśmy rozmawiać o anyi i apie, o tym, co Mátyás będzie musiał zrobić, gdyby stało im się coś złego. Mátyás był na mnie zły – mówił, że wyjeżdżam i zostawiam go samego z tym wszystkim. Próbowałem go przekonywać, że dadzą sobie radę i że gdyby wydarzyło się coś złego, ty i ja wrócimy do domu, ale on powiedział, że nigdy już nie wrócimy, że ty wyjechałeś na zawsze i to samo wkrótce zrobię ja. Kłóciliśmy się tak nad zamarzniętym strumieniem i wtedy usłyszeliśmy, że nadjeżdża pociąg.

– Nie wiem, czy chcę słuchać tego dalej.

– Mátyás powiedział: „Zostań na moście. Stań tutaj, obok torów, na podkładach. Zobaczymy, czy damy radę utrzymać równowagę, jak będzie przejeżdżał pociąg. Dasz radę? Nie boisz się?”. Pociąg jest już blisko, znasz ten most, Andras, przy barierkach jest może metr miejsca po obu stronach torów. Dwadzieścia metrów niżej płynie strumień. Wskoczył na podkład i stanął przodem do zbliżającego się pociągu. Światła już go oświetlają. Krzyczę, żeby stamtąd zszedł, ale on ani drgnie. „Nie boję się”, mówi. „Niech sobie jedzie”. Podbiegłem więc do niego i przerzuciłem go sobie przez ramię jak worek trocin i, przysięgam na Boga, most był tak oblodzony, że o mały włos zabiłbym nas obu. Zabrałem go stamtąd i rzuciłem w śnieg. Może sekundę po tym pociąg

przemknął obok. A on stał i śmiał się jak wariat. Uderzyłem go w szczękę. Miałem ochotę złamać temu idiocie kark.

– Trzeba było mu złamać kark !

– Wierz mi, że niewiele brakowało.

– Nie chciał, żebyś wyjeżdżał. Został tam teraz całkiem sam.

– Niezupełnie – powiedział Tibor. – Wiedzie zupełnie niezłe życie w Debreczynie. Nie to, co za naszych szkolnych czasów. Następnego dnia pogodziliśmy się i pojechałem tam z nim w drodze do Budapesztu. Trzeba było widzieć, co on wyczyniał w tym nocnym klubie, gdzie występuje. Powinien grać w filmach. On jest jak Fred Astaire, tyle że robi na dodatek salta i chodzi na rękach. I płacą mu za to! Cieszyłbym się z tego, gdyby nie to, że kompletnie stracił rozum. Wiesz, że lada chwila wyrzucą go ze szkoły. Obleje łacinę i historię i ledwo, ledwo zda pozostałe przedmioty. Jestem pewien, że czmychnie za granicę, jak tylko uda mu się uzbierać pieniądze na bilet. Anya i apa też o tym wiedzą.

– Nie powiedziałeś im o zdarzeniu na moście?

– Chyba żartujesz.

Zamówili gestem jeszcze jedną kolejkę. Gdy czekali, Andras zapytał o Budapeszt, ulicę Harsfa i dzielnicę żydowską.

– Wszystko wygląda mniej więcej tak samo jak przed twoim wyjazdem – powiedział Tibor – choć ludzie coraz bardziej się martwią, że Hitler wciągnie Europę w kolejną wojnę.

– Jeśli tak będzie, to wina spadnie na Żydów, przynajmniej tu, we Francji.

Pojawił się kelner. Zamyślony Tibor wziął długi łyk baskijskiego piwa.

– Nie ma już tyle *fraternité i égalité* co dawniej, prawda?

Andras opowiedział mu o wiecu ligi antysemickiej Le Grand Occident, a potem o tym, co spotkało Polanera. Tibor zdjął okulary, wytarł szkła chusteczką i założył je z powrotem.

– W pociągu rozmawiałem z mężczyzną, który właśnie wracał z Monachium – powiedział. – To był węgierski dziennikarz, który pisał korespondencję o jednym z monachijskich wieców. Widział trzech mężczyzn zakatowanych na śmierć za to, że zniszczyli egzemplarze wspieranej przez rząd antysemickiej

gazety. Niemiecka prasa ochrzciła ich buntownikami. Jeden z nich był oficerem odznaczonym za męstwo w czasie wojny.

Andras westchnął i potarł dłonią grzbiet nosa.

– W przypadku Polanera chodzi o sprawę osobistą – powiedział. – Niejasny jest jego związek z jednym ze sprawców.

– Ta sama nienawiść, tyle że w skali mikro – powiedział Tibor. - Przerażające, jak by na to nie patrzeć.

– Byłem głupi, myśląc, że tu będzie inaczej.

– Europa się zmienia – powiedział Tibor. – Wszędzie robi się ponuro. Ale u ciebie, mam nadzieję, nie wszystko wygląda źle?

– Nie. – Andras podniósł oczy na Tibora i nawet *się* uśmiechnął.

– O co chodzi, Andráska?

– O nic.

– Masz jakieś tajemnice? Co ty knujesz?

– Musisz mi kupić coś mocniejszego.

Poszli do pobliskiego baru na whisky i wszystko Tiborowi opowiedział: o zaproszeniu do Morgensternów, jak rozpoznał nazwisko i adres z koperty, jak się zakochał w Klarze, a nie w Elisabet, i o tym, jak nie udało im się powściągnąć wzajemnej siły przyciągania. O rym, że Klara nic mu nie powiedziała o powodach swego pobytu w Paryżu ani nie wytłumaczyła konieczności utrzymywania swej tożsamości w tajemnicy. Gdy skończył, Tibor z szeroko otwartymi oczami ściskał szklankę w dłoni.

– Czy ona jest dużo starsza od ciebie?

Nie było innego wyjścia.

– Dziewięć lat.

– Dobry Boże! – wykrzyknął Tibor. – Jesteś zakochany w dojrzałej kobiecie. To poważna sprawa, Andras, zdajesz sobie z tego sprawę?

– Śmiertelnie poważna.

– Odstaw szklankę. Posłuchaj.

– Słucham.

– Ona ma trzydzieści jeden lat – powiedział Tibor. – To już nie młode dziewczę. Jakie są twoje zamiary?

– Chcę się z nią ożenić – odparł Andras ze ściśniętym gardłem.

– No tak, i z czego będziecie żyli?

– Uwierz mi, że już o tym myślałem.

– Cztery i pół roku – powiedział Tibor. – Tyle jeszcze przed tobą, nim dostaniesz dyplom. Wtedy ona będzie miała trzydzieści sześć lat. Gdy ty będziesz w jej wieku, ona dobiegnie czterdziestki. A gdy ty będziesz czterdziestolatkiem, ona...

– Przestań – powiedział Andras. – Umiem liczyć.

– Ale czy skorzystałeś z tej umiejętności?

– Co z tego? Co z tego, że ona będzie miała czterdzieści dziewięć lat, gdy ja będę miał czterdzieści?

– A co się dzieje, gdy na czterdziestoletniego mężczyznę zwraca uwagę trzydziestoletnia kobieta? Czy będziesz w stanie dochować wierności swojej żonie?

– Tibi, naprawdę musisz to robić?

– A co z córką? Czy ona wie, co zaszło między tobą i jej matką?

Andras potrząsnął głową.

– Elisabet mnie nie znosi i jest okropna w stosunku do swojej matki. Wątpię, by zareagowała ze zrozumieniem na tę sytuację.

– A József Hász? Czy wie, że zakochałeś się w jego ciotce?

– Nie. Nie wie nawet, gdzie ona się podziewa. Rodzina nie ma do niego zaufania, cokolwiek to może oznaczać.

Tibor splótł dłonie.

– Mój Boże, Andras, nie zazdroszczę ci.

– Miałem nadzieję, że poradzisz mi, co robić,

– Wiem tylko, co sam bym zrobił. Zerwał z nią jak najszybciej.

– Nawet jej nie znasz.

– A co to za różnica?

– Nie wiem. Miałem nadzieję, że zechcesz ją poznać. Nie jesteś ciekaw?

– Nawet bardzo – odparł Tibor. – Ale nie chcę przyłożyć ręki do twojej zguby. Nawet w charakterze świadka. – Przywołał kelnera, by poprosić o rachunek, i szybko zmienił temat.

Rankiem Andras zaprowadził Tibora do École Spéciale, gdzie odwiedzili Vago w jego biurze. Gdy weszli, Vago siedział za biurkiem i rozmawiał przez telefon w sobie właściwy sposób: trzymał słuchawkę pomiędzy uchem i ramieniem i wymachiwał obiema rękami. W powietrzu kreślił dłońmi wadliwy kształt budynku, a następnie wycierał go z emfazą jednym machnięciem ręki, potem kreślił kolejny kształt, tym razem z dachem, który „wydawał się płaski", ale „płaski nie był", po to, by „woda mogła odpływać" – wreszcie rozmowa była skończona i Andras przedstawił Vago swojego brata Tibora, o którym tak wiele razy rozmawiali rano w tym pokoju. Całkiem, jakby rozmowy o nim sprawiły, że się zmaterializował.

– Jedzie pan do Modeny – powiedział Vago. – Zazdroszczę panu. Spodobają się panu Włochy. Nie będzie pan chciał wracać do Budapesztu.

– Bardzo jestem panu wdzięczny za pomoc – powiedział Tibor. -Bez niej by do tego nie doszło.

Vago machnął lekceważąco ręką.

– Musiałem coś zrobić, żeby się opędzić od pańskiego brata. Nie dawał mi spokoju.

– Chętnie się kiedyś odwdzięczę przysługą – powiedział Tibor.

– Mam nadzieję, że gdy pan już będzie lekarzem, nie będę potrzebował pańskich przysług – powiedział Vago i podzielił się z nimi wieściami ze szpitala. Stan Polanera był stabilny. Lekarze zdecydowali, że na razie nie będą operować. Nadal nie było śladu Lemarque'a. Poprzedniego dnia Rosen włamał się do jego akademika, ale nadal nigdzie go nie było.

Tibor poszedł z Andrasem na poranne zajęcia. Słuchał, jak Andras prezentuje rozwiązania zadań ze statystyki, i obejrzał jego rysunki. Poznał Bena Yakova i Rosena, którzy szybko wyczerpali zasób węgierskich słów przyswojonych od Andrasa. Tibor przekomarzał się z nimi swoją słabą, choć nieustraszoną francuszczyzną. W południe podczas lunchu w szkolnej kafeterii Rosen opowiedział o swojej wyprawie do mieszkania Lemarque'a. Wyglądał na

zmęczonego, jego twarz utraciła gniewny koloryt, a rdzawe piegi zdawały się pływać po powierzchni skóry.

– Co za dziura – powiedział. – Setka ciasnych, niedoświetlonych pokoi, pełnych mężczyzn w przepoconych ubraniach. Śmierdzi tam gorzej niż w więzieniu. Niewiele brakowało, a współczułbym temu draniowi, że mieszka w takim przybytku. – Przerwał, by ziewnąć szeroko. Całą noc siedział w szpitalu.

– I co, nie znaleźli go? – zapytał Ben Yakov. – Ani śladu?

Rosen pokręcił głową.

– Przeszukałem to miejsce od piwnic po strych. Nikt go nie widział, a przynajmniej tak twierdzili.

– A co byś zrobił, gdybyś go znalazł?

– Co bym zrobił? Gdybym wtedy go złapał, udusiłbym go gołymi rękami. Ale to byłoby głupie. Powinniśmy się najpierw dowiedzieć, jakich miał wspólników.

Studencka kafeteria powoli pustoszała. W atrium słychać było trzaskanie drzwiami, w miarę jak studenci przechodzili do sal. Tibor wodził za nimi ponurym wzrokiem spoza szkieł w srebrnej oprawce.

– O czym tak myślisz? – zapytał Andras po węgiersku.

– O Béli Farciarzu – odparł Tibor. – *Ember embernek farkasa.*

– Mówcie po francusku, Węgrzy – poprosił Rosen. – O czym mowa?

– O czymś, co nasz ojciec mówił – wyjaśnił Andras i powtórzył węgierskie zdanie.

– A co to znaczy w języku pozostałej części ludzkości?

– Człowiek człowiekowi wilkiem.

Tego wieczoru wybierali się na przyjęcie do mieszkania Józsefa Hásza na bulwarze Saint– Jacques. Andras miał tam być po raz pierwszy od czasu, gdy związał się z Klarą. Sprawiło to, że był podenerwowany. József zaprosił go osobiście tydzień wcześniej, mówiąc, że kilka jego obrazów ma być pokazanych na wystawie studentów Beaux-Arts, której Andras pewnie nie będzie chciał oglądać, bo to same nudy, ale po wystawie będą drinki i kolacja u niego w domu. Andras ociągał się, wiedząc, że Tibor ma być w mieście, i nie chcąc obarczać gospodarza kolejnym gościem, ale wiadomość ta sprawiła, że József tym bardziej

nalegał: skoro Tibor ma być w Paryżu po raz pierwszy, nie może nie pojawić się na przyjęciu u Józsefa Hásza.

Gdy przybyli na miejsce, towarzystwo było już pod dobrą datą. Trzech poetów stało na kanapie i kakofonicznie wykrzykiwało wiersze, a na orientalnym dywaniku wyginała ciało dziewczyna w kostiumie gimnastycznym. József patronował stolikowi do gry w karty, wygrywając w pokera, podczas gdy jego towarzysze patrzyli ponuro na swoje malejące stosiki gotówki.

– Węgrzy przyszli! – zakrzyknął József na ich widok. – Teraz zagramy naprawdę. Przysuńcie sobie krzesła, panowie! Zagrajmy w karty.

– Obawiam się, że nic z tego – powiedział Andras. – Jesteśmy spłukani.

József rozdał karty z imponującą zręcznością.

– Zjedzcie coś zatem – powiedział. – Skoro jesteście spłukani, pewnie jesteście głodni. Nie chce wam się jeść? – Nie podniósł głowy znad kart. – Idźcie do bufetu.

Na stole znajdowały się bagietki, trzy kręgi sera, pikle, jabłka, figi, tort czekoladowy i sześć butelek wina.

– Przyjemny widok – powiedział Tibor. – Darmowa kolacja.

Zrobili sobie kanapki z serem i figami i wzięli je ze sobą do dużego pokoju od frontu, gdzie przyglądali się, jak gimnastyczka najpierw przyjęła kształt koła, potem dzwonu, a następnie węzła. Później pozowała w erotycznych pozach z inną dziewczyną, podczas gdy trzecia robiła im zdjęcia jakimś starym aparatem.

Tibor przyglądał się temu z zafascynowaniem.

– Czy Hász często urządza takie przyjęcia? – zapytał, śledząc wzrokiem, jak dziewczyny przyjmują kolejną pozę.

– Częściej, niżbyś się spodziewał – odparł Andras.

– Ile osób mieszka w tym mieszkaniu?

– Tylko on.

Tibor zagwizdał cicho.

– W łazience jest gorąca woda.

– No teraz to już przesadziłeś.

– Nie, wcale nie. I porcelanowa wanna o nogach w kształcie lwich łap. Chodź, to zobaczysz.

Poprowadził Tibora korytarzem w głąb mieszkania i zatrzymał się przed drzwiami do łazienki, które były lekko uchylone, więc widać było białą porcelanę. Z wnętrza padało miękkie światło świec. Andras otworzył drzwi. W środku, mrugając oczami, oślepiona blaskiem światła z korytarza, stała pod ścianą para; włosy dziewczyny były w nieładzie, rozpięte guziki bluzki. Była to Elisabet Morgenstern, jedną ręką osłaniała sobie oczy.

– Panowie wybaczą – powiedział po francusku z amerykańskim akcentem mężczyzna, cedząc słowa z alkoholową dokładnością. Elisabet natychmiast rozpoznała Andrasa.

– Przestań się na mnie gapić, ty głupi Węgrze! – burknęła.

Andras zrobił krok do tyłu i pociągnął za sobą Tibora. Mężczyzna mrugnął do nich triumfalnie i zatrzasnął drzwi kopnięciem.

– No cóż – powiedział Tibor – może lepiej obejrzymy sobie krany innym razem.

– Chyba tak.

– Kim było to słodkie dziewczę? Zdaje się, że cię zna.

– To słodkie dziewczę to Elisabet Morgenstern.

– Ta Elisabet? Córka Klary?

– Właśnie ta.

– A kim był ten mężczyzna?

– Jedno jest pewne, kimś niezwykle odważnym.

– Czy József zna Elisabet? – zapytał Tibor. – Czy myślisz, że poznał już sekret?

Andras pokręcił głową.

– Nie mam pojęcia. Elisabet żyje własnym życiem poza domem. József nigdy nie wspomniał o tajemniczej kuzynce, co zrobiłby zapewne z przyjemnością, znając jego zamiłowanie do plotek.

Skronie zaczęły mu pulsować, gdy zastanawiał się, czego właściwie był świadkiem i co opowie Klarze. Krętą drogą wrócili na kanapę i usiedli, by

popatrzeć, jak goście grają w kalambury; jedna z dziewcząt posłużyła się płaszczem Andrasa i zrobiła sobie z niego kaptur, schylała się raz po raz, by zrywać niewidzialne kwiatki. Pozostali wykrzykiwali tytuły filmów, których Andras nie widział. Chciał się jeszcze napić wina i miał właśnie po nie wstać, gdy do pokoju wtoczył się kochaś Elisabet. Szeroki w barach blondyn w drogiej marynarce z wełny merynosów wepchnął koszulę w spodnie i przeczesał palcami włosy. Wyciągnął rękę na powitanie i usiadł pomiędzy Andrasem a Tiborem.

– Jak się mamy, panowie? – wycedził po francusku. – Wygląda na to, że nie bawicie się tak dobrze jak ja. – Akcentem przypominał gwiazdy hollywoodzkie w reklamach dla Radio France. – Ta dziewczyna to niezła rakieta. Spotkaliśmy się na nartach w czasie świąt. Obawiam się, że się od niej uzależniłem.

– Właśnie się zbieraliśmy – powiedział Andras. – To my już pójdziemy.

– Co to, to nie! – zakrzyknął jasnowłosy Amerykanin i zagrodził Andrasowi drogę ramieniem. – Nikt stąd nie wyjdzie! Zostajemy na noc!

Korytarzem nadeszła Elisabet, strząsając kropelki wody z dłoni. Pospiesznie przygładziła włosy i krzywo zapięła bluzkę. Gdy znalazła się w pokoju frontowym, przywołała Andrasa jednym nieznoszącym sprzeciwu ruchem dłoni. Wstał z kanapy, ukłonił się pozostałym i wyszedł za Elisabet na korytarz. Zaprowadziła go do sypialni Józsefa, gdzie na łóżku i na podłodze piętrzyła się góra płaszczy.

– Więc dobrze – syknęła, krzyżując ramiona. – Powiedz, co widziałeś.

– Nic! – odparł Andras. – Nic a nic.

– Jeśli powiesz matce o Paulu, zabiję cię.

– Kiedy miałbym jej to powiedzieć, skoro nie pozwalasz mi was odwiedzać?

Wyraz twarzy Elisabet nabrał przenikliwości.

– Nie udawaj mi tu niewiniątka – prychnęła. – Wiem, że przez ostatnie dwa miesiące nie żyłeś nadzieją, że się w tobie zakocham. Wiem, co jest między tobą i matką. Widziałam, jak na ciebie patrzy. Nie jestem głupia, Andras. Może ona nie wszystko mi mówi, ale znam ją dość długo, by wiedzieć, kiedy ma kochanka. A ty jesteś w jej typie. Czy raczej w jednym z jej typów.

Teraz przyszła jego kolej na zmieszanie; „Widziałam, jak na ciebie patrzy". A jak on musiał patrzeć na nią? Jak można było tego nie zauważyć? Spojrzał na palenisko; w zgliszczach leżała na wpół zagrzebana srebrna papierośnica z niewidocznym monogramem.

– Wiesz, że ona by nie chciała, byś tu przychodziła – powiedział. – Czy wie, że znasz Józsefa Hásza?

– Tego idiotę, który tu mieszka? A dlaczego pytasz? Czy on jest jakimś kryminalistą?

– Niezupełnie – odparł Andras. – Urządza tylko dość hulaszcze przyjęcia, to wszystko.

– Poznałam go dziś wieczór. Jest kolegą Paula ze szkoły, czy coś w tym rodzaju.

– Poznałaś Paula w Chamonix?

– To nie twój interes. I nie wolno ci mówić o tym matce, Andras. Zamknie mnie do końca życia w moim pokoju. – Obciągnęła bluzkę i przeklęła brzydko, bo zorientowała się, że krzywo ją zapięła.

– Nie powiem. Słowo honoru.

Elisabet skrzywiła się, jakby wątpiła w to, czy może na nim polegać. Pod jej hardym spojrzeniem krył się jednak przebłysk niepewności, świadomości, że on ma teraz w ręku coś, na czym jej zależy. Andras nie wiedział, czy Elisabet kocha Paula, czy raczej kocha wolność życia w niezależności od matki, ale w obu przypadkach był w stanie to zrozumieć. Powtórzył swoje przyrzeczenie. Jej przykurczone ramiona lekko się rozluźniły, a z ust wyrwało się krótkie westchnienie. Następnie wyciągnęła ze sterty ubrań na łóżku dwa płaszcze, przecisnęła się obok niego na korytarz i wróciła do pokoju od frontu, gdzie Paul i Tibor nadal przyglądali się kalamburom.

– Późno już, Paul – powiedziała Elisabet, rzucając mu płaszcz na kolana. – Chodźmy stąd.

– Jeszcze wcześnie! – zaprotestował. – Usiądź tu z nami i popatrz na te dziewczyny.

– Nie mogę. Muszę już iść do domu.

– Chodź do mnie, lwico – powiedział, chwytając ją za nadgarstek.

– Jeśli będę musiała iść do domu sama, to pójdę – powiedziała, wyrywając się.

Paul wstał z kanapy i pocałował Elisabet w usta.

– Uparta dziewczynka – rzekł. – Mam nadzieję, że pan nie był w stosunku do ciebie niegrzeczny. – Mrugnął do Andrasa.

– Pan żywi najgłębszy szacunek dla tej młodej damy – zapewnił Andras.

Elisabet przewróciła oczami.

– No dobrze – powiedziała. – Wystarczy.

Włożyła płaszcz, rzuciła Andrasowi ostatnie ostrzegawcze spojrzenie i ruszyła do drzwi. Paul zasalutował i poszedł za nią.

– A teraz – powiedział Tibor – siadaj i opowiedz mi, o co tu chodziło.

– Błagała mnie, żebym nie mówił jej matce, że widziałem ją z tym człowiekiem.

– I co ty na to?

– Przysiągłem, że nie powiem.

– Teoretycznie i tak nie miałbyś przecież okazji.

– Wygląda na to, że Elisabet domyśliła się, co jest między mną a jej matką.

– Sekret się wydał.

– Przynajmniej ten. W ogóle nie była zaskoczona. Powiedziała, że jestem w typie jej matki, cokolwiek to oznacza. Ale chyba nie ma pojęcia, że József jest jej kuzynem. – Westchnął. – Tibor, na miłość boską, co ja wyprawiam?

– Właśnie cię o to pytałem – odparł Tibor i objął brata. Chwilę później pojawił się József Hász z trzema kieliszkami szampana. Podał po jednym każdemu z nich i wzniósł toast za ich zdrowie.

– Dobrze się bawicie? – zapytał. – Wszyscy mają się dobrze bawić.

– O, tak – odrzekł Andras z wdzięcznością, smakując szampana.

– Widzę, że poznaliście mojego amerykańskiego przyjaciela Paula – powiedział. – Jego ojciec jest potentatem przemysłowym. Opony samochodowe czy coś w tym rodzaju. Ta jego nowa dziewczyna ma trochę za cięty język jak na mój gust, ale on oszalał na jej punkcie. Może mu się wydaje, że właśnie tak zachowują się Francuzki.

– Jeśli tak zachowują się Francuzki, to jesteście panowie w tarapatach – stwierdził Tibor.

– No to za kłopoty! – powiedział József i wypili toast do dna.

Następnego dnia Andras i Tibor przemierzali korytarze Luwru, podziwiając aksamitne odcienie brązów Rembrandta, frywolne loki Fragonarda i muskularne krągłości antycznych rzeźb. Potem poszli wzdłuż wybrzeża na most Jeny i postali pod monumentalnymi lukami wieży Eiffla. Okrążyli Gare d'Orsay, a Andras opowiadał o tym, jak budował swój model. W końcu zawrócili w stronę Ogrodu Luksemburskiego, gdzie w cichej hibernacji stały ule.

Posiedzieli trochę u Polanera w szpitalu, podczas gdy pielęgniarki krzątały się wokół łóżka. Andras nie opowiedział jeszcze Klarze tej strasznej historii. Przez godzinę patrzyli na śpiącego Polanera. Andras pragnął, żeby się przebudził, żeby nie leżał taki blady i nieruchomy. Choć pielęgniarka powiedziała, że chory ma się lepiej, Andras nie widział poprawy. Później poszli do teatru Sary Bernhardt, gdzie Tibor pomógł wszystko zwinąć. Pochowali serwis do kawy, złożyli drewniany stół, powyrzucali ze skrzynek aktorów stare wiadomości, zabrali porozrzucane rekwizyty do rekwizytorni, a kostiumy do magazynu, gdzie madame Courbet powkładała je skrupulatnie do opisanych szafek. Claudel dał Andrasowi pół pudełka cygar – niepotrzebny już rekwizyt – i przeprosił go za to, że tyle razy wysyłał go do diabła. Miał nadzieję, że Andras mu teraz wybaczy, gdy obaj są zdani na łaskę losu.

Andras mu wybaczył.

– Wiem, że nie miałeś nic złego na myśli – powiedział.

– Dobry z ciebie chłopak – odparł Claudel i ucałował go w oba policzki. – To dobry chłopak – zwrócił się do Tibora. – Kochany dzieciak.

Monsieur Novak wpadł na nich w holu, gdy już wychodzili. Zabrał ich do swego biura, tam wyjął kryształowe kieliszki i nalał do nich resztę tokaju z butelki. Wznieśli toast za studia Tibora we Włoszech i za to, by Sarah Bernhardt i trzy inne teatry, które zamykały się w tym tygodniu, znów kiedyś otworzyły podwoje.

– Miasto bez teatru jest jak przyjęcie bez konwersacji – stwierdził Novak. – Żeby nie wiem jak dobre było jedzenie i picie, ludzie i tak będą się nudzić. To chyba powiedział Arystofanes.

– Dzięki, że uchronił pan mego brata przed rynsztokiem – odezwał się Tibor.

– Och, on dałby sobie radę i beze mnie – odparł Novak i poklepał Andrasa po ramieniu.

– Ale to pański parasol go uratował – upierał się Tibor. – W przeciwnym razie spóźniłby się na pociąg. I mógłby się załamać.

– Nie on – zaoponował Novak. – Nie nasz pan Lévi. On by sobie dał radę. I pan też da sobie radę we Włoszech. – Uścisnął Tiborowi rękę i życzył mu szczęścia.

Tymczasem się ściemniło. Szli wzdłuż Quai de Gesvres, światła mostów i barek odbijały się w wodzie. Wzdłuż rzeki wiał wiatr, przyklejając Andrasowi płaszcz do pleców. Wiedział, że o tej porze Klara jest w swoim studiu i prowadzi ostatnie popołudniowe zajęcia. Nie mówiąc Tiborowi, dokąd zmierza, skierował się na rue François Miron ku rue de Sévigné. Od tygodni już tędy nie chodził. Na rogu zobaczył światło padające ze studia tańca, jego na wpół zasłonięte okna i szyld „Mme. Morgenstern, Maitresse".

Dobiegały ich ciche dźwięki muzyki gramofonowej: powolny, stateczny Schumann, którego puszczała do *reverances* na zakończenie zajęć. To była klasa średnio zaawansowanych dziewcząt, szczupłych dziesięciolatek z szyjami pokrytymi puszkiem włosów, łopatkami sterczącymi jak ptasie skrzydełka pod bawełnianymi kostiumami. Klara poprowadziła je przez serię zamaszystych ukłonów i dygnięć. Jej włosy zebrane były w luźny węzeł na karku; miała na sobie sukienkę do ćwiczeń ze śliwkowej wiskozy, przewiązaną w pasie czarną wstążką. Jej ramiona były silne i twarde, twarz wyrażała spokój. Nie potrzebowała nikogo. Urządziła sobie życie: lekcja tańca, własna córka na górze, pani Apfel, przytulne pokoje w mieszkaniu, które sobie kupiła. A jednak czegoś chciała od niego, od Andrasa Léviego, dwudziestodwuletniego studenta École Spéciale: być może luksusu bycia delikatną; może ostrego ukłucia niepewności. Gdy tak patrzył, miał wrażenie, że serce mu stanęło.

– Oto ona – powiedział. – Klara Morgenstern.

– Mój Boże – odparł Tibor. – Faktycznie jest piękna.

– Spytajmy, czy zje z nami kolację.

– Nie, Andras, nic z tego.

– Czemu nie? Przyjechałeś tu, by zobaczyć, jak żyję, prawda? No to zobacz. Nie dowiesz się, jeśli jej nie poznasz.

Tibor przyglądał się, jak Klara unosi ramiona; dziewczynki powtórzyły jej gest i nachyliły się głęboko.

– Jest bardzo drobna – powiedział Tibor. – Jak leśna nimfa.

Andras próbował zobaczyć ją oczami Tibora – jakby widział ją po raz pierwszy. W jej sposobie poruszania było coś nieustraszonego, dziewczęcego, jakby jakaś jej część wciąż była dzieckiem. Oczy jednak były oczami kobiety, która ma za sobą więcej niż jedno wcielenie. Właśnie to sprawia, że wygląda jak nimfa, pomyślał Andras: to, że jest jednocześnie ucieleśnieniem ponadczasowości i nieubłaganego upływu czasu. Utwór muzyczny dobiegł końca i dziewczynki pobiegły po swoje torby i płaszcze. Tibor i Andras przyglądali się, jak wychodzą. Potem podeszli do Klary, która stała w drzwiach studia, drżąc w swojej sukience do ćwiczeń.

– Andras – szepnęła, biorąc go za rękę. Ucieszył się, że jest zadowolona ze spotkania; nie był pewien, jak zareaguje na to, że przyszedł do studia. Ale, powtarzał sobie, nie ma przecież nic złego w tym, że wpadł, przechodząc przez Marais; normalna rzecz, znajomi tak robią.

– A to niespodzianka – powiedziała. – A kim jest ten dżentelmen?

– To Tibor. Mój brat.

Klara wzięła go za rękę.

– Tibor Lévi – powiedziała. – Nareszcie. Tyle o tobie słyszałam. -Obejrzała się za siebie na klatkę schodową. – Ale co wy tu robicie? Nie przyszliście przecież na lekcję.

– Może byś poszła z nami na kolację – zaproponował Andras.

Zaśmiała się nerwowo.

– Nie jestem odpowiednio ubrana.

– Zamówimy coś do picia i poczekamy na ciebie.

Zakryła dłonią usta i znów spojrzała przez ramię. Z mieszkania dobiegł dźwięk szybkich kroków i szelest ubrań.

– Moja tajemnicza córka je dziś kolację ze znajomymi na mieście.

– No to chodźmy razem – zaproponował Andras.

– No dobrze – powiedziała. – To gdzie będziecie?

Andras wymienił nazwę miejsca, w którym można było zjeść zupę bouillabaisse z razowym chlebem. Oboje ją uwielbiali. Chodzili tam w czasie swoich dziesięciu wspólnych dni w grudniu.

– Dołączę za pół godziny – powiedziała Klara i pobiegła na górę.

Restauracja znajdowała się w dawnej kuźni i wciąż unosił się tam słaby zapach kutego żelaza. Były piece do wytapiania zamienione na piece kuchenne, surowe drewniane stoły, tanie dania i mocny cydr jabłkowy podawany w ceramicznych kubkach. Usiedli przy jednym ze stołów i zamówili coś do picia.

– A więc to jest ta twoja Klara – powiedział Tibor, kręcąc głową. - Niemożliwe, żeby była matką tej dziewczyny z przyjęcia.

– A jednak.

– Co za nieszczęście! Jak to się stało? Sama musiała być jeszcze dzieckiem.

– Miała piętnaście lat – wyjaśnił András. – O ojcu nic nie wiem poza tym, że od dawna nie żyje. Ona nie lubi o tym wspominać.

Weszła w momencie, gdy zamawiali drugą kolejkę. Powiesiła swój czerwony kapelusik i płaszcz na wieszaku obok stołu i usiadła z nimi, chowając za ucho kilka kosmyków wilgotnych włosów. Andras poczuł ciepło jej nóg; dotknął fałdy jej spódnicy pod stołem. Spojrzała na niego i spytała, czy wszystko w porządku. Oczywiście nie mógł jej powiedzieć o tym, co było najbardziej nie w porządku, czyli że Tibor sprzeciwiał się ich związkowi, przynajmniej teoretycznie. Zamiast tego zrelacjonował jej, co przydarzyło się Polanerowi w École Spéciale.

– Co za koszmar – powiedziała, gdy skończył, i oparła czoło na dłoniach. – Biedny chłopak. A co z jego rodzicami? Czy ktoś do nich napisał?

– Prosił nas, żeby tego nie robić. Wstydzi się.

– Oczywiście. Mój Boże.

Wszyscy troje siedzieli w milczeniu, spoglądając na kubeczki cydru. Gdy Andras zerknął na brata, wydawało mu się, że wyraz twarzy Tibora złagodniał; zupełnie jakby w świetle tego, co przydarzyło się Polanerowi, ferowanie wyroków w sprawie miłości było absurdem albo luksusem. Tibor zapytał Klarę o lekcje tańca, a ona jego o opinię o Paryżu i o to, czy przed rozpoczęciem zajęć będzie miał czas na zwiedzanie Włoch.

– Nie będę miał za dużo czasu na turystykę – odpowiedział Tibor. – Zaczynam zajęcia w przyszłym tygodniu.

– A od jakiego przedmiotu zaczynasz?

– Od anatomii.

– Anatomia jest fascynująca – stwierdziła. – Przynajmniej dla mnie.

– Studiowałaś anatomię?

– Tak – odpowiedziała. – W Budapeszcie, w szkole baletowej. Miałam mistrza, który wierzył w sens nauczania fizycznych i mechanicznych aspektów działania ludzkiego ciała. Kazał nam czytać książki i oglądać ryciny z anatomii, które większość dziewcząt uważała za obrzydliwe, chłopcy zresztą też, choć oni starali się tego nie okazywać. Pewnego dnia wziął nas do akademii medycznej w Budapeszcie i patrzyliśmy, jak studenci robią sekcje zwłok. Jeden z profesorów pokazał nam wszystkie mięśnie, ścięgna i kości nogi i ramienia. A potem plecy i cały kręgosłup. Pamiętam, że dwie dziewczyny zemdlały. Ale mnie się podobało.

Tibor patrzył na nią z niechętnym podziwem.

– I myślisz, że miało to jakiś wpływ na twój taniec?

– Nie wiem. Myślę, że pomaga mi to uczyć. Tłumaczyć pewne rzeczy. – Zamyśliła się, przesuwając palcami po brzegu serwetki. – Mam w domu kilka podręczników do anatomii. Nie potrzebuję aż tylu. Dam ci jeden, jeśli masz miejsce w walizce.

– Nie trzeba – powiedział Tibor, ale w jego oczach widać było pożądliwość. Zamiłowanie ich ojca do starych książek przeszło na synów. Tibor i Andras godzinami grzebali w budapeszteńskich antykwariatach, w których Tibor wciąż oglądał stare książki o anatomii; lubił pokazywać Andrasowi ryciny a to trzustki, a to płuca. Nie stać go było na te wspaniałe tomy, nawet używane, choć bardzo pragnął je mieć.

– Weź koniecznie – nalegała Klara. – Wpadniesz po kolacji i wybierzesz sobie którąś.

I rzeczywiście, po zupie bouillabaisse i jeszcze jednej kolejce cydru poszli na rue de Sévigné i wspięli się na piętro do mieszkania Klary. Oto znaleźli się w salonie, w którym po raz pierwszy ją ujrzał, oto miseczka w kształcie gniazda z czekoladowymi jajkami, szara aksamitna kanapa, gramofon, lampy z abażurami rzucającymi bursztynowe światło – intymna topografia jej życia, za którą przez ostatni miesiąc tak tęsknił. Z jednego z regałów zdjęła trzy wielkie oprawne w skórę tomy podręczników do anatomii. Położyła je na biurku i otworzyła złocone okładki. Tibor rozkładał skrzydełka ilustracji, by przyglądać się tajemnicom ludzkiego ciała odtworzonym kolorowym tuszem: kościom otulonym mięśniami, pajęczej sieci układu limfatycznego, wężowej spirali jelit, oczodołowi. Najcięższy i najpiękniejszy z tomów, *Corpus Humanum,* wydany był po łacinie, z zamaszyście

napisaną dedykacją dla Klary od jej nauczyciela tańca, Wiktora Romankowa: *Sine scientia ars nihil est. Budapest 1925.*

Wzięła tom od Tibora i włożyła go z powrotem do skórzanego pudła.

– Tę właśnie chciałabym ci podarować – powiedziała, wręczając mu księgę.

Zarumienił się i pokręcił głową.

– Nie mogę tego przyjąć.

– Chcę ci ją dać – nalegała. – Przyda ci się na studiach.

– Będę podróżował. Nie chciałbym jej uszkodzić. – Znów wyciągnął ręce z księgą w jej stronę.

– Nie ma mowy – powiedziała. – Weź ją. Przyda ci się. Mnie będzie miło myśleć, że jest w Modenie. To drobiazg, zważywszy na to, czego musiałeś dokonać, by tam się dostać.

Tibor spojrzał na księgę, którą obejmował. Podniósł wzrok na brata, ale ten nie patrzył na niego. Andras wiedział, że gdyby na niego spojrzał, sprawa sprowadziłaby się do tego, czy Tibor zaakceptowałby jego związek z Klarą. Nie odrywał więc wzroku od kominkowego ekranu, na którym widniała spłowiała scena z jeźdźcem w cienistym lesie, i czekał, by zamiłowanie Tibora do książek wzięło górę. Po kolejnej chwili wahania Tibor wydusił z siebie ochrypłym głosem słowa wdzięczności i pozwolił Klarze zapakować księgę w brązowy papier.

Ostatniego dnia pobytu Tibora w Paryżu obaj z Andrasem pojechali metrem do Boulogne-Billancourt. Jak na styczeń było ciepło, bezwietrzne i suche popołudnie. Spacerowali po cichych uliczkach obok piekarni, warzywniaków i pasmanterii w stronę okolicy, gdzie biały budynek przypominający statek, autorstwa Pingussona, pruł dziobem powietrze, jakby płynął w stronę morza. Andras opowiedział Tiborowi historię o tym, jak przegrana w pokera Perreta została zamieniona na stypendium. Potem poprowadził brata wzdłuż rue Denfert-Rochereau, przy której domy Le Corbusiera, Mallet-Stevensa, Raymonda Fischera i Pierre'a Patout stały w bladym świetle poranka, emanując surową, pozbawioną ozdób siłą. *W* ciągu paru miesięcy od swojej pierwszej wizyty w tym miejscu Andras wciąż powracał do tych kilku ulic, gdzie jego ulubieni współcześni architekci postawili małe świątynie w hołdzie prostocie i pięknu. Pewnego ranka natknął się na willę rzeźbiarki Dory Gordin zaprojektowaną przez Auguste'a Perreta, budynek nieco pudełkowaty, w stylu jakby japońskim, z wielkimi połaciami okien podkreślonymi prostopadłymi do nich liniami

ceglanych fragmentów elewacji. Perret mógł zbudować cokolwiek tylko chciał, na dowolnej parceli w Paryżu, ale zdecydował się właśnie na to: spartańską prostotę i surowość, w ludzkiej skali, przeznaczoną dla artystki, w maleńkiej uliczce, gdzie można spokojnie pracować w samotności. To był ulubiony budynek Andrasa w Boulogne-Billancourt. Usiedli na krawężniku naprzeciwko i opowiedział bratu o rzeźbiarce łotewskiego pochodzenia, która tam mieszkała, Dorze Gordin, i o przestrzennym studiu, które powstało na tyłach domu.

– Pamiętasz te chatki, które budowałeś w Konyárze? – spytał Tibor. – Twoją firmę budowlaną?

Firma budowlana. Tamtego lata skończył dziewięć lat, to było tuż przed tym, jak poszedł do debreczyńskiej szkoły. Został przedsiębiorcą budowlanym dla okolicznej dzieciarni. Miał monopol na odpady drewniane i w pół dnia stawiał to, co kto chciał, fort lub klub. Jego asystentem był czteroletni Mátyás, który z powagą podawał Andrasowi gwoździe, gdy ten budował chatki. W zamian za usługi budowlane Andras dostawał to, co oni mieli najlepszego do zaoferowania: zdjęcie ojca w mundurze, flotę maleńkich blaszanych samolocików, czaszkę kota, łódkę z drzewa balsa, białą myszkę w klatce. Tego lata był najbogatszym chłopcem w mieście.

– Pamiętasz moją myszkę? – zapytał Andras. – Pamiętasz, jak go nazywałeś?

– Eliahu ha Navi.

– Anya była zła. Uważała, że to bluźnierstwo.

Uśmiechnął się i zacisnął palce na zimnym krawężniku. Cienie wydłużały się, a zimno zaczęło przenikać do niego przez warstwy ubrania. Już miał zaproponować, by ruszyli dalej, gdy Tibor odchylił się i oparł się na łokciach, spoglądając w górę na ogród na dachu budynku.

– W tamtym roku pierwszy raz się zakochałem – powiedział. -Nigdy ci o tym nie mówiłem. Byłeś za mały, żeby zrozumieć, a gdy trochę podrosłeś, byłem już zakochany w innej, w Zsuzsannie, tej dziewczynie, którą brałem na tańce w gimnazjum. Ale przed nią była Rozsa Geller. Rozsika. Ja miałem trzynaście lat, a ona szesnaście. Była najstarszą córką tych ludzi, u których mieszkałem na stancji w Debreczynie. Tych, którzy się wyprowadzili, zanim zacząłeś chodzić tam do szkoły.

Andras wyczuł jakiś nieznany ton w głosie Tibora, coś prawie jak zgorzknienie.

– Szesnaście – powiedział i zagwizdał cicho. – Starsza kobieta.

– Podglądałem ją, jak się kąpała. Myła się w kuchni, w metalowej balii, a moje łóżko stało po drugiej stronie kotary. W kotarze było mnóstwo dziur. Musiała wiedzieć, że ją podglądam.

– I wszystko widzisz.

– Wszystko. Stała, polewając się wodą i nucąc *Marsyliankę.*

– Dlaczego akurat *Marsyliankę?*

– Kochała się w jakimś francuskim aktorze, który grał w filmach wojennych.

– Pierre Fresnay.

– Zgadza się. Tak się skurczybyk nazywał. Skąd wiesz?

– Ten mój przyjaciel, Ben Yakov, jesc do niego bardzo podobny.

– Hm. Cieszę się, że tego nie wiedziałem przed spotkaniem z twoim przyjacielem.

– No i co było dalej?

– Pewnego dnia jej ojciec przyłapał mnie na podglądaniu. Zbił mnie na kwaśne jabłko. Złamał mi rękę.

– Złamałeś rękę, grając w piłkę!

– To była oficjalna wersja. Jej ojciec zagroził, że doniesie na mnie na policję, jeśli powiem prawdę. Kazali mi się wynosić. Więcej jej nie widziałem.

– Mój Boże, Tibor. Nie miałem pojęcia.

– O to właśnie chodziło.

– To straszne! Miałeś dopiero trzynaście lat.

– A ona miała szesnaście. Dobrze wiedziała, że to nie może tak trwać. Wiedziała, że w końcu mnie przyłapią. Może nawet tego chciała. – Tibor wstał i otrzepał spodnie. – Widzisz więc, że nie mam zbyt dobrych doświadczeń ze starszymi kobietami.

Za jednym z okien domu dostrzegli jakiś ruch. Cień kobiety przesunął się przez prostokąt światła. Andras również wstał. Wyobraził sobie, że rzeźbiarka podchodzi do okna i widzi ich na ulicy, jakby próbowali ją podglądać.

– Ja nie mam już trzynastu lat, a Klara nie jest szesnastolatką.

– To fakt – przyznał Tibor. – Jesteście dorośli. Co oznacza jedynie, że konsekwencje mogą być poważniejsze, jeśli stracicie głowę.

– Za późno – powiedział Andras. – Ja już straciłem głowę. Nie wiem, co będzie dalej. Jestem zdany na jej łaskę i niełaskę.

– Mam nadzieję więc, że okaże łaskę – powiedział Tibor. Użył słowa w języku jidysz, *rachmones,* tego samego, które trzy miesiące wcześniej w Ogrodzie Luksemburskim pozwoliło Andrasowi odzyskać siebie.

Następnego ranka zanieśli walizki Tibora na Gare de Lyon, podobnie jak przedtem szli z bagażem Andrasa na dworzec Nyugati, gdy wyjeżdżał do Paryża. Tym razem to Tibor miał przed sobą wyjazd za granicę, w nieznane, to Tibor miał przed sobą studia, pracę i błądzenie po ciemnych zaułkach obcego języka. Wiatr gnał wzdłuż bulwarów i próbował wyrwać im walizki z rąk. Wczorajszy ciepły dzień wydawał się snem. Paryż był tak samo szary jak w dniu przyjazdu Andrasa. Chłopak żałował, że nie może pod jakimś pretekstem zatrzymać przy sobie Tibora jeszcze dzień, tydzień. Oczywiście Tibor miał rację. Andras głupio zrobił, wiążąc się z Klarą Morgenstern. Ale już zapuścił się na niebezpieczny teren, posuwał się krętą ścieżką ku skalnej ścianie. Nie miał odpowiednich butów, prowiantu, ubrania ani zdolności przewidywania, odporności psychicznej czy doświadczenia. Miał tylko szaloną nadzieję – coś w rodzaju ufności, którą, jak sądził, musieli żywić piętnastowieczni odkrywcy, gdy żeglowali poza obszar objęty mapami. Skoro Tibor wytknął mu ten całkowity brak przygotowania, jak mógł go teraz zostawiać samego? Jak mógł wyjeżdżać sobie pociągiem do Włoch, nawet jeśli tam czekały na niego studia medyczne? Jego zadaniem było przecież zawsze pokazywać Andrasowi drogę, zwłaszcza gdy nie było jej widać. Czasami w dzieciństwie Tibor prowadził go za rękę w ciemności – dosłownie. Teraz jednak dotarli na Gare de Lyon. Pociąg stał już na peronie, czarny i obojętny.

– No dobrze – powiedział Tibor. – Trzeba jechać.

„Zostań”, chciał powiedzieć Andras. – Powodzenia – powiedział.

– Napisz do mnie. I nie pakuj się w żadne kłopoty. Zrozumiałeś?

– Zrozumiałem.

– To dobrze. Do zobaczenia wkrótce.

„Nie kłam”, chciał powiedzieć Andras.

Tibor położył rękę bratu na ramieniu. Wyglądał, jakby chciał powiedzieć coś jeszcze. Kilka słów na pożegnanie po węgiersku, nim wsiadł do pociągu pełnego pasażerów mówiących po włosku i francusku. Ale milczał, patrząc ku wylotowi peronu i kłębowisku torów za nim. Wsiadł do pociągu i Andras podał mu skórzaną torbę. Srebrne okulary zsunęły mu się z nosa, poprawił je kciukiem.

– Napisz do mnie, jak dotrzesz na miejsce – powiedział Andras.

Tibor dotknął daszka czapki i zniknął w wagonie trzeciej klasy.

Gdy pociąg odjechał, Andras wrócił przez drzwi z napisem SORTIE do miasta, w którym nie było już Tibora. Szedł na miękkich nogach obutych w nowe oksfordy, prezent od brata z Węgier. Było mu wszystko jedno, kogo mija na ulicy i dokąd zmierza. Gdyby zamiast zrobić krok do rynsztoka, wzniósł się nagle z krawężnika w powietrze i poszybował ponad samochodami i budynkami, zobaczył ceramiczne kominy na dachach, gdyby nadal wzlatywał, aż dotknąłby ciężkich chmur na zimowym niebie, i tak nie doznałby szoku ani radości, zdziwienia ani zaskoczenia, czułby tylko ten sam ołowiany ciężar swoich nóg. Każdy krok oddalał go od brata; szedł na zachód w stronę bulwaru Raspail, aż do École Spéciale z jej granatowymi drzwiami wiodącymi na podwórze.

Na dziedzińcu było pełno studentów, wszyscy dziwnie milczący, stali z pochylonymi głowami w grupkach po trzy, cztery osoby. Ta nieruchoma scena miała w sobie coś żałobnego, jak zatrzymane w kadrze stado wron. Na zniszczonej ławce w rogu siedział sam Perret z twarzą w dłoniach.

Oto co się wydarzyło: wieści o obrażeniach Polanera dotarły powolną prowincjonalną pocztą do Lemarque'a, który skrył się po ataku na farmie rodziców w Bayeux. W liście współsprawcy pisali, że Polaner leży w szpitalu, jedną nogą na tamtym świecie, i wykrwawia się z ran wewnętrznych. Sprawozdanie to miało podnieść Lemarque'a na duchu i pokazać mu, że atak nie był daremny, a jego skutki się nasilają. Po otrzymaniu tej wiadomości Lemarque sam napisał dwa listy. Jeden zaadresował do dyrekcji szkoły, przyznając się w nim do odpowiedzialności za to, co się stało, i wskazując trzech innych studentów z trzeciego i czwartego roku, którzy wzięli udział w zajściu. Drugi list, zaadresowany do Polanera, zawierał wyrazy skruchy i przywiązania. Późnym wieczorem, zostawiwszy oba listy na kuchennym stole, powiesił się w stodole rodziców. Jego ojciec znalazł ciało tego ranka, zimne i sine jak zimowy poranek.

Rozdział czternasty

Strzyżenie

ZOSTAŁO POSTANOWIONE – najpierw na wieczornym spotkaniu w gabinecie Perreta, a potem jeszcze później w Blue Dove – to Andras powie Polanerowi o śmierci Lemarque'a. Choć Perret uważał, że jest to jego obowiązek jako dyrektora szkoły, Vago przekonał go, że delikatna sytuacja wymaga specjalnego postępowania; byłoby lepiej, tłumaczył, gdyby wiadomość przekazał przyjaciel. Andras, Rosen i Ben Yakov zgodzili się z tym i postanowili: to Andras da list Polanerowi. Oczywiście mieli poczekać, aż lekarze stwierdzą, że jego stan zdrowia nie jest już zagrożony, a można było się spodziewać, że to wkrótce nastąpi. Po drugim tygodniu w szpitalu symptomy i następstwa wewnętrznego krwawienia ustąpiły. Podobnie jak dezorientacja Polanera, opuchlizna i wysięki. Mógł znowu sam jeść i pić. Lekarze twierdzili, że osłabienie potrwa jeszcze około miesiąca, podczas gdy organizm będzie uzupełniał utraconą krew, ale wszyscy zgadzali się co do tego, że stan się polepsza. W ten weekend Polaner sprawiał tak dobre wrażenie, że Andras odważył się zwrócić do jednego z lekarzy i wyjaśnił mu ostrożną francuszczyzną delikatną sytuację z Lemarkiem. Lekarz, internista o pociągłej twarzy, który wziął Polanera pod swoją szczególną pieczę, wyraził obawę o ewentualne następstwa szoku, ale skoro i tak nie można było bez końca utrzymywać sprawy w tajemnicy przed pacjentem, to może lepiej powiedzieć mu o tym, gdy jest jeszcze w szpitalu i można go uważnie obserwować.

Następnego dnia, gdy Andras siedział na znajomym już stalowym krześle obok łóżka, po raz pierwszy od incydentu zaczął mówić o École Spéciale. Ponieważ Polaner szybko wraca do zdrowia, lekarz uważa, że mógłby stopniowo zacząć naukę. Może mógłby mu przynieść jakieś podręczniki, rysunki albo szkicownik z pracowni?

Polaner popatrzył na Andrasa z politowaniem i zamknął oczy.

– Nie wracam na studia – powiedział. – Wracam do domu, do Krakowa.

Andras położył mu dłoń na ramieniu.

– Czy tego właśnie chcesz?

Polaner wypuścił powietrze z płuc.

– Zdecydowano za mnie – stwierdził. – Oni za mnie zdecydowali.

– Nic nie zostało zdecydowane. Jak będziesz chciał, wrócisz na studia.

– Nie mogę – powiedział Polaner, a jego oczy napełniły się łzami. – Jak spojrzę im w oczy, Lemarque'owi i innym? Nie potrafię wrócić do pracowni i usiąść przy desce jakby nigdy nic.

Nie było sensu dłużej czekać. Andras wyjął list z kieszeni i włożył koledze w ręce. Ten patrzył długo na kopertę, na swoje nazwisko napisane strzelistym pismem Lemarque'a. Potem otworzył list i wygładził pojedynczy arkusik o udo. Przeczytał sześć linijek, w których Lemarque przyznaje się do winy i błaga go o wybaczenie, o wybaczenie brutalnej napaści i tego, co musi teraz zrobić. Gdy skończył czytać, złożył list i oparł się z zamkniętymi oczami o poduszki, a jego pierś unosiła się i opadała miarowo pod prześcieradłem.

– O mój Boże – wyszeptał. – To zupełnie, jakbym ja go zabił.

Przedtem Andras myślał, że jego nienawiść do Lemarque'a nie może być większa, choć po jego śmierci nienawiść ta zmieniła się w coś w rodzaju pożałowania. Ale gdy patrzył na smutek Polanera, na jego tak dobrze znane rysy wykrzywione bólem po otrzymaniu tej wiadomości, zatrząsł się z gniewu. Śmierć Lemarque'a przyszła jednocześnie z jego wyznaniem miłości i skruchą, a to oznaczało podwójne brzemię! Teraz Polaner będzie zawsze myślał o tym, co utracił, co by się stało, gdyby świat był inny. To było okrucieństwo jeszcze większe niż przemoc fizyczna i sama śmierć, to jad pewnej odmiany pokrzywy spotykanej na równinach Hajdú: gdy jej kolec znalazł się w ciele, przesuwał się coraz dalej w głąb rany i sączył truciznę przez wiele dni i tygodni, a rana cały czas piekła jak ogień.

Tego wieczoru został z Polanerem jeszcze długo po zmierzchu, ignorując napomnienia pielęgniarki oddziałowej, że czas wizyt już się skończył. Gdy nalegała, powiedział jej, że będzie musiała wezwać policję, by się go pozbyć. W końcu lekarz o pociągłej twarzy wstawił się za nim i pozwolono mu zostać na noc i następnego ranka. Gdy Andras siedział przy łóżku Polanera, przypomniało mu się, co on powiedział w Blue Dove w październiku: „Wolę się nie wychylać.

Chcę studiować i zrobić dyplom”. Gdyby to od niego zależało, nie pozwoliłby, by smutek i wstyd kazały Polanerowi wracać do domu do Krakowa.

Polaner został w szpitalu jeszcze tydzień. Gdy go wypisali, Andras pomógł mu dotrzeć do mieszkania przy bulwarze Saint-Germain. Opatrywał jego rany, robił zakupy, nosił rzeczy do pralni, rozpalał w kominku. Pewnego ranka wrócił z piekarni i zastał Polanera siedzącego w łóżku ze szkicownikiem na kolanach. Poszwa na kołdrę pełna była stróżyn z temperówki, na krześle obok łóżka leżały węgle do rysowania. Andras w milczeniu położył na stole dwie bagietki. Przygotował dla Polanera kanapkę z dżemem i herbatę i podał mu je do łóżka, a potem usiadł przy stole. Przez cały ranek skrobanie ołówka Polanera towarzyszyło mu przy własnej pracy niczym muzyka.

Później tego samego przedpołudnia Polaner stanął przed lustrem i przeciągnął ręką po zarośniętym podbródku.

– Wyglądam jak kryminalista – stwierdził. – Jakbym parę miesięcy siedział w więzieniu.

– Wyglądasz o wiele lepiej niż jeszcze parę tygodni temu.

– To chyba absurdalne, żebym się ostrzygł – powiedział prawie szeptem.

– A co w tym absurdalnego?

– Nie wiem. Wszystko. Po pierwsze, nie wiem, czy dam radę siedzieć w fotelu i prowadzić z fryzjerem zdawkową rozmowę.

Andras stał obok Polanera przed lustrem i patrzył na niego. Sam wyglądał lepiej niż przedtem, poprzedniego wieczoru Klara przystrzygła mu włosy. Przypominał teraz dżentelmena, choć ona wolała, gdy nosił długie włosy.

– A gdybym poprosił znajomą, żeby cię ostrzygła? Nie musiałbyś wtedy siedzieć w fotelu i wysłuchiwać historyjek fryzjera.

– Jaką znajomą? – zapytał Polaner, patrząc w lustrze na Andrasa.

– Dość bliską.

Polaner odwrócił się od lustra i spojrzał mu prosto w oczy.

– Masz przyjaciółkę? Co tu się działo, jak leżałem w szpitalu?

– Obawiam się, że to się dzieje już od dawna. Prawdę mówiąc, od paru miesięcy.

Polaner rzucił Andrasowi przelotny, nieśmiały uśmiech. Na krótką chwilę, po raz pierwszy od wieści o śmierci LemarqueJa, stał się dawnym sobą.

– Pewnie nie zechcesz mi o tym opowiedzieć.

– Teraz, gdy już o niej wspomniałem, czuję się do tego zobligowany.

– Gadaj. – Polaner wskazał mu krzesło.

Następnego wieczoru Polaner siedział na krześle pośrodku pokoju, ramiona przykryte miał ręcznikiem, przed sobą lustro, a Klara Morgenstern z nożyczkami i grzebieniem w rękach mówiła do niego swoim niskim, upajającym głosem. Gdy Andras rozmawiał z nią poprzedniego dnia, od razu pojęła, dlaczego trzeba zrobić to, o co prosi. W związku z tym odwołała planowaną kolację. Wcześniej tego samego popołudnia, gdy szli do Polanera, trzymała Andrasa za rękę z czymś w rodzaju milczącego zapału. Szli przez most na drugi brzeg Sekwany; oczy miała spuszczone na wspomnienie podobnej traumy. Teraz, gdy stał obok kominka i patrzył, jak kosmyki włosów spadają na podłogę, czuł niewypowiedzianą wdzięczność dla tej kobiety za to, że w lot zrozumiała, że należy wykonać tę prostą i jednocześnie intymną posługę, aby na poddaszu przy bulwarze Saint-Germain wróciło życie.

Rozdział piętnasty

W ogrodach Tuileries

TEJ WIOSNY, GDY NIE BYŁ akurat na zajęciach, u Polanera ani u Klary, uczył się projektowania i konstrukcji scenografii teatralnej pod kierunkiem Vincenta Forestiera. Monsieur Forestier miał pracownię na rue des Gravilliers, w której kreślił projekty i budował makiety. Od miesięcy już potrzebował ucznia, który pomógłby mu przy kopiowaniu projektów i przy żmudnej budowie makiet. Forestier był wysoki, mocno zbudowany i ponury, z wiecznym parodniowym siwym zarostem i zwyczajem podkreślania swoich wypowiedzi wzruszaniem potężnych ramion, jakby sam nie bardzo ufał temu, co mówi. Okazało się, że po cichu był również geniuszem projektowania. Nawet gdy było skandalicznie mało czasu i pieniędzy, potrafił stworzyć pałace, uliczki i zacienione wąwozy w swoim własnym niezrównanym stylu. Jego scenografia często podlegała metamorfozom, kobiecy buduar z jednego przedstawienia mógł stać się gabinetem dowódcy wojsk w innym teatrze po drugiej stronie miasta, a w kolejnym wcieleniu służyć jeszcze jako przedział kolejowy, chatka pustelnika lub łoże z baldachimem jakiegoś paszy. Pomysł Andrasa, by robić domy z wnętrzami po jednej stronie, a elewacjami po drugiej, był jedną z powszedniejszych sztuczek Forestiera. Robił scenografię, która przypominała puzzle, w zależności od ułożenia poszczególnych elementów grała trzy lub cztery różne role. Forestier był też mistrzem iluzji optycznej. Potrafił sprawić, że aktorzy rośli lub kurczyli się, idąc po scenie. Drobna zmiana oświetlenia mogła przeobrazić pokój dziecinny w scenę z horroru. Projekcja ręcznie namalowanych slajdów dawała widzom wrażenie, że w oddali jest miasto lub góry, duchy lub retrospekcje z dzieciństwa bohatera. Obrót wokół osi magicznej latarni za sprawą ciepła emitowanego przez płomień świecy sprawiał, że do lotu na płóciennym ekranie zrywało się stado ptaków.

W scenicznych wnętrzach poukrywane były zapadnie i elementy obrotowe; każda powierzchnia kryła tajemnicze wnętrze, w którym mogło być kolejne wnętrze, a w nim jeszcze jedno. Monsieur Forestier miał zwyczaj pojawiać się i znikać,

zupełnie jakby był aktorem we własnych dekoracjach; przychodził, by zlecić Andrasowi wykonanie jakiegoś zadania, i pięć minut później wnikał w jakąś ścianę, zostawiając go samego z problemami scenografii. Po ciągłym zamieszaniu w teatrze Sary Bernhardt Andras czuł się tu nieco samotny. Gdy jednak wieczorem wracał do domu, czasem czekała na niego Klara.

Każdego wieczoru bardzo się spieszył, mając nadzieję, że ona tam będzie; lecz najczęściej musiał obejmować jej ducha w ciemnym pokoju, cień, który po niej pozostał, gdy ona sama była już gdzie indziej. Gdy pomiędzy jej wizytami upływało zbyt wiele dni, doprowadzało go to do szaleństwa. Wiedział jednak, choć nie lubił, gdy mu o tym przypominano, że kiedy on chodził na zajęcia, do pracy i opiekował się Polanerem, ona prowadziła własne życie. Wydawała kolacje, bywała w kinie, w teatrach, w klubach jazzowych i na wernisażach. Wyobrażał sobie ludzi, których spotyka na przyjęciach u przyjaciół lub zaprasza do siebie – zagranicznych choreografów i tancerzy, młodych kompozytorów, pisarzy, aktorów, zamożnych mecenasów sztuki – i był całkowicie pewien, że ktoś odciągnie jej uwagę od niego. Gdy nie było jej na rue des Écoles przez trzy noce, myślał: „No tak, stało się", a następny dzień spędzał pogrążony w rozpaczy. Gdy szedł sam ulicą, denerwowała go każda para napotkana po drodze; gdy próbował rozerwać się, idąc do kina, przeklinał czarnowłosą piękność, która wykradała się po cichu z przedziału sypialnego męża, by w świetle księżyca odwiedzić kuszetkę kochanka. Jeśli po takim wieczorze, wracając do domu, zobaczył w swoim oknie światło, mówił sobie, że z pewnością przyszła tylko po to, by na dobre z nim zerwać. Potem otwierał drzwi i widział ją siedzącą przy ogniu: czytała książkę, reperowała rozpruty kostium baletowy lub robiła herbatę; gdy podbiegała do niego i zarzucała mu ręce na szyję; wstyd mu było, że w nią wątpił.

Pewnego sobotniego wieczoru w połowie maja, gdy pąki na drzewach miały jeszcze ciasne zielone koszulki, ale bryza znad Sekwany stała się już ciepła nawet nocą, Klara pojawiła się w nowym wiosennym kapeluszu, błękitnym toczku z ciemnoniebieską wstążką. Nowy kapelusz zwykła rzecz: po prostu oznaka zmieniającej się mody i pory roku. Nosiła przecież różne nakrycia głowy od czasu czerwonego kapelusika w czasie ich pierwszych zimowych uścisków. Pamiętał jeden kamelowy z czarnym piórkiem, zielony z jakimś skórzanym frędzlem. Ale ten wyjątkowo wiosenny kapelusz, błękitny toczek, przypomniał mu w przeciwieństwie do pozostałych, że czas płynie dla nich obojga, że on wciąż jest na studiach, a ona ciągle na niego czeka, że to, co między nimi zaszło, jest romansem, nietrwałym i lekkim jak puch. Wyjął szpilkę w kształcie ważki i powiesił toczek na wieszaku obok drzwi, a potem wziął ją za obie ręce

i poprowadził do łóżka. Uśmiechnęła się, objęła go, szepcąc do ucha jego imię, ale on wziął ją znów za ręce i posadził obok siebie.

– O co chodzi? – zapytała. – Co się stało?

Nie mógł nic powiedzieć. Nie potrafił wytłumaczyć, co go tak zasmuciło. Nie umiał wyjaśnić, że kapelusz przypomniał mu, że życie jest krótkie, a on wciąż na nią zupełnie nie zasługuje. Wziął ją więc w ramiona i kochał ją, powtarzając sobie w myślach, że wszystko mu jedno, nawet jeśli nic więcej między nimi nie będzie poza tymi wieczornymi spotkaniami, poza tym racjonowanym romansem.

Godziny mijały szybko; nim zmusili się, żeby wyjść spod ciepłej kołdry i się ubrali, była prawie trzecia nad ranem. Zeszli po schodach na ulicę, poszli w stronę bulwaru Saint-Michel, by zatrzymać taksówkę. Zawsze żegnali się na tym samym rogu. Zaczął już nienawidzić tego kawałka chodnika za to, że zabiera mu ją za każdym razem. W ciągu dnia, gdy moc rozdzielenia ich była ukryta pod codziennym ulicznym ruchem, róg wydawał się zupełnie innym miejscem, takim samym jak każde inne skrzyżowanie ulic, bez szczególnego znaczenia. Ale teraz, w nocy, był jego arcywrogiem. Nie chciał go oglądać – ani księgarni po drugiej stronie ulicy, ani lip otoczonych płotkami, ani apteki z podświetlonym zielonym krzyżem – chciał by zniknęły. Skręcił więc w inną ulicę i poszli w stronę Sekwany.

– Dokąd idziemy? – zapytała, uśmiechając się do niego.

– Odprowadzam cię do domu.

– Dobrze – zgodziła się. – Dziś taka piękna noc.

Rzeczywiście było pięknie. Czuło się powiew majowej bryzy nad rzeką, gdy szli przez most w stronę Marais. Na ulicach wciąż było pełno ludzi w strojach wieczorowych; nie wyglądało na to, by mieli ochotę pożegnać się z tą nocą. Gdy tak szli, Andras przez chwilę poddał się niemożliwej do zrealizowania fantazji, że gdy dotrą na miejsce, wejdą po schodach na górę i pójdą cicho przez hol prosto do jej sypialni i tam zasną obok siebie w białej pościeli. Ale pod numerem 39 wszystkie światła były zapalone; pani Apfel zbiegła po schodach, gdy tylko usłyszała klucz Klary w zamku, i poinformowała ją, że Elisabet nie wróciła jeszcze do domu.

– Jest już po trzeciej! – Klara wybałuszyła oczy ze strachu.

– No właśnie – odparła pani Apfel, mnąc fartuch. – Nie wiedziałam, gdzie pani szukać.

– O mój Boże, co się mogło stać? Nigdy się tak nie spóźniała.

– Szukałam jej po całej okolicy, madame.

– A mnie przez cały ten czas nie było! O mój Boże! Trzecia nad ranem! Mówiła, że idzie tylko na tańce z Marthe.

Kolejna godzina upłynęła w panice. Klara wykonała kilka telefonów i dowiedziała się, że Marthe nie spotkała się z Elisabet tego wieczoru, że w szpitalach nie przyjęto nikogo o nazwisku Elisabet Morgenstern i że policja nie przyjęła żadnego zgłoszenia, że dziewczyna o rysopisie zbliżonym do rysopisu Elisabet ucierpiała wskutek przemocy. Klara odłożyła słuchawkę i zaczęła chodzić niespokojnie po salonie, trzymając się za głowę.

– Zabiję ją! – powiedziała i wybuchła płaczem. – Gdzie ona jest. Już prawie czwarta!

Andrasowi przyszło do głowy, że Elisabet jest najprawdopodobniej ze swoim jasnowłosym Amerykaninem, a powód nieobecności jest właściwie taki sam jak powód późnego powrotu jej matki.

Poprzysiągł nie wyjawić jej sekretu, więc wahał się teraz, czy powinien mówić o swoich podejrzeniach. Nie mógł jednak patrzeć, jak Klara się męczy. Poza tym zwłoka mogła być fatalna. Wyobraził sobie Elisabet w niebezpieczeństwie – zatrutą alkoholem po jednej z imprez u Józsefa lub samą gdzieś w odległej dzielnicy po nieudanym wyjściu na tańce. Wiedział, że powinien coś powiedzieć.

– Twoja córka ma przyjaciela – wyznał. – Widziałem ich razem na przyjęciu. Możemy dowiedzieć się, gdzie on mieszka, i sprawdzić.

Oczy Klary się zwęziły.

– Jakiego przyjaciela? Co to było za przyjęcie?

– Błagała mnie, żebym ci nie mówił – wyjaśnił Andras. – Obiecałem, że nie powiem.

– Kiedy to było?

– Kilka miesięcy temu. W styczniu.

– W styczniu! – Oparła rękę na kanapie, jakby się bała, że może stracić równowagę. – Andras, to niemożliwe.

– Przykro mi. Powinienem był ci powiedzieć wcześniej. Nie chciałem zawieść zaufania Elisabet.

W jej oczach był czysty gniew.

– Jak się nazywa ten człowiek?

– Wiem, jak ma na imię. Nie znam jego nazwiska. Ale zna go twój bratanek. Możemy do niego pojechać, ja pójdę na górę, a ty poczekasz w taksówce.

Wzięła lekki płaszcz z kanapy i po chwili biegli już po schodach. Gdy otworzyli drzwi, stała w nich Elisabet, trzymając w jednej ręce parę wieczorowych butów, a w drugiej watę cukrową. Klara, stojąc w przejściu, popatrzyła na nią uważnie, na buty, na watę cukrową. Było jasne, że dziewczyna nie wraca z niewinnego spotkania z Marthe. Elisabet obrzuciła Andrasa długim spojrzeniem. Nie był w stanie wytrzymać jej wzroku, więc od razu zrozumiała, że ją zdradził. Popatrzyła na niego z wściekłością, przepchnęła się między nim i matką i pobiegła na górę. Chwilę później usłyszeli, jak trzaskają drzwi jej sypialni.

– Porozmawiamy później – rzuciła Klara i zostawiła go w drzwiach, pod brzemieniem świadomości, że zasłużył na gniew obu pań Morgenstern.

– Powinieneś chyba wiedzieć, jaką kobietą jest moja matka – powiedziała Elisabet.

Siedziała na ławce w ogrodach Tuileries, a Andras stał przed nią; minęły dwa dni, odkąd ostatni raz widział Klarę, i nie miał żadnych wieści z rue de Sévigné. Tego popołudnia zaskoczył go widok Elisabet na dziedzińcu École Spéciale. Rosen i Ben Yakov doszli do wniosku, że to ona musi być tą tajemniczą kobietą, z którą cały czas się spotyka – kobietą, której nigdy nie widzieli, o której wspominał jedynie bardzo niejasno w czasie rozmów w Blue Dove. Gdy wyszli z pracowni i zobaczyli Elisabet na dziedzińcu, jej zimne spojrzenie utkwione w Andrasie, ramiona skrzyżowane na bladozielonej sukience, Rosen zagwizdał, a Ben Yakov uniósł jedną brew.

– To Amazonka – wyszeptał. – Jak byś ją ocenił w łóżku?

Tylko Polaner wiedział, że to nie jest kobieta, którą Andras kocha – Polaner, który dzięki pomocy Andrasa i Klary oraz niezłomnej przyjaźni Rosena i Bena Yakova wrócił na zajęcia w École Spéciale. Tylko Polaner znał tajemnicę związku Andrasa i choć nigdy przedtem nie widział Elisabet, o historii Klary i jej rodziny wiedział tyle samo, co Andras. Gdy więc ta wysoka silna dziewczyna pojawiła się

na dziedzińcu École Spéciale, strzelając zimnymi iskrami spojrzeń w stronę Andrasa, od razu odgadł, kim jest. Odwrócił uwagę Rosena i Bena Yakova, proponując im herbatę w kafeterii, nie widząc innego wyjścia, jak zostawić Andrasa na pastwę losu.

W drzwiach szkoły Elisabet odwróciła się i bez słowa poprowadziła Andrasa bulwarem Raspail. Przez całą drogę do Tuileries szła dwa kroki przed nim. Włosy miała ciasno związane w koński ogon, który wygrywał rytm jej kroków. Ruszył za nią wzdłuż Raspail do Saint-Germain, przeszli przez rzekę do ogrodów Tuileries. Prowadziła go ścieżkami wśród złotych i fioletowych fuksji, w dusznym majowym zapachu tysiąca kwiatów, aż doszli do miejsca, które było prawdopodobnie jedynym zaniedbanym kątem w parku: do czarnej, dawno niemalowanej ławki przy pozbawionej kwiatów grządce. Za nimi słychać było ruch samochodów na rue de Rivioli. Elisabet usiadła, znów skrzyżowała ramiona i posłała Andrasowi spojrzenie przepełnione nienawiścią.

– To nie zajmie długo – zakomunikowała i dodała, że powinien wiedzieć, jaką kobietą jest jej matka.

– Wiem, jaką jest kobietą – odparł Andras.

– Powiedziałeś jej prawdę o mnie i o Paulu, a teraz ja powiem ci prawdę o niej.

Jest wściekła, pomyślał Andras. Zrobi wszystko, by go zranić, posłuży się każdym kłamstwem. W pewnym sensie był jej winien tę rozmowę, przecież złamał daną jej obietnicę.

– Dobrze – zgodził się. – Co chcesz mi powiedzieć?

– Pewnie ci się wydaje, że jesteś jej pierwszym kochankiem po moim ojcu.

– Wiem, że prowadziła skomplikowane życie. To dla mnie nie nowość.

Elisabet zaśmiała się krótko z sarkazmem.

– Skomplikowane! Nie powiedziałabym. Bardzo proste, gdy już poznasz zasadę. Odkąd pamiętam, żałośni mężczyźni wciąż się do niej przymilają. Zawsze wiedziała, czego od nich chce i ile jest warta. Jak myślisz, skąd ma mieszkanie i studio? Wytańczyła je w pocie czoła?

Musiał wbić paznokcie w dłonie, aby się powstrzymać przed uderzeniem Elisabet.

– Dość! – krzyknął. – Nie mam zamiaru tego słuchać.

– Ktoś musi ci powiedzieć prawdę.

– Twoja matka nie uważa mnie za głupca i ty też nie powinnaś.

– Ale jesteś głupcem! Naiwnym głupcem! Ona zabawia się z tobą, traktuje cię instrumentalnie, by wzbudzić zazdrość innego mężczyzny. Prawdziwego mężczyzny, dorosłego człowieka, takiego, który ma pracę i pieniądze. Możesz sobie sam o tym przeczytać.

Wręczyła mu stosik kopert wyjętych ze szkolnej skórzanej torby. Męski charakter pisma, imię i nazwisko Klary. Potem wyciągnęła kolejny stos i jeszcze jeden. Morze listów. Otworzyła pierwszą z wierzchu kopertę, wysunęła list i zaczęła czytać.

– „Moja Droga Odette", tak ją nazywa, swoją Odette, od imienia księżniczki łabędzicy z baletu. „Od wczorajszego wieczoru wciąż o Tobie myślę. Jeszcze czuję Twój smak w ustach. Moje dłonie są pełne Ciebie. Twój zapach unosi się wszędzie w moim domu",

Andras wziął od niej list. To, co przed chwilą przeczytała, napisane było znajomym charakterem pisma; odwrócił stronę, by spojrzeć na podpis. Jeden inicjał: Z. Na kopercie widniał znaczek z datą sprzed roku.

– Jak myślisz, kto to jest? – zapytała Elisabet, patrząc mu w oczy. – To twój monsieur Novak. Z to Zoltán. Jest jego kochanką od jedenastu lat. A gdy coś się między nimi psuje, tak jak to czasem bywa, wiąże się z takimi idiotami jak ty, żeby go doprowadzić do szału. On zawsze do niej wraca. Tak to funkcjonuje. Teraz już wiesz.

Jakby po jego ciele przetoczył się walec z rozżarzonymi igłami. Czuł, jakby mu przedziurawił płuca, czuł, że nie może już nabrać powietrza.

– Skończyłaś?

Wstała i wygładziła ręką bladozieloną sukienkę.

– Może wydaje ci się, że tego nie wytrzymasz, ale zapewniam cię, że ja też nie mam lekko, teraz gdy już wie o Paulu.

I zostawiła go w Tuileries z plikiem listów Novaka.

Nie poszedł do pracy. Siedział na ławce w najbrudniejszym zakątku parku i czytał listy. Najstarszy pochodził ze stycznia 1927 roku. Przeczytał o pierwszym spotkaniu Klary z Novakiem po występach baletowych; przeczytał o przegranej walce Novaka, by pozostać wiernym żonie; a potem było upojne samobiczowanie

się po pierwszej schadzce z Klarą; były sekretne odniesienia do miejsc, w których zapewne się kochali – loża w operze, domek przyjaciela na Montmartrze, jakaś sypialnia w trakcie przyjęcia, gabinet Novaka w teatrze Sary Bernhardt; liściki, w których Novak błaga o spotkanie, jak również liściki, w których błaga, by mu odmówiła, gdy następnym razem poprosi. Były też odniesienia do kłótni związanych z poczuciem winy po obu stronach, a następnie półroczna przerwa w regularnej korespondencji – czas, gdy zapewne się nie widywali, a ona być może spotykała się z kimś innym, gdyż kolejne listy mówiły gniewnie o jakimś tancerzu o imieniu Marcel (czy to mógł być ten Marcel, zastanawiał się Andras, który przysyłał Klarze pocztówki z Rzymu?). Novak żądał, by zerwała związek z Marcelem. To absurd, pisał, porównywać uczucie tego młodego jaszczura z jego miłością. Widocznie zrobiła to, czego żądał, bo listy od Novaka znów zaczęły przychodzić regularnie i znów były pełne namiętnych wspomnień po spotkaniach z Klarą. Były wśród nich listy o studiu i mieszkaniu, które dla niej znalazł, nudne listy o technicznych szczegółach kupna nieruchomości; desperackie liściki o tym, jak chciałby odejść od żony i przeprowadzić się do niej na rue de Sévigné – ożenić się z nią i zaadoptować Elisabet – a następnie trzeźwe elaboraty, w których mówił, dlaczego nie może tego zrobić. Potem była kolejna przerwa w korespondencji, a po niej listy o nowym kochanku Klary, tym razem pisarzu, którego sztuki grano u Sary Bernhardt; w jednym tygodniu Novak zarzekał się, że to już ostatnia kropla goryczy, że skończył z Klarą na zawsze, ale w następnym błagał ją, by do niego przyszła, a w kolejnym nie ulegało wątpliwości, że tak właśnie uczyniła – „Cóż za słodka ulga znowu Cię mieć, jakież spełnienie najdzikszych marzeń". Wreszcie na początku 1937 roku jego żona dowiedziała się od prawnika o nabyciu nieruchomości, o której nie miała pojęcia. Doprowadziła do konfrontacji i Novak się przyznał. Żona kazała mu wybierać. Wtedy właśnie pojechał na Węgry – by wyleczyć łagodną postać gruźlicy, jak powiedział wszystkim, ale także po to, by podjąć decyzję: żona czy kochanka. Zapewne był w drodze powrotnej z Węgier, gdy Andras spotkał go na peronie. Wrócił pełen poczucia winy, zawstydzony tym, że krzywdził zarówno Edith, jak i Klarę. Zerwał z Klarą, a jego żona zaszła w ciążę. Ta wiadomość przyszła w grudniu. Najświeższy list jednak, sprzed paru tygodni, mówił o tym, że podobno Klara z kimś się widuje i w dodatku jest to Andras Lévi, młody Węgier, którego on zatrudnił ubiegłej jesieni w teatrze. Żądał, by się wytłumaczyła, i błagał, by zrobiła to osobiście w pewnym hotelu, w wyznaczonym dniu wczesnym popołudniem, będzie tam na nią czekał.

Andras siedział na ławce obok sterty listów. Tego popołudnia, dwa tygodnie temu, co wtedy robił? Był w pracy? Na uczelni? Nie pamiętał. Czy ona odwołała

swoje lekcje, aby spotkać się z Novakiem? Czy jest z nim także w tej chwili? Miał ochotę kogoś zadusić na śmierć. Kogokolwiek: może tę matronę w brokatach, z pudelkiem obok fontanny; tę smutną dziewczynę pod lipami; policjanta na rogu, którego groteskowe wąsy wyglądały tak samo jak Novaka. Wstał, włożył listy do torby i poszedł z powrotem w stronę rzeki. Było już ciemno, nastał wilgotny wiosenny wieczór. Andras przeszedł nieprzytomny przez ulicę przed trąbiącymi samochodami, wpadał na przechodniów, przeciskał się przez grupy kloszardów na mostach. Nie miał pojęcia, która jest godzina, i było mu wszystko jedno. Był wyczerpany. Nic nie jadł, ale nie czuł głodu. Było już za późno, by pojawić się w warsztacie Forestiera, ale do domu też nie chciał iść, bał się, że Klara zechce z nim porozmawiać, a nie mógł nawet znieść myśli o spotkaniu. Nie chciał z nią rozmawiać o Novaku, wstydził się tego, że przeczytał listy, że pozwolił Elisabet zrealizować niecny zamysł. Skręcił i poszedł wzdłuż rue des Écoles do placu Sorbonne, gdzie usiadł na brzegu fontanny i słuchał jednonogiego akordeonisty, jak gra najbardziej gorzkie piosenki miłosne, jakie w życiu słyszał. Gdy już dłużej nie mógł wytrzymać, uciekł do Ogrodu Luksemburskiego i zapadł w niespokojny sen na ławce pod wiązem.

Obudził się jakiś czas później w wilgotnych oparach błękitnego poranka, z bólem karku od niewygodnej pozycji. Pamiętał, że wieczorem przygniotła go jakaś katastrofa; czuł, jak wraca mu świadomość: Zoltán Novak, listy. Potarł oczy kciukiem i palcem wskazującym i zamrugał w świetle poranka. Przed nim na trawie pasły się w koniczynie dwa króliczki. Pierwsze promienie dnia przeświturywały przez ich delikatne uszy przypominające liście cykorii; zwierzęta były tak blisko, że słyszał chrzęst liści i żucie. W parku panowała cisza; był sam z tym, czego dowiedział się o Klarze, i nie mógł już tego zmienić.

Miał rację: przyszła do niego poprzedniego wieczoru. Właściwie to szukała go po całym mieście. Śledził jej ruchy dzięki serii coraz bardziej zaniepokojonych liścików, które odbierał w odwrotnej kolejności, niż ona je zostawiała. Pierwszy był przypięty do jego deski kreślarskiej w pracowni: „Gdzie się podziewasz? Szukałam Cię wszędzie. Przyjdź do mnie, jak tylko dostaniesz tę wiadomość. K.”; następny zostawiła u poczciwego pana Forestiera, który był bardziej zmartwiony niż zły, gdy Andras pojawił się w pracy, wyglądając, jakby spędził poprzednią noc na ławce w parku: „A., gdy nie pojawiłeś się w domu, przyszłam Cię szukać tutaj. Sprawdzę jeszcze na uczelni. K.”; i wreszcie, pod koniec dnia, który wydawał mu się najdłuższy w życiu, znalazł liścik zostawiony na dole przy schodach: „A., Idę zobaczyć, czy nie ma Cię u Forestiera. Twoja K.”. Wdrapał się na ostatnie piętro i otworzył drzwi swojej mansardy. W ciemności usłyszał hałas przewracanego

krzesła i lekkie kroki Klary i oto stanęła obok niego. Zapalił lampę i zdjął marynarkę.

– Andras – powiedziała. – Mój Boże, co się z tobą działo? Gdzie ty byłeś?

– Nie mam ochoty rozmawiać – powiedział. – Idę spać.

Nie mógł na nią patrzeć. Za każdym razem bowiem widział na niej ręce Novaka, jego usta na jej ustach. „Twój smak". Zrobiło mu się niedobrze i osunął się na kolana obok łóżka. Położyła mu rękę na ramieniu, ale ją strącił.

– Co się stało? – zapytała. – Spójrz na mnie.

Nie mógł. Zdjął koszulę i spodnie i wczołgał się na łóżko, zwrócony twarzą do ściany. Słyszał, jak ona porusza się po pokoju za jego plecami.

– Tak się nie robi – powiedziała. – Musimy porozmawiać.

– Idź już – odparł.

– To szaleństwo. Zachowujesz się jak dzieciak.

– Zostaw mnie, Klaro.

– Gdy ze mną porozmawiasz.

Usiadł na łóżku; oczy go piekły. Przecież nie będzie przy niej płakał. Wstał bez słowa, wyjął listy z torby i rzucił je na stół.

– Co to jest? – zapytała.

– To ty mi powiedz.

Wzięła jeden.

– Skąd to masz?

– Twoja córka była tak miła, że mi je przyniosła. W ten sposób podziękowała mi za to, że powiedziałem ci o Paulu.

– Co takiego?

– Uznała, że może będę chciał wiedzieć, z kim jeszcze się pieprzysz.

– O mój Boże! – krzyknęła. – Nie do wiary. Zrobiła to?

– „Jeszcze czuję Twój smak w ustach. Moje dłonie są pełne Ciebie. Twój zapach unosi się wszędzie w moim domu".

Wziął jeden z listów i rzucił go w jej kierunku.

– Albo to: „Gdyby nie Ty, moje życie pogrążyłoby się w ciemności”. Albo to: „Wspomnienia wczorajszego wieczoru podtrzymywały mnie na duchu przez cały ten okropny dzień. Kiedy znów do mnie przyjdziesz?”. Albo taki sprzed dwóch tygodni: „Będę czekał w hotelu St. Lazare”.

– Proszę cię, Andras.

– Idź do diabła, Klaro, idź do diabła! Wynoś się z mojego domu! Nie mogę na ciebie patrzeć!

– To już przeszłość – powiedziała. – Już dłużej nie mogłam, nigdy go nie kochałam.

– Byłaś z nim jedenaście lat! Spałaś z nim trzy razy w tygodniu. Odeszłaś dla niego od dwóch innych kochanków. Pozwoliłaś mu kupić ci mieszkanie i studio. I nie kochałaś go? Jeśli to prawda, to co ja mam teraz czuć?

– Mówiłam ci – odparła głosem głuchym z bólu. – Powiedziałam, że nie powinieneś wszystkiego o mnie wiedzieć.

Nie mógł już dłużej tego słuchać. Był wyczerpany i głodny, jego umysł przypominał przypalony garnek, którego zawartość całkowicie się wygotowała. Prawie go nie obchodziło, czy między Klarą a Novakiem było coś jeszcze, czy ich ostatnie zerwanie okazało się ostateczne, czy to tylko kolejne z serii tymczasowych rozstań. Sama myśl, że była z tym człowiekiem, Zoltánem Novakiem, z tym jego ohydnym wąsikiem – że dotykał swoimi łapskami jej ciała, jej znamion i blizn, miejsc, które zdawały się należeć tylko do Andrasa, a które przecież należały tylko do niej, to ona nimi obdarowywała tak, jak chciała – nie mógł tego znieść. No i byli jeszcze inni – tancerz, dramatopisarz – a przed nimi z pewnością jeszcze inni. Nagle wszyscy nabrali realności, legiony jej byłych kochanków, mężczyzn, którzy poznali ją wcześniej. Tłoczyli się w pokoju. Widział ich w jakichś śmiesznych kostiumach baletowych, drogich płaszczach i udekorowanych orderami mundurach, dobrze ostrzyżonych i źle ostrzyżonych, w brudnych lub wyglansowanych butach, wyprostowanych i przygarbionych, pełnych godności i niezdarnych, w różnego kształtu okularach, wszyscy pachnieli kremem do golenia, skórą, olejkiem do włosów i zwykłym męskim pożądaniem. Klara Morgenstern: oto co mieli ze sobą wspólnego. Wbrew temu, co mówiła mu madame Gérard, uważał siebie za kogoś wyjątkowego w jej życiu, kogoś jedynego, a prawda była taka, że służył jako szeregowy żołnierz w armii kochanków; gdy padnie, inni go zastąpią, a tych kolejni. Tego było za wiele. Naciągnął kołdrę na ramię i zakrył twarz ramieniem. Znów powtórzyła jego imię znajomym niskim głosem. Nie odezwał się; zawołała go jeszcze raz. Ani drgnął.

Po jakimś czasie usłyszał, że ona wstaje i wkłada płaszcz. Słyszał, jak otworzyły się i zamknęły drzwi. Za ścianą nowi sąsiedzi hałaśliwie uprawiali miłość. Kobieta pojękiwała dyszącym kontraltem, mężczyzna pochrząkiwał basem. Andras pogrzebał twarz pod poduszką, oszalały ze smutku, nie myśląc o niczym; chciał umrzeć.

Rozdział szesnasty

Kamienny domek

NASTĘPNEGO RANKA BYŁ ROZPALONY gorączką. Zlany potem leżał na wilgotnej pościeli; potem znów trząsł się pod wszystkimi nakryciami, jakie miał, łącznie z płaszczem, marynarką i trzema wełnianymi swetrami. Nie mógł jeść, wstać do pracy ani na zajęcia. Gdy był spragniony, pił resztki zimnej herbaty prosto z imbryka. Żeby oddać mocz, używał nocnika spod łóżka. Drugiego dnia rano, gdy przyszedł zaniepokojony Polaner, Andras nie miał siły go wyprosić, choć pragnął być samemu. Tym razem to Polaner wcielił się w rolę pielęgniarza; sprawił się tak, jakby nic innego nie robił przez całe życie. Kazał Andrasowi wyjść z łóżka i się umyć. Opróżnił nocnik, zmienił pościel. Zagotował wodę i zaparzył mocną herbatę; wysłał konsjerżkę po zupę i nakarmił Andrasa. Gdy już Andras czysty i ubrany leżał na świeżo pościelonym łóżku, Polaner kazał mu opowiedzieć, co się wydarzyło. Wysłuchał go uważnie, a potem stwierdził, że sytuacja jest poważna, choć nie beznadziejna. Teraz najważniejsze, by Andras powrócił do zdrowia. Mieli do zrobienia dwa projekty. Jeśli nie wyzdrowieje i nie zabierze się do pracy, ucierpi także Polaner. Projekty były wykonywane i oceniane zespołowo. Następnie za dziesięć dni czekały ich egzaminy: statyka i historia architektury. Jeśli Andras nie zda, straci stypendium i zostanie odesłany do domu. A praca? Od dwóch dni monsieur Forestier nie dostał od niego znaku życia.

Polaner oświadczył, że przyniesie ich rzeczy z pracowni – Andras był zbyt wyczerpany gorączką, by udać się na bulwar Raspail – i zaczną projektować u niego na poddaszu. Po południu Polaner zaniesie liścik panu Forestierowi z prośbą Andrasa o wybaczenie. Polaner zaoferuje tego wieczoru swoje zastępstwo przy kopiowaniu projektów scenografii. Tymczasem Andras przygotuje plan nauki do egzaminów ze statyki i historii architektury.

Andras nigdy w życiu nie miał takiego przyjaciela jak Polaner i chyba już nie będzie miał lepszego! Następnego dnia jego praca została uratowana, a

projekty zaliczeniowe zaczęły się posuwać do przodu. Mieli zaprojektować nowoczesną salę koncertową. Pozostawało nierozwiązanych jeszcze parę kwestii: wybrali cylindryczny kształt budynku i musieli zaprojektować strop, który bez zniekształceń i echa odbijałby dźwięki z powrotem ku publiczności. Gdy skończyli projekt, czekała ich jeszcze budowa makiety, przestawiali z miejsca na miejsce formy z tektury. Przez cały dzień i noc. Polaner nie wspomniał o powrocie do domu. Spał na podłodze i wciąż był na miejscu, gdy Andras obudził się rano.

O wpół do jedenastej, właśnie gdy Polaner szykował się do powrotu do domu, usłyszeli kroki na schodach. Andrasowi wydawało się, że coś pełznie mu po kręgosłupie i jest coraz bliżej ciemnej i bolesnej dziury w sercu. Usłyszeli klucz w zamku i drzwi uchyliły się nieco; Klara: spod rondka wiosennego kapelusika spoglądały ciemne oczy.

– Przepraszam – szepnęła. – Nie wiedziałam, że masz towarzystwo.

– Monsieur Polaner właśnie wychodzi do domu – oświadczył Polaner. – Monsieur Lévi ma mnie już dość. Przez całą noc męczyłem jego umysł problemami architektonicznymi, choć jeszcze nie całkiem wydobrzał po chorobie.

– Po chorobie? – spytała Klara. – Był lekarz?

– Polaner się mną opiekował – powiedział Andras.

– Kiepski ze mnie doktor – stwierdził Polaner. – Wygląda na to, że wychudł. Pójdę już, bo jeszcze narobię więcej szkód.

Włożył swój wiosenny kapelusz w tak modnym kolorze i fasonie, że trudno było zauważyć miejsce, w którym do główki ponownie przyszył rondo, i wyszedł na korytarz, zamykając za sobą cicho drzwi.

– Byłeś chory – powiedziała Klara. – Czy już lepiej się czujesz?

Andras nie odpowiedział. Usiadła na drewnianym krześle i dotknęła tekturowych ścian sali koncertowej.

– Powinnam była ci powiedzieć o Zoltánie – rzekła. – Dowiedziałeś się w najgorszy możliwy sposób. Chociaż mogło być jeszcze gorzej. Pracowaliście razem. Marcelle wiedziała.

A więc madame Gérard o wszystkim wiedziała! Ta myśl doprowadzała go teraz do szału.

– To było dla mnie i tak wystarczająco straszne – stwierdził.

– Chcę, byś wiedział, że z tym już koniec – zapewniła Klara. – Nie widziałam się z nim dwa tygodnie temu i już nie zobaczę, nawet gdyby poprosił mnie o spotkanie.

– Tak samo mówiłaś za każdym razem.

– Musisz mi uwierzyć, Andras.

– Nadal jesteś z nim związana. Mieszkasz w domu, który ci kupił.

– Wpłacił tylko zaliczkę. Resztę zapłaciłam sama. Elisabet nie zna szczegółów naszych spraw finansowych. Może nie chce wiedzieć, że to ja nas utrzymuję. Wtedy nie mogłaby się tak łatwo rozgrzeszyć za to, jak mnie traktuje.

– Ale go kochałaś – powiedział Andras. – Nadal go kochasz. Związałaś się ze mną tylko po to, żeby był zazdrosny, tak samo jak poprzednio z innymi. Z Marcelem. I z tym pisarzem Édouardem.

– To prawda, że gdy Zoltán się ode mnie odwrócił, nie siedziałam w domu sama. No w każdym razie niezbyt długo. Gdy stwierdził, że wraca do swego życia, ja wróciłam do swojego. Ale na Marcelu ani Édouardzie nie zależało mi tak jak na nim, więc do niego wracałam.

– A więc to prawda – powiedział Andras. – Kochasz go.

– Nie wiem – westchnęła. – Zoltán i ja jesteśmy sobie bardzo bliscy. Albo raczej byliśmy. Ale nie związalibyśmy się ze sobą. On nie mógł ze względu na Edith; a ja nie mogłam z tego samego powodu. W końcu doszłam do wniosku, że nie chcę być czyjąś kochanką do końca życia. A on zdecydował, że nie może być ze mną, skoro mają mieć z Edith dziecko.

– A teraz?

– Nie widziałam się z nim, odkąd podjęliśmy tę decyzję. Od listopada.

– Tęsknisz za nim?

– Czasami – powiedziała i wsunęła dłonie pomiędzy kolana. – Był bliskim przyjacielem i bardzo mi pomógł z Elisabet. Ona też go lubi albo lubiła. Był trochę jak ojciec, którego nie miała. Gdy postanowiliśmy to skończyć, czuła się tak, jakby nas obie opuścił. Winiła mnie za to. Chyba miała nadzieję, że znów się z nim widuję, gdy spotykałam się z tobą.

– A teraz? Gdyby teraz cię poprosił o spotkanie? Byliście razem jedenaście lat, to jedna trzecia twojego życia.

– To już koniec, Andras. W moim życiu jesteś teraz ty.

– Jestem? – zapytał. – Myślałem, że ze mną skończyłaś. Nie byłem pewien, czy będziesz w stanie mi wybaczyć to, że ukrywałem przed tobą sekrety Elisabet.

– Nie wiem, czy będę w stanie – odparła ze śmiertelną powagą. – Elisabet nie miała prawa stawiać cię w takiej sytuacji, ale skoro to zrobiła, powinieneś był mi natychmiast powiedzieć. Ten człowiek jest pięć lat starszy od niej: bogaty Amerykanin, studiuje w Beaux-Arts, taki miał kaprys. To nie jest ktoś, kto będzie ją dobrze traktował ani brał poważnie. Co gorsza, zna mojego bratanka.

– To nie jego wina – zaoponował Andras. – Twój bratanek zna wszystkich w Dzielnicy Łacińskiej w wieku od szesnastu do trzydziestu lat.

– W każdym razie trzeba to zakończyć. Nie chcę, by ten młody człowiek zachował się niehonorowo.

– A czego chce Elisabet?

– To nieistotne.

– Ale Elisabet widzi to inaczej. Jeśli będziesz się jej przeciwstawiać, tym bardziej się uprze.

Klara pokręciła głową.

– Nie próbuj mnie uczyć, jak mam wychowywać własne dziecko.

– Nie próbuję. Ale pamiętam, jak się czułem, mając szesnaście lat.

– Powtarzałam sobie, że właśnie dlatego strzegłeś jej sekretu – powiedziała Klara. – Wiem, że trochę jej współczujesz, w gruncie rzeczy myślę, że to z twojej strony urocze. Ale musisz zrozumieć też mój punkt widzenia.

– Aha. Zakończyłaś więc związek Elisabet i Paula.

– Mam nadzieję – powiedziała Klara. – I ukarałam ją za to, że pokazała ci te listy.

Zmarszczyła w znajomy sposób brwi.

– Wyglądała raczej na zadowoloną, gdy zorientowała się, jak bardzo byłam tym zmartwiona. Powiedziała mi, że dostałam to, na co zasłużyłam. Zabroniłam jej wychodzić z domu. Pani Apfel pilnuje jej, gdy mnie nie ma. Elisabet nie wyjdzie, dopóki nie napisze do ciebie listu z przeprosinami.

– Prędzej się zestarzeje i umrze.

– To będzie jej decyzja.

Wiedział, że Elisabet niewiele sobie robi z aresztu domowego, nawet pod okiem pani Apfel. Wkrótce znajdzie sposób, by uciec. Bał się, że nie zostawi wtedy swojego adresu. Nie chciał się czuć za to odpowiedzialny.

– Pozwól, że jutro przyjdę z nią porozmawiać – zaproponował.

– Nie łudź się, że to coś da.

– Pozwól mi spróbować.

– Nie będzie chciała się z tobą widzieć. Ostatnio jest wściekła jak osa.

– Nie tak wściekła, jak ja byłem w jej wieku.

– Wiesz, jaka ona jest, Andras. Potrafi się zachowywać paskudnie.

– Wiem. Ale ostatecznie to tylko dziewczyna. Klara westchnęła głęboko.

– I co teraz będzie? – zapytała, spoglądając na niego z krzesła. -Co będzie z nami po tym wszystkim?

Przeciągnął dłonią po karku. Jego też dręczyło to pytanie.

– Nie wiem, Klaro. Nie wiem. Usiądę tu na łóżku. Jak chcesz, możesz usiąść obok mnie.

Poczekał, aż osunęła się obok, i ciągnął dalej.

– Przepraszam, że tak do ciebie mówiłem tamtego wieczoru. Zachowywałem się tak, jakbyś mnie zdradziła, ale nie zrobiłaś tego, prawda?

– Nie – odparła i położyła mu rękę na kolanie. Jej dłoń paliła go jak rozżarzony węgiel. – To byłoby niemożliwe ze względu na moje uczucia do ciebie. A przynajmniej absurdalne.

– A właśnie, Klaro. *Co* ty do mnie czujesz?

– Odpowiedź na to pytanie może wymagać trochę czasu – odparła, uśmiechając się.

– Nie mogę być tym, kim był dla ciebie on. Nie jestem w stanie dać ci mieszkania ani być ojcem dla Elisabet.

– Mam gdzie mieszkać – odparła. – A Elisabet, choć jest jeszcze pod wieloma względami dzieckiem, wkrótce będzie dorosła. Teraz nie jest mi potrzebne to, co było mi potrzebne wtedy.

– A co ci jest potrzebne? Przygryzła usta w zamyśleniu.

– Nie jestem pewna. Ale nie jestem w stanie wytrzymać rozstania z tobą. Nawet gdy gotuję się z wściekłości na ciebie.

– Wciąż tak mało o tobie wiem. – Pogłaskał ją po wygiętych plecach; czuł gorące węgle jej kręgów pod cienką dżersejową sukienką.

– Mam nadzieję, że starczy czasu, byś się wszystkiego dowiedział.

Pociągnął ją za sobą, kładąc się na łóżku, a ona położyła głowę na jego ramieniu. Przesunął ręką po jej ciepłych, ciemnych włosach i wziął między palce ich zakręcone końce.

– Pozwól mi porozmawiać z Elisabet – powiedział. – Jeśli mamy być dalej razem, nie może mnie nienawidzić. Ani ja jej.

– Dobrze – zgodziła się. – Bardzo proszę, spróbuj.

Przekręciła się na plecy i spojrzała na zacieki w kształcie słoni i ryb na pochyłym suficie.

– Ja też byłam straszna dla mojej matki – przyznała. – Nie ma sensu udawać, że było inaczej.

– Wszyscy jesteśmy bezwzględni dla swoich rodziców, gdy mamy szesnaście lat.

– Ty na pewno nie – zaoponowała, zamykając oczy. – Kochasz rodziców. Jesteś dobrym synem.

– Ale jestem tu, w Paryżu, podczas gdy oni są w Konyárze.

– To nie twoja wina. Twoi rodzice pracowali, byś mógł iść na studia, i chcieli, byś tu przyjechał. Co tydzień do nich piszesz. Wiedzą, że ich kochasz.

Miał nadzieję, że ona ma rację. Nie widział ich już dziewięć miesięcy. Czuł jednak z nimi delikatną więź, cienkie świecące włókno, które zaczynało się w jego sercu i sięgało przez cały kontynent do ich dwóch serc. Jeszcze nigdy nie chorował z dala od matki; gdy miał gorączkę w Debreczynie, przyjeżdżała, pociągiem, żeby być przy nim. Zawsze kończył rok szkolny ze świadomością, że wkrótce zobaczy się w domu z ojcem, będzie obok niego pracował w składzie drewna, a wieczorami chodził z nim na spacery po polach. Teraz było jeszcze jedno włókienko łączące go z Klarą. A jej domem był Paryż, miejsce oddalone o tysiące kilometrów od jego domu. Poczuł jakby ból, coś w rodzaju tęsknoty za domem, ale zagnieżdżonej gdzieś głębiej w świadomości. Była to tęsknota za

czasem, kiedy jego serce było proste i szczęśliwe, i małe jak zielone jabłuszko z ojcowskiego sadu.

Po raz pierwszy poszedł zobaczyć się z Józsefem Haszem na uczelni. Akademia Beaux-Arts była wielkim pałacem w środku miasta, pomnikiem sztuki dla sztuki; dziedziniec i pracownie École Spéciale wyglądały przy nim jak zbudowane naprędce przez kilku chłopców na pustej parceli. Wmaszerował przez zdobioną roślinnymi ornamentami bramę z kutego żelaza, pomiędzy dwiema figurami wyrzeźbionymi w kamieniu, następnie przeszedł przez ogród rzeźb pełen idealnych marmurowych kor i kurosów, wpatrzonych w dal migdałowymi oczami, jakby zeszły prosto ze stron podręcznika do historii sztuki. Wszedł po marmurowych schodach trzypiętrowego romańskiego budynku i znalazł się w holu przepełnionym młodymi ludźmi, ubranymi z wystudiowaną niedbałością. Na liście pracowni widniało nazwisko József; posługując się planem, Andras zorientował się, gdzie należy go szukać. Wszedł na górę do sali z pochyłym sufitem ze szkła skierowanym na północ. Tam, wśród rzędów studentów pochłoniętych malowaniem, József kładł warstwę werniksu na płótno, które na pierwszy rzut oka przedstawiało trzy rozgniecione pszczoły leżące obok czarnej czeluści rynsztoka. Przy bliższej inspekcji pszczoły okazały się trzema kobietami o czarnych włosach, w żółtych sukienkach w czarne paski.

József nie zdziwił się nadmiernie na widok Andrasa w swojej pracowni. Uniósł jedną brew i nadal werniksował dzieło.

– Co tu robisz, Lévi? – zapytał. – Nie masz własnych projektów do oddania w terminie? Zafundowałeś sobie wolny dzień? Chcesz, żebym napił się z tobą w samym środku poranka?

– Szukam tego Amerykanina – odparł Andras. – Tego, który był na twoim przyjęciu. Paula.

– Po co? Pojedynkujesz się z nim o tę jego posągową dziewczynę? Kopnął w sztalugę studenta stojącego naprzeciwko niego, aż ten zaprotestował głośno: – Hász, ty imbecylu.

To właśnie był Paul.

Wyszedł spoza płótna, z pędzlem w kolorze palonej umbry, z wyrazem zniecierpliwienia na swojej końskiej twarzy.

– Przez ciebie moja menada ma wąsy.

– Na pewno jej to dobrze zrobi.

– Znowu Lévi – powiedział Paul, skinąwszy głową Andrasowi. -Studiujesz tutaj?

– Nie, przyszedłem z tobą porozmawiać.

– Zdaje się, że będzie się z tobą bił o tę postawną dziewoję – wtrącił József.

– Hász, zabawny jesteś – powiedział Paul. – Powinieneś występować w cyrku objazdowym.

József posłał mu całusa i wrócił do werniksowania. Paul wziął Andrasa pod ramię i poprowadził go ku drzwiom pracowni.

– Czasem jestem w stanie tolerować tego dupka, ale nie zawsze -powiedział, gdy schodzili po schodach. – Dziś jakoś nie mogę.

– Przepraszam, że ci przeszkadzam w czasie zajęć – rzekł Andras. – Nie wiedziałem, gdzie indziej mogę cię znaleźć.

– Mam nadzieję, że przyszedłeś mi wytłumaczyć, co się dzieje -powiedział Paul. – Nie widziałem się z Elisabet od wielu dni. Domyślam się, że jej matka zatrzymuje ją w domu po tym, jak ostatnim razem tak późno wróciła. Ale może ty wiesz coś więcej. – Zerknął na Andrasa. – O ile wiem, kręcisz z madame Morgenstern.

– Tak – odparł Andras. – Chyba można powiedzieć, że kręcimy ze sobą.

Doszli do drzwi wejściowych i usiedli na marmurowych schodach na zewnątrz. Paul wyciągnął z kieszeni papierosa i przypalił go zapalniczką z monogramem.

– No więc? – zapytał. – Jakie masz dla mnie wieści?

– Elisabet nie wolno wychodzić z domu – powiedział. – Jej matka nie wypuści jej, dopóki ona mnie nie przeprosi.

– Za co?

– Nieważne. To skomplikowane. Chodzi o to, że Elisabet nie przeprosi. Prędzej umrze.

– Dlaczego?

– Niestety, to ja powiedziałem o was jej matce. Kiedy spóźniała się tamtej nocy, jej matka odchodziła od zmysłów. Musiałem jej powiedzieć, że Elisabet może być z tobą. Teraz ona już wszystko wie. Wcale nie jest zachwycona tym, że Elisabet ma przyjaciela.

Paul zaciągnął się głęboko papierosem i dmuchnął chmurą szarego dymu w stronę dziedzińca.

– Cieszę się, że mogę ci powiedzieć prawdę – wyznał. – Konieczność utrzymywania tego w tajemnicy stała się trochę nieznośna. Oszalałem na punkcie tej dziewczyny i nie znoszę... – zastanowił się nad właściwym francuskim słowem – kręcenia. Lubię być kowbojem w białym kapeluszu. Rozumiesz? Lubisz amerykańskie westerny?

– Widziałem kilka – odparł Andras. – Z węgierskim dubbingiem, niestety.

– Nie miałem pojęcia, że nasi ojcowie mówią po węgiersku – zaśmiał się Paul.

– Owszem.

– Więc przyszedłeś tu z misją pokojową? Chcesz nam pomóc teraz, gdy już wszystko zabagniłeś?

– Coś w tym rodzaju. Chciałbym odegrać rolę pośrednika. Powiedzmy, zasłużyć znów na zaufanie Elisabet. Nie chcę, by mnie na zawsze znienawidziła. Zwłaszcza gdybym nadal spotykał się z jej matką.

– Jaki zatem masz plan?

– Nie możesz jej odwiedzić, ale ja mogę. Na pewno chciałaby dostać od ciebie jakąś wiadomość. Może byś do niej napisał?

– A jeśli jej matka się dowie?

– Powiem jej o tym otwarcie – zapewnił Andras. – Moim zdaniem ona się do ciebie w końcu przekona.

Paul zaciągnął się głęboko, zastanawiając się nad propozycją.

– Słuchaj, Lévi – westchnął. – Zależy mi na tej dziewczynie. Nie znam drugiej takiej. Mam nadzieję, że to nie pogorszy sprawy.

– Chyba nie da się jej już pogorszyć.

Paul zgasił papierosa na marmurowym stopniu i kopnął niedopałek na ziemię.

– Dobrze – zdecydował. – Poczekaj tu. Pójdę napisać list.

Podniósł się i podał Andrasowi rękę, pomagając mu wstać. Andras czekał, obserwując dwie zięby szukające ziaren w kępie lawendy. Obejrzał się za siebie,

czy nikt go nie widzi, wyjął scyzoryk i uciął pęczek łodyg. Bawełniana nitka z wystrzępionego paska od torby posłużyła mu do związania bukietu. Kilka minut później Paul zszedł na dół, trzymając w ręku kopertę z szarego papieru.

– Oto list. – Wręczył mu ją. – Oby nam się poszczęściło.

– *Here goes nothing* – powiedział Andras. Było to jedyne zdanie po angielsku, jakie znał.

Gdy przyszedł następnego dnia w południe, Klara miała akurat lekcję indywidualną. Otworzyła mu pani Apfel. Jej biały fartuch poplamiony był fioletowym sokiem, a oczy miała podkrążone, jakby od wielu dni nie spała. Na widok Andrasa na jej zmęczonej twarzy pojawił się zatroskany grymas, jakby nie spodziewała się z jego strony niczego innego tylko kolejnych kłopotów.

– Przyszedłem do Elisabet – powiedział.

– Lepiej niech pan idzie do domu. – Pani Apfel pokręciła głową.

– Chciałbym z nią porozmawiać – nalegał. – Jej matka wie, po co przyszedłem.

– Elisabet nie będzie chciała z panem rozmawiać. Zamknęła się w swoim pokoju. Nie wychodzi. Nawet nie je.

– Niech pani pozwoli, że spróbuję. To ważne.

Zmarszczyła swoje rude brwi.

– Niech mi pan uwierzy, lepiej nie próbować.

– Niech mi pani da tacę z jedzeniem, zaniosę jej.

– Nic pan nie wskóra – powiedziała, ale odwróciła się i poprowadziła go na górę.

Poszedł za nią do kuchni, gdzie na piecu stał jeszcze gorący placek jagodowy. Stanął nad nim i wciągnął jego zapach w płuca, podczas gdy pani Apfel robiła dla Elisabet omlet. Ukroiła gruby kawałek placka i położyła wszystko na talerzu z kawałkiem masła.

– Od dwóch dni nic nie jadła – powiedziała. – Trzeba będzie niedługo wezwać lekarza.

– Zobaczymy, co się da zrobić – odparł Andras.

Wziął tacę, poszedł korytarzem do pokoju Elisabet i rogiem tacy puknął dwa razy w zamknięte drzwi. Cisza.

– Elisabet, to ja, Andras, przyniosłem ci lunch. Cisza.

Postawił tacę na ziemi, wyjął kopertę Paula z torby i wsunął ją pod drzwi. Przez długi czas nie było reakcji. Potem ciche szuranie, jakby przyciągnęła kopertę po podłodze. Czekał na szelest papieru. Oto jest! Cisza. W końcu otworzyła drzwi, a on wszedł do środka i postawił tacę na biureczku. Zerknęła pogardliwie najedzenie, Andrasa nawet nie zaszczyciła spojrzeniem. Jej potargane włosy przybrały szary kolor, twarz była zaczerwieniona i wilgotna. Miała na sobie pogniecioną koszulę nocną i czerwone skarpetki z dziurami na palcach.

– Zamknij drzwi.

Spełnił polecenie.

– Skąd masz ten list?

– Poszedłem się zobaczyć z Paulem. Pomyślałem, że będzie chciał wiedzieć, co się z tobą dzieje. Myślałem, że zechce do ciebie napisać.

Westchnęła rozdzierająco i usiadła na łóżku.

– Co to ma za znaczenie? – zapytała. – Matka nigdy nie pozwoli mi wyjść z domu. Z Paulem już wszystko skończone.

Gdy uniosła wzrok i spojrzała na niego, zobaczył w jej oczach coś, czego nigdy przedtem u niej nie widział: ponurą świadomość klęski i wyczerpanie.

– Paul nie uważa, by wszystko było skończone. – Andras pokręcił głową. – Chce porozmawiać z twoją matką.

– Ona się nigdy z nim nie spotka. – Jej oczy napełniły się łzami.

Pomyślał, że ona jest dokładnie w wieku Mátyása. Pewnie w tym samym czasie wyrzynały jej się ząbki, zaczęła chodzić i nauczyła się pisać w tym samym roku szkolnym co jego brat. Ale nie była niczyją siostrą. Nie było w tym domu nikogo w jej wieku, nikogo, o kim mogłaby myśleć jako o sojuszniku. Nie miała z kim dzielić matczynej nadopiekuńczości i miłości.

– Chciałby wiedzieć, jak się czujesz. Jeśli napiszesz list, zaniosę mu go.

– Dlaczego to robisz? – zapytała. – Potraktowałam cię tak okropnie.

Spuściła głowę na kolana i zaczęła płakać – może nie tyle z poczucia winy, jak się Andrasowi wydawało, ile ze zwykłego zmęczenia. Usiadł przy biurku obok łóżka i wyjrzał przez okno na ulicę, gdzie widać było plakaty reklamujące Jardin des Plantes i antywojenny film *J'Accuse* Abela Gance'a, który właśnie miał premierę w Grand Rex. Poczeka, aż ona się wypłacze. Siedział obok niej w milczeniu, aż wreszcie się opanowała, wytarła nos w rękaw i poprawiła włosy wilgotną dłonią. Potem zapytał najdelikatniej, jak potrafił:

– Nie sądzisz, że pora coś zjeść?

– Nie jestem głodna.

– Jesteś.

Odwrócił się do tacy z jedzeniem stojącej na biurku i posmarował masłem placek jagodowy, wziął serwetkę, położył ją na kolanach Elisabet i postawił przed nią tacę. Siedzieli tak w ciszy, z dołu słychać zaś było kołyszący rytm walca na trzy i głos Klary liczącej kroki uczennicy. Elisabet wzięła do ręki widelec. Odłożyła go dopiero, gdy zjadła wszystko, co było na tacy. Potem odstawiła tacę na podłogę i wzięła z biurka papier. Andras czekał, ona napisała coś tępym ołówkiem na kartce ze szkolnego brulionu. Wyrwała liścik, złożyła go na pół i mu wręczyła.

– Oto przeprosiny – oświadczyła. – Przeprosiłam ciebie, matkę i panią Apfel za to, że byłam taka okropna przez te ostatnie dni. Możesz to położyć na biurku mojej matki w salonie.

– Nie chcesz napisać do Paula?

Zagryzła zęby na końcu ołówka i wyrwała nową stronę z zeszytu. Po chwili rzuciła Andrasowi spojrzenie i powiedziała:

– Nie mogę pisać, jak na mnie patrzysz. Poczekaj w drugim pokoju.

Wziął tacę i wyczyszczone talerze i zniósł je do kuchni. Zdumiona pani Apfel przyglądała mu się w milczeniu. Zaniósł przeprosiny na biurko Klary. W końcu poszedł do sypialni i postawił na szafce nocnej bukiet lawendy w szklance wody, z króciutkim liścikiem. Następnie ruszył do salonu, żeby poczekać na list Elisabet i zastanowić się nad tym, co powiedzieć Klarze.

W sierpniu monsieur Forestier zamknął swój warsztat scenograficzny na trzy tygodnie. Elisabet pojechała z Marthe do Awinionu, gdzie jej rodzina miała letni dom. Zamierzały wrócić dopiero pierwszego września. Pani Apfel znów

odwiedzała córkę w Aix. Klara zaś napisała do Andrasa, by przyszedł na rue de Sévigné z zapasem ubrań wystarczającym na dwanaście dni.

Z piersią ściśniętą radością spakował torbę. Mieszkanie przy rue de Sévigné, zalane słońcem pokoje, miejsce, gdzie mieszkali z Klarą w grudniu – teraz znów je mieli tylko dla siebie na prawie dwa tygodnie. Tak bardzo pragnął spędzić z nią więcej czasu. W pierwszym miesiącu po tym, jak dowiedział się o Novaku, cały czas żył w nieustającym strachu. Mimo zapewnień Klary nie był w stanie otrząsnąć się z niepokoju, że pewnego dnia Novak ją wezwie, a ona do niego pójdzie. Gdy minął czerwiec, strach powoli zanikał, a od Novaka nie było żadnych wiadomości, żadnych sygnałów, że Klara miałaby zostawić dla niego Andrasa. W końcu zaczął jej ufać i nawet wyobrażać sobie przyszłe życie z nią, choć szczegóły pozostawały niejasne. Znów zaczął spędzać niedziele w jej domu i było to dużo przyjemniejsze niż dawniej, bo jego dyplomacja zaowocowała niechętną wdzięcznością Elisabet, która potrafiła teraz siedzieć z nim przez godzinę, ani razu go nie obrażając i nie wyśmiewając jego francuszczyzny. Choć na początku Klara była wściekła, gdy jej opowiedział o swojej roli pośrednika, to zmiana, jaka zaszła w Elisabet, zrobiła na niej wrażenie. Zachwalał zalety Paula i w końcu Klara uległa i zaprosiła przyjaciela Elisabet na lunch. Wkrótce wynegocjowano kruche zawieszenie broni. Paul zrobił na Klarze wrażenie swoją znajomością sztuki współczesnej, uprzejmością, sympatycznym obejściem i niekończącą się cierpliwością wobec Elisabet.

Teraz pojawił się na horyzoncie kolejny kamień milowy w życiu Andrasa. Po raz pierwszy miał obchodzić w Paryżu urodziny. Pod koniec sierpnia kończył dwadzieścia trzy lata. Pakując walizkę, wyobrażał sobie, jak piją z Klarą szampana na rue de Sévigné, cudownie sami, w powtórce zimowej idylli. Ale gdy pojawił się tego ranka pod jej domem, przy krawężniku stał czarny kabriolet renault z otwartym dachem. Obok samochodu czekały dwie małe walizki; na siedzeniu kierowcy leżała chustka i gogle. Klara wyszła z domu, zasłaniając sobie oczy od słońca; miała na sobie kombinezon na drogę, płócienne buty i rękawiczki do kierowania autem. Związała włosy w dwa kucyki z tyłu głowy.

– Co to wszystko znaczy?

– Włóż walizkę do bagażnika – powiedziała, rzucając mu kluczyki. – Jedziemy do Nicei.

– Do Nicei? Tym samochodem? Sami?

– Tak, tym samochodem.

Krzyknął z radości, przeskoczył przez auto i wziął ją w ramiona.

– To nieprawda – powiedział z niedowierzaniem.

– Prawda. To prezent na twoje urodziny. Mamy domek nad morzem.

Choć wiedziały że można wynająć auta i domki, wydawało mu się niewiarygodne, że Klara rzeczywiście wynajęła samochód, że mogą po prostu napełnić bak benzyną i pojechać do domku w Nicei. Żadnego szamotania się z bagażem na dworcu kolejowym, żadnego tłoku w przedziale trzeciej klasy przesiąkniętym zapachem dymu, wonią kanapek i potem pasażerów, żadnego szukania taksówki ani powozu u celu podróży. Tylko Andras i Klara w tym małym, czarnym jak żuk samochodziku. A potem dom, w którym będą sami. Co za luksus; jaka wolność. Wrzucili walizki do środka, a Klara założyła, chustkę i rękawiczki.

– Gdzie się nauczyłaś kierować autem? – zapytał, gdy ruszali spod domu w stronę rue des Francs-Bourgeois. – Czy ty wszystko umiesz robić?

– Prawie – odparła. – Nie znam portugalskiego ani japońskiego, nie umiem zrobić brioszki i strasznie śpiewam. Ale umiem prowadzić. Ojciec mnie nauczył, gdy byłam mała. Ćwiczyliśmy na wsi, obok domu mojej babki w Kabie.

– Mam nadzieję, że od tego czasu zdarzyło ci się jeździć.

– Niezbyt często. Bo co? Boisz się?

– Nie wiem – odparł Andras. – A powinienem się bać?

– Wkrótce się przekonasz.

Skręciła z rue du Pas de la Mule w bulwar Beaumarchais i z łatwością włączyła się w ruch na rondzie Bastille. Następnie pojechała bulwarem Bourdon, przez most Austerlitz na drugą stronę rzeki i dalej na południe. Czapka Andrasa chciała odfrunąć, więc musiał ją przytrzymywać ręką. Najpierw jechali pozornie niekończącymi się przedmieściami Paryża (kto mieszkał w tych odległych dzielnicach, tych trzypiętrowych budynkach z balkonami? Czyje pranie wisiało na sznurku?), a potem znaleźli się na wsi pośród złotawej mgiełki i zielonych pastwisk. Na przygryzionej trawie stały dobrze odkarmione owce i kozy. Obok jakiejś farmy dzieci bawiły się w skorupie zardzewiałego citroena, uzbrojone w kije i łopatki. Rozgadane kury wtoczyły się na drogę i Klara musiała je przepłoszyć klaksonem. Przy drodze mijali wysokie, delikatne lipy, a każda z nich przemawiała do nich ulotnym szumem. Na lunch zatrzymali się obok łąki i zjedli zimnego kurczaka z sałatką ze szparagów, a potem tarte brzoskwiniową, do

której lgnęły osy. W Chantilly dogoniła ich burza i uderzyła w nich ukośną ulewą, zanim zdążyli zamknąć dach samochodu. Jechali dalej, ale przednia szyba zaparowała tak bardzo, że musieli się zatrzymać i przeczekać burzę. Słońce już prawie zachodziło, gdy po pokonaniu prawie pięćdziesięciu kilometrów wśród gajów oliwnych wjechali na wzniesienie i zaczęli zjeżdżać ku krańcowi ziemi. Tak to w każdym razie wyglądało dla Andrasa, który nigdy przedtem nie widział morza. Gdy znaleźli się bliżej, okazało się, że to olbrzymia powierzchnia płynnego metalu, rozżarzona nieskończoność stopionego mosiądzu. Im bliżej morza byli, tym chłodniejsze stawało się powietrze, a trawy wzdłuż drogi pochylały kłosy we wzmagającym się wietrze. Dotarli do piaszczystego kawałka wybrzeża w momencie, gdy czerwona pastylka słońca rozpuszczała się na linii horyzontu. Klara zatrzymała samochód przy pustej plaży i wyłączyła silnik. Na brzegu morza żywioł huczał i miotał pianą. Wysiedli bez słowa i podeszli po białym piasku do brzegu.

Andras podwinął spodnie i wszedł do wody. Gdy przyszła fala, grunt usunął mu się spod nóg i musiał chwycić Klarę za ramię, by nie upaść. Znał to uczucie, ten potężny i przerażająco silny prąd: to była Klara, jej przyciąganie, jej nieuchronność w jego życiu. Śmiejąc się, weszła do wody ponad kolana i pozwoliła, by fale ją zalały, jej bluzka zrobiła się przezroczysta. Gdy tak stała, jej spódnicę przyozdobiły wodorosty. Miał ochotę ją położyć na chłodnym piasku i wziąć właśnie w tym momencie, ale pobiegła przez plażę z powrotem do samochodu, wołając go za sobą.

Przejechali przez miasto z jego białymi hotelami i mieniącą się zatoczką i skręcili w polną drogę tak wyboistą i skalistą, że obawiali się, czy z renault nie powypadają wszystkie wnętrzności. Na samej górze stał stary kamienny domek w maleńkim ogródku otoczonym zaroślami janowca. Klucz znajdował się w ptasim gnieździe nad drzwiami. Wnieśli walizki do środka i padli na łóżko, zbyt zmęczeni, by się teraz kochać, jeść kolację lub robić cokolwiek innego poza snem. Gdy się zbudzili, panowała aksamitna ciemność. Po omacku znaleźli lampy naftowe i zjedli chleb z serem, który przywieźli na śniadanie. Gwiazdy przykryła przemieszczająca się powoli mgła. Klara zapomniała wziąć koszuli nocnej. Andras odkrył, że jest uczulony na jakąś roślinę z ogródka; oczy go piekły i kichał raz po raz. Spędzili bezsenną noc, nasłuchując, jak drzwi łomoczą o framugę, wiatr hula pomiędzy ramą okienną a parapetem, jak bez końca biadolą i skrzypią nocne insekty. Gdy Andras obudził się w szarym świetle poranka, jego pierwszą myślą było to, że gdyby mieli ochotę, zawsze mogą wsiąść do samochodu i wrócić do Paryża. Ale obok leżała Klara, na jej skroni, wśród

delikatnych włosków, widać było ziarenka piasku; byli w Nicei, zobaczył Morze Śródziemne. Wyszedł na zewnątrz, by w ogródku na tyłach domu siknąć obszernym łukiem, moczem o zapachu szparagów. Wrócił do środka, zwinął się wokół Klary i zapadł w najmocniejszy sen tej nocy. Gdy ponownie się obudził, w łóżku obok niego, tam gdzie wcześniej leżała Klara, był gorący prostokąt słońca. Boże, ależ jest głodny; czuł się, jakby nie jadł od wielu dni. Z ogrodu dobiegał go szczęk sekatora. Nie wysilając się, by włożyć koszulę, spodnie albo chociaż spodenki, wyszedł na zewnątrz, gdzie Klara ścinała pęk wysokich kwiatów, które wyglądały jak serweteczki zrobione na szydełku.

– Dzika marchewka – obwieściła. – Dlatego wczoraj kichałeś.

Miała na sobie czerwoną bawełnianą sukienkę bez rękawów i słomiany kapelusz. Jej ramiona nabrały w słońcu złotego koloru. Wytarła czoło chusteczką i wstała, by popatrzeć na stojącego w drzwiach Andrasa.

– *Au naturel* – zauważyła.

Andras zrobił sobie dłonią listek figowy.

– Chyba już skończyłam z ogrodnictwem – powiedziała z uśmiechem.

Wrócił do łóżka, które stało w alkowie z oknem wychodzącym na Morze Śródziemne. Minęły wieki, nim umyła ręce i wreszcie przyszła. Zupełnie zapomniał, jaki był głodny, gdy się obudził. Zapomniał też o wszystkim na świecie. Zdjęła buty i weszła na łóżko, pochylając się nad nim. Jej ciemne włosy były gorące od wchłoniętego słońca, a oddech słodki: jadła w ogródku truskawki. Czerwony materiał jej sukienki przykrył mu twarz.

Na zewnątrz trzy karłowate kózki, które wyłoniły się z janowca, zjadły wszystkie ścięte kwiaty, sporo młodych niedojrzałych główek sałaty, puste pudełko po zapałkach i chusteczkę do nosa Klary. Lubiły odwiedzać ten domek. W ogródku pojawiało się dużo intrygujących i nieznajomych przedmiotów. Gdy obwąchiwały właśnie opony renówki, dobiegł je z wnętrza domku ludzki hałas, aż nastawiły uszu: jakieś dwa głosy wołały bez końca.

Dużo niżej leżało miasto Nicea z oślepiająco białymi plażami, z tej perspektywy wyglądające na ciche. W Nicei można było pływać w morzu. Jeść w kafejce przy plaży. Spać na piasku lub spacerować pod kolumnadą hotelu. Za pięćdziesiąt centymów można było obejrzeć film z rzutnika na ścianie baraku. Na krytym targu kwiatowym można było kupić naręcza róż i goździków. Albo zrobić sobie wycieczkę do ruin łaźni rzymskich w Cemenelum i urządzić piknik na wzgórzu z widokiem na port. Można było kupić przybory do rysowania za połowę

paryskiej ceny. Andras wybrał sobie szkicownik i dwanaście dobrych ołówków o różnej twardości. Popołudniami, gdy Klara ćwiczyła taniec, on ćwiczył się w rysowaniu. Najpierw narysował ich domek tak dokładnie, że poznał każdy jego kamień i załamanie dachu. Następnie wymazał z pamięci domek i zaczął wyobrażać sobie, co by tu mogli zbudować. Parcela była lekko nachylona. Dom miałby dwa poziomy, jeden z nich od frontu niewidoczny. Krawędź dachu biegłaby blisko stoku i byłaby pokryta darnią; posadziliby w tej warstwie ziemi lawendę. Dom byłby zbudowany z surowych bloków wapiennych. Zapomniałby o czystej geometrii projektów swoich profesorów i pozwolił temu domowi ułożyć się na zboczu jak skała wydobyta na wierzch przez wiatr i wodę. Od strony morza zamontowałby w kamiennej fasadzie przesuwane szklane drzwi. W środku byłyby studio Klary i jego pracownia. Salon, sypialnie i pokoje dziecinne, gdyby mieli dzieci. Za domem wybrukowałby kamieniem przestrzeń na stół i krzesła. W tarasowym ogrodzie uprawialiby ogórki, pomidory, zioła, dynie i melony; po pergoli wspinałaby się winorośl. Nie miał nawet odwagi zgadywać, ile taka parcela mogłaby kosztować ani jakie byłyby koszty budowy domu, który zaprojektował, nie mówiąc już o tym, czy komisja budowlana w urzędzie miasta Nicei pozwoliłaby mu na realizację projektu. Dom nie istniał w rzeczywistości, w której funkcjonowały pieniądze i plany zagospodarowania przestrzennego. Był za to idealnym złudzeniem, które zdawało się tym wyraźniejsze, im dłużej tu przebywali. W ciągu dnia, gdy chodził po zarośniętym ogrodzie, wytyczał zalane nadmorskim światłem pokoje; w nocy, leżąc u boku Klary, brukował patio i dzielił ogródek na poziomy. Nie pokazał jednak Klarze swoich projektów ani nie powiedział jej, czym się zajmuje, gdy ona ćwiczy taniec. Coś kazało mu postępować ostrożnie i defensywnie; być może była to głęboka przepaść pomiędzy harmonijną trwałością, która emanowała z projektu, a skomplikowaną niepewnością ich życia.

W tym domku po raz pierwszy mieszkali jak mąż i żona. Klara kupowała w mieście produkty spożywcze, potem razem gotowali. Andras opowiadał jej o swoich planach na przyszły rok: być może dostanie pracę jako stażysta w firmie architektonicznej, która zatrudnia Vago. Ona opowiadała mu o własnych planach zatrudnienia młodszego nauczyciela tańca z zagranicy. Chciała zrobić dla kogoś to samo, co Novak i Forestier zrobili dla Andrasa. Rozmawiali, idąc leniwie drogą w stronę miasteczka albo siedząc po zmroku w ogrodzie na drewnianych krzesłach, które wystawili na zewnątrz. Myli się nawzajem w metalowej balii na środku domu. Wykładali warzywa i chleb dla karłowatych kózek; jedna z nich dała się wydoić. Zastanawiali się nad imionami swoich dzieci: dziewczynka będzie miała na imię Adèle, a chłopak Tamás. Pływali w

morzu, jedli cytrynowy sorbet i kochali się. Na polnych drogach Klara nauczyła Andrasa prowadzić samochód.

Za pierwszym razem silnik renault ciągle mu gasł, aż doprowadził go do wściekłości. Andras wyskoczył z samochodu z pretensją do Klary, że źle go uczy i próbuje z niego zrobić durnia. Niewzruszona usiadła na siedzeniu kierowcy, mrugnęła do niego, odjechała i zostawiła go wściekłego w kłębach kurzu. Gdy szedł dwie mile dzielące go od domu, był wydany na pastwę piekącego słońca i wyrzutów sumienia. Następnego dnia silnik zgasł mu tylko dwa razy. A kolejnego Andras pojechał bezbłędnie. Drogą prowadzącą w dół ze wzgórza dojechali do Promenade des Anglais i wzdłuż morza aż do Cannes. Bardzo mu się podobała siła odśrodkowa na zakrętach i obraz Klary z łopoczącym białym szalem. W drodze powrotnej jechał nieco wolniej; przyglądali się żaglówkom na wodzie, które wyglądały jak latawce. Płynnie podjechał po wyboistej, trudnej drodze. Gdy dotarli do ogrodu, Klara wyskoczyła z samochodu i wzniosła okrzyk zwycięstwa. Tego wieczoru, poprzedzającego dzień jego urodzin, zawiózł ją do miasta na drinka w hotelu Taureau d'Or. Miała na sobie turkusową sukienkę z odkrytymi ramionami i błyszczącą spinkę do włosów w kształcie rozgwiazdy. Jej skóra nabrała na plaży ciemnozłotego koloru. Najpiękniej wyglądały jej stopy w hiszpańskich sandałach, ukazujących jej opalone palce z perłoworóżowymi paznokciami. Na tarasie Taureau d'Or powiedział, że uwielbia jej bose stopy wystawione na widok publiczny.

– To takie wyzywające – wyznał. – Jakbyś była cudownie naga. Uśmiechnęła się smutno.

– Szkoda, że ich nie widziałeś, jak codziennie tańczyłam w pointach. Były straszne. Nie jesteś w stanie sobie wyobrazić, co balet może zrobić z nogami. – Obróciła precyzyjnie szklankę na stole. – Nie włożyłabym wtedy sandałów nawet za milion pengő.

– Ja bym zapłacił dwa miliony, żeby zobaczyć, jak je nosisz.

– Nie miałeś wtedy dwóch milionów, byłeś jeszcze w szkole.

– Jakoś bym je zarobił.

Zaczęła się śmiać, wsunęła palec pod mankiet jego koszuli i pogładziła go po nadgarstku. Przebywanie z nią całymi dniami było dla niego torturą. Im więcej jej miał, tym jej więcej pragnął. Najgorsze były chwile na plaży, gdy miała na sobie czarny jednoczęściowy kostium kąpielowy i biały czepek z czarnymi paskami. Obracała się na rattanowej macie plażowej; pomiędzy jej piersiami było

widać srebrny puder piasku, patrzył na łagodne wzniesienie jej łona i gładkie uda. Większość czasu na plaży musiał poświęcić na ukrywanie erekcji książką lub ręcznikiem.

Poprzedniego dnia przyglądał się, jak robiła na tej plaży perfekcyjne salta z trampoliny do wody. Widać było nawet tę trampolinę; w świetle księżyca wyglądała trochę upiornie, jak szkielet stojący w morzu.

– Powinniśmy tu zostać na zawsze – powiedział. – Ty mogłabyś uczyć tańca w Nicei. Ja bym skończył studia korespondencyjnie.

Przez jej rysy przebiegł jakby cień melancholii. Upiła łyk drinka.

– Kończysz dwadzieścia trzy lata – odparła. – To znaczy, że ja będę wkrótce miała trzydzieści dwa. Trzydzieści dwa. Im więcej o tym myślę, tym bardziej mi się wydaje, że to wiek starej kobiety.

– Nonsens – zaoponował Andras. – Ostatnia węgierska mistrzyni w pływaniu miała trzydzieści trzy lata, gdy zdobyła złoty medal olimpijski w Monachium. Moja matka miała trzydzieści pięć, gdy urodził się Mátyás.

– Wydaje mi się, jakbym już strasznie długo żyła – powiedziała. – Te dni, gdy nie włożyłabym sandałów nawet za milion pengő... – Przerwała i uśmiechnęła się, ale jej oczy pozostały smutne i odległe. – To było tak dawno! Siedemnaście lat temu!

Zrozumiał, że nie chodzi o niego. Chodziło o jej własne życie i o to, jak wszystko się zmieniło, gdy zaszła w ciążę. To dlatego pojawił się ten cień melancholii. Gdy nadszedł kelner, Andras zamówił dla nich obojga absynt, drinka, którego piła tylko wówczas, gdy było jej smutno i chciała zapomnieć o całym świecie.

Na niego jednak absynt działał inaczej; bardziej igrał z jego rozumem. Andras pomyślał, że tu, w Nicei, na tym bajkowym hotelowym tarasie nad brzegiem morza, może będzie inaczej, ale wkrótce gorycz zaczęła zatruwać mu umysł. Otworzyły się wrota, przez które wdarła się paranoja. To, że Klara jest teraz taka smutna, nie było spowodowane niespełnieniem marzeń o karierze baletowej, lecz tym, że utraciła ojca Elisabet. Jedyną wielką miłość. Oto ta najważniejsza tajemnica, której mu nie wyjawiła. Miłość do Andrasa była jedynie jej bladym odbiciem. Nawet jedenastoletni związek z Novakiem nie był w stanie jej przyćmić. Wiedziała o tym madame Gérard, wiedziała Elisabet, nawet Tibor odgadł to w ciągu godziny, tylko Andras przez tyle miesięcy żył w nieświadomości. To absurdalne, że spędził lato, martwiąc się o Novaka, podczas

gdy prawdziwym zagrożeniem był duch, jedyny mężczyzna, który kiedykolwiek posiadł serce Klary. To, że siedziała tu w turkusowej sukience i sandałach, spokojnie popijając absynt, udając, że pewnego dnia może zostać żoną Andrasa, a jednocześnie pozwoliła się porwać w odległe rejony – z pewnością właśnie temu mężczyźnie bez twarzy, którego kochała – sprawiało, że chciał chwycić ją za ramiona i potrząsać mocno, aż wybuchnie płaczem.

– Mój Boże, Andras – powiedziała w końcu. – Nie patrz tak na mnie.

– Jak?

– Wyglądasz, jakbyś chciał mnie zabić.

Jej przezroczyste szare oczy. Mieniąca się we włosach spinka w kształcie rozgwiazdy. Drobne dziecinne ręce na stole. Bardziej niż kogokolwiek bał się właśnie tej kobiety, a raczej tego, jak ona może z nim postąpić. Odepchnął krzesło, podszedł do baru, kupił papierosy Gauloises i skierował się na plażę. Pewne ukojenie dawało mu zbieranie muszli na brzegu morza i puszczanie kaczek. Usiadł na drewnianym łóżku plażowym i wypalił jednego po drugim trzy papierosy. Pomyślał, że mógłby tej nocy spać na plaży, słysząc w ciemności huk fal walących o brzeg i dźwięki muzyki dochodzące z hotelowego parkietu na świeżym powietrzu. Wkrótce jednak zaczął dochodzić do siebie i uświadomił sobie, że zostawił Klarę samą przy stoliku. Wrota, które otworzył absynt, zaczynały się zamykać, paranoja się cofała. Obejrzał się za siebie i spostrzegł zieleń sukienki Klary znikającą w rozświetlonych drzwiach hotelu.

Pognał przez plażę, by ją dogonić, ale gdy dobiegł do hotelu, nigdzie nie mógł jej znaleźć. Recepcjonista stwierdził, że nie widział kobiety w turkusowej sukience, portierzy widzieli, jak wychodziła, ale jeden powiedział, że poszła w stronę miasta, a drugi, że w przeciwnym kierunku. Samochód wciąż stał tam, gdzie go zaparkowali, na skraju jakiejś pustej parceli. Było dość ciemno. Pomyślał, że w tym nastroju nie poszłaby w stronę miasta. Wsiadł do samochodu i jechał bardzo powoli wzdłuż morza. Wkrótce zobaczył w świetle reflektorów turkusowy błysk na tle pobocza. Szła szybkim krokiem, jej sandały wzniecały tumany kurzu. Objęła się rękami; widział znajome paciorki kręgów wyłaniające się z głęboko wyciętej na plecach sukienki. Zatrzymał samochód i wyskoczył z niego, by ją dogonić. Rzuciła okiem przez ramię, nie spowalniając kroku.

– Klara! – zawołał. – Klárika.

W końcu stanęła ze zwieszonymi ramionami. Zza zakrętu drogi wyłonił się blask reflektorów; sportowy samochód chlusnął światłem na jej sylwetkę

i pomknął do centrum miasta; pasażerowie wyśpiewywali jakąś piosenkę. Gdy ich minął, pozostał tylko monotonny szum i huk rozbijających się fal. Przez długi czas żadne się nie odzywało. Nie odwróciła się do niego.

– Przepraszam – powiedział. – Nie mam pojęcia, dlaczego cię tam zostawiłem.

– Jedźmy po prostu do domu – powiedziała. – Nie chcę o tym rozmawiać na skraju drogi.

– Nie gniewaj się.

– To moja wina. Nie powinnam była wspominać o przeszłości. Gdy to robię, staję się nieszczęśliwa i pewnie dlatego wstałeś i poszedłeś nad morze.

– To przez ten absynt – powiedział. – Sprawia, że wariuję.

– To nie absynt – stwierdziła Klara.

– Klaro, proszę.

– Zimno mi – powiedziała i objęła się rękami. – Chcę wrócić do domku.

Prowadził samochód, nie odczuwając żadnego zadowolenia z nowo nabytych umiejętności; gdy wysiedli, nie było pochwał dla kierowcy. Klara weszła do ogródka i usiadła na jednym z dwóch krzeseł, które przedtem wynieśli na zewnątrz. Osunął się obok niej.

– Przepraszam – powiedział. – To było głupie i egoistyczne, zostawić cię tam przy stoliku.

Wyglądała tak, jakby go nie słyszała. Wycofała się gdzieś do własnego odległego świata, zbyt małego, by go pomieścić.

– Dla ciebie to wszystko było przede wszystkim torturą, prawda? – zapytała.

– O czym ty mówisz?

– O wszystkim. O naszym związku. Moich półprawdach. O tym wszystkim, czego nie wiedziałeś.

– Nie posługuj się tymi koszmarnymi uogólnieniami – odparł.

– O jakich półprawdach? Masz na myśli to, co wydarzyło się z Novakiem? Zdawało mi się że już mamy to za sobą, Klaro. *Co* mi jeszcze chcesz powiedzieć?

Pokręciła głową. Następnie przyłożyła dłoń do oczu, jej ramiona zadrżały.

– Co się stało? – zapytał. – To chyba nie przeze mnie? To dlatego, że poszedłem na papierosa?

– Nie – odparła, podnosząc na niego oczy błyszczące od łez. – Po prostu coś zrozumiałam, gdy byłeś tam, nad wodą.

– Co takiego? – zapytał. – Powiedz, jeśli potrafisz, powiedz mi.

– Wszystko psuję – odpowiedziała. – Jestem destrukcyjna. Biorę to, co dobre, i zmieniam to w zło. Biorę to, co złe, i to staje się jeszcze gorsze. Zrobiłam tak mojej córce, Zoltánowi, a teraz tobie. Widziałam, jaki byłeś nieszczęśliwy, gdy odchodziłeś od stolika.

– Rozumiem! Więc to wszystko twoja wina. Ty zmusiłaś Elisabet, by miała problemy. Ty zmusiłaś Novaka, by oszukiwał żonę. A mnie zmusiłaś, bym się w tobie zakochał. My troje nie mieliśmy z tym nic wspólnego.

– Nie wiesz nawet o połowie tego, co zrobiłam.

– Więc mi powiedz! Co takiego? Powiedz mi.

Potrząsnęła głową.

– A jeśli nie powiesz? – spytał.

Wstał i wziął ją za ramię, przyciągając do siebie.

– Jak mamy dalej być ze sobą? Będziesz mnie utrzymywała w niepewności? A może pewnego dnia dowiem się od twojej córki?

– Nie – odparła prawie niesłyszalnie. – Elisabet nie wie.

– Jeśli mamy być razem, muszę wiedzieć wszystko. Musisz się zdecydować, Klaro. Jeśli chcesz, byśmy nadal byli ze sobą, musisz być ze mną szczera.

– Ramię mnie boli – poskarżyła się.

– Kim on był? Po prostu mi powiedz, jak się nazywał.

– Kto?

– Mężczyzna, którego kochałaś. Ojciec Elisabet.

Wyrwała się. W świetle księżyca widział, jak materiał sukienki napina się na jej żebrach i rozluźnia. Jej oczy napełniły się łzami.

– Nigdy mnie tak mocno nie trzymaj – powiedziała i zaczęła płakać. – Chcę jechać do domu. Błagam, Andras. Przepraszam. Chcę wracać do domu, do Paryża.

Objęła się ramionami, drżąc w chłodnym morskim powietrzu, jakby miała gorączkę. Jej spinka w kształcie rozgwiazdy lśniła jak piękna pomyłka, rekwizyt z balu zdmuchnięty z pokładu luksusowego statku, przyniesiony wiatrem i zaplątany w ciemnych falach jej włosów.

To było widać: zapadła jakby na jakąś chorobę, coś wstrząsnęło jej całym jestestwem, stała się blada. Widać było po tym, jak skuliła się pod kołdrą w domku, po tym, jak patrzyła w ścianę oczami bez wyrazu. Serio mówiła o powrocie do domu, chciała wyruszyć rano. Przez godzinę leżał z nią w łóżku, z szeroko otwartymi oczami, aż usłyszał, że jej oddech staje się rytmiczny. Nie potrafił już się na nią gniewać. Jeśli chciała jechać do domu, to dobrze, zabierze ją do domu. Spakuje nocą ich rzeczy i o świcie będzie gotowy do wyjazdu. Uważając, by jej nie obudzić, wyszedł ostrożnie z łóżka i zaczął pakować walizki.

Dobrze mieć coś konkretnego do zrobienia. Składał jej małe rzeczy: bawełnianą sukienkę, pończochy, bieliznę, czarny kostium kąpielowy; włożył jej naszyjniki i kolczyki do satynowego portfela, z którego je wyjmowała na jego oczach. Włożył baletki jedną w drugą i poskładał spódniczki i trykoty do tańca. Potem wciągnął marynarkę i siedział samotnie w ogrodzie. W zaroślach obok podjazdu śpiewały po francusku cykady. Jego cykady w Konyárze inaczej brały wysokie tony i miały odmienne poczucie rytmu. Ale gwiazdy na niebie były te same. Panna ze swoim kłosem, Mała Niedźwiedzica, a obok Smok. Pokazywał je Klarze któregoś wieczoru; kazała mu powtarzać tę lekcję codziennie o zmierzchu, aż zapamiętała wszystkie tak dobrze jak on.

Następnego ranka pojechali do Paryża. Pomógł jej wstać i ubrać się w niebieskawym świetle poranka; popłakała się, gdy zobaczyła, że spakował jej rzeczy.

– Zepsułam ci wakacje – powiedziała. – A dziś są twoje urodziny.

– Nie dbam o to – odparł. – Jedźmy do domu. To daleka droga.

Gdy czekała w samochodzie, zamknął domek i włożył klucz do ptasiego gniazda nad drzwiami. Po raz ostatni zjechał krętą drogą w stronę Nicei; morze zamigotało, gdy słońce wylało się świtem na jego pokrytą cekinami powierzchnię. Nie obawiał się prowadzić po lekcjach, których mu udzieliła. Jechał w kierunku Paryża, a ona patrzyła w milczeniu na pola i farmy. Nim dotarli do zawiłych ulic na przedmieściach, zasnęła i musiał przypomnieć sobie, którędy jechali przedtem. Ulice miały własny plan; stracił godzinę, próbując przebić się przez przedmieścia, aż w końcu policjant wskazał mu drogę do Port d'Italie. Wreszcie

udało mu się przejechać przez Sekwanę i znajomymi bulwarami dotrzeć na rue de Sévigné. Wówczas słońce było już nisko na niebie; studio tańca tonęło w głębokim cieniu, a schody były ciemne. Klara obudziła się i potarła twarz rękami. Pomógł jej wejść na górę i przebrać się w koszulę nocną, która leżała zapomniana na łóżku. Położyła się na plecach i nawet nie starała się ocierać łez spływających po skroniach na poduszkę.

– Co mógłbym dla ciebie zrobić? – zapytał. – Czego potrzebujesz?

– Muszę tylko pobyć trochę sama – odparła. – Przespać się.

Mówiła dziwnie głuchym głosem. Ta blada kobieta w wyszywanej koszuli była duchem Klary, którą znał, kobiety, która tydzień temu w kombinezonie i goglach pomknęła samochodem przed siebie. Nie był w stanie iść do domu. Nie chciał jej zostawiać w tej mgle. Wniósł jej rzeczy z samochodu na górę, zrobił jej filiżankę naparu z lipy, który piła, gdy bolała ją głowa. Kiedy przyniósł jej herbatę, wyciągnęła do niego rękę. Podszedł do łóżka i usiadł przy niej. Patrzyła mu w oczy; na jej dekolcie pojawił się rumieniec. Położyła mu głowę na ramieniu i objęła go w pasie. Czuł, jak jej pierś wznosi się i opada.

– Co za straszne urodziny – powiedziała.

– Wcale nie – odparł, głaszcząc ją po włosach. – Cały dzień spędziłem z tobą.

– W studiu jest dla ciebie prezent urodzinowy.

– Nie potrzebuję prezentu – powiedział.

– Ale jest.

– Możesz mi go dać innym razem.

– Nie – odparła. – Powinieneś go dostać w urodziny, skoro już wróciliśmy. Pójdę z tobą na dół.

Wyszła z łóżka i wzięła go za rękę. Razem zeszli po schodach do studia. Pod ścianą stał opakowany w papier przedmiot wielkości i kształtu pianina.

– Mój Boże – zdziwił się. – Co to jest?

– Przyjrzyj się.

– Nie mam śmiałości.

– Odwagi, Andras.

Odchylił róg papieru i go oderwał. Pod nim ukazała się polakierowana drewniana powierzchnia nachylona w stronę okna, a na jej stalowej podstawie była wygrawerowana marka słynnego producenta – ręcznie wykonana deska kreślarska, równie piękna jak ta, którą miał Pierre Vago. Na dolnym brzegu deski był idealny rowek na ołówki; po prawej stronie miejsce na tusz. Pod spodem zmieścił się stołek kreślarza, z lśniącym siedziskiem i mosiężnymi kółkami. Coś go ścisnęło w gardle.

– Nie podoba ci się – powiedziała.

Czekał, by mieć pewność, że słowa przejdą mu przez gardło.

– Jest zbyt piękny – odparł. – To stół architekta. A nie studenta.

– Będziesz go miał, gdy zostaniesz architektem. Chcę, byś go miał już teraz.

– Przechowaj go dla mnie – powiedział. Odwrócił się i położył jej rękę na policzku.

– Wezmę go do domu, gdy zdecydujesz, że możemy być razem.

Jej usta zbladły; zamknęła oczy.

– Błagam. Chciałabym, byś wziął go teraz. Rozkłada się na dwie części, przewieź go samochodem.

– Nie mogę – odparł. – Nie teraz.

– Proszę cię, Andras.

– Przechowaj go dla mnie. Gdy wszystko przemyślisz, powiesz mi, czy mam go wziąć, czy nie. Nie chcę go mieć jako pamiątki po tobie. Rozumiesz? Nie wezmę go zamiast ciebie.

Skinęła głową, z oczami wbitymi w podłogę.

– To jest najlepszy prezent, jaki w życiu dostałem – powiedział.

Skończyły się ich wakacje. Zbliżał się wrzesień. Czuł to, gdy szedł w stronę domu po Pont Marie, niosąc walizkę z ubraniami na dwanaście dni. Wrzesień wysyłał już Paryżowi swoje pierwsze zimne prądy, czerwony odcień zapachu palonych traw. Wiatr niósł go wzdłuż Sekwany jak zapach perfum dziewczyny, która właśnie wchodzi na przyjęcie. Jej obuta w satynowy pantofelek stopa jeszcze nie przekroczyła progu, ale wszyscy już wiedzą, że zaraz się zjawi. Za chwilę wejdzie. Cały Paryż zdawał się wstrzymywać oddech w oczekiwaniu.

Rozdział siedemnasty

Synagogue de la Victoire

TEGO ROKU ODDAŁBY WSZYSTKO, żeby spędzić święto Rosz Haszana w Konyárze – wybrać się z ojcem i Mátyásem do synagogi, jeść ciasto miodowe przy stole matki, pójść do sadu i położyć rękę na pniu ulubionej jabłonki, na której gałęziach zawsze znajdował azyl, gdy był przestraszony, samotny lub smutny. Zamiast tego znajdował się na poddaszu na rue des Écoles; zbliżała się pierwsza rocznica jego pobytu w Paryżu. Czekał na Polanera, by razem z nim pójść do synagogi na rue de la Victoire. Minęły już cztery tygodnie, odkąd się ostatnio widział z Klarą. U schyłku żydowskiego roku kalendarzowego cała Europa jakby zawisła nad przepaścią. Gdy tylko doszedł do siebie po Nicei, przeczytał czekające na niego listy i zaległe gazety i uprzytomnił sobie, że w Europie dzieją się gorsze rzeczy niż skrytość Klary Morgenstern. Hitler, który naruszył traktat wersalski, anektując tej wiosny Austrię, teraz zapragnął należącego do Czechosłowacji regionu Sudetów, stanowiących naturalną górską barierę odgraniczającą wojskowe fortyfikacje, fabryki broni, tekstyliów i kopalnie. „Co myślisz o najnowszej manii kanclerza? – pisał do niego Tibor z Modeny – Czy rzeczywiście wierzy, że Wielka Brytania i Francja będą się biernie przyglądać, podczas gdy on pozbawi ostatnią demokrację Europy Środkowej wszelkich możliwości obrony? To byłby koniec wolnej Czechosłowacji, tego możemy być pewni".

W listach Mátyása pobrzmiewał inny rodzaj oburzenia, był to protest ucznia wobec rewizjonizmu geograficznego Hitlera: ‚Jak on może domagać się «zwrotu» Sudetów, skoro nigdy nie należały do Niemiec? Kogo on chce wyprowadzić w pole? Przecież każdy uczeń drugiej klasy wie, że Czechosłowacja należała przed Wielką Wojną do Austro-Węgier". Andras odpowiedział na to, że węgierski rząd prawdopodobnie był zamieszany w plany Hitlera, bo Węgry mogłyby odzyskać własne utracone terytoria, gdyby Niemcy zajęli Sudety. Słowo „zwrot" stanowiło zachętę dla każdego, kto uważał, że jego kraj został niesprawiedliwie

potraktowany w Wersalu. „Ale przynajmniej widać, że uważałeś na lekcjach historii – napisał. – Może jednak zdasz tę maturę”.

Paryskie gazety ujawniały więcej danych w miarę rozwoju sytuacji: 12 września w przemówieniu na zakończenie wiecu partii nazistowskiej w Norymberdze Hitler, wymachując pięścią, zażądał sprawiedliwości dla milionów etnicznych Niemców mieszkających w Sudetach; powiedział, że nie będzie się biernie przyglądał uciskowi, jaki stosują wobec nich prezydent Czechosłowacji Beneš i jego rząd. Kilka dni później Chamberlain, który nigdy przedtem nie podróżował samolotem, poleciał odwiedzić Hitlera w jego górskiej rezydencji w Berchtesgaden, żeby przedyskutować sprawę kryzysu sudeckiego.

– Nie powinien był w ogóle tam jechać – denerwował się Polaner przy szklance whisky w Blue Dove. – To upokarzające, nie rozumiesz? Ten stary człowiek, który nigdy przedtem nie leciał samolotem, został zmuszony do wyprawy w najdalszy zakątek Niemiec na spotkanie z Führerem. To pokaz siły ze strony Hitlera. To, że Chamberlain pojechał, świadczy o tym, że się boi. Zobaczysz, że Hitler dostrzeże swoją przewagę i ją wykorzysta.

– Jeśli ktokolwiek robi pokaz siły, to Chamberlain – zaoponował Andras. – Pojechał do Berchtesgaden, by pokazać, że jeśli Hitler zaatakuje Czechosłowację, Wielka Brytania i Francja nie cofną się przed niczym, by go zatrzymać. O to tu chodzi.

Wkrótce jednak okazało się, ze Andras się mylił. Gazety doniosły, że Chamberlain wyjechał ze spotkania z listą żądań Hitlera i zamierzał przekonać nie tylko własny rząd, ale i rząd Francji, by natychmiast spełnić jego warunki. We francuskich wstępniakach argumentowano, że warto poświęcić Sudety, skoro będzie to oznaczało zachowanie pokoju, który wywalczono tak ogromnym kosztem w Wielkiej Wojnie. Przeciwny pogląd głosiła garstka komunistycznych i socjalistycznych komentatorów. Kilka dni później wysłannicy premierów Francji i Wielkiej Brytanii wręczyli prezydentowi Beneśowi propozycję, by oddał region graniczny republiki, żądając jego natychmiastowego przyjęcia. Andras całymi dniami czytał gazety lub słuchał czerwonego bakelitowego radia w warsztacie scenograficznym Forestiera, jakby jego natężona uwaga mogła odwrócić bieg wydarzeń. Nawet Forestier odkładał narzędzia i dyskutował z nim o najnowszych doniesieniach. W odpowiedzi na angielsko-francuską propozycję prezydent Beneš wystosował umiarkowane w tonie akademickie memorandum przypominające Francji, że zobowiązała się bronić Czechosłowacji w razie zagrożenia; kilka godzin po publikacji memorandum ministrowie spraw zagranicznych Francji i Wielkiej Brytanii wyciągnęli Beneša z łóżka, naciskając, by natychmiast przyjął

propozycję. Jeśli nie, będzie musiał sam stawić czoło Niemcom. Następnego dnia Andras i monsieur Forestier słuchali z niedowierzaniem i oburzeniem, jak spiker radiowy oświadcza, że Beneš zaakceptował brytyjsko-francuską propozycję. W proteście podał się do dymisji cały czechosłowacki gabinet. Chamberlain znów się spotka z Hitlerem 22 września, tym razem w Bad Godesberg, by omówić przekazanie Sudetów.

– To by było na tyle – powiedział Forestier, wzruszając ramionami. – Ostatnia demokracja w Europie Środkowej uklękła przed Hitlerem na wezwanie Anglii i Francji. Cóż za straszne czasy, mój drogi panie Lévi, straszne czasy.

Andras sądził, że kryzys został zażegnany, że wojny nie będzie, nawet jeśli cena za to jest wysoka. Ale gdy przyszedł do Forestiera 23 września, dowiedział się, że spotkanie w Bad Godesberg zaowocowało kolejnymi żądaniami. Hitler chciał, by jego wojska okupowały Sudety, a czeska ludność miała opuścić swoje domy i gospodarstwa w ciągu tygodnia, zostawiając cały swój dobytek. Chamberlain przywiózł nową listę żądań, które zostały od razu odrzucone przez rząd francuski i brytyjski. Wojskowa okupacja była nie do pomyślenia, oznaczałaby w gruncie rzeczy oddanie reszty Czechosłowacji bez walki.

„Nastąpiła mobilizacja, której tak się obawiałem – napisał Andras do Tibora tego ranka, w wigilię święta Rosz Haszana. – Czechosłowacka armia została zmobilizowana, a nasz premier Daladier zarządził częściową mobilizację wojsk francuskich". Andras przez cały ranek przyglądał się rezerwistom. W mieście odchodzili od swoich warsztatów, sklepów, taksówek czy ulubionych kawiarenek i kierowali się ku punktom zbornym poza Paryżem, skąd mieli trafić do swoich batalionów. Gdy poszedł wysłać list do Tibora, obok skrzynki na listy zastał tłum; wyglądało na to, że każdy zmobilizowany żołnierz ma do wysłania jakiś list. Siedział teraz na łóżku, trzymając w ręku pokrowiec z tałesem, czekając na Eliego Polanera i myśląc o rodzicach, braciach, Klarze i perspektywie wojny. O wpół do siódmej przyszedł Polaner; pojechali metrem do Le Peletier w dziewiątce i na piechotę przeszli dwa kwartały dzielące ich od synagogi de la Victoire.

Ta synagoga w niczym nie przypominała bogato zdobionej w marokańskim stylu synagogi na Dohány utca w Budapeszcie, do której Andras i Tibor chodzili w święta. Nie przypominała też pomieszczenia synagogi w Konyárze, o ciemnej boazerii i drewnianej przegrodzie oddzielającej część dla mężczyzn od części dla kobiet. Synagogue de la Victoire była wielkim romańskim gmachem z jasnozłotego kamienia, z wielką rozetą na zdobionej łukami fasadzie. W środku smukłe kolumny wznosiły się ku beczkowemu sklepieniu; dodatkowy rząd okien

ponad nawą zalewał ją światłem. Bimah, zdobiona w stylu bizantyjskim, głosiła wszem wobec: TU AIMERAS L'ETERNEL TON DIEU DE TOUT TON COEUR. Andras i Polaner przyszli, gdy nabożeństwo już się zaczęło. Usiedli w ławce z tyłu i rozpięli swoje aksamitne pokrowce na tałesy: Polanera był z pożółkłego jedwabiu w niebieskie paski, a Andrasa z delikatnej białej wełny. Razem odmówili błogosławieństwo, by założyć szale modlitewne; razem udrapowali je na ramionach. Kantor zaśpiewał po hebrajsku: „Jak to dobrze i słodko, gdy bracia razem zasiadają". Raz po raz znajoma melodia: jedna fraza nisko i rzewnie jak pieśń przy pracy, druga wspinająca się ku łukowi sklepienia jak pytanie: Czyż nie jest dobrze i słodko, gdy bracia razem zasiadają? Polaner nauczył się tej melodii w Krakowie. Andras w Konyárze. Kantor poznał ją dzięki swemu dziadkowi w Mińsku. Trzej starzy mężczyźni stojący obok Polanera nauczyli się jej w Gdyni, Amsterdamie i Pradze. Skądś przyszła. Uniknęła pogromów w Odessie i Oradei, znalazła drogę do tej synagogi, tak jak ją znajdzie do innych świątyń, które jeszcze nie zostały zbudowane.

Na Andrasa, który ostatnie tygodnie spędził na wznoszeniu muru wokół tej części siebie, która była związana z Klarą Morgenstern, melodia ta podziałała jak trzęsienie ziemi. Zaczęło się od małego wstrząsu, ot, zadrżały ściany – o tak, dobrze było, gdy bracia razem zasiadali – ale on swoich braci nie widział od wielu miesięcy. Jak piorun poraziła go nagła tęsknota za Konyárem i zaraz potem za rue de Sévigné i za głębszym, bardziej intymnym domem, którym była dla niego Klara. Przez ostatnie cztery tygodnie zanurzył się w wiadomościach ze świata i starał się o niej nie myśleć; wieczorem, gdy nie było sensu udawać, że udało mu się o niej zapomnieć, powtarzał sobie, że jej milczenie wcale nie oznacza jeszcze tego, że wszystko skończone. Choć się z nim nie skontaktowała, nie oddała mu też listów ani nie poprosiła o zwrot rzeczy, która miała u niego w mieszkaniu. Wciąż mógł mieć nadzieję. Teraz, gdy mieszkańcy Paryża uciekali na wieś w obawie przed bombardowaniami, gdy abstrakcyjna możliwość wojny stała się namacalną rzeczywistością, co miał właściwie myśleć o jej ciągłym milczeniu? Czy wyjedzie z Paryża, nie zawiadamiając go? Wyjedzie pod opieką Zoltána Novaka, prywatnym samochodem, który on po nią przyśle? Czy właśnie w tym momencie pakuje tę samą walizkę, którą Andras rozpakował parę tygodni wcześniej?

Owinął się ciaśniej tałesem i postarał się wyciszyć myśli; powtarzanie modlitwy przynosiło pewną ulgę, obecność Polanera dawała mu pocieszenie, tak samo jak obecność innych mężczyzn i kobiet, którzy znali te same słowa. Odmówił modlitwę, która wymieniała grzechy domu Izraela, i tę, w której Izrael

prosi Boga, by uchronił jego usta od zła, a wargi od wszelkiej przebiegłości. Odmówił modlitwę wdzięczności za Torę i słuchał, jak inni śpiewają słowa wypisane na białych zwojach. Pod koniec nabożeństwa prosił Boga, by wpisał go do Księgi Życia, jakby rzeczywiście mógł się jeszcze tam znaleźć.

Po nabożeństwie poszli z Polanerem przez rzekę do studenckiej stołówki w klubie, który opustoszał w lecie, przed początkiem zajęć znów napełnił się gwarem, a wobec groźby wojny ponownie świecił pustkami. Andras dostał talerz chleba, wołowiny i twardych, okraszonych olejem ziemniaków.

– Matka w domu zrobiłaby dziś rosół z kluskami i mostek – powiedział Polaner, gdy szli z talerzami do stołu. – Nigdy by nie pozwoliła, by takie kartofle znalazły się w jej kuchni.

– Nie można mieć pretensji do ziemniaka – odparł Andras. – To nie jego wina.

– Zawsze zaczyna się od ziemniaka – zawyrokował Polaner, podnosząc złowieszczo brew.

Andras roześmiał się wbrew sobie. To cud, że Polaner siedział naprzeciwko niego po tym, co wydarzyło się w styczniu. Choć świat pozostawiał wiele do życzenia, trudno zaprzeczyć, że Eli Polaner wyzdrowiał i był na tyle dzielny, by wrócić na drugi rok zajęć w École Spéciale.

– Twoja matka była chyba niepocieszona, jak wyjeżdżałeś z Krakowa – powiedział Andras.

Polaner wziął serwetkę i rozłożył ją sobie na kolanach.

– Nigdy nie lubiła, gdy wyjeżdżałem – odparł. – Jest moją matką.

Andras popatrzył na niego uważnie.

– Nie mówiłeś rodzicom, co się stało?

– Myślałeś, że im powiem?

– Mało brakowało, a straciłbyś życie.

– Nie pozwoliliby mi wrócić – powiedział Polaner. – Wysłaliby mnie do jakiegoś freudowskiego sanatorium na leczenie, a ty byłbyś tu dziś sam, *copain.*

– Miałem szczęście, że nic nie powiedziałeś.

W lecie tęsknił za przyjaciółmi, a szczególnie za Polanerem. Wyobrażał sobie, że będą się wszyscy spotykali w klubie studenckim przy obiedzie,

a wkrótce również w pracowni, po zajęciach zaś w Blue Dove, by pić czarną, herbatę i jeść ciasteczka migdałowe. Wyobrażał sobie, że będzie opowiadał Klarze o ich wspólnych przygodach, a ona będzie się śmiała, siedząc z nim przy kominku na rue de Sévigné. Rosen i Ben Yakov zostali w domu z rodzinami, on z Polanerem byli tu całkiem sami, a École Spéciale zawiesiła rozpoczęcie zajęć, podobnie jak wszystkie paryskie uczelnie. I niczego Klarze nie opowiadał.

Gdy zaczęły się Dni Skruchy pomiędzy świętem Rosz Haszana a Jom Kippur, powtarzał sobie, że Klara na pewno wkrótce się do niego odezwie. Wojna wisiała na włosku. W nocy przeprowadzano próbne alarmy lotnicze z zaciemnieniem; nieliczne latarnie na rogach ulic, które jeszcze zapalano, miały czarne papierowe abażury kierujące całe światło w dół. Wyjeżdżające rodziny tłoczyły się w pociągach i powodowały kakofonię klaksonów samochodowych na ulicach. Kolejne pięćset tysięcy młodych mężczyzn zostało powołanych do wojska. Ci, którzy zostawali w Paryżu, kupowali maski przeciwgazowe, żywność w puszkach i mąkę. Od rodziców Andrasa przyszedł telegram: W RAZIE WOJNY WRACAJ DO DOMU PIERWSZYM POCIĄGIEM. Siedział na łóżku z telegramem w ręku, zastanawiając się, czy to już koniec wszystkiego: studiów, życia w Paryżu, wszystkich planów. Był 28 września, trzy dni przed zapowiedzianą przez Hitlera okupacją Sudetów. W ciągu siedemdziesięciu dwóch godzin jego życie być może legnie w gruzach. Nie można już było dłużej czekać. Natychmiast pójdzie na rue de Sévigné i zażąda widzenia z Klarą; przekonają, żeby pozwoliła mu wywieźć ją i Elisabet z Paryża, jak tylko spakują walizki. Zanim stracił odwagę, narzucił marynarkę i pobiegł do jej domu.

Na miejscu jednak drogę zagrodziła mu pani Apfel Madame Morgenstern z nikim nie może się widzieć, powiedziała. Nawet z nim. I, o ile pani Apfel się orientuje, nie ma zamiaru opuszczać miasta. W tej chwili leży w łóżku, bo boli ją głowa, i prosiła, żeby jej nie przeszkadzać. A poza tym czy Andras nie wie? Jutro ma być spotkanie w Monachium, ostateczna próba wynegocjowania pokoju. Pani Apfel była pewna, że ci idioci oprzytomnieją. Zobaczy pan, powiedziała, nie będzie żadnej wojny.

Andras nie wiedział. Pobiegł do Forestiera i spędził następne dwa dni z uchem przyklejonym do radioodbiornika. Trzydziestego września poinformowano, że Hitler dogadał się z Francją, Wielką Brytanią i Włochami: Niemcy przejmą Sudety za dziesięć dni; dojdzie jednak do okupacji wojskowej. Czesi sudeccy mają opuścić domy, sklepy i gospodarstwa i nie zabierać ze sobą niczego, ani kawałka mebla, sztuki ubrania czy kolby kukurydzy, nie będzie rekompensaty za utracone mienie. W regionach zamieszkanych przez polskie

i węgierskie mniejszości dojdzie do głosowania w sprawie nowych granic. Polska i Węgry prawie na pewno odzyskają utracone terytoria. Spiker przeczytał porozumienie szybką francuszczyzną i Andras musiał się wysilać, by go zrozumieć. Jak to możliwe, że Wielka Brytania i Francja zaakceptowały plan prawie identyczny z tym, który bez namysłu odrzuciły kilka dni wcześniej? Radio nadawało na żywo świętowanie na ulicach Londynu; Andras słyszał radość ulicy tuż pod warsztatem Forestiera, gdzie setki paryżan wznosiło okrzyki na cześć pokoju, Daladiera i Chamberlaina. Zmobilizowani mężczyźni mogli teraz wrócić do domu. To z pewnością dobra wiadomość – tak wielu wpisanych do Księgi Życia na kolejny rok. Dlaczego więc czuł się raczej tak jak Forestier – który siedział w kącie z łokciami wspartymi na kolanach i głową schowaną w dłoniach? Ostatnie wydarzenia zdają się skażone hańbą. Andras poczuł się tak, jakby po ataku na Polanera profesor Perret relegował ofiarę i dzięki temu zachował spokój w École Spéciale.

W wigilię Jom Kippur Andras i Polaner poszli wysłuchać Koi Nidre w Synagogue de la Victoire. Z uroczystą powagą, klękając i nisko chyląc czoło, kantor i rabin modlili się o *rachmones* dla kongregacji i dla domu Izraela. Oświadczyli, że wierni są zwolnieni z przysiąg uczynionych w tym roku wobec Boga i wobec siebie nawzajem. Podziękowali Najwyższemu, że Europa uniknęła wojny. Andras dziękował z lękiem, który wciąż go nie opuszczał i w czasie nabożeństwa przekształcił się w inny niepokój. W tym tygodniu groźba wojny po raz kolejny odwróciła jego myśli od sytuacji z Klarą. Przez jakiś czas oszukiwał się, pozwolił sobie wierzyć, że miesiąc milczenia może zawierać jakąś cichą obietnicę, sugestię, że zmaga się z problemem, który kazał im wcześniej wrócić z Nicei do Paryża. Ale teraz już dłużej nie mógł się oszukiwać. Nie chciała go widzieć. Między nimi koniec, to było jasne. Jej milczenie nie mogło być inaczej interpretowane.

Tego wieczoru przyszedł do domu i spakował jej rzeczy w drewnianą skrzynkę: grzebień i szczotkę, dwie koszule, kolczyk w kształcie żonkila, pudełeczko na leki z zielonego szkła, węgierskie opowiadania, tomik dziewiętnastowiecznej poezji francuskiej, którą lubiła mu czytać na głos. Zatrzymał się przez chwilę nad tą książką. Kupił ją Klarze, bo zawierała wiersz Marota o ogniu, który potajemnie mieszka w śniegu. Odnalazł go teraz. Ostrożnie wyciął stronę scyzorykiem i włożył ją do koperty, która zawierała jej listy. Zatrzyma je. Nie był w stanie się z nimi rozstać. Napisał do niej wiadomość na pocztówce, którą kupił na pamiątkę kilka miesięcy temu. Fotografia Square Barye, malutkiego parku na wschodnim krańcu Île Saint-Louis, gdzie powiedział

jej na ucho wiersz Marota w Nowy Rok. „Droga Klaro – napisał – oto parę rzeczy, które u mnie zostawiłaś. Moje uczucia w stosunku do Ciebie pozostają niezmienione, lecz nie potrafię już dłużej czekać, nie znając przyczyny Twojego milczenia ani nie wiedząc, czy chcesz je przerwać. Muszę więc skończyć z tym sam. Zwalniam Cię z obietnic, jakie mi dałaś. Nie musisz już być mi wierna ani zachowywać się tak, jakbyś miała pewnego dnia zostać moją żoną. Zwalniam Ciebie, ale siebie nie jestem w stanie zwolnić z danych Ci obietnic; Ty musisz to zrobić, jeśli tego właśnie chcesz. Tymczasem, jeśli chciałabyś do mnie wrócić, pozostaję jak zawsze Twój, Andras".

Przybił list do wieka skrzynki i podniósł ją. Była lekka. Ostatnie szczątki ich wspólnego życia. W ciemnościach poszedł do jej domu po raz ostatni i postawił skrzynkę na progu, gdzie zapewne odnajdzie ją jutro rano.

Następnego dnia modlił się i pościł. W czasie porannego nabożeństwa był pewien, że popełnił straszny błąd. Gdyby poczekał jeszcze tydzień, myślał, może wróciłaby do niego; a tak sprowokował własne nieszczęście. Miał ochotę pobiec z synagogi na rue de Sévigné i zabrać skrzynkę, zanim ją ktoś zauważy. Ale w miarę jak post coraz bardziej palił żołądek, Andras zaczynał nabierać przekonania, że postąpił właściwie, że zrobił to, co musiał zrobić, by ratować samego siebie. Owinął się tałesem i zaczął powtarzać osiemnaście błogosławieństw. Znajoma modlitwa przyniosła mu większą pewność. Natura miała swoje cykle; na wszystko był czas i wszystko przemijało.

W czasie wieczornego nabożeństwa był jakby wydrążony w środku, otępiały i bliski omdlenia z głodu. Wiedział, że spada w przepaść i nie jest w stanie się zatrzymać. W końcu nabożeństwo skończyło się przeszywającym spiralnym dźwiękiem szofaru. Mieli z Polanerem iść na obiad na rue Saint– Jacques. József zaprosił ich na kolację z przyjaciółmi z Beaux-Arts. Przeszli przez rzekę w milczeniu, zapadnięci w ostatnie stadium swojego głodu. U Józsefa była muzyka i wielki stół zastawiony jedzeniem i alkoholem. Gospodarz życzył im szczęśliwego nowego roku i wręczył szklanki z winem. Następnie z konfidencjonalnym wyrazem twarzy przywołał Andrasa na stronę i zbliżywszy do niego głowę, powiedział:

– Słyszałem o tobie niesłychaną rzecz. Mój przyjaciel Paul mówi, że jesteś z matką tej wysokiej dziewczyny, tej jego krnąbrnej Elisabet.

– Już nie – pokręcił głową Andras i wziął butelkę whisky ze stołu.

Następnie zamknął się w sypialni Józsefa, gdzie się upił, wykrzykując przekleństwa do swojej postaci w lustrze i napędzając strachu przechodniom,

wychylony niebezpiecznie z balkonu, a w końcu zwymiotował do kominka i padł nieprzytomny na podłogę.

Rozdział osiemnasty

Café Bédouin

JUDAIZM NIE PRZEWIDUJE ŻAŁOBY po utraconej miłości. Nie ma odmawiania kadyszu ani palenia świec, żadnych zakazów golenia się, słuchania muzyki czy wykonywania pracy. Nie mógł żyć w podartym ubraniu, nie mógł siedzieć całymi dniami pośród popiołów. Nie mógł też szukać bardziej świeckich form pocieszenia; nie stać go było, by co wieczór upijać się do nieprzytomności lub pozwolić sobie na załamanie nerwowe. Gdy zwlókł się z drewnianego parkietu u Józsefa i doczołgał do własnego mieszkania, doszedł do wniosku, że przeżył właśnie nadir swojego smutku. Już sama ta myśl miała własności kojące. Skoro to był najgorszy moment, to od teraz powinno być lepiej. Zerwał z Klarą. Teraz musi zacząć żyć bez niej. Wkrótce rozpoczną się znów zajęcia w École Spéciale; nie mógł z jej powodu zawalić drugiego roku. Nie mógł też usprawiedliwić samobójstwa przez powieszenie, skoku z mostu lub innego aktu rodem z greckiej tragedii. Musiał zająć się własnymi sprawami. Myślał o tym wszystkim, stojąc w oknie swojej mansardy i spoglądając w dół na rue des Écoles, wciąż mając szaloną i niepohamowaną nadzieję, że ona wyjdzie zza rogu w swoim czerwonym kapelusiku, na wpół biegnąc, by się z nim zobaczyć.

Gdy jej milczenie przeciągało się jednak siódmy tydzień, nawet najbardziej fantastyczne nadzieje przybladły. Życie, obojętne wobec jego smutku, toczyło się dalej. Rosen i Ben Yakov wrócili do Paryża wraz z resztą studentów École Spéciale, Rosen w stanie permanentnego wzburzenia tym, co się działo i nadal dzieje w Czechosłowacji, a Ben Yakov blady z miłości do dziewczyny, którą spotkał latem we Włoszech, córki ortodoksyjnego rabina z Florencji. Poprzysiągł sprowadzić ją do Paryża jako swoją żonę; znalazł pracę w Bibliothèque Nationale przy odkładaniu książek na półki, by zaoszczędzić pieniądze na ten cel. Rosen też miał nową pasję: wstąpił do Ligue International Contre L'Antisémitisme i pochłaniały go spotkania i manifestacje. Andras miał jeszcze mniej czasu niż zwykle na zastanawianie się nad sytuacją z Klarą. Dzięki rekomendacji Vago

dostał się na staż do firmy architektonicznej, do której złożył papiery jeszcze wiosną. Musiał ograniczyć godziny pracy u Forestiera, ale stratę dochodu częściowo niwelowało niewielkie wynagrodzenie. Teraz więc trzy popołudnia w tygodniu pracował u boku architekta Georges'a Lemaina, pełniąc funkcję młodszego stażysty: archiwizował projekty, ścierał naniesione ołówkiem linie, robił kawę, dokonywał obliczeń. Lemain był szczupłym jak linijka mężczyzną, z krótko przyciętymi siwymi włosami. Mówił po francusku szybko i z metalicznym wydźwiękiem, rysował z precyzją maszyny. Często doprowadzał kolegów do szału, śpiewając arie operowe przy pracy. W rezultacie został zesłany w najdalszy kąt biura, oddzielony od reszty regałem wypełnionym rocznikami „L'Architecture d'Aujourd'hui". Pracując przy swoim małym biurku, obok wielkiego rajzbretu Lemaina, Andras nauczył się arii i wkrótce mógł sam je wyśpiewywać. W nagrodę za tolerancję i pracowitość Lemain zaczął pomagać mu w szkolnych zadaniach. Charakterystyczne dla niego lekkie rozwiązania ze szkła i błyszczącego kamienia zaczęły się pojawiać w pracach Andrasa. Zachęcał stażystę do stworzenia portfolio własnych projektów, niemających nic wspólnego z projektami z École Spéciale; namawiał go, by mu pokazywał swoje pomysły. Pewnego popołudnia pod koniec października Andras przyniósł więc projekt letniego domu w Nicei. Lemain rozłożył go na stole i pochylił się nad elewacjami.

– Tego typu ściana nie wytrzyma w Nicei nawet pięciu lat – powiedział, kciukami wyodrębniając fragment rysunku Andrasa. – Pomyśl o soli. Te szczeliny dadzą jej punkt zaczepienia.

Położył kawałek kalki na projekcie i dorysował gładką ścianę.

– Ale wymyśliłeś sprytny sposób, by wykorzystać pochylenie terenu. W ten sposób patio i taras znakomicie wpisują się w topografię.

Umieścił następny kawałek kalki na tylnej elewacji i połączył dwa odcinki tarasu w jeden pochyły kawałek.

– Nie za dużo tych tarasów. Utrzymaj naturalną linię wzgórza. Można posadzić rozmaryn, aby ziemia trzymała się podłoża.

Andras przyglądał się i jednocześnie myślał o kolejnych zmianach. W zimnym świetle pracowni projekt wydawał mu się w mniejszym stopniu planem upragnionego życia, a w większym surowym kształtem domu klienta. Ten pokój nie musi wcale nazywać się studiem baletowym; może być pełnym światła salonem. A te dwie małe sypialnie na poziomie głównym nie muszą być pokojami dziecinnymi; to po prostu *chambre 2* i *chambre 3, z* przeznaczeniem do uznania klienta. Kuchnia nie musi wcale zawierać resztek wymarzonego posiłku;

chambre principal nie musiał być sypialnią dwojga węgierskich emigrantów ani w ogóle nikogo konkretnego. Przez całe popołudnie ścierał i rysował od nowa, aż doszedł do wniosku, że przepędził duchy z projektu.

Z rulonem własnego projektu i kawałkami kalki Lemaina pod pachą ruszył w stronę rue des Écoles wśród liści opadających jak konfetti. Dźwięk, jaki wydawały pod stopami, przypomniał mu tysiące jesiennych popołudni w Konyárze, Debreczynie i Budapeszcie, z zapachem orzechów prażonych przez ulicznych przekupniów, którzy mieli garnki z kutego żelaza. Przypomniał mu sztywną szarą wełnę szkolnego mundurka, kwiaciarki z dzbanami pełnymi bukietów i aksamitne twarzyczki słoneczników. Zatrzymał się na rue des Écoles przy witrynie fotografa, w której pojawiły się nowe portrety: poważne paryskie dzieciaki w chłopskim przebraniu upozowane na tle wymalowanych żniw. Wszystkie dzieci miały na nogach wypolerowane na błysk buty. Aż zaśmiał się na głos, wspominając Tibora, Mátyása i siebie stojących przed prawdziwym wozem drabiniastym pełnym siana, w ubraniach, które nosili w dzieciństwie: nie w nienagannych bluzach i spodenkach, lecz w szarych lnianych koszulach uszytych przez matkę, spodniach po innych dzieciakach z paskami ze sznurka, w czapkach ze starego ojcowskiego płaszcza. Ich stopy obute były w warstwę konyárskiego kurzu, kieszenie wypchane małymi, twardymi jabłkami, ramiona obolałe od przerzucania siana u sąsiadów. Od domu dochodził ciężki czerwony zapach papryki faszerowanej kurzym mięsem; ojciec sprzedał tyle drewna na nowe wozy drabiniaste, że mogli jeść kurczaka w każdy piątek aż do zimy. To był dobry czas, te ciepłe dni w październiku po sianokosach. Powietrze było nadal wonne i miękkie, staw, który miał wkrótce zamarznąć, wciąż odbijał w jasnym owalnym zwierciadle młyn i niebo.

W szybie witryny fotografa przez zdjęcia dzieci przemknął odbity kształt: zielony wełniany płaszcz, złoty snopek warkocza. Odbita postać zbliżała się do niego. Gdy podeszła bliżej, poznał rysy twarzy Elisabet Morgenstern. Klepnęła go po ramieniu; odwrócił się.

– Elisabet – powiedział. – Co robisz w Dzielnicy Łacińskiej w czwartkowe popołudnie? Idziesz na spotkanie z Paulem?

– Nie – odparła i spojrzała na niego hardo. – Szukam ciebie.

Wyjęła z torby pudełko cukierków i wytrząsnęła jeden na otwartą dłoń.

– Poczęstowałabym cię ale jest prawie puste.

– Co się stało? – zapytał Andras. – Coś się stało matce?

Bawiła się pastylką w ustach; rozgryzła ją pomiędzy zębami. Gdy zaczęła mówić, Andras poczuł zapach anyżku.

– Nie chcę rozmawiać na ulicy – powiedziała. – Może gdzieś pójdziemy?

Blue Dove była blisko, ale Andras nie chciał spotkać przyjaciół. Zaprowadził ją więc za róg ulicy i dalej do Café Bédouin, w której spotkali się z Klarą na drinka, jak mu się teraz zdawało, w poprzednim życiu. Nie był tu od tamtego wieczoru. Za barem szczerzył zęby rząd tych samych butelek, w oknach wisiały te same liliowe zasłony. Usiedli przy jednym ze stolików ustawionych wzdłuż ławy pod ścianą i zamówili herbatę.

– O co chodzi? – zapytał, gdy odszedł kelner.

– Nie wiem, co robisz mojej matce, ale powinieneś przestać – zaczęła Elisabet.

– Nie wiem, o co ci chodzi. Nie widziałem się z nią od tygodni.

– Właśnie o to mi chodzi! Mówiąc wprost, Andras, zachowujesz się jak łajdak. Matka naprawdę cierpi. Prawie nic nie je. Nie słucha muzyki. Ciągle śpi. Czepia się mnie z byle powodu. Dostaję za słabe stopnie w szkole albo wykonuję moje obowiązki nie tak jak należy, albo mówię do niej nie tym tonem.

– I to jest moja wina?

– A czyja? Porzuciłeś ją całkowicie. Nie przychodzisz do nas. Odesłałeś jej rzeczy.

Przez chwilę zalał go znowu smutek, jakby nigdy go nie opuścił.

– A co miałem robić? – odpowiedział. – Wytrzymałem tak długo, jak mogłem. Nie pisała do mnie, nie chciała się ze mną widzieć. Byłem u niej. Poszedłem tam po święcie Rosz Haszana, gdy wszyscy mówili o ewakuacji. Pani Apfel powiedziała, że matka nikogo nie przyjmuje, a już na pewno nie mnie. Nawet po tej wizycie nie przysłała listu. Musiałem dać sobie z tym spokój. Uszanować jej życzenie. A siebie ratować przed szaleństwem.

– Odszedłeś więc, bo tak było ci łatwiej.

– Nie odszedłem, Elisabet. Napisałem do niej list, który zostawiłem razem z rzeczami. Powiedziałem jej, że moje uczucia są niezmienione. Nie odpowiedziała. To oczywiste, że nie chce mnie widzieć.

– Jeśli tak, to dlaczego jest taka nieszczęśliwa? Nie spotyka się przecież z nikim innym. W ogóle nie wychodzi z domu. Wieczorami zawsze siedzi. W niedzielne popołudnia kładzie się do łóżka.

Kelner przyniósł im herbatę; Elisabet dolała sobie mleka.

– Nie pozwala nam z Paulem nawet na chwilę samotności. Muszę się wymykać w środku nocy, żeby się z nim zobaczyć.

– A więc to o to chodzi? Nie możecie być z Paulem sami? Spojrzała na niego oburzona, ściągając usta.

– Dureń z ciebie, wiesz? Prawdziwy dureń. Myśl sobie, co chcesz, ale martwię się o moją matkę. Zdaje się, że bardziej od ciebie.

– Ja też się martwię! – krzyknął, nachylając się nad stołem. – Doprowadza mnie do szaleństwa. Ale nie jestem w stanie zmienić jej decyzji, Elisabet. Nie mogę jej zmusić, by poczuła do mnie coś, czego nie czuje. Jeśli mamy ze sobą porozmawiać, to ona musi się ze mną skontaktować.

– Ale ona tego nie zrobi. Nie rozumiesz tego? Będzie dalej cierpieć. Ona to potrafi. To projekt jej życia. I przy okazji ja też będę cierpiała.

Spojrzała na swoje dłonie. Andras po raz pierwszy zauważył, że na serdecznym palcu ma pierścionek: brylant z dwoma szmaragdami w kształcie listków. Gdy mu się przyglądał, Elisabet przekręciła pierścionek z namysłem.

– Paul i ja jesteśmy zaręczeni – oświadczyła. – Chce mnie zabrać do Nowego Jorku, gdy w czerwcu skończę szkołę.

– Twoja matka o tym wie? – Podniósł pytająco brwi.

– Oczywiście, że nie! Już sobie wyobrażam, co by powiedziała. Chce, żebym skończyła trzydzieści lat, zanim spojrzę na jakiegokolwiek mężczyznę. Ale chyba nie chciałaby, żebym skończyła tak jak ona, stara i samotna

– Na pewno nie chce, żebyś skończyła tak jak ona. Właśnie o to chodzi! Była zbyt młoda, gdy się urodziłaś. Nie chce, żebyś ty też musiała borykać się w życiu tak jak ona.

– Coś ci powiem – odparła Elisabet i spojrzała na niego twardo. – Nigdy nie skończę tak jak ona. Gdybym zaszła w ciążę z mężczyzną, którego bym nie kochała, dobrze wiem, co trzeba zrobić. Znam takie dziewczyny. Zrobiłabym to, co ona też powinna była zrobić.

– Jak możesz tak mówić? – zapytał. – Poświęciła całe swoje życie, żeby ciebie wychować.

– To nie moja wina – wtrąciła Elisabet. – Poza tym to nie znaczy, że może decydować o mnie, gdy skończę osiemnaście lat. Wyjdę, za kogo będę chciała. Wyjadę z Paulem do Nowego Jorku.

– Jesteś egoistką, Elisabet.

– Kogo nazywasz egoistą? – Zwęziła oczy i wskazała go palcem nad stołem. – To ty ją rzuciłeś, gdy popadła w depresję. Osoba w jej stanie nie zaprasza nikogo na obiadki ani nie wysyła liścików. Ale ty prawdopodobnie nigdy o nią nie dbałeś. Chciałeś być jej kochankiem, ale nie zależało ci na tym, by ją poznać.

– Oczywiście, że chciałem ją poznać! – wykrzyknął. – To ona mnie odtrąciła.

Gdy to mówił, doświadczył czegoś w rodzaju gwałtownej zmiany ciśnienia. W uszach zaczęło mu huczeć. Odtrąciła go, i to niejeden raz. Ale on ją także odtrącił. W Nicei, w hotelu Taureau d'Or, gdy właśnie miała opowiedzieć mu o swej przeszłości, zostawił ją samą przy stoliku, zamiast wysłuchać, co miała mu do powiedzenia. A później tego samego wieczoru w domku, gdy zażądał, by wszystko mu opowiedziała, zrobił to tak brutalnie, że ją wystraszył. A potem spakował jej bagaż i zawiózł ją z powrotem do Paryża. Od tego czasu próbował się z nią zobaczyć tylko raz. Napisał jedną wiadomość, oddał jej rzeczy, a następnie zajął się wymazywaniem jej z pamięci, z życia. Ich miłość miałaby nieskomplikowane, smutne zakończenie: skrzynka przedmiotów odesłanych wraz z listem, na który nie było odpowiedzi. Nie musiałby już nigdy dowiedzieć się niczego, co by go zraniło albo zmieniło jej wizerunek. Wolał zachować własne wyobrażenie o niej – wspomnienie drobnego silnego ciała, sposobu, w jaki do niego mówiła i słuchała go, wspólnych nocy u niego w pokoju. Choć powtarzał sobie, że chce wiedzieć o niej wszystko, jakaś część jego wycofała się powodowana strachem. Myślał, że ją kocha, ale nie kochał jej całej – tylko srebrne cienie na tych starych kartach albo jej imię na kopercie w kolorze kości słoniowej.

– Myślisz, że zechce się ze mną spotkać?

Patrzyła na niego badawczo, a w zimnych niebieskich jeziorach jej oczu pojawiło się coś na kształt ulgi.

– Sam ją spytaj.

Rozdział dziewiętnasty

Uliczka

PRZEZ TE DZIEWIĘĆ TYGODNI, gdy jej nie widział, świat nie stał w miejscu. Ziemia kręciła się wokół Słońca, Niemcy wkroczyli do Sudetów, zmieniły się też drobne rzeczy. Z tyłu na karku czuł powiew zimnego wiatru – ostrzygł się krótko, choć przedtem zapuścił włosy na jej prośbę. Skończyły się jego poranne lekcje z Vago, a zeszłoroczni absolwenci zniknęli z korytarzy szkoły. Studenci pierwszego roku zaś słuchali w milczeniu, gdy on i jego koledzy wygłaszali oceny ich prac. Nauczył się francuszczyzny do tego stopnia, że przekroczyła granicę jego podświadomości i pojawiała się w jego snach. Rozpoczął staż w firmie architektonicznej, swoją pierwszą pracę w zawodzie. A u Forestiera przygotowywali nowe projekty (do *Lizystraty* skrócona perspektywa Partenonu i las przypominających kolumny fallusów, do *Wiśniowego sadu* salon, którego ściany, zrobione z materiału i specjalnego podświetlenia, stawały się w czasie trwania przedstawienia coraz bardziej przezroczyste, aż całkiem znikały, by ukazać drzewa na zewnątrz).

Zmienił się też jego pokój na rue des Écoles. András przesunął stół w stronę pochyłego sufitu przy oknie, do którego mógł przypinać pinezkami projekty. Kupił lampę z zielonym kloszem, by oświetlić swój warsztat pracy, i poprzyklejał do ścian rysunki domów – nie domów statków oceanicznych lub gór lodowych, projektowanych przez jego profesorów, nie były to też monumentalne budynki Paryża, lecz jajowate kształty chat w Ghanie, domostw Indian w Ameryce przypominających ptasie gniazda na skałach oraz domy ze złotego kamienia w Palestynie. Przerysował te obrazki z czasopism i książek, następnie je pokolorował tanimi akwarelami kupionymi w Nicei. Na podłodze leżał gruby czerwony dywan pachnący dymem z kominka; łóżko przykrywała kapa w kolorze masła zrobiona z uszkodzonej kurtyny teatralnej. Obok kominka zaś stał głęboki niski fotel z cynobrowego pluszu, który znalazł pewnego dnia na ulicy przed domem. Leżał przewrócony do góry nogami, całkowicie pozbawiony godności,

zupełnie jakby bezowocnie próbował wrócić do domu po hulaszczej nocy. Fotel miał śmiesznego towarzysza – włochaty podnóżek z frędzlami, który przypominał kudłatego psa.

Właśnie na tym fotelu siedziała teraz Klara. Napisał do niej, że chce się z nią zobaczyć, że prosi tylko o jej towarzystwo któregoś wieczoru. Choć powtarzał sobie, że nie powinien się spodziewać odpowiedzi, miał nadzieję, że Elisabet nakłoni ją do odpisania. Tymczasem wrócił tego dnia z pracy u Forestiera i zastał ją siedzącą na fotelu, z ustawionymi równo stopami w czarnych butach jak dwiema nutkami na pięciolinii. Zastygł w drzwiach i patrzył, bojąc się, że zjawa zniknie. Wstała, zdjęła mu torbę z ramienia, a następnie wsunęła mu ręce pod płaszcz i przytuliła się do niego. Pachniała znajomo lawendą i miodem, a jej skóra chlebem. Ten dobrze znany zapach niemal doprowadził go do łez. Przyłożył kciuk do dołka w jej szyi, dotknął bursztynowego guzika bluzki.

– Ostrzygłeś się – powiedziała.

Skinął głową, nie mogąc wykrztusić ani jednego słowa.

– Mizernie wyglądasz – ciągnęła. – Jakbyś w ogóle nie jadł.

– A ty jadłaś? – zapytał, przyglądając się jej twarzy. Cienie pod oczami nabrały lekko fioletowego odcienia; plażowy złoty odcień jej skóry zbladł i nabrał koloru kości słoniowej. Była prawie przezroczysta, jakby wiatr wywiał wszystko z jej wnętrza. Poruszała się tak, jakby wszystko ją bolało.

– Zaparzę herbatę – zaproponował.

– Nie trudź się.

– To żaden trud, wierz mi, Klaro.

Zagotował wodę w czajniku i zrobił herbatę. Następnie rozpalił w kominku i usiadł na postrzępionym podnóżku. Odsunął jej spódnicę nad kolana, zdjął metalowe oczka podwiązek z gumowych guzików, zdjął jej pończochy. Nie głaskał jej nóg, choć miał ochotę; nie schował twarzy pomiędzy jej udami. Wziął jej stopy w swoje dłonie i przeciągnął kciukami po łukach śródstopia. Wyrwał jej się cichy okrzyk i westchnienie.

– Czemu ze mną wytrzymujesz? – zapytała. – Czego chcesz? Pokręcił głową.

– Nie wiem, Klaro. Może po prostu tylko tego.

– Byłam taka nieszczęśliwa, odkąd wróciliśmy z Nicei – powiedziała. – Z trudem zmuszałam się do wstania z łóżka. Nie byłam w stanie jeść. Nie byłam

w stanie napisać listu ani zszyć rozprutej sukienki. Gdy wyglądało na to, że Francja zaangażuje się w wojnę, przyszła mi do głowy straszna myśl, że zgłosisz się na ochotnika. – Zamilkła i pokręciła głową. – Dwie noce nie spałam, zbierając się na odwagę, by do ciebie przyjść, i tak strasznie mnie rozbolała głowa, że nie mogłam wstać z łóżka. Nie byłam w stanie uczyć. Jeszcze nigdy nie byłam tak chora, żeby nie móc uczyć. Od piętnastu lat. Pani Apfel musiała wywiesić karteczkę z zawiadomieniem o mojej chorobie.

– Powiedziałaś jej, żeby mnie odesłała z kwitkiem, gdybym się pojawił.

– Wydawało mi się, że jeśli przyjdziesz, to po to, by powiedzieć mi, że idziesz na wojnę. Nie przeżyłabym tego. A potem odesłałeś moje rzeczy. Mój Boże, Andras! Przeczytałam twój list setki razy. Napisałam setki odpowiedzi i wszystkie wyrzuciłam. Wszystko, co pisałam, wydawało mi się niewłaściwe i tchórzliwe.

– No a potem Francja jednak nie poszła na wojnę.

– Nie. A ja byłam egoistycznie szczęśliwa, wierz mi, choć wiedziałam, co to znaczy dla Czechosłowacji.

Uśmiechnął się smutno.

– Nie odesłałem jednak wszystkich twoich rzeczy. Zatrzymałem wiersz o *Anne qui luy jecta de la Neige.*

– Marota.

– Tak. Wyciąłem go z twojej książki.

– Zniszczyłeś książkę!

– Obawiam się, że tak.

Pokręciła głową i podparła ją dłonią, z łokciem na fotelu.

– Gdy w tym tygodniu przyszedł twój list, moja córka powiedziała, że straci do mnie wszelki szacunek, jeśli natychmiast nie pójdę się z tobą spotkać. – Zamilkła i uśmiechnęła się do niego niewyraźnie. -Początkowo zdziwiłam się, że w ogóle ma do mnie jakiś szacunek. No a potem doszłam do wniosku, że przyjdę.

– Klaro – westchnął, przysuwając się bliżej i ujmując jej dłonie. -Boję się, że będę ci teraz musiał zadać parę trudnych pytań. Muszę wiedzieć, o co ci chodziło, gdy wracaliśmy z Nicei. Musisz mi opowiedzieć o… nie wiem nawet, jak on miał na imię. Ojciec Elisabet. Muszę wiedzieć, dlaczego przyjechałaś do Francji.

Westchnęła i spojrzała w ogień, w którym żar biegał po węglach jak żywy. Jej oczy syciły się jego czerwonym blaskiem.

– Ojciec Elisabet – zaczęła i przeciągnęła ręką po pluszowym podłokietniku fotela. – Ten człowiek.

Następnie, choć było już po północy, opowiedziała mu swoją historię.

W drugiej dekadzie stulecia najlepsi uczniowie szkoły baletowej w Budapeszcie studiowali w klasie Wiktora Wasiljewicza Romankowa, kapryśnego i ekscentrycznego trzeciego syna rosyjskich arystokratów bez grosza. W Sankt Petersburgu, gdy jeszcze był Petersburgiem, Romankow studiował w Carskiej Szkole Baletowej i tańczył w słynnym balecie Teatru Maryjskiego. Gdy skończył trzydzieści pięć lat, odszedł z zespołu, by założyć własną szkołę baletową, w której wykształcił setki tancerzy, w tym wielką Olgę Spiesiwcewą i Aleksandrę Daniłową. Jako młody człowiek starał się namaścić swoją technikę baletową olejkiem precyzji; jego wysiłek, by odmitologizować fizjologię tańca, oraz cierpliwość, którą wykształcił w sobie jeszcze za młodu, uczyniła zeń wyjątkowo skutecznego nauczyciela. Jego sława dotarła za Atlantyk. Gdy jego rodzina na początku rewolucji utraciła resztki świetnej niegdyś fortuny, uciekł z Sankt Petersburga z zamiarem emigracji do Paryża śladem swego mistrza Diagilewa, założyciela Ballets Russes. Gdy Romankow dotarł jednak do Budapesztu, był wyczerpany i bez grosza przy duszy. Niespodziewanie zakochał się w tym mieście mostów i parków, bogato zdobionych budynków i wysadzanych drzewami bulwarów. Minęło zaledwie kilka dni, gdy udał się do Węgierskiego Baletu Królewskiego. Okazało się, że obowiązywał tam bardzo przestarzały system nauczania i zmiany od dawna były konieczne. Dyrektorka artystyczna szkoły słyszała o Romankowie. Był człowiekiem, którego szkoła potrzebowała. Z radością przyjęła go do grona nauczycieli. I tak został w Budapeszcie.

Klara była jedną z jego pierwszych uczennic. Rozpoczęła naukę, gdy miała dziewięć lat. Wybrał ją spośród uczennic z jej klasy, na którą rzucił okiem przez okno, przechodząc przez dzielnicę żydowską. Od razu wszedł do środka, wyjaśnił nauczycielce, że jest przyjacielem rodziny i musi Klarę natychmiast zabrać do domu. Wziął ją za rękę i dopiero na zewnątrz wyjaśnił, że jest nauczycielem baletu z Sankt Petersburga, że zauważył jej talent i chciałby zobaczyć, jak tańczy. Następnie zaprowadził ją do szkoły Węgierskiego Baletu Królewskiego przy Andrássy út, gdzie na trzecim piętrze tłoczyły się jak komórki w plastrze miodu studia tańca, w znacznie gorszym stanie niż te, które Klara właśnie opuściła. Podłogi poszarzały ze starości, pianina były poobijane, ścian nie zdobiła nawet jedna reprodukcja Degasa, a powietrze przesycone było wonią

stóp, satyny baletek i kalafonii. Tego dnia nie prowadzono zajęć; studia były puste i ciche, jeśli pominąć dziwny brzęczący rezonans, który zawisł w powietrzu w miejscu zwykle wypełnionym przez muzykę i tancerzy. Romankow zabrał Klarę do jednego z mniejszych studiów i usiadł do pianina. Podczas gdy on rytmicznie grał menueta, ona zatańczyła rolę motyla ze swojego ubiegłorocznego recitalu. Muzyka była wprawdzie inna, ale tempo się zgadzało; gdy tańczyła, poczuła, że dzieje się coś ważnego. Na zakończenie Romankow nagrodził ją oklaskami i sprowokował do ukłonu. Jest wspaniała jak na swój wiek, powiedział, i wcale nie za duża, by mógł skorygować jej technikę. Musi rozpocząć naukę natychmiast; tu, w tej szkole stanie się primabaleriną. Jeszcze dziś porozmawia z jej rodzicami.

Dziewięcioletniej Klarze pochlebiała taka wizja przyszłości, więc zaprowadziła go do domu na Benczúr utca. W salonie z łososiowymi kanapami Romankow oświadczył zaskoczonej matce Klary, że jej córka marnuje czas w studiu przy Wesselényi utca i powinna się natychmiast zapisać do szkoły Węgierskiego Baletu Królewskiego. Możliwe, że czekają wielka przyszłość w tym zawodzie, ale trzeba skorygować błędy popełnione przez obecnego nauczyciela. Pokazał pani Hász zmanierowane wygięcie ręki u Klary, przesadzoną płaskość jej piątej pozycji, brak płynności i nadmierną dokładność jej port de bras; następnie poprawił wygięcie ręki na bardziej naturalne, ustawił ją w nieco luźniejszej piątej pozycji, wziął ją za nadgarstki i płynnie poprowadził jej ramiona przez kolejne pozycje, jakby poruszała się w wodzie. Tak powinna wyglądać tancerka, tak właśnie się ruszać. On ją może tego nauczyć i jeśli osiągnie doskonałość, dostanie się do Baletu Królewskiego.

Matka Klary, która zrządzeniem losu i miłości została wyrwana z sielskiej wsi w Kabie, by znaleźć się w samym sercu najwyżej postawionych żydowskich kręgów towarzyskich w Budapeszcie, nigdy nie wyobrażała sobie, że Klara będzie kiedyś zawodową tancerką; sądziła, że jej dzieciom przypadnie w udziale łatwe i wygodne życie. Rzecz jasna, Klara uczyła się tańca, gdyż gracją uznawano za nieodzowną cechę młodych dam z jej środowiska. Kariera primabaleriny była jednak wykluczona. Podziękowała Romankowowi za zainteresowanie i życzyła mu powodzenia w nowej pracy w Królewskiej Szkole Baletowej; obiecała, że porozmawia z mężem jeszcze tego wieczoru. Gdy już się go pozbyła, zaprowadziła Klarę na górę do jej pokoju i wyjaśniła jej, dlaczego nie może uczyć się tańca z tym miłym Rosjaninem. Taniec był przyjemnym sposobem spędzania czasu dla dzieci, a nie zajęciem, którego człowiek podejmował się, żeby występować przed publicznością dla pieniędzy. Zawodowi tancerze żyli w biedzie, niedostatku i byli

wykorzystywani. Rzadko kogoś poślubiali, a nawet gdy tak było, ich małżeństwa kończyły się nieszczęśliwie. Gdy Klara dorośnie, będzie żoną i matką. Jeśli będzie chciała tańczyć, może wydawać bale dla przyjaciół, tak jak to robili anya i apa.

Klara kiwała głową potakująco, bo bardzo kochała matkę. Ale już w wieku dziewięciu lat wiedziała, że będzie tancerką. Wiedziała to, odkąd brat zabrał ją, gdy miała pięć lat, na *La Cendrillon* w Operaház. Następnym razem, gdy niania odprowadziła ją na zajęcia do szkoły przy Wesselényi utca, pobiegła siedem przecznic dalej do Królewskiej Szkoły Baletowej na Andrássy út i zapytała jedną z tancerek, gdzie znajdzie wysokiego człowieka z rudą brodą. Dziewczyna zaprowadziła ją do studia na końcu korytarza, gdzie Romankow właśnie miał zacząć lekcję dla początkujących. Wcale się nie zdziwił na widok Klary; zrobił dla niej miejsce przy drążku pomiędzy dwojgiem innych dzieci i barytonem o rosyjskim akcencie poprowadził trudne ćwiczenia. Pod koniec lekcji Klara wróciła do drugiej szkoły w odpowiednim momencie, by spotkać się z nianią, której nic nie powiedziała o swojej przygodzie. Upłynęły trzy tygodnie, nim rodzice Klary zorientowali się, że zbiegła ze studia przy Wesselényi utca. Wówczas było już za późno: Klara stała się wyznawczynią Romankowa i Królewskiej Szkoły Baletowej. Tolerancyjny ojciec przekonał matkę, że nie ma żadnego zagrożenia w tym, że Klara zacznie występować na scenie; szkoła była przecież jedynie nieco bardziej rygorystyczną wersją poprzedniej. Zbadał zawodową przeszłość Romankowa i nie ulegało wątpliwości, że człowiek ten był wyjątkowo utalentowanym nauczycielem. To, że córka miała uczyć się pod kierunkiem słynnego baletmistrza, było dla Tamása Hásza zaszczytem, który połechtał jego mieszczańską dumę i potwierdził jego ojcowskie przekonanie o wyjątkowości córki.

Wśród dwadzieściorga dzieci uczących się w klasie dla początkujących w Królewskiej Szkole Baletowej było siedemnaście dziewcząt i trzech chłopców. Jednym z chłopców był wysoki ciemnowłosy Sándor Goldstein. Ten syn cieśli zawsze pachniał świeżo pociętym drewnem. Romankow odkrył Sándora Goldsteina nie w szkole, lecz na basenie Palatinus Strand, gdzie chłopiec ćwiczył z grupą przyjaciół skoki akrobatyczne. W wieku jedenastu lat potrafił stanąć na rękach na trampolinie, wykonać w powietrzu salto i wpaść do wody głową w dół. W szkolnych zawodach wygrywał medal w gimnastyce trzy lata z rzędu. Gdy Romankow zaproponował mu naukę u siebie, Goldstein odparł, że balet to rzecz dla dziewczyn. W odpowiedzi na to Romankow poprosił jednego z tancerzy z Węgierskiego Baletu Królewskiego, by spotkał Goldsteina w drodze ze szkoły do domu, podniósł go do góry jak sztangę i biegł z nim po ulicy tak długo, aż

Goldstein zacznie błagać, by go postawić. Następnego dnia Goldstein zapisał się do klasy dla początkujących i nim skończył dwanaście lat, a Klara dziesięć, oboje występowali w rolach dziecięcych z Baletem Królewskim,

Dla Klary Sándor był bratem, przyjacielem, współkonspiratorem. Nauczył ją doprowadzać Romankowa do furii, tańcząc z opóźnieniem o pół taktu. Nauczył ją jeść przysmaki, których nigdy przedtem nie próbowała: suchy koniec kiełbasy debreczyńskiej; wyskrobane z garnka resztki karmelu po prażeniu orzechów, które można było kupić pod koniec dnia za pół filléra; maleńkie kwaśne jabłuszka, których używało się do galaretek, a które można też było jeść w umiarkowanej ilości. A na wielkim targu przy Vámház körut nauczył ją kraść. W czasie gdy Klara demonstrowała sprzedawcy cukierków piruety, Sándor brał garść cukierków w kształcie pestek brzoskwiń dla nich obojga. Wrzucał małe rosyjskie laleczki do czapki, okręcał sobie wokół najmniejszego palca haftowane chusteczki do nosa, wyjmował ciastka z koszyków pań, które wykłócały się o cenę warzyw lub owoców. Klara zaprosiła go na obiad do domu rodziców, gdzie wkrótce stał się ulubieńcem wszystkich. Ojciec rozmawiał z nim, jakby miał do czynienia z dorosłym dżentelmenem, matka karmiła go czekoladkami w różowym lukrze, a brat ubrał go w wojskową kurtkę i nauczył strzelać na niby do Serbów.

Gdy byli nastolatkami, Romankow zrobił z nich partnerów w tańcu. Nauczył Sándora podnosić Klarę w górę, nie okazując wysiłku, tak by wyglądała na lekką jak piórko. Nauczył ich bycia jednym tancerzem w dwóch ciałach, słyszenia rytmu oddechu partnera, pulsowania krwi w jego żyłach. Kazał im razem studiować podręczniki do anatomii i przepytywał ich z poszczególnych mięśni i kości. Zabrał ich do szkoły medycznej, by przyjrzeli się sekcji zwłok. Pięć razy w tygodniu występowali w Balecie Królewskim. Nim Klara skończyła trzynaście lat, zdążyła, już być ćmą, sylfidą, cukierkiem, członkinią łabędziego dworu, dwórką, górskim strumieniem, promieniem księżyca, zajączkiem. Jej rodzice pogodzili się z tym, że występuje na scenie; jej rosnąca sława dodawała im prestiżu wśród znajomych. Gdy skończyła czternaście lat, a Sándor szesnaście, zaczęli tańczyć główne role, zajmując miejsce tancerzy o cztery, pięć lat starszych. Wielcy baletmistrzowie przyjeżdżali aż z Paryża, Piotrogrodu czy Londynu, żeby ich oglądać. Tańczyli dla członków zubożałej europejskiej arystokracji i dla amerykańskich i francuskich dziedziców fortun. Pośród zamieszania, prób, przesłuchań, ćwiczeń, przymiarek kostiumów i przedstawień stało się to, co nieuniknione: zakochali się w sobie.

Rok później, wiosną 1922 roku, zwrócono uwagę admirała Miklósa Horthy'ego, że dwie największe gwiazdy baletu jego pozbawionego króla

królestwa to dwoje żydowskich dzieciaków wykształconych przez rosyjskiego emigranta wywodzącego się z białych. Nie było prawa, które zabraniałoby Żydom tańczyć w balecie; nie było też obowiązujących w Balecie Królewskim kwot, które podobnie jak numerus clausus na uniwersytetach i w urzędach ograniczałyby liczbę Żydów do rozsądnych sześciu procent. Sprawa jednak drażniła poczucie dumy narodowej Horthy'ego. Choć węgierscy Żydzi hungaryzowali się, to jednak nie byli prawdziwymi Węgrami. Brali udział w życiu gospodarczym i obywatelskim kraju, ale nie powinni uosabiać węgierskich sukcesów na światowych scenach. A tak właśnie było z tymi dzieciakami; dlatego minister kultury zwrócił uwagę Horthy'ego na ten problem. Zaproszono ich tej wiosny do siedemnastu miast na świecie, złożyli więc stosowne podania o wizy.

Horthy, poza tym, że wspomniał o potrzebie działania, nie zamierzał się zajmować tą sprawą osobiście. Powiedział ministrowi kultury, by zrobił, co uważa za stosowne. Minister zaś przekazał sprawę podsekretarzowi w ministerstwie, znanemu z wybujałej ambicji i jednoznacznego stosunku do Żydów. Ten człowiek, Madarász, nie zasypiał gruszek w popiele, od razu wziął się do roboty. Najpierw zabronił wydania obojgu tancerzom wiz wyjazdowych. Następnie przydzielił dwóch policjantów, znanych z członkostwa w prawicowej Partii Strzałokrzyża, do regularnej obserwacji poczynań tych dwojga. Klara i Sándor nie mieli pojęcia, że policjanci, których widywali codziennie w uliczce pod teatrem, mają cokolwiek wspólnego z kłopotami z wydaniem wiz. Mężczyźni ci sprawiali wrażenie, jakby ich w ogóle nie zauważali. Zazwyczaj się kłócili. Prawie zawsze byli pijani. Mieli ze sobą manierkę, którą podawali sobie nawzajem. Niezależnie od tego, jak późno Klara i Sándor wychodzili z Operaház – a czasami zostawali aż do wpół do pierwszej albo pierwszej w nocy, bo tylko w teatrze mogli być sami – ci dwaj zawsze byli na miejscu. Mniej więcej po tygodniu słuchania ich kłótni Sándor nauczył się ich imion: ten wysoki z kwadratową szczęką miał na imię Lajos, a ten podobny do buldoga – Gáspár. Sándor miał zwyczaj machać im na powitanie. Policjanci nigdy nie odpowiedzieli pozdrowieniem; gapili się na Klarę i Sándora, gdy ci przechodzili obok.

Minął miesiąc, a ci dwaj wciąż przychodzili, ich obecność była równie tajemnicza jak zawsze. Klarze i Sándorowi zaczęli się wydawać częścią krajobrazu okolicy, elementem ich codziennego życia. Sytuacja ta mogłaby się ciągnąć w nieskończoność, a przynajmniej do czasu, aż Ministerstwo Kultury straciłoby zainteresowanie nimi, gdyby sami policjanci nie zmęczyli się tą ciągłą obserwacją. Nuda i alkohol sprawiły, że cisza zaczęła im ciążyć. Zaczęli nawoływać Klarę i Sándora: „Halo, kochankowie. Halo, koteczki. Jak ona

smakuje? My też chcemy. Czy chłopcy baletnice w ogóle coś tam między nogami mają? Czy on wie, co się z tym robi, maleńka?". Sándor brał Klarę pod rękę i przechodzili szybkim krokiem obok, ale ona czuła, że aż drży z wściekłości, gdy się oddalali, a drwiny tych ludzi ścigały ich na cichej ulicy.

Pewnego wieczoru policjant o imieniu Gáspár podszedł do nich w chmurze papierosowego dymu i oparów alkoholu. Klara pomyślała sobie, że pasek na jego piersi przypomina paski, którymi nauczyciele wymierzali karę niegrzecznym dzieciom w szkole. Wyciągnął z kabury pałkę i uderzał nią miarowo o udo.

– Na co czekasz? – podjudzał go ten drugi, o imieniu Lajos.

Gáspár wziął pałkę i wsunął ją pod rąbek sukienki Klary; jednym szybkim ruchem podniósł materiał na wysokość jej głowy, obnażając ją na chwilę aż po pępek.

– Proszę bardzo – zawołał Gáspár do Lajosa. – Już wszystko widziałeś.

Zanim Klara zorientowała się, co się dzieje, Sándor zrobił krok naprzód i chwycił drugi koniec pałki; próbował ją policjantowi wyrwać, ale on mocno trzymał rękojeść. Chłopak kopnął mężczyznę w kolano, aż ten zawył z bólu. Oficer wyrwał pałkę i uderzył Sándora w głowę. Sándor upadł na kolana. Podniósł w górę ręce, ale policjant zaczął go kopać w żołądek. Przez chwilę Klara była sparaliżowana przerażeniem; nie mogła pojąć, co się dzieje i dlaczego. Zaczęła krzyczeć, żeby policjant przestał bić Sándora, próbowała go odciągnąć od niego. Ten drugi, Lajos, złapał ją za ramię i zawlókł na bok. Zaciągnął ją do wnęki w elewacji, gdzie siłą położył ją na bruku i zadarł jej sukienkę do pasa. Wsadził jej chusteczkę do ust, przyłożył rewolwer do podbródka i zrobił jej to, co zrobił.

Ból przywrócił Klarze trzeźwość myślenia. Macała palcami po bruku, szukając pałki, zimnej i gładkiej na kamieniach. Upuścił ją, gdy schylił się, by rozpiąć spodnie. Teraz chwyciła ją mocno i uderzyła go w skroń. Gdy krzyknął i chwycił się ręką za głowę, kopnęła go z całej siły w pierś. Zatoczył się w stronę przeciwległej ściany, upadając, uderzył głową w mur i znieruchomiał. W tym momencie od strony uliczki, gdzie walczyli Sándor z drugim policjantem, dobiegł ostry trzask wystrzału. Dźwięk ten dotarł do mózgu Klary i zdawał się tam eksplodować od środka.

Potem już tylko cisza.

Uniosła się na kolana i wygramoliła z wnęki w stronę miejsca, gdzie jedna męska postać nachylona była nad drugą. Sándor leżał na plecach z szeroko

otwartymi oczami skierowanymi w niebo. Policjant o twarzy buldoga klęczał obok niego z jedną ręką na piersi Sándora. Mężczyzna płakał, mówiąc chłopcu, żeby wstał, do cholery, żeby przestał się wygłupiać. Nazwał go brudnym ścierwem. Gdy cofnął rękę, była zbrukana krwią. Wziął z chodnika broń, którą wcześniej upuścił, i wycelował w Klarę; lufa odbijała światło, zalśniła w ciemnej uliczce. Klara cofnęła się do wnęki, gdzie leżał pierwszy policjant. Na kolanach zaczęła szukać jego rewolweru; słyszała przecież, jak potoczył się po chodniku, gdy odepchnęła mężczyznę. Oto i on, zimny i ciężki, leżał obok na ziemi. Podniosła go jedną ręką i próbowała trzymać nieruchomo przy nodze. Policjant, który zastrzelił Sándora, zaczął się do niej zbliżać. Płakał. Gdyby nie widziała przed chwilą broni w jego ręku, mogłaby pomyśleć, że idzie błagać ją o przebaczenie. Spojrzała w tym momencie na Sándora, leżącego na ziemi, i poczuła ciężar broni w ręku, tej samej broni, którą policjant o imieniu Lajos wpychał jej w podbródek. Podniosła ją i trzymała nieruchomo.

Druga eksplozja. Mężczyzna zatoczył się i upadł; potem wszystko zastygło.

Dopiero ból spowodowany odrzutem ramienia uświadomił jej, co się stało: wystrzeliła z broni i zabiła człowieka. Od strony Andrássy út dało się słyszeć krzyk kobiety. Gdzieś dalej monotonnie zawodziła syrena alarmowa. Klara wyszła z wnęki z bronią w ręku i podeszła do policjanta, którego zabiła. Upadł na plecy, z jedna ręką nad głową. Z wnęki dobiegł jęk i jakieś słowo, którego nie rozumiała. Ten drugi dźwignął się i na czworakach patrzył na rewolwer w jej ręku i na martwego człowieka na ulicy. Za trzy dni sam miał umrzeć w wyniku doznanych obrażeń głowy, ale przedtem zdążył zdradzić tożsamość mordercy. Wycie syren narastało; Klara upuściła broń i rzuciła się do ucieczki.

Zabiła, jednego i śmiertelnie zraniła drugiego policjanta. Takie były fakty. To, że została zgwałcona przez jednego z nich, było nie do udowodnienia w sądzie. Świadkowie nie żyli, a siniaki i otarcia Klary zagoiłyby się w ciągu paru dni. Do tego czasu została zresztą za namową prawnika ojca przerzucona przez austriacką granicę, a potem dalej do Niemiec, a stamtąd do Francji. Na jej azyl wybrano Paryż, a na jej protektorkę słynną nauczycielkę baletu, kuzynkę Romankowa, Olgę Newickają. Ten układ obowiązywałby tymczasowo. Klara miała mieszkać u Newickiej tylko do czasu, aż jej rodzice ustalą, kogo należy skorumpować lub jak w inny sposób zagwarantować jej bezpieczeństwo. Nim jednak minęły dwa tygodnie, groza jej sytuacji objawiła się w pełni. Została oskarżona o morderstwo. Skala zbrodni była tak duża, że oskarżoną zamierzano sądzić jak osobę dorosłą. Prawnik ojca nie mógł zagwarantować, że argument o obronie własnej okaże się skuteczny; policja stwierdziła, że mężczyzna, którego

Klara zabiła, nie miał broni, gdy do niego strzelano. W rzeczywistości miał broń; chwilę wcześniej zabił z niej Sándora. Drugi policjant, ten, który był świadkiem zdarzenia, zeznał, że jego kolega upuścił broń, nim podszedł do Klary. Zeznanie potwierdzały dowody: broń znaleziono obok ciała Sándora, ponad trzy metry od zwłok policjanta.

Co gorsza, okazało się, że mężczyzna, którego Klara zabiła, był bohaterem wojennym. Ocalił piętnastu ludzi ze swojej kompanii w bitwie o Kowel i otrzymał oficjalną pochwałę od cesarza. Jakby tego było mało, by każdego sędziego nastawić wrogo do Klary, wyszło na jaw – a przynajmniej tak twierdziła policja – że prawicowi członkowie ich formacji otrzymywali w ostatnim czasie groźby od organizacji Gesher Zahav, z którą Klara i Sándor byli powiązani. W poprzednim miesiącu widziano tych dwoje, jak wchodzą i wychodzą z biura organizacji na Dohány utca; nieważne, że byli tam na niedzielnych popołudniowych potańcówkach, a nie po to, by knuć zabójstwo policjantów. Fakt, że Klara zniknęła, został zinterpretowany jako dowód jej winy i jej instrumentalnej roli w knowaniach Gesher Zahav. Wiadomości te rozeszły się po całym mieście; każda budapeszteńska gazeta opublikowała na pierwszej stronie artykuł o młodej żydowskiej tancerce, która zamordowała bohatera wojennego. Skończyły się nadzieje rodziców Klary na sprowadzenie jej do domu. Mają szczęście, pisał prawnik ojca, że udało im się wywieźć ją z kraju w odpowiednim momencie. Gdyby została, skończyłoby się to kolejnym przelewem krwi.

Przez pierwsze dwa miesiące pobytu u madame Newickiej Klara leżała w maleńkim ciemnym pokoiku z oknem wychodzącym na studzienkę wentylacyjną. Kolejne nowiny z Budapesztu pogrążały ją coraz głębiej w czarnej otchłani. Nie mogła spać, nie mogła jeść, nie była w stanie znieść czyjegokolwiek dotyku. Sándor nie żył. Nigdy już nie zobaczy rodziców ani brata. Nigdy nie wróci do Budapesztu. Nigdy nie będzie mieszkała w miejscu, gdzie wszyscy wokół niej na ulicy mówią po węgiersku. Nie będzie jeździć na łyżwach w Városliget ani tańczyć na scenie Operaház, nie zobaczy już swoich przyjaciół ze szkoły ani nie zje wafelka z pastą kasztanową, idąc wzdłuż Dunaju po Wyspie Małgorzaty. Nie zobaczy już żadnego z pięknych przedmiotów w swoim pokoju, oprawnych w skórę pamiętników, porcelanowych wazonów z Herend, haftowanych poduszek, rosyjskich matrioszek, menażerii szklanych zwierzątek. Straciła nawet swoje nazwisko, już nigdy nie będzie Klarą Hász; już zawsze będzie się nazywała Claire Morgenstern, bo takie imię i nazwisko wybrał dla niej prawnik. Co rano uświadamiała sobie na nowo, że to wszystko naprawdę się wydarzyło, że jest uciekinierką we Francji, u madame Newickiej. Wszystko to zdawało się sprawiać,

że czuła się fizycznie chora. Pierwsze godziny dnia spędzała nachylona nad toaletą, wymiotując. Za każdym razem, gdy wstawała, czuła się tak, jakby miała zemdleć. Pewnego dnia madame Newickaja przyszła do pokoju Klary i zadała jej sporo dziwnych pytań. Czy bolą ją piersi? Czy zapach jedzenia przyprawia ją o mdłości? Kiedy miała ostatni okres? Tego samego dnia przyszedł lekarz i wykonał bolesne i upokarzające badanie, które potwierdziło podejrzenia madame Newickiej: Klara była w ciąży.

Przez trzy dni patrzyła tępo na cienki wycinek nieba widoczny z łóżka. Pojawiały się i znikały chmury, przeleciał klucz brązowych ptaków; po południu niebo przybrało kolor indygo, a potem czerni ze złotą poświatą paryskiej nocy. Patrzyła na nie, gdy służąca Newickiej, Masza, karmiła ją rosołem i przecierała jej czoło wilgotną ściereczką. Patrzyła, gdy Newickaja tłumaczyła jej, że nie musi cierpieć tortury noszenia dziecka tego człowieka. Lekarz może wykonać prosty zabieg, po którym Klara przestanie być w ciąży. Newickaja zostawiła ją samą, by spokojnie się zastanowiła. Klara patrzyła i patrzyła na ten zmieniający się wycinek nieba i z wielkim trudem docierało do niej to, czego właśnie się dowiedziała. W ciąży. Prosty zabieg. Ale madame Nowickaja nie znała całej prawdy; ona i Sándor byli kochankami przez sześć miesięcy poprzedzających jego śmierć. Kochali się tego wieczoru, gdy zginął. Zabezpieczyli się, ale wiedziała, że te zabezpieczenia nie zawsze skutkują. Skoro była w ciąży, to mogło równie dobrze być jego dziecko.

Ta myśl wystarczyła, by podnieść ją z łóżka. Klara powiedziała madame Newickiej, że nie chce zabiegu, i wytłumaczyła jej dlaczego. Madame Newickaja, surowa pięćdziesięcioletnia kobieta o lśniących włosach, wzięła ją w ramiona i zaczęła płakać; powiedziała, że rozumie, że nie będzie próbowała zmienić jej decyzji. Rodzice, gdy się dowiedzieli o ciąży i jej zamiarze, zachowali się inaczej. Nie potrafili się pogodzić z myślą, że być może będzie wychowywać dziecko tego drugiego człowieka. Jej ojciec był temu tak bardzo przeciwny, że zagroził cofnięciem Klarze pomocy finansowej, jeśli zdecyduje się urodzić. Co by zrobiła sama w Paryżu? Nie mogła tańczyć, dopóki była w ciąży ani potem, z niemowlęciem pod opieką; z czego by się utrzymała? Jej sytuacja i tak była trudna.

Ale Klara podjęła decyzję. Nie zrobi zabiegu i nie wyrzeknie się dziecka po porodzie. Gdy raz pomyślała, że ojcem może być Sándor, zaczęła nabierać pewności, że tak właśnie jest. Niech ojciec ją wydziedziczy. Będzie pracowała; wiedziała, co może robić. Poszła do madame Newickiej i błagała ją, by mogła uczyć kilka grup początkujących. Zajmie się tym dopóty, dopóki nie widać ciąży,

a potem znowu, gdy dojdzie do siebie po porodzie. Jeśli Newickaja zatrudni ją jako nauczycielkę, uratuje życie jej i jej dziecka.

Newickaja się zgodziła. Przekazała Klarze klasę siedmiolatek i kupiła jej czarną sukienkę do ćwiczeń, taką samą, jaką nosiły inne nauczycielki w jej szkole. Wkrótce Klara zaczęła nowe życie. Wrócił jej apetyt i nabrała ciała. Skończyły się mdłości. Okazało się, że znów jest w stanie normalnie spać. Dziecko Sándora, myślała, nie tego drugiego. Poszła do fryzjera i obcięła krótko włosy. Kupiła sobie luźną sukienkę, taką, jakie wówczas były w modzie; mogła ją nosić do końca ciąży. Kupiła nowy, oprawiony w skórę dziennik. Codziennie chodziła do szkoły baletowej i uczyła dwudziestoosobową klasę dziewczynek. Gdy już nie mogła uczyć, błagała Maszę, by pozwoliła jej pomagać w pracach domowych. Masza nauczyła ją sprzątać, gotować, prać, robić zakupy na targu i w sklepach. Gdy będąc w szóstym miesiącu ciąży, Klara zauważyła, że sprzedawcy przyglądają się jej brzuchowi i dłoni pozbawionej obrączki, kupiła sobie mosiężną obrączkę, którą nosiła na palcu serdecznym. Kupiła ją ze względów praktycznych, ale po jakimś czasie zaczęła o niej myśleć, jakby była prawdziwą obrączką; czuła się tak, jakby była żoną Sándora Goldsteina.

Gdy zbliżał się termin porodu, zaczęła mieć wyraziste sny o Sándorze. Nie koszmary, które nękały ją w pierwszych tygodniach pobytu w Paryżu – Sándor leżący na ulicy z otwartymi oczami wpatrzonymi w niebo – lecz sny, w których robili razem zwykłe rzeczy, pracowali nad trudną figurą, kłócili się o rozwiązanie jakiegoś zadania arytmetycznego lub siłowali ze sobą w szatni Operaház. W jednym ze snów miał trzynaście lat i kradł razem z nią słodycze na targu. W innym był jeszcze młodszy, chudy chłopiec, który uczył ją skakać do wody na basenie Palatinus Strand. Myślała o nim, gdy przyszły pierwsze skurcze i odeszły wody. To Sándora wołała, gdy ból trwał długo i stał się silny i głęboki, jakby w środku palił ją do białości ogień. Gdy obudziła się po cesarskim cięciu, wyciągnęła ramiona, by przyjąć jego dziecko.

Ale oczywiście to nie było jego dziecko. To była Elisabet.

Zamilkła i siedzieli przy ogniu w milczeniu. Andras na podnóżku, Klara na cynobrowym fotelu z nogami schowanymi pod spódnicę. Herbata w filiżankach wystygła. Na zewnątrz silny wiatr łomotał gałęziami drzew. Andras wstał, podszedł do okna i patrzył na wejście do Collège de France, udekorowane koronkowym kołnierzykiem kloszardów z inwentarzem.

– Zoltán Novak o tym wie, prawda? – powiedział Andras.

– Zna najważniejsze fakty. We Francji tylko on o tym wie. Madame Newickaja jakiś czas temu zmarła.

– Powiedziałaś mu, żeby zrozumiał, dlaczego nie jesteś w stanie go pokochać?

– Z Zoltánem byliśmy sobie bardzo bliscy. Chciałam, żeby wiedział.

– Nawet Elisabet nie wie – dodał Andras, gładząc kciukiem brzeg filiżanki. – Myśli, że jest dzieckiem kogoś, kogo kochałaś.

– Tak – odparła Klara. – Prawda w niczym by jej nie pomogła.

– A teraz opowiedziałaś to mnie. Po to, bym zrozumiał, co się stało w Nicei. Zakochałaś się raz, w Sándorze Goldsteinie, i nie potrafisz pokochać nikogo innego. Madame Gérard domyślała się tego, powiedziała mi dawno temu, że kochasz mężczyznę, który nie żyje.

Klara westchnęła cicho.

– Kochałam Sándora – przyznała. – Uwielbiałam go. Ale to romantyczna bzdura uważać, że z tego powodu nigdy więcej nikogo nie pokocham.

– Co się zatem stało w Nicei? – zapytał Andras. – Dlaczego się ode mnie odwróciłaś?

Pokręciła głową i podparła dłonią policzek.

– Chyba się przestraszyłam. Zobaczyłam, jak by to było, gdybym żyła z tobą. Po raz pierwszy wydawało mi się to możliwe. Ale przecież były wszystkie te straszne rzeczy, o których ci nie opowiedziałam. Nie wiedziałeś, że zastrzeliłam człowieka i uciekam przed wymiarem sprawiedliwości. Nie wiedziałeś, że byłam zgwałcona. Nie wiedziałeś, jak bardzo jestem naznaczona przez los.

– Jak mogłaś myśleć, że to wszystko nie zbliży mnie do ciebie jeszcze bardziej?

Podeszła do niego z zarumienioną i wilgotną twarzą, która w słabym świetle sprawiała wrażenie zaniedbanej.

– Jesteś jeszcze młody – powiedziała. – Możesz pokochać kogoś, kto ma mniej skomplikowane życie. Po co ci to wszystko? Byłam pewna, że się oddalisz, gdy ci wszystko opowiem. Że będę ci się wydawała ruiną człowieka.

W grudniu stała dokładnie w tym samym miejscu, z filiżanką herbaty w drżących dłoniach. „Ty też się napij”, powiedziała, wyciągając w jego stronę filiżankę. *Te.*

– Klaro – rzekł. – Mylisz się. Nie zamieniłbym twoich komplikacji na nieskomplikowane życie nikogo innego. Rozumiesz?

– Trudno w to uwierzyć. – Podniosła na niego wzrok.

– Spróbuj – szepnął i przyciągnął ją do siebie. Czuł ciepły zapach jej głowy, ciemność jej włosów. Trzymał w ramionach dziewczynę, która mieszkała w domu przy Városliget, młodą tancerkę, która kochała Sándora Goldsteina, kobietę, która teraz kochała jego. Był niemal w stanie dostrzec tę nienazwaną istotę jej tożsamości, która pozostała przez cały czas ta sama: jej „ja”, jej życie. Wydawała mu się taka mała, jak ziarenko gorczycy zakotwiczone głęboko w ziemi cienkim pojedynczym korzonkiem, silne i delikatne zarazem. Ale nic więcej nie było trzeba. Miał wszystko. Ona mu to dała i teraz trzymał to w dłoniach.

Spędzili tę noc na rue des Écoles. Rano umyli się i ubrali w błękitnym świetle zimnego pokoju Andrasa, a następnie poszli razem na rue de Sévigné. Był 7 listopada, zimny szary poranek z puchem przymrozku. Andras wszedł z nią do środka, by rozpalić ogień w piecu węglowym w studiu. Od dwóch miesięcy nie był w jej domu. Panowała tu charakterystyczna dla szkolnej klasy pełna oczekiwania cisza, pachniało baletkami i kalafonią, zupełnie jak w budapeszteńskim studiu, które opisała. W rogu stała deska kreślarska, którą dała mu na urodziny, osłonięta płótnem przed kurzem. Podeszła do niej i zdjęła okrycie.

– Przechowałam ją, tak jak prosiłeś.

Andras wziął od niej prześcieradło i okręcił je wokół nich dwojga. Przyciągnął ją tak blisko, że czuł ucisk twardych kości jej miednicy, jej klatkę piersiową naciskającą na jego pierś, gdy oboje oddychali. Zarzucił im koniec prześcieradła na głowy i stali tak we wspólnym całunie w rogu sali. W białej intymnej przestrzeni tego namiotu uniósł palcem jej podbródek i pocałował ją. Zacisnęła mocniej płótno wokół nich.

– Nie wychodźmy stąd – powiedział. – Zostańmy tak na zawsze.

Schylił się, by znów ją pocałować, całkowicie pewien, że nic go nie zmusi do odejścia z tego miejsca – ani głód, ani zmęczenie, ani ból, ani strach, ani wojna.

Rozdział dwudziesty

Zamach

NAJŚWIEŻSZE WIADOMOŚCI DOSIĘGŁY Andrasa w pracowni. Choć był nieprzytomny ze zmęczenia po nocy z Klarą, musiał pójść na zajęcia; miał tego dnia ocenę. Projekt polegał na naśladownictwie: miał zaprojektować przestrzeń o jednorodnym charakterze użyteczności w stylu jednego ze współczesnych architektów. Zaprojektował studio architektoniczne w stylu Pierre'a Charreau, wzorując się na domu lekarza na rue Saint-Guillaume: trzypoziomowy budynek z bloków szkła i stali, zalany rozproszonym światłem przez cały dzień, a w nocy nasycony światłem z wnętrza. Wszyscy przyszli wcześnie, aby powiesić swoje projekty na ścianie. Gdy Andras znalazł miejsce na swoje rysunki, wziął swój stołek i usiadł ze starszymi studentami wokół pochlapanego farbą radia. Słuchali wiadomości, nie spodziewając się niczego poza zwykłym katalogiem niepokojących nowin.

Pierwszy usłyszał o tym Rosen. Nastawił głośniej odbiornik z myślą o pozostałych. Właśnie zastrzelono ambasadora Niemiec. Nie, nie ambasadora, urzędnika ambasady. Sekretarza poselstwa, cokolwiek to oznacza. Ernsta Eduarda vom Ratha. Dwudziestodziewięcioletniego. Został postrzelony przez dzieciaka. Dzieciaka? To niemożliwe. Młodego chłopca. Siedemnastolatka. Żyda. Niemiecko-żydowskiego chłopca polskiego pochodzenia. Zastrzelił urzędnika w odwecie za to, że deportowano z Niemiec dwanaście tysięcy Żydów.

– Mój Boże – westchnął Ben Yakov, przeciągając palcami przez wypomadowane włosy. – Ten chłopak jest już martwy.

Wszyscy podeszli bliżej. Czy urzędnik ambasady jest ranny, czy nie żyje? Odpowiedź przyszła po chwili. Został postrzelony czterokrotnie w brzuch; przechodzi w tej chwili operację w klinice Alma na rue de l'Université, niecałe dziesięć minut od École Spéciale. Podobno Hitler wysłał swojego osobistego lekarza z Berlina oraz dyrektora Kliniki Chirurgicznej Uniwersytetu

Monachijskiego. Napastnik, Gruenspan lub Grinspun, przebywa w areszcie w nieujawnionym miejscu.

– Wysłał osobistego lekarza! – krzyknął Rosen. – Już to sobie wyobrażam. Wysłał go z dużą piękną kapsułką arszeniku dla pacjenta.

– Jak to, co masz na myśli? – zapytał któryś ze studentów.

– Vom Rath musi umrzeć za Niemcy – wyjaśnił Rosen. – Gdy umrze, będą mogli zrobić z Żydami, co zechcą.

– Nie zabiliby własnego dyplomaty.

– Oczywiście, że tak.

– Nie będą musieli – powiedział ktoś inny. – Ten człowiek został postrzelony cztery razy.

Polaner oddalił się od tłoku przy radiu i zapalił papierosa przy oknie. Andras podszedł do niego i spojrzał na dziedziniec, gdzie dwóch studentów piątego roku wieszało na drzewie skomplikowaną ruchomą rzeźbę z drewna. Polaner otworzył okno i dmuchnął dymem na zewnątrz w zimne powietrze.

– Znałem go – powiedział. – Nie tego żydowskiego chłopca, tylko tego drugiego.

– Vom Ratha? – zdziwił się Andras. – Jak to?

Polaner zerknął na niego i uciekł spojrzeniem w bok. Strząsnął popiół na zewnętrzny parapet, popiół przez chwilę wirował, by rozpaść się i zniknąć.

– Jest taki bar, do którego kiedyś chodziłem. On też tam bywał.

Andras skinął głową.

– Postrzelony – powtórzył Polaner. – Przez siedemnastoletniego Żyda. Akurat vom Rath.

W tym momencie wszedł Vago, wyłączył radio i wszyscy udali się na swoje miejsca, by wysłuchać krótkiego wykładu przed wydaniem ocen. Andras siedział na drewnianym stołku, słuchając jednym uchem, drążąc metalową końcówką ołówka kwadracik w powierzchni deski kreślarskiej. Tego było zbyt wiele, wczorajsza opowieść Klary i dzisiejsze wydarzenia w ambasadzie niemieckiej zlały się w jego głowie w jedno: Klara i polsko-niemiecki nastolatek, oboje brutalnie potraktowani, oboje trzymający w drżących dłoniach broń, z której pada strzał, oboje potępieni. Nazistowscy lekarze zmierzali już w stronę Paryża,

by zabić lub uratować tego człowieka. A polsko-niemiecki nastolatek siedzi gdzieś w więzieniu i czeka, by dowiedzieć się, czy jest mordercą, czy nie. Projekt Andrasa wysunął się spod pinezki i zawisł krzywo, zaczepiony jednym rogiem. Andras spojrzał na niego i pomyślał: tak właśnie jest. W tym momencie wszystko wisiało na włosku: nie tylko domy, ale całe miasta, kraje, narody. Chciał uciszyć łoskot w głowie. Chciał znaleźć się w gładkiej, białej pościeli u Klary w domu, w jej białej sypialni, w pościeli, która pachnie jej ciałem. Ale Vago właśnie wziął zwisający róg projektu i ponownie przyczepił go do ściany. Wokół zebrała się grupa studentów; pora na jego ocenę. Zmusił się, by podejść i stanąć obok rysunku, gdy inni o nim dyskutowali. Dopiero później, kiedy wszyscy zaczęli poklepywać go po ramieniu i podawać mu ręce, dotarło do niego, że odniósł sukces.

– To nieprawda, że vom Rath nienawidził Żydów – powiedział Polaner. – Był oczywiście członkiem partii nazistowskiej, ale to, co działo się w Niemczech, napawało go odrazą. Dlatego właśnie przyjechał do Francji. Chciał uciec. Tak mi przynajmniej mówił.

Minęły dwa dni od zamachu. Ernst vom Rath zmarł tego popołudnia w klinice Alma. Lekarze Hitlera wprawdzie przyjechali, ale zdali się na lekarzy francuskich. Według popołudniowych wiadomości radiowych vom Rath zmarł na skutek powikłań związanych z uszkodzeniem śledziony. W sobotę odbędzie się ceremonia w Niemieckim Kościele Luterańskim.

Andras i Polaner przyszli do Blue Dove na szklaneczkę whisky, ale zorientowali się, że nie mają pieniędzy. Był koniec miesiąca; nawet połączone zasoby kieszeni ich obu nie wystarczyłyby na jednego drinka. Powiedzieli więc kelnerowi, że złożą zamówienie za kilka minut, i siedzieli, rozmawiając z nadzieją, że uda im się spędzić pół godziny w cieple, nim zostaną wyproszeni. Po jakimś czasie kelner przyniósł im jak zwykle whisky z wodą. Gdy zaprotestowali, mówiąc, że nie mogą zapłacić, podkręcił wąsa i powiedział, że następnym razem policzy im podwójnie.

– Jak go poznałeś? – zapytał Andras Polanera.

– Ktoś nas sobie przedstawił. – Polaner wzruszył ramionami. – Postawił mi drinka. Rozmawialiśmy. Był inteligentny i oczytany. Lubiłem go.

– A gdy dowiedziałeś się, kim jest…

– A co ty byś zrobił? – zapytał Polaner. – Miałem odwrócić się i odejść? Czy uważasz, że on powinien postąpić tak samo wobec mnie?

– Ale jak mogłeś siedzieć i rozmawiać z nazistą? Szczególnie po tym, co się wydarzyło ubiegłej zimy?

– Nie on mi to zrobił. On by czegoś takiego nie zrobił. Mówiłem ci.

– Tak przynajmniej mówił. Ale mógł mieć inne motywy.

– Na miłość boską – zniecierpliwił się Polaner. – Daj już spokój. Właśnie umarł człowiek, którego znałem, próbuję się z tym pogodzić. Czy to nie wystarczy?

– Przepraszam – powiedział Andras.

Polaner położył ręce na stole i podparł brodę.

– Ben Yakov miał rację – stwierdził. – Zrobią z tego pokaz. Z tego chłopaka, Grynszpana. Zażądają ekstradycji, a potem zabiją go w jakiś spektakularny sposób.

– Nie mogą. Cały świat patrzy im na ręce.

– Tym lepiej, o to im właśnie chodzi.

Klara stała przy oknie z gazetą w ręku, patrząc na rue de Sevigné. Właśnie przeczytała na głos krótki artykuł o działaniach planowanych przez niemiecki rząd wobec Żydów „w odwecie za katastrofalne zniszczenia niemieckiej własności w wyniku aktów przemocy 9 listopada". Gazety nazywały to nocą kryształową. Andras chodził po pokoju w tę i z powrotem, z rękami głęboko w kieszeniach. Przy biurku siedziała Elisabet i w szkolnym zeszycie podliczała ołówkiem jakieś sumy.

– Miliard marek – powiedziała. – Taka jest suma kar nałożonych na Żydów. A w Niemczech mieszka pół miliona Żydów. To znaczy, że każdy z nich, włączając w to dzieci, musi zapłacić po dwa tysiące marek.

Logika tego wszystkiego była niepojęta. Próbował to zrozumieć, ale nie potrafił. Grynszpan postrzelił vom Ratha; vom Rath zmarł; noc kryształowa miała być naturalną reakcją narodu niemieckiego na zabójstwo. Zatem odpowiedzialność za zniszczenie żydowskich sklepów, spalenie synagog, plądrowanie domów – nie mówiąc już o zabiciu dziewięćdziesięciu jeden Żydów i aresztowaniu trzydziestu tysięcy – spoczywała po stronie samych Żydów; to oni mieli za to zapłacić.

Poza karami pieniężnymi łączna, suma wszystkich należnych odszkodowań od firm ubezpieczeniowych wpłynie bezpośrednio do państwowej kiesy.

Żydowskie firmy w Niemczech zostały ponadto zdelegalizowane. W Paryżu, Nowym Jorku, Londynie zorganizowano demonstracje przeciwko pogromowi i jego konsekwencjom, lecz rząd francuski jakoś dziwnie milczał. Rosen twierdził, że to dlatego, że Ribbentrop, minister spraw zagranicznych Hitlera, odwiedzi Paryż w grudniu, by podpisać układ o przyjaźni pomiędzy Niemcami i Francją. Wszystko to wyglądało na wielkie, ohydne oszustwo.

Z dołu dał się słyszeć szczęk i szelest popołudniowej poczty wrzucanej przez otwór w drzwiach. Elisabet wstała tak szybko, że przewróciła krzesło, które opadło na ekran przy kominku, i pobiegła na dół po listy,

– Kiedyś musiałam ją przekupywać pierniczkami, żeby zeszła po pocztę – powiedziała Klara, odstawiając krzesło na miejsce. – Teraz poczta nie zagrzeje miejsca nawet przez pół minuty.

Elisabet długo nie wracała. Gdy ponownie się pojawiła, zdyszana i zarumieniona, rzuciła tylko parę kopert na sekretarzyk i pobiegła do swojego pokoju. Klara przejrzała pocztę, siedząc przy biurku. Jej uwagę zwróciła cienka koperta w kremowym kolorze. Wzięła nóż do papieru i otworzyła list.

– To od Zoltána – powiedziała, przebiegając wzrokiem pojedynczy arkusik. Zmarszczyła brwi i zaczęła czytać uważniej. – Wyjeżdżają z Edith za trzy tygodnie. Pisze, żeby się pożegnać.

– Wyjeżdżają? Dokąd?

– Do Budapesztu – odparła. – Już wcześniej o tym słyszałam. Marcelle mi mówiła, że takie chodzą słuchy, gdy ją spotkałam w Tuileries w ubiegłym tygodniu. Zoltánowi zaproponowano posadę dyrektora Węgierskiej Opery Królewskiej. A madame Novak chce wychować ich dziecko w bliskości rodziny.

Zagryzła usta i przycisnęła do nich dłoń.

– Jesteś aż tak nieszczęśliwa, że on wyjeżdża, Klaro?

– Nie z powodu, o którym myślisz. – Potrząsnęła głową. – Wiesz, co czuję do Zoltána. Jest od dawna drogim przyjacielem. Dobrym człowiekiem. Przecież zatrudnił cię, gdy teatr Sary Bernhardt właściwie nie mógł sobie na to pozwolić.

Podeszła, by usiąść obok Andrasa na kanapie, i wzięła go za rękę.

– Ale nie smucę się, że jedzie. Cieszę się ze względu na niego.

– No to o co chodzi?

– Zazdroszczę im – odparła. – Strasznie. Mogą sobie z Edith wsiąść do pociągu i pojechać do domu. Mogą zawieźć dziecko do matki Edith, by wychowało się ze swoimi kuzynami.

Dłonią wygładziła szarą spódnicę na kolanach.

– Ten pogrom w Niemczech – powiedziała. – Co by było, gdyby coś takiego zdarzyło się na Węgrzech? Gdyby aresztowali mojego brata? Co by było z moją matką?

– Gdyby cokolwiek złego działo się na Węgrzech, pojechałbym do Budapesztu i zaopiekował się twoją matką.

– Ale ja bym nie mogła jechać z tobą.

– Może moglibyśmy ściągnąć matkę do Francji.

– Nawet gdybyśmy tak zrobili, byłoby to jedynie rozwiązanie tymczasowe – powiedziała. – Mam na myśli nasz poważniejszy problem.

– Jaki poważniejszy problem?

– No wiesz. Gdzie mielibyśmy razem żyć. W dalszej perspektywie. Ja, jak wiesz, nie mogę pojechać na Węgry, a ty nie możesz zostać tutaj.

– Dlaczego nie mogę tu zostać?

– Ze względu na twoją rodzinę – odparła. – Co będzie, jeśli wybuchnie wojna? Będziesz chciał wrócić do nich, do domu. Myślałam o tym setki razy. Powinieneś wiedzieć, że dużo o tym myślałam we wrześniu. To między innymi dlatego nie byłam w stanie do ciebie napisać. Nie widziałam dobrego wyjścia. Wiedziałam, że jeśli zdecydujemy się zostać razem, odciągnę cię od twojej rodziny.

– Jeśli tu zostanę, będzie to moja własna decyzja – odparł Andras. – Ale jeśli będę musiał pojechać do domu, znajdę sposób, byś pojechała ze mną. Porozmawiamy z prawnikiem. Może sprawa ulegnie przedawnieniu?

– Wciąż mogą mnie aresztować i sądzić za to, co zrobiłam. – Pokręciła głową. – Nawet gdybym mogła pojechać do domu, nie zostawiłabym przecież Elisabet.

– Oczywiście, że nie – zgodził się Andras. – Ale Elisabet ma własne plany.

– Właśnie tego się obawiam. To jeszcze dziecko, Andras. Nosi ten pierścionek zaręczynowy, ale nie rozumie, co to tak naprawdę znaczy.

– Jej narzeczony wydaje się bardzo uczciwy. Wiem, że ma jak najlepsze zamiary.

– Gdyby tak było, porozumiałby się z rodzicami, nim zaczął kłaść jej do głowy, że się z nią ożeni i zabierze ją do Ameryki! Wciąż im jeszcze nie powiedział, że jest zaręczony. Tymczasem oni wybrali dla niego kandydatkę na żonę, jakąś dziedziczkę fortuny piwnej z Wisconsin. On twierdzi, że nie czuje się wobec niej zobowiązany, ale nie jestem pewna, czy rodzice widzą to tak samo. A przynajmniej mógł się mnie zapytać o pozwolenie, zanim dał Elisabet ten pierścionek.

– Tak to się załatwia? – uśmiechnął się Andras. – Młodzi ludzie nadal proszą o pozwolenie?

– Porządni młodzi ludzie – odparła ze zrezygnowanym uśmiechem.

Przysunął się bliżej i nachylił do jej ucha.

– Chciałbym poprosić kogoś o pozwolenie, Klaro – powiedział. -Chciałbym napisać list do twojej matki.

– A jeśli się nie zgodzi? – wyszeptała.

– Będę musiał cię uprowadzić.

– Ale dokąd, kochany?

– Wszystko mi jedno – powiedział, patrząc głęboko w szary krajobraz jej oczu. – Chcę być z tobą. To wszystko. Wiem, że to niepraktyczne.

– Całkowicie niepraktyczne – odparła, ale objęła go za szyję i podniosła ku niemu twarz, a on pocałował jej zamknięte oczy, czując lekko słony smak. W tym momencie usłyszeli kroki Elisabet w korytarzu; pojawiła się w drzwiach salonu w swoim zielonym wełnianym płaszczu i kapelusiku. Andras i Klara odsunęli się od siebie i wstali.

– Przepraszam was, wstrętni dorośli – powiedziała. – Idę do kina.

– Posłuchaj, Elisabet – zawołał Andras. – Co byś powiedziała, jakbym ożenił się z twoją mamą?

– Błagam. – Klara podniosła rękę w geście ostrzeżenia. – Nie powinniśmy o tym mówić w ten sposób.

Elisabet przekrzywiła głowę, patrząc na Andrasa.

– Co ty powiedziałeś?

– Jakbym się z nią ożenił – powtórzył Andras. – Uczynił ją moją żoną.

– Serio? – spytała Elisabet. – Chcesz ją poślubić?

– Chcę.

– A ona też ciebie chce?

Minęła długa chwila, podczas której Andras odczuł rosnące napięcie. Klara wzięła jego rękę w swoje dłonie i ją uścisnęła, zupełnie jakby coś ją bolało.

– On wie, czego ja chcę – odparła. – Chcemy tego samego.

Wypuścił powietrze z płuc. Przez rysy Elisabet przemknęła fala ulgi; jej wiecznie zmarszczone brwi się wygładziły. Przeszła na drugą stronę pokoju i objęła Andrasa, a potem pocałowała matkę.

– To cudownie – powiedziała ze szczerością. Bez słowa zarzuciła torbę na ramię i zbiegła po schodach.

– Cudownie? – powtórzyła Klara w dźwięczącej ciszy, która zawsze zalegała po wyjściu Elisabet. – Nie jestem pewna, czego się spodziewałam, ale na pewno nie tego.

– Ona sądzi, że to ułatwi sprawę pomiędzy nią i Paulem.

– Wiem – westchnęła. – Jeśli za ciebie wyjdę, nie będzie się musiała czuć winna, że mnie zostawia.

– Możemy poczekać, jeśli uważasz, że to coś zmieni. Możemy poczekać, aż skończy szkołę.

– To jeszcze siedem miesięcy.

– Siedem miesięcy – powtórzył. – Ale potem będziemy mieli czas do końca życia.

– Siedem miesięcy. – Skinęła głową i wzięła go za rękę.

– Klaro – powiedział. – Klaro Morgenstern. Czy właśnie zgodziłaś się wyjść za mnie?

– Tak – odparła – tak, jak tylko Elisabet skończy szkołę. Ale to nie znaczy, że pozwolę jej uciec do Ameryki z tym młodym podrywaczem.

– Siedem miesięcy – powiedział.

– I może do tego czasu rozwiążemy nasz problem geograficzny.

Wziął ją za ramiona i pocałował w usta, policzki, oczy.

– Nie przejmujmy się tym na razie – rzekł. – Obiecaj mi, że nie będziesz o tym myśleć.

– Nie mogę ci tego obiecać, Andras. Będziemy musieli o tym myśleć, jeśli chcemy ten problem rozwiązać.

– Później o tym pomyślimy. Teraz chcę cię pocałować. Mogę?

W odpowiedzi objęła go ramionami, a on ją pocałował, myśląc, że mógłby robić tylko to przez cały dzień, cały rok, całe swoje życie. Potem odsunął się od niej i powiedział:

– Jestem na to nieprzygotowany. Nic dla ciebie nie mam. Nie mam pierścionka.

– Pierścionka! – zaprotestowała. – Nie chcę pierścionka.

– Ale i tak dostaniesz. Już ja się postaram. I wcale nie żartowałem, mówiąc, że chcę napisać do twojej matki.

– To ryzykowna sprawa, jak wiesz.

– Szkoda, że nie możemy porozmawiać z Józsefem – powiedział Andras. – On mógłby do niej napisać albo dołączyć mój list do swojego.

Klara zagryzła usta.

– Sądząc z tego, co o nim i jego stylu życia opowiadasz, niemądrze byłoby wtajemniczać go w nasze sprawy.

– Jeśli się pobierzemy, i tak prędzej czy później się dowie. Dzielnica Łacińska to mały światek.

– Wiem – westchnęła. – To takie skomplikowane.

Podeszła do kanapy i otworzyła złożoną gazetę.

– Przynajmniej mamy trochę czasu do namysłu. Siedem miesięcy – rzekła. – Kto wie, co się wydarzy przez ten czas? Może wszyscy naraz powinniśmy się pobrać? Może powinnam się cieszyć, że moje dziecko pojedzie za ocean, do Ameryki? Jeśli dojdzie do wojny, tam będzie bezpieczna.

Bezpieczeństwo to ulotne złudzenie. Opuściło już Węgry, korytarze École Spéciale i same Niemcy na długo przed nocą 9 listopada. Gdy tak siedział obok niej i patrzył na gazetę na jej kolanach, powędrował wzrokiem wzdłuż jej ręki do

fotografii na pierwszej stronie: kobieta i mężczyzna w bieliźnie nocnej stoją na ulicy; pomiędzy nimi mały chłopiec ściskający szmacianą kukiełkę w spiczastym kapeluszu; z przodu oświetla ich brutalnie pożar domu, stojącego w płomieniach od parteru aż po dach. W miejscach, gdzie ogień strawił podłogi i dywany, tapety i tynk, widać gołą strukturę budynku, jak kości zwierzęcia. Architekt widzi też coś, czego nie dostrzegają w tym momencie mężczyzna, kobieta i chłopiec stojący na ulicy: że główne elementy nośne już są przepalone i lada chwila cały budynek się zawali jak źle skonstruowana makieta, a jego krokwie zamienią się w popiół.

CZĘŚĆ III

Odjazdy i przyjazdy

Rozdział dwudziesty pierwszy

Kolacja

NA POCZĄTKU GRUDNIA madame Gérard urządziła przyjęcie z okazji swoich urodzin. Klara otrzymała zaproszenie wydrukowane złotą czcionką na grubym papierze w kolorze kości słoniowej; Andras został zaproszony jako osoba towarzysząca. W dniu przyjęcia włożył nieskazitelnie białą koszulę i granatowy jedwabny krawat, wyczyścił swoją najlepszą ciemną marynarkę, wyglansował buty, które Tibor kupił mu rok wcześniej w Budapeszcie. Powtarzał sobie, że nie ma w tym nic nadzwyczajnego, że Marcelle Gérard go zaprosiła. W gruncie rzeczy jednak zobaczy ją po raz pierwszy, odkąd odeszła z teatru Sary Bernhardt, a sam miał po raz pierwszy wystąpić publicznie jako przyszły mąż Klary i znaleźć się wśród ludzi, którzy mogli uważać go za kogoś gorszego. Obawiał się nie tylko tego, co pomyślą sobie o nim jej przyjaciele, lecz także tego, co ona sama sobie pomyśli, widząc go po raz pierwszy wśród swoich znajomych. Ci wszyscy choreografowie, tancerze, kompozytorzy, którzy czasem dedykowali jej swoje utwory: na ich tle mógł wypaść jak nowicjusz, aspirujący żółtodziób, ktoś, kto być może kiedyś coś osiągnie, lecz na razie nie ma się czym pochwalić. Zastanawiał się, czy właśnie takiego efektu spodziewała się Marcelle. Sama Klara jednak uśmierzyła jego niepokoje; gdy tego wieczoru przyszedł po nią na rue de Sévigné, zachowywała się swobodnie i poufale. Szli zimnym bulwarem w stronę nowego mieszkania Marcelle w jedenastce, ulice pachniały palonym drewnem i zbliżającym się zimnem. Trudno było uwierzyć, że jest już prawie grudzień, że minął rok od ich pierwszego spotkania. Wkrótce mróz znowu zetnie lodowiska w Bois de Vincennes i Bois de Boulogne.

Drzwi u madame Gérard otworzyła dziewczyna w wykrochmalonym białym fartuszku; wzięła od nich okrycia i zaprowadziła ich do salonu z drewnianym parkietem. Budynek pochodził z belle époque, lecz madame Gérard urządziła swoje mieszkanie w nowoczesnym stylu: w salonie były niskie czarne kanapy, afrykańskie maski, a na szklanych półkach stały wazony z usłojonego malachitu. W oknach wisiały draperie w kolorze trawy, a obok kanap pełniły wartę dwa stalowe stoliki, niczym szczupłonogie greyhoundy. Stoliki zdobiły dwie rzeźby Brâncuşiego, dwa przyczajone płomienie z czarnego marmuru. Wszystko to było

owocem jej ostatnich sukcesów; podbijała Paryż każdą kolejną rolą od czasu *Matki* i właśnie dostała entuzjastyczne recenzje za *Antygonę* w Théâtre des Ambassadeurs, w którym Andras i Forestier zainstalowali skomplikowaną surrealistyczną scenografię. Teraz madame Gérard, ubrana w żółto-zieloną jedwabną suknię, zmierzała ku Andrasowi i Klarze po parkiecie salonu. Ucałowała oboje i po powitaniu zaprowadziła Andrasa do czarnej konsolki na wysoki połysk, na której serwowano drinki.

– No i proszę jaki z ciebie dżentelmen – powiedziała, dotykając klapy jego marynarki. – Do twarzy ci w wieczorowym stroju. Niewykluczone, że będę miała straszny napad zazdrości jeszcze przed końcem wieczoru.

– To miło z pani strony, że mnie pani zaprosiła – odparł Andras, słysząc nutę wymuszonego spokoju we własnym głosie.

Wydawało mu się, że widzi coś w rodzaju uśmiechu w kącikach jej ust.

– To miło, że sprawiłeś mi przyjemność i przyszedłeś w moje urodziny – powiedziała i dodała z naciskiem: – Myślę, że będziesz zadowolony z towarzystwa. Nasz przyjaciel monsieur Novak jest tu ze swoją żoną. Słyszałeś, że mają zamiar wrócić na Węgry? – Wskazała ruchem głowy kąt pokoju, gdzie państwo Novak rozmawiali z jakimś siwym człowiekiem w fularze. – Muszę przyznać, że był zaskoczony, gdy mu powiedziałam, że będziecie tu oboje z Klarą. Domyślam się, że wszystko wiesz o...?

– Tak, wszystko wiem – odparł. – Choć z pewnością pani wolałaby, żebym nic nie wiedział. To byłoby takie zabawne, prawda? Opowiedzieć mi o wszystkim,

– Zawsze miałam na uwadze twoje dobro – obruszyła się madame Gérard. – Ostrzegłam cię przed wiązaniem się z Klarą. Muszę przyznać, że byłam bardzo zaskoczona, gdy się dowiedziałam, że sprawy między wami zaszły tak daleko. Byłam przekonana, że traktuje cię jako rodzaj rozrywki.

Andras poczuł, że robi mu się gorąco.

– Czy to jest właśnie pani wyobrażenie o rozrywce? – zapytał. – Zapraszać do siebie ludzi, a następnie ich obrażać?

– Mów trochę ciszej, mój drogi – zmitygowała go madame Gérard. – Zbyt wiele ode mnie oczekujesz. Jak mam sobie radzić z romantycznymi intrygami wszystkich dookoła? Gdybym chciała zaprosić tylko tych, którzy mają nieskomplikowane koneksje, nie zaprosiłabym nikogo!

– Znam panią bardzo dobrze – odrzekł Andras. – Moim zdaniem pani niczego nie robi przypadkiem.

– Wydaje mi się, że masz o mnie zbyt romantyczne wyobrażenie - powiedziała najwyraźniej zadowolona. – Czarujący z ciebie młodzieniec.

– Kiedy monsieur Novak wyjeżdża na Węgry?

– W styczniu. – Zaśmiała się cicho. – Sądzę, że raczej nie będziesz za nim tęsknił. Chociaż nie wiem, jak to przyjmie Klara. Byli sobie bardzo bliscy, wiesz.

Wręczyła mu szklaneczkę whisky z lodem i zwróciła się w stronę Klary, która usiadła na kanapie obok Novaka.

– Swoją drogą, nie powinieneś się martwić, co ludzie o was powiedzą. Mam na myśli wasze zaręczyny. Wszyscy uwielbiają ekscentryczność Klary. Ja też uważam, że to urocze. Zupełnie jak w bajce! Spójrz na siebie. Zmieniła cię z żaby w księcia.

– Jeśli to już wszystko, pójdę po drinka dla Klary.

– Lepiej już idź – powiedziała madame Gérard. – Bo za chwilę to on będzie musiał wstać i przynieść jej drinka.

Znowu odwróciła się w stronę niskiej kanapy, na której Novak właśnie wyjaśniał coś Klarze bardzo zaaferowany. Ona kręciła głową, uśmiechając się smutno; Novak zdawał się nalegać, a Klara spuściła oczy.

Andras wziął dla niej kieliszek wina i przecisnął się przez grupkę gości w strojach wieczorowych; po drodze otarł się o żonę Novaka, Edith, wysoką ciemnowłosą kobietę w aksamitnej sukni rozsiewającą woń jaśminowych perfum. Gdy widział ją po raz ostatni, prawie rok temu w teatrze Sary Bernhardt, wręczyła mu swoją torebkę, podczas gdy sama szukała po kieszeniach chusteczki do nosa. Poświęciła mu mniej więcej tyle samo uwagi, co wieszakowi na ubranie. Teraz stała sztywno wyprostowana, podczas gdy inna kobieta nachylała się do jej ucha; jasne było, że relacjonuje przebieg tête-à-tête Novaka z Klarą. Gdy Andras znalazł się obok kanapy, monsieur Novak wstał i podał mu wilgotną czerwoną dłoń na powitanie. Oczy miał zaczerwienione, oddychał z wysiłkiem. Po kilku pierwszych słowach nie był w stanie kontynuować rozmowy.

– Słyszałem, że wracają państwo do domu do Budapesztu – zagaił Andras.

Novak uśmiechnął się z widocznym wysiłkiem.

– Tak, w rzeczy samej – odparł. – I z kim ja będę po drodze jadł lunch? Madame Novak woli wagon restauracyjny.

– Pewnie podtrzyma pan na duchu jakiegoś młodego głupca podróżującego z Paryża do Budapesztu.

– Jeśli ktoś młody jechałby z Paryża do Budapesztu, to rzeczywiście tylko głupiec.

– Budapeszt jest dobrym miejscem dla młodego człowieka.

– Może powinien był pan tam zostać – powiedział Novak, zbliżając do niego twarz.

Andras od razu zorientował się, że jest pijany; Klara również już o tym wiedziała; wstała i położyła Novakowi rękę na ramieniu. Andras poczuł ukłucie zazdrości w piersi. Skoro Novak miał zamiar się skompromitować, Klara nie powinna się czuć zobowiązana, by go chronić. Spojrzała jednak na Andrasa z błaganiem o wyrozumiałość w oczach, więc musiał ustąpić. Nie mógł przecież winić Novaka. Minęły zaledwie trzy miesiące od jego własnych pijanych ekscesów u Józsefa Hásza.

– Monsieur Novak opowiadał mi o swojej nowej posadzie w Królewskiej Operze Węgierskiej – powiedziała Klara.

– Ach, no właśnie. Mają szczęście, że pana zatrudnili – wtrącił Andras.

– No cóż, Paryż nie będzie za mną tęsknił – stwierdził Novak, spoglądając z ukosa na Klarę. – To pewne.

Madame Gérard przeszła przez salon, by do nich dołączyć, i wzięła Novaka za obie ręce.

– Będziemy wszyscy za panem bardzo tęsknić – powiedziała. – Dla nas to wielka strata. Dla mnie to wielka strata. Co ja bez pana poczną? Kto będzie przewodził przy stole podczas moich kolacji?

– Pani będzie przewodzić, jak zwykle – odparł Novak.

– Nie jak zwykle – zaprotestowała. – Kiedyś byłam strasznie nieśmiała. To pan wyręczał mnie w konwersacji. Może pan już tego nie pamięta. Może nie pamięta pan, jak musiał mnie zmiękczać winem w pańskim gabinecie, żebym zgodziła się wziąć rolę madame Villareal-Bloch.

– Ach tak, biedna Claudine – powiedział Novak, a jego głos stawał się coraz donośniejszy. – Była genialna i rzuciła wszystko dla tego chłopca. Tego attaché

prasowego z ambasady Brazylii. Pojechała za nim do São Paulo, a on ją potem rzucił dla jakiejś młódki. – Spojrzał znacząco na Andrasa. – A ona była taka pewna, że on ją kocha. Tymczasem zrobił z niej idiotkę.

Opróżnił szklankę, podszedł do okna i popatrzył na ulicę.

W salonie zaległa cisza, najpierw zamilkł Novak, potem reszta gości; konwersacja zamierała w kolejnych grupkach. Wyglądało na to, że wszyscy śledzili przebieg rozmowy pomiędzy Andrasem, Klarą i Novakiem; zupełnie jakby ktoś ich wcześniej uprzedził o okolicznościach i poradził zwrócić na nich szczególną uwagę. W końcu jakaś starsza pani w sukni od Mainbochera delikatnie odchrząknęła, pokrzepiła się łyczkiem dżinu i oświadczyła, że słyszała, iż czterdzieści tysięcy robotników kolejowych zwolnionych przez monsieur Reynauda jednak zorganizuje planowany strajk, a miałoby to ten dobry skutek, że opóźniłby się wyjazd monsieur i madame Novak.

– Ależ to byłoby okropne – powiedziała madame Novak. – Matka wydaje dla nas powitalne przyjęcie i już rozesłano zaproszenia.

Madame Gérard się roześmiała.

– Nie można by cię było posądzić o populizm, Edith – stwierdziła i konwersacja powróciła do poprzedniego natężenia.

W czasie kolacji Andras znalazł się pomiędzy madame Novak a starszą kobietą w sukni od Mainbochera. Zapach jaśminowych perfum madame Novak był tak obezwładniający, że zdawał się przyprawą do kolejnych stawianych przed nim potraw; zjadł więc jaśminową zupę żółwiową, jaśminowy sorbet, jaśminowego bażanta. Klara siedziała obok Novaka, nieco dalej, na prawo od Andrasa, więc nie mógł widzieć jej twarzy. Rozmowa przy stole początkowo dotyczyła madame Gérard: jej kariery, jej nowego apartamentu i nieprzemijającej piękności. Marcelle słuchała z fałszywą skromnością, jej usta wciąż przybierały wyraz samozadowolenia. Gdy jej się znudziło pławienie się w pochlebstwach, skierowała rozmowę na temat Budapesztu, jego czaru, problemów i tego, jak się zmienił od czasu, gdy obecni wśród gości Węgrzy mieszkali tam za młodu. Wciąż zaczynała wątek od zdań typu: „Gdy my wszyscy byliśmy w wieku monsieur Léviego”. Kapitan Jakiśtam von Cośtam siedzący naprzeciwko Andrasa stwierdził, że Europa wkrótce pogrąży się w wojnie i Węgry także będą zaangażowane, a Budapeszt przed końcem dekady diametralnie się zmieni. Madame Novak wyraziła nadzieję, że przynajmniej park, w którym bawiła się jako dziecko, pozostanie taki sam. Chciałaby bowiem, by tam bawiło się teraz jej dziecko.

– Nieprawdaż? – zwróciła się do męża nad stołem. – Poproszę nianię Jánosa, żeby go tam zabrała, gdy tylko przyjedziemy do Budapesztu.

– Dokąd ma go zabrać?

– Do parku Pozsonyi út, nad rzeką.

– Oczywiście – odparł nieobecny Novak i odwrócił się znów do Klary.

Na koniec podano sery i porto i goście przenieśli się do żółtego pokoju z aksamitnymi kanapami i gramofonem. Madame Gérard zażądała, by wszyscy tańczyli. Kanapy usunięto pod ściany, płytę umieszczono na gramofonie i goście zaczęli się kołysać do nowej amerykańskiej piosenki *They Can't Take That Away From Me.* Monsieur Novak objął Klarę w pasie i poprowadził ją na środek pokoju. Tańczyli niezdarnie, Klara trzymała ręce na ramionach Novaka jak zaporę, a on próbował oprzeć głowę na jej ramieniu. Madame Novak, udając, że niczego nie widzi, tańczyła, energicznym jazzowym krokiem z kapitanem Jakimśtam von Cośtam. Andras znalazł się w parze ze starszą kobietą w czerni. *The way you wear your hat* – śpiewała mu do ucha. – *The way you sip your tea. The memory of all that – no, they can't take that away from me.*

– To o utraconej miłości! – wykrzyknęła, gdy zaoponował, twierdząc, że jego angielski jest do niczego.

Sądziła, że musi krzyczeć mu do ucha, by ją usłyszał w zgiełku muzyki i rozmów.

– Mężczyzna, i kobieta rozstali się, ale on jej nigdy nie zapomni! Przychodzi do niego w snach! Odmieniła jego życie!

Goście wciąż nie mieli dość tej piosenki. Madame Gérard obwieściła, że to jej ulubiony szlagier. Puszczono ją cztery razy, nim wreszcie się im znudziła. Andras zatańczył z madame Gérard, z Edith Novak i jeszcze raz ze starszą panią; Zoltán Novak jednak nie wypuszczał Klary z objęć. Wkrótce wyjedzie z Paryża na zawsze; tego nic nie zmieni – ani strajk na kolei, ani groźba wojny, ani nawet siła jego miłości. Klara próbowała wydobyć się z jego objęć, ale za każdym razem protestował tak głośno, że musiała ulec, by uniknąć sceny. W końcu, zbyt pijany, by ustać na nogach, udał się zygzakiem na kanapę i wytarł wielką białą chusteczką pot z czoła. Madame Gérard zdjęła płytę z gramofonu i oświadczyła, że przyszedł czas na tort urodzinowy; Klara pokierowała Andrasa do holu.

– Chodźmy już – wyszeptała. – Nie powinniśmy byli tu przychodzić. Powinnam się domyślić, że Marcelle przygotuje jakąś koszmarną dramaturgię.

Sam też miał ochotę wyjść. Wzięli swoje okrycia z czerwonej sypialni i wymknęli się do holu. Novak musiał jednak zauważyć nieobecność Klary i usłyszeć windę; a może po prostu nie mógł już dłużej wytrzymać w gorącym pomieszczeniu. Gdy wyszli na ulicę, stał na balkonie, wołając Klarę, podczas gdy oni szli ramię w ramię ulicą. Andras, daleki od poczucia triumfu, bardzo mu współczuł. Pomyślał, że równie dobrze to on mógłby być tym, którego ona porzuca na zawsze, tym, który wraca na Węgry bez niej; emocje te były tak silne, że poczuł się słabo, musiał usiąść na chwilę na ławce i opuścić głowę między kolana. Jej bliskość, ciepło jej dłoni na jego ramieniu podziałały na niego jak wstrząs. Wydawało mu się, że siedzieli tak w zimnie na ławce przez długi czas, nie wypowiadając ani słowa.

Rozdział dwudziesty drugi

Signorina di Sabato

PEWNEGO GRUDNIOWEGO D N I A , gdy wiał wiatr ostry jak sztylet, Ligue Internationale Contre l'Antisémitisme zorganizowała protest przeciwko wizycie w Paryżu niemieckiego ministra spraw zagranicznych. Andras, Polaner, Rosen i Ben Yakov stali wśród ciasno zbitych demonstrantów pod Pałacem Elizejskim, wykrzykując hasła przeciwko niemieckiemu i francuskiemu rządowi, wymachując transparentami i śpiewając syjonistyczne pieśni, wyuczone na wcześniejszych spotkaniach ligi, do której wstąpili jak jeden mąż pod naciskiem Rosena po pogromie w Niemczech.

Tego ranka obudził ich wcześnie, by zdążyli namalować transparenty. Nie ma usprawiedliwienia dla bierności, powtarzał, nie ma wymówek, żeby zostać w łóżku, gdy Joachim von Ribbentrop przygotowuje się do podpisania paktu o nieagresji z Francją. O wszystko zadbał Bonnet, francuski minister spraw zagranicznych, który był tak uległy w sprawie aneksji Sudetów. Wypili u Rosena dzbanek kawy po turecku i zrobili tuzin transparentów. Rosen mieszał linijką farbę i kazał im wszystkim wdychać zapach rewolucji. Andras wiedział, że zachowanie Rosena w dużej mierze należało przypisać obecności jego nowej przyjaciółki o syjonistycznych poglądach, studentki pielęgniarstwa. Shalhevet pomagała im robić transparenty. Była wysoka, miała ogień w oczach i wzruszający lok siwych włosów w czarnej czuprynie. Od czasu do czasu mrugała porozumiewawczo do Andrasa, Polanera i Bena Yakova, dając im do zrozumienia, że wie, jak absurdalny potrafi być Rosen, lecz patrzyła na niego z podziwem, który zdradzał jej prawdziwe uczucia.

Choć Andras narzekał na wczesną pobudkę, w gruncie rzeczy cieszył się, że robi coś istotniejszego niż czytanie gazety i lamentowanie nad jej treścią. Gdy tak stał przed Pałacem Elizejskim, trzymając swój transparent, myślał o młodym Grynszpanie w więzieniu we Fresnes – o tym, co musi teraz czuć i czy wie, że

Francja właśnie wita ministra spraw zagranicznych Niemiec. W południe limuzyna von Ribbentropa zajechała pod bramę pałacu i została szybko wpuszczona do środka. Podczas gdy policja obserwowała uważnie barykady wokół pałacu, podpisano deklarację przyjaźni. Protestujący nie byli w stanie temu zapobiec, ale przynajmniej wyrazili swoje zdanie. Po odjeździe ministra członkowie ligi przemaszerowali nad rzekę, śpiewając i wznosząc okrzyki. Koło quai des Tuileries Andras i jego przyjaciele odłączyli się od pozostałych, by zakończyć popołudnie w Blue Dove, gdzie rozmowa zeszła z polityki na ich drugi ulubiony temat. Ben Yakov miał poważny problem: mimo wysiłków zdołał zebrać tylko dwie trzecie pieniędzy potrzebnych na przywiezienie florenckiej narzeczonej do Paryża – czyli na porwanie jej, jak nazywał to Rosen. Czas uciekał; nie mogli już dłużej czekać. W przyszłym miesiącu miała wyjść za mąż za starego capa, któremu przyobiecali ją jej rodzice.

– Do broni, panowie! – Rosen uderzył pięścią w stół. – Za wszelką cenę musimy ratować dziewczęta przed starymi capami.

– Tak, błagam – przytaknęła Shalhevet. – Ratujcie dziewczęta przed starymi capami.

– Ze wszystkiego robicie sobie żarty – poskarżył się Ben Yakov.

– Obawiam się, że to twoja metoda – powiedział Polaner.

– To najważniejszy moment w moim życiu – powiedział Ben Yakov. – Nie mogę utracić Ilany. Pracowałem jak wół przez cztery miesiące, żeby ją tu przywieźć. Dzień i noc, w szkole i w bibliotece, oszczędzając każdego centyma. Myślałem tylko o niej. Prawie codziennie do niej pisałem. Żyłem w celibacie jak mnich.

– Przepraszam bardzo – wtrącił Rosen. – A dansing w Carousel w zeszły weekend? Co tam robiłeś z Lucią, skoro żyłeś w celibacie jak mnich?

– Jedna skucha! – powiedział Ben Yakov, wznosząc ręce ku niebu.

– Pożegnanie ze stanem kawalerskim.

– Chyba zdajesz sobie sprawę, że będziesz strasznym mężem?

– Andras pokręcił głową. – Powinieneś poczekać kilka lat, aż twoja krew nieco ostygnie.

– Kocham Ilanę. – Ben Yakov zmarszczył brwi. – Nie możemy dłużej czekać. A mnie ciągle brakuje tysiąca franków. Mogę sam pojechać i wrócić, ale wciąż mnie nie stać na bilet dla niej.

– A co z twoim bratem? – zapytał Polaner, zwracając się do Andrasa. – Może mógłby pomóc?

Tibor przyjeżdżał z wizytą za trzy tygodnie; miał zamiar spędzić w Paryżu ferie zimowe. Obaj z Andrasem oszczędzali na to pieniądze od miesięcy. Nawet Klara dołożyła się do biletu Tibora; uparła się, że jako narzeczona Andrasa ma do tego prawo.

– Nie pozwolę, by zrezygnował z biletu – powiedział Andras. – Nawet na rzecz narzeczonej Bena Yakova.

– Wcale nie musi rezygnować – powiedział Rosen. – Ben Yakov ma dość pieniędzy na bilet dla niej, jeśli sam nie musiałby jechać. A Tibor mógłby jej towarzyszyć. Musiałby tylko pojechać po nią do Florencji, to wszystko.

Ben Yakov wstał z krzesła i złapał się za głowę.

– Ależ to genialne! – wykrzyknął. – Mój Boże. Moglibyśmy tak zrobić. Bilet z Modeny do Florencji na pewno nie jest drogi.

– Chwileczkę – wtrącił Andras. – Tibor się jeszcze nie zgodził. Ani ja. Jak by to miało być? On miałby pojechać do Florencji i porwać ją w twoim imieniu?

– Spotkają się na stacji kolejowej i odbędą razem podróż, prawda? – zwrócił się Rosen do Bena Yakova. – Musiałby się tylko pojawić we Florencji.

– A co zrobimy, gdy ona już tu przyjedzie? – zapytał Andras, – Nie może przecież wysiąść z pociągu i natychmiast wyjść za ciebie. Gdzie będzie mieszkać przed ślubem?

– Jak to, w moim mieszkaniu, oczywiście – zdziwił się Ben Yakov.

– Pamiętaj, że pochodzi z ortodoksyjnej rodziny.

– Oddam jej swój pokój i przeprowadzę się do któregoś z was.

– Nie do mnie – powiedział Rosen, spoglądając na Shalhevet.

– Skoro Shalhevet mieszka u ciebie – zaproponował Ben Yakov -niech Ilana zatrzyma się u niej.

– Nie można jej zostawić samej w internacie – zaoponowała Shalhevet. – Będzie jej tam smutno.

– No to co ja mam zrobić? – zapytał Ben Yakov.

– No a Klara? – rzucił Polaner. – Może Ilana mogłaby się zatrzymać u niej?

– Nie wiem. – Andras podparł brodę ręką. – Przygotowuje teraz uczennice do zimowego występu. Dla niej to najcięższy okres w całym roku.

I choć nie powiedział tego głośno, wiedział, że Klarze nie spodobają się pewne aspekty tej sprawy. Dlaczego niby sprowadzają narzeczoną dla Bena Yakova, słynącego z łajdaczenia się? Dziewczyna ucieka z domu, by przyjechać do Paryża; dorastała w hermetycznym sefardyjskim środowisku we Florencji i ma dopiero dziewiętnaście lat. Czym innym było poprosić Tibora o pomoc, a czym innym angażować w to wszystko Klarę.

– Co się dzieje? – Polaner przyglądał się Andrasowi z uwagą.

– Nie wiem. Nagle mam wątpliwości.

– Proszę. – Ben Yakov położył Andrasowi rękę na ramieniu. -Błagam cię. Ty powinieneś najlepiej ze wszystkich zrozumieć moją sytuację. Borykałeś się cały zeszły rok, a teraz jesteś szczęśliwy. Nie pomożesz mi? Zgoda, że nie zawsze zachowuję się jak dżentelmen, ale wiesz, jak ciężko pracuję od powrotu z Florencji. Zrobiłem wszystko co w mojej mocy, by sprowadzić tę dziewczynę. Jestem w tarapatach.

Andras westchnął i położył rękę na jego dłoni.

– Dobrze – zgodził się. – Napiszę do Tibora i porozmawiam z Klarą.

Modena, Włochy

12 grudnia

Andráska,

uważam za zaszczyt odwiezienie do Paryża przyszłej madame Ben Yakov. Cieszę się, że mogę pomóc jednemu z Twoich przyjaciół. Współczuję jednak jej rodzicom! Co sobie pomyślą, gdy dowiedzą się, że uciekła? Mam nadzieję, że Ben Yakov pogodzi się z nimi najszybciej, jak to możliwe. Ma chyba dość uroku osobistego, by mu się to udało. Poproś go, by przysłał mi telegram z informacją o pociągu, którym ma podróżować signorina di Sabato, bym spotkał się z nią na stacji we Florencji.

Co do mnie, jestem bardziej niż gotów na kilka leniwych tygodni z Tobą w Twoim zakochanym w sobie mieście. Jestem wykończony. Nikt nie ostrzega studentów medycyny, że sam program studiów może doprowadzić u nich do rozwoju różnych groźnych chorób opisanych w podręcznikach. Mam nadzieję, że wykuruję się dzięki dużej dawce snu, wina i Twojego towarzystwa. Podręcznik anatomii od madame Morgenstern nadal mi świetnie służy. Zawsze będę jej

dłużnikiem. Ale proszę Cię, powiedz jej, żeby nie robiła mi już takich prezentów w przyszłości. Gdy moi przyjaciele widzą, że mam tak wspaniałą księgę, przeceniają moje możliwości finansowe i oczekują, że będę im fundował kolacje. Jak tak dalej pójdzie, wkrótce mnie zrujnują. Tymczasem pozostaję...

Andras przyniósł ten list do Klary i poprosił ją o pomoc. Razem z nim przyszedł François Ben Yakov; było to jego pierwsze spotkanie z Klarą. Ubrał się na tę okazję w marynarkę z delikatnej czarnej wełny i założył czerwony krawat ozdobiony lilijkami wielkości ziarna owsa. Gdy Ben Yakov trzymał dłoń Klary w swoich rękach i błagał ją o wyrozumiałość, patrząc jej w oczy swoimi ciemnymi źrenicami gwiazdora filmowego, Andras zastanawiał się, czy Klara też może znaleźć się pod urokiem, który zdawał się rzucać na każdą napotkaną kobietę. Była w każdym razie wystarczająco zauroczona, by zgodzić się mu pomóc; pozwoliła też pocałować się w rękę i nazwać aniołem. Gdy Ben Yakov wyszedł, zostawiając Andrasa i Klarę samych, roześmiała się i powiedziała, że rozumie już, dlaczego on ściąga tyle kłopotów na znajome młode damy.

– Mam nadzieję, że nie uciekniesz z nim, zanim przyjedzie jego narzeczona – powiedział Andras.

Przysunął dla niej fotel do kominka i usiedli, przyglądając się rozżarzonym węglom.

– Nie ma mowy – powiedziała Klara i uśmiechnęła się. Ale po chwili spoważniała i skrzyżowała ręce na piersiach. – Podzielam jednak wątpliwości twojego brata. Wolałabym, żeby ta dziewczyna nie musiała uciekać. Czy Ben Yakov naprawdę nie może zwrócić się do jej ojca?

– Czy pozwoliłabyś swojej córce wyjść za François Bena Yakova? Zwłaszcza jeśli wychowałaś ją jako religijną Żydówkę? Obawiam się, że Ben Yakov miał rację, gdy doszedł do wniosku, że muszą zrobić to w tajemnicy.

– A co pomyśli moja własna córka? – westchnęła Klara.

– Pomyśli, że ma współczującą i rozumiejącą matkę.

– Rozumiem to aż nazbyt dobrze – powiedziała Klara. – I Elisabet też na pewno zrozumie. Ta dziewczyna z Florencji jest prawdopodobnie niecierpliwa. Chce się wyrwać z sytuacji, którą wybrali dla niej rodzice. Wydaje jej się więc, że jest zakochana w twoim przyjacielu. Musi mieć silny charakter, skoro decyduje się dla niego na opuszczenie rodziny.

– Silny, w rzeczy samej – odparł Andras. – I jest zakochana. Z tego, co on mówi, ona chce tu przyjechać ponad wszystko. I on również tego chce.

– Myślisz, że ją uszczęśliwi?

Andras zapatrzył się w ogień, w żar wędrujący po węglach.

– Zrobi, co w jego mocy. To dobry chłopak.

– Mam nadzieję.

W dniu przyjazdu Tibora i Ilany wszyscy wyszli po nich na stację. Stali w grupie na peronie, Andras z Klarą, Polaner, Rosen z Shalhevet, a Ben Yakov chodził w tę i z powrotem kawałek dalej; w ręku trzymał bukiecik bratków dla signoriny di Sabato. Bratki były w zimie szaloną ekstrawagancją, ale się uparł. Właśnie bratki jej dał po raz pierwszy, gdy się poznali.

Shalhevet pierwsza zauważyła pociąg, kropkę światła daleko na torach. Usłyszeli głęboki alt gwizdka parowego. Ich gromadka przysunęła się bliżej toru wraz z innymi paryżanami, którzy przyszli powitać swoich gości. Pociąg zatrzymał się, wypuścił kłąb pary, a oczekujący przysunęli się jeszcze bliżej. Po irytująco długim czasie z metalicznym szczękiem otworzyły się drzwi i konduktorzy ze złotymi epoletami wyskoczyli na peron. Wszyscy odsunęli się o pół kroku i czekali w napięciu.

Tibor pojawił się jako jeden z pierwszych. Andras dostrzegł go przy drzwiach jednego z wagonów trzeciej klasy. Wyglądał na zdenerwowanego i wyczerpanego; trzymał jasnozielone pudło na kapelusze i frymuśną damską parasolkę. Odsunął się na bok, by przepuścić młodą dziewczynę z długim ciemnym warkoczem, która zatrzymała się na schodku wagonu, by rozejrzeć się po tłumie ludzi na peronie.

– To ona – krzyknął Ben Yakov przez ramię. – To Ilana!

Wołał ją po imieniu i machał bratkami. Dziewczyna uśmiechnęła się nieśmiało i tak uroczo, że Andras o mało się w niej nie zakochał. Zeszła ze schodków i ruszyła prawie biegiem w objęcia Bena Yakova, by następnie zalać go potokiem szybkiej włoskiej mowy, której towarzyszyła żywa gestykulacja w stronę pociągu. Andras zastanawiał się, jak Ben Yakov może powstrzymać się od porwania jej w objęcia. Przez chwilę nawet martwił się tym, nim uświadomił sobie, że zabrania jej tego religia. Ben Yakov nie może jej dotknąć, nim nie nałoży jej na palec ślubnego pierścionka. Ona jednak uniosła ku niemu oczy

wyrazie bardziej intymnym niż namiętne uściski, a on dał jej bratki, na co znów się pięknie uśmiechnęła.

Tibor szedł peronem za signoriną di Sabato; postawił u jej stóp pudło na kapelusze i oparł o niego parasolkę. Podziękowała mu pełnym wdzięczności tonem, a on odpowiedział cicho, nie patrząc jej w oczy. Następnie objął Andrasa, nachylił się do jego ucha i powiedział:

– Gratuluję, braciszku.

– Pogratuluj Benowi Yakovowi – odparł Andras. – To on jest panem młodym.

– Teraz tak – powiedział Tibor. – Ale potem kolej na ciebie. Gdzie jest twoja panna młoda?

Podszedł do Klary, pocałował ją w oba policzki i objął.

– Nigdy nie miałem siostry – rzekł. – Musisz mnie nauczyć, jak być dla ciebie dobrym bratem.

– Zrobiłeś dobry początek – odparła Klara. – Przyjechałeś aż z Modeny.

– Obawiam się, że nie będę dziś zbyt atrakcyjny towarzysko – powiedział Tibor, kładąc Andrasowi rękę na ramieniu. – Strasznie mnie boli głowa. Chyba nie nadaję się w tej chwili do świętowania.

Rzeczywiście wyglądał na wykończonego; zdjął okulary i potarł palcami oczy, a dopiero potem przywitał się z resztą. Podał rękę Benowi Yakovowi, klepnął przyjaźnie po plecach Polanera. Powiedział Rosenowi, że miło mu go widzieć w tak uroczym towarzystwie. A potem odciągnął Andrasa na bok.

– Muszę się położyć – poprosił. – Lecę z nóg. Wydaje mi się, że mogę być chory.

– Jasne – odparł Andras. – Bierzemy twoje walizki i jedziemy do domu.

Planował wprawdzie pojechać z signoriną di Sabato do Klary, by pomóc im z bagażami, ale Klara powtarzała, że da sobie radę sama. Rzeczy było niewiele: oprócz pudła na kapelusze signorina di Sabato miała tylko mały kuferek i drewnianą skrzynkę; te bagaże wraz z frymuśną parasolką stanowiły cały jej dobytek. Przenieśli wszystko na ulicę i Ben Yakov zawołał taksówkę. Przytrzymał signorinie di Sabato drzwi i pomógł jej wsiąść; z uwagi na jej skromność pozwolił następnie wejść Klarze. W końcu zasalutował wszystkim i sam wsiadł do taksówki, zamykając za sobą drzwi.

Rosen i Shalhevet zostali na ulicy z Andrasem i jego bratem.

– Może pójdziemy gdzieś na drinka? – zaproponował Rosen.

Tibor wymówił się swoją pewną, choć podstawową francuszczyzną. Shalhevet z Rosenem zapewnili go, że rozumieją. Andras zatrzymał następną taksówkę. Myślał, że mogliby pójść do domu na piechotę, ale Tibor wyglądał tak, jakby miał się za chwilę przewrócić. W drodze na rue des Écoles był milczący; powiedział jedynie, że podróż była długa i że to szczęście, że już się skończyła.

Wysiedli z taksówki i wnieśli do środka rzeczy Tibora. Gdy dotarli na ostatnie piętro, oddychał płytko i gwałtownie i opierał się o ścianę. Andras szybko otworzył drzwi. Tibor wszedł do środka i padł na łóżko, nie zdejmując nawet butów ani płaszcza, i zasłonił ramieniem oczy.

– Tibi – zapytał Andras. – Jak mogę ci pomóc? Mam iść do apteki? Chcesz się czegoś napić?

Tibor wyzwolił się z butów, które spadły na podłogę. Przetoczył się na bok i podciągnął nogi do klatki piersiowej. Andras podszedł do łóżka i nachylił się nad nim. Dotknął jego czoła: gorące i suche. Tibor okrył się i zadygotał.

– Jesteś chory – powiedział Andras, trzymając rękę na ramieniu brata.

– To tylko zwykły wirus. Od tygodnia czułem, że mnie rozkłada. Muszę się po prostu wyspać.

Po chwili Tibor już spał. Spał, gdy Andras zdejmował mu płaszcz, rozbierał go i kładł mu wilgotną chusteczkę na czole. Około północy gorączka wzrosła i Tibor odrzucił kołdrę; wkrótce jednak znów zaczął dygotać. Obudził się i poprosił Andrasa, by wyjął z jego walizki aspirynę. Andras podał mu ją i przykrył Tibora wszystkimi kocami i płaszczami, jakie miał. W końcu Tibor przewrócił się na drugi bok i zasnął. Andras rozwinął materac, który pożyczył od konsjerżki, i położył go obok kominka; nie mógł jednak zasnąć. Chodził po pokoju, sprawdzając gorączkę Tibora co pół godziny, aż jego czoło stało się chłodniejsze, a oddech się wyrównał. Andras położył się w ubraniu na pożyczonym materacu; nie chciał zdejmować okrycia z brata.

Rano Tibor obudził się pierwszy. Zanim Andras otworzył oczy, jego brat zrobił herbatę i upiekł parę kromek chleba. W nocy przykrył Andrasa kocem. Teraz siedział w pomarańczowym pluszowym fotelu, czysty i ogolony, w szlafroku Andrasa, jedząc tosta z dżemem. Od czasu do czasu głośno wydmuchiwał nos w chusteczkę.

– No – mruknął Andras ze swojego materaca – widzę, że żyjesz.

– Lepiej się do mnie nie zbliżaj. Jeszcze mam gorączkę.

– Za późno. Całą noc się tobą opiekowałem. Usiadł i przeczesał palcami włosy, stawiając je dęba.

– Do twarzy ci, bracie, w tej fryzurze – rzekł Tibor z uśmiechem.

– Dzięki, bracie. A ty jak się dziś czujesz? Trochę lepiej?

– Lepiej, niż czułem się w pociągu. – Zajrzał do swojej filiżanki. – Jestem pewien, że signorina di Sabato ma mnie za świetnego kompana.

– Nie wyglądała na niezadowoloną.

– Kiedy wyjechaliśmy z Florencji, miała kilka trudnych chwil, ale generalnie była bardzo dzielna.

– Dzielna miłością – skwitował Andras.

Tibor kiwnął głową i obrócił filiżankę na spodku.

– Powiedz mi, co to za człowiek ten Ben Yakov?

– Poznałeś go. – Andras wzruszył ramionami. – Dość porządny gość.

– Nic lepszego o nim nie powiesz?

Mógł powiedzieć więcej. Przypomniał sobie rozmowę, którą odbyli przy łóżku Polanera, po pobiciu. To Ben Yakov zawstydził ich obu, uprzytomniając im, jak niewiele wiedzieli o swoim przyjacielu i jak mało prawdopodobne było, że ten zdecydowałby się zwierzyć któremuś z nich.

– Jest dobrym przyjacielem – powiedział Andras. – Dobrym studentem. Kobiety go lubią. Nie zawsze postępuje z nimi uczciwie, lecz z Ilaną jest czysty jak łza.

– Opowiedziała mi, jak się poznali – rzekł Tibor. – Na targu. Była tam z przyjaciółką. Właśnie kupiła dwie żywe kury, które zdołały uciec jej z klatki. Pobiegły uliczką i schroniły się na czyimś podwórku. Ben Yakov je złapał, wsadził do klatki i zabezpieczył ją drutem. Potem nalegał, by pozwoliła mu odprowadzić się do domu.

– Uciekające kury – mruknął Andras. – Jaki romantyczny początek.

– A potem zaczął ją w tajemnicy odwiedzać – ciągnął Tibor.

– Oczywiście. Zawsze miał słabość do dramatycznych okoliczności.

– Okazało się, że jej rodzina ma w stosunku do niej pewne plany. Ale wszystko to razem nie wydaje się bardzo honorowe, prawda? Powinien był porozmawiać z ojcem i przekonać go do siebie.

– Dokładnie to samo powiedziała Klara, prawie co do słowa – zaśmiał się Andras.

Tibor zmarszczył brwi i postawił filiżankę na stole. Zapłótł dłonie na piersi i zapatrzył się na szare niebo i pierzaste dymy z kominów rozpuszczające się w chmurach.

– Dziewczyna ma dziewiętnaście lat – powiedział. – Widziałem jej paszport. W zeszłym tygodniu miała urodziny. I wiesz co jeszcze? Ma na szyi znamię w kształcie lecącego ptaka.

– Jakiego ptaka? – zapytał Andras. – Kury?

Tibor roześmiał się głośno i bezradnie, co przyprawiło go o atak kaszlu. Pochylił się do przodu w fotelu, zakrywając usta chusteczką. Gdy znowu się oparł, musiał wytrzeć oczy rękawem i dopić resztę herbaty, żeby odzyskać mowę.

– Nie powinienem z tobą rozmawiać – stwierdził.

– Ale przyzwyczaiłeś się dawno temu i trudno ci teraz przestać.

– No tak, ale mamy ważniejsze sprawy do omówienia. Choćby twoje zaręczyny z madame Morgenstern.

– No właśnie. Niewytłumaczalnym zrządzeniem losu Klara Morgenstern zgodziła się zostać moją żoną.

– Będziesz pierwszym z nas trzech, który się ożeni.

– No chyba że przed latem przyszłego roku nastąpi koniec świata.

– Co nie jest wykluczone, sądząc po tym, co się dzieje – powiedział Tibor.

– Ale jeśli nie, Klara zostanie madame Lévi.

– A co z tą jej tajemniczą historią?

Andras nie chciał o tym pisać; obiecał Tiborowi, że porozmawiają, gdy przyjedzie z wizytą; pamiętał ostrożność starszej pani Hász i zdecydował, że wysyłanie pocztą tych informacji może być ryzykowne. Usiadł teraz z Tiborem przy stoliczku i opowiedział mu historię Klary od początku do końca, zgodnie z upoważnieniem, jakie od niej otrzymał. Gdy skończył, zszokowany Tibor przyglądał mu się w milczeniu przez dłuższy czas.

– Co za horror – powiedział w końcu. – Cała ta historia. A teraz jest na wygnaniu.

– To właśnie nasz problem – powiedział Andras. – Zdaje się, że nie ma dobrego wyjścia.

– Nie pisałeś o tym do anyi i apy, prawda? Nie mówiłeś im o zaręczynach i tak dalej?

– Nie miałem serca. Chyba mam nadzieję, że sytuacja Klary się odmieni.

– Ale jak? Skoro nie ma przedawnienia?

– Nie mam pojęcia jak, szczerze mówiąc. Dopóki tak się nie stanie, będę na wygnaniu razem z nią.

– Ach, Andráska – westchnął Tibor. – Braciszku.

– Ostrzegałeś mnie – przyznał Andras.

– A ty mnie oczywiście zignorowałeś. – Tibor nachylił się i zakaszlał, zakrywając usta pięścią. – Nie powinienem tak siedzieć. Muszę się położyć. I nie powinienem nikomu udzielać rad, a już na pewno nie w sprawie miłości. Oto co wiem na temat serca: to organ złożony z czterech komór, którego zadaniem jest pompować krew. Lewa komora, prawa komora, lewy przedsionek, prawy przedsionek, wszystkie zastawki, trójdzielna, dwudzielna, płucna, aortalna. – Znów zakaszlał. – Każ mi się położyć i spać. I nie przynoś mi kolejnych złych wiadomości, gdy się obudzę.

Następnego dnia Tibor poczuł się na tyle dobrze, by wyjść, więc zaproponował odwiedzić signorinę di Sabato – by przekonać się, czy wszystko u niej w porządku, i oddać jej książkę, którą pożyczył w pociągu: piękne stare wydanie *Boskiej komedii* oprawione w tłoczoną skórę. Gdy Andras zdziwił się, że signorina di Sabato czyta Dantego, Tibor odparł, że jest bardziej oczytana niż którakolwiek ze znanych mu dziewcząt. Od dwunastego roku życia pożyczała w tajemnicy książki z biblioteki obok domu w dzielnicy żydowskiej. *Divina Comedia* należała do tej właśnie biblioteki; Tibor pokazał Andrasowi stempelek na grzbiecie książki. Nie miała zamiaru jej kraść, ale gdy pakowała swoje rzeczy, uprzytomniła sobie, że jeśli zostawi książkę, jej rodzice dowiedzą się, że potajemnie korzystała z biblioteki. Powiedziała o tym Tiborowi w pociągu, śmiejąc się ponuro z samej siebie: oto ucieka z domu do Paryża, by wyjść za mąż, i martwi się, że rodzice mogą dowiedzieć się o potajemnym wypożyczaniu książek ze świeckiej biblioteki.

U Klary zastali signorinę di Sabato przy szyciu jedwabnej sukienki w kolorze kości słoniowej, która miała być jej ślubną kreacją. Klara siedziała obok na kanapie, przyszywając do skraju welonu delikatną muszelkową koronkę. Elisabet, choć z reguły nie interesowała się tym, co robią inni, przeglądała książkę z przepisami na wykwintne torty; popatrzyła na Tibora z ciekawością i pomachała do niego ręką ze swojego fotela. Ilana di Sabato poderwała się, jak tylko go zobaczyła, a jedwabna sukienka zsunęła się jej z kolan na podłogę.

– Ach, Tibor! – krzyknęła i zaczęła szybko mówić po włosku.

Wskazała na książkę z biblioteki i uśmiechnęła się z wdzięcznością.

– Przyniosłeś książkę – stwierdziła Klara. – Mówiła mi, że ją pożyczyłeś. Tyle udało mi się zrozumieć. Jakoś sobie radzimy, mimo że ja znam tylko kilka słów po włosku, a ona niewiele więcej po francusku.

– A jak się signorinie di Sabato podoba Paryż? – zapytał Andras.

– Bardzo jej się podoba – odparła Klara. – Dziś rano byłyśmy na spacerze w ogrodach Tuileries.

– Jestem pewna, że jej się wcale nie podoba – stwierdziła Elisabet, nie podnosząc oczu znad książki z tortami. – Tak zimno i ohydnie. Na pewno chce wracać do Florencji.

Signorina di Sabato spojrzała na nią pytająco. Tibor przetłumaczył, a signorina di Sabato pokręciła przecząco głową i gwałtownie odpowiedziała.

– Wcale nie uważa, że jest ohydnie – powiedział Tibor.

– Wkrótce będzie tak uważać – zawyrokowała Elisabet. – W grudniu jest depresyjnie.

Klara odłożyła welon i oświadczyła, że ma ochotę na herbatę.

– Pomógłbyś mi z tacą? – zapytała Andrasa.

Poszedł za nią do kuchni, gdzie na stole leżały pootwierane książki kucharskie.

Dotknął strony, na której widniała cała ryba obłożona cienkimi krążkami cytryny.

– A kiedy będzie ślub? – zapytał.

– W przyszłą niedzielę – odparła Klara. – Ben Yakov załatwił wszystko z rabinem. Jego rodzice przyjeżdżają pociągiem z Rouen. Potem zjemy tutaj obiad.

– Klárika – powiedział Andras, obejmując ją w talii i odwracając ku sobie. – Nikt nie spodziewał się, że wydasz obiad weselny.

– Muszą mieć jakąś uroczystość. Objęła go za szyję.

– Ale to dla ciebie zbyt wiele. Masz przecież zimowy recital.

– Chcę tego – powiedziała. – Być może zbyt pochopnie oceniłam sytuację, gdy rozmawialiśmy o niej początkowo. Wygląda na to, że twój przyjaciel poważnie traktuje miłość. I chyba spodziewałam się, że signorina di Sabato jest zupełnie inną dziewczyną.

– W jakim sensie inną?

– Może mniej pewną siebie. Mniej dojrzałą. Nawet chyba mniej inteligentną, co daje ci wyobrażenie, jaka stałam się małoduszna. Uważam się za Żydówkę, praktykując tylko od czasu do czasu, ale jednocześnie sądzę, że naprawdę religijni Żydzi są staroświeccy i krótkowzroczni. To chyba dowód na moją ignorancję.

– A Ben Yakov? Był tutaj?

– Spędził z nami większość szabasu – odparła Klara. – Był bardzo miły i pełen szacunku. Może trochę zdenerwowany. Dziś rano przyprowadził rabina, by ją poznał, i zaplanowali ślub. A potem na osobności błagał mnie, żebym mu powiedziała, czy ona w ogóle wygląda na szczęśliwą.

– I co powiedziałaś?

Klara ułożyła filiżanki i spodeczki na niebieskiej tacy.

– Powiedziałam mu, że chyba tak, zważywszy na okoliczności. Wiem, że ona bardzo tęskni za rodzicami. Pokazała mi ich zdjęcie i się rozpłakała. Ale chyba nie żałuje tego, co zrobiła.

Wsypała herbatę do sitka i włożyła je do imbryka.

– Elisabet oczywiście dawała nam do wiwatu. Jest zazdrosna. Naprawdę boję się, że lada moment ucieknie i wyjdzie za swojego Amerykanina. Ale dziś rano obwieściła mi, że chcę zrobić tort, a to już coś. – Pokręciła głową i uśmiechnęła się do niego blado. – A jak się czuje twój brat? Już dobrze? Zmartwiłam się, gdy się wczoraj nie pojawiliście.

Andras milczał przez chwilę, przesuwając ręką po brzegu tacy, po czym odparł:

– Jest wyczerpany i przepracowany. Chory trochę, ale niezbyt ciężko. Prawie cały czas spał. Gdy nie śpi, w szybkim tempie zużywa wszystkie moje chusteczki do nosa. – Podniósł wzrok na Klarę. -Martwi się naszą sytuacją. Wszystko mu wczoraj opowiedziałem.

– Żałuje, że się ze mną zaręczyłeś? – Spuściła wzrok.

– Ależ nie. Przede wszystkim żal mu ciebie i współczuje ci, że nie możesz pojechać do domu i odwiedzić rodziny.

Dotknął uszka jednej z kruchych filiżanek i po raz pierwszy zauważył, że porcelana jest prawie identyczna z porcelaną jej matki.

– Martwi się też, jak nasi rodzice przyjmą tę wiadomość. Ale nie jest przeciwny naszym zaręczynom. Wie, co do ciebie czuję.

– Nie chciałam, żebyś miał przeze mnie tyle kłopotów.

Objęła go ramionami i westchnęła.

– Daj spokój – powiedział i pocałował jej powieki.

Gdy wrócili do salonu, Elisabet robiła spis potrzebnych do tortu produktów, siedząc przy biurku matki, a Tibor tkwił na kanapie obok signoriny di Sabato i mówił coś do niej z przejęciem po włosku. Nachylił się w jej stronę, nie spuszczając z niej oczu, a jego leżące na kolanach dłonie wyraźnie drżały. Signorina di Sabato pokręciła przecząco głową, następnie zrobiła to jeszcze raz gwałtowniej i pochyliła się nad szyciem. W końcu wbiła igłę w kremowy jedwab, podniosła głowę i popatrzyła na Tibora z wyrazem konsternacji.

– *Mi dispiace* – powiedziała. – *Mi displace molto.*

Tibor oparł się i obiema rękami potarł twarz. Spojrzał na tacę, na zegar kominkowy, a w końcu na brata.

– O której masz być w studiu? – zapytał.

Andras nie miał wyznaczonej pory i Tibor o tym wiedział. Była niedziela; chciał tam trochę popracować. Ale Tibor patrzył na niego tak wymownie, że Andras się zorientował, że musi się określić.

– Za pół godziny – odparł. – Polaner będzie na mnie czekał.

– Za pół godziny! – zdziwiła się Klara. – Trzeba było mi powiedzieć. Nie mamy czasu na herbatę.

– Rzeczywiście, musimy chyba już iść – powiedział Tibor.

Podziękował Klarze za uprzejmość i wyraził nadzieję, że wkrótce znowu się zobaczą. Gdy wkładali w holu płaszcze, Andras zastanawiał się, czy signorina di Sabato pozwoli im wyjść bez pożegnania. A jednak zanim ruszyli na dół, pojawiła się z ręką na piersi, jakby próbowała uciszyć bicie serca. Powiedziała do Tibora kilka słów po włosku tak ciepło i emocjonalnie, jakby za chwilę miała się rozpłakać. Tibor odpowiedział coś niezrozumiale i zeszli po schodach.

– O co chodziło? – zapytał Andras, gdy znaleźli się na ulicy. – Co ona mówiła?

– Podziękowała mi za książkę – odparł Tibor i nie odezwał się więcej słowem przez całą drogę do École Spéciale.

Ben Yakov poślubił swoją florencką narzeczoną w najzimniejszy dzień roku. Delikatna zmrożona mgła otaczała Synagogue de la Victoire. Signorina di Sabato w białej jedwabnej sukni i szronowym welonie wyglądała, jakby ubrała się w esencję zimowego powietrza. Lecz w synagodze było gorąco i ciasno i Andras czuł ciepło promieniujące z ciała panny młodej, gdy weszła pod ślubną chupę. Jej twarz kryły warstwy tiulu, ale widział, jak drżą jej ręce, gdy siedem razy okrążała Ben Yakova. Andras wymienił spojrzenia z Rosenem, który trzymał drugi drzewiec chupy, i z Polanerem, który trzymał trzeci róg; w czwartym stał sam Tibor. Ben Yakov wyglądał olśniewająco w ubraniu pana młodego; jego tałes i kitel były śnieżnobiałe, by przypominać o śmierci. W tę samą szatę miał być ubrany w dniu swojego pogrzebu. Gdy rabin udzielił błogosławieństwa nad winem, Ben Yakov włożył Ilanie na palec obrączkę i obwieścił, że została mu oddana według praw Mojżesza i Izraela. Zgodnie ze zwyczajem ona cały czas milczała pod osłoną welonu i dopiero po ceremonii dała obrączkę Benowi Yakovowi. Wujowie i dziadkowie Béna Yakova zostali wezwani, by odmówić siedem błogosławieństw. Andras czuł, jak rośnie napięcie w świątyni, podczas gdy oni mówili, czuł je jak wzrost ciśnienia atmosferycznego; pod powagą hebrajskich słów kryła się świadomość całej kongregacji, że dokonano porwania, że to akt rebelii ze strony panny młodej. I jeszcze jedno ciemniejsze przeczucie: oto stała przed nimi dziewica, która wkrótce dziewicą być przestanie.

Gdy wujowie i dziadkowie kolejno odmawiali błogosławieństwa, a wino ponownie zostało pobłogosławione, Ben Yakov zmiażdżył obcasem ślubne szkło, panna młoda uniosła nareszcie welon, jakby ten dźwięk ją przestraszył,

i niewielka grupa gości zaśpiewała *siman tov u'mazal tov*. A następnie wszyscy udali się na weselny obiad przy rue de Sévigné.

W jadalni czekały pieczony filet z łososia, weselna chałka, czerwone ziemniaki, złote kluseczki na słodko, kosztowne szparagi z Maroka, misa pomarańczy z Hiszpanii, a na osobnym stoliku stał wspaniały tort zrobiony przez Elisabet: imponująca, trzypiętrowa budowla udekorowana paciorkami i srebrnymi listkami z lukru. W sypialni za ścianą madame i monsieur Ben Yakov spędzali pół godziny swojego rytualnego odosobnienia. Skrzypek i klarnecista umilali czas gościom w salonie, stojącym z kieliszkami białego wina w rękach i podziwiającym obiadowe dania.

W kuchni Tibor opatrywał dziecko, które poślizgnęło się na lodzie przed domem. Andras pomagał mu zabandażować rozcięte kolano dziewczynki i oczyścić otarcia na dłoniach. Mała kuzynka Bena Yakova, o pełnych powagi ciemnych oczach, była ubrana w niebieską taftową suknię; najwyraźniej rozkoszowała się uwagą, jaką poświęcali jej dwaj eleganccy mężczyźni. Gdy skończyli bandażować skaleczenie, pouczyła ich, że mają z nią zostać, aż poczuje się lepiej. Zaczęła się bawić z Tiborem, wskazując różne przedmioty w kuchni i nazywając je po francusku, na co Tibor odpowiadał węgierskim słowem; każde wywoływało jej żywiołową wesołość. Andras był wdzięczny za ten przerywnik. Zaczął już podejrzewać, że w pociągu z Florencji pomiędzy Tiborem i signoriną di Sabato zaszło coś niestosownego, wręcz niewyobrażalnego. Andras i Tibor spędzili poprzedni tydzień na zajęciach, które powinny sprawiać im czystą przyjemność – byli w kinie, na koncercie jazzowym na Montmartre, spędzili zakrapiany wieczór z Rosenem, Polanerem i Benem Yakovem, by uczcić koniec jego stanu kawalerskiego, towarzyszyli Benowi Yakovowi u krawca, gdy odbierał ślubny strój, pomagali dostarczyć niezbędne rzeczy do mieszkania pary młodej – ale Tibor był cały czas wycofany i rozkojarzony, często popadał w głębokie milczenie, gdy w rozmowie padło imię Ilany. Wcześniej tego dnia był w ponurym nastroju, przeklinał sznurówkę, gdy mu się urwała, narzekał na zimną wodę misce, prawie nakrzyczał na Andrasa, gdy ten popędzał go na obiad po ceremonii ślubnej. Opieka nad dziewczynką najwyraźniej go uspokoiła; był teraz bardziej sobą, bawiąc się z nią w grę, którą wymyśliła.

– *Passoire* – powiedziała dziewczynka, wskazując palcem na durszlak.

– *Szűrő edény* – powiedział Tibor po węgiersku.

– Cha, cha! A *spatule?*

– *Spachtli.*

– *Spachtli*! A jak jest *couteau?*

Dziewczynka chwyciła ze stołu groźnie wyglądający nóż do mięsa i wyciągnęła go w stronę Tibora, żeby mógł wypełnić swoje zadanie.

– *Kés* – powiedział. – Ale lepiej mi go daj.

Wziął od niej nóż i odwrócił się, by go odłożyć, i w tym momencie w drzwiach pojawiła się madame Ben Yakov z zaróżowioną twarzą i chmurą czarnych loków, które uciekły z ułożonej przedtem fryzury. Nóż znalazł się kilka centymetrów od guzików jej sukni w kolorze kości słoniowej. Gdyby weszła do kuchni szybkim krokiem, Tibor wbiłby jej ostrze w pierś.

– Ach! – krzyknęła i cofnęła się o krok.

Ich oczy się spotkały i oboje parsknęli śmiechem.

– Nie zabijaj panny młodej, bracie – powiedział Andras.

Tibor odłożył nóż na blat, bardzo powoli, jakby narzędziu nie można było ufać.

Dziewczynka, czując niezwykłość tej chwili, przyglądała się im wszystkim z nieukrywaną ciekawością. Gdy nikt się nie odzywał, postanowiła sama podtrzymać rozmowę.

– Skaleczyłam się w kolano – wyjaśniła pannie młodej, pokazując bandaż. – Ten pan je opatrzył.

Madame Ben Yakov skinęła ze zrozumieniem głową i nachyliła się, by obejrzeć opatrunek. Dziewczynka wykręcała kolano na wszystkie strony. Gdy lustracja została zakończona, wstała z krzesła i poprawiła aksamitną sukienkę. Wyszła z kuchni, utykając teatralnie.

Madame Ben Yakov uśmiechnęła się przelotnie do Tibora.

– *Ché buon medico siete* – powiedziała.

Wyminęła go i odkręciła kran nad porcelanowym zlewem, a następnie dokonała rytualnego mycia rąk. Tibor przyglądał się każdemu jej gestowi: napełnieniu filiżanki, zdjęciu ślubnej obrączki, trzykrotnemu opłukaniu prawej dłoni, a następnie lewej.

Po obiedzie były tańce w studiu na parterze. Zgodnie z ortodoksyjną tradycją mężczyźni tańczyli po jednej stronie sali, a kobiety po drugiej, oddzieleni od siebie parawanem. Od czasu do czasu mężczyźni widzieli rąbek wirującej

spódnicy lub wstążkę do włosów; od czasu do czasu satynowy damski pantofel pojawiał się między parawanem i ścianą; męska wyobraźnia mogła snuć domysły o kształcie bosej stopy. Kobiety śmiały się za parawanem, ich nogi wystukiwały szybkie, rytmiczne kuplety na parkiecie. Mężczyźni czuli się skrępowani po drugiej stronie przegrody. Nikt nie miał ochoty tańczyć. Dopiero gdy Rosen wyjął z kieszeni piersiówkę whisky i puścił ją dwa razy w koło, żeby każdy łyknął ognistego trunku, zaczęli szurać nogami do rytmu. Ben Yakov i Rosen wzięli się za ramiona i popychali siebie nawzajem to w jedną, to w drugą stronę. Wzięli się za ręce i zaczęli się kręcić coraz szybciej, aż w końcu się potknęli. Rosen złapał Andrasa za ramię, Andras Polanera, Polaner Béna Yakova, a Ben Yakov swego ojca i wkrótce wszyscy mężczyźni kręcili się niezdarnie w koło. Ben Yakov z ojcem odłączyli się i znaleźli na środku, chwyciwszy się za ramiona; machali piętami ku górze, aż koszule powychodziły im ze spodni, a wypomadowane włosy uwolniły się i tańczyły wraz z nimi. Tylko Tibor stał oparty plecami o drążek do ćwiczeń i przyglądał się tej scenie.

W końcu przyszedł moment, gdy monsieur i madame Yakov mieli być uniesieni w górę na krzesłach i niesieni wokół pokoju. Kobiety wyłoniły się zza parawanu, by popatrzeć; widok Klary, której włosy wysmyknęły się z węzła, a sukienka była lekko wilgotna na piersi, zaparł Andrasowi dech w piersi. Przez moment wydawało mu się niesprawiedliwością, że to nie jest wesele ich dwojga. Ale zaraz spojrzała na niego i uśmiechnęła się, jakby znała jego myśli, a w jej oczach było tyle pewności i obietnicy, że nie miał już pretensji do Bena Yakova o jego szczęście.

Po weselu Tiborowi zostały już tylko trzy dni pobytu w Paryżu. Jego nastrój jakby nieco złagodniał; chodził z Andrasem do szkoły i do pracy i zaskarbiał sobie podziw wszystkich. Monsieur Forestier dał mu bilety na przedstawienia, do których wykonał scenografię, w tym na *Antygonę* z madame Gérard. Tibor wyszedł z przedstawienia zachwycony wszystkim oprócz gry aktorskiej tytułowej bohaterki. Georges Lemain z firmy architektonicznej był pod wrażeniem jego znajomości opery; Tibor potrafił rozpoznać każdą operę po kilku zanuconych przez kogoś taktach. Zaprosił ich na popołudniówkę *Traviaty* a potem poszli zwiedzić budowę *maison particulier* w siedemnastce, który Lemain zaprojektował dla laureata Nagrody Nobla w dziedzinie chemii i jego rodziny. Pokazał Tiborowi laboratorium z północną wystawą, bibliotekę z hebanowymi półkami na książki, wysokie sypialnie, które będą wychodziły na zadbany ogród. Tibor chwalił wszystko swoją pełną przejęcia francuszczyzną, a Lemain obiecał, że zaprojektuje dla niego podobny dom, gdy już będzie słynnym lekarzem. W ciągu

tych trzech dni, gdy bracia ciągle gdzieś wychodzili i z kimś się spotykali, Andras czekał na odpowiedni moment, by zapytać Tibora o signorinę di Sabato, ale taka chwila nie nadeszła. Wieczorem, gdy mogli jeszcze posiedzieć przy drinku, Tibor twierdził, że jest wykończony. Andras leżał na materacu na podłodze, nie śpiąc, zastanawiając się, jak pokonać tę cienką granicę oddzielającą go od brata; miał wrażenie, jakby Tibor chował się przed nim za półprzeźroczystą zasłoną w obawie, że będzie go widać zbyt ostro.

Pociąg Tibora odjechał w dniu występów uczennic Klary w ramach *Spectacle d'Hiver,* Andras miał odwieźć go na stację, a potem spotkać się z Klarą w Théâtre Deux Anges. Perspektywa rozstania sprawiła, że obaj milczeli w metrze. Gdy jechali pod miastem, Andras zaczął sporządzać w głowie listę rzeczy, o których nie udało im się porozmawiać w czasie ostatnich dni. Teraz znów mają się rozstać, nie wiedząc, kiedy znowu się zobaczą. Wynieśli bagaż Tibora z metra i skierowali się na dworzec. Nadali bagaż i usiedli na ławce z wysokim oparciem, by napić się razem kawy z termosu. Przy peronie stała lokomotywa, która miała pociągnąć wagon Tibora do Włoch: olbrzymi owad z błyszczącej czarnej stali; tłoki na kołach wyglądały jak nogi konika polnego.

– Posłuchaj, bracie – powiedział Tibor z ciemnymi oczami utkwionymi w pociągu. – Mam nadzieję, że mi wybaczysz moje zachowanie na ich ślubie. Było okropne. Postąpiłem niehonorowo.

A więc jednak, na pół godziny przed odjazdem pociągu.

– Co było okropne?

– Wiesz, co mam na myśli. Nie każ mi tego mówić.

– Nie widziałem, byś robił cokolwiek niehonorowego.

– Nie potrafiłem się cieszyć ich szczęściem – wyjaśnił. – Nie mogłem zjeść tego wspaniałego tortu. Nie byłem w stanie tańczyć. – Nabrał powietrza. – Zrobiłem straszną rzecz, Andras. Nie na ślubie, wcześniej.

– O czym ty mówisz ?

– W pociągu zrobiłem rzecz niewybaczalną. – Skrzyżował ramiona na piersi i spuścił oczy. – Wstydzę się o tym mówić. To nie było zachowanie dżentelmena. Gorzej. Tak zachowują się łajdacy.

I wtedy przyznał się, że zakochał się w Ilanie di Sabato od pierwszego wejrzenia. Pokochał ją w chwili, gdy ją zobaczył na peronie we Florencji z parasolką i jasnozielonym pudłem na kapelusze. Przyszedł z nią mały chłopiec,

jej brat, by pomóc z bagażem. Był bardzo przejęty wagą swojego zadania i wielką tajemnicą. Ale Tibor zauważył moment, gdy chłopiec zdał sobie sprawę, że jego siostra naprawdę wejdzie do pociągu do Paryża. Jego twarzyczka skrzywiła się w grymasie żalu, usiadł na walizce i zaczął płakać. Ilana di Sabato usiadła razem z nim i wytłumaczyła mu, że wszystko będzie dobrze, że później ją odwiedzi, że przyjedzie ze swoim nowym wspaniałym mężem do domu, by mógł poznać jego i resztę rodziny. Ale nie wolno mu nikomu o tym mówić, jeszcze nie teraz. Trzeba było widzieć, mówił Tibor, jak mu to wszystko tłumaczyła.

– Powtarzałem sobie, że to naturalne, że czuję do niej jakąś czułość – kontynuował. – Została powierzona mojej opiece, była całkowicie bezbronna, po raz pierwszy sama w świecie. Wszystko wydawało się jej nowe. Może nie całkowicie nowe, bo czytała o tym przedtem w książkach, ale dla niej to się po raz pierwszy spełniało. Na moich oczach. To do mnie się zwróciła, gdy minęliśmy granicę Włoch. Trochę przypominało to obserwowanie narodzin nowego człowieka. Łącznie z towarzyszącym temu bólem. Widziałem, jak dotarło do niej, że opuściła rodziców, rodzinę. Objąłem ją, gdy zaczęła płakać po przekroczeniu granicy. Zrobiłem to właściwie odruchowo, bez zastanowienia.

Zamilkł i zdjął okulary, potarł oczy kciukiem i palcem wskazującym.

– Spojrzała na mnie, Andras, i wiesz już, co się stało. Pocałowałem ją. Mało niewinnie, obawiam się. Nie przelotnie. Widzisz więc, że zawiodłem twojego przyjaciela. Zawiodłem też Ilanę. I nie tylko wtedy. – Znowu przerwał. – Chcę ci to powiedzieć, bo mi to ciąży od pierwszej chwili. Powiedziałem jej coś na stacji, tuż przedtem, nim wysiedliśmy z pociągu.

– Co jej powiedziałeś?

– Przypomniałem jej, że wciąż ma wybór – odparł Tibor. – Że z wielką chęcią mogę ją zawieźć z powrotem do Włoch, jeśli zmieni zdanie.

Pokręcił głową i znów założył okulary.

– Ujawniłem swoje uczucia wobec niej, Andras. Później. Tego ranka, gdy byliśmy u Klary. Gdy poszliśmy oddać jej tę książkę z biblioteki.

Andras przypomniał sobie szeptaną rozmowę, drżące ręce Tibora, konsternację Ilany.

– Och, bracie – westchnął. – Więc to stało się, gdy wróciłem z kuchni.

– Właśnie – odparł Tibor. – Przez moment wydawało mi się, że się waha. Oszukiwałem się, że ona także coś do mnie czuje. – Pokręcił głową. – Gdybym poszedł ją jeszcze raz odwiedzić, mógłbym zrujnować szczęście twego przyjaciela.

– Ale nie zrujnowałeś – odparł Andras, – Wszystko przebiegło zgodnie z planem. Oboje wydawali się szczęśliwi na ślubie.

Wierzył we własne słowa, ale już po chwili zaczął się zastanawiać, czy rzeczywiście tak było. Czy Ilana nie wyglądała na rozdartą tego ranka? Czy między nią a Tiborem nie zaszła wtedy w kuchni jakaś dziwna wymiana energii? Może siedzi teraz w mieszkaniu Bena Yakova i myśli o Tiborze?

– Są mężem i żoną – stwierdził Tibor. – Już po wszystkim. To, co do niej czuję, będzie teraz dla mnie karą.

Andras rozumiał doskonale. Objął brata ramieniem i popatrzył na wielką owadopodobną lokomotywę.

– Jestem taki samotny w Modenie – ciągnął Tibor. – Ty pewnie przeżywałeś to samo, ale spotkałeś Klarę.

– Tak – powiedział Andras. – Ale to czasem też przynosiło mi cierpienie.

– Widzę teraz, jak jest między wami. Tyle razy w tym tygodniu byłem chory z zazdrości.

Tibor wcisnął dłonie pomiędzy kolana.

Przy oknie parowozu trwała kłótnia pomiędzy maszynistą i konduktorem wyglądającym na biurokratę – jakby próbowali ustalić, czy pociąg ma jednak jechać do Włoch.

– Nie wracaj – zaproponował Andras. – Zamieszkaj ze mną, jeśli chcesz.

– Muszę wracać na uczelnię. – Tibor pokręcił głową. – Chcę skończyć studia. A poza tym nie wiem, czy byłbym w stanie być blisko niej.

– Jest bardzo piękna. – Andras odwrócił się w stronę brata. – To prawda.

Wyraz twarzy Tibora zmienił się prawie niedostrzegalnie, jakby pojawiła się łagodność w kącikach ust.

– Jest – potwierdził. – Wciąż ją widzę w tej sukni i welonie. Boże, Andras, myślisz, że będzie szczęśliwa?

– Mam nadzieję.

Tibor czubkiem wyglansowanego buta kopał róg skórzanej torby.

– Powinieneś chyba napisać do anyi i apy – powiedział. – Zawiadomić ich o tym, co jest między tobą i Klarą. Poinformować ich na tyle, na ile możesz, o jej sytuacji. Ja też do nich napiszę. Napiszę, że ją poznałem i nie uważam, że ślub z nią to szaleństwo.

– Ale jestem szalony.

– Nie bardziej niż każdy inny zakochany mężczyzna – powiedział Tibor.

Konduktor zagwizdał, by pasażerowie wsiadali. Tibor wstał i przygarnął Andrasa na chwilę.

– Bądź dobrym człowiekiem, braciszku – powiedział.

– *Bon voyage* – powiedział Andras. – Pomyślnej wiosny. Ucz się pilnie. Wykuruj się.

Tibor wszedł do pociągu z torbą przewieszoną przez ramię. Chwilę potem pociąg wydał z siebie głośne metaliczne westchnienie i zaczął się toczyć po torach, postękując i skrzypiąc. Nogi konika polnego zginały się i prostowały. Andras miał nadzieję, że Tibor znalazł miejsce przy oknie, skąd mógłby obserwować, jak miasto gaśnie i przechodzi w ciemność zimowych pól. Miał nadzieję, że Tiborowi uda się zasnąć. I że dojedzie szybko na miejsce i zapomni tam o tym, że kiedykolwiek znał dziewczynę o imieniu Ilana di Sabato.

*

Tegoroczny *Spectacle d'Hiver* okazał się skromny i cichy. Mały i zaniedbany Théâtre Deux Anges był niedogrzany, miał spłowiałe, niegdyś granatowe, pluszowe fotele, a ciemna galeria zdawała się pełna duchów. Dziewczynki biegały po scenie w kostiumach z niebieskiej i białej satyny, a z burzowej chmury w sznurowni zaczął padać srebrny śnieg. Grupa dwunastolatek w lodoworóżowych tiulach przypomniała Andrasowi poranek w Nowy Rok. Pomyślał o Klarze w małym parku Square Barye: o jej zaróżowionym czole pod czerwonym wełnianym kapelusikiem, o szronie na jej rzęsach, o kłębach pary jej oddechu w zimnym powietrzu. Nie mógł uwierzyć, że po występach będzie na niego czekała za kulisami – ta sama kobieta, która go pocałowała w tym mroźnym parku prawie rok temu. Zakrawało na cud, że mężczyzna zakochany w kobiecie może być przez nią kochany z wzajemnością. Potarł zziębnięte ręce i czekał, by fioletowe światła przygasły.

Rozdział dwudziesty trzeci

Klub sportowy Saint-Germain

KAŻDEGO ROKU NA WIOSNĘ studenci École Spéciale rywalizowali o Prix du Amphitéâtre, którą był złoty medal wart sto franków, oznaczający podziw pozostałych studentów, prestiż dla zwycięzcy i atut w jego zawodowym życiorysie. Ubiegłoroczną nagrodę zgarnęła piękna Lucia za projekt żelbetowego apartamentowca. W tym roku temat konkursu obejmował miejski kompleks sportowy dyscyplin olimpijskich: pływania, skoków do wody, gimnastyki, podnoszenia ciężarów, biegów i szermierki. Andras uważał, że projektowanie ośrodka sportowego jest absurdalne, gdy Europa zmierza ku wojnie. Uchodźcy z poranionej Hiszpanii napływali do Francji szerokim strumieniem; Marais stało się mekką azylantów. Setki tysięcy zatrzymano na granicy i odesłano do obozów internowania u podnóża Pirenejów. Każdy dzień przynosił złe wieści, a najgorsze napływały z Czechosłowacji. Hitler poinformował ministra spraw zagranicznych Czechosłowacji, że jego kraj powinien wykazać się bardziej zdecydowaną postawą wobec problemu żydowskiego; tydzień później czeskie władze wyrzuciły Żydów i Żydówki z uczelni, administracji państwowej i służby zdrowia. Na Węgrzech Horthy poszedł w ich ślady i nawoływał do zmiany rządu i utworzenia nowego, sprzyjającego zadzierzgnięciu mocniejszych więzów z państwami osi. Wkrótce, spekulowali publicyści w komentarzach prasowych, również węgierski parlament przyjmie ustawy antysemickie.

Jak można projektować basen, szatnię i wybieg dla szermierzy, gdy słychać takie wiadomości? Pewnego wieczoru Andras siedział w studiu do późna, a przed nim na desce kreślarskiej leżał otwarty list, który przyszedł tego samego dnia od jego brata Mátyása:

12 lutego 1939 r.

Budapeszt

Andráska,

Anya i Apa właśnie mi przekazali Twoją wspaniałą nowinę. Mazel tov! Muszę jak najszybciej poznać przyszłą madame Lévi. Ponieważ wygląda na to, że w dającej się przewidzieć przyszłości pozostaniesz we Francji, będę musiał do Ciebie przyjechać. Już zacząłem odkładać pieniądze. Pewnie dotarła do Ciebie wiadomość od rodziców, że opuściłem szkołę. Mieszkam w Budapeszcie i pracuję jako dekorator witryn sklepowych. To niezły zawód. Zarabiam 20 pengő tygodniowo. Moim najlepszym klientem jest właściciel pasmanterii na Molnár utca. Dowiedziałem się od znajomego, że ich poprzedni dekorator odszedł, więc poszedłem tam następnego dnia i zaoferowałem swoje usługi. Kazali mi zrobić wystawę na próbę. Przygotowałem witrynę łowiecką: dwa stroje do polowania, peleryna, cztery krawaty, koc, kapelusz, róg. Skończyłem w ciągu godziny, a w ciągu następnej sprzedali wszystko, co było na wystawie. Nawet róg łowiecki. Budapeszt jest świetny. Mam tu wielu nowych przyjaciół i być może jedną przyjaciółkę. A także znakomitego nauczyciela tańca, Murzyna z Ameryki, który nazywa się Kid Sneeks. Miesiąc temu widziałem go w Gold Hat z zespołem stepujących tancerzy Five Hot Shots. Po występie zostałem, by poznać gwiazdę wieczoru. Z pomocą mojej dziewczyny, która trochę zna angielski, powiedziałem mu, że jestem tancerzem i chciałbym się u niego uczyć. Chciał zobaczyć, co potrafię. Pokazałem mu wszystko. Od razu nadał mi pseudonim Piorun i zgodził się mnie uczyć tak długo, jak długo będzie w Budapeszcie. Jego występy cieszą się taką popularnością, że przedłużono mu kontrakt o miesiąc.

Wiem, że mnie skarcisz za odejście z gimnazjum, ale uwierz mi, że jestem teraz szczęśliwszy. Nienawidziłem szkoły. Nauczyciele karali mnie za niewłaściwą postawę. Inni chłopcy byli idiotami. A Debreczyn! Cóż to jest za miejsce. Ani wieś, ani miasto, ani nowoczesne, ani stare, ani to mój dom, ani nawet miejsce, gdzie mógłbym w przyszłości dom założyć. W Budapeszcie mają lepsze gimnazjum żydowskie. Jak mi się uda, przeniosę papiery i ukończę szkołę tutaj. A potem przyjadę do Ciebie, do Paryża, i będę występował na scenie. Jeśli będziesz dla mnie dobry, Ciebie też nauczę stepowania. Nie martw się o mnie, bracie. U mnie wszystko w porządku. Cieszę się, że u Ciebie też. Nie żeń się przed moim przyjazdem. Chciałbym ucałować pannę młodą w dniu Twojego ślubu.

Twój,

Mátyás

Czytał list raz za razem. „Ukończę szkołę tutaj. Przyjadę do ciebie do Paryża. Będę występował na scenie”. Jak Mátyás sobie to wszystko wyobraża,

gdyby w Europie wybuchła wojna? Czy on w ogóle czyta gazety? Czy uważa, że światowe problemy można rozwiązać dzięki stepowaniu? Co mu odpisać?

Usłyszał kroki w holu; był środek nocy, z nikim się nie umawiał. Nie zastanawiając się, sięgnął po piórnik i wyjął z niego nóż do ostrzenia ołówków. Kroki przybrały znajomy rytm i w drzwiach pojawił się profesor Vago w stroju wieczorowym, wspierając się na klamce.

– Jest trzecia nad ranem – powiedział. – Jeśli chciałeś poczytać korespondencję, mogłeś to zrobić w domu.

– Tu jest cieplej. – Andras wzruszył ramionami i się uśmiechnął. Uniósł brwi, patrząc na strój Vago, i dodał: – Niezły smoking.

– To ostatnia rzecz, na której nie ma plam od tuszu i węgla.

Vago pogładził klapy marynarki.

– Więc przyszedł pan tu, żeby poplamić go tuszem?

– Coś w tym rodzaju.

– Gdzie pan był? W operze?

Wyjął różę z butonierki i powoli obracał ją w palcach.

– Tańczyłem z madame Vago, jeśli chcesz wiedzieć. Ona to lubi. Ale w połowie nocy jest już zmęczona, a ja, gdy potańczę, nie mogę spać. – Podszedł do deski kreślarskiej i nachylił się nad rysunkami Andrasa. – To na konkurs?

– Tak. Polaner zaczął, a ja mam skończyć.

– Podjęcie pracy z nim było mądrą decyzją, jest jednym, z najlepszych.

– Tyle że on nie był za mądry i wybrał mnie.

– Mogę? – zapytał Vago, przysuwając sobie notatnik Andrasa, żeby przejrzeć szkice. Zatrzymał się nad rysunkiem basenu z rozsuwanym dachem. Przewrócił stronę i zobaczył otwarty dach basenu, a potem znów wrócił do rysunku z zamkniętym dachem.

– To system hydrauliczny – powiedział Andras, wskazując maszynownię. – A panele są podwinięte i nachodzą na siebie w tym miejscu, żeby dach nie przeciekał.

Zamilkł i nadgryzł koniec ołówka, ciekaw opinii Vago. Projekt zainspirowały zarówno zmieniające się jak kameleon dekoracje Forestiera, jak i eleganckie budynki użyteczności publicznej Lemaina.

– Doskonała robota – pochwalił Vago. – Twoi mentorzy mogą być z ciebie dumni. Ale dlaczego tkwisz tu w środku nocy? Skoro już przyszedłeś do szkoły o trzeciej nad ranem, to przynajmniej powinieneś pracować.

– Nie mogę się skupić – wyznał Andras. – Wszystko się sypie. Niech pan spojrzy na to.

Wyjął gazetę z torby i rzucił ją na deskę w stronę Vago. Na pierwszej stronie było zdjęcie żydowskich studentów na uniwersytecie w Pradze, stłoczonych przy bramie; zostali skreśleni ze studiów i odmówiono im wstępu na uczelnię. Vago wziął gazetę, przyjrzał się zdjęciu, a następnie upuścił ją na stół.

– Ty przynajmniej jesteś jeszcze w szkole – powiedział. – Masz zamiar pracować?

– Chciałbym – odparł Andras.

– No to pracuj.

– Ale mam poczucie, że powinienem robić coś więcej niż tylko rysować budynki. Mam ochotę pojechać do Pragi i demonstrować na ulicach.

Vago przysunął sobie taboret i usiadł. Zdjął długi jedwabny szalik i złożył go na kolanach.

– Posłuchaj – powiedział. – Niech szlag trafi tych drani w Berlinie. Nie są w stanie wykopać nikogo ze szkoły tu, w Paryżu. Jesteś artystą i musisz ćwiczyć.

– Ale ośrodek sportowy? – powiedział Andras. – W dzisiejszych czasach?

– W dzisiejszych czasach wszystko staje się polityką – odparł Vago. – Nasi rodacy z Węgier nie pozwolili żydowskim sportowcom pływać w drużynie z 1936 roku, choć wyniki mieli lepsze niż medaliści. A oto ty, żydowski student architektury, projektujesz klub sportowy, który powstanie w kraju, gdzie Żydzi nadal mogą brać udział w olimpiadzie.

– Jeszcze mogą.

– Dlaczego „jeszcze”?

– Nie umknęło mojej uwagi, że Daladier sprowadził tu von Ribbentropa, by podpisać pakt o przyjaźni. Czy pan wie, że tylko tak zwani aryjscy członkowie

gabinetu zostali potem zaproszeni na bankiet Bonneta? Czy wie pan, kto nie został zaproszony? Jean Zay, Georges Mandel. Obaj są Żydami.

– Słyszałem o tym przyjęciu i o tym, kto tam był, a kogo nie było. To nie takie proste, jak to przedstawiasz. Wielu z tych, którzy zostali zaproszeni, odmówiło przyjścia, by zaprotestować.

– Ale Zay i Mandel nie zostali zaproszeni. O to mi chodzi. – Otworzył piórnik i wyjął ołówek i nóż do ostrzenia. – Z całym szacunkiem, łatwo panu mówić o tym w abstrakcyjnych kategoriach. Nie wiążą pana z tymi studentami przy bramie więzy krwi.

– Są ludźmi – odparł Vago. – To wystarczy. To plama na honorze ludzkości, ta nienawiść do Żydów przebrana za nacjonalizm. To choroba. Codziennie o tym myślę od czasu, gdy ci żałosni faszyści zaatakowali Polanera.

– I takie są pańskie konkluzje? – zapytał Andras. – Że powinniśmy pracować i się nie wychylać?

– Tak zrobił Polaner – odpowiedział Vago. – I ty też powinieneś.

18 marca 1939 r.

Konyár

Mój kochany Andrasu!

Możesz sobie wyobrazić, co sądzimy z matką o losie Czechosłowacji. Gwałt na Sudetach stanowił wystarczającą ranę. Ale Słowacja w rękach Hitlera, jego niczym niezakłócone wejście do Pragi! Te ulice, na których spędziłem czasy studenckie, teraz pełne nazistów! Może to była z mojej strony naiwność sądzić, że będzie inaczej. Gdy została zajęta Słowacja, przestał istnieć kraj, który Francja i Wielka Brytania zgodziły się chronić. Człowiekowi wydaje się, że musi przyjść kres tych skandalicznych wydarzeń. To się musi skończyć albo zostać zatrzymane.

U nas oczywiście prawica raduje się z powrotu Rutenii do Węgier. Co nam ukradziono, wróciło do nas, i tym podobne. Wiesz, że jestem weteranem Wielkiej Wojny i nie brak mi dumy narodowej. Ale doskonale wiemy, co się kryje pod hasłami usprawiedliwiającymi to wszystko, głoszonymi przez ludzi wymachujących narodowymi flagami. Mimo wszystkich tych złych nowin oboje z matką zgadzamy się z profesorem Vago. Nie możesz pozwolić, by bieżące wydarzenia oderwały Cię od studiów. Musisz pozostać w szkole. Jeśli chcesz się ożenić, musisz mieć jakiś zawód. Jak dotąd dobrze sobie radziłeś i będzie

z Ciebie świetny architekt. Być może Francja okaże się dla Ciebie bezpieczniejszym miejscem niż Węgry. W każdym razie bardzo bym się gniewał, gdybyś odrzucił to, co dostałeś od losu. Taka szansa zdarza się tylko raz. Jak to groźnie brzmi. Wiesz, że Cię kocham. Załączam list od matki.

Apa

Kochany Andrásko!

Słuchaj swojego apy. I ubieraj się ciepło. Zawsze w marcu zdarzały Ci się przeziębienia. Przyślij mi zdjęcie Twojej Klary. Obiecałeś, więc czekam.

Całuję, Anya

Każdy list pełen nowin i miłości, każdy jak memento, że rodzice nie są wieczni. To, że przetrwali bez chorób i wypadków kolejne dwie zimy w Konyárze, nie wystarczyło, by uspokoić Andrasa. Każda kolejna zima niesie jeszcze gorsze zagrożenia. Ciągle o nich myślał, gdy jak powódź przez całą wiosnę napływały złe wieści ze świata. Pod koniec marca skończył się krwawy horror hiszpańskiej wojny domowej; armia republikańska poddała się 29 marca, a oddziały Franco weszły do stolicy. Był to początek dyktatury zaplanowanej przez Hitlera i Mussoliniego – główny powód, dla którego tak hojnie dorzucali broń i ludzi do wojennego pieca. Andras zastanawiał się, czy to właśnie te dwa zwycięstwa – rozłupanie Czechosłowacji i triumf Franco w Hiszpanii – dały Hitlerowi odwagę, by w kwietniu przeciwstawić się amerykańskiemu prezydentowi. Wiadomość trafiła na czołówki wszystkich gazet: piętnastego Roosevelt wysłał Hitlerowi telegram, domagając się zapewnienia, że Niemcy nie zaatakują żadnego z trzydziestu jeden niepodległych państw przez co najmniej dziesięć lat – w tym Polski, przez której terytorium Hitler proponował poprowadzić autostradę i linię kolejową łączącą Niemcy z Prusami Wschodnimi. Po dwóch tygodniach zwłoki Hitler odpowiedział. W przemówieniu w Reichstagu wypowiedział morski układ z Anglią, podarł niemiecko-polski pakt o nieagresji i wyśmiał telegram Roosevelta w najdrobniejszych szczegółach. Zakończył przemówienie, oskarżając Roosevelta o mieszanie się do spraw międzynarodowych, podczas gdy on, Hitler, zajmuje się jedynie sprawami swego małego kraju, który udało mu się uratować od hańby i ruiny po 1919 roku.

W korytarzach École Spéciale trwały dyskusje. Nie tylko Rosen uważał, że Europa z pewnością pójdzie na wojnę. Ben Yakov nie był jedynym, który sądził, że wojny jeszcze można uniknąć. Każdy miał jakieś zdanie. Andras trzymał z Rosenem – nie widział innego wyjścia z tej matni, do której wpadła Europa. Gdy obaj z Polanerem nachylali się nad swoim projektem, myślał o opowieściach

ojca o Wielkiej Wojnie – o smrodzie i rozlewie krwi na polu bitwy, o koszmarze gradu pocisków i ognia spadających z samolotów na oddziały piechoty, o zamieszaniu, głodzie, brudzie okopów i zaskoczeniu, że człowiek jeszcze żyje. Jeśli wojna wybuchnie, będzie walczył. Nie za własny kraj; Węgry będą po stronie Niemiec, swojego sprzymierzeńca, który dał im nie tylko Rutenię, ale także Górną Prowincję, straconą na mocy traktatu w Trianon. Nie: jeśli będzie wojna, Andras przystąpi do Legii Cudzoziemskiej i będzie walczył za Francję. Wyobraził sobie, jak stoi przed Klarą w chwale galowego munduru, z szablą u boku i wypolerowanymi, oślepiająco lśniącymi guzikami. Ona by go błagała, by nie szedł na wojnę, a on mówiłby, że musi – musi chronić francuskie ideały, miasto Paryż i samą Klarę.

W maju jednak dwa wydarzenia pomogły mu zapomnieć o zbliżającym się konflikcie. Pierwsze było tragiczne: żona Bena Yakova straciła dziecko w piątym miesiącu ciąży. Klara chodziła opiekować się nią w mieszkaniu Bena Yakova; to ona wezwała lekarza, gdy znalazła Ilanę z gorączką i krwotokiem. W szpitalu, w długim wyłożonym linoleum korytarzu udekorowanym litografiami z podobiznami francuskich lekarzy, Klara i Andras dotrzymywali towarzystwa Benowi Yakovowi, gdy czekał na zakończenie zabiegu czyszczenia łona. Zszokowany Ben Yakov siedział w milczeniu, wciąż mając na sobie górę od piżamy. Andras wiedział, że wini za to siebie. Nie chciał tego dziecka. Przyznał to pewnego wieczoru w studiu tydzień wcześniej, gdy pracowali nad zadaniem ze statyki.

– Nie nadaję się do tego – rzekł, odkładając sześcioboczny ołówek do korytka u dołu deski kreślarskiej. – Nie mogę być ojcem. Nie jestem w stanie utrzymać dziecka. Nie mam pieniędzy. A świat rozpada się na kawałki. A co, jeśli będę musiał iść na wojnę?

Andras pomyślał wtedy o Klarze i jej łonie, tej świątyni wewnątrz jej ciała, którą starali się utrzymać pustą. Musiał się zmusić do empatii. Miał ochotę zapytać Bena Yakova, po co ożenił się z Ilaną di Sabato, skoro nie chce mieć dziecka. Teraz temat ten wisiał w powietrzu aseptycznego korytarza: Ben Yakov nie pragnął dziecka, więc już go nie ma.

Za oknami szpitala horyzont na wschodzie zaczął nabierać niebieskiego odcienia nadchodzącego poranka. Andras widział, że Klara jest wykończona: jej kręgosłup, zwykle prosty jak struna, zaczął się garbić ze zmęczenia. Powiedział jej, żeby poszła do domu, i obiecał, że wróci i opowie jej, co mówił lekarz. Nalegał: o dziewiątej miała przecież zajęcia z uczennicami. Oponowała, twierdząc, że zostanie tak długo, jak będzie trzeba, ale w końcu zgodziła się pójść do domu

i wyspać. Pożegnała się z Benem Yakovem, a on podziękował jej za pomoc. Obaj patrzyli, jak odchodzi korytarzem, a jej obcasy wystukiwały cichy rytm na linoleum.

– Wie – powiedział Ben Yakov, gdy Klara zniknęła za rogiem.

– Co wie?

– Wie o moim stosunku do dziecka.

– Dlaczego tak sądzisz?

– Prawie na mnie nie patrzy.

– Masz bujną wyobraźnię – odparł Andras. – Wiem, że ma o tobie dobre zdanie.

– Może nie powinna.

Ben Yakov ścisnął palcami skronie.

– To nie twoja wina – powiedział Andras. – Nikt *cię* nie obwinia.

– A jeśli ja myślę inaczej?

– To i tak nie twoja wina.

– A jeśli ona tak myśli? To znaczy Ilana?

– To niczego nie zmienia. Ale ona tak nie myśli.

Gdy lekarz skończył zabieg, dwaj sanitariusze wywieźli Ilanę na łóżku, przenieśli ją na oddział i przełożyli ją na łóżko szpitalne. Andras i Ben Yakov stali obok łóżka i patrzyli na jej śpiącą twarz. Jej cera była biała jak wosk od utraty krwi, czarne włosy odsunięte z czoła.

– Chyba zemdleję – powiedział Ben Yakov.

– Lepiej usiądź – poradził Andras. – Chcesz trochę wody?

– Nie chcę siadać. Siedzę od wielu godzin.

– Przejdź się kawałek. Wyjdź na powietrze.

– Jestem właściwie nieubrany.

– Idź, dobrze ci to zrobi.

– Dobrze. Zostaniesz z nią?

Andras obiecał, że nigdzie się nie ruszy.

– Za chwilę wracam – powiedział Ben Yakov, wsunął górę od piżamy w spodnie i poszedł wzdłuż długiego rzędu łóżek. Gdy tylko zniknął za drzwiami oddziału, Ilana wydała z siebie narastający jęk bólu i poruszyła biodrami pod prześcieradłem.

Andras rozejrzał się za pielęgniarką. Trzy łóżka dalej kobieta o siwych włosach, w czepku, pochylała się nad inną bladą dziewczyną.

– *S'il vous plaît* – zawołał Andras.

Siostra podeszła, by zbadać Ilanę. Zmierzyła jej tętno i zerknęła na kartę zawieszoną na łóżku.

– Chwileczkę – powiedziała i pobiegła w głąb oddziału; chwilę później wróciła ze strzykawką i ampułką. Ilana otworzyła oczy i rozejrzała się, półprzytomna z bólu. Wydawało się, że czegoś szuka. Gdy jej wzrok padł na Andrasa, spojrzenie stało się przytomniejsze, a czoło się wygładziło. Jej wargi nabrały odrobinę koloru.

– To ty – powiedziała po włosku. – Przyjechałeś aż z Modeny.

– Jestem Andras – odparł. – Wszystko będzie dobrze. Siostra odsłoniła ramię Ilany i przemyła je spirytusem.

– Dam jej przeciwbólowo morfinę – powiedziała. – Za chwilę poczuje się lepiej.

Gdy igła przebiła skórę, Ilana nabrała gwałtownie powietrza.

– Tibor – powiedziała, zwracając znowu oczy na Andrasa.

A potem morfina zaczęła działać; zamrugała i zamknęła oczy.

– Proszę iść do domu – powiedziała pielęgniarka. – Zaopiekujemy się pańską żoną. Musi odpocząć. Może pan ją odwiedzić po południu.

– To nie jest moja żona – powiedział Andras. – Powiedziałem jej mężowi, że z nią posiedzę, dopóki nie wróci.

Pielęgniarka uniosła brew, jakby coś ją zdziwiło, i wróciła do swojego pacjenta nieco dalej.

Przez okna widać było, jak niebo powoli rozwidnia się i z granatu wysuwa się błękit. Gdy patrzył na Ilanę, na jej unoszącą się i opadającą pod płótnem pierś, cisza na oddziale wydawała się jeszcze głębsza. Narkotyk ogarnął ją przezroczystą kapsułą snu, jak królewnę z bajki *Hófehérke* – po francusku to

pewnie *Blanche-Neige* – królewnę śpiącą w szklanej trumnie na górze, podczas gdy mali ludzie, *törpék,* mieli nad nią pieczę. Znowu pomyślał o wierszu Marota, który wyciął z książki Klary. „Skoro w śniegu mieszka potajemnie ogień, jak mogę uniknąć oparzenia?”. Cieszył się, że Ben Yakov był nieobecny, gdy Ilana przemówiła, że nie widział, jak jej usta zróżowiły się, bo myślała, że nad łóżkiem stoi Tibor.

Czterdzieści minut później wrócił Ben Yakov, pachnący świeżo skoszoną trawą; plecy piżamy miał mokre od rosy. Zdjął czapkę i przygładził włosy.

– Jak ona się czuła?

– Dobrze – odparł Andras. – Pielęgniarka dała jej zastrzyk z morfiny.

– Idź już do domu. Zostanę z nią, dopóki się nie obudzi.

– Obaj mamy wyjść. Siostra mówi, że ona powinna odpocząć. Możemy wrócić po południu.

Ben Yakov nie oponował. Dotknął bladego czoła Ilany i pozwolił Andrasowi wyprowadzić się z oddziału. Przez całą drogę do Dzielnicy Łacińskiej szli w milczeniu, z rękami w kieszeniach. Ten poranek jest wyjątkowo okrutny dla kogoś, kto stracił dziecko, pomyślał Andras: gliniasty, mokry zapach unosił się nad skrzynkami kwiatów i klombami w parku; gałęzie kasztanowców pełne były wilgotnych listków. Odprowadził Bena Yakova do drzwi kamienicy; stanęli twarzą w twarz.

– Dobry z ciebie przyjaciel – powiedział Ben Yakov.

– Nic wielkiego nie zrobiłem. – Andras wzruszył ramionami i wbił wzrok w chodnik.

– Wręcz przeciwnie, oboje z Klarą bardzo nam pomogliście.

– Ty na naszym miejscu zrobiłbyś to samo.

– Nie najlepszy ze mnie przyjaciel, a jeszcze gorszy maż.

– Nie mów tak.

– Takim ludziom jak ja nie powinno się pozwalać na ożenek. Nawet po nocy spędzonej w szpitalu i godzinie snu w parku Ben Yakov sprawiał wrażenie eleganta o męskiej, filmowej urodzie. Wykrzywił jednak usta w grymasie samoobrzydzenia.

– Nie dbam o nią, jak należy – przyznał, – I szczerze mówiąc, zdradzam ją.

Andras kopnął w blachę do czyszczenia butów przy wejściu. Nie chciał nic więcej słyszeć na ten temat. Pragnął się odwrócić, pomaszerować na rue des Écoles, wgramolić się do łóżka i zasnąć. Nie mógł jednak udawać, że nie usłyszał tego, co powiedział Ben Yakov.

– Zdradzasz? – zapytał. – Kiedy?

– Ciągle. Kiedy tylko zechce się ze mną spotkać. Lucia oczywiście. Ze szkoły. – Głos Bena Yakova ścichł do półszeptu. – Nie byłem w stanie z nią zerwać. Nawet dziś nad ranem przyszła do mnie do parku, podczas gdy ty siedziałeś z moją żoną. Chyba jestem zakochany albo coś równie strasznego. To trwa od samego początku, odkąd ją poznałem.

Andras poczuł falę oburzenia w imieniu dziewczyny w szpitalnym łóżku.

– Skoro byłeś w niej zakochany, to po co sprowadziłeś tu Ilanę?

– Myślałem, że mnie wyleczy – odparł Ben Yakov. – Gdy ją poznałem we Florencji, udało mi się zapomnieć o Lucii. Zachwyciła mnie. I choć to wstyd się przyznać, jej niewinność działała na mnie podniecająco. Dzięki niej pomyślałem, że mógłbym być innym człowiekiem, i przez jakiś czas rzeczywiście nim byłem. – Spuścił wzrok. – Podniecała mnie perspektywa poślubienia jej. Wiedziałem, że nie mogę ożenić się z Lucią. Ona zresztą nie chce wyjść za mąż. Chce być architektem i dużo podróżować. Poza tym jest *une negresse*. Moi rodzice, no wiesz. Nie mógłbym.

Andras pomyślał o koledze ze szkoły z Wybrzeża Kości Słoniowej, który został zaatakowany na cmentarzu. Taka bigoteria powinna być własnością drugiej strony. Ale oczywiście tak nie było. Czyż on sam nie był przerażony, gdy pierwszy raz rozmawiał z Lucią – właśnie ze względu na jej rasę? A jednocześnie podniecała go w jakiś niewytłumaczalny sposób. A co by było, gdyby to on się w niej zakochał? Czy ożeniłby się z nią? Czy przedstawiłby ją swoim rodzicom? Wziął Bena Yakova za ramię.

– Przykro mi – powiedział. – Naprawdę.

– To moja wina – odparł Ben Yakov. – Nie powinienem był żenić się z Ilaną.

– Powinieneś się teraz wyspać – powiedział Andras. – Po południu znów do niej pójdziesz.

W oczach Bena Yakova zapaliła się iskierka strachu. Andras znał już ten wyraz; widział go tysiące razy w oczach swojego młodszego brata, gdy leżał wieczorem w łóżku, tuż przedtem, nim Andras zgasił świeczkę. Była to panika

małego dziecka, które boi się, że zostanie samo w ciemności. Niezliczoną ilość razy Andras kładł się obok Mátyása i słuchał jego oddechu, dopóki brat nie zasnął. Ale przecież byli obaj dorosłymi ludźmi, on i Ben Yakov. Pocieszenie, którego mogli od siebie nawzajem oczekiwać, podlegało ograniczeniom. Ben Yakov podziękował jeszcze raz i odwrócił się, by otworzyć drzwi.

Drugą sprawą, która wydarzyła się w tym miesiącu – na tyle ważną, by odwrócić uwagę Andrasa od coraz bardziej ponurych nagłówków w gazetach – było rozstrzygnięcie konkursu architektonicznego. Po tygodniu bezsennych nocy, w czasie których doświadczał nudności, halucynacji i oszałamiającego podniecenia związanego z nagłą inspiracją, znaleźli się razem z Polanerem w wypełnionej po brzegi auli, czekając na obronę swojego projektu przed zespołem jurorów. Profesor Vago zaprosił monsieur Lemaina, by przewodniczył trzyosobowemu składowi sędziowskiemu. Dwoma pozostałymi, których tożsamość pozostawała tajemnicą aż do tego dnia, okazali się we własnych osobach Le Corbusier i Georges-Henri Pingusson. Le Corbusier ubrany był, jakby przyszedł prosto z budowy; jego przyprószone cementem spodnie i poplamiona potem koszula robocza zdawały się czynić cichy wyrzut Lemainowi, który przyszedł w nienagannym czarnym garniturze, i Pingussonowi w perłowoszarej marynarce w prążki. Perret, który przewodniczył konkursowi, nawoskował wąsy w szpic i włożył jedną ze swoich najbardziej dramatycznych wojskowych peleryn. Jurorzy przechadzali się wolno po pomieszczeniu, przyglądając się makietom wystawionym na stołach i projektom wiszącym na tablicach korkowych wokół auli. Za nimi szli pełni szacunku studenci.

Wkrótce okazało się, że pomiędzy Le Corbusierem a Pingussonem doszło do poważnej różnicy zdań. Wszystko, co powiedział jeden, drugi postponował jako czystą głupotę. W pewnym momencie Le Corbusier posunął się do tego, że ukłuł Pingussona w pierś ołówkiem; Pingusson odpowiedział na to, wykrzykując coś prosto w zaczerwienioną twarz Le Corbusiera. Chodziło o parę kariatyd przypominających Dianę, które miały zdobić wejście do klubu sportowego dla kobiet, zaprojektowanego przez dwie studentki czwartego roku. Le Corbusier oświadczył, że to neoklasycystyczny kicz. Pingusson zaś stwierdził, że robią bardzo eleganckie wrażenie.

– Eleganckie! – prychnął Le Corbusier. – Może to samo by pan powiedział o tym monstrum zaprojektowanym przez Speera na Wystawę Światową! Tam też nie brakuje lichego neoklasycyzmu.

– Przepraszam bardzo – zaoponował Pingusson. – Czy sugeruje pan, że mamy pożegnać się ze spuścizną Greków i Rzymian tylko dlatego, że przyswoili ją sobie naziści? Skundlili ją, że tak powiem?

– Wszystko powinniśmy rozpatrywać w kontekście – powiedział Le Corbusier. – W tym momencie politycznym takiego wyboru nie da się usprawiedliwić. Choć może powinniśmy dać spokój tym dziewczynom, bo w końcu to tylko kobiety. – Przedostatnie słowo wypowiedział z emfazą, kłując Pingussona ołówkiem.

– Bzdura! – krzyknął Pingusson. – Jak pan śmie oskarżać mnie o szowinizm? Skoro odrzuca pan ten wybór jako kicz, to czyż nie jest to jednoznaczne z kategorycznym odrzuceniem tradycji siły kobiecej w mitologii greckiej?

– Ciekawy argument – zauważył Lemain. – Skoro obaj jesteście panowie tak oświeceni, może pozwolimy samym kobietom obronić ten projekt?

Wyższa z dwóch architektek – miała na imię Marie-Laure – zaczęła wyjaśniać elegancką lakoniczną francuszczyzną, że to nie są zwykłe kariatydy; ich modelką była bowiem Suzanne Lenglen, niedawno zmarła francuska mistrzyni tenisa. Następnie broniła innych elementów projektu, ale Andras zgubił wątek. On i Polaner czekali następni w kolejce, więc był zbyt zdenerwowany, by koncentrować się na czymkolwiek innym. Obok niego stał Polaner, mnąc w ręku chusteczkę do nosa. Po drugiej stronie stał Rosen, który wyglądał na niezbyt zainteresowanego i zdystansowanego. Nie musiał się denerwować. Sam nie wziął udziału w konkursie. Był zbyt zajęty zebraniami Ligue Contre l'Antisémitisme, której został ostatnio sekretarzem.

Krytyka ośrodka sportowego dla kobiet zakończyła się zbyt szybko jak na gust Andrasa; sędziowie przeszli dalej. Studenci otoczyli ich przy stoliku, na którym wystawiona była makieta Andrasa i Polanera.

– Przedstawcie swój projekt, panowie – powiedział Perret, zachęcając ich gestem.

Najpierw mówił Polaner. Miętosił skraj marynarki i francuszczyzną z polskim akcentem opowiadał o potrzebie powstania klubu sportowego, który nikogo by nie wykluczał i symbolizował fundamentalne wartości republiki. Projekt miał zwracać się ku przyszłości; głównymi materiałami były żelbeton, szkło, stal i panele ciemnego drewna nad drzwiami i oknami.

Zamilkł i spojrzał na Andrasa, który miał mówić dalej. Andras otworzył usta i nagle okazało się, że jego francuski gdzieś przepadł. Pojawiła się porażająca pustka, jak książka z niezapisanymi stronicami.

– Co się stało, młodzieńcze? – zapytał Le Corbusier. – Zaniemówiłeś?

Andras nie spał od trzech dni i teraz doznał halucynacji związanych z poczuciem czasu. Czas zwolnił do żółwiego tempa. Andras przyglądał się mrugającym powiekom Corbusiera, poruszającym się, jak mu się wydawało, nieskończenie długo za poplamionymi wapnem oprawkami jego okularów. Z tyłu auli dobiegł falami czyjś głęboki kaszel.

Może nigdy by nie odzyskał głosu, gdyby Pierre Vago, mistrz ceremonii, nie przyszedł mu z odsieczą. To Vago nauczył Andrasa języka, w którym teraz musiał się wypowiedzieć; znał też słowa, które mogły pomóc mu w odzyskaniu rezonu.

– Może zacznij *od piste* – zaproponował.

Piste, czyli po francusku bieżnia, *pálya.* Dwa dni temu w pracowni rozmawiali na ten temat: jak brzmi „bieżnia" po francusku i że to inne słowo niż to oznaczające drogę, szlak, kolej. Andras potrafił mówić na temat *piste* był to najbardziej niezwykły element ich projektu, owoc niedawnej inspiracji, która przyszła w nocy.

– *La piste – zaczął – est construit d'acier galvanisée* i będzie podwieszona pod dachem budynku, jak aureola, na stalowych linach przymocowanych do wzmocnionych belek dwuteowych.

Słowa do niego wróciły; on je wypowiadał, a Le Corbusier i Pingusson słuchali, zapisując coś w żółtych notatnikach. Podwieszenie pozwoli na zbudowanie dłuższej bieżni, niż gdyby *piste* usytuowana była wewnątrz budynku. Klub sportowy będzie wyższy niż otaczające go budynki i bieżnia zostanie podwieszona nad jego najwyższą kondygnacją. Dach budynku jest jednocześnie stropem krytego basenu; Andras pochylił się nad makietą i zademonstrował, jak można odsunąć dach, gdy jest sprzyjająca pogoda. Oba elementy projektu, odsłonięta bieżnia i basen z ruchomym dachem, odzwierciedlają zasady klubu sportowego: powszechność i wolność.

Gdy skończył, w sali zapadła cisza. Spojrzał z wdzięcznością na profesora Vago, który uparcie patrzył w bok, nie przyznając się do udzielonej pomocy. Wówczas padły pytania jurorów: jak uchronić podwieszoną bieżnię przed drganiami pod wpływem biegu zawodników? Co się stanie, gdy będzie wiał silny

wiatr? Ile czasu trzeba, by zamknąć dach na wypadek burzy? Jak mają zamiar rozwiązać problem pomieszczenia dla systemu hydraulicznego w otwartej przestrzeni basenu?

Teraz słowa stały się posłuszne. To były problemy, o których Andras i Polaner dyskutowali, o które godzinami kłócili się w pracowni po nocach. Liny do podwieszenia będą owinięte w cienką warstwę blachy, żeby były sztywne i zachowały elastyczność; pewna sprężystość podłoża pozwoli wytłumić drgania powstające na skutek biegu. Bieżnia zostanie przymocowana do budynku za pomocą wsporników, aby wyeliminować kołysanie. A system hydrauliczny znajdzie się w specjalnej pakamerze. Gdy odpowiedzieli na wszystkie pytania, Pingusson, Le Corbusier i Lemain bez końca przyglądali się materiałom i robili notatki. Nawet Perret podszedł, by przyjrzeć się bliżej makiecie, i mamrotał do siebie, oglądając przekrój ściany zewnętrznej.

– A pan kim jest, panie Lévi? – zapytał w końcu Le Corbusier, wkładając sobie ołówek za ucho.

– Jestem Węgrem z Konyáru, proszę pana – odparł Andras.

– Aha, to pańskie prace odkryto na wystawie. Jak rozumiem, przyjęli pana do szkoły dzięki pana linorytom.

– Tak – powiedział Andras i odchrząknął zakłopotany.

– A pan, panie Polaner? – zapytał Pingusson. – Jest pan z Krakowa? Podobno lubi pan wyzwania inżynieryjne.

– To prawda, proszę pana – odparł Polaner.

– No cóż, powiedziałbym, że to wspaniały, choć niepraktyczny projekt – zawyrokował Le Corbusier. – Problem polega na skojarzeniach. Paryżanie nigdy nie podwiesiliby bieżni pod dachem budynku. Wygląda to bowiem trochę jak to, co damy nosiły pod sukniami w osiemnastym wieku. Jak to się nazywa... krynoliny. Obręcze z fiszbin.

– Raczej jak jakiś kosmiczny kapelusz – wtrącił Pingusson. – Ale to wspaniałe wykorzystanie przestrzeni miejskiej.

– Dość fantastyczne – powiedział Lemain. – Sam budynek jednak jest świetnie zaprojektowany. Ładny akcent stanowią elementy drewniane. Przypominają trochę parkiet sali gimnastycznej.

W końcu jurorzy przeszli do następnej makiety. Było po wszystkim. Andras i Polaner wymienili zmęczone i szczęśliwe spojrzenia. Ich projekt, nawet jeśli nie

był idealny, zasłużył na pochwały. Gdy pozostali studenci przechodzili obok obu przyjaciół, Rosen poklepał po plecach i ucałował ich w oba policzki.

– Gratuluję, chłopaki – powiedział. – Jako pierwsi stworzyliście krynolinę w architekturze. Gdybym nie był totalnie spłukany, postawiłbym wam obu drinka.

Następnego ranka, gdy Andras przekroczył próg granatowych drzwi – tych samych, przez które wkroczył przed dwoma laty jako świeżo upieczony student – i wyszedł na dziedziniec, powitały go okrzyki i oklaski. Studenci na dziedzińcu klaskali i skandowali jego imię. W rogu dziedzińca na zniszczonym drewnianym krześle siedział Polaner jak na tronie: wokół niego tłoczyli się studenci, a z jego szyi zwisał złoty medal. Fotograf pochylił się nad aparatem i zrobił zdjęcie. Gdy Rosen usłyszał nowe okrzyki, podbiegł do Andrasa i wziął go pod ramię.

– Gdzieś ty był? – zapytał. – Wszyscy tu na ciebie czekają! Wygraliście, idioto! Ty i twój cudowny wspólnik. Wygraliście Grand Prix. Twój medal jest wystawiony na widok publiczny.

Andras pobiegł do auli, a tam wszystko okazało się prawdą: na makiecie ich Klubu Sportowego Saint-Germain tkwił złocony dyplom oraz medal na trójkolorowej wstędze. Na dyplomie widniały podpisy trzech jurorów, Le Corbusiera, Lemaina i Pingussona. Przez dłuższą chwilę Andras stał samotnie, próbując w to uwierzyć; wziął medal i obracał go w dłoniach. Był ciężki i wypolerowany, na jego powierzchni wytłoczono portret Emile'a Trélata. „Grand Prix du Amphithéâtre”, przeczytał. Na rewersie medalu widniały nazwiska jego i Polanera oraz rok 1939. Włożył medal na szyję; czuł jego ciężar poprzez wstęgę. Musiał zobaczyć się z Polanerem, a potem z profesorem Vago.

– Lévi – odezwał się głos z tyłu.

Byli to dwaj studenci trzeciego roku, którzy również wzięli udział w konkursie. Andras widywał ich w szkole, ale ich nie znał; żaden nie uczęszczał z nim na zajęcia w pracowni ani nie był jego mentorem ze starszego roku. Wysoki chłopak z czarnymi włosami nazywał się Frédéric Jakośtam, a ten o szerokich ramionach i w rogowych okularach miał przezwisko Noirlac. Ten wysoki wyciągnął rękę i mocno pociągnął za medal na piersi Andrasa.

– Ładna błyskotka – powiedział. – Szkoda, że musiałeś oszukiwać, żeby ją zdobyć.

– Słucham? – zapytał Andras. Nie był pewien, czy dobrze zrozumiał francuszczyznę tego człowieka.

– Powiedziałem, że szkoda, że musiałeś oszukiwać.

– O co chodzi? – Andras zmrużył oczy, patrząc na Frédérica.

– Wszyscy wiedzą, że dostaliście nagrodę z litości – powiedział ten o przezwisku Noirlac. – Mieli wyrzuty sumienia z powodu twojego małego koleżki, tego, który został zgwałcony i pobity. Nie wystarczyło, że Lemarque powiesił się z jego powodu. Potrzebny był jeszcze publiczny gest.

– Wszyscy wiemy, że pracujesz u Lemaina – powiedział ten drugi. – I nie myśl, że nie wiemy o Pingussonie i twoim stypendium. Wiemy, że nagroda została przyznana nieuczciwie. Nie zaprzeczaj. Nigdy w życiu byś nie wygrał konkursu z takim monstrum, gdybyś nie był czyimś pupilkiem.

Z dziedzińca dobiegł ich stłumiony odgłos braw. Andras słyszał głos Rosena, który wygłaszał pochwalne przemówienie.

– Dotknijcie Polanera, to was zabiję – powiedział. – Obu.

– Bronisz swojego kochanka? – zaśmiał się ten wyższy.

– Co tu się dzieje, panowie? – Przez aulę zmierzał w ich kierunku Vago z rulonem projektów pod pachą. – Gratulujemy zwycięzcy, nieprawdaż?

– Tak jest, proszę pana – odparł Frédéric i złapał Andrasa za rękę, jakby chciał ją uścisnąć. Andras wyrwał dłoń.

Vago przyjrzał się minie Andrasa i kpiącym uśmieszkom studentów trzeciego roku.

– Chciałbym zamienić kilka słów z monsieur Lévim – powiedział.

– Oczywiście, profesorze – powiedział Noirlac i ukłonił się lekko. Wziął kolegę za ramię i oddalili się ku wyjściu, odwracając się w drzwiach na dziedziniec, by zasalutować Andrasowi.

– Dranie – powiedział Andras.

Vago oparł ręce na biodrach i westchnął,

– Znam tych dwóch – powiedział. – Sam bym ich zabił, gdyby nie to, że wyleciałbym z pracy.

– Niech mi pan powie, czy to prawda? Czy daliście nam nagrodę, by coś udowodnić?

– Co udowodnić?

– Chodzi o sprawę Polanera.

– Oczywiście – odparł Vago. – Udowodniliśmy, że jest znakomitym projektantem i artystą. Podobnie jak ty. Wasz projekt nie jest ideałem, ale był najbardziej nowatorski i najlepiej zrealizowany ze wszystkich. Decyzja zapadła jednomyślnie. O dziwo, wszyscy sędziowie byli tego samego zdania. Ale waszym największym entuzjastą był Pingusson, Powiedział, że zatrzymanie cię na uczelni okazało się warte każdego centyma. Obiecał nawet, że podniesie ci stypendium. Chciałby, żebyś miał więcej zajęć w pracowni.

– Ale ten projekt – powiedział Andras, wyginając palcem podwieszoną bieżnię – jest przecież absurdalny, prawda? Le Corbusier miał rację, mówiąc, że coś takiego nigdy nie będzie zbudowane.

– Może nie w Paryżu – odparł Vago. – Może jeszcze nie w tej dekadzie. Ale Le Corbusier robił notatki i szkice, przygotowując się do projektu w Indiach, i powiedział, że chciałby wymienić opinie z tobą i Polanerem.

– Chce z nami wymienić opinie?

Andras zamrugał oczami z niedowierzaniem.

– A dlaczego nie? Najlepsze pomysły często biorą się z sali wykładowej. Nie spędziliście jeszcze wielu lat, borykając się z planami zagospodarowania przestrzennego, komisjami planowania i lokalnymi stowarzyszeniami, Wam łatwiej przychodzą do głowy rzeczy niemożliwe, a właśnie w ten sposób powstają najciekawsze budynki.

Andras obrócił w rękach medal. Obraźliwe słowa studentów trzeciego roku wciąż dźwięczały mu w głowie, a w skroniach ciągle czuł pulsowanie adrenaliny.

– Zazdrośnicy zawsze będą próbowali cię uziemić – powiedział Vago. – Tacy są ludzie.

– Co za gatunek – odparł Andras.

– No właśnie. Nic nas nie uratuje. W końcu zniszczymy samych siebie. Ale tymczasem potrzebujemy schronienia, więc praca architekta jest potrzebna.

W tym momencie w drzwiach auli pojawił się Rosen.

– Co tak długo? – powiedział. – Fotograf czeka.

Vago położył Andrasowi dłoń na ramieniu i poprowadził go na dziedziniec, gdzie w rogu na trawie ustawiła się grupa do zdjęcia. Jurorzy przyszli pozować wraz ze zwycięzcami; Polaner stał między Le Corbusierem a Pingussonem, a jego

blada chłopięca twarz nosiła wyraz głębokiej powagi. Obok nich zajął miejsce Lemain, dumny i poważny. Fotograf ustawił Andrasa obok Le Corbusiera, a po jego drugiej stronie stanął Vago. Andras poprawił medal i się wyprostował. Gdy spojrzał w obiektyw aparatu, wciąż jeszcze próbując otrząsnąć się z gniewu, zauważył, że Noirlac i Frédéric przyglądają mu się z rękami założonymi na piersi, przypominając mu o jednej z fundamentalnych prawd jego życia: w każdej chwili szczęścia przypomina się człowiekowi coś gorzkiego lub tragicznego, jak dziesięć kropli wina wylewanych z kielicha w święto Pesach, symbolizujących plagi, lub jak smak goryczy w absyncie, którego nie zabije żadna ilość cukru. I właśnie dlatego, choć to będzie jego jedyna fotografia z École Spéciale, nigdy jej nie powiesi na ścianie. Patrząc na nią, widziałby tylko swój gniew i jego przyczynę w tłumie gapiów.

Tego lata powracającym tematem rozmów był los Wolnego Miasta Gdańska. Gazety pisały, że Niemcy szmuglują tam przez granicę broń i żołnierzy; oficerowie z Reichu podobno szkolili lokalnych nazistów w wojennych manewrach. Podczas gdy Wielka Brytania i Francja nie mogły dojść do porozumienia z Rosją w sprawie pomocy wojskowej, radio mówiło o pogłoskach głębszej współpracy pomiędzy Berlinem i Moskwą. Na początku czerwca Chamberlain obiecał brytyjską pomoc Polsce, gdyby Gdańsk był zagrożony, a w Dniu Bastylii całe Champs-Élysées najeżone były brytyjskimi i francuskimi czołgami, wozami opancerzonymi i artylerią. Dwa dni później nad budynkami rządowymi w Breslau pojawiła się tajemniczo polska flaga. Nikt nie wiedział, jak dokonano tego aktu nieposłuszeństwa. Budynek musiał być przecież pełen strażników. Polaner, który przez całe lato dostawał od rodziców pełne niepokoju listy, był bardzo spragniony dobrych wiadomości. Gdy nadeszła ta informacja, choć drobna, zaproponował, by wszyscy wybrali się do Blue Dove, gdzie postawi im kolejkę. Było gorące lipcowe popołudnie, na ulicach zalegały jeszcze śmieci po Dniu Bastylii: zatłuszczone torby papierowe, butelki po piwie i małe francuskie i brytyjskie flagi. Gdy przyszli do Blue Dove, przy stole siedział już Ben Yakov, a przed nim stała butelka whisky. Na jego twarzy malowała się alkoholowa rezygnacja.

– Witajcie, kochani – powiedział. – Napijcie się, ja stawiam.

– Dziś ja stawiam – zaoponował Polaner. – Słyszałeś o polskiej fladze?

– Słyszałem, że ma być wymieniona – odparł Ben Yakov. – Podobno na coś czarno-białego na czerwonym tle, moim zdaniem paskudnego. – Opróżnił szklaneczkę i ponownie ją napełnił. – Pogratulujcie mi, chłopcy, idę na spotkanie z rabinem.

Pierwszy raz widzieli Bena Yakova pijanego w miejscu publicznym. Jego przystojna twarz rozjechała się, usta straciły wyraz, jakby ktoś próbował wytrzeć je gumką.

– Idziesz się spotkać z rabinem? – zapytał Rosen. – Dlaczego mielibyśmy ci tego gratulować?

– Bo stanę się wolnym człowiekiem. Dostanę rozwód.

– Co takiego?

– Staromodny żydowski rozwód. Mogę to zrobić, bo dostaliśmy od lekarza zaświadczenie, że Ilana jest bezpłodna. Kwalifikujemy się. Co sądzicie o moim rycerskim podejściu? Nie urodzi mi dzieci, więc mogę ją odtrącić. – Nachylił się nad szklanką i potarł oczy. -Napijcie się.

Dla Andrasa to nie była nowina. Od miesiąca Ilana mieszkała z Klarą, śpiąc na drugiej połowie jej łóżka. Klara zaoferowała się, że się nią zaopiekuje w czasie rekonwalescencji. Prosto ze szpitala Ilana trafiła na rue de Sévigné i od tego czasu nie była w domu. Powiedziała Klarze, że jest nieszczęśliwa; zrozumiała, że Ben Yakov jej nie kocha, w każdym razie nie tak jak dawniej. Zrozumiała, że czuje się uwięziony w ich małżeństwie. Od dawna już podejrzewała, że kogoś ma. Gdy Ben Yakov przychodził ją odwiedzić u Klary, siedzieli w salonie, nie odzywając się prawie do siebie. Cóż mieli mówić? Ona była pogrążona w smutku po stracie dziecka, w smutku, który Ben Yakov ku własnemu zaskoczeniu podzielał. Jego smutek, zdaniem Klary, wiązał się też z rozstaniem z pewną koncepcją samego siebie. No i pozostawało pytanie bez odpowiedzi: co dalej z Ilaną. Po wyzdrowieniu czekała ją wielka niewiadoma. Nic jej już nie trzymało w Paryżu, ale nie wiedziała, jak przyjmą ją rodzice, gdyby wróciła do domu. Jej listy do nich pozostały bez odpowiedzi.

Andras nie wspominał o sytuacji Ilany w listach do Tibora. Nie chciał martwić brata ani, z drugiej strony, dawać mu zbyt wielkiej nadziei. Tydzień wcześniej jednak doszło do spotkania Bena Yakova i Ilany u Klary, w trakcie którego rozmawiali o tym, jak mogą uwolnić się od więzów małżeńskich. Ilana powiedziała Benowi Yakovowi, że dostaliby rozwód, gdyby lekarz dał im zaświadczenie, że Ilana nie będzie mogła mieć dzieci. Nie było pewne, czy to prawda, ale być może lekarz dałby się na to namówić. Ben Yakov postanowił spróbować. Po tej decyzji oboje odczuli pewną ulgę. Stan zdrowia Ilany zaczął się poprawiać, a Ben Yakov wrócił do pracowni i zaczął nadrabiać zaległości, które nagromadziły mu się tej wiosny. Teraz jednak, gdy czekało go pierwsze spotkanie

z rabinem, załamał się. Perspektywa rozwodu wkrótce miała się ziścić, dowodząc tego, do jakiej katastrofy doprowadził życie Ilany i własne.

Gdy pili we czwórkę, Ben Yakov otworzył się przed nimi bez skrępowania. Nie tylko legło w gruzach jego małżeństwo z Ilaną, ale piękna Lucia odeszła od niego, zmęczona czekaniem. Spędzała letnie wakacje na stażu w pracowni nowojorskiego architekta i dotarły do niego pogłoski, że architekt się w niej zakochał, więc być może ona porzuci École Spéciale na rzecz szkoły projektowania na Rhode Island. Pogłoski te trafiły do niego za pośrednictwem wspólnych znajomych. Sama Lucia nie napisała do Bena Yakova, odkąd wyjechała z Paryża.

Na zakończenie wieczoru, gdy wylegli na ulicę przed Blue Dove, Andras zaproponował Benowi Yakovowi, że go odprowadzi do domu. Rosen i Polaner poklepali go po plecach i życzyli mu, żeby poczuł się lepiej nazajutrz.

– Czuję się świetnie – powiedział Ben Yakov, a następnie pochylił się, uczepiony latarni, i zwymiotował prosto do rynsztoka.

Andras dał mu chusteczkę i pomógł doprowadzić się do porządku; potem objął go ramieniem i poprowadził w stronę domu. Przed drzwiami Ben Yakov nie mógł znaleźć klucza i gdy grzebał po kieszeniach, był bliski płaczu. W końcu znalazł klucz w kieszeni koszuli i Andras pomógł mu wejść na górę. Mieszkanie wyglądało dokładnie tak, jak to sobie Andras wyobrażał: jakby dawno temu wyjechała osoba odpowiedzialna za utrzymanie go w jako takim porządku. Brudne talerze zalegały w zlewie, geranium na parapecie wyzionęło ducha, wszędzie walały się gazety i książki, na niepościelonym łóżku było pełno okruchów z croissantów i bezładnie porozrzucanych ubrań. Andras kazał Benowi Yakovowi usiąść na krześle obok łóżka, podczas gdy sam zmienił pościel. Polecił mu zdjąć brudną koszulę. Tyle mógł zrobić; cała reszta działała na niego przygnębiająco. Najbardziej zaś mały stolik, na którym stały puste filiżanki i leżały skórki od chleba: Andras rozpoznał obrus haftowany w niezapominajki, prezent od Klary dla panny młodej.

Ben Yakov wczołgał się, do łóżka i zgasił światło, a Andras po omacku przeszedł do drzwi. Nie był pewien, jak odsunąć staroświecką zasuwę. Nachylił się nad nią i poruszył zardzewiałym bolcem.

– Lévi! – zawołał go Ben Yakov. – Jesteś tam jeszcze?

– Jestem.

– Posłuchaj – powiedział. – Napisz do brata. Andras zamarł z ręką na zamku.

– Nie jestem idiotą – powiedział Ben Yakov. – Wiem, co między nimi zaszło. Wiem, co było w pociągu.

– Co masz na myśli?

– Proszę cię, przestań, nie staraj się mnie chronić czy cokolwiek próbujesz teraz zrobić. To obraża moją inteligencję.

– Skąd wiesz, co się stało w pociągu?

– Po prostu wiem. Od razu wiedziałem, że coś jest nie tak, gdy przyjechali. Zresztą ona się przyznała, gdy rozmawiałem z nią kiedyś trochę brutalniej. To i tak było oczywiste. Ona próbowała... no wiesz, walczyć z tym. To dobra dziewczyna. Ale zakochała się w nim. To wszystko. Ja nie jestem taki jak on, Andras, powinieneś to wiedzieć. – Zamilkł i dodał: – Boże...

Wyciągnął nocnik spod łóżka i zwymiotował. Chwiejnym krokiem poszedł do łazienki na korytarzu i wrócił, wycierając twarz ręcznikiem.

– Napisz do niego – powtórzył. – Powiedz mu, żeby do niej przyjechał. Ale nie mów mi, co się wydarzy, dobrze? Nie chcę wiedzieć. Przez jakiś czas nie chcę się z tobą widywać. Przepraszam. Wiem, że to nie twoja wina.

Położył się do łóżka i odwrócił się twarzą do ściany.

– Idź już do domu, Lévi. – Jego głos był stłumiony przez poduszkę. – Dzięki, że się mną opiekujesz. Ja bym zrobił dla ciebie to samo.

– Wiem – odparł Andras.

Jeszcze raz spróbował otworzyć oporną zasuwę. Tym razem się udało. Poszedł do domu na rue des Écoles, wyjął notatnik i zaczął pisać na brudno list do brata.

Rozdział dwudziesty czwarty

S/S „Île de France”

UCIECZKA ELISABET NIE BYŁA właściwie ucieczką w dosłownym znaczeniu tego słowa. Zanim do niej doszło, Klara od miesięcy wiedziała o jej nieuchronnym wyjeździe. Paul Camden prawie co tydzień przychodził na niedzielny obiad, próbując zdobyć jej zaufanie i sympatię. Swoim powolnym francuskim o spłaszczonych samogłoskach opowiadał Klarze o rodzinnym domu w Connecticut, gdzie jego matka hoduje i trenuje konie do pokazów; o ojcu, który był wiceprezesem konglomeratu energetycznego w Nowym Jorku; o siostrach, które uczyły się w szkole w Radcliffe i które będą z pewnością zachwycone Elisabet. Pozostawał problem tego, co père i mère Camden pomyślą, gdy ich syn wróci do domu z Żydówką bez grosza przy duszy i o niejasnym rodowodzie. Zdaniem Paula najlepszym rozwiązaniem byłby ślub przed wyjazdem do Nowego Jorku. Łatwiej byłoby podróżować jako mąż i żona; a gdy dotrą do Ameryki, fakt dokonany ich małżeństwa będzie dla rodziców jasnym komunikatem, niezależnie od tego, jakie mieliby obiekcje. Paul uważał, że polubią Elisabet, gdy ją poznają, ale Klara błagała go, żeby pobrali się dopiero po przyjeździe do Ameryki, gdy Paul będzie miał okazję wszystko im powiedzieć i oswoić ich z tą myślą. Jeśli poślubi Elisabet bez ich wiedzy i zgody, przekonywała go Klara, wydziedziczą go. Paul przygotował się zresztą na taką ewentualność, oszczędzając połowę z ogromnej miesięcznej renty, którą wypłacał mu księgowy ojca. Przeprowadził się do mniejszego mieszkania i zaczął się stołować w klubie studenckim, zamiast zamawiać posiłki z restauracji. Przestał kupować ubrania i zaczął zaopatrywać się w używane podręczniki. Nauczył się oszczędzania od Andrasa, który przekonał się, że Paul był przedtem całkowitym ignorantem, jeśli chodzi o podstawowe zasady oszczędnego życia. Na przykład nigdy nie kupował wczorajszego pieczywa, nie czyścił sobie sam butów ani nie prał koszul. Był zdziwiony, gdy dowiedział się, że można przerobić stary kapelusz, zamiast kupować nowy.

– Ależ wszyscy się zorientują, że nosisz stary kapelusz – zaoponował i powtórzył te słowa po angielsku. – *Old hat.* W Stanach to pejoratywne

wyrażenie. Tak się mówi na rzeczy powszechnie znane, przewidywalne, wyświechtane, *demodé.*

– Musisz tylko zmienić tasiemkę – wytłumaczył Andras. – Nikt nie zauważy, że to twój *old hat.* Jeśli myślisz, że ludzie tak dokładnie się przyglądają twojej garderobie, to się mylisz.

– Pewnie masz rację, stary – roześmiał się Paul i Andras pokazał mu, gdzie może zlecić odświeżenie kapelusza.

Gdy Amerykanin przychodził na obiad w niedzielę, Klara niejednokrotnie wycofywała się na pozycje obserwatora wybranka córki, oceniała go, przyglądała się, jak traktuje Elisabet, jak odpowiada na pytania Andrasa o pracę, jak odnosi się do pani Apfel, gdy ta serwowała káposztę. Obserwowała również uważnie Elisabet. Był w tym spojrzeniu jakiś naglący wyraz, jakby musiała zarejestrować każdy niuans istnienia córki. Wydawała się boleśnie świadoma tego, że to ostatnie dni, jakie córka spędzi pod jej dachem. Klara nie mogła nic zrobić, by to zmienić; Elisabet od dawna już była na wylocie, świadczyły o tym małe, lecz znamienne symptomy, a teraz odejdzie na dobre, wyruszy za ocean, poślubi mężczyznę, który nie jest Żydem, którego rodzice być może jej nie zaakceptują. Co gorsza, przy tym samym stole siedziała Ilana di Sabato, świeżo rozwiedziona: żywy dowód tego, jakim trzaskiem kończy się małżeństwo dwojga bardzo młodych ludzi, Ilana cierpiała w samotności, prawie nie tykała jedzenia; swój przepiękny ciemny warkocz obcięła po ślubie i jej włosy oblepiały teraz żałośnie głowę, jak fryzury modne w poprzedniej dekadzie, przypominające ciasną czapeczkę. *Old hat,* pomyślał Andras. Przykro było mu na nią patrzeć. Nie dostał jeszcze odpowiedzi na swój list i do tego czasu nie chciał z nią rozmawiać o Tiborze.

Elisabet miała wypłynąć na początku sierpnia i czekało ją jeszcze wiele przygotowań. Jej garderoba była garderobą dziewczynki; musiała teraz skompletować ubrania zamężnej kobiety. Paul chciał koniecznie pomóc w przygotowaniach i zaczął od ekstrawagancji, które tylko on uważał za konieczne: kupił jej lniany kostium do tenisa i parę płóciennych tenisówek; naszyjnik z pereł z platynowym zapięciem; komplet jasnobrązowych skórzanych walizek z jej inicjałami wytłoczonymi na złoto. Każdy z tych zakupów poważnie uszczuplił oszczędności, które udało mu się poczynić dzięki naukom Andrasa. W końcu Klara zasugerowała delikatnie, że powinien spytać ją o radę, na co najlepiej wydać pieniądze; Elisabet potrzebowała między innymi batystowych halek, bielizny nocnej, butów. Trzeba było też wymienić jej jedną plombę przed podróżą. Chciała też krótko obciąć swoje długie włosy. Wszystko to było

kosztowne i wymagało czasu. Gdy Andras wieczorem wychodził do domu, Klara miała zawsze na kolanach koszyczek z szyciem. Wyobrażał ją sobie jako Penelopę, która każdego wieczoru pruje to, co zrobiła w ciągu dnia, by Elisabet nigdy nie wyszła za mąż. Przyznała, że przeraża ją perspektywa podróży córki przez ocean w momencie, gdy Europa stoi na krawędzi wojny. Zdarzało się przecież, że cywilne jednostki były torpedowane. Czy Elisabet nie może zaczekać jeszcze parę miesięcy, aż sytuacja w Polsce się uspokoi i problemy z angielsko-francuską umową o wzajemnej pomocy z Rosją zostaną rozwiązane? Czy Paul i Elisabet naprawdę muszą płynąć w sierpniu, miesiącu, w którym zawsze zaczynały się wojny? Elisabet jednak się uparła: jeśli będą czekać, Francja rzeczywiście może pójść na wojnę i podróż stanie się niemożliwa. Temat ten wywoływał kłótnie, które Klarę i Elisabet doprowadzały do emocjonalnego wyczerpania. Andrasowi wydawało się, że obie mają ostatnią okazję, by okazać sobie wzajemną miłość w sposób, który praktykowały najczęściej: poprzez walkę, w której żadna ze stron nie ustępuje i żadna nie wygrywa, przez konflikt, którego przedmiotem nie jest wcale dyskutowana sprawa, ale skomplikowana natura związku pomiędzy matką i córką.

W te nieliczne wieczory tych tygodni, gdy Klara przychodziła do niego na poddasze, kochała się z nim z zaciekłością, która wydawała się nie mieć nic wspólnego z nim samym. Nie sądził przedtem, że można być aż tak samotnym w jej ramionach; pragnął, by jej nieobecny wzrok spoczął na nim. Gdy pewnego wieczoru zatrzymał ją i powiedział: „Spójrz na mnie", przetoczyła się na bok i wybuchła płaczem. Potem go przeprosiła, a on ją przytulił i nie był w stanie stłumić egoistycznego pragnienia, by to wszystko jak najszybciej się skończyło. Po wyjeździe Elisabet miało się spełnić przyrzeczenie, które sobie dali zeszłej jesieni: oni też się pobiorą i w końcu zaczną razem żyć. Pogrążona w smutku związanym z utratą dziecka, Klara przestała mówić o tym, co się wydarzy po wyjeździe.

21 lipca 1939 r.

Modena

Kochany Andrasu!

Jest mi niezmiernie przykro, że małżeństwo Ilany i Bena Yakova tak smutno się skończyło. Przygnębia mnie to, że być może odegrałem własną rolę w ich nieszczęściu. Gdyby żal mógł naprawić ten błąd, już dawno by tak się stało.

Gdy otrzymałem Twój list, myślałem, że nie jestem w stanie pojechać do Paryża. Jak mógłbym spojrzeć Ilanie w oczy, wiedząc, jaką jej zrobiłem krzywdę? Miłość dąży do własnej ekspresji, każe nam sądzić, że ma rację tylko dlatego, że jest miłością. Jesteśmy jednak ludźmi i musimy sami decydować, co jest słuszne. Moje uczucie do Ilany było tak gwałtowne, że nie potrafiłem nad nim zapanować. Nie zasługuję na drugą szansę, by sprawdzić się jako jej przyjaciel, a tym bardziej by ubiegać się o miano jej kochanka. Jednak moje uczucia do niej – powiesz może, że jestem draniem, mówiąc to, Andráska – pozostają niezmienione. Jak waliło mi serce, gdy czytałem, że o mnie pytała! Jak się wzruszyłem na wieść o tym, że mówiła o mnie ciepło! Za dobrze mnie znasz, by pisać o tych rzeczach nieodpowiedzialnie; musiałeś wiedzieć, co one dla mnie znaczą. Więc w końcu przyjeżdżam. Wstydzę się, ale przyjeżdżam. Przynajmniej nie będziesz miał podstaw, by sądzić, że jestem niestały. Ani, mam nadzieję, Ilana. Zanim dostaniesz ten list, będę już pewnie w Paryżu. Zatrzymam się w hotelu St. Jacques, gdzie w piątek będziesz mógł mnie zastać.

Twój, Tibor

Andras dostał list brata dopiero w sobotę rano. Poprzedniego dnia siedział do późna w firmie architektonicznej, pomagając Lemainowi skompletować rysunki dla klienta. List czekał na niego na stoliku na dole, a obok niego karteczka od Tibora:

Andras, byłem dziś rano. Czekałem do dziewiątej. Nie mogę już dłużej czekać. Muszę się z nią zobaczyć. Zobaczymy się u Klary. T.

Zapukał do drzwi konsjerżki. Odpowiedziała mu cisza; po jakimś czasie dało się słyszeć jakieś niewyraźne francuskie przekleństwo i zbliżające się kroki. Pojawiła się konsjerżka w brudnym fartuchu i rękawicach poplamionych sadzą, na czole miała brudną pręgę.

– Też coś – fuknęła. – Gdy pojawia się jakiś gość z wielkim hukiem o nieodpowiedniej porze, to wiadomo, że to pana rodzina.

– Kiedy mój brat wyszedł?

– Może trzy minuty temu. Czyszczę piec, jak pan widzi.

– Trzy minuty temu!

– Nie ma potrzeby krzyczeć, młody człowieku.

– Przepraszam – powiedział Andras.

Włożył listy do kieszeni i wybiegł na ulicę. Drzwi się za nim zatrzasnęły; dało się jeszcze słyszeć stłumione przekleństwo konsjerżki. Zaczął biec w stronę Marais. Był słoneczny, gorący poranek; na ulicach pełno już było turystów z aparatami fotograficznymi, rodzin z dziećmi na sobotnim spacerze, zakochanych par objętych wpół. Zawołał brata po imieniu i jeden z mężczyzn się odwrócił.

Spotkali się na moście. Tibor wydawał mu się chudszy niż ostatnio; kości policzkowe zarysowały się ostrzej, cienie pod oczami się pogłębiły. Gdy się objęli, wydało mu się, jakby składał się z substancji lżejszej niż cielesność.

– Jak się masz? – zapytał Andras, przyglądając się jego twarzy.

– Nie spałem, odkąd dostałem twój list – odparł Tibor.

– Kiedy przyjechałeś?

– Wczoraj wieczorem. Byłem u ciebie, ale nie było cię w domu.

– Cały wieczór pracowałem. Dopiero teraz odebrałem twój list.

– Więc jeszcze z nią nie rozmawiałeś? Nie wie, że jestem w Paryżu?

– Nie. Nie wie nawet, że do ciebie napisałem.

– Jak ona się czuje, Andras?

– Tak jak poprzednio. Jest bardzo przygnębiona. Ale myślę, że to się wkrótce zmieni.

Tibor uśmiechnął się do brata w zamyśleniu.

– Skoro jesteś taki pewien, że ucieszy się na mój widok, po co za mną goniłeś aż tutaj?

– Bo chciałem cię pierwszy zobaczyć! – powiedział Andras i zaczął się śmiać.

– No i? – Tibor rozpostarł ramiona.

– Wyglądasz fatalnie, jak zwykle. A ja?

– Niezasznurowane buty. Plamy tuszu na koszuli. Nie ogoliłeś się.

– Wspaniale. No to chodźmy.

Wziął Tibora pod ramię i pociągnął go w stronę rue de Sévigné. Ale Tibor ani drgnął. Położył rękę na balustradzie mostu i spojrzał w wody Sekwany.

– Nie wiem, czy potrafię się na to zdobyć – powiedział. – Jestem przerażony.

– Oczywiście, że potrafisz – zapewnił go Andras. – Teraz, gdy już tu jesteś, musisz to zrobić. – Machnął głową w kierunku Marais. -Chodźmy.

Szli razem, obaj oszołomieni brakiem snu. Po drodze Tibor kupił pęk peonii w kwiaciarni na rogu. Zanim dotarli do domu Klary, Andras przyswoił sobie lęki brata; martwił się, że powinni byli zawiadomić wcześniej o swoim przybyciu. Spojrzał przez okno na spokojne oświetlenie studia, jeszcze pustego przed pierwszą lekcją, i pożałował tego najścia w spokojny sobotni poranek.

Wewnątrz panował jednak chaos. Drzwi wejściowe otworzyły się pod lekkim dotknięciem Andrasa; z góry dobiegały odgłosy jakiegoś zamieszania – głos Klary był donośny i spanikowany, pani Apfel krzyczała. Przez chwilę Andras myślał, że przyszli za późno: że Ilana w desperacji odebrała sobie życie, a Klara właśnie znalazła jej ciało. Chwycił poręcz i pobiegł na górę, a Tibor za nim.

Ilany nigdzie jednak nie było. Pani Apfel wyszła im naprzeciw u szczytu schodów.

– Nie ma jej! – powiedziała. – Mała lisica uciekła!

– Kto? – zapytał Andras. – Co się stało?

– Uciekła do Ameryki z monsieur Camdenem. Zostawiła matce liścik. Mogłabym udusić to dziecko! Mogłabym skręcić jej kark.

Z głębi dobiegł ich łomot czegoś dużego i twardego. Andras wszedł do sypialni Klary, właśnie gdy zdejmowała z szafy walizkę. Rzuciła ją na niepościelone łóżko, otworzyła wieko i wyjęła swój płaszcz automobilowy z papierowego pokrowca.

– Co ty robisz? – zapytał Andras.

Zwróciła ku niemu zapłakane oczy i zaczerwienioną twarz.

– Jadę za nią – odparła i rzuciła mu liścik.

Okrągłym, dziecinnym charakterem pisma Elisabet wyjaśniła, że musi jechać, że dłużej już nie może czekać, że boi się rozwoju sytuacji w Polsce, która może popchnąć Francję ku wojnie, zanim zdążą popłynąć. Wyjechali z Paryża pociągiem dziś rano. Wypłyną do Nowego Jorku jutro na S/S „Île de France” i pobiorą się na pokładzie, ślubu udzieli im kapitan. Przepraszała – w tym miejscu litery były zamazane – i następne, co udało mu się odczytać, to: „byłoby wszystkim lżej, gdybym”, tu znów następowała nieczytelna linijka. „Napiszę, jak tylko dotrzemy na miejsce”, kończyła, „dziękuję za wyprawę ślubną i za wszystko. Twoja” etc.

– Kiedy to dostałaś?

– Dziś rano. Wszystkie jej rzeczy zniknęły.

– I chcesz ją złapać?

– Mogę za nią pojechać do Hawru. Jeśli weźmiemy samochód, będziemy tam jeszcze dziś po południu.

Andras westchnął. Więź pomiędzy Klarą i Elisabet była bardzo mocna.

Rozumiał, dlaczego Elisabet mogła chcieć uciec. Gniewało go jednak, że wyniosła rzeczy po cichu nocą, wszystkie te skrupulatnie spakowane skrzynie z ubraniem i bielizną, które Klara dla niej przygotowała.

– Wynajęłaś samochód? – zapytał.

– Pani Apfel miała zadzwonić. Powinien tu być lada chwila.

– Klaro…

– Wiem. – Usiadła na łóżku, trzymając płaszcz automobilowy na kolanach. – To dorosła dziewczyna. I tak wyjedzie. Powinnam jej pozwolić wyjechać. Niech robi to, co uważa za stosowne.

– Chcesz ją zatrzymać? Myślisz, że możesz ją przekonać, by nie jechała?

– Nie – westchnęła. – Ale skoro jest zdeterminowana, chcę ją odprowadzić. Chcę się pożegnać z moją córką.

Oczywiście to rozumiał. To był już koniec wojny o wyzwolenie Elisabet; Klara chciała tylko wynegocjować warunki pokoju osobiście, a nie przez Atlantyk. Jeśli w jej kapitulacji był jeszcze ślad walki, to też rozumiał. W końcu prowadziła tę walkę od lat i nie mogła łatwo zrezygnować.

– Pojadę z tobą – powiedział. – Chyba że nie chcesz.

– Chcę. Jedź ze mną, proszę.

– Ale jest jeszcze coś, co muszę ci powiedzieć, Klaro – dodał. -Przyjechał Tibor.

– Tibor? Twój brat tu jest?

– Tak. Jest tu, w tej chwili, w mieszkaniu.

– Nie mówiłeś, że ci odpisał.

– Dostałem jego list dopiero dziś rano.

– Ilana – powiedziała i poszli ją zawiadomić.

Lecz Ilana i Tibor już się odnaleźli. Siedzieli razem na kanapie w salonie. Na jej twarzy malował się wyraz niedowierzania i szczęścia; na jego – ulgi i wyczerpania. Wcale się nie zmartwili, gdy się dowiedzieli, że Andras i Klara jadą do Hawru i że dziś będą musieli dotrzymać towarzystwa sobie nawzajem.

– Zadzwońcie do nas, jak dotrzecie do Hawru – powiedział Tibor. – Dajcie znać, czy ją odnaleźliście.

Z dołu dobiegł podwójny dźwięk klaksonu; firma wynajmująca samochody dostarczyła pojazd, pora była jechać. Pani Apfel podała im kosz z rzeczami, które spakowała na podróż. Parę minut później byli już w drodze, pokonując kręte ulice Paryża. Andras z zaciśniętymi pięściami na siedzeniu pasażera, Klara z ponurą miną energicznie kierując autem. Zanim wydostali się poza miasto, czoło Klary nieco się wypogodziło. Poranne słońce zalewało pola lawendy przy drodze, a zapach spalin stanowił przyjemny kontrapunkt dla słodkiego aromatu pól. Milczeli wśród szumu wiatru i hałasu silnika, ale gdy znaleźli się na dłuższym odcinku prostej drogi, Klara wzięła go za rękę.

Paul i Elisabet nie próbowali się ukrywać. Zatrzymali się w tym samym hotelu, o którym była mowa miesiąc wcześniej, gdy planowali rejs. Andras i Klara weszli do wysokiego białego holu i zapytali o nich w recepcji. Kazano im zaczekać, a następnie pójść za portierem. Młodzi siedzieli na werandzie z widokiem na port, gdzie cumował S/S „Île de France” w swoim marynarskim stroju, z czerwonymi kominami w czarne pasy. Klara podbiegła do nich, wołając Elisabet po imieniu, a dziewczyna wstała z fotela z wyrazem zaskoczenia i ulgi na twarzy. Andras jeszcze nie widział jej tak uszczęśliwionej widokiem matki. Następnie zrobiła coś niespodziewanego: zarzuciła Klarze ręce na szyję i wybuchnęła płaczem.

– Wybacz mi! – zaszlochała na ramieniu matki. – Nie powinnam tak wyjeżdżać. Nie wiedziałam, co robić!

Paul przyglądał się tej scenie z wyraźnym zmieszaniem; z rezerwą kiwnął Andrasowi na powitanie i zamówił dla wszystkich drinki.

– Co ty sobie myślałaś? – zapytała Klara, dotykając twarzy Elisabet, gdy usiedli wszyscy razem. – Czy musiałaś mi odmówić zwykłego pożegnania? Myślałaś, że cię zamknę w pokoju i nie wypuszczę?

– Nie wiem – odparła Elisabet, wciąż płacząc. – Przepraszam.

Zawstydzona nawijała na palec końcówki świeżo ostrzyżonych włosów; bez długiego blond warkocza jej głowa wyglądała na małą i ogołoconą. Krótka fryzura uwypukliła jej blade nieumalowane usta.

– Bałam się. Nie wiedziałam, czy wytrzymam pożegnanie.

– A ty? – Klara zwróciła się do Paula. – Czy tak rozstałeś się z matką, gdy wyjeżdżałeś do Europy?

– Ależ nie, madame.

– Ależ nie, no właśnie. W przyszłości proszę, żeby mnie pan traktował z takim samym szacunkiem, z jakim pan traktuje własną matkę.

– Przepraszam, madame.

Wyglądał na skruszonego. Andras zastanawiał się, czy jego matka zwraca się do niego tym tonem. Próbował sobie wyobrazić matkę Paula, ale jedyne, na co go było stać, to obraz baronowej Kaczyńskiej w spodniach do jazdy konnej, siedemnastowiecznej arystokratki, której skomplikowaną historię i pochodzenie musiał przestudiować w szkole w Debreczynie.

– Naprawdę chcecie pobrać się na statku? – zapytała córkę Klara. – Tego byś chciała?

– Tak zdecydowaliśmy – odparła Elisabet. – To ekscytujące.

– Zatem nie będę na twoim ślubie.

– Zobaczymy się potem. Kiedy przyjedziemy z wizytą.

– A jak myślisz, kiedy to będzie? – zapytała Klara. – Kiedy będziesz w stanie zapłacić za bilet przez ocean? Zwłaszcza jeśli rodzice twego męża nie zaakceptują waszego związku?

– Myśleliśmy, że może pani mogłaby przeprowadzić się do Stanów – powiedział Paul. – Zęby być blisko dzieci i tak dalej, jeśli będziemy mieli dzieci.

– A co z moimi własnymi dziećmi? – zapytała Klara. – Może dla mnie taka przeprowadzka nie będzie łatwa?

– Jakie dzieci?

Spojrzała na Andrasa i ujęła jego dłoń.

– Nasze dzieci.

– Maman! – zaprotestowała Elisabet. – Chyba nie chcesz mieć dzieci z... – Wskazała kciukiem Andrasa.

– Może chcemy. Rozmawialiśmy o tym.

– Ale przecież jesteś *une femme d'un certain age*! Klara się roześmiała.

– Wszyscy jesteśmy w pewnym wieku, prawda? Ty na przykład jesteś w wieku, w którym trudno sobie wyobrazić, że trzydzieści dwa lata to może być początek, a nie koniec życia.

– Ale ja jestem twoją córką – powiedziała Elisabet, bliska łez.

– Oczywiście, że jesteś – odparła Klara i założyła Elisabet za ucho jeden z jej krótkich loków. – Dlatego właśnie tu przyjechałam. Nie mogłam się z tobą nie pożegnać.

– Mesdames – wtrącił Andras. – Przepraszam bardzo. Pan Camden i ja udamy się teraz na przechadzkę i zostawimy was same.

– Właśnie – zgodził się Paul. – Pójdziemy obejrzeć statek.

Wszystko to nieco ich przerosło; za dużo płaczu jak na gust Paula, a Andras czuł się oszołomiony wzmianką o swoich przyszłych dzieciach. Obaj odczuli ulgę, zostawiając Klarę i Elisabet; spędzili chwilę we własnym towarzystwie.

W drodze do portu przeszli przez targ, obok człowieka handlującego makrelą, solą, langustynkami, jagodami w pudełkach, dyniami w sznurkowych workach i małymi żółtymi śliwkami na tuziny. Na ulicach było pełno rodzin na wakacjach, a z dzieci przyodzianych w marynarskie ubranka można było utworzyć dziecięce załogi statków. Z rezerwą, jakby wybuch emocji, którego byli świadkami, zagrażał ich męskości, Andras i Paul zaczęli rozmawiać o statkach, sporcie, a potem, gdy minęli angielski okręt wojenny przy jednej z kei, o perspektywie wojny. Wszyscy mieli nadzieję, że deklaracja poparcia dla Polski ze strony Chamberlaina przyniesie kilka tygodni spokoju w sprawie Gdańska, a ostatecznie może nawet pokojowe rozstrzygnięcie, ale Hitler właśnie zakończył spotkanie w Berchtesgaden z przywódcą gdańskich nazistów i wysłał do portu Wolnego Miasta okręt wojenny. Jeśli Niemcy zajmą Gdańsk, Anglia i Francja przystąpią do wojny. W tym tygodniu francuskie lotnictwo dokonało próbnego ataku na Londyn, by sprawdzić gotowość angielskiej obrony przeciwlotniczej. Niektórzy londyńczycy myśleli, że wojna już się zaczęła, i trzy osoby poniosły śmierć w wyniku paniki, jaka powstała, gdy ludność biegła do schronów.

– Co twoim zdaniem zrobi Ameryka? – zapytał Andras. Paul wzruszył ramionami.

– Roosevelt pewnie wystosuje ultimatum.

– Hitler nie boi się Roosevelta. Widziałeś, co się wydarzyło w kwietniu.

– Nie jestem ekspertem. – Paul uniósł ręce w geście samoobrony. – Jestem tylko malarzem. Na ogół nie czytam nawet gazet.

– Twoja narzeczona jest Żydówką – powiedział Andras. – Jej rodzina mieszka tutaj. Wojna będzie miała na nią wpływ, czy Ameryka do niej przystąpi, czy nie.

Dłuższy czas stali w milczeniu, przyglądając się pancerzowi okrętu najeżonego bronią.

– Jaką służbę byś wybrał, gdybyś musiał iść na wojnę? – spytał Paul.

– Na pewno nie marynarkę – odparł Andras. – Morze zobaczyłem po raz pierwszy rok temu. Na pewno nie piechotę w okopach. Mógłbym się za to nauczyć pilotażu. Chciałbym latać.

Paul uśmiechnął się szeroko.

– Ja też – powiedział. – Zawsze uważałem, że fantastycznie byłoby być pilotem.

– Nie chciałbym musieć zabijać – dodał Andras.

– No tak – zgodził się Paul. – To jest problem. Nie miałbym jednak nic przeciwko temu, żeby zostać bohaterem. Chciałbym dostać medale.

– Ja też – przyznał Andras. Przyjemnie było się do tego przyznać, chociaż jednocześnie trochę się tego wstydził.

– A więc do zobaczenia w powietrzu – powiedział Paul i zaśmiał się, choć był to śmiech jakby wymuszony, jakby możliwość wojny i udziału w niej nagle wydała mu się bardziej realna.

Doszli do kei, gdzie stał S/S „Île de France”; jego olbrzymi kadłub górował nad nimi jak czoło lodowca. Błyszczał od świeżej farby; każda litera jego nazwy była tak wysoka i szeroka jak człowiek. Morze kotłowało się wokół niego, przynosząc ostry zapach zdechłych ryb, oleju, wodorostów i czegoś słonawego i wapiennego; być może był to zapach wody morskiej. Statek wznosił się nad nimi swoimi piętnastoma piętrami; stąd, gdzie stali, można było doliczyć się

czterech poziomów tarasów. Na deku widać było tłumy tragarzy, marynarzy, pokojówek z naręczami bielizny. Setki osób brało udział w ostatnich przygotowaniach przed siedemnastu dniowym rejsem rzeszy ludzi dorównującej populacji małego miasteczka. Na pokładzie znajdzie się tysiąc pięciuset pasażerów, poinformował Andrasa Paul. Było tam pięć sal balowych, kino, strzelnica, ogromna sala gimnastyczna, kryty basen i setki szalup. Statek miał prawie dwieście pięćdziesiąt metrów długości; pływał z prędkością dwudziestu czterech węzłów. A na pokładzie czekała na Elisabet niespodzianka, ostatnia ekstrawagancja: mieli własny apartament z prywatnym balkonem, a Paul zamówił dostawę trzech tuzinów białych róż i skrzynki szampana.

– Dobrze, że odświeżyłeś stary kapelusz – powiedział Andras. -Pomyśl, ile by cię kosztował nowy.

Tego wieczoru zjedli kolację wszyscy razem na tarasie restauracji z widokiem na port. Zamówili świeże małże w sosie pomidorowym i pieczone ryby z oliwkami i cytryną. Wypili dwie butelki wina, rozmawiali o marzeniach z dzieciństwa i egzotycznych miejscach, które chcieliby zobaczyć, zanim umrą: Indiach, Japonii, Maroku. Było prawie jak na wakacjach. Po raz pierwszy od miesięcy Klara była w dobrym nastroju, jakby odnalezienie Elisabet oznaczało możliwość zatrzymania biegu zdarzeń i zapobieżenia rozłące. Ale plany pozostały niezmienione. Elisabet i Paul mieli wypłynąć następnego dnia rano. Gdy robiło się coraz później, Andras poczuł rosnące napięcie, jakby ktoś od wielu dni nakręcał w nim sprężynę: był to strach, że gdy Elisabet wyjedzie, Klara też zniknie, tak jakby konflikt między matką i córką utrzymywał je obie przy życiu.

Po kolacji rozstali się z Klarą na noc w hotelu. Ona miała spać w apartamencie Elisabet, podczas gdy Paul i Andras dzielili zwykły pokój. Gdy Klara powiedziała *bonne nuit,* położyła dłoń na jego policzku, jakby chciała mu coś obiecać; tej nocy zasnął z nadzieją, że ich wspólne życie będzie balsamem na jej smutek. Gdy zszedł jednak rano na dół, zastał ją stojącą samotnie na werandzie, okutaną w płaszcz automobilowy i przyglądającą się, jak różowe światło wspina się po kominach „Île de France". Przez dłuższą chwilę stał przy drzwiach na werandę, nie podchodząc. Zaczynał się odpływ. Jej córka wyjeżdżała. Nie był w stanie zrobić nic, by powetować jej tę stratę.

O ósmej poszli do doków pożegnać się z Paulem i Elisabet. Statek miał wyruszyć w południe; pasażerowie wsiedli na pokład najpóźniej o dziewiątej. Kupili Elisabet bukiecik fiołków, by mogła je ze sobą zabrać, tuzin wykwintnych ciastek i opakowanie żółtych serpentyn, które mogła rozwinąć na wietrze, gdy

statek ruszy. Miała na sobie słomkowy kapelusz z czerwoną wstążką, a jej niebieskie oczy były rozgorączkowane perspektywą podróży.

Paulowi śpieszyło się, by wsiąść na pokład i zaskoczyć ją zaplanowaną niespodzianką. Ale najpierw chciał, by fotograf z „Île de France" zrobił całej czwórce zdjęcie w porcie ze statkiem w tle. Potem nastąpiło jeszcze zamieszanie z kuframi, bo trzeba było coś z nich wyjąć w ostatniej chwili. W końcu, o oznaczonej godzinie, wulkaniczny dźwięk syreny dobiegł ich spod szczytu wielkiego statku i pasażerowie, którzy jeszcze nie byli na pokładzie, zaczęli się tłoczyć przy trapach.

Nadeszła ta chwila. Klara odciągnęła jeszcze na chwilę Paula na bok, żeby mu coś powiedzieć, a Andras i Elisabet stali, patrząc na siebie na nabrzeżu. Nie zastanawiał się, co jej w tym momencie powiedzieć. Był zaskoczony, bo czuł żal, że wyjeżdża; poprzedniego dnia przy kolacji zaczął dostrzegać, jaka będzie jako dorosła kobieta; okazało się, że ma w sobie więcej z matki, niż sobie wyobrażał.

– Nie martwisz się pewnie, że wyjeżdżam – powiedziała.

W kącikach jej oczu czaił się jednak uśmiech i mówiła po węgiersku.

– Martwię się – powiedział Andras i wziął ją za rękę. – Ale jedź już wreszcie.

Uśmiechnęła się.

– Przypilnuj, żeby mama nas odwiedziła, dobrze?

– Dobrze. Sam chcę zobaczyć Nowy Jork.

– Przyślę ci pocztówkę.

– Świetnie.

– Jeszcze do mnie nie dotarło, że się z nią ożenisz – powiedziała Elisabet. – To znaczy, że będziesz moim…

– Nie wymawiaj tego słowa.

– Dobrze. Ale pamiętaj, jeśli się kiedykolwiek dowiem, że ją skrzywdziłeś, przyjadę i zabiję cię własnymi rękoma.

– A jeśli ja się dowiem, że skrzywdziłaś tego swojego krzepkiego męża – zaczął Andras, ale Elisabet dała mu kuksańca w ramię, a potem trzeba już było się żegnać z Klarą. Stały blisko siebie, Elisabet schyliła głowę, by dotknąć nią głowy matki. Andras odwrócił się i podał rękę Paulowi.

– *See you in the funny papers* – powiedział Paul po angielsku i przetłumaczył to dla Andrasa na francuski. – *Je te verrai dans les bandes dessinées.* Tak się mówi w Stanach na pożegnanie.

– Po francusku brzmi lepiej – stwierdził Andras, a Paul się z nim zgodził.

Statek znów dał sygnał do wejścia na pokład. Klara pocałowała córkę ostatni raz. Paul i Elisabet weszli po trapie i zniknęli w tłumie pasażerów. Klara trzymała Andrasa za ramię, milcząc, z suchymi oczami, dopóki Elisabet nie pojawiła się przy barierce na pokładzie. Już teraz, na długo przed wypłynięciem statku, Elisabet znajdowała się tak daleko, że można ją było rozpoznać tylko po czerwonej wstążce powiewającej na kapeluszu i fioletowej kropeczce, bukieciku fiołków, które trzymała w ręku. Granatowa plama obok niej to musiał być Paul ubrany w stylu marynarskim. Klara wzięła Andrasa za rękę i ją ścisnęła. Jej drobna twarz była blada pod ciemną falą włosów; tak się śpieszyła, wyjeżdżając do Hawru, że zapomniała kapelusza. Machała do Elisabet chusteczką, a córka odpowiadała machaniem.

Trzy godziny później obserwowali, jak „Île de France" przesuwa się ku płaskiemu błękitowi otwartego morza i nieba. Jakie to niesłychane, pomyślał Andras, że tak ogromny statek zmniejsza się do wielkości domku, potem samochodu, książki, buta, orzecha włoskiego, ziarenka ryżu i ziarenka piasku. Jakie to dziwne, że największa rzecz, jaką kiedykolwiek w życiu widział, niknie w wyniku rosnącej odległości. Uświadomiło mu to jego własną małość w obliczu świata i nikłe znaczenie wobec nadchodzących wydarzeń; przez chwilę poczuł w piersi panikę.

– Źle się czujesz? – zapytała Klara, przykładając mu dłoń do policzka. – Co ci jest?

Ale nie potrafił wyrazić słowami tego uczucia. Po chwili minęło i trzeba było iść do samochodu, żeby wrócić do domu.

Rozdział dwudziesty piąty

Węgierski konsulat

PRZEZ CAŁY TEN CZAS, GDY ANDRAS Z Klarą byli w Hawrze, Tibor i Ilana przebywali razem w mieszkaniu na rue de Sévigné. Następnego dnia Tibor wszystko Andrasowi opowiedział, gdy spacerowali nad Sekwaną, przyglądając się długim, płaskim barkom przepływającym pod mostami. Od czasu do czasu można było usłyszeć strzępki cygańskiej muzyki i Andras poczuł się, jakby byli w Budapeszcie, jakby mógł w każdej chwili podnieść głowę i zobaczyć złotą kopułę Parlamentu na prawym brzegu, a na lewym Wzgórze Zamkowe. Popołudnie było wilgotne, pachniało mokrym chodnikiem i rzeką; w ukośnie padającym świetle Tibor wyglądał na przytłoczonego szczęściem. Powiedział Andrasowi, że już w pociągu Ilana wiedziała, że robi błąd, ale nie czuła się na siłach, by zatrzymać coś, co zostało wprawione w ruch. Wszyscy czuli się winni; to była niekończąca się karuzela poczucia winy: jej własnego, Bena Yakova, Tibora. Każde z nich skrzywdziło i zostało skrzywdzone. To cud, zachowali zdrowy rozsądek w tym tyglu cierpienia. Tibora chroniła fizyczna odległość od Paryża, Ilaną opiekowała się Klara, jakby dziewczyna była jej własną córką, a Ben Yakov zwierzył się Andrasowi.

– Wróci ze mną do Włoch – powiedział Tibor. – Zawiozę ją do domu, do Florencji, i tam spędzę resztę wakacji. Poprosiłbym ją o rękę nawet dziś, ale nie chcę, by jej rodzice uważali mnie za wroga. Chciałbym dostać ich zgodę.

– To bardzo chwalebne, ale co zrobisz, jak się nie zgodzą?

– Zaryzykuję. Nigdy nic nie wiadomo. Może mnie polubią.

Minęli Île de la Cité i Petit Pont i znaleźli się w Dzielnicy Łacińskiej; szli rue Saint– Jacques. Przed nimi znajdowała się kamienica Józsefa; Andras ostatni raz był u niego w wieczór po poście Jom Kippur. Od tego czasu parę razy spotykał Józsefa w przelocie, ale nie odwiedził go. Zbliżał się jednak moment, kiedy powinni z Klarą wtajemniczyć go w swoje sprawy. Gdy podeszli bliżej do

budynku, zauważył, że drzwi wejściowe są zablokowane dwiema walizkami z lakierowanej skóry pokrytymi kolorowymi nalepkami, z imieniem i nazwiskiem Józsefa wyraźnie widocznym na bokach. W chwilę później pojawił się sam József w letnim garniturze podróżnym.

– Lévi! – zawołał. Obejrzał Andrasa od stóp do głów z braterskim rozbawieniem. – Muszę przyznać, stary, że dobrze wyglądasz. A oto i drugi Lévi, przyszły lekarz, o ile się nie mylę. Szkoda, że spotykamy się akurat w chwili, gdy muszę jechać. Moglibyśmy pójść razem na drinka. Z drugiej strony może to i dobrze, że jesteście, pomożecie mi złapać taksówkę.

– Wakacje? – zapytał Tibor.

– Początkowo taki był plan – odparł József i na jego twarzy pojawił się obcy wyraz, który Andras określiłby jako rozgoryczenie. – Miałem spotkać się z przyjaciółmi w Saint-Tropez. A tymczasem muszę jechać do pięknego Budapesztu.

– Dlaczego? – spytał Andras. – Coś się stało?

József zamachał na taksówkę. Zatrzymała się przy krawężniku, a kierowca wysiadł, by wziąć bagaż Józsefa.

– Słuchajcie – zaproponował József. – Może pojechalibyście ze mną na dworzec? Jadę na Gare du Nord, z jazdą potrwa to pewnie z pół godziny w tym tłoku. Chyba że macie coś lepszego do roboty.

– Lepszego niż długą przejażdżkę w dusznym aucie? – zapytał Andras. – Chyba nie.

Wsiedli do taksówki i pojechali rue Saint– Jacques w kierunku, z którego przyszli. József położył ramię na oparciu kanapy i zwrócił się w stronę Andrasa.

– No cóż, Lévi – powiedział. – To nie jest dobra wiadomość, ale muszę ci o tym powiedzieć.

– O co chodzi? – zapytał Andras.

– Czy przedłużyłeś swoją studencką wizę wyjazdową?

– Jeszcze nie, bo co?

– Nie zdziw się, jak będziesz miał problemy w konsulacie węgierskim.

Andras zmrużył oczy i przyjrzał się Józsefowi; ukośne popołudniowe światło wpadało przez okno do wnętrza i wydobyło coś, czego przedtem nie zauważył: cień zmartwienia pod oczami Józsefa, ślad nieprzespanej nocy.

– Jakie problemy?

– Poszedłem tam, by przedłużyć wizę. Wydawało mi się, że jest ważna jeszcze przez kilka tygodni. Nie sądziłem, że będą jakieś problemy. Ale oni powiedzieli mi, że nie mogą mi przedłużyć wizy wyjazdowej, nie we Francji.

– Przecież to bez sensu – powiedział Tibor. – Od tego jest konsulat.

– Zdaje się, że już nie.

– Jeśli nie chcą przedłużyć ci wizy we Francji, to gdzie to zrobią?

– Na Węgrzech – odparł József. – Dlatego właśnie wracam.

– A nie mogłeś poprosić ojca, żeby ci pomógł to załatwić? – zapytał Andras. – Czy nie mógłby wykorzystać swoich koneksji, żebyś kogoś przekonać? Albo, z przeproszeniem, dać komuś łapówkę?

– Wydawałoby się, że mógłby – odparł József. – Ale wygląda na to, że nie może. Wpływy mojego ojca nie są już takie jak dawniej. Nie jest już prezesem banku. Pracuje w tym samym, biurze, ale ma inne stanowisko. Sekretarz, doradca czy coś w tym rodzaju.

– Chodzi o to, że jest Żydem?

– Oczywiście. A o cóż innego?

– Rozumiem, że tylko Żydzi muszą wracać na Węgry, żeby przedłużyć ważność wiz.

– Chyba nie jesteś zaskoczony, stary. Andras wyjął dokumenty z kieszeni.

– Moja wiza jest ważna jeszcze przez trzy tygodnie.

– Mnie się też tak wydawało. Ale jest nieważna, jeśli nie uczęszczasz na kursy letnie. Następny semestr się podobno nie liczy. Lepiej idź do konsulatu, zanim ktoś sprawdzi twoje dokumenty. Z punktu widzenia władz jesteś tu teraz nielegalnie.

– To niemożliwe. To kompletnie bez sensu.

József wzruszył ramionami.

– Niestety.

– Nie mogę teraz jechać do Budapesztu – powiedział Andras.

– Mówiąc szczerze, nawet się cieszę – wyznał József. – Popływam w Szécsenyi, pójdę na kawę w Garbeaud, zobaczę się z chłopakami z gimnazjum. Może pojadę do domku nad Balatonem na trochę. Potem załatwię co trzeba w urzędzie paszportowym i wrócę na początek semestru, o ile w ogóle będzie semestr jesienny, bo to już zależy od kaprysu Herr Hitlera.

Andras padł na oparcie siedzenia, próbując ochłonąć po tym, co usłyszał. Normalnie ucieszyłby się z pretekstu do powrotu do domu na parę tygodni; w końcu od dwóch lat nie widział się z rodzicami i Mátyásem. Ale miał się przecież ożenić, i to jeszcze przed wyjazdem Tibora z Paryża. Miał przeprowadzić się na rue de Sévigné. Poza tym pozostawał przecież problem Hitlera i Gdańska. To nie był dobry czas na podróż pociągiem do Budapesztu, na przemierzanie kontynentu, na kwestionowanie ważności wizy. Ponadto skąd miał wziąć pieniądze na podróż? Koszt biletu w obie strony pochłonąłby wszystko, co odłożył na pierścionek dla Klary, i czesne na jesieni. Nie miał tylu oszczędności co Tibor. Nie pracował przez sześć lat przed rozpoczęciem studiów. Zrobiło mu się słabo i musiał opuścić szybę w oknie i zwrócić twarz w stronę podmuchu powietrza.

– Powinienem był powiedzieć ci o tym wcześniej – rzekł József. -Mogliśmy razem pojechać.

– To moja wina – odparł Andras. – Nie miałem ochoty cię widzieć, odkąd zalałem się w trupa w twoim domu.

– Nie krępuj się – rzucił József. – Mnie nie musisz się wstydzić z tego powodu.

Odwrócił się do Tibora.

– A co u ciebie? Jak szkoła medyczna? W Szwajcarii?

– We Włoszech.

– Oczywiście. Jesteś już więc prawie lekarzem?

– Niezupełnie.

– A co cię sprowadza do Paryża?

– Długo by opowiadać. Krótko mówiąc, staram się o pewną kobietę, która była żoną kolegi Andrasa. Cieszę się, że wyjeżdżasz, zanim zdążysz ze mnie wyciągnąć więcej.

– Wyborne – zaśmiał się József. – Szkoda, że nie mam czasu na dłuższą wersję.

Dojechali do dworca i taksówkarz wysiadł, by zdjąć walizki z dachu. József wyjął portfel i odliczył pieniądze. Andras i Tibor wysiedli za nim i pomogli mu wnieść bagaż.

– Lepiej już idź – powiedział Andras, gdy oddali walizki tragarzowi. – Żebyś się nie spóźnił na pociąg.

– Słuchaj – powiedział József. – Jeśli przyjedziesz do Budapesztu, odezwij się do mnie. Napijemy się. Przedstawię cię znajomym dziewczynom.

– Monsieur Hász, znany playboy – mruknął Tibor.

– Nie zapomnij – powiedział József i mrugnął. Następnie zarzucił sobie na ramię brązową torbę i długimi susami pobiegł w stronę zatłoczonego peronu.

Nim minie tydzień, Andras będzie musiał sam wrócić z walizką i torbą na Gare du Nord. Teraz jednak, gdy ruszyli z Tiborem w stronę rue de Sévigné, wiedział tylko, że musi iść do konsulatu i wytłumaczyć im, że chce zalegalizować swój pobyt. Tylko do końca miesiąca – żeby zdążył poślubić swoją wybrankę i załatwić akt ślubu. Gdy już będą małżeństwem, zyska przecież prawo do francuskiego obywatelstwa? Będzie mógł podróżować do woli?

U Klary paliły się światła, a kobiety zamknęły się w sypialni. Ilana wyszła, by powiedzieć Andrasowi, żeby nie wchodził. Była tam krawcowa; za drzwiami Klary trwały sekretne przygotowania jej ślubnej garderoby.

Andras westchnął rozczarowany. Poszli z Tiborem do pokoju od frontu i usiedli na kanapie; Tibor wyjął własne papiery z kieszeni i przyglądał się swojej wizie.

– Moja jest ważna do stycznia następnego roku – powiedział. – I zapisałem się na letnie kursy, chociaż obawiam się, że nie zdam tego, który teraz opuściłem.

– Jesteś na liście studentów. To powinno wystarczyć.

– Ale co będzie z tobą? Co zrobisz?

– Pójdę do konsulatu – odparł Andras. – Potem pójdę do merostwa. Zrobię wszystko, co się da. Muszę mieć ważne papiery do aktu ślubu.

Z sypialni dobiegły ich okrzyki i coraz głośniejsze śmiechy trzech kobiet. Tibor położył swoje dokumenty na stole.

– Co jej powiesz?

– Na razie nic – odparł Andras. – Nie chcę, żeby się martwiła.

– Jutro pójdziemy do konsulatu. Gdy wytłumaczysz im, o co chodzi, może dostaniesz przedłużenie, A jeśli zaczną robić trudności, będą mieli ze mną do czynienia. – Potrząsnął pięścią.

Ale jego dłonie były eleganckimi dłońmi pianisty, szczupłe i długie; knykcie palców lśniły jak wypolerowane przez rzekę kamienie, ścięgna rysowały się pod skórą jak delikatne kostki ptasich skrzydeł.

– Niech Bóg nam dopomoże – powiedział Andras i uśmiechnął się z wysiłkiem.

Konsulat węgierski znajdował się opodal niemieckiej ambasady, gdzie Ernst vom Rath zginął z ręki zamachowca. Na pierwszy rzut oka budynek mógł wzbudzić w rodaku tęsknotę za domem: jego fasada wyłożona była mozaiką przedstawiającą widoki Budapesztu i węgierskiej wsi. Artysta miał jednak szczególną zdolność do ukazywania brzydoty: przedstawieni ludzie wyglądali, jakby cierpieli na anemię albo opuchliznę, jego krajobrazy przeczyły zasadom perspektywy, ale na tyle niezdecydowanie, że budziły u widza tylko lekkie nudności. Andras i tak nie miał tego dnia ochoty na śniadanie; w nocy nie mógł spać. Jakoś udało mu się przetrwać poprzedni wieczór, nie wspominając Klarze o powstałej sytuacji, ale wzbudził w niej podejrzenie, że coś jest nie tak. Po obiedzie, gdy Andras i Tibor zbierali się do wyjścia do Dzielnicy Łacińskiej, zatrzymała go w korytarzu i spytała, czy może ma wątpliwości co do ślubu.

– Ani trochę – odparł. – Wprost przeciwnie. Nie mogę się doczekać.

– Ja też – powiedziała i objęła go w ciemnym korytarzu. Pocałował ją, lecz duchem był nieobecny. Cały czas myślał o tym, co najbardziej go martwiło od czasu jazdy taksówką: nie że będzie musiał dyskutować z urzędnikami konsulatu ani skąd weźmie pieniądze na bilet do domu, lecz że człowiekiem, który musiał wyjechać, był József Hász, którego nigdy nie dotyczyły trudności życia codziennego – József Hász wyjechał do Budapesztu z powodu stempelka na dokumencie.

Następnego dnia w konsulacie ruda matrona z akcentem Hajdú poinformowała Andrasa, że ważność jego wizy skończyła się wraz z końcem zajęć akademickich na początku lata i że od półtora miesiąca przebywa we Francji nielegalnie; musi natychmiast wyjechać, jeśli nie chce być aresztowany. Dostał pismo zaświadczające, że zostanie wpuszczony z powrotem na Węgry. Wydało

mu się to zbędną formalnością, miał przecież węgierskie obywatelstwo. Był jednak zbyt przygnębiony, by się nad tym zastanawiać. Musiał się dowiedzieć, co ma zrobić, gdy znajdzie się w Budapeszcie, i jak szybko może wrócić do Paryża. Tibor, który zgodnie z obietnicą mu towarzyszył, trzymał ręce w kieszeni i zadawał uprzejme pytania w momentach, gdy Andras zacząłby już zapewne żądać, krzyczeć i dyskutować. Dzięki temu dowiedzieli się że jeśli Andras będzie miał ze szkoły zaświadczenie, że jest na liście studentów oraz że otrzyma stypendium od jesieni, w Budapeszcie powinien bez problemu otrzymać dwuletnią wizę wyjazdową. List może napisać jeden z nauczycieli akademickich na firmowym papierze szkoły z oficjalną pieczęcią. Tibor serdecznie podziękował za informacje, a ruda kobieta posunęła się nawet do tego, że przeprosiła ich za niedogodności. Jej małe załzawione oczy nie wyrażały jednak żadnych uczuć, gdy stemplowała wizę Andrasa pieczątką ÉRVÉNYTELEN. „Nieważna". Musiał wyjechać natychmiast. Nie było sensu iść do merostwa, by ubiegać się o akt ślubu; mogli go tam aresztować, gdyby zobaczyli jego nieważne dokumenty. Bilet kolejowy pochłonie wszystkie jego oszczędności, ale nie miał wyboru. Gdy wróci, zacznie znów odkładać pieniądze.

Poszli z Tiborem do École Spéciale po oficjalne pismo, ale okazało się, że drzwi frontowe są zamknięte. Oczywiście: szkoła była przecież nieczynna do końca sierpnia. Wszyscy, nawet urzędnicy administracji, przebywali na wakacjach. Wrócą dopiero na początku września. Andras zaklął soczyście po węgiersku, wznosząc wzrok ku mlecznemu niebu.

– Jak zdobyć papier firmowy? – zapytał Tibor. – I pieczęć szkoły?

Andras zaklął jeszcze raz, a potem przyszedł mu do głowy pomysł. Jeśli znał coś bardzo dobrze, to na pewno układ architektoniczny École Spéciale. Projekt szkoły studiowali w czasie zajęć w pracowni. Robili wyczerpujące analizy każdego aspektu tego budynku, od kamiennych fundamentów przez neoklasycystyczny hol po szklany dach auli w kształcie piramidy. Znał każde drzwi, każde okno, nawet otwory na dostawy węgla i sieć rur poczty pneumatycznej, które pozwalały wysyłać wiadomości z sekretariatu do gabinetów profesorów. Wiedział na przykład, że gdy podejść do tylnej ściany szkoły od strony cmentarza Montparnasse, to w zaroślach bluszczu człowiek natknie się na drzwi tak dobrze ukryte, że nigdy nie były zamykane. Można było wejść nimi na dziedziniec, a stamtąd do biur przez okna, które miały rozklekotane zawiasy. Dzięki tym tajemnym przejściom Tibor i Andras znaleźli się w świątynnej ciszy szkoły opuszczonej na okres wakacji. Pudełko z papeterią zawierało papier firmowy, a pieczęć Tibor znalazł w szufladzie biurka sekretarki. Ani on, ani

Andras nie byli biegli w maszynopisaniu; osiem razy musieli zaczynać od nowa, nim udało im się sporządzić zaświadczenie, że Andras jest studentem École Spéciale i jesienią będzie nadal otrzymywał stypendium. U dołu napisali nazwisko Pierre'a Vago, po czym Tibor sfałszował jego podpis tak zamaszystym ruchem, że nauczyciel poczułby się zazdrosny. Następnie opatrzyli list pieczęcią szkoły.

Zanim wyszli, Andras pokazał Tiborowi tabliczkę z informacją o nagrodzie Prix du Amphithéâtre. Przez dłuższy czas Tibor stał i patrzył na tabliczkę z założonymi na piersi rękami. W końcu wrócił do biura, skąd wziął jeszcze dwa arkusze papieru firmowego i ołówek. Przyłożył papier do tabliczki i zrobił dwa odwzorowania. – Jedno dla rodziców – powiedział – i jedno dla mnie.

Musieli jeszcze pójść na pocztę, by zatelegrafować do Mátyása i poinformować go, że Andras przyjeżdża. Nie chcieli zawiadamiać rodziców, dopóki Andras nie dotrze do Budapesztu. Telegram by ich niepotrzebnie zdenerwował, a list z Francji mógł nawet nie dotrzeć przed jego powrotem do Paryża. Na poczcie zmartwieni ludzie pochylali się nad kartkami na blatach, układając nieświadomie haiku o różnych sprawach, od narodzin przez miłość, pieniądze aż po śmierć. Niedokończone wiadomości walały się po podłodze: MAMAN I RECEIVED... MATHILDE: REGRET TO INFORM... Podczas gdy Tibor sprawdzał rozkład jazdy pociągów, który był dostępny w okienku, Andras poszedł po blankiet i ołówek. Pracownik w zielonej czapce z daszkiem skierował go do jednego z blatów. Andras stanął przy nim i czekał na Tibora, który przyniósł informację, że Ekspres Dunajski odjeżdża nazajutrz rano o 7.33 i przybywa do Budapesztu siedemdziesiąt dwie godziny później.

– To co napiszemy? – zapytał Andras. – Za wiele jest do powiedzenia.

– No to może tak – zaproponował Tibor, śliniąc końcówkę ołówka. MÁTYÁS: PRZYJEŻDŻAM BUDAPESZT CZWARTEK RANO. WYKĄP SIĘ. TWÓJ ANDRAS.

– Wykąp się?

– Pewnie będziesz z nim nocował w jednym łóżku.

– Dobry pomysł. Dobrze, że jesteś ze mną i mi pomagasz.

Zapłacili i telegram znalazł się w kolejce do nadania. Teraz Andras musiał już tylko pójść na rue de Sévigné i powiedzieć o wszystkim Klarze. Bał się tej rozmowy i nowin, które miał przekazać: zakłócone plany ślubu, nieważna wiza. Potwierdzenie jej podejrzeń, że stało się coś złego. Los Europy jest tak niepewny, jak więc ma ją przekonać, że ich własna przyszłość jest bezpieczna? Gdy dotarli

do domu, okazało się, że Klara i Ilana wybrały się razem na jakąś tajną misję – gdzie, tego pani Apfel nie chciała zdradzić. Była czwarta; w zwykły dzień Klara miałaby teraz lekcje, ale jej szkoła też przeżywała sierpniowy zastój. Gdyby nie rozwód Ilany i wyjazd Elisabet, sami pewnie by wyjechali, może znów do kamiennego domku w Nicei. Ale zostali w mieście, gdzie pozamykały się sklepy i restauracje, a ulice drzemały w złotej mgiełce. Andras zastanawiał się, dokąd mogły pójść w tajemnicy Klara i Ilana. Wróciły pół godziny później z wilgotnymi włosami, zaróżowioną i rozświetloną cerą, jakby emanując jakimś światłem. Były w tureckiej łaźni w Szóstej Dzielnicy. Nie potrafił się powstrzymać: poszedł za Klarą do sypialni, by popatrzeć, jak się przebiera do kolacji. Uśmiechnęła się przez ramię, gdy jej letnia sukienka opadła na ziemię. Jej ciało było chłodne i blade, skóra aksamitna jak liść szałwii. Przecież to niemożliwe, by wsiadł do pociągu, by oddalił się od tej kobiety choćby na jeden dzień.

– Klárika – odezwał się, a ona odwróciła się do niego.

Suche już włosy opadały miękkimi lokami wokół jej karku i czoła; tak bardzo jej pragnął, że miał ochotę ją ugryźć.

– O co chodzi? – Położyła dłoń na jego nagim ramieniu.

– Coś się stało – powiedział. – Muszę jechać do Budapesztu.

– Mój Boże, Andras. Czy ktoś umarł? – Zaskoczona zamrugała powiekami.

– Nie, nie. Skończyła mi się wiza.

– Nie możesz po prostu iść do konsulatu?

– Zmienili przepisy. Dowiedziałem się od Józsefa. On też musiał wyjechać… Spotkałem go, gdy jechał na Gare du Nord. Jestem tu teraz nielegalnie z punktu widzenia władz. Muszę natychmiast wyjechać. Jutro rano mam pociąg.

Wzięła biały jedwabny szlafrok i owinęła się nim, a potem usiadła na niskim krześle przy toaletce; z jej twarzy odpłynęła krew.

– Do Budapesztu – powtórzyła.

– Tylko na kilka dni.

– A co będzie, jeśli pojawią się jakieś problemy? A jeśli nie przedłużą ci wizy? A jeśli w tym czasie wybuchnie wojna?

Powoli, z namysłem rozwiązała zieloną wstążkę, która przytrzymywała jej włosy, i dłuższy czas siedziała z kawałkiem jedwabiu w dłoni. Gdy znowu zaczęła mówić, z jej głosu zniknęło delikatne opanowanie.

– Mieliśmy się pobrać w przyszłym tygodniu, a teraz ty jedziesz na Węgry, akurat tam, gdzie nie mogę ci towarzyszyć.

– Nie będzie mnie tylko tyle czasu, ile trzeba. Zobaczę się z rodzicami i wrócę.

– Nie zniosę tego, jeśli wydarzy się coś złego.

– Myślisz, że chcę bez ciebie jechać? – zapytał i pociągnął ją w górę ku sobie. – Myślisz, że mogę znieść myśl o tym? Dwa tygodnie bez ciebie, gdy Europa jest na skraju wojny? Myślisz, że tego chcę?

– A gdybym pojechała z tobą?

– Oboje wiemy, że to niemożliwe – pokręcił głową. – Rozmawialiśmy o tym. To zbyt niebezpieczne, zwłaszcza teraz.

– Nie brałam tego pod uwagę, dopóki Elisabet tu była, ale teraz nie muszę już siebie chronić. Teraz już wiem, Andras, jak musiała cierpieć moja matka, gdy wyjechałam. Ona jest coraz starsza. Kto wie, kiedy będę miała okazję znów ją zobaczyć. Minęło ponad osiemnaście lat. Może uda mi się spotkać z nią w tajemnicy. Nikt się nie dowie. Jeśli się uwiniemy szybko, to nie będzie niebezpieczne. Od prawie dwudziestu lat jestem Claire Morgenstern. Mam francuski paszport. Dlaczego ktokolwiek miałby to kwestionować? Proszę cię, Andras. Pozwól mi jechać.

– Nie mogę – odparł. – Nie wybaczyłbym sobie, gdyby cię aresztowali.

– Czy to byłoby gorsze niż rozstanie?

– To tylko dwa tygodnie, Klaro.

– Dwa tygodnie, gdy wszystko może się zdarzyć!

– Jeśli w Europie wybuchnie wojna, tu będziesz znacznie bezpieczniejsza.

– Moje bezpieczeństwo! – prychnęła. – Cóż mnie ono obchodzi?

– Pomyśl, że mnie obchodzi – odparł i pocałował jej blade czoło, policzki i usta. – Nie mogę ci pozwolić jechać. Nie ma sensu o tym mówić. Nie mogę. Zaraz muszę iść do domu, żeby się spakować. Pociąg mam jutro o wpół do ósmej. Teraz się zastanów. Usiądź i pomyśl, co byś chciała przesłać do Budapesztu. Wezmę twoje listy.

– Niewielkie pocieszenie!

– Pomyśl, jak ucieszy się twoja matka. Drżącymi rękami dotknął jej włosów, ramion.

– Mogę z nią porozmawiać, Klaro. Zapytam ją, czy zgadza się, bym cię poślubił.

Skinęła głową i wzięła go za rękę, ale nie patrzyła mu w oczy. Wyglądało na to, że w odruchu samoobrony wycofała się do jakiegoś odległego zakątka. Gdy przeszli do salonu, żeby napisała list, stanął przy otwartym oknie i przyglądał się wysuszonym kasztanowcom, ich liściom bladym od spodu. Podmuch z zewnątrz pachniał burzą. Andras wiedział, że ma na względzie bezpieczeństwo Klary, że postępuje tak, jak powinien postępować mąż. Wiedział, że robi to, co należy. Wkrótce, gdy skończy listy, pocałuje ją na pożegnanie.

Skąd miał wiedzieć, że to będzie jego ostatnia noc w Paryżu? Zresztą co zrobiłby z tą świadomością, jak spędziłby te pozostałe godziny? Czy chodziłby całą noc po ulicach, by zapamiętać niespodziewane zakręty uliczek, zapachy, rodzaje światła? Czy poszedłby do Rosena, by potrząsając nim, obudzić go i życzyć mu powodzenia w walce politycznej i związku z Shalhevet? Czy poszedłby do Bena Yakova, by po raz ostatni zobaczyć się z nim w jego pustym mieszkaniu? A może poszedłby do Polanera, nachylił się nad przyjacielem i powiedział mu prawdę: że kocha go tak, jak tylko można kochać przyjaciela, że zawdzięcza mu swoje życie i szczęście i że nigdy nie odczuwał takiej euforii jak wtedy, gdy razem pracowali po nocach w pracowni, robiąc coś, *co* ich zdaniem było odważne i dobre. Może wybrałby się na ostatni spacer obok teatru Sary Bernhardt, tej uśpionej wielkiej damy, z warstwą kurzu na czerwonym pluszu foteli, pustymi i cichymi korytarzami, zapachem makijażu w garderobach. Czy zakradłby się do pracowni Forestiera, by nauczyć się na pamięć jego sztuczek iluzji i znikania? A może wszedłby znów przez ukryte drzwi w murze cmentarza Montparnasse do swojej pracowni na uczelni, by pogłaskać ręką gładką powierzchnię deski kreślarskiej, korytko na ołówek, mechaniczne ołówki z chropowatą częścią pod palce, ich twarde, gładkie wkłady, ach, ten przyjemny klik, który wydawały, gdy skończyło się jedno zadanie, gotowe na kolejne. Czy wróciłby na rue de Sévigné? To jego pierwszy i ostatni serdeczny dom w Paryżu, miejsce, gdzie po raz pierwszy zobaczył Klarę Morgenstern z niebieskim wazonem w rękach. Miejsce, gdzie po raz pierwszy się kochali, pierwszy raz się kłócili i pierwszy raz rozmawiali o swoich dzieciach.

Ale nie wiedział. Wiedział tylko, że słusznie robi, nie pozwalając Klarze jechać. Pojedzie sam, a potem wróci. Żadna wojna go od niej nie oddzieli, żadne przepisy ani kodeksy. Zawinął się w prześcieradła, w których spali razem,

i myślał o niej przez całą noc. Obok niego, na podłodze, spał Tibor na pożyczonym materacu. W znajomym rytmie jego oddechu było niewysłowione pocieszenie. Równie dobrze mogli być w domku w Konyárze, obaj z wizytą na weekend w domu, gimnazjaliści, po drugiej stronie ściany spaliby rodzice, a w łóżeczku śniłby swoje sny Mátyás.

Miał tylko tekturową walizkę i skórzaną torbę na ramię. Z takim bagażem nie potrzebował taksówki. Obaj z Tiborem ruszyli pieszo na dworzec, tak samo jak dwa lata wcześniej, gdy Andras wyjeżdżał z Budapesztu. Gdy przeszli przez Pont au Change, miał ochotę jeszcze raz popatrzeć na dom Klary, ale nie było czasu; pociąg odjeżdżał za godzinę. Zatrzymali się tylko w piekarni, by kupić chleb na drogę. W oknach pobliskiej trafiki strony tytułowe gazet mówiły o wizycie księcia Csaky'ego, węgierskiego ministra spraw zagranicznych, przebywającego z tajną misją dyplomatyczną w Rzymie; wysłał go niemiecki rząd i prosto z lotniska książę udał się na spotkanie z Mussolinim. Węgierski rząd odmówił komentarza na temat celu wizyty, oświadczając jedynie, że Węgry są szczęśliwe, ze mogą ułatwić porozumienie pomiędzy swoimi sprzymierzeńcami.

Na stacji panował sierpniowy tłok, na ziemi pełno było plecaków, kufrów, pudeł i waliz. Wkrótce Tibor miał także wsiąść do pociągu i wrócić z Ilaną do Włoch. W kolejce po bilet Andras dotknął rękawa Tibora i powiedział:

– Szkoda, że nie będzie mnie na waszym ślubie.

– A mnie na waszym – uśmiechnął się Tibor.

– Nigdy bym nie przypuszczał, że tak to się skończy z tobą i nią.

– Nawet nie śmiałem myśleć, że tak będzie.

– Farciarz z ciebie.

– Miejmy nadzieję, że to rodzinne – powiedział Tibor.

Jego wzrok powędrował na początek kolejki, gdzie drobna ciemnowłosa kobieta odliczała pieniądze na bilet. Andras poczuł ukłucie w sercu: miała taką samą fryzurę jak Klara, luźny węzeł włosów na karku. Jej letni płaszcz przypominał płaszcz Klary, a postawa była elegancka i wyprostowana. Cóż to za okrutny zbieg okoliczności, pomyślał, zobaczyć kogoś tak podobnego w tym momencie.

Gdy kobieta odwróciła się, by włożyć portfel do walizki, serce mu zamarło: to była Klara! Spojrzała na niego szarymi oczami i uniosła rękę, by pokazać mu bilet: pojedzie z nim. Nie mógł nic zrobić, by ją powstrzymać.

CZĘŚĆ IV

Niewidzialny most

Rozdział dwudziesty szósty

Zakarpacie

W STYCZNIU 1940 ROKU kompania pracy przymusowej nr 112/30 Armii Węgierskiej stacjonowała na Rusi Zakarpackiej, gdzieś pomiędzy miasteczkami Jalová i Stakčin, nieopodal rzeki Cirocha. Było to terytorium, które należało wcześniej do Czechosłowacji i które Węgry zaanektowały po tym, jak Niemcy zajęły Kraj Sudecki. Krajobraz był tu skalisty, składały się nań szczyty pokryte karłowatą roślinnością i porosłe lasem zbocza, zaśnieżone doliny i zamarznięte strumienie pełne kamieni. Kiedy Andras czytał w paryskich gazetach o aneksji Rusi Zakarpackiej albo oglądał kroniki filmowe pokazujące jej lesiste wzgórza, ta ziemia była dla niego czystą abstrakcją, pionkiem w grze w szachy z Hitlerem. Teraz mieszkał pod osłoną lasu na Zakarpaciu i pracował jako członek ekipy budującej drogi w ramach Węgierskich Batalionów Pracy. Po powrocie do Budapesztu wszelkie jego nadzieje związane z przedłużeniem wizy prędko prysły. Zatrudniony w wydziale wizowym urzędnik o oddechu cuchnącym cebulą i papryką roześmiał się w reakcji na jego prośbę, zwracając mu uwagę, że jest Żydem, i to w wieku poborowym; szansę Andrasa na przyznanie kolejnej wizy na dwa lata były mniej więcej takie jak prawdopodobieństwo, że on, Márkus Kovács, spędzi najbliższe wakacje na Korfu z Lily Pons, cha cha cha. Jego przełożony, rozważniejszy, lecz równie nieprzyjemnie pachnący mężczyzna – cygara, kiełbaski, pot – przyjrzał się bacznie listowi z École Spéciale i oświadczył, zerkając patriotycznie w bok na węgierską flagę, że nie mówi po francusku. Kiedy Andras przetłumaczył mu list, przełożony stwierdził, że skoro uczelni tak na nim teraz zależy, to nadal będą go chcieli, kiedy już ukończy dwuletnią służbę wojskową. Andras obstawał przy swoim i dzień po dniu przychodził do urzędu, coraz bardziej sfrustrowany i zaniepokojony. Sierpień dobiegał końca. Musieli wracać do Paryża.

Im dłużej pozostawali na Węgrzech, tym bardziej niebezpieczna stawała się sytuacja Klary. A potem, z pierwszym tygodniem września, Europa ruszyła na wojnę.

Pod pierwszym lepszym pretekstem – esesmani przebrani za polskich żołnierzy upozorowali atak na niemiecką radiostację w przygranicznym mieście Gleiwitz – Hitler wysłał półtora miliona wojska i dwa tysiące czołgów za polską granicę. „Dziennik Budapeszteński" opublikował zdjęcia polskich kawalerzystów szarżujących z szablami i lancami na niemieckie oddziały pancerne. Gazeta z następnego dnia ukazywała pole bitwy usłane pozbawionymi kończyn ciałami koni i szczątkami przedpotopowych zbroi; szeroko uśmiechnięci pancerniacy przyciskali do piersi napierśniki i nagolenniki. Dziennik donosił, że zbroje zostaną wystawione w nowym Muzeum Zdobyczy Terytorialnych, powstającym właśnie w Berlinie. Kilka tygodni później, kiedy Niemcy i Rosja negocjowały podział podbitych ziem, Andras otrzymał wezwanie do pracy przymusowej. Węgry miały przystąpić do wojny dopiero za osiemnaście miesięcy, ale pobór żydowskich mężczyzn zaczął się w lipcu. Andras zgłosił się do biura batalionów na Soroksári út, gdzie dowiedział się, że jego kompania, numer 112/30, zostanie wysłana na Zakarpacie. Miał wyjechać za trzy tygodnie.

Poszedł z tą nowiną do Mátyása, do sklepu bieliźniarskiego na Váci utca, gdzie brat aranżował właśnie nową wystawę. Grupka poprawnie ubranych pań w średnim wieku przyglądała się z chodnika, jak Mátyás przyozdabia rząd manekinów serią coraz bardziej kusych sztuk damskiej bielizny; uchwycona w samą porę czysta groteska. Kiedy Andras zapukał w szybę, Mátyás podniósł palec, dając bratu znak, by poczekał; skończył upinać tył liliowej haleczki, po czym zniknął w drzwiach wystawy, które wyglądały, jakby zaprojektowano je dla krasnoludków. Chwilę później pojawił się w ludzkich rozmiarów drzwiach sklepu, z centymetrem krawieckim przerzuconym przez ramię i drabinką ze szpilek w klapie marynarki. Przez ostatnie dwa lata zmienił się z kościstego chłopca w smukłego, krzepkiego młodzieńca; na parkiecie swoich codziennych przyziemnych spraw poruszał się z nieskrępowanym wdziękiem tancerza. Na jego szczęce pojawił się nieodłączny cień zarostu, a na gardle – zgrabna wypukłość jabłka Adama. Miał ciężkie, ciemne włosy ich matki i jej wysokie kości policzkowe.

– Muszę ubrać jeszcze parę dziewczyn z drutu – powiedział. – Może się do mnie przyłączysz? Opowiesz mi, co nowego, a ja będę upinał.

Ruszyli do sklepu i weszli na wystawę przez drzwi dla krasnoludków.

– Jak myślisz? – zapytał Mátyás, zwracając się ku manekinowi o smukłej talii. – Różowa halka czy niebieska?

Miał w zwyczaju dekorować wystawę w godzinach pracy sklepu; zorientował się, że zapewnia to nieprzerwany dopływ klientek pragnących zakupić dokładnie to, co eksponował.

– Niebieska – odpowiedział Andras, a potem dodał: – Zgadnij, gdzie będę za trzy tygodnie.

– Domyślam się, że nie w Paryżu.

– Na Zakarpaciu, razem z moim. batalionem pracy. Mátyás pokręcił głową.

– Na twoim miejscu uciekłbym w tej chwili. Wskakuj w pociąg do Paryża, i poproś o azyl polityczny. Powiedz, że odmawiasz służby krajowi, który przyjmuje ziemie w prezencie od Niemców. – Zatopił szpilkę w ramiączku niebieskiej halki.

– Nie mogę zostać uchodźcą. Niebawem biorę ślub. A zresztą francuskie granice są teraz zamknięte.

– To jedź gdzieś indziej. Belgia. Szwajcaria. Sam powiedziałeś, że Klara nie jest tu bezpieczna. Zabierz ją ze sobą.

– Mamy się oboje znaleźć na kolejowym szlaku jak włóczędzy?

– Czemu nie? To znacznie lepsze niż dać się wysłać na Zakarpacie. – Po tych słowach Mátyás oderwał się od pracy i przyjrzał Andrasowi, a jego mina nabrała pewności. – Naprawdę musisz tam jechać, tak?

– Nie widzę innego sposobu. Na początku wysyłają nas tylko na sześć miesięcy.

– A potem dadzą ci króciutki urlop, a potem wyślą cię tam z powrotem na następne pół roku. I tak jeszcze dwa razy. – Mátyás skrzyżował ręce. – Nadal uważam, że powinieneś uciekać.

– Wierz mi, chciałbym tak zrobić.

– Klara nie będzie z tego wszystkiego zadowolona.

– Wiem. Właśnie jadę się z nią spotkać. Czeka na mnie u matki.

Mátyás klepnął go po ramieniu, na szczęście, i przytrzymał drzwiczki, żeby Andras mógł się przez nie prześlizgnąć. Andras zszedł do sklepu, wymaszerował przez większe drzwi i pomachał bratu przez szybę, przeciskając się pomiędzy

kobietami, które zgromadziły się przed sklepem, by popatrzeć. Ledwie mógł uwierzyć, że zbliża się październik, a on nie wraca na uczelnię; ostatnio zorientował się, że czyta „Pesti Napló" od deski do deski, obsesyjnie poszukując wieści z Paryża. W gazetach z tego dnia widniały zdjęcia tłumów na stacjach kolejowych; szesnaście tysięcy dzieci zostało ewakuowanych na wieś. Gdyby on i Klara zostali we Francji, może też wyjechaliby z miasta; a może zdecydowaliby się zostać, przygotowując się na to, co miało nadejść. Tymczasem znajdował się w Budapeszcie, idąc Andrássy út w stronę parku Városliget, w stronę cienistych alei z dzieciństwa Klary. Popołudnie spędzone w domu na Benczúr utca było dla nich już czymś niemal zwyczajnym, choć od ich przyjazdu do Budapesztu upłynął zaledwie miesiąc. W tamtym czasie sytuacja Klary wydawała im się tak niepewna, że obawiali się zjawić w domu; wynajęli na nazwisko Andrasa pokój w położonym na uboczu hoteliku na Cukor utca i uznali, że najlepiej będzie ostrzec matkę Klary, że jej córka uciekinierka jest w Budapeszcie, a dopiero potem złożyć jej wizytę.

Następnego dnia po południu Andras udał się na Benczúr utca i przedstawił się pokojówce jako przyjaciel Józsefa. Zaprowadziła go do tej samej bawialni z różowo-złotą tapicerką, w której spędził kłopotliwą godzinę w dniu swego wyjazdu do Paryża. Młodsza i starsza pani Hász zajęte były grą w karty przy pozłacanym stoliku pod oknem, a József rozsiadł się z książką na fotelu koloru łososiowego. Kiedy zobaczył Andrasa w drzwiach, leniwie podniósł się z fotela i wygłosił stosowne jowialne pozdrowienie oraz wyraził żal, że również Andras został zmuszony do powrotu do Budapesztu. Młodsza pani Hász uprzejmie skinęła głową, a starsza uśmiechnęła się serdecznie, rozpoznając go. Jednak coś w spojrzeniu Andrasa musiało przykuć uwagę matki Klary, bo chwilę później odłożyła na stół swój wachlarz kart i wstała.

– Panie Lévi – powiedziała – jak się pan miewa? Wygląda pan nieco blado.

Przeszła przez pokój, by ująć go za rękę. Jej twarz wyrażała stoicki spokój, jakby starsza pani przygotowywała się na złe wiadomości.

– Mam się dobrze – odparł. – Klara także.

Spojrzała na niego ze szczerym zaskoczeniem. Matka Józsefa również wstała.

– Panie Lévi – zaczęła i urwała, nie wiedząc, jak go upomnieć bez zdradzania wszystkiego.

– Kim jest Klara? – zapytał József. – Z pewnością nie masz na myśli Klary Hász?

– Owszem – odparł Andras. Opowiedział, jak dwa lata wcześniej zawiózł Klarze list od jej matki i jak został jej przedstawiony. – Żyje teraz pod nazwiskiem Morgenstern. Znasz jej córkę. Elisabet.

József usiadł powoli na adamaszkowym krześle. Wyglądał, jakby Andras uderzył go pięścią.

– Elisabet? – powiedział. – Chcesz przez to powiedzieć, że Elisabet Morgenstern jest córką Klary? Klary, mojej zaginionej ciotki? – Nagle przypomniał sobie chyba plotki o tym, co jest między Andrasem a matką Elisabet Morgenstern, bo zbladł i zaczął wpatrywać się w Andrasa, jakby widział go pierwszy raz w życiu.

– Dlaczego pan przyszedł? – zapytała młodsza pani Hász. – Co chce nam pan powiedzieć?

Wreszcie Andras wyjawił cel swojej wizyty: oznajmił, że Klara nie tylko ma się dobrze, ale jest w Budapeszcie i nie może się doczekać spotkania z matką. Kiedy to powiedział, oczy starszej pani Hász wypełniły się łzami, a potem na jej twarzy pojawiło się przerażenie. Dlaczego, zapytała, Klara zdecydowała się na tak straszliwe ryzyko?

– Obawiam się, że to częściowo moja wina – odparł Andras. – Musiałem wracać do Budapesztu. A Klara i ja jesteśmy zaręczeni.

Na te słowa w bawialni rozpętało się pandemonium. Matka Józsefa całkowicie straciła panowanie nad sobą; spanikowanym sopranem domagała się odpowiedzi, jak mogło dojść do czegoś podobnego, po czym oświadczyła, że nie chce tego wiedzieć, że to absurdalne i niepojęte. Wezwała pokojówkę i zażądała lekarstwa na serce, po czym kazała Józsefowi natychmiast pójść do banku i przyprowadzić ojca. Chwilę później odwołała polecenie, tłumacząc, że nagłe wyjście Györgya w środku dnia może wzbudzić niepotrzebne podejrzenia. Tymczasem starsza pani Hasz błagała Andrasa, żeby powiedział jej, gdzie można znaleźć Klarę, czy córka jest bezpieczna i jak można ją odwiedzić. Stojąc w oku tego cyklonu, Andras zastanawiał się, czy przetrwa to zamieszanie jako narzeczony Klary, czy być może jej brat z żoną zerwą za pomocą jakichś magicznych mocy wszelkie powiązania między nią a nim, jej niezamożnym wybrankiem. Już teraz József Hász spoglądał na niego z nieznaną dotychczas,

może nawet wrogą miną – była w niej mieszanka dezorientacji, poczucia zdrady i, co najbardziej zaniepokoiło Andrasa, nieufności.

Wkrótce stało się jasne, że starszej pani Hász nie da się powstrzymać przed natychmiastową wizytą u Klary. Zażądała już samochodu; chciała, by Andras jej towarzyszył. Szofer wysadzi ich w połowie drogi do hoteliku na Cukor utca, stamtąd pójdą pieszo. József bez słowa pożegnania zaprowadził matkę na górę, by ukoić jej nerwy. Starsza pani posłała Andrasowi spojrzenie, z którego można było wyczytać, że zachowanie synowej wydaje jej się niepoważne. Narzuciła płaszcz na suknię i razem pobiegli do czekającego samochodu. Kiedy jechali ulicami Budapesztu, pani Hász zasypała Andrasa pytaniami: czy Klara jest zdrowa, jak teraz wygląda i wreszcie czy chce zobaczyć się z matką.

– Nade wszystko – rzekł Andras. – Musi pani o tym wiedzieć.

– Osiemnaście lat! – odparła półszeptem, a potem umilkła, głęboko wzruszona.

Kilka chwil później szofer wysadził ich na początku Andrássy út, a Andras położył dłoń na łokciu pani Hász, gdy w pośpiechu pokonywali kolejne ulice. Kiedy tak szła, jej spięte w węzeł włosy rozsypały się, a pospiesznie zawiązany szal zsunął się z jej szyi; Andras końcami palców schwycił kwadrat fiołkowego jedwabiu, gdy wchodzili do wąskiego hotelowego lobby. Wydawało się, że u podnóża żeliwnych schodów matkę Klary ogarnęła niema trwoga. Weszła po nich powolnym, spokojnym krokiem, jakby potrzebowała czasu, by przećwiczyć w myśli pierwsze z tysięcy swoich wyobrażeń o tej chwili. Kiedy Andras wskazał, że są na właściwym piętrze, bez słowa podążyła za nim przez korytarz i z poważną miną patrzyła, jak wyciąga klucz z kieszeni. Przekręcił go w zamku i otworzył drzwi. Klara stała przy oknie w swej płowej sukience, na jej twarz padało przedpołudniowe światło, w ręce miała zmiętą chusteczkę. Matka zbliżyła się do niej jak lunatyczka; podeszła do okna, wzięła ręce Klary w swoje dłonie i wymówiła jej imię. Roztrzęsiona Klara położyła głowę na ramieniu matki i się rozpłakała. I tak stały w drżącym milczeniu, a Andras patrzył. Przed nim dokonywało się przeciwieństwo tego, co widział kilka tygodni wcześniej, kiedy odpływała Elisabet: powrót dziecka, które zniknęło, coś nieuchwytnego stało się rzeczywistością. Wiedział, że to spotkanie po latach odbywa się w ciasnym pokoiku na obskurnym poddaszu hotelu przy niełądnej uliczce w Budapeszcie, czuł jednak, że jest świadkiem czegoś tak nieziemskiego jak koniunkcja gwiazd; wrażenie było tak oszałamiające, że musiał odwrócić wzrok. Oto zamykała się przepaść pomiędzy dawnym życiem Klary a jej teraźniejszością; teraz już wydawało się całkiem realne, że on i ona mogą razem wkroczyć w nowe życie.

W tamtym momencie nie zaczęły się jeszcze trudności w budapeszteńskim biurze wizowym. Francuska granica była wciąż otwarta. Wydawało się, że wszystko jest możliwe.

Teraz, cztery tygodnie później, Andras wiedział już, że nie wróci do Paryża, jak na to liczyli. Gorzej: wkrótce zostanie rozdzielony z Klarą i wysłany w dalekie, nieznane lasy. Kiedy tego popołudnia dotarł na Benczúr utca z wiadomościami, które chwilę wcześniej przekazał bratu – że za trzy tygodnie mają go wysłać na Ruś Zakarpacką – przekonał się z ulgą, że nie czeka na niego nikt poza samą Klarą.

Poprosiła, by podano im herbatę w jej ulubionym pokoju na górze, ładnym buduarze z oknem wykuszowym o szerokim parapecie, na którym można było siadać, z widokiem na ogród. W dzieciństwie, powiedziała Andrasowi, tam właśnie przychodziła, kiedy chciała być sama. Nazywała go pokojem króliczym ze względu na piękną rycinę Dürera, która wisiała nad kominkiem: młody królik ujęty z półprofilu, z napiętymi udami porośniętymi miękkim futerkiem i uszami zwróconymi do tyłu. Rozpaliła ogień w kominku i poprosiła o ciasto do herbaty. Kiedy jednak przekazał jej, czego dowiedział się w biurze batalionów, w milczeniu wpatrzyli się w strudel z makiem i orzechami.

– Musisz wrócić do domu, jak tylko znów otworzą francuską granicę – powiedział w końcu Andras. – Przeraża mnie myśl o tym, w jakim niebezpieczeństwie się znajdujesz.

– W Paryżu nie będzie bezpieczniej – odpowiedziała. – W każdej chwili mogą go zbombardować.

– Mogłabyś pojechać na wieś z panią Apfel. Albo do Nicei.

Potrząsnęła głową.

– Nie zostawię cię tutaj. Pobierzemy się.

– Ale pozostawanie tu to szaleństwo – powiedział. – Prędzej czy później dowiedzą się, kim jesteś.

– W tej chwili nie ma dla mnie nic w Paryżu. Elisabet wyjechała. Ty jesteś tutaj. I mama, i György. Nie mogę tam wrócić, Andras.

– A twoi przyjaciele, uczniowie, cała reszta twojego życia?

Potrząsnęła głową.

– Francja bierze udział w wojnie. Moi uczniowie wyjechali na wieś. I tak musiałabym zamknąć szkołę, przynajmniej na jakiś czas. Może ta wojna będzie krótka. Przy odrobinie szczęścia będzie po wszystkim, zanim skończy się twoja służba w wojsku. Potem dostaniesz następną wizę i razem wrócimy do domu.

– A przez ten cały czas ty będziesz tutaj, wystawiona na niebezpieczeństwo?

– Będę żyć spokojnie pod twoim nazwiskiem. Nikt nie będzie mnie szukał. Wynajmę swoje mieszkanie i pracownię w Paryżu i znajdę sobie tutaj małe mieszkanko w dzielnicy żydowskiej. Może będę dawać trochę prywatnych lekcji.

Andras westchnął i przeciągnął dłońmi po twarzy.

– Nie wiem, jak to przeżyję – powiedział. – Będę musiał myśleć o tym, że mieszkasz w Budapeszcie, na bakier z prawem.

– W Paryżu też żyłam poza prawem.

– Ale to prawo było znacznie dalej !

– Nie zostawię cię tu, na Węgrzech – odparła. – To wszystko.

Nigdy nie ośmieliłby się przypuszczać, że on i Klara pobiorą się w głównej synagodze na ulicy Dohány ani że jego rodzice i Mátyás będą w tym uczestniczyć; z pewnością nigdy mu się nie śniło, że rodzina Klary także się stawi – jej matka, która porzuciła wdowią czerń na rzecz różowego jedwabiu i płakała z radości; młodsza pani Hász z zaciśniętymi wargami, sztywno wyprostowana w swojej powłóczystej sukni od Vionneta; brat Klary, György, którego uczucie do siostry wzięło górę nad wszelkimi obiekcjami, jakie mógł żywić w stosunku do Andrasa, i który przechadzał się w tę i z powrotem z takim zaaferowaniem i niepokojem, jakby był ojcem panny młodej; i József Hasz, który przyglądał się uroczystości w obojętnym milczeniu. Ich ślubnym baldachimem był szal modlitewny Béli Farciarza, a na palcu Klary znalazła się prosta złota obrączka, która należała do matki Béli. Pobrali się w październikowe popołudnie na dziedzińcu synagogi. Uroczysta ceremonia w świątyni nie wchodziła w grę. Ich związek nie mógł mieć w sobie nic publicznego, z wyjątkiem dokumentacji, dzięki której Klara Hász oddali się o kolejny krok od swojego prawdziwego nazwiska. Na mocy nowego antysemickiego prawa, które wprowadzono w maju, nie mogła dostać obywatelstwa, ale nadal wolno jej było legalnie przyjąć nazwisko Andrasa i pod jego osłoną poprosić o pozwolenie na pobyt. Ojciec Andrasa sam odczytał na głos kontrakt ślubny; nauka języka aramejskiego w szkole rabinackiej dobrze przygotowała go do tej roli. A matka Andrasa,

onieśmielona obecnością nielicznych gości, podała kielich, który miał się roztrzaskać pod stopą jej syna.

Nikt nie wspominał – ani podczas samego ślubu, ani w trakcie obiadu na Benczúr utca, który po nim nastąpił – o zbliżającym się wyjeździe Andrasa na Zakarpacie. Jednak świadomość jego nieuchronności płynęła niczym elegia pod powierzchnią wydarzeń tego dnia. Józsefowi, jak się okazało, został oszczędzony podobny los; rodzinie Hász udało się zapewnić mu zwolnienie od pracy przymusowej dzięki przekupieniu urzędnika państwowego wysokiego szczebla. Cena zwolnienia była proporcjonalna do majątku rodziny: musieli oddać urzędnikowi swój domek letniskowy nad Balatonem, gdzie Klara spędzała w dzieciństwie każde lato. Wiza studencka Józsefa została przedłużona i miał wrócić do Francji, gdy tylko granice zostaną otwarte, choć nie wiadomo było, kiedy to nastąpi i czy Francja będzie przyjmować obywateli państw sprzymierzonych z Niemcami. Rodzice Andrasa nie byli w stanie opłacić mu zwolnienia. Dochody ze składu drzewnego ledwie starczały na utrzymanie. Klara zasugerowała, że jej brat mógłby pomóc, ale Andras nie chciał nawet rozmawiać o takiej możliwości. Po pierwsze istniało niebezpieczeństwo, że władze zwrócą uwagę na powiązania pomiędzy nim a rodziną Hász; a poza tym Andras nie chciał być ciężarem dla Györgya. Zdesperowana Klara zaproponowała, że sprzeda mieszkanie i pracownię w Paryżu, jednak Andras wykluczył i tę możliwość. Mieszkanie przy rue de Sévigné było jej domem. Gdyby sytuacja Klary na Węgrzech stała się bardziej niebezpieczna, musiałaby wracać tam natychmiast wszelkimi dostępnymi drogami. Ich decyzja miała także mniej praktyczny aspekt: dopóki Klara była właścicielką mieszkania i pracowni, mogli wyobrażać sobie, że pewnego dnia znajdą się z powrotem w Paryżu. Andras przetrwa dwa lata w batalionach pracy; do tego czasu, jak powiedziała Klara, wojna być może się skończy i wrócą do Francji.

Podczas uroczystości weselnych na Benczúr utca na kilka błogich godzin Andrasowi udało się niemal zapomnieć o zbliżającym się nieuchronnie wyjeździe. Na wielkiej galerii oczyszczonej z mebli podniesiono go do góry na krześle obok panny młodej, a para muzyków grała cygańskie melodie. Potem on, Mátyás i ich ojciec zatańczyli razem, trzymając się za ramiona i wirując, aż nogi zaczęły im się plątać.

József Hász, nie mogąc oprzeć się pokusie odgrywania roli gospodarza nawet na ślubie, któremu zdawał się przeciwny, nieustannie napełniał kieliszki gości szampanem. A Mátyás, zgodnie z tradycją każącą rozśmieszyć młodą parę, wykonał taniec w stylu Chaplina, stepując ze składaną laską i kapeluszem, który

ciągle mu uciekał. Klara popłakała się ze śmiechu. Jej blade czoło zaróżowiło się, a ciemne loki wymknęły się z koka. Andras jednak nie potrafił zapomnieć całkowicie o tym, że to wszystko jest ulotne, że wkrótce będzie musiał pocałować swoją nowo poślubioną żonę na pożegnanie i wsiąść do pociągu jadącego na Ruś Zakarpacką. Zresztą i bez tego jego radość nie byłaby wolna od trosk. Nie mógł nie zauważyć chłodu młodszej pani Hász ani tego, że z każdej strony coś przypominało mu, jak bardzo wcześniejsze życie Klary różniło się od jego życia. Jego matka, choć bardzo elegancka w szarej sukni, z wyraźną obawą wzięła do ręki delikatne kieliszki Hászów; ojciec niewiele miał do powiedzenia bratu Klary, a jeszcze mniej – Józsefowi. Gdyby Tibor tu był, pomyślał Andras, znalazłby sposób na połączenie tych dwóch światów. Ale Tibor był, rzecz jasna, nieobecny, podobnie jak trzej pozostali, których brak sprawiał, że wydarzenia tego dnia wydawały się jakby nierzeczywiste: Polaner i Rosen, którzy przysłali depesze z gratulacjami, i milczący w dalszym ciągu Ben Yakov. Andras wiedział, że Klara przeżywa swój własny ból pośród tego szczęścia: z pewnością myślała o swoim ojcu i o Elisabet, tysiące kilometrów stąd.

Rozmawiano o wojnie i o roli, którą mogły odegrać w niej Węgry. Teraz, kiedy Polska została pokonana, mówił György Hász, Anglia i Francja mogą skłonić Niemcy do zawieszenia broni, zanim Węgry zostaną zmuszone do walki po stronie swojego sojusznika. Andrasowi wydawało się to mało przekonujące, ale ten dzień domagał się optymistycznego spojrzenia w przyszłość. Była połowa października, jedno z ostatnich ciepłych popołudni w roku. Platany oblane były ukośnie padającym światłem, a złota mgiełka zebrała się w ogrodzie jak jeziorko z miodu. Kiedy słońce zsunęło się w stronę murku okalającego ogród, Klara wzięła Andrasa za rękę i poprowadziła go na dwór. Zabrała go w kąt ogrodu za żywopłotem z ligustru, gdzie pod opadającym bluszczem stała marmurowa ławka. Andras usiadł i wziął Klarę na kolana. Skóra na jej szyi była ciepła i wilgotna, zapach róż mieszał się z nieuchwytną, mineralną wonią jej potu. Pochyliła nad nim twarz, a kiedy ją pocałował, miała smak weselnego tortu.

Był to moment, który wracał do niego wciąż na nowo w długie noce na Pogórzu Karpackim. Ta chwila i te, które nastąpiły po niej, w ich apartamencie w hotelu Gellért. Miesiąc miodowy nie trwał długo: trzy dni, to wszystko. Teraz były dla niego pokarmem, jak chleb: moment, kiedy zarejestrowali się w hotelu jako mąż i żona; pełne ulgi spojrzenie, jakie rzuciła mu Klara, kiedy wreszcie znaleźli się sami w pokoju; jej zaskakująca nieśmiałość w małżeńskim łożu; wygięcie jej nagich pleców wśród skłębionej pościeli, kiedy obudzili się rano; nieoczekiwany ciężar obrączki na palcu. Teraz, kiedy pracował, noszenie jej

wydawało się wybujałym luksusem, nie tylko ze względu na kontrast złota z brudem i szarością wszystkiego wokół, ale ponieważ zdawała mu się częścią ich intymności, czymś cudownie osobistym. *Ani l'dodi ve dodi li,* powiedziała po hebrajsku włożywszy mu obrączkę; był to werset z Pieśni nad Pieśniami: „Mój miły jest mój, a ja jestem jego". Należeli do siebie nawet tutaj, na Zakarpaciu.

Razem z innymi robotnikami mieszkał w gospodarstwie w opuszczonej wiosce nieopodal kamieniołomu, który dawno już ogołocono z ostatnich okruszyn granitu. Andras nie wiedział, od jak dawna gospodarstwo pozostawało niezamieszkane; w oborze czuć było ledwie nikły cień woni zwierząt. Pięćdziesięciu ludzi spało w oborze, dwudziestu w przerobionym kurniku, trzydziestu w stajniach, a kolejnych pięćdziesięciu w nowo postawionych koszarach. Kapitanowie plutonów, komendant kompanii, lekarz i brygadziści spali w domu, gdzie mieli prawdziwe łóżka i kanalizację. W oborze każdy z mężczyzn dostał metalową połówkę i goły materac wypchany sianem. W nogach każdego łóżka stała drewniana skrzynka z narzędziami i stemplem z numerem identyfikacyjnym właściciela. Racje żywnościowe były skąpe, ale wydawane regularnie: rano kawa i chleb, w południe kartoflanka albo fasola, wieczorem kolejna porcja zupy i chleba. Mieli dość ubrań, by nie marznąć: palta i zimowe mundury, wełnianą bieliznę, skarpety i sztywne, czarne, wysokie buty. Ich szynele, koszule i spodnie były prawie identyczne jak mundury, które nosiła reszta Armii Węgierskiej. Jedyną różnicę stanowiło zielone M naszyte na klapy, pierwsza litera słowa Munkaszolgálat, bataliony pracy. Nikt jednak nie mówił nigdy Munkaszolgálat; skracali to do „Musz", pojedynczej sylaby pełnej niechęci. W Musz, powiedzieli mu koledzy z kompanii, jesteś takim samym człowiekiem, jak każdy inny członek armii, z tą różnicą, że twoje życie nie jest nawet gówno warte. W Musz, mówili, płacą ci dokładnie tyle, ile każdemu poborowemu: w sam raz, żeby zagłodzić twoją rodzinę. Musz nie ma zamiaru pozbawić cię życia, tylko wykorzystać cię, aż sam będziesz miał ochotę ze sobą skończyć. Była oczywiście jeszcze jedna różnica: wszyscy w jego kompanii pracy przymusowej byli Żydami. Węgierskie Ministerstwo Obrony uznało dawanie Żydom broni za niebezpieczne. Armia uznała ich za niegodnych zaufania i wysłała do pracy przy ścinaniu drzew, budowie dróg i mostów, stawianiu koszar dla wojsk, które miały stacjonować na Zakarpaciu.

Obowiązywały też przywileje, których Andras się nie spodziewał. Ponieważ był żonaty, płacono mu więcej i otrzymywał dodatek mieszkaniowy. Miał książeczkę wypłat, ostemplowaną królewską pieczęcią; wypłatę dostawał dwa razy w miesiącu, w czekach rządowych. Wolno mu było wysyłać i otrzymywać

listy i paczki, choć wszystkie poddawane były inspekcji. Jako posiadaczowi matury przyznano mu status oficera w batalionie pracy. Miał pod sobą dwudziestoosobowy oddział. Nosił oficerską czapkę i podwójny szewron na kieszeni, a pozostali członkowie oddziału musieli mu salutować i zwracać się do niego „panie dowódco". Do jego obowiązków należało sprawdzanie listy obecności i organizacja nocnej warty. Dwudziestu ludzi Andrasa przychodziło do niego z nietypowymi prośbami i problemami, a on miał za zadanie rozstrzygać sporne kwestie. Dwa razy w tygodniu musiał składać dowódcy kompanii raport o stanie swojego oddziału.

Kompania 112/30 została wysłana na Zakarpacie, by oczyścić połać lasu, na której wiosną miano zbudować drogę. Rano wstawali po ciemku i myli się wodą z roztopionego śniegu; ubierali się i wciskali stopy w zesztywniałe od mrozu buty. W przyćmionym czerwonym świetle padającym z piecyka na drewno wypijali gorzką kawę i zjadali swoją rację chleba. Była także poranna gimnastyka: pompki, skłony, przysiady. Potem, na rozkaz sierżanta, formowali na dziedzińcu kolumnę marszową, z siekierami zarzuconymi na ramię jak karabiny, i poprzez mrok ruszali do pracy.

Jedynym cudem, którego doświadczył Andras w tym miejscu, było spotkanie kolegi. Zjawił się tam nikt inny jak Mendel Horovitz, który spędził z Andrasem sześć lat w szkole w Debreczynie i pobił rekord Węgier w sprincie na sto metrów i skoku w dal podczas eliminacji do igrzysk olimpijskich w 1936 roku. Przez całe dziesięć minut Mendel był członkiem węgierskiej drużyny olimpijskiej – po jego ostatnim skoku ktoś narzucił mu na ramiona oficjalną bluzę i zaprowadził go do stołu rejestracyjnego, przy którym sekretarz drużyny zapisywał dane personalne wszystkich zakwalifikowanych sportowców. Ale trzecim z kolei pytaniem, po „nazwisku" i „miejscu urodzenia", okazało się „wyznanie", i w tym momencie Mendel przepadł. Oczywiście wiedział wcześniej, że Żydzi nie mogą brać udziału w eliminacjach; poszedł na nie w ramach protestu i z szaleńczą nadzieją, że może zrobią dla niego wyjątek. Tak się rzecz jasna nie stało, czego zresztą władze później pożałowały: rekord Mendla na sto metrów okazał się zaledwie o jedną dziesiątą sekundy gorszy od czasu złotego medalisty Jessego Owensa.

Kiedy Mendel i Andras po raz pierwszy ujrzeli się na dworcu w Budapeszcie w drodze na miejsce pracy przymusowej, nastąpiło tyle okrzyków i poklepywania po plecach, że obaj rozpoczęli swoją przygodę z Munkaszolgálat od upomnienia o nieodpowiednim zachowaniu. Mendel miał wyrazistą twarz z ustami w kształcie drwiącego V i brwiami włochatymi niczym czułki ćmy. Urodził się

w Zalaszabarze i ukończył gimnazjum w Debreczynie na koszt wuja, który żądał, by jego protegowany kształcił się na matematyka. Mendel jednak nie miał skłonności do matematycznej abstrakcji; pomimo swych talentów nie aspirował też do kariery sportowca. Tak naprawdę pragnął być dziennikarzem. Po rozczarowaniu z drużyną olimpijską dostał pracę jako adiustator w gazecie popołudniowej „Budapest Esti Kurír". Wkrótce zaczął pisać własne felietony, opatrzone pseudonimem satyryczne drobiazgi, które wrzucał do skrzynki redaktora i raz na jakiś czas oglądał w druku. Zanim został powołany do wojska, pracował w „Esti Kurírze" przez rok i udawało mu się uniknąć zwolnienia w ramach nowego, sześcioprocentowego limitu obejmującego zatrudnione w prasie osoby pochodzenia żydowskiego. Andras zauważył, że przyjaciel podchodzi do swojej zsyłki na Zakarpacie z wyjątkowym spokojem ducha. Mówił, że lubi góry, świeże powietrze i z przyjemnością pracuje fizycznie. Nie przeszkadzała mu nawet niekończąca się harówka przy wycince drzew.

Samemu Andrasowi również by nie przeszkadzała, gdyby narzędzia były ostrzejsze, jedzenie obfitsze, pora roku cieplejsza oraz gdyby pracował tu z wyboru. Ścięciu każdego drzewa na przydzielonym im rozległym terenie towarzyszyło coś w rodzaju rytuału, który dawał dużo satysfakcji. Mendel robił pierwsze nacięcie siekierą, po czym Andras wsuwał w powstały rowek piłę poprzeczną. Potem każdy brał do ręki jeden z uchwytów i razem zabierali się do pracy. Gdy przecinali zewnętrzne słoje, w powietrze wzbijała się chmura pyłu drzewnego o słodkim zapachu, a kiedy ostrze piły zatapiało się głębiej w pień, opór się nasilał. Musieli wciskać cienkie stalowe kliny w nacięcie, aby się nie zamknęło; kiedy zbliżali się do środka, gdzie drewno robiło się bardziej zwarte, ostrze zaczynało piszczeć. Czasem pół godziny zajmowało im przepiłowanie trzydziestu centymetrów rdzenia. Potem biegiem przemieszczali się na drugą stronę, żeby dokończyć zmagania. Kiedy zostawało im już tylko kilka centymetrów, wkładali do środka więcej klinów i wyciągali piłę. Mendel wołał: „Droga wolna!", i napierał na drzewo. Następowała seria trzasków i poskrzypywań, przez cały pień przebiegało drżenie i najwyższe gałęzie zaczynały przepychać się pomiędzy sąsiadami. To prawdziwa śmierć drzewa, myślał Andras: w tej samej sekundzie, w której przestawało być czymś sięgającym w górę, stawało się tym, na co je przerabiali. Drewnem. Padające drzewo wytwarzało przed sobą potężny podmuch; gałęzie przecinały powietrze ze świstem o stu tonacjach, gdy pień wygięty w łuk zbliżał się do ziemi. Kiedy w nią uderzał, leśna ściółka rezonowała pod wpływem jego niewiarygodnego ciężaru, a wstrząs przemieszczał się przez podeszwy butów Andrasa coraz wyżej, poprzez kości aż do czubka głowy, i odbijał się w jego czaszce jak wystrzał z pistoletu.

Po tym następowała chwila drżenia, milczący kadisz drzewa. I w tę pustkę wdzierały się rozkazy wykrzykiwane przez nadzorcę: „Dalej, chłopcy! Naprzód! Nie ociągajcie się!". Gałęzie trzeba było odrąbać na opał, a nagie pnie zaciągnąć na ciężarówki z ogromnymi platformami, żeby dotarły na stację kolejową, skąd jechały na Węgry.

Andras i Mendel tworzyli zgrany zespół. Byli jednymi z najszybszych pracowników i zasłużyli na pochwałę nadzorcy. W tych okolicznościach jednak nie dawało to zbyt wiele satysfakcji. Andras został wyrwany ze swojego życia, rozdzielony nie tylko z Klarą, ale ze wszystkim, co liczyło się dla niego przez ostatnie dwa lata. W październiku, kiedy miał naradzać się z Le Corbusierem w sprawie planów klubu sportowego w Indiach, ścinał drzewa na prowincji. W listopadzie, kiedy powinien budować makiety na wystawę studentów trzeciego roku, ścinał drzewa na prowincji. A w grudniu, kiedy miałby zimową sesję egzaminacyjną, ścinał drzewa na prowincji. Wiedział, że wojna na jakiś czas zakłóci przebieg roku akademickiego, ale teraz wszystko prawdopodobnie wróciło już do normy; Polaner, Rosen i Ben Yakov – oraz, co gorsza, ci, którzy drwili z niego po Prix du Amphithéâtre – żeglowali w kierunku dyplomów, przekładając budynki z wyobraźni na ostre czarne linie na papierze kreślarskim. Jego przyjaciele nadal spotykali się co wieczór w Blue Dove, mieszkali w Dzielnicy Łacińskiej, żyli sobie jak przedtem.

Tak w każdym razie sobie wyobrażał, dopóki Klara nie wysłała mu paczki zawierającej listy z Paryża. Polaner, jak dowiedział się Andras, wstąpił do Legii Cudzoziemskiej. „Gdybyś tylko mógł zaciągnąć się razem ze mną – pisał. – Uczę się teraz w École Militaire. W tym tygodniu dowiedziałem się, jak się strzela z karabinu. Po raz pierwszy w życiu marzę, by posługiwać się bronią palną. Gazety ciągle donoszą o kolejnych potwornościach: SS Einsatzgruppen urządzają łapanki na profesorów, artystów, harcerzy i na rynkach dokonują egzekucji. Polskich Żydów pakują do pociągów i wywożą na jakieś straszne bagna w okolicach Lublina. Moi rodzice są nadal w Krakowie, choć ojciec stracił fabrykę. Będę walczył z Rzeszą i zginę, jeśli zajdzie potrzeba".

Rosen, jak się okazało, planował wyemigrować do Palestyny razem z Shalhevet. „To miasto bez Ciebie jest śmiertelnie nudne – gryzmolił swoim rozrzuconym pismem. – Zresztą widzę, że nie mam cierpliwości do studiowania. Kiedy cała Europa bierze udział w wojnie, szkoła wydaje się bez sensu. Ale nie będę się rzucał na czołgi jak Polaner. Wolę przeżyć i pracować. Shalhevet wierzy, że uda się nam założyć fundację, która pomoże Żydom wydostać się z Europy. Znaleźć bogatych Amerykanów, którzy wyłożą na to pieniądze. To bystra

dziewczyna. Kto wie, może dopnie swego? Jeśli wszystko dobrze pójdzie, wyjeżdżamy w maju. Od tej pory będę pisał do Ciebie tylko po hebrajsku".

Ben Yakov, wyczerpany psychicznie wydarzeniami zeszłego roku, wziął urlop dziekański i ewakuował się do domu rodziców w Rouen. Wiadomość przyszła nie od niego, ale od Rosena, który przewidywał, że Ben Yakov wkrótce sam spróbuje skontaktować się z Andrasem. I rzeczywiście, w tej samej paczce znalazł się telegram, wysłany na adres Klary w Budapeszcie:

ANDRAS: NIE ŻYWIĘ URAZY. COKOLWIEK ZASZŁO, ZAWSZE MASZ WE MNIE PRZYJACIELA. NIECH CIĘ BÓG MA W OPIECE. BEN YAKOV.

Sama Klara pisała co tydzień. Bez przeszkód otrzymała oficjalne pozwolenie na pobyt; dla władz była Claire Lévi, urodzoną we Francji żoną żołnierza Węgierskich Batalionów Pracy. Wynajęła swoje mieszkanie przy rue de Sévigné polskiemu kompozytorowi, który schronił się w Paryżu; kompozytor znał nauczyciela tańca, który szukał nowego studia, więc udało się wynająć także salę do ćwiczeń. Klara mieszkała teraz na Irály utca i tak jak liczyła, znalazła w Budapeszcie studio dla siebie. Przyjęła kilka prywatnych uczennic i miała nadzieję uczyć niebawem nieduże grupy. Żyła w cichym odosobnieniu, codziennie widywała się z matką, w niedzielne popołudnia chodziła z bratem na spacery do parku; razem pojechali odwiedzić grób jej nauczyciela Viktora Romankova, który miał wylew i zmarł po dwudziestu latach nauczania w Królewskiej Szkole Baletowej. Budapeszt zasnuty jest pajęczyną wspomnień, pisała. Czasem zapominała zupełnie, że jest dorosłą kobietą; zdarzało jej się iść w stronę domu na Benczúr utca w przekonaniu, że zobaczy tam ojca, brata jako wysokiego młodzieńca z gimnazjum i swój dziewczęcy pokoik w niezmienionym stanie. Bywała melancholijna i nade wszystko tęskniła za Andrasem. Ale nie musi się o nią obawiać. Ma się dobrze. Wygląda na to, że nic jej nie grozi.

Andras oczywiście martwił się i tak, ale listy od niej były pocieszeniem – dowiedzieć się, że przynajmniej czuje się bezpieczna, chociaż na tyle, żeby mu tak napisać. Zawsze trzymał najświeższy list od Klary w kieszeni palta. Kiedy przychodził nowy, stary lądował w skrzynce z narzędziami i dołączał do pliku listów związanych jej zieloną wstążką do włosów. Andras miał ich ślubną fotografię w marmurkowej oprawie od Pomeranza i Synów. Odliczał dni do urlopu, wciąż na nowo, przez całą zimę, która wydawała mu się najdłuższa w życiu.

Wiosną las napełnił się wonią czarnoziemu i trwającą od świtu do zmierzchu kakofonią ptasiego śpiewu. Z dnia na dzień w oknach pustych domów

przy drodze do pracy pojawiały się nowe firanki. Na polach widać było dzieci, na drogach – rowerzystów, a z przydrożnych gospód dolatywał zapach kiełbasek z rusztu. Obiecany urlop przesunięto na koniec lata; dowódca powiedział im, że jest za dużo pracy, żeby kompania mogła pozwolić sobie na przerwę. „Bogu dzięki zima się skończyła – pisała matka. – Martwiłam się co dzień. Mój Andráska w tych górach, na tym strasznym mrozie. Wiem, że jesteś silny, ale matka zawsze wyobraża sobie najgorsze. Teraz mogę wyobrazić sobie coś lepszego: jest ci ciepło, praca jest lżejsza i tylko patrzeć, jak będziesz w domu". To samo pogórze, gdzie Andras i jego koledzy musieli przetrwać niekończące się miesiące ciężkich robót, dla Węgrów było teraz miejscem, w którym można odetchnąć świeżym powietrzem, najeść się poziomek ze śmietaną i popływać w lodowato zimnych jeziorach. Ale dla żołnierzy z Batalionów Pracy nie nadszedł jeszcze czas na odpoczynek. Teraz, kiedy ziemia rozmarzła i stała się miększa, kiedy teren pod drogę został oczyszczony z drzew, kompania 112/30 miała za zadanie wykarczować gigantyczne pniaki, żeby można było wyrównać koryto drogi i wysypać je żwirem. Na horyzoncie pojawiły się letnie miesiące ze swą zapowiedzią upalnych dni wśród asfaltu i smoły. Wydawało się, że nic się już nigdy nie zmieni. A potem, w czerwcu, nadeszła kolejna paczka listów od Klary, a wraz z nią wieści od Tibora i wiadomości o Francji.

Tibor i Ilana pobrali się w maju, po długich zaręczynach i pojednaniu z jej rodzicami. Niejaki Rabbi di Samuele wstawił się za narzeczonymi. Okazał się tak skutecznym pośrednikiem, że rodzice Ilany w końcu zaprosili Tibora na kolację szabatową. „Niemniej jednak – pisał Tibor – spodziewałem się, że jej ojciec podbije mi oko. Widzisz, to ja byłem czarnym charakterem, nie Ben Yakov; to ja towarzyszyłem ich córce w pociągu. Za każdym razem, kiedy odważyłem się wypowiedzieć w kwestii interpretacji Pisma Świętego, jej ojciec śmiał się, zachwycony moją ignorancją. Matka Ilany celowo pomijała mnie przy nakładaniu jedzenia. W połowie kolacji święty mąż postanowił interweniować: ojciec Ilany spadł z krzesła, bliski śmierci z powodu zawału. Udało mi się utrzymać go przy życiu za pomocą masażu serca, dopóki nie pojawił się prawdziwy lekarz. Koniec końców przeżył; zostałem bohaterem wieczoru; signor i signora di Sabato zmienili zdanie na mój temat. Ilana i ja pobraliśmy się w ciągu miesiąca. Wróciliśmy na Węgry, kiedy skończyła mi się wiza, i mieszkamy w Budapeszcie, nieopodal Twojej uroczej małżonki, robiąc, co w naszej mocy, by dotrzymać jej towarzystwa i zdobyć dokumenty niezbędne do powrotu do Włoch. Przywiozłem moją Ilanę, żeby poznała anyę i apę. Byli nią zachwyceni, ona nimi, a ojciec podchmielił sobie i pod koniec kolacji zachęcał nas, żebyśmy zabrali się do robienia wnuków. Co do naszego młodszego brata, to dalej ma pstro w głowie.

W tym miesiącu debiutuje w Pineapple Club, gdzie ludzie są gotowi słono płacić, żeby popatrzeć, jak stepuje na białym fortepianie. W jakiś sposób udało mu się jednocześnie zdać maturę. Nadal aranżuje wystawy sklepowe i ma więcej klientek, niż jest w stanie obsłużyć. Pewna dziewczyna porzuciła go dla jakiegoś łajdaka. Przesyła pozdrowienia i załączoną fotografię". Zdjęcie ukazywało Mátyása w cylindrze, białym krawacie i fraku, z laską w dłoni i jedną stopą uniesioną tak, by na podeszwie widać było lśniącą blaszkę do stepowania.

„Myślami zawsze jestem z Tobą – pisał Tibor. – Mam nadzieję, że nie przydadzą Ci się leki, które przesyłam razem z tym listem, ale na wszelki wypadek postarałem się zgromadzić miniaturkę szpitala polowego. Tymczasem pozostaję w nieustającej obawie o Twoje bezpieczeństwo i wierze w Twój hart ducha. Twój kochający brat, TIBOR".

Następny list był od Mátyása, z datą 29 maja, nagryzmolony nieporządnym, gniewnym pismem. „Zostałem powołany – donosił. – Przeklęte dranie. Nigdy mnie nie zmuszą, żebym dla nich pracował. Horthy mówi, że będzie chronił Żydów. Łże! Mój przyjaciel z gimnazjum, Gyula Kohn, zmarł w zeszłym miesiącu w Batalionach Pracy. Bolało go coś w boku i miał gorączkę, ale i tak go wysłali do pracy. To było zapalenie wyrostka. Umarł trzy dni później. Był w moim wieku. Dziewiętnaście lat".

Ostatni list pochodził od Klary, z dołączonym wycinkiem z gazety, na którym widać było 18. Armię Niemiecką maszerującą ulicami Paryża i ogromną nazistowską flagę wiszącą na Hôtel de Ville. Andras usiadł na swojej połówce i wpatrywał się w zdjęcie. Myślał o swoim krótkim przejeździe przez Niemcy – wydawało się, że od tego czasu minęła cała era geologiczna – o przesiadce w Stuttgarcie, gdzie próbował kupić chleb w piekarni, która nie obsługiwała Żydów. Tam właśnie widział czerwoną flagę, wiszącą na fasadzie dworca; wysoki na pięć pięter wybuch narodowosocjalistycznego zapału. Nie mógł uwierzyć w to, o czym donosił artykuł: że ta sama flaga wisi obecnie na każdym rządowym budynku w Paryżu; że Paul Reynaud, następca Daladiera, podał się do dymisji; że nowy premier, Philippe Pétain, ogłosił, że Francja będzie wraz z Hitlerem współtworzyć Nową Europę. Nawet *Liberté, Egalité, Fraternité* zostało zastąpione nowym hasłem: *Travail, Famille, Patrie.* Pojawiły się pogłoski, że Żydzi, którzy zgłosili się do armii francuskiej, będą usuwani ze swoich batalionów i zamykani w obozach koncentracyjnych, skąd zostaną deportowani na Wschód.

Polaner. Powiedział to na głos, wypuszczając to słowo z ust na wilgotne, pachnące sianem powietrze. Oczy go piekły. A on był tutaj, tysiące kilometrów od Francji, bezradny; nie mógł nic zrobić, nikt nie mógł nic zrobić. Hitler dostał już

Polskę w swoje ręce. Miał Luksemburg, Belgię i Holandię, Czechosłowację i Jugosławię, Włochy były jednym z trzech państw osi; Węgry to sojusznik, a teraz Hitler miał też Francję. Wygra wojnę i co stanie się z Żydami w podbitych państwach? Czy zmusi ich do emigracji, deportuje na bagna w środkowej części spustoszonej Polski? Nie sposób było przewidzieć, do czego może dojść.

Wyszedł na podwórze zalane światłem księżyca, by przeczytać list od Klary. Noc była wilgotna; nad placem apelowym wisiała mgiełka, trawa rozrosła się bujnie od czerwcowych deszczów. Wartownik stojący obok obory uchylił czapki przed Andrasem. Znali się już wszyscy dobrze i nikt nie przypuszczał, że ktoś mógłby naprawdę próbować uciec. Nie było zresztą dokąd, tu, na Zakarpaciu. Niebawem zresztą wszyscy pojadą na pierwszy urlop – darmowy transport do Budapesztu. Andras wybrał jeden z dużych kamieni na skraju placu apelowego, gdzie docierało mocne, białe światło księżyca, przebijając się bez trudu przez nieliczne chmury, podobne do zmiętych chusteczek.

Kochany Andráska!

Francja pokonana. Z trudem przychodzi mi uwierzyć w te słowa, kiedy je piszę. To zgroza, tragedia. Świat postradał zmysły. Pani Apfel pisze, że cały Paryż uciekł na południe. Doprawdy, mam szczęście, że jestem teraz na Węgrzech, a nie w Paryżu pod nazistowską flagą.

Byłam bardzo wdzięczna za Twój list z 15 maja. Co za nieopisana ulga dowiedzieć się, że jesteś zdrowy i przetrwałeś zimę. Teraz jeszcze tylko kilka miesięcy i będziesz z powrotem. Tymczasem wiedz, że czuję się dobrze – przynajmniej na tyle, na ile jest to możliwe bez Ciebie. Mam w tej chwili dwadzieścia pięć uczennic. Wszystkie to utalentowane dzieci, Żydówki. Co z nimi będzie, Andras? Nie rozmawiam z nimi oczywiście o moich obawach; ćwiczymy, a dziewczynkom idzie coraz lepiej.

Mama czuje się dobrze. György i Elza także. I József. Twoi bracia są zdrowi. Wszyscy mamy się dobrze! Tak należy pisać w listach. Ale wiesz, jak się czujemy, najdroższy. Jesteśmy pełni obaw. Niepewność kładzie się cieniem na nasze życie. Moje myśli są zawsze przy Tobie: to przynajmniej jest pewne. Do chwili Twojego powrotu każdy dzień trwa zbyt długo.

Twoja kochająca żona,

Klara

Rozdział dwudziesty siódmy

„Śnieżna Gęś”

PRZEZ CAŁE LATO PODTRZYMYWAŁA GO na duchu myśl o tym, że wkrótce będzie z nią – tak blisko, by móc ją dotykać, smakować i chłonąć jej zapach. Będzie mógł leżeć z nią w łóżku przez cały dzień, jeśli tego zapragnie, będzie mógł opowiedzieć jej wszystko, co wydarzyło się w ciągu długich miesięcy nieobecności, i wysłuchać tego, co zaprzątało jej umysł, kiedy on był daleko. Marzył o tym, że ujrzy ojca i matkę, o tym, że po raz pierwszy zabierze Klarę do ich domu w Konyárze, o tym, jak będzie spacerować ze swą żoną i rodzicami po jabłoniowych sadach i rozległych łąkach. Marzył też o spotkaniu z Tiborem, któremu ostatecznie nie udało się odnowić wizy studenckiej, więc musiał pozostać z Ilaną na Węgrzech. Lecz w sierpniu, kiedy nadeszła wreszcie pora zaległego urlopu Andrasa, Niemcy podarowały Węgrom północny Siedmiogród. Karpaty – te białe, granitowe urwiska między cywilizowanym Zachodem a dzikim Wschodem, naturalna bariera Europy odgradzająca ją od potężnego komunistycznego sąsiada. Horthy ich pożądał, nawet za cenę pogłębienia sojuszu z Niemcami; Hitler spełnił jego życzenie i wkrótce potem przyjaźń niemiecko-węgierska została sformalizowana przystąpieniem Węgier do paktu trzech. Kompania 112/30, ukończywszy przedterminowo budowę dróg na Podkarpaciu, została wysłana koleją do Siedmiogrodu. Tam, w dziewiczym lesie między Mármaros-Sziget i Borsą, bataliony pracy przystąpiły do wycinki drzew i kopania rowów, co miało zająć im całą jesień i zimę.

Kiedy znów zaczęło się ochładzać, dotarło do niego, że minął już rok, cały rok, odkąd ostatni raz widział Klarę. Jako małżeństwo spędzili ze sobą zaledwie tydzień. Każdej nocy w barakach mężczyźni płakali lub klęli nad utratą swych kochanek, narzeczonych i żon, kobiet, które dawniej ich kochały, lecz zmęczyły się czekaniem. Jaką miał pewność, że rozłąka wreszcie nie znuży Klary? Zawsze otaczała się ludźmi; jej paryskie towarzystwo składało się z aktorów i tancerzy, pisarzy i kompozytorów, ludzi nieustannie ją zabawiających. Co by ją powstrzymywało przed stworzeniem takiego koła znajomych w Budapeszcie?

A gdyby tak, cóż stałoby na przeszkodzie, by zwrócić się do jednego ze swych nowych przyjaciół w poszukiwaniu bardziej namacalnej bliskości? Raz nawiedziło Andrasa we śnie widmo Zoltána Novaka; szedł boso, lecz w smokingu, Wesselényi utca, kierując się w stronę Wielkiej Synagogi, gdzie na zacienionym dziedzińcu czekała na niego kobieta, którą mogła być Klara. Z pewnością Novak dowiedział się, że wróciła; z pewnością chciałby się z nią spotkać. Być może to zrobił. Być może była z nim teraz na schadzce w jakimś pokoju wynajętym na tę okazję.

Czasem Andras miał wrażenie, że ciężka praca trawi jego umysł jak ogień drewno, rozrzucając resztki na wietrze niczym strzępki popiołu. Co z niego pozostanie, gdy już wróci do Budapesztu? Miesiącami starał się ćwiczyć bystrość umysłu; przekopując łopatą błoto czy rąbiąc siekierą gałęzie, rysował na niewidzialnej kartce projekty budynków i mostów, próbował śpiewać francuskie terminy architektoniczne, by nie pogrążyć się w otępieniu. *Porte, fenêtre, corniche, balcon...* magiczne zaklęcia chroniące mózg przed ogłupieniem. Teraz, gdy perspektywa urlopu znów odsunęła się w czasie, jego myśli stały się źródłem udręki. Wyobrażał sobie Klarę z Novakiem lub pielęgnującą wspomnienia o Sándorze Goldsteinie; rozmyślał ponuro o zataczającej coraz szersze kręgi wojnie, która ciągnęła się już ponad rok. W przesyłanych przez ojca wycinkach z gazet czytał o bezlitosnym bombardowaniu Londynu, conocnych nalotach Luftwaffe trwających przez pięćdziesiąt siedem dni. Podczas gdy niebo nad Anglią płonęło wojną, on i jego towarzysze toczyli swą własną, małą wojnę z trudami Munkaszolgálat. Stopniowo kompania 112/30 kurczyła się – jeden z robotników złamał nogę i musiał zostać odesłany do domu, inny zmarł z powodu ataku cukrzycy, jeszcze inny próbował się zastrzelić z pistoletu oficera, kiedy dowiedział się, że jego narzeczona urodziła dziecko innemu. Mátyás był teraz w batalionach pracy, a Tibor właśnie dostał powołanie. Andras słyszał opowieści o kompaniach pracy wysyłanych na Ukrainę z zadaniem oczyszczania pól minowych. Wyobrażał sobie Mátyása idącego przez pole wśród porannej mgły, trzymającego w ręce kawał ułamanej gałęzi, którą kazano mu szturchać ziemię w poszukiwaniu min.

W grudniu, kiedy seria burz śnieżnych przeszła nad górami i nieraz zmuszała robotników do pozostania w barakach, Andras popadł w obezwładniającą depresję. Zamiast pisać i czytać listy lub rysować w spuchniętym od wilgoci szkicowniku, leżał na łóżku i masował tajemnicze sińce, które zaczęły się pojawiać na jego skórze. Powinien zachowywać się jak dowódca – nominalnie wciąż był brygadzistą oddziału i do jego zadań należało

prowadzenie swych ludzi do roboty, nadzorowanie czyszczenia baraków, pilnowanie konserwacji pieca i w ogóle panowanie nad każdym szczegółem ich życia niegodnego pozazdroszczenia. Tymczasem coraz częściej, zamiast wieść robotników do pracy, wlókł się za nimi ciężko, pozwalając, by jego buty napełniały się śniegiem. Z obojętnością przyjął fakt, że pewnego niedzielnego popołudnia, kiedy za ścianą baraku huczała burza śnieżna, Mendel Horovitz wpadł na koncept stworzenia gazetki Munkaszolgálat. Mendel spisał w notatniku garść pomysłów, po czym wystarał się u jednego z oficerów o ryzę papieru i maszynę do pisania, chcąc, by jego gazeta wyglądała bardziej profesjonalnie. Pisanie na maszynie szło mu opornie; przez trzy wieczory biedził się nad dwoma stronami artykułów. Pracował nad gazetką o każdej porze dnia i nocy. Towarzysze ciskali w niego butami, rozdrażnieni ciągłym stukotem klawiszy, ale dziennikarska pasja wzięła w Mendlu górę nad lękiem przed latającym obuwiem. Pisał codziennie przez cały tydzień, przy każdej okazji.

Kiedy wreszcie skończył, przyniósł dorobek swych rąk Andrasowi i usiadł na brzegu jego łóżka. Na zewnątrz wicher wył jak stado wściekłych lisów. Trzeci dzień szalała najgorsza burza tej zimy, zaspy sięgały okien baraku. Praca tego dnia została odwołana. Podczas gdy inni naprawiali mundury, ćmili zamoknięte papierosy lub gawędzili przy piecu, Andras leżał na łóżku, wpatrując się w sufit i badając językiem uzębienie. Tylne trzonowce niepokojąco się ruszały, jego dziąsła przypominały w dotyku gąbkę. Wcześniej dostał powolnego, ciągnącego się godzinami krwotoku z nosa. Nie był w nastroju do rozmowy. Nie obchodziło go, co Mendel napisał na trzymanych w dłoni kartkach papieru. Naciągnął szorstki koc na głowę i odwrócił się plecami.

– No dobra, Parisi – powiedział Mendel i ściągnął z Andrasa koc. – Dość dąsania się na świat.

Parisi – paryżanin – było ksywką, którą nadał mu Mendel. Zazdrościł towarzyszowi pobytu we Francji i zamęczał go prośbami o szczegółowe opowieści – zwłaszcza o wieczorach u Józsefa, zakulisowych intrygach w teatrze Sary Bernhardt i miłosnych przygodach przyjaciół Andrasa.

– Zostaw mnie.

– Nie da rady. Potrzebuję twojej pomocy.

Andras usiadł.

– Popatrz na mnie – rzekł, wyciągając ramiona. Pod skórą wykwitły fioletowe wieńce naczyń krwionośnych. – Jestem chory. Nie wiem, co mi dolega. Wyglądam na osobę, która może komuś pomóc?

– Jesteś dowódcą oddziału. To twój obowiązek – odparł Mendel.

– Nie chcę już być dowódcą oddziału.

– Obawiam się, Parisi, że decyzja nie należy do ciebie.

Andras westchnął.

– Czego właściwie ode mnie chcesz?

– Chcę, żebyś zrobił ilustracje do gazety. – Mendel upuścił stertę zadrukowanych stron na podołek Andrasa. – Nic wymyślnego, żadnych artystycznych bazgrołów. Proste rysunki. Zostawiłem ci miejsce przy artykułach.

Wetknął towarzyszowi kilka różnokolorowych ołówków do ręki.

Andras nie pamiętał, kiedy ostatnio widział kredki. Te były zatemperowane i niepołamane – małe, acz radosne odkrycie w ciemnym i zadymionym baraku.

– Skąd to masz?

– Ukradłem z biura.

Andras wsparł się na łokciach.

– I jak masz zamiar nazwać ten swój szmatławiec?

– „Śnieżna Gęś".

– W porządku. Zerknę. A teraz zostaw mnie wreszcie.

Oprócz doniesień o wojnie „Śnieżna Gęś" oferowała czytelnikom prognozę pogody („Poniedziałek: śnieg. Wtorek: śnieg. Środa: śnieg"); rubrykę poświęconą modzie („Sprawozdanie z Pokazu Mody o Świcie: Szykowni robotnicy z batalionu pracy stawili się w szeregu ubrani w gustowne uniformy z szorstkiego koca, najmodniejszej tkaniny tej zimy. Mangold Béla Kolos, dyktator mody z Budapesztu, uważa, że ten wysmakowany styl niedługo przyjmie się na całych Węgrzech"), stronę sportową („Złota młodzież z Siedmiogrodu dba o tężyznę fizyczną. Wczoraj o 5 rano w lesie zaroiło się od młodzieńców oddających się najpopularniejszym dziś dyscyplinom sportowym: pchaniu taczek, odgarnianiu śniegu i rąbaniu drzew"), porady dla zagubionych („Droga Miss Coco: Jestem dwudziestoletnią damą. Czy moja reputacja ucierpi, jeśli spędzę noc w kwaterach oficerów? Z wyrazami szacunku, Dziewica". „Droga Dziewico: Twoje

pytanie jest zbyt ogólne. Opisz, proszę, szczegółowo swoje plany, żebym mogła udzielić Ci jak najlepszej odpowiedzi. Całusy, Miss Coco"), ogłoszenia biur podróży („Znudzony? Potrzebujesz wakacji? Skuś się na niezapomnianą wycieczkę po lasach i polach Ukrainy!") oraz – w hołdzie Andrasowi – artykuł o osiągnięciach architektury („Cud inżynierii! Paryski architekt i konstruktor Andras Lévi zaprojektował niewidzialny most. Materiały budowlane są niezwykle lekkie, a czas konstrukcji niewarty wspomnienia. Absolutnie nie do wykrycia przez wroga. Przeprowadzone próby zdają się sugerować, że most potrzebuje jeszcze pewnych usprawnień – batalion armii Węgier niespodziewanie runął w przepaść w trakcie przeprawy. Jednak według niektórych głosów oznacza to, że konstrukcja mostu jest perfekcyjna"). A na końcu *pièce de résistance* – Dziesięcioro Przykazań według Munkaszolgálat:

1. JEŹLI POPEŁNISZ BŁĄD W PRACY, NIE POWIESZ O TYM NIKOMU. POZWOLISZ, BY BLIŹNI TWOI WZIĘLI WINĘ TWĄ NA SIEBIE.

2. NIE BĘDZIESZ OSTRZYŁ PIŁY TWOJEY. POZOSTAWISZ OSTRZENIE TEMU, KTÓREN BĘDZIE Z NIEY CZYNIŁ UŻYTEK PO TOBIE.

3. NIE BĘDZIESZ SIĘ MYŁ. BLIŹNI TWOI CUCHNĄ TAKOŻ.

4. BĘDZIESZ SIĘ PRZEPYCHAŁ PRZEZ KOLEJKĘ DO OBIADU, PRZETÓŻ INACZEY NIE ZNAJDZIESZ W ZUPIE TWEY ANI ZIEMNIAKA.

5. BĘDZIESZ ZNIKAŁ PO DRODZE DO ROBOTY Y POZWOLISZ NADZORCY ZNALEŹĆ ZASTĘPSTWO ZA CIEBIE.

6. BĘDZIESZ POŻĄDAŁ RZECZY BLIŹNIEGO TWEGO, LECZ ZAMIARÓW TWYCH NIE WYJAWISZ NIKOMU. INACZEY RZECZY BLIŹNIEGO ZNIKNĄ PIERWEY, NIŹLI ZDOŁASZ JE UKRAŚĆ.

7. POŻYCZYSZ WSZYTKO OD BLIŹNIEGO TWEGO, JEŹLI JEST WYSTARCZAJĄCO NAIWNY, A POTEM NIE ODDASZ JEMU.

8. POWRACAJĄC Z NOCNEJ WARTY, BĘDZIESZ HAŁASOWAŁ WIELCE. CZEMUŻ BLIŹNI TWOI MIELIBY SPAĆ, GDY TY NIE ŚPISZ?

9JEŹLIŚ CHORY, BĘDZIESZ LEŻEĆ W ŁÓŻKU NAJDŁUŻEY, JAK SIĘ DA. JEŹLI BLIŹNI TWOI UCIERPIĄ Z POWODU NADMIARU ROBOTY, MOŻE IM TAKOŻ PRZYWILEY CHOROBY UDZIELONEM BĘDZIE.

10. BĘDZIESZ PRZESTRZEGAŁ TYCH PRZYKAZAŃ, ABY MIEĆ CZAS PRAWIĆ DRUGIM KAZANIA.

Z początku niechętnie, potem z rosnącym zaangażowaniem Andras zaczął ilustrować gazetkę. Przy prognozie pogody narysował trzy ramki, a w każdej coraz więcej płatków śniegu. Rubrykę mody ozdobił podobizną zaczesanego do tyłu Mendla, owiniętego niczym togą szarym, zeszmaconym kocem. Na stronie sportowej trzech spoconych robotników ciągnęło po stromym zboczu wozy ze żwirem. Rubryka porad była prowadzona przez zalotną długonogą Miss Coco w okularach i z przytkniętym do warg ołówkiem. Ogłoszenie o wycieczce po Ukrainie przedstawiało plażowy parasol zatknięty w zaspie śniegu. Artykuł poświęcony architekturze ilustrował rysunek konstruktora dumnie wskazującego palcem na pustą otchłań. Wreszcie Dziesięcioro Przykazań – jedyne, czego było potrzeba, to okalający je szkic kamiennych tablic. Skończywszy, Andras wyciągnął przed siebie rękę i mrużąc oczy, obejrzał każdy z rysunków. Były to naprawdę marne karykatury, sporządzone w pośpiechu przez rysownika przykutego do łóżka. Ale Mendel miał rację – do „Śnieżnej Gęsi" pasowały doskonale.

Ten pojedynczy egzemplarz gazetki przewinął się przez ręce dwustu ludzi, którzy wkrótce cytowali czwarte przykazanie w kolejce po zupę i tęsknie rozprawiali o wakacjach na Ukrainie. Andras nie mógł się oprzeć pewnemu poczuciu satysfakcji – wrażeniu, którego nie doznał od miesięcy. Kiedy wyszło na jaw, że ilustrator podpisujący się jako „Parisi" jest w rzeczywistości dowódcą oddziału Andrasem Lévim, robotnicy zaczęli go nachodzić z prośbami o rysunki. Największym wzięciem cieszyły się nagie wersje Miss Coco. Narysował ją na pokrywie szafki jednego z proszących, na podszewce czapki innego, na liście, który ktoś zamierzał wysłać do młodszego brata (trzymała w ręku znak z napisem „Cześć, złotko!"). Karykatura Mendla była przyczynkiem do kolejnej mody – na portrety. Mężczyźni ustawiali się w kolejce do Andrasa, by narysował ich podobizny. Nie był zbyt dobrym portrecistą, ale zamawiającym to nie przeszkadzało. Surowość konturów i węglowy cień wokół oczu lub podbródka modela zdawały się podkreślać przytłaczającą niepewność życia w Munkaszolgálat. Mendel Horovitz też zaczął otrzymywać prośby. Stał się kimś w rodzaju zawodowego pisarza listów, skrobiącego na papierze wyrazy miłości, żalu i tęsknoty, które wkrótce przepaść miały we wzburzonej rzece wojskowej poczty i mogły, acz nie musiały, dotrzeć do żon, braci i dzieci, dla których były przeznaczone.

Kiedy pierwszy numer „Śnieżnej Gęsi" wreszcie rozpadł się na strzępy, Mendel napisał kolejny, a Andras znów go zilustrował. Ośmieleni sukcesem poprzedniego wydania, udali się prosto do biura, gdzie znajdował się powielacz.

W ramach przekupstwa zaproponowali sekretarzowi kompanii dwadzieścia pengő. Ryzykując karę i utratę stanowiska, sekretarz wydrukował dziesięć egzemplarzy, które szybko rozeszły się wśród robotników kompanii 112/30. Trzeci numer wydrukowany został w trzydziestu egzemplarzach. I kiedy uradowani czytelnicy płakali ze śmiechu nad gazetką, Andras poczuł, jakby właśnie zaczął się budzić z długiego letargu. Sam się dziwił, jak mógł wcześniej być tak słaby, jak łatwo pozwolił, by przygnębiające myśli opanowały jego umysł i wydrążyły go niczym skorupkę orzecha. Teraz szkicował każdego dnia. Były to wprawdzie tylko absurdalne rysuneczki, ale przywracały mu poczucie, że warto budzić się i oddychać.

Aż nagle w marcu, pewnego mokrego, nieprzyjemnego dnia, Andras i Mendel zostali wezwani do gabinetu dowódcy kompanii. Wezwanie dostarczył przyboczny majora Káloziego – pochmurny, przypominający knura porucznik Grimasz. Kiedy nadeszła pora obiadu, obdarzony tym niefortunnym nazwiskiem oficer podszedł do Andrasa i Mendla, po czym bezceremonialnie wytrącił im menażki z rąk. W dłoni trzymał wymięty egzemplarz „Śnieżnej Gęsi", w którym zawarto między innymi list miłosny niejakiego Porucznika G do niejakiego Majora K oraz inne insynuacje na temat łączących ich stosunków. Twarz porucznika Grimasza płonęła z wściekłości, jego szyja nabrzmiała do dwukrotności rozmiaru kołnierzyka. Zacisnął gazetkę w bochnowatej dłoni. Pozostali robotnicy odsunęli się od Andrasa i Mendla, pozwalając, by tylko na nich dwóch skupiło się mordercze spojrzenie Grimasza.

– Kálozi wzywa was do gabinetu – zawarczał.

– Tajest, panie poruczniku – odpowiedział Mendel i ośmielił się puścić oko do Andrasa.

Uwadze Grimasza nie uszedł ani ton wypowiedzi, ani mrugnięcie. Zamierzył się na Mendla, ale ten uchylił się przed ciosem. Zgromadzeni pogratulowali mu stłumionym aplauzem. Grimasz chwycił Mendla za kołnierz i na wpół go popychając, na wpół ciągnąc, zaprowadził do gabinetu dowódcy; Andras pobiegł za nimi.

Major János Kálozi nie był okrutnym człowiekiem, ale miał ambicję. Syn Cyganki i wędrownego ostrzyciela noży, awansował szybko w ramach Munkaszolgálat, mając cały czas nadzieję na transfer do prawdziwego wojska. Obecny przydział otrzymał z uwagi na wcześniejsze doświadczenie w leśnictwie; zanim w latach dwudziestych wyemigrował na Węgry, pracował w lasach Siedmiogrodu. Andrasa nigdy wcześniej nie wzywano do tego gabinetu,

umieszczonego w jedynym baraku z gankiem i prywatnym wychodkiem. Kálozi naturalnie zajął pokój z największym oknem, co okazało się błędem. Okno o wielu szybach, wyjęte z południowej ściany spalonego domu, śmierdziało węglem i przepuszczało zimno. Kálozi musiał przysłonić je wojskowymi kocami – takimi samymi, jak te zachwalane w rubryce mody – sprawiając, że w gabinecie było ciemno niczym w lochu. Oprócz spalenizny w powietrzu unosił się wyraźny odór koni; zanim je wykorzystano w charakterze zasłon, koce składowane były w stajni. Kálozi zasiadał pośrodku swego mrocznego, cuchnącego królestwa za masywnym biurkiem z metalu. Piecyk na węgiel zapewniał akurat tyle ciepła, by przypominać, że gdzieś na świecie są dobrze ogrzane pokoje.

Andras i Mendel stali na baczność, podczas gdy Kálozi przeglądał niemal kompletny zestaw egzemplarzy „Śnieżnej Gęsi" – od grudnia 1940 roku do najnowszego numeru z 7 marca 1941 roku. Brakowało tylko oryginalnego, pierwszego numeru, który dawno temu rozpadł się w dłoniach czytelników. Major wyraźnie się postarzał, odkąd objął komendę nad kompanią 112/30. Jego skronie posiwiały, szeroki nos pokrył się siateczką czerwonych żyłek. Spojrzał na Andrasa i Mendla z miną znużonego dyrektora szkoły.

– Figle i zabawy – rzekł, zdejmując okulary. – Wytłumaczcie mi to proszę, brygadzisto Lévi. A może mam się do was zwracać „Parisi"?

– To moja sprawka, panie majorze – odpowiedział Mendel. W dłoniach miął regulaminowe nakrycie głowy batalionów Munkaszolgálat, kciukami pocierał mosiężny guzik na przedzie czapki. – Ja napisałem pierwszy numer gazetki i poprosiłem brygadzistę o ilustracje. I dalej już samo poszło.

– Ano poszło, w rzeczy samej – odparł Kálozi. – Dobraliście się do powielacza i wydrukowaliście dziesiątki egzemplarzy.

– Jako brygadzista oddziału biorę na siebie pełną odpowiedzialność – odezwał się Andras.

– Obawiam się, drogi Parisi, że nie mogę przyznać ci całej zasługi. Pan Horovitz jest niezwykle utalentowanym człowiekiem, nie możemy dopuścić, by jego osiągnięcia przeszły niezauważone. – Kálozi otworzył gazetkę na artykule zakreślonym ogryzkiem ołówka. – „Zmiana komendanta w obozie Erdei – przeczytał na głos. – Zasłużony dowódca major Jánika «Zezulec» Kálozi został w tym tygodniu, na rozkaz samego regenta Miklósa Horthy'ego, odwołany z zajmowanego stanowiska z uwagi na rażącą nieudolność i hańbiące mundur zachowanie. Podczas uroczystej ceremonii zastąpił go bardziej kompetentny dowódca, pawian o imieniu Czerwony Poślad. Ustępujący komendant został

odprowadzony przy ogłuszającym akompaniamencie braw i kłopotów gastrycznych”.

Major odwrócił gazetkę, ukazując oczom Andrasa rysunek zezowatego komendanta w marynarce od munduru i damskiej bieliźnie, drobiącego kroki w szpilkach obok swego świniogłowego porucznika, podczas gdy w tle małpa o czerwonym zadzie salutowała do zebranych robotników.

Andras z trudem stłumił uśmiech. Z tego rysunku był szczególnie dumny.

– Co was tak bawi, brygadzisto?

– Nic, panie majorze.

Znał Káloziego od półtora roku i wiedział, że ten ma miękkie serce. Komendant zdawał się wręcz czerpać satysfakcję z tego, że rzadko uciekał się do srogich kar. Andras miał nadzieję, iż Káloziemu nie wpadnie w ręce ten konkretny egzemplarz „Śnieżnej Gęsi”, ale nie czuł szczególnych obaw, szkicując swój prześmiewczy rysunek.

– Ja też się lubię czasem pośmiać, ale nie mogę sobie pozwolić na to, by moi podkomendni mnie znieważali – powiedział Kálozi. – Kompania popadnie w rozprzężenie.

– Rozumiem, panie majorze – odparł Andras. – Nie mieliśmy nic złego na myśli.

– Jakie ty masz pojęcie o tym, co złe? – Kálozi uniósł się z krzesła. Na jego skroń wystąpiła pulsująca żyła; po raz pierwszy, od kiedy przekroczyli próg gabinetu, Andras poczuł strach. – Kiedy walczyłem w Wielkiej Wojnie, oficer obdarłby ze skóry kogoś, kto by narysował coś podobnego.

– Zawsze był pan dla nas wyrozumiały, majorze – powiedział Andras.

– Owszem. Rozpieszczałem was, zapchlone Żydki. Karmiłem i odziewałem, pozwalałem wylegiwać się w łóżkach w zimne dni i nie ganiałem do roboty nawet w połowie tak ostro, jak powinienem. A wy mi się odwdzięczacie tym łajnem, które rozpowszechniacie między robotnikami.

– To tylko dla śmiechu, panie majorze – odezwał się Mendel.

– Nigdy więcej. Nie moim kosztem.

Andras dotknął językiem rozchwianych zębów, ból promieniował w głąb jego dziąseł. Walczył z chęcią ucieczki. Ale zebrał się w sobie, wyprostował i spojrzał Káloziemu w oczy.

– Najmocniej przepraszam.

– Czemuż to? – odparł Kálozi. – W pewnym sensie wyświadczyliście Munkaszolgálat wielką przysługę. Podobno niektórzy rozsiewają kłamstwa o złym traktowaniu robotników w naszych narodowych siłach zbrojnych. Ta gazetka może być mocnym dowodem przeciw podobnym oszczerstwom. – Zwinął egzemplarz „Śnieżnej Gęsi" w sztywną tubę. – W batalionach pracy panuje koleżeńska atmosfera, humor, itp., itd. Warunki są tak dobre, że robotnicy mogą sobie pozwolić na żarty i krotochwile ze swej sytuacji. Mają nawet dostęp do maszyn do pisania, artykułów papierniczych i powielaczy. Wolność słowa. Toż to praktycznie Francja! – Uśmiechnął się nieprzyjemnie, jako że wszyscy wiedzieli, co się stało z wolnością wypowiedzi w okupowanej Francji. – Mam do was jedną sprawę – kontynuował komendant. – Sądzę, iż w obliczu zaistniałej sytuacji zgodzicie się ze mną, że to sprawiedliwe. Skoro znieważyliście mnie publicznie, jedynym sensownym rozwiązaniem jest ukarać was publicznie.

Andras przełknął ślinę. Stojący obok Mendel pobladł. Obaj słyszeli pogłoski o tym, co się działo w innych batalionach pracy, i żaden z nich nie był na tyle naiwny, by sądzić, że to samo nie może wydarzyć się w kompanii 112/30. Najbardziej przerażający był przypadek brata jednego z ich towarzyszy, który służył w batalionie pracy z Debreczyna. W ramach kary za kradzież bochenka chleba ze spiżarni oficerskiej został rozebrany do naga i zakopany po kolana w błocie. Zmuszono go, by stał tam przez trzy dni w pogarszających się warunkach atmosferycznych, aż wreszcie trzeciej nocy zmarł z wychłodzenia.

– Do was mówię, brygadzisto Lévi – rzekł Kálozi. – Spójrzcie na mnie. Nie zwieszajcie głowy jak pies.

Andras uniósł oczy. Majorowi nie drgnęła nawet powieka.

– Długo rozmyślałem nad odpowiednią karą – rzekł. – Tak się składa, że nawet was lubię, chłopcy. Obaj byliście dobrymi pracownikami. Ale upokorzyliście mnie. Upokorzyliście mnie przed moimi ludźmi. I tak też, Lévi i Horovitz... – Kálozi zrobił efektowną pauzę, stukając zwiniętą gazetą w blat biurka. – Obawiam się, że będziecie musieli zjeść swoje słowa.

W ten właśnie sposób zimnego marcowego poranka Andras i Mendel znaleźli się na głównym placu, rozebrani do bielizny, z rękoma skutymi za plecami, klęcząc przed całą kompanią 112/30. Na ławce na wprost nich leżało dziesięć egzemplarzy „Śnieżnej Gęsi". Na oczach robotników porucznik Grimasz odrywał strzępy papieru z gazetek, miął je, maczał w wodzie i wpychał do gardeł redaktorom Léviemu i Horovitzowi. W ciągu dwóch godzin zmuszono ich do zje-

dzenia dwudziestu stron „Śnieżnej Gęsi”. Zaciskając zęby w oporze przed wpychającymi mu się do ust rękoma Grimasza, Andras zaczął po raz pierwszy rozumieć, jak stosunkowo wygodne i bezpieczne życie prowadził do tej pory w Munkaszolgálat. Nigdy wcześniej nie związano mu rąk za plecami, nigdy nie kazano mu godzinami klęczeć bez ubrania na śniegu. Zdał sobie sprawę, że zawsze miał co jeść i co na siebie włożyć, miał dach nad głową, a wszystkie niedogodności łagodziła świadomość, że pozostali robotnicy z kompanii 112/30 cierpią podobnie. Teraz stanął oko w oko z nowym piekłem, którego wcześniej nawet sobie nie wyobrażał. Wiedział, że na wielkiej skali możliwych sankcji to, co się teraz odbywa, mogło zostać sklasyfikowane jako względnie humanitarne postępowanie; dużo dalej na tej skali lokowały się kary, które sprawiały, że człowiek modlił się o śmierć. Zmuszał się do żucia i przełykania, powtarzając sobie, że to jedyny sposób, by przebrnąć przez tę mękę. Przy mniej więcej piętnastej stronie poczuł krew w ustach i wypluł ząb trzonowy. Rozmiękczone szkorbutem dziąsła wreszcie się poddały. Zacisnął oczy i jadł papier, jadł papier, jadł papier, aż w końcu stracił przytomność i upadł w mokry, lodowaty śnieg.

Zaciągnięto go do lazaretu i umieszczono pod opieką jedynego lekarza kompanii, człowieka o nazwisku Báruch Imber, którego wyłącznym celem w życiu było teraz ratowanie robotników batalionów pracy przed konsekwencjami roboty w batalionach pracy. Imber pielęgnował Andrasa i Mendla przez pięć dni, a kiedy doszli do siebie po wychłodzeniu i wymuszonym spożyciu papieru, zdiagnozował u obu szkorbut oraz anemię i odesłał ich do Budapesztu, gdzie czekał na nich pobyt w szpitalu i dwutygodniowy urlop.

Rozdział dwudziesty ósmy

Urlop

Po TYGODNIOWEJ PODRÓŻY POCIĄGIEM, podczas której ich głowy oblazły wszy, a skóra zaczęła się łuszczyć i krwawić, zostali wsadzeni do ambulansu przewożącego chorych i umierających robotników. Podłoga karetki była zasłana sianem, ale mężczyźni i tak dygotali z zimna opatuleni kocami z surowej wełny. W ambulansie znajdowało się ośmiu robotników, z których większość była w znacznie gorszym stanie niż Andras i Mendel. Jeden, chory na gruźlicę, miał wielki guz na biodrze, inny stracił wzrok w wyniku eksplozji pieca, trzeci z kolei miał usta pełne ropni. Kiedy wjeżdżali do Budapesztu, Andras wytknął głowę przez jedno z tylnych okien. Widok codziennego, miejskiego życia – tramwajów, cukierni, chłopców i dziewcząt na randkach, szyldów kin ogłaszających swój repertuar wyraźnymi, czarnymi literami – napełnił go bezsensownym gniewem, jakby wszystko to było zamierzoną kpiną z jego pobytu w Munkaszolgálat.

Karetka podjechała pod szpital wojskowy. Pacjenci zostali wprowadzeni lub wniesieni do rejestracji, gdzie Andras i Mendel siedzieli przez całą noc na zimnej ławce, podczas gdy recepcjoniści zapisywali w księdze przyjęć nazwiska i numery setek robotników i żołnierzy. Nad ranem wreszcie nazwisko Mendla znalazło się w szpitalnym rejestrze, a on sam został odprowadzony, by się wykąpać i poddać leczeniu. Minęły jeszcze dwie godziny, zanim nadeszła kolej Andrasa, ale w końcu, na wpół przytomnego z wyczerpania, pielęgniarz poprowadził do łaźni, gdzie zdjęto z niego brudne ubranie, ogolono mu głowę, spryskano piekącym środkiem dezynfekującym i oblano strumieniami gorącej wody. Pielęgniarz mył jego posiniaczoną skórę ze swoistą bezosobową troską, pełen zawodowej wyrozumiałości dla niedomagań ludzkiego ciała. Andras został wytarty i zaprowadzony do długiej sali ogrzewanej biegnącymi wzdłuż całej ściany kaloryferami.

Położono go do metalowego łóżka, w którym po raz pierwszy od półtora roku zasnął na prawdziwym materacu, w prawdziwej pościeli. Kiedy obudził się po – jak mu się zdawało – ledwie kilku chwilach, ujrzał siedzącą przy nim Klarę

z zapłakanymi, czerwonymi oczyma. Z wysiłkiem usiadł, ujął jej dłonie i zapytał ją o straszne wieści: Kto umarł? Jakie nowe nieszczęście ich dotknęło?

– Andráska – powiedziała głosem łamiącym się z politowania, a on zrozumiał.

To nieszczęście to on sam; Klara łkała nad tym, co z niego zostało. Nie wiedział, jak bardzo schudł na trwającej półtora roku diecie z kawy, zupy i czerstwego chleba. Pamiętał tylko, że co jakiś czas musiał zaciskać pasek o kolejną dziurkę, a jego kości coraz bardziej sterczały pod skórą. Nogi i ramiona oplatały mu węzły żylastych mięśni wyrobionych podczas nieustającej pracy; nawet w trakcie swojego zimowego załamania nigdy nie czuł się naprawdę słaby. Ale zdał sobie sprawę, jak drobny jest zarys jego ciała pod kocem. Mógł sobie tylko wyobrazić, jak chudo i dziwacznie wygląda w szpitalnej piżamie, z ramionami upstrzonymi krwawymi sińcami i ogoloną głową. Niemal chciał, by Klara odeszła i nie wracała, póki on nie zacznie znów przypominać człowieka. Spuścił wzrok i objął się za łokcie w geście przypominającym obronę. Patrzył, jak Klara składa dłonie na podołku, na jej palcu zalśniła obrączka. Złoty krążek był wciąż gładki i błyszczący, jej dłonie tak samo śnieżnobiałe jak w dniu, kiedy się żegnali. Jego własna obrączka zmatowiała i porysowała się, ręce były brązowe i spękane od pracy.

– Był tu lekarz – odezwała się Klara. – Powiedział, że wyzdrowiejesz. Ale musisz brać witaminę C i żelazo i długo odpoczywać.

– Nie potrzebuję odpoczynku – odparł Andras, pragnąc, by żona ujrzała go jak najszybciej na nogach.

Nie był przecież ranny ani okaleczony. Zdjął nogi z łóżka i dotknął stopami zimnego linoleum. Ale nagle doznał zawrotu głowy i musiał przytknąć dłoń do czoła.

– Powinieneś coś zjeść – dodała. – Spałeś przez dwadzieścia godzin.

– Naprawdę?

– Podam ci kilka pigułek z witaminami i trochę bulionu, a potem odrobinę chleba.

– Klaro… – rzekł i ukrył twarz w dłoniach. – Po prostu mnie zostaw. Wyglądam jak straszydło.

Usiadła obok na łóżku i go objęła. Pachniała jakoś inaczej – wyczuwał nutę mydła czy szamponu o zapachu bzu, coś, *co* kojarzyło mu się z Evą Kereny, jego

pierwszą miłością z Debreczyna. Pocałowała jego suche wargi, objęła go w pasie. Pozwolił na to, był za słaby, aby się opierać.

– Szanujcie się trochę, brygadzisto – dobiegł głos z drugiego końca sali.

To był Mendel. On także leżał w czystej pościeli, z ogoloną na łyso głową.

Andras uniósł dłoń i pomachał przyjacielowi.

– Przepraszam, robotniku – odrzekł.

Na myśl o tym, że przebywa w wojskowym szpitalu w towarzystwie Klary i Mendla, zakręciło mu się w głowie. Czuł ból w skroniach. Położył się z powrotem na poduszce i pozwolił Klarze nakarmić się witaminami i bulionem. Jego żona. Klara Lévi. Otworzył oczy, by na nią popatrzeć. Znajomy pukiel włosów opadający na brwi, szczupłe, lecz silne ręce, wargi zaciśnięte w skupieniu, szare, głębokie oczy spoglądające na niego, wreszcie na niego.

Wkrótce zrozumiał, że urlop będzie po prostu inną formą tortur, lekcją, którą musi sobie przyswoić przed jeszcze trudniejszym egzaminem. Zanim dostał powołanie, miał jedynie blade pojęcie o tym, jak będzie wyglądała rozłąka z Klarą. Teraz wiedział. W obliczu tej męki dwa tygodnie zdawały się wręcz niezauważalnie krótkim okresem.

Urlop zaczął się oficjalnie w momencie, w którym Andras został zwolniony ze szpitala, trzy dni po przyjęciu. Klara zadbała o pranie i naprawę jego munduru, a w dniu wypisania przyniosła mu cudowny podarunek w postaci nowej pary butów. Dostał też nową bieliznę, nowe skarpety, nową czapkę z daszkiem i błyszczącym mosiężnym guzikiem z przodu. Czuł się wręcz zawstydzony, stając przed Mendlem Horovitzem w tym świeżym, pysznym stroju. Bo Mendlem nie miał się kto zaopiekować. Był kawalerem, matka odumarła go w dzieciństwie, ojciec był wciąż w Zalaszabarze. Andras spytał, jak zamierza spędzić urlop.

Przyjaciel wzruszył ramionami.

– Mój dawny współlokator dalej mieszka w Budapeszcie. Mogę zatrzymać się u niego.

Klara dotknęła ramienia męża, wymienili spojrzenia. Trudno było podjąć tę decyzję bez narady – tyle w końcu minęło czasu, odkąd ostatni raz byli sami ze sobą. Ale Mendel był starym przyjacielem, a podczas służby w kompanii 112/30 stał się Andrasowi bliski jak brat. Oboje wiedzieli, że Andras powinien mu zaoferować gościnę.

– Wybieramy się na wieś, do moich rodziców – powiedział. – Znajdzie się wolny pokój, jeśli zechciałbyś jechać z nami. Nic wyszukanego. Ale jestem pewny, że moja matka dobrze się tobą zajmie.

Cienie pod oczami Mendla pogłębiły się; spojrzał na przyjaciela z wdzięcznością.

– To miło z twojej strony, Parisi – odparł.

I tak tego samego przedpołudnia cała trójka znalazła, się w pociągu zmierzającym do Konyáru. Minęli Maglód, Tápiogyörgy, Újszász. Jechali pośród równin Hajdú, dzieląc się kawą z termosu i struclą wiśniową. Cierpka słodycz owoców sprawiała, że Andras z trudem powstrzymywał łzy. Wziął w ręce dłoń Klary, spojrzał jej w oczy i poczuł, że ona go rozumie. Komu jak komu, ale jej nieobce były wstrząs i desperacja. Zastanawiał się, jakim cudem tak długo wytrzymywała jego ignorancję w tych sprawach.

Nastał pierwszy tydzień kwietnia. Pola były wciąż nagie i zmarznięte, ale rosnące przy domach krzewy zaczęły się już okrywać zieloną mgiełką, a nagie gałęzie wierzb przybrały jaskrawożółtą barwę. Andras wiedział, że urok gospodarstwa rodziców nie ujawni się teraz w pełnej krasie – podwórze będzie jednym wielkim bagniskiem, jabłonki w sadzie stoją łyse, ogród pusty. Żałował, że nie dane mu było przywieźć tu Klary latem. Lecz gdy wreszcie dojechali na miejsce, gdy wysiedli z pociągu na znajomej stacji i zobaczyli niski, bielony dom z ciemnym dachem krytym strzechą, stodołę, młyn i staw, gdzie jako dziecko puszczał łódeczki z Mátyásem i Tiborem, pomyślał, że nigdy w życiu nie znał piękniejszego miejsca. Z kamiennego komina unosił się dym, ze stodoły dobiegało monotonne zawodzenie elektrycznej piły. Na podwórzu piętrzyły się bale świeżo ściętych drzew. Jabłonki w sadzie wyciągały nagie gałęzie w stronę kwietniowego słońca. Andras upuścił wojskową torbę na podwórzu, chwycił dłoń Klary i pobiegł do drzwi wejściowych. Zastukał w szybkę i czekał na matkę.

Drzwi otworzyła młoda blondynka. Jedną ręką przytrzymywała na biodrze rumiane niemowlę, ściskające w rączkach kawałek rozmiękczonego suchara. Gdy kobieta ujrzała Andrasa i Mendla w wojskowych paltach, jej brwi uniosły się ze strachu.

– Jenő! – krzyknęła. – Chodź tu szybko.

Zza stodoły wybiegł krępy mężczyzna w farmerkach.

– Co się dzieje? – zawołał, zmierzając w ich stronę. – Czego tu chcecie?

Andras zamrugał oczami. Słońce właśnie wyszło zza chmur, trudno mu było skupić wzrok na twarzy mężczyzny.

– Dowódca oddziału Lévi. To dom moich rodziców – odezwał się.

– To był ich dom – odparował mężczyzna z odcieniem dumy. Popatrzył na Andrasa zwężonymi oczami. – Nie wyglądasz mi na oficera.

– Brygadzista Lévi z kompanii 112/30 – powiedział Andras, ale gospodarz już na niego nie patrzył. Zerknął na Mendla, którego palto nie miało oficerskich naszywek, po czym jego wzrok zatrzymał się na Klarze. Zmierzył ją od stóp do głów niespiesznym, pożądliwym spojrzeniem.

– A ty nie wyglądasz jak dziewczyna ze wsi – rzekł.

Andras poczuł, jak krew napływa mu do twarzy.

– Gdzie są moi rodzice? – zapytał.

– A skąd mam wiedzieć? – odrzekł mężczyzna. – Tacy jak wy szwendają się to tu, to tam.

– Jenő, nie bądź gburem – odezwała się kobieta i spojrzała na Andrasa. – Są w Debreczynie. Sprzedali nam gospodarstwo miesiąc temu. Nie pisali wam?

Miesiąc. Tyle trwałoby dostarczenie listu na pogranicze. Pewnie już tam był, gnił w worku z nieodebraną korespondencją, jeśli do tej pory nie spalono go w piecu zamiast drewna. Spróbował zajrzeć za plecy kobiety, w głąb kuchni. Wciąż stał tam stary stół, w którym znał na pamięć każdy sęk i każdą rysę. Dziecko odwróciło główkę, by sprawdzić, co tak zaciekawiło Andrasa, po czym wróciło do żucia suchara.

– Słuchajcie – powiedziała kobieta. – Nie macie jakiejś rodziny w Debreczynie? Kogoś, kto by wam powiedział, gdzie mieszkają rodzice?

– Nie było mnie tam od lat. Nie wiem.

– No cóż, ja mam robotę. Chyba starczy już rozmowy z moją żoną – odezwał się Jenő.

– I starczy gapienia się na moją – odparował Andras.

W tym samym momencie mężczyzna wyciągnął rękę i uszczypnął Klarę w biodro. Ta pisnęła zaskoczona, a Andras bez zastanowienia wyrżnął gospodarza pięścią w brzuch. Jenő stęknął, pozbawiony tchu. Zatoczył się do tyłu, potknął o kamień i wylądował z rozmachem w błocku. Gramoląc się na

nogi, poślizgnął się i ponownie upadł, tym razem na twarz. Zanim zdołał wreszcie wstać, Andras, Klara i Mendel byli już daleko, mknąc jak zające w stronę stacji. Po raz pierwszy w życiu Andras docenił korzyści płynące z mieszkania w pobliżu kolei. I po raz pierwszy zrobił coś, co dotąd wydawało się specjalnością Mátyása. Podbiegł do otwartego wagonu towarowego, wrzucił do środka torbę i podsadził Klarę. Chwilę później on i Mendel też siedzieli w wagonie, akurat w momencie, kiedy pociąg ze skrzypieniem kół ruszył ze stacji. Zdążyli jeszcze zobaczyć, jak nowy właściciel tartaku wybiega z domu, wygrażając im strzelbą i wrzeszcząc na żonę, żeby przyniosła mu te cholerne naboje.

Jechali wagonem towarowym w stronę Debreczyna, oddychając z wysiłkiem chłodnym, kwietniowym powietrzem. Andras był pewny, że Klara będzie przerażona, ale zanosiła się śmiechem. Buty i obrąb sukienki miała czarne od błota.

– Nigdy nie zapomnę wyrazu jego twarzy – wydusiła. – W ogóle się tego nie spodziewał.

– Ja też nie – odparł Andras.

– Zasłużył sobie na więcej – wtrącił Mendel. – Szkoda, że sam mu nie przyfasoliłem.

– Na twoim miejscu jednak bym tam nie wracała – powiedziała Klara.

Andras oparł się plecami o ścianę wagonu i objął żonę, podczas gdy Mendel wysupłał z kieszeni papierosa, zapalił go i chichocząc, położył się na boku. Wpadające do wagonu powietrze było tak świeże, popołudniowe słońce tak jasne, że Andras zaczął odczuwać coś na kształt triumfu. I dopiero gdy spojrzał na Klarę, której wzrok był teraz poważny, zamyślony i współczujący jednocześnie, dotarło do niego, że właśnie po raz ostatni widział swój rodzinny dom.

Odnalezienie w Debreczynie mieszkania rodziców nie zajęło wiele czasu. Zajrzeli do koszernej piekarni obok synagogi, gdzie Andras dowiedział się, że jego matka dopiero tu była, by kupić macę – w piątek zaczynało się święto Paschy.

Pascha. W zeszłym roku święto przyszło i minęło niemal niezauważone. Kilku bardziej religijnych robotników urządziło w baraku wieczór sederowy i zmówiło modlitwy z takim namaszczeniem, jakby przed nimi na stole znajdowały się wino, warzywa, charoset, maca i gorzkie zioła, podczas gdy stały tam jedynie talerze kartoflanki. Jak przez mgłę pamiętał, że kilka razy odmówił do obiadu chleba na zakwasie, ale w końcu osłabł na tyle, że machnął ręką i zaczął znów jeść normalnie. Nawet nie śmiał marzyć, że w tym roku spędzi

Paschę z rodzicami. A teraz szedł wraz z Klarą i Mendlem aleją prowadzącą do Simonffy utca, przy której – jak poinformował ich piekarz – mieszkają jego rodzice. Tam właśnie, w podwórzu starej kamienicy, gdzie uwiązane były dwie białe kozy, a po ścianach wspinała się wciąż jeszcze bezlistna winorośl, zobaczył swoją matkę szorującą balkon na drugim piętrze. Obok niej parował kubeł gorącej wody; na głowie miała niebieską chustę, a jej ręce były aż po łokcie zaróżowione od pracy. Kiedy ujrzała Andrasa, Klarę i Mendla, zerwała się na równe nogi i zbiegła po schodach.

Jego maleńka matka. Wciąż zwinna, mimo wieku, przemknęła chyżo przez podwórko i chwyciła Andrasa w ramiona. Bystre, czarne oczy przesunęły się po twarzy i ciele syna; przytuliła go do piersi i długo nie wypuszczała z objęć. Wreszcie pozwoliła Andrasowi uwolnić się ze swych matczynych ramion i uściskała Klarę, nazywając ją kislányom, swoją córką. Na końcu objęła serdecznie Mendla, który zniósł to spokojnie, zerkając z humorem na Andrasa; kobieta znała go, odkąd chodził do szkoły z jej synem, i zawsze traktowała jak jedno ze swych dzieci.

– Biedni chłopcy. Co oni tam z wami zrobili?

– Czujemy się dobrze, anya. Dostaliśmy dwutygodniowy urlop.

– Dwa tygodnie! – Pokręciła głową. – Po półtora roku dwa tygodnie. Ale przynajmniej będziecie z nami podczas Paschy.

– A kim jest ten typ, który mieszka w naszym domu w Konyárze?

Jego matka przyłożyła dłoń do ust.

– Mam nadzieję, że się z nim nie posprzeczaliście.

– Posprzeczać się? – odparł Andras. – Ależ skąd! Cudowny człowiek. Ucałowałem jego dłoń i zostaliśmy przyjaciółmi na całe życie.

– Och…

– Gonił nas ze strzelbą – wtrącił Mendel.

– Boże, cóż za okropny człowiek! Boli mnie myśl, że ktoś taki mieszka teraz w naszym domu.

– Mam nadzieję, że chociaż utargowaliście dobrą cenę – powiedział Andras.

– Twój ojciec wszystko załatwił – odrzekła matka z westchnieniem. – Powiedział, że mamy szczęście, bo dostaliśmy choć tyle. Żyjemy tu sobie

wygodnie. Nie ma dużo roboty. I wciąż są z nami Kicsi i Noni. – Wskazała głową na dwie mleczne kózki stojące w ogrodzonej części podwórza.

– Powinna była mama do mnie zadzwonić – powiedziała Klara. - Pomogłabym wam się przeprowadzić.

Kobieta spuściła wzrok.

– Nie chcieliśmy cię kłopotać. Wiemy, że masz dużo pracy z uczennicami.

– Jesteście moją rodziną.

– To bardzo miło z twojej strony – odparła matka Andrasa.

Przez moment zdawało mu się, że w jej głosie zabrzmiała nuta powściągliwości czy wręcz respektu. Ale chwilę później matka ujęła Klarę pod ramię i poprowadziła ją do sieni.

Mieszkanie było małe, lecz jasne; trzypokojowy narożny lokal z przeszklonym balkonem. W terakotowych donicach rósł jarmuż; matka Andrasa ugotowała trochę jego liści na obiad i podała je z ziemniakami, jajkami i czerwoną papryką. Andras i Mendel zażyli witaminowe pastylki, które przywiozła Klara – każda zawinięta w skrawek zielonego papieru. Kiedy jedli, kobieta opowiedziała im, co się działo z Mátyásem i Tiborem. Kompania Mátyása stacjonowała w pobliżu Abaszeplaku, gdzie kazano im budować most nad rzeką Torysą. Ale to nie wszystko – przed powołaniem brat Andrasa wzbudził taką sensację w Pineapple Club, tańcząc na fortepianie w białej muszce i fraku, że kierownik z miejsca zaproponował mu dwuletni kontrakt. W listach Mátyás pisał, że cały czas ćwiczy – harując przy budowie mostu, opracowuje w myślach kroki, po czym wieczorami zadręcza swoich towarzyszy, tańcząc i testując wymyśloną w ciągu dnia choreografię. Zarzekał się, że przed powrotem do domu nauczy się stepować tak szybko, że będą musieli stworzyć dla niego nową muzykę.

Z kolei Tibor w listopadzie zeszłego roku dołączył do batalionu pracy w Siedmiogrodzie; uprzednia nauka w Modenie zaowocowała przyznaniem mu stanowiska medyka kompanii. W listach nie pisał dużo o swej pracy – matka sądziła, że nie chce jej przerażać -ale zawsze dzielił się z nią tym, co przeczytał. Obecnie był to Miklós Radnóti, młody żydowski poeta z Budapesztu, którego powołano do batalionów pracy zeszłej jesieni. Radnóti, podobnie jak Andras, przez jakiś czas mieszkał w Paryżu. Niektóre jego wiersze – jak ten o odpoczynku w towarzystwie japońskiego lekarza na tarasie kawiarni La Rotonde czy ten o leniwych popołudniach w Ogrodzie Luksemburskim – przywodziły Tiborowi na

myśl jego własny pobyt w stolicy Francji. Wieść niosła, że batalion Radnótiego stacjonuje niedaleko kompanii Tibora; ta myśl pomogła bratu Andrasa przetrwać zimę.

Luksus siedzenia w kuchni, w czystym i rozsłonecznionym mieszkaniu, podczas gdy matka opowiadała mu o życiu jego braci w batalionach pracy, wydał mu się jednocześnie straszny i surrealistyczny. Jak mógł odpoczywać w tym znajomym fotelu, jak mógł jeść jabłka z Klarą i Mendlem, słuchać meczenia kóz na podwórku kamienicy, podczas gdy Mátyás buduje most w Siedmiogrodzie, a Tibor leczy chorych robotników na Rusi? Okropne było to słodkie rozleniwienie, okropną myśl o wyczekiwanej popołudniowej drzemce we własnym łóżku, o ile oczywiście rodzice przywieźli jego łóżko z Konyáru. Nawet ten stół przed nim – mały, żółty mebel z dawnej ogrodowej kuchni – przyprawiał go o poczucie nieokreślonego żalu, jakby przepływała przez niego tęsknota braci. Ojciec zrobił ten stolik jeszcze przed narodzinami Andrasa; ten pamiętał, że pewnego gorącego popołudnia siedział pod nim, podczas gdy matka obierała groch na obiad. Jadł garść surowego groszku, patrząc na gąsienicę wspinającą się po jednej z nóg stołu. Nawet teraz widział w myślach tamtą gąsienicę, skrawek zielonej gumy z malutkimi nóżkami, kurczący się i rozciągający w mozolnej wędrówce na blat, wyprawie, której powód i cel pozostały na zawsze tajemnicą. Dziś rozumiał, że przetrwanie jest wszystkim. To kurczenie się i rozciąganie, te niespokojne ruchy maleńkiej główki rozglądającej się naokoło – to ni mniej, ni więcej, tylko ciągła walka o pozostanie przy życiu.

– O czym myślisz? – zapytała matka, dotykając jego dłoni.

– O ogrodowej kuchni.

Roześmiała się.

– Rozpoznałeś stół.

– Oczywiście.

– Andras zawsze dotrzymywał mi towarzystwa, kiedy gotowałam – zwróciła się matka do Klary. – Rysował patykiem po ziemi. Codziennie zamiatałam kuchnię, ale zawsze omijałam jego rysunki.

Od strony Mendla dobiegło ciche chrapnięcie. Nie czekał, aż gospodarze zaproponują mu wygodniejsze miejsce do drzemki – zasnął przy stole, złożywszy głowę na twardej poduszce przedramion. Andras powiódł przyjaciela do kanapy i opatulił go kołdrą. Mendel nie obudził się ani podczas przejścia przez pokój, ani

gdy Andras układał mu nogi i ręce na sofie. To był swego rodzaju talent. W batalionie potrafił czasem zasnąć podczas marszu do pracy.

– Może też się prześpisz? – zapytała Klara Andrasa. – Pomogę twojej mamie w kuchni.

Jednak ostry, rześki smak jabłek rozbudził go; nie chciało mu już spać. Pragnął jak najszybciej zobaczyć ojca.

W tym, że jego ojciec znalazł pracę przy obróbce drewna – być może piłując teraz te same drzewa, które Andras ścinał w Siedmiogrodzie i na Podkarpaciu – kryła się jakaś cierpka, węgierska ironia. Debreczyńskie Zakłady Drzewne w niczym nie przypominały tartaku, który Béla Farciarz sprzedał okropnemu młodemu człowiekowi w Konyárze. Była to potężna, finansowana przez rząd fabryka, przez którą dziennie przechodziły setki drzew przerabianych na tysiące desek, wykorzystywanych potem do budowy baraków, magazynów i stacji kolejowych. Węgry gotowały się do wojny, przewidując, że mogą być zmuszone do walki u boku Niemiec. Gdyby do tego doszło, armia potrzebowałaby olbrzymich ilości drewna. Oczywiście gdyby Béla Farciarz miał wybór, wolałby pracować w mniejszej fabryce, której wyroby służyłyby bardziej pokojowym celom. Wiedział jednak, że ma szczęście, że znalazł zatrudnienie w czasach, gdy tak wielu Żydów pozostawało bez pracy. A jeśli Węgry przystąpiłyby do wojny, to nawet małe tartaki zostałyby zaprzęgnięte do pracy na rzecz państwa i armii. Tak więc przyjął stanowisko drugiego zastępcy brygadzisty, po tym jak jego poprzednik zmarł na zapalenie płuc zeszłej zimy. Pierwszy zastępca brygadzisty, przyjaciel Béli z lat szkolnych, zaproponował mu tę pracę jako tymczasowe rozwiązanie, pozwalające rodzicom Andrasa przetrwać chude miesiące zimowe. Przez osiem tygodni Béla mieszkał w Debreczynie, jeżdżąc do domu tylko w weekendy i zostawiając nadzór nad pracą we własnym tartaku swojemu brygadziście. Kiedy przyjaciel zaproponował ojcu Andrasa stałe zatrudnienie, Béla i Flóra uznali, że nadszedł czas, by sprzedać swoje małe przedsiębiorstwo. Starzeli się, praca w gospodarstwie stawała się coraz trudniejsza, długi rosły. Za pieniądze ze sprzedaży mogli spłacić wierzycieli i wynająć małe mieszkanie w Debreczynie.

Pech chciał, że jedynym zainteresowanym kupcem był członek strzałokrzyżowców, węgierskiej partii narodowosocjalistycznej, a jego oferta opiewała na połowę wartości tartaku. Béla nie miał wyboru, musiał sprzedać. To była ciężka zima. Ledwie mieli co jeść, a na dodatek przez cały miesiąc pociągi nie dojeżdżały do Konyáru. Nastąpiła jakaś awaria torów, której nikt nie potrafił lub nie chciał naprawić. Wiele potrzebnych na co dzień usług – dostawa poczty, uzupełnianie zapasów, wywózka drewna – całkowicie zamarło. W Debreczynie za

to jedzenia było pod dostatkiem, a tartaki pracowały pełną parą. Dostawałby dwa razy więcej pieniędzy, niż mógł zarobić na swoim. Z bólem serca sprzedawał dorobek całego życia po tak zaniżonej cenie, ale przeprowadzka wyszła im na dobre – Flóra, która w trakcie zimy bardzo schudła, już powróciła do dawnej wagi, a Béli przestał tak mocno dokuczać kaszel i reumatyzm. Kiedy idąc przez skład drewna, zdawał Andrasowi relację z ostatnich miesięcy, jego krok był pewny, a głos silny.

– Wiesz, czego nam teraz potrzeba? – zakończył opowieść, wieszając kask w szatni brygadzistów. – Kufelka jasnego pełnego.

– Tylko głupiec by się z tobą spierał – odparł Andras.

Udali się do ulubionej piwiarni ojca, przypominającego grotę lokalu w pobliżu Rózsza utca, gdzie na ścianach wisiały wypchane głowy wilków i poroża jeleni, a na drewnianym podeście stała olbrzymia staroświecka baryłka piwa. Siedzący przy ławach mężczyźni palili foxy i dyskutowali o przyszłości Europy. Barman był wielkim, wąsatym typem, który wyglądał, jakby jego dieta składała się z pączków i piwa.

– Jak dziś piwo, Rudolfie? – spytał ojciec.

Rudolf wyszczerzył w uśmiechu drobne zęby.

– Idzie w nogi – odpowiedział.

To wyglądało na rodzaj ich tradycji. Barman napełnił dwa kufle jasnym piwem, nalał sobie kieliszek wódki, po czym obaj wznieśli toast za swoje zdrowie.

– Co to za chudzielec? – spytał Rudolf.

– Mój średni syn, architekt.

– Architekt, tak? – Barman uniósł brew. – Zbudowałeś coś w okolicy?

– Jeszcze nie – odpowiedział András.

– Służysz?

– W Munkaszolgálat.

– I to tam cię tak głodzą?

– Zgadza się.

– Podczas Wielkiej Wojny byłem huzarem jak twój ojciec. Na froncie serbskim. Prawie straciłem nogę pod Varaždinem. Aie bataliony pracy, cóż, to

zupełnie inna historia. Grzebanie się w błocie przez cały dzień, żadnej rozrywki, żadnej szansy na chwałę i do tego głodowa dieta. – Pokręcił głową. – To nie robota dla takiego bystrzachy jak ty. Długo ci jeszcze zostało?

– Pół roku – odrzekł Andras.

– Pół roku! To nie tak dużo! A i pogoda się dobra szykuje. Poradzisz sobie. Ale wypij jeszcze jedną kolejkę na koszt firmy, tak na wszelki wypadek. Do dna. Obyśmy tysiąc razy oszukali śmierć!

Wypili. Następnie Andras i jego ojciec skierowali kroki do stolika w zacienionym kącie sali; na ścianie nad nimi wisiał łeb wilka zastygły w skowycie. Widok wypchanej głowy zwierzęcia przyprawił Andrasa o dreszcze. Zeszłej zimy w Siedmiogrodzie nieraz słyszał wycie wilków i wyobrażał sobie ich żółte kły i srebrnoszare futro. Były momenty, gdy ogarniała go taka desperacja, że niemal pragnął się im rzucić na żer. Jakby chcąc odpędzić złe wspomnienia i przypomnieć sobie, że jest na urlopie, sięgnął do kieszeni i dotknął zegarka swojego ojca. Wyruszając do pracy w Munkaszolgálat, zostawił go Klarze na przechowanie; teraz wydobył go na wierzch i pokazał ojcu.

– To dobry zegarek – rzekł Béla, obracając przedmiot w palcach. – Świetny.

– W Paryżu, za każdym razem, kiedy miałem problem, wyciągałem go i zastanawiałem się, co ty byś zrobił.

Ojciec uśmiechnął się smutno.

– Założę się, że nie zawsze robiłeś to, co ja bym zrobił.

– Nie zawsze.

– Jesteś dobrym chłopcem – powiedział Béla. – Rozsądnym. W swoich listach z Musz zawsze robisz dobrą minę do złej gry, żeby nie smucić matki. Ale ja wiem, że jest dużo gorzej, niż pozwalasz nam wierzyć. Popatrz na siebie. Prawie cię tam zabili.

– Nie jest tak strasznie – odparł Andras i w tej chwili sam w to uwierzył. To przecież tylko praca, a pracował całe życie. – Karmią nas. Dają ubranie i buty. Mamy dach nad głową.

– Ale musiałeś przerwać naukę. Nie ma dnia, żebym o tym nie myślał.

– Wrócę do szkoły.

– Gdzie wrócisz? Francja już nie istnieje, przynajmniej nie dla Żydów. A ten kraj... – Pokręcił głową z niechęcią i niesmakiem. – Ale znajdziesz jakiś sposób. Musisz. Nie chcę, żebyś rzucił studia.

Andras pojął, o czym ojciec myśli.

– Ty nie rzuciłeś nauki – powiedział. – Wyjechałeś z Pragi, bo musiałeś.

– Ale nie wróciłem, prawda?

– Nie bardzo miałeś wybór.

Nie chciał już ciągnąć tego tematu. To było bez sensu, nie mógł teraz nic poradzić na przerwaną naukę i ojciec wiedział o tym równie dobrze jak on. Świadomość, że minęły już prawie dwa lata, odkąd był w École Spéciale, ciążyła, mu jak wielki, niemożliwy do przesunięcia głaz. Spojrzał na grupkę mężczyzn czytających stronę sportową w „Pesti Hírlap" i kłócących się o to, który zapaśnik wygra dziś turniej w Narodowym Klubie Sportu. Nigdy nie obiło mu się o uszy nazwisko żadnego z tych zawodników.

– Na pewno cieszysz się ze spotkania z Klarą – odezwał się Béla.

– Trudno być tak daleko od żony, tyle czasu... Twoja Klara to dobra dziewczyna.

Andras dostrzegł w twarzy ojca odbicie tego samego dziwnego cienia rezerwy i wahania, który zobaczył wtedy na obliczu matki.

– Szkoda, że nie napisałeś jej, że się przeprowadzacie – powiedział. – Przyjechałaby wam pomóc.

– Kuchenna twojej matki nam pomogła. Była zadowolona, że ma dodatkową pracę.

– Klara to teraz nasza rodzina, apa.

Jego ojciec wydął wargi i wzruszył ramionami.

– Po co ją wciągać w nasze problemy?

Andras nie zamierzał powiedzieć tego, co mu przyszło do głowy podczas słuchania opowieści ojca – że wolałby, by to Klara negocjowała sprzedaż tartaku, że z pewnością utargowałaby lepszą cenę i postawiła na swoim. Lecz sytuacja, która w Paryżu zostałaby przyjęta jako najnormalniejsza na świecie, w Konyárze, tam, pośród równin Hajdú, była nie do pomyślenia; kobiety nie negocjowały sprzedaży gruntu z mężczyznami.

– Klara dobrze wie, co to ciężka praca – rzekł. – Musiała sama zarabiać na swoje utrzymanie, odkąd skończyła szesnaście lat. A poza tym dla niej ty i anya jesteście jak jej właśni rodzice.

– No tu już androny pleciesz – powiedział Béla, kręcąc głową.

– Nie zapominaj, chłopcze, że świętowaliśmy wasz ślub w domu jej matki. Poznałem panią Hász. Poznałem brata Klary. Nie sądzę, by Klara mogła nas kiedykolwiek wziąć za swoją rodzinę.

– Nie to miałem na myśli. Udajesz, że mnie nie rozumiesz.

– Może w Paryżu ty i Klara byliście po prostu dwójką Węgrów dotrzymujących sobie towarzystwa. Tutaj, w domu, rzeczy przedstawiają się trochę inaczej. Rozejrzyj się. Bogacze nie siadają do stołu z biednymi.

– Ona nie jest bogaczem, apa. Jest moją żoną.

– Jej rodzina wykupiła tego jej całego siostrzeńca od służby. On nie musiał harować w batalionach pracy. Ale dla ciebie tego nie zrobili.

– Powiedziałem jej bratu, że dla mnie to nie do przyjęcia.

– A on nie nalegał, prawda?

Andras poczuł ciepło na karku, na ułamek sekundy ściągnął usta w wyrazie gniewu.

– To niesprawiedliwe robić z tego zarzut wobec Klary – rzekł.

– Niesprawiedliwe jest to, że niektórzy muszą pracować, a inni nie.

– Nie spotkałem się z tobą, żeby się kłócić.

– Nie kłóćmy się więc.

Ale było za późno. Andras był wściekły. Nie miał ochoty znosić towarzystwa ojca ani minuty dłużej. Położył na stole pieniądze za piwo, lecz ojciec je odsunął.

– Idę na spacer – powiedział Andras, wstając. – Potrzebuję świeżego powietrza.

– Pozwól więc, że twój staruszek przejdzie się z tobą.

Andras wiedział, jak mu odmówić. Ojciec wyszedł za nim z baru i razem ruszyli w granatowy wieczór. Wzdłuż alei świeciły latarnie, bezlitośnie wydobywając z zapadających ciemności łuszczący się tynk i wyblakłe kolory fasad kamienic. Nie myślał, dokąd idzie; chciał po prostu kroczyć szybciej,

zgubić ojca gdzieś daleko w mroku. Był jednak słaby, zmęczony i senny. Minęli hotel Aranybika, przypominający starzejącą się majętną wdowę w koronkowej sukni z białego drewna. Minęli dwie wieże luterańskiego zboru, z ich beznamiętnymi iglicami. Szli i szli, aż do parku naprzeciwko Muzeum Dériego, tego przysadzistego, barokowego budynku ozdobionego żółtą sztukaterią. Dziwnie miękki, kwietniowy zmierzch przypominał setki wieczorów, które Andras spędził tu jako uczeń – z przyjaciółmi albo całkiem sam, odwracając karty swoich młodzieńczych rozterek niczym strony ulubionej książki. W tamtych czasach zawsze mógł szukać pocieszenia, uciekając myślami do domu – tego skrawka ziemi w Konyárze z sadem i stodołą, i tartakiem, i stawem. Teraz wiedział, że jego rodzinny dom już nigdy nie będzie jego domem. Jego przeszłość, jego dzieciństwo, wszystko zostało mu odebrane. Odebrano mu też przyszłość, o której marzył jako student. Siadł na ławce, pochylił się, objął głowę rękoma. Cierpienie i poczucie osamotnienia, które tłumił przez osiemnaście miesięcy, nagle zalały go jedną wielką falą. Siedział i skarżył się nocy urywanym szlochem.

Béla Farciarz patrzył na syna, na chłopca, którego problemy zawsze były najbliższe jego sercu. On sam nigdy nie poddawał się atakom płaczu i nie aprobował podobnych słabości u swych synów. Nauczył ich przekuwać cierpienie w pracę. To przecież uratowało jego życie. Wychowując dzieci, nie okazywał im nadmiernej fizycznej czułości; uznał, że to domena ich matki. Ale patrząc na swego syna, na tego schorowanego, zmaltretowanego młodzieńca moczącego gorzkimi łzami nogawki spodni, wiedział, co powinien zrobić. Usiadł na ławce obok Andrasa i go objął. Jego miłość zawsze znaczyła dla chłopca coś szczególnego. Miał nadzieję, że wciąż znaczy.

Andras został w Debreczynie przez tydzień. Matka karmiła go, pielęgnowała jego zmaltretowane stopy, szykowała dlań ciepłe kąpiele w kuchni. Śmiała się z opowiastek Mendla o ich towarzyszach z batalionu pracy i wraz z Klarą sprzątała dom na święto Paschy. Nowa kuchenna, stara panna o imieniu Márika, bardzo się przywiązała do Mendla, twierdząc, że jest kubek w kubek podobny do jej brata, który zginął podczas Wielkiej Wojny. Zostawiała mu potajemnie prezenty w postaci wełnianych skarpet i bielizny, które musiały pochłaniać sporą część jej zarobków. Kiedy Mendel próbował protestować przeciw tak kosztownym podarkom, udawała, że nie wie, o czym mowa. Andras z ulgą powitał znajomy spokój i lekką nudę Debreczyna. Z przyjemnością spacerował z żoną i przyjacielem po starych ulicach, kupował im pączki w tej samej cukierni, w której przejadał kieszonkowe jako dziecko, pokazał Klarze gimnazjum żydowskie i wrotkowisko pod gołym niebem, które w zimie zmieniało

się w lodowisko dla łyżwiarzy. Czuł się coraz silniejszy, jego zęby znów trzymały się mocno w dziąsłach. Krwawe sińce pod skórą bladły.

Przez pierwsze kilka dni był boleśnie nieśmiały w stosunku do Klary. Nie chciał, by żona oglądała go nago w takim fatalnym stanie, i wątpił, czy potrafi sprostać wyzwaniom fizycznej miłości. Ale przecież miał dwadzieścia pięć lat, a ona była kobietą, którą kochał. Pewnej nocy przysunął się do niej na cienkim materacu, który dzielili w malutkim pokoiku wykorzystywanym przez matkę do szycia. Dookoła nich walały się ubrania, które matka Andrasa szyła lub naprawiała, żeby mu je podarować albo wysłać jego braciom w batalionach pracy. Pokój pachniał wypraną bawełną i słodką, przypaloną wonią prasowania. W tym buduarze, w ich drugim łożu małżeńskim, wyciągnął do niej ręce, a ona wtuliła się w jego ramiona. Ledwie mógł uwierzyć, że Klara wciąż istnieje wymiarze fizycznym, że dane mu znów dotknąć części jej ciała, którego wspomnienie nosił w sercu jak talizman przez ostatnie osiemnaście miesięcy: jej małych, jędrnych piersi, srebrnobiałej blizny na brzuchu, krągłości bioder. Gdy się kochali, patrzyła mu w oczy. W słabym świetle docierającym do pokoju przez przysłonięte okno nie widział koloru jej tęczówek, ale rozpoznawał intensywność spojrzenia, którą tak dobrze znał i uwielbiał. Chwilami walczyli ze sobą jak zaprzysięgli wrogowie; jakaś jego część niemal chciała ją ukarać za tęsknotę, którą przez nią cierpiał. Zdawała się to rozumieć i na jego gniew odpowiadała własnym. Wreszcie opadł na nią ciężko, czując mocne bicie obu serc. Wiedział już, że znajdą sposób, by pokonać ten dystans, który stworzyła między nimi rozłąka.

Zanim tygodniowy pobyt w Debreczynie dobiegł końca, Andras dostrzegł subtelną zmianę w stosunkach Klary i swojej matki. Podczas posiłków wymieniały między sobą znaczące spojrzenia, matka nalegała, by Klara towarzyszyła jej w wyprawach na targ, aż wreszcie poprosiła ją, by przygotowała kluski z macy na wieczór sederowy. Kluski z macy królowały na sederowym stole, żadna inna potrawa nie była tak wyczekiwana – ani smażone kotlety z kurczaka, ani kugel ziemniaczany, ani faszerowana ryba, którą matka Andrasa zawsze przyrządzała ze świeżego karpia. W Konyárze karp ów pływał sobie w blaszanej wanience ustawionej w ogrodowej kuchni, w Debreczynie skazany był na pobyt na podwórzu, wystawiony na widok publiczny. (Dwójka dzieci, brat i siostra, zaprzyjaźniły się nawet z rybą i dokarmiały ją okruchami chleba po powrocie ze szkoły; kiedy karp zniknął, by stać się drugim daniem kolacji sederowej, Andras powiedział dzieciom, że zabrał rybę do miejskiego parku i wypuścił ją na wolność. To zaskarbiło mu wieczną wrogość chłopca

i dziewczynki, choć próbował im tłumaczyć, że karp sam tego chciał i zwierzył mu się z tego w tajemniczym języku karpackim, którego Andras nauczył się w Munkaszolgálat). Rodzinny przepis na kluski z macy był nabazgrany czarnym inkaustem na kojarzącej się ze świętymi pismami karcie pergaminu. Należał do prababki Flóry, Rifki, i został jej sprezentowany w dniu ślubu w małym srebrnym puzderku opatrzonym słowem *Knaidlach.*

Pewnego popołudnia, gdy Andras wrócił ze spaceru z Mendlem, zastał swoją matkę i Klarę siedzące razem w kuchni nad otwartym srebrnym pudełkiem i drogocennym przepisem. Włosy Klary były związane, na głowie miała chustę, na piersi fartuszek wyszywany w truskawki, jej skóra była zaróżowiona od kuchennego ciepła. Mrużąc oczy, zerkała to na trzymany w dłoni przepis, to na rozłożone na stole składniki.

– Ale ile tego wszystkiego? – zapytała. – Nie widzę proporcji…

– Nie przejmuj się. Po prostu rób to na wyczucie – odpowiedziała matka Andrasa.

Klara spojrzała na męża ze spanikowanym uśmiechem.

– Czy mogę jakoś pomóc? – spytał Andras.

– Tak, kochanie – odrzekła Flóra. – Ściągnij ojca z pracy. Jak go znam, pewnie zapomniał, że dziś miał wrócić do domu wcześniej.

– Dobrze. Ale najpierw chciałbym zamienić kilka słów ze swoją żoną.

Wyjął Klarze z dłoni przepis i włożył go na powrót do srebrnego puzderka, po czym złapał żonę za rękę i zaciągnął do pokoiku do szycia. Zamknął drzwi. Klara skryła twarz w dłoniach i zaczęła się śmiać.

– Mój Boże! Nie dam rady zrobić tych klusek z macy.

– Wiesz, zawsze możesz odmówić.

– Cóż to za przepis! Równie dobrze mógłby być pisany szyfrem!

– Może to magia. Może proporcje nie mają znaczenia.

– Gdybyż tylko była tu pani Apfel. Albo Elisabet.

Jej twarz spowił cień smutku, jak zawsze, gdy w ciągu ostatnich dwóch tygodni wspominała imię Elisabet. Pożegnała się już z nadziejami – rodzice Paula, którzy mieszkali w posiadłości w Connecticut, nie chcieli mieć nic do czynienia z Elisabet i całkowicie zerwali kontakty z synem. Niezrażeni tym Paul

i Elisabet wynajęli mieszkanie na Manhattanie i znaleźli pracę – Paul jako grafik, Elisabet jako uczennica w piekarni. Dziewczyna okazała się świetna w fachu i awansowała na pomocnicę cukiernika; to, że pochodziła z Francji, było swego rodzaju atutem. Kilka miesięcy temu pisała, że tort, który dekorowała, zrobił furorę na wielkim weselu w sali balowej hotelu Waldorf-Astoria. Matki zamożnych panien zaczęły przychodzić do niej z zamówieniami. A teraz spodziewała się dziecka. Ta wiadomość przyszła w ostatnim liście sprzed paru tygodni.

– Klaro – rzekł, dotykając jej dłoni. – Elisabet sobie poradzi, wiesz o tym.

Westchnęła.

– Dobrze mi tu – odpowiedziała. – Dobrze być z tobą. I spędzać czas z twoją mamą. Kocha was tak, jak ja kocham swoją córkę.

– Musisz mi zdradzić, jak to zrobiłaś. Oczarowałaś ją.

– O czym ty mówisz?

– Moja matka się w tobie zakochała, ot co.

Klara oparła się o ścianę i skrzyżowała szczupłe kostki.

– Zwierzyłam się jej – rzekła.

– Co masz na myśli?

– Powiedziałam jej prawdę. Całą. Chciałam, żeby wiedziała, co się ze mną działo, kiedy byłam młoda, i jak żyję od tego czasu. Byłam pewna, że to coś między nami zmieni.

– I zmieniło.

– Tak.

– Ale teraz musisz zrobić kluski z macy.

– Myślę, że to taka ostateczna próba. Klara się uśmiechnęła.

– Mam nadzieję, że sobie poradzisz – odpowiedział.

– Nie wydajesz się tego pewny.

– Oczywiście, że jestem pewny.

– Idź po swojego ojca – powiedziała i wypchnęła go za drzwi.

Zanim Andras i Mendel wrócili z Bélą Farciarzem, w garnku na piecu bulgotały już kluski z macy. Faszerowany karp był gotowy, stół nakryty białym obrusem, talerze i sztućce lśniły w blasku dwóch świec. Na środku stołu leżał srebrny talerz sederowy – co roku ten sam, odkąd Andras pamiętał – a na nim sześć srebrnych pucharków: z zielonymi warzywami, gorzkimi ziołami, słoną wodą, charosetem, udźcem baranim i jajkiem.

Béla Farciarz stanął za krzesłem u szczytu stołu, w milczeniu przetrawiając wieści, jakie usłyszał przez radio, zanim chłopcy przyszli po niego do tartaku. Horthy pozwolił Hitlerowi dokonać inwazji na Jugosławię z węgierskiej ziemi... Na Jugosławię, z którą rok wcześniej podpisał pakt o przyjaźni i nieagresji. Nazistowskie wojska zgrupowały się w Barcsu i przeprawiły tłumnie przez Drawę, podczas gdy bombowce Luftwaffe dziesiątkowały ludność Belgradu. Béla wiedział, o co w tym wszystkim szło – Hitler karał ten kraj za przewrót wojskowy i ogólnonarodowe powstanie, które wybuchło po tym, gdy Jugosławia przystąpiła do paktu trzech. Niecały tydzień wcześniej Niemcy poprzysięgły bronić obecnego kształtu granic Jugosławii przez tysiąc lat; teraz Hitler sam posyłał tam armię. Inwazja rozpoczęła się tego dnia po południu. Węgierskie wojska miały być wysłane w tym tygodniu jako wsparcie dla Wehrmachtu. Byłaby to pierwsza operacja militarna z udziałem Węgier podczas tego konfliktu. Dla Béli było jasne, że to dopiero początek, że kraj będzie wciągany coraz bardziej w wir wojny. Zginie tysiące chłopców. Jego dzieci zostaną wysłane na roboty przy liniach frontu. Słuchał ponurych wiadomości i czuł, jak krew zamarza mu w żyłach, ale kiedy przyszli Andras i Mendel, nie powiedział ani słowa. I z pewnością nie zamierzał poruszać tego tematu teraz, przy poświęconym stole. Nie mógł znieść myśli, że złe wieści zepsują wysiłek jego żony i synowej. Poprowadził ceremonię sederową jak zawsze, tym razem boleśnie odczuwając nieobecność najstarszego i najmłodszego syna. Opowiedział historię Exodusu i pozwolił Mendlowi wyrecytować Cztery Pytania. Udało mu się przełknąć dobrze znane potrawy – gotowane jajko z warzywami, nadziewaną rybę i złoty rosół z kluskami z macy. Następnie odśpiewał błogosławieństwa, jak to zawsze czynił, i z wdzięcznością przyjął czwarty ceremonialny kielich wina. Kiedy na koniec sederu otworzył drzwi w geście powitania dla proroka Eliasza, ujrzał, że wielu mieszkańców kamienicy zrobiło to samo. Świadomość, że otaczają go inni Żydzi, napełniała go otuchą. Ale nie mógł wiecznie ukrywać przed rodziną złych wieści. Z głębi podwórka dobiegł chrapliwy dźwięk państwowej radiostacji; ktoś wystawił radioodbiornik za okno, żeby wszyscy mogli słyszeć. Z głośnika popłynęło przemówienie wygłaszane surowym, arystokratycznym głosem – to Miklós Horthy, ich regent, mobilizował kraj na spotkanie chwalebnej przyszłości

w nowej Europie. Béla patrzył, jak najpierw na twarzy jego żony, a następnie syna pojawia się zrozumienie. Węgry brały teraz udział w wojnie i nie było odwrotu. Tłoczyli się na balkonie, słuchając transmisji z radia. Béla popchnął drzwi o jeszcze kilka centymetrów i zaczął cicho śpiewać: *Eliahu ha Navi, Eliahu ha Tishbi...* Stał z dłonią opartą o framugę, intonując imię świętego męża. Sam jeszcze do końca nie porzucił nadziei na inne proroctwo.

Rozdział dwudziesty dziewiąty

Obóz w Bánhidzie

KIEDY NA KONIEC URLOPU Andras i Mendel zameldowali się w biurze batalionów pracy, powiedziano im, że nie wrócą już do kompanii 112/30 w Siedmiogrodzie. Wedle słów sekretarza batalionów major Kálozi miał ich obu serdecznie dość. Zamiast tego wysyłano ich do Bánhidy, pięćdziesiąt kilometrów na północny zachód od Budapesztu, gdzie mieli dołączyć do kompanii 101/18, która pracowała w kopalni węgla i elektrowni.

Pięćdziesiąt kilometrów od Budapesztu! Być może uda mu się spotkać z Klarą na weekendowej przepustce. A listy między nimi nie będą szły przez cały miesiąc. Zaprowadzono ich na stację kolejową, gdzie mieli czekać na powracających członków swojej nowej kompanii. Następnie podzielono ich na grupy i wsadzono do wagonów osobowych. Mężczyźni wracający z Bánhidy najwyraźniej nie doświadczyli tak ciężkiej zimy jak Andras i Mendel. Ich ubrania były w dobrym stanie, ich ciała wyglądały krzepko. Panowała między nimi pewna żartobliwa zażyłość, jakby byli uczniami gimnazjum wracającymi do szkoły po wakacjach. Pociąg ruszył na wschód, jadąc wpierw wśród zielonych wzgórz Budy, potem przez pola i lasy węgierskiej prowincji. Wagony napełniły się rześkim wiosennym powietrzem. Jednak im bliżej byli Bánhidy, tym bardziej cichły rozmowy robotników. Ich twarze przybierały zamyślony wyraz, barki zginały się pod niewidzialnym ciężarem. Zieleń za oknem zaczęły przetykać coraz częstsze siedliska ludzkie o lichym wyglądzie, które zawsze ukazują się jako pierwsze pasażerom pociągu zbliżającego się do miasta. Wreszcie samo miasto – najpierw przemykający za oknami labirynt ciasnych uliczek i krytych czerwoną dachówką domów, który w miarę jak zbliżali się do elektrowni, ustępował miejsca ponuremu krajobrazowi dróg gruntowych, magazynów i warsztatów. Wreszcie ujrzeli samą elektrownię – trzykominowy okręt zasnuwający jasne wiosenne niebo chmurami brunatnego dymu. Pociąg zaczął hamować z wizgiem i wjechał na stację wypełnioną dziesiątkami pordzewiałych wagonów towarowych. Po drugiej stronie pustego pola stały rzędy ceglanych baraków ogrodzone płotem

z siatki. Za nimi dostrzec można było mężczyzn pchających niewielkie wagoniki z węglem w stronę elektrowni. Bezmiaru rozdeptanego błota nie ozdabiało ani jedno drzewo czy krzaczek. W oddali, jakby dobrotliwie kpiąc sobie z losu robotników, wznosiły się zielone zbocza gór Gerecse i Vertes.

Strażnicy otworzyli z rozmachem drzwi wagonów i krzykiem wygonili mężczyzn na zewnątrz. Na błotnistym polu nowi przybysze zostali oddzieleni od powracających z urlopu. „Starych" bezzwłocznie wysłano do pracy; „nowym" kazano zostawić worki z dobytkiem w barakach i stawić się na placu w centrum kompleksu. Ceglane baraki w Bánhidzie zbudowano tak, jakby jedyną troską konstruktorów była oszczędność; materiały budowlane były niskiej jakości, wysoko umieszczone okna małe i nieliczne. Gdy Andras wszedł do środka, poczuł się, jakby zakopano go pod ziemią. Wraz z Mendlem wybrali łóżka na końcu jednego z rzędów, gdzie ściana domku dawała im choć namiastkę prywatności. Następnie podążyli za swoimi towarzyszami na plac apelowy – rozległy kwadratowy obszar pełen błota.

Dwóch sierżantów ustawiło ich w dziesięcioosobowych rzędach; tego dnia do obozu w Bánhidzie przybyło pięćdziesięciu nowych robotników. Kazano im stać na baczność i czekać na majora Barnę, dowódcę kompanii, który dokona inspekcji. Następnie mieli zostać podzieleni na grupy i przystąpić do pracy w swoim nowym batalionie. Stali w błocie przez prawie godzinę, w milczeniu, słuchając odległych komend kierowników robót, dudnienia elektrowni i skrzypienia metalowych kół wagoników jadących po szynach. Wreszcie z budynku administracyjnego wyszedł ich nowy dowódca; na głowie miał czapkę obszytą złotym galonem, na nogach wysokie, lśniące buty. Szybko przemaszerował wśród rzędów robotników, obrzucając badawczym wzrokiem ich twarze. Major Barna przypominał Andrasowi wizerunek Napoleona ze szkolnego podręcznika – był niewysoki, ciemnowłosy, ze sztywno wyprostowanymi plecami i władczym spojrzeniem. Przechodząc po raz drugi wzdłuż rzędu, zatrzymał się naprzeciw Andrasa i zapytał o rangę. Andras zasalutował.

– Brygadzista, panie majorze.

– Co takiego?

– Brygadzista – powtórzył głośniej.

Czasem dowódcy wymagali od robotników wykrzykiwania odpowiedzi, zupełnie jakby służyli w prawdziwym wojsku, a nie w batalionach pracy. Andrasa zawsze to niezwykle irytowało. Nieoczekiwanie major Barna rozkazał mu wystąpić z szeregu i pomaszerować na środek placu.

Był zły, że kazano mu maszerować. Był zły na to wszystko. Parę tygodni spędzonych w domu wskrzesiło w nim niebezpieczną świadomość, że jest człowiekiem. Kiedy dotarł na przód szeregów, stanął z lekkim drżeniem na baczność, podczas gdy major Barna oglądał go od stóp do głów. Oficer patrzył na niego z pełną obrzydzenia fascynacją, jakby Andras był dziwolągiem z obwoźnego cyrku. Wreszcie wyciągnął składany nóż z rękojeścią z masy perłowej i podsunął go robotnikowi pod nos. Nozdrza Andrasa się rozszerzyły. Obawiał się, że kichnie. Wyraźnie czuł metaliczny zapach ostrza. Nie wiedział, co Barna zamierza zrobić. Małe, ciemne oczy majora spoglądały figlarnie, jakby on i Andras byli konspiratorami w jakiejś psocie, która miała się za chwilę wydarzyć. Z mrugnięciem oka odsunął nóż od twarzy Andrasa i wetknął ostrze pod naszywkę brygadzisty na jego płaszczu. Następnie kilkoma szybkimi ruchami odciął insygnia z jego piersi. Naszywka spadła na ziemię; Barna docisnął ją obcasem, aż całkiem znikła w błocie. Potem przytrzymał ręką czapkę na głowie Andrasa, tę samą, którą dała mu Klara. Jeszcze kilka cięć nożem i z nakrycia głowy również znikły oficerskie insygnia.

– Jaki jest teraz wasz stopień, robotniku?! – major Barna krzyknął tak głośno, by słyszeli go mężczyźni w ostatnim rzędzie.

Andras nigdy nie słyszał, by coś podobnego miało miejsce. Nie wiedział, że można być zdegradowanym, jeśli nie zostało się uznanym za winnego jakiegoś wykroczenia. W przypływie buntowniczego nastroju wyprostował się na pełną wysokość – sięgając głową dobre piętnaście centymetrów ponad majora Barnę – i odkrzyknął:

– Brygadzista, panie majorze!

Barna wykonał ręką szybki ruch i w czaszce Andrasa eksplodował ból. Upadł na kolana, zanurzając dłonie w błocie.

– Nie w Bánhidzie! – wrzasnął oficer.

W jego ręce kołysała się biała brzozowa laska lekko zbrukana krwią Andrasa. Mimo bólu robotnikowi zbierało się na śmiech. To wszystko było absurdalne. Przecież dopiero jadł jabłka w kuchni matki. Przecież dopiero kochał się z żoną. Przyłożył dłoń do potylicy, poczuł ciepłą krew i pulsujący guz.

– Wstawać, robotniku! – krzyknął major. – Do szeregu marsz!

Nie miał wyboru. Tym razem posłuchał oficera bez słowa sprzeciwu.

Powitanie w Bánhidzie było zaledwie przedsmakiem tego, co miało przyjść później. Albo w czasie niedługiego urlopu Andrasa nastąpiła zmiana w batalionach pracy, albo po prostu sprawy w kompanii 101/18 przedstawiały się inaczej, niż był do tego przyzwyczajony. W obozie nie było żadnych żydowskich oficerów, brygadzistów czy kierowników robót, ani nawet medyków lub inżynierów. Strażnicy byli bardziej okrutni i szybciej wpadali w złość, oficerowie nie wahali się wymierzać surowych kar. Bánhida była niesłychanie brzydkim miejscem. Wszystko w obozie i w okolicy sprawiało wrażenie, jakby istniało specjalnie po to, żeby sprawiać mieszkańcom niewygodę i cierpienie. Dniem i nocą kominy elektrowni wypuszczały kłęby brunatnego węglowego dymu; powietrze cuchnęło siarką, a wszystko było pokryte cienką warstwą rudobrązowego pyłu, który na deszczu zmieniał się w śliską papkę. W barakach śmierdziało pleśnią, okna przepuszczały gorąco, ale niewiele światła i powietrza, woda ze stropu kapała na łóżka. Wyglądało na to, że drogi i ścieżki wytyczono przez najbardziej podmokłe tereny w obozie. Codziennie o trzeciej po południu spadała ulewa, zamieniając całe miejsce w zdradliwe, błotniste bagno. Gorący wilgotny wiatr roznosił po całym obozie zapachy z latryn, robotnicy podczas pracy krztusili się od smrodu. W kałużach lęgły się komary, które bezlitośnie atakowały mężczyzn, obsiadając całymi rojami ich czoła, karki i ramiona. Jednak gorsze były gzy; ich ukąszenia pozostawiały na skórze bolesne czerwone ranki, które wolno się goiły.

Zadaniem Andrasa i Mendla był załadunek węgla brunatnego do kopalnianych wagoników i pchanie tychże wagoników po zardzewiałych szynach do elektrowni. Tory nie były umocowane na stałe w ziemi, a przyczyna wkrótce stała się jasna – w miarę jak nasilały się opady deszczu, podkłady i szyny trzeba było zbierać i układać na nowo, by ominąć kałuże wielkości małych jezior. Kiedy nie było już sposobu, żeby poprowadzić tory dookoła kałuży, w poprzek kładło się drewniane bale i dopiero na nich szyny. W pełni załadowane wagoniki ważyły kilkaset kilogramów. Robotnicy pchali je, ciągnęli i podważali dźwigniami, a kiedy mimo wytężonych starań pojazdów wciąż nie dało się ruszyć z miejsca, uciekali się do przekleństw i okładania ich łopatami. Każdy wagonik miał wymalowane na burcie litery KMOF – Közérdekű Munkaszolgálat Országoz Felügyelője, czyli Państwowa Administracja Batalionów Pracy. Mendel jednak upierał się przy swojej wersji rozwinięcia skrótu – Királyi Marhák Ostobasági Földbirtoka, co znaczyło „Królewskie Magazyny Oferm i Fajtłap”.

Za pewne rzeczy Andras i Mendel mogli być wdzięczni losowi. Byłoby znacznie gorzej, gdyby przydzielono ich do roboty w elektrowni, gdzie węglowy

pył i opary chemikaliów zmieniały powietrze w gęstą, nienadającą się do oddychania zupę. Byłoby znacznie gorzej, gdyby musieli pracować w kopalni. Byłoby gorzej, gdyby nie byli tu razem. I wreszcie byłoby gorzej, gdyby wysłano ich setki kilometrów od Budapesztu, tak jak wcześniej na Zakarpacie czy do Siedmiogrodu. W Bánhidzie poczta działała szybko. Listy od rodziców szły do Andrasa dwa tygodnie, od Klary ledwie tydzień. Pewnego razu żona przesłała mu list od Rosena – pięć stron tekstu pisanego dużymi, rozrzuconymi literami, przybyłych aż z Palestyny. Rosenowi i Shalhevet udało się uciec z Francji tuż przed zamknięciem granic dla Żydów.

Pobrali się w Jerozolimie i obecnie oboje pracowali dla Palestyńskiej Wspólnoty Żydowskiej, on w departamencie planowania osadnictwa, ona w biurze imigracyjnym. Spodziewali się narodzin dziecka w listopadzie.

Przychodziły nawet listy od braci Andrasa. Tibor dostał urlop, który spędził w domu z Ilaną. Po raz pierwszy zabrał ją na Wzgórze Zamkowe. Dołączona do listu fotografia przedstawiała ich dwoje siedzących na murku; twarz Ilany rozpromieniona była uśmiechem, trzymali się z Tiborem za ręce. Mátyás z kolei wciąż służył w swoim batalionie, ale owładnięty wiosennym szaleństwem, pewnego razu wymknął się do karczmy w pobliskim miasteczku, pił piwo, tańczył z dziewczętami i stepował na barze, a następnie wrócił do swojego obozu, gdzie nikt nie zauważył jego nieobecności.

W obliczu męki i beznadziei w obozie w Bánhidzie Mendel wymyślił nową gazetkę, którą nazwał „Kąśliwy Giez". Tworzenie kolejnej publikacji po tym, co spotkało ich w kompanii 112/30, z początku wydawało się Andrasowi aktem zuchwalstwa graniczącego z głupotą. Jednak Mendel przekonywał go, że muszą robić coś, żeby nie oszaleć. Twierdził, że ich nowa gazetka będzie wciąż wyrazem protestu, ale powstrzymają się od bezpośredniego ośmieszania kierownictwa obozu. Gdyby ich złapano, dowódca kompanii nie będzie miał powodów do osobistej urazy. Oczywiście z przedsięwzięciem wiązało się pewne ryzyko, ale jeśli go nie podejmą, będzie to oznaczać, że Munkaszolgálat udało się skutecznie ich uciszyć. Czy po upokorzeniu doznanym na placu w kompanii 112/30 Andras mógł teraz milczeć, zamiast protestować?

Andras ostatecznie dał się przekonać i ponownie został współredaktorem gazetki Mendla. Jego zgoda była częściowo podyktowana (jak sam podejrzewał) próżnością, a częściowo pragnieniem zachowania godności. Jednak była też głębsza motywacja – przekonanie, że on i Mendel konspirują na rzecz wolności wypowiedzi i morale swych towarzyszy. W kompanii 112/30 byli świadkami, jak „Śnieżna Gęś" stała się dla robotników symbolem ich walki o przetrwanie.

Mężczyznom przynosiło pewną ulgę to, że ich codzienne znoje były opisywane i piętnowane jako skandal, który wymagał powołania do życia podziemnej gazety – choćby tak absurdalnej jak „Śnieżna Gęś". W Bánhidzie przynajmniej było łatwiej zdobyć materiały piśmiennicze; w obozie kwitł czarny rynek towarów wszelakich. Oprócz debreczyńskiej kiełbasy, papierosów Fox, plakatów z roznegliżowanymi Hedy Lamarr i Ritą Hayworth, groszku konserwowego, wełnianych skarpet, proszku do zębów i wódki można było kupić papier i ołówki. A rysowania było przed Andrasem mnóstwo.

W pierwszym numerze „Kąśliwego Gza" opublikowali glosariusz obozowy, który zawierał takie terminy jak: poranna zbiórka („popularna gra salonowa z naprzemiennymi rundami nudy, gimnastyki i poniżenia"), nosiwoda („robotnik z pustym wiadrem i pełną gębą") i sen („rzadkie zjawisko naturalne, o którym niewiele wiadomo"). Napisali horoskop przedstawiający niedole nadchodzące dla każdego znaku zodiaku. Zamieścili reklamę usług prywatnego detektywa, który oferował, że sprawdzi, czy czyjaś żona lub narzeczona jest wierna, z zastrzeżeniem, że detektyw nie ponosi odpowiedzialności za ewentualne złamanie wierności przez obiekt śledztwa z rzeczonym detektywem. Wstawili także rubrykę ogłoszeń poufnych („Poszukuję arszeniku. Zapłata w ratach") oraz powieść w odcinkach o wyprawie na biegun północny – cieszącą się coraz większą popularnością w miarę ocieplania się pogody w Bánhidzie. Dzięki pomocy żydowskiego subiekta w biurze aprowizacji nowe numery gazetki można było drukować co tydzień w pięćdziesięciu egzemplarzach. Wkrótce Andras i Mendel cieszyli się zasłużoną, acz dyskretną dziennikarską sławą pośród mieszkańców obozu.

Lecz jednej rzeczy na próżno było szukać w „Kąśliwym Gzie", a na niej właśnie najbardziej zależało czytelnikom – prawdziwych wieści z Budapesztu i ze świata. Te informacje musieli zdobywać z nielicznych sfatygowanych gazet przesyłanych przez krewnych lub wyrzucanych przez strażników. Gazety przechodziły z rąk do rąk tak długo, aż tekst stawał się nieczytelny, a wiadomości nieaktualne. Jednak było kilka wydarzeń tak wielkiej wagi, że wieści o nich dotarły do robotników dość szybko. W trzecim tygodniu czerwca, mniej więcej rok po upadku Francji, wojska Hitlera zaatakowały Związek Radziecki; dwustukilometrowa linia frontu ciągnęła się od Bałtyku po Morze Czarne. Władze na Kremlu zdawały się tym obrotem spraw równie wstrząśnięte co robotnicy z obozu w Bánhidzie. Najwyraźniej Moskwa wierzyła, iż Niemcy dotrzymają postanowień wzajemnego paktu o nieagresji. Ale Hitler, jak zauważył Mendel, musiał planować tę inwazję od miesięcy. Jak inaczej zdołałby

zgromadzić te setki tysięcy żołnierzy, tyle samolotów i dywizji pancernych? Niecały tydzień później Andras i Mendel dowiedzieli się od kierownika obozowej poczty, że radzieckie bombowce – lub maszyny wyglądające jak radzieckie bombowce, choć mogły być w rzeczywistości przemalowanymi niemieckimi samolotami – zaatakowały przygraniczne węgierskie miasto Kassa. Węgry nie miały innego wyjścia jak wysłać armię przeciw ZSRR. Gdyby premier Bárdossy odmówił, Niemcy odebraliby Węgrom wszystkie uprzednio podarowane terytoria. Nawet sam Bárdossy, który długo opierał się udziałowi Węgier w wojnie, uznał teraz konflikt za nieunikniony. Wkrótce nagłówki gazet trąbiły o wypowiedzeniu wojny Związkowi Radzieckiemu, a węgierskie wojska maszerowały na spotkanie pozostałych sił państw osi biorących udział w inwazji. Robotnicy z kompanii 101/18 wiedzieli, co to oznaczało – na każdy oddział armii węgierskiej wysłany na front przypadał jeden wspierający go batalion pracy.

Nikt nie wiedział, jak długo potrwa wojna ani jakie mogą być zadania bojowe batalionów pracy. W barakach szerzyły się pogłoski o tym, że robotnicy będą wykorzystywani w charakterze żywych tarcz albo posyłani wprost na linie wroga, by ściągnąć na siebie ogień. Ale w Bánhidzie nie nastąpiła żadna natychmiastowa zmiana; wciąż wykopywano węgiel, ładowano go do wagoników i palono w elektrowni, zatruwając powietrze wyziewami siarkowego dymu. W lipcu, kiedy błoto wreszcie wyschło, a owady wyzdychały z pragnienia, tempo pracy wzrosło, jakby tryby wojny wymagały coraz większych ilości energii, by się obracać. Upał był tak nieznośny, że każdego dnia robotnicy rozbierali się do bielizny, jeszcze zanim nastało południe. Nigdzie nie było drzew, w których cieniu można by się było schronić przed słońcem, ani stawu czy rzeczki, by ochłodzić poparzoną skórę. Andras wiedział, że w pobliskim miasteczku, które minęli po drodze do obozu, serwowano wodę sodową z sokiem malinowym. W najgorętsze dni był bliski tego, by odepchnąć w cholerę swój wagonik i iść przed siebie, aż dotarłby do cienia rzucanego przez las parasoli w ulicznej kawiarence. Zaczął mieć przywidzenia w postaci migoczących miraży wody obok torów, czasem wręcz cały obóz zdawał się unosić na powierzchni lśniącego, srebrno-czarnego morza. Ile to już czasu minęło, odkąd widział po raz ostatni prawdziwe morze o zielonkawoniebieskich falach zwieńczonych śnieżną pianą? Dostrzegał je teraz tuż za ogrodzeniem, pchając wagoniki z węglem – Morze Śródziemne, połyskujące w słońcu, rozciągające się aż po niewyobrażalnie odległe wybrzeża Afryki. Była tam Klara w czarnym kostiumie kąpielowym i w prążkowanym białym czepku; wchodziła powoli do spienionej wody, stała już po uda w morzu, z nogami rozmytymi załamaniem światła. Klara na szczycie

drewnianej wieży, skacząca na główkę, rozkładająca ramiona jak łabędź, nurkująca w szmaragdowe fale.

Lecz wtedy pojawiał się obok niego nadzorca, wywrzaskujący rozkazy. Trzeba było ładować węgiel i pchać wagoniki, gdyż gdzieś daleko na wschodzie trwała wojna.

Najbardziej wstrząsające wieści dotarły do Andrasa miesiąc po przystąpieniu Węgier do wojny, pewnego parnego, gorącego lipcowego wieczoru, podczas godzinnej przerwy między pracą a kolacją, na schodach baraku 21. Wraz z dwoma towarzyszami, rudymi, tyczkowatymi bliźniakami z Sopronu, udał się po pracy do biura, aby odebrać listy i paczki. Mężczyźni byli spaleni słońcem, ich oczy zmęczone jaskrawym blaskiem dnia. Spływający po nich pot rozmył pył w cienką maź, która teraz zasychała na skórze jak skorupa. Jak zawsze przed pocztowym barakiem wiła się olbrzymia kolejka. Poczta była kontrolowana przez naczelnika i jego pomocników, co oznaczało, że otwierano każdą paczkę, badano zawartość i kradziono wszelkie jedzenie, papierosy i pieniądze, jakie mogły znaleźć się w środku, zanim wreszcie adresat przesyłki odebrał to, co z niej zostało. Bliźniacy z Sopronu umilali sobie oczekiwanie, chichocząc nad „Kąśliwym Gzem". Andras miał umysł otępiały od gorąca, ledwie pamiętał, jak ilustrował ten numeru gazetki. Odkorkował manierkę i wypił ostatnie krople wody. Jeśli będą musieli czekać w tej kolejce zbyt długo, nie starczy czasu na kąpiel przed kolacją. Czy prosił Klarę o przysłanie mu mydła do golenia? Wyobrażał sobie czystą kostkę, owiniętą w woskowany papier z nadrukiem przedstawiającym dziewczynę w staromodnym kostiumie kąpielowym. A może w paczce znajdzie się coś innego, mniej potrzebnego, ale niekoniecznie gorszego – pudełko dropsów albo nowe zdjęcie Klary?

Kiedy wreszcie przyszła ich kolej, pracownik poczty wręczył bliźniakom dwie identyczne paczki. Każda była oczywiście otwarta i przebadana, a cztery papierki po czekoladowych batonach walały się w nich jak rozmyślne szyderstwo. Ale tego dnia w przesyłkach musiało być sporo ciast, gdyż pocztowcy łaskawie zostawili nietknięte puszki z cynamonowymi rogalikami. Miku i Samu byli koleżeńscy, a poza tym żywili podziw dla ilustratora „Kąśliwego Gza", toteż poczekali, aż Andras odbierze jeden cienki list od Klary, i w drodze powrotnej podzielili się z nim swoim cynamonowym szczęściem. Mimo przyjemności ze smaku koszernego rogalika Andras czuł się trochę zawiedziony swoją własną przesyłką. Skończyło mu się mydło do golenia, witaminy i mnóstwo innych rzeczy. Żona mogłaby pomyśleć o jego potrzebach. Mogła przesłać mu choćby malutką

paczuszkę. Kiedy bliźniacy wnieśli do baraku swoje paczki, Andras usiadł na schodkach i otworzył list scyzorykiem.

Mendel Horovitz znajdował się po drugiej stronie placu, kiedy zobaczył przyjaciela siedzącego na schodach z listem w rękach. Pospieszył ku niemu, chcąc z nim porozmawiać, zanim ten zniknie w łaźni, by umyć się przed kolacją. Mendel właśnie wracał z biura aprowizacji, gdzie subiekt pozwolił mu skorzystać z maszyny do pisania; w zaledwie czterdzieści minut udało mu się napisać wszystkie sześć stron najnowszego numeru „Kąśliwego Gza". Sądził, że Andras powinien zilustrować gazetkę jeszcze tego wieczoru. Pogwizdywał melodię z filmu *Tin Pan Alley,* który widział w Budapeszcie podczas urlopu. Ale kiedy doszedł do baraku, zatrzymał się i umilkł. Andras spojrzał powoli na Mendla, trzymając list w drżącej dłoni.

– Co jest, Parisi? – spytał Mendel.

Andras nie mógł wydusić z siebie słowa, nie wiedział, czy kiedykolwiek jeszcze będzie mógł mówić. Może źle zrozumiał. Ale przebiegł list wzrokiem po raz drugi. Słowa stawiane przez Klarę eleganckim, pochyłym pismem nie zostawiały miejsca na wątpliwości.

Była w ciąży. On, Andras Lévi, miał zostać ojcem.

Jakie to miało znaczenie, ile ton węgla przyjdzie mu jeszcze przerzucić łopatą? Kogo obchodziło, ile razy wagonik wykolei się na niestabilnych szynach, ile razy pękną pęcherze na rękach, czy jak okrutnie będą się z nim obchodzić strażnicy? Czym był głód, pragnienie, niewyspanie, poranne zbiórki na placu? Czemu miałby się przejmować swoim ciałem? Pięćdziesiąt kilometrów stąd, w Budapeszcie, Klara spodziewała się jego dziecka. Liczyło się tylko przetrwanie tych miesięcy do daty, którą podała w liście – 29 grudnia. Do tego czasu zakończy służbę w batalionach pracy. Może nawet wojna się skończy, wszystko zależało od wyniku kampanii Hitlera w ZSRR. Nikt nie mógł przewidzieć, jaki będzie za kilka miesięcy los Żydów na Węgrzech, ale jeśli Horthy pozostanie regentem, to może życie będzie znośne. A może wyemigrują do Ameryki, do tego brudnego i cudownego Nowego Jorku? W dniu, w którym dostał list od Klary, narysował kalendarz na odwrocie egzemplarza „Kąśliwego Gza". Każdego wieczoru po pracy przekreślał jeden kwadracik; i tak, stopniowo, dni zaczęły przemieniać się w długiego węża iksów. Listy mknęły między Budapesztem i Bánhidą. Klara wciąż udzielała prywatnych lekcji i miała zamiar robić to dopóty, dopóki będzie w stanie demonstrować kroki. Odkładała pieniądze, żeby po powrocie Andrasa wynajęli większe mieszkanie. Znajomy jej matki był

właścicielem kamienicy przy Nefelejcs utca; okolica nie należała do modnych, ale budynek znajdował się niedaleko domu przy Benczúr utca i tylko kilka przecznic od parku. *Nefelejcs* to nazwa małego leśnego kwiatu z niebieskimi płatkami i maleńkim żółtym środkiem – niezapominajki. Nie mógł zapomnieć, nawet na moment; jego życie balansowało na krawędzi niewyobrażalnej zmiany.

We wrześniu wydarzył się cud – Andras dostał trzy dni urlopu. Za jego nagłym szczęściem nie stała żadna konkretna przyczyna; urlopy w Bánhidzie zdawały się być przydzielane całkowicie losowo, z wyłączeniem przypadków śmierci w rodzinie. W czwartek dowiedział się o urlopie, w piątek odebrał papiery, a w sobotę rano siedział już w pociągu do Budapesztu. Dzień był jasny, powietrze tchnęło łagodnym ciepłem przemijającego lata. Niebo było boleśnie błękitne, a w miarę oddalania się od Bánhidy smród siarki przechodził w świeży zapach skoszonej trawy. Po drogach gruntowych biegnących wzdłuż torów jechały wozy wyładowane sianem i zbożem. Targowiska w Budapeszcie będą pełne jabłek i gruszek, późnych winogron, czerwonej kapusty, kabaczków, papryki i ziemniaków. Co za niesamowite uczucie przypomnieć sobie, że istnieją na świecie takie rzeczy – że istniały przez cały ten czas, kiedy jego utrzymywała przy życiu dieta z cienkiej zupy, gliniastego chleba i kawy.

Klara czekała na niego na dworcu Keleti. Nigdy w życiu nie widział piękniejszej kobiety. Miała na sobie ciemnoróżową sukienkę, która opinała się na wypukłości jej brzucha, i zgrabny wełniany kapelusik. Wbrew modzie jej włosy pozostawały długie i niepodkręcone; splotła je w kok na karku. Wziął ją w ramiona, chłonąc zapach skóry rozgrzanej słońcem. Bał się uściskać ją tak mocno, jak tego pragnął. Cofnął się o krok, nie wypuszczając rąk żony, i spojrzał na nią.

– Więc to prawda? – spytał.

– Jak widzisz.

– Ale naprawdę?

– Przekonamy się za parę miesięcy.

Wzięła go pod rękę i poprowadziła w stronę Városliget. Nie mógł uwierzyć, że tak można – spacerować wrześniowym popołudniem z Klarą, daleko od wagoników Bánhidy, w perspektywie mając tylko przyjemność i relaks. Jednak kiedy skręcili w István út i zdał sobie sprawę, że kierują się do jej rodzinnego domu, spiął się trochę. Oznaczało to konieczność rozmowy z jej bratem i szwagierką, a może nawet z Józsefem, który wynajął atelier w Budzie, żeby

znów malować. Będzie musiał wytłumaczyć brak oficerskich naszywek na płaszczu, wysłuchać litościwych komentarzy na temat jego mizernego stanu, przez cały czas patrząc w dobrze odżywione i beztroskie oblicza krewnych Klary i czując uwierającą różnicę między swoim a ich położeniem. Ale kiedy dotarli do rogu ulic István i Nefelejcs, Klara przystanęła przed drzwiami szarej kamienicy i wyjęła z kieszeni ozdobny klucz. Pokazała go z dumą Andrasowi, po czym włożyła do zamka i przekręciła. Drzwi otwarły się przed nimi zapraszająco.

– Gdzie jesteśmy? – zapytał Andras.

– Zobaczysz.

Podwórko było zastawione rzeczami, które zwykle znajdują swoje miejsce na podwórkach – rowerami, roślinami doniczkowymi, rzędami krzaków pomidorów posadzonych w drewnianych skrzyniach. Pośrodku znajdowała się omszała fontanna z liliami wodnymi i złotymi rybkami; przy ocembrowaniu stała ciemnowłosa dziewczynka przeczesująca ręką wodę. Spojrzała na przybyłych poważnymi oczami, wytarła dłoń o sukienkę i pobiegła do jednego z mieszkań na parterze. Klara zaprowadziła Andrasa do otwartej klatki schodowej z balustradą rzeźbioną na podobieństwo winorośli i przeszli trzy kondygnacje do góry. Innym kluczem otworzyła podwójne drzwi i wpuściła go do mieszkania z widokiem na ulicę. W pomieszczeniu pachniało pieczonym kurczakiem i smażonymi ziemniakami. Przy drzwiach umieszczone były cztery mosiężne haczyki na płaszcze; na jednym z nich wisiał stary kapelusz filcowy Andrasa, a na drugim szary płaszcz Klary.

– To chyba nie jest nasze mieszkanie? – powiedział Andras.

– A czyje?

– Niemożliwe. Jest za piękne.

– Jeszcze go nawet nie widziałeś. Nie oceniaj tak szybko. Może ci ostatecznie nie przypaść do gustu.

Ale oczywiście przypadło mu do gustu. Wiedziała dokładnie, co lubi. Była tu kuchnia z czerwonymi kafelkami, sypialnia dla Andrasa i Klary, mniejsza sypialnia, którą mogli przerobić na pokój dziecięcy, i prywatna łazienka z emaliowaną wanną. W salonie stały regały, które Klara zaczęła już zapełniać książkami o balecie, muzyce i architekturze. W jednym z rogów znajdował się drewniany stół kreślarski, odległy węgierski krewny tego, który Klara podarowała Andrasowi w Paryżu. W innym rogu na trzynogim taborecie pysznił się fonograf. Pod ścianą ustawiono kanapę, przed nią stół z blatem wykładanym mozaiką.

Dwa prążkowane fotele stały po obu stronach wysokich okien, z których widać było żółtą kamienicę po drugiej stronie ulicy.

– To jest dom – powiedział. – Stworzyłaś nam dom.

I wziął ją w ramiona.

Najbardziej podczas urlopu pragnął – jak powiedział Klarze – możności spełniania wszystkich potrzeb swojej ciężarnej żony. Na początku się opierała, twierdząc, że to on w Bánhidzie nie miał nikogo, kto by się o niego troszczył. Ale udało mu się ją przekonać, że dużo większym luksusem będzie dla niego opiekowanie się kimś niż bycie przedmiotem opieki. Tak więc pierwszego wieczoru w nowym domu zjedli pieczonego kurczaka i ziemniaki, a potem Klara pozwoliła mu zrobić jej kawę, poczytać na głos gazetę i naszykować dla niej kąpiel, a następnie umyć ją dużą żółtą gąbką. Jej brzemienne ciało jawiło się Andrasowi jako cud natury. Blada zazwyczaj skóra Klary zaróżowiła się, jej włosy wydawały się gęstsze i bardziej błyszczące. Wymył je i przeciągnął do przodu, by opadły jej na piersi. Brodawki Klary powiększyły się i pociemniały, między pępkiem a łonem pojawiła się delikatna brązowawa linia przecinająca bladosrebrną bliznę – pamiątkę po poprzednim porodzie. Jej kości nie uwidaczniały się już tak mocno pod skórą. Przede wszystkim zaś zmienił się wyraz jej oczu. Gościło w nich teraz tak głębokie, tak wielowymiarowe połączenie smutku i nadziei, że niemal odczuwał ulgę, gdy zamykała powieki. Kiedy Klara leżała w kąpieli, trzymając ręce na chłodnych emaliowanych brzegach wanny, Andrasa uderzyła myśl, że w Bánhidzie pozwolił się zredukować do najprostszych potrzeb i emocji – nadziei na kawałek marchewki w zupie, strachu przed gniewem nadzorcy, pragnienia dłuższego snu. Jego żona, żyjąc względnie bezpiecznie w Budapeszcie, miała sposobność do bardziej złożonych przemyśleń i refleksji. Teraz też nad czymś dumała, podczas gdy on delikatnie mył ją żółtą gąbką.

– Powiedz mi, o czym myślisz – powiedział. – Nie zgadnę.

Otworzyła szare oczy i spojrzała na niego.

– O tym, jakie to dziwne – odrzekła. – Być przy nadziei w czasie wojny. Jeśli Hitler podbije całą Europę, a może i Rosję, kto wie, co się stanie z tym dzieckiem? Nie ma sensu wierzyć, że Horthy nas uchroni przed krzywdą.

– Uważasz, że powinniśmy wyemigrować?

Westchnęła.

– Myślałam nad tym. Nawet napisałam do Elisabet. Ale sytuacja wygląda tak, jak się obawiałam. Uzyskanie wizy graniczy z niemożliwością. A nawet gdyby się udało, nie wiem, czybym chciała. Nasze rodziny są tutaj. Nie wyobrażam sobie ponownego rozstania z matką, zwłaszcza teraz. I trudno zaczynać życie od nowa, w obcym kraju.

– Podróż też może być trudna – powiedział, głaszcząc jej mokre plecy. – Rejs przez ocean w środku wojny to nie przelewki.

Klara otoczyła kolana ramionami.

– Nie myślę tylko o wojnie. Mam mnóstwo różnych wątpliwości.

– Jakich wątpliwości?

– Jaką matką będę dla tego dziecka. Przecież sto tysięcy razy zawiodłam Elisabet.

– Nie zawiodłaś. Wyrosła na silną i piękną kobietę. A twoja sytuacja była wtedy inna. Nie miałaś nikogo i sama praktycznie byłaś dzieckiem.

– A teraz jestem praktycznie staruszką.

– Nonsens.

– Czyżby? – Zmarszczyła brwi, patrząc na swoje kolana. – Mam trzydzieści cztery lata, wiesz przecież. Mój ostatni poród omal nie zakończył się tragicznie. Położnik mówi, że moja macica mogła ulec uszkodzeniu. Matka towarzyszyła mi podczas ostatniej wizyty i żałuję, że to zrobiła. Teraz odchodzi od zmysłów ze zmartwienia.

– Czemu, kochanie? Czy życiu dziecka coś zagraża? – Ujął ją pod brodę i spojrzał jej w oczy. – Czy tobie coś zagraża?

– Codziennie jakaś kobieta rodzi dziecko – odpowiedziała z wymuszonym uśmiechem.

– Co mówił lekarz?

– Ze istnieje ryzyko powikłań. Chce, żebym rodziła w szpitalu.

– Oczywiście, że urodzisz w szpitalu – rzekł Andras. – Nieważne, ile to będzie kosztować. Zdobędziemy skądś pieniądze.

– Mój brat nam pomoże.

– Znajdę pracę. Jakoś sobie poradzimy.

– György nie będzie nam tego wypominał – powiedziała Klara. – Tak jak nie wypominaliby twoi bracia.

Andras nie chciał się kłócić, nie teraz, gdy mieli dla siebie tak niewiele czasu.

– Wiem, że nam pomoże, jeśli będziemy tego potrzebować – stwierdził. – Po prostu mam nadzieję, że nie będziemy musieli go o nic prosić.

– Matka chce, żebym przeprowadziła się do domu przy Benczúr utca – rzekła Klara, zwijając mokre włosy w dłoniach. – Nie rozumie, czemu nalegam na to, żebyśmy mieli własne mieszkanie. Wydaje jej się, że to niepotrzebny wydatek. I nie chce, żebym była sama. „Bo co, jeśli coś się stanie?". Tak jakbym nie przeżyła sama tych wszystkich lat w Paryżu.

– Właśnie dlatego tym bardziej chce cię chronić – powiedział. – Musiało być jej strasznie ciężko, że nie może być przy tobie, kiedy spodziewałaś się narodzin Elisabet.

– Rozumiem przecież. Ale nie mam już piętnastu lat.

– Może jednak twoja matka ma rację. Może lepiej, byś zamieszkała u niej, skoro grożą ci powikłania?

– Andráska, ty też?!

– Nie wyobrażam sobie, że zostawię cię samą – odrzekł.

– Nie jestem sama. Ilana przychodzi prawie codziennie. A do domu matki mam sześć minut piechotą. Ale nie mogę tam już mieszkać, i to nie tylko dlatego, że przywykłam do życia na swoim. Co będzie, jeśli władze odkryją, kim jestem? Jeżeli będę mieszkać z rodziną, na nich spadnie odpowiedzialność za ukrywanie mnie.

– Och, Klaro! Chciałbym, żebyś nie musiała się tym wszystkim troskać.

– A ja bym chciała, żebyś ty się nie martwił – powiedziała, a następnie wstała z kąpieli.

Kurtyna wody spłynęła po lśniącej skórze, a mąż przesunął dłońmi po nowych krągłościach jej ciała.

W nocy, nie mogąc spać, Andras wstał z łóżka i powlókł się do salonu. Podszedł do stołu kreślarskiego, który kupiła mu Klara; dotknął gładkiej powierzchni blatu, niezarzuconej jeszcze papierami i przyrządami. Kiedyś znajdował ukojenie w pracy, nawet gdy były to tylko projekty, które wymyślał dla

siebie. Skupienie potrzebne do narysowania cienkich, równych, czarnych kresek sprawiało, że na kilka chwil zapominał o trapiących go problemach. Ale nigdy wcześniej nie musiał się martwić o los swojej ciężarnej żony, nienarodzonego dziecka i całego zachodniego świata. Tak czy inaczej nie miał teraz w głowie żadnego projektu, nad którym mógłby pracować. Kiedy próbował myśleć o teorii i praktyce architektury, okazywało się, że jego umysł jest czysty i pusty jak powierzchnia tego stołu. Praca, której przez ostatnie dwa lata poświęcał się w chwilach wolnych od rąbania drzewa, budowania dróg czy ładowania węgla – czyli bazgranie w szkicowniku i ilustrowanie gazetek Mendla – pomogła mu zachować sprawność dłoni; może nawet pomogła mu zachować zdrowe zmysły. Ale miał świadomość, że z każdym dniem jego dawne życie studenta architektury oddala się coraz bardziej. Jego ręka zapominała, jak rysuje się idealne linie, jego umysł zatracał umiejętność rozwiązywania abstrakcyjnych i praktycznych zagadnień architektury. Jakże odległe było teraz atelier w École Spéciale, gdzie wraz z Polanerem zwieszali bieżnię z dachu klubu sportowego. Jak niezwykłe mu się wydawało, że w ogóle wpadli wtedy na taki pomysł. Minęła cała wieczność, odkąd ostatni raz patrzył na budynek z innym uczuciem niż nadzieja, że dach nie będzie przeciekać, a ściany nie przepuszczą wiatru. Przecież nawet nie zwrócił uwagi na fasadę kamienicy, w której teraz przebywał.

Chciałby porozmawiać z Tiborem. On wiedziałby, co Andras powinien zrobić, jak chronić Klarę i odzyskać swoje życie. Ale Tibor był trzysta kilometrów stąd, w Karpatach. Andras nie miał pojęcia, kiedy znów będą mogli razem usiąść i zastanowić się, kim teraz są, lub przynajmniej znaleźć pocieszenie w tym, że dzielą tę niepewność we dwóch.

Tak się złożyło, że to jego młodszy brat – ten, którego specjalnością zawsze było raczej ściąganie im kłopotów na głowę, niż ich rozwiązywanie – pojawił się w Budapeszcie podczas urlopu Andrasa. Mátyás przyjechał na dworzec Nyugati wraz z resztą swojej kompanii, która miała stacjonować w pobliżu w oczekiwaniu na przeniesienie, i dziarsko wyskoczył z pociągu, by realizować swoje własne plany urlopowe. Jego batalionem dowodził pobłażliwy młody oficer, który pozwalał czasem robotnikom wykupić sobie zwolnienie od obowiązków. Zaoszczędziwszy trochę pieniędzy z pracy przy instalacji obramowań okiennych, Mátyás kupił sobie kilka dni wolnego, by spotkać się z dziewczyną, którą kiedyś poznał podczas jednego ze zleceń. Nie wiedział, że Andras też przebywa w Budapeszcie na urlopie, i spotkał go przez czysty przypadek, kiedy jednego poniedziałkowego popołudnia wskakiwał do odjeżdżającego tramwaju. Był tak

zdumiony, że gdyby brat nie złapał go za ramię i nie przytrzymał, wypadłby z powrotem na ulicę.

– Co ty tu robisz? – wykrzyknął Mátyás. – Nie powinieneś teraz harować w jakiejś kopalni?

– A ty nie powinieneś… Co ty tam w ogóle robisz?

– Buduję mosty. Ale nie dziś. Dziś spotykam się z dziewczyną o imieniu Serafina.

Starsza kobieta w chuście spojrzała na nich z dezaprobatą, jakby uważała, że w tramwaju nie wypada wdawać się w tak głośną i ożywioną rozmowę. Ale Andras przyciągnął do siebie Mátyása, aż stanęli twarzą w twarz, i zwrócił się do kobiety.

– To mój brat, widzi pani? Mój brat!

– Więc chyba para osłów was spłodziła – odparowała staruszka.

– Proszę nam wybaczyć, wasza wielmożność – powiedział Mátyás, przekrzywił kapelusz i wykonał idealne salto do tyłu, zeskakując z tramwaju na jezdnię tak szybko, że kobiecina aż krzyknęła z zaskoczenia.

Na oczach zadziwionych pasażerów Mátyás zaczął stepować na bruku, po czym tanecznym krokiem znalazł się na chodniku, płosząc przechodniów, obrócił się dwukrotnie na pięcie, zdjął kapelusz i skłonił przed młodą kobietą w niebieskim płaszczu. Świadkowie tego popisu zaczęli bić brawo. Andras wyskoczył z tramwaju i czekał, aż jego brat zakończy składanie ukłonów przed publicznością.

– Bezsensowna głupota – powiedział, kiedy ucichł już aplauz przechodniów.

– Muszę to sobie wyszyć na proporczyku i nosić go wszędzie ze sobą.

– Może powinieneś. Wtedy przynajmniej ostrzegałbyś innych.

– A dokąd to zmierzasz z torbą pełną ziemniaków? – spytał Mátyás, zmieniając temat.

– Do domu, bo czeka na mnie żona.

– Do domu? Swojego domu?

– Owszem. Nefelejcs utca 39, trzecie piętro, mieszkanie B.

– Od jak dawna tam mieszkasz? I jak długo zostajesz?

– Od wczoraj. I zostanę jeszcze półtora dnia, bo potem wracam do Bánhidy.

Mátyás się roześmiał.

– Więc chyba złapałem cię w samą porę za frak.

– Raczej ja ciebie. Może przyjdziesz na kolację?

– Mogę mieć inne zobowiązania.

– A jeśli ta Serafina zorientuje się, że w rzeczywistości jesteś tylko patafianem, który robi dobre wrażenie?

– Wtedy przybędę jak najszybciej. – Mátyás cmoknął brata w oba policzki i wskoczył do następnego tramwaju, który właśnie podjechał.

Idąc w stronę domu, Andras sam miał ochotę postepować. Czasem los się do niego uśmiechał – najpierw zesłał mu niespodziewany urlop, a teraz Mátyása Jednak nawet to radosne niespodziewane spotkanie nie mogło do końca rozproszyć ciemnych chmur, jakie znów kłębiły się nad jego głową. Gazeta, którą dziś kupił, malowała ponury obraz wydarzeń na froncie wschodnim. Niemcy zdobyli Kijów, a pozostałe armie Hitlera znajdowały się już tylko sto kilometrów od Moskwy i Leningradu. W radiowym przemówieniu wygłoszonym kilka dni wcześniej Führer zapowiadał rychłą kapitulację Związku Radzieckiego. Andras obawiał się, że Brytyjczycy, którzy dzielnie bronili swoich pozycji nad Morzem Śródziemnym, teraz stracą wszelkie nadzieje; jeśli ich ostatnie bastiony runą, Hitler zapanuje nad całą Europą. Wspomniał słowa Rosena sprzed trzech lat: Hitler dąży do stworzenia ogólnoświatowych Niemiec. Ale nawet Rosen nie mógł wiedzieć, jak bardzo spełnią się jego przewidywania. Nazistowskie Niemcy rozlały się na mapę Europy jak atrament z przewróconego kałamarza. Mieszkańcy podbitych krajów byli wyganiani z domów, wysiedlani na pustkowia, zamykani w gettach albo wysyłani do obozów pracy. Chciał wierzyć, że Węgry pozostaną spokojnym punktem w oku cyklonu; dużo łatwiej było mieć taką nadzieję tu, w Budapeszcie, niż w upale i smrodzie obozu w Bánhidzie. Ale jeśli upadnie ZSRR, żaden kraj w Europie nie będzie już bezpieczny, zwłaszcza dla Żydów... a już na pewno nie Węgry, gdzie strzałokrzyżowcy rośli w siłę z wyborów na wybory. Dziecko Andrasa i Klary miało się urodzić w porażająco niepewnych czasach. Zaczynał rozumieć, jak musieli się czuć jego rodzice, kiedy matka zaszła w ciążę podczas Wielkiej Wojny. Jednak ich sytuacja był wówczas trochę inna – ojciec był węgierskim żołnierzem, nie przymusowym robotnikiem, a żaden szalony Führer nie snuł wizji Europy bez Żydów.

W domu zastał Klarę i Ilanę; siedziały przy stole i śmiały się z czegoś, ściskając się za ręce. Było jasne, że ich przyjaźń pogłębiła się w czasie jego nieobecności; w listach Klara często wspominała, jak wdzięczna jest losowi za towarzystwo Ilany, a on był spokojniejszy, wiedząc, że kobiety mieszkają tylko kilka przecznic od siebie i często się odwiedzają. O ile w Paryżu Klara odgrywała rolę powiernicy i protektorki Ilany, o tyle teraz stała się kimś w rodzaju starszej siostry. Niedługo po przyjeździe Ilany do Budapesztu kobiety zaczęły razem chodzić na targ w każdy poniedziałek i czwartek rano. Kiedy Tibor wyjechał do Munkaszolgálat, Klara pilnowała, by Ilana nie czuła się samotna; wspólnie gotowały, spędzały wieczory przy płytach Klary albo nad książkami Ilany, w niedzielne popołudnia spacerowały po parkach i bulwarach. Tego wieczoru, tuż przed przyjściem Andrasa, Ilana podzieliła się z Klarą słodką, lecz nielekką wieścią – była w ciąży. Powtórzyła teraz nowiny, wciąż niepewnie mówiąc po węgiersku. Musiała zajść w ciążę podczas ostatniego urlopu Tibora. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, dzieci urodzą się w odstępie dwóch miesięcy. Napisała do Tibora i otrzymała w odpowiedzi list, w którym mąż zapewniał ją, że czuje się dobrze, jego kompania stacjonuje daleko od linii frontu wschodniego, w lecie praca jest bardziej znośna, a wieści od niej uszczęśliwiły go ponad wyobrażenie.

Ale jesienią 1941 roku nie było takiego szczęścia, którego nie przysłaniałoby zmartwienie. Andras dostrzegał to w cienkich zmarszczkach żłobiących czoło Ilany. Wiedział, co znaczy dla niej ta ciąża po poprzednim poronieniu i jak się boi o bezpieczeństwo dziecka, nawet jeśli wojna wciąż toczy się daleko od Węgier. Uściskałby ją, gdyby nie zabraniał tego jej zwyczaj. Zadowolił się złożeniem gratulacji i wyrażeniem gorącej nadziei, że wszystko będzie dobrze. Potem opowiedział obu kobietom o spotkaniu z Mátyásem.

– Cóż – rzekła Klara. – Dobrze, że kupiłam więcej ciastek na deser. W przeciwnym razie ten wszystkożerny kozioł objadłby nas do cna.

Mátyás przyszedł już po obiedzie, kiedy Klara układała ciastka w salonie. Pocałował ją w policzek i zwędził ze srebrnej tacy kremówkę. Przed Ilaną skłonił się głęboko i zamiótł kapeluszem.

– Chyba miałeś udany wieczór – zauważył Andras. – Twoje policzki są czerwone od szminki.

– To nie szminka – odparł Mátyás. – To wypieki zbrukanej niewinności. Serafina jest dla mnie stanowczo zbyt światowa. Wciąż się rumienię po tym, co mi powiedziała na pożegnanie.

– Nie zamierzamy nawet pytać – wtrąciła Klara.

– I tak bym wam nie wyjawił. – Mátyás puścił do niej oko. Rozejrzał się po salonie. – Cóż za lokal! – rzucił. – I to wszystko dla was dwojga?

– Trojga, niedługo – odpowiedziała Klara.

– Oczywiście. Prawie zapomniałem. Andras zostanie tatusiem.

– I Tibor też – odezwała się Ilana.

– Dobry Boże! To prawda? Wy obie?

– Prawda – odrzekła Ilana i wyciągnęła w jego stronę palec, drażniąc się z nim. – Teraz twoi anya i apa będą nalegali, żebyś ty się też ożenił, tak do kompletu.

– Nie ma mowy – odparł Mátyás i ponownie mrugnął.

Zastepował szybko kilka kroków po parkiecie, przetoczył się przez oparcie kanapy i wylądował obok stolika na kawę.

– I powiedz, że nie mam talentu – zwrócił się do Klary, klękając przed nią z rozwartymi ramionami. – Ty się przecież znasz, mistrzyni tańca.

– Tam, skąd pochodzę, nie nazywamy tego tańcem – odparła z uśmiechem.

– Więc co powiesz na to?

Wstał i wykonał podwójny piruet z rękami wyciągniętymi ponad głowę. Stracił jednak równowagę i musiał się przytrzymać gzymsu kominka. Stał tak przez chwilę, oddychając ciężko i potrząsając czupryną, jakby chciał przegonić zawroty głowy. Po raz pierwszy Andras dostrzegł, jak wyczerpany i wycieńczony jest jego brat. Wziął go pod ramię i poprowadził do jednego z prążkowanych foteli.

– Usiądź na chwilę – powiedział. – Zaraz poczujesz się lepiej.

– Nie podoba ci się, jak tańczę?

– Nie teraz, braciszku.

Klara nałożyła Mátyásowi talerz ciastek, a Andras nalał mu szklankę śliwowicy. Przez jakiś czas wszyscy siedzieli i rozmawiali, jakby nie było zmartwień, wojny i batalionów pracy. Andras pilnował, by talerze i filiżanki były ciągle pełne. Ilana rumieniła się i protestowała, bo nie uchodziło, by szwagier ją obsługiwał jak kelner. Andras pomyślał, że nigdy jeszcze nie wyglądała tak pięknie. Jej skóra, podobnie jak u Klary, zdawała się rozświetlona wewnętrznym blaskiem. Jej włosy były ukryte pod chustą, jaką powinna nosić skromna

i przestrzegająca obyczajów mężatka, ale na szyi miała szalik zrobiony z liliowego jedwabiu przetykanego srebrnymi nićmi. Kiedy śmiała się z żartów Mátyása, w czarnobrązowych głębiach jej oczu płonęły ogniki. W niczym nie przypominała tamtej bladej, przerażonej dziewczyny ze szpitalnego łóżka w Paryżu, budzącej się z narkozy ze zbielałymi od bólu wargami.

Kiedy Andras i Mátyás dopili kawę, zebrali się i wyszli na przechadzkę w ciepłą wrześniową noc. Od Nefelejcs utca było tylko kilka przecznic do parku, gdzie wznosił się rozświetlony iluminacjami zamek Vajdahunyad. Nawet o tej porze alejki były pełne ludzi; w cieniu zamkowych murów dostrzegali pary kochanków, wykorzystujących połowiczną prywatność do własnych celów. Teraz, kiedy byli tylko we dwóch, z Mátyása zszedł hałaśliwy entuzjazm. Założył ręce na piersi, jakby ziębił go ciepły wiaterek. Pobyt w Munkaszolgálat w jakiś sposób go wyostrzył, jego rysy twarzy stały się twardsze i bardziej wyraziste. Wysokie czoło i odziedziczone po matce wydatne kości policzkowe zaczęły nadawać jego obliczu powagę, która kłóciła się z wrodzonym błazeńskim usposobieniem.

– Moi bracia mają piękne żony – odezwał się. – Skłamałbym, gdybym powiedział, że nie jestem zazdrosny.

– Cóż, czułbym się zawiedziony, gdybyś nie był.

– Naprawdę zostaniesz ojcem.

– Na to wygląda.

Mátyás gwizdnął cicho.

– Podekscytowany?

– Przerażony.

– Bzdura. Świetnie sobie poradzisz. A Klara już raz przez to przechodziła.

– Jej dziecko nie urodziło się w środku wojny – odrzekł Andras.

– Nie, ale też nie miała wtedy męża.

– Nie wydaje się, żeby to jej szczególnie zaszkodziło. Znalazła pracę. Wychowała córkę. Elisabet może byłaby sympatyczniejszą dziewczyną, gdyby miała inną rodzinę – rodzeństwo do zabawy i ojca, który nie pozwoliłby jej zachowywać się tak niemiło w stosunku do własnej matki. Ale koniec końców wszystko dobrze się ułożyło. Ze mnie jako męża niewielki pożytek. Jak na razie jestem tylko kamieniem u szyi Klary.

– Zostałeś powołany – odparł Mátyás. – Musisz odsłużyć swoje. Nie miałeś wyboru.

– Nie dokończyłem studiów. Nie mogę wrócić do domu i pracować jako architekt.

– Więc wrócisz na studia.

– Jeśli pozwolą mi wrócić. A oprócz tego jest kwestia czasu i kosztów.

– Wiesz, czego ci trzeba? – powiedział Mátyás. – Jakiejś dobrze płatnej pracy, która nie będzie pochłaniać całego twojego czasu. Może wejdziesz w spółkę ze mną?

– Jako kto, tancerz? Mamy być stepującym duetem? Niesamowici Bracia Lévi?

– Nie, matołku. Będziemy aranżować okna wystawowe. Robota pójdzie dwa razy szybciej, jeśli będziemy pracować razem. Ja będę stylistą, ty moim popychadłem. Będziemy mieć dwa razy więcej klientów.

– Nie wiem, czy chciałbym przyjmować od ciebie polecenia – odparł Andras. – Zajeździłbyś mnie na śmierć.

– Więc jak będziesz zarabiał pieniądze? Siedząc na ulicy i rysując karykatury?

– Myślałem nad tym – powiedział Andras. – Mój stary przyjaciel Mendel Horovitz pracował w „Wieczornym Kurierze Budapeszteńskim", zanim został powołany do batalionów. Twierdzi, że zawsze szukają grafików i ilustratorów. I płacą nie najgorzej.

– Ech. Ale wtedy będziesz po prostu popychadłem kogoś innego.

– Jeśli już muszę być czyimś popychadłem, to równie dobrze mogę to robić w dziedzinie, w której mam doświadczenie.

– Jakie doświadczenie?

– Cóż, a choćby moja dawna praca w „Past and Future". I jeszcze te gazetki, które robiłem razem z Mendlem, pisałem ci o nich. Przywiózłbym ci egzemplarz, gdybym wiedział, że cię spotkam.

– Rozumiem – powiedział Mátyás. – Robienie okien to dla ciebie za mało wyszukana praca. Wiesz, twoje paryskie wykształcenie i w ogóle.

Drażnił się z nim, ale na jego twarzy widać było cień urazy. Andrasowi przypomniały się groźne listy, które jego brat pisał z Debreczyna, podczas gdy on był w Paryżu – te, w których Mátyás domagał się równego dostępu do edukacji. Potem wybuchła wojna, a on utknął na Węgrzech, najpierw aranżując wystawy, a potem pracując w Munkaszolgálat. Andras ze wstydem zdał sobie sprawę, że rzeczywiście czuje się za dobry na taką robotę, bo jego zdaniem miała w sobie coś z komercyjnej służalczości. Myślał tak, bo przeżył szczęśliwe miesiące w Paryżu; doświadczył sympatii nauczycieli i mentorów, więc uważał, że zasługuje na więcej. Ale to była przeszłość. Musiał zarabiać. Za kilka miesięcy zostanie ojcem.

– Wybacz – odezwał się. – Nie chciałem sugerować, że twoja praca to nie sztuka. Jest na pewno większą sztuką niż ilustrowanie gazet.

Spojrzenie Mátyása złagodniało; położył bratu dłoń na ramieniu.

– W porządku – rzekł. – Gdyby moimi kompanami od kielicha byli Le Corbusier i Auguste Perret, też bym pewnie uważał, że aranżowanie wystaw nie jest dla mnie.

– Nigdy nie byliśmy kompanami od kielicha – zaprotestował Andras.

– Proszę, tylko bez fałszywej skromności.

– Och, no dobrze. Byliśmy wielkimi przyjaciółmi. Piliśmy razem cały czas.

Zamilkł, myśląc o swoich prawdziwych przyjaciołach, których rozrzuciło teraz po całej zachodniej półkuli. Ci mężczyźni też byli jego braćmi. Ale nie miał od nich żadnych wieści – ostatnią wiadomością od Bena Yakova był tamten pojednawczy telegram; Polaner zaś nie odzywał się, odkąd wstąpił do Legii Cudzoziemskiej. Andras zastanawiał się, jaki los spotkał zdjęcie, które zrobiono, gdy wraz z Polanerem wygrał Prix du Amphithéâtre. Osobliwe, bo być może ta fotografia wciąż istniała, jako świadectwo minionego już życia.

– Wyglądasz ponuro, starszy bracie – powiedział Mátyás. – Czy trzeba wlać w ciebie nieco wina?

– Nie zaszkodzi – odparł Andras.

Poszli do kawiarni stojącej nad sztucznym jeziorem, które zimą zmieniało się w lodowisko. Usiedli przy stoliku na zewnątrz i zamówili butelkę tokaju. Z powodu wojny wino podrożało, ale Mátyás nalegał, żeby tym razem sobie nie żałowali, i poszedł uregulować rachunek, jako że nie miał żony i nie spodziewał się dziecka. Obiecał, że pozwoli Andrasowi zapłacić następnym razem, kiedy ten

znajdzie już pracę w gazecie, choć oczywiście żaden z nich nie wiedział, kiedy to nastąpi ani nawet kiedy znów się spotkają.

– No więc kim jest ta Serafina? – spytał Andras, patrząc na brata przez bursztynową soczewkę kieliszka z tokajem. – I kiedy ją poznamy?

– Jest szwaczką w sklepie z sukniami na Váci utca.

– I?

– I poznałem ją, kiedy pracowałem przy wystawie. Miała na sobie białą sukienkę haftowaną w wiśnie. Namówiłem ją, żeby ją zdjęła i pozwoliła mi powiesić ją na wystawie.

– Namówiłeś ją, żeby zdjęła sukienkę?

– Widzisz teraz, czemu to fajna praca?

– I wróciła naga do maszyny do szycia?

– Nie. Niestety krawcowa miała dla niej zapasową kieckę.

– To przykre.

– Tak. I od tamtej pory czułem ten ból. Dlatego zdecydowałem się ją odnaleźć. Chciałem zobaczyć, co przegapiłem, kiedy skryła się za zasłonką przebieralni.

– Musiałeś zobaczyć wystarczająco dużo, skoro stwierdziłeś, że warto ją odnaleźć.

– Sporo. Jest taka, jak lubię. Ociupinkę wyższa ode mnie. Czarne włosy ostrzyżone na kształt zgrabnej czapeczki. A na policzku pieprzyk jak kropelka atramentu.

– Cóż, nie mogę się doczekać, kiedy ją poznam.

Wesołość ponownie wyparowała z oczu Mátyása; cienie na jego twarzy pogłębiły się, wlepił wzrok w swoje wino.

– Jutro wyruszam z moją kompanią – powiedział. – Jedziemy na wielką imprezę.

– Jaką imprezę?

– Biełgorod w Rosji. Linia frontu.

Serce w piersi Andrasa zabiło tak mocno, jakby ktoś grzmotnął je żelaznym młotem.

– Mátyás... Nie.

– Tak. – Podniósł wzrok i wyszczerzył zęby, ale w uśmiechu więcej było strachu niż wesołości. – Jak więc widzisz, dobrze, że na siebie wpadliśmy.

– Nie możesz ubiegać się o przeniesienie? Próbowałeś?

– Jedyny sposób to pieniądze, a mnie stać tylko na drobne łapówki.

– Ile by to kosztowało?

– Och, czy ja wiem? Teraz pewnie kilka setek. Może kilkanaście. Albo i parę tysięcy.

Andras znów pomyślał o willi przy Benczúr utca, gdzie zapewne teraz siedział przy kominku György Hász, ubrany w kaszmirowy szlafrok i zaczytany w jednej ze swoich gazet finansowych. Miał ochotę podnieść Hásza, obrócić do góry nogami i potrząsać nim tak długo, aż zaczną się z niego sypać złote monety niczym z rozbitej skarbonki. Dlaczego syn tego człowieka może mieć studio malarskie i perspektywę miesięcy nicnierobienia, podczas gdy Mátyás Lévi, syn Béli Farciarza z Konyáru, musi jechać na front wschodni i oczyszczać pola minowe? Andras byłby głupcem, gdyby ze względu na dumę nie poprosił Györgya o pomoc. Tu nie chodziło o utrzymanie Klary i dziecka; na szali leżało życie Mátyása.

– Odwiedzę Hásza – powiedział. – Na pewno mają gdzieś schowany kufer pełen koron albo coś, co mogą sprzedać.

Mátyás skinął głową.

– Nie sądzę, żeby József Hász wybierał się na front.

– I słusznie. József Hász wynajął sobie piękne atelier w Budzie.

– Co za wyczucie czasu – odrzekł Mátyás. – Zniszczenie zachodniego świata powinno być ciekawą inspiracją.

– Tak. Chociaż dziwnie to zabrzmi, jakoś nie korciło mnie, żeby go odwiedzić i sprawdzić, jak idzie mu praca.

– To rzeczywiście dziwne.

– Ale poważnie, nie jestem pewny, czy Hász senior ma gotówkę na zbyciu. Może wszystkie pieniądze wydają na utrzymanie tego domu przy Benczúr utca i na futra i lożę w operze dla pani Hász. Musieli sprzedać samochód, żeby wykupić Józsefa od drugiego powołania.

– Ale przynajmniej wciąż mają lożę w operze – powiedział Mátyás. – Muzyka koi nerwy, gdy wokół umierają ludzie – mrugnął do Andrasa, po czym uniósł kieliszek i wychylił go do dna.

Następnego dnia Andras odprowadził brata na dworzec Nyugati, po czym ruszył do willi Györgya Hásza. Wiedział, że Hász wraca codziennie na obiad w towarzystwie żony i matki, a potem lubi spędzać pół godziny nad gazetą przed powrotem do biura. Nawet w tych niepewnych czasach był niewolnikiem swoich przyzwyczajeń. Ignorując zmiany w swym życiu zawodowym, Hász prowadził tryb życia z czasu, gdy był dyrektorem banku; dla nowego prezesa banku jego usługi były zbyt cenne, żeby odebrano mu ten mały przywilej. Tak jak Andras się spodziewał, szwagier siedział w bibliotece, z okularami na nosie i rozpostartą gazetą w rękach. Kiedy służący zaanonsował Andrasa, Hász rzucił gazetę i poderwał się na równe nogi.

– Czy z Klarą wszystko w porządku? – spytał.

– Tak – odparł Andras. – I z nią, i ze mną. Hász rozluźnił się i westchnął ciężko.

– Wybacz – powiedział. – Nie spodziewałem się ciebie. Nie wiedziałem, że jesteś w mieście.

– Dostałem kilka dni urlopu. Wracam jutro.

– Siadaj, proszę – rzekł Hasz i zwrócił się do służącego: – Każ Katii przynieść nam herbaty.

Mężczyzna wyszedł cicho, a György Hász uważnie zlustrował gościa. Tego dnia Andras ubrał się w mundur Munkaszolgálat; na kieszonce była wyhaftowana litera M, a miejsca, w których major Barna oderwał oficerskie naszywki, zostały zacerowane. Hász zerknął na mundur Andrasa i dotknął swojego krawata, kawałka błękitnego jedwabiu z wąskim kremowym paskiem.

– Cóż – powiedział. – Według moich obliczeń zostały ci już tylko trzy miesiące służby.

– Zgadza się – odrzekł Andras. – A potem urodzi się dziecko.

– A ty się dobrze trzymasz? Wyglądasz nieźle.

– Na tyle dobrze, na ile można.

Hász pokiwał głową i usiadł z powrotem w fotelu, splatając palce na kamizelce. Oprócz błękitnego jedwabnego krawata miał na sobie koszulę

z popeliny i wełniany szary garnitur. Jego dłonie były miękkimi dłońmi człowieka, który nigdy nie pracował fizycznie; paznokcie różowe i gładkie. Lecz patrzył na Andrasa z tak szczerą i niemaskowaną troską, że ten nie potrafił czuć do niego całkowitej odrazy. Kiedy przyniesiono herbatę, Hász sam napełnił filiżanki i podał jedną gościowi.

– Jak mogę ci pomóc? – spytał. – Co cię tu sprowadza?

– Mojego brata, Mátyása, wysyłają na front wschodni – powiedział Andras. – Jego kompania wyruszyła dziś po południu na spotkanie reszty batalionu w Debreczynie, a stamtąd pojadą do Biełgorodu.

Hász odstawił filiżankę i spojrzał na Andrasa.

– Biełgorod. Pola minowe.

– Tak. Będą oczyszczać drogę dla armii węgierskiej.

– Ale co ja mogę zrobić? Jak mogę mu pomóc?

– Wiem, że zrobiłeś już dla nas bardzo dużo. Opiekowałeś się Klarą, kiedy mnie nie było. To największa przysługa, jaką mogłeś mi wyświadczyć. Wierz mi, o nic więcej bym cię już nie prosił, gdybym nie był przekonany, że to sprawa życia i śmierci. Ale zastanawiałem się, czy mógłbyś zrobić dla Mátyása to samo, co dla Józsefa. Jeśli nie udałoby się załatwić zwolnienia ze służby, to może chociaż przenieść do innego batalionu. Gdzieś, gdzie nie będzie groziło, że wyślą go na wojnę. Zostało mu jedenaście miesięcy.

György Hász uniósł brew i odchylił się w fotelu.

– Chcesz, żebym kupił mu wolność.

– Przynajmniej przeniesienie z dala od frontu.

– Rozumiem. – Złożył dłonie w daszek i spojrzał na Andrasa zza szerokiego stołu.

– Wiem, że cena nie jest taka sama dla każdego – kontynuował Andras. Odstawił filiżankę na spodek i przekręcił ją w zamyśleniu. – Przypuszczam, że za mojego brata żądają dużo mniej niż za twojego syna. Mam nazwisko dowódcy kompanii Mátyása. Gdybyśmy zorganizowali przekazanie uzgodnionej sumy przez niezależnego pośrednika – znajomego prawnika na przykład – moglibyśmy osiągnąć cel bez ujawniania władzom powiązań między twoją i moją rodziną. To znaczy, że nie narazilibyśmy Klary na niebezpieczeństwo. Jestem pewny, że

moglibyśmy wykupić mojego brata za kwotę, która dla ciebie nie będzie wygórowana.

Hász zacisnął usta i przytknął do nich złożone dłonie. Postukał palcami, patrząc w ogień. Andras czekał na odpowiedź, jakby György był sędzią, a Mátyás siedział na ławie oskarżonych. Ale oczywiście Mátyása tu nie było; jechał już w pociągu zmierzającym na front wschodni. Nagle Andrasowi niedorzeczna wydała się myśl, że György Hász może powstrzymać bieg wydarzeń.

– Czy Klara wie, że do mnie przyszedłeś?

– Nie – odrzekł Andras. – Ale na pewno by mnie od tego pomysłu nie odwodziła. Zawsze pokładała i pokłada w tobie ufność. To zazwyczaj moja duma sprawia, że o nic cię nie prosimy.

György Hász uniósł się ze skórzanego fotela i podszedł do kominka, żeby pogrzebać w ogniu. Ciepła bryza z poprzedniego dnia ustąpiła miejsca ostremu wiatrowi, który stukotał okiennicami. Gospodarz przesunął polana pogrzebaczem, wzbijając fontannę iskier. Odstawił żelazny pręt i odwrócił się do Andrasa.

– Po pierwsze, muszę cię przeprosić – powiedział. – Mam nadzieję, że zrozumiesz decyzje, które podjąłem.

– Za co przeprosić? Jakie decyzje?

– Od pewnego czasu spoczywa na mnie dość ciężkie finansowe i emocjonalne brzemię – rzekł Hász. – Jest to całkowicie niezależne od sytuacji mojego syna i obawiam się, że jeszcze przez jakiś czas to potrwa. Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia, jak to się skończy. Nie rozmawiałem z tobą o tym, gdyż wiedziałem, iż byłoby to źródłem nowych trosk w czasie, kiedy twoim głównym zmartwieniem było utrzymanie się przy życiu. Ale powiem ci teraz. Przyszedłeś mnie prosić o pomoc w bardzo trudnej sprawie i nie mogę udzielić ci odpowiedzi, dopóki nie zrozumiesz mojej sytuacji. A w zasadzie naszej sytuacji – Ponownie usiadł naprzeciwko Andrasa i podsunął fotel bliżej stołu. – Dotyczy to kogoś, kto obu nam jest drogi. Chodzi, rzecz jasna, o Klarę. O jej kłopoty. O to, co się jej przytrafiło, gdy była młodą dziewczyną.

Andras poczuł, jak jego skóra lodowacieje.

– Co masz na myśli?

– Niedługo po tym, jak pojechałeś do Munkaszolgálat, pewna kobieta zgłosiła władzom, że Claire Morgenstern, która niedawno przybyła do kraju, to

w rzeczywistości ta sama Klara Hász, która uciekła stąd siedemnaście lat wcześniej.

Nie wierzył własnym uszom.

– Kto to był? – spytał ostro. – Co za kobieta?

– Niejaka madame Novak, która sama ostatnio powróciła z Paryża.

– Madame Novak – powtórzył Andras.

Oczyma duszy ujrzał ją z tamtego wieczoru na przyjęciu u Marcelle Gérard – triumfującą cicho w swej aksamitnej sukni i obłoku jaśminowych perfum, ze świadomością, że niedługo jej mąż i kobieta, którą kochał, jego kochanka od jedenastu lat, znajdą się dwieście kilometrów od siebie.

– Znasz sytuację i domyślasz się, dlaczego ta kobieta mogła to zrobić.

– Wiem, co się wydarzyło w Paryżu – odparł Andras. – I wiem, że ma powody, by nienawidzić Klary. A przynajmniej miała po temu powody.

– To najwyraźniej dość uporczywa nienawiść – powiedział György.

– Mówisz, że władze wiedzą. Wiedzą, że tu jest, i wiedzą, kim jest. Mówisz, że wiedzą o tym od miesięcy.

– Obawiam się, że tak. Zgromadzono sporo akt w jej sprawie. Wiedzą wszystko o jej ucieczce z Budapesztu i o tym, co robiła od tamtej pory. Wiedzą, że jest twoją żoną, i wiedzą wszystko o twojej rodzinie – gdzie mieszkają twoi rodzice, gdzie pracuje twój ojciec, czym zajmowali się twoi bracia, zanim powołano ich do wojska, gdzie teraz stacjonują. Boję się, że nie ma szans, aby załatwić twojemu bratu zwolnienie ze służby anonimowymi kanałami. Nasze rodziny są powiązane, a związek ten jest doskonale znany ludziom, którzy mają władzę w tej materii. Ale nawet gdyby udało nam się przekonać dowódcę batalionu twojego brata, żeby zaproponował cenę – a to samo w sobie nie jest pewne, biorąc pod uwagę, jak wielu oficerów jest antysemitami – może zwyczajnie nie starczyć pieniędzy. Widzisz, musiałem wyłożyć sporą sumę, żeby chronić Klarę. Główny sędzia w jej sprawie jest moim dawnym znajomym i tak się składa, że z uwagi na usunięcie mnie z kierownictwa banku i moje próby apelacji nieobce są mu również moje sprawy finansowe. Kiedy na jaw wyszły informacje na temat Klary, to właśnie on zaproponował rozwiązanie – lub coś, co może uchodzić za rozwiązanie w obliczu braku innej nadziei. Rodzaj transakcji, jak to ujął. Co miesiąc muszę oddawać pewien procent mojego majątku, a Ministerstwo Sprawiedliwości zostawi Klarę w spokoju. Dopilnują też, żeby

Główne Biuro Imigracyjne co roku odnawiało jej kartę pobytu. Mając ją teraz w kraju i wykorzystując dla własnych korzyści, oczywiście nie chcą, żeby inna instytucja ją deportowała.

Andras powoli nabrał powietrza do ściśniętych płuc.

– Więc to tak – powiedział. – Na to idą twoje pieniądze.

– Niestety.

– A Klara nic o tym nie wie?

– Nie. Chciałem, by miała choć iluzoryczne poczucie bezpieczeństwa. Sądzę, że najlepiej nie mówić jej o niczym, dopóki sytuacja nie zmieni się znacząco na lepsze lub gorsze. Gdyby wiedziała, z pewnością próbowałaby mnie powstrzymać. Nie wiem, co by zrobiła i jakie byłyby tego konsekwencje. Oczywiście opowiedziałem o tym wszystkim swojej żonie – musiałem wytłumaczyć, dlaczego nasz majątek topnieje – a ona zgadza się ze mną, że lepiej póki co trzymać Klarę w nieświadomości. Matka ma inne zdanie, ale na razie udaje mi się ją przekonać do naszego punktu widzenia.

– Ale jak długo to może trwać? – spytał Andras. – Przecież wycisną z ciebie ostatni grosz.

– Wygląda na to, że taki mają plan. Musiałem wziąć już drugą pożyczkę pod zastaw tego domu, a niedawno byłem zmuszony poprosić żonę o sprzedaż części biżuterii. Sprzedaliśmy samochód, fortepian i kilka cennych obrazów. Zostały jeszcze rzeczy, które można upłynnić, ale to nie jest niewyczerpane źródło. A w miarę jak kurczy się mój majątek, procent haraczu rośnie – dzięki temu nasza „transakcja" pozostaje lukratywnym źródłem dochodów dla wspomnianego sędziego i jego znajomków z Ministerstwa Sprawiedliwości. Myślę, że niedługo będziemy musieli sprzedać ten dom i wynająć mieszkanie bliżej śródmieścia. Lękam się tego, gdyż będzie coraz trudniej utrzymać Klarę w niewiedzy. Nie da się bez końca udawać, że to zwolnienie Józsefa od służby tak permanentnie nadweręża nasze finanse. W ostatecznym rozrachunku wolność Klary może mnie kosztować wszystko, co mam. Gdy władza już raz znalazła sposób, by dobrać się do moich pieniędzy, nie poprzestanie, dopóki nie puści mnie w skarpetkach.

– Ale to rząd ponosi winę za to, co się wydarzyło! Sándor Goldstein został zabity. Klara zgwałcona. Jej córka jest przecież dowodem. To rząd jest odpowiedzialny. To oni powinni płacić jej.

– W sprawiedliwym świecie może dałoby się udowodnić ich winę – rzekł Hász. – Ale moi prawnicy zapewniają mnie, że teraz oskarżenia o gwałt na Klarze nie miałyby żadnej mocy. Zwłaszcza że ona sama uciekła przed wymiarem sprawiedliwości. To nie znaczy, że udowodnienie tych zarzutów miałoby wielkie szansę powodzenia kilkanaście lat temu. Jej sytuacja była od początku fatalna. Gdyby została, władze użyłyby wszystkich nieczystych zagrań, żeby udowodnić jej winę, a swoją zamieść pod dywan. Dlatego mój ojciec i jego prawnik zdecydowali, że powinna wyjechać z kraju, i dlatego nie mogli jej ściągnąć z powrotem. Ojciec nigdy jednak się nie poddał – aż do śmierci wierzył, że się uda.

Andras wstał i podszedł do kominka, w którym drewniane polana wypalały się powoli do czerwonego żaru. Ciepło węgli i płomieni przenikało w głąb ciała, wzbudzając falę gniewu w jego piersi. Odwrócił się i spojrzał szwagrowi w oczy.

– Klara od miesięcy jest w niebezpieczeństwie, a ty mi nic nie powiedziałeś – odezwał się. – Myślałeś, że nie zniosę tej świadomości. Może myślałeś, że nie wiem, co łączyło w Paryżu Klarę i Novaka. Może boisz się, że coś wydarzyło się między nimi tu, w Budapeszcie. Zamierzałeś płacić ten haracz, dopóki problem sam się nie rozwiąże? Planowałeś bez końca trzymać mnie w nieświadomości?

Bruzdy na czole Hásza się pogłębiły.

– Masz prawo się gniewać – odrzekł. – Trzymałem cię w nieświadomości. Nie wierzyłem, że utrzymasz to w sekrecie przed Klarą. Ciebie i twoją żonę łączy coś wyjątkowego. Zwierzacie się sobie ze wszystkiego. Ale spróbuj może zrozumieć moje położenie. Chciałem ją chronić i nie sądziłem, żeby twoja wiedza o sprawie mogła komukolwiek pomóc. Sądziłem, że świadomość tego wszystkiego przyniesie ci tylko cierpienie.

– Wolałbym się martwić – odparł Andras. – Wolałbym cierpieć, niż nic nie wiedzieć o problemach mojej żony.

– Wiem, że Klara cię kocha. Żałuję, że ty i ja nie mieliśmy szansy poznać się bliżej, zanim zostałeś powołany. Może gdyby tak się stało, zrozumiałbyś dziś, czemu postąpiłem tak, jak uznałem za słuszne.

Andras mógł tylko skinąć głową w milczeniu.

– Zaś co do wierności Klary, zapewniam cię, że nigdy nie miałem w tej materii najmniejszych podejrzeń. O ile mi wiadomo, moja siostra jest oddana tobie i tylko tobie. Nigdy, przez cały ten czas, gdy byłeś daleko stąd, nie dała mi powodu, by w to wątpić. – György wziął pogrzebacz i znów spojrzał w ogień; jego

barki uniosły się i opadły w westchnieniu. – Gdybym zachował choć cień dawnych wpływów lub fortuny, miałbym większą pewność, że uda mi się coś wskórać w sprawie twojego brata. Wojskowi robią się coraz bardziej chciwi, łapówki są coraz większe, przysługi coraz droższe. Ale zobaczę, czy uda mi się z kimś porozmawiać.

– A co z Klarą? Jak możemy mieć pewność, że nic jej nie zagraża?

– Póki co haracz zapewnia jej ochronę. Miejmy nadzieję, że władze przestaną się interesować moją siostrą, zanim stracę cały majątek. Jeśli wojna potrwa dłużej, będą mieli ważniejsze rzeczy na głowie. Rozwiązanie z 1920 roku – czyli ucieczka z kraju – nie wchodzi obecnie w grę, zwłaszcza biorąc pod uwagę stan Klary. Jest zresztą pod stałą obserwacją. Tak czy siak, nie ma teraz możliwości uzyskania wizy do państw, w których byłaby bezpieczna. Musimy po prostu wytrzymać.

– Klara to inteligentna kobieta – powiedział Andras. – Może ona podsunęłaby nam jakiś pomysł.

– Mam olbrzymi szacunek dla intelektu mojej siostry – odparł Hász. – Zawsze wybornie sobie radziła w niesprzyjających okolicznościach. Jednak nie chcę jej obarczać tą sprawą. Chciałbym, żeby czuła się bezpiecznie tak długo, jak to możliwe.

– Ja też. Ale jak zauważyłeś, nie mam sekretów przed swoją żoną.

– Musisz mi obiecać, że jej o tym nie powiesz. Z przykrością stawiam cię w takim położeniu, ale nie mam wyboru.

– Chcesz powiedzieć, że ja nie mam wyboru.

– Andras, zrozum mnie. Już zainwestowaliśmy bardzo dużo w bezpieczeństwo Klary. Jeśli teraz jej o tym opowiesz, wszystko to pójdzie na marne.

– A gdyby moja żona nie życzyła sobie, by rodzina doprowadzała się z jej powodu do ruiny?

– A co innego możemy począć? Wolałbyś, żeby się oddała w ręce władz? Albo żeby ryzykowała życie swoje i waszego dziecka podczas próby ucieczki? – Hász wstał i zaczął chodzić w tę i z powrotem przed kominkiem. – Zapewniam cię, że rozpatrzyłem ten problem z każdej perspektywy. Nie widzę innego wyjścia. Proszę cię o uszanowanie mojego osądu. Musisz mi uwierzyć, że ja też znam charakter Klary.

Andras wciąż czuł się, jakby zdradzał Klarę, zgodził się jednak dochować tajemnicy. Tak naprawdę nie miał innego wyboru. Nie miał ani pieniędzy, ani koneksji, żeby skutecznie obronić Klarę przed wymiarem sprawiedliwości. W dodatku wyjeżdżał do Bánhidy następnego ranka. „Transakcja" przynajmniej na razie zapewni Klarze bezpieczeństwo podczas jego nieobecności. Podziękował Hászowi za obietnicę podjęcia interwencji w sprawie Mátyása, po czym pożegnali się uściskiem ręki i poważnym spojrzeniem, sugerującym, że pokonają przeciwności losu z węgierskim stoicyzmem. Ale gdy tylko Andras wyszedł z domu przy Benczúr utca, poczuł na powrót pełną wagę zasłyszanych nowin. Czuł się, jakby szedł przez obce miasto, które przez cały czas kryło się w tle. Uczucie to przywiodło mu na myśl dekoracje sceniczne monsieur Forestiera – konstrukcje, w których to, co znajome, skrywało to, co dziwne i przerażające. W wywróconej na nice rzeczywistości prawdziwa tożsamość Klary przestała być tajemnicą dla wielu ludzi, ale to z kolei stało się tajemnicą skrywaną przed nią. Andras przestał być oszukiwany i jednocześnie zgodził się oszukiwać własną żonę.

Pomyślał, że może jego nerwy ukoi spacer nad rzekę i na most Széchenyiego. Potrzebował trochę czasu, żeby ułożyć sobie wszystko w głowie, zanim powróci do Klary. Zastanawiał się, ile czasu upłynęło pomiędzy jego wstąpieniem do batalionów pracy a wizytą madame Novak u odpowiednich władz. Czy zawiodło ją tam tylko wspomnienie dawnych krzywd, czy jakaś nowa uraza? Co tak naprawdę wiedział o obecnych stosunkach między Klarą a Novakiem? Czy było możliwe, że – mimo zapewnień Györgya – został zdradzony? Na chwilę ogarnęły go mdłości; musiał się zatrzymać i usiąść na krawężniku. Bezdomny kundel obwąchał mu kostki, lecz gdy wyciągnął do niego dłoń, pies cofnął się i uciekł. Andras wstał i otulił się szczelniej płaszczem, zapinając kołnierz na ostatni guzik. Doszedł do Bajza utca, a stamtąd do trzypasmowego odcinka Andrássy, gdzie przechodnie zmagali się z chłodnym wiatrem, a tramwaje podzwaniały znajomo. Idąc ulicami, czuł, jak narasta w nim napięcie; w pewnym momencie zorientował się, że jest w pobliżu Opery, której dyrektorem wciąż, według jego informacji, był Zoltán Novak. Minęły ponad dwa lata, odkąd ostatni raz go widział na owym przyjęciu u Marcelle. Zaczął się zastanawiać, czy to, jak Novak został wówczas zraniony, mogło pchnąć go do okrutnego i wyrafinowanego czynu – być może wyjaśnił żonie, że Klara znajduje się w trudnym położeniu, świadom, że Edith będzie chciała jej zaszkodzić. Andras zatrzymał się na ulicy przed gmachem Opery i zaczął myśleć, co powiedziałby Novakowi w tym momencie, gdyby mógł po prostu wejść do jego biura i skonfrontować się z nim. O co mógłby go oskarżyć; do czego Novak by się

przyznał? Splot losów całej trójki – jego, Novaka i Klary – był tak zagmatwany, że pociągnięcie za którąkolwiek nić jeszcze mocniej zaciskało supeł. Gdyby Andras wszedł teraz do środka, to być może wyszedłby ze świadomością, że Klara go zdradziła, że sprzeniewierzała mu się przez całe miesiące i nie on jest ojcem jej dziecka. Ale czy nie gorzej stać na zewnątrz w kompletnej niewiedzy, a potem bez pewności wrócić do Bánhidy? Drzwi Opery były otwarte, w środku wił się ogonek ludzi czekających w kolejce do kasy. Zaczerpnął głęboko powietrza i wszedł.

Ile to już miesięcy minęło, odkąd był w teatrze? Ostatnie lato w Paryżu… on i Klara wybrali się wtedy na próbę *La Fille Mal Gardée.* Teraz przeszedł pod jednym z neoromańskich portali i znalazł się na widowni; wyłożonym dywanem przejściem między rzędami zszedł aż do sceny. Kurtyna była odsłonięta, ujawniając ryneczek włoskiego miasteczka z marmurową fontanną pośrodku. Otaczające go budynki były wycięte z udającej kamień żółtej tektury, markizy uszyte z biało-zielonego płótna. Nad schodkami prowadzącymi do jednej z kamieniczek pochylał się cieśla; stukot młotka w otwartej przestrzeni audytorium wywołał u Andrssa ukłucie nostalgii. Zdecydowanie wolałby przyjść tutaj, by samemu instalować scenografię lub choćby po to, żeby nalewać aktorom kawę, przynosić im liściki i wywoływać na scenę. Chciałby, by w domu czekała na niego na biurku sterta niedokończonych rysunków, a w oddali majaczył termin oddania projektu.

Zbiegł na sam dół widowni i wspiął się na scenę po bocznych schodkach. Cieśla nie zwrócił na niego uwagi. Za kulisami inny mężczyzna, zapewne rekwizytor, układał różne przedmioty na odpowiednich półkach; z warsztatu dochodził wizg piły elektrycznej. Zapach świeżo ściętego drewna kojarzył się Andrasowi jednocześnie z tartakiem ojca, teatrem Sary Bernhardt, pracownią monsieur Forestiera i obozem pracy na Podkarpaciu. Zagłębił się w trzewia teatru; wąskimi korytarzykami i schodami dotarł do garderób. Za białymi drzwiami z nazwiskami wykaligrafowanymi na karteczkach wsuniętych w mosiężne uchwyty kryły się wstydliwie pudełka z przyborami do makijażu, poplamione suknie, kapelusze z piórami, porwane pończochy, wygniecione skrypty, nadgniłe fotele, pęknięte lustra i zwiędłe bukiety. Zdał sobie sprawę, że kiedy Klara była dziewczyną, musiała przygotowywać się do występów w jednym z tych pokoi. Przypomniał sobie zdjęcie z tamtych czasów – ubrana jak leśny elf, w spódniczce z liści, z gałązkami wplecionymi we włosy. Niemal mógł dostrzec jej wysmukły cień, przemykający między garderobami. Przeszedł przez korytarz i wspiął się na kolejne schody; piętro wyżej znajdował się drugi rząd garderób.

Hol kończył się drewnianymi drzwiami z białą emaliowaną wizytówką, tą samą, której Novak używał u Sary Bernhardt w Paryżu. Widniały na niej znajome słowa wymalowane czarną farbą ze złoceniami nieco startymi przez podróże: „Zoltán Novak, Directeur". Zza drzwi dobiegł ciężki kaszel. Andras uniósł rękę, by zapukać, po czym ją opuścił. Nie miał pojęcia, co powiedzieć Zoltánowi Novakowi. W środku znów rozbrzmiał kaszel, a potem jeszcze raz, bliżej wejścia do gabinetu. Niespodziewanie drzwi się otworzyły i Andras stanął twarzą w twarz z Novakiem. Zoltán był blady i zmarnowany, jego oczy błyszczały gorączką, wąsy oklapły, a garnitur wisiał na nim jak na niedopasowanym manekinie. Na widok Andrasa gwałtownie przygarbił ramiona.

– Lévi – odezwał się. – Co ty tu robisz?

– Nie wiem. Chyba chciałem z tobą porozmawiać.

Novak stał przez chwilę bez słowa, mierząc Andrasa wzrokiem, przyglądając się uważnie mundurowi Munkaszolgálat i każdej innej zmianie, jaka w nim nastąpiła. Wreszcie westchnął przeciągle i spojrzał ze znużeniem Andrasowi w oczy.

– Muszę przyznać, że jesteś ostatnią osobą, której bym się spodziewał. I, szczerze mówiąc, jedną z ostatnich, które chciałbym spotkać. Ale skoro już tu jesteś, to zapraszam do środka.

Andras wszedł za Novakiem do ciemnego sanctum dyrektorskiego gabinetu i stanął naprzeciw dużego biurka z wyłożonym skórą blatem. Novak niedbale wskazał ręką krzesło, więc Andras zdjął czapkę i usiadł. Rozejrzał się po półkach zapełnionych tekstami librett, księgami rachunkowymi i fotografiami śpiewaków w kostiumach. Pokój wyglądał jak dawny gabinet u Sary Berhnardt, był tylko ściśnięty do mniejszych i mroczniejszych warunków lokalowych.

– No i? – zagaił Novak. – Możesz mnie oświecić, Lévi, co cię tu sprowadza?

Andras zmiął czapkę z Munkaszolgálat, po czym ją wygładził.

– Dowiedziałem się dziś pewnych rzeczy – odparł. – Wiem, że twoja żona doniosła na Klarę węgierskiej policji.

– I dowiedziałeś się o tym dopiero dziś? Ale to było prawie dwa lata temu.

Andras spłonął na twarzy, ale dalej patrzył Novakowi śmiało w oczy.

– György Hász trzymał to przede mną w tajemnicy. Poszedłem dziś do niego, żeby dowiedzieć się, czy może pomóc w wykupieniu mojego brata od służby na

froncie, a on mnie poinformował, że wszystkie jego fundusze idą na uchronienie mojej żony przed więzieniem.

Novak wstał i nalał sobie szklankę napoju z karafki stojącej na stoliku w rogu gabinetu. Spojrzał pytająco na Andrasa, ale ten pokręcił głową.

– To tylko herbata – powiedział Novak. – Nie mogę już pić alkoholu.

– Nie, dziękuję.

Wrócił do biurka ze szklanką herbaty w dłoni. Był biały jak płótno i wymizerowany, ale jego oczy płonęły przerażającym blaskiem, którego źródła Andras wolał się nie domyślać.

– Rząd całkiem sprawnie wszedł na rynek haraczy.

– Z winy Edith życie Klary jest zagrożone. A mój brat w tym momencie jedzie pociągiem do Biełgorodu. Nazajutrz muszę wrócić do swojego batalionu w Bánhidzie i nic nie mogę na to wszystko poradzić.

– Każdego z nas dotyka jakieś nieszczęście. Ty masz swoje sprawy, ja mam swoje.

– Jak możesz tak mówić? To twoja żona jest za to odpowiedzialna. I nie zdziwiłoby mnie, gdybyś maczał w tym palce.

– Edith się uparła – odparł Novak cierpko. – Usłyszała od przyjaciółki plotkę, że Klara wróciła do Budapesztu. Usłyszała, że się z nią ożeniłeś i że zaraz potem zostałeś powołany do batalionów. Sądzę, iż ubzdurała sobie, że będę chciał spotkać się z Klarą lub że Klara może mnie szukać. – Ostatnie słowa wypowiedział z gorzką ironią. – Edith chciała ją ukarać, bo jej zdaniem na to zasługiwała. Wydawało jej się, że to prosta sprawa, ale nie wzięła pod uwagę korupcji w Ministerstwie Sprawiedliwości. Kiedy usłyszała o ustaleniach między urzędnikami a twoim szwagrem, była wściekła.

– A teraz? Skąd mam wiedzieć, że nie posunie się dalej?

– Edith zmarła zeszłej wiosny na raka jajnika. – Novak spojrzał na Andrasa wyzywająco, jakby chciał sprawdzić, czy przeciwnik okaże mu współczucie.

– Przykro mi.

– Oszczędź mi swoich kondolencji. Jeśli jest ci przykro, to tylko dlatego, że straciłeś szansę, by się odegrać za to, co zrobiła. Ale wystarczającą karę otrzymała za życia. Umierała w bólu na oczach moich i mojego syna. Może ta świadomość doda ci otuchy, kiedy będziesz już z powrotem w obozie pracy.

Andras skręcał w rękach czapkę, przytłoczony tymi słowami. Miał wrażenie, że zaraz osunie się z krzesła.

– Tęsknię za nią – powiedział Novak łagodniejszym tonem, widząc zmieszanie Andrasa. – Nigdy nie byłem dla niej tak dobry, jak na to zasługiwała. I chyba moje własne poczucie winy sprawia, że jestem dla ciebie okrutny.

– Niepotrzebnie tu przychodziłem.

– Cieszę się, że przyszedłeś. Cieszę się, że Klara jest bezpieczna, przynajmniej na razie. Unikałem jakichkolwiek wieści o niej, ale jednak cieszę się, że wiem choć tyle. – Rozkasłał się, otarł oczy i pociągnął łyk herbaty. – Teraz już długo niczego nowego o niej nie usłyszę, może nawet nigdy. Wyjeżdżam za miesiąc. Też dostałem powołanie.

– Gdzie?

– Do batalionów pracy.

– Ale to niemożliwe – powiedział Andras. – Nie jesteś w wieku poborowym. Masz swoje stanowisko w Operze. Nawet nie jesteś Żydem.

– Dla nich jest we mnie dość z Żyda – odparł Novak. – Moja matka była Żydówką. Przechrzciłem się za młodu, ale teraz nikogo to nie obchodzi. Po tym, jak zmieniły się przepisy rasowe, powinienem był stracić tę pracę, ale kilku moich przyjaciół w Ministerstwie Kultury przymknęło oko. Teraz nawet oni zostali zwolnieni. A jeśli chodzi o moją pozycję społeczną, to jest ona częścią problemu. Chcą mnie mianowicie usunąć z tego społeczeństwa. Najwyraźniej podczas zaciągu do batalionów stosuje się nową, sekretną matematykę – określony procent poborowych muszą stanowić tak zwani wybitni Żydzi. Znajdę się w świetnym towarzystwie. Mój kolega z Filharmonii dostał powołanie do tego samego batalionu, a niedawno dowiedzieliśmy się, że dołączy do nas także były rektor wyższej szkoły technicznej. Wiek nie ma znaczenia. Ani też, niestety, fizyczna zdatność do służby. Nigdy do końca nie wyszedłem z choroby, która sprowadziła mnie tu w 1937 roku. Ty byłeś w batalionach; wiesz równie dobrze jak ja, że raczej stamtąd nie wrócę.

– Na pewno nie skażą cię na ciężkie roboty – rzekł Andras. – Dadzą ci jakąś pracę biurową.

– Andras. – W tonie Novaka pobrzmiewała surowość. – Obaj wiemy, że tak się nie stanie. Zresztą co będzie, to będzie.

– A co z twoim synem?

– No właśnie, co z moim synem? – odpowiedział pytaniem Novak. – Co z nim?

Andras nic nie odrzekł, zapadła cisza. Siedzieli dłuższy czas w milczeniu, nie odzywając się. Andras wyobraził sobie własne dziecko – chłopca lub dziewczynkę – leżące z zamkniętymi oczami w łonie Klary. Dziecko, które może nigdy się nie urodzi; a jeśli się urodzi, może nie przeżyć dzieciństwa; a jeśli nawet mu się uda, to może tylko po to, by zobaczyć, jak świat trawią płomienie. Patrzący na niego Novak zdawał się rozumieć tę nową, nieubraną w słowa troskę.

– Tak więc – rzekł wreszcie – dociera do ciebie, jak to jest. Też jesteś ojcem.

– Będę wkrótce. Za kilka miesięcy.

– I do tego czasu zakończysz już służbę w batalionach?

– Któż to może wiedzieć? Wszystko może się zdarzyć.

– Poradzisz sobie – powiedział Novak. – Wrócisz do domu. Będziesz z Klarą i dzieckiem. György utrzyma układ z władzami. Wiesz, że to nie na niej im naprawdę zależy, tylko na pieniądzach. Jeśli ją oskarżą, to na jaw wyjdą ich własne przewiny.

Andras skinął głową, z całego serca pragnąc uwierzyć w te słowa. Ku własnemu zdziwieniu poczuł się pokrzepiony, a chwilę potem zażenowany faktem, że to pokrzepienie przyszło od Novaka, który stracił wszystko i wszystkich poza swoim synkiem.

– Kto zaopiekuje się chłopcem? – spytał znów.

– Rodzice Edith. I moja siostra. Dobrze się stało, że wtedy wróciliśmy. Gdybyśmy zostali we Francji, moglibyśmy już być w obozie. Chłopiec też. Nie oszczędzają dzieci.

– Boże. – Andras ukrył twarz w dłoniach. – Co się z nami stanie? Z nami wszystkimi?

Novak spojrzał na niego spod siwiejących brwi; w jego oczach zamigotała ostatnia iskra gniewu.

– Ostatecznie jedno tylko – odrzekł. – Jedni od ognia, inni od wody. Jedni od ostrza miecza, inni od kłów bestii. Jedni z głodu, inni z pragnienia. Znasz tę modlitwę, Andras.

– Wybacz mi. Wybacz, że powiedziałem, że nie jesteś Żydem.

Była to jedna z modlitw odmawianych na Rosz Haszana, Nowy Rok. Modlitwa, która przepowiadała wszelki koniec. Niedługo sam będzie ją odmawiał z towarzyszami z obozu w Bánhidzie.

– Jestem Żydem. Dlatego zatrudniłem cię w Paryżu. Byłeś moim bratem.

– Przepraszam, Novak-úr – odrzekł Andras. – Przepraszam. Nigdy nie zamierzałem wyrządzić ci żadnej krzywdy. Zawsze byłeś dla mnie dobry.

– To nie twoja wina. Cieszę się, że przyszedłeś. Przynajmniej możemy się pożegnać.

Andras wstał i włożył swoją wojskową czapkę. Novak wyciągnął do niego dłoń nad biurkiem, a ten ją uścisnął. Nie było już wiele do powiedzenia poza pożegnaniem. Więc pożegnali się w krótkich słowach, a potem Andras wyszedł z gabinetu i zamknął za sobą drzwi.

Rozdział trzydziesty

Barna i generał

TEGO WIECZORU, KIEDY WRÓCIŁ do mieszkania przy Nefelejecs utca, nie powiedział Klarze nic o tym, co wydarzyło się między nim a jej bratem; nie wspomniał też o spotkaniu z Novakiem. Powiedział tylko, że poszedł na długi spacer po mieście i zastanawiał się nad tym, czym mógłby się zająć po powrocie z Munkaszolgálat. Wiedział, że Klara zauważyła jego niepokój i rozkojarzenie, ale nie zapytała go o przyczynę tego nastroju. To, że następnego dnia wracał do Bánhidy, było chyba wystarczającym uzasadnieniem. Zjedli spokojną kolację w kuchni, a ich krzesła stały blisko siebie przy niedużym stole. Potem w pokoju słuchali na gramofonie Sibeliusa i patrzyli w ogień płonący na kominku. Andras miał na sobie flanelowy szlafrok, który kupiła mu Klara, i parę wełnianych bamboszy. Trudno było wyobrazić sobie bardziej kojącą scenerię, a jednak już wkrótce miało go tu nie być, a Klara znów zostanie sama ze wszystkim, co mogło nadejść. Im wygodniej mu było, im bardziej Klara wyglądała na senną i zadowoloną, oparta o poduszki na sofie, tym większy ból sprawiała mu myśl o tym wszystkim, co czaiło się po drugiej stronie. György słusznie postępował, pomyślał, chroniąc ją przed świadomością tego, co się wydarzyło. Jej spokój wydawał się wart jego własnej nieuczciwości. Z błogim uśmiechem opowiadała mu o tym, jak jej ciało zmienia się pod wpływem ciąży i jaką ulgą jest dla niej to, że może rozmawiać o tym z matką. Była czuła dla Andrasa, szukała jego bliskości; chciała się kochać, a on ucieszył się, że będzie mógł oderwać myśli od zaprzątających go bolesnych spraw. Ale kiedy leżeli już w łóżku – jej ciało zdumiało go swoim nowym ciężarem – musiał odwrócić twarz. Obawiał się, że Klara wyczuje, iż coś przed nią ukrywa, zacznie zadawać pytania.

Kiedy wrócił do Bánhidy, przynajmniej to mu nie groziło. Nigdy w życiu tak go nie cieszyła perspektywa ciężkiej pracy. Mógł ogłuszyć umysł niekończącym się ładowaniem węgla brunatnego na pokryte pyłem wózki, nieustannym ciągnięciem i pchaniem wózków po torach. Mógł znieczulić kończyny gimnastyką podczas wieczornego apelu, poddać się obozowej harówce – sprzątaniu koszar,

rąbaniu drew na opał, wynoszeniu śmieci z kuchni – z nadzieją, że wyczerpanie pozwoli mu zasnąć natychmiast, zanim w jego mózgu otworzy się kuferek z troskami, odtwarzanymi szczegółowo i wyraziście jedna po drugiej. Nawet gdy udało mu się uniknąć tej ponurej defilady, wydany był na pastwę snów. W tym, który powtarzał się najczęściej, przypadkiem trafiał na Ilanę, leżącą w szpitalu w jakimś miejscu, które nie było do końca Paryżem, ale Budapesztem też nie było, bliską śmierci; a potem to już nie była Ilana, tylko Klara, i Andras wiedział, że musi oddać jej krew, ale nie potrafił wymyślić, jak ją przetoczyć z własnych żył. Stał przy jej łóżku ze skalpelem w ręce, ona leżała blada i przerażona. Myślał, że najpierw musi naciąć skalpelem przegub swojej ręki, a potem znaleźć jakieś rozwiązanie. Noc po nocy budził się w ciemności pośród chrapania i pokaszliwania innych robotników, przekonany, że Klara umarła, a on nie zrobił nic, by ją uratować. Jedyną pociechą było dla niego to, że jego okres pracy przymusowej dobiegał końca piętnastego grudnia, czyli na dwa tygodnie przed terminem porodu. Wiedział, że głupotą jest pokładać całą nadzieję w zapowiedzianej dacie zwolnienia, skoro Munkaszolgálat nie traktował do tej pory zbyt poważnie obietnic złożonych poborowym; usiłował przypominać sobie gorzkie rozczarowania, których doświadczył w pierwszym roku służby. Jednak ta data była wszystkim, co miał, i trzymał się jej kurczowo niczym talizmanu. Piętnasty grudnia, piętnasty grudnia – mówił do siebie po cichu podczas pracy, jakby powtarzanie mogło przyspieszyć nadejście upragnionej daty.

Pewnego ranka, kiedy czuł się wyjątkowo zdesperowany, poszedł przed pracą na nabożeństwo modlitewne. Grupa mężczyzn spotykała się codziennie o świcie w pustym magazynie; niektórzy mieli małe, zniszczone modlitewniki, była też miniaturowa Tora, z której czytano w poniedziałki, czwartki i w szabat. Nakrywszy głowę tałesem, Andras przekonał się, że myśli nie o modlitwach, lecz, jak często zdarzało mu się podczas wykonywania wszelkich czynności religijnych, o swoich rodzicach. Kiedy doniósł im, że Klara jest w ciąży, ojciec odpisał, że natychmiast wyprawią się do Budapesztu. Andras odniósł się do tego sceptycznie, bo rodzice nie znosili podróży. Nie znosili hałasu, wydatków i tłoku, nie znosili tłumów w Budapeszcie. Ale kilka tygodni później przyjechali do Klary z wizytą i spędzili u niej trzy dni. Matka Andrasa obiecała, że wróci przed narodzinami wnuka i zostanie tak długo, jak tylko synowa będzie jej potrzebowała.

Z pewnością wiedziała, że dla Andrasa będzie to duża ulga. Nikt nie potrafił tak jak ona pocieszać go i dawać mu poczucie bezpieczeństwa; przez całe jego dzieciństwo była w tym niezawodna. Podczas milczącej modlitwy Amida Andrasa

nawiedziło wspomnienie z Konyáru: na szóste urodziny dostał nakręcany blaszany pociąg cyrkowy ze zwierzątkami wyciętymi z blachy, które pobrzękiwały za kratami wagonów. Wagony można było otworzyć i wyciągnąć z nich słonie, lwy i niedźwiedzie, a potem kazać im występować w cyrku, wyobrażonym przez okrąg narysowany patykiem na piasku. Pociąg nadszedł z Budapesztu w czerwonym tekturowym pudełku. Do tego stopnia przewyższał wszelkie wyobrażenia dzieci z Konyáru na temat zabawek, że Andras stał się obiektem wściekłej zazdrości kolegów z klasy – a zwłaszcza dwóch blondynków, którzy pewnego popołudnia gonili go ze szkoły aż pod dom, usiłując go złapać i odebrać mu pociąg. Biegł z przyciśniętym do piersi czerwonym pudełkiem, biegł w stronę matczynej postaci, którą widział w oddali, na podwórku: trzepała dywany na drewnianym trzepaku na skraju sadu. Odwróciła się, słysząc odgłos zbliżających się kroków. Andras znajdował się niecałe trzy metry od niej. Ale zanim do niej dobiegł, zahaczył stopą o korzeń jabłonki i poleciał do przodu, odruchowo wyciągając przed siebie ręce, a czerwone pudełko łukiem poszybowało w górę. Mama jednym wdzięcznym ruchem wypuściła z ręki trzepaczkę i złapała zabawkę. Kroki prześladowców Andrasa się zatrzymały. Chłopiec podniósł głowę i zobaczył mamę, jak wkłada pod pachę pudełko, a w drugą rękę bierze trzepaczkę. Nie poruszyła się, stała po prostu z uniesioną dłonią. Trzepaczka zrobiona była solidnej gałęzi z rodzajem okrągłego płaskiego koszyka przymocowanego na końcu. Mama zrobiła jeden krok w stronę dwóch blondynów. Choć Andras wiedział, że jest łagodną osobą – nigdy nie uderzyła żadnego ze swoich synów – jej postawa sugerowała, że jest gotowa przetrzepać skórę prześladowcom Andrasa z takim samym zapałem, z jakim zajmowała się dywanami. Andras podniósł się w samą porę, żeby zobaczyć, jak chłopcy uciekają drogą, a ich bose stopy wzbijają tumany kurzu. Mama wręczyła mu czerwone pudełko i zasugerowała, żeby przez jakiś czas trzymał pociąg w domu. Andras wszedł do środka z poczuciem, że jego matka jest nadludzką istotą, gotową przyfrunąć mu na pomoc w chwili niebezpieczeństwa. Poczucie zresztą szybko straciło na sile; niedługo później wyjechał do szkoły w Debreczynie, gdzie mama nie była w stanie go chronić. Jednak ten wypadek zostawił w nim trwały ślad. Teraz czuł potęgę matki, jakby to wszystko działo się jeszcze raz: czerwone pudełko jego życia szybuje w powietrzu, a mama wyciąga ręce, by je złapać.

Gdy nie pochłaniały go myśli o Klarze, martwił się o braci. Centrum dystrybucji poczty stało się źródłem nieustannej obawy. Za każdym razem, kiedy je mijał, wyobrażał sobie, że dostaje telegram ze straszną wiadomością o losie Mátyása. Odkąd wysłano go na wschód, nie było od niego ani słowa, a wysiłki Györgya, by mu pomóc, okazały się bezowocne. György wysłał kilka listów do

wysokich urzędników Munkaszolgálat, ale odpowiedziano mu, że nikt nie ma czasu zajmować się tak drobnym problemem w obliczu wojny. Jeżeli chce załatwić zwolnienie Mátyása ze służby, musi skontaktować się z komendantem batalionu chłopca w Biełgorodzie. Dalsze śledztwo wykazało, że batalion Mátyása zakończył służbę w Biełgorodzie i został wysłany dalej na wschód; obecnie kwatera główna dowództwa batalionu znajdowała się gdzieś w pobliżu Rostowa nad Donem. György zasypał komendanta telegramami, ale przez kilka tygodni nie było żadnej odpowiedzi. Potem otrzymał krótką notkę napisaną odręcznie przez sekretarza batalionu z informacją, że kompania Mátyása zaginęła gdzieś w zawierusze. Kilka tygodni wcześniej zgłosili swoją pozycję przez radio, ale od tego czasu nastąpiła utrata łączności i w tej chwili ustalenie miejsca pobytu kompanii było niemożliwe.

Wyobrażał więc sobie brata gdzieś daleko stąd, wśród śniegów, bez łączności z centrum dowodzenia batalionu, dryfującego razem ze swoją kompanią w stronę jeszcze sroższych mrozów i niebezpieczeństw. Co je? Czy ma się w co ubrać? Gdzie śpi? Jak Andras może leżeć w nocy na pryczy i jeść chleb co rano, podczas gdy jego brat błąka się gdzieś po Ukrainie? Czy Mátyás myśli, że Andras nie próbował mu pomóc albo że György Hász odmówił? Kto jest odpowiedzialny za niebezpieczeństwo, w jakim znalazł się Mátyás? Czy to Edith Novak, która wydała tajemnicę Klary? Czy napastnicy Klary sprzed lat? A może sam Andras, którego związek z Klarą tak bardzo podbił cenę wolności dla brata? Może to Miklós Horthy i jego pragnienie odzyskania węgierskich terytoriów, które pociągnęło go w kierunku wojny, albo Hitler, którego obłęd zaprowadził aż do Rosji? Ilu jeszcze ludzi poza Mátyásem musiało tej zimy stawić czoło śmierci, ilu jeszcze umrze, zanim skończy się wojna?

Pewnym pocieszeniem była świadomość, że przynajmniej Tibor pozostaje z dala od linii frontu. Jego listy przychodziły z Siedmiogrodu w tempie zależnym od kaprysów wojskowej poczty. Przez trzy tygodnie nie było ani słowa, potem pojawiał się pakiet pięciu listów, następnego dnia pojedyncza pocztówka i przez kolejne dwa tygodnie znowu nic. Ton listów Tibora ulegał stopniowej zmianie podczas jego pobytu w Karpatach – od swobodnego i żartobliwego do żałośnie monotonnego: „Drogi Andrasu, kolejny dzień budowania mostów. Okropnie tęsknię za Ilaną. Martwię się o nią w każdej minucie. Na miejscu masa katastrof: dziś mój kolega Roszenzweig złamał rękę. Skomplikowane złamanie otwarte. Oczywiście nie mam tu szyn chirurgicznych, gipsu ani antybiotyków. Musiałem opatrzyć ranę za pomocą kawałka deski z podłogi w koszarach”. Albo: „Ośmiu robotników dostało w zeszłym tygodniu zapalenia płuc. Trzech zmarło. Tak

ciężko mi o tym myśleć! Wiem, że mogłem zadbać o to, żeby się nie odwodnili, gdybym nie został wysłany z obozu razem z ekipą budującą drogę". Lub inny list, który w całości wyglądał następująco: „Drogi Andráska, nie mogę spać. Ilana jest teraz w 21. tygodniu. Ostatnim razem poroniła w 22.". Andras pragnąłby napisać Tiborowi, czego dowiedział się w Budapeszcie, ale nie chciał pogłębiać obaw brata, dokładając do nich własne. Nie był jednak sam ze swoim niepokojem; co tydzień z Benczúr utca przychodziła para kopert w kolorze kości słoniowej, zawierających słowa otuchy. Jedna pochodziła od Györgya – „Żadnych wiadomości, żadnych nowych zagrożeń. Wszystko jak do tej pory" – a druga miała na sobie pieczęć matki Klary – „Drogi Andrasu, wiedz, że wszyscy o Tobie myślimy i życzymy Ci szybkiego powrotu. Jak Klara za Tobą tęskni, kochany chłopcze! I jak bardzo ją uszczęśliwisz, kiedy wrócisz do domu. Lekarze są zdania, że ciąża przebiega jak należy". Raz wysłała Andrasowi paczuszkę, której zawartość była najwyraźniej tak atrakcyjna, że w pudełku nie zostało nic poza liścikiem: „Andráska, znajdziesz tu dla siebie trochę słodyczy. Jeśli Ci posmakują, przyślę więcej". Andras przyniósł pudełko do koszar, żeby pokazać je Mendlowi, który wybuchnął homeryckim śmiechem i zaproponował, by umieścić je na półce jako ikonę życia w Bánhidzie. Obecność Mendla także dawała pociechę; razem skończą służbę i wrócą tym samym pociągiem do Budapesztu. Tak przynajmniej planowali, skreślając dni na kalendarzu ściennym własnej roboty, w miarę jak dni stawały się coraz chłodniejsze, a odległe wzgórza przybierały zimowy odcień brązu.

Ale 25 listopada, w dniu, którego jałowa szarość ustąpiła pod wieczór przypominającej konfetti śnieżnej zamieci, w głównym biurze czekał telegram od Györgya. Drżącymi dłońmi Andras rozdarł kopertę i odczytał wiadomość, że Klara urodziła zeszłej nocy, pięć tygodni przed terminem. Mają syna, ale jest bardzo chory. Andras musi natychmiast przyjechać do domu.

Dłuższa chwila minęła, zanim był w stanie się poruszyć i odzyskał głos. Inni robotnicy próbowali odsunąć go na bok, by dostać się do okienka; czy on zamierza stać tak do rana? Andras skierował się do drzwi i chwiejnym krokiem wyszedł na śnieg. Tego wieczoru w obozie wcześnie zapalono światła. Tworzyły wokół placu jasną aureolę, którą przełamywała tylko para wyższych i jaśniejszych latarni po obu stronach budynku administracji obozu. Andras ruszył w stronę tej klamry świateł, jakby to był portal, który może przenieść go do Budapesztu. Ma syna, który jest bardzo chory. Syn. Chłopiec. Jego synek. I Klary. Osiemdziesiąt kilometrów stąd. Dwie godziny pociągiem.

Strażnicy, którzy zazwyczaj stali przy drzwiach, poszli na kolację. Andras bez przeszkód wszedł do środka. Mijał pokoje z grzejnikami elektrycznymi, telefonami i powielaczami. Nie wiedział, gdzie jest biuro majora Barny, ale intuicyjnie wyczuwał drogę do serca budynku, kierując się wzdłuż architektonicznych linii sił. Gdyby projektował ten budynek, umieściłby biuro majora dokładnie tam, gdzie się właśnie znajdowało. Drzwi jednak były zamknięte. Barna także udał się na kolację. Andras wyszedł z powrotem na śnieg i wiatr.

Wszyscy wiedzieli, gdzie jest kantyna oficerów. Było to jedyne miejsce w całej Bánhidzie, skąd wydobywała się woń prawdziwego jedzenia. Żadnej cienkiej zupy, żadnego czerstwego chleba; zamiast tego jedzono tam kurczęta, ziemniaki i grzybową, papryki z nadzieniem z cielęciny, faszerowaną kapustę, a wszystko to z białym chlebem. Robotnicy wyznaczeni do transportowania węgla lub wynoszenia śmieci z oficerskiej kantyny musieli znosić zapach tych dań. Żaden robotnik, z wyjątkiem tych, którzy usługiwali oficerom, nie miał prawa wejść do kantyny; pilnowali jej uzbrojeni żołnierze. Andras jednak nie czuł strachu, zbliżając się do budynku. Miał syna. Pierwszy przypływ radości zmieszał się z fizyczną potrzebą chronienia własnego dziecka, stanięcia pomiędzy nim a wszystkim, co mogło je skrzywdzić. I Klara: skoro ich synek jest poważnie chory, ona także go potrzebowała. Uzbrojeni strażnicy nie mieli znaczenia. Liczyło się tylko to, by wydostać się z Bánhidy.

Nie rozpoznawał żołnierzy przy drzwiach; zapewne niedawno przyjechali z Budapesztu. To mogło zadziałać na korzyść Andrasa. Zbliżył się do drzwi i zwrócił do niższego i bardziej przysadzistego ze strażników, człowieka, który wyglądał, jakby zapach mięsa i zapiekanej papryki sprawiał mu katusze.

– Telegram do majora Barny – powiedział Andras, unosząc dłoń, w której trzymał niebieską kopertę.

Żołnierz spojrzał na niego, mrużąc oczy w blasku elektrycznej latarni. Między nimi wirowały płatki śniegu.

– Gdzie jest jego adiutant? – zapytał.

– Też na kolacji, panie poruczniku – odpowiedział Andras. – Kovács z wydziału komunikacji kazał mi przynieść go osobiście.

– Zostaw go mnie. Dopilnuję, żeby do niego trafił.

– Dostałem rozkaz, żeby doręczyć go osobiście i zaczekać na odpowiedź.

Niski krępy strażnik zerknął na kolegę, potężnego młodego żołnierza, na wpół drzemiącego na posterunku. Potem przywołał gestem Andrasa i nachylił *się* w jego stronę.

– Czego tak naprawdę chcesz? – zapytał. – Robotnicy nie dostarczają telegramów komendantom. Może jestem tu nowy, ale idiotą nie jestem. – Przez dłuższą chwilę wpatrywał się Andrasowi w oczy. Intuicja szepnęła Andrasowi, żeby powiedzieć prawdę.

– Moja żona właśnie urodziła, pięć tygodni przed terminem. Dziecko jest chore. Muszę jechać do domu. Chcę poprosić o specjalne zwolnienie.

Strażnik się roześmiał.

– W środku obiadu? Chyba zwariowałeś.

– To nie może czekać – odparł Andras. – Muszę natychmiast jechać do domu.

Strażnik się wahał. Spojrzał przez ramię do kantyny, a potem jeszcze raz na potężnego młodego żołnierza.

– Hej, Mohács – odezwał się. – Postoisz tu chwilę sam, co? Muszę zabrać tego człowieka do środka.

Potężny mężczyzna wzruszył ramionami, wydał z siebie pomruk oznaczający zgodę i niemal natychmiast pogrążył się z powrotem w półśnie.

– W porządku – rzekł pierwszy żołnierz. – Wejdź. Będę cię musiał obszukać.

Oniemiały z wdzięczności Andras wsunął się za nim do sieni i poddał przeszukaniu. Kiedy strażnik przekonał się, że Andras nie ma przy sobie broni, położył mu rękę na ramieniu i powiedział:

– Chodź ze mną. I nie odzywaj się do nikogo, zrozumiano?

Andras skinął głową i razem weszli w zgiełk oficerskiej jadalni. Długie stoły były poustawiane w rzędy, a oficerowie siedzieli przy nich według rangi. Barna jadł razem ze swoimi zastępcami przy stole na podwyższeniu z widokiem na całą salę. Przy jego boku siedział wysoki rangą oficer, którego Andras nigdy wcześniej nie widział, krępy srebrnowłosy mężczyzna, w suto szamerowanym płaszczu z ramionami lśniącymi od orderów. Miał staroświecko przystrzyżoną brodę w kolorze stali i monokl w złotej oprawie. Wyglądał jak stary generał z Wielkiej Wojny.

– Kto to? – zapytał Andras strażnika.

– Nie mam pojęcia – odparł. – Nic nam nie mówią. Ale wygląda na to, że wybrałeś odpowiedni wieczór na debiut przy kolacji.

Zaprowadził Andrasa do innego żołnierza, który stał na baczność w pobliżu głównego stołu, nachylił się do niego i powiedział mu coś do ucha. Żołnierz skinął głową i podszedł do adiutanta, siedzącego przy jednym ze stołów na przedzie. Skłonił się przed nim i odezwał, a adiutant podniósł głowę znad kolacji i spojrzał na Andrasa z wyrazem zdumienia i litości. Powoli wstał z ławki i skierował się do głównego stołu, gdzie zasalutował przed majorem Barną i powtórzył wiadomość, zerkając przez ramię na Andrasa. Barna zmarszczył brwi, a jego usta ściągnęły się w wąską, białą linię. Odłożył nóż i widelec i wstał z miejsca. Żołnierze ucichli. Dostojny starszy oficer spojrzał pytająco w górę.

Barna wyprostował się na całą wysokość.

– Gdzie jest ten Lévi? – zapytał.

Andras nigdy wcześniej nie słyszał, by brzmienie jego nazwiska do tego stopnia przypominało przekleństwo. Starając się ze wszystkich sił wyprostować ramiona, odpowiedział:

– Tu jestem, panie majorze.

– Wystąp, Lévi!

Major wydawał mu ten rozkaz po raz drugi. Andras dobrze pamiętał, co stało się za pierwszym razem. Podszedł kilka kroków do przodu i spuścił wzrok.

– Widzi pan, panie generale – zwrócił się Barna do siedzącego obok mężczyzny w orderach. – Dlatego właśnie nigdy nie dość ostrożności, jeśli idzie o przyznawanie swobód naszym robotnikom. Widzi pan tę gnidę? – Wskazał Andrasa ręką. – Już raz go ukarałem. Jakiś czas temu ośmielił się zuchwale mi odpowiedzieć. I proszę, oto znów on.

– A co wydarzyło się jakiś czas temu? – spytał generał, a Andras odniósł wrażenie, że w jego głosie słyszy nutkę kpiny, zupełnie jakby informacja o czyjejś zuchwałości wobec Barny sprawiła mu przyjemność.

Major jednak tego nie dostrzegł.

– To było zaraz po tym, jak przyjechał do obozu – powiedział, patrząc na Andrasa zmrużonymi oczami. – Sądziłeś, że zapomniałem, Lévi? Musiałem go zdegradować. – Barna uśmiechnął się do starszego oficera. – Nie chciał przyjąć tego do wiadomości, więc go ukarałem.

– Dlaczego został zdegradowany?

– Bo zapodział gdzieś napletek.

Cała sala wybuchnęła śmiechem, ale generał zmarszczył brwi, patrząc w talerz. Barna brnął, niczego nieświadomy.

– A teraz przyszedł do nas z ważną prośbą – ciągnął. – Zechcesz podejść bliżej i powiedzieć nam, z czym przychodzisz, Lévi?

Andras postąpił o krok naprzód. Nie zamierzał dać się zastraszyć, choć czuł, że krew ogłuszająco pulsuje mu w skroniach. Trzymał telegram w zaciśniętej dłoni.

– Z prośbą o specjalne zezwolenie na wyjazd z przyczyn rodzinnych, panie majorze – powiedział.

– Cóż to za pilna sprawa? – spytał Barna. – Żona potrzebuje, żeby ktoś jej zrobił dobrze?

Gromki śmiech na sali.

– Zapewniam cię, że prędzej czy później problem sam się rozwiąże – dodał Barna. – Zawsze tak jest.

– Za pozwoleniem, panie majorze – zaczął Andras, ale gardło ściskała mu furia.

– Co tam trzymasz w ręce, Lévi? Adiutant, proszę mi przynieść ten świstek.

Adiutant podszedł do Andrasa i wziął telegram. Andras nigdy w życiu nie czuł się tak upokorzony ani wściekły. Stał niecałe trzy metry od Barny; wystarczyłaby chwila, by jego ręce zacisnęły się na szyi majora. Ta myśl była pewną pociechą, gdy patrzył, jak Barna czyta telegram. Major uniósł brwi z wyrazem zaskoczenia i konsternacji.

– Coś podobnego – odezwał się do zgromadzonych. – Pani Lévi dopiero co urodziła. Lévi został ojcem.

Sala rozbrzmiała aplauzem, gwizdami i wiwatami.

– Ale dziecko jest bardzo chore. „Natychmiast przyjedź do domu”. Nie brzmi to dobrze.

Andras walczył z pragnieniem, żeby rzucić się na Barnę. Przygryzł wargę i znów wbił wzrok w podłogę. Byle nie dać się zastrzelić.

– No cóż, nie ma sensu dawać ci teraz urlopu, prawda? – powiedział Barna. – Skoro dziecko jest poważnie chore, możesz wybrać się do domu, jak już będzie po nim.

Gęsta cisza wypełniła uszy Andrasa jak odgłos pędzącego pociągu. Barna rozejrzał się po sali, opierając się o stół; żołnierze zdawali się rozumieć, że major oczekuje, iż znów się roześmieją, i przez kantynę przebiegła fala nerwowych chichotów.

– Możesz odejść, Lévi – powiedział Barna. – Chciałbym teraz w spokoju napić się kawy.

Zanim ktokolwiek zdążył się poruszyć, leciwy generał uderzył ręką w stół.

– To hańba – odezwał się głosem chrapliwym od gniewu, wstając z miejsca. Odwrócił się do Barny i spojrzał na niego z oburzeniem spod gęstych brwi. – Pan przynosi armii hańbę.

Major uśmiechnął się krzywo, jakby to wszystko było żartem.

– Proszę zachować ten uśmieszek dla siebie – powiedział generał. – I natychmiast przeprosić tego żołnierza.

Barna zawahał się przez chwilę, po czym skinął na strażnika, który przyprowadził Andrasa.

– Zabierz mi sprzed oczu tego łachmytę.

– Nie dosłyszał mnie pan? – zapytał generał. – Rozkazuję panu przeprosić.

Barna błyskawicznie przeniósł spojrzenie z Andrasa na generała, a potem na oficerów przy stołach.

– Ta sprawa jest zakończona, panie generale – powiedział półgłosem, ale Andras stał na tyle blisko, by to usłyszeć.

– Pan jeszcze nie skończył, majorze – odparł generał. – Proszę zejść z podestu i przeprosić tego człowieka.

– Co takiego?

– Słyszał pan, co powiedziałem.

Oficerowie siedzieli w milczeniu i patrzyli. Barna przez dłuższą chwilę stał bez ruchu, jakby toczył wewnętrzną walkę; jego twarz zmieniła kolor z czerwonego na fioletowy, a potem biały. Generał stał obok z ramionami skrzyżowanymi na piersi. Major nie miał wyjścia. Starszy mężczyzna ponad

wszelką wątpliwość był wyższy rangą. Barna zszedł z podwyższenia i pomaszerował w stronę Andrasa. Zatrzymał się przed nim i z wykrzywioną twarzą, jakby połykał lekarstwo, podał mu rękę. Andras posłał generałowi pełne wdzięczności spojrzenie i wyciągnął dłoń do Barny. Ale kiedy tylko dotknął ręki majora, ten splunął mu w twarz i tą samą ręką go spoliczkował. Major bez słowa przeszedł między rzędami stołów i wypadł w noc. Andras przeciągnął rękawem po twarzy zdrętwiałej z bólu.

Generał pozostał na środku podwyższenia, spoglądając na oficerów siedzących na ławach. Wszystko na chwilę zamarło: usługujący żołnierze zatrzymali się pod ścianami, z brudnymi naczyniami w rękach; kucharz przestał trzaskać garnkami; oficerowie zamilkli, a ich cynowe sztućce leżały obok talerzy.

– To, co się tu wydarzyło, przynosi wstyd Królewskiej Armii Węgierskiej – powiedział generał. – Kiedy ja wstąpiłem do wojska, moim pierwszym dowódcą był Żyd. Był dzielnym mężczyzną, który pod Lwowem oddał życie za ojczyznę. Nie za takie Węgry poległ ten człowiek. – Podniósł zgnieciony telegram i podał go Andrasowi. Potem rzucił serwetkę na stół i rozkazał młodemu strażnikowi, żeby natychmiast przyprowadził Andrasa do jego kwatery.

Generał Martón został zakwaterowany w największym i najbardziej komfortowym apartamencie w Bánhidzie, co oznaczało, że miał sypialnię i bawialnię, o ile nieprzytulną zimną klitkę, w której znalazł się Andras, można było nazwać bawialnią. Nie było w niej nic prócz stołu z popielniczką oraz pary twardych drewnianych krzeseł, tak wąskich i niewygodnych, jakby miały za zadanie zniechęcić każdego do zabawienia tu dłużej niż chwilę. Paliły się elektryczne światła. Na kominku nie było ognia. Asystent pakował rzeczy generała w przyległym pokoju. Andras stał nieopodal drzwi, czekając, co mu powie generał, a on tymczasem wydawał dyspozycje, by przygotować samochód.

– Nie zostanę tutaj na kolejną noc – powiedział do sekretarza wystraszonym wyglądzie, który kręcił się dokoła. – Jeżeli chodzi o mnie, inspekcja obozu dobiegła końca. Przekaż majorowi Barnie, że wyjechałem.

– Tak jest, panie generale – odpowiedział sekretarz.

– A teraz idź do biura i zabierz stamtąd dokumenty tego człowieka – dodał generał. – Pośpiesz się.

– Tak jest – odparł sekretarz i wybiegł z pokoju.

Generał zwrócił się do Andrasa.

– Proszę mi powiedzieć – odezwał się – ile czasu zostało wam do końca służby wojskowej?

– Dwa tygodnie, panie generale.

– Dwa tygodnie. Biorąc pod uwagę czas, który spędziliście w batalionach pracy, czy dwa tygodnie to długo?

– W tych okolicznościach, panie generale, to cała wieczność.

– Co byście zatem powiedzieli na to, żeby wydostać się z tej dziury raz na zawsze?

– Nie jestem pewien, czy pana rozumiem, panie generale.

– Zorganizuję wam zwolnienie z Bánhidy – powiedział generał. – Służyliście tu wystarczająco długo. Nie mogę wam zagwarantować, że znów was nie zmobilizują, zwłaszcza w obliczu niepewnej sytuacji, w jakiej znajduje się kraj. Ale dziś mogę was zawieźć do Budapesztu. Pojedziecie moim samochodem. Wyruszam w tej chwili. Przysłano mnie, żebym przeprowadził szczegółową inspekcję placówki Barny, ponieważ rozważa się przyznanie mu awansu, ale ja zobaczyłem już dość. – Z kieszeni na piersi wyjął papierośnicę i wyciągnął z niej papierosa, ale znów go odłożył, jakby odeszła go ochota na palenie. – Co za tupet! – powiedział. – Ten człowiek nie nadaje się do kierowania osłem, a co dopiero batalionem pracy. To nie Żydzi stanowią problem, to ludzie tacy jak on. Kto waszym zdaniem wpakował nas w ten bajzel? Jesteśmy w stanie wojny z Rosją i Wielką Brytanią jednocześnie! Jak sądzicie, czym się to skończy?

Andras nie potrafił skoncentrować się na pytaniu. Pojawiła się inna kwestia, która w tym momencie miała donioślejsze znaczenie.

– Czy dobrze zrozumiałem, panie generale? – zapytał. – Czy mam dziś wyjechać do Budapesztu?

Generał energicznie skinął głową.

– Lepiej się spakujcie. Wyruszamy w ciągu pół godziny.

W koszarach panowało ogólne niedowierzanie, a potem, kiedy Andras opowiedział, co się wydarzyło, rozległy się hałaśliwe okrzyki radości. Mendel ucałował Andrasa w oba policzki i obiecał, że pojawi się w mieszkaniu przy Nefelejecs utca, jak tylko wróci do Budapesztu. Po upływie pół godziny wszyscy wylegli na zewnątrz, żeby popatrzeć, jak podjeżdża czarny samochód, a szofer pomaga Andrasowi włożyć jego worek marynarski do pochyłego bagażnika. Kiedy ostatnio zdarzyło się, żeby ktoś pomógł jednemu z nich, robotników, podnieść

coś ciężkiego? Kiedy ostatnio któryś z nich jechał samochodem? Mężczyźni zgromadzili się przy schodach prowadzących do koszar, wiatr targał poły ich obszarpanych płaszczy, a Andras poczuł wyrzuty sumienia na myśl o tym, że ich opuszcza. Stanął przed Mendlem i położył mu rękę na ramieniu.

– Chciałbym, żebyś mógł pojechać ze mną.

– To raptem dwa tygodnie – powiedział Mendel.

– Co zrobisz z „Kąśliwym Gzem"?

Mendel się uśmiechnął.

– Może pora już zakończyć operację. Zresztą wszystkie gzy wyzdychały.

– Czyli za dwa tygodnie – powtórzył Andras, ściskając go za ramię.

– Powodzenia, Parisi.

– W drogę! – zawołał szofer. – Pan generał czeka.

Andras wdrapał się na przednie siedzenie i zamknął drzwi. Silnik zawarczał i ruszyli w stronę kwater oficerów. Gdy dotarli na miejsce, wszystko wskazywało na to, że pomiędzy generałem a majorem doszło do dalszych nieporozumień; kiedy generał pojawił się w progu ze swoją torbą podróżną, przez okno widać było, jak Barna z furią przemierza tam i z powrotem jego kwaterę. Kierowca wrzucił do bagażnika torbę generała, który bez słowa zajął miejsce z tyłu.

Zanim Andras zdołał uświadomić sobie, że naprawdę wyjeżdża, że już nigdy więcej nie będzie musiał wracać do Bánhidy, tej piekielnej dziury pełnej węgla, samochód minął bramę i znalazł się na szosie. Przez całą długą drogę w ciemności jedynymi dźwiękami były mruczenie silnika i szum opon na śniegu. Przednie światła przebijały się przez niezliczone chmary płatków śniegu, a Andras myślał znów o pierwszym dniu nowego roku, kiedy wybrali się z Klarą na Square Barye, żeby zobaczyć wschód słońca nad mroźną Sekwaną. W tamten styczniowy poranek dawno temu Andras nigdy by nie uwierzył, że kiedyś będzie ojcem dziecka Klary i że będzie mknął przez noc w limuzynie armii węgierskiej, żeby zobaczyć nowo narodzonego syna. Przypomniał sobie utwór Schuberta, który Klara zagrała mu pewnego zimowego wieczoru, *Der Erlkönig,* o ojcu, który wiezie na koniu chore dziecko przez noc, a Król Olch ich ściga, by dostać synka w swoje ręce. Przypomniał sobie desperację ojca i to, jak dziecko nieuchronnie osuwa się w stronę śmierci. Zawsze wyobrażał sobie, że pościg miał miejsce w taką właśnie noc. Jego ręce stały się zimne w ciepłym samochodzie. Odwrócił się, by zobaczyć, co znajduje się za nim. Ujrzał tylko generała, który pochrapywał

lekko na tylnym siedzeniu, i w owalnym okienku z tyłu samochodu wirujące płatki śniegu, podświetlone na czerwono przez tylne światła.

Półtorej godziny zajęło im dotarcie do szpitala imienia hrabiego Alberta Apponyiego. Kiedy samochód stanął, generał obudził się i odchrząknął. Umieścił czapkę na głowie i poprawił ozdobioną orderami kurtkę.

– Dobrze więc – powiedział. – Chodźmy.

– Panie generale, nie zamierza pan chyba wchodzić ze mną do środka? – zapytał Andras.

– Zamierzam dokończyć to, co zacząłem. Podajcie szoferowi swój adres, zawiezie tam wasze rzeczy i zostawi je u dozorcy.

Andras podał adres mieszkania na Nefelejcs utca. Szofer wyskoczył z wozu, by otworzyć generałowi drzwi, a ten zaczekał na chodniku, aż Andras do niego dołączy. Następnie odwrócił *się* i razem pomaszerowali do szpitala.

Przy biurku siedział recepcjonista, mężczyzna o wąskich ramionach, z przepaską na oku i stopami opartymi o metalowy kosz na śmieci. Czytał węgierski przekład *Mein Kampf*. Kiedy podniósł wzrok i zobaczył zbliżającego się generała, upuścił książkę i zerwał się na równe nogi. Zdrowym okiem spoglądał na przemian to na Andrasa, to na generała; wydawał się zbity z tropu widokiem oficera armii węgierskiej z orderami na piersi w towarzystwie wymizerowanego, obdartego żołnierza z batalionów pracy. Wyjąkał pytanie: czym może służyć generałowi?

– Ten człowiek musi zobaczyć się z żoną i synem.

Recepcjonista przeniósł spojrzenie w głąb korytarza, jak gdyby stamtąd mogła nadejść pomoc lub oświecenie. Korytarz jednak pozostał pusty. Recepcjonista odezwał się, wyłamując palce:

– Godziny odwiedzin przypadają między szesnastą a osiemnastą, panie generale.

– Ten człowiek przyszedł odwiedzić ich w tej chwili – odparł generał. – Nazywa się Lévi.

Recepcjonista przekartkował leżący na biurku zeszyt.

– Pani Lévi jest na trzecim piętrze – powiedział. – Oddział położniczy. Ale, panie generale, mnie nie wolno wpuszczać nikogo na górę. Wyrzucą mnie z pracy.

Generał wyjął wizytówkę ze skórzanego etui.

– Gdyby ktoś robił wam problemy, odeślijcie go do mnie.

– Tak jest, panie generale – odpowiedział recepcjonista, opadając na krzesło.

Generał zwrócił się do Andrasa z drugą wizytówką.

– Dajcie mi znać, gdybym mógł zrobić dla was coś jeszcze.

– Nie wiem, jak panu dziękować – powiedział Andras.

– Bądźcie dobrym ojcem dla swojego syna – odparł generał, kładąc dłoń na ramieniu Andrasa. – Oby dożył bardziej oświeconych czasów.

Przez chwilę wpatrywał się Andrasowi w oczy, a potem odwrócił się i wyszedł na zewnątrz, w padający śnieg. Drzwi zamknęły się za nim z podmuchem zimnego powietrza.

Recepcjonista spojrzał za generałem zdumionym wzrokiem.

– Jak się panu udało zaprzyjaźnić z kimś takim? – zapytał.

– Łut szczęścia. To u nas rodzinne.

– W takim razie niech pan rusza – powiedział recepcjonista, wskazując kciukiem schody za plecami. – Gdyby ktoś pytał, kto pana wpuścił, to nie byłem ja.

Andras pognał schodami na trzecie piętro, a tam oznakowania zaprowadziły go na oddział położniczy. W półmroku szpitalnej nocy, na ustawionych w dwa rzędy łóżkach, leżały świeżo upieczone matki, a w nogach stały wiklinowe łóżeczka dla niemowląt. W niektórych widać było noworodki owinięte w pieluszki, inne ssały piersi albo spały w matczynych objęciach. Ale gdzie jest Klara? Gdzie jej łóżko, które z tych dzieci to jego syn? Dwa razy przebiegł wzdłuż rzędów i dopiero wtedy ją zobaczył: Klara Lévi, jego żona, blada i z wilgotnymi włosami, wargi spuchnięte, oczy otoczone ciemnymi kręgami, leżała uśpiona w zielonkawym świetle lampki. Z walącym sercem podkradł się bliżej, by zobaczyć, co trzyma w ramionach. Ale kiedy znalazł się przy jej łóżku, ujrzał tylko pusty kocyk, nic więcej. Łóżeczko w jej nogach także było puste.

Poczuł, że ziemia usuwa mu się spod stóp. A więc pomimo wszystko przyjechał za późno. Na świecie nie było już dla nich szansy na szczęście; życie jego i Klary obróciło się w rozpaczliwe ruiny. Zakrył usta dłonią z obawy, że

zapłacze na głos. Ktoś położył chłodną dłoń na jego ramieniu; odwrócił się i zobaczył pielęgniarkę w białym fartuchu.

– Jak pan tu wszedł? – zapytała bardziej zdziwiona niż rozgniewana. – Czy to pańska żona?

– Dziecko – wyszeptał Andras. – Gdzie ono jest?

Pielęgniarka ściągnęła brwi.

– Czy pan jest ojcem?

Bez słowa skinął głową.

Pielęgniarka dała mu znak, by wyszedł za nią na korytarz, a potem poprowadziła go w stronę jasno oświetlonej sali pełnej stołów do przewijania, wag dla noworodków, pieluszek, butelek do karmienia i smoczków. Dwie pielęgniarki stały przy stołach, zmieniając niemowlętom pieluszki.

– Krisztina – odezwała się. – Pokaż panu Léviemu synka.

Pielęgniarka przy stole podniosła w górę malutką różową żabkę, nagą, poza niebieską bawełnianą czapeczką i parą białych skarpetek, z bandażem w okolicy pępka. Kiedy Andras patrzył, dziecko podniosło piąstkę do otwartej buzi i wysunęło język, przypominający płatek kwiatu.

– Wielki Boże. Mój syn.

– Dwa kilogramy – odpowiedziała pielęgniarka. – Nie najgorzej jak na takiego wcześniaczka. Biedactwo ma infekcję płuc, ale teraz jest znacznie lepiej niż na początku.

– O Boże. Proszę pozwolić mi go obejrzeć.

– Jeśli pan chce, może go pan potrzymać – powiedziała Krisztina.

Zapięła pieluszkę, zawinęła dziecko w kocyk i włożyła je mężczyźnie w ręce. Andras bał się oddychać. Niemowlę prawie nic nie ważyło. Miało zamknięte oczy, niemal przezroczystą skórę i ciemny kędziorek włosów na czubku głowy. To jego syn, jego syn. On jest ojcem tego człowieka. Dotknął policzkiem wypukłości jego główki.

– Może pan go zanieść z powrotem do żony – powiedziała Krisztina. – Skoro już trafił pan tu w środku nocy, równie dobrze może się pan do czegoś przydać.

Skinął głową, niezdolny do poruszenia się czy wydobycia z siebie słowa. W ramionach trzymał coś, co wydawało mu się sumą jego istnienia. Niemowlę

zaczęło mocować się z kocykiem, otworzyło buzię i wydało z siebie mocny, pojedynczy krzyk.

– Jest głodny – powiedziała pielęgniarka. – Niech pan go lepiej zabierze do mamy.

I tak oto Andras po raz pierwszy odpowiedział na potrzebę synka: zaniósł go przez oddział do łóżka Klary. Na dźwięk następnego krzyku dziecka Klara otworzyła oczy i podniosła się na łokciach. Andras pochylił się nad nią i włożył synka w jej objęcia.

– Andráska – wyszeptała, a jej oczy napełniły się łzami. – Czy ja śnię? Nachylił się, by ją pocałować. Trząsł się cały tak bardzo, że musiał usiąść na łóżku. Objął naraz oboje, Klarę i dziecko, i przytulił najmocniej, jak pozwalała mu ostrożność.

– Jak to możliwe? – zapytała. – Jak się tu dostałeś?

Odsunął się od nich na tyle, żeby móc na nią spojrzeć.

– Jeden generał podwiózł mnie swoim samochodem.

– Nie drocz się ze mną, kochanie! Dopiero co miałam cesarskie cięcie.

– Mówię całkiem poważnie. Kiedyś opowiem ci dokładnie, jak to było.

– Bałam się okropnie, że coś ci się stało.

– Teraz nie ma się już czego bać – odparł i pogłaskał ją po wilgotnych włosach.

– Spójrz na tego chłopca – powiedziała Klara. – Na naszego synka. Ściągnęła kocyk nieco w dół, żeby Andras mógł przyjrzeć się twarzyczce dziecka, jego zaciśniętym piąstkom, delikatnym nadgarstkom.

– Nasz syn. – Pokręcił głową, wciąż nie mogąc w to uwierzyć. -Widziałem go. Kiedy przyszedłem, był *au naturel.*

Chłopczyk zwrócił twarzyczkę ku Klarze i przysunął otwartą buzię do jej nocnej koszuli. Klara rozpięła guziki i ułożyła go tak, by mógł ssać, głaszcząc go po włosach przypominających piórka.

– Wygląda zupełnie jak ty – powiedziała, a jej oczy znów wypełniły się łzami.

– *Életem.* – Moje życie. – Pięć tygodni przed terminem! Musiałaś być przerażona.

– Była ze mną mama. Sama przywiozła mnie do szpitala. A teraz mam tu jeszcze ciebie, choćby na krótko!

– Nie wracam do Bánhidy – odparł. – Moja służba jest zakończona. – Ledwie sam mógł uwierzyć w to, co mówi. Nic nie mogło zmusić go do powrotu. – Teraz jestem z tobą, w domu – powiedział Klarze.

Powoli zaczęła docierać do niego realność tej prawdy, kiedy tak siedział razem z Klarą na jej łóżku w szpitalu imienia hrabiego Alberta Apponyiego, śmiejąc się i płacząc nad pokrytą puszkiem główką ich synka.

Rozdział trzydziesty pierwszy

Tamás Lévi

DALI CHŁOPCU IMIĘ PO OJCU Klary. Pierwsze tygodnie życia małego Andras pamiętał jak przez błękitną mgłę: dziesięć dni w szpitalu, podczas których chłopczyk stracił na wadze, walczył z infekcją płuc, omal nie umarł i wreszcie wyzdrowiał; potem powrót do domu, do mieszkania przy Nefelejcs utca, które zupełnie nie wyglądało jak ich dom, wypełnione po brzegi kwiatami, prezentami i gośćmi, którzy przychodzili zobaczyć dziecko; matka Klary, stale gotowa do usług, ale niezdolna do jakiejkolwiek praktycznej pomocy, jako że jej własnymi dziećmi zajmowały się wyłącznie nianie; matka Andrasa, która wiedziała, jak zadbać o potrzeby dziecka, ale uważała również za niezbędne pokazać Klarze właściwy sposób zapinania pieluszki czy zadbania o to, żeby dziecku się odbiło; Ilana, obecnie w siódmym miesiącu ciąży, która przygotowywała niezliczone ilości włoskich potraw dla Andrasa, Klary oraz życzliwych im osób; Mendel Horovitz, zwolniony z Munkaszolgálat, który przesiadywał w kuchni do północy, popijał wódkę i zachęcał Andrasa, by opisywał mu szczegółowo meandry rodzicielstwa; a do tego nieustająca praca przy noworodku: karmienie co dwie godziny, przewijanie, krótki, przerywany sen, chwile niewiarygodnej radości i bezbrzeżnego lęku. Za każdym razem, kiedy chłopczyk płakał, Andrasowi zdawało się, że nigdy nie przestanie, że płacz wyczerpie go i doprowadzi znów do choroby. Ale Klara, która wychowała już jedno dziecko, rozumiała, że mały płacze, bo czegoś potrzebuje, wiedziała też, że jest w stanie ustalić potrzebę i ją zaspokoić. Dziecko wkrótce przestawało płakać i w domu zapadała krucha i ulotna cisza. Andras i Klara siadali razem i patrzyli na synka, na swojego Tamása, podziwiając jego brwi, które miał zupełnie jak mama, usta, które miał jak tata, i podbródek z dołeczkiem jak u Elisabet.

Przez wszystkie te dni przypominające sen Andras zdawał sobie sprawę z niewielu rzeczy poza przypływami i odpływami potrzeb Tamása Léviego. Wojna wydawała się odległa i nieistotna, Munkaszolgálat był jak zły sen. Ale wieczorem siódmego grudnia, w przededniu obrzezania Tamása, ojciec Andrasa przyniósł

wiadomość, że Japończycy zbombardowali bazę amerykańskiej marynarki wojennej na Hawajach. Pearl Harbor: nazwa przywodziła na myśl spokojny obraz, bladoszare niebo nad bezmiarem opalizujących wód. Atak okazał się krwawą łaźnią. Japończycy poważnie uszkodzili albo zniszczyli cztery amerykańskie pancerniki i blisko dwieście samolotów, zabili ponad dwa tysiące czterystu ludzi i zranili kolejnych tysiąc dwustu. Andras wiedział, że teraz Stany wypowiedzą Japonii wojnę, zamykając glob w kręgu wojny. I rzeczywiście, nastąpiło to nazajutrz rano, kiedy Tamás Lévi poprzez obrzezanie zawarł przymierze. Trzy dni później Niemcy i Włochy wypowiedziały wojnę Stanom Zjednoczonym, a potem Węgry – aliantom.

Kiedy Andras stał tej nocy przy oknie sypialni, słuchając morza głosów z Bethlen Gábor tér, zaczął się zastanawiać, co nowo wypowiedziana wojna może oznaczać dla jego małej rodziny, dla jego braci, rodziców i dla Mendla Horovitza. Miasto może zostać zbombardowane. Braki w dostawach będą jeszcze większe. Więcej wojsk zostanie zmobilizowanych, więcej ludzi powołanych do batalionów pracy. Dopiero mówił Klarze, że na dobre wrócił do domu, ale jak długo potrwa ten okres wolności? Dla KMOF nie będzie miało znaczenia to, że dopiero zaczyna odzyskiwać zdrowie i siły utracone podczas miesięcy spędzonych w Munkaszolgálat. Wykorzystają go, tak jak to robili dotychczas – jak proste narzędzie na wojnie, której celem jest zniszczenie go. Ale jeszcze go nie dostali, pomyślał: jeszcze nie teraz. W tej chwili był w swoim domu, w cichej sypialni razem z pogrążonymi we śnie żoną i dzieckiem. Mógł poszukać pracy, zacząć utrzymywać Klarę i małego. I mógł oddać coś Györgyowi Haszowi, jakąś małą część potężnej sumy, którą ten płacił co miesiąc, by Klara nie wpadła w ręce władz. Liczył na to, że będzie mógł zwrócić się do redaktora Mendla Horovitza w „Kurierze Wieczornym” i porozmawiać z nim o możliwości zatrudnienia grafika lub ilustratora, ale Mendel odszedł z „Kuriera”, kiedy został powołany; jego stanowisko dawno zajął już ktoś inny, a sam redaktor został zwolniony i trafił do Munkaszolgálat. Od dnia powrotu Mendel dzień w dzień szlifował bruki, zanosząc w najróżniejsze miejsca swoje portfolio pełne wycinków prasowych. Popołudniami można go było znaleźć w Café Europa przy Hunyadi tér, na stoliku przed nim stała filiżanka czarnej kawy, a obok leżał otwarty notes. Zatem nazajutrz Andras pójdzie na Hunyadi tér i zaproponuje Mendlowi, co następuje: we dwóch udadzą się do biura Frigyesa Epplera, dawnego redaktora Andrasa z „Past and Future”, i poproszą go, by zatrudnił ich wspólnie jako dziennikarza i ilustratora. Frigyes Eppler pracował teraz w „Madziarskim Dzienniku Żydowskim”. Redakcja gazety znajdowała się na Wesselényi utca, kilka przecznic od Café Europa.

Następnego dnia o trzeciej po południu Andras wszedł przez ozdobione złotymi wolutami drzwi do kawiarni i zobaczył Mendla przy tym stoliku co zwykle, z tym co zwykle notesem. Usiadł naprzeciwko przyjaciela, zamówił czarną kawę i przedstawił swoją propozycję.

Usta Mendla w kształcie litery V ściągnęły się w punkcik.

– Wszystko, tylko nie „Madziarski Dziennik Żydowski" – powiedział.

– Co masz przeciwko „Dziennikowi"?

– Czytałeś go ostatnio?

– Ostatnio jestem pełnoetatowym służącym Tamása i Klary Lévich.

– Regularnie serwuje swoim czytelnikom asymilacyjne brednie. Ich zdaniem wystarczy zaufać rządowi gojów arystokratów i wszystko będzie dobrze. Mamy dalej salutować węgierskiej fladze i śpiewać hymn narodowy, jakby antysemickie prawa nie istniały. Być najpierw Madziarami, a dopiero potem Żydami.

– Cóż, z naszego punktu widzenia bezpieczniej jest, żeby rząd uważał nas przede wszystkim za Madziarów.

– Ale rząd nie uważa nas za Madziarów! Nie muszę ci tego tłumaczyć. Dopiero skończyłeś odsiadkę w Munkaszolgálat. Dla rządu jesteśmy Żydami i tyle.

– W każdym razie jesteśmy im niezbędni.

– Jak długo jeszcze? – zapytał Mendel. – Nie możemy pracować dla tej gazety, Parisi. Powinniśmy poszukać sobie roboty w którymś z lewicowych szmatławców.

– Nie mamy znajomości w żadnym z nich. A ja nie mam czasu do stracenia. Muszę zacząć zarabiać na syna, zanim znów mnie powołają.

– Skąd wiesz, że Eppler zechce zatrudnić nas obu?

– Potrafi rozpoznać fachurę. Zechce cię zatrudnić, jak tylko przeczyta twoje teksty.

Mendel roześmiał się niewesoło.

– „Dziennik Żydowski"! – powiedział. – Zaciągniesz mnie tam i załatwisz mi robotę, tak?

– Frigyes Eppler nie jest żadnym konserwatystą, a w każdym razie nie był, gdy dla niego pracowałem. „Past and Future” to było typowe pismo syjonistyczne, jeśli coś takiego w ogóle istnieje. W każdym wydaniu był jakiś romantyczny kawałek o Palestynie i przygodach emigrantów. Pamiętasz może główny artykuł w numerze z maja trzydziestego szóstego? Na temat pewnego sprintera rekordzisty, którego nie dopuszczono do udziału w olimpiadzie, ponieważ był Żydem. Eppler wywalczył opublikowanie tego artykułu. Skoro teraz jest w „Dzienniku Żydowskim”, to na pewno dlatego, że ma zamiar trochę tam namieszać.

– Och, na litość boską – ustąpił Mendel. – Już dobrze. Pogadamy z nim.

Zamknął notes, zapłacił rachunek i razem ruszyli na Wesselényi utca.

W redakcji „Dziennika” zastali Frigyesa Epplera zajętego grą w „kto kogo przekrzyczy” z redaktorem naczelnym w przeszklonym gabinecie; przez szyby wychodzące na pokój redakcji informacyjnej widać było obu mężczyzn, jak gestykulują z przejęciem, kreśląc w powietrzu coraz bardziej zamaszyste linie. Od czasu, kiedy Andras ostatni raz widział swego dawnego chlebodawcę, Eppler doszczętnie wyłysiał i sprawił sobie okulary w rogowej oprawie. Był krępy i przygarbiony; poły jego koszuli przejawiały skłonność do wyzwalania się z ucisku krępujących je spodni, a krawat często nosił na sobie ślady spożywanego w pośpiechu obiadu. Ustalenie miejsca pobytu kluczy, kapelusza czy papierośnicy zdawało się każdorazowo sprawiać Epplerowi duży kłopot. Jednak w pracy redakcyjnej nie umykał mu nawet najdrobniejszy szczegół. Dopóki był redaktorem naczelnym „Past and Future”, gazeta zdobywała międzynarodowe nagrody. Największym triumfem było dla niego zapewnienie dobrych posad młodym kobietom i mężczyznom, którzy dla niego pracowali; jego wysiłki na rzecz Andrasa wpisywały się w długi ciąg wspaniałomyślnych działań podejmowanych, by pomóc w rozwoju kariery dziennikarzy, adiustatorów i grafików. Nie wydawał się wcale zaskoczony, kiedy Andrasowi zaproponowano miejsce w École Spéciale. Jak mu wówczas powiedział, jego celem było zawsze zatrudnianie ludzi, którzy odejdą do lepszej pracy, zanim on sam zdąży ich zwolnić.

Andras nie potrafił odgadnąć przyczyny sporu, który toczył się na jego oczach, było jednak jasne, że Eppler przegrywa. Wymiana zdań trwała, jego gesty były coraz bardziej zamaszyste, a krzyki coraz donośniejsze; naczelny miał wprawdzie triumfujący wyraz twarzy, ale wycofywał się w stronę drzwi własnego gabinetu, jak gdyby zamierzał zbiec, kiedy tylko jego zwycięstwo się dopełni. Wreszcie drzwi otworzyły się gwałtownie i naczelny wyszedł do pokoju redakcji

informacyjnej. Wydał jakieś polecenie sekretarzowi, podreptał w stronę wyjścia i uciekł na klatkę schodową, jakby w obawie, że redaktor zacznie go gonić. Pokonany i kipiący ze złości Eppler stał sam w pustym gabinecie, trąc łysą czaszkę obiema rękami. Andras pomachał mu na powitanie.

– Co znowu? – zapytał Eppler, nie patrząc na niego; potem nagle rozpoznał Andrasa, wydał okrzyk i gwałtownie przycisnął ręce do piersi, jak gdyby nie chciał dopuścić, by serce z niej wyskoczyło.

– Lévi! – zawołał. – Andras Lévi! *Co* ty tu robisz u licha?

– Przyszedłem się z panem zobaczyć, Eppler-úr.

– Ile to czasu minęło? Sto lat? Tysiąc? Ale wszędzie rozpoznałbym tę gębę. Na co teraz marnujesz czas, hę?

– Na nic szczególnego – odparł Andras. – W tym właśnie problem.

– No, mam nadzieję, że nie przychodzisz do mnie po pracę. Już dawno wysłałem cię w świat. Nie zostałeś do tej pory architektem?

Andras pokręcił głową.

– Właśnie skończyłem dwuletnią służbę w Munkaszolgálat. Ten dryblas to mój przyjaciel z dzieciństwa i kolega z kompanii Mendel Horovitz.

Mendel skłonił się lekko i dotknął ronda kapelusza, a Frigyes Eppler zmierzył go wzrokiem.

– Horovitz – powiedział. – Widziałem gdzieś pańskie zdjęcie.

– Mendel pobił rekord Węgier w sprincie na sto metrów – wyjaśnił Andras.

– Rzeczywiście! Czy nie był pan zamieszany w jakiś skandal parę lat temu?

– Skandal? – Mendel uśmiechnął się kpiąco. – Chciałbym!

– Nie dopuścili go do węgierskiej drużyny olimpijskiej w trzydziestym szóstym – powiedział Andras. – Był o tym artykuł w „Past and Future”. Sam go pan redagował.

– Ależ tak! Co za głupiec ze mnie. Więc jest pan tym Horovitzem.

Co potem pan ze sobą począł?

– Obawiam się, że zająłem się dziennikarstwem.

– Nic lepszego nie przyszło panu do głowy? Zatem pan też jest tu w charakterze suplikanta?

– Tworzymy z Parisim zespół.

– Ma pan na myśli tego tu Léviego? A, chodzi pewnie o ten jego pobyt w École Spéciale. Ja też maczałem w tym palce, wie pan. Nie żeby kiedykolwiek mi za to podziękował. Woli utrzymywać, że wszystko zawdzięcza własnemu talentowi.

– Cóż, nie jest najgorszym rysownikiem. Zatrudniłem go w gazecie, którą redagowałem.

– A co to była za gazeta?

Mendel wyciągnął z torby kilka zaczytanych egzemplarzy „Kąśliwego Gza".

– Tę wydawaliśmy w obozie w Bánhidzie. Nie jest tak zabawna jak ta, którą robiliśmy, gdy stacjonowaliśmy na Zakarpaciu i w Siedmiogrodzie, ale przez tamtą wylecieliśmy z kompanii. Zmusili nas, żebyśmy zjedli własne słowa. Każdy po dwadzieścia stron.

Po raz pierwszy twarz Frigyesa Epplera spoważniała; przyjrzał się z uwagą Andrasowi i Mendlowi, a potem usiadł przy biurku redaktora naczelnego i zaczął przeglądać „Kąśliwego Gza". Czytał przez jakiś czas w milczeniu, po czym podniósł wzrok na Mendla i wydał z siebie stłumiony chichot.

– Poznaję pańską robotę – powiedział. – To pan był tym światowcem od felietonów w „Kurierze Wieczornym". Sprytny instrument polityczny pod przykrywką nieszkodliwych bredni młodego nicponia. Ale bystry był z pana chłopak, nieprawda?

– Przez skromność nie zaprzeczę – uśmiechnął się Mendel.

– Proszę mi coś powiedzieć – odezwał się Eppler ściszonym głosem. – Co właściwie pan tutaj robi? Nie nazwałbym tej gazety wiodącym organem myśli postępowej w naszym kraju.

– Z całym szacunkiem, moglibyśmy zadać panu to samo pytanie – odparł Mendel.

Eppler potarł dłonią żółtawą kopułę swojej czaszki.

– Człowiek nie zawsze znajduje się tam, gdzie by sobie życzył -powiedział. – Przez jakiś czas pracowałem w „Pesti Napló", ale potem zwolnili część zespołu. Domyślacie się, *co* mam na myśli – roześmiał się niewesoło, co zabrzmiało bardziej jak rzężenie; był nałogowym palaczem. – W każdym razie nie wylądowałem w Munkaszolgálat. Miałem szczęście, że nie wysłali mnie na front

wschodni jako przykład dla innych. Tak czy inaczej, mówiąc wprost, musiałem jakoś wiązać koniec z końcem – długoletnie przyzwyczajenie, można powiedzieć - więc kiedy tutaj pojawił się wakat, zgłosiłem się. To chyba lepsze niż zarabiać śpiewaniem na ulicy.

– Tym wkrótce przyjdzie nam się zająć – odparł Mendel. – Chyba że znajdziemy gdzieś robotę.

– No cóż, nie mogę powiedzieć, żebym polecał to miejsce – powiedział Eppler. – Mogliście zaobserwować, że nie zawsze zgadzam się w pełni z resztą zespołu redakcyjnego. Teoretycznie jestem tutaj szefem, ale jak sami widzieliście, redaktor naczelny często okazuje się być także moim naczelnikiem.

– Może przydałby się panu ktoś, kto wziąłby pana stronę – odpowiedział Andras.

– Gdybym cię zatrudnił, Lévi, to nie po to, żebyś brał czyjąś stronę. Tylko po to, żebyś porządnie wykonywał swoją robotę, tak samo jak kiedy byłeś świeżo po gimnazjum.

– Od tego czasu nauczyłem się paru rzeczy.

– Nie wątpię. A twój przyjaciel wygląda mi na ciekawego typa. Nie mogę powiedzieć, że zatrudniłbym pana, Horovitz, na podstawie „Kąśliwego Gza", ale przez pewien czas czytałem regularnie pańskie felietony.

– Pochlebia mi to.

– Niepotrzebnie. Czytam każdy szmatławiec w tym mieście. Na tym polega moja praca.

– Myśli pan, że uda się tu coś dla nas znaleźć? – wypalił Mendel. – Niezręcznie mi pytać tak prosto z mostu, ale ktoś to musi zrobić. Lévi ma syna do wykarmienia.

– Syna! Dobry Boże. Skoro ty masz syna, Lévi, to znaczy, że ja jestem już staruszkiem. – Westchnął i podciągnął spodnie. – A niech tam, chłopcy. Przyjdźcie tu popracować, jak tak strasznie ciągnie was do roboty. Coś dla was znajdę.

Tego wieczoru Andras siedział przy kuchennym stole ze swoją matką i synkiem, podczas gdy Klara drzemała na sofie w salonie. Matka wyjęła szpilkę z koszuli nocnej, którą właśnie szyła, i wbiła ją w szarą aksamitną poduszeczkę na igły, tę samą, której używała, odkąd Andras pamiętał. Przywiozła do Budapesztu swoje stare pudełko z przyborami do szycia, a on ku swojemu

zaskoczeniu przekonał się, że przechował w głowie kompletną listę jego zawartości: wystrzępiony centymetr krawiecki, okrągła niebieska puszka pełna guzików w różnych kształtach i kolorach, czarne nożyczki o błyszczących ostrzach, tajemnicze radełko z zębatym brzegiem i mnóstwo szpulek z nićmi z różnobarwnego jedwabiu i bawełny. Drobny ścieg matki był tak samo ścisły i precyzyjny jak wtedy, gdy obrzucała nim brzegi kołnierzyków Andrasa za jego chłopięcych lat. Kiedy skończyła obrębiać koszulę, zawiązała nitkę na końcu i ucięła ją zębami.

– Gdy byłeś mały, lubiłeś mi się przypatrywać, jak szyłam.

– Pamiętam. Wyglądało to jak czary.

Matka uniosła brew.

– Gdyby to były czary, szłoby prędzej.

– Prędkość jest wrogiem precyzji – powiedział Andras. – Tak nam mówił profesor od rysunku w Paryżu.

Mama zawiązała supełek na końcu nitki i znów podniosła na niego oczy.

– Sporo czasu upłynęło, odkąd przerwałeś studia, prawda? – zapytała.

– Całe wieki.

– Wrócisz na uczelnię, kiedy będzie już po wszystkim.

– Tak, apa też tak mówi. Ale ja nie wiem, co będzie. Mam teraz żonę i syna.

– W każdym razie z tą pracą to dobra wiadomość. Mądrze, że pomyślałeś o Epplerze.

– Tak, to dobra wiadomość – odpowiedział Andras, ale czuł, że nie cieszy się tak, jak się spodziewał.

Co prawda ulżyło mu, że będzie zarabiał pieniądze, ale ponowna praca u Epplera całkowicie przekreślała czas, który spędził w Paryżu. Wiedział, że nie ma to sensu; w końcu Klarę poznał w Paryżu, a na stole przed nim spał w wiklinowym koszu Tamás Lévi, cudowny dowód ich wspólnego życia. Ale iść do pracy następnego ranka i wykonywać polecenia Epplera – robił to, kiedy miał dziewiętnaście, dwadzieścia lat. Odnosił wrażenie, że niweczy to szansę, by kiedykolwiek ukończył studia, by kiedykolwiek zaczął wykonywać pracę, o której naprawdę marzy. Wszystko na świecie sprzysięgło się przeciwko jego powrotowi na uczelnię. Francja, w której studiował, zniknęła. Jego przyjaciele się rozproszyli. Profesorowie pouciekali. Żadna szkoła na Węgrzech go nie przyjmie.

Żaden wolny kraj nie otworzy przed nim granic. Wojna z dnia na dzień przybierała na sile. Ich życie było teraz w niebezpieczeństwie. Spodziewał się, że Budapeszt może lada dzień zostać zbombardowany.

– Nie patrz na mnie tak ponuro – powiedziała mama. – Nie odpowiadam za to, co się dzieje. Jestem tylko twoją matką.

Mały zaczął ruszać się w koszu. Przesuwał główką w tę i z powrotem po kocyku, zmarszczył buzię w różową gwiazdkę i wydał z siebie krzyk. Andras schylił się nad koszem, podniósł dziecko i przytulił je do piersi.

– Przejdę się z nim po dziedzińcu – powiedział.

– Nie możesz wynosić go na dwór – odparła mama. – Zaziębi się na śmierć.

– Nie chcę, żeby obudził Klarę. Od tygodni nie śpi po nocach.

– No to przynajmniej okryj go kocykiem, na litość boską. I narzuć na siebie płaszcz. O, potrzymaj go, a ja włożę mu czapeczkę. I pilnuj, żeby kocyk nie zsunął mu się z główki, nie może zmarznąć.

Pozwolił mamie opatulić siebie i dziecko.

– Nie siedź tam za długo – powiedziała, klepiąc małego po pleckach. – Zaśnie z powrotem, jak pospacerujesz z nim parę minut.

Wyjście z dusznego mieszkania przyniosło prawdziwą ulgę. Noc była jasna i zimna, ze zmrożonym plasterkiem księżyca na niebie zawieszonym na niewidzialnej niteczce; ponad mgiełką świateł miasta widać było nikłe lodowe kryształki gwiazd. Dziecko otulone kokonem kocyka ucichło, wtulone w Andrasa. Czuł, jak pierś synka szybko wznosi się i opada przy jego własnej. Przeszedł się po podwórku, mrucząc kołysankę i okrążając fontannę, przy której widzieli z Klarą ciemnowłosą dziewczynkę bawiącą się wodą. Kamienny zbiornik był teraz pokryty lodem. Światełko alarmowe rozjaśniało jego głębię, a kiedy Andras się nachylił, zobaczył ogniste błyski złotych rybek pod powierzchnią. Tam, pod pokrywą lodu, toczyło się dalej migotliwe życie. Chciałby wiedzieć, jak to robią, jak znoszą spowolnienie rytmu serca, ochłodzenie krwi przez całą długą, ciemną zimę.

Andras miał wrażenie, że reklamy publikowane w „Madziarskim Dzienniku Żydowskim" mają w sobie coś z innego świata. Do jego zadań jako asystenta redaktora należało układanie tych elegancko zilustrowanych ramek na marginesach otaczających artykuły; wewnątrz prostokącików przedstawiających ubrania, buty i mydła, damskie kapelusze i perfumy wydawało się, że wojna nie

istnieje. Nie sposób było pogodzić reklamy wieczorowych pantofelków z kurdybanu ze świadomością, że Mátyás spędza zimę na Ukrainie, być może bez porządnej pary butów lub odpowiednich owijaczy. Niemożnością było czytać reklamę apteki, w której wymieniano zalety patentowanego ochraniacza kolan, a potem myśleć o Tiborze, który musi opatrywać skomplikowane złamanie u żołnierza za pomocą kawałka deski wyrwanej z podłogi w koszarach. Oznaki wojny – nieobecność jedwabnych pończoch, niewielka ilość towarów metalowych, zniknięcie produktów z Ameryki i Anglii – miały formę raczej negacji niż dodatku; puste miejsca po tego typu ogłoszeniach zajęły inne obrazki, inne atrakcje. Sklep z artykułami sportowymi przy Szerb utca był jedynym, którego reklamy odnosiły się do wojny, choć niebezpośrednio; wychwalały zalety produktu zwanego ekwipunkiem trapera, czyli tornistra zawierającego wszystko, co przydatne podczas pobytu w Munkaszolgálat: składany kubek, zestaw turystycznych sztućców, menażkę, termos, gruby wełniany koc, solidne buty, scyzoryk, płaszcz nieprzemakalny, latarnię gazową, podręczną apteczkę. Nie był wprost polecany do użytku w Munkaszolgálat, ale co innego mogli robić mieszkańcy Budapesztu wśród dzikiej przyrody w środku stycznia?

Jeśli zaś chodzi o teksty, zajmujące przestrzeń pomiędzy reklamami, to Andras mógł tylko patrzeć z niedowierzaniem na bezmyślny, krótkowzroczny optymizm, który z nich tryskał. Ta gazeta miała pełnić funkcję rzecznika społeczności żydowskiej; jak mogła głosić na pierwszej stronie, że Żyd węgierski „stanowi jedność z narodem madziarskim pod względem języka, ducha, kultury i uczuć", skoro tak naprawdę Żyd węgierski był wysyłany w samą paszczę wojny i rozbrajał miny po to, by armia węgierska mogła przyjść z pomocą swoim nazistowskim sojusznikom? Mendel miał rację w sprawie linii dziennika. Wiadomości, które publikowano, miały jeden oczywisty cel: powstrzymanie węgierskich Żydów przed popadnięciem w panikę. W drugim tygodniu pracy Andrasa gazeta doniosła z zachwytem, że admirał Horthy zwolnił najbardziej zagorzałych proniemieckich członków swojego gabinetu; oto wyraźny dowód solidarności węgierskiego rządu z ludnością żydowską.

Jednak „Dziennik" nie był jedyną gazetą w mieście, a mniejsze, niezależne pisma o lewicowych sympatiach podawały informacje, w których Andras znajdował odbicie świata, jaki miał okazję zaobserwować w batalionach pracy. Pojawiły się sprawozdania z masakry w Kamieńcu Podolskim niedługo po tym, gdy Węgry wypowiedziały wojnę Związkowi Radzieckiemu; jedna z gazet opublikowała anonimowy wywiad z członkiem węgierskiego plutonu saperów, człowiekiem, który uczestniczył w masowym mordzie i którego od czasu powrotu

dręczyły wyrzuty sumienia. Węgierski Urząd do spraw Kontroli Cudzoziemców przeprowadził łapankę wśród Żydów o niepewnym statusie obywatelstwa, donosił mężczyzna, a potem zatrzymani zostali przekazani niemieckim władzom w Galicji, przewiezieni ciężarówkami do Kołomyi, po czym maszerowali siedemnaście kilometrów aż do lejów po bombach nieopodal Kamieńca Podolskiego, pod strażą jednostek SS oraz plutonu saperów, do którego należał informator. Tam wszyscy co do jednego zostali zastrzeleni, razem z żydowskimi mieszkańcami Kamieńca Podolskiego – ogółem dwadzieścia trzy tysiące Żydów. Idea polegała na oczyszczeniu Węgier z cudzoziemców pochodzenia żydowskiego, ale wielu spośród zamordowanych było Węgrami, którzy nie zdołali wystarczająco szybko przedstawić dokumentów poświadczających ich obywatelstwo. To właśnie nie dawało spokoju Węgrowi, który udzielił wywiadu: że z zimną krwią zabijał rodaków. Zatem wyglądało na to, że Węgrzy czują jednak jakiś rodzaj solidarności ze swoimi braćmi Żydami, choć w przypadku bohatera wywiadu solidarność ta nie była na tyle mocna, by powstrzymać go przed pociągnięciem za spust.

Potem, w ostatnim tygodniu lutego, w „Głosie Ludu" opublikowano sprawozdanie z kolejnej masakry Żydów, tym razem w Délvidéku, czyli skrawku Jugosławii zwróconym przez Hitlera Węgrom dziesięć miesięcy wcześniej. Niejaki generał Feketehalmy-Czeydner, donosiła gazeta, wydał rozkaz egzekucji tysięcy Żydów pod pozorem rozprawienia się z partyzantami Tita. Uciekinierzy z tego regionu zaczęli pojawiać się w Budapeszcie z przerażającymi opowieściami o zabójstwach – ludzie zostali zaciągnięci na brzeg Dunaju, zmuszeni do rozebrania się na mrozie, ustawieni czwórkami na trampolinie nad przeręblem wyrąbanym w lodzie na rzece za pomocą dział armatnich i następnie karabinami wepchnięci do wody. Andras pojawił się pewnego ranka w „Madziarskim Dzienniku Żydowskim" wcześniej niż zwykle i zastał swojego chlebodawcę siedzącego na środku pokoju redakcji informacyjnej w bezgłośnym paroksyzmie przerażenia, a na biurku przed nim leżał otwarty „Głos". Podał gazetę Andrasowi i bez słowa wycofał się do swojego gabinetu. Kiedy przyszedł redaktor naczelny, nastąpiła kolejna kłótnia za szybą, jednak w „Dzienniku Żydowskim" nie ukazało się ani słowo o masakrze.

Kilka dni później Ilana Lévi znalazła się w szpitalu imienia hrabiego Alberta Apponyiego i urodziła chłopczyka. Zaledwie trzy dni wcześniej nadszedł list od Tibora: spodziewał się, że zostanie zwolniony ze swojej kompanii w środę wieczorem, w związku z czym nie tracił nadziei, że znajdzie się w domu jeszcze przed porodem. Ten jednak nastąpił, a Tibora nie było ani śladu. Pierwszego

wieczoru po powrocie Ilany ze szpitala Andras i Klara przyszli do niej z kolacją szabatową. Choć Ilana była jeszcze wyczerpana utratą krwi, nalegała, że sama nakryje do stołu; znalazły się na nim świeczniki, które dostała od Béli i Flóry w prezencie ślubnym, i florenckie talerze, które matka dała jej przed wyjazdem na Węgry. Ilana i Klara zapaliły świece, Andras pobłogosławił wino i razem usiedli do kolacji, z dziećmi śpiącymi w ich ramionach. W pokoju panował głęboki, wszechogarniający spokój, który zdawał się emanować z samej architektury. Mieszkanie znajdowało się na parterze, składało się z trzech wąskich pokojów, które wydawały się jeszcze mniejsze wskutek ciężkich drewnianych belek podtrzymujących sufit. Przeszklone drzwi balkonowe w jadalni wychodziły na dziedziniec budynku, na którym mechanik rowerowy zgromadził cmentarzysko zardzewiałych ram i kierownic, pęki szprych i sterty skamieniałych łańcuchów. Przysypany śniegiem zbiór przypominał Andrasowi pole bitwy usłane trupami. Zorientował się, że wpatruje się w to żelastwo, podczas gdy światło powoli stawało się błękitne i przyćmione, a jego oczy błąkały się pomiędzy cieniami. To on zobaczył przez oszronioną szybę postać: wąski ciemny kształt przesuwający się pomiędzy rowerami niczym duch, który powrócił, by szukać poległych towarzyszy. Początkowo Andras myślał, że postać jest tylko materializacją jego własnego strachu; potem, kiedy przybrała znajomy kształt – przejawem jego pragnień. Wahał się, czy pokazywać ją Ilanie, bo początkowo zdawało mu się, że ma urojenia. Ale postać zbliżyła się do okien i wbiła wzrok w scenę w pokoju – Andras u szczytu stołu, u jego boku Klara z dzieckiem przy piersi; Ilana odwrócona plecami do okna, z ramieniem otaczającym coś zawiniętego w kocyk – dłoń zjawy pofrunęła do ust, a nogi się ugięły. Był to Tibor, który wrócił z batalionów pracy. Andras gwałtownym ruchem odsunął krzesło od stołu i pobiegł do drzwi. W jednej chwili był na dziedzińcu, z bratem, obaj siedzieli w śniegu pośród rozczłonkowanych rowerów, a potem znalazły się obok nich kobiety, i chwilę później Tibor trzymał w ramionach żonę i syna.

Tibor. Tibor.

Wykrzykiwali jego imię z obłąkańczym uporem, jakby usiłowali przekonać samych siebie, że jest tutaj naprawdę, a potem zaprowadzili go do domu. Tibor był śmiertelnie blady w przyćmionym świetle salonu. Nie miał na sobie znajomych małych okularów w srebrnej oprawce, kości jego twarzy wyglądały jak sterczące rusztowanie pod skórą. Płaszcz był w łachmanach, spodnie sztywne od lodu i zaschniętej krwi, buty w strzępach. Wojskowa czapka przepadła. Zamiast niej miał podbitą flauszem czapkę motocyklisty z oderwanym

nausznikiem. Odkryte ucho było sine od mrozu. Tibor ściągnął czapkę i upuścił ją na podłogę. Jego włosy wyglądały, jakby kilka tygodni wcześniej ktoś uciął je tępymi nożyczkami przy samej głowie.

Towarzyszył mu zapach Munkaszolgálat, smród mężczyzn mieszkających wspólnie bez wody, mydła i proszku do zębów. Woń łączyła się z siarkowym odorem dymu z węgla brunatnego i zmieszanych z odchodami trocin w wagonie towarowym.

– Dajcie mi zobaczyć syna – odezwał się głosem niewiele silniejszym od szeptu, jak gdyby od wielu dni milczał.

Ilana podała mu niemowlę w białych powijakach. Tibor położył dziecko na sofie i ukląkł obok. Zdjął z niego kocyk, czapeczkę przykrywającą delikatne ciemne włoski, bawełnianą koszulkę z długimi rękawami, miniaturowe spodenki, skarpetki, pieluszkę; przez cały ten czas chłopczyk był cicho i patrzył na mężczyznę szeroko otwartymi oczami, z rączkami zwiniętymi w piąstki. Tibor dotknął suchej pozostałości po pępowinie. Wziął do ręki stopkę małego, jego dłonie. Przysunął twarz do fałdki na szyi dziecka. Chłopczyk miał na imię Ádám. Taką decyzję podjęli Tibor i Ilana, wymieniając listy. Mężczyzna, wymówił teraz to imię, jakby usiłując połączyć ideę dziecka z prawdziwym, nagim niemowlęciem leżącym na kanapie. Potem podniósł wzrok na Ilanę.

– Ilanka – powiedział. – Tak mi przykro. Chciałem zdążyć do domu na czas.

– Nie – odparła, pochylając się nad nim. – Proszę, nie płacz.

Ale Tibor płakał. Nikt nie mógł nic zrobić, żeby go powstrzymać. Płakał, a oni siedzieli z nim na podłodze, jakby wszyscy pogrążeni w żałobie. Tak jednak nie było, jeszcze nie; przebywali razem, cała szóstka, w mieście, które wciąż nie było przedzielone gettem, spalone ani zbombardowane. Siedzieli razem na podłodze, dopóki Tibor nie przestał płakać, dopóki nie wziął głębokiego oddechu. Oddychał przez gardło, jeden głęboki wdech za drugim, aż w końcu powoli wciągnął powietrze przez nos.

– O Boże – powiedział, patrząc z przerażeniem na Andrasa. – Ja cuchnę. Zabierzcie ode mnie te ubrania. – Zaczął ciągnąć za kołnierz podartego płaszcza. – Nie powinienem był dotykać dziecka, najpierw muszę się umyć. Jestem obrzydliwie brudny!

Wstał z podłogi i ruszył do kuchni, zostawiając za sobą ślad w postaci zesztywniałych ubrań. Usłyszeli brzęk cynowej miednicy lądującej na kafelkach w kuchni i huk wody w zlewie.

– Pomogę mu – powiedziała Ilana. – Weźmiecie małego?

– Oczywiście – odparła Klara, podając Tamása Andrasowi. Usiedli razem na kanapie, Andras, Klara i dwoje niemowląt, a Ilana grzała wodę na kąpiel dla Tibora. Tibor tymczasem jadł kolację w obszarpanym podkoszulku i spodniach z Munkaszolgálat. Potem Ilana rozebrała go i wyszorowała od stóp do głów świeżą kostką mydła. Z kuchni napłynął zapach migdałów. Kiedy mycie dobiegło końca, Ilana ubrała męża w piżamę na flanelowej podszewce, a on ruszył do sypialni, jakby kroczył we śnie. Andras poszedł za nim i usiadł obok niego na łóżku, z Tamásem w ramionach. Klara była w zasięgu ręki, piastując synka Tibora. Ilana ułożyła w nogach łóżka dwie gorące cegły owinięte w ręcznik i podciągnęła Tiborowi pierzynę pod brodę. Wszyscy siedzieli przy nim na łóżku, wciąż próbując uwierzyć, że naprawdę wrócił.

Ale Tibor, albo przynajmniej jakaś jego cząstka, jeszcze nie wrócił; odpływając w sen, wydał nagle z siebie odgłos przestrachu, jakby kamień spadł mu na pierś, wyciskając z niej powietrze. Spojrzał po wszystkich rozszerzonymi oczami i powiedział: „Przepraszam". Znów zamknął oczy i zaczął zapadać w sen, wydał ten przerażony dźwięk – Hunh! – i rzucił się na łóżku, budząc gwałtownie, „Przepraszam", powiedział jeszcze raz i przysnął, i się przebudził. Przeprosił. Zamykał powieki; oddychał; znów wydawał z siebie ten odgłos i budził się gwałtownie, dręczony przez coś, co czekało po drugiej stronie świadomości. Zostali przy nim przez całą godzinę, póki wreszcie nie zmorzył go głęboki sen.

Ulubioną kawiarnię Tibora, Jókai, zastąpił zakład fryzjerski z sześcioma lśniącymi nowymi fotelami i parą wąsatych golibrodów. Tego ranka praktykowali swoją sztukę na głowach dwóch chłopaków w wojskowych mundurach. Chłopcy wyglądali, jakby dopiero co skończyli szkołę średnią. Mieli identyczne wydatne podbródki i identyczne spiczasto zakończone brwi; ich stopy spoczywające na podnóżkach fryzjerskich foteli miały palce identycznie zwrócone do środka. Musieli być braćmi albo wręcz bliźniakami. Andras zerknął na Tibora, którego oczy zdawały się pytać, *co* myślą sobie ci dwaj bracia, traktując z góry fryzjerów, którzy tak schludnie wygolili stąd Jókai Kávéház i zastąpili go tym sterylnym zakładem, wykafelkowanym na biało-czarno. Nie było mowy, żeby Andras i Tibor wstąpili tutaj, żeby się ogolić. Zakład fryzjerski był zdrajcą.

Zamiast tego poszli z powrotem Andrássy út do Café u Artystów, lokalu z czasów belle époque, ze stołami z kutego żelaza, lampami o bursztynowych kloszach i przeszkloną gablotą pełną ciast. Andras nalegał, by zamówili kawałek tortu Sachera – pomimo obiekcji Tibora: ciasto jest za drogie, zbyt tłuste, nie będzie w stanie zjeść więcej niż kęs.

– Zjedz coś pożywnego – odparł Andras. – Zrobionego z masła.

Tibor przywołał na twarz blady uśmiech.

– Jakbym słyszał matkę.

– Skoro tak, to musisz być posłuszny.

I znów ten uśmiech – blada, jakby zakonserwowana wersja dawnego uśmiechu Tibora; coś, co trzyma się w słoju w muzeum. Kiedy przyniesiono tort, Tibor odkroił kawałek widelczykiem i zostawił go na brzegu talerzyka.

– Dotarły już pewnie do ciebie wieści z Délvidéku – odezwał się.

Andras zamieszał kawę i wyjął łyżeczkę.

– Czytałem o tym artykuł i słyszałem jakieś przerażające pogłoski.

Tibor ledwo dostrzegalnie skinął głową.

– Byłem tam – powiedział.

Andras podniósł wzrok, napotykając spojrzenie brata. Tibor wyglądał dość dziwnie bez okularów, które dotąd pomniejszały jego wyjątkowo duże oczy, nadając im właściwe proporcje w stosunku do reszty twarzy. Wydawał się teraz bardzo wrażliwy i bezbronny. Wikt złożony z zupy kapuścianej, czarnego chleba i kawy zredukował go do stanu elementarnego; był esencją Tibora, koncentratem Tibora, niezbędnym składnikiem, który w połączeniu z normalnym życiem mógł wskrzesić dawnego Tibora. Andras nie wiedział, czy chce usłyszeć, co przydarzyło się bratu w tamtym strasznym miejscu. Pochylił się nad kawą, żeby nie patrzeć mu w oczy.

– Wylądowałem tam półtora miesiąca temu – zaczął Tibor, po czym opowiedział całą historię.

Był koniec stycznia. Jego kompania towarzyszyła Korpusowi V Armii; pracowali jak niewolnicy dla kompanii piechoty w Szegedzie, budując na Tiszy mosty pontonowe tak, by wojsko mogło przewieźć po nich swój sprzęt. Pewnego ranka sierżant zwołał ich i powiedział, że tym razem będą potrzebni przy kopaniu rowów. Przewieziono ich ciężarówkami do miejscowości Mošorin, kazano maszerować na pole i wykopać rów.

– Pamiętam wymiary – powiedział Tibor. – Długi na dwadzieścia metrów, szeroki na dwa i pół, głęboki na dwa. Musieliśmy robić to o zmroku.

Młoda kobieta siedząca przy stoliku obok z dwiema córeczkami posłała Tiborowi długie spojrzenie, po czym odwróciła wzrok. Ten dotknął ozdobnej rączki swojego widelczyka i kontynuował ściszonym głosem:

– Wykopaliśmy rów. Myśleliśmy, że będzie tam bitwa. Ale to nie była bitwa. Kiedy zrobiło się ciemno, przygnali tam grupę ludzi. Mężczyzn i kobiety. Sto dwadzieścia troje. Siedzieliśmy na brzegu rowu i jedliśmy zupę.

Młoda kobieta odwróciła się nieco na krześle. Mogła mieć trzydzieści lat; zobaczyli teraz, że na szyi ma zawieszoną srebrną gwiazdę Dawida na cienkim łańcuszku. Podniosła wzrok na dzieci, które piły czekoladę z jednej filiżanki i dojadały ostatnie okruszki strucli z makiem.

Kiedy Tibor znów się odezwał, jego głos był niewiele donośniejszy od szeptu.

– Były też dzieci – powiedział. – Nastolatki. Niektóre z nich nie mogły mieć więcej niż dwanaście, trzynaście lat.

– Zsuzsi, Anni – odezwała się kobieta. – Może pójdziecie wybrać ciasteczka dla babci?

– Jeszcze nie skończyłam czekolady – odparła mniejsza dziewczynka.

– Tibor – powiedział Andras, kładąc bratu dłoń na ramieniu. – Opowiesz mi później.

– Nie – rzekła cicho kobieta, patrząc Andrasowi w oczy. – W porządku. – I zwróciła się do córeczek: – Idźcie, idźcie, ja za chwilę przyjdę.

Starsza dziewczynka włożyła płaszczyk i pomogła młodszej wywinąć rękawy na prawą stronę. Potem podeszły do gabloty ze słodyczami i zaczęły wpatrywać się w ciastka, przyciskając paluszki do szyby. Kobieta złożyła dłonie na kolanach i spuściła wzrok na swoją pustą filiżankę.

– Ustawili tych ludzi nad rowem – odezwał się Tibor. – To byli Węgrzy. Żydzi, co do jednego. Kazali im rozebrać się do naga i stać tam na mrozie przez pół godziny. A potem ich zastrzelili – powiedział. – Nawet dzieci. Potem my musieliśmy ich pogrzebać. Niektórzy jeszcze żyli. Żołnierze trzymali nas na muszce, kiedy to robiliśmy.

Andras spojrzał na kobietę; zakryła usta dłonią. Dalej, przy ladzie ze słodyczami, jej córeczki dyskutowały o zaletach poszczególnych ciastek.

– Co ich powstrzyma przed zgotowaniem nam takiego samego losu? – powiedział Tibor. – Nie jesteśmy tu bezpieczni. Rozumiesz mnie?

– Rozumiem – odparł Andras.

Oczywiście, że nie są bezpieczni. Myślał o tym w każdej minucie. Niebezpieczeństwo było poważniejsze, niż Tibor sądził: Andras nie powiedział mu jeszcze o sytuacji Klary i Ministerstwie Sprawiedliwości.

– Tutaj, w kraju, grozi nam śmierć – odezwał się Tibor. – Okłamujemy samych siebie, jeśli myślimy, że nic nam nie będzie, dopóki Horthy powstrzymuje niemiecką okupację. A strzałokrzyżowcy? A najzwyklejsza węgierska bigoteria?

– To co twoim zdaniem powinniśmy zrobić? – spytał Andras.

– Coś ci powiem. Chcę uciec z tego kontynentu. Zabrać stąd żonę i syna. Zginiemy, jeśli zostaniemy w Europie.

– Ale jak mamy się stąd wydostać? Granica jest zamknięta. Nie sposób uzyskać wizę czy paszport. Nikt nas nie wpuści. A do tego dzieci. Nawet dla nas dwóch byłoby to trudne. – Obejrzał się przez ramię; samo mówienie o takich rzeczach w miejscu publicznym wydawało się niebezpieczne. – Nie możemy teraz wyjechać – rzekł. – To niemożliwe.

Wzrok kobiety przy sąsiednim stoliku powędrował w stronę dwóch braci. Biegała spojrzeniem swoich ciemnych oczu od jednego do drugiego. Jej córeczki przy ladzie dokonały już wyboru; starsza zwróciła się w ich kierunku i zawołała do mamy, żeby przyszła. Kobieta wstała, włożyła kapelusz i płaszcz. Prześlizgując się przez wąską przestrzeń między ich stolikami, skinęła Andrasowi i Tiborowi głową. Dopiero kiedy razem z dziewczynkami zniknęła za kryształowymi drzwiami kawiarni, Andras zauważył, że upuściła na stół chusteczkę. Była zrobiona z cienkiego lnu obrębionego koronką, z wyhaftowaną literą B. Andras podniósł ją, odsłaniając złożony skrawek papieru, odcinek biletu tramwajowego, na którym ołówkiem nagryzmolone były słowa: „Może K. będzie w stanie Wam pomóc”. Oraz adres w Angyalföld, blisko krańca linii tramwajowej.

– Spójrz na to – powiedział Andras i podał bratu bilet.

Tibor zmrużył pozbawione okularów oczy, wpatrując się w drobne pismo kobiety.

– Może K. będzie w stanie wam pomóc – odczytał. – Kim jest K.?

Minąwszy bloki mieszkalne w centrum Pesztu, wyjechali na przemysłowe przedmieścia, gdzie zakłady włókiennicze i fabryki maszyn wydmuchiwały szary dym w niebo usiane barankami chmur. Wojskowe ciężarówki z zaopatrzeniem toczyły się z łoskotem przez ulice, na przyczepach piętrzyły się stalowe tuby,

kształtowniki, fragmenty betonowych rynien, pustaki i gigantyczne żelazne parabole jak żebra lewiatana. Wysiedli z tramwaju na ostatnim przystanku i szli dalej, mijając stary szpital dla obłąkanych, zakłady przetwórstwa wełny, trzy przecznice rozsypujących się kamienic czynszowych, aż do bocznej uliczki o nazwie Frangepán köz. Stała przy niej grupka domków, które sprawiały wrażenie, jakby ocalały z czasów, kiedy Angyalföld składał się z pastwisk i winnic; zza domków dobiegało meczenie i zapach kóz. Numer 18 okazał się małym domkiem z częściowo otynkowanego drewna ze stromym dachem krytym gontem i podniszczonymi okiennicami. Ramy okienne się łuszczyły, a drzwi były porysowane i miały nierówne brzegi. Zimowe szczątki bluszczu tworzyły na fasadzie nieczytelną mapę. Kiedy Andras i Tibor przechodzili przez ogródek, wysoka furtka z boku otworzyła się, wypuszczając nieduży zielony wózek ciągnięty przez dwa silne białe kozły ze skręconymi rogami. Wózek był wyładowany bańkami mleka i skrzynkami sera. Przy furtce stała drobniutka kobieta z leszczynową witką w ręce. Miała na sobie haftowaną spódnicę i trzewiki wieśniaczki, a jej głęboko osadzone oczy były twarde i błyszczące jak wypolerowane kamyki. Obrzuciła Andrasa spojrzeniem tak przenikliwym, że zdawało się przewiercać jego czaszkę.

– Czy mieszka tutaj ktoś o inicjale K.? – zapytał ją.

– Inicjale K.? – Musiała mieć z osiemdziesiąt lat, ale trzymała się prosto jak trzcina. – A dlaczego pytacie?

Andras spojrzał na skrawek biletu, na którym kobieta z kawiarni zapisała adres.

– Tutaj jest Frangepán köz numer osiemnaście, prawda?

– Czego chcecie od K.?

– Przysłała nas tu znajoma.

– Jaka znajoma?

– Kobieta z dwiema córeczkami.

– Jesteście Żydami – powiedziała staruszka; było to spostrzeżenie, nie pytanie. A kiedy to mówiła, w jej rysach zaszła zmiana, linie wokół jej oczu jakby złagodniały, ramiona rozluźniły się niemal niedostrzegalnie.

– Zgadza się – potwierdził Andras. – Jesteśmy Żydami.

– I braćmi. Ten jest starszy. – Wskazała witką na Tibora.

Obaj przytaknęli.

Kobieta opuściła witkę i przyjrzała się Tiborowi tak uważnie, jakby miała zamiar zajrzeć mu pod skórę.

– Dopiero co wróciłeś z Munkaszolgálat – powiedziała.

– Tak.

Sięgnęła do koszyka po okrągły ser owinięty w papier i wcisnęła mu go do ręki. Kiedy zaczął protestować, dała mu następny.

– K. to mój wnuk – powiedziała. – Miklós Klein. To dobry chłopak, ale nie jest cudotwórcą. Nie mogę obiecać, że wam pomoże. Ale porozmawiajcie z nim, jeśli chcecie. Podejdźcie do drzwi. Mąż was wpuści.

Zamknęła za sobą furtkę; potem dotknęła grzbietów kozłów swoją leszczynową witką, a one potrząsnęły białymi łbami i pociągnęły wózek na ulicę.

Kiedy tylko zniknęła, stadko kóz podeszło do furtki i zaczęło meczeć na Andrasa i Tibora. Wyglądało na to, że oczekują jakiegoś podarku. Andras pokazał im puste kieszenie, ale kozy nie zamierzały odchodzić. Usiłowały bóść łbami ręce Andrasa i Tibora. Koźlęta chciały obwąchać im buty. Na drugim końcu podwórza stajnię zamieniono na koźlarnię, osłoniętą od wiatru i pełną świeżego siana. Cztery samice jadły coś z blaszanego żłobu, a ich sierść była gęsta i błyszcząca.

– Kozy mają się tu całkiem nieźle – powiedział Andras. – Nawet w środku zimy.

– Na pewno lepiej im tutaj niż ludziom – odparł Tibor, spoglądając w stronę pobliskich kominów fabrycznych.

Andras pomyślał jednak, że nie miałby nic przeciwko temu, żeby kiedyś zamieszkać dalej od centrum miasta. Najchętniej nie w cieniu zakładu włókienniczego, ale może gdzieś, gdzie mogliby mieć dom i podwórko na tyle duże, żeby znalazło się tam miejsce dla kóz, kur i kilku drzew owocowych. Zapragnął wrócić tu z notesem i kątomierzem i przeanalizować konstrukcję tego domku, układ terenu. Po raz pierwszy od miesięcy miał ochotę wykonać rysunek architektoniczny. Kiedy szedł za bratem ścieżką, odczuł w piersi dziwne doznanie, wrażenie unoszenia się, jakby jego płuca wypełnione były drożdżami.

Gdy Tibor zapukał do drzwi, z ich powierzchni pokrytej żółtą farbą uniósł się kurz jak pyłek kwiatowy. Wewnątrz rozległo się szuranie kroków; drzwi otworzyły się, ukazując malutkiego wysuszonego człowieczka z włosami

uniesionymi jak para siwych skrzydeł. Miał na sobie biały podkoszulek i szlafrok z wypłowiałej karmazynowej wełny. Zza jego pleców napłynęły zgrzytliwe dźwięki Bartóka i woń naleśników.

– Pan Klein? – zapytał Tibor.

– Tak jest.

– Czy mieszka tutaj Miklós Klein?

– A kto pyta?

– Tibor i Andras Lévi Powiedziano nam, żebyśmy przyszli się z nim zobaczyć. Pańska żona mówiła, że jest w domu.

Mężczyzna otworzył drzwi i gestem zaprosił ich do małego jasnego pokoju z pomalowaną na czerwono betonową podłogą. Na stole obok okna stały resztki śniadania przy świeżej gazecie.

– Poczekajcie tutaj – powiedział starszy Klein.

Poszedł na koniec krótkiego korytarza ozdobionego portretami mężczyzn i kobiet w staroświeckich strojach; mężczyźni byli w mundurach, kobiety w sukniach z gorsetami z poprzedniego wieku. Na końcu korytarza drzwi otworzyły się i zamknęły. Ścienny zegar z kukułką wybił godzinę, a kukułka odezwała się jedenaście razy. Kolekcja fotografii na bocznym stoliku ukazywała sześcio-, siedmioletniego chłopca z błyszczącymi oczami, który trzymał za rękę piękną ciemnowłosą kobietę, i melancholijnego mężczyznę o wyglądzie inteligenta; były tam zdjęcia przedstawiające tę trójkę na plaży, na rowerach, w parku, na schodach synagogi. Zbiór fotografii przywodził na myśl kapliczkę albo pomnik.

Po kilku minutach drzwi na końcu korytarza otwarły się, a starszy Klein poczłapał w ich stronę i przywołał ich gestem ręki.

– Proszę – powiedział. – Tędy.

Andras poszedł korytarzem za bratem, mijając portrety wojskowych i ciasno zasznurowanych kobiet. Przy drzwiach starszy mężczyzna odsunął się na bok, by ich wpuścić, po czym wycofał się do salonu.

Drzwi były wrotami do innego świata. Po jednej stronie znajdował się kosmos, który właśnie opuścili: resztki śniadania stały na drewnianym stole oświetlone promieniami słońca, z podwórza dobiegało meczenie kóz, a tuzin fotografii przypominał o tym, co zniknęło; po drugiej stronie pokoju było coś, co

wyglądało na sprzęt do prowadzenia operacji szpiegowskich. Ściany pokryto mapami Europy i Morza Śródziemnego najeżonymi pinezkami, z zawiłymi wykresami, wycinkami z gazet i zdjęciami mężczyzn i kobiet uprawiających suchą ziemię w osadach na pustyni. Na biurku, wciśnięte pomiędzy niebotyczne sterty oficjalnie wyglądających dokumentów, stały dwie maszyny do pisania, jedna z węgierską, a druga z hebrajską klawiaturą. Radio marki Orion popiskiwało i trzeszczało na niskim stoliku, a kwartet zegarów obok pokazywał czas w Konstancy, Stambule, Kairze i Jerozolimie. Po całym pokoju wznosiły się sięgające pasa kolumny teczek i dokumentów, tłoczyły się na biurku, na łóżku, zajmowały każdy centymetr parapetu i stołu. W centrum tego wszystkiego stał blady młody człowiek w zniszczonym przez mole swetrze, z krótkimi czarnymi włosami, które przypominały postrzępioną koronę, i oczyma przekrwionymi i czerwonymi od przepicia albo żalu. Wyglądał na rówieśnika Andrasa, bez cienia wątpliwości był chłopcem z tej fotografii, który wyrósł tymczasem na wymizerowanego młodzieńca. Odsunął krzesło od biurka, przełożył stertę teczek na podłogę i usiadł, zwrócony twarzą do braci.

– Już po wszystkim – powiedział w ramach powitania. – Więcej się tym nie zajmuję.

– Powiedziano nam, że mógłby nam pan pomóc – odpowiedział Tibor.

– Kto wam to powiedział?

– Kobieta z dwiema córeczkami. Inicjał B. Usłyszała, jak rozmawiam z bratem w kawiarni.

– O czym rozmawialiście?

– O wyjeździe z Węgier – odparł Tibor. – W ten czy inny sposób.

– Po pierwsze – powiedział Klein, kierując szczupły palec w stronę Tibora – nie trzeba było rozmawiać z bratem o czymś takim w kawiarni, gdzie każdy mógł was usłyszeć. Po drugie, powinienem udusić tę kobietę, kimkolwiek jest, za to, że podała wam mój adres!

Inicjał B.? Dwie córeczki? – Przytknął palec do czoła, zastanawiając się. – Bruner – powiedział. – Magdolna. To musi być ona. Wydostałem stąd jej brata. Ale to było dwa lata temu.

– Czy tym się pan zajmuje? – zapytał Andras. – Organizowaniem wyjazdów?

– Kiedyś się zajmowałem – odparł Klein. – Teraz już nie.

– W takim razie do czego panu to wszystko?

– Projekty w toku – powiedział Klein. – Ale nie przyjmuję nowych zleceń.

– Musimy wyjechać z kraju – rzekł Tibor. – Dopiero wróciłem z Délvidéku. Zabijają tam węgierskich Żydów. Niebawem przyjdą po nas. Jak rozumiemy, pan może pomóc nam się stąd wydostać.

– Nie rozumiecie – odparł Klein. – Teraz to już niemożliwe. Spójrzcie na to. – Wyciągnął wycinek z rumuńskiej gazety. – To się zdarzyło raptem parę tygodni temu. Ten statek wypłynął z Konstancy w grudniu. „Struma". Siedemset sześćdziesięciu dziewięciu pasażerów, sami rumuńscy Żydzi. Powiedziano im, że dostaną wizy do Palestyny, jak tylko statek dopłynie do Turcji. Ale ten statek był wrakiem. Dosłownie. Silnik wyłowiono z dna Dunaju. I nie było żadnych wiz. To był jeden wielki szwindel. Może dawniej udałoby się im i bez wiz – Brytyjczycy kiedyś pozwalali na imigrację bez dokumentów. Ale to się skończyło! Wielka Brytania nie chciała przyjąć statku. Nie zgadzali się wziąć nikogo, nawet dzieci. Turecki okręt straży przybrzeżnej odholował ich na Morze Czarne. Bez paliwa, bez wody, bez jedzenia dla pasażerów. I zostawił ich tam. Jak myślicie, co się stało? Trafiła ich torpeda. Bum! Koniec pieśni. Myślą, że to robota Sowietów.

Andras i Tibor siedzieli w milczeniu, usiłując przetrawić to, co właśnie usłyszeli. Siedemset sześćdziesiąt dziewięć dusz – statek pełen żydowskich mężczyzn, kobiet i dzieci. Wybuch w nocy – jaki to musiał być dźwięk, jakie uczucie, gdy ktoś leżał na koi w głębi statku: uderzenie i wstrząs, nagła panika. I ciemna woda wdzierająca się do środka.

– A co z bratem Magdolny Bruner? – zapytał Tibor. – Jak go pan wydostał?

– Wtedy było inaczej – odpowiedział Klein. – Pomagałem ludziom wydostać się przez Dunaj. Szmuglowałem ich na barkach towarowych i statkach rzecznych. Mieliśmy kontakty w Palestynie. Mieliśmy pomoc z Biura Palestyńskiego na miejscu. Udało mi się wydostać masę ludzi, w sumie stu sześćdziesięciu ośmiu. Gdybym był mądrzejszy, sam bym wyjechał. Tylko że moi dziadkowie byli sami. Nie przetrwaliby takiej podróży, a ja nie mogłem ich zostawić. Myślałem, że tutaj mogę być bardziej przydatny. Ale nie będę się już tym zajmował, więc równie dobrze możecie wracać do domu.

– Ale to klęska dla Palestyny, ta „Struma" – powiedział Andras. – Teraz będą musieli złagodzić restrykcje dotyczące imigracji.

– Nie wiem, co będzie – odparł Klein. – Mają nowego sekretarza do spraw kolonii, niejakiego Cranborne'a. Podobno jest bardziej liberalny. Ale nie wiem,

czy uda mu się przekonać Ministerstwo Spraw Zagranicznych do zwiększenia limitów. A nawet gdyby, to teraz jest zdecydowanie zbyt niebezpiecznie.

– Jeżeli to kwestia pieniędzy, zdobędziemy je – powiedział Tibor.

Andras zerknął na niego ostro. Skąd Tibor zamierzał wziąć pieniądze? Ale brat nie chciał na niego spojrzeć. Jego oczy utkwione były w Kleinie, który przeczesał palcami naelektryzowane włosy i nachylił się w ich stronę.

– Nie chodzi o pieniądze – powiedział. – Po prostu to byłoby szaleństwo.

– Nie większe niż zostanie tutaj – odparł Tibor.

– Budapeszt jest nadal jednym z najbezpieczniejszych miejsc dla Żydów w Europie.

– Budapeszt żyje w cieniu Berlina.

Klein odsunął krzesło, wstał i zaczął przemierzać swój kawałek podłogi w tę i z powrotem.

– Straszne jest to, że wiem, że macie rację. Poczucie bezpieczeństwa tutaj to ułuda. Skoro byliście w Munkaszolgálat, to sami dobrze to wiecie. Ale nie mogę wziąć na swoje barki losu dwóch młodych ludzi. Nie teraz.

– Chodzi nie tylko o nas – powiedział Tibor. – Są jeszcze nasze żony. I dwoje niemowląt. I nasz młodszy brat, jak tylko wróci z Ukrainy. I nasi rodzice w Debreczynie. Wszyscy musimy się stąd wydostać.

– Zwariowaliście! – krzyknął Klein. – Po prostu zwariowaliście. Nie mogę szmuglować niemowląt Dunajem, kiedy kraj bierze udział w wojnie. Nie mogę brać odpowiedzialności za starych rodziców. Nie będę w ogóle o tym rozmawiał. Przykro mi. Wyglądacie obaj na dobrych ludzi. Może spotkamy się w szczęśliwszych czasach i razem się napijemy. – Podszedł do drzwi i otworzył je na korytarz.

Tibor ani drgnął. Mierzył wzrokiem sterty dokumentów, maszyny do pisania, radio, meble uginające się pod ciężarem teczek, jak gdyby chciał do nich zaapelować. Ale to Andras przemówił.

– Shalhevet Rosen – powiedział. – Słyszał pan to nazwisko?

– Nie.

– Jest w Palestynie, zajmuje się ułatwianiem Żydom ucieczki z Europy. To żona mojego przyjaciela z uczelni.

– Cóż, może ona wam pomoże. Powodzenia.

– Może kiedyś pan z nią korespondował.

– Nie przypominam sobie.

– Może pomogłaby nam zdobyć wizy.

– Wiza nic nie znaczy – skwitował Klein. – Trzeba się tam jeszcze dostać.

Tibor jeszcze raz rozejrzał się po pokoju. Obrzucił Kleina przenikliwym spojrzeniem.

– To jest pańska praca – odezwał się. – Chce pan powiedzieć, że w tym momencie pan z tym skończył?

– Nie wyślę ludzi na kolejną „Strumę" – odparł Klein. – Powinniście to rozumieć. I muszę troszczyć się o moich dziadków. Jeśli mnie złapią i wtrącą do więzienia, oni zostaną sami.

Tibor przystanął przy drzwiach, z kapeluszem w rękach.

– Zmieni pan zdanie – powiedział.

– Mam nadzieję, że nie.

– Proszę nam przynajmniej pozwolić zostawić nasz adres.

– Mówię wam, nie warto. Do widzenia, panowie. Żegnajcie. Adieu. – Odprowadził ich na pogrążony w półmroku korytarz i schronił się w swoim pokoju, zamykając drzwi na zasuwkę.

W dużym pokoju Andras i Tibor zobaczyli, że pozostałości po śniadaniu zostały uprzątnięte, a starszy Klein siedzi na sofie, z gazetą w dłoni. Kiedy zorientował się, że stoją przed nim, opuścił gazetę i spytał:

-I?

– Nic – odrzekł Tibor. – Pójdziemy już. Proszę powiedzieć żonie, że jesteśmy jej wdzięczni. – Podniósł w górę zapakowany w papier krążek koziego sera.

– To jeden z jej najlepszych – rzekł starszy Klein. – Musiałeś się jej spodobać. Nie rozdaje ich byle komu.

– Dała mi dwa – powiedział Tibor z uśmiechem.

– O! Chyba zaczynam być zazdrosny.

– Może jej udałoby się wpłynąć na wnuka, żeby nam pomógł. Odprawił nas, nie zostawiając zbyt wiele nadziei.

– Miklós ma swoje humory – rzekł starszy Klein. – Nie ma łatwej pracy. Codziennie zmienia zdanie na jej temat. Czy wie, gdzie was znaleźć?

Tibor wyjął z kieszeni na piersi mały tępy ołówek i poprosił dziadka Kleina o kartkę, przepraszając, że nie ma biletu wizytowego. Napisał adres na skrawku papieru i zostawił go na stole.

– Jest tutaj – powiedział. – Na wypadek, gdyby zmienił zdanie.

Dziadek Kleina wydał z siebie pomruk aprobaty. Z podwórka dobiegło meczenie kóz niczym pesymistyczny kontrapunkt. Wiatr zastukał okiennicami o ścianę domu; dźwięk, który zdawał się dochodzić prosto z głębi dzieciństwa Andrasa. Miał uczucie, jakby zostawił z boku upływ czasu – jakby Tibor i on po przejściu przez te drzwi mieli powrócić do zupełnie innego Budapesztu, w którym samochody zostały zastąpione przez powozy, latarnie elektryczne przez gazowe, spódnice kobiet zamiast kolan sięgają kostek, metro zniknęło, a wieści o wojnie zostały wymazane z kart „Pesti Napló". Dwudziesty wiek usunięty z tkanki czasu jednym czystym cięciem, jak za sprawą interwencji boskiego chirurga.

Ale kiedy otwarli zewnętrzne drzwi, wszystko było tam nadal: ciężarówki hałasujące na szerokiej drodze, która krzyżowała się z ich uliczką, niebosiężne kominy fabryczne przy zakładach włókienniczych, plakaty filmowe poprzylepiane do parkanu ze sklejki otaczającego plac budowy. Razem z bratem poszli w milczeniu w kierunku linii tramwajowej i złapali niemal pusty skład z powrotem w stronę centrum. Wiózł ich przez Kárpát utca z zakładami naprawy maszyn, potem przez most na tyłach dworca Nyugati i wreszcie na Andrássy út, gdzie wysiedli i ruszyli do domu. Kiedy jednak doszli na róg Hársfa utca, Tibor skręcił. Z rękami w kieszeniach szedł aż do budynku z szarego kamienia, w którym mieszkali, zanim Andras wyjechał do Paryża. Na trzecim piętrze znajdowały się ich okna, teraz ciemne i pozbawione zasłon. Na balkonie stał rząd potłuczonych doniczek, z balustrady zwisał pusty karmnik dla ptaków. Tibor spojrzał w górę na balkon, a wiatr uniósł kołnierz jego płaszcza.

– Czy możesz mi się dziwić? – zapytał. – Rozumiesz, dlaczego chcę stąd wyjechać?

– Rozumiem – odrzekł Andras.

– Zastanów się nad tym, co opowiedziałem ci w kawiarni. To się wydarzyło tutaj, na Węgrzech. A teraz pomyśl, co musi się dziać w Niemczech i w Polsce.

Nie uwierzyłbyś w to, o czym słyszałem. Ludzie umierają w gettach z głodu i przegęszczenia. Są rozstrzeliwani tysiącami. Horthy nie może powstrzymywać tego bez końca. Aliantów nie obchodzą Żydzi, a w każdym razie nie na tyle, żeby zrobili coś w tej sprawie. Musimy sami się o siebie zatroszczyć.

– Ale jaki to będzie miało sens, jeśli zginiemy w trakcie ucieczki?

– Jeżeli zdobędziemy wizy, będziemy w jakimś stopniu chronieni. Napisz do Shalhevet. Dowiedz się, czyjej organizacja jest w stanie coś zrobić.

– To na pewno potrwa. Może nawet kilka miesięcy, sama korespondencja.

– W takim razie lepiej zacznij od razu – powiedział Tibor.

Rozdział trzydziesty drugi

Stacja Szentendre

TEGO SAMEGO POPOŁUDNIA powiedział Klarze o domku przy Frangepán köz i o Kleinie, który siedzi w sypialni, otoczony teczkami z szarego papieru pełnymi dokumentów setki przyszłych emigrantów. Byli w salonie, dziecko przy piersi Klary to zaciskało, to rozluźniało piąstkę w jej włosach.

– Co o tym myślisz? – zapytała cicho. – Czy uważasz, że powinniśmy spróbować wyjechać?

– To zakrawa na szaleństwo, prawda? Ale ja nie widziałem tego co Tibor.

– A co z twoimi rodzicami? I moją matką?

– Wiem – powiedział. – Jak się nad tym zastanowić, to wygląda na jakiś absurd. Może to niewłaściwy moment. Może sytuacja się polepszy, jak trochę poczekamy. Ale wydaje mi się, że tak czy siak powinienem napisać do Shalhevet. Na wypadek, gdyby coś mogła dla nas zrobić.

– Możesz napisać – odparła Klara. – Ale czy nie dałaby nam do tej pory znać, gdyby to było możliwe?

Mały poruszył główką i wypuścił z rączki włosy Klary. Przeniosła go na drugą stronę, przykrywając się jego kocykiem.

– Pisałem do Rosena z Munkaszolgálat – powiedział Andras. -Wiedział, że wtedy nie moglibyśmy wyjechać, choćbyśmy chcieli.

– A teraz mamy małego – odpowiedziała Klara.

Andras spróbował wyobrazić ją sobie, jak karmi ich synka w luku na statku rzecznym na Dunaju, ukryta pod brezentem. Zastanowił się, czy ludzie próbowali uciekać z niemowlętami. Czy usypiali dzieci laudanum i modlili się, żeby nie zaczęły płakać? Mały ściągnął kocyk z piersi Klary, a ona przykryła się z powrotem.

– Nie musisz tego robić – powiedział Andras. – Niech sobie na ciebie popatrzę.

Uśmiechnęła się.

– Zakrywanie się weszło mi chyba w zwyczaj u matki. Elza nie może na to patrzeć. Uważa, że to niehigieniczne. Byłaby zbulwersowana, gdyby się dowiedziała, że robię to przy tobie.

– To zupełnie naturalne. I spójrz na niego. Czy nie jest szczęśliwy?

Paluszki u stóp dziecka podwijały się i prostowały. Machało piąstką, w której trzymało ciemny pukiel włosów Klary. Spojrzenie powędrowało w kierunku jej oczu; chłopczyk zamrugał raz, a potem drugi, tym razem wolniej, aż wreszcie jego powieki łagodnie opadły. Odurzony mlekiem przestał ściskać włosy mamy, a nóżki opadły mu bezwładnie na jej rękę. Rączki rozchyliły się jak dwie rozgwiazdy. Buzia odsunęła się od piersi Klary.

Podniosła oczy na Andrasa i patrzyła tak przez dłuższą chwilę.

– A gdybyście wy tam pojechali? – zapytała. – Ty i Tibor? Gdybyście dotarli tam bezpiecznie i posłali po nas, kiedy będziecie mogli? Przynajmniej nie trafilibyście znów do Munkaszolgálat.

– Wykluczone – odpowiedział Andras. – Wolałbym umrzeć niż wyjechać bez was.

– Cóż za melodramatyczna wypowiedź, kochanie.

– Nie obchodzi mnie, jak to brzmi. Tak właśnie czuję.

– Proszę, weź naszego synka. Noga mi zdrętwiała. – Klara podniosła dziecko i podała je Andrasowi, po czym zapięła guziki bluzki. Wstała, krzywiąc się z bólu, i przeszła przez pokój. – Napisz do Shalhevet. Żeby sprawdzić. Wtedy będziemy przynajmniej wiedzieli, czy mamy jakieś możliwości. Inaczej możemy tylko snuć domysły.

– Bez was nigdzie się nie wybieram.

– Oby – odparła. – Choć nie jest to chyba najlepszy czas na nieodwołalne postanowienia.

– Czemu nie pozwolisz mi łudzić się, że mogę o czymś decydować?

– Bo nie jest to też dobry czas na złudzenia – powiedziała i z powrotem usiadła przy nim na kanapie, kładąc mu głowę na ramieniu. Kiedy tak siedzieli

razem, patrząc, jak ich synek śpi, Andras znów poczuł wyrzuty sumienia: w gruncie rzeczy to on pozwalał Klarze żyć złudzeniami – że jest bezpieczna, że przeszłość to rozdział zamknięty, że jej obawy przed narażeniem rodziny na niebezpieczeństwo wskutek powrotu na Węgry są nieuzasadnione.

Złudzenie trwało przez całą wiosnę. Reorganizacja w Ministerstwie Sprawiedliwości spowolniła mechanizmy wyłudzania, toteż wyprowadzka z domu na Benczúr utca została chwilowo odroczona. Andras kontynuował pracę jako grafik i ilustrator, podczas gdy Mendel pisał artykuły w położonym nieopodal pokoju redakcji informacyjnej. Choć na początku wydawało się surrealizmem, że legalnie i zarobkowo wykonują coś, co ledwie kilka miesięcy wcześniej było potajemnym i niebezpiecznym zajęciem dodatkowym, uczucie to szybko ustąpiło wobec zwykłego rytmu pracy i związanych z nią obowiązków. Również Tibor znalazł zatrudnienie, gdy tylko odzyskał dawne siły i zdrowie. Został asystentem chirurga w żydowskim szpitalu w Erzsébetváros. W marcu nadeszły wiadomości od Elisabet: Paul wstąpił do marynarki i pod koniec kwietnia wyruszał na Pacyfik. Jego rodzice, pod wpływem skruchy związanej z zaciągnięciem się syna do armii i narodzinami pierwszego wnuka, całkowicie zmienili swój stosunek do synowej i nalegali, by Elisabet z małym Alviem zamieszkali u nich w Connecticut. Elisabet dołączyła fotografię przedstawiającą rodzinę w strojach saneczkarzy; sama ubrana była w ciemny płaszcz z kapturem, w jej ramionach szczelnie opatulony Alvie, a obok Paul, który stał, trzymając w ręku linę przywiązaną do długiego toboganu. Kolejne zdjęcie ukazywało samego Alviego, usadzonego na krześle i podpartego poduszkami, w aksamitnej kurteczce i krótkich spodenkach. Wysokie krągłe czoło i drwiące usta do złudzenia przypominały Paula, ale twarde jak lód, przenikliwe spojrzenie niemowlę odziedziczyło po Elisabet. Elisabet obiecała, że ojciec Paula skontaktuje się ze swoimi znajomymi w rządzie, by sprawdzić, czy może zdobyć wizy dla Andrasa, Klary i ich dziecka.

Andras napisał do Shalhevet, a cztery tygodnie później nadeszła odpowiedź. Obiecała, że porozmawia ze znajomymi w Urzędzie do spraw Imigracji. Choć nie potrafiła przewidzieć, ile czasu może to potrwać i czy na pewno jej się uda, uważała, że Tibor i Andras mają poważne szansę na otrzymanie wiz. Andras powinien wiedzieć, że główną troską wydziału jest obecnie umożliwianie wyjazdu Żydom zamieszkującym terytoria okupowane przez Niemców. Niemniej przyszli lekarze i architekci będą mieli ogromną wartość dla społeczności żydowskiej w Palestynie. Być może uda jej się zrobić coś także dla przyjaciela Andrasa, dziennikarza politycznego i sportowca rekordzisty; on także wydaje się jednym

z tych młodych ludzi, którym Urząd do spraw Imigracji chętnie pomaga. A jeżeli Andras i Tibor pojadą do Palestyny, ich rodziny muszą oczywiście udać się z nimi. Co za szkoda, że nie emigrowali wszyscy razem przed wybuchem wojny! Rosen rozpaczliwie tęsknił za przyjaciółmi z Paryża. Czy Andras miał jakieś wieści od Polanera lub Ben Yakova? Rosen dowiadywał się o nich wszędzie, ale bez skutku.

Andras usiadł na brzegu fontanny i przeczytał list od nowa. Nie miał kontaktu z Polanerem ani Ben Yakovem od czasu listów, które dotarły do niego na początku służby w Munkaszolgálat. Jeżeli Ben Yakov przebywał nadal u rodziców w Rouen, oznaczało to, że mieszka w okupowanej Francji, pod nazistowską flagą. A Polaner, który rwał się do walki za nową ojczyznę – gdzie mogli go wysłać po zwolnieniu z armii francuskiej? Gdzie jest teraz? Jakim trudom i upokorzeniom musiał stawiać czoło, od kiedy Andras widział go po raz ostatni? Czy Andras dowie się kiedykolwiek, co się z nim stało? Przesunął ręką po zimnej powierzchni wody w fontannie, uwolnionej od zimowego lodu. Poniżej poruszały się kształty rybek niczym wysmukłe duchy. Zeszłej jesieni na dnie fontanny leżały monety, pięcio– i dziesięciofillerówki lśniące na tle błękitnych kafelków. Ktoś musiał je stąd zabrać, kiedy stopniał lód. A teraz nikt już nie chciał wrzucać monet do fontanny. Nikt nie miał na zbyciu dziesięciu fillérów na życzenie.

W ciemności koszar na Zakarpaciu, w Siedmiogrodzie i Bánhidzie Andras dopuścił do siebie myśl, że Polaner być może nie żyje, że mógł zachorować, zostać pobity, zagłodzony albo zastrzelony; ale ani razu nie pozwolił sobie na myśl, że może nigdy się nie dowiedzieć, co stało się z przyjacielem – nigdy nie mieć pewności, czy ma go szukać, opłakiwać, czy żywić nadzieję? Nie mógł go opłakiwać, skoro nie miał wiadomości. Byłoby to niezgodne z jego naturą. Ale upłynęły dwadzieścia trzy miesiące, odkąd po raz ostatni Polaner się z nim kontaktował – Eli Polaner o łagodnym głosie, ukryty gdzieś w ciemnym, niebezpiecznym gąszczu Europy. Nie odważył się podążyć za tą myślą na drugą stronę, gdzie czekał obraz jego brata, Mátyása, nieuchwytna biała sylwetka, ledwie widoczna przez zasłonę zamieci. Mátyás, wciąż zaginiony. Ani słowa od jego kompanii od zeszłego listopada. Teraz był kwiecień. Na Ukrainie nieubłagany mróz zaczynał właśnie odpuszczać. Wkrótce będzie można pogrzebać tych, którzy umarli zimą.

Zostawił Klarę z dzieckiem, a reszta poczty leżała w nieładzie na biurku. Pójdzie do żony i zobaczy, czy może jej jakoś pomóc; siedzenie na brzegu fontanny i zastanawianie się nad tymi wszystkimi rzeczami, których nie sposób

było się dowiedzieć, tylko coraz bardziej go przygnębiało. Wszedł po schodach na górę i otworzył drzwi do mieszkania, nasłuchując podniesionego głosu dziecka. Ale pokoje spowijał woal ciszy. Czajnik na kuchence przestał bulgotać. W cynowej wanience stała zimna woda na kąpiel dla małego, czekając nadal na dolanie gorącej. Jego złożony ręcznik leżał na kuchennym stole, a obok były kurteczka i spodenki.

Andras usłyszał, jak mały wydaje głos, krótką skargę złożoną z dwóch dźwięków; hałas dobiegł z salonu. Wszedł i zobaczył Klarę, siedzącą na kanapie z dzieckiem w objęciach. Na niskim stoliku przed nią leżał otwarty list. Podniosła wzrok na Andrasa.

– O co chodzi? – zapytał. – Co się stało?

– Zostałeś znów powołany – odpowiedziała. – Masz wrócić do pracy w Munkaszolgálat.

Uważnie obejrzał list, przycięty prostokącik cienkiego białego papieru z pieczęcią KMOF. Miał zameldować się w budapeszteńskim biurze Munkaszolgálat rankiem za dwa dni; zostanie przydzielony do nowego batalionu i kompanii; otrzymał rozkaz sześciu miesięcy pracy przymusowej.

– To niemożliwe – powiedział. – Nie mogę cię znów zostawić, nie teraz, kiedy jest dziecko.

– Ale co możemy zrobić?

– Mam jeszcze wizytówkę generała Martóna. Pójdę do jego biura. Może będzie w stanie nam pomóc.

Mały przekręcił się w ramionach Klary i zaprotestował.

– Spójrz na niego – powiedziała Klara. – Nagusieńki. Zupełnie zapomniałam o jego kąpieli. Musiał okropnie zmarznąć.

Wstała i zaniosła dziecko do kuchni, tuląc je do siebie. Wlała zawartość czajnika do wanienki i dłonią zamieszała wodę.

– Pójdę tam jutro rano – powiedział Andras. – Zobaczę, co da się zrobić.

– Dobrze – odparła, opuszczając małego do wanienki. Ułożyła go, opierając o swoje przedramię, i natarła mydłem delikatny, brązowy puszek jego włosów. – A jeżeli on nie będzie mógł nam pomóc, napiszę do mojego prawnika w Paryżu. Może nadeszła pora na sprzedanie budynku.

– Nie – odpowiedział Andras. – Nie mogę ci na to pozwolić.

– A ja nie mogę pozwolić, żebyś wrócił do Munkaszolgálat – odrzekła. Nie patrzyła na niego, ale głos miała cichy i stanowczy. – Wiesz, co się tam teraz dzieje. Wysyłają ludzi do oczyszczania pól minowych na froncie. Głodzą ich na śmierć.

– Przetrwałem tam dwa lata. Mogę wytrzymać jeszcze sześć miesięcy.

– Wtedy było inaczej.

– Nie pozwolę ci sprzedać budynku.

– Co mnie obchodzi ten budynek?! – krzyknęła. Dziecko spojrzało na nią wystraszone.

– Porozmawiam z Martónem – powiedział Andras, kładąc jej dłoń na ramieniu.

– A Shalhevet? – zapytała. – Co pisze?

– Zna parę osób w Ministerstwie Imigracji. Postara się ich przekonać, żeby przyznali nam wizy.

Mały machnął nóżką, bryzgając wodą prosto we włosy Klary, która roześmiała się niewesoło.

– Może powinniśmy się pomodlić – powiedziała i zakryła oczy dłonią, jakby recytowała Szema.

Andras chciał wierzyć, że ktoś patrzy na nich z litością i przerażeniem, ktoś, kto może coś zmienić, jeśli zechce. Chciał wierzyć, że ostatecznie to nie ludzie decydują. Jednak gdzieś w okolicach mostka czuł zimną pewność, że jest inaczej. Wierzył w Boga, owszem, w Boga swoich ojców, tego, do którego modlił się w Konyárze i Debreczynie, w Paryżu i w Munkaszolgálat, ale ten Bóg, Jedyny, nie interweniował w sposób, który był im w tej chwili potrzebny. Zaprojektował wszechświat i otworzył jego drzwi przed człowiekiem, a człowiek wprowadził się tam i zaczął żyć. Bóg nie mógł już wejść do środka i zmienić tego życia, tak jak architekt nie może zmienić życia mieszkańców budynku. Świat należał teraz do ludzi. Musieli go używać po swojemu, żyć lub umierać wskutek własnych działań. Dotknął dłoni Klary, a ona otworzyła oczy.

Generał Martón miał duże wpływy, nie mógł jednak zapewnić Andrasowi zwolnienia z pracy przymusowej. Nie udało mu się nawet jej odroczyć. Generał uchronił go jednak przed wysłaniem na front wschodni, podobnie jak Mendla Horovitza, którego powołano w tym samym momencie. Andrasa i Mendla przydzielono do kompanii 79/6 Budapeszteńskiego Batalionu Pracy

Przymusowej. Kompania została zatrudniona na stacji przeładunkowej tak blisko Budapesztu, że mężczyźni, którzy mieszkali w mieście, mogli sypiać w domach zamiast w koszarach. Co rano Andras wstawał o czwartej i pił kawę w ciemnej kuchni, przy świetle padającym z piecyka; zarzucał na ramię tobołek, zabierał blaszany pojemnik z drugim śniadaniem, które Klara przygotowywała dla niego poprzedniego wieczoru, i po cichu wychodził na zewnątrz, w chłód poprzedzający nadejście świtu, by spotkać się z Mendlem. Obecnie, zamiast udawać się do redakcji „Madziarskiego Dziennika Żydowskiego", szli aż do rzeki i przechodzili przez most Széchenyiego, gdzie na piedestałach leżały kamienne lwy i spały Cyganki w czarnych szalach na głowach i płaszczach, tuląc w ramionach dzieci o chudych rączkach i nóżkach. O tej niebieskiej godzinie nad powierzchnią Dunaju unosiła się mgła, gromadząca się nad splątanym nurtem rzeki. Czasami obok przepływała barka, której niski, płaski kadłub rozdzielał opary, i mogli zobaczyć w przelocie, jak żona barkarza stoi przy rozżarzonym koksowniku i dogląda dzbanka z kawą. Po drugiej stronie rzeki wsiadali w tramwaj i jechali do Óbudy, skąd autobus zabierał ich do Szentendre. Autobus jechał wzdłuż rzeki, a oni lubili siadać od strony Dunaju i patrzeć, jak łódki suną na południe. Podróż często mijała im w milczeniu; tematy, które najbardziej zaprzątały ich myśli, nie nadawały się do publicznego omawiania. Andras dostał od Shalhevet wiadomość, że Urząd do spraw Imigracji przychylnie odpowiedział na jej pierwsze zapytania i że cała procedura przebiega szybciej, niż się spodziewała. Można było liczyć, że już latem otrzymają dokumenty. Ale co wtedy? Nie wiedział, czy powinien pozwolić sobie na nadzieję, że Klein zechce im pomóc; jak dużo kosztowałaby podróż, ile wiz uzyska Shalhevet? I choć wiosna była już w pełni, od Mátyása nadal nie nadeszły żadne wieści. Ostatnie próby zdobycia informacji przez Györgya nie przyniosły żadnych rezultatów. Nie sposób było myśleć o wyjeździe z Węgier, kiedy brat zaginął na Ukrainie, może nie żył, a może został wzięty do niewoli przez Sowietów. Ale teraz, kiedy przyszła wiosna, Mátyás mógł się zmaterializować lada dzień. Nadzieja, że być może za kilka miesięcy wyjadą wszyscy razem, wydawała się dość realna. Kto wie, może za rok Andras będzie szedł razem z braćmi do pracy w gaju pomarańczowym w Palestynie, a może w jednym z kibuców, które opisywał Rosen, w Deganii albo Ein Harod. A może będą walczyć po stronie Brytyjczyków – Mendel słyszał, że istnieje batalion żołnierzy sformowany z członków Jiszuwu, społeczności żydowskiej w Palestynie.

Kiedy autobus dojeżdżał do Szentendre, wysiadali razem z innymi mężczyznami – robotnikami, którzy dosiadali się w Óbudzie, Rómaifürdő czy Csillaghegy – i szli kilometr do miejsca załadunku pociągów. Pierwsze ciężarówki przyjeżdżały o siódmej. Kierowcy podwijali plandeki, odsłaniając prążkowane

sześciany koców, skrzynki ziemniaków, bele wojskowego płótna, pudła z amunicją czy cokolwiek innego, co akurat tego dnia mieli wysłać na front. Andras, Mendel i ich koledzy mieli za zadanie przenieść produkty z ciężarówek do wagonów towarowych, które czekały na torach, z drzwiami ziewającymi szeroko w coraz jaśniejszym świetle. Kiedy kończyli ładować jeden wagon, przechodzili do następnego, a potem do kolejnego. Jednak operacja nie była taka prosta, na jaką wyglądała. Napełnione wagony nie zostawały od razu zapieczętowane; otwarte wjeżdżały do zajezdni, gdzie poddawano je inspekcji. Tak przynajmniej brygadzista powiedział Andrasowi i Mendlowi, przyuczając ich do pracy: po załadowaniu wagonów korpus specjalnie przeszkolonych żołnierzy dokonuje inspekcji. Jeżeli czegokolwiek będzie brakować, robotnicy zostaną pociągnięci do odpowiedzialności i ukarani. Dopiero wtedy, gdy wszystko będzie się zgadzało z listą, pociągi zostaną zapieczętowane i wysłane na front.

Inspektorzy przyjeżdżali i odjeżdżali krytymi ciężarówkami. Żołnierze docierali nimi prosto do zajezdni inspekcyjnej i parkowali je obok wagonów. Przez szerokie prostokątne drzwi Andras widział, jak żołnierze poruszają się szybko pomiędzy pociągiem a ciężarówkami. Inspektorzy nie zadawali sobie trudu, by ukryć to, co się tam odbywało; nadzorowali operację ze spokojną pewnością, wynikającą z ich uprzywilejowanego miejsca w hierarchii wojskowej. Płaszcze, koce, ziemniaki, fasola w puszkach, broń; dziesięcina z tych artykułów codziennie przepływała z wagonów do ciężarówek. Kiedy żołnierze kończyli z jednym wagonem, inspektorzy pieczętowali go i pociąg podjeżdżał do przodu, żeby można było zająć się kolejnym. Musieli pracować szybko, żeby pociągi odjeżdżały według rozkładu, który nie przewidywał przerwy na podkradanie artykułów na potrzeby czarnego rynku. Kiedy żołnierze uporali się ze swoim zadaniem, inspektorzy ogłaszali, że ładunek jest kompletny, i podpisywali dokumenty. Następnie wysyłali pociąg na front. Ciężarówki odjeżdżały, wykradzione produkty trafiały na czarny rynek, a inspektorzy dzielili się dochodem. Był to czysty, lukratywny interes. W swojej zajezdni inspektorzy palili drogie cygara, porównywali złote zegarki na łańcuszkach i grali w karty na stosy pengő. Strażnicy także musieli mieć udział w zyskach – w porze obiadowej, zamiast stać w kolejce do namiotu kuchennego, pili piwo, opiekali sznury kiełbasek z Debreczyna, palili papierosy Mirjam i płacili robotnikom za czyszczenie ich nowiutkich butów.

Andras zdawał sobie sprawę, co podbieranie produktów oznacza dla żołnierzy i robotników na froncie. Nie starczy koców dla wszystkich, będzie za mało ziemniaków w zupie. Ktoś nie dostanie nowych butów, kiedy stare się

rozpadną. A robotnicy przymusowi ucierpią najbardziej: będą zmuszeni wypisywać skrypty dłużne na setki pengő, żeby kupić najbardziej podstawowe artykuły. Później, kiedy strażnicy i oficerowie pojadą do domów na przepustkę, pokażą te skrypty rodzinom dłużników, grożąc, że mężczyźni zginą, jeśli ich żony i matki nie dostarczą pieniędzy. Ale robotnicy na stacji Szentendre sprawiali wrażenie, jakby uważali te praktyki za coś oczywistego. Co którykolwiek z nich mógł zrobić, żeby to powstrzymać? Dzień za dniem ładowali pociągi, a żołnierze zdejmowali z nich ładunek.

Jakby dla przypomnienia ich bezsilności, wszyscy żydowscy robotnicy musieli teraz nosić opaski identyfikacyjne, brzydkie kawałki materiału w kolorze kanarkowym, które ześlizgiwały im się z rękawów. Klara musiała uszyć taką Andrasowi, zanim zgłosił się do pracy. Nawet Żydzi, którzy znacznie wcześniej przeszli na chrześcijaństwo, musieli nosić opaski, choć te były białe. Noszenie opasek było obowiązkowe przez cały czas. Nawet kiedy zrobiło się nadzwyczaj gorąco jak na tę porę roku – tydzień na początku maja, który sprawiał wrażenie późnego lata, słońce odbijało się od pokruszonych kamieni na stacji jak od miliona luster, powietrze było tak wilgotne, że robotnicy porozbierali się ze swoich przepoconych koszul – nawet wtedy musieli nosić opaski na nagich ramionach. Za pierwszym razem, kiedy Andras usłyszał, że ma zdjąć opaskę z porzuconej koszuli, spojrzał na strażnika z niedowierzaniem.

– Bez koszuli jesteś Żydem tak samo jak w koszuli – powiedział ten i odwrócił się dopiero, gdy Andras włożył opaskę.

Komendantem w Szentendre był mężczyzna o nazwisku Varsádi, wysoki brzuchaty chłop z nizin o spokojnym usposobieniu, ceniący sobie wypoczynek. Miał niegroźne przywary: fajka, piersiówka, słabość do słodyczy. Był nałogowym palaczem i pogodnym pijakiem. Kwestie dyscypliny zostawiał swoim ludziom, którzy byli mniej pobłażliwi, a ich uwagi nie odwracały tak łatwo pudełko wybornego egipskiego tytoniu czy pachnąca dymem szkocka whisky. Sam Varsádi lubił siedzieć w cieniu biura administracji, które stało na niskim sztucznym wzgórzu z widokiem na rzekę, i przyglądać się działaniom na stacji, przyjmując jednocześnie wizyty komendantów innych kompanii lub korzystając ze swojej części artykułów, które miały trafić na front. Andras zdawał sobie sprawę, że powinien być wdzięczny za to, że komendant nie przypomina Barny ani nawet Káloziego, ale widok Varsádiego z piętami na drewnianej skrzynce, ramionami skrzyżowanymi na piersi z wyrazem ukontentowania i smużką dymu unoszącą się znad fajki był dla niego szczególnym rodzajem tortury.

Pod koniec pierwszego tygodnia w pracy Andras i Mendel zaczęli omawiać możliwość wydawania gazety na stacji Szentendre – miała się nazywać „Krzywy Tor".

– À la mode na Szentendre – zaimprowizował pewnego ranka w autobusie Mendel, wskazując na opaskę na ramieniu: kolor żółty, jak zawsze w modzie na wiosnę, w tym sezonie okazał się absolutnym hitem. Andras roześmiał się, a Mendel wyciągnął notes i zaczął pisać. „Młodzi przedstawiciele modowej awangardy z kompanii 79/6 zachwycają zdumione tłumy akcesoriami w kolorze jaskra – przeczytał na głos parę minut później. – To się nosi! Ulubionym dodatkiem dandysów jest obecnie zgrabna opaska szerokości dziesięciu centymetrów, noszona w okolicach bicepsa, wykonana z egipskiego diagonalu, odpowiednia na każdą okazję. W przyszłym tygodniu: Nasz korespondent z działu «Moda» prowadzi dochodzenie na temat najnowszego szału na nagość wśród żołnierzy na froncie wschodnim".

– Niezłe – powiedział Andras.

– Szentendre to łatwy cel. Dziwię się, że jeszcze nie mają gazety.

– Ja nie – odparł Andras. – Tutaj ludzie sprawiają wrażenie, jakby spali.

– Otóż to. Codziennie patrzą, jak te wojskowe fagasy kradną chleb chłopcom na froncie, i traktują to jako coś naturalnego!

– Tylko dlatego, że to nie oni sami umierają z głodu.

– No cóż, trzeba ich obudzić – powiedział Mendel. – Rozzłośćmy ich trochę na to, co się tutaj dzieje. Najpierw ich rozbawimy, tak jak zwykle. A po jakimś czasie wrzucimy kawałek czy dwa o tym, jak się żyje w prawdziwym obozie. Szczególnie kiedy jest mało jedzenia albo brakuje palt. Może zainspirujemy ich do tego, żeby trochę zwolnili przebieg operacji. Jeśli będziemy się wolniej ruszać podczas załadunku, żołnierze będą mieli mniej czasu na rozładowywanie. Pociągi tak czy siak muszą wyjeżdżać o czasie, sam wiesz.

– Ale jak to zrobić, nie narażając się?

– Może nie będziemy musieli ukrywać gazety przed Varsádim i strażnikami. Jeśli polewa będzie odpowiednio słodka, nigdy nie poczują, co jest w środku pigułki. Będziemy wychwalać Szentendre pod niebiosa w porównaniu z innymi dziurami, w których byliśmy, i obie strony usłyszą to, na czym nam zależy.

Andras się zgodził i tak się zaczęło. „Krzywy Tor" miał być bardziej kunsztowną operacją niż dwie poprzednie gazety; mieszkają w Budapeszcie, więc

będą mieć dostęp do maszyny do pisania, stołu kreślarskiego i szeregu materiałów. Podróż do Szentendre i z powrotem to zarazem dwa spotkania redakcji dziennie. Zaczną powoli, wypełnią pierwsze numery samymi żartami. Jak zwykle będą sfabrykowane wiadomości, sport, moda i pogoda; będzie specjalny dział „Kultura" z recenzjami z wydarzeń. „W tym tygodniu na deskach baletu Szentendre zadebiutował spektakl «Wagon» – napisał Mendel w pierwszym numerze – olśniewający utwór zespołowy. Choreografię stworzył Varsádi Varsádius, budapeszteński *enfant terrible* tańca. Swoisty element powtarzalności rekompensowała zachwycająca różnorodność wieku i warunków fizycznych tancerzy". Pojawiła się także nowa rubryka pod tytułem „Napisz do Hitlera". W ich drugi poniedziałek na Szentendre Mendel zaprezentował Andrasowi maszynopis;

„DROGI HITLERZE: Objaśnij, proszę, swój plan rozwoju kampanii wojennej na wschodzie. Serdeczności, ŻOŁNIERZ.

DROGI ŻOŁNIERZU: Tak się cieszę, że o to zapytałeś! Planuję zbudować wielką maszynkę do mięsa w pobliżu Leningradu, napełnić ją młodymi mężczyznami i kręcić korbką najszybciej, jak potrafię. Dubeltowe serdeczności, HITLER.

DROGI HITLERZE: Jak zamierzasz walczyć z flotą brytyjską na Morzu Śródziemnym? Z poważaniem, POPEYE.

DROGI POPEYE'U: Po pierwsze, masz we mnie oddanego wielbiciela! Wybaczam Ci, że jesteś Amerykaninem. Mam nadzieję, że odwiedzisz nas w Rzeszy, kiedy już skończy się ta cała paskudna historia. Po drugie, oto mój plan: będę zwalniał moich admirałów, aż trafię na takiego, co zechce przyjmować rozkazy od Führera, który nigdy nie był na morzu. Pełen podziwu, HITLER.

DROGI HITLERZE: Jaki masz stosunek wobec Węgier? Oddany, M. HORTHY.

DROGI HORTHY: Stosunek? Jak Pan Bóg przykazał, choć od czasu do czasu lubię od tyłu, tak dla urozmaicenia. Kochający, HITLER".

– Może powinniśmy pogadać z Frigyesem Epplerem – powiedział Andras po przeczytaniu artykułu. – Może pozwoliłby nam drukować tę gazetę na prasie w biurze „Dziennika"? Za nic nie chciałbym wydawać takiego arcydzieła na pastwę powielacza.

– Pochlebiasz mi, Parisi – odparł Mendel. – Myślisz, że on by na to poszedł?

– Możemy spytać. Nie sądzę, żeby żałował nam odrobiny tuszu i papieru.

– Zrób ilustracje – powiedział Mendel. – To tylko pomoże naszej sprawie.

Andras wywiązał się z zadania, spędzając przy stole kreślarskim bezsenną noc. Zaprojektował wymyślny nagłówek gazety: dwa puste wagony otaczające z obu stron tytuł wypisany gotycką czcionką. Dział mody zdobił rysunek młodego dandysa w kompletnym uniformie Munkaszolgálat, z opaską roztaczającą blask. Recenzja z baletu ukazywała rząd robotników, grubych i szczupłych, młodych i starych, jak z wysiłkiem starają się utrzymać w górze skrzynie z amunicją. Jeżeli chodzi o dział z Hitlerem, to najlepszym podejściem wydawała się uroczysta powaga; Andras wykonał szczegółowy rysunek ołówkiem na podstawie zdjęcia Führera ze starego numeru „Pesti Napló". Tego ranka Klara obudziła się o czwartej, żeby nakarmić Tamása, który nie nauczył się jeszcze spać przez całą noc. Kiedy położyła go z powrotem, weszła do salonu i zbliżyła się do Andrasa, przytulając się do jego pleców.

– Czemu jeszcze nie śpisz? – zapytała. – Nie wybierasz się do łóżka?

– Prawie skończyłem. Zaraz przyjdę.

Klara pochyliła się nad stołem kreślarskim, żeby zobaczyć, co Andras przykleił do jego pochyłej powierzchni.

– „Krzywy Tor" – przeczytała. – Co to takiego? Kolejna gazeta?

– Najlepsza z dotychczasowych.

– Andras, ty chyba nie mówisz poważnie! Pomyśl, co się zdarzyło w Siedmiogrodzie.

– Pomyślałem – odpowiedział. – To nie Siedmiogród. Varsádi to nie Kálozi.

– Varsádi, Kálozi. To nie ma znaczenia. Twoje życie jest w ich rękach. Nie wystarczy ci, że znów zostałeś powołany? „Napisz do Hitlera"?

– Na Szentendre sytuacja jest inna – odparł. – Dział dowodzenia nawet nie zasługuje na to miano. Nie zamierzamy się kryć z publikacją.

– Jak to nie zamierzacie się kryć? Zaproponujecie Varsádiemu prenumeratę?

– Gdy tylko uda nam się wydrukować pierwszy numer.

Klara pokręciła gwałtownie głową.

– Nie możesz tego zrobić. To zbyt niebezpieczne.

– Wiem, że to ryzyko – powiedział. – Może nawet lepiej niż ty. Ta gazeta to nie tylko zabawa, Klaro. Chcemy sprawić, żeby robotnicy zaczęli myśleć o tym, co się dzieje na Szentendre. Codziennie pozbawiamy naszych braci na froncie niezbędnego wyposażenia. W moim przypadku dosłownie chodzi o brata.

– Dlaczego sądzisz, że Varsádi nie będzie się sprzeciwiał?

– Jest sybarytą i starym, łatwowiernym głupcem. Gazeta będzie wychwalać jego dowodzenie. A on nie zauważy nic innego. Nie poczuwa się do lojalności wobec niczego z wyjątkiem własnych przyjemności. Byłbym zaskoczony, gdyby miał jakiekolwiek zdanie o polityce.

– A jeśli się mylisz?

– To przestaniemy ją wydawać. – Wstał i objął żonę, ale Klara stała wyprostowana i nieustępliwie wpatrywała się w niego.

– Nie mogę znieść myśli o tym, że cokolwiek mogłoby ci się stać – powiedziała.

– Jestem mężem i ojcem – odparł, przesuwając dłonią po wypukłości jej kręgosłupa. – Jeżeli uznam, że zagraża mi jakiekolwiek realne niebezpieczeństwo, natychmiast przestanę.

W tym momencie Tamás znów zaczął płakać i Klara wysunęła się z objęć Andrasa i poszła uspokoić dziecko. Andras nie kładł się aż do świtu, żeby dokończyć pracę. Rano Klara była cichsza niż zazwyczaj, ale nie protestowała więcej. Andras był przekonany, że z czasem zrozumie jego racje, nawet te, których nie przedstawił – te były bardziej osobiste i dotyczyły różnicy pomiędzy poczuciem bycia na łasce losu a poczuciem, że ma choćby minimalny wpływ na sytuację.

Była sobota wieczór; Andras wiedział, że zastanie Epplera w redakcji „Dziennika", gdzie jak co tydzień spierał się on o ostatnie poprawki redakcyjne do wydania niedzielnego. Po obiedzie razem z Mendlem zanieśli swoją twórczość do biura i przedłożyli swoją prośbę. Chcieli uzyskać pozwolenie na skład i wydrukowanie stu egzemplarzy gazety co tydzień. Będą przychodzić po godzinach i używać przestarzałej prasy ręcznej, którą „Dziennik" przechowywał wyłącznie do użytku w sytuacjach awaryjnych.

– Chcecie, żebym podarował wam papier i tusz? – spytał Eppler.

– Proszę pomyśleć o tym jako o wkładzie „Madziarskiego Dziennika Żydowskiego" w poprawę bytu robotników przymusowych – odparł Mendel.

– A co z poprawą mojego bytu? – spytał Eppler. – Mój naczelny i tak nic tylko suszy mi głowę z powodu złego stanu naszych finansów. Co powie, kiedy zaczną znikać nam materiały?

– Niech pan mu powie, że wojna spowodowała braki w dostawach.

– Już dawno tak jest!

– Proszę to zrobić dla Parisiego – powiedział Mendel. – Powielacz okropnie zamazuje jego rysunki.

Eppler przyjrzał się rysunkom Andrasa przez soczewki swoich okularów w rogowej oprawie.

– Niezły ten Hitler – odezwał się. – Powinienem był lepiej wykorzystać twoje możliwości, kiedy jeszcze dla mnie pracowałeś.

– Wykorzysta je pan w pełni, kiedy znów będę u pana pracował – odparł Andras.

– Jeśli pozwoli pan nam drukować „Krzywy Tor", Parisi przysięgnie, że wróci do pracy u pana, gdy tylko skończy z Munkaszolgálat – dodał Mendel.

– Mam nadzieję, że wtedy wróci na uczelnię.

– Będę musiał z czegoś opłacać czesne – odparł Andras.

Eppler westchnął ciężko, wyciągnął z kieszeni wielką chustkę do nosa i otarł nią czoło, a potem spojrzał na zegar ścienny.

– Muszę wracać do pracy – powiedział. – Możecie drukować po pięćdziesiąt egzemplarzy tego waszego szmatławca i ani jednego więcej. W poniedziałki wieczorem. Niech nikt was na tym nie przyłapie.

– Całujemy pańskie rączki, Eppler-úr – odpowiedział Mendel. – Dobry z pana człowiek.

– Jestem zgorzkniałym człowiekiem pozbawionym złudzeń. Ale podoba mi się myśl, że jedna z naszych pras będzie mogła wydrukować kilka słów prawdy.

Kiedy Andras i Mendel sprezentowali Varsádiemu inauguracyjny egzemplarz „Krzywego Toru", major wynagrodził ich, śmiejąc się tak serdecznie, że musiał wyciągnąć chustkę z kieszeni i otrzeć oczy. Pochwalił ich za to, że umieją podchodzić do swojego położenia z przymrużeniem oka, i wyraził opinię, że inni robotnicy mogliby nauczyć się od nich paru rzeczy. Odpowiednie podejście, powiedział, wskazując na nich rozżarzonym końcem cygara, by

podkreślić wagę swojej wypowiedzi, może każdą sytuację uczynić lżejszą. Tego wieczoru Andras przyniósł Klarze wiadomość, że dostali pozwolenie na wydawanie „Krzywego Toru", a ona udzieliła mu, choć niechętnie, swojego błogosławieństwa. Następnego dnia razem z Mendlem rozdali pięćdziesiąt egzemplarzy pierwszego numeru – cały nakład rozszedł się błyskawicznie i został przeczytany od deski do deski z takim samym zachwytem jak pierwsze numery „Śnieżnej Gęsi" i „Kąśliwego Gza". Niebawem Varsádi nabrał zwyczaju czytania gazety na głos oficerom Munkaszolgálat, którzy w porze obiadu odwiedzali stację Szentendre; Andras i Mendel słyszeli ich śmiech, dolatujący ze sztucznego wzgórza, na którym urządzano długie obiady.

Każdy na Szentendre chciał pojawić się na łamach gazety, nawet brygadziści i strażnicy, którzy w porównaniu z Varsádim wydawali się tacy surowi. Brygadzista ich własnego oddziału, Faragó, nieobliczalny mężczyzna, który lubił pogwizdywać piosenki z amerykańskich przedstawień i miał zwyczaj kopać swoich ludzi od tyłu, kiedy tracił cierpliwość, zaczął przy pracy mrugać porozumiewawczo do Andrasa i Mendla. Aby sprawić mu satysfakcję i uniknąć jego kopniaków, napisali artykuł zatytułowany „Słowik z Szentendre", recenzję muzyczną, w której wychwalali jego umiejętność odtworzenia dowolnej melodii z Broadwayu aż do trzydziestej drugiej nuty. Trzeci tydzień w obozie dostarczył im przypadkiem kolejnego tematu: stacja otrzymała dużą i zagadkową dostawę damskiej bielizny, a robotnicy załadowali połowę do pociągu, zanim komukolwiek przyszło do głowy zastanowić się, po co żołnierzom na froncie sto czterdzieści niemieckich biustonoszy o wzmocnionej konstrukcji. Inspektorzy, oszołomieni perspektywą popytu na te artykuły na czarnym rynku, przywłaszczyli sobie trzy oddziały robotników przymusowych, aby przeładowali towar z pociągu do krytych ciężarówek; w południe przerwa obiadowa zamieniła się w pokaz mody prezentujący najświeższą dostawę odzieży prosto z Rzeszy. Zarówno robotnicy, jak i strażnicy paradowali w stanikach o usztywnionych miseczkach, zatrzymując się przed Andrasem, by mógł naszkicować ich podobizny. Choć resztę popołudnia zajęła im cięższa praca – przyjechało pół tuzina ciężarówek z amunicją, którą trzeba było załadować do wagonów – Andras prawie nie czuł zmęczenia w plecach ani drzazg ze skrzyń w dłoniach. Rozmyślał nad serią rysunków o modzie, które mógłby wykonać -"Berliński szyk w Budapeszcie !" – i obliczał, kiedy będą mogli z Mendlem zacząć nadawać gazecie docelowy kurs. Dostawy z kolejnego tygodnia okazały się idealną do tego okazją. Przez trzy dni ciężarówki dowoziły wyłącznie artykuły medyczne, jakby po to, żeby zatamować ogromny upływ krwi na wschodzie. Kiedy żołnierze nieśli skrzynki morfiny i materiałów opatrunkowych do ciężarówek przeznaczonych na

czarny rynek, Andras myślał o listach Tibora z ostatniego miejsca, w którym stacjonowała jego kompania – „Oczywiście nie mam tu szyn chirurgicznych, gipsu ani antybiotyków" – i zaczął układać w myśli nowy dział. „Zażalenia z frontu", tak się będzie nazywać cykl listów od poborowych z Munkaszolgálat dotkniętych chorobami, głodem i wystawionych na ciężkie warunki atmosferyczne. Przedstawiciel KMOF będzie odpowiadał napomnieniami, by wzięli się w garść i pogodzili z tym, że na wojnie nie ma lekko: za kogo się uważają te skamlące francuskie pieski? Powinni zachowywać się jak mężczyźni, do diabła, i pomyśleć o tym, że ich cierpienia służą sprawie madziarskiej. Andras przedstawił pomysł Mendlowi podczas wieczornej jazdy autobusem i w następnym tygodniu umieścili pierwszy list w niedużej ramce na ostatniej stronie.

Przed końcem miesiąca w szeregach kompanii 79/6 nastąpiła niemal niezauważalna zmiana. Wydawało się, że niektórzy z robotników z nową uwagą przyglądają się temu, co odbywa się codziennie w zajezdni inspekcyjnej. Skupieni w niedużych grupkach patrzyli, jak żołnierze w pośpiechu wyładowują skrzynie z jedzeniem i odzieżą, ostemplowane znakiem KMOF. Śledzili przemieszczanie się pudeł z pociągu do ciężarówek, a potem odjazd ciężarówek przez bramy stacji przeładunkowej. Andras i Mendel, którzy dzięki swojej roli wydawców „Krzywego Toru" zyskali pewien status, zaczęli podchodzić do grupek i rozmawiać z niektórymi mężczyznami. Ściszonymi głosami wskazywali, jak mało czasu mają żołnierze na przeładowanie towarów; drobne poprawki ze strony robotników mogłyby opóźnić kradzież na tyle, że kilka bandaży i parę skrzynek płaszczy więcej trafiłoby do żołnierzy na froncie.

W następnym tygodniu kompania 79/6 zaczęła prawie niedostrzegalnie ociągać się przy ładowaniu towarów do wagonów. Zmiana dokonała się na tyle powoli i subtelnie, że brygadzista nie zauważył ogólnej tendencji. Ale Andras i Mendel ją widzieli. Patrzyli na to z cichym triumfem i porównywali swoje wrażenia podczas szeptanych konferencji w autobusie. Wszystko wskazywało na to, że mała zmiana, na którą liczyli, się dokonała. Potwierdzały to ich rozmowy z innymi robotnikami. Oczywiście nie sposób było się dowiedzieć, czy to coś zmieni w sytuacji mężczyzn na froncie, ale i tak było to lepsze niż nic: malutki akt protestu, odosobniona jednostka oporu wewnątrz ogromnej machiny Munkaszolgálat. W następnym tygodniu, kiedy przyszli z tą wiadomością do Frigyesa Epplera, poklepał ich po ramieniu, poczęstował żytniówką, którą trzymał w gabinecie, i sobie przypisał całą zasługę.

W niedziele, kiedy Andras nie musiał się stawiać na stacji Szentendre, razem z Klarą szli na obiad do domu przy Benczúr utca, w którym teraz brakowało już wszystkiego poza najniezbędniejszymi meblami. Kiedy jedli w ogrodzie przy długim stole przykrytym białym obrusem, Andras miał wrażenie, że pochłonęło go zupełnie inne życie. Nie rozumiał, jak to możliwe, że sobotę spędził, ładując do wagonów worki z mąką i skrzynie z amunicją, a teraz pił słodki tokaj i jadł filety z sandacza balatońskiego w cytrynowym sosie. József Hász pokazywał się czasem na tych niedzielnych obiadach rodzinnych, często ze swoją dziewczyną, tyczkowatą córką magnata na rynku nieruchomości. Na imię miała Zsófia. Byli przyjaciółmi od dziecka, bawili się razem nad Balatonem, gdzie ich rodziny miały sąsiadujące ze sobą letnie domy. Ci dwoje siadali na ławce w rogu ogrodu i palili smukłe ciemne papierosy, rozmawiając z głowami pochylonymi ku sobie. György Hász nie znosił palenia. Kazałby Józsefowi robić to na ulicy, gdyby nie było z nim dziewczyny. W obecnej sytuacji udawał, że nie widzi ani ich, ani papierosów. Był to jeden z wielu pozorów, które komplikowały popołudnia spędzane przy Benczúr utca. Czasem trudno było je spamiętać, tak wiele ich było. Udawano, że Andras nie spędza reszty tygodnia na ładowaniu wagonów towarowych, podczas gdy József maluje w swoim atelier na Budzie; że nie miało miejsca długoletnie wygnanie Klary we Francji; że teraz jest bezpieczna i że powodem stopniowego, ale nieuchronnego znikania rodzinnych obrazów, dywanów i ozdób, biżuterii młodszej pani Hász i wszystkich bez mała służących, samochodu z szoferem, fortepianu z pozłacanym stołkiem, bezcennych starych książek i intarsjowanych mebli nie jest ochrona Klary przed aresztowaniem, ale utrzymywanie Józsefa z dala od Munkaszolgálat.

Świadectwem egotyzmu Józsefa było to, że uważał, iż jest wart wszystkich wyrzeczeń rodziny. Jego własne luksusy nie zostały ograniczone: w swoim dużym, jasnym mieszkaniu na Budzie przebywał wśród rzeczy wyniesionych z rodzinnego domu – starych dywanów, mebli i kryształów, które zabrał stamtąd, zanim zaczął się powolny, nieubłagany odpływ. Andras widział raz to mieszkanie, kilka miesięcy po urodzeniu Tamása, kiedy wybrali się tam z wieczorną wizytą. József poczęstował ich obiadem zamówionym ze słynnej starej restauracji Gundel, znajdującej się w parku miejskim; trzymał dziecko na kolanie, podczas gdy Andras i Klara jedli pieczone przepiórki, sałatkę z białych szparagów i tartę z grzybami. Pochwalił kształt głowy i rączek kuzynka i oznajmił, że wyglądają zupełnie jak u jego matki. Odnosił się do Andrasa swobodnie i z pełną werwą, choć nigdy do końca nie pozbył się nutki urazy, która się pojawiła, kiedy Andras poinformował rodzinę o swoim związku z Klarą. József miał w zwyczaju maskować humorem wszelkie towarzyskie niezręczności. Andras był teraz wujem

Andrasem, ilekroć József znalazł okazję, by wypowiedzieć jego imię. Po obiedzie zabrał oboje do pokoju od północy, służącego mu za pracownię, gdzie stały wielkie płótna oparte o ścianę. Cztery jego wcześniejsze obrazy zostały ostatnio sprzedane, powiedział; dzięki rodzinnym koneksjom nawiązał współpracę z Móricem Pappem, marszandem z Váci utca, który zaopatrywał węgierską elitę w sztukę współczesną. Andras zauważył z rozgoryczeniem, że prace Józsefa poprawiły się znacznie od czasów studenckich w Paryżu. Jego kolaże – siatki ciemnego koloru rzucone na tła z drobnego czarnego żwirku, fragmenty starych znaków drogowych i torów kolejowych – zasługiwały na miano dobrej sztuki, można było nawet zauważyć w nich echa niepewności i trwogi, w których pogrążona była Europa. Kiedy Andras wygłosił pochwałę, József zareagował, jakby przyjmował to, co mu się należy. Andrasa wiele kosztowało uprzejme zachowanie aż do końca wieczoru.

W niedzielne popołudnia na Benczúr utca, kiedy József i jego Zsófia dołączali do siedzących przy stole, głównym tematem rozmowy było to, jak nudno się żyje w Budapeszcie w cieplejsze miesiące – o ile przyjemniej byłoby nad Balatonem i co by robili, gdyby znajdowali się tam w tej chwili. Razem z Zsófią zaczynali wspominać czasy, kiedy byli dziećmi – jak jej brat wypłynął z nimi daleko na jezioro przeciekającą łódką, jak pochorowali się po zjedzeniu niedojrzałych melonów, jak József próbował jeździć na kucyku Zsófii, który zrzucił go w jeżyny – Zsófia się śmiała, starsza pani Hász uśmiechała się i kiwała głową, bo wszystko jej się przypominało, a György i jego żona wymieniali spojrzenia, bo w końcu to właśnie dzięki temu domowi József uniknął Munkaszolgálat.

Pewnej niedzieli na początku czerwca Andras i Klara przyszli i zobaczyli, że ławka Józsefa jest pusta. Dla Andrasa perspektywa popołudnia bez jego towarzystwa była prawdziwą ulgą. Tibor i Ilana pojawili się jakiś czas wcześniej; ona bawiła się w trawie z małym Ádámem, podczas gdy Tibor siedział obok nich na wiklinowym szezlongu i naprawiał żonie rondo kapelusza od słońca. Kolejny dzień z rzędu był gorący i bezchmurny; młoda trawa przywiędła z braku deszczu. Ten tydzień na Szentendre był wyjątkowo męczący, Andras znosił to tylko dzięki myśli, że w niedzielę usiądzie sobie w tym cienistym ogrodzie, popijając zimną wodę sodową z syropem malinowym. Klara usiadła na trawie razem z Ilaną, trzymając Tamása na kolanach. Niemowlęta patrzyły na siebie tak jak zwykle, jakby zadziwione rewelacją, że na świecie istnieje inne dziecko. Młodsza pani Hász wyszła z domu z butelką wody sodowej, dzbanuszkiem rubinowego syropu

i sześcioma szklankami. Andras westchnął i zamknął oczy, czekając, aż na niskim stole zmaterializuje się szklanka wody z sokiem malinowym.

– Gdzie jest dziś wasz syn? – zapytał Tibor Elzę Hász.

– W gabinecie, z ojcem.

Andras zauważył nutę napięcia w jej głosie. Otrząsnął się z odrętwienia i przyjrzał się jej uważnie, kiedy podawała zgromadzonym szklanki z napojem. Ostatnie pięć lat mocno ją postarzyło. Ciemne włosy, ułożone nadal w modną krótką fryzurę, przetykane były teraz srebrem; delikatne zmarszczki wokół oczu pogłębiły się. Od kiedy widział ją ostatni raz, straciła na wadze – nie wiedział, czy to efekt zmartwień, czy niedojadania. Zastanawiał się z lekkim niepokojem, co György i József mogą omawiać w gabinecie. Słyszał ich głosy dobiegające przez otwarte okna – cichy, poważny ton ojca i nuty oburzenia w głosie syna. Kilka minut później József z impetem otworzył przeszklone drzwi, przeciął wyłożone terakotą patio i pomaszerował przez trawnik w kierunku matki, która siedziała na niskim krześle ogrodowym. Kiedy się do niej zbliżył, spojrzał na nią z taką furią, że zerwała się z miejsca.

– Powiedz, że się nie zgodziłaś – zażądał.

– Nie będziemy teraz o tym rozmawiać – odparła Elza Hász, kładąc mu dłoń na ramieniu.

– Dlaczego nie? Wszyscy tutaj jesteśmy.

Elza rzuciła pełne paniki spojrzenie w kierunku męża, który wyszedł na patio i z pośpiechem skierował się na trawnik.

– György! – zawołała. – Powiedz mu, że ma przestać o tym mówić.

– József, natychmiast zmień temat – rozkazał ojciec, zbliżając się do towarzystwa.

– Nie pozwolę wam sprzedać tego domu. To mój dom. Ma być moją własnością. Pewnego dnia zamierzam przyprowadzić tu swoją żonę, zacząć z nią wspólne życie.

– Sprzedać domu? – zapytała Klara. – O czym ty mówisz?

– Niech jej ojciec wytłumaczy – powiedział József.

György Hász utkwił w synu chłodne, surowe spojrzenie.

– Wejdź do środka – odezwał się.

– Nie. – Tym razem przemówiła starsza pani Hász, zaciskając dłonie na oparciach wiklinowego fotela. – Klara ma prawo wiedzieć, co się dzieje. Przyszła pora, żebyśmy jej powiedzieli.

Klara spoglądała na przemian na Józsefa, swoją matkę i Gyorgya, usiłując zrozumieć, co to wszystko znaczy.

– Dom należy do ciebie, György – rzekła. – Skoro myślisz o sprzedaniu go, na pewno masz ważny powód. Ale czy to prawda? Naprawdę masz taki zamiar?

– Nie martw się, Klaro – odpowiedział György. – Nic jeszcze nie jest przesądzone. Możemy pomówić o tym po obiedzie, jeśli chcesz.

– Nie – wtrąciła znów starsza pani Hász. – Powinniśmy pomówić o tym teraz. Klara powinna zadecydować z nami.

– Ale nie ma mowy o żadnej decyzji – odparła młodsza pani Hász. – Nie mamy wyboru. Rozmawianie o tym nic nie da.

– To wina Léviego – powiedział József, odwracając się do Andrasa. – Nie doszłoby do tego, gdyby nie on. To on ją przekonał, żeby wróciła na Węgry.

Wzrok Andrasa napotkał pytające spojrzenie Klary, a potem rozgniewane oczy Józsefa. Serce biło mu jak młotem. Wstał z miejsca i stanął przed Józsefem.

– Posłuchaj ojca – odezwał się. – Nie roztrząsaj tego tutaj.

Wargi Józsefa wykrzywiły się w złośliwym grymasie.

– Nie mów mi, co mam robić, wuju.

Teraz Tibor stanął obok brata, piorunując Józsefa wzrokiem.

– Nie tym tonem – warknął.

– Dlaczego mam go nie nazywać wujem? Przecież nim jest. Ożenił się z moją ciotką.

József splunął Andrasowi pod nogi.

Andras uderzyłby Józsefa, gdyby Klara nie złapała go w tym momencie za ramię. Uniósł się na palcach, zaciskając pięści. Nienawidził Józsefa Hásza. Dopiero w tej chwili zdał sobie z tego sprawę. Nienawidził wszystkiego, czym tamten był, co reprezentował. Poczuł, że struktura jego życia, krucha niczym sucha gałązka, traci swoje centrum, zaczyna się sypać. To József do tego doprowadził. Andras pragnął wyrwać mu włosy i zedrzeć mu z grzbietu koszulę z cienkiej bawełny.

– Siadajcie obaj – powiedziała starsza pani Hász. – Jest za gorąco. Musicie ochłonąć.

– Kto musi ochłonąć?! – krzyknął József. – Chodzi tylko o utratę mojego rodzinnego domu, nic więcej. Matka ma rację: nie ma mowy o żadnej decyzji. Już po wszystkim i nikt nie zapytał mnie o zdanie. Wszyscy ukrywaliście przede mną prawdę. Gorzej, kazaliście mi wierzyć, że to przeze mnie musimy oddawać wszystkie te meble, obrazy, samochód i Bóg wie ile pieniędzy! A przez cały ten czas płaciliśmy za błędy jej i jej męża!

– O czym ty mówisz? – zapytała Klara. – Co to ma wspólnego ze mną i Andrasem?

– To on cię tu sprowadził. To ty wróciłaś. Władze wiedzą o tym od blisko trzech lat. Myślałaś, że będziesz się wiecznie ukrywać za swoim francuskim nazwiskiem, a potem za nazwiskiem swojego męża? Nie wiedziałaś, że narażasz całą rodzinę na niebezpieczeństwo?

– Powiedz mi, *co* to znaczy, György – szepnęła Klara, zwracając się do brata. Trzymając dziecko na biodrze, przysunęła się do Andrasa.

Prawda musiała wyjść na jaw. Najkrócej i najjaśniej, jak to możliwe, György streścił całą historię: jak madame Novak ujawniła tożsamość Klary; jak i kiedy władze zwróciły się do Györgya; jakie rozwiązanie znalazł; że miał nadzieję, że urzędnicy zaspokoją swoją chciwość albo zmęczą się całą sprawą, zanim będzie zmuszony pozbyć się domu; i jak nie dawali za wygraną, doprowadzając rodzinę do obecnej sytuacji.

Klara zbladła, słuchając tego wszystkiego. Zakryła usta dłonią, przenosząc wzrok z Györgya na swego męża.

– Andras – wycedziła, kiedy György zamilkł. – Od jak dawna wiesz?

– Od zeszłej jesieni – odparł, z trudem patrząc jej w oczy.

Cofnęła się o krok i usiadła na jednym z wiklinowych foteli.

– O Boże. Wiedziałeś i nic mi nie powiedziałeś. Przez cały ten czas.

– Andras chciał ci powiedzieć – wtrącił György. – Wymogłem na nim obietnicę, że tego nie zrobi. Uważałem, że nie powinniśmy cię niepokoić w twoim ówczesnym stanie.

– A ty się zgodziłeś? – Spojrzała znowu na męża. – Uważałeś, że nie powinniście mnie niepokoić w moim ówczesnym stanie?

– Spieraliśmy się o to – powiedział György. – Uważał, że ty wolałabyś wiedzieć. Matka też była od początku tego zdania. Ale Elza i ja się nie zgadzaliśmy.

Klara płakała w poczuciu bezradności. Zerwała się z miejsca i zaczęła chodzić w tę i z powrotem po trawniku, trzymając dziecko w objęciach.

– To katastrofa – powiedziała. – Mogłam przecież coś zrobić. Mogliśmy coś razem wymyślić. Ale nikt nic mi nie powiedział! Ani słowa! Nawet mój mąż. Nawet moja własna matka!

Odwróciła się i skierowała do domu, a Andras ruszył za nią; zanim udało mu się ją dogonić, wzięła bawełniany żakiecik i wyszła przez ciężkie drzwi frontowe, zabierając ze sobą Tamása. Andras otworzył drzwi i wybiegł za nią na chodnik. Szybkim krokiem maszerowała Benczúr utca w stronę Bajza utca, a żakiet w kolorze melona łopotał za nią jak flaga. Ciemne włosy małego błyszczały w popołudniowym słońcu, a jego rączka na plecach Klary była dokładnie tej wielkości i kształtu co spinka rozgwiazda, którą nosiła na południu Francji. Andras ścigał ją teraz, tak samo jak wtedy. Biegłby za nią przez cały kontynent, gdyby musiał. Ale ruch uliczny na rogu Bajza utca i Városliget fasor zmusił ją do zatrzymania się, i stała tak, spoglądając na przejeżdżające samochody i ignorując jego obecność.

Zrównał się z nią i podniósł żakiet, który zsunął się jej z ramion, a jeden rękaw wlókł się po chodniku. Poczuł, że Klara trzęsie się z gniewu, gdy narzucił go jej na ramiona.

– Nie rozumiesz? – powiedział. – György miał rację. To byłoby ryzyko dla ciebie i dla dziecka.

Światło się zmieniło i Klara przeszła przez ulicę w stronę Nefelejcs utca tym samym szybkim krokiem. Andras szedł tuż za nią.

– Bałem się, że spróbujesz wyjechać – powiedział. – A ja musiałem wracać do Munkaszolgálat. Nie mógłbym pojechać z tobą.

– Odejdź ode mnie – odparła. – Nie chcę z tobą rozmawiać.

Pospiesznie ruszyła w stronę domu. Andras dotrzymywał jej kroku.

– Szanuję Györgya – rzekł. – Powiedział mi to w zaufaniu. Nie mogłem go zdradzić.

– Nie chcę o tym słuchać.

– Musisz mnie wysłuchać, Klaro. Nie możesz po prostu uciec.

Odwróciła się w jego stronę. Mały zakwilił w jej ramię.

– Pozwoliłeś mi zrobić z mojej rodziny żebraków – powiedziała. - Zadecydowałeś za mnie.

– To György zadecydował – odparł Andras. – I dobieraj uważniej słowa. Twój brat nie jest żebrakiem. Przeżyje, jeżeli będzie musiał się przeprowadzić do ośmiopokojowego apartamentu na Erzsébetváros.

– To mój dom – powiedziała, wybuchając znów płaczem. – Mój dom rodzinny.

– Nie wiem, czy pamiętasz, ale ja też swój straciłem – odparł Andras.

Odwróciła się znowu i poszła w stronę ich budynku. Przy wejściu zatrzymała się, przetrząsając torebkę w poszukiwaniu kluczy. Andras wyjął klucz i otworzył drzwi zewnętrzne. Z dziedzińca dobiegł odgłos fontanny i dzieci grających w klasy. Klara przebiegła przez podwórze i zaczęła wchodzić po schodach; dzieci przerwały zabawę, ściskając w rękach skorupy potłuczonych naczyń. Jej szybkie kroki dźwięczały nad jego głową, układając się w spiralę, w miarę jak wchodziła coraz wyżej. Zanim dotarł na górę, Klara zniknęła w mieszkaniu. Drzwi frontowe były otwarte; powietrze w korytarzu wibrowało ciszą. Zamknęła się na klucz w sypialni. Mały zaczął płakać i Andras usłyszał, jak Klara próbuje go uspokoić, ich Tamása – mówi do niego, zastanawia się na głos, czy jest głodny, czy ma mokro, jak chodzi z nim w tę i z powrotem po pokoju. Andras poszedł do kuchni i oparł głowę o chłodny bok lodówki. Instynkt kazał mu przecież od razu powiedzieć jej prawdę. Dlaczego tego nie zrobił?

Siedział w kuchni i czekał, aż Klara wyjdzie. Czekał, a cienie mebli na kuchennej podłodze robiły się coraz dłuższe, a potem wspięły się na ścianę. Zaparzył kawę i ją wypił. Próbował przeglądać gazetę, ale nie był w stanie się skupić. Czekał z rękami złożonymi na podołku, a kiedy zmęczył się czekaniem, wyszedł na korytarz i stanął pod drzwiami. Położył rękę na gałce. Obróciła się pod jego palcami. Po drugiej stronie była Klara. Mały spał na łóżku, rączki miał odrzucone za głowę jakby w geście poddania. Oczy Klary były zaróżowione, rozpuszczone włosy opadały jej na ramiona. Wyglądała dokładnie tak jak Elisabet, kiedy Andras poszedł sprawdzić, czy uda mu się wywabić ją z pokoju przy rue de Sévigné. Jedną rękę miała założoną na piersi i trzymała się za ramię, jakby ją bolało. Jej kroki na podłodze sypialni rozbrzmiewały godzinami; przez cały ten czas chodziła z małym na ręku.

– Usiądź ze mną – powiedział Andras, biorąc ją za rękę. Zaprowadził ją do sofy w salonie i usiadł razem z nią, trzymając jej dłoń.

– Przepraszam – odezwał się. – Powinienem był ci powiedzieć.

Spojrzała na jego palce, zaciśnięte na jej dłoni, i grzbietem drugiej przesunęła po oczach.

– Uwierzyłam, że już po wszystkim – powiedziała. – Wróciliśmy tutaj i zaczęliśmy inne życie. Przestałam się bać. A w każdym razie nie bałam się już tych samych rzeczy co przed wyjazdem.

– Na tym mi właśnie zależało – odparł Andras. – Nie chciałem, żebyś się bała.

– Powinieneś był mi zaufać, że postąpię właściwie – powiedziała. – Nie naraziłabym naszego dziecka na niebezpieczeństwo. Nie próbowałabym wyjechać z kraju, kiedy ty byłeś w Munkaszolgálat.

– Ale co byś zrobiła? Co my teraz zrobimy?

– Wyjedziemy – odrzekła. – Wyjedziemy wszyscy, zanim György straci to, co jeszcze zostało. Nawet jeśli nie uda mu się zatrzymać domu, nie będzie pozbawiony środków do życia. Niejedno można jeszcze ocalić. Porozmawiamy z tym Kleinem, ty i ja, i poprosimy go, żeby zorganizował wyjazd. Musimy dostać się do Palestyny. Stamtąd może być łatwiej popłynąć do Stanów.

– Pozbędziesz się budynku w Paryżu?

– Naturalnie – odparła Klara. – Pomyśl, ile stracił już mój brat.

– Ale jak ich powstrzymamy przed dalszym nękaniem go? Jeżeli uciekniesz, czy nie będą próbowali wydobyć od niego informacji, gdzie jesteś?

– On też musi pojechać. Musi sprzedać wszystko, co zostało, i uciec stąd najszybciej, jak to możliwe.

– A twoja matka? I moi rodzice? I Mátyás? Nie możemy wyjechać, nie wiedząc, co się z nim stało. Rozmawialiśmy już o tym, Klaro. Nie możemy tak zrobić.

– Zabierzemy rodziców ze sobą. I zadbamy o to, żeby Mátyás też mógł wyjechać, jeśli wróci na czas.

– A jeżeli nie?

– To porozmawiamy z Kleinem i zorganizujemy to tak, żeby mógł do nas dołączyć, kiedy wróci.

– Posłuchaj mnie. Setki ludzi zginęły, usiłując przedostać się do Palestyny.

– Rozumiem. Ale musimy spróbować. Jeżeli zostaniemy, odbiorą rodzinie wszystko. A ostatecznie może się okazać, że pieniądze im nie wystarczą.

Andras siedział w milczeniu przez dłuższą chwilę.

– Wiesz, co Tibor sądzi na ten temat – powiedział. – Już dawno chciał, żebyśmy wyjechali.

– A ty co o tym sądzisz?

– Nie wiem. Nie wiem.

Jej pierś unosiła się i opadała pod zasłoną bluzki.

– Musisz zrozumieć – powiedziała. – Nie mogę tu zostać i pozwolić, żeby rozprawiono się w ten sposób z nami, z moją rodziną. Nie mogłam wtedy. I teraz też tego nie zrobię.

Andras rozumiał. Znał ją przecież: taką miała naturę. Dlatego właśnie György jej nie powiedział. Będą musieli opuścić Węgry. Sprzedadzą jej nieruchomość w Paryżu; pójdą do Kleina i będą go błagać, żeby zorganizował jeszcze jeden, ostatni wyjazd. Tej nocy zaczną planować, jak to wszystko zrobić. Ale w tej chwili nie było już nic więcej do powiedzenia. Znów wziął Klarę za rękę, a ona nie odwróciła wzroku, i wiedział, że ona rozumie, dlaczego przez tyle miesięcy ukrywał przed nią prawdę.

Rozdział trzydziesty trzeci

Podróż na Wschód

W TYGODNIACH, KTÓRE NADESZŁY, starał się nie myśleć o „Strumie". Starał się nie myśleć o oszukanych pasażerach, którzy znaleźli się na pokładzie wraku, bez żywności i nieodpowiednio wyposażeni. Starał się nie myśleć o perspektywie ich własnej podróży Dunajem, nieustającej obawie, że ktoś ich wykryje, o tym, że jego żona i syn będą cierpieć wskutek braku wody i jedzenia; starał się nie myśleć o tym, że zostawi w Europie rodziców i brata. Usiłował skupić się tylko na konieczności i sposobach zorganizowania wyjazdu. Zadepeszował do Rosena, żeby poinformować go o zmianie ich sytuacji i konieczności pośpiechu. Dwa tygodnie później pocztą lotniczą nadeszła wiadomość, że Shalhevet udało się uzyskać sześć specjalnych wiz – sześć! – czyli dość dla Andrasa i Klary, Tibora i Ilany oraz dzieci. Kiedy dotrą do Palestyny, pisał Rosen, łatwiej będzie zdobyć wizy dla pozostałych – dla Mendla Horovitza, który będzie niezwykle cennym nabytkiem dla Jiszuwu, dla Györgya i Elzy, rodziców Andrasa i reszty rodziny. Nie mieli czasu na świętowanie; za dużo było do zrobienia. Klara musiała napisać do prawnika w Paryżu, żeby przyspieszył sprzedaż nieruchomości. Andras musiał napisać do rodziców, żeby wyjaśnić im, co się dzieje i dlaczego. I musieli zobaczyć się z Kleinem.

Klara wpadła na pomysł, żeby pojechali wszyscy razem, cała szóstka. Uważała, że Klein może być bardziej skłonny do pomocy, jeżeli pozna ludzi, których miał uratować. Postanowili wybrać się tam w niedzielne popołudnie; ubrali się w stroje wizytowe i wzięli ze sobą dzieci w wózkach. Klara i Ilana szły z przodu, ich letnie kapelusze nachylały się ku sobie jak kielichy dwóch dzwonków. Andras i Tibor podążali za nimi. Wyglądali jak najzwyklejsza węgierska rodzina na niedzielnym spacerze. Nikt nie domyśliłby się, że brakuje siódmego, brata, który zaginął na Ukrainie. Nikt by nie odgadł, że usiłują zorganizować nielegalną ucieczkę z Europy. W torebce Klara miała telegram od prawnika, w którym było napisane, że wartość jej nieruchomości przy rue de Sévigné wynosi dziewięćdziesiąt tysięcy franków, a przelew pieniędzy ze

sprzedaży, choć utrudniony, może zostać wykonany dzięki jego znajomym w Wiedniu, którzy mają kontakty w Budapeszcie. Transakcja nie zostanie przeprowadzona pod nazwiskiem Klary; budynek przeszedł oficjalnie na własność prawnika, który nie był Żydem, bo w okupowanej Francji posiadanie nieruchomości przez Żydów zostało zakazane. Wszystkich po drodze należało oczywiście opłacić, ale gdyby sprzedaż poszła dobrze, zostałoby jakieś siedemdziesiąt tysięcy franków. Nikt by się nie domyślił, patrząc na Klarę, jak idzie ulicą Váci utca w to niedzielne popołudnie – smukłe plecy wyprostowane, twarz spokojna w bladoniebieskim cieniu kapelusza – jak bardzo nieszczęśliwa była dwa dni wcześniej, kiedy pisała telegram do prawnika, polecając mu sprzedać budynek. Wiele czasu upłynęło od chwili, kiedy wyobrażali sobie z Andrasem, że pewnego dnia wrócą do swojego dawnego życia, w Paryżu. Ale mieszkanie i studio były realnymi rzeczami, jej własnością; wyznaczały jej terytorium w mieście, które przez siedemnaście lat było jej domem. Ta nieruchomość sprawiała, że to, co niemożliwe, wydawało się możliwe; pozwalała im wierzyć, że wszystko może się jeszcze odmienić, że któregoś dnia mogą tam powrócić. Decyzja o sprzedaniu budynku niosła ze sobą poczucie swoistej ostateczności. Rezygnowali z tego źródła nadziei, aby móc zapłacić za desperacką podróż, która mogła skończyć się klęską, do miejsca, które było im całkowicie obce – osaczonego pustynnego terytorium pod brytyjskim zarządem. Ale podjęli decyzję. Spróbują. Tak więc Klara napisała do swojego prawnika, polecając mu przekazać dochód ze sprzedaży jego agentom w Wiedniu i Budapeszcie.

W domu na Frangepán köz, gdzie czas stał w miejscu i nawet światło słońca, spływające w dół przez wysokie chmury, sprawiało staroświeckie wrażenie, znaleźli stadko mlecznych kóz beczących na podwórku i skubiących stertę słodkiego siana. Siedmiomiesięczny Tamás z zafascynowaniem wpatrywał się w zwierzęta. Spojrzał na Klarę, jakby pytając, czy ma powody do niepokoju. Kiedy zobaczył, że matka się uśmiecha, odwrócił się znów w stronę kóz i pokazał na nie paluszkiem.

– Nasi synowie to mieszczuchy – odeswał się Tibor. – Kiedy ja byłem w jego wieku, widziałem już z tysiąc kóz.

– Może niedługo przestaną być mieszczuchami – odrzekła Klara.

Odwrócili się od kóz i poszli kamienną ścieżką do drzwi. Tibor zapukał i otworzyła im babka Kleina, z białymi włosami ukrytymi pod chustką i czerwono haftowanym fartuchem na sukience. Z kuchni napływał zapach faszerowanej kapusty. Andras, wyczerpany całotygodniową pracą, nagle poczuł wilczy głód.

Babka Kleina zaprosiła ich do jasnego salonu, gdzie w fotelu siedział starszy pan Klein, mocząc nogi w blaszanej balii. Miał na sobie ten sam wypłowiały karmazynowy szlafrok; włosy sterczały mu w tym samym skrzydlatym stylu, jakby jego głowa zamierzała odfrunąć. Nogi spowijała para o herbacianym zapachu. Podniósł dłoń na powitanie.

– Mężowi dokuczają halluksy – odezwała się pani Klein. – Inaczej wstałby, żeby się z wami przywitać.

– Witam was – powiedział starszy pan, uprzejmie skłaniając głowę. – Usiądźcie, proszę.

Pani Klein oddaliła się pełnym portretów korytarzem, żeby zawołać wnuka. Pomimo zaproszenia starszego Kleina żadne z nich nie usiadło. Zamiast tego czekali w ciasno zbitej grupce, rozglądając się po staroświecko umeblowanym pokoju i licznych fotografiach. Andras zobaczył, jak spojrzenie Klary wędruje po zdjęciach małej rodziny – chłopca, który musiał być małym Kleinem, pięknej i tajemniczej kobiety, mężczyzny o smutnych oczach – i poczuł znów, że ten dom kryje w sobie ducha jakiejś straty sprzed lat. Klara także musiała to wyczuć; przyciągnęła Tamása do siebie i przesunęła kciukiem po jego buzi, jakby ścierała z niej niewidoczną warstewkę mleka.

Klein przyszedł za babką korytarzem aż do salonu. Ona wymknęła się do kuchni, a on zbliżył się do nich, mrugając oczami w świetle popołudniowego słońca. Andras zaczął się zastanawiać, ile czasu minęło, od kiedy ostatni raz wychynął ze swojej jaskini pełnej teczek, map i odbiorników radiowych. Klein miał pod oczami fioletowe cienie, jego włosy były sztywne od brudu. Ubrany był w bawełniany podkoszulek i parę spodni poplamionych atramentem. Stopy miał bose. Najwyraźniej dawno się nie golił. Przyjrzał się uważnie grupce gości i pokręcił głową.

– Nie – powiedział. – Nie, powtarzam wam. Mowy nie ma.

– Wy sobie rozmawiajcie, a ja zrobię herbaty! – zawołała babka Kleina.

– Żadnej herbaty! – odkrzyknął do niej. – Nie rozmawiamy. Oni wychodzą. Rozumiesz?

Ale usłyszeli, jak ktoś otwiera i zamyka szafkę kuchenną i jak woda leje się do pustego metalowego czajnika.

Klein wzniósł dłonie w kierunku sufitu.

– Zachowuj się jak człowiek – powiedział starszy mężczyzna, do wnuka. – Przejechali kawał drogi.

– To, o co prosicie, jest niemożliwe – zwrócił się Klein do Andrasa i Tibora. – Niemożliwe, a do tego nielegalne. Możecie wszyscy skończyć w więzieniu albo zginąć.

– Wzięliśmy to pod uwagę – odezwała się Klara władczym tonem, zmuszając go, by na nią spojrzał. – I nadal chcemy jechać.

– To niemożliwe! – powtórzył.

– Ale przecież tym się pan zajmuje – powiedział Andras. – Robił to pan już wcześniej. Możemy zapłacić. Mamy pieniądze, a w każdym razie wkrótce będziemy je mieli.

– Ciszej proszę – odparł Klein. – Okna są otwarte. Nie wiecie, kto może słuchać.

Andras zniżył głos.

– Nasza sytuacja się pogorszyła – powiedział. – Chcemy, żeby zorganizował nam pan transport, a potem pomógł wydostać się stąd reszcie naszej rodziny.

Klein usiadł na kanapie i złapał się za głowę.

– Niech ktoś inny wam pomoże – odparł.

– Dlaczego mieliby szukać kogoś innego? – zapytał dziadek. – Ty jesteś najlepszy.

Z gardła Kleina wydobył się jęk. Jego babka, która skończyła przygotowywać herbatę w kuchni, weszła do salonu, popychając przed sobą stoliczek na kółkach, zatrzymała go obok kanapy i zaczęła napełniać antyczne filiżanki z Herendu.

– Jak ty im nie pomożesz, na pewno pójdą do kogoś innego – odezwała się z nutą cichego wyrzutu w głosie. Przekrzywiła głowę i przerwała nalewanie herbaty, by przyjrzeć się uważnie Klarze, jakby przyszłość była wypisana na tkaninie jej sukienki w groszki. – Pójdą do Pala Behrenbohma, a on im odmówi. Pójdą do Szászona. Do Bluma. A jak nic z tego nie wyjdzie, pójdą do Jánosa Speitzera. I wiesz, co się wtedy stanie. – Podała wszystkim filiżanki, częstując cukrem i śmietanką, a na koniec nalała sobie.

Klein przeniósł spojrzenie z babki na Andrasa, Klarę, Tibora, Ilanę i na dzieci. Wytarł dłonie o podkoszulek. Był sam jeden przeciwko nim wszystkim. Pokonany, podniósł obie ręce do góry.

– To wasz pogrzeb – powiedział.

– Usiądźcie, proszę, i wypijcie herbatę – odezwała się babka Kleina. – A ty, Miklós, nie musisz się tak nieprzyjemnie wyrażać.

Zajęli miejsca wokół stołu i zaczęli pić dziwną, dymną herbatę, którą dla nich przygotowała. Smakowała ogniskiem w lesie i przywodziła Andrasowi na myśl jesień. Ściszonymi głosami omówili szczegóły: że Klein zorganizuje transport barką po Dunaju, która należy do jego przyjaciela, że obie rodziny ukryją się w dwóch pomysłowo skonstruowanych przedziałach w części towarowej, że dla dzieci trzeba przygotować mleko zaprawione środkiem nasennym, aby nie płakały, że muszą zabrać ze sobą dodatkowe racje żywności na dwa tygodnie, bo podróż, która zazwyczaj zajmuje kilka dni, w czasie wojny może potrwać o wiele dłużej. Klein musiał wywiedzieć się o statki odpływające z Rumunii i o to, gdzie i jak będą mogli wsiąść na pokład. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, zorganizowanie podróży może zająć miesiąc, dwa. On, Klein, nie jest oszustem, tak jak János Speitzer. Nie wykupi im miejsca na niepewnym statku ani nie każe zabrać mniej jedzenia, niż potrzebują, po to tylko, żeby musieli kupować więcej od jego kolegów po nieludzkich cenach. Nie powierzy ich załodze, która ukradnie im bagaże albo nie pozwoli im zejść na ląd, jeżeli będą musieli iść do lekarza. Nie będzie też składał nieprawdziwych obietnic na temat bezpieczeństwa czy powodzenia podróży. W każdym momencie coś może pójść nie tak. Muszą to zrozumieć.

Kiedy Klein skończył, oparł się z powrotem o kanapę i podrapał przez podkoszulek po klatce piersiowej.

– Tak to właśnie jest – podsumował. – Ciężka, ryzykowna wyprawa. Bez żadnej gwarancji.

Klara pochyliła się do przodu i postawiła filiżankę na stoliczku.

– Bez żadnej gwarancji – powtórzyła. – Ale będziemy mieli przynajmniej szansę.

– Nie zamierzam dywagować na temat waszych szans – powiedział. – Ale jeżeli nadal chcecie skorzystać z moich usług, mogę się tym zająć.

Wymienili spojrzenia – Andras i Klara, Tibor i Ilana. Byli gotowi. Na to właśnie liczyli.

– Jak najbardziej – odrzekł Tibor. – Jesteśmy gotowi podjąć wszelkie niezbędne ryzyko.

Mężczyźni podali sobie dłonie i umówili się na kolejne spotkanie za tydzień. Klein ukłonił się kobietom i wycofał na korytarz, skąd za chwilę dobiegło trzaśniecie drzwi do jego pokoju. Andras wyobraził sobie, jak Klein wyjmuje z pudełka nową teczkę z szarego papieru i wypisuje ich nazwisko na etykietce. Ta myśl napełniła go uczuciem nagłej paniki. Tyle teczek. Całe sterty, wszędzie, na łóżku, stole i na biurku. Co się stało z tamtymi ludźmi? Ilu z nich dotarło do Palestyny?

Następnego wieczoru Klara udała się do brata, żeby poprosić go o przebaczenie. Razem z Andrasem poszli na Benczúr utca, pchając wózek z Tamásem. W gabinecie Györgya Klara ujęła dłonie brata i poprosiła, żeby jej wybaczył, żeby zrozumiał, jak bardzo była zaskoczona i – w tamtym momencie – niezdolna docenić tego wszystkiego, co dla niej zrobił. Nie mogła znieść myśli, że utracił już tyle majątku.

Powiedziała mu, że zleciła sprzedaż nieruchomości w Paryżu i gdy tylko odzyska dostęp do pieniędzy, zacznie spłacać dług wobec niego.

– Nie masz wobec mnie żadnego długu – odparł György. – Wszystko, co moje, jest twoje. Większość tego, co miałem, i tak pochodziła z majątku naszego ojca. A powierzanie mi pieniędzy nie jest obecnie dobrym pomysłem. Ci, którzy nas szantażują, znajdą sposób, żeby się do nich dobrać.

– Co w takim razie mogę zrobić? – zapytała Klara, bliska łez. – Jak mogę ci się odwdzięczyć?

– Możesz mi wybaczyć, że działałem w twoim imieniu bez twojej zgody. I może uda ci się przekonać męża, aby mi przebaczył, że domagałem się utrzymania tego w tajemnicy.

– Oczywiście, że ci wybaczam – powiedziała Klara, a Andras jej przytaknął.

Wszyscy zgodzili się, że brat Klary działał, mając na uwadze jej dobro. György wyraził nadzieję, że jego syn także wkrótce poprosi ich o przebaczenie. Jednak mówił to drżącym głosem i nagle urwał.

– O co chodzi? – zapytała Klara. – Co się stało?

– Znowu chcą go powołać. I tym razem będzie musiał pójść. Nic już nie możemy zrobić w tej sprawie. Zaproponowaliśmy im procent od zysku ze sprzedaży domu, ale im nie zależy na pieniądzach. Chcą, żeby młodzi ludzie tacy jak József posłużyli za przykład.

– Och, György – jęknęła Klara.

Andrasowi brakło słów. Nie potrafił wyobrazić sobie Józsefa Hásza w Munkaszolgálat, tak samo jak nie wyobrażał sobie Miklósa Horthyego, który zjawia się pewnego ranka w autobusie z Óbuda do Szentendre w postrzępionym płaszczu na grzbiecie i pojemnikiem z drugim śniadaniem w ręce. Jego pierwszym uczuciem była satysfakcja. Dlaczego József miałby nie trafić do Munkaszolgálat, skoro on, Andras, spędził tam dwa lata i nadal był na służbie? Otrzeźwił go jednak wyraz bólu malujący się na twarzy brata Klary. Cokolwiek reprezentował sobą József, był dzieckiem Györgya.

– Kiepsko poradziłem sobie z wychowaniem syna – powiedział György, spoglądając za okno. – Dawałem mu wszystko, czego chciał, i starałem się chronić go przed wszystkim, *co* mogło mu sprawić ból. Ale dawałem mu za dużo. Za bardzo go chroniłem. Zaczęło mu się wydawać, że cały świat powinien być na jego skinienie. Żył wygodnie w Budzie, podczas gdy inni ludzie służyli zamiast niego. A teraz będzie musiał radzić sobie sam i posługiwać się własnym rozumem, tak jak wszyscy inni. Mam nadzieję, że da sobie radę.

– Może uda się załatwić umieszczenie go w jakiejś kompanii niedaleko od domu – zasugerował Andras.

– To nie będzie zależało od niego – odparł György. – Umieszczą go tam, gdzie im się spodoba.

– Mogę napisać do generała Martóna.

– Józsefowi nic się od ciebie nie należy.

– Pomógł mi w Paryżu. I to nie raz.

György wolno pokiwał głową.

– Kiedy chce, potrafi być wspaniałomyślny.

– Andras napisze do generała – powiedziała Klara. – A potem może József pojedzie do Palestyny razem z nami wszystkimi.

– Do Palestyny? – zapytał György. – Chyba się tam nie wybieracie?

– Owszem. Nie mamy wyboru.

– Ale kochanie, nie dostaniecie się tam.

Klara opowiedziała o Kleinie. W miarę jak mówiła, spojrzenie Györgya stawało się coraz surowsze.

– Czy nie rozumiesz? – zapytał. – Dlatego właśnie płaciłem Ministerstwu Sprawiedliwości. Dlatego właśnie sprzedałem obrazy, dywany i meble. Dlatego sprzedaję dom! Żeby uchronić cię przed takim bezmyślnym ryzykiem.

– Bezmyślnością byłoby odrzucać szansę na ocalenie – odparła Klara.

György odwrócił się do Andrasa.

– Proszę, powiedz, że nie zgodziłeś się na ten szaleńczy plan.

– Mój brat był świadkiem masakry w Délvidéku. Uważa, że to samo może zdarzyć się tutaj. A nawet coś gorszego.

György opadł z powrotem na krzesło, a z jego twarzy odpłynęła krew. Z zewnątrz dobiegły dźwięki werbli i instrumentów dętych, na których grała orkiestra wojskowa; maszerowano Andrássy út do placu Bohaterów.

– A co z nami? – zapytał słabym głosem. – Co się stanie z nami, kiedy odkryją, że zniknęliście? Jak sądzicie, kogo będą przesłuchiwać? Na kogo spadnie wina za wasze zniknięcie?

– Musicie dołączyć do nas w Palestynie – powiedziała Klara.

György pokręcił głową.

– To niemożliwe. Jestem za stary, żeby zaczynać nowe życie.

– Ale jaki masz wybór? – zapytała. – Odebrali ci stanowisko, majątek, dom. A teraz zabierają ci syna.

– Marzycielka z ciebie.

– Chciałabym, żebyś porozmawiał o tym z Elzą. Pod koniec roku ciebie także powołają do Munkaszolgálat. I Elza z matką zostaną całkiem same.

György dotknął kciukami krawędzi bibularza. Przed nim leżał stos dokumentów, grube pliki błyszczącego, zadrukowanego papieru kredowego.

– Widzisz to? – zapytał, wskazując je. – To dokumenty, które stwierdzają, że dom ma nowego właściciela.

– Kto to taki? – spytała Klara.

– Syn ministra sprawiedliwości. Z tego, co wiem, jego żona właśnie urodziła szóste dziecko.

– Boże wszechmogący – powiedziała Klara. – Boję się pomyśleć, co zostanie z tego domu.

– A wy gdzie zamieszkacie? – zapytał Andras.

– Znalazłem dla nas miejsce w budynku u wylotu Andrássy út. Jest naprawdę imponujący, a w każdym razie był taki dawniej. Zgodnie z umową możemy zabrać ze sobą wszystkie meble, które nam zostały. – Powiódł gestem po ogołoconym pokoju.

– Proszę cię, porozmawiaj z Elzą – odezwała się Klara.

– Sześcioro dzieci w tym domu – powiedział György z westchnieniem. – Toż to katastrofa.

Reakcja generała Martóna była szybka i życzliwa, nie miał jednak nieograniczonych możliwości: mógł jedynie zapewnić Józsefowi miejsce w kompanii 79/6. Kiedy Andras otrzymał tę informację, miał wrażenie, jakby został osobiście ukarany. Oto była odpłata za moment satysfakcji, którą poczuł na wieść o tym, że József został powołany. Teraz widywał Józsefa co rano na przystanku Óbuda; ten wyglądał jak oficer w swoim przesadnie czystym uniformie i sztywnej, zgrabnej czapce wojskowej. Przydzielono go do tej samej grupy co Andrasa i Mendla i kazano mu ładować wagony jak wszystkim poborowym. Przez cały pierwszy tydzień, kiedy tylko miał okazję, wpatrywał się nienawistnym wzrokiem w Andrasa, jakby wszystko było jego winą, jakby to sam Andras odpowiadał za pęcherze na jego stopach i dłoniach, za obolały grzbiet i poparzenia od słońca. Brygadzista lżył go na okrągło za jego wydelikacenie i opieszałość; kiedy József zaprotestował, Faragó kopniakami posłał go na ziemię i napluł mu w twarz. Po tym József pracował już bez słowa.

Czerwiec przeszedł w lipiec i skończyła się susza. Każdego popołudnia niebo otwierało się i spuszczało słodki deszcz na stację Szentendre, na której trwała mozolna praca. Żółte cegły, z których zbudowane były budynki, pociemniały i przybrały bury kolor. Na wzgórzach za rzeką drzewa, które wcześniej stały nieruchomo w pyle, teraz potrząsały liśćmi i machały swoimi kończynami na wietrze. Chwasty i polne kwiaty przeciskały się między podkładami kolejowymi, a pewnego poranka na Szentendre zstąpiła plaga malutkich żabek. Pod stopami było ich pełno, zjawiły się nie wiadomo skąd, wielkości monety, koloru młodej trawki, i skakały jak szalone w kierunku rzeki. Przez dwa dni robotnicy klęli

i tańczyli wokół nich, po czym zwierzątka zniknęły równie tajemniczo, jak się pojawiły. Była to pora, którą Andras uwielbiał jako chłopiec, czas pływania w młyńskim stawie, jedzenia gorących od słońca truskawek prosto z krzaka, chowania się w cieniu długich, chłodnych traw i obserwowania, jak mrówki prowadzą swoje ruchliwe interesy. Teraz towarzyszyła mu tylko powolna harówka na stacji przeładunkowej i perspektywa ucieczki. Wieczorami, podczas tych kilku godzin, które spędzał w domu, trzymał w ramionach śpiącego syna, a Klara czytała mu fragmenty z Bialika, Brennera czy Herzla, opisy Palestyny i niewiarygodnej transformacji dokonywanej tam przez osadników. Zaczął widzieć oczyma wyobraźni swoją rodzinę umieszczoną wśród drzew pomarańczowych i pszczół, z brązową tarczą, morza skrzącą się w oddali, synka, jak rośnie wysoko w przesyconym solą powietrzu. Starał się nie zatrzymywać myślą na nieuniknionych problemach związanych z podróżą. Ani jemu, ani Klarze trudy nie były obce. Nawet jego rodzice, których niedawna przeprowadzka do Debreczyna była najbardziej rewolucyjną migracją w całym ich małżeńskim życiu, zgodzili się na podróż, gdyby miała okazać się możliwa, gdyby udało się zdobyć dla nich wizy; nie chcieli, żeby od dzieci i wnuków oddzielał ich cały kontynent, morze.

Po przeminięciu suszy wyprawa zaczęła nabierać realnych kształtów. Klein wyszukał kapitana barki o nazwisku Szabó, który miał ich zabrać aż do granicy rumuńskiej, a kolejny, Ivanescu, miał doprowadzić ich do Konstancy; Klein zarezerwował im miejsca na nazwisko Gedalya na pokładzie statku „Trasnet", dawnego kutra rybackiego przerobionego na jednostkę do przewozu emigrantów. Muszą być przygotowani na tłok i głód, przegrzanie, odwodnienie, chorobę morską, wielodniowe opóźnienie w tureckich portach, gdzie nie mogli ryzykować zejścia na ląd; muszą zabrać ze sobą tylko to, co konieczne. Powinni się cieszyć, że podróż odbędzie się latem, kiedy morze jest spokojne. Popłyną cieśniną Bosfor koło Stambułu, przez morze Marmara i do Morza Egejskiego; stamtąd przemieszczą się na Morze Śródziemne i, o ile uda im się uniknąć statków patrolowych i okrętów podwodnych, trzy dni później zawiną do portu w Hajfie. Od początku do końca podróż powinna potrwać dwa tygodnie, jeśli wszystko pójdzie dobrze. Wyruszą 2 sierpnia.

Klara miała staroświecki drewniany kalendarz z wymalowanym błękitnym drozdem siedzącym na gałęzi wiśni. Trzy malutkie okienka ukazywały dzień tygodnia, datę i miesiąc; co rano Andras przekręcał kółeczka do przodu przed wyjściem na stację Szentendre. Kręcił tak przez cały lipiec, z jego ociekającymi deszczem, burzowymi dniami, a plany podróży były coraz bardziej

zaawansowane. Gromadzili ubrania, buty i nakrycia głowy; pakowali i przepakowywali walizki, usiłując jak najoszczędniej ułożyć dobytek. W niedzielne popołudnia razem spacerowali po mieście, wypełniając pamięć rzeczami, o których nie chcieli zapomnieć: zielonkawą mgiełką w chłodnym od rzeki powietrzu wokół Wyspy Małgorzaty; dudnieniem samochodów na moście Széchenyiego; zapachami skoszonej trawy i siarkowych gorących źródeł w parku Városliget; suchą betonową misą lodowiska; długim, szarym nadbrzeżem Dunaju, którym Andras spacerował z bratem, zdawało się, w innym życiu, kiedy byli świeżo upieczonymi absolwentami gimnazjum wynajmującymi wspólnie pokój przy Hársfa utca. I jeszcze synagoga, w której wzięli z Klarą ślub, szpital, w którym urodził się ich syn, małe jasne studio, w którym Klara udzielała prywatnych lekcji. I ich własne mieszkanie przy Nefelejcs utca, pierwsze miejsce, w którym zamieszkali razem. Były także nawiedzone miejsca, do których nie zajrzeli na pożegnanie: dom przy Benczúr utca, który stał teraz pusty, czekając na przyjazd syna ministra sprawiedliwości; budynek Opery, z korytarzami, w których rozbrzmiewało echo; fragment chodnika w alejce, w której wiele lat temu stało się to, co się stało.

Pewnej niedzieli, dwa tygodnie przed 2 sierpnia, Andras pojechał sam na spotkanie z Kleinem. Z Palestyny nadeszła paczka z wizami. Była to ostatnia rzecz, której potrzebowali do skompletowania swoich teczek; zestaw sztywnych białych dokumentów ze stemplem brytyjskiego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i pieczątką Jiszuwu przedstawiającą gwiazdę Dawida. Klein miał zrobić ich faksymile na wypadek, gdyby coś stało się z oryginałami. Kiedy Andras przyszedł, dziadek Kleina karmił kozy na podwórku. Przyłożył dłoń do kapelusza.

– Wkrótce wyruszacie – powiedział.

– Jeszcze czternaście dni.

– Wiedziałem, że chłopak się tym zajmie.

– Wygląda na to, że ma do tego talent.

– Taki jest nasz Miklós. Zupełnie jak jego ojciec, nic tylko planuje, planuje, kombinuje coś z tymi swoimi urządzeniami, pociąga za sznureczki. Jego ojciec był wynalazcą, gdyby przeżył, każdy by dziś o nim słyszał. – Wyjaśnił Andrasowi, że rodzice Kleina zmarli na grypę, zanim ten wyrósł z krótkich spodenek; kobieta i mężczyzna przedstawieni na fotografii to właśnie oni, tak jak Andras przypuszczał. Gdyby chodziło o inne dziecko, taka strata mogłaby je złamać, powiedział starszy Klein, ale nie Miklósa. W szkołach miał najlepsze stopnie,

zwłaszcza z nauk społecznych, i wyrósł na jedynego w swoim rodzaju wynalazcę – tworzył możliwości tam, gdzie żadnych nie było.

– Mieliśmy szczęście, że do niego trafiliśmy – skwitował Andras.

– Niech wam szczęście sprzyja – odparł dziadek. Splunął trzykrotnie i odpukał w drewniane nadproże koźlarni. – Żeby wasza podróż do Palestyny okazała się wyjątkowo nudna.

Andras uchylił czapki przed starszym Kleinem i podszedł kamienną ścieżką do drzwi. Babka Kleina była w pokoju od frontu, siedziała w fotelu i wyszywała coś na tamborku. Wzór wyhaftowany drobniutkimi złotymi iksami przedstawiał plecioną chałę i słowo „Szabat" wypisane po hebrajsku.

– To na wasz stół w Ziemi Świętej – powiedziała.

– Och, nie – odparł Andras. – To takie piękne.

Pomyślał o ich tyle razy pakowanych walizkach, w których nie zmieściłaby się już ani jedna rzecz więcej.

Ale nic nie udało się ukryć przed babką Kleina.

– Twoja żona może to wszyć w podszewkę letniego płaszcza – powiedziała. – Jest w tym talizman.

– Gdzie?

Pokazała mu dwa malutkie hebrajskie znaczki wyszyte ściegiem krzyżykowym na końcu chałki.

– To liczba osiemnaście. *Chai* Życie.

Andras pochylił głowę w podziękowaniu.

– Jest pani bardzo dobra – powiedział. – Przez cały czas nam pani pomagała.

– Chłopak czeka na ciebie w swoim pokoju. Idź już.

W jaskini pełnej teczek Klein siedział na łóżku z włosami w dzikim nieładzie, bez koszuli, a na kocu przed nim leżało wybebeszone radio. O ile podczas pierwszej wizyty Klein wyglądał na zaniedbanego i czuć go było mocno, o tyle teraz, po miesiącu planowania ich ucieczki, sprawiał wrażenie, jakby zbliżał się do stanu właściwego człowiekowi prehistorycznemu. Jego zarost był długi, czarny i zmierzwiony. Andras nie pamiętał, kiedy ostatnio widział Kleina w koszuli. Jego woń przywodziła na myśl koszary na Zakarpaciu. Gdyby nie

otwarte okno i wietrzyk, który poruszał dokumentami leżącymi na wierzchu stosów, nikt nie wytrzymałby zbyt długo w tym pokoju. A jednak na biurku widać było oczyszczoną powierzchnię, na której leżał otwarty nowy folder. Do jego jednej strony przypięty był zaszyfrowany plan podróży, a do drugiej – gruby plik instrukcji. Na etykiecie widniał ich pseudonim, nazwisko Gedalya. W ręce Andrasa zaś spoczywał ostatni brakujący element, paczka dokumentów, która miała uzupełnić układankę, legalna część ich nielegalnej ucieczki. Zanim zaczęli planować tę podróż, Andras nie wyobrażał sobie nawet, jaki bizantyjski labirynt może dzielić emigrację od imigracji. Klein zatknął sobie za pasek maleńki śrubokręt i podniósł brwi, spoglądając na Andrasa. Ten położył mu dokumenty na kolanach.

– Autentyczne – powiedział Klein, dotykając wypukłych liter brytyjskiej pieczęci. Jego oczy, otoczone ciemnymi kręgami, spotkały się ze spojrzeniem Andrasa. – To byłoby wszystko. Jesteście gotowi.

– Nie rozmawialiśmy jeszcze o pieniądzach.

– Rozmawialiśmy. – Klein sięgnął po folder i wyjął z niego stronę wyrwaną z notatnika księgowego, listę cyfr wypisanych jego wąskim pismem pochylonym w lewo. Koszt fałszywych dokumentów na wypadek, gdyby ich odkryto. Wynagrodzenie dla kapitanów barek i kutra rybackiego, ich udział w kosztach benzyny, pieniądze na jedzenie, wodę i dodatkowo na łapówki, opłaty portowe, podatki i koszt specjalnego ubezpieczenia związanego z tym, że dużo statków zostało przypadkowo trafionych przez torpedy w ostatnich miesiącach. Za każdą z tych rzeczy należało zapłacić osobiście kolejnym osobom po drodze.

– Omówiliśmy to wszystko – powiedział.

– Mam na myśli pańskie wynagrodzenie – odpowiedział Andras. – O tym nie rozmawialiśmy.

Klein spojrzał na niego spode łba.

– Proszę mnie nie obrażać.

– Nie obrażam pana.

– Czy wyglądam, jakby mi czegoś brakowało?

– Koszuli – odparł Andras. – Kąpieli. Może nowego odbiornika.

– Nie wezmę od was pieniędzy.

– To absurd.

– Tak to już jest.

– Może nie chce pan wziąć ich dla siebie. Ale proszę pomyśleć o dziadkach.

– Mają wszystko, czego im potrzeba.

– Nie bądź idiotą! – wybuchnął Andras. – Możemy ci zapłacić dwa tysiące. Pomyśl, co to mogłoby oznaczać.

– Dwa tysiące, pięć tysięcy, sto tysięcy, mam to gdzieś! To nie jest praca za pieniądze, rozumiesz? Jak chciałeś zapłacić, trzeba było pójść do Behrenbohma albo Speitzera. Moje usługi nie są na sprzedaż.

– Skoro nie chcesz pieniędzy, to czego chcesz?

Klein wzruszył ramionami.

– Chcę, żeby to się udało. A potem chcę zrobić to samo dla kogoś innego i dla następnej osoby, póki mnie nie powstrzymają.

– Kiedy się poznaliśmy, mówiłeś coś innego.

– Wystraszyła mnie ta historia ze „Strumą" – powiedział Klein. – Ale teraz się już nie boję.

– Dlaczego?

Wzruszył znów ramionami.

– Tutaj robi się coraz gorzej. Paraliżujący strach to teraz luksus.

– A gdybyś ty chciał wyjechać? Moja znajoma mogłaby pomóc ci załatwić wizę.

– Wiem. To dobrze. Będę o tym pamiętał.

– Będziesz o tym pamiętał? I tyle?

Klein skinął głową i wyciągnął śrubokręt zza paska.

– Wybacz, muszę jeszcze dziś popracować. Między nami wszystko załatwione, chyba żebym się do was odezwał. Wyruszacie za dwa tygodnie. – Pochylił się nad odbiornikiem i zaczął odkręcać śrubkę, która przytwierdzała miedziany drut do jego podstawy.

– I? – powiedział Andras. – To wszystko?

– Wszystko – odparł Klein. – Nie jestem sentymentalny. Jak ci zależy na długim pożegnaniu, pogadaj z babką.

Ale babka Kleina zasnęła w fotelu. Skończyła haftować obrus z chałką i owinęła go w bibułkę, wypisała imiona Andrasa i Klary na karteczce i szpilką przypięła ją do bibułki. Andras nachylił się do jej ucha i wyszeptał słowa podziękowania, ale się nie obudziła. Kozy wtrącały swoje uwagi z podwórka. Z pokoju Kleina dobiegło ciche przekleństwo i brzęk rzuconego narzędzia. Andras wsunął sobie paczuszkę pod pachę i wyszedł po cichutku.

A potem nadszedł tydzień poprzedzający wyjazd. Andras i Mendel przygotowali ostatni ilustrowany numer „Krzywego Toru"; Andras wymógł na przyjacielu obietnicę, że dalej będzie wydawał gazetę, dopóki nie nadejdzie jego wiza. Bieżący numer zawierał zmyślony wywiad z węgierską gwiazdą pornografii, krzyżówkę, której rozwiązaniem było nazwisko majora Károly Varsádiego, oraz optymistyczną sekcję gospodarczą zatytułowaną „Wieści z czarnego rynku", w której wszystkie wskaźniki zapowiadały niekończącą się serię lukratywnych dostaw. „Napisz do Hitlera", które przekształciło się tymczasem w stałą rubrykę, zawierało w tym tygodniu tylko jeden list:

„DROGI HITLERZE: Kiedy skończą się te upały? Z poważaniem, POPARZONY.

DROGI POPARZONY: Skończą się, do wszystkich diabłów, kiedy ja powiem, i ani minuty wcześniej! Heil mnie, HITLER".

W połowie tygodnia rodzice Andrasa przyjechali do Budapesztu, żeby raz jeszcze zobaczyć się z dziećmi i wnukami przed ich wyjazdem. Poszli razem na obiad do nowej rezydencji Haszów, apartamentu z wysokimi sufitami, kruszejącymi gipsowymi sztukateriami i parkietem ułożonym we wzór jodełkowy, zwany *points de Hongrie.* Minęło prawie pięć lat, uświadomił sobie Andras, odkąd studiował parkieciarstwo w École Spéciale; pięć lat od czasu, kiedy uczył się o rodzajach drewna i wzorach i odtwarzał te wzory w swoim szkicowniku. A teraz był w tym mieszkaniu razem ze swoimi przejętymi rodzicami, niezłomną i uroczą żoną i małym synkiem i szykował się do pożegnania z Europą na dobre. Architektura mieszkania miała znaczenie tylko dlatego, że przypominała mu o tym, co za sobą zostawi.

Przyszli Tibor z Ilaną, w której objęciach spał ich synek. Usiedli blisko siebie na kanapie, podczas gdy József przysiadł obok nich na złotym krześle i poczęstował się papierosem matki. Ojciec Andrasa studiował książeczkę z psalmami, w której zaznaczył słowa dla synów, żeby powtarzali je podczas podróży. Starsza pani Hász gawędziła z matką Andrasa, która dowiedziała się, że jej własna siostra zna część rodziny pani Hász pozostającą w Kabie, niedaleko

Konyáru. Z pracy wrócił György; miał przód koszuli wilgotny od potu. Pocałował na powitanie matkę Andrasa i uścisnął dłoń Béli. Elza Hász zaprowadziła ich do jadalni i poprosiła, by siedli do stołu.

Pokój udekorowano jak na przyjęcie. Na stole były świece woskowe w srebrnych świecznikach, bukiety róż w błękitnych szklanych czarach, karafki starego wina i talerze ze złotym brzegiem i wzorem w ptaki. Ojciec Andrasa odmówił błogosławieństwo nad chlebem i posępny jak zawsze kamerdyner zaczął nakładać wszystkim jedzenie. Na początku rozmawiali o błahych sprawach: zmienne ceny drewna, wczesne nadejście jesieni, które zapowiadał almanach, skandalizujący związek pewnego członka parlamentu z dawną gwiazdą kina niemego. Z czasem nie dało się jednak uniknąć poruszenia tematów związanych z wojną. Poranne gazety doniosły, że niemieckie okręty podwodne zatopiły tego lata miliony ton floty brytyjsko-amerykańskiej, w tym siedemset tysięcy ton w samym lipcu. Wieści z Rosji nie były lepsze: Druga Armia Węgierska, po krwawej bitwie pod Woroneżem na początku lipca, przemieszczała się obecnie naprzód za Szóstą Armią Niemiecką w kierunku Stalingradu. Druga Armia Węgierska zapłaciła już słono za poparcie swego sojusznika. Straciła, jak przeczytał György, ponad dziewięciuset oficerów i dwadzieścia tysięcy żołnierzy. Nikt nie wspomniał o tym, o czym wszyscy myśleli: że Drugiej Armii Węgierskiej towarzyszy pięćdziesiąt tysięcy robotników przymusowych, niemal wyłącznie Żydów, i że skoro armii węgierskiej kiepsko się powodzi, to batalionom pracy z pewnością wiedzie się jeszcze gorzej. Z ulicy poniżej dobiegł znajomy złocisty dźwięk dzwonka tramwaju niczym znak przestankowy. Był to dźwięk typowy dla Budapesztu, odgłos, który potęgował się i nabierał brzmienia wśród ścian budynków stojących wzdłuż ulic. Andras nie mógł powstrzymać się od myślenia o innym wyjeździe, pięć lat wcześniej, tym, który zawiódł go z Budapesztu do Paryża i do Klary. Podróż, która ich teraz czekała, była bardziej desperacka, ale – o dziwo – mniej przerażająca; od grozy tego, co nieznane, oddzielała go pociecha płynąca z obecności Klary i Tibora. A po drugiej stronie wyprawy byli Rosen i Shalhevet, perspektywa ciężkiej pracy, którą chciał się zająć, i obietnica wolności pod najróżniejszymi, nieokreślonymi postaciami. Mendel Horovitz mógł dołączyć do nich za parę miesięcy, a rodzice Andrasa wkrótce potem. W Palestynie jego syn nigdy nie będzie musiał nosić żółtej opaski na ramieniu ani żyć w strachu przed sąsiadami. Jemu samemu być może uda się dokończyć studia architektoniczne. Nie potrafił powstrzymać uczucia litości wobec Józsefa Hásza, który zostanie w Budapeszcie i sam będzie musiał zmagać się z pracą w kompanii 79/6 w Munkaszolgálat.

– Powinieneś też pojechać do Palestyny, Hász – powiedział.

Podróż na Bliski Wschód sprawi, że Andras stanie się bardziej doświadczonym podróżnikiem od Józsefa, i ta świadomość dawała mu pewną satysfakcję.

– Nie przydałbym się wam – odparł József stanowczo. – Byłbym okropnym towarzyszem podróży. Cierpiałbym na chorobę morską. Cały czas bym narzekał. A to byłby dopiero początek. W Palestynie nie mieliby co ze mną zrobić. Nie potrafię sadzić drzew ani budować domów. A zresztą mama by mnie nie odżałowała, prawda, mamo?

Pani Hász spojrzała najpierw na matkę Andrasa, a potem na swój talerz.

– Może zmienisz zdanie – powiedziała. – Może kiedy pojedziemy, zabierzesz się razem z nami.

– Mamo, proszę cię. Jak długo zamierzasz się oszukiwać? Ty nie wybierasz się do Palestyny. Nie wsiądziesz nawet do łódki na Balatonie.

– Nikt nikogo nie oszukuje. Ojciec i ja zamierzamy wyjechać, jak tylko nadejdą nasze wizy. Z pewnością nie możemy tutaj zostać.

– Babciu – odezwał się József. – Niech babcia powie mojej matce, że zwariowała.

– Ani mi się śni – odparła starsza pani Hasz. – Sama zamierzam pojechać. Zawsze chciałam zobaczyć Ziemię Świętą.

– To niech babcia zobaczy. Ale niech nie próbuje tam zamieszkać. Jesteśmy Węgrami, a nie Beduinami z pustyni.

– Zanim zostaliśmy Węgrami, byliśmy ludem plemiennym – odezwał się Tibor. – Nie zapominaj o tym.

– Proszę mi wybaczyć, panie doktorze – odpowiedział József. Lubił zwracać się do Tibora w ten sposób, tak samo jak nazywać Andrasa wujem. – A przedtem byliśmy myśliwymi i zbieraczami w Afryce. Więc może powinniśmy darować sobie tę całą Ziemię Świętą i udać się od razu do najczarniejszego Konga.

– József – powiedział György.

– Przepraszam stokrotnie, ojcze. Jestem pewien, że wolałbyś, żebym się nie odzywał. Ale wiesz, niełatwo być jedyną zdrową osobą w domu wariatów.

Béla poruszył się na swoim wątłym krześle, czując, jak miejski garnitur pije go w ramionach. Miał ochotę złapać młodego Hásza za kark i nim potrząsnąć. Zastanawiał się, jak ten chłopak może mówić z taką nonszalancją o losie Andrasa, Tibora, ich żon i synów. Gdyby któryś z jego synów odezwał się w ten sposób, Béla wstałby z krzesła i porządnie go wyłajał, choćby i przy gościach. Ale on nigdy nie wychował dziecka, które mówiło takie rzeczy. Ani on, ani Flóra. Żona położyła dłoń na jego ręce, jakby widziała to, co dzieje się w jego sercu; Béli nie dziwiło, że ona go rozumie. Wszyscy widzieli, że chłopak jest nieznośny. Przynajmniej matka Klary potraktowała go surowo. Béla spojrzał na nią ponad stołem, na tę poważną szarooką kobietę, która już raz straciła i odzyskała swoje dziecko i zdawała się ze stoicyzmem znosić prespektywę utracenia go po raz kolejny. Wychowali dzieci na porządnych ludzi, ta kobieta, Béla i Flóra. Nie dziwiła go już bliskość między Andrasem a Klarą; wiedział teraz, że są ulepieni z tej samej gliny, bez względu na różnicę w majętności. Siedziała tu sobie, zupełnie spokojna, z dzieckiem na rękach, i wyglądała, jakby wybierała się na wycieczkę na wieś, a nie w podróż niebezpieczną rzeką i przez morze naszpikowane torpedami. Powiedział sobie, że musi zapamiętać to jej opanowane spojrzenie, ten promieniujący z niej spokój; w najbliższych dniach i tygodniach to wspomnienie może być pomocne.

Ten tydzień, ich ostatni tydzień w Budapeszcie, był jak do tej pory najgorętszy z całego lata. W czwartek w autobusie do Szentendre było duszno już o szóstej rano; nastał dzień, na jaki matka Andrasa mówiła *gombás-idő* – pogoda, w której rosną grzyby. Wilgotny wiatr wiał po Dunaju. Ptaki przelatywały pośpiesznie w mokrym, burzliwym powietrzu, a drzewa po drugiej stronie wody błyskały bielą spod liści. Przez cały tydzień wyglądało na to, że kadra dowodząca na Szentendre jest wściekła. Ci sami brygadziści, którzy wcześniej nie zauważali lekkiego zwolnienia tempa pracy, teraz zaczęli bezlitośnie poganiać robotników. Zły humor szerzył się w obozie niczym gorączka. W kwaterach oficerów doszło do kilku kłótni pomiędzy majorem Varsádim a inspektorami od czarnego rynku, wskutek czego Varsádi wyładował gniew na swoich zastępcach; ci zachowywali się podle wobec strażników i brygadzistów, a oni z kolei klęli na robotników, kopali ich i bili po grzbietach i nogach złożonymi na pół sznurami do pakowania.

Tego ranka przed pracą miała odbyć się zbiórka. Robotnicy zostali wcześniej poinstruowani, że ich mundury i sprzęt mają być wyczyszczone do połysku. Zbiórka rozpoczęła się o siódmej, po czym mężczyźni musieli stać na baczność wzdłuż torów przez całą wieczność. Zaczął padać deszcz, zasypując ich gradem grubych, twardych kropli, które przesiąkały przez materiał mundurów.

Czekanie trwało i trwało; strażnicy chodzili wzdłuż szeregów, równie znudzeni jak ich podopieczni.

– Co za strata czasu – powiedział József. – Dlaczego po prostu nie wyślą nas do domu?

– Słuchajcie, słuchajcie – powiedział Mendel. – Niech nas wypuszczą.

– Cicho tam, wy dwaj! – krzyknął na nich strażnik.

Andras nie spuszczał oczu z niskiego budynku z cegły, w którym mieściły się kwatery Varsádiego. Przez zaparowane okno widział sylwetkę komendanta trzymającego przy uchu słuchawkę. Andras kołysał się na palcach w tył i w przód; studiował puentylistyczny wzór, utworzony przez krople deszczu na plecach mężczyzny. Przepowiadał sobie w myśli zadania, które czekały go w ciągu najbliższych paru dni: ostatnie pakowanie, ponowne sprawdzanie listy odzieży i ekwipunku, zawiązywanie i zamykanie kufrów na kłódki, wyjście z mieszkania na Nefelejcs utca, spotkanie u Tibora o północy, marsz do punktu na północ od mostu Elżbiety, gdzie będzie czekać barka, i ukrycie się w ciemnym, wilgotnym miejscu, gdzie zbiją się w ciasną grupkę, podczas gdy barka wypłynie na rzekę. W wyobraźni przebywał tam, ukryty tak dobrze we wnętrzu barki na Dunaju, że początkowo nie zwrócił uwagi na łoskot ciężarówek na drodze. Poczuł niską wibrację gdzieś w mostku i pomyślał: „Znowu grzmi". Ale łoskot trwał i się nasilał, a kiedy Andras wreszcie podniósł wzrok, zobaczył konwój złożony z sześciu ciężarówek wiozących węgierskich żołnierzy. Ciężarówki z rykiem wjechały przez bramę stacji Szentendre, a ich opony wydobywały suchy pył spod zmoczonej deszczem powierzchni drogi. Zaparkowano na gołym kawałku ziemi, który rozciągał się pomiędzy torami a budynkiem oficerskim. Żołnierze z tyłu mieli karabiny z nałożonymi bagnetami; Andras widział, jak ich ostrza lśnią w oliwkowym mroku pod brezentem. Kiedy ciężarówki stanęły, żołnierze wyskoczyli na błotnisty żwir, trzymając broń luźno przy boku. Oficerowie z pierwszej ciężarówki skierowali się do niskiego budynku z cegły; drzwi zamknęły się za nimi.

Robotnicy wlepili wzrok w żołnierzy. Było ich co najmniej pięćdziesięciu. Ponieważ oficerowie zniknęli w kwaterze głównej, żołnierze oparli karabiny o ciężarówki i zaczęli palić. Któryś z nich wyciągnął talię kart i rozdał je do pokera. Inna grupka zgromadziła się wokół gazety, a jeden z żołnierzy zaczął czytać na głos nagłówki.

– Co się dzieje? – szepnął człowiek stojący obok Andrasa, wysoki łysy mężczyzna, zwany potocznie Wieżą z Kości Słoniowej. Był profesorem historii na

uniwersytecie; podobnie jak Zoltán Novak został wcielony do Munkaszolgálat, żeby uzupełnić tam liczbę luminarzy kultury i nauki pochodzenia żydowskiego. Był tu nowy i nie nauczył się jeszcze akceptować w milczeniu zagadek i absurdów obozowego życia.

– Nie wiem – odpowiedział Andras. – Przekonamy się.

– Cisza w szeregach! – krzyknął strażnik.

Oczekiwanie trwało. Część strażników zbliżyła się do żołnierzy, żeby pohandlować papierosami i informacjami. Niektórzy z nich sprawiali wrażenie, jakby się znali. Poklepywali się po plecach i ściskali sobie dłonie. Minęło kolejne pół godziny, ale nikt nie wyszedł z kwatery głównej. Wreszcie kapitan straży wydał robotnikom komendę „Spocznij". Jeśli chcieli, mogli coś zjeść lub zapalić. Andras i Mendel usiedli na mokrym podkładzie i otworzyli swoje blaszane pojemniki z drugim śniadaniem, a József wyciągnął z kieszeni na piersi smukłe skórzane etui i wyjął z niego papierosa.

Chwilę później drzwi do przysadzistego budynku z cegły się otworzyły i ukazali się oficerowie – najpierw wojskowi, w odprasowanych mundurach z mosiężnymi guzikami, a potem znajomi oficerowie Munkaszolgálat, którzy dowodzili robotnikami od początku służby na Szentendre. Pierwszy zastępca Varsádiego zadął w gwizdek i rozkazał robotnikom stanąć na baczność. Nastąpił moment zamieszania, mężczyźni kręcili się, w pośpiechu chowając drugie śniadanie. Potem sierżant zaczął wykrzykiwać rozkazy: robotnicy mieli uformować szeregi przy ciężarówkach dostawczych i jak najszybciej załadować towar do wagonów.

Gdyby nie obecność żołnierzy, których bagnety sterczały w niebo, jakby próbowały przebić podbrzusza zwisających nisko chmur, popołudnie nie różniłoby się niczym od tych, które dotychczas spędzali na stacji Szentendre. Kompania 79/6 przenosiła skrzynie z amunicją po tym samym wyżwirowanym odcinku, który przemierzyli już w tę i z powrotem tysiące razy. Choć strażnicy zostrzyli dyscyplinę, a oficerowie wyszczekiwali rozkazy, wydawało się to tylko pogłębieniem niechęci, która przenikała również w szeregi dowództwa. Faragó, ich brygadzista, nie zagwizdał ani jednej melodyjki z przedstawienia; zamiast tego swoim cienkim tenorem wykrzykiwał: *Siessetek!,* i zastanawiał się głośno, dlaczego niebiosa pokarały go dowództwem nad takimi ślimakami, takimi żółwiami.

W połowie rozładunku, kiedy zostało jeszcze pięć ciężarówek z towarami, które należało przenieść do pociągu, adiutant Varsádiego zbliżył się do grupy

Andrasa i odwołał Faragó na bok. Chwilę później Faragó oderwał Andrasa i Mendla od obowiązków. Wyglądało na to, że dowódca kompanii chce zamienić z nimi kilka słów w swoim biurze.

Mendel i Andras wymienili spojrzenia: „To nic takiego. Bez paniki".

– Czy ten człowiek mówił, o co chodzi, panie kapitanie? – zapytał Mendel, choć powód wezwania przed oblicze majora mógł być tylko jeden.

– Wkrótce się dowiecie – odparł Faragó i zwrócił się do adiutanta: – Dopilnuj, żeby wrócili, jak tylko Varsádi z nimi skończy. Są mi tu potrzebni.

Młody adiutant majora poprowadził ich przez stację w stronę niskiego budynku z cegły. Grupa uzbrojonych żołnierzy stała na baczność w przedpokoju, z karabinami opartymi o ramię. Ich spojrzenia podążyły za nowo przybyłymi, ale poza tym stali nieruchomo niczym posągi. Ordynans wprowadził Andrasa i Mendla do biura i zamknął za nimi drzwi, a oni znaleźli się sami przed komendantem. Pomimo upału Varsádi miał świeżą koszulę, a jego oczy wydawały się wąskie za półokrągłymi szkłami okularów. Na jego biurku, tak jak Andras się spodziewał, spoczywały wszystkie numery „Krzywego Toru".

– No więc – powiedział Varsádi, wygładzając strony leżącej przed nim gazety. – Będę mówił krótko. Wiecie, chłopcy, że was lubię, tak jak i waszą gazetę. Dzięki niej mieliśmy się z czego pośmiać. Obawiam się jednak, że w tym momencie jej rozprowadzanie nie jest, hmm, wskazane.

Andras poczuł się zupełnie zdezorientowany. Sądził, że to spotkanie będzie dotyczyć oporu, który razem z Mendlem zaszczepili robotnikom; wskazywały na to przyspieszone tempo pracy i zmiana w postawie brygadzistów. Ale Varsádi nie oskarżał ich o agitację. Wyglądało na to, że chce tylko, żeby przestali wydawać gazetę.

– Ale gazeta tak naprawdę nie jest w obiegu, panie majorze – powiedział Mendel. – Nigdzie poza naszą kompanią.

– Drukujecie po pięćdziesiąt egzemplarzy każdego numeru – odparł Varsádi. – Ludzie zabierają je do domu. Niektóre z nich mogą trafić do miasta. A poza tym jest kwestia druku, kwestia matryc i oryginałów. Ta gazeta wygląda profesjonalnie. Wiem, że to nie robótki ręczne w domowym zaciszu.

Andras i Mendel wymienili błyskawiczne spojrzenia.

– Niszczymy matryce co tydzień, panie majorze – odparł Mendel.

– Nie ma nic więcej poza egzemplarzami, które są w obiegu.

– Z tego, co wiem, obaj pracowaliście do niedawna w „Madziarskim Dzienniku Żydowskim”. Gdybym ich popytał albo trochę się tam rozejrzał, czy nie natrafiłbym przypadkiem na…?

– Może pan szukać, gdzie pan zechce, panie majorze – odpowiedział Mendel. – Na nic pan nie natrafi.

Andras patrzył półprzytomnie, jak komendant otwiera szufladę w biurku, wyjmuje z niej mały rewolwer i trzyma go swobodnie w dłoni. Rękojeść pistoletu była aksamitnie czarna, lufa krótka.

– Nie może być mowy o żadnej pomyłce – powiedział Varsádi.

– Pięćdziesiąt egzemplarzy każdego numeru. W tym równaniu jest dość niewiadomych. Potrzebuję oryginałów i matryc. Muszę wiedzieć, gdzie je przechowujecie.

– Zniszczyliśmy… – zaczął jeszcze raz Mendel, ale jego spojrzenie uciekło w stronę pistoletu.

– Kłamiesz – odpowiedział Varsádi stanowczo. – Nie podoba mi się to, zwłaszcza że do tej pory traktowałem was pobłażliwie. – Odwrócił pistolet i przesunął kciukiem po bezpieczniku. – Muszę poznać prawdę, a potem was puszczę. Drukowaliście tę gazetę w „Madziarskim Dzienniku Żydowskim”. Czy znajdziemy tam oryginały? Pytam, panowie, bo jedyne inne miejsce, które przychodzi mi do głowy, to wasze domy. A ja wolałbym nie niepokoić waszych rodzin. – Słowa zawisły w powietrzu między nimi, podczas gdy Varsádi kciukiem polerował rewolwer.

Przed oczyma Andrasa stanęło w jednej chwili wszystko: splądrowane mieszkanie przy Nefelejcs utca, wszystkie książki i gazety zrzucone na podłogę, każda szafka opróżniona, wypatroszona sofa, rozprute ściany i deski w podłodze. Wszystkie przygotowania do podróży do Palestyny obnażone przed wzrokiem przedstawicieli władzy. I Klara, wciśnięta w kąt, a może trzymana za nadgarstki – jak? przez kogo? – podczas gdy dziecko zanosi się płaczem. Znów spojrzał Mendlowi w oczy i zrozumiał, że Mendel także to zobaczył i podjął już decyzję. Jeżeli Andras sam nie powie prawdy, on to zrobi. I rzeczywiście chwilę później Mendel się odezwał:

– Oryginały są w „Dzienniku” – powiedział. – Po jednym egzemplarzu każdego numeru, w szafie na dokumenty w gabinecie redaktora naczelnego. Nie ma potrzeby niepokoić niczyjej rodziny. Niczego nie trzymamy w domu.

– Bardzo dobrze – odpowiedział Varsádi. Włożył rewolwer z powrotem do szuflady. – To wszystko. Możecie odejść – dodał i machnął ręką w kierunku drzwi.

Poruszali się jakby w jakimś lepkim płynie, nie patrząc na siebie. Pogrążyli Frigyesa Epplera jako osobę i jako redaktora; obaj zdawali sobie z tego sprawę. Nie wiedzieli, jakie mogą być tego konsekwencje, jaką cenę będzie musiał zapłacić Eppler. Na zewnątrz okazało się, że cała kompania znalazła się na placu apelowym, że stali w niewygodnej pozycji na baczność. Kiedy Andras zajął miejsce w szeregu, József posłał mu spojrzenie pełne autentycznej ciekawości. Nie było jednak czasu na rozmowy; wyglądało na to, że teraz nastąpi zapowiedziana inspekcja. Żołnierze, którzy przyjechali rano, rozproszyli się dokoła placu apelowego, a oficerowie, którzy konferowali z Varsádim, stanęli na czele formacji. Kiedy Andras spojrzał przez wysypany żwirem obszar na drugi koniec pola, zobaczył, że również tam ustawili się żołnierze. Przed kwaterą Varsádiego – żołnierze. Wzdłuż torów za nimi – kolejni żołnierze. W jednej chwili zrozumiał: kompania 79/6 została zapędzona w kozi róg, otoczona. Żołnierze, którzy palili i śmiali się razem ze strażnikami, teraz stali na baczność, z rękami na karabinach i oczyma utkwionymi niebezpiecznie w środkowy plan, skąd nie widać drugiego człowieka.

Varsádi wyłonił się teraz z niskiego budynku, plecy miał wyprostowane, na jego piersi w popołudniowym słońcu lśniły medale.

– Do szeregu! – krzyknął. – Kolumna marszowa.

Andras postanowił zachować spokój. Znajdowali się pół godziny drogi od Budapesztu. To nie był okręg Délvidék. Prawdopodobnie Varsádi chce ich jedynie postraszyć, pokazać, kto tu rządzi, skorygować swój dotychczasowy niedbały styl dowodzenia. Na jego rozkaz kompania 79/6 wymaszerowała z placu apelowego i ruszyła wzdłuż torów, w stronę południowej bramy stacji. Dokoła żołnierze utrzymywali zwarte szeregi. Kiedy kolumna doszła do końca rzędu wagonów towarowych, wszyscy stanęli.

Do składu dołączono trzy puste wagony, na których widoczny był symbol Munkaszolgálat. Ich małe, wysoko osadzone okienka opatrzone były żelaznymi kratami. Drzwi do wagonów były otwarte, jakby w oczekiwaniu. Daleko z przodu, za świeżo załadowanymi wagonami, lokomotywa wydmuchiwała w niebo brązowy dym.

– Baczność, poborowi! – zawołał Varsádi. – Wasze rozkazy uległy zmianie. Jesteście potrzebni armii gdzie indziej. Wyruszycie natychmiast. Wasze

obowiązki zostały objęte tajemnicą wojskową. Nie możemy podać wam więcej informacji.

Wśród mężczyzn padły pełne niedowierzania okrzyki protestu, wybuchła nagła wrzawa.

– Cisza! – krzyknął komendant. – Milczeć! Milczeć natychmiast! – Uniósł rewolwer i wystrzelił w powietrze.

Mężczyźni umilkli.

– Przepraszam, panie majorze – odezwał się József. Stał zaledwie metr od Andrasa, na tyle blisko, że ten widział żyłkę pulsującą na jego skroni. – Z tego, co pamiętam, w *Zbiorze zasad służby KMOF* napisane jest, że powinniśmy zostać poinformowani na tydzień przed zmianą miejsca stacjonowania kompanii. Ponadto, jeśli wolno mi wskazać, nie mamy odpowiedniego wyposażenia.

Major Varsádi podszedł do Józsefa z pistoletem w dłoni. Chwycił rewolwer za jego krótką lufę i rękojeścią wymierzył dwa płynne ciosy Józsefowi w twarz. Na ramię Andrasa trysnęła jasnoczerwona krew.

– Dobrze ci radzę, stul pysk – powiedział Varsádi. – Tam, dokąd jedziecie, za coś takiego już byś nie żył.

Major wydał kolejny rozkaz; żołnierze zwarli szeregi wokół robotników i zaczęli spychać ich w kierunku wagonów. Andras wylądował ściśnięty pomiędzy Mendlem a Józsefem. Za nimi tłoczyli się inni mężczyźni. Nie mieli wyboru, musieli wejść w otwartą czeluść wagonu. Przez pojedyncze, wysoko umieszczone okienko Andras widział, jak szereg żołnierzy opasuje wagony, a ich bagnety błyskają matowo na tle usianego barankami nieba. Do wagonów wpychano coraz więcej i więcej robotników, aż zaczęło się wydawać, że są cząstkami powietrza. Andras wdychał mokre płótno, olejek do włosów i pot, zapach porannej pracy przełamany nutą paniki. Serce tłukło mu się o żebra, gardło zaciskało przerażenie. Klara była teraz w domu, pakowała ostatnie rzeczy. Za godzinę zacznie spoglądać na zegar. Musiał wydostać się z pociągu. Uda, że jest chory; spróbuje kogoś przekupić. Zaczął przepychać się łokciami z powrotem w stronę drzwi, ale zanim udało mu się dotrzeć do tego prostokąta światła, usłyszał okrzyk: „Odjazd!”. A potem łoskot zasuwanych drzwi, nagła ciemność, odgłos łańcucha zakładanego na metal i szczęknięcie kłódki, wyraźne i ostateczne.

Chwilę później pociąg wydał z siebie obojętny gwizd. Poprzez deski podłogi, przez podeszwy letnich butów Andrasa i kości jego nóg dał się odczuć głęboki mechaniczny dygot, pierwsze zgrzytliwe szarpnięcie, sygnalizujące ruch.

Mężczyźni poprzewracali się na siebie; ciężar wydawał się na tyle duży, by napór uciszył serce tłukące się w piersi Andrasa. A potem pociąg szarpnął raz jeszcze, wszedł w swój rytm i poniósł ich naprzód przez północną bramę stacji Szentendre do celu, którego nikt z nich nie umiał nazwać.

CZĘŚĆ V

Od ognia...

Rozdział trzydziesty czwarty

Turka

W CIĄGU DNI I NOCY spędzonych w pociągu, po tym, jak ochrypł od krzyków i protestów i stracił wszelką nadzieję na ucieczkę, owładnął nim rodzaj odrętwienia. Godzinami stał razem z Mendlem pod umieszczonym wysoko okienkiem, patrząc, jak świat na zewnątrz przesuwa się przed jego oczami niczym katalog tego, co niemożliwe. Motorower, nasuwający myśl o szybkiej ucieczce. Droga, którą mógłby pojechać do domu, do Klary. Ciężarówka pocztowa, która mogłaby zawieźć list. Na podstawie kierunku, z którego padało światło, domyślił się, że przemieszczają się na północny wschód. Odgadłby to zresztą i bez tego, bo pociąg jechał pod górę. Wspinali się na wyżyny na północy kraju, przez Gyöngyös i Füzesabony; czasami pociąg ociężale piął się pod górę, a czasami zatrzymywał się na całe godziny. Za każdym razem, kiedy tak się działo, Andras spodziewał się, że zaprowadzą ich na nowe miejsce pracy. Drugiej nocy rozkazano im rzeczywiście opuścić pociąg i spędzono do pustego magazynu, w którym kiedyś musiało być przechowywane czerwone wino z tego regionu, Egri Bikavér, bycza krew. Powietrze było przesycone słodkim dębowym zapachem beczek; klepisko miało na sobie ślady wyblakłych purpurowych kręgów. Dwaj kucharze wojskowi dali im do jedzenia cienką kapuścianą zupę i po kawałku twardego czarnego chleba, znajomy wikt z Munkaszolgálat. Ustawili się w kolejce, by umyć się pod kranem w kącie magazynu. Nie wolno im było rozmawiać ze sobą ani wychodzić na zewnątrz, nawet za potrzebą; musieli używać do tych celów beczki. Drzwi magazynu były zamknięte na kłódkę, a budynku pilnowali żołnierze. Rano zapędzono ich z powrotem do pociągu i wysłano dalej na wschód.

To był trzeci dzień ich podróży. Następnego ranka Andras miał wyruszyć do Palestyny. Co robiła teraz Klara? Wiedział, że nie powinien się łudzić, że ona pojedzie bez niego. Co musiała sobie myśleć dwie noce wcześniej, kiedy robiło się coraz później, a on nie wracał? Wyobrażał ją sobie, jak pochyla się nad walizkami, pakuje rzeczy małego, spogląda na zegar na komodzie; wyobrażał

sobie jej lekkie zaniepokojenie, gdy minęła zwykła godzina jego powrotu z pracy – czy wstąpił z Mendlem do miasta na ostatniego drinka, a może wybrał się na ostatni spacer znajomymi uliczkami? Kolacja, którą przygotowała, stygła w kuchni. Klara położyła pewnie Tamása do łóżeczka, a jej zaniepokojenie przeradzało się w strach, w miarę jak z ósmej zrobiła się dziewiąta, a z dziewiątej – dziesiąta.

Co mogła sobie wyobrażać na temat jego losu? Czy myślała, że wsadzili go do więzienia albo zabili? Czy władze Munkaszolgálat o czymkolwiek ją do tej pory poinformowały? Najprawdopodobniej nadal nic nie wiedziała. A co z groźbami Varsádiego? Czy zadowoli go, że jego ludzie znajdą oryginały „Krzywego Toru" w biurze Epplera, czy będzie się domagał, żeby przeszukali także mieszkanie?

W pociągu trwały nieustanne spekulacje na temat tego, dokąd jadą i co czeka ich u kresu podróży. Przeważała opinia, że w sprawie przeniesienia kompanii nastąpiła jakaś pomyłka. Pod koniec miesiąca miano wysłać ich na północny zachód do pracy na innej stacji, w Esztergom. Najwyraźniej ktoś pomylił rozkazy. Błąd zostanie niebawem wykryty i umieszczą ich w pociągu jadącym na zachód. To jednak nie wyjaśniało, dlaczego na stację Szentendre wysłano żołnierzy, żeby dopilnowali, by robotnicy wsiedli do pociągu, ani też dlaczego kompanię wyprawiono w drogę w takim pośpiechu. Wieża z Kości Słoniowej, dawny profesor historii, miał inną teorię: uważał, że wysłano ich na wschód, ponieważ wszyscy byli świadkami przestępstwa, powolnej i systematycznej akcji dywersyjnej, która odprowadziła na czarny rynek towary o wartości milionów pengő. Rząd rozpoczął kampanię, która ma położyć kres malwersacjom w armii, twierdził profesor. Kradzież dóbr przeznaczonych do użytku na froncie była aktem zdrady, podlegającym karze śmierci. Wśród komendantów kompanii pracy przymusowej wybuchła panika, bo to na nich spoczywała największa odpowiedzialność. Nie mogli liczyć na to, że robotnicy żydowscy, nad którymi dzień w dzień się znęcali, zaświadczą o ich niewinności; dlatego też musieli się ich pozbyć, przerzucając jak najdalej, może nawet do Europy Wschodniej.

József był przerażony, Andras widział to wyraźnie. Prawie się nie odzywał. Trzymał się na uboczu i ostrożnie dotykał swojej obolałej twarzy obitej przez Varsádiego. W ogóle nie spał; przez całą noc siedział, sortując i układając od nowa kilka przedmiotów, które miał w tobołku. Nie zdobył się na żaden żart. Odmawiał jedzenia tego, co im wydzielano, wolał skubać kawałek chałki, który został mu z drugiego śniadania przyniesionego na Szentendre. Początkowo nie

chciał korzystać ze wspólnej toalety w kącie pociągu; a kiedy w końcu nie był w stanie dłużej się powstrzymywać, wrócił stamtąd, wyglądając jak zbity pies.

Dzień znów zamienił się w noc, a pociąg jechał dalej. Nie było postojów ani najedzenie, ani na picie. Nie było wytchnienia od wszechobecnego upału. Nikt nie mógł się położyć; nie starczało miejsca. Mogli tylko na zmianę siadać na podłodze wagonu lub podnosić twarze do okna. Chwile, w których oddychali świeżym powietrzem, przynosiły pewną ulgę. Ale czwartego dnia nie dało się już ignorować coraz silniejszego smrodu i dręczącego ich pragnienia, i Andras zaczął się zastanawiać, czy prawdziwym celem podróży nie jest trzymanie ich w pociągu tak długo, aż umrą z odwodnienia. Zamroczony gorączką uświadomił sobie, że to wyłącznie jego wina, że są uwięzieni w tym pociągu jadącym na wschód. „Krzywy Tor", pomimo swojego żartobliwego charakteru, dokumentował w istocie fakt, że stacja Szentendre zamieszana była w czarnorynkowe interesy; pokazywał to każdemu robotnikowi, który był zbyt ślepy czy naiwny, żeby sam to dostrzec, i z całą pewnością mógł przyczynić się do tego, że informacje o tych działaniach rozeszły się poza Szentendre. Klara miała rację; to było absurdalne, niepotrzebne ryzyko. Być może gazeta była drobnostką w porównaniu z innymi dowodami obciążającymi oficerów, ale jednak istniała. Varsádi uważał ją za dostatecznie ważną, by odbyć prywatną rozmowę z Andrasem i Mendlem, kwestię na tyle ważną, że groził im bronią. Gdyby pięćdziesiąt egzamplarzy gazety nie trafiało co tydzień do robotników, a z ich rąk być może do miasta, czy Varsádi zmieniłby się z beztroskiego bibosza w człowieka gotowego wysłać na front całą kompanię tylko po to, by ratować własną skórę?

Tego popołudnia Andras stał przy oknie, podczas gdy pociąg wjeżdżał poprzez burzę w region najeżonych skałami wzgórz. Zza zasłony mgły wyłonił się ogromny czarny kształt: ruiny średniowiecznej fortecy, warowny zamek z wyszczerbionymi zębatymi blankami i donżonem sterczącym w niebo. Andras szturchnął Mendla w ramię i kazał mu spojrzeć. Jego własną pierś ścisnęło uczucie, że dawno temu śniła mu się ta chwila. Wszystko wydawało się znajome: odgłos kół na torach, przefiltrowany mrok wagonu, smród ciasno stłoczonych mężczyzn, nadgryziony kształt fortecy. W ustach poczuł metaliczny smak, skóra zaczęła go piec uczuciem podobnym do wstydu. Jak mógł uwierzyć, że on, Klara i Tamás, Tibor, Ilana i Ádám będą teraz płynąć barką po Dunaju w stronę Rumunii, gdzie wsiądą na statek, który zabierze ich do Palestyny? Jak mógł uwierzyć, że bezpiecznie przepłyną morze naszpikowane okrętami podwodnymi, że nietknięci dotrą do Hajfy i zaczną nowe życie w jednej z osad, że sprowadzą tam swoich rodziców, że on sam będzie budował od podstaw żydowską ojczyznę?

Wmówił sobie nawet, że Mátyás wróci ze służby na froncie cały i zdrowy i dołączy do nich w Palestynie. A jednak, ten zamek na wzgórzu, ta mgła, ten pociąg: w jakiś sposób Andras przez cały czas wiedział, że go to czeka. Wiedział, że nigdy nie wyjadą razem z Budapesztu, że nigdy nie opuszczą Węgier i nie przeprawią się przez Morze Śródziemne. Zaczął się zastanawiać, czy Klara też to wiedziała. A jeżeli tak, to dlaczego pozwalali sobie nawzajem trwać w złudzeniu?

W końcu zrozumiał – od lat już musiał pielęgnować w sobie przywiązanie do bezrozumnej nadziei. Stało się to dla niego równie naturalne jak oddychanie. Zaprowadziła go ona z Konyáru do Budapesztu i Paryża, z chłodu i osamotnienia jego pokoju na rue des Écoles w przytulne ciepło rue de Sévigné, z rozpaczliwej zimy na Zakarpaciu na ulicę Niezapominajek na Erzsébetváros. Była nieuniknionym produktem ubocznym miłości, czystym i potężnym destylatem ojcostwa. Nadzieja nie pozwoliła mu myśleć zbyt długo czy zbyt wiele o tym, co mogło stać się z Polanerem, z Ben Yakovem, z jego własnym młodszym bratem. Sprawiła, że nie zastanawiał się nad możliwymi konsekwencjami wydawania pisma w rodzaju „Krzywego Toru". Powstrzymała go przed wyobrażaniem sobie, że wyślą go na wschód, prosto w paszczę wojny. A jednak był teraz tutaj, tak jak Mendel Horovitz, razem patrzyli, jak zamek znika we mgle.

A pociąg jechał przed siebie, wciąż pod górę, przemieszczając się powoli w rejony rzadszego, suchszego powietrza. Brutalny żar zaczął tracić na sile, a przez okienko napływał nieuchwytny zapach świerczyny. Mężczyźni milczeli, spragnieni, osłabieni z głodu i braku snu. Na zmianę siedzieli i stali. Dryfowali pomiędzy snem a czuwaniem, ich nogi chwiały się w rytm pociągu, stopy zdrętwiały od ciągłej wibracji kół na niekończących się torach. Kiedy piątego dnia pociąg zatrzymał się na stacji, Andras potrafił myśleć tylko o tym, jak cudownie byłoby wyciągnąć się na ziemi i zasnąć. Z zewnątrz dobiegł szczęk otwieranej kłódki i odsuwanych drzwi; do cuchnącego wagonu napłynęła fala świeżego powietrza i mężczyźni wylegli na peron. Wyczerpany Andras jak przez mgłę odczytał napis na tabliczce. TYPKA. Mlaśnięcie języka z przodu podniebienia, wargi ściągnięte przy *ka*, węgierskim zdrobnieniu. Poczuł wstrząs zmieszany z ulgą: a więc wywieziono ich nie na front wschodni. Znajdowali się ciągle w ojczyźnie.

TYPKA. Nie zdawał sobie sprawy, że wymówił to na głos, dopóki stojący obok Wieża z Kości Słoniowej nie pokręcił głową i go nie poprawił.

– Turka – powiedział. – To jest napisane cyrylicą.

I tak właśnie było, dojechali bowiem na Ukrainę.

Obóz, w którym mieli stacjonować, został zbombardowany tydzień wcześniej. Stu siedemdziesięciu mężczyzn zginęło, koszary zostały zrównane z ziemią. Pozostali musieli wykopać wielkie groby, żeby pogrzebać swoich towarzyszy; pod wpływem padającego przez tydzień deszczu ziemia osunęła się, wpadając do dołów. Kompania nie pozostawiła po sobie nic poza kośćmi umarłych – ani śladu narzędzi, ani odrobiny pociechy dla mężczyzn z nowo przybyłej kompanii 79/6. Andras i pozostali rozbili obóz na błotnistym placu apelowym, a następnego dnia zostali zakwaterowani w domu i budynkach gospodarczych na terenie pustego żydowskiego sierocińca pół kilometra dalej.

Ich nowe kwatery zbudowane były z sowieckich pustaków bielonych wapnem, które zzieleniało od pleśni. Wszystko wewnątrz głównego domu powstało z myślą o dzieciach. Piętrowe łóżka były absurdalnie krótkie. Można było na nich leżeć tylko podciągnąwszy kolana pod brodę. W kranach była bieżąca woda, co wydawało się prawdziwym cudem, jednak umywalki zamontowano tak nisko, że aby umyć twarz, trzeba było niemal klękać. Jadalnię umeblowano malutkimi ławami i niskimi stolikami; w korytarzach pozostały błotniste ślady dziecięcych stóp. Były to jednak jedyne ślady obecności mieszkańców w tym miejscu. Każdy strzęp ubrania, każdy bucik, książka czy łyżeczka zostały usunięte, jakby dzieci nigdy nie było.

Ich nowym komendantem był potężny czarnowłosy Węgier z twarzą przepołowioną spektakularną keloidową blizną. Blizna biegła łukiem od środka czoła po czubek podbródka, pozbawiając go prawej powieki, o milimetr omijając nos i dzieląc usta na cztery nierówne części. Pozbawione powieki prawe oko nadawało jego rysom wyraz nieustannego zaskoczenia i strachu, jakby nigdy nie opuścił go szok związany z odniesioną raną. Nazywał się Kozma. Pochodził z miejscowości Győr. Miał szarego wilczarza, którego na przemian kopał i pieścił, i zastępcę o nazwisku Horvath, którego traktował w ten sam sposób. Rankiem pierwszego dnia w sierocińcu Kozma zebrał kompanię na podwórzu i kazał im maszerować drogą pięć kilometrów, jak najszybciej, aż do mokrego pola, na którym trawa zarastała nierówno długi, zasypany ziemią rów. Tutaj właśnie dzieci z sierocińca zostały ustawione w szeregu i zastrzelone, powiedział im nowy komendant, i tu właśnie skończą również oni, kiedy skończy się ich użyteczność dla armii węgierskiej. Ich nieśmiertelniki być może wrócą do domu, ale oni sami zostaną tu na zawsze; są brudniejsi od świń, podlejsi od robaków, równie dobrze mogliby już nie żyć. Teraz jednak ich kompania dołączy do pięciuset innych robotników przymusowych odbudowujących drogę pomiędzy Turka a Stryjem. Rzeka Stryj zalewała starą drogę, gdy występowała z brzegów. Nowa droga

zostanie wybudowana wyżej. Niewielką przeszkodę w przeprowadzeniu operacji stanowiły pola minowe; od czasu do czasu robotnicy musieli oczyścić taki teren, aby można było poprowadzić tamtędy drogę. Mieli za zadanie ukończyć budowę drogi przed nadejściem śniegów. Orbán, księgowy, będzie pilnował ich książeczek wypłat. Tolnay, oficer medyczny, będzie leczył tych, którzy zachorują. Jednak nie będzie tolerancji dla symulantów. Tolnay otrzymał ścisłe rozkazy, żeby robotnicy nie migali się od pracy. Mieli być posłuszni strażnikom i oficerom w każdej sytuacji; wichrzycieli czekały surowe kary, dezerterów – rozstrzelanie.

Po zakończeniu przemowy Kozma stuknął obcasami, z zadziwiającą prędkością odwrócił swoje masywne ciało i usunął się na bok, żeby jego zastępca mógł powiedzieć do kompanii kilka słów. Porucznik Horvath sprawiał wrażenie składanego modelu, jego budowa i rysy były jakby ściśnięte w szczuplejszą wersję zwykłego mężczyzny. Umieścił na nosie binokle i z kieszeni na piersi wyciągnął okólnik. Po zapadnięciu zmroku obowiązuje zakaz korzystania ze świateł elektrycznych, poinformował ich swoim cienkim, monotonnym głosem, zakaz pisania listów, nie ma sklepu spożywczego, w którym mogliby uzupełnić zapasy, nie ma możliwości otrzymania nowego munduru, jeżeli stary podrze się lub zniszczy od noszenia, obowiązuje zakaz tworzenia zgromadzeń, zakaz spoufalania się ze strażnikami, zakaz posiadania scyzoryków, zakaz palenia, zakaz gromadzenia wartościowych przedmiotów, zakaz robienia zakupów w miasteczku oraz handlu wymiennego z miejscową ludnością. Ich rodziny zostaną niebawem poinformowane o przeniesieniu, ale między kompanią 79/6 a światem zewnętrznym obowiązuje zakaz komunikacji drogą pocztową – zabronione są paczki, listy i telegramy. Ze względów bezpieczeństwa muszą stale nosić opaski na ramieniu. Osoba nieposiadająca odpowiedniego symbolu identyfikacyjnego może zostać wzięta za wroga i zastrzelona.

Krzycząc, Horvath podzielił ich na pięć kolumn i rozkazał wymaszerować z powrotem na drogę; mieli natychmiast wyruszyć na miejsce pracy. Droga była mokra i pełna głębokiego, mlaskającego błota. Zaczęło się rozwidniać i Andras zobaczył, że znajdują się w szerokiej dolinie rzeki, rozciągającej się pomiędzy wzgórzami porośniętymi gęsto iglakami. Daleko przed nimi wznosiły się zębate szare szczyty Karpat. Na zboczach wzgórz spoczywały chmury sączące mgłę w dolinę. Obok nich płynął wartko pomiędzy stromymi brunatnymi brzegami wezbrany od deszczu Stryj. Andras niebawem zaczął odczuwać w plecach i udach, że droga pnie się pod górę. Lista zakazów wciąż przewijała się w jego głowie: zabrania się korzystania z elektryczności po zmroku, pisania listów, komunikacji drogą pocztową. Nie było sposobu, żeby skontaktować się z Klarą.

Nie było sposobu, by dowiedzieć się, co się stało z nią, z Tiborem, Ilaną i Ádámem albo z Mátyásem, gdyby kiedykolwiek nadeszły jakieś wieści o jego losie. Podczas wcześniejszych okresów służby w Munkaszolgálat to listy od Klary powstrzymywały go przed popadnięciem w rozpacz; to pragnienie, by móc jej napisać „jestem zdrowy", utrzymywało go w stosunkowo dobrym zdrowiu. Jak zniesie brak jakiegokolwiek kontaktu, zwłaszcza po tym, co się wydarzyło? Będzie musiał znaleźć sposób, żeby się do niej odezwać, bez względu na konsekwencje. Przekupi kogoś, jeśli będzie musiał, wystawi weksel. Będzie do niej pisał, a jego listy do niej trafią. Pośród otaczającego go bezmiaru niepewności tego jednego był pewien.

Na miejsce pracy szło się dziesięć kilometrów; tam wydano im kilofy i łopaty i podzielono ich na dwadzieścia sześcioosobowych zespołów. W każdym zespole pracowało dwóch ludzi z taczkami i czterech z łopatami. Widać było setki takich zespołów, kopiących ziemię i wywożących ją taczkami, wyrównujących podłoże przed położeniem żwiru i asfaltu. Pas wyrównanej drogi ciągnął się w stronę Turki; szlak czerwonych znaczków geodetów punktował zielony bezmiar pomiędzy miejscem, gdzie się znajdowali, a miejcowością Schodnica. Pomiędzy grupami prześlizgiwali się nadzorcy, chłoszcząc grzbiety i nogi robotników cienkimi rózgami.

Pracowali przez pięć godzin bez odpoczynku. W południe dostali dziesięć dekagramów chleba, który tak chrzęścił w zębach, że niechybnie zawierał trociny, i chochlę wodnistej zupy z rzepy. Po tym pracowali aż do zmroku i w ciemnościach pomaszerowali do domu. W sierocińcu kucharz kompanii podał każdemu po filiżance zupy cebulowej. Następnie ustawiono ich w szeregu na placu apelowym i kazano stać na baczność przez trzy godziny, dopóki Kozma nie wysłał ich spać do dziecięcych łóżeczek piętrowych. Taki właśnie miał być rozkład dnia w ich nowym życiu.

Andras spał na górnym łóżku koło okna, a Mendel obok, nad Wieżą z Kości Słoniowej. József zajmował łóżko pod Andrasem. W pierwszym tygodniu Andras słyszał, jak József wierci się i przewraca godzinami po twardych drewnianych listwach. Za każdym razem, kiedy się obracał, budził Andrasa, któremu prawie udało się zasnąć. Piątej nocy Andras chciał go udusić. Pragnął tylko zasnąć, by nie musiał myśleć o tym, gdzie jest i dlaczego. Ale József mu na to nie pozwalał. Kręcił się i przewracał z boku na bok całymi godzinami.

– Przestań! – syknął Andras. – Śpij!

– Idź do diabła – szepnął József.

– Sam idź do diabła.

– Już jestem w piekle – odparł József. – Umrę tutaj. Wiem o tym.

– Prędzej czy później coś nas wykończy – mruknął Mendel z sąsiedniego łóżka.

– Mam. słaby organizm i porywczy charakter – powiedział József. – Nierozsądnie postępuję. W końcu odszczeknę coś komuś, kto nosi broń.

– Od dwóch miesięcy jesteś w Munkaszolgálat – odparł Andras. – Jeszcze nie zginąłeś.

– To nie Szentendre – powiedział József.

– Postaraj się myśleć o tym miejscu jak o Szentendre z gorszym jedzeniem i brzydszym komendantem.

– Na litość boską, Lévi, czy ty mnie nie słuchasz? Potrzebuję pomocy.

– Ciszej tam! – syknął ktoś.

Andras zszedł i usiadł na brzegu łóżka Józsefa. W ciemności odszukał jego wzrok.

– O co chodzi? – wyszeptał. – Czego chcesz?

– Nie chcę umrzeć przed trzydziestką – odrzekł József głosem łamiącym się jak u chłopca. Otarł ręką nos. – Nie jestem na to przygotowany. Przez ostatnie pięć lat tylko jadłem, piłem, dymałem i malowałem obrazy. Nie przeżyję obozu pracy.

– Przeżyjesz. Jesteś młody i zdrowy. Dasz radę.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu, słuchając oddechu innych mężczyzn wokół. Pięćdziesięciu oddychających przez sen: brzmiało to jak sekcja smyczkowa orkiestry grającej na skrzypcach, altówkach i wiolonczelach bez strun, końskie włosie ocierające się bez ustanku o drewno. Od czasu do czasu w szmer oddechów wdzierało się dętym odgłosem kichnięcie czy metaliczny kaszel; ale bezstrunna muzyka płynęła dalej; nieustanne westchnienia w ciemności.

– I to wszystko? – zapytał w końcu József. – Nic więcej dla mnie nie masz?

– Taka jest prawda – odparł Andras. – Nie bardzo mam nastrój, żeby zagrzewać cię do boju.

– Nie chcę, żebyś mnie zagrzewał – szepnął József. – Chcę wiedzieć, jak tu przeżyć. Robisz to już prawie trzy lata. Nie masz żadnych rad?

– No cóż, najlepiej nie wydawaj wywrotowej gazety – powiedział Andras. – Bo może się zdarzyć, że komendant wyceluje do ciebie z pistoletu.

– Tak rzeczywiście było? – zapytał József. – Czego on chciał?

– Matryc i oryginałów. Zagroził, że przeszuka nasze domy, jeśli mu ich nie oddamy.

– O Boże. I co mu powiedzieliście?

– Prawdę. Oryginały są w gabinecie naczelnego w „Dzienniku Żydowskim". A w każdym razie były. Jestem pewny, że Varsádi do tej pory je stamtąd zabrał.

József powoli wypuścił powietrze.

– Wasz naczelny musiał mieć wtedy kiepski dzień w pracy.

– Wiem. Nie daje mi to spokoju. Ale co mieliśmy zrobić? Nie mogliśmy przecież skierować ludzi Varsádiego na Nefelejcs utca.

– No dobrze – szepnął József. – Na pewno nie będę wydawał wywrotowego pisma. I co dalej?

Andras przekazał Józsefowi to, co wiedział: Nie odzywaj się. Stań się niewidzialny. Nie rób sobie wrogów z innych robotników. Nie odpowiadaj strażnikom. Jedz to, co ci dają, choćby było Bóg wie jak niedobre, i zawsze zachowuj coś na później. Dbaj o czystość. Pilnuj, żeby mieć suche stopy. Dbaj o ubranie, żeby się nie rozpadło. Zorientuj się, którzy strażnicy są bardziej ludzcy. Przestrzegaj wszystkich zasad, których możesz; gdy którąś złamiesz, nie daj się przyłapać. Nie zapominaj o życiu, które prowadziłeś w domu. Nie zapominaj, że twoja służba kiedyś się kończy.

Umilkł, bo przypomniał sobie inną listę, którą razem z Mendlem ułożyli dawno temu: Dziesięcioro Przykazań Munkaszolgálat. Czy naprawdę od czasu, kiedy wysłali ich na Zakarpacie, minęły raptem trzy lata? Czy służba naprawdę kiedyś się skończy? Kto tak powiedział, kto wyznaczy termin? Nagle nie był już w stanie myśleć ani rozmawiać o tym ani chwili dłużej.

– Muszę się przespać – powiedział.

– W porządku – szepnął József. – Ale słuchaj… Dzięki.

– Zamknijcie się, idioci – warknął Mendel z sąsiedniego łóżka.

– Nie ma sprawy – powiedział Andras. – A teraz idź spać.

Wdrapał się na swoje łóżko i owinął kocem. József więcej nie hałasował; wiercenie się i przewracanie z boku na bok ustało. Ale Andras nie spał, leżał i słuchał, jak oddychają pozostali. Pamiętał takie ciche noce z początku swojego pierwszego okresu pracy przymusowej. Ale niedługo już żaden z nich nie będzie mógł spać spokojnie; ktoś zawsze zakaszle, stęknie albo pobiegnie do latryny, a do tego dojdzie tortura wszawicy i tępy, mdlący ból wywołany głodem. A także zbiórki o północy, jeśli Kozma okaże się ich zwolennikiem. Munkaszolgálat jest jak chroniczna przypadłość, pomyślał Andras – jej symptomy czasem słabną, ale zawsze powracają. Kiedy rozpoczął swoją służbę w Siedmiogrodzie, odczuwał dokładnie to samo co József teraz, głęboką niesprawiedliwość tego wszystkiego. Dlaczego to przydarzyło się jemu, jemu i Klarze, jego rozumowi, jego ciału, tej solidnej, wiernej maszynie? Nie mógł uwierzyć, że wszystkie najpilniejsze sprawy z czasu spędzonego w Paryżu – wszystko, co wydawało mu się ważne, całe jego studia, każdy projekt, każda chwila spędzona z Klarą, każda tajemnica, każda troska o pieniądze, uczelnię, pracę czy jedzenie – zostały spakowane i zamknięte, odarte z kontekstu, sprowadzone do absurdu, pomniejszone, skazane na niemożność, wciśnięte w przestrzeń zbyt ciasną, by pomieścić życie. Tego dnia jednak, maszerując do pracy, kopiąc ziemię, jedząc nędzną strawę i brnąc przez błoto do domu, nie czuł się oburzony; nie czuł prawie zupełnie niczego. Był tylko zwierzęciem na powierzchni ziemi, jednym z miliardów. Fakt, że przeżył szczęśliwe dzieciństwo w Konyárze, poszedł do szkoły, nauczył się rysować, pojechał do Paryża, zakochał się, studiował, pracował, spłodził syna – nic z tego nie zapowiadało późniejszego losu; była to głównie kwestia szczęścia. Żadna z tych rzeczy nie była nagrodą, podobnie jak Munkaszolgálat nie było karą; żadna nie uprawniała go do szczęścia ani bezpieczeństwa w przyszłości. Mężczyźni i kobiety cierpieli na całym świecie. Setki tysięcy zginęło już w tej wojnie, a on sam mógł umrzeć tutaj, w Turce. Miał wrażenie, że raczej na to się zanosi. Miał niewielki wpływ na cokolwiek; był cząsteczką życia, drobiną ludzkiego kurzu zagubioną na wschodnim krańcu Europy. Wiedział, że przyjdzie czas, być może już niebawem, kiedy jemu samemu trudno będzie przestrzegać zasad, które wpoił Józsefowi.

Powtarzał sobie, że musi myśleć o Klarze. Musi myśleć o Tamásié. I o rodzicach, o Tiborze i o Mátyásié. Musi udawać, że sytuacja nie jest beznadziejna; musi oszukiwać samego siebie, żeby pozostać przy życiu. Musi zaangażować się w podstępne sztuczki miłości.

Pod koniec drugiego tygodnia Andrasa w Turce pomocnik mierniczego zginął od wybuchu miny. Wydarzyło się to na skraju nowej drogi, kilka kilometrów od miejsca pracy Andrasa, ale wieści rozniosły się szybko wśród pracujących zespołów. Pomocnik mierniczego był jednym z nich, robotnikiem przymusowym. Pomagał w stworzeniu mapy drogi wśród sowieckich pól minowych. To pole zostało jakoby oczyszczone kilka miesięcy wcześniej przez przez inną kompanię. Pomocnik zawadził o minę, rozkładając statyw. Wybuch zabił go na miejscu.

Mierniczy również był robotnikiem przymusowym, inżynierem z Szegedu. Andras widywał go przechodzącego obok w drodze do punktu pomiarów. Był niski i blady, miał okulary bez oprawek i krzaczaste siwe wąsy; kurtka od jego munduru była tak samo obdarta jak każdego innego robotnika, a buty owinięte szmatami, żeby się nie rozpadły. Ponieważ jednak jego funkcja miała duże znaczenie dla armii, nosił czapkę o urzędowym wyglądzie i insygnia na kieszeni płaszcza. Miał pozwolenie na zakupy w mieście i palenie papierosów. I ciągle wzywano go, by służył za tłumacza: znał polski, rosyjski, a nawet trochę ukraińskiego i był w stanie porozumieć się z każdym galicyjskim wieśniakiem w jego ojczystym języku. Jego pomocnik, szczupły ciemnooki chłopak, który nie mógł mieć więcej niż dwadzieścia lat, chodził za nim jak milczący cień. Po śmierci chłopca mierniczy w geście żałoby rozdarł swój rękaw i natarł twarz popiołem. Wlókł swój sprzęt do punktu pomiarów z wyrazem nieprzytomnej rozpaczy. Wszyscy mówili, że chłopak był dla niego jak syn; w rzeczywistości, o czym Andras dowiedział się później, chłopiec był synem jego najbliższego przyjaciela z Szegedu.

Mijał sierpień i stawało się jasne, że mierniczy będzie musiał wybrać sobie nowego pomocnika. Był za stary, żeby samemu wlec sprzęt; ktoś będzie musiał mu pomóc, jeżeli droga do Schodnicy miała zostać wytyczona przed przyjazdem niemieckiej inspekcji w listopadzie. Przechodząc koło grup robotników, mierniczy zaczął rozpytywać: Czy ktoś zna się na matematyce? Czy ktoś się uczył na inżyniera? Czy są wśród nich jacyś kreślarze, może architekt? Podczas posiłku w południe zobaczyli, jak czyta listę nazwisk robotników wraz z ich dawnymi zawodami, szukając kogoś, kto byłby dla niego przydatny.

Pewnego ranka, kiedy Andras i Mendel wraz z resztą grupy pracowali przy usuwaniu masy pokruszonego asfaltu, mierniczy zbliżył się do nich, powłócząc nogami, razem z majorem Kozmą. Major zatrzymał się i wskazał kciukiem Andrasa.

– To ten – powiedział. – Lévi, Andras. Nie wygląda na to, ale podobno czegoś tam się uczył.

Mierniczy przyjrzał się liście.

– Studiowaliście architekturę – odezwał się.

Andras wzruszył ramionami. Teraz już miał wrażenie, jakby to była nieprawda.

– Jak długo studiowaliście?

– Dwa lata. Kurs inżynierski.

– Cóż – powiedział mierniczy z westchnieniem. – To będzie musiało wystarczyć.

Mendel, który się przysłuchiwał, przysunął się do Andrasa; utkwił wzrok w mierniczym i rzekł:

– On nie chce tej pracy.

W jednej chwili dłoń majora Kozmy znalazła się na szpicrucie, zatkniętej za pas. Odwrócił się w stronę Mendla i zmrużył zdrowe oko.

– Czy ktoś do ciebie mówił, ty gnido?

Mendel zawahał się przez chwilę, ale potem kontynuował, jakby w ogóle nie bał się majora:

– Ta praca jest niebezpieczna, panie majorze. Lévi jest mężem i ojcem. Proszę wziąć kogoś, kto ma mniej do stracenia.

Blizna na twarzy majora zapłonęła czerwienią. Wyciągnął szpicrutę zza pasa i uderzył nią Mendla w policzek.

– Nie będziesz mi mówił, jak mam dowodzić swoją kompanią, gnido – powiedział. A potem zwrócił się do Andrasa: – Pokaż swoje papiery, Lévi.

Andras zrobił, jak mu kazano.

Kozma wyjął z kieszeni munduru ołówek woskowy i napisał w dokumentach, że Andras podlega od tej chwili bezpośrednio mierniczemu. Podczas gdy pisał, Andras wyjął z kieszeni zmiętą chustkę i podał ją Mendlowi, na którego twarzy ukazała się krew; przyjaciel przycisnął chustkę do policzka. Mierniczy patrzył na to; zdawało się, że zrozumiał, co łączy tych dwóch. Odchrząknął i zwrócił się do Kozmy:

– Przyszedł mi do głowy pewien pomysł. Za pozwoleniem, panie majorze.

– O co znów chodzi?

– Może dałby mi pan też tego drugiego? – Wskazał kciukiem na Mendla. – Jest wysoki i silny. Mógłby nosić sprzęt. A jak będzie do wykonania jakieś niebezpieczne zadanie, wyślę go przodem. Nie chciałbym stracić następnego dobrego pomocnika.

Kozma ściągnął zniekształcone wargi.

– Chcesz ich obu?

– To tylko taki pomysł, panie majorze.

– Chciwy z ciebie Żydek, Szolomon.

– Droga wymaga pomiarów kartograficznych. Z dwójką pójdzie mi szybciej.

W tym momencie do grupy podszedł inny oficer. Był to generalny kierownik robót, pułkownik rezerwy z Królewskiego Węgierskiego Korpusu Inżynierów. Chciał poznać przyczynę opóźnienia.

– Szolomon chce, żeby ci dwaj ludzie pomagali mu w pomiarach.

– W takim razie proszę ich zapisać i odesłać. Nie możemy pozwolić ludziom stać bezczynnie.

W ten sposób Andras i Mendel zostali nowymi pomocnikami mierniczego, odziedziczywszy stanowisko po zabitym chłopcu.

W ciągu dnia sporządzali mapę drogi pomiędzy Turka a Jaworą, Jaworą a Kropiwnikiem Nowym, Kropiwnikiem Nowym a Schodnicą. Poznali sekrety lunety mierniczej, czyli teodolitu; mierniczy nauczył ich, jak montować go na statywie i kalibrować za pomocą ołowianego ciężarka i poziomicy. Nauczył ich orientować go na północ geograficzną i synchronizować linię wzroku z linią horyzontu. Nauczył ich myśleć o krajobrazie w języku form geometrycznych: płaszczyzny poprzecinane przez inne płaszczyzny pod kątem ostrym lub rozwartym, wszystko to zrozumiałe, policzalne, rozsądne. Poszarpane wzgórza były niczym więcej jak skomplikowanymi wielościanami, rzeka Stryj wygiętym półwalcem ciągnącym się od granicy prowincji lwowskiej w stronę głębszego, dłuższego rowu Dniestru. A jednak niepodobna było widzieć w tym jedynie geometrię; wszędzie były oznaki wojny, które domagały się uwagi. Gospodarstwa zostały spalone, niektóre przez posuwające się naprzód wojska niemieckie, inne przez wycofujących się Rosjan. Porzucone plony gniły na polach. W

miasteczkach żydowskie sklepy zostały zdewastowane i splądrowane, stały teraz puste. Nigdzie nie było ani śladu Żyda, mężczyzny, kobiety czy dziecka. Polacy także zniknęli. Ukraińcy, którzy tu pozostali, mieli tępe spojrzenia, jakby potworności, których doświadczyli, kazały im spuścić zasłony na ich dusze. Choć letnie trawy wciąż rosły bujnie, a cierpkie jagody pojawiły się na krzakach wzdłuż drogi, sam kraj wydawał się martwy jak zwierzę zabite i wypatroszone w leśnym poszyciu. Teraz Niemcy usiłowali nafaszerować je nowymi organami i zmusić, by znów poczołgało się naprzód. Nowe serce, nowa krew, nowa wątroba, nowe wnętrzności – i nowy ośrodek układu nerwowego, kwatera główna Hitlera w Winnicy. Sama droga była arterią. Żołnierze, robotnicy przymusowi, amunicja i zaopatrzenie będą nią płynąć na front.

Mierniczy był sprytnym człowiekiem i wiedział, że jego teodolit przyda się nie tylko do sporządzania mapy. Niedługo po przyjeździe na Ukrainę zdał sobie sprawę, że może stać się także potężnym narzędziem perswazji. Kiedy trafiali w pobliże zamożnie wyglądającego gospodarstwa czy karczmy, ustawiał instrument w zasięgu wzroku właścicieli; wówczas z domu czy karczmy wychodził ktoś i pytał, co robi mierniczy, a on odpowiadał, że przez ich grunty, a może wręcz przez sam dom, będzie przechodziła droga. Zaczynało się targowanie: czy mierniczy nie dałby się przekonać, żeby przesunąć drogę troszeczkę na wschód, kawałeczek dalej? Mierniczy dawał się przekonać za niewielką opłatą. W ten sposób zbierał chleb i ser, świeże jajka, późne letnie owoce, stare płaszcze, świece, Andras i Mendel niemal co noc przynosili zapasy do sierocińca i rozdzielali je pomiędzy ludzi.

Mierniczy miał także cenne znajomości, a wśród nich przyjaciela w Królewskiej Węgierskiej Szkole Oficerskiej w Turce – oficera, który był niegdyś znanym aktorem w Szegedzie. Temu człowiekowi, Pálowi Erdő, powierzone zostało wystawienie słynnego dramatu wojennego Károly Kisfaludyego zatytułowanego *Tatarzy na Węgrzech.* Kiedy spotkali się w mieście z mierniczym, Erdő poskarżył mu się, jak trudną i absurdalną rzeczą jest wystawianie sztuki w środku przygotowań młodych ludzi do wyruszenia na wojnę. Mierniczy zaczął namawiać go, by wykorzystał sztukę do zrobienia czegoś dobrego dla innych – żeby poprosił na przykład o przydzielenie kilku robotników do pomocy, bo dobrze zrobiłoby im spędzenie kilku wieczornych godzin we względnym spokoju i bezpieczeństwie na terenie auli w szkole oficerskiej. Wspomniał zwłaszcza o doświadczeniu Andrasa w projektowaniu scenografii i zdolnościach literackich Mendla. Kapitan Erdő, liberał ze starej gwardii, gotów był zrobić, co w jego mocy, żeby ulżyć robotnikom przymusowym w ich ciężkim położeniu; oprócz Andrasa

i Mendla poprosił o sześciu dodatkowych mężczyzn z kompanii 79/6, w tym Józsefa Hásza ze względu na jego talent malarski, a także krawca, stolarza i elektryka. Trzy razy w tygodniu grupa ta maszerowała po pracy prosto do szkoły oficerskiej, gdzie asystowali przy inscenizacji małej wojny w teatrze wojny wielkiej. Jako zapłatę otrzymywali dodatkową porcję zupy ze szkolnej kuchni.

W te dni, kiedy nie byli potrzebni mierniczemu – gdy musiał siedzieć w biurze i robić obliczenia, poprawiać mapy topograficzne i pisać raporty – Andras i Mendel pracowali razem z innymi przy budowie drogi. Wtedy Kozma kazał im płacić za czas spędzony z mierniczym i wieczory w szkole oficerskiej. Za każdym razem przydzielał im najcięższą robotę. Jeżeli były do niej potrzebne narzędzia, zabierał je i zmuszał mężczyzn, żeby pracowali gołymi rękami owiniętymi w szmaty. Kiedy ich zespół miał za zadanie przetransportować pale drzewne, żeby umocnić nasypy po obu stronach drogi, kazał strażnikowi siadać na palach, które nieśli Andras i Mendel. Kiedy przewozili na taczkach piach, usuwał z nich kółka i kazał im ciągnąć taczki po błocie. Płacili tę cenę bez słowa skargi. Wiedzieli, że ich stanowisko przy mierniczym i praca w szkole oficerskiej to szansa przeżycia, kiedy zaczną się mrozy.

Nie było mowy o tym, by Andras i Mendel wrócili do pisania gazetki dla kompanii 79/6; nawet gdyby mieli na to czas, nie byliby w stanie wmówić sobie, że jest to bezpieczne. Raz tylko w ich rozmowie pojawił się temat „Krzywego Toru". Było to w deszczowy wtorek na początku września, kiedy zapuścili się z mierniczym daleko w górę drogi, sporządzając mapę odcinka prowadzącego do mostu, który należało odbudować. Szolomon zostawił ich w opuszczonej oborze, a sam poszedł porozmawiać z gospodarzem, którego chlewy stały nazbyt blisko projektowanej drogi. Na dworze padała uporczywa mżawka. W stodole Andras i Mendel usiedli na odwróconych bańkach na mleko i zaczęli jeść czarny chleb i miękki twaróg, który mierniczy zdobył dla nich tego ranka.

– Niezłe jak na drugie śniadanie w Munkaszolgálat – odezwał się Mendel.

– Tak, bywało gorzej.

– Co prawda to nie miód ani mleko. – Z twarzy Mendla zniknął jego zwykły drwiący wyraz. – Codziennie o tym myślę – powiedział. – Mógłbyś być teraz w Palestynie. A zamiast tego przeze mnie jesteśmy na niezapomnianej wycieczce po lasach i polach Ukrainy.

To był ich stary dowcip ze „Śnieżnej Gęsi".

– Przez ciebie? – zapytał Andras. – Daj spokój, to absurd.

– Niezupełnie – powiedział Mendel, ściągając brwi, podobne do czułków ćmy. – „Śnieżna Gęś" to była moja sprawka. Tak samo jak „Kąśliwy Giez". A po nich naturalnie przyszedł „Krzywy Tor". To ja napisałem pierwszy artykuł. I to ja wpadłem na pomysł, żeby wykorzystać gazetkę i żeby wzbudzić w ludziach gniew, skłonić ich do wolniejszej roboty.

– Ale co to ma do rzeczy?

– Ciągle o tym myślę, Andras. Może machloje Varsádiego wzbudziły podejrzenia, bo przez nas pociągi się spóźniały. Może spowolniliśmy wszystko akurat na tyle, żeby to kogoś zaniepokoiło.

– Jeżeli pociągi się spóźniały, to dlatego, że kadra kierownicza była zbyt chciwa, aby wyprawiać je o czasie. Nie możesz się o to obwiniać.

– Zamykasz oczy na związek między jednym a drugim – odparł Mendel.

– To nie twoja wina, że tu jesteśmy. Trwa wojna, nie słyszałeś?

– Nie mogę przestać myśleć, że przeholowaliśmy z tą gazetką. Prawdę mówiąc, nie mogę przez to spać. Nic nie poradzę na to, że uważam, że to nasza wina.

To samo przyszło do głowi Andrasowi, w pociągu i wiele razy potem. Ale kiedy Mendel powiedział to na głos, Andras usłyszał w jego słowach zupełnie nową desperację, coś na kształt życzenia. Oto Mendel Horovitz upierał się, nawet za cenę straszliwego poczucia winy, że ma wpływ na swój los i na los Andrasa, że jest siłą sprawczą stojącą za wydarzeniami, które zagarnęły ich i rzuciły na front wschodni. Oczywiście, pomyślał Andras. Oczywiście. Dlaczego człowiek miałby nie dowodzić karygodności własnych postępków, nie łaknąć odpowiedzialności za katastrofę, skoro w przeciwnym razie czuje się niczym więcej jak drobinką kurzu?

Każdy komendant w Munkaszolgálat, jak przekonał się Andras, miał własne neurozy, osobisty zestaw powodów, by wpaść we wściekłość. Szansą na przeżycie w obozie pracy było ustalenie, co wywołuje gniew przełożonych, i takie postępowanie, aby uniknąć podobnych sytuacji. Ale kaprysy Kozmy były ulotne i tajemnicze, jego nastroje zmienne, źródło jego nerwic skrywał mrok. Dlaczego był tak okrutny dla porucznika Horvatha? Dlaczego kopał swojego wilczarza? Gdzie i w jaki sposób dorobił się blizny, która przecinała mu twarz? Nikt tego nie wiedział, nie wyłączając strażników. Gdy coś obudziło gniew Kozmy, nie było sposobu, by go uśmierzyć. Jego ofiarami nie byli tylko ludzie pokroju Andrasa czy Mendla, którzy mieli przywileje. Każda forma słabości zwracała uwagę

komendanta. Człowiek, po którym było widać zmęczenie, ściągał na siebie razy lub tortury: Kozma kazał mu stać na baczność z wiadrami pełnymi wody w wyciągniętych rękach, wykonywać ćwiczenia gimnastyczne po całym dniu pracy albo spać na zewnątrz w padającym deszczu. W połowie września robotnicy zaczęli umierać pomimo ciągle sprzyjającej pogody i wysiłków Tolnaya, lekarza kompanii. Jeden ze starszych mężczyzn złapał infekcję, która rozwinęła się w śmiertelne zapalenie płuc; inny umarł podczas pracy na zawał serca. Co jakiś czas wybuchała epidemia dyzenterii, nierzadko zbierając śmiertelne żniwo. Ran często nie opatrywano; najmniejsze skaleczenie mogło prowadzić do zakażenia krwi albo skończyć się amputacją kończyny. Tolnay często składał Kozmie alarmujące raporty, ale komendant odsyłał ludzi do szpitala Munkaszolgálat w wiosce dopiero wtedy, gdy byli już umierający.

Noce w sierocińcu niosły ze sobą trudne do przewidzenia okropności. Zdarzało się, że Kozma budził wszystkich o drugiej nad ranem i kazał im stać na baczność aż do świtu; strażnicy bili ich, kiedy przysypiali albo osuwali się na kolana. Kiedy indziej, w te noce, gdy Kozma i Horvath pili z innymi oficerami w swoich kwaterach, wzywali czterech robotników, żeby wzięli udział w strasznej zabawie: dwóch mężczyzn musiało usiąść dwóm pozostałym na ramionach i walczyć ze sobą, starając się zrzucić przeciwnika na ziemię. Jeżeli walka nie była dość zażarta, Kozma bił ich swoją szpicrutą. Zabawa kończyła się dopiero wtedy, gdy któryś z robotników padał nieprzytomny.

Ale najokrutniejszą formą tortur wprowadzonych przez Kozmę, a zarazem stosowaną najczęściej, było wstrzymanie racji żywnościowych. Komendant sprawiał wrażenie, jakby rozkoszował się świadomością, że jego ludzie są głodni, że on sam kontroluje wydzielane im porcje; zdawał się czerpać radość z tego, że są zdani na jego łaskę i niełaskę, i desperacko pragną tego, co może im dać tylko on. Gdyby nie dodatkowe pożywienie, które Andras i Mendel przynosili potajemnie ze swoich wypraw kartograficznych, kompania 79/6 prawdopodobnie wymarłaby z głodu. W obecnej sytuacji młodsi robotnicy byli nieustannie wygłodniali. Nawet pełne racje nie wystarczyłyby im do uzupełnienia energii, którą tracili codziennie w pracy. Nie rozumieli, jak robotnicy z innych kompanii w Turce mogli całymi miesiącami wytrzymywać ten głód; co utrzymywało ich przy życiu? Zaczęli wypytywać pracujących przy drodze, co zrobić, żeby nie umrzeć z głodu. Wkrótce otrzymali informację, że w wiosce kwitnie handel czarnorynkowy i dostępne są wszelkie produkty, o ile mają coś na wymianę. Na ironię losu zakrawało, że robotnicy wysłani na front dlatego, że ich oficerowie

uprawiali handel czarnorynkowy, sami teraz musieli pokątnie pozyskiwać żywność, nie mieli jednak wyboru, jeśli chcieli przetrwać.

Którejś nocy w sypialni robotnicy z kompanii 79/6 zebrali pewną ilość cennych przedmiotów – dwa zegarki, trochę banknotów, srebrną zapalniczkę, scyzoryk z inkrustowaną hebanową rękojeścią – i odbyli szeptaną naradę: kto zaryzykuje wyprawę do wioski? Wszyscy zdawali sobie sprawę z niebezpieczeństw. Ile razy Horvath przypominał im, że robotnicy poruszający się bez asysty oficera zostaną zastrzeleni? Wieża z Kości Słoniowej, który pełnił funkcję mędrca, zaczął od ustanowienia kryteriów niezbędnych przy podejmowaniu decyzji: nie mógł iść nikt, kto jest chory, nikt po czterdziestym roku życia ani przed dwudziestym. Nikt, kto musiał w tym tygodniu wziąć udział w okrutnej zabawie Kozmy, i nikt, komu w ostatnim czasie kazano spać na zewnątrz. Nikt, kto ma w domu dzieci. Nikt żonaty. Mężczyźni rozejrzeli się po sobie, usiłując ustalić, kto pozostał.

– Jestem do wzięcia – powiedział Mendel. – Ktoś poza mną?

– Ja też – odezwał się człowiek o nazwisku Goldfarb, krzepki rudzielec z bujną czupryną, którego nos wyglądał, jakby złamano mu go nieraz w bójkach datujących się od wczesnego dzieciństwa. Był cukiernikiem z szóstej dzielnicy w Budapeszcie, ulubieńcem kompanii.

– To wszyscy? – zapytał Wieża z Kości Słoniowej.

Andras wiedział, że jest jeszcze jeden człowiek spełniający kryteria: József Hász. Ale József przesuwał się właśnie powolutku w kierunku drzwi, jakby zamierzał wymknąć się ukradkiem. Właśnie gdy miał się ulotnić, rozległ się głos Wieży z Kości Słoniowej.

– A ty, Hász?

– Chyba mam gorączkę – stęknął József.

Mężczyźni z kompanii, którzy musieli od trzech miesięcy znosić narzekania Józsefa, stracili teraz cierpliwość. Kilku z nich wciągnęło go z powrotem do pokoju i ustawiło w środku koła. Zapadła złowroga cisza; József najwyraźniej zrozumiał swoje położenie: nikt nie miał nic przeciwko temu, żeby to on nadstawił karku za całą grupę. Zbyt wiele razy jego wymigiwanie się od pracy sprowadzało na wszystkich gniew Kozmy. Sprawiał wrażenie, jakby skurczył się w sobie, kuląc ramiona.

– Nie potrafię przemykać się po lesie – powiedział. – Każdy to wie.

– Czas, żebyś wziął się w garść – odezwał się Zilber, elektryk, który pracował z nimi w szkole oficerskiej. – Horovitz się nie skarży, a już od tygodni załatwia nam dodatkowe jedzenie.

– Czemu miałby się skarżyć? – zapytał József. – Chodzi sobie po okolicy z Szolomonem, kiedy cała reszta ładuje asfalt.

– A pamiętasz, co się stało z ostatnim pomocnikiem Szolomona? – odparł elektryk. – Nie wziąłbym tej roboty, choćby dorzucili mi własny pokój i parkę wieśniaczek z cyckami jak melony.

Spora część mężczyzn wyraziła ochotę, żeby przejąć obowiązki Mendla na powyższych warunkach. Mendel zapewnił ich, że z jego funkcją nie wiążą się żadne podobne przywileje. Ale József Hász się nie śmiał; toczył wzrokiem po mężczyznach, a na jego twarzy coraz wyraźniej malowała się panika, bo nie zdołał wypatrzyć sojusznika. Andras przyglądał mu się ze współczuciem i – musiał przyznać w duchu – pewną dozą niechlubnej satysfakcji. Oto Hász przekonywał się raz jeszcze, że nie jest wyłączony spod kontroli sił, które kształtowały życie śmiertelników. W tym sierocińcu na Ukrainie nikogo nie obchodziło, czyim jest spadkobiercą ani co posiada, na nikim nie robiła wrażenia jego uroda ani jego krzywy uśmiech. Byli głodni; potrzebowali kogoś, kto pójdzie do miasta po jedzenie; József spełniał kryteria. Jeszcze chwila, a będzie musiał skapitulować.

Jednak József nade wszystko nie lubił być przyparty do muru. Maskując panikę, odezwał się chłodnym, rozsądnym tonem:

– Niemożliwe, żebyście woleli wysłać mnie niż Horovitza.

– A to niby dlaczego? – zapytał elektryk.

– Gdyby nie on, nie byłoby was tutaj.

Zilber wybuchnął śmiechem, a reszta mu zawtórowała.

– No tak, pewnie sam nas wpakował do pociągu! – powiedział elektryk. – Pewnie to on wywołał wojnę.

– Nie, za to wydawał gazetę pełną artykułów o czarnym rynku. Przez niego Varsádi się zorientował, że wiemy, co się święci.

Andras nie mógł uwierzyć własnym uszom. Wśród mężczyzn na chwilę zapadła wibrująca cisza, a potem wybuchł gwar dyskusji. Wieża z Kości Słoniowej przywołał zebranych do porządku.

– Uciszcie się wszyscy – wyszeptał. – Jeżeli usłyszą nas strażnicy, to koniec z wyprawą.

– Rozumiecie mnie – powiedział József, rozglądając się w niewyraźnym świetle po zgromadzonych mężczyznach. – Gdyby nie ta gazeta, Varsádi nie straciłby głowy.

Zerknął na Andrasa, ale nie przypomniał jego roli ilustratora; to pominięcie musiało być podziękowaniem za jego rady.

– Idiotyzm – powiedział elektryk. – Nikt nas tu nie wysłał z powodu „Krzywego Toru". Wszyscy spowalnialiśmy załadunek, z myślą o tych nieszczęśnikach, co siedzą w takich miejscach jak my teraz. I może właśnie dlatego Varsádi się wystraszył, że go nakryją.

Ale niektórzy z robotników zaczęli szeptać między sobą i spoglądać na Mendla, a potem na Andrasa. Mendel ze wstydem spuścił wzrok; József Hász wypowiedział tylko na głos to, co on sam odczuwał od dłuższego czasu.

József wyczuł, że nastrój w grupie się zmienia, i wykorzystał swoją przewagę.

– Tego dnia, kiedy nas wsadzili do pociągu – odezwał się. – Wiecie, co się wtedy zdarzyło? Varsádi wezwał Horovitza do gabinetu na naradę. Jak myślicie, czego chciał? Obawiam się, że nie chodziło mu o pogratulowanie naszemu koledze dziennikarskiego talentu.

– Wystarczy, Hász – powiedział Andras, podchodząc do niego.

– Co się stało, wuju? – zapytał József, patrząc na Andrasa wzrokiem, w którym czaiła się groźba. – Powtarzam im tylko to, co usłyszałem od ciebie.

– Więc czego chciał? – zapytał któryś z mężczyzn.

– Lévi powiedział mi, że chciał oryginały i matryce wszystkich numerów „Krzywego Toru". Był na tyle zdesperowany, że groził bronią naszym wydawcom. Chyba teraz rozumiecie, dlaczego Horovitz w tej sytuacji zdradził redaktora „Dziennika Żydowskiego", który pomagał mu przy drukowaniu jego gazetki. W każdym razie pół godziny później wpakowano nas wszystkich do pociągu.

Mężczyźni wbili wzrok w Mendla, który nie mógł zaprzeczyć ani jednemu słowu Józsefa. Andras z całego serca pragnął rzucić się na Józsefa i powalić go na podłogę; powstrzymywała go jedynie świadomość, że bójka sprowadzi strażników.

– Słuchajcie wszyscy – powiedział Wieża z Kości Słoniowej. – Nie chodzi o „Krzywy Tor", nie urządzamy teraz procesu. Nie zebraliśmy się po to, żeby ustalić, z czyjej winy tu trafiliśmy. Jesteśmy głodni, a jedzenie można zdobyć, pod warunkiem że znajdzie się chętny. Może powinniśmy ciągnąć słomki.

Robotnicy zaczęli szemrać i kręcić głowami: nie chcieli zdawać się na przypadek.

– Mogę pójść do wsi w pojedynkę – odezwał się Mendel, patrząc w oczy Wieży z Kości Słoniowej. – Wiecie, że jestem szybki. Pójdę sam i ani się obejrzycie, jak wrócę.

Wieża zaprotestował. W drużynie było pięćdziesięciu głodnych mężczyzn. Mieli nadzieję, że czarnorynkowej żywności będzie tak dużo, że do jej niesienia potrzebnych będzie dwóch ludzi.

Pozostali spojrzeli na Goldfarba, na Józsefa Hásza i wreszcie na Andrasa. Rozumiało się samo przez się, że Andras i Mendel są zespołem; wszystko robili razem. W przyćmionym świetle sypialni atmosfera oczekiwania zdawała się gęstnieć. Andras popatrzył w oczy Mendlowi, gotów się zgłosić, ale ten niemal niezauważalnie pokręcił głową: „Poczekaj".

Minęła długa chwila ciszy, zanim ktokolwiek się odezwał. József stał z ramionami skrzyżowanymi na piersi, pewny, że jego argumenty przyniosą oczekiwany efekt. Wreszcie wystąpił Goldfarb.

– Ja pójdę – powiedział. – To nie jest ostatni raz. Następnym razem wyślemy Léviego i Hásza czy innych, których zechcemy obwinić.

Kompania 79/6 odetchnęła z ulgą. Decyzja została podjęta: pójdą Horovitz z Goldfarbem. I tak stracili już sporo czasu; noc mijała, mężczyźni musieli wyruszyć natychmiast. Mendel i jego towarzysz załadowali zgromadzone kosztowności do kieszeni spodni, opatulili się przed zimnem i po cichu wyszli w ciemność. A pozostali wdrapali się na swoje łóżka, by czekać – wszyscy poza Andrasem Lévim i Józsefem Hászem, których przyciszoną kłótnię dało się słyszeć z latryny. Zanim József zdążył zaszyć się na swoim łóżku, Andras chwycił go za kołnierz i zaciągnął do umywalni z jej malutkimi klozetami i rzędem dziecięcych umywalek. Popchnął Józsefa pod ścianę i zaczął skręcać jego kołnierz, aż ten nie był już w stanie złapać oddechu.

– Przestań – wykrztusił József – Puść mnie.

– Przestanę, kiedy zechcę, ty wyrachowana mała gnido!

– Powiedziałem prawdę – odparł József, wyszarpując kołnierz z ręki Andrasa. – Wydawałeś ten szmatławiec razem z Horovitzem. To tak samo twoja wina jak jego. Mogłem zwrócić na to uwagę, ale nic nie powiedziałem.

– I co mam teraz zrobić? Podziękować ci? Ucałować twoją parszywą dłoń?

– Mam gdzieś, co zrobisz. Możesz iść do diabła, wuju.

– Miałeś rację tamtej nocy – powiedział Andras. – Nie nadajesz się do obozu pracy. Zginiesz, i mam nadzieję, że stanie się to szybko.

– Nie byłbym taki pewien – odpowiedział József, posyłając Andrasowi krzywy uśmiech. – W końcu jestem teraz tutaj, a nie w lesie.

I wreszcie Andras zrobił to, o czym marzył od tylu miesięcy: wziął zamach i uderzył Józsefa pięścią prosto w twarz, tak mocno, że ten zwalił się na podłogę. Chwilę później József ukląkł na betonie, trzymając się za szczękę, i splunął krwią do metalowej studzienki. Andras potarł dłonią swoje stłuczone kłykcie. Spodziewał się, że poczuje znajomy przypływ skruchy, która zawsze łagodziła jego nienawiść do Józsefa, ale skrucha nie nadchodziła. Czuł teraz jedynie głód, wyczerpanie i chęć, by uderzyć go jeszcze raz, tak samo mocno jak przed chwilą. Opanował się jednak i wrócił na swoje łóżko, by czekać tam na Mendla.

Do wioski było pięć kilometrów przez ciemny las, nocą. Andras przypuszczał, że dotarcie tam może im zająć godzinę. Kiedy już się znajdą na miejscu, będą musieli znaleźć pośrednika i dobić targu -unikając przez cały czas nocnych patroli, bo zostaliby zastrzeleni.

Jeżeli znajdą pośrednika, który zechce z nimi handlować i będzie miał odpowiedni towar do zaoferowania, wówczas powrót może się opóźnić o kolejną godzinę; niewykluczone, że wrócą przed samą pobudką. Leżał na swoim łóżku, wyobrażając sobie dwóch mężczyzn, jak przedzierają się przez las, długie nogi Mendla szybko pokonują kolejne metry, Goldfarb musi prawie biec, żeby dotrzymać mu kroku. Noc jest jasna i na tyle zimna, że w powietrzu widać ich oddechy. Księżyc i gwiazdy są na niebie; nawet w lesie powinno być jasno. Wiatr zamiata opadłe liście i przykrywa ślady. Mendel i Goldfarb powinni z daleka zobaczyć światła wioski, znaleźć wśród drzew drogę do tego bursztynowego odblasku na niebie. Może są już w połowie drogi.

Wtedy jednak Andras usłyszał wściekłe ujadanie w lesie za sierocińcem. Znał ten odgłos; wszyscy go znali. To był zły pies majora Kozmy, szary wilczarz, którego nienawidzili i który ich nienawidził. Z lasu dobiegły krzyki. Robotnicy podbiegli do okien, prawie powypadawszy z łóżek. Las był pełen rozkołysanych

świateł latarek i dźwięków łamiących się gałązek; niezrozumiałe krzyki zbliżyły się w ich kierunku i rozszczepiły na strumień przekleństw po węgiersku. Jakieś ciemne postaci wyrwały się w stronę światła, przez sekundę były widoczne, po czym zniknęły, zanim komukolwiek udało sieje zidentyfikować. Męskie sylwetki podbiegły do muru sierocińca i przecisnęły się przez furtkę. Pięć minut później Kozma we własnej osobie krzykiem zerwał robotników z łóżek i rozkazał im wymaszerować na podwórze.

Potykając się, wylegli na zewnątrz, na mróz, bez czapek i palt. Księżyc świecił tak mocno, że o północy było jasno jak w dzień; cienie robotników rysowały się ostro na ceglanym murze wokół podwórka. W północno-zachodnim rogu dało się słyszeć zamieszanie wśród strażników, warczenie psa, krótką walkę i okrzyki bólu. Kozma rozkazał robotnikom stać na baczność i patrzeć w jego kierunku. Wszedł na krzesełko ze szkolnej sali, żeby wszystkich widzieć. Andras i József stali bliżej przodu. Na podwórzu było zimno, wiatr przejeżdżał po karku Andrasa niczym ostrze łyżwy. Kozma wyrzucił z siebie rozkaz; dwaj strażnicy wyprowadzili z kąta László Goldfarba i Mendla Horovitza. Obu pokrywały krwawiące zadrapania, jakby przedzierali się przez gąszcz cierni. Lewa nogawka spodni Goldfarba była oddarta poniżej kolana. W twardym świetle księżyca na jego goleni widać było ślady psich zębów. Mendel trzymał rękę przy piersi. Jego twarz pokryta smugami krwi była skurczona z bólu, na prawej stopie ciągnął nieduży potrzask na zwierzęta. Stalowe zęby przebiły but.

– Spójrzcie, co Erzsi znalazł dziś w lesie – powiedział Kozma, klepiąc psa tak brutalnie, że ten zaskomlał. – Porucznik Horvath był tak dobry, że wyszedł, żeby sprawdzić, co to za zamieszanie, i natrafił w kanale na te oto dwa piękne okazy. Co innego spodziewaliśmy się złapać w nasz potrzask, prawda, Erzsi? – Przejechał po grzbiecie psa dłonią w rękawicy. Następnie rozkazał Mendlowi i Goldfarbowi rozebrać się do naga.

Kiedy Goldfarbowi wyrwał się okrzyk sprzeciwu, porucznik Horvath uciszył go ciosem kolby pistoletu. Dwaj mężczyźni zaczęli z wysiłkiem ściągać z siebie ubrania, a Horvath krzyczał na nich przez cały czas; Mendel nie był w stanie przeciągnąć prawej nogawki przez but i potrzask, stał więc ze spodniami na wysokości kostek, aż Horvath odciął nogawki nożem. Nadzy mężczyźni stanęli pod ścianą jak najbliżej siebie, rękami zasłaniając genitalia. Goldfarb spoglądał ogłupiałym wzrokiem w stronę reszty swoich towarzyszy, jakby rzędy robotników były częścią niezrozumiałego przedstawienia, które kazano mu oglądać. Mendel spojrzał Andrasowi w oczy przez króciutką, rozdzierającą chwilę i mrugnął do niego. Ten gest miał mu dodać otuchy, Andras o tym wiedział, ale sprawił, że

całe jego wnętrze ścisnęło się z bólu: ten nagi, skrwawiony człowiek to był Mendel Horovitz, jego przyjaciel z dzieciństwa i współredaktor, a nie jakaś atrapa, pomyślana jako jeszcze jedna forma tortur w Munkaszolgálat. Kozma kazał jednemu ze strażników zawiązać mężczyznom oczy ich własnymi koszulami. Andras znał tego strażnika; miał on na imię Lukás i był dawnym pomocnikiem hydraulika, co wieczór eskortował ich do szkoły oficerskiej i kiedy tylko mógł, dawał im papierosy. Z jego twarzy też dawało się wyczytać niedowierzanie i lęk. Zawiązał mężczyznom oczy, jak mu kazano. Goldfarb wsunął rękę pod przepaskę, próbując ją trochę poluzować. Andras nie mógł patrzeć na pochyloną głowę Mendla, na jego drżące ramiona. Spuścił wzrok na jego stopy, ale tam z kolei tkwił potrzask, stalowe zęby wbijały się w but. Goldfarb był boso; musiał skrzyżować stopy, żeby było mu choć odrobinę cieplej. W ciszy słychać było szmer oddechów zgromadzonych ludzi.

Przez dłuższy czas nic się nie działo – na tyle długo, że Andras uwierzył, iż to poniżenie, nagość i wystawienie na mróz okażą się całą karą. Wkrótce Mendel i Goldfarb dostaną pozwolenie, żeby się ubrać i zgłosić do Tolnaya, oficera medycznego, który zajmie się ich obrażeniami. Ale wtedy wydarzyło się coś, czego Andras początkowo nie potrafił zrozumieć: pięciu strażników wmaszerowało szeregiem na obszar rozdzielający kompanię 79/6 od dygoczących pod murem mężczyzn. Strażnicy zapełnili tę przestrzeń jakby dla ochrony, jakby ich funkcją było osłonić nagość Mendla i Goldfarba przed spojrzeniami towarzyszy. Kozma wydał rozkaz i strażnicy podnieśli karabiny; wycelowali w mężczyzn z zawiązanymi oczami. Wśród robotników rozległ się szmer niedowierzania; w piersi Andrasa wezbrał wściekły sprzeciw. A potem dał się słyszeć odgłos odwodzonych kurków od karabinów.

I pojedyncze słowo z ust Kozmy: „Ognia".

Na podwórzu rozbrzmiała salwa, która odbiła się od kamiennych murów i rozlała po niebie. Za zasłoną dymu Mendel Horovitz i László Goldfarb opadli bezwładnie na mur. Andras przycisnął pięści do oczu. Huk rozbrzmiewał w jego głowie wciąż od nowa. Dwaj mężczyźni, którzy jeszcze przed chwilą stali, teraz siedzieli na ziemi z kolanami zgiętymi przy piersi. Siedzieli, biali i nieruchomi, nie trzęśli się już; trwali tak zupełnie bez ruchu, a ich głowy były pochylone ku sobie, jakby odbywali jakąś poufną naradę.

– Dezerterzy – powiedział Kozma, kiedy dym opadł. – Złodzieje. W kieszeniach mieli pełno kosztowności. Zostaliście ostrzeżeni, żeby nie brać z nich przykładu. Dezercja to zdrada. Jest karana śmiercią.

Zszedł ze swojego krzesełka, zrobił zwrot i pomaszerował do sierocińca, a pies i Horvath szli tuż za nim.

Kiedy tylko drzwi się zamknęły, Andras podbiegł do Mendla, ukląkł przy nim i przyłożył rękę do jego szyi, do piersi. Ani śladu tętna, nic. Na podwórzu cisza. Nawet strażnicy się nie poruszyli. Wieża z Kości Słoniowej wystąpił i pochylił się nad László Goldfarbem; nikt go nie powstrzymał. Potem wstał i odezwał się cicho do strażnika o imieniu Lukás. Kiedy skończył mówić, Lukás skinął głową i poszedł w róg podwórza. Odczepił od pasa klucze i otworzył drewnianą szopę, w której trzymali łopaty. Wieża z Kości Słoniowej wyjął jedną z nich i zaczął kopać dół pod murem podwórza. Oszołomiony Andras patrzył na to, jakby to był zły sen. Zobaczył, jak inni mężczyźni przyłączają się do Wieży, pomagając mu w tym niepojętym zadaniu. József stał w milczeniu z otwartymi ustami, dopóki ktoś nie szturchnął go w plecy; wtedy on także wziął łopatę i zabrał się do kopania. Ktoś inny pomógł Andrasowi wstać. Poczuł, że potykając się, idzie w stronę szopy, bierze od Lukása łopatę i schyla się obok Józsefa. Jak we śnie przyłożył łopatę do ziemi i wbił ją z całej siły. Ziemia była twarda, ubita; wstrząs przeszedł po ostrzu łopaty na stylisko i dotarł aż do kości Andrasa. Andras zaczął mruczeć półgłosem hebrajskie słowa: „Bo On sam cię wyzwoli z sideł myśliwego i od zgubnego słowa, okryje cię swymi piórami i schronisz się pod Jego skrzydła. Nie ulękniesz się zarazy, co idzie w mroku, ni moru, co niszczy w południe. Albowiem Pan jest twoją ucieczką. Niedola nie przystąpi do ciebie. Swoim aniołom dał rozkaz o tobie, aby cię strzegli na wszystkich twych drogach. Na rękach będą cię nosili". Wiedział, że słowa pochodzą z Psalmu Dziewięćdziesiątego Pierwszego, tego, który recytuje się na pogrzebach. Wiedział, że kopie grób. Ale nie mógł uwierzyć w to, że ciało pod ścianą należy do Mendla Horovitza, nie mógł uwierzyć, że człowiek, którego kochał od dziecka, został zabity. Nie był w stanie pojąć tej niewiarygodnej prawdy absolutnej. Nie mógł oddychać, nie mógł myśleć. W jego głowie rozbrzmiewał Psalm Dziewięćdziesiąty Pierwszy, błysk i huk wystrzałów, odgłos łopat uderzających o zmarzniętą ziemię.

Rozdział trzydziesty piąty

Tatarzy na Węgrzech

POGRZEBALI ICH O ŚWICIE. Nie było czasu na szywę ani nawet na obmycie ciał. Kozma uważał, że okazuje kompanii 79/6 łaskawość, pozwalając im na pochowanie poległych towarzyszy. Dla równowagi do końca tygodnia wstrzymał im racje zupy. Dni mijały w głuchym milczeniu wibrującym niedowierzaniem. Patrzenie, jak starsi mężczyźni zapracowują się na śmierć albo umierają od chorób, było wystarczająco straszne; ale widok rozstrzeliwanych młodych ludzi to zupełnie co innego. József Hász sprawiał wrażenie, jakby przeżył najgłębszy szok ze wszystkich, jak gdyby przekonał się po raz pierwszy, że każde jego działanie, każdy akt jego woli może mieć tragiczne konsekwencje dla innej istoty ludzkiej. Po pierwszym tygodniu, w którym jadł bardzo mało i spał jeszcze mniej, wprawił kompanię w oszołomienie, zgłaszając się do objęcia po Mendlu stanowiska drugiego pomocnika mierniczego. Wszyscy byli już przekonani, że ta praca jest przeklęta; nikt nie chciał jej tknąć. Ale József zdawał się uważać ją za rodzaj pokuty. Podczas ich wypraw kartograficznych zachowywał się jak służący Andrasa. Jeżeli trzeba było nosić ciężki sprzęt, zgłaszał się. Zbierał drwa, rozniecał ogniska na posiłki, oddawał swój przydział jedzenia, które udawało się zdobyć mierniczemu. Mierniczy, do którego dotarła historia o tym, co stało się z Mendlem Horovitzem i László Goldfarbem, przyjmował niewolnicze zachowanie Józsefa z cichą powagą. To, co się wydarzyło, było kolejną potwornością Munkaszolgálat, a jej drugi akt rozgrywał się teraz, poprzez emocjonalne tortury, których doświadczał ten niedoświadczony młody człowiek. Andras jednak, młodszy od mierniczego o dwadzieścia lat i wciąż jeszcze zdolny do tego, by przeżyć wstrząs w reakcji na ludzki egoizm i okrucieństwo, nie zamierzał wybaczyć Józsefowi, nie chciał nawet na niego spojrzeć. Dlaczego zginął Mendel, a nie József?

Dlaczego to nie József wylądował tej nocy w lesie, dlaczego to nie stopa Józsefa znalazła się w potrzasku? Dlaczego nie mogli się już zamienić miejscami? Dlaczego to nie József przepadł bezpowrotnie? Andras myślał, że poznał smak

frustracji i daremnych wysiłków; że jest już za pan pan brat ze smutkiem. Jednak to, co teraz czuł, było bardziej dojmujące niż wszelka bezradność, wszelki smutek, którego do tej pory zaznał. Dotyczyło to nie tylko Mendla, ale też Andrasa; chodziło nie tylko o grozę śmierci Mendla, o niezaprzeczalny fakt, że Mendla już nie ma, ale także o świadomość, że sam Andras i cała kompania 79/6 wkroczyli w kolejny krąg piekła, że dla dowódców ich życie jest bezwartościowe, że Andras prawdopodobnie już nigdy nie zobaczy żony ani syna. Była to także wina Józsefa, to również on doprowadził Andrasa do tego niebezpiecznego poczucia beznadziejności. Andras przekonał się, że może zamieszkiwać to miejsce, a jednocześnie wciąż czuć palący gniew na Józsefa za to, że go tu sprowadził. Kiedy jakieś zadanie kierowało ich dwóch na skraj pola minowego, czuł, że pragnie ujrzeć, jak chłopaka rozrywa na strzępy ogłuszająca eksplozja. Wydawało się, że nie zasługuje na nic lepszego. Dwukrotnie w ciągu tego roku – raz w Budapeszcie i raz na Ukrainie – József zdradził Andrasa, co pociągnęło za sobą straszliwe następstwa. Fakt, że łączyły go więzy krwi z Klarą, osobą, którą Andras kochał najbardziej na świecie, był dla niego kolejną torturą; gdyby mógł wymazać Józsefa z pamięci Klary, wymazać go z całej rodziny Haszów, zrobiłby to w jednej chwili. Ale József za nic nie chciał dać się wymazać. Uparcie omijał miny. Tkwił na skraju pola widzenia Andrasa, przypominając mu, że to, co się stało, nie było iluzją. Że nic już tego nie zmieni.

Wieczory w szkole oficerskiej nie przynosiły ulgi. Andras i József również tam musieli ze sobą pracować, pierwszy jako scenograf, a drugi jako dyrektor artystyczny. Sztuka *Tatarzy na Węrzech* Kisfaludyego była Andrasowi doskonale znana; w wiejskiej szkole w Konyárze wałkowali ją do znudzenia. Srogi nauczyciel na zawsze zakarbował tę historię w ich umysłach: zanim Kisfaludy został dramatopisarzem, był żołnierzem na wojnach napoleońskich. Kiedy wrócił do domu, pragnął oddać swoje przeżycia na scenie, ale ta ostatnia wojna wydawała się zbyt świeża; zamiast tego skoncentrował się na odległej przeszłości Węgier. W ramach egzaminu na zakończenie szkoły podstawowej Andras napisał długie wypracowanie o Kisfaludym. I oto teraz projektował scenografię do *Tatarów na Węgrzech* w szkole oficerskiej na Ukrainie w samym środku wojennej zawieruchy, a jego współpracownikiem był człowiek odpowiedzialny w pewnym stopniu za śmierć Mendla Horovitza. Aie nie było czasu, by rozmyślać nad tym surrealistycznym zbiegiem okoliczności. Kapitan Erdő, dyrektor przedsięwzięcia, działał pod presją czasu. Nowy minister obrony miał wkrótce odwiedzić szkołę oficerską; na jego cześć odbędzie się premiera przedstawienia.

W czwartkowy wieczór na początku października Andras i József stali na baczność w ogromnej auli szkoły oficerskiej, a Erdő omawiał czekające wszystkich zadania. Kapitan był wysokim mężczyzną z wysklepioną piersią i wianuszkiem siwiejących włosów, przystrzyżonych tuż przy skórze. Pielęgnował hiszpańską bródkę i z upodobaniem nosił monokl, ale jego autoironiczny sposób bycia sugerował, że wszystko to jest farsą, kostiumem. Uważał się za śmieszną postać i pragnął, by inni mogli śmiać się razem z nim. Analizując plany, przemawiał tak, jakby był trzema czy czterema osobami, a nie jedną. Zamiast tych namalowanych drzew, mówił, może udałoby się umieścić na scenie parę prawdziwych, żeby stworzyć wrażenie lasu? Czy to zbyt niepraktyczne? Okropnie niepraktyczne! Prawdziwe drzewa? Kto miałby czas czy ochotę wykopywać drzewa? Jednak czy osiągnięcie realistycznego efektu nie jest ważną sprawą? Naturalnie. Prawdziwe drzewa wobec tego; prawdziwe drzewa. Z kolei w obozowisku przydałyby się prawdziwe namioty. To znakomity pomysł. Wokół jest pełno namiotów, nie będzie ich to nic kosztować. Ta naturalnej wielkości grota miała powstać z siatki ogrodzeniowej i masy papierowej; czy można by zbudować ją w dwóch częściach, żeby łatwiej było ją przenosić? Naturalnie, że można, o ile się ją odpowiednio zaprojektuje, a po to właśnie zaangażował Andrasa i Józsefa, czyż nie? Wszystko należy zaprojektować i wykonać w najwyższym stopniu profesjonalnie. Nie dysponują wielkim budżetem, ale szkoła pragnie zrobić dobre wrażenie na nowym ministrze obrony. Erdő kazał Andrasowi i Józsefowi zrobić spis potrzebnych materiałów: drewno, siatka ogrodzeniowa, gazety, płótno, wszystko, czego potrzebują. A potem nachylił się bliżej i zaczął mówić innym tonem.

– Słuchajcie, chłopcy – powiedział. – Szolomon wspominał mi, co się dzieje w tej waszej kompanii. Kozma to bydlę. To, co wyprawia, jest odrażające. Dajcie znać, co mógłbym dla was zrobić. Cokolwiek. Potrzebujecie jedzenia? Ubrań? Macie tyle koców, ile wam potrzeba?

Andras nie wiedział, od czego zacząć. Czego potrzebuje kompania? Wszystkiego. Morfiny, penicyliny, bandaży, jedzenia, koców, płaszczy, butów, wełnianej bielizny i spodni. Plus tydzień snu.

– Środków medycznych – udało mu się powiedzieć, – Jakichkolwiek. I pigułek witaminowych. I koców. Będziemy wdzięczni za wszystko.

Ale Józsefowi przyszło do głowy coś innego.

– Może pan wysyłać listy, prawda? – zapytał. – Mógłby pan dać znać naszym rodzinom, że jesteśmy bezpieczni?

Erdő powoli pokiwał głową.

– I przekazać nam listy, gdyby przysłali na pana nazwisko.

– Tak, mogę. Ale to niebezpieczna sprawa. To, co sugerujecie, jest oczywiście wbrew regulaminowi i wszystkie listy podlegają cenzurze. Będziecie musieli się upewnić, że wasze rodziny to zrozumiały. Nieodpowiedni list mógłby pogrążyć nas wszystkich.

– Dopilnujemy, żeby zrozumieli – powiedział József. I dodał: - Czy może pan zdobyć dla nas pióra i atrament? I jakiś papier do pisania?

– Oczywiście. To nie będzie trudne.

– Jeżeli jutro przyniesiemy listy, to czy będzie pan mógł wysłać je następnego dnia?

Erdő jeszcze raz pokiwał głową z poważną miną.

– Będę mógł, chłopcy – powiedział. – Tak zrobię.

Tej nocy, kiedy strażnik o imieniu Lukás odprowadzał ich do sierocińca wraz z innymi robotnikami, którzy byli potrzebni przy wystawianiu *Tatarów na Węgrzech,* Andras musiał przyznać sam przed sobą, że pomysł Józsefa był dobry. Na myśl o tym, co będzie mógł napisać Klarze, kręciło mu się w głowie. „Do tej pory dowiedziałaś się pewnie, dlaczego nie wróciłem do domu na dzień przed naszą podróżą: zostałem uprowadzony razem z resztą mojej kompanii i wysłany na Ukrainę. Od kiedy tu przyjechaliśmy, jesteśmy głodzeni, bici, pracujemy nad siły, chorym pozwala się umierać, a zdrowych po prostu zabija. Mendel Horovitz nie żyje. Umarł nagi i z zawiązanymi oczami przed plutonem egzekucyjnym, częściowo za sprawą Twojego bratanka. Jeżeli chodzi o mnie, to sam ledwie potrafię powiedzieć, czy jeszcze żyję". Oczywiście nie mógł napisać tych słów; prawda nigdy nie przedostałaby się przez cenzurę. Ale mógł błagać Klarę, by pojechała do Palestyny – znaleźć sposób, by zawrzeć to w liście, choćby pod najbardziej zaszyfrowaną postacią. Ośmielił się nawet mieć nadzieję, że ona już przebywa w Palestynie – że odpowiedź od Elzy Hász przyniesie wiadomość, iż Klara popłynęła Dunajem z Tiborem, Ilaną i Ádámem, że przepłynęli przez Morze Czarne i cieśninę Bosfor, tak jak zaplanowali, że rozpoczęli nowe życie w Palestynie, gdzie Klara i Tamás są względnie bezpieczni z dala od wojny. Gdyby wiedział, że wyślą go na Ukrainę, błagałby Klarę, żeby wyruszyła bez niego. Poprosiłby ją, żeby położyła na szali życie swoje i Tamása, a na drugiej jego własne, i sprawił, by zobaczyła, jak powinna postąpić. Ale nie było go tam, żeby ją przekonać. Zamiast tego został wywieziony i niepewność, co się z nim

stało, zapewne skłoniła ją do pozostania w kraju – jej miłość do niego stała się potrzaskiem, pułapką.

„Droga K. – napisał tej nocy. – Twój bratanek i ja przesyłamy pozdrowienia z miasteczka T. Piszę z nadzieją, że mój list nie zastanie Cię w Budapeszcie, że być może wyjechałaś już na wieś. Jeżeli przełożyłaś wycieczkę, proszę Cię, nie zwlekaj dłużej ze względu na mnie. Musisz jechać natychmiast, jeśli tylko nadarzy się okazja. Mam się dobrze, ale byłoby jeszcze lepiej, gdybym wiedział, że postępujesz zgodnie z tym, co zaplanowaliśmy. A teraz straszliwa wiadomość: muszę Ci powiedzieć, że nasz przyjaciel M.H. miesiąc temu został zmuszony do udania się na Lachaise. – Aluzja do cmentarza w Paryżu. Czy Klara zrozumie? – Domyślasz się zapewne, jak się czuję. Tęsknię okropnie za Tobą i Tamásem i myślę o Was w dzień i w nocy. Napiszę znów, jak tylko będę mógł. Kochający A.”.

Złożył list i schował go do wewnętrznej kieszeni kurtki, a następnego dnia dał go do ręki kapitanowi Erdő. Nie sposób było przewidzieć, czy, kiedy i jak list znajdzie drogę do Klary, ale myśl, że być może ostatecznie to nastąpi, była dla Andrasa pierwszym pocieszeniem od długiego czasu.

Andras był zaskoczony, gdy młodzi kadeci, jego ekipa budująca dekoracje, zaakceptowali jego zwierzchnictwo w duchu posłuszeństwa i szacunku, ale zaskoczenie szybko minęło. Po kilku tygodniach wieczornych dyżurów w szkole oficerskiej z zupełną naturalnością przechadzał się wśród nich niczym brygadzista, sprawdzając, czy trzymają się należycie jego wskazówek. Nie mieli silnego poczucia dzielących różnic i odnosili się do siebie bez ceregieli. Kadeci i robotnicy przymusowi zwracali się do siebie po imieniu, a po jakimś czasie wręcz zdrobnieniami: Sanyi, Józska, Bandi. Nie wolno im było jeść razem w kantynie oficerskiej, ale ekipa często szła w porze obiadowej na tyły kuchni i przynosiła jedzenie dla wszystkich. Jedli na scenie, siedząc po turecku wśród projektów konstrukcyjnych i na wpół pomalowanych fragmentów dekoracji. Andras i József, uwięzieni w klinczu swojej niemej walki, przybierali na wadze i robili postępy w budowie scenografii. Czekali na odpowiedzi na swoje listy i za każdym razem, kiedy Erdő wchodził do auli oficerskiej, mieli nadzieję, że wezwie ich do swojego biura i z kieszeni na piersi wyciągnie poplamioną kopertę. Doradzał im cierpliwość, bo poczta słynęła z opieszałości, a w przypadku gdy korespondencja musiała przekroczyć granicę, działała jeszcze wolniej.

Zbliżała *się* premiera *Tatarów na Węgrzech,* a wciąż nie było odpowiedzi. Andras był bliski szaleństwa z niepokoju. Nabrał pewności, że Klarę, Györgya i Elzę wtrącono do więzienia i że Tamása pozostawiono obcym. Klarę czekał

proces, wyrok skazujący i śmierć. A on był uwięziony na Ukrainie, gdzie nic nie mógł zrobić, nic; w dodatku kiedy sztuka zostanie wystawiona, straci kontakt z Erdő, a wraz z nim możliwość wysyłania i otrzymywania listów.

Dwudziestego dziewiątego października nowy minister obrony Węgier przyjechał do Turki. Przez wioskę miała przejść defilada. Wszystkie pobliskie kompanie miały wziąć w niej udział. Major Kozma rozkazał robotnikom z kompanii 79/6 przemaszerować na główny plac we wsi i ustawić się na baczność wzdłuż jego zachodniego boku. Wcześniej kazano im się umyć i zreperować podarte mundury w ramach przygotowań do wizyty generała Vilmosa Nagya; dostarczono im nici i łaty. Zrobili, co było w ich mocy, ale nadal wyglądali jak strachy na wróble. Prace przy budowie drogi zniszczyły ich kurtki i spodnie. Udało im się wyżebrać trochę cywilnych ubrań od ukraińskich handlarzy starzyzną, ale nie mogli zastąpić podartych mundurów nowymi; armia przestała zaopatrywać przymusowych robotników w odzież. Andras obserwował stopniowy rozpad swojego uniformu podczas pobytu w szkole oficerskiej. W zestawieniu z wykrochmalonymi mundurami oficerów jego kurtka i spodnie z czasem wyglądały coraz bardziej jak kostium włóczęgi.

Na czele kompanii złożonej z wypucowanych kadetów po drugiej stronie placu Andras dojrzał wyprostowaną postać i mrugający monokl kapitana Erdő. Jego guziki siały wokół złocisty blask, lśniąc w porannym słońcu. To była dla niego wielka chwila, całe to wydarzenie. Był zadowolony z pracy wykonanej przez Andrasa i Józsefa. Kiedy pokazali mu skończone tła i dekoracje na krótko przed próbą generalną, chwalił je z takim entuzjazmem, że aż pękło mu naczyńko w lewym oku. Sama próba generalna udała się doskonale z wyjątkiem paru zapomnianych kwestii, ale teraz już wszystko zostało poprawione i wypolerowane na błysk, po wojskowemu. Dekoracje, kostiumy, nawet wspaniała kurtyna z płótna pomalowanego na czerwonozłoty kolor, czekały w gotowości na przybycie generała. Premiera przedstawienia miała odbyć się tego wieczoru.

Kawalkadę samochodów z generałem poprzedzała orkiestra dęta złożona z kadetów: kilku rozpaczliwie poważnych trębaczy, flegmatyczny puzonista, gruby flecista i dobosz o czerwonym obliczu. Za nimi jechała para opancerzonych ciężarówek z powiewającą węgierską flagą, potem sznur policjantów wojskowych na motocyklach i wreszcie generał Vilmos Nagybaczoni Nagy w otwartym aucie, lśniącej czarnej ładzie z białymi felgami. Generał był młodszy, niż Andras się spodziewał, z włosami nietkniętymi siwizną, reprezentował energiczny wiek średni. Jego mundur skrzył się od orderów wszelkiego kształtu i koloru, w tym turkusowo-złotego krzyża, który był najwyższym odznaczeniem Honvédségu za

męstwo na polu bitwy. Obok niego jechał młodszy mężczyzna, w mniej olśniewającym mundurze, najwyraźniej adiutant lub sekretarz. Co parę chwil generał odwracał wzrok od szeregów żołnierzy i szeptał coś do ucha młodemu oficerowi, a ten zaczynał pisać jak szalony w notatniku. Spojrzenie generała zdawało się zwracać szczególnie często ku kompaniom pracy przymusowej. Andras nie odważył się spojrzeć wprost na Nagya, ale czuł, jak wzrok generała przesuwa się po nim, kiedy kolumna przejeżdżała obok. Wojskowy pochylił głowę i odezwał się do adiutanta, a młodzieniec zanotował jego słowa. Po tym, jak kawalkada samochodów przejechała wokół placu, orkiestra dęta zeszła im z drogi i auta z rykiem silników ruszyły w stronę szkoły oficerskiej.

Gdy Andras i József dotarli do auli, żeby poczynić ostatnie przygotowania przed przedstawieniem, okazało się, że na miejscu zapanował chaos. Dekoracje zostały odsunięte na bok, żeby rektor akademii wojskowej mógł wygłosić przemówienie powitalne, a przy okazji podarto dwa tła i zgnieciono jedną z części jaskini z masy papierowej. Spanikowany Erdő chodził z jednego końca sceny na drugi, oświadczając donośnym głosem, że dekoracji nigdy nie uda się zreperować na czas, podczas gdy Andras, József i inni w pośpiechu zabrali się za naprawę. Andras załatał jaskinię wiadrem klajstru i papierem pakowym, a József zreperował rzymskie ruiny za pomocą rolki płóciennej taśmy. Pozostali ustawili i rozwiesili od nowa drugie podarte tło. Kiedy obiad dobiegał końca, wszystko było już w porządku. Nadeszli aktorzy, by przywdziać swoje tatarskie i madziarskie kostiumy oraz poćwiczyć dykcję. Stroili się, kręcili i mamrotali swoje kwestie za kulisami z taką samą powagą i przejęciem jak aktorzy w teatrze Sary Bernhardt.

O wpół do dziewiątej aula wypełniła się kadetami. W ich rozmowach słychać było pełną napięcia wesołość, narastający pomruk oczekiwania. Andras znalazł ciemny kąt za kulisami, skąd mógł oglądać przemowy i przedstawienie. Kątem oka zauważył wojskowy błysk kurtki generała, gdy ten szedł przez środek sali, po czym zajął miejsce w pierwszym rzędzie. Rektor szkoły oficerskiej wkroczył na scenę i wygłosił swoją przemowę, retoryczny dwugłos czołobitności i patosu, okraszony gestami, które Andras widywał w kronikach filmowych z Hitlerem: pięść uderzająca w pulpit jak młot, wzniesiony w górę palec wskazujący, dłoń niczym u dyrygenta. Jego pogróżki zostały uhonorowane sześcioma sekundami grzecznościowych oklasków. Ale kiedy na scenę wszedł generał Nagy, mężczyźni zerwali się z miejsc, krzycząc i wiwatując. Wybrał ich, zaszczycił pierwszym postojem podczas swojego objazdu po wschodzie; stąd miał

pojechać prosto do kwatery Hitlera w Winnicy. Generał podniósł dłoń w geście podziękowania, a oni usiedli i zapadła pełna wyczekiwania cisza.

– Żołnierze – zaczął. – Młodzi ludzie. Moja przemowa nie będzie długa. Nie muszę wam mówić, że wojna jest straszną rzeczą. Jesteście daleko od domu i od waszych rodzin, a zanim wrócicie, znajdziecie się jeszcze dalej. Odważni z was chłopcy. – Vilmos Nagy nie miał w sobie nic z buty czy dramatycznego zacięcia rektora szkoły oficerskiej; mówił, zaokrąglając samogłoski jak wieśniak z równin Hajdú i ściskając pulpit swoimi dużymi, czerwonymi dłońmi. – Będę z wami szczery – powiedział. – Sowieci są silniejsi, niż sądziliśmy. Jesteście tutaj, bo nie zdobyliśmy Rosji wiosną. Wielu z waszych towarzyszy już poległo. Uczycie się, jak poprowadzić do bitwy kolejnych ludzi. Ale wy, chłopcy, jesteście Madziarami. Przetrwaliście tysiąc lat bitew. Żaden wróg nie może się z wami równać. Żaden nieprzyjaciel was nie pokona. Pobiliście Tatarów pod Pesztem. Rozgromiliście osiemdziesiąt tysięcy Turków w bitwie o Eger. Byliście lepszymi wojownikami i lepszymi dowódcami. – Wśród kadetów wybuchnął szalony entuzjazm; generał poczekał, aż hałas przycichnie. – Pamiętajcie – powiedział – że walczycie za Węgry. Za Węgry i tylko Węgry. Niemcy mogą być naszymi sojusznikami, ale nie są naszymi panami. Ich droga to nie nasza droga. Madziarzy nie są Aryjczykami. Niemcy widzą w nas ciemny naród. Mamy w sobie barbarzyńską krew, szalone pomysły. Nie zgadzamy się na przyjęcie totalitaryzmu. Nie chcemy deportować naszych Żydów ani Cyganów. Trzymamy się naszego dziwnego języka. Walczymy, by wygrać, nie żeby zginąć.

Kolejne wiwaty publiczności, ale tym razem ostrożniejsze. Kadetom wpojono absolutną cześć wobec władz niemieckich; nauczono ich mówić z bezwarunkowym szacunkiem o przepotężnym i ważnym sojuszniku Węgier.

– Pamiętajcie, co zdarzyło się tego lata na brzegach Donu – powiedział Nagy. – Dziesięć dywizji generała Jánya rozrzuconych na dystansie stu kilometrów pomiędzy Woroneżem a Pawłowskiem. Generalfeldmarschall von Weichs oczekiwał, że mając do dyspozycji zaledwie dziesięć lekkich dywizji, utrzymamy Rosjan na wschodnim brzegu. Znacie jednak tę historię: nasze czołgi były bezbronne wobec sowieckich T-34. Sowieci mieli przewagę liczebną nad naszymi wojskami. Nasz system zaopatrzenia zawiódł. Nasi ludzie zginęli. Dlatego też Jány odwołał swoje dywizje i rozkazał im zająć pozycje obronne. Trzeźwo ocenił sytuację i podjął decyzję, która ocaliła życie tysięcy ludzi. I za to von Weichs i generał Halder oskarżyli nas o tchórzostwo! Być może ich podziw dla nas byłby większy, gdybyśmy pozwolili zginąć czterdziestu czy sześćdziesięciu tysiącom naszych ludzi zamiast tylko dwudziestu. Może woleliby zobaczyć, jak przelewamy

naszą barbarzyńską krew do ostatniej kropli. – Generał zrobił pauzę i spojrzał na rzędy milczących mężczyzn, jakby w ciemności szukał ich wzroku. – Niemcy są naszym sojusznikiem. Ich zwycięstwo nas wzmocni. Ale nie wierzcie nigdy, że ich celem jest cokolwiek innego niż przetrwanie Rzeszy. Naszym celem jest przetrwanie Węgier i nie chodzi mi tylko o zachowanie naszej suwerenności czy naszych terytoriów, ale także życia młodych Węgrów.

Wśród mężczyzn zapadła napięta cisza. Nikt już nie wiwatował; wszyscy czekali, co Nagy powie dalej. Tak rzadko słyszeli prawdę, pomyślał Andras, że teraz odebrało im mowę.

– Uczono was tu, jak walczyć inteligentnie i minimalizować nasze straty – kontynuował Nagy. – Chcemy, żebyście wrócili do domu żywi. Kiedy wojna się skończy, nadal będziecie nam potrzebni. - Urwał i westchnął głęboko; jego ręce trzęsły się, jakby przemówienie go wyczerpało. Spojrzał za kulisy, w ciemność, w której stał Andras. Jego wzrok zatrzymał się na nim przez dłuższą chwilę, po czym znów przeniósł się na kadetów. – I jeszcze jedno – powiedział. – Szanujcie robotników z batalionów pracy. Oni dla was brudzą sobie ręce. Są waszymi braćmi na tej wojnie. Niektórzy oficerowie postanowili traktować ich jak psy, ale to się zmieni. Bądźcie dobrymi ludźmi, to chcę wam powiedzieć. Okazujcie szacunek wtedy, kiedy się należy.

– Skłonił głowę jakby w zamyśleniu, po czym wzruszył ramionami.

– To wszystko – powiedział. – Jesteście dobrymi, dzielnymi żołnierzami, każdy z was. Dziękuję wam za waszą służbę.

Zszedł z podium przy akompaniamencie burzy braw. Wydawało się, że nikt nie wie do końca, co myśleć o nowym ministrze obrony; niektóre jego słowa brzmiały tak, że właściwie nie nadawały się do publicznego wygłoszenia, a już na pewno nie w szkole oficerskiej. Nie było jednak okazji, by jakoś zareagować. Za chwilę miało się rozpocząć przedstawienie. Madziarowie zgromadzili się na podwyższeniu, czekając na pierwszą scenę, a robotnicy przyciągnęli na miejsce rzymskie ruiny i spuścili tło przedstawiające błękitne niebo nad szmaragdowymi wzgórzami Budy. Kiedy podnieśli kurtynę, potok światła zalał scenę, oświetlając węgierskich wojowników w malowanych zbrojach. Wódz Madziarów wyciągnął miecz z pochwy i wzniósł go do góry. I wtedy, na chwilę przed tym, zanim zdążył wygłosić swoje pierwsze słowa, samo powietrze rozdarło się jakby w głębokim lamencie. Aula rozbrzmiała wznoszącą się i opadającą żałosną skargą. Andras znał ten dźwięk: była to syrena przeciwlotnicza. Wszyscy to przećwiczyli, zarówno tutaj, jak i w sierocińcu. Ale na ten wieczór nie zaplanowano ćwiczeń

przeciwlotniczych, nie było to też częścią przedstawienia. To się działo naprawdę. Zaraz zostaną zbombardowani.

W jednej chwili widzowie zerwali się z miejsc i zaczęli przepychać do wyjść. Grupa oficerów otoczyła generała Nagya, który w ścisku stracił czapkę. Złapał się za gołą głowę i rozglądał wokół, podczas gdy jego ludzie prowadzili go w stronę bocznych drzwi. Aktorzy uciekli ze sceny, porzucając tekturową broń, stłoczyli się przy schodach na końcu korytarza. Andras, József i inni robotnicy ruszyli za aktorami do schronu pod budynkiem. Schron przypominał plaster miodu złożony z betonowych pomieszczeń połączonych korytarzami o niskich stropach. Mężczyźni wcisnęli się do ciemnej wnęki za zakrętem jednego z korytarzy; za nimi w pomieszczeniu znalazło się jeszcze więcej kadetów. Wysoko nad głowami wyły syreny przeciwlotnicze.

Kiedy spadły pierwsze bomby, schron zatrząsł się, jakby sam księżyc wypadł z orbity i rozbił się o ziemię tuż nad stropem. Z sufitu posypał się betonowy pył, a żarówki zamigotały w drucianych klatkach. Kilku mężczyzn zaklęło. Inni zamknęli oczy jakby w modlitwie, József poprosił jednego z kadetów o papierosa. Zaczął palić.

– Zgaś to – szepnął Andras. – Jeżeli zacznie się tu ulatniać gaz, wszyscy zginiemy.

– Chcę palić, skoro zaraz mam umrzeć – odpowiedział József.

Andras pokręcił głową. József wypuścił przez nozdrza pokaźną, ozdobną chmurę dymu, jakby nie zamierzał się spieszyć. Ale kolejny wstrząs rzucił go na Andrasa i papieros wypadł mu z dłoni. Seria potężnych drgań przesunęła się po fundamentach budynku niczym drobne trzęsienia ziemi; to była artyleria przeciwlotnicza, odrzut od dział zainstalowanych nieopodal auli. Powyżej rozprysło się szkło i przez ściany schronu do uszu zgromadzonych dobiegły niewyraźne krzyki.

– Baczność, żołnierze! – zakomenderował jeden z oficerów. Stanęli na baczność. Wymagało to pewnego skupienia w tej migoczącej ciemności; stali tak, aż spadły kolejne bomby.

Gdy fundamenty się zatrzęsły, Andras zaczął myśleć o ciężarze materiałów budowlanych zgromadzonych nad jego głową: wielkie dźwigary, podłoga, ściany, tony pustaków i cegieł, wsporniki i szkielet dachu, niezliczone tysiące dachówek. Wyobraził sobie, jak wszystkie te materiały lecą w dół, zasypując architekturę jego własnego ciała. Krucha skóra, kruche mięśnie, kruche kości, pomysłowa

struktura organów, misterne ułożenie komórek – wszystkie te rzeczy, które Tibor pokazywał im w podręczniku Klary do anatomii całe wieki temu w Paryżu, w innym życiu. Nagle poczuł, że nie może oddychać. Kolejna detonacja uderzyła z boku i w suficie ukazało się pęknięcie.

A potem nastąpiła cisza. Mężczyźni stali w milczeniu, czekając. Artyleria przeciwlotnicza musiała zostać trafiona albo kanonierzy czekali na następną falę samolotów. To było gorsze – nie wiedzieć, kiedy nastąpi kolejne bombardowanie. Wargi Józsefa poruszały się szepcząc jakieś zaklęcia. Andras nachylił się ku niemu, zastanawiając się, który psalm czy modlitwa mogły nadać rysom jego twarzy taki spokój; kiedy słowa ułożyły się w zrozumiały tekst, Andras omal nie roześmiał się na głos. Była to piosenka Cole'a Portera, którą József często puszczał na swoim gramofonie podczas przyjęć. „Znów jestem przy tobie pod gwiazdami / A na plaży przygrywa orkiestra. / I nawet palmy zdają się kołysać / Gdy zaczynają grać bolero". Ciszę zakończyło nowe staccato dział przeciwlotniczych, a potem perkusyjny akord wybuchów, jakby trio bomb uderzyło naraz. Mężczyźni opadli na kolana, a światła zgasły. József wydał z siebie zwierzęcy krzyk paniki. A więc tak to się odbędzie, pomyślał Andras; József poniesie karę za swoje przewinienia tutaj, w tym grobowcu pod aulą szkoły oficerskiej. Zupełnie jak w baśni, gdzie za samolubne życzenia często płaci się okrutną cenę: József zginie, ale Andras będzie musiał umrzeć razem z nim. Bomby spadały, a József pochylił czoło, opierając je o obojczyk Andrasa.

– Przepraszam, przepraszam – powiedział.

Woń papierosowego dymu w jego włosach przypominała zapach wieczorów w Paryżu. Andras na chwilę przestał myśleć i położył rękę na głowie Józsefa.

A potem, w jednej chwili, światła zamrugały i znów rozbłysły. Mężczyźni się podnieśli. Otrzepywali mundury, udając, że przed chwilą nie obejmowali się nawzajem i nie wciskali twarzy jeden w pierś drugiego, modląc się, płacząc i przepraszając. Rozglądali się, jakby chcieli potwierdzić, że żaden z nich tak naprawdę się nie bał. Ziemia przestała się trząść; bombardowanie minęło. Ponad nimi panowała cisza.

– W porządku, żołnierze – odezwał się oficer, który rozkazał im stanąć na baczność. – Czekajcie na sygnał.

Dłuższy czas upłynął, zanim rozległa się syrena oznaczająca koniec zagrożenia. Kiedy wreszcie zabrzmiała, ludzie zaczęli pchać się w stronę korytarza, tłocząc się i rozmawiając między sobą głosami przytłumionymi od szoku. Nikt nie wiedział, co zobaczą, gdy wyjdą na powierzchnię. Andras myślał

o obozie, w którym mieli stacjonować, gdy tylko przyjechali do Turki – o masowym grobie i mokrym błocie okrywającym go jak przemoczony koc. Razem z Józsefem przepychali się do strumienia ludzi, którzy napierali z powrotem w stronę klatki schodowej. Powietrze w bunkrze wydawało się pozbawione tlenu, jakby oddychało nim zbyt wiele osób.

U podnóża schodów korytarz się zwężał. Gdy Andras przeciskał się w stronę stopni, ktoś wpadł na niego i wetknął mu coś do ręki. To był Erdő, z twarzą wilgotną i czerwoną, bez monokla.

– Nie pomyślałem o tym wcześniej – powiedział Andrasowi do ucha. – Byłem zaabsorbowany przedstawieniem. Mogłem zginąć i nigdy ci tego nie dać albo ty mogłeś zginąć i nigdy go nie odebrać.

Andras spuścił wzrok, żeby zobaczyć, co trzyma w ręce. Był to złożony kawałek papieru owinięty w chusteczkę.

Nie był w stanie czekać. Musiał sprawdzić. Odwinął róg chusteczki i zobaczył pismo Klary na cienkiej niebieskiej kopercie. Serce zamarło mu w piersi.

– Schowaj to – powiedział Erdő i Andras usłuchał.

Kiedy wrócił do sierocińca, pragnął tylko zostać sam – znaleźć jakieś ustronne miejsce, w którym będzie mógł przeczytać list od Klary. Ale robotnicy z kompanii 79/6 zasypali go i pozostałych gradem pytań. Co się stało? Czy widzieli samoloty? Czy ktoś zginął? Czy oni sami nie byli ranni? Co oznaczał nalot tak daleko od linii frontu? Strażnicy słuchali radia w prywatnej kwaterze Kozmy, ale oczywiście nie powiedzieli nic robotnikom; bombardowanie trwało tak długo, że sądzili, że wszyscy w szkole zginęli.

Byli zabici. To prawda. Kiedy wyszli z auli – w każdym razie z tych trzech ścian, które po niej zostały – porwał ich strumień ludzi biegnących do jednego ze schronów, który zawalił się na stłoczonych tam kadetów. Przez trzy godziny robotnicy wraz z żołnierzami, wyposażeni w łopaty, kilofy, liny i łaziki, pracowali, żeby usunąć masę drewna i betonu, która ich uwięziła. Siedemnastu z nich zginęło na miejscu, gdy zawalił się schron. Dziesiątki innych były ranne. W innych miejscach także były ofiary: kantyna została zrównana z ziemią, zanim kucharze i pomywacze zdążyli zejść do schronu, zginęło jedenastu ludzi. Domyślano się, że przyczyną nalotu był generał Vilmos Nagy; informacje o jego wizycie musiały dotrzeć do NKWD i sowieckie lotnictwo otrzymało rozkaz, aby dokonać bombardowania. Ale generał Nagy przeżył. Osobiście kierował

wydobyciem ludzi z zawalonego schronu ku przerażeniu swojego młodego adiutanta, który stał w pobliżu, obserwując oświetloną płomieniami pokrywę chmur, jakby w każdej chwili mógł spaść z niej deszcz sowieckich maszyn Jak-1.

Przez cały ten czas Andras nosił w kieszeni list Klary, którego nie ośmielił się przeczytać. Teraz mógł nareszcie wdrapać się na swoje łóżko i w ciemności odszyfrować jej pismo. József zdawał się niemal równie przejęty jak Andras; siedział po turecku na dolnym łóżku, czekając na wieści. Andras ostrożnie rozciął kopertę brzytwą, po czym ułożył się w takiej pozycji, by móc użyć światła księżycowego jako latarki. Wyciągnął list z koperty i otworzył go drżącymi dłońmi.

Budapeszt, 15 października

Drogi A.,

Wyobraź sobie ulgę moją i Twojego brata, kiedy otrzymaliśmy Twój list! Postanowiliśmy wszyscy odłożyć wycieczkę na wieś do Twojego powrotu. Tamás ma się dobrze, ja również, biorąc pod uwagę okoliczności. Twoi rodzice są zdrowi. Przekaż, proszę, pozdrowienia mojemu bratankowi. Jego rodzice także mają się dobrze. Jeśli chodzi o to, co napisałeś o wyjeździe M.H. na Lachaise, to mam wielką nadzieję, że źle Cię zrozumiałam. Proszę, napisz znów wkrótce.

Zawsze Twoja, K.

„Postanowiliśmy wszyscy odłożyć wycieczkę". Było dokładnie tak, jak się obawiał, tylko jeszcze gorzej. Nie tylko Klara, ale także Tibor i Ilana. Na ich miejscu postąpiłby, rzecz jasna, tak samo – nigdy nie zostawiłby Ilany i Ádáma samych w Budapeszcie, gdyby Tibor zniknął – niemniej wywoływało to w nim smutek i wściekłość. Armia węgierska jednym posunięciem uziemiła cały klan Lévich. Ze względu na nielegalny handel obuwiem wojskowym, konserwami mięsnymi, amunicją i oponami wszyscy zostali uwięzieni na kontynencie, który postanowił zetrzeć Żydów z powierzchni ziemi. Ta straszliwa prawda utkwiła mu pod przeponą, uniemożliwiając oddychanie pełną piersią. Sięgnął ręką na dolne łóżko i podał list Józsefowi, który zareagował cichym jękiem – József, który od zawsze dowodził bezsensowności wyjazdu do Palestyny. Teraz, po trzech miesiącach na Ukrainie, po tym, czego doświadczyli i co widzieli w szkole oficerskiej, poznał własną kruchość i bezbronność, poczuł słony smak własnej śmiertelności. Zrozumiał, co znaczy pozostanie na Węgrzech dla Klary i Tamása, dla Tibora, Ilany i Ádáma, podczas gdy wojna napierała coraz bardziej ze wszystkich stron. Domyślił się, co jego deportacja znaczyła dla rodziców; czuł prawdę w słówku „dobrze" w jedynym zdaniu, które Klara napisała na ich temat.

Ale ostatecznie miał ten list, dowód tego, że w domu życie toczy się dalej. Andras słyszał Klarę, jak odczytuje na głos zaszyfrowane zdania listu; przez chwilę było tak, jakby znajdowała się przy nim, zwinięta i ciasno przytulona do niego na tym niemożliwie krótkim piętrowym łóżku. Jej skóra, gorąca pod przylegającą suknią. Ciepła czarna woń jej włosów. Usta formułują sznur tajemniczych słów i szepczą mu je do ucha niczym chłodne szklane paciorki. „Postanowiliśmy odłożyć wycieczkę na wieś". Za chwileczkę jej odpowie, opowie wszystko, co się zdarzyło. Ale wtedy złudzenie minęło i znów leżał sam na swoim łóżku. Przekręcił się i wbił wzrok w zimny błotnisty kwadrat podwórza, na którym stopy jego towarzyszy dawno już zatarły dziecięce ślady, które tam były, gdy przyjechali. W świetle księżyca widział niewyraźnie dwa małe wzniesienia, groby Mendla i Goldfarba, za nimi wysoki mur z cegły, a nad nim wierzchołki drzew i, jeszcze dalej, sieć gwiazd na tle granatowoczarnej pustki nieba.

Rozdział trzydziesty szósty

Ogień na śniegu

NASTĘPNEGO DNIA PO NALOCIE prace nad drogą Turka-Schodnica zostały tymczasowo wstrzymane. Wszystkie węgierskie kompanie robotnicze wysłano do szkoły oficerskiej w celu usunięcia szkód. Zbombardowane budynki należało odbudować, naprawić zniszczone szosy. Generał Vilmos Nagy w dalszym ciągu przebywał na miejscu; nie mógł udać się do kwatery głównej Hitlera w Winnicy, dopóki nie było pewności, że przejazd byłby bezpieczny. Major Kozma, któremu obecność Nagya dodała animuszu, choć nie zdołał jeszcze ocenić jego niekonwencjonalnych poglądów politycznych, wykorzystał sytuację do zorganizowania sobie nowej rozrywki. Pokruszone cegły i rozłupane belki z oficerskiej kantyny należało wywieźć wozami zaprzęgniętymi w konie, ale wozów było więcej niż zwierząt; stajnie także ucierpiały podczas nalotu. Kozma zatem zaprzągł do nich swoich ludzi. Ośmiu robotników przymusowych, w tej liczbie Andras i József, zostało przywiązanych do skórzanej uprzęży i zmuszonych do ciągnięcia wozu pełnego gruzu ze zrujnowanej kantyny na plac apelowy zamieniony na składowisko części, które można było wykorzystać jako materiały budowlane. Odległość wynosiła nie więcej niż trzysta metrów, ale wóz był za każdym razem wyładowany po brzegi. Mężczyźni posuwali się jakby przez jezioro tężejącego cementu. Kiedy z wyczerpania osuwali się na kolana, strażnicy zsiadali z kozła i okładali ich batem. Grupa kadetów przerwała pracę, by popatrzeć na to widowisko. Buczeli, kiedy robotnicy upadali na kolana, i wiwatowali, kiedy Andras, József i inni podnosili się z wysiłkiem i ciągnęli wóz kilka metrów dalej w stronę miejsca rozładunku.

Przed południem o widowisku zrobiło się już na tyle głośno, że doszło to do wiadomości samego Nagya. Pomimo protestów swojego młodego adiutanta wyszedł z bunkra, w którym przebywał, i pomaszerował przez plac apelowy do ruin kantyny. Stanął z kciukami wsuniętymi za pas i patrzył, jak robotnicy wrzucają odłamki na wóz i ciągną go naprzód. Generał przeszedł od wozu do uprzęży, przeciągając dłonią po rzemieniach łączących mężczyzn z zaprzęgiem.

Kozma podbiegł przez ruiny jadalni i zajął pozycję w pobliżu generała. Wyprężył się i energicznie zasalutował.

Generał nie odwzajemnił powitania.

– Dlaczego ci mężczyźni są zaprzęgnięci do wozu? – zapytał.

– To najlepsze konie, jakimi dysponujemy – odparł Kozma, mrugając zdrowym okiem.

Generał zdjął okulary. Przez dłuższą chwilę czyścił je chusteczką, po czym założył je z powrotem i obrzucił Kozmę chłodnym spojrzeniem.

– Proszę odciąć swoich ludzi – powiedział. – Wszystkich.

Z rozczarowaną miną Kozma podniósł rękę, by przywołać jednego ze strażników.

– Nie on – powiedział generał. – Pan to zrobi.

Te słowa napełniły nową energią rząd zaprzęgniętych mężczyzn, wywołały drżenie, które Andras czuł poprzez rzemienie na piersi i ramionach.

– W tej chwili, majorze – powiedział Nagy. – Nie lubię powtarzać rozkazów.

Kozma nie miał wyboru. Podszedł do mężczyzn i zaczął przecinać rzemienie swoim scyzorykiem, przez co być może znalazł się najbliżej robotników od czasu, gdy trafili pod jego rozkazy, na tyle blisko, by poczuć ich zapach, pomyślał Andras, na tyle blisko, że groziło mu zarażenie się ich chronicznym kaszlem, ich wszawicą. Ręce drżały majorowi, kiedy niezgrabnie rozcinał splątane rzemienie. Uwolnienie całej ósemki zajęło mu kwadrans. Kadeci, którzy zatrzymali się, żeby popatrzeć, tymczasem zniknęli.

– Proszę kazać swoim strażnikom przywieźć tu ciężarówkę z taczkami z magazynu – polecił generał. Zwrócił się do robotników: – Odpoczniecie tutaj, dopóki nie przyjadą taczki. Potem będziecie wywozić na nich gruz.

Patrzył, jak brygadziści dzielą robotników z powrotem na grupy, czekając na taczki. Kozma stał w milczeniu u boku generała, wykręcając zawzięcie dłonie, jak gdyby miał zamiar wyłuskać je ze skóry. Generał sprawiał wrażenie, jakby zapomniał, że jego życie jest w niebezpieczeństwie, że NKWD wie o jego obecności w obozie. Nie zwracał uwagi na usilne prośby adiutanta, by z powrotem schronił się w bunkrze. W południe Nagy wraz z adiutantem odprowadzili robotników do nowego namiotu kuchennego i dopilnowali, by ci otrzymali dodatkowe dwadzieścia dekagramów chleba i dziesięć dekagramów margaryny. Generał

polecił adiutantowi zaciągnąć ławkę na kawałek nagiej ziemi, gdzie jedli robotnicy; zjadł drugie śniadanie razem z nimi, wypytując ich o życie, które prowadzili przed wojną, i o to, co zamierzają robić po wojnie. Mężczyźni początkowo odpowiadali ostrożnie, niepewni, czy mogą zaufać temu wysoko postawionemu człowiekowi w kurtce lśniącej od orderów, ale wkrótce zaczęli mówić swobodniej. Andras się nie odzywał; stał na skraju grupy, przekonany, że jest świadkiem czegoś niezwykłego.

Po drugim śniadaniu generał wydał rozkaz, by mężczyźni z kompanii 79/6 zostali odwszawieni, wykąpani i by wydano im czyste mundury z magazynów szkoły oficerskiej. Medycy ze szkolnego szpitala mieli ich zbadać i zająć się ich ranami oraz chorobami. Potem zamierzano przydzielić robotników do takich prac, jakie pozwolą im na powrót do zdrowia. Było oczywiste, że są za słabi i zbyt schorowani, by wykonywać ciężkie roboty. Na resztę dnia odesłał ich do pracy w wilgotnym cieple namiotu kuchennego, gdzie kucharz polecił im obierać ziemniaki i kroić cebulę na obiad dla oficerów.

W porze obiadowej mężczyźni otrzymali kolejne racje uzupełniające: następne dwadzieścia dekagramów chleba i dziesięć margaryny. Nieznany im oficer, wysoki niedźwiedziowaty człowiek, który przedstawił się jako major Bálint, oznajmił im, że dodatek ten będzie stały; generał nakazał, by zmodyfikowano ich dietę. Tymczasem będą pracować dalej w namiocie kuchennym, zamiast wracać do pracy przy budowie drogi. Czekała ich jeszcze jedna zmiana: ich nowym dowódcą będzie sam Bálint. Major Kozma nie ma już nic do czynienia z kompanią 79/6 ani też, o ile generał Nagy będzie miał w tej sprawie coś do powiedzenia, z żadną inną kompnią w Munkaszolgálat – z wyjątkiem tej, w której sam będzie musiał służyć.

Od przyjazdu do Turki w sierocińcu ani razu nie przespali nocy wolnej od trosk. Nawet kiedy obchodzili Nowy Rok i Jom Kippur, robili to z poczuciem żałobnego obowiązku i świadomością, że są daleko od wszystkiego i wszystkich, których kochają. Tej nocy w koszarach, w porze, kiedy Kozma zwoływał zbiórkę na zewnątrz i kazał im stać na baczność, dopóki nie osunęli się na kolana, mężczyźni zebrali się w jednej z klas na dole, by grać w karty, śpiewać niemądre piosenki i czytać na głos wiadomości ze skrawków gazet, które wynieśli ze szkoły oficerskiej. Sowieci, czytał Wieża z Kości Słoniowej, w dalszym ciągu powstrzymują hitlerowską ofensywę na Stalingrad, a walki trwały już jedenasty tydzień; toczyły się na ulicach miasta i jego północnych przedmieściach, dając powód do przypuszczeń, że kiedy nadejdzie rosyjska zima, hitlerowcy być może nadal będą tkwić w okopach.

– Niech zamarzną! – wykrzyknął Wieża z Kości Słoniowej, wkładając kapelusz żeglarski zrobiony przez Andrasa ze złożonej strony z ogłoszeniami. Chwycił go za ręce i zmusił do odtańczenia tańca ludowego. – Jesteśmy wolni, kochanieńcy, wolni – śpiewał, wirując z nim po pokoju.

To oczywiście nie było prawdą; Lukás i inni strażnicy nadal trzymali wartę przy drzwiach, a każdy członek kompanii 79/6 mógł zostać zastrzelony za przejście drogą bez eskorty. Uwolniono ich jednak od majora Kozmy. Mało tego, byli też czyści i wolni od wszy. Generał Nagy posunął się tak daleko, że rozkazał wyciągnąć ich materace i koce na zewnątrz, spalić wszystkie i natychmiast dostarczyć nową pościel.

Tej nocy, leżąc na swoim wygodnym nowym materacu słodko pachnącym sianem, Andras napisał do Klary. „Droga K., wydarzenia przybrały zaskakujący obrót. Nasze warunki w T. zmieniły się na lepsze. Jesteśmy zdrowi, właśnie otrzymaliśmy nowe mundury i dobrą pracę. Nie musisz się o nas martwić. Jeżeli znów pojawi się szansa wyjazdu na wieś, jedź koniecznie. Dołączę do Ciebie, gdy tylko będę mógł. Niestety muszę potwierdzić to, czego domyśliłaś się o M.H. Proszę, przekaż serdeczności ode mnie mojemu bratu i Ilanie. Ucałuj ode mnie Tamása. Oddany Ci jak zawsze A.".

Następnego dnia, wydając obiad kadetom i ich przełożonym, czekał niecierpliwie, aż podejdzie do niego Erdő. Kiedy w końcu nadszedł – ponury i bez monokla, wciąż pogrążony w żałobie po *Tatarach na Węgrzech* pośród innych strat w obozie – Andras podał mu list pod blaszanym talerzem. Bez jakiegokolwiek gestu, mrugnięcia czy innego znaku kapitan przesunął się naprzód, robiąc miejsce następnej osobie w kolejce; Andras dostrzegł błysk bieli, kiedy przekładał list z ręki do kieszeni spodni. Jeśli poczta będzie dalej kursować między Ukrainą a Węgrami, Klara dowie się, że Andras ma się dobrze i chce, żeby wyjechała do Palestyny, jeżeli będzie mogła.

W połowie listopada plan generała Nagya dotyczący rehabilitacji kompanii 79/6 był wciąż realizowany. Chorzy leczyli się w szpitalu, a ci, którzy mogli pracować, przybierali na wadze dzięki dodatkowym racjom żywności. Pomagało to, że przydzielono ich do służby w kuchni. Choć kucharze starannie pilnowali zapasów żywności, nierzadko udawało się zdobyć bezpańską marchewkę czy ziemniaka albo dodatkową porcję zupy. Choć Andrasowi brakowało długich spacerów z mierniczym na koniec drogi, to rekompensowały mu to cotygodniowe wizyty Szolomona w szkole oficerskiej. Mierniczy przynosił wiadomości o wojnie i kiedy tylko mógł, podrzucał Andrasowi i Józsefowi jakiś ukraiński przysmak lub ciepłe ubranie. Pewnego chłodnego popołudnia Andras patrzył, jak József

rozdziera papier, w który zawinięte były pierożki zwane *holuszki* – uszka – i poczuł się, jakby patrzył na samego siebie w Paryżu, wygłodzonego studenta, który rozpakowuje makowiec przysłany przez starszą panią Hász. Kim byli teraz, on i József, jeśli nie dwójką głodnych ludzi na poszarpanym krańcu kraju pogrążonego w wojnie, zdanych na łaskę i niełaskę sił na które nie mieli wpływu? Wszystkie bariery pomiędzy nimi, a przynajmniej te wyznaczniki przynależności do tej czy innej klasy społecznej, które ich dzieliły, gdy mieszkali w Paryżu, w tej chwili wydawały się absurdalnie przypadkowe. Kiedy József podał mu paczkę uszek, Andras wziął ją i powiedział: *köszönöm.* József posłał mu spojrzenie pełne zaskoczenia i ulgi, co zdziwiło Andrasa, aż uświadomił sobie, że było to pierwsze życzliwe słowo skierowane do niego od czasu śmierci Mendla. Jakie to dziwne, pomyślał Andras, że wojna może skłonić czowieka, by wbrew własnej woli wybaczył osobie, która na to nie zasługuje, tak jak może zmusić go do zabicia osoby, do której wcale nie czuje nienawiści. To musi być znieczulający efekt sytuacji krytycznej, pomyślał, gorzkiej mikstury, którą przyjmowali na Ukrainie codziennie wraz z porcją zupy i gliniastego chleba.

Kilka dni później robotnicy obudzili się i zobaczyli, że podwórze sierocińca spowija białoszary obłok śniegu. Chmury sprawiały wrażenie, jakby postanowiły pozbyć się naraz całej swojej zawartości, płatki pędziły w kierunku ziemi zbite w kiście wielkości żołędzi. Nastała zima, przed którą drżeli; jej nadejście nie pozostawiało żadnych wątpliwości, w ciągu nocy temperatura spadła o dwadzieścia stopni. Podczas apelu śnieg wciskał im się do uszu, ust i nosów. Dostawał się w szpary pomiędzy paltami a szalikami, wpychał w dziurki od sznurówek w butach. Major Bálint zajął miejsce na przodzie placu apelowego i z przykrością oznajmił, że kompania została zwolniona z obowiązków w szkole oficerskiej i przydzielona do odśnieżania. Strażnicy otworzyli szopę i wydali im narzędzia – te same spiczasto zakończone łopaty, których używali przy budowie drogi, a nie takie z wygiętymi, prostokątnymi ostrzami, które nadawałyby się do odśnieżania – po czym poprowadzili ich w stronę wioski, gdzie mieli przystąpić do swoich zimowych zadań.

Tego popołudnia Szolomon odnalazł Andrasa i Józsefa wśród grup zajętych odśnieżaniem i poinformował ich, że przydzielono go do biura kartograficznego w Woroneżu i ma wyruszyć wojskowym pociągiem jeszcze tego dnia. Życzył im bezpiecznego przetrwania zimy, odmówił błogosławieństwo nad ich głowami i napchał ich kieszenie jedzeniem, którego od dawna nie oglądali – puszkami mięsa i sardynek, słoikami marynowanych śledzi, torebkami orzechów włoskich

i zwartymi żytnimi sucharami. A potem, bez słowa pożegnania, ich małomówny patron i opiekun ruszył pośpiesznie drogą i zniknął za zasłoną śniegu.

Przez cały tydzień temperatura nieustannie spadała, sporo poniżej zera. Grzbiet Andrasa był obolały od pracy; na dłoniach jątrzyły się pęcherze. To odśnieżanie, dzień po dniu, w narastającym mrozie, było najcięższą pracą, jaką dotąd przyszło mu wykonywać w Munkaszolgálat. Ale nie mógł porzucić nadziei, zwłaszcza teraz, kiedy była szansa na to, że z Budapesztu może nadejść list. Za każdym razem, gdy szli uprzątać śnieg z dróg wokół szkoły oficerskiej, Andras i József szukali kapitana Erdő; gdy miał dla nich pocztę, znajdował sposób, by wsunąć im ją do kieszeni. Na początku grudnia przyszedł list od Györgya Hásza: rodzinny majątek skurczył się jeszcze bardziej i György, Elza i starsza pani Hász zmuszeni byli opuścić mieszkanie o wysokich stropach przy Andrássy út i wprowadzić się do Klary. Ale nie trzeba się martwić. K. jest bezpieczna. Wszyscy mają się dobrze. Chłopcy powinni troszczyć się tylko o własne przetrwanie.

Następny list od Klary zawierał wiadomość, że Tibor został znów powołany do Munkaszolgálat i wysłany na front wschodni. Ilana i Ádám dołączyli do reszty rodziny przy Nefelejcs utca. Teraz ich siódemka żyła z pieniędzy, które były przeznaczone na wyjazd na wieś; prawnik Klary przesyłał im co miesiąc pewną sumę. Andras spróbował to sobie wyobrazić: jasne pokoje w ich mieszkaniu, wypełnione wszystkim tym, co rodzina Haszów przywiozła ze sobą z Andrássy út, ocalałymi dywanami, szafami na ubrania i bibelotami z ich królewskiego dobytku; Elza Hász, żałobnica w sukni wizytowej; Klara i Ilana, które starają się dbać o to, żeby dzieci były czyste, spokojne i najedzone w mieszkaniu pełnym ludzi; matka Klary, spokojna i milcząca w swoim kąciku; ciągła woń ziemniaków i papryki; a przez wysokie okna wpada obojętne, płaskie światło Budapesztu w zimie. W liście nie było żadnej wzmianki o Mátyásu, o którym Andras myślał stale, gdy zawieje śnieżne chłostały wzgórza i pola Ukrainy.

W połowie grudnia nadeszła wiadomość od matki Józsefa: György trafił do szpitala z palącym bólem w klatce piersiowej i wysoką gorączką. Zdiagnozowano zapalenie osierdzia, błony podtrzymującej serce. Lekarz zalecił perikardiocentezę, leczenie kolchicyną i trzy tygodnie odpoczynku na oddziale kardiologicznym. Koszt leczenia, blisko pięć tysięcy pengő, groził, że cała rodzina zostanie bez dachu nad głową; Klara usiłowała skontaktować się z prawnikiem, by wysłał jej potrzebną sumę.

Po otrzymaniu listu József przez cały dzień był przygnębiony i milczący. Tej nocy w sierocińcu nie położył się o zwykłej porze. Zamiast tego stał przy

oknie i wpatrywał się w zasypaną śniegiem czeluść podwórza, owinięty szorstkim kocem jak szlafrokiem.

Andras przekręcił się na łóżku i oparł na łokciu.

– O co chodzi? – zapytał. – O twojego ojca?

József skinął głową.

– Nie znosi chorować – powiedział. – Nie cierpi być dla kogokolwiek ciężarem. Jest nieszczęśliwy, kiedy musi opuścić dzień w pracy. – Szczelniej otulił się kocem i spojrzał na podwórze. – Tymczasem ja nie zrobiłem w życiu nic. Nic pożytecznego dla nikogo, a już na pewno nie dla moich rodziców. Nigdy nie miałem pracy. Nigdy nikogo nie kochałem ani nikt mnie nie kochał. Żadna z tych dziewczyn w Paryżu. Ani nikt w Budapeszcie. Zsófia też nie, chociaż była ze mną w ciąży.

– Zsófia jest w ciąży? – zapytał Andras.

– Już nie. Była zeszłej wiosny. Jakoś się tego pozbyła. Nie zależało jej na tym bardziej niż mnie, tak mało o mnie dbała. – József wydał z siebie długie westchnienie. – Nie przypuszczam, żebyś mógł mi współczuć, Andras. Ale to boli, gdy człowiek nagle zobaczy, kim jest naprawdę. Na pewno rozumiesz, co mam na myśli.

Andras odparł, że chyba tak.

– Wiem, że nie byłeś zachwycony moimi obrazami – powiedział József. – Zauważyłem to, jak odwiedziliście mnie w zeszłym roku, wtedy, gdy przynieśliście z Klarą małego.

– Przeciwnie, uważałem, że nowe prace są dobre. Powiedziałem to zresztą Klarze.

– A gdybym spróbował skontaktować się z moim marszandem w Budapeszcie? – powiedział József, odwracając się do Andrasa. - I polecił mu, żeby coś sprzedał? Nigdy nie uważałem tych nowych obrazów za skończone, ale kolekcjoner może być innego zdania. Mogę poprosić papę, żeby zobaczył, co może dostać za te dziewięć dużych.

– Sprzedałbyś niedokończone prace?

– Nie mam innego pomysłu – odparł József, odwracając się od okna. Przez moment wypukłość jego czoła i czarne skrzydło włosów przypominały Klarę

i Andras odczuł niepożądany przypływ czułości do chłopaka. Położył się z powrotem na łóżku i wbił wzrok w ciemną płaszczyznę sufitu.

– Te obrazy, które widziałem, były dobre – powiedział. – Nie wyglądały na niedokończone. Może udać ci się na nich sporo zarobić. Ale może nie trzeba będzie ich sprzedawać. Może Klarze wyślą pieniądze z Wiednia.

– Nawet jeśli wyślą, to co dalej? – zapytał József. – Myślisz, że nie będą im potrzebne kolejne pieniądze w przyszłym miesiącu na coś innego? Jeżeli zachoruje któreś z dzieci albo babka? Jeżeli zdarzy się coś nagłego i nie będzie można czekać, aż Klara skontaktuje się z prawnikiem? – Pytanie zawisło w powietrzu na dłuższą chwilę, podczas gdy obaj mężczyźni rozważali tę niepokojącą możliwość.

– Co ci mogę powiedzieć? – odezwał się Andras. – Myślę, że to bardzo dobry pomysł. Gdybym miał w tej chwili jakieś prace do sprzedania, sprzedałbym.

– Daj mi pióro – odparł József. – Napiszę do matki. A potem do papy.

Andras wziął do ręki tornister i wymacał w nim pióro i ostatnią bezcenną buteleczkę tuszu chińskiego, która została z zapasów pochodzących z przedstawienia. József zaczął pisać, używając parapetu jako biurka i światła księżyca jako lampy. Ale za chwilę w ciemności znów zabrzmiał jego głos.

– Nigdy nie dałem nic ojcu – powiedział. – Ani jednej rzeczy.

– Domyśli się, ile znaczy dla ciebie sprzedaż tych obrazów.

– A jeżeli umrze, zanim mama dostanie ten list?

– To przynajmniej twoja matka dowie się, co chciałeś zrobić – odpowiedział Andras. - I Klara.

Następnego ranka wstali i cały dzień odśnieżali, kolejnego dnia również odśnieżali, a potem napotkali kapitana Erdő, który prowadził swoich kadetów drogą, i Józsefowi udało się wsunąć mu listy do ręki. Każdego kolejnego dnia odśnieżali i odśnieżali, aż do 20 grudnia, kiedy major Bálint ogłosił, że mają spakować swoje rzeczy i wysprzątać cały sierociniec; nazajutrz ich jednostka wyruszała na wschód.

Choć nie znosili tego sierocińca, choć każdy z mężczyzn czuł wstręt do swojego przykrótkiego łóżka i przeklinał, garbiąc się w zimowy poranek nad dziecięcą umywalką, choć nienawidzili życia w lękliwej świadomości zabójstw, które miały tu miejsce, morderstw popełnionych na dzieciach przed ich przyjazdem i egzekucji Mendla Horovitza i László Goldfarba, choć namiętnie

pragnęli opuścić te pomieszczenia, w których głodzono ich, bito i upokarzano, to odczuwali jednak dziwny opór przed przekazaniem tego miejsca innej kompanii, grupie nieznanych ludzi. Kompania 79/6 przyjęła na siebie obowiązki opiekunów grobów swoich zmarłych, wzgórków oznaczonych kamieniami przyniesionymi tu z drogi. Dbali o to, by ziemia była zamieciona, a kamienie czyste; na większych kamieniach układali mniejsze w hołdzie ludziom, którzy zostali zastrzeleni albo zmarli od chorób lub pracy nad siły. Stali się także opiekunami duchów żydowskich sierot z Turki; członkowie kompanii 79/6 byli jedynymi, którzy widzieli ślady drobnych stóp pozostawione w korytarzach i na podwórzu. Jedli przy opuszczonych dziecięcych stołach, uczyli się na pamięć kształtów literek wydrapanych cyrylicą na blatach biurek w klasach, nocami atakowały ich te same pluskwy, które wcześniej gryzły dzieci, rozbijali sobie palce u nóg o te same ramy łóżek, o które uderzały się także dzieci. Teraz oni też musieli je porzucić, te dzieci porzucone już trzykrotnie: raz przez własnych rodziców, raz przez państwo i wreszcie przez samo życie. Ale mężczyźni z kompanii 79/6 – ci, którzy przetrwali zimę – póki starczy im życia, każdego sierpnia będą odmawiać kadisz za żydowskie sieroty z Turki.

Posuwali się na wschód, pieszo, w stronę niebezpieczeństwa. Krajobraz wokół wyglądał zupełnie jak w Turce: zasypane śniegiem wzgórza, ciężkie sosny, na białych polach pozostałości łodyg kukurydzy jakby zrobione z papieru, krowy wydmuchujące chmurki pary w mroźne powietrze. Miasteczka nie były niczym więcej niż garstkami zagród rozrzuconych wśród cienistych fałd wzgórz. Wiatr przenikał przez palta mężczyzn i przenikał aż do kości. Musieli kwaterować w stajniach razem z końmi roboczymi albo spać na podłogach chłopskich domów, gdzie leżeli przez całą noc z oczami otwartymi ze strachu przed wieśniakami, którzy leżeli z oczami otwartymi ze strachu przed nimi. Czasami w ogóle nie było stajni ani wiosek i musieli obozować na mrozie pod niebem rozświetlonym zorzą. Nocą temperatura spadała do minus dwudziestu stopni. Zawsze mieli ognisko, ale ogień sam w sobie był niebezpieczny; mógł zauroczyć człowieka, sprawić, że przestanie się ruszać, odwrócić jego uwagę od trudnego zadania utrzymania się przy życiu. Zdarzało się, że ktoś zwiedziony ciepłem ognia zapadł w sen na warcie, a koc zsunął mu się z ramion, ognisko zaś zgasło, stając się kupką popiołu i pozostawiając człowieka bezbronnego wobec mrozu. Pewnego poranka Andras znalazł w ten sposób Wieżę z Kości Słoniowej, który obejmował rękami kolana, a dużą głowę pochylił do przodu, jakby spał. Przed nim znajdował się martwy czarny krąg, w którym ogień wypalił się na śniegu, a na ramionach mężczyzny była warstewka lodu i szronu. Andras przyłożył rękę do jego szyi, ale skóra była tak zimna i twarda jak sama ziemia. Musieli nieść ze

sobą jego ciało przez trzy dni, dopóki nie natrafili na kawałek ziemi na tyle miękkiej, by mogła go przyjąć. Było to obok stajni, gdzie ciepło koni powstrzymało grunt przed zamarznięciem na kość. Pochowali Wieżę z Kości Słoniowej w środku nocy i wydrapali jego imię i datę śmierci na ścianie stodoły. Po raz kolejny odmówili Psalm Dziewięćdziesiąty Pierwszy. Teraz już wszyscy potrafili wyrecytować go z pamięci.

Mróz towarzyszył im w dzień i w nocy. Nawet w stajni czy chłopskich domach nie sposób było się ogrzać. Z podszewek palt uszyli niezgrabne rękawice, ale były one cienkie i na szwach przepuszczały zimno. Stopy zamarzały im w popękanych butach. Mężczyźni darli końskie derki na onuce i owijali nimi stopy jak ukraińscy wieśniacy. W skład ich pożywienia nie wchodziło zbyt wiele tego, co mogłoby pomóc im się rozgrzać, choć major Bálint starał się utrzymać racje przepisane przez generała Nagya. Od czasu do czasu wieśniacy litowali się nad nimi i dawali im coś od siebie: łyżkę gęsiego smalcu do chleba, kość szpikową, trochę dżemu. Andras myślał o mierniczym i miał nadzieję, że on je dobrze – że armia karmi go w Woroneżu.

Za dnia oczyszczali drogi ze śniegu, często nie nadążając za tempem opadów. Ich grzbiety zgarbiły się od pracy, dłonie pokrzywiły od ściskania łopat. Na wpół odśnieżonymi drogami nadjeżdżały ciężarówki, łaziki, działa, ludzie, czołgi, części samolotów, amunicja. Czasem pojawiał się niemiecki inspektor, krzykiem ustawiał ich w szeregu i lżył ich w swoim języku pełnym gardłowych spółgłosek i samogłosek, którym nie starczało powietrza. Wieści nadlatywały jak popiół z pożaru: bitwa pod Stalingradem wlokła się naprzód, w każdym tygodniu zbierając śmiertelne żniwo w postaci dziesiątek tysięcy poległych; resztka Drugiej Armii Węgierskiej walczyła o życie pod Woroneżem, niszczona przez przeważające siły sowieckie. Robotnicy z kompanii 79/6 odśnieżali drogę, posuwając się w kierunku tej bitwy, choć wydawała się równie odległa jak wszystko inne. Czasem odśnieżali przez całą noc, a niebo na północy zalewało ich potokiem jaskrawych przekleństw. Mężczyźni myśleli o swoich żonach i dziewczynach leżących w ciepłych łóżkach w Budapeszcie, z gołymi gładkimi nogami, piersiami uśpionymi w zimowych ciemnościach, dłońmi złożonymi i pachnącymi jak miłosne listy. W myślach powtarzali imiona tych kobiet, a męka ich tęsknoty nigdy nie słabła, nawet gdy imiona stawały się abstrakcją, a mężczyźni zaczynali zadawać sobie pytanie, czy te kobiety naprawdę jeszcze istnieją, czy można powiedzieć, że tak jest, skoro ich istnienie jawi się tak strasznie daleko stąd, za wyszczerzonymi zębiskami Karpat, za mroźnymi równinami węgierskiej zimy. „Klara" – to był dźwięk łopaty uderzającej o zmrożony śnieg, zgrzyt ostrza

o zamarzniętą ziemię. Andras mówił sobie, że jeśli tylko uda mu się odśnieżyć tę drogę, jeśli zdoła otworzyć ciężarówkom przejazd, żeby mogły popędzić na front wschodni, wtedy wojna posunie się w tym kierunku i tam zostanie, z dala od Węgier, Klary i Tamása.

Ale w połowie stycznia coś się wydarzyło. Rzeka samochodów, która dotąd płynęła w głąb Związku Radzieckiego, nagle zmieniła kierunek. Na początku był to zaledwie strumyczek: kilka ciężarówek z zaopatrzeniem, kilka kompanii piechoty w łazikach. Po pewnym czasie przerodził się on w ciągły strumień ludzi, pojazdów i uzbrojenia. A potem, pod koniec stycznia, zamienił się w zalew, i ta rzeka poczerwieniała od krwi. Pojawiły się ambulanse Czerwonego Krzyża pełne martwych i straszliwie poranionych ludzi, ofiar bitwy, która szalała w Stalingradzie przez pięć miesięcy, od sierpnia 1942 roku. Pewnej nocy nadeszła wiadomość, że Druga Armia Węgierska, wraz z towarzyszącymi jej tysiącami robotników przymusowych, poniosła ostateczną, okrutną klęskę pod Woroneżem. Wiadomość przyszła akurat w momencie, kiedy Andras otrzymał rację chleba posmarowanego margaryną. Choć był wygłodzony, oddał swoją porcję Józsefowi i usiadł w kącie obory, w której kwaterowali tej nocy. Kwaterę dzielili z dwoma tuzinami owiec o czarnych pyskach i wełnie, która przez zimę bujnie urosła. Owce wsuwały nosy do boksu, w którym schronił się Andras; kładły swoje zakurzone ciała na sianie, wydawały z siebie drżące beczenie i obwąchiwały się nawzajem swoimi aksamitnymi czarnymi nosami. Andras myślał nie tylko o mierniczym Szolomonie; przed oczyma stanął mu też Mátyás, który swego czasu towarzyszył Drugiej Armii Węgierskiej. Jeżeli przeżył ubiegłą zimę, mógł znaleźć się wśród tych pięćdziesięciu tysięcy wysłanych pod Woroneż. Andras wyobraził sobie rodziców, jak w końcu otrzymują wiadomość, której tak się lękali, matkę stojącą w kuchni w ich mieszkaniu w Debreczynie z telegramem w ręce, ojca, który osuwa się na swój fotel jak pusta rękawiczka. Andras był ojcem zaledwie od czternastu miesięcy, ale wiedział, co oznaczałaby dla niego utrata syna. Pomyślał o Tamásu, o znajomym kędziorku na czubku jego głowy, prędkim biciu serca, o złożonym krajobrazie jego ciałka. Potem oparł twarz o kolana i zobaczył Mátyása, który stoi na barierce w budapeszteńskim tramwaju, a jego błękitna koszula łopocze na wietrze.

Przełknął szorstki węzeł liny wypełniający jego gardło i przeciągnął ręką po oczach. Nie będzie go opłakiwał, powiedział sobie. Przynajmniej dopóki nie ma pewności.

Rzeka krwi płynęła nieprzerwanie i wkrótce porwała ze sobą Andrasa, Józsefa i resztę kompanii 79/6, unosząc ich z powrotem na zachód, w stronę

Węgier. Obok nich dryfowały fragmenty kompanii robotniczych, ludzie, którzy osiągnęli stan wychudzenia przywodzący na myśl senne koszmary. Andras i jego koledzy, którzy otrzymywali stałe racje żywnościowe, co noc zanosili jedzenie robotnikom bliskim śmierci, opuszczonym przez swoich dowódców, ludziom, którzy nie mieli już innych zadań poza ucieczką w kierunku domu. Doszły dalsze wiadomości o tym, co stało się w Stalingradzie – o bombardowaniach, które zamieniły każdą ulicę w mieście w rumowisko, a budynki w gąszcz pokruszonych cegieł i betonu; o tym, jak Szósta Armia Niemiecka została otoczona w centrum miasta, o jej dowódcy, generale Paulusie, ukrytym w piwnicy, podczas gdy wokół niego szalała bitwa; o zestrzeleniu nielicznych samolotów Luftwaffe z zaopatrzeniem; potem o Armii Czerwonej, która spadła na nich, przejmując kontrolę nad zakolem Donu, nie dopuszczając, by Czwarta Armia Niemiecka przyszła w sukurs otoczonej Szóstej Armii. Nikt nie wiedział, ilu ludzi zginęło – dwieście tysięcy? pięćset tysięcy? milion? – ani ilu umierało w dalszym ciągu z zimna, głodu i nieleczonych ran, tutaj, w samym środku zimy, na ciemnych, jałowych stepach. Mówiło się, że Sowieci ścigają niedobitki armii węgierskiej z powrotem po równinie. Mimo strachu, mimo bycia ściganym przez wroga Andras poczuł dziką satysfakcję. Szóstej Armii Niemieckiej nie udało się przejąć pól naftowych wokół Groznego; nie udało się także zdobyć miasta noszącego imię Stalina. Te porażki mogą dać początek kolejnym. Jedna klęska może pociągnąć za sobą dalsze niepowodzenia. Andras zdawał sobie sprawę, że czerpanie z tego satysfakcji jest czymś strasznym – los węgierskich wojsk i batalionów pracy związany był z losem Wehrmachtu, a poza tym w grę wchodzili ludzie, którzy ginęli, nieważne, jakiej narodowości. Ale Niemcy musiały zostać pokonane. A gdyby zostały pokonane, gdy Węgry wciąż są suwerennym państwem, wtedy węgierscy Żydzi być może nigdy nie wpadliby w łapy Hitlera.

W chaosie odwrotu w kierunku Węgier zdarzały się najdziwniejsze zbiegi okoliczności, sploty losów wynikające z przemieszania się dziesiątek kompanii pracy przymusowej. Raz po raz spotykali ludzi, których znali z odległego życia przed wojną. Pewnej nocy kwaterowali z grupą mężczyzn z Debreczyna, wśród których było kilku dawnych kolegów Tibora ze szkoły. Innej nocy trafili na grupę z samego Konyáru, w tym syna piekarza, starszego brata Orsolyi Korcsolyi. Trzeciej nocy, gdy dopadła ich marcowa śnieżyca, Andras spostrzegł, że dzieli kąt w spichlerzu zamienionym w szpital z redaktorem naczelnym „Madziarskiego Dziennika Żydowskiego", niegdysiejszym kolegą i przeciwnikiem Frigyesa Epplera. Mężczyzna był prawie nie do rozpoznania, mróz i głód zmieniły go do tego stopnia, że wydawał się zaledwie drucianym szkieletem, na którym zbudowana była jego dawna postać; nikt nie mógłby sobie wyobrazić, że ten

wygłodzony człowiek o chudych kończynach i oczach błyszczących od gorączki był kiedyś wojowniczym redaktorem w tweedowej irlandzkiej marynarce.

Mężczyzna miał informacje o Epplerze, który stracił pracę po tym, gdy policja wojskowa znalazła w jego gabinecie plik obciążających dokumentów; plotka głosiła, że te papiery wskazywały na jego związek z czarno rynkowymi interesami na Szentendre. Niewiele później Eppler dostał powołanie do Munkaszolgálat; od tego czasu nikt nie miał od niego wiadomości, a przynajmniej redaktor naczelny nic o nim nie słyszał. Jego samego powołano kilka tygodni później do innej kompanii. Teraz wchodził w skład grupy chorych i rannych mężczyzn; dowódca zostawił ich w tym spichlerzu, żeby umarli z głodu lub gorączki. Major Bálint wydał rozkaz, by kompania 79/6 zadbała o chorych – żeby przynieśli im jedzenie i wodę i zmienili brudne prowizoryczne opatrunki na ich ranach. Zajmując się redaktorem, Andras usłyszał o losach innego członka ich kompanii, człowieka, którego historia była tak ponura, że zyskała mu przydomek Wujka Hioba. Mężczyzna ten, powiedział redaktor, był kiedyś mężem pięknej kobiety, byłej aktorki, z którą miał dziecko; mówiono, że mieszkał dawniej w Paryżu i prowadził tam wspaniały teatr w centrum miasta. Przed wojną był zmuszony wrócić do Budapesztu, gdzie na krótki czas przejął kierownictwo nad Operą. W Budapeszcie jego żona zachorowała i umarła. Wkrótce później mężczyzna, który cierpiał już na gruźlicę, został powołany do Munkaszolgálat – bez wątpienia jako przykład dla innych – i umieszczony w kompanii, do której jakiś czas później dołączył redaktor. Zeszłej jesieni wysłano ich do Starego Oskołu, gdzie stacjonowała Królewska Węgierska Żandarmeria Polowa. Przesłuchiwano ich tam, bito i obrabowano ze wszystkiego, co ze sobą przywieźli. Ludzie z Węgierskiej Żandarmerii Polowej wiedzieli, kim jest ten wybitny człowiek, dawny luminarz teatru; kazali mu stanąć przed wszystkimi i zbili go swoimi karabinami, a potem pokazali mu telegram, w którym donoszono, że jego syn umarł na odrę. Telegram wysłała ciotka chłopca do krewnego w Szegedzie; został on przechwycony w Budapeszcie i przesłany aż do Starego Oskołu najwyraźniej tylko po to, by jeszcze bardziej udręczyć nieszczęśnika. Wujek Hiob błagał żandarmów, żeby zabili i jego, ale zostawili go razem z resztą batalionu, a następnego dnia znów wysłano ich wszystkich na wschód.

– Ale co się z nim stało? – zapytał Andras, trzymając dłonie na kolanach i spoglądając w zapadnięte oczy redaktora. – Czy umarł w Woroneżu?

– W tym cała ironia – odparł redaktor. – Do tej pory nie umarł, choć bez przerwy próbował. Zgłosił się do pracy przy usuwaniu min.

Wbiegał na linię ognia, kiedy tylko miał okazję. I przeżył to wszystko. Nie zabiły go nawet suchoty.

– Jak go zostawiliście? Kiedy widziałeś go po raz ostatni?

– Jest tam w kącie, tam, gdzie teraz siedzi twój kolega.

Andras obejrzał się przez ramię. József ukucnął, żeby napoić człowieka, który leżał oparty o stertę złożonych worków na zboże; mężczyzna odwrócił głowę i poprzez zasłonę choroby i wychudzenia Andras rozpoznał Zoltána Novaka.

– Znam go – powiedział do redaktora.

– Naturalnie. Kto go nie znał? Zawsze był sławny.

– Znam go osobiście.

– W takim razie idź się z nim przywitać. – Dziennikarz położył Andrasowi rękę na piersi i popchnął go w kierunku mężczyzny gestem, który był jakby duchem jego dawnej energii, dawnej pasji.

Andras zbliżył się do Józsefa i człowieka opartego o worki. Spojrzał w oczy Józsefowi i przywołał go do kąta.

– To jest Zoltán Novak – szepnął.

József zmarszczył czoło i obejrzał się na mężczyznę.

– Novak? – zapytał. – Jesteś pewny?

Andras skinął głową.

– Zlituj się, Boże – powiedział József. – On ledwie żyje.

Mężczyzna uniósł głowę i spojrzał w ich stronę.

– Zaraz wracam – rzekł József.

– Daj mi wody – odezwał się Novak chrapliwym szeptem.

– Ja do niego pójdę – powiedział Andras.

– Czemu?

– Zna mnie.

– Jakoś mi się nie wydaje, żeby to była dla niego pociecha.

Ale Andras poszedł i ukląkł na ziemi przy Novaku, który uniósł się o parę centymetrów. Oczy miał zamknięte, jego oddech dźwięczał jak grzebień, po którym ktoś przesuwa palcami.

– Daj mi wody – powtórzył.

Andras podniósł manierkę i Novak się z niej napił. Kiedy skończył, odchrząknął i spojrzał na Andrasa. Wyraz jego twarzy powoli się zmienił, skóra zaczerwieniła się lekko wokół powiek. Podciągnął się do góry i oparł na łokciach.

– Lévi – powiedział, kręcąc głową. Wydał z siebie trzy chrapliwe dźwięki, które mogły oznaczać konsternację albo śmiech. Wysiłek go wyczerpał.

Novak opadł z powrotem na worki i zamknął oczy. Minął dłuższy czas, zanim znów się odezwał. – Lévi – powiedział. – A więc na pewno umarłem, chwała Bogu. Umarłem i trafiłem do Gehenny. A ty jesteś tu razem ze mną, też nie żyjesz, mam nadzieję.

– Nie – odpowiedział Andras. – Obaj jeszcze żyjemy i jesteśmy na Ukrainie.

Novak ponownie otworzył oczy. W jego spojrzeniu była jakaś miękkość, skomplikowane współczucie, które nie wykluczało jego samego, ale zdawało się ogarniać ich wszystkich, Andrasa, Józsefa, redaktora i pozostałych chorych i umierających mężczyzn i robotników przynoszących im wodę i opatrujących ich rany.

– Widzisz, jak to ze mną jest – powiedział Novak. – Może to dla ciebie jakaś satysfakcja.

– Oczywiście, że nie, Novak-úr. Proszę mi powiedzieć, co mogę dla pana zrobić.

– Zależy mi tylko na jednym. Ale gdybym cię o to poprosił, zrobiłbym z ciebie mordercę. – Novak uśmiechnął się lekko, robiąc znów pauzę na zaczerpnięcie oddechu. Potem zakaszlał boleśnie i przekręcił się na bok. – Od miesięcy marzę o tym, żeby umrzeć. Jednak wygląda na to, że jestem dosyć silny. Czy to nie rozkoszne? A za wielki ze mnie tchórz, żeby odebrać sobie życie.

– Jest pan głodny? – zapytał Andras. – Mam w tornistrze trochę chleba.

– Myślisz, że potrzebny mi chleb?

Andras odwrócił wzrok.

– Ten drugi człowiek to jej bratanek, prawda? – odezwał się Novak. – Jest do niej podobny.

– Wolę myśleć, że Klara jest znacznie ładniejsza od niego – odparł Andras.

Novak zaśmiał się poprzez kaszel.

– Masz rację – powiedział i pokręcił głową. – Andras Lévi. Po tym dniu w Operze miałem nadzieję, że więcej cię nie zobaczę.

– Odejdę, jeśli pan chce.

Novak znów pokręcił głową i Andras czekał, aż powie coś jeszcze. Ale mówienie go wyczerpało; zapadł w płytki sen z otwartymi ustami. Andras siedział przy mężczyźnie, gdy ten oddychał z wysiłkiem. Na zewnątrz wiatr świszczał wśród szalejącej zamieci. Andras oparł głowę na przedramieniu i zasnął, a kiedy się obudził, w spichlerzu było już ciemno. Nikt nie miał świeczki; posiadacze latarek od miesięcy nie mieli baterii. Odgłosy i woń chorych ludzi otaczały go jak gęsto tkana zasłona. Novak był teraz przytomny i przyglądał mu się uważnie, a jego oddech był bardziej chrapliwy niż ostatnio. Każdy wdech brzmiał tak, jakby usiłował wznieść skomplikowaną budowlę z nieodpowiednich materiałów za pomocą zepsutych narzędzi; każdy wydech oznaczał przegraną, upadek tej brzydkiej, chwiejnej budowli. Novak znów się odezwał, tak cicho, że Andras musiał nachylić się nad nim, by usłyszeć.

– Już w porządku – mówił. – Wszystko w porządku.

Nie było wiadomo, czy stara się dodać otuchy Andrasowi, sobie czy obu naraz; wydawało się, że zwraca się do kogoś, kogo tam nie ma, choć w ciemności jego oczy były utkwione w Andrasa. Wkrótce umilkł i z powrotem zapadł w sen. Andras siedział przy nim przez całą noc, patrząc, jak mężczyzna przebudza się i znów zasypia, a następnego dnia oddał Novakowi swoją rację chleba. Novak nie był w stanie zjeść go na sucho, więc Andras rozkruszył chleb i wymieszał go z roztopionym śniegiem. Spędzili w ten sposób trzy dni, Novak na przemian spał i odzyskiwał świadomość, a Andras dawał mu niewielkie ilości jedzenia i wody, aż w końcu pogoda się poprawiła i śnieg odtajał na tyle, że kompania 79/6 mogła podjąć swój marsz w stronę granicy. Kiedy Bálint ogłosił wymarsz następnego ranka, ulgę Andrasa zmącił wkrótce niepokój. Poprosił o chwilę rozmowy z majorem; nie mogli zostawić tu reszty ludzi na śmierć.

– Jak proponujecie ich przetransportować, żołnierzu? – zapytał Bálint tonem surowym, choć niepozbawionym współczucia. – Nie mamy ambulansów. Nie mamy z czego zrobić noszy. A zostać tutaj nie możemy.

– Możemy coś wykombinować, panie majorze.

Bálint pokręcił kudłatą głową.

– Tym ludziom lepiej będzie pod dachem. Za parę dni ma tu dotrzeć korpus medyczny. Zabiorą tych, którzy nadają się do transportu.

– Część z nich umrze do tego czasu – powiedział Andras.

– Wobec tego, Lévi, wywlekanie ich na mróz i śnieg raczej im nie pomoże.

– Jeden z tych ludzi ocalił mi życie, kiedy studiowałem w Paryżu. Nie mogę go tu zostawić.

– Posłuchajcie – powiedział Bálint, nie spuszczając oczu koloru ziemi z twarzy Andrasa. – Mam w domu syna i córkę. Wielu spośród nas też jest mężami i ojcami. Jesteśmy młodzi. Musimy wrócić do domu żywi. To jest zasada, którą kieruję się przy dowodzeniu tą kompanią, odkąd zarządzono odwrót. Do granicy mamy jeszcze sto kilometrów, czyli co najmniej pięć dni marszu. Jeżeli zabierzemy ze sobą chorych, spowolnimy całą kompanię. Możemy sami zginąć.

– W takim razie proszę pozwolić mi zostać, panie majorze.

– Mam inne rozkazy.

– Proszę mi pozwolić.

– Nie! – odparł Bálint, teraz już rozgniewany. – Zabieram was ze sobą, żołnierzu, choćbym przez całą drogę musiał trzymać was na muszce.

Ale ostatecznie obyło się bez użycia siły. Zoltán Novak, niegdyś mąż i ojciec, dawny dyrektor Théâtre Sarah-Bernhardt i Operaház w Budapeszcie, mężczyzna, którego Klara Morgenstern kochała przez jedenaście lat i zapewne do pewnego stopnia kochała nadal, zasnął tej nocy i już się nie obudził.

Rozdział trzydziesty siódmy

Ucieczka

ZANIM JEGO POCIĄG DOTARŁ do Budapesztu, rozkwitły forsycje. Wszystko inne było szare albo żółtawozielone; trochę drzew wzdłuż obwodnicy miało już pączki, choć w samym mieście nadal czuć było przenikliwy, wilgotny chłód niedawno stopniałego śniegu. Rok 1943 wciąż jeszcze wydawał mu się nierealny. Podczas ostatniego etapu podróży do domu całkowicie stracił poczucie czasu. Znał jednak aktualną datę: 25 marca; od czasu, kiedy wysłano go na Ukrainę, upłynęło siedem miesięcy i trzy tygodnie. Klara przyszła odebrać go z pociągu na dworzec Keleti. O mało nie zemdlał, widząc ją na peronie z dzieckiem, które stało obok niej – stało! Jego syn, Tamás, w płaszczyku do kolan i w solidnych bucikach. Tamás, który miał teraz prawie półtora roku; Tamás, który był niemowlęciem na ręku Klary, kiedy Andras widział go ostatnim razem. Między brwiami Klary pojawiła się pionowa zmarszczka, świadectwo trosk, ale poza tym pozostała niezmieniona; jej ciemne włosy związane były w luźny węzeł na karku, dekolt jej szarej sukni odsłaniał ukochane płaszczyzny jej obojczyków. Nie próbowała nawet ukryć swojego przerażenia na widok fizycznego stanu Andrasa. Zakryła, usta dłonią, a jej oczy wypełniły się łzami. Andras zdawał sobie sprawę ze swojego wyglądu, wiedział, że sprawia wrażenie człowieka, który niemal całkiem uwolnił się od ciała. Głowę ogolono mu przy odwszawianiu; jego ubranie, a raczej to, co z niego zostało, zwisało na nim luźno. Ręce miał szponiasto zakrzywione, na policzku trzy białe promienie blizn od szkła z przestrzelonego okna stodoły. Kiedy Klara wzięła go w ramiona, czuł, jak ostrożnie go dotyka, jakby mogła zrobić mu krzywdę swoim uściskiem. József nie był świadkiem ich ponownego spotkania; został w Debreczynie, gdzie wracał do zdrowia w szpitalu wojskowym. Podczas przekraczania granicy został ranny w kolano i teraz leczono u niego infekcję tkanki miękkiej. Miał wrócić do Budapesztu za tydzień lub dwa. Z poczty nieopodal szpitala Andrasowi udało się nadać do Klary depeszę z informacją o swoim przyjeździe.

Kochanie. Kochanie. Staliby tam, powtarzając to słowo przez całą noc, spoglądając na siebie i całując jedno drugiemu ręce, dotykając swoich twarzy, gdyby Tamás nie zaprotestował, nie zaczął się domagać, żeby ktoś wziął go na ręce. Andras podniósł go i spojrzał w jego okrągłą twarzyczkę z pytającymi łukami brwi i dużymi, wyrazistymi oczami.

– Apa – wyjaśniła chłopcu Klara i pokazała na pierś Andrasa. Ale Tamás odwrócił się i wyciągnął rączki do Klary; bał się tego nieznajomego mężczyzny.

Andras schylił się nad tornistrem i go otworzył. W środku znalazł czerwoną kauczukową piłeczkę, którą kupił za trzy filléry od ulicznego sprzedawcy w Debreczynie. Na każdym z biegunów piłeczka miała białą gwiazdkę, a przez jej środek biegł paseczek zielonej farby. Tamás wyciągnął po nią ręce. Ale Andras rzucił ją wysoko w powietrze i złapał na plecy, pomiędzy łopatki. Nauczył się tej sztuczki od kolegi z klasy w Konyárze. Teraz wyciągnął piłeczkę spomiędzy łopatek i skłonił się Tamásowi, który otworzył buzię i wybuchnął zachwyconym śmiechem.

– Jeszcze – powiedział.

To było pierwsze wypowiedziane przez synka słowo, które usłyszał Andras. Sztuczka okazała się równie śmieszna za drugim i trzecim razem. W końcu Andras dał Tamásowi piłeczkę, a ten trzymał ją z zachwytem, kiedy Klara niosła go przez most Erzsébetváros w kierunku domu. Andras szedł obok nich, trzymając dłoń na talii Klary. Nie towarzyszyło mu już to uczucie, które miał poprzednim razem, kiedy wrócił do domu z Munkaszolgálat: że po tym, co przeszedł, kontynuacja zwykłego życia w Budapeszcie jest niemożliwa, że jego psychiczna i fizyczna udręka musiała niewątpliwie zmienić resztę świata. Tam, gdzie kiedyś odczuwał niedowierzanie, teraz pojawił się rodzaj odrętwienia. Ten spokój niemal go przerażał. Był niezbitym dowodem na to, że Andras się postarzał.

Po drodze Klara opowiedziała mu, co działo się u Haszów: jak pieniądze ze sprzedaży obrazów Józsefa pozwoliły Györgyowi wrócić do zdrowia w szpitalu; jak matka Klary, która w zimie miała zapalenie płuc, teraz czuła się już tak świetnie, że co rano chodziła na rynek po świeże warzywa i pieczywo; jak Ilana opanowała węgierski i okazała się geniuszem oszczędności; jak Elza Hász, która do zeszłego grudnia nie potrafiła nawet ugotować jajka, nauczyła się robić ziemniaki z papryką i rosół. Przyszły nawet wieści od Elisabet: urodziła następne dziecko, dziewczynkę. Mieszkała nadal w rodzinnym majątku w Connecticut, a Paul służył w marynarce, ale po jego powrocie planowali przeprowadzkę do większego

mieszkania w Nowym Jorku. W liście nie było natomiast nic o możliwości emigracji do Stanów. Inne drogi ucieczki przestały istnieć. Klein, wyjawiła mu Klara szeptem, gdy zatrzymali się na rogu ulicy, został aresztowany za organizowanie nielegalnych wyjazdów z kraju. Od zeszłego listopada siedzi w więzieniu, czekając na proces. Kilka razy odwiedzała jego dziadków, którzy sprawiali wrażenie, jakby niczego nie potrzebowali. Trwali przy swoim stadku kóz w odwiecznej chatce przy Frangepán köz; być może władze uznały, że są zbyt starzy, żeby warto było ich prześladować. Nazwiska klientów Kleina – dawnych, obecnych i przyszłych emigrantów – ukryte były w gmatwaninie wymyślonych przez niego kodów; i nie sposób było przewidzieć, ile czasu zajmie policji zorientowanie się w tym labiryncie.

– A twoi rodzice? – zapytała. – Wszystko u nich dobrze?

– W porządku – odparł Andras. – Ale ciągle martwią się strasznie o Mátyása. A od niego wciąż ani słowa. Mój wygląd też ich nie uszczęśliwił. Nie powiedziałem im nawet połowy z tego, co się wydarzyło.

– Tibor nie może się doczekać, aż cię zobaczy. Ilana musiała posunąć się do gróźb, żeby go powstrzymać przed przyjściem na dworzec. Ale lekarze mówią, że musi odpoczywać.

– Jak on się ma? Jak wygląda?

Klara westchnęła.

– Jest chudy i wycieńczony. Mało się odzywa. Czasem sprawia wrażenie, jakby widział w powietrzu jakieś straszne upiory. Od kiedy wrócił, bez przerwy tuli do siebie Ádáma. Chłopiec jest tak do niego przywiązany, że Ilanie z trudem udaje się go karmić.

– A ty? – Dotknął dłonią jej włosów i policzka. – Klárika.

Podniosła do niego podbródek i pocałowała go na ulicy, trzymając w ramionach ich dziecko.

– Twoje listy – powiedziała. – Nie wiem, co by było, gdybym ich nie miała.

– Na pewno nie zawsze podnosiły cię na duchu.

Oczy Klary znów wypełniły się łzami.

– Chciałam wierzyć, że źle zrozumiałam to o Mendlu. Czytałam ten list wciąż od nowa, z nadzieją, że się pomyliłam. Ale to prawda?

– Tak, kochanie, prawda.

– Niedługo wszystko mi opowiesz – powiedziała, biorąc go za rękę.

Szli razem przed siebie, aż dotarli do drzwi kamienicy. Andras podniósł wzrok na okno ich sypialni; Klara postawiła w nim skrzynkę pełną wczesnych krokusów.

– Jest jeszcze jedna wiadomość – powiedziała z taką powagą, że początkowo myślał, że ktoś umarł. – Mieszka z nami teraz jeszcze jedna osoba. Ktoś, kto przyjechał z daleka.

-Kto?

– Wejdź na górę. Zobaczysz.

Z bijącym sercem ruszył za nią na podwórze. Nie był pewny, jak zniesie spotkanie z niespodziewanym gościem. Miał ochotę usiąść na brzegu fontanny pośrodku podwórka i zostać tam przez kilka dni, dochodząc do siebie. Kiedy wchodzili na górę otwartą klatką schodową, widział błyski złotych rybek w zielonej głębi fontanny.

Stanęli w drzwiach, a drzwi się otworzyły. Był tam Tibor, blady i wymizerowany, z oczami pełnymi łez za okularami w srebrnych oprawkach. Zarzucił bratu ramiona na szyję i stali tak, objęci, w korytarzu. Andras wdychał nikły zapach Tibora – zapach mydła, łoju i czystej bawełny; nie chciał się ruszać ani nic mówić. Ale Tibor poprowadził go do salonu, w którym czekała rodzina. Był jego bratanek Ádám, stojący obok matki; Ilana, z włosami przykrytymi wyszywaną chustą; György Hász, starszy i posiwiały; Elza Hász, skromna i poważna w szarej sukni roboczej; matka Klary, mniejsza niż kiedykolwiek, z głęboko osadzonymi, błyszczącymi oczami. A w głębi z kanapy wstał blady mężczyzna z owalną twarzą, w ciemnym pulowerze, który wcześniej należał do Andrasa, ze zmiętą chustką w ręce.

Andras poczuł, że kręci mu się w głowie. Położył dłoń na oparciu kanapy, a wzruszenie przepłynęło przez niego niczym wstrząs sejsmiczny.

Eli Polaner.

– Niemożliwe – powiedział Andras. Przeniósł spojrzenie z Klary na brata, na Ilanę, a potem znów na samego Polanera. – Czy to prawda? – zapytał po francusku.

– Prawda – odpowiedział Polaner swoim znajomym, od dawna zaginionym głosem.

To była koszmarna wersja baśni, opowieść tak posępna, że otworzyła Andrasowi oczy na nowe potworności – mimo tego, co widział na Ukrainie. Chyba w ogóle wolałby nie wiedzieć, co spotkało Polanera w obozie koncentracyjnym w Compiègne, gdzie wysłano go po wydaleniu z Legii Cudzoziemskiej w 1940 roku – jak go bito, głodzono i deportowano półżywego do Buchenwaldu, gdzie spędził dwa lata jako robotnik przymusowy i niewolnik seksualny z wytatuowanym na ramieniu numerem i z odwróconym różowym trójkątem na piersi, nałożonym na zwykły żółty trójkąt. Homoseksualizm Polanera pozostawał tajemnicą, dopóki jeden z robotników nie podał przełożonym listy nazwisk w zamian za stanowisko kapo; po tym Polaner znalazł się na najniższym szczeblu obozowej hierarchii, oznaczony symbolem, który czynił z niego ofiarę strażników i powstrzymywał pozostałych więźniów przed zbliżaniem się do niego. Przydzielono go do kamieniołomu, gdzie przez czternaście godzin dziennie dźwigał worki pokruszonej skały. Kiedy kończyła się jego zmiana w kamieniołomie, musiał czyścić latryny w koszarach – w ramach przypomnienia, jak powiedział mu blokowy, że w tym obozie znaczy mniej niż gówno, jest służącym od gówna. Czasami, późno w nocy, prowadzono jego i kilku innych do tylnych drzwi oficerskich kwater, gdzie wiązali ich i gwałcili najpierw oficerowie, a potem ich sekretarze i ordynansi.

Pewnej nocy ofiarowano ich w sekrecie jak prezent wizytującemu dygnitarzowi z Głównego Biura Ekonomiczno-Administracyjnego SS, wysokiej rangi inspektorowi obozów koncentracyjnych, który znany był z upodobania do towarzystwa młodzieńców. Jednak preferencje wysokiego urzędnika nie były dokładnie takie, jak przypuszczano; był miłośnikiem młodych mężczyzn, nie gwałcicielem. Kazał rozwiązać więźniów, wykąpać ich, ogolić i ubrać w cywilne ubrania. Zależało mu na tym, żeby nawiązać z nimi rozmowę, jakby byli na przyjęciu. Posadził ich na kanapach w swoich prywatnych kwaterach i poczęstował przysmakami – herbatą i ciastkami, kiedy przez ostatnie trzy lata żywili się wyłącznie cienką zupą i gliniastym chlebem. Inspektor był oczarowany francuszczyzną Polanera i jego wiedzą na temat sztuki współczesnej i architektury. Okazało się, że ten mężczyzna znał nieżyjącego vom Ratha, dla którego był kimś w rodzaju politycznego mentora. Pod koniec wieczoru polecił, żeby Polanera natychmiast przeniesiono do jego osobistej służby. Zawiózł go do swoich apartamentów w innym obozie, sto kilometrów dalej, i zarejestrował go tam jako rodzaj posługacza, roznosiciela węgla i czyściciela butów; w rzeczywistości Polaner traktowany był jak pacjent i leżał w łóżku, gdzie pielęgnowała go służba inspektora.

Pod koniec tych dwóch miesięcy, kiedy Polaner wrócił już do zdrowia, inspektor niczym czarodziej dał mu nową tożsamość: kazał sporządzić fałszywą dokumentację, z której wynikało, że Eli Polaner, młody Żyd, którego przeniesiono pod jego rozkazy, zachorował na zapalenie opon mózgowych i zmarł; potem sprokurował dla Polanera zestaw fałszywych dokumentów, z których wynikało, że jest młodym członkiem partii nazistowskiej o nazwisku Teobald Kreizel, młodszym sekretarzem w Głównym Biurze Ekonomiczno-Administracyjnym. Inspektor zawiózł Polanera przebranego za swojego pracownika do Berlina, gdzie umieścił go w niedużym, jasnym mieszkaniu przy Behrenstrasse. Zostawił chłopakowi pięćdziesiąt tysięcy reichsmarek w gotówce i obiecał mu, że wróci najszybciej, jak to możliwe, że przywiezie ze sobą książki, pisma i przybory kreślarskie, płyty gramofonowe, czarnorynkowe przysmaki, co tylko Polaner zechce. Polaner poprosił o informacje o swojej rodzinie; nie miał żadnych wiadomości od rodziców ani sióstr od czasu, kiedy wstąpił do Legii Cudzoziemskiej.

Inspektor przyjeżdżał tak często, jak tylko mógł, przywożąc obiecane przybory kreślarskie, płyty i smakołyki, ale zdobywanie informacji o rodzinie Polanera szło mu powoli. Chłopak czekał, rzadko wypuszczając się ze swojego mieszkania i nie myśląc prawie o niczym poza tym, że być może wkrótce dowie się czegoś o losach rodziców i sióstr. Pielęgnował w sobie nadzieję, że być może udało im się wyemigrować, że na przekór wszelkiemu prawdopodobieństwu znaleźli się w jakimś bezpiecznym odległym zakątku, w Argentynie, Australii czy Ameryce; lub też, jeżeli tak się nie stało, że inspektorowi uda się wyratować ich z piekła, do którego trafili, gdziekolwiek to jest, i połączyć ich na nowo w jakimś neutralnym mieście, w którym wszyscy będą bezpieczni. Nadzieja ta nie była całkowicie bezpodstawna; inspektor często wykorzystywał swoją pozycję, by pomagać swoim kochankom i protegowanym. Niestety, w trakcie tych sześciu miesięcy, kiedy Polaner mieszkał na Behrenstrasse, te dawne korzyści odbiły się na sytuacji inspektora: zwierzchnicy inspektora zwrócili uwagę na różne nieprawidłowości i rozpoczęli śledztwo. W obawie o swoje stanowisko i życie Polanera inspektor doszedł do wniosku, że chłopak musi natychmiast opuścić kraj. Obiecał zdobyć dla niego wizę, która pozwoli mu podróżować po całej strefie wpływów Rzeszy. Ale co Polaner miał robić? Dokąd jechać? Wieści o rodzicach nie nadchodziły; jak wybrać cel podróży?

Kilka dni później, w pierwszym tygodniu stycznia 1943, zapytania inspektora w sprawie rodziny Polanera wreszcie doczekały się odpowiedzi. Rodzice i siostry Polanera zmarli w obozie pracy w Płaszowie – matka i ojciec

w lutym 1941 roku, a siostry osiem i dziesięć miesięcy później. Hitlerowcy przywłaszczyli sobie dom rodzinny Polanera i zakłady włókiennicze w Krakowie. Nie zostało nic.

Tej nocy, kiedy nadeszły wiadomości, Polaner wyjął rewolwer z nocnej szafki – inspektor nalegał, by dla bezpieczeństwa trzymał pistolet na podorędziu – wyszedł na balkon i stał tam w nocnym stroju, omiatany lodowatym wiatrem. Przyłożył rewolwer do skroni i przechylił się przez poręcz balkonu. Śnieg pod nim wyglądał jak puchowa kołderka, powiedział Andrasowi – miękki, pofałdowany, białoniebieski i wyobraził sobie, jak wpada w tę czystą biel i znika pod warstwą świeżego śniegu. Broń w dłoni Polanęra należała wcześniej do oficera SS; był to walther P-38, samopowtarzalny pistolet z nabojem w komorze. Odciągnął kurek i położył palec na wygięciu spustu, wyobrażając sobie, jak kula roztrzaskuje misterną architekturę jego czaszki. Policzy do trzech i to zrobi: *ejns, cwej, draj.* Ale kiedy liczby w jidysz zabrzmiały w jego głowie, zrozumiał nagle z całą jasnością: gdyby zastrzelił się z tego pistoletu, walthera P-38 – gdyby zrobił to, bo hitlerowcy zabili mu rodziców i siostry – wtedy to oni, hitlerowcy, zabiliby również jego, to oni uciszyliby jidysz rozbrzmiewający w jego głowie. Udałoby im się zabić całą jego rodzinę. Zdjął palec ze spustu, zabezpieczył broń i wyjął nabój z komory. I to kula, a nie sam Polaner, poleciała trzy piętra w dół, na śniegową kołderkę.

Następnego ranka postanowił, że pojedzie do Budapesztu, z nadzieją, że odnajdzie Andrasa. Inspektor zaopatrzył Polanera w listy i dokumenty niezbędne do otrzymania prawa stałego pobytu na Węgrzech; zdobył dla niego nawet świadectwo medyczne stwierdzające, że Polaner jest trwale niezdolny do służby wojskowej ze względu na chroniczną niewydolność płuc. Dał mu dwadzieścia tysięcy reichsmarek i umieścił w pociągu w prywatnym przedziale. Kiedy Polaner przyjechał, skierował się do Wielkiej Synagogi na Dohány utca, gdzie znalazł sędziwego sekretarza, który mówił w jidysz; powiedział mu, że szuka Andrasa Léviego, a sekretarz skierował go do Budapest Izraelita Hitközség, gdzie podano mu adres na Nefelejcs utca. Klara go zaprosiła i od tej pory mieszkał przez cały czas tutaj. Zaledwie tydzień wcześniej otrzymał oficjalne węgierskie dokumenty, które wyjął teraz z brązowej aktówki, jakby chciał udowodnić Andrasowi, że to wszystko prawda. Andras otworzył paszport Polanera. „Teobald Kreizel. Prawo stałego pobytu". Fotografia ukazywała chudego Polanera z zapadniętymi oczami, jeszcze bledszego i bardziej przerażonego niż młody człowiek, który siedział teraz naprzeciwko Andrasa, po drugiej stronie kuchennego stołu. Paszport był tak samo świeży i czysty jak paszport Andrása, kiedy ten wyjeżdżał do Paryża;

brakowało tylko wymownego *Zs,* jak *Zsidó.* Brązowa aktówka zawierała także legitymację partyjną ostemplowaną swastyką, stwierdzającą, że Teobald Kreizel jest członkiem Narodowosocjalistycznej Niemieckiej Partii Robotników.

– Przydadzą ci się te dokumenty – powiedział Andras. – Twój niemiecki przyjaciel wiedział, co robi.

Polaner poruszył się niespokojnie na krześle.

– Żyd udający nazistę, to hańba.

– Dobry Boże, Polaner! Nikt nie miałby ci za złe, że usiłujesz się schować. Zabezpieczy cię to przynajmniej przed Munkaszolgálat, a ja wiem, ile to znaczy.

– Ale ty musiałeś tam służyć przez całe lata. A jeśli wojna potrwa dłużej, znowu tam wrócisz.

– Ty też przeżyłeś swoje – powiedział Andras. – To, przez co przeszedłeś, było znacznie gorsze.

– Nie da się tego zmierzyć – odparł Polaner.

Ale czasem dawało się zważyć cierpienie, Andras o tym wiedział. Jego nikt nie zgwałcił. On nie stracił swojej ojczyzny ani rodziny. Klara spała w sypialni, a obok niej ich syn. Tibor i Ilana leżeli objęci na materacu w salonie. Rodzice w Debreczynie mieli się dobrze. Mátyás mógł żyć jeszcze gdzieś poza granicami Węgier. Ale Polaner stracił wszystko i wszystkich. Andras pomyślał o obiedzie na Rosz Haszana, który jedli razem w studenckiej stołówce pięć i pół roku temu – jak się wtedy dziwił, że matka Polanera pozwoliła mu wrócić na uczelnię po ataku. I co odpowiedział na to Polaner: „Nigdy nie lubiła, gdy wyjeżdżałem. Jest moją matką". Tej kobiety, która kochała swego syna, już nie było. Nie było jej męża, nie było ich córek. A młodzi Andras Lévi i Eli Polaner – ci chłopcy, którzy spędzili w Paryżu dwa lata, spierając się o wojnę, która mogła nadejść lub nie, pijąc herbatę w Blue Dove, tworząc plany klubu sportowego w Dzielnicy Łacińskiej – ich także już nie było, wyrośli z nich ci wydrążeni mężczyźni pokryci bliznami. Andras opuścił głowę na rękaw Polanera i opłakiwał to, co już nigdy nie wróci.

Przez całą tę wiosnę czekali na wieści o Mátyásu. Kiedy obchodzili Paschę, matka Andrasa nalegała, żeby położyć dla niego nakrycie; kiedy otwierali drzwi, by zaprosić Eliasza, wołali do domu także jego. Od czasu, kiedy Andrasa wysłano na Ukrainę, rodzice się postarzeli. Włosy ojca ze szpakowatych zrobiły się białe. Plecy matki się przygarbiły. Pod namiotem swojego sweterka gięła się jak suche

źdźbło trawy. Nawet widok Tamása i Ádáma nie mógł jej rozweselić; tęskniła nie do wnuków, ale do swojego zaginionego synka.

Polaner, który wiedział, co znaczy oczekiwanie na wiadomości, zachowywał swoją żałobę dla siebie. Nie mówił nigdy o rodzicach ani o siostrach, jakby wspomnienie o stracie mogło sprowadzić tragedię, której tak obawiała się rodzina Andrasa. Upierał się przy samotnych wycieczkach do synagogi Dohány w każde popołudnie, by recytować tam kadisz. Tradycja wymagała, by robił to przez rok. Ale w miarę jak napływały kolejne wiadomości z Polski, wydawało się, że żałoba nie ominie nikogo, że żaden okres żałoby nigdy nie będzie dość długi. W kwietniu Żydzi z warszawskiego getta przeciwstawili się zbrojnie deportacji ostatnich sześćdziesięciu tysięcy jego mieszkańców; nikt nie spodziewał się, że potrwa to dłużej niż parę dni, a jednak powstańcy z getta bronili się przez cztery tygodnie. „Pesti Napló" opublikowało zdjęcia kobiet rzucających koktajle Mołotowa w niemieckie czołgi, zdjęcia oddziałów Waffen-SS i polskich policjantów podpalających budynki. Walki trwały do połowy maja i zakończyły się, tak jak wszyscy się spodziewali, opróżnieniem getta: masakrą żydowskich bojowników i deportacją tych, którzy przeżyli. Następnego dnia „Pesti Napló" doniosło, że według szacunków polskiego rządu na uchodźstwie w wojnie zginęło półtora miliona polskich Żydów. Andras, który tłumaczył dla Polanera każdy artykuł i każdą audycję o powstaniu, nie był w stanie zmusić się do podania tej liczby, do przekazania tych zatrważających statystyk przyjacielowi, już przecież pogrążonemu w żałobie. Półtora miliona żydowskich mężczyzn, kobiet i dzieci: jak ktokolwiek mógł ogarnąć taką liczbę? Andras wiedział, że synagoga na Dohány utca może pomieścić trzy tysiące osób. Żeby pomieścić półtora miliona, trzeba by pomnożyć ten budynek – z jego sklepieniami i kopułami, mauretańskim wnętrzem, galerią, ciemnymi drewnianymi ławkami i pozłacaną arką – pięćset razy. A potem wyobrazić sobie każdą z tych pięciuset synagog wypełnioną po brzegi, wyobrazić sobie każdego mężczyznę, kobietę i dziecko w środku jako jedyną w swoim rodzaju istotę ludzką, niezastąpioną, tak jak dla niego niezastąpieni byli Mendel Horovitz i Wieża z Kości Słoniowej albo jego brat Mátyás; każda z tych osób z własnymi pragnieniami i lękami, ojcem i matką, miejscem urodzenia, łóżkiem, pierwszą miłością, pajęczyną wspomnień, kryjówką pełną sekretów, skórą, sercem, nieskończenie złożonym mózgiem – zobaczyć ich w ten sposób, a potem wyobrazić sobie, że nie żyją, że unicestwiono ich na zawsze – jak ktokolwiek mógł choćby spróbować to pojąć? Sama myśl o tym mogła doprowadzić człowieka do obłędu. On, Andras, żył nadal i miał wokół siebie ludzi, którzy od niego zależeli; nie mógł sobie pozwolić na popadniecie w obłęd, więc zmusił się, by o tym nie myśleć.

Zamiast tego pogrążył się w codziennej pracy. Pojedyncze mieszkanie, które było przepełnione nawet wtedy, gdy mężczyźni służyli daleko w Munkaszolgálat, teraz, kiedy wrócili, okazało się za małe. Tibor i Ilana wynajęli mieszkanie po drugiej stronie ulicy, a József wraz z rodzicami przeprowadzili się do kolejnego mieszkania, w budynku obok. Polaner został z Andrasem i Klarą, dzieląc pokój z Tamásem. Za wszystkie te mieszkania trzeba było płacić czynsz. Andras wrócił do pracy jako grafik i ilustrator, nie w „Madziarskim Dzienniku Żydowskim", lecz w „Kurierze Wieczornym", dawnym miejscu zatrudnienia Mendla, gdzie nowa seria powołań do wojska zdziesiątkowała szeregi grafików. Przekonał naczelnego, żeby zatrudnił też Polanera, argumentując, że to jego talent przesądzał o sukcesach ich wspólnych projektów na uczelni. Tibor natomiast znalazł pracę jako asystent chirurga w szpitalu wojskowym, w którym ciągle leczono rannych spod Woroneża. József, który nigdy wcześniej nie musiał na siebie zarabiać, umieścił ogłoszenie w „Kurierze Wieczornym" i został nieźle opłacanym malarzem pokojowym. Klara z kolei dawała prywatne lekcje w studiu na Irály utca. Niewielu rodziców mogło obecnie zapłacić pełną stawkę za lekcje, ale Klara przyjmowała tyle, ile mogli dać. W ten sposób zarabiali razem na utrzymanie jedenastu osób.

W sierpniu, kiedy armie Eisenhowera bombardowały Rzym, Budapeszt stał na brzegach Dunaju aż nazbyt piękny w swoim letnim przepychu, z pałacami i wspaniałymi starymi hotelami, które nadal roztaczały wokół siebie aurę trwałości i niezmienności. Sowieckie bombardowania we wrześniu nie tknęły tych pozłacanych budynków ozdobionych wolutami; naloty aliantów nie doszły tej wiosny do skutku, a samoloty Armii Czerwonej nie powróciły. Teraz zaciśnięte pięści dalii otwierały się w parku Városliget, gdzie Andras spacerował w niedzielne popołudnia z Tiborem, Józsefem i Polanerem, snując domysły na temat tego, ile czasu może jeszcze upłynąć, zanim Niemcy skapitulują i wojna wreszcie się skończy. Mussolini upadł, a faszyzm we Włoszech rozsypał się w proch i pył. Problemy Niemiec na froncie wschodnim były coraz liczniejsze i poważniejsze: atak Wehrmachtu na umocnienia sowieckie pod Kurskiem zakończył się rozgromieniem sił niemieckich, a wkrótce po nim przyszły klęski pod Orłem i Charkowem. Nawet Tibor, który rok wcześniej przestrzegał przed nadmiernym optymizmem, dał wyraz nadziei, że wojna może się skończyć, zanim on, Andras czy József znów trafią do Munkaszolgálat. Być może węgierscy jeńcy wojenni zaczną powracać.

Andras wiedział, że węgierscy Żydzi mieli szczęście. Tysiące ludzi zginęło w Munkaszolgálat, ale nie półtora miliona. Reszta populacji żydowskiej

przetrwała wojnę nietknięta. Choć dziesiątki tysięcy straciły pracę i prawie wszyscy z trudem wiązali koniec z końcem, to Żyd mógł przynajmniej być legalnym właścicielem przedsiębiorstwa, posiadać mieszkanie, iść do synagogi, by zmówić modlitwę za zmarłych. Przez ponad półtora roku premierowi Kállayowi udawało się odpierać żądania Hitlera, aby zastosował wobec węgierskich Żydów ostrzejsze środki; mało tego, rząd Kállaya zaczął wymierzać sprawiedliwość za przestępstwa popełnione wcześniej podczas wojny. Premier rozpoczął śledztwo w sprawie masakry w okręgu Délvidék i przyrzekł ukarać winnych tak surowo, jak na to zasługiwali. A generał Vilmos Nagybaczoni Nagy, zanim przestał sprawować kontrolę nad Ministerstwem Obrony, domagał się postawienia w stan oskarżenia oficerów, którzy czerpali największe korzyści z obrotu zaopatrzeniem wojskowym na czarnym rynku.

Jednak sceptycyzmu nauczył Andrasa nie tylko Tibor, ale i wydarzenia minionego roku; pomimo optymistycznych wiadomości nie potrafił otrząsnąć się z uczucia lęku. Kolejne wydarzenia pogłębiały to uczucie. Tej jesieni, gdy śledził przebieg procesu sądowego, stało się jasne, że jeśli oficerowie oskarżeni o handel czarnorynkowy w ogóle zostaną skazani, to otrzymają symboliczne wyroki. A Hitler, którego Wehrmacht latem sprawiał tak nieporadne wrażenie, zatrzymał atak aliantów na południe od Rzymu i umocnił południowe granice Niemiec. W Rosji wciąż rzucał swoje oddziały do walki przeciwko Armii Czerwonej, jakby całkowita porażka była niemożliwa.

Ponadto ciągle nie nadchodziły żadne wiadomości o Mátyásu, który był zaginiony już od dwudziestu dwóch miesięcy. Jak ktokolwiek mógł jeszcze wierzyć, że przeżył? Ale Tibor trwał przy tej nadziei, podobnie jak matka, a choć ojciec nie mówił nic na ten temat, Andras wiedział, że on także w to wierzy; i dopóki którekolwiek przy tym obstawało, żadne nie mogło pozwolić sobie na pociechę, którą w końcu niesie ze sobą żałoba.

Tego roku finałowy akt odroczonej sprawiedliwości dotyczył rodziny Hászów i szantażu, który wyczerpał ich środki finansowe prawie do cna. Kiedy comiesięczny haracz płacony przez Györgya skurczył się do kilkuset forintów, szantażyści uznali, że korzyści płynące z tego układu przestały być warte ryzyka. Wyglądało na to, że administracja Kállaya postanowiła wydać walkę korupcji na wszystkich szczeblach i we wszystkich organach władzy państwowej; siedemnastu członków Ministerstwa Sprawiedliwości zostało oskarżonych o nadużycia finansowe i szantażyści Györgya przestraszyli się, że mogą być następni w kolejce. Dwudziestego piątego października wezwali Györgya na spotkanie o północy w piwnicach Ministerstwa Sprawiedliwości. Tej nocy Andras

i Klara czuwali wraz ze starszą panią Hász, Elzą i Józsefem w małym ciemnym salonie w mieszkaniu Hászów. József odpalał jednego papierosa od drugiego; Elza siedziała przy koszyku rzeczy do cerowania, z igłą w ręku stawiając czoło spustoszeniom dokonanym w ubraniach przez biedę. Matka Klary czytała na głos utwory Radnótiego, podziwianego przez Tibora młodego żydowskiego poety, którego los w Munkaszolgálat był nieznany. Klara siedziała obok Andrasa z dłońmi ściśniętymi między kolanami, jakby to na nią miał zapaść wyrok. Andras wiedział, że gdyby jej bratu stało się coś złego, czułaby się winna.

Kwadrans przed trzecią rano w zamku rozległ się chrobot klucza. Przed nimi stanął György, zakopcony i bez tchu, ale poza tym nietknięty. Zdjął marynarkę i powiesił ją na oparciu kanapy, wygładził bladozłoty krawat i przeczesał palcami przetykane siwizną włosy. Usiadł na wolnym krześle i jednym haustem wypił kieliszek śliwowicy, którą podała mu żona. Potem odstawił kieliszek na stolik i jego spojrzenie spoczęło na Klarze, która usiadła tuż obok niego.

– Już po wszystkim – powiedział, kładąc rękę na jej dłoni. – Możesz odetchnąć z ulgą.

– Co to znaczy „po wszystkim"? – zapytała ich matka. – Co się stało?

György wyjaśnił im, że nastąpiło wielkie całopalenie dokumentów. Szantażyści zaprowadzili go do jego biura i kazali mu zebrać wszystkie dowody nielegalnych powiązań ministerstwa z rodziną Hászów – każdy list, każdy telegram i dowód wpłaty, każde potwierdzenie sprzedaży i pokwitowanie z banku – po czym zmusili go, by wrzucił to wszystko do pieca, by rodzina nie mogła wnieść sprawy przeciwko Ministerstwu Sprawiedliwości. W zamian za to urzędnicy ministerstwa wręczyli Györgyowi komplet nowych papierów dla Klary, przyznając jej z powrotem obywatelstwo, które straciła jako dziewczynka. Potem wzięli teczkę z dokumentami dotyczącymi jej rzekomego przestępstwa – zdjęcia miejsca zbrodni i ofiar, zeznanie gwałciciela ujawniające tożsamość Klary, dowody jej powiązań z syjonistyczną organizacją Gesher Zahav, policyjne raporty dotyczące zniknięcia Klary i oświadczenie Edith Novak o jej powrocie na Węgry – i to również wrzucili w czeluść pieca.

– Widziałeś, jak to palą? – zapytała Klara. – Akta, zdjęcia, wszystko?

– Wszystko – potwierdził György.

– Skąd wiesz, że nie zostawili sobie kopii? – spytał József. – Skąd wiesz, że nie mają innych dokumentów?

– To możliwe, jak sądzę, ale mało prawdopodobne. Musimy pamiętać, że wszelki materiał dowodowy, który by zachowali, świadczyłby również przeciwko nim. Dlatego tak chętnie zniszczyli te papiery.

– Ale przecież te dowody zawsze na nich wskazywały! – powiedział József, podnosząc się z krzesła. – I nigdy wcześniej im to nie przeszkadzało.

– Ci ludzie się boją – odparł Hász. – Nawet nie potrafili tego ukryć. Administracja nie jest po ich stronie. Widzieli, jak ich siedemnastu kolegów straciło pracę, a niektórzy z nich trafili do więzienia albo batalionów pracy za mniejsze wykroczenia niż to, co oni zrobili nam.

– A ty wszystko zniszczyłeś? – zapytał József. – Naprawdę wszystko? Nie zostawiłeś sobie ani jednej kopii? Nic, co moglibyśmy za jakiś czas wykorzystać?

György spojrzał na syna twardym, nieruchomym wzrokiem.

– Trzymali mi pistolet przy głowie, kiedy opróżniałem teczki -powiedział. – Szkoda, że w innym miejscu trzymałem duplikaty, ale samo przechowywanie tego, co miałem, było bardzo dużym ryzykiem. Tak czy inaczej, już po wszystkim. Nie mogą znów otworzyć postępowania przeciwko Klarze. Widziałem, jak płoną dokumenty.

József stał nad krzesłem ojca z zaciśniętymi pięściami. Wyglądał, jakby chciał chwycić go za ramiona i nim potrząsnąć. Jego wzrok pobiegł w stronę babki i matki, a potem spojrzenie Józsefa spoczęło na Andrasu. Tych dwóch łączyły przeżycia tak straszne, że wystarczyło, by na siebie popatrzyli, a ten chwilowy gniew natychmiast ujrzeli z innej perspektywy. Przypomnieli sobie, co znaczy ocalić swoje życie. József usiadł ponownie i zwrócił się do ojca,

– Dzięki Bogu, że już po wszystkim – powiedział. – Dzięki Bogu, że cię nie zabili.

Tej nocy w sypialni Andras tulił do siebie Klarę, gdy z otwartymi oczami leżeli w ciemności. Ile to razy w ciągu ostatnich czterech lat wyobrażał sobie, jak ją aresztują, biją i wtrącają do więzienia, umieszczają z dala od niego? Z trudem mógł uwierzyć, że skończyło się to wszechobecne zagrożenie. Klara leżała obok niego milcząca, z suchymi oczami; wiedział, jak dotkliwie odczuwa cenę swojej wolności. Jej powrót na Węgry, ryzyko, które podjęła ze względu na niego, zrujnował całą jej rodzinę. Teraz była wolna, ale jej wolność nigdy nie da jej prawa, by domagać się sprawiedliwości ani rekompensaty za wszystko, co stracili Hászowie. Milczenie Klary nie było skierowane przeciwko niemu, rozumiał to, niemniej zaległo między nimi. Czy kiedykolwiek był tak blisko niej, jak

małżonkowie powinni być sobie bliscy? Z czterdziestu ośmiu miesięcy ich małżeństwa w domu spędził tylko dwanaście. Żeby przetrwać rozłąkę, każde musiało trzymać drugie na pewien dystans. Za każdym razem, kiedy wracał do domu, towarzyszyła im obawa, że może znów zostać powołany; choć starali się ją ignorować, fakt był faktem. Ich bliskość spowijała zasłona, padał na nią cień jakby pary ciemnych skrzydeł, świadomość tego, co dzieje się w Europie, obawa przed tym, że to samo może ich spotkać.

Ale teraz byli razem, we wspólnym łóżku, w tej chwili poza zasięgiem niebezpieczeństwa. Żyli, a on ją kochał. Trzymać ją na dystans było szaleństwem. Nie chciał tego za nic w świecie. Dotknął jej nagiego ramienia, jej twarzy, odgarnął pukiel włosów z czoła, a ona przysunęła się do niego. Pamiętając o Polanerze, który śpi za ścianą – o jego cierpieniu, jego samotności – kochali się w napiętym, kurczowym milczeniu. Potem leżeli razem, a Andras trzymał dłoń na jej brzuchu, przesuwając palcami po znajomych bliznach po ciążach. Nie starali się zapobiec kolejnej ciąży, choć żadne z nich nie chciało myśleć, co mogłoby oznaczać noszenie dziecka w brzucha, gdyby Sowieci wdarli się na Węgry. Powoli odpływali w sen, a on szeptem opisywał jej domek, który zbuduje nad Dunajem, kiedy skończy się wojna; było to miejsce, które wyobraził sobie za pierwszym razem w Angyalföld, bielony dom z cegły kryty dachówką, z ogrodem odpowiednio dużym dla pary mlecznych kóz, piecem chlebowym na zewnątrz, cienistym patio i pergola oplecioną dzikim winem. Klara w końcu usnęła, ale Andras leżał obok niej przytomny, daleki od uczucia otuchy. Kolejny raz, myślał, naszkicował plan wymyślonego domu, jeden z długiej serii wymyślonych domów, które budował, odkąd są razem; w głowie mógłby przewertować całą ich stertę, widmowych projektów życia, którego jeszcze nie zaczęli i którego być może nigdy nie zaczną.

W sobotnie popołudnia, przy ładnej pogodzie, Andras i Klara wybierali się we dwoje na dwugodzinny spacer po Wyspie Małgorzaty, podczas gdy Polaner bawił się z Tamásem w parku. W trakcie tych spacerów rozmawiali o sprawach, o których Andras nie mógł pisać w swoich krótkich, cenzurowanych listach z Ukrainy: o przyczynach deportacji ich kompanii i roli, jaką mógł odegrać w tym „Krzywy Tor"; o okolicznościach śmierci Mendla; o długich zmaganiach z Józsefem po tych wydarzeniach; o przedziwnych spotkaniach w drodze do domu. Jeśli chodzi o pierwszą kwestię, to Andras najbardziej się obawiał, że Klara będzie go winić za to, co się stało, że obarczy go odpowiedzialnością za pokrzyżowanie planów ucieczki. Ostrzegała go; nie zapomniał o tym nawet na chwilę. Ale Klara teraz zapewniła go, że nie obarcza go odpowiedzialnością. Takie

myślenie, dodała, to utrata perspektywy spowodowana służbą w Munkaszolgálat i wojną. Podróż do Palestyny mogła z łatwością skończyć się katastrofą. Być może deportacja Andrasa na Ukrainę uratowała ich wszystkich. Teraz, kiedy powrócił, pozwoliła sobie na wdzięczność za to, że oszczędzono im niepewnej podróży. Reakcją Klary na drugą sprawę był smutek i przerażenie, co przypomniało Andrasowi, że ona także była świadkiem śmierci swojego najbliższego przyjaciela i sprzymierzeńca; ona także była świadkiem bezsensownego zabójstwa człowieka, którego kochała od dziecka. W trzeciej kwestii mogła powiedzieć tylko jedno, że rozumie, ile musiało kosztować Andrasa powstrzymanie się od zemsty na Józsefié. Ale czas spędzony na Ukrainie, z Andrasem, zmienił Józsefa głęboko, uznała. Od powrotu wydawał się innym człowiekiem, jakby wreszcie stał się mężczyzną.

Z powodów, o których trudno było mówić, najtrudniejszym tematem okazała się śmierć Zoltána Novaka. Dopiero po miesiącach sobotnich spacerów Andras zdobył się na to, by powiedzieć Klarze, że towarzyszył Novakowi w ostatnich chwilach jego życia i go pochował. Czytała o jego śmierci w gazetach i opłakała jego stratę przed powrotem Andrasa, ale ta wiadomość na nowo wywołała u niej łzy. Poprosiła męża, żeby opowiedział jej wszystko, co się zdarzyło: jak znalazł Novaka, co sobie powiedzieli, jak umarł. Kiedy skończył, ujmując rzeczy najdelikatniej, jak potrafił, i pomijając wiele bolesnych szczegółów, Klara też zdecydowała się na wyznanie: podczas długich miesięcy jego służby ona i Novak wymienili blisko tuzin listów.

Przerwali przechadzkę przy ruinach franciszkańskiego kościoła po wschodniej stronie wyspy: kamienie, które wyglądały, jakby same wyrosły z ziemi, pozbawiona szybek rozeta, gotyckie okna, z których odpadły ostrołukowe zwieńczenia. Nastał grudzień, ale dzień był nadzwyczaj pogodny, w cieniu ruin stała ławka, na której mąż i żona mogli odbyć spowiedź, choć byli Żydami. Choć nie mieli żadnego spowiednika poza sobą.

– Jak do ciebie napisał? – zapytał András.

– Przysyłał listy przez oficerów, którzy jechali na urlop.

– A ty odpisywałaś.

Złożyła mokrą chusteczkę i spojrzała w stronę pustej rozety.

– Był sam. Stracił wszystkich. Nie miał nikogo. Umarł nawet jego synek.

– Twoje listy musiały być dla niego pocieszeniem – powiedział Andras z pewnym wysiłkiem, też kierując spojrzenie na ruiny. W jednym z płatków

rozety ptak zbudował kiedyś gniazdo; było teraz opuszczone, wstęgi suchej trawy trzepotały na wietrze.

– Starałam się nie dawać mu fałszywej nadziei – odparła Klara. -Wiedział, że moje uczucia do niego nie są nieograniczone.

Andras musiał jej uwierzyć. Mężczyzna, którego widział w spichlerzu na Ukrainie, nie mógł żywić złudzeń, że jest obiektem czyjejś potajemnej miłości. Był człowiekiem, który stracił sens życia, który widział klęskę wszystkich swoich poczynań.

– Nie żałuję mu twoich listów – powiedział Andras. – Nie mogę mieć do ciebie pretensji, cokolwiek do niego pisałaś. Zawsze był dla ciebie dobry. Był dobry dla nas obojga.

Klara położyła Andrasowi dłoń na kolanie.

– Nigdy nie żałował tego, co dla ciebie zrobił – rzekła. – Powiedział mi, że rozmawiał z tobą w Operze. Mówił, że byłeś znacznie milszy niż każdy inny, kto byłby na twoim miejscu. Prawdę mówiąc, powiedział, że skoro musiałam wyjść za mąż, to cieszy się, że właśnie za ciebie.

Andras położył rękę na jej dłoni i podniósł znów wzrok na ptasie gniazdo, drżące w rozecie okna. Widział rysunki architektoniczne tego kościoła przed popadnięciem w ruinę, z gotyckimi liniami, które były pełne wdzięku, lecz nijakie, nie do odróżnienia od tysięcy innych gotyckich kaplic. Jako ruina kościół nabrał pewnego rodzaju wyjątkowości. Perfekcyjne wykonanie przeciwległej ściany zostało obnażone; ściana bliżej nich zmieniła się w wyszczerbione schody, brzegi kamieni wytarły się jak aksamit. Brak szybek dodawał rozecie elegancji, kości jej korony były wyszorowane przez wiatr i wybielone przez słońce. Gniazdo ze wstęgami było ostatnim nieproszonym elementem, nie znalazło się tam za sprawą ludzkich rąk, więc ludzkie ręce nie mogły go usunąć. Jest jak miłość, pomyślał Andras, ta krusząca się kaplica: upływ czasu ją zawikłał i jednocześnie udoskonalił.

Najbardziej melancholijne godziny w tym roku spędzał sam na sam z Tiborem. Gdziekolwiek szli, cokolwiek robili – czy siedzieli przy stoliku w Café u Artystów, czy przechadzali się po alejkach parku Városliget, czy stali przy balustradzie mostu Széchenyiego i spoglądali w dół na zawiły nurt rzeki – kiedy był z Tiborem, odczuwał dotkliwie, że są zdani na łaskę wydarzeń, na które nie mają wpływu. Dunaj, który kiedyś wydawał się zaczarowanym kanałem i którym wymkną się z Węgier, znów stał się zwykłą rzeką; Klein był w więzieniu, ich wizy

straciły ważność, „Trasnet" było już tylko wspomnieniem nazwy. Wcześniej wola Tibora wydawała się Andrasowi nieugięta. Zawsze posiadał nadprzyrodzony talent do urzeczywistniania tego, co niemożliwe. Ale ich ucieczka nie doszła do skutku i teraz nie mieli żadnego tajnego planu działania, który mógłby przeciwważyć ich obawy. W samym Tiborze zaszła zmiana; spędził w Munkaszolgálat trzy lata i podobnie jak Andras otrzymał gorzką lekcję od życia. Od powrotu z frontu wschodniego zdawał się dźwigać na sobie wielki ciężar – ciężar dziesiątek ludzkich ciał, żywych i martwych, każdego chorego i rannego człowieka, którym opiekował się w batalionach pracy i w szpitalu w Budapeszcie. Jego opowieści często kończyły się słowami: „Nie byliśmy w stanie go uratować". Opowiadał Andrasowi szczegółowo o krwotokach, których nie dało się zatamować, dyzenterii, która wywracała ludzi na nice, zapaleniu płuc, które łamało żebra i dusiło swoje ofiary.

A ciała dalej się gromadziły, nawet tutaj, w Budapeszcie, daleko od linii frontu. Pewnego wieczoru brat pojawił się w biurze „Kuriera" i zapytał, czy Andras nie chciałby urwać się trochę wcześniej; młody człowiek, którym się opiekował, umarł kilka godzin temu na stole operacyjnym i Tibor potrzebował napić się czegoś mocniejszego. Andras wziął brata do lokalu, który zawsze lubili, wąskiego, żółto oświetlonego baru Pod Dzwonkiem Tramwajowym. Tam, nad kuflem piwa Aquincum, Tibor opowiedział Andrasowi, co się wydarzyło: chłopak został ranny kilka miesięcy wcześniej w bitwie pod Woroneżem, do obu płuc dostały się odłamki i nie był od tego czasu w stanie prawidłowo oddychać. Ryzykowna operacja usunięcia odłamków przerwała tętnicę płucną i chłopak zmarł na stole. Tibor był w poczekalni, kiedy lekarz, zdolny i szanowany chirurg o nazwisku Keresztes, przekazał tę wiadomość rodzicom chłopca. Tibor spodziewał się krzyków, protestów, załamania, ale matka młodego człowieka podniosła się z krzesła i spokojnie wyjaśniła, że jej syn nie mógł umrzeć. Pokazała Keresztesowi sweter, który właśnie skończyła robić na drutach; był wykonany z wełny, którą zanurzono w studni w Szengotthárdzie, gdzie trzykrotnie ukazała się twarz Dziewicy Maryi. Kiedy wszedł chirurg, kończyła akurat ostatni rządek. Ona musi przykryć syna swetrem; on nie umarł, śpi tylko głęboko pod strażą Dziewicy. Kiedy Keresztes zaczął tłumaczyć okoliczności śmierci chłopca, ojciec zagroził, że poderżnie gardło chirurgowi jego własnym skalpelem, jeśli nie pozwoli jego żonie zrobić tego, co ta zamierza. Znużony długą rozmową lekarz zaprowadził rodziców do łóżka syna w pokoju obok sali operacyjnej i zostawił z nimi Tibora. Matka położyła sweter na bandażach okrywających pierś chłopaka i zaczęła odmawiać różaniec. Ale błogosławieństwo Maryi nie przywróciło życia synowi. Chłopiec leżał nieruchomo i kiedy matka

dobrnęła do końca ostatniego rzędu paciorków, prawda wreszcie do niej dotarła. Jej syn odszedł, umarł w Budapeszcie po przeżyciu bitwy pod Woroneżem; nic nie mogło go wskrzesić. Kiedy pielęgniarka przyszła, żeby zabrać ciało i zwolnić pokój dla następnego pacjenta, Tibor poprosił ją, aby pozwoliła rodzicom zostać z chłopcem. Pielęgniarka upierała się, że pokój trzeba opróżnić; kolejny pacjent za kwadrans opuszcza salę operacyjną. Rodzice chłopca zrozumieli, że nie mają wyboru, i szurając nogami, skierowali się do drzwi. Na progu matka wcisnęła sweter Tiborowi do rąk. Musi go wziąć, powiedziała, bo synowi już nie będzie potrzebny.

Tibor otworzył teraz swoją skórzaną torbę i wyjął z niej sweter, z szarej przędzy o drobnych, regularnych oczkach. Położył go na kolanach i wygładził wełnę.

– Wiesz, co jest w tym wszystkim najgorsze? – powiedział. – Kiedy Keresztes wyszedł z pokoju, przewrócił oczami w moją stronę. „Co za durnie, ci fanatycy". Wiem, że matka to widziała. – Oparł brodę na dłoni, patrząc tak boleściwie, że Andrasowi ścisnęło się gardło. – Najgorsze było to, że w tym momencie całym sercem byłem po stronie Keresztesa. Powinienem zbić go na kwaśne jabłko za to, że przewraca oczami w takiej chwili, ale tylko myślałem: „O Boże, jak długo to jeszcze potrwa? Kiedy wreszcie pozbędziemy się stąd tych ludzi?".

Andras mógł tylko pokiwać ze zrozumieniem głową. Wiedział, że Tibor nie potrzebuje zapewnienia, iż jest porządnym człowiekiem, że w innych okolicznościach sympatyzowałby z rodzicami, a nie z wyczerpanym chirurgiem; rozumieli się bez słów, znali swoje myśli i życie wewnętrzne. Samo wysłuchanie tej opowieści wystarczyło. Zapadło między nimi długie milczenie, pili piwo. Aż wreszcie Tibor znów się odezwał:

– Kiedy wychodziłem ze szpitala, dobiegła mnie dobra wiadomość. Jedna z pielęgniarek usłyszała o tym w radiu. Generałowie od masakry w Délvidéku, Feketehalmy-Czeydner i reszta, w poniedziałek trafią do więzienia. Z tego, co wiem, Feketehalmy-Czeydner dostał piętnaście lat, pozostali niewiele mniej. Miejmy nadzieję, że tam zgniją.

Andras nie miał serca, żeby opowiedzieć bratu dalszy ciąg historii, którą usłyszał w redakcji informacyjnej tuż przed jego przyjściem: Feketehalmy-Czeydner i trzej inni oficerowie skazani za masakrę w Délvidéku, wobec perspektywy długoletnich wyroków, uciekli tego samego dnia do Wiednia, gdzie widziano ich jedzących kolację w słynnej piwiarni w towarzystwie sześciu oficerów gestapo. Wiedeński korespondent „Kuriera Wieczornego" stał na tyle

blisko, by zauważyć, że mężczyźni jedli kiełbaski cielęce z papryką i pili zdrowie Naczelnego Wodza Trzeciej Rzeszy. Wieść niesie, że sam Führer zagwarantował węgierskim oficerom azyl polityczny. Tibor wkrótce dowie się tego z gazet. Teraz jednak, pomyślał Andras, niech choć przez chwilę ma święty spokój, jeżeli można to tak nazwać.

– Za gnicie w więzieniu – powiedział i podniósł kufel.

Rozdział trzydziesty ósmy

Okupacja

W MARCU 1944 ROKU, niedługo po tym, gdy Klara zorientowała się, że znów jest w ciąży, gazety doniosły, że Horthy został wezwany do pałacu Klessheim na rozmowy z Hitlerem. Pojechał z nim nowy minister obrony Lajos Csatay, który zastąpił Vilmosa Nagya, oraz Ferenc Szombathelyi, szef sztabu generalnego. Premier Kállay oznajmił dziennikarzom, że naród madziarski ma powody do nadziei: Hitler pragnął przedyskutować wycofanie wojsk węgierskich z frontu wschodniego. Tibor snuł domysły, że być może ten obrót spraw sprowadzi w końcu do domu Mátyása, skoro do tej pory wszystko inne zawodziło.

Wieczór rozmów w Klessheim zastał Andrasa i Józsefa w Pineapple Club, podziemnym kabarecie niedaleko Vörösmarty tér, gdzie Mátyás tańczył kiedyś na białym fortepianie. Fortepian stał tam nadal; za klawiaturą siedziała Berta Türk, reprezentująca starą szkołę aktorka wodewilowa, której wężowate uczesanie przywodziło na myśl Meduzę Beardsleya. József dostał bilety na jej występ w ramach zapłaty za pomalowanie domu. Jako nastolatek szalał za Bertą Türk; nie mógł się oprzeć pokusie zobaczenia jej jeszcze raz i nalegał, by Andras się z nim wybrał. Pożyczył mu jedwabną marynarkę, a sam wystroił się w smoking, który przywiózł sobie z Paryża pięć lat wcześniej. Dla madame Türk miał przygotowany bukiet czerwonych cieplarnianych róż, który musiał kosztować połowę jego tygodniowych zarobków. Razem z Andrasem usiedli blisko sceny i z wysokich, wąskich kieliszków pili specjalność klubu, koktajl z rumu z dodatkiem kokosa. Berta wygłaszała swoje żartobliwe dwuznaczności niskim, miodowym głosem, a jej brwi wznosiły się i opadały jak u kreskówkowej dziewczyny gangstera. Andrasowi podobało się, że nastoletni József wybrał sobie taki właśnie dziwny obiekt westchnień zamiast jakiejś zimnej, pozbawionej głosu piękności ze srebrnego ekranu. Przekonał się jednak, że żarty Berty nie przypadły mu do serca; myślał o Mátyásu i miał wrażenie, że jest obecny wszędzie w tym pomieszczeniu – że wystukuje na barze jazzowy rytm, rozsiada się na klapie fortepianu czy stepuje na scenie jak Fred Astaire. Podczas przerwy

Andras wyszedł na zewnątrz, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza. Noc była chłodna i wilgotna, ulice pełne ludzi szukających rozrywki. Trio wyperfumowanych młodych kobiet otarło się o niego, stukając obcasami i kołysząc wieczorowymi płaszczami; z klubu jazzowego po drugiej stronie ulicy doleciały go dźwięki *Bei Mir Bist Du Schön,* przefiltrowane przez aksamitne zasłony przy wejściu. Andras spojrzał w górę ponad ślimacznicą gzymsu, na niebo rozświetlone księżycem w kształcie jaja, na którego tarczy nitki chmur tworzyły wersy nieczytelnego tekstu. Wydawało się, że księżyc jest tak blisko, iż Andras mógłby sięgnąć w górę i wziąć go do ręki.

– Ma pan ogień? – zapytał jakiś mężczyzna.

Andras zamrugał, z wysiłkiem odrywając oczy od księżyca, i pokręcił głową. Mężczyzna, ciemnowłosy młody żołnierz w mundurze armii węgierskiej, wybłagał zapałkę od przechodnia i zapalił papierosa swojemu koledze, a potem sobie.

– To prawda, mówię ci – odezwał się kolega. – Jak Markus mówi, że będzie okupacja, to będzie okupacja.

– Twój kuzyn to faszysta. O niczym innym nie marzy jak o niemieckiej okupacji. Ale nie wie, o czym mówi. Horthy i Hitler w tym momencie prowadzą negocjacje.

– Otóż to! To dla odwrócenia uwagi.

Każdy miał jakąś hipotezę; każdy mężczyzna, który wrócił żywy z frontu wschodniego, uważał, że wie, jak dalej potoczy się wojna, w wielkiej i małej skali. Każda teoria wydawała się równie prawdopodobna jak poprzednia albo równie mało prawdopodobna; każdy wojskowy teoretyk amator wierzył równie gorąco, że tylko on potrafi odnaleźć porządek w chaosie wojny. Andras i Tibor, József i Polaner, żaden z nich nie był wolny od tej iluzji. Każdy miał własny zbiór hipotez i wierzył, że pozostali mylą się beznadziejnie. Jak długo, zastanawiał się Andras, mogli wytaczać argumenty oparte na logice, skoro wojna przeciwstawiała się logice na każdym kroku? Ile jeszcze potrwa, zanim wszyscy umilkną? Prawdą mogło być nawet to, że Niemcy w tej chwili rozpoczynają okupację Węgier; wszystko mogło być prawdą, dowolna rzecz. Mátyás mógł teraz wyskakiwać z wagonu towarowego na dworcu Keleti, przerzucać tornister przez ramię i ruszać do domu na Nefelejcs utca.

Pogrążony w oparach pachnącego kokosem rumu, Andras wszedł z powrotem do środka i skierował się w stronę stolika obok sceny, gdzie József, któremu udało się przyciągnąć uwagę madame Türk, obsypywał ją

komplementami. Wyglądało na to, że madame Türk się żegna; pilna wiadomość zmuszała ją do natychmiastowego opuszczenia klubu. Pozwoliła Józsefowi pocałować się w dłoń, włożyła sobie jedną z jego róż za ucho, przebiegła przez scenę i już jej nie było.

– Co to za wiadomość? – zapytał Andras, kiedy zniknęła.

– Nie mam zielonego pojęcia – odparł József spoza różowej mgiełki swojego prywatnego zachwytu. Nalegał, żeby wypili jeszcze kolejkę, zanim wyjdą, i pojechali do domu taksówką. Ale kiedy Andras przypomniał mu, ile już wydał tego wieczoru, József pozwolił się wyprowadzić na przystanek tramwajowy przy Vámház körút, gdzie czekał już hałaśliwy tłumek.

Wydawało się, że do wszystkich zdążyły dotrzeć te same pogłoski: oddziały SS, w liczbie gdzieś pomiędzy pięciuset a tysiącem, wylądowały na stacji niedaleko stolicy; maszerowali na wschód i wkrótce mieli naruszyć granice miasta. Mówiono, że uzbrojone i zmotoryzowane dywizje niemieckie wkroczyły na Węgry ze wszystkich stron, lotniska w Ferihegy i Debreczynie zostały zajęte. Kiedy nadjechał tramwaj, konduktorka oznajmiła głośno, że jeżeli jakikolwiek żołnierz niemiecki spróbuje wsiąść do jej pojazdu, ona plunie mu w twarz i każe mu iść do diabła. Pasażerowie zaczęli wznosić ordynarne okrzyki. Ktoś zaintonował *Isten, áld meg a Magyart,* a potem już wszyscy śpiewali na głos hymn narodowy, podczas gdy tramwaj toczył się ulicą Vámház körút.

Andras i József słuchali w milczeniu. Jeżeli pogłoski były prawdziwe, jeśli Niemcy rozpoczynali okupację, rząd Kállaya nie przetrwa tej nocy; Andras z łatwością wyobraził sobie reżim, który go zastąpi. Od sześciu lat wraz z całym światem obserwowali przebieg niemieckiej okupacji i jej skutki. Ale jaki był sens wprowadzania jej w tej chwili? Nie ulegało wątpliwości, że Niemcy przegrały wojnę. Wszyscy o tym wiedzieli. Armie Hitlera na wszystkich frontach ponosiły porażki. Skąd wziąłby oddziały niezbędne do rozpoczęcia okupacji? Węgierskim wojskowym nie spodoba się służba pod niemieckimi rozkazami. Może nastąpić zbrojny opór, zryw patriotyczny. Generałowie Honvédségu nigdy nie podporządkują się bez walki, zwłaszcza że Hitler doprowadził do śmierci tylu Węgrów na froncie wschodnim.

Andras i József wysiedli na swoim przystanku i stanęli na chodniku, rozglądając się po ulicy, jakby wypatrywali jakichś śladów Wehrmachtu. Sobotnia noc wydawała się toczyć swoim zwykłym torem. Taksówki gnały bulwarem, wyładowane imprezowiczami, a chodniki pełne były mężczyzn i kobiet w wieczorowych strojach.

– Czy mamy w to wierzyć? – zapytał Andras. – Mam powiedzieć o tym wszystkim Klarze?

– Jeżeli to prawda, założę się, że armia nie podda się bez walki.

– Też o tym myślałem. Ale nawet jeśli tak, to jak długo może to potrwać?

József wyjął papierośnicę, a przekonawszy się, że jest pusta, wyciągnął z kieszeni na piersi wąską srebrną flaszkę. Pociągnął długi łyk, a potem podał flaszkę Andrasowi.

Andras pokręcił głową.

– Dość już wypiłem – powiedział i odwrócił się w stronę domu. Przeszli Wesselényi do Nefelejcs utca, po czym skręcili i powiedzieli sobie posępne „dobranoc" na progu. Umówili się, że się zobaczą następnego ranka.

Na górze, w ciemnym mieszkaniu, Tamás leżał obok Klary w łóżku, oparty plecami o jej łono. Kiedy Andras do nich dołączył, chłopczyk przekręcił się i przytulił pleckami do niego, wciskając pupę w jego brzuch i dotykając jego uda gorącymi stopkami. Klara westchnęła przez sen. Andras otoczył oboje ramieniem, całkowicie przytomny, i leżał tak godzinami, słuchając ich oddechów.

O siódmej rano następnego dnia obudziło ich walenie w drzwi: był to József, bez płaszcza i kapelusza, a rękawy koszuli miał poplamione krwią. Przed chwilą gestapo aresztowało jego ojca. Matka Klary straciła przytomność chwilę po tym, jak zabrali Györgya; uderzyła głową o metalową osłonę kominka; Elza jest na skraju załamania nerwowego. Andras musi biec po Tibora, a Klara – pójść z Józsefem.

W zamieszaniu, które nastąpiło potem, Klara powtarzała z uporem, że to nie mogło być gestapo, że József musiał się pomylić. Wciągając buty, Andras odparł, że owszem, to mogło rzeczywiście być gestapo, że poprzedniej nocy miasto huczało od pogłosek o niemieckiej okupacji. Pobiegł do mieszkania Tibora, a Klara do Hászów; kwadrans później stali wszyscy wokół łóżka starszej pani Hász, która tymczasem odzyskała przytomność i koniecznie chciała zdać relację z tego, co zaszło przed jej upadkiem. Dwaj gestapowcy przyszli do mieszkania o wpół do siódmej, wyciągnęli Györgya w piżamie z łóżka, krzyczeli na niego po niemiecku, wepchnęli go do opancerzonego samochodu i zabrali. Wtedy właśnie straciła równowagę i upadła. Przyłożyła dłoń do głowy, gdzie prostokąt gazy okrywał głębokie rozcięcie od osłony kominka.

– Dlaczego György? – pytała. – Dlaczego mieliby go zabierać? Co on zrobił?

Nikt nie potrafił jej odpowiedzieć. A w ciągu kilku godzin zaczęły przychodzić wiadomości o kolejnych aresztowaniach: dawny kolega Györgya z banku; żydowski wiceprezes firmy handlującej obligacjami; wybitny lewicowy pisarz, nie-Żyd, autor zjadliwego pamfletu antyhitlerowskiego; trzej najbliżsi doradcy Miklósa Kállaya oraz liberalny członek parlamentu Endre Bajcsy-Zsilinszky, który gestapowców przywitał z pistoletem w ręce. Wywiązała się strzelanina, wreszcie raniono go i wywieziono. Tej nocy József zaryzykował wyprawę do więzienia na Margit körút, gdzie trzymano więźniów politycznych, by dowiedzieć się czegoś o losie Györgya, ale powiedziano mu tylko, że ojciec został zatrzymany przez Niemców i pozostanie w areszcie, dopóki nie uda się udowodnić, że nie stanowi zagrożenia dla okupacji.

To było w niedzielę. W poniedziałek wydano rozkaz, że wszyscy mieszkańcy Budapesztu pochodzenia żydowskiego mają dostarczyć swoje radioodbiorniki i telefony – „dobrowolnie", jak to określili hitlerowcy – do biura w Ministerstwie Obrony przy Szabadság ter. W środę wyszedł dekret o tym, że każda osoba pochodzenia żydowskiego będąca posiadaczem samochodu lub roweru ma sprzedać go rządowi do celów wojennych – hitlerowcy używali słowa „sprzedać", ale transakcja odbywała się bez pieniędzy; hitlerowcy wydawali kwity, których, jak szybko się okazało, nie dało się wymienić na prawdziwą walutę. W piątek w całym mieście wisiały obwieszczenia informujące, że od 5 kwietnia wszyscy Żydzi będą musieli nosić żółte gwiazdy. Wkrótce potem zaczęły krążyć pogłoski, że wybitni Żydzi, których aresztowano, zostaną deportowani do obozów pracy w Niemczech. Klara poszła do banku, żeby podjąć pieniądze, które zostały z jej oszczędności, w nadziei, że może uda jej się kogoś przekupić i uzyskać zwolnienie Györgya. Dowiedziała się jednak, że nie może podjąć więcej niż tysiąc pengő; wszystkie konta należące do Żydów zostały zablokowane. Następnego dnia pojawił się nowy niemiecki rozkaz: wszyscy Żydzi mają oddać swoją biżuterię i przedmioty ze złota. Klara, jej matka i Elza oddały trochę tanich rzeczy, a obrączki i pierścionki zaręczynowe schowały w poszewce na poduszkę na dnie skrzyni z mąką, resztę zaś zapakowały do aksamitnych sakiewek, które József zaniósł do więzienia na Margit körút, błagając o uwolnienie ojca. Strażnicy skonfiskowali biżuterię, pobili Józsefa do nieprzytomności i wyrzucili go na ulicę.

Dwudziestego kwietnia Tibor stracił pracę w szpitalu. Andrasa i Polanera zwolniono z „Kuriera Wieczornego" i poinformowano, że nie znajdą zajęcia w żadnym dzienniku w mieście. József, zatrudniany nieoficjalnie i opłacany na czarno, mógł malować dalej, ale lista jego klientów zaczęła się kurczyć.

W pierwszym tygodniu maja w oknach sklepów i restauracji, kawiarni, kin i łaźni publicznych pojawiły się napisy, że Żydzi nie mają tam wstępu. Pewnego popołudnia, wracając z parku z Tamásem, Andras zatrzymał się gwałtownie na chodniku, naprzeciwko ich najbliższej piekarni. W oknie widniał znak niemal identyczny z tym, który zobaczył w piekarni w Stuttgarcie siedem lat wcześniej. Ale ten napisany był po węgiersku, w jego ojczystym języku, a to była jego własna ulica, ulica, przy której mieszkał z żoną i synkiem. Zrobiło mu się słabo i usiadł z Tamásem na krawężniku, wpatrując się w oświetlone okno sklepu po drugiej stronie ulicy. Wszystko wyglądało zwyczajnie: dziewczyna w białym czepeczku, lśniące bochenki i ciasta w gablocie, złote zawijasy w nazwie piekarni. Tamás wyciągnął paluszek i wymówił nazwę ulubionego ciasta, *mákos keksz.* Andras musiał mu powiedzieć, że tego dnia nie będzie *mákos keksz.* Tak wielu rzeczy zabroniono i w tak krótkim czasie. Nawet przebywanie na ulicy było niebezpieczne. Piątą po południu ogłoszono godziną policyjną dla Żydów; ci, którzy się do tego nie zastosują, mogli zostać aresztowani lub zastrzeleni. Andras wyciągnął z kieszeni zegarek ojca, teraz już tak swojski, jakby był częścią jego własnego ciała. Za pięć piąta. Podniósł się i wziął syna na ręce, a kiedy dotarł do domu, na spotkanie wyszła mu Klara z jego kartą powołania w ręce.

Rozdział trzydziesty dziewiąty

Pożegnanie

TYM RAZEM BYLI WE TRZECH: Andras, József i Tibor. Polaner został zwolniony od służby dzięki fałszywym papierom i zaświadczeniu od lekarza. Bataliony pracy zostały przegrupowane. Stworzono trzysta sześćdziesiąt pięć nowych kompanii. Ponieważ Andras, József i Tibor mieszkali w tej samej dzielnicy, wszyscy zostali przydzieleni do kompanii 55/10. Ich pożegnanie przypominało pogrzeb, na którym zmarli, trzej młodzi mężczyźni, zostali obładowani darami na podróż w zaświaty. Tyle jedzenia, ile byli w stanie unieść. Ciepłe ubrania. Wełniane koce. Pastylki witaminowe i bandaże. A w plecaku Tibora leki skradzione ze szpitala, w którym pracował. Spodziewając się powołania, nie miał żadnych skrupułów przed odkładaniem dla siebie fiolek z antybiotykami i morfiną, paczuszek nici chirurgicznych, wysterylizowanych igieł, nożyczek i zacisków – skompletował apteczkę, choć wciąż miał nadzieję, że okaże się nieprzydatna.

Klara nie odprowadziła ich na dworzec. Andras pożegnał się z nią rano w domu, w sypialni przy Nefelejcs utca. Pierwsze dziewięć tygodni ciąży minęło bezboleśnie, ale w dziesiątym dostała gwałtownych ataków mdłości, które zaczynały się codziennie o trzeciej nad ranem i trwały aż do południa. Tego poranka wymiotowała przez sześć godzin; Andras był przy niej, kiedy pochylała się nad muszlą klozetową i kasłała wstrząsana suchymi torsjami, aż po jej twarzy zaczęły spływać łzy. Prosiła go, by wrócił do łóżka i przespał się jeszcze trochę, zanim stawi czoło trudom podróży. Ale nie chciał; nie zostawiłby jej teraz za nic w świecie. O szóstej rano Klara załamała się. Dygocząc z wyczerpania, wybuchnęła płaczem i szlochała, dopóki nie straciła głosu. To nie do zniesienia, szeptała, to niemożliwe, że Andras był z nią jednego dnia, cały i bezpieczny, a następnego zabierali go z powrotem do piekła, z którego się wyrwał zeszłej wiosny. Dawano go jej i zabierano. Dawano i zabierano. A przecież straciła już tak wiele z tego, co kochała. Andras nie pamiętał sytuacji, w której jego żona tak otwarcie okazałaby strach i rozpacz. Nawet w najgorszych momentach w Paryżu nigdy nie otwierała się przed nim całkowicie; zawsze coś skrywała w sobie, jakąś

ważną część swego jestestwa, której musiała strzec, by przetrwać i znieść trudy młodości, wczesnego macierzyństwa, samotności. Odkąd się pobrali, niesprzyjające okoliczności ciągle wymuszały na nich pewną rezerwę w stosunku do siebie. Ale teraz, gdy w jej brzemiennym ciele kipiały hormony, Andras wyjeżdżał do obozu, a Węgry znajdowały się w rękach nazistów, Klara straciła wszelkie siły, by bronić tej ostatniej, sekretnej cząstki swej duszy.

Płakała i płakała, zrozpaczona, nie dbając o to, czy ktoś słyszy. Kołysząc ją w ramionach, miał wrażenie, że patrzy, jak własna żona go opłakuje – że on już umarł, a teraz jest świadkiem jej żałoby. Głaskał jej wilgotne włosy i powtarzał jej imię bez końca. Siedząc z nią na podłodze łazienki, niespodziewanie poczuł, że oto są prawdziwie mężem i żoną, tak jakby wszystko, co istniało między nimi wcześniej, było tylko przygotowaniem do tej głębszej i bardziej bolesnej więzi. Ucałował jej skroń, policzek, płatek ucha. I w końcu sam zapłakał na myśl, że musiał ją opuścić, by samotnie stawiła czoło przyszłości.

O świcie, kiedy nadeszła pora, by się ubrać, położył ją do łóżka i wsunął się pod kołdrę obok niej.

– Nie zrobię tego – powiedział. – Będą mnie musieli od ciebie siłą odciągnąć.

– Poradzę sobie – próbowała go pocieszyć. – Matka będzie ze mną. I Ilana, i Elza, i Polaner.

– Powiedz naszemu synowi, że ojciec go kocha. Mów mu to każdego wieczoru. – Zdjął zegarek ojca z szafki nocnej i włożył Klarze do ręki. – Chcę, żeby to dostał, kiedy przyjdzie czas.

– Nie – odrzekła. – Nie rób tego. Dasz mu to sam. – Zacisnęła jego dłoń na zegarku.

A potem nadszedł ranek i Andras musiał wyjechać.

Znów wagony towarowe. Znów ciemność i ścisk. Obok niego, rzecz jasna, József; z drugiej strony jego brat Tibor, pachnący znajomo niczym łóżko z dzieciństwa. Tym razem jechali, jakby cofając się w czasie, do Debreczyna. Andras domyślał się krajobrazu przemykającego za zamkniętymi drzwiami wagonów – wzgórza przechodzące w równiny, pola, gospodarstwa. Ale teraz pola, jeśli w ogóle były uprawiane, to przez przymusowych robotników; rolnicy i ich synowie byli na wojnie. Psy obszczekiwały obcych, nieobznajomione z ich zapachem. Kobiety patrzyły na nowych robotników z podejrzliwością i zamykały córki w domach. Maglód, Tápiogyörgy, Ujszász – wioski z jedną ulicą i stacyjką kolejową, w oknach wciąż doniczki z geranium. Teraz niemal opustoszałe.

Chrześcijanie w wieku poborowym byli w wojsku, Żydzi w wieku poborowym byli w obozach pracy. Wkrótce miała też zniknąć pozostała ludność żydowska. Zaczęły się już zsyłki do obozów koncentracyjnych i deportacje – choć Horthy przysięgał swego czasu, że do deportacji nie dopuści. Premierem był teraz Döme Sztójay, który robił to, co kazali mu Niemcy. Zamykano Żydów z małych miejscowości w wydzielonych gettach większych miast. Liczono ich dokładnie. Sporządzano spisy. Mówiono im, że będą potrzebni do wielkiej operacji na wschodzie; obiecywano rychłe przesiedlenie i lepsze życie w innym miejscu. Instruowano ich, by spakowali jedną walizkę i stawili się na stacjach kolejowych. Ładowano ich do pociągów, które codziennie odjeżdżały na zachód i wracały puste. Potem napełniano wagony kolejnymi ludźmi. Ci, którzy czekali na swoją kolej, drżeli ze strachu. Nieliczni, którzy jak Polaner byli w niemieckich obozach i przeżyli, by o tym opowiedzieć, wiedzieli, że nie ma żadnych przesiedleń. Znali prawdziwe przeznaczenie tych obozów; wiedzieli, czym był wielki projekt. Opowiadali swoje historie, lecz reakcją było niedowierzanie.

Podróż Andrasa, Tibora i Józsefa, która normalnie powinna zająć cztery godziny, trwała trzy dni. Pociąg zatrzymywał się na prowincjonalnych stacyjkach; niekiedy słyszeli, jak dołączano nowe wagony i ładowano kolejnych robotników, którzy mieli pchać tryby nienasyconej machiny wojennej. Nie mieli jedzenia ani wody poza tym, co wzięli ze sobą. Żadnego miejsca, by załatwić potrzebę, poza kubłem w rogu wagonu. Rozpoznając charakterystyczny układ zwrotnic, Andras odgadł, że zbliżają się do Debreczyna, na długo przed tym, jak wjechali na dworzec. Spojrzał naTibora; oczy braci spotkały się w półmroku. Andras był pewny, że Tibor myśli o rodzicach, którzy znieśli już tyle rozstań, którzy stracili już jednego syna, a dwaj pozostali ponownie jechali na wojnę. Dwa tygodnie temu Béla i Flóra zostali zamknięci w getcie, którego obszar obejmował kamienicę przy Simonffy utca. Nie było czasu ani sposobu, by się pożegnać. Teraz Andras i Tibor znajdowali się na debreczyńskim dworcu, a od getta dzielił ich niecały kwadrans drogi, ale przecież nie mogli opuścić wagonu, a gdyby nawet to zrobili, dostaliby kulę w łeb od strażników.

Pociąg stał na bocznicy całą noc. Było zbyt ciemno, by Andras mógł sprawdzić godzinę na zegarku ojca; nikt nie wiedział, ile czasu zostało do rana. Nie mieli pojęcia, czy nazajutrz zostaną wypuszczeni na zewnątrz, czy będą musieli tkwić w cuchnących ciemnościach, podczas gdy do ich pociągu dołączane będą kolejne wagony z robotnikami. Siedzieli na zmianę, przysypiali i znów się budzili. Aż wreszcie, wśród kompletnej ciszy nocy, posłyszeli kroki na

żwirze torowiska. Nie ciężkie stąpanie strażników, lecz ukradkowe kroki, a następnie ciche stukanie w burtę wagonu.

– Fredi Pasternak?

– GezaMohr?

– Semyon Kovács?

Nikt nie odpowiadał. Wszyscy byli teraz rozbudzeni, zesztywniali ze strachu. Gdyby drepczących na zewnątrz ludzi złapano, zostaliby zabici. Każdy zdawał sobie sprawę z konsekwencji.

Po kilku chwilach kroki się oddaliły, ale rozległy się następne. Więcej ludzi poszukujących swych krewnych. Rubin Gold? György Törönyi? Nazwiska padały bezustannie, co jakiś czas słychać było ściszone głosy podniecenia, gdy ktoś odnalazł osobę, której szukał. I wtedy, gdy nadeszła kolejna grupa poszukujących, usłyszeli: Andras Lévi? Tibor Lévi?

Bracia pospieszyli do ściany wagonu i zaczęli cicho nawoływać swoich rodziców: anya, apa. Zdrobnienia, których nie używali od dzieciństwa. Bo Andras i Tibor poczuli się jak małe dzieci, zagubione w ciemności wagonu, tak blisko ojca i matki, a jednak oddzieleni od nich nieprzebytą zaporą. Mężczyźni ustępowali im miejsca, odsuwali się, dając im tyle prywatności, ile to było możliwe w zatłoczonym wagonie.

– Andi! Tibi!

Głos ich matki, przepełniony ulgą i bólem.

– Jak się tu dostaliście? – spytał Tibor.

– Ojciec przekupił policjanta – odpowiedziała matka. – Mieliśmy oficjalną eskortę.

– Dobrze się czujecie, chłopcy? – Znów głos ich ojca, zadający pytanie, na które znał odpowiedź i na które Andras i Tibor mogli odpowiedzieć tylko kłamstwem. – Czy wiecie, dokąd was wiozą?

Nie wiedzieli.

Było mało czasu na rozmowę. Mało czasu, by Béla i Flora zrobili to, po co tu przyszli. Pomiędzy kratami pojedynczego, wysoko umieszczonego okna pojawiła się paczuszka przyczepiona hakiem do brązowego szpagatu. Była jednak za duża, by zmieścić się w zakratowanym okienku; trzeba ją było opuścić i podzielić na mniejsze części. Dwa wełniane swetry. Dwa szaliki. Zawiniątka

z jedzeniem. Trochę pieniędzy - dwa tysiące pengő. Jak im się udało tyle zaoszczędzić? Jak utrzymali je w ukryciu? I dwie pary solidnych butów, które jednak się nie przydały; nie sposób było przepchnąć je między kratami.

A na koniec głos ich ojca, odmawiającego modlitwę o bezpieczną podróż.

Flóra i Béla szli szybko do domu ciemnymi ulicami, każde z nich z parą butów w rękach. Za nimi, trzymając dłonie na ich ramionach, jakby prowadził aresztantów, kroczył przekupiony policjant. Był to dawny kolega Béli z klubu szachowego, który umożliwił im wymknięcie się z domu przez piwnicę łączącą dwa budynki – jeden w obrębie getta, drugi na zewnątrz. Inni też opuszczali getto w ten sposób i bezpiecznie powracali, chociaż byli tacy, którzy przepadli bez śladu. Pozostawali całkowicie na łasce policjanta, z którym Béla rozegrał kiedyś kilka partii szachów i wypił kilka piw. Ale nie bali się już teraz niczego, nie lękali się spotkania z mniej wyrozumiałym funkcjonariuszem debreczyńskiej policji. Po tym, gdy doręczyli synom jedzenie, swetry, pieniądze, zamienili z nimi kilka słów i pobłogosławili ich – cóż jeszcze miało znaczenie? Tragedią byłaby wpadka z paczkami w rękach, ale mieli szczęście; tej nocy ulice były niemal puste. Źródła informacji Béli – pracownik kolei, z którym łączyła go długa znajomość, i barman Rudolf – okazały się niezawodne. Pociąg stał tam, gdzie stać powinien, a strażnicy zajęci byli piciem piwa, które dostarczył im Rudolf. Barman pamiętał syna Béli z wizyty w jego gospodzie, tamtego wieczoru, gdy Andras kłócił się z ojcem o Klarę. Béla Farciarz westchnął: co to był za luksus mieć czas na sprzeczki. Podziwiał to, jak jego syn bronił decyzji żony. I koniec końców miał rację – Klara okazała się dla Andrasa idealnie dobraną drugą połową; chyba tak dobrą jak Flóra dla Béli. Farciarz. Tak, miał fart, nawet teraz. Flóra była przy nim, na jej ramieniu spoczywała ręka policjanta. Jego żona, matka ich synów, która nie wahała się narażać dla nich życia w środku nocy; pomimo protestów Béli nie chciała go puścić samego.

Wreszcie policjant doprowadził ich do podwórza, w którym znajdowało się wejście do piwnicy. Ze staromodną i groteskową w takiej sytuacji uprzejmością przytrzymał im drzwi, kiedy wchodzili do korytarza wiodącego na powrót do więzienia. Po niedługim czasie dotarli do swojej kamienicy, wspięli się po schodach i weszli do mieszkania. Nie zapalali światła; w milczeniu zdjęli z siebie ubranie. Mieli tylko kilka godzin snu, zanim trzeba będzie wstać i oddać się codziennym obowiązkom życia w getcie. Leżąc w łóżku, Flóra naciągnęła koc pod brodę i westchnęła. Nie zostało już nic, co mogli sobie powiedzieć; nic, co mogli zrobić. Ich chłopcy, ich dzieci. Trzech maluchów, jak ich zawsze nazywała.

Trzech maluchów zagubionych w Europie jak łódeczki z kory na jeziorze. Flóra obróciła się i położyła głowę na piersi męża, a on pogłaskał jej siwiejące włosy.

Dzielili ze sobą to łóżko jeszcze przez kilka tygodni, podczas gdy Żydów z komitatu Hajdú gromadzono w debreczyńskim getcie. A potem, pewnego czerwcowego popołudnia, gdy oplatająca balkon winorośl otwierała kielichy kwiatów, a kózki meczały na podwórzu, zeszli po schodach, każde z walizką w ręce, i wraz ze swymi sąsiadami zostali poprowadzeni za bramę getta, znajomymi ulicami, aż do cegielni Serly na zachodnim skraju miasta, gdzie kazano im wejść do pociągu niemal identycznego z tym, którym ich synowie odjechali w nieznane. Pociąg ruszył na zachód, mijając stacyjki z donicami geranium w oknach, mijając Budapeszt, jadąc coraz dalej na północ, aż do samego Oświęcimia.

Pociąg wiozący Andrasa, Tibora i Józsefa toczył się po torach na wschód. Tam, w granicznym miasteczku na Rusi Zakarpackiej, którego nazwa zmieniała się dwukrotnie – raz po przyłączeniu do Czechosłowacji, drugi raz po zajęciu przez ZSRR – zaprowadzono ich pod bronią do obozu położonego trzy kilometry od rzeki Tiszy. Mieli ładować drewno na barki, które transportowały je przez Węgry do Austrii. Przydzielono ich do pozbawionego okien baraku z pięcioma rzędami trzypoziomowych łóżek. Na zewnątrz, wzdłuż ściany budynku, znajdowały się umywalki. Wieczorem, w porze kolacji, wypili kawę, która nie była kawą, zjedli zupę, która nie była zupą, i otrzymali po dziesięć deko suchego chleba, który za radą Tibora zachowali na następny dzień. Był 5 czerwca, ciepła noc pachniała deszczem i młodą trawą. Wojna nie dotarła jeszcze do pobliskiej granicy. Po kolacji pozwolono im usiąść na dworze; jeden z mężczyzn grał cygańskie melodie na przywiezionych skrzypcach, inny śpiewał. Andras nie mógł wiedzieć – i żaden z nich nie wiedział przez następne kilka miesięcy – że tej samej nocy flota alianckich okrętów przybiła do wybrzeży Normandii, a tysiące żołnierzy dokonało udanego desantu pośród piekła niemieckich pocisków. Nawet gdyby o tym wiedzieli, nie ośmieliliby się mieć nadziei, że aliancka inwazja na Francję ocali węgierskie bataliony pracy przed terrorem nazistowskiej okupacji lub ochroni ich kompanię nad brzegami Tiszy przed sowieckim bombardowaniem. Nawet gdyby byli świadomi lądowania w Normandii, nie próbowaliby wysnuwać pochopnych wniosków, że zwycięstwo aliantów na plaży Vierville-sur-Mer wpłynie jakkolwiek na sytuację batalionu pracy na odległej Rusi Zakarpackiej. Znali swoje położenie i wiedzieli, za co mogą być wdzięczni losowi. Gdy tej nocy Andras kładł się na środkowej pryczy piętrowego łóżka,

z Tiborem powyżej i Józsefem poniżej, pomyślał jedynie: dziś przynajmniej są razem. Dziś żyją.

Rozdział czterdziesty

Koszmar

TYM, CO GO OSTATECZNIE ZADZIWIŁO, nie był olbrzymi rozmach tego wszystkiego – niepojęte: setki tysięcy zabitych na samych Węgrzech, miliony w całej Europie – lecz przygnębiające poczucie małości, jakby ludzkie życie balansowało na główce od szpilki. Tę chwiejną równowagę utrzymywały i naruszyć mogły najmniejsze nawet drobnostki: wszy przenoszące tyfus, kilka naparstków wody w manierce, okruchy chleba w kieszeni. Dziesiątego stycznia 1945 roku, mroźnym świtem, Andras leżał na podłodze wagonu w węgierskim obozie kwarantanny, kilka kilometrów od granicy austriackiej. Największym miastem w pobliżu był Sopron, słynny ze swego Koziego Kościoła. Na wpół zatarte wspomnienie z dzieciństwa – lekcja historii sztuki, siwowłosy nauczyciel z wąsem przypominającym gołębie skrzydła, kamienne prezbiterium, gdzie Ferdynanda III koronowano na króla Węgier. Według legendy koza wykopała w tym miejscu starożytny skarb; po wybudowaniu kościoła skarb ten został na powrót zakopany jako wotum dla Matki Boskiej. Tak więc gdzieś na wzgórzu, pod kościołem, którego poczerniałą iglicę mógł dostrzec z miejsca, w którym leżał, zakopany był pradawny skarb. A tutaj, w obozie kwarantanny, trzy tysiące mężczyzn umierało na tyfus. Gorączka Andrasa osiągnęła taki poziom, że jego niespójne myśli wirowały w głowie niczym roztańczone karnawałowe pary. Jak przez mgłę przypominał sobie słowa, że robotnicy w kwarantannie powinni uważać się za szczęściarzy. Zdrowi zostali przewiezieni do Austrii, do obozów pracy.

Niektóre fakty pamiętał wyraźnie. Kolekcjonował te rzeczy niczym szklane kulki w woreczku, a każda z nich miała w sobie źdźbło trawy i kroplę krwi. Przełom Tiszy, gdzie pracowali, został w końcu zbombardowany. Stało się to podczas zaskakująco ciepłej październikowej nocy, pięć miesięcy po przybyciu do obozu. Pamiętał, jak kulił się na ziemi wraz z Tiborem i Józsefem, podczas gdy ściany wokół nich dygotały od fal uderzeniowych spadających bomb; chyba tylko dzięki łasce opatrzności ich barak pozostał nietknięty. Gruzy innego budynku

pogrzebały trzydziestu trzech robotników. Zginęło też sześciu flisaków i pół kompanii węgierskich żołnierzy stacjonujących na brzegu rzeki. Przetrzebiona kompania 55/10 rozpoczęła odwrót na zachód, uciekając przed nadciągającą armią Związku Radzieckiego. Wędrowali wraz ze strażnikami z jednego miasteczka do drugiego, kwaterowali w chłopskich chatach i stodołach lub spali na polach pod gołym niebem, ścigani przez ryczącą i płonącą wojnę, która podążała zawsze tylko kilka kilometrów za nimi. W tym czasie Węgry przeszły w ręce strzałokrzyżowców. Horthy okazał się dla Niemiec trudnym i nieprzewidywalnym sojusznikiem; pod presją państw alianckich zatrzymał deportacje Żydów, a 11 października sekretnie wynegocjował odrębny układ pokojowy z Moskwą. Gdy kilka dni później ogłosił zawieszenie broni, Hitler zmusił go do ustąpienia i wraz z rodziną zesłał w głąb Niemiec. Rozejm zerwano. Ferenc Szálasi, przywódca strzałokrzyżowców, został nowym premierem. Wieści dotarły do obozów pracy w postaci nowych rozporządzeń – robotnicy przymusowi mieli być odtąd traktowani jak jeńcy wojenni.

Tamte wydarzenia Andras pamiętał dobrze. Bardziej mglisty był okres późniejszy. Otępiały od gorączki bezustannie próbował sobie przypomnieć, co stało się z Tiborem. Pamiętał, jak w słoneczny dzień - czy to było kilka tygodni, czy miesięcy temu? – uciekał wraz z Tiborem i Józsefem drogą wiodącą na zachód od Trebišova, ścigany odgłosem radzieckich czołgów i karabinów. Zostali odcięci od swojej kompanii; József był chory i nie nadążał za resztą. Niemieckie łaziki i wozy opancerzone prowadziły ostrzał wzdłuż drogi, którą biegli. Za nimi następowało trzęsienie ziemi – Sowieci w toczących się fortecach, płonące ogniem lufy. Podczas ucieczki József wbiegł pod niemiecki samochód. Uderzenie cisnęło go do rowu, jego noga wykręciła się pod kątem... majaczący w gorączce Andras szukał właściwego słowa... nierzeczywistym.

Nierzeczywisty, nie miał nic wspólnego z życiem. Ludzka noga nie zgina się w ten sposób ani w tę stronę. Kiedy Andras podbiegł, József leżał z otwartymi oczami, oddychając szybko i płytko. Znajdował się w stanie dziwnego uniesienia, jakby w ułamku sekundy udowodniono, że miał rację w sprawie, o którą bezowocnie walczył od lat. Tibor pochylił się nad nim i ostrożnie położył dłoń na zranionej nodze; József wydał wtedy z siebie dźwięk, który do dziś dzwonił Andrasowi w uszach – chrapliwy, wysoki wrzask, który zdawał się przebijać kopułę nieba. Tibor spojrzał na Andrasa z rozpaczą; nie miał już morfiny, zapasy zgromadzone w Budapeszcie dawno się wyczerpały. Kilka chwil później pojawiła się przy nich oliwkowa wojskowa furgonetka, na jej zderzakach powiewały proporczyki austriackiego Wehrmachtu, na boku wymalowano czerwony krzyż.

Andras zdarł z ramienia żółtą opaskę, to samo zrobił z opaską Tibora i leżącego Józsefa; teraz byli tylko trzema mężczyznami w rowie, bez przynależności rasowej. Podbiegli do nich austriaccy medycy, dokonali pobieżnych oględzin i załadowali ich do ambulansu. Jechali szosą z ogromną prędkością, zapewne wciąż uciekając przed Rosjanami. Nagle coś eksplodowało z ogłuszającym hukiem. Plandeka furgonetki odfrunęła, podłoga stała się sufitem, jedno z kół pofrunęło łukiem prosto w niebo. Wstrząs, a potem hucząca cisza. Gdzieś obok József wzywał ojca, akurat jego ze wszystkich ludzi na świecie. Tibor stał nietknięty pośród łodyg zboża, otrzepując rękawy. Andras, czując wściekły i palący ból w boku, leżał w skibie i wlepiał oczy w niebo – niesamowicie odległy i nieskończony przestwór mlecznego błękitu. W jego wspomnieniu chmury przybrały kształt Panteonu z kolumnami i kopułą. Chwilę później wszystko rozpłynęło się we wszechogarniającej ciemności.

Gdy później otworzył oczy, ujrzał biel tak oślepiającą, że był pewny, iż umarł. Śnieżnobiałe ściany, śnieżnobiała pościel, śnieżnobiałe zasłony, śnieżnobiałe niebo za oknem. Zrozumiał, że leży w szpitalnym łóżku, przygnieciony obezwładniającym ciężarem cienkiego koca. Lekarz o jugosłowiańskim nazwisku Dobek odwinął bandaże z boku Andrasa i zbadał poszarpaną ranę, która ciągnęła się od najniższego żebra aż po pępek. Widok własnych obrażeń przyprawił Andrasa o taką falę mdłości, że rozejrzał się panicznie w poszukiwaniu nocnika. Ruch wzbudził w ranie rozdzierający ból. Lekarz błagał go, by się nie ruszał, a on zrozumiał, choć prośbę wypowiedziano w języku, którego nie znał. Położył głowę na poduszce i zapadł w tępy sen. Kiedy się obudził, na krześle obok łóżka siedział Tibor – czysty i ogolony, w nowych okularach, w bawełnianej piżamie zamiast obszarpanego munduru. Brat wytłumaczył mu, co się stało; ambulans wjechał na minę, a Andras odniósł poważne rany i musiał być natychmiast operowany. Miał uszkodzoną śledzionę, a jelito krótkie przerwane na wysokości krętnicy. Lekarzom jednak udało się go pozszywać i wszystko dobrze się goiło. Gdzie byli? W Kassie na Słowacji, w katolickim szpitalu Świętej Elżbiety, pod opieką słowackich zakonnic. A gdzie József? Leżał na sąsiednim oddziale; jego noga została zmiażdżona i musiał przejść skomplikowaną operację.

On i József przebywali w słowackim szpitalu przez niewiadomą liczbę tygodni. Andras dochodził do siebie po strasznych obrażeniach, József leczył strzaskaną nogę, a wokół szalała wojna. Od czasu do czasu odwiedzał ich Tibor. Pomagał zakonnicom i lekarzom, asystował przy operacjach, oceniał stan zdrowia i selekcjonował nowo przybyłych pacjentów. Był wyczerpany, widok ciał

poranionych od kul i bomb wtrącił go w niezmienną posępność, ale w jego wyrazie twarzy był spokój i poczucie celu – robił to, do czego go szkolono. Postęp Sowietów jest powolny, acz systematyczny, powiedział Andrasowi. Jeśli szpital nie zostanie zniszczony podczas jakiejś bitwy, wkrótce powinni być bezpieczni.

Ale wtedy w szpitalu pojawili się hitlerowcy. „Żeby ewakuować placówkę", jak to określili. Jednak ewakuacja nie dla wszystkich oznaczała to samo. W tym miejscu, gdzie dotąd nikogo nie pytano o pochodzenie i wyznanie, gdzie Żydzi leżeli obok gojów, teraz żydowscy pacjenci zostali zidentyfikowani, oddzieleni od reszty i zgromadzeni na korytarzu. Andras i Tibor podtrzymywali Józsefa z nogą w gipsie; zaprowadzono ich do pociągu i załadowano do wagonu towarowego. Znów odjechali w nieznane, tym razem na południowy zachód, w stronę Węgier.

Podróż trwała prawie tydzień. Tibor próbował się dowiedzieć, gdzie są – czy to z okrzyków zasłyszanych podczas postojów, czy z krajobrazów przemykających za maleńkim okienkiem w zamkniętych na głucho drzwiach wagonu. Trasa ich podróży wiodła przez Alsózsolcę, Mezőkövesd, Hatvan; przez moment mieli cień nadziei, że skręcą na południe, do Budapesztu, ale pociąg pojechał prosto w stronę Vácu. Przez pewien czas podążali wzdłuż granicy, mijając Esztergom, potem wzdłuż na wpół zamarzniętego Dunaju, wreszcie przez Komárom, Győr i Kapuvár, w kierunku zachodniej granicy. Przez cały ten czas Tibor opiekował się Andrasem i Józsefem, robiąc co w jego mocy, by mimo złych warunków odzyskali zdrowie. Gdy Andras wymiotował na podłodze, Tibor go mył, a kiedy József musiał skorzystać z wiadra w rogu wagonu, Tibor prowadził go i mu pomagał. Troszczył się także o innych pacjentów, z których wielu było zbyt chorych, by to docenić. Wiele jednak nie mógł zrobić. Brakowało jedzenia, wody, czystych bandaży i leków. Nocą Tibor kładł się obok Andrasa, by go ogrzać, i szeptał mu do ucha opowiastki, ratując ich obu przed szaleństwem i rozpaczą. „Opowiem ci historię – zaczynał, jakby Andras był synem, którego zostawił gdzieś daleko. – Był sobie kiedyś człowiek, który potrafił rozmawiać ze zwierzętami. Oto co powiedział człowiek. Oto co powiedziały zwierzęta". Każdy centymetr kwadratowy skóry Andrasa swędział i piekł, nawet rana. Ukąszenia wszy. Kilka dni później nadeszły pierwsze dreszcze gorączki.

Pociąg zatrzymał się na granicy państwa. Znów podzielono ich na dwie grupy – tych, którzy byli w stanie przejść na drugą stronę, i tych, którzy nie mieli siły. Chorzy na tyfus nie mogli przekroczyć granicy; zostali umieszczeni w obozie kwarantanny w pobliżu przejścia.

– Posłuchaj mnie – powiedział do Andrasa Tibor tuż przed selekcją. – Będę udawał, że jestem chory. Nie wyślą mnie na drugą stronę granicy. Zostanę tu z tobą w obozie. Rozumiesz?

– Nie, Tibor. Jeśli zostaniesz, na pewno się rozchorujesz. – Pomyślał o Mátyásu, jego chorobie przed laty, o swej rozpaczliwej nocy w sadzie.

– A jeśli zawiozą mnie dalej?

– Masz umiejętności, których potrzebują. Zostawią cię przy życiu.

– Ich nic nie obchodzą moje umiejętności. Zostanę tu z tobą, Józsefem i pozostałymi.

– Nie, Tibor.

– Tak.

Wagony towarowe stały się barakami w obozie kwarantanny. Stały na bocznicach, rząd za rzędem, każdy wypełniony chorymi i umierającymi. Codziennie wynoszono zmarłych z wagonów i składano ich na zamarzniętej ziemi pod spodem; o tej porze roku nie dało się ich pochować. Andras leżał na podłodze z coraz wyższą gorączką, a od martwych towarzyszy dzieliło go tylko kilkadziesiąt centymetrów. Od miesięcy nie miał wieści od Klary i nie mógł się z nią w żaden sposób skontaktować. Ich drugie dziecko już się na pewno urodziło... lub nie. Tamás, jeśli żył, miał prawie dwa lata. Może zostali deportowani, a może żyją bezpiecznie w Budapeszcie, a może... Tracił i odzyskiwał świadomość, wiedział, gdzie jest, i zapominał, to był w stanie myśleć, to leżał w otępieniu. Jego brat wymykał się z obozu kwarantanny i szedł do Sopronu po jedzenie, leki i nowiny. Codziennie powracał z tym, co udało mu się zdobyć; zaprzyjaźnił się z lokalnym aptekarzem, który zaopatrywał go w niewielkie ilości antybiotyków, aspiryny i morfiny. Aptekarz miał radio, które odbierało BBC News. Budapeszt od listopada był w niebezpieczeństwie. Radzieckie czołgi zbliżały się do niego z południowego zachodu, a Hitler poprzysiągł odeprzeć je za wszelką cenę. Drogi były zablokowane. Kończyły się zapasy jedzenia i paliwa. Mieszkańcy stolicy zaczęli głodować. Tibor nigdy by nie przekazał Andrasowi tych ponurych wiadomości, ale brat usłyszał go przypadkiem, jak rozmawia z kimś na dworze; wyostrzony przez gorączkę słuch chwytał każde słowo.

Rozumiał też, że on i József umierają. Słyszał słowa *flecktyphus* i *dizentéria.* Pewnego dnia Tibor powrócił z miasta i zastał obydwu nad miską fasoli; zdążyli już zjeść połowę porcji. Zbeształ Andrasa i Józsefa, po czym wyrzucił fasolę na

zewnątrz. „Czyście oszaleli?". Dla chorego na dyzenterię najgorsza była niedogotowana fasola. Ludzie od tego umierali, ale w obozie nie było nic innego do jedzenia.

Tibor karmił ich zalewą z gotowanej fasoli, czasem wzbogaconą kawałkami chleba. Raz trafiła się nawet odrobina zalatującego benzyną dżemu. Jak im wytłumaczył, podczas swoich wycieczek natknął się na zniszczone bombą gospodarstwo; na podwórzu znalazł garnuszek z przetworami. Gdzie ten garnuszek? – zapytali. Rozbity. Tibor niósł dżem na stulonej dłoni przez dwadzieścia kilometrów.

József z wolna wracał do zdrowia, żywiąc się przynoszonym przez Tibora jedzeniem, Andras jednak coraz bardziej gorączkował. Biegunki wypłukiwały z niego wodę i składniki odżywcze. Rozpadał się szkielet rzeczywistości, tkanka łączna odchodziła od kości.

Ciągły smród, którego sam był źródłem.

Zimno.

Płaczący Tibor.

Tibor mówiący komuś – Józsefowi? – że Andrasowi wiele już nie zostało.

Tibor klęczący obok niego, przypominający mu, że dziś są urodziny Tamása.

Postanowienie, że nie umrze dzisiaj, nie w dniu urodzin syna.

Iskierka siły w jego zmaltretowanych wnętrznościach.

I, następnego ranka, poruszenie w obozie kwarantanny. Głos przez megafon. Ogłoszenie: Wszyscy zdolni do pracy zostaną zabrani do Mürzzuschlag w Austrii. Żołnierze przeszukiwali wagony i wyciągali żywych na zimne światło dnia. Mężczyzna w niemieckim mundurze wywlókł Andrasa z wagonu i rzucił go pomiędzy tory. Gdzie Tibor? Gdzie József? Andras leżał na śniegu, niezdolny się poruszyć, lodowata szyna paliła jego policzek. Patrzył tępo na oszroniony żwir i stopy przebiegających obok ludzi. Z niedaleka dotarł do niego odgłos metalu zmagającego się ze zmarzniętą ziemią – łopaty. Dźwięk kopania zdawał się ciągnąć godzinami. Zrozumiał. Wreszcie zamierzano pogrzebać zmarłych. A on leżał w niemocy, czekając, aż go pochowają. Umarł już, przeszedł na drugą stronę. Nie wiedział, kiedy to się stało. Dziwił się, że to takie proste. Nie było życia ani śmierci, tylko ten koszmar; a kiedy zakopią go już w ziemi, będzie wciąż czuł zimno i ból, dusząc się przez całą wieczność. Potem ktoś dźwignął go za

kostki i nadgarstki, a następnie rzucił. Przez krótką chwilę był lżejszy od powietrza, potem spadł. Poczuł uderzenie we wszystkich stawach, w swoich zmasakrowanych wnętrznościach. I smród. Pod nim martwe ciała. Wokół ściany surowej ziemi. Łopata zasypała jego twarz piachem, który smakował jak wspomnienie z dzieciństwa. Odgarniał ziemię z twarzy, ale było jej więcej i więcej. Kopacz, poruszająca się szybko czarna sylwetka na skraju grobu, zagarniał łopatą ziemię z małej hałdy. Nagle, z niezrozumiałego dla Andrasa powodu, przestał. Chwilę później zniknął, porzucając zadanie. Andras leżał w grobie, ni to martwy, ni to żywy.

Noc w otwartym dole, pod kołdrą z piachu.

Rano ktoś go wyciągnął.

Wagon, znów. I teraz.

Teraz.

Obok niego miska fasoli. Miał chęć ją pochłonąć. Zamiast tego przytknął naczynie do ust i wypił płyn. Poczuł, jak jego jelita się rozluźniają, poczuł ciepło pod sobą.

Minął kolejny dzień i nadeszła ciemność. Kolejna noc. Ktoś – Tibor? – wlał mu trochę wody do ust. Zakrztusił się, przełknął. Nazajutrz wyczołgał się z wagonu, próbując uciec przed własnym smrodem. Z jakiegoś powodu zaczął myśleć jaśniej. Zatrzymał się, ukląkł i włożył rękę do kieszeni palta, gdzie – jeśli miał chleb – nosił chleb. Poczuł pod palcami okruchy. Powlókł się do kałuży roztopionego przez słońce śniegu. W jednej garści trzymał okruchy chleba. Drugą nabrał wody z kałuży. Wymieszał składniki, robiąc zimną pastę, przytknął dłoń do ust, zjadł. Choć o tym nie wiedział, był to jego pierwszy posiłek od dwudziestu dni.

Jakiś czas później ocknął się w wagonie. Nad nim pochylał się József Hász, nakłaniając go, by wstał.

– No, dalej – powiedział i ujął go pod pachy.

Andras usiadł. Czarne fale oceanu zamykały się tuż nad jego głową. Nagle, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, rozstąpiły się.

Ujrzał znajome wnętrze wagonu towarowego. Obok niego klęczał József, podtrzymując go obiema rękami.

– Teraz wstaniesz.

– Dlaczego?

– Ktoś tu przyjdzie, żeby zebrać robotników do pracy. Każdy, kto nie będzie w stanie pracować, zostanie zastrzelony.

Wiedział, że nie wezmą go do pracy. Ledwie mógł podnieść głowę. I nagle coś sobie przypomniał.

– Tibor?

József potrząsnął głową.

– Tylko ja i ty.

– Gdzie jest mój brat, Józsefié? Gdzie jest mój brat?!

– Na gwałt potrzebują robotników – odrzekł. – Jeśli ktoś może stać, zabierają go.

– Kto?

– Niemcy.

– Wzięli Tibora?

– Nie wiem, Andráska – odpowiedział József łamiącym się głosem. – Nie wiem, gdzie on jest. Nie widziałem go od paru dni.

Na zewnątrz rozległ się głos jakiegoś Niemca wzywający robotników.

– Teraz będziemy musieli iść – rzekł József.

Oczy Andrasa napełniły się łzami. Umrzeć teraz, po tym wszystkim, co przeszedł. Ale József wziął go pod pachy i postawił na nogi. Andras oparł się ciężko o niego. József zachwiał się i jęknął z bólu; jego połamana noga, z której przedwcześnie zdjęto gips, nie zdążyła się zrosnąć. Ale objął Andrasa wpół i poprowadził go do drzwi wagonu. Odsunął je. Pomógł Andrasowi zejść po rampie prosto na nagie, mroźne torowisko. Igły bólu zakłuły Andrasa w stopy i wystrzeliły w górę jego nóg. Rana w boku płonęła żywym ogniem.

Niemiecki oficer stał przed rzędem robotników, oglądając uważnie ich brudne, poszarpane palta i spodnie, ich zawinięte w szmaty stopy. Andras i József byli boso.

Wszyscy mężczyźni postąpili krok do przodu. József pociągnął za sobą Andrasa, pod którym ugięły się nogi. Andras upadł na kolana, wspierając się rękami o zimną glebę. Oficer podszedł do niego, uklęknął, chwycił go jedną

dłonią za kark, a drugą sięgnął do kieszeni swojego płaszcza. Andras wyobraził sobie wylot lufy pistoletu, huk, eksplozję światła. Z resztką wstydu poczuł, że puścił mu pęcherz.

Oficer wyciągnął chusteczkę. Otarł Andrasowi czoło i pomógł mu wstać.

– Chcę pracować – powiedział Andras. Udało mu się wymówić te słowa po niemiecku. *Ich möchte arbeiten.*

– Jak możesz pracować? – spytał oficer. – Nie możesz nawet chodzić.

Andras spojrzał mu w twarz. Oficer był niemal tak samo zagłodzony i obszarpany jak robotnicy; nie sposób było określić, ile ma lat. Obwisłe, ogorzałe policzki pokrywała szczecina bezbarwnego zarostu. Na szczęce miał małą bliznę. Pocierał tę bliznę kciukiem, patrząc z namysłem na Andrasa.

– Za kilka minut będzie tu wóz – rzekł wreszcie. – Pojedziesz z nami.

– Dokąd jedziemy? – ośmielił się spytać Andras. *Wohin gehen wir?*

– Do Austrii. Do obozu pracy. Tam będzie lekarz, który ci pomoże.

Wszystko zdawało się mieć drugie, przerażające dno. Austria. Obóz pracy. Lekarz, który mu pomoże. Andras wsparł się na ramieniu Józsefa, podciągnął się, stanął bosymi stopami na żwirze i spojrzał oficerowi w oczy. Nazista wytrzymał jego wzrok, po czym odwrócił się na pięcie i przeszedł wzdłuż rzędu wagonów. Wyczerpany Andras wisiał na ramieniu Józsefa, dopóki nie nadjechał wóz. Niemiecki oficer szedł obok pojazdu, niosąc w rękach parę butów. Pomógł Andrasowi i Józsefowi wsiąść na wóz, a następnie położył buty na kolanach Andrasa.

– Heil Hitler – rzekł i zasalutował odjeżdżającym.

Sto razy mogło się to wszystko zakończyć. Mogło się skończyć, kiedy wóz dotarł do obozu i robotnicy zostali zbadani; jednak inspektor był żydowskim kapo, który zlitował się nad Andrasem i Józsefem i wysłał ich prosto do pracy zamiast do lazaretu, choć przecież ledwo trzymali się na nogach. Mogło się skończyć, kiedy pewnego dnia ich stuosobowa grupa nie wykonała planu dnia – mieli za zadanie załadować pięćdziesiąt palet cegieł na ciężarówki, a załadowali tylko czterdzieści dziewięć; za karę strażnicy wybrali dwóch robotników, siwego chemika z Budapesztu i szewca z Kaposváru, a następnie zastrzelili ich za węgłem fabryki. Mogło się skończyć, kiedy w obozie zabrakło jedzenia, ale Andras i József, kopiąc doły pod latryny, odkryli cztery gliniane garnki z gęsim tłuszczem – relikt z czasów, gdy obóz pracy był gospodarstwem rolnym, a żona

gospodarza przewidziała nadciągające chude czasy. Mogło się skończyć, gdyby robotnikom starczyło czasu na dokończenie projektu – potężnego krematorium, w którym ich ciała zostałyby spalone po śmierci od gazu lub kuli. Ale się nie skończyło. Pierwszego kwietnia wyczerpani i głodni robotnicy czekali na rozkaz wymarszu z placu zbiórki do cegielni, gdzie pracowali. József dotknął Andrasa w ramię i wskazał kolumnę pojazdów jadących szybko wojskową drogą, wzdłuż której ciągnął się płot z drutem kolczastym.

– Widzisz to? – odezwał się. – Nie sądzę, żebyśmy szli dziś do roboty.

Andras uniósł wzrok.

– Czemuż to?

– Patrz. – Józef wskazał placem na zakręt drogi prowadzącej na zachód.

Wyboistą szosą mknęły niemieckie i węgierskie wozy opancerzone. Niektóre zjeżdżały z drogi na pobocze, inne grzęzły w błocie lub wpadały do rowów. Za nimi zza zakrętu wyłoniła się kolumna smukłych, zwinnych czołgów. To były radzieckie T-34, takie, jakie widział na Ukrainie i Podkarpaciu. To tłumaczyło, dlaczego nadzorca dotąd się nie zjawił, choć dochodziło wpół do ósmej. Rosjanie wreszcie przybyli, a Niemcy i Węgrzy uciekali na złamanie karku. W tym samym momencie rozskrzeczał się obozowy megafon, wzywając wszystkich robotników do powrotu do baraków, zebrania swojego dobytku i oczekiwania przy bramie obozu na dalsze rozkazy. Ale József usiadł tam, gdzie stał, i skrzyżował nogi.

– Nigdzie nie idę – oświadczył. – Ani kroku. Jeśli nadciągają Rosjanie, zamierzam tu siedzieć i czekać.

Z piersi robotników wydarł się radosny okrzyk, niektórzy podrzucili do góry czapki. Więźniowie stali na placu zbiórki i patrzyli, jak nazistowscy strażnicy i nadzorcy uciekają z obozu, niektórzy pieszo, inni łazikami. Nikt nie zwrócił uwagi na kilku mężczyzn, którzy zgromadzili się ze swym dobytkiem pod bramą. Megafon już się nie odezwał; ten, kto wydawał rozkazy, zniknął z obozu. Niektórzy robotnicy schowali się w barakach, ale Andras, József i wielu innych wspięło się na niewysokie wzgórze i obserwowało bitwę rozgrywającą się na pobliskim polu. Batalion niemieckich czołgów wyruszył na spotkanie Sowietów; lufy dział rozbłysły ogniem, huki wystrzałów trwały godzinami. Cały dzień i dobrą część nocy robotnicy patrzyli na walkę i wiwatowali na cześć Armii Czerwonej. Po zmroku blask wystrzałów rozświetlał niebo jak zorza; gdzieś za płonącym horyzontem leżała granica Węgier, a dalej Budapeszt.

O świcie następnego dnia przybył oddział radzieckich żołnierzy, by przejąć kontrolę nad obozem. Czerwonoarmiści mieli na sobie szare kurtki i ubłocone spodnie; ich buty były jakimś cudem nietknięte, a wypolerowane paski lśniły w słońcu. Oddział zatrzymał się przed bramą obozu, dowódca wziął do ręki megafon i wygłosił oświadczenie po rosyjsku. Robotnicy wyczekiwali tej chwili. Wykonali białe flagi z płóciennych worków na cement i przywiązali je do cienkich lipowych gałęzi. Grupa więźniów, którzy mówili po rosyjsku – mieszkańców Karpat ze słowackiego miasteczka granicznego – podeszła do Rosjan z wysoko uniesionymi flagami. Do Andrasa dotarł absurd tej sytuacji – wychudzeni i zmaltretowani robotnicy dźwigający poddańcze flagi, jakby obawiali się, że zostaną wzięci za swoich oprawców. Sowieci przywieźli ze sobą wózek czarnego, suchego chleba, który rozdzielili między więźniów. Po opróżnieniu wózka Rosjanie dali robotnikom do zrozumienia, że mogą sobie wziąć wszystko, czego potrzebują. Mężczyźni chodzili po magazynie jak po muzeum dawno minionej epoki. Na półkach znajdowały się luksusy, jakich nie oglądali od miesięcy – konserwy z kiełbasą, marynowane gruszki, puszki z groszkiem, cienkie paczki papierosów, baterie i kostki mydła. Pakowali wszystko w zawiniątka z płótna lub puste worki na cement, mając nadzieję sprzedać to lub wymienić po drodze do domu. Następnie Sowieci zaprowadzili ich do obozu przejściowego położonego trzydzieści kilometrów od węgierskiej granicy, gdzie mieszkali przez trzy tygodnie w brudnych i zatłoczonych barakach, zanim wreszcie dano im dokumenty poświadczające wolność i ich wypuszczono. Byli sto piętnaście kilometrów od Budapesztu. Mogli tam dotrzeć tylko na piechotę.

Nie ufali nikomu, poruszali się nocą; unikali zarówno ostatnich uciekających oddziałów niemieckich, które strzelały do wszystkich napotkanych Żydów, jak i radzieckich wyzwolicieli, którzy, jak głosiły plotki, potrafili odebrać ludziom papiery i bez powodu zesłać ich na Syberię. Zraniona noga Józsefa sprawiała, że musieli wędrować powoli; był w stanie przejść tylko dziesięć kilometrów, potem ból brał nad nim górę. Ze stolicy dochodziły zatrważające wieści. Budapeszt obrócony w gruzy. Setki tysięcy wywiezionych. Głód zimą. Część umysłu Andrasa, która zawsze uciekała do Klary, zwinęła się w ciasny supeł niczym zabliźniona tkanka. Nie pozwolił wyobraźni się zwodzić, koncentrował się na tym, co było tu i teraz, na przeżyciu. Starał się nie wspominać pierwszych tygodni 1945 roku, tej śnieżnej, lodowatej grozy stycznia. Rana w boku zagoiła się, zostawiając na ciele wypukłą różową bliznę; uszkodzona śledziona i przebite jelito na nowo zaczęły spełniać swoje codzienne, ciche funkcje. Nie chciał myśleć o rodzicach, o Mátyásu, o Tiborze, który przepadł gdzieś za austriacką granicą. W towarzystwie Józsefa spał

w zrujnowanych stodołach albo zakopywał się w stogach siana, zasypiając w słodko pachnącej ciemności i budząc się potem z koszmarem, że grzebią go żywcem. Nocą maszerowali przez gęstą trawę wzdłuż szosy wiodącej do Budapesztu. Pewnego wieczoru, gdy zatrzymali się przy kuchennych drzwiach jakiegoś domostwa, żeby wymienić niemieckie papierosy i baterie na chleb, dowiedzieli się od kucharki, że radzieckie czołgi wjechały do Berlina. Kobieta wskazała im miejsce pod jednym z okien, gdzie mogli ukryć się w krzakach i posłuchać wieczornych wiadomości w radiu. Kucając w krzewie bzów, słuchali spikera z BBC, który opisywał wydarzenia rozgrywające się w stolicy Niemiec. Dla Andrasa angielskie słowa były tylko zbitką przeciągniętych samogłosek i spółgłosek pojedynczych jak wystrzały, ale József znał ten język. Rosjanie otoczyli Reichstag, który Hitler wybrał na swój ostatni bastion; nikt nie wiedział, co dzieje się w środku.

Pewnego ranka kilka dni później, kiedy przykryci płóciennym żaglem spali na łodzi zacumowanej przy brzegu Balatonu, obudził ich dźwięk dzwonów. Wszystkie dzwony w pobliskim miasteczku Siófók biły złowrogo, jakby nadciągało wielkie niebezpieczeństwo. Andras i József zbiegli z łodzi i zastali ulice miasteczka pełne ludzi ciągnących procesją do głównego placu. Podążyli za tłumem na rynek, gdzie burmistrz – zagłodzony starzec w niedopasowanej radzieckiej kurtce – wspiął się na schody ratusza i ogłosił, że wojna w Europie się skończyła. Hitler zginął. Niemcy podpisali akt bezwarunkowej kapitulacji w Reims. Zawieszenie broni wejdzie w życie o północy.

Tłum stał przez kilka uderzeń serca w absolutnym milczeniu; chwilę później ciszę rozdarł krzyk wiwatów, a kapelusze pofrunęły pod niebo. W tym momencie nie liczyło się to, że Węgry znalazły się po stronie przegranych, że ich piękna stolica nad Dunajem została zbombardowana i leży w ruinach, że kraj przeszedł pod kontrolę ZSRR, że ludzie nie mają co jeść, że więźniowie nie powrócili jeszcze do domów, że tylu krewnych, przyjaciół i sąsiadów straciło życie. Liczyło się tylko to, że wojna w Europie dobiegła końca. Andras i József padli sobie w ramiona i wybuchnęli płaczem.

Wzgórza Budy pokryły się świeżą trawą i zielonymi liśćmi, nieczułe na tragedię zmarłych i żałobę opłakujących. Kwitnące lipy i platany wydawały się Andrasowi wręcz obscenicznie radosne, niepasujące do sytuacji niczym dziewczęta w prześwitujących letnich sukienkach na pogrzebie. On i József wędrowali zrujnowanymi ulicami po wschodniej stronie Wzgórza Zamkowego; gdy dotarli na szczyt, przystanęli i w milczeniu patrzyli na rozciągające się u ich stóp miasto. Piękne mosty nad Dunajem – most Małgorzaty, most Łańcuchowy,

most Elżbiety – wszystkie mosty w zasięgu wzroku, których każdy fragment Andras znał na pamięć, leżały w gruzach; stalowe liny i betonowe filary topiły się w brunatnych falach rzeki. Bomby obróciły Pałac Królewski w zębatą ruinę, jakby spod ziemi wykopano szczękę prehistorycznego gada. Zniszczone hotele na drugim brzegu Dunaju zdawały się klęczeć nad rzeką w pokornym błaganiu.

W milczącym szoku, unikając wzajemnych spojrzeń, Andras i József zeszli ze wzgórza i podążali ulicami starego miasta w kierunku odartej z mostów rzeki. Musieli się jakoś przedostać na drugą stronę; jeśli ktokolwiek na nich czekał, to na przeciwnym brzegu Dunaju, w ruinach Pesztu. W okolicach Ybl Mklós tér, placu nazwanego na cześć architekta, który zaprojektował gmach Opery, znaleźli zejście nad rzekę, a tam promy przewoziły pasażerów na drugą stronę. W zamian za transport oddali ostatnie sześć paczek papierosów i tuzin dużych baterii. Przewoźnik, rumiany chłopak w słomkowym kapeluszu, wyglądał na wyjątkowo dobrze odżywionego. Gdy prom płynął w poprzek nurtu na drugą stronę rzeki, Andras czuł, jakby stalowe pazury rozrywały jego płuca; przeponę ścisnął skurcz tak bolesny, że nie mógł oddychać. Przeciekająca łódź mozolnie walczyła z prądem rzeki, dwa razy o mało się nie wywracając, aż wreszcie wysadziła ich zemdlonych i roztrzęsionych na brzegach Pesztu. Z butami pełnymi wody wygramolili się na piaszczystą plażę pod wałem. Następnie wspięli się po kamiennych schodkach i zagapili w korytarz zniszczonych budynków. Kamienice po jednej stronie ulicy były nietknięte, część z nich nawet zachowała kolorowe mozaiki i kwieciste stiuki dekoracji. Lecz wędrówka do centrum dzielnicy wiodła ich pośród morza zniszczeń – niekończących się hałd cegieł, roztrzaskanych belek, rozbitych dachówek, kawałów betonu. Ciała zabitych zostały dawno usunięte z ulic, ale na każdym rogu stał krzyż. Zachowały się elementy codziennego życia kwitnące pośród ruin, jakby w oderwaniu od wszechobecnej katastrofy; wystawa sklepowa z pączkami i ciastkami, czerwony rower oparty o podest, dochodzący z oddali dzwonek tramwaju. Z górnego piętra jednego z budynków sterczał szkielet niemieckiego samolotu. Fragment spalonego skrzydła spadł na ulicę; rdza pokrywająca jego krawędź świadczyła o tym, że leżało tu od miesięcy. Jakiś pies obwąchał poczerniałą konstrukcję skrzydła i podreptał ulicą.

Szli we dwóch w stronę Nefelejcs utca, kierując się do budynków, w których mieszkały ich rodziny – tam, gdzie József pożegnał się z matką i babką; tam, gdzie Tibor i Ilana wprowadzili się po powrocie Andrasa; tam, gdzie Andras i Klara siedzieli na podłodze w łazience w dniu jego wyjazdu. Skręcili, za rogiem Thököly új minęli znajomy warzywniak bez warzyw i cukiernię bez słodyczy.

Na skrzyżowaniu Nefelejcs utca i István út wznosiła się góra kamieni, cegieł, drewna, gipsu i dachówek. Po drugiej stronie, gdzie mieszkała rodzina Józsefa oraz Tibor z Ilaną, nie było nic. Nawet ruin. Andras stał i patrzył.

Wspominając później ten moment, mówił: „Wtedy właśnie straciłem głowę". To określenie było najbliższe temu, co wówczas czuł: jego głowa oddzieliła się od reszty ciała i poleciała daleko stąd niczym dzieci ewakuowane z Europy, dokądś, gdzie było spokojnie i bezpiecznie. Jego ciało opadło na kolana. Chciał drzeć na sobie ubranie, lecz nie mógł się ruszyć. Nie słuchał Józsefa, nie brał pod uwagę możliwości, że jego żona i dziecko – dzieci – zdążyli opuścić kamienicę, nim została zniszczona. Nie widział niczego i nikogo. Przechodnie omijali klęczącego na bruku mężczyznę.

Mógł tak trwać przez godzinę, dwie albo pięć. József usiadł na stercie gruzu i czekał. Andras pozostał świadom jego obecności, jakby był on cienką liną, kotwicą łączącą go wbrew jego woli z tym, co zostało ze świata. Oczy Andrasa patrzyły na wszystko i na nic, wypełniały się łzami, schły i znów wilgotniały. I wtedy jakiś znajomy dźwięk przedarł się przez mgławicę otępiałych zmysłów – delikatny odgłos kopyt na bruku, dzwonienie bliźniaczych dzwonków. Dźwięk przybliżał się, aż zatrzymał się tuż przy nim i ucichł. Andras uniósł wzrok.

To była maleńka babcia Klein i jej ciągnięty przez kozę wózek, świeżo pomalowany białą farbą.

– Mój Boże – powiedziała i wlepiła w niego spojrzenie. – Czy to ty, Andras? Andras Lévi?

Ujął jej dłoń i ją pocałował.

– Pamięta mnie pani. Dzięki Bogu – rzekł. – Czy wie pani coś o mojej żonie? O Klarze Lévi? Czy ją pani też pamięta?

– Wstań – odparła. – Zaprowadzę cię do niej.

Kamienica przy Frangepán köz stała pośród ciszy i mgiełki pyłu, który zdawał się zawieszony w kleistym świetle popołudnia. W podwórzu cztery koźlątka wyjadały okruchy chleba z wiadra. Andras pobiegł do drzwi wejściowych, które stały otworem, wpuszczając do sieni ciepły wiatr. W środku, na kanapie, na której Andras kiedyś czekał, by spotkać się z Kleinem, leżała jego żona, Klara Lévi. Pogrążona we śnie. Żywa. Na drugim końcu kanapy zwinął się w kłębek jego syn Tamás, śpiący z otwartymi ustami. Andras uklęknął przy nich, jakby szykował się do modlitwy. Skóra Tamása była zarumieniona od snu, czoło różowe, oczy drgały pod zamkniętymi powiekami. Klara zdawała się odleglejsza,

niemal nie oddychała, jej skóra była bladą powłoką spowijającą ledwo tlące się życie. Włosy rozwiązały się i spływały po ramieniu splątanym sznurem. Ręka przytulała do piersi uśpione dziecko owinięte w biały kocyk; rączka niemowlęcia leżała na obnażonej piersi matki jak mała gwiazdka.

Jego Gwiazda Polarna. Jego prawdziwy kierunek.

Klara drgnęła, otworzyła oczy, spojrzała na niemowlę i uśmiechnęła się. Po chwili zdała sobie sprawę z czyjejś obecności w pokoju, jakiejś nieznajomej sylwetki. Odruchowo podciągnęła bluzkę na piersiach, zakrywając dekolt.

Uniosła oczy i ujrzała Andrasa. Mrugnęła, jakby zobaczyła ducha. Przycisnęła powieki kciukiem i palcem wskazującym, po czym spojrzała jeszcze raz.

Andras.

Klara.

Wykrzyknęli jednocześnie te dwa słowa, rozpraszając ciszę pomieszczenia i wzburzając kurz rozświetlony blaskiem słońca. Ich chłopiec, ich syn przebudził się gwałtownie i zaczął płakać, nie będąc w stanie rozróżnić radości od smutku. Być może w tym momencie smutek i radość mieszały się ze sobą w potężną falę, która dławiła pierś i otwierała gardło: to jest to, co musieliśmy bez siebie przetrwać; to, co straciliśmy; to, co pozostało; to, z czym musimy teraz żyć. Niemowlę rozkrzyczało się płaczliwym, cienkim głosikiem. Byli razem – Klara, Andras, Tamás i dziewczynka, której imienia ojciec jeszcze nie znał.

Rozdział czterdziesty pierwszy

Umarli

KLARA PRZETRWAŁA OBLĘŻENIE Budapesztu w przytułku dla kobiet pod auspicjami Międzynarodowego Czerwonego Krzyża przy Szabadság tér. Alianci nie bombardowali schronisk, a Niemcy się nimi nie interesowali; kobiety i dzieci nie miały dla nich żadnej wartości. Klara zamieszkała tam na początku grudnia, kilka tygodni po tym, jak Rosjanie dotarli do południowo-wschodnich przedmieść stolicy. W tym czasie Horthy był już pozbawiony urzędu, krajem rządzili strzałokrzyżowcy, a Żydzi zostali wywiezieni z Budapesztu. Ci, którzy uniknęli deportacji, musieli się przeprowadzać dwa razy – pierwszy raz z domów do oznakowanych żółtymi gwiazdami Dawida budynków rozmieszczonych po całym mieście, drugi raz do maleńkiego getta w siódmej dzielnicy obejmującego ulice wokół Wielkiej Synagogi.

Podczas pierwszej fali przesiedleń Klara i Ilana z dziećmi oraz matka Klary i Elza Hász zostały przydzielone do kamienicy przy Balzac utca w szóstej dzielnicy. Towarzyszył im Polaner. Stara pani Klein, babka Miklósa Kleina, użyczyła im swego zaprzężonego w kozy wózka, którym przewieźli dobytek. Klara spotkała się z babcią Klein przy okazji ostatniej desperackiej wizyty w więzieniu przy Margit körút, gdzie podobno przetrzymywano Györgya; pani Klein była tam dowiadywać się o Miklósa. Obie odeszły z kwitkiem, ale spacerując po naddunajskim bulwarze i starając się wzajemnie oderwać od grobowych rozmyślań, zaczęły omawiać praktyczne aspekty przeprowadzki. Wczesnym rankiem w dniu wysiedlenia z Nefelejcs utca Klarę obudziło pukanie do drzwi. Była to babka Kleina ubrana w chłopską suknię i czarne buty; przyszła ją poinformować, że wózek jest gotowy i czeka na podwórzu. Klara wyjrzała z balkonu i zobaczyła stojący obok fontanny wózek i dwie kozy popijające wodę z brodzika. Jak się okazało, babcia Klein została przydzielona do budynku niedaleko Klary i przewiozła już wszystko, co jej mężowi udało się uratować z małego gospodarstwa w Angyafold. W podróży do centrum miasta towarzyszyło im siedem kóz; dwa koziołki, dwie mleczne kózki i troje koźląt. Klara mogła je

zresztą sama zobaczyć po południu, jako że babcia Klein ukryła zwierzęta w wozowni za budynkiem z żółtą gwiazdą przy Csanády utca.

Nawet za pomocą zaprzężonego w kozy wózka nie mogli zabrać ze sobą wszystkiego. Wprowadzali się do pojedynczej sypialni w czteropokojowym mieszkaniu ze wspólną łazienką; pozostałe pomieszczenia przydzielono dwóm innym rodzinom. Cała siódemka – Klara, Ilana i ich dzieci oraz obie panie Hász i Polaner, który miał ze sobą naładowaną broń – przebyła miasto na piechotę pośród kilkutysięcznego tłumu innych Żydów, którzy pchali swój dobytek na taczkach, ciągnęli za sobą na wózkach lub targali na własnych plecach. Przejście dwóch kilometrów zajęło im cztery godziny. Kiedy wnieśli swoje rzeczy po schodach, zastali w swoim pokoju inną rodzinę; nie mieli dokąd pójść, więc musieli dzielić ze sobą pomieszczenie. I tak zaczął się ich pięciomiesięczny pobyt w kamienicy przy Balzac utca. Co noc Klara spała na podłodze pomiędzy swą matką i dzieckiem, dzieliła łazienkę z szesnastoma innymi osobami, budził ją płacz szwagierki. Babka Miklósa Kleina odwiedzała ich co kilka dni, przynosząc kozie mleko dla dzieci i Klary, przypominając jej, że musi być silna i zdrowa dla dziecka, które nosi w łonie. Jednak ciąża Klary wydawała się jej samej okrutną ironią, złudną obietnicą. Gdy pewnego razu stała w kolejce po chleb, usłyszała, jak dwie kobiety rozmawiają o niej, jakby jej tu nie było albo jakby nie mogła ich słyszeć: „Spójrz na tę biedną ciężarną Żydówkę. Co za tragedia, że nie ma dla niej przyszłości".

W rzeczy samej, wydawało się, że z każdym dniem nikną szansę na przetrwanie. Żyli w ciągłym strachu przed wywózką; z okolicznych miast nadchodziły wieści o tysiącach Żydów zamykanych w wagonach towarowych i wysyłanych w nieznane. W samej stolicy też działy się przerażające rzeczy – naloty policyjne na budynki z żółtą gwiazdą, grabież mienia przesiedlonych rodzin, aresztowania kobiet i mężczyzn bez żadnego innego powodu poza tym, że byli w miejscu, które policja upatrzyła sobie na łapankę. Czasami pojawiał się przebłysk nadziei, szansa na to, że ten horror wkrótce się skończy; w lipcu Horthy przerwał deportację Żydów z Węgier. Budapeszteńscy Żydzi myśleli, że są ocaleni. Klara słyszała na ulicy pogłoski o potajemnych negocjacjach między Węgrami i aliantami, o planach podpisania rozejmu. Potem, w połowie października, Horthy ogłosił, że Węgry podpisały odrębny pokój ze Związkiem Radzieckim. Przez kilka godzin ulice świętowały. Mężczyźni zdejmowali żółte gwiazdy znad drzwi wejściowych, kobiety zdzierały opaski z rękawów swych dzieci. Ale wtedy nadszedł podwójny cios w postaci puczu strzałokrzyżowców i osadzenia Szálasiego na stanowisku premiera. Wywózki rozpoczęły się od nowa,

tym razem w Budapeszcie – dziesiątki tysięcy mężczyzn i kobiet wyciągano z domów i prowadzono na plac w Óbudzie, skąd deportowano ich do Austrii. Do ich budynku też przyszedł człowiek z Nyilas; Klarę i Ilanę oszczędzono tylko dlatego, że ich mężowie służyli w Munkaszolgálat.

Przez cały ten czas linia frontu przybliżała się coraz bardziej do stolicy. Hitler, zdecydowany powstrzymać Sowietów przed zdobyciem Wiednia, postanowił związać ich walką pod Budapesztem. Gdy jesień powoli przechodziła w zimę, niemieckie i węgierskie wojska okopywały się wokół miasta w przygotowaniu na daremny opór. Oddziały Armii Czerwonej otoczyły Budapeszt i zacieśniały krąg. Naloty bombowców co noc zmuszały przerażonych mieszkańców do chowania się w piwnicach. Czasem Klara miała wrażenie, że mieszkają w permanentnym schronie przeciwlotniczym, niemal całe życie tłocząc się w ciemnościach. Były chwile, kiedy niemal modliła się o to, by trafił ich pocisk i pogrążył wszystko na zawsze mroku. Lecz pewnego ranka babcia Klein przywiozła kozie mleko i przyniosła ze sobą promyk nadziei – kilkoro kobiet i dzieci z tej samej kamienicy przeprowadziło się do przytułku Międzynarodowego Czerwonego Krzyża przy Szabadság tér w centrum miasta. Klara i Ilana musiały się tam udać jak najszybciej, póki wciąż jest miejsce. Gdyby Klarze dopisało szczęście, mogłaby tam urodzić. Pod opieką Czerwonego Krzyża na pewno miałaby większe szansę na otrzymanie pomocy medycznej.

Nazajutrz przyszedł rozkaz, że wszyscy Żydzi muszą się ponownie przeprowadzić z końcem listopada, tym razem do getta w siódmej dzielnicy. Nie było czasu do stracenia. Tego samego dnia Klara poszła z Ilaną do biura MCK przy Vadász utca i dowiedziała się, że babcia Klein miała rację – rzeczywiście przy Szabadság tér mieściło się schronisko dla kobiet i dzieci. Klara i Ilana otrzymały dokumenty, dzięki którym mogły się przenieść z dziećmi jeszcze tego wieczoru. Wróciły do domu i spakowały resztki pieniędzy i kosztowności, ubranka i pieluchy dzieci, kilka prześcieradeł i koców. Załadowały tobołki do wózeczków Tamása i Ádáma, ubrały dzieci najcieplej, jak się dało. Następnie Klara pożegnała się z Elzą Hász i matką; nie wiedziały wtedy, że to ich ostatnie pożegnanie. Matka wcisnęła Klarze do ręki swoją obrączkę ślubną i pierścionek zaręczynowy.

– Tylko się nie rozczulaj – powiedziała, patrząc spokojnie na córkę. – Wymień je na chleb, jeśli będzie trzeba.

Kazała Klarze włożyć pierścionki na palce, dała jej przelotnego buziaka, jakim zawsze ją żegnała, gdy córka szła do szkoły, i wróciła do mieszkania, żeby spakować wszystko, co mogła zabrać ze sobą do getta.

Polaner zaofiarował się, że odprowadzi Klarę i Ilanę do oddalonego o czternaście ulic przytułku. W jego kieszeni spoczywał walther P-38, podarowany mu przez oficera, który zorganizował dla niego wyjazd na Węgry. W ramionach niósł małego Tamása, z którym się nie rozstawał przez kilka ostatnich burzliwych miesięcy. Na Perczel Mór utca, przy wejściu do budynku Czerwonego Krzyża, Tamás, zdawszy sobie sprawę, że rozdzielają go z ukochanym wujkiem, podniósł taki rejwach, że dyrektorka schroniska pozwoliła Polanerowi zostać na noc i pomóc kobietom rozpakować się i urządzić. Dyrektorka okazała się matką dziewczynki, którą Klara uczyła tańca kilka lat wcześniej. Uczennica, zmarła jakiś czas temu na szkarlatynę, była ulubienicą Klary, więc jej matka pragnęła zrobić wszystko, co w jej mocy, by im pomóc. Wdzięczny za okazane zrozumienie Polaner objaśnił dyrektorce, że dzięki swym fałszywym papierom i nazistowskiej legitymacji będzie mógł pomóc kobietom i dzieciom z przytułku; mógł się poruszać swobodnie po mieście, przynajmniej dopóki Rosjanie nie zdobędą Budapesztu. Do rana sporządził listę rzeczy potrzebnych mieszkańcom schroniska. Najważniejsze było mleko dla dzieci. Pierwszym więc darem, który wykombinował, było pół tuzina kóz – tych samych zwierząt, które babcia Klein ukryła w wozowni przy Csanády utca. Staruszka powierzyła je Polanerowi, kiedy ona i jej mąż przenosili się do getta w siódmej dzielnicy, zabierając ze sobą tylko jedno koźlątko.

Schronisko MCK mieściło się na drugim piętrze budynku, w trzypokojowym lokalu, który niegdyś był biurem ubezpieczeń. Matki, które przyszły tu w futrzanych płaszczach i robionych na zamówienie butach, i te, które przybyły ze stopami owiniętymi w gazety, siedziały na krzesełkach lub na podłodze, opiekując się pospołu swymi dziećmi. Dzień i noc przytułek wypełniały rozmowy, płacz i rzadkie śmiechy. Kobiety uspokajały niemowlęta piosenkami, zabawiały dwu– i trzylatków improwizowanymi grami. Pudełka po lekach napełnione kamykami stawały się grzechotkami, stare szmaty magicznie przemieniały się w lalki. Matki zmieniały się przy praniu pieluch w pralni na parterze, która stanowiła też ich jedyne źródło zaopatrzenia w wodę. Gdy spadające bomby wybiły okna i w budynku zrobiło się tak zimno, że świeżo wyprane pieluchy zamarzały, owijały je wokół siebie w nocy i suszyły je ciepłem własnych ciał. Dziesięć razy dziennie zbiegały do schronu w podziemiach i kuliły się tam, podczas gdy bomby siały zniszczenie na Szabadság tér.

Polaner pracował niestrudzenie, pomagając kobietom i dzieciom. Zbierał szmaty na pieluchy, wykradał zimowe ubrania pensjonariuszek schroniska z ich dawnych domów. Nocą, naruszając godzinę policyjną, przeszukiwał opuszczone

stajnie i zalegające na ulicach sterty śmieci w poszukiwaniu paszy dla kóz. Podczas swoich wędrówek po mieście odkrył tajny żydowski szpital przy Zichy Jenő utca, kilka przecznic od przytułku. Ormiański medyk Ara Jerezian zebrał tam czterdziestu żydowskich lekarzy i ich rodziny. Nad wejściem powiewała flaga strzałokrzyżowców, a Jerezian nosił oficjalny mundur Nyilas. Medyk zrezygnował z członkostwa w organizacji kilka lat temu, w proteście przeciw antysemickiej polityce strzałokrzyżowców, ale wstąpił do niej ponownie, gdy odkrył, że może w ten sposób sekretnie pomagać Żydom. Pod pozorem zakładania szpitala dla rannych strzałokrzyżowców zebrał kilkudziesięciu żydowskich lekarzy z rodzinami i zorganizował magazyn jedzenia i leków. Teraz, w tych ciasnych pomieszczeniach, które stały się szpitalem, lekarze leczyli ofiary trwającego oblężenia. Polaner przyprowadzał do szpitala chore kobiety i dzieci ze schroniska MCK i zabierał je z powrotem, gdy tylko poczuły się lepiej. W zamian za pomoc lekarzy oddawał ich głodnym dzieciom skromne nadwyżki koziego mleka.

W całym mieście ludzie głodowali. W pierwszych tygodniach grudnia przytułek MCK był zaopatrywany w zupę przywożoną na wózku z drugiej strony Szabadság tér; kiedy skończyła się zupa, pozostały im ziarna soi i ziemniaki z wody; potem już tylko soja; wreszcie wyłącznie mleko od równie zagłodzonych kóz. Kobiety ze schroniska zebrały swoją biżuterię i oddały ją Polanerowi, żeby wymienił kosztowności na jedzenie; Klara również rozstała się z obrączką i pierścionkiem swojej matki. Ale Polaner wrócił z pustymi rękami. Biżuteria kobiet nie była teraz nic warta. Nikt nie miał jedzenia. Zabrakło nawet bieżącej wody, która już wcześniej tylko ciekła ciurkiem. Jedynym źródłem wody stały się teraz zaspy śniegu gromadzone na podwórzu. Kobiety zaczęły chorować z głodu i pragnienia, a co gorsze, karmiącym matkom zaczynało brakować pokarmu. Na początku głodne dzieci płakały, ale z początkiem stycznia stały się już za słabe, by protestować. Cichły jedno po drugim, ich słabiutkie oddechy przypominały trzepotanie motylich skrzydeł. Wtedy Polaner uczynił to, co babcia Klein radziła mu, by zrobił, jeśli przyjdzie najgorsze. Ten delikatny syn krawca, przypominający anioła młodzieniec, który dotąd posługiwał się głównie piórem i kątomierzem, zastrzelił wszystkie kozy ze swojego walthera, żeby zajęła się nimi jedna z pensjonariuszek przytułku – kobieta, której mąż był rzeźnikiem i która doskonale wiedziała, jak się posługiwać nożem Polanera.

Tydzień później, 8 stycznia, Klara zaczęła rodzić. Ilana nalegała, by Klara udała się do szpitala przy Zichy Jenő utca; po dwóch cesarskich cięciach nie mogła ryzykować porodu w schronisku. Ilana obiecała, że zaopiekuje się Tamásem. Ucałowała Klarę i zapewniła ją, że wszystko będzie dobrze.

Potem Klara i Polaner przedarli się przez labirynt zadymionych uliczek do szpitala Ary Jereziana. W miarę nasilania się walk korytarze szpitala wypełniały się potwornie poranionymi żołnierzami. Mężczyźni leżeli na ustawionych pod ścianami pryczach, krzycząc, pocąc się, rozpaczliwie łapiąc oddech. Podłoga była śliska od krwi. Lekarze nie mieli wolnej chwili, by zająć się zdrową ciężarną kobietą, niezależnie od tego, skąd przychodziła. Przez trzy godziny Klara czekała z Polanerem w zaimprowizowanej kuchni, aż wreszcie seria skurczów powaliła ją na podłogę. Polaner wybłagał pomoc u samego Ary Jereziana, który zabrał Klarę do swojego gabinetu i urządził jej posłanie na podłodze. Polaner donosił wodę, wycierał czoło Klarze i zmieniał mokre prześcieradła. Po jakimś czasie stało się jasne, że dziecko jest w pozycji pośladkowej i Klara nie może rodzić bez cesarskiego cięcia. Wtedy doktor Jerezian przeniósł ją do pokoju przerobionego na porodówkę – trzy metalowe stoły oświetlone tylko blaskiem słońca zza okien – i znieczulił ją morfiną, a wierny Polaner odwrócił wzrok. Gdy Klara się przebudziła, była matką dziewczynki. Dała jej na imię Aprilis, w nadziei, że dziecko dożyje wiosny. Polaner zwrócił uwagę, że dziewczynka jest podobna do ojca.

Przez pięć dni Klara dochodziła do siebie w gabinecie Jereziana. Polaner znosił jej wszelkie jedzenie, jakie znalazł w szpitalu. Zmieniał opatrunki na jej brzuchu, chłodził czoło wilgotną ściereczką, trzymał dziecko, gdy spała. Niemowlę, z początku małe i wątłe, stopniowo nabierało sił na mleku matki. Kiedy wrócili wreszcie do schroniska Czerwonego Krzyża, zastali dyrektorkę trzymającą w ramionach milczącego i otępiałego Tamása. Gdzie jest Ilana? Gdzie ciotka chłopca, która miała się nim opiekować? Dyrektorka patrzyła na ich przez chwilę, jej wargi drżały. A potem im powiedziała.

Dwunastego stycznia od gorączki zmarł Ádám Levi. Oszalała z rozpaczy matka wybiegła na ulicę, gdzie zginęła od radzieckiej bomby.

Walki w Peszcie ciągnęły się przez następne sześć dni. Sowieckie wojska zbliżały się do śródmieścia, a w środku zacieśniającego się pierścienia leżał Szabadság tér; budynek przytułku trząsł się od wystrzałów artylerii dzień i noc. Klara, zszokowana, przerażona i zrozpaczona, kuliła się w schronie przeciwlotniczym z niemowlęciem na ręku, podczas gdy Tamás tulił się do Polanera. Miała umrzeć, nie zobaczywszy już swojego męża; jeśli w ogóle żył, nigdy nawet się nie dowie, jak zginęła, jak zginęły jego dzieci. Może nawet nigdy się nie dowie, że urodziła mu się córka. „Co za tragedia, że nie ma dla niej przyszłości". Jaką przyszłość można sobie wyobrazić po czymś takim? Tamtej nocy Polaner wymknął się na zewnątrz, by nabrać trochę wody z hydrantu na

ulicy, i powrócił z wieścią, że dworzec Nyugati płonie, a węgierscy żołnierze wycofują się w kierunku mostów nad Dunajem. Z palących się hoteli nad rzeką biła piekielna łuna. Płomienie objęły wieżę i kopułę Parlamentu. Cywile uciekają w stronę Dunaju z dziećmi, psami i tobołkami, ale mosty są bombardowane. W całym mieście brakuje jedzenia. Klara wysłuchała tych wiadomości, rozumiejąc, że przyjdzie jej patrzyć na śmierć swoich dzieci. Później tej samej nocy, kiedy zmorzył ją płytki sen pełen paniki, śniła, że daje dzieciom do zjedzenia swoją własną rękę; nie czuła bólu, tylko ulgę, że wpadła na to pomysłowe rozwiązanie.

Rano obudziła się pośród niezwykłej ciszy. Zamiast huku artylerii wszędzie panował dziwny, rezonujący spokój. Co jakiś czas do jej uszu docierały serie z karabinów i odległe echa bitwy na zachodnim brzegu Dunaju, gdzie teraz toczyły się walki. Bitwa o Peszt dobiegła końca. Wszystkie mosty zostały zniszczone. Sowieci zajęli miasto. Ostatni hitlerowscy żołnierze zostali wzięci do niewoli lub kryli się w budynkach, gdzie wcześniej ukrywali się przed nimi inni. Kobiety ze schroniska Czerwonego Krzyża czekały na jakiś znak, co teraz robić. Były osłabione z głodu i pragnienia, chore ze zgryzoty. Kamienica wytrzymała ostrzał, ale tej nocy zmarła kolejna dwójka niemowląt. Dzieci, które przeżyły, były ciche, jakby wiedziały, że nastąpiła jakaś zmiana. Po południu pensjonariuszki przytułku wyszły na zewnątrz, na oświetlony żółtym blaskiem słońca Szabadság tér. To, co ujrzały, przypominało kronikę filmową lub sen: nad zrujnowaną ambasadą powiewała dumnie amerykańska flaga. Na schodach ambasady leżało dwóch martwych strzałokrzyżowców, ich mundury były poszarpane od kul. Radzieccy żandarmi wojskowi stali na skraju placu i wpatrywali się w kolumnę dymu wydobywającą się z kopuły Parlamentu. Dyrektorka schroniska podbiegła do Rosjan i upadła przed nimi na kolana; nie zrozumieli jej słów, ale zaoferowali swoje manierki.

Ponieważ następnego ranka Sowieci wciąż nie przybywali z pomocą humanitarną, pensjonariusze schroniska zaczęli przygotowywać się do opuszczenia budynku. Klara i Polaner wyścielili wózki dziecięce dodatkowymi kocykami i załadowali do nich wszystko, co im jeszcze zostało. Do pustego wózeczka Ádáma położyli Tamása, który od tygodnia nie jadł niczego oprócz kilku kropli mleka z piersi matki. W drugim wózku ułożyli niemowlę. Klara ledwie widziała na oczy z wyczerpania, ledwie mogła chodzić. Wędrowali przez gruzy zniszczonego miasta, nie wiedząc, dokąd zmierzają. Pchając wózki, mijali rozbite samoloty, końskie truchła, wraki niemieckich czołgów, zawalone kominy, sterty śmieci, ciała żołnierzy i cywilów. Na rogu Király utca i Kazinczy utca

natknęli się na oddział radzieckich żołnierzy zagarniających łopatami gruz na ciężarówkę. Ich dowódca, oficer z kilkoma medalami, zatrzymał Klarę i Polanera i zażądał czegoś głośno po rosyjsku. Wiedzieli, że chce zobaczyć ich papiery, ale fałszywe dokumenty Polanera mogły im teraz tylko zaszkodzić; odpowiedział po węgiersku, że Klara jest jego żoną i że wracają z dziećmi do domu. Przez długą chwilę oficer oglądał dwójkę wychudzonych Węgrów i milczące dzieci w wózkach. Wreszcie sięgnął do kieszeni palta i wyjął zdjęcie pucołowatej kobiety z pucołowatym dzieckiem na kolanach. Gdy Klara trzymała fotografię, Rosjanin podszedł do szoferki ciężarówki i wyciągnął płócienny plecak. Uklęknął i ze środka wydobył papierową torbę wyglądającą na napełnioną kamykami; włożył rękę do torby, a kiedy z powrotem ją wyjął, w garści trzymał wysuszone orzechy laskowe. Podał je Klarze, drugą porcję wręczył Polanerowi.

Tymi dwiema garściami jedzenia Klara musiała wykarmić dzieci przez następny tydzień.

Nie mieli dokąd pójść, więc ruszyli do getta, które dzień wcześniej zostało wyzwolone przez Rosjan. Tam, pod bramą Wielkiej Synagogi przy Dohány utca, spotkali babcię Klein i jej ostatnią kózkę, która jakimś cudem przetrwała oblężenie. Dziadek Klein, ten malutki, jasnooki staruszek z dwoma wiechciami włosów na skroniach, zmarł na wylew w pierwszym tygodniu stycznia. Jego ciało leżało na dziedzińcu synagogi pośród setek innych martwych Żydów czekających na pochówek.

– A moja matka? – zapytała Klara. – A moja bratowa?

I wówczas, tym samym zbolałym i współczującym głosem, babcia Klein powiedziała Klarze, że jej matka i Elza Hász zostały rozstrzelane wraz z czterdziestoma innymi na podwórzu kamienicy przy Wesselényi utca. Mówiła, nie patrząc Klarze w oczy, głaszcząc łeb jedynego pozostałego przy życiu koźlątka, ostatniego ze stadka, którego śmierć ocaliła życie trzydziestu kobiet i dzieci przy Szabadság tér.

Na dziedzińcu synagogi przy Bethlen Gábor tér, gdzie ocaleli więźniowie obozów koncentracyjnych musieli się rejestrować po powrocie, mieszkańcy Budapesztu rozpytywali z trwogą o swoich krewnych i przyjaciół, którzy dotąd nie wrócili. Dzień w dzień aż do spotkania z Andrasem Klara szła na plac przed synagogą. Choć bała się odpowiedzi na swoje pytanie, pytała. I pytała. Pewnego razu poznała mężczyznę, który przebywał w obozie pracy w Niemczech wraz z jej bratem; produkowali amunicję w tamtejszej fabryce. Mężczyzna poszedł z nią do sanktuarium synagogi, usiadł w ławce, ujął jej dłonie i powiedział, że jej brat nie

żyje. György i dwudziestu pięciu innych więźniów zostali zamordowani w przededniu Nowego Roku.

Przez tydzień Klara oddawała się sziwie, żydowskiej żałobie, w domu przy Frangepán kóz. O ile wiedziała, z całej rodziny tylko ona i jej dzieci pozostały przy życiu. Potem wróciła do synagogi w nadziei, że dowie się czegoś o Andrasu. Dowiedziała się jednak czegoś innego. Czegoś, co musiała mu teraz powiedzieć. Pewna kobieta z Debreczyna przybyła na Bethlen Gábor tér w poszukiwaniu swych dzieci. Niedawno też była w obozie koncentracyjnym – w Oświęcimiu.

Znała rodziców Andrasa. Ostatni raz widziała ich na rampie kolejowej, gdy ją samą odprowadzono do grupy więźniów zdolnych do pracy. Druga grupa składała się ze zbyt chorych, zbyt starych lub zbyt młodych. Wszyscy ci ludzie przepadli bez wieści.

Kiedy Klara skończyła opowieść, zapadła cisza. Andras trząsł się z dławionego żalu, zszokowany József siedział obok niego, wytrzeszczając oczy. Jednego dnia, w tym dziwnym domu wypełnionym fotografiami zmarłych, obaj zostali sierotami.

Przez wiele miesięcy po powrocie Andrasa codziennie chodzili do synagogi na Bethlen Gábor tér. Ciała węgierskich Żydów ekshumowano z grobów w całej Austrii i Niemczech, Ukrainie i Jugosławii, i jeśli było to możliwe, identyfikowano na podstawie dokumentów lub nieśmiertelników. Były ich tysiące. Codziennie na murze budynku wywieszano niekończącą się listę nazwisk. Abraham. Almasy. Arany. Banki. Böhm. Braun. Breuer. Budai. Cstao. Czitrom. Dániel. Diamant. Einstein. Eisenberger. Engel. Fischer. Goldman. Goldner. Goldstein. Hart. Hauszmann. Heller. Hirsch. Honig. Horovitz. Idesz. Jánosz. Jáskiseri. Kemény. Kepecs. Kertész. Klein. Kovacs. Langer. Lázár. Lindenfeld. Markovitz. Martón. Nussbaum. Ócsai. Paley. Pollák. Róna. Rosenthal. Roth. Rubiczek. Rubin. Schoenfeld. Sebestyen. Sebők. Steiner. Szanto. Toronyi. Ungar. Vadas. Vámos. Vertes. Vida. Weisz. Wolf. Zeller. Zindler. Zucker. Alfabet strat, katalog żałoby. Prawie za każdym razem, kiedy tam szli, byli świadkami tego, jak ktoś dowiaduje się, że osoba, którą kochał, nie żyje. Czasem informację przyjmowano w milczeniu, a jedyną reakcją była bielejąca skóra wokół ust albo drżenie rąk ściskających kapelusz. Innym razem zdarzały się krzyki, protesty, łkanie. Szukali dzień po dniu, codziennie, tak długo, że niemal zapomnieli, czego szukają; po jakimś czasie wydawało się, że patrzą tylko, próbując nauczyć się na pamięć nowego kadiszu, złożonego w całości z nazwisk.

A potem, pewnego popołudnia na początku sierpnia – osiem godzin przed przelotem bombowca „Enola Gay" nad Hiroszimą i osiem dni przed końcem drugiej wojny światowej – kiedy stali tak, przebiegając wzrokiem listę zmarłych, dłoń Klary pofrunęła do jej ust, a ramiona się skuliły. W pierwszym momencie Andras zastanawiał się, kto jeszcze pozostał, kogo jeszcze mogła stracić; nie przyszło mu do głowy, że jej reakcja może mieć cokolwiek wspólnego z nim. Ale podświadomie musiał przeczuć, co się zdarzyło. Kiedy spojrzał na listę, nie był w stanie skupić wzroku na nazwiskach.

Drżąca Klara wzięła go za ramię.

– Och, Andras – powiedziała. – Tibor. O Boże.

Odsunął się od niej, nie chcąc pojąć. Spojrzał jeszcze raz na listę, ale nic z niej nie rozumiał. Ludzie zaczynali już się od nich odsuwać, przez szacunek robiąc im miejsce, tak jak się zawsze postępowało, kiedy ktoś znalazł swoich bliskich na liście. Andras zrobił krok naprzód i dotknął listy w miejscu, w którym „K" przechodziło w „L". Katz, Adolf. Kovály, Sarah. László, Béla. Lebowitz, Kati. Lévi, Tibor.

To nie mógł być jego Tibor. Powiedział to na głos: To nie on. To ktoś inny. To nie nasz Tibor. Nie nasz Tibor. To pomyłka. Przepchnął się przez tłum zgromadzony wokół listy, w stronę drzwi synagogi, po schodach do biura administracji, gdzie znajdzie się jakieś wyjaśnienie. Przeraził kobietę za biurkiem, rycząc na nią, by zawołała kierownika. Zabrała go do poczekalni, w której, nie do wiary, kazali mu czekać. Klara znalazła, go tam; jej oczy były czerwone, a on pomyślał: „Absurd. To nie nasz Tibor". W gabinecie kierownika Andras usiadł na starym, obitym skórą krześle, podczas gdy mężczyzna, przerzucał koperty z szarego papieru. Podał Andrasowi jedną z nich, opatrzoną nazwiskiem LÉVI. W kopercie znajdowała się krótka notatka sporządzona na maszynie i medalion z wygiętym zatrzaskiem, wewnątrz którego znajdował się nieśmiertelnik. Kiedy Andras go otworzył, przekonał się, że dokumenty w środku są nienaruszone: nazwisko Tibora, jego data i miejsce urodzenia, wzrost, kolor oczu i waga, nazwisko jego dowódcy, adres domowy, numer Tibora w Munkaszolgálat. „Wasze nieśmiertelniki być może wrócą do domu, ale wy zostaniecie tu na zawsze". Notatka napisana na maszynie stwierdzała, że identyfikator znaleziono przy ciele Tibora w zbiorowym grobie w Hidegség, niedaleko granicy z Austrią.

Tej nocy Andras zamknął się w sypialni w nowym mieszkaniu, które dzielił z Klarą, Polanerem i dziećmi. Usiadł na podłodze, płakał na głos, walił głową

o zimne czerwone kafelki. Nigdy nie wyjdzie z tego pokoju, postanowił; zostanie tam, aż będzie starym człowiekiem, i pozwoli ziemi zgorzeć wokół siebie przez te wszystkie lata.

W którymś momencie w nocy Klara i Polaner weszli do środka i zaprowadzili go do łóżka. Bardzo niewyraźnie zdawał sobie sprawę z tego, że Klara rozpina mu koszulę, a Polaner wsuwa jego ręce w rękawy innej; niewyraźnie, jak przez mgłę, widział Klarę, która myła twarz w umywalce i położyła się koło niego. Jej ręka na jego piersi była czymś ciepłym i żywym, a on był pod nią martwy. Nie mógł się ruszyć, dotknąć jej ani odpowiedzieć cokolwiek. Leżał pusty, wyczerpany i przytomny, słuchając, jak jej oddech wpada w znajomy rytm snu. Widział Tibora z tych ostatnich tygodni koszmaru życia w Sopronie: Tibor idzie do wsi po jedzenie. Tibor wywraca miski Andrasa i Józsefa z fasolą. Tibor zwilża Andrasowi czoło zimną szmatką. Tibor przykrywa go własnym płaszczem. Tibor idzie trzydzieści kilometrów, niosąc w dłoniach dżem truskawkowy. Tibor przypomina mu, że dziś są urodziny Tamása. Potem myśl o Tiborze w Budapeszcie, z ciemnymi oczami za okularami w srebrnej oprawce. Tibor w Paryżu, leży na podłodze Andrasa w udręce miłości do Ilany. Tibor wlecze torby Andrasa na dworzec Keleti we wrześniowy poranek, jakby w innym życiu. Tibor w Operze, tego wieczoru przed wyjazdem Andrasa. Tibor wciąga po schodach dodatkowy materac do swojego małego pokoiku przy Hársfa utca. Tibor w gimnazjum, na stole przed nim leży otwarta książka do biologii. Tibor jako wysoki chłopiec, goni Andrasa po sadzie, rzuca go na ziemię. Tibor wyciąga Andrasa ze stawu młyńskiego. Tibor pochyla się nad Andrasem, który siedzi na podłodze w kuchni, i wkłada mu do buzi łyżkę pełną słodkiego mleka.

Odwrócił się, przyciągnął do siebie Klarę i płakał, płakał w wilgotną mgławicę jej włosów.

Na cmentarzu żydowskim poza miastem odbył się pogrzeb, ponowny pochówek szczątków Tibora i szczątków setek innych, pole otwartych grobów, tysiąc żałobników. Potem, po raz drugi w tym roku, Andras odprawił tydzień sziwy. Razem z Klarą palili świecę żałobną, jedli jaja na twardo, siedzieli w milczeniu na podłodze, przyjmowali tłumy gości. Zgodnie z rytuałem Andras nie golił się przez trzydzieści dni. Chował się za swoim zarostem, zapominał o zmianie ubrania, kąpał się tylko wtedy, kiedy Klara na to nalegała. Musiał pracować; wiedział, że nie może sobie pozwolić na utratę nowej pracy przy demontowaniu zbombardowanych budynków. Wykonywał ją jednak, nie rozmawiając z innymi mężczyznami, nie widząc domów, które rozbierał, i nie myśląc o ludziach, którzy w nich mieszkali. Po pracy siedział w salonie

mieszkania, które wynajęli na Pozsonyi út, albo w ciemnym kącie sypialni, czasem trzymał na kolanach któreś z dzieci, głaszcząc włoski małej lub słuchając, jak Tamás opowiada, co zdarzyło się tego dnia w parku. Jadł mało, nie mógł skupić się na książce ani gazecie, nie chciał wyjść na spacer z Józsefem i Polanerem. Codziennie odmawiał kadisz. Miał wrażenie, że może żyć w ten sposób już zawsze, że smutek może stać się jego stałym zajęciem. Klara, którą macierzyństwo uchroniło przed pogrążeniem się we wszechogarniającej żałobie po matce, Györgyu i Elzie, rozumiała i pobłażała mu; a Polaner, którego żal był równie głęboki jak Andrasa, wiedział, że nawet ta otchłań ma dno i że Andras wkrótce go dosięgnie.

Nie potrafił odgadnąć jak ani kiedy. Nadeszło to w niedzielę dokładnie miesiąc po pogrzebie, w dniu, kiedy Andras zgolił swoją brodę żałobnika. Siedzieli przy śniadaniu i jedli owsiankę na kozim mleku; jedzenie było wciąż trudno dostępne, a w miarę jak robiło się coraz chłodniej, zaczynali się zastanawiać, czy przetrwawszy samą wojnę, nie umrą wskutek jej następstw. Klara karmiła dzieci własną owsianką. Andras, który nie mógł jeść, podał jej swoją porcję. József i Polaner siedzieli wspólnie nad rozłożoną gazetą, z której drugi czytał na głos o wysiłkach partii komunistycznej, by pozyskać jak najwięcej członków przed nadchodzącymi wyborami powszechnymi.

To Andras wstał, gdy rozległo się pukanie do drzwi. Przeszedł przez pokój, szczelniej otulając się szlafrokiem przed porannym chłodem; odsunął zasuwkę na drzwiach i je otworzył. Na progu stał młodzieniec o czerwonej twarzy, z tornistrem na plecach. Na czapce miał znaczek Armii Czerwonej. Sięgnął do kieszeni w spodniach i wyciągnął z niej list.

– Kazano mi dostarczyć to Andrasowi lub Tiborowi Léviemu -powiedział.

– Kto panu kazał? – zapytał Andras. Beznamiętnie, jakby w odrętwieniu, zauważył, że dziwnie się poczuł, słysząc imię brata z ust tego żołnierza. „Tiborowi Léviemu". Jakby jeszcze żył.

– Mátyás Lévi – odparł mężczyzna. – Byłem z nim w obozie dla jeńców wojennych na Syberii.

A więc to to, pomyślał Andras. Ostatnia wiadomość. Mátyás nie żyje, a to jego pożegnalny list. Czuł, że znajduje się w miejscu tak oddalonym od wszelkich ludzkich uczuć, odsunięty od możliwości doświadczania bólu, nadziei czy miłości, że bez wahania wziął list. Otworzył go na. oczach tego młodego mężczyzny, a cała rodzina patrzyła na niego, czekając. Przeczytał, że jego brat, Mátyás, żyje i będzie w domu w następny wtorek.

Zimą 1942 roku, zaledwie miesiąc po wyjeździe na Ukrainę, Mátyás Lévi trafił do radzieckiej niewoli i został wysłany razem z resztą swojej kompanii do kopalni na Syberii. Obóz znajdował się na Kołymie, otoczonej od północy Oceanem Arktycznym, a od południa – Morzem Ochockim. Pojechali Koleją Transsyberyjską do wysuniętego najdalej na wschód punktu, Władywostoku, a potem przepłynęli przez morze na statku do transportu niewolników o nazwie „Dekabrysta". W obozie było dwa tysiące więźniów: Niemców, Ukraińców, Węgrów, Serbów, Polaków i Francuzów sympatyzujących z hitlerowcami, a także radzieckich przestępców, dysydentów, pisarzy, kompozytorów i artystów. Bito go tam kijami, łopatami i styliskami kilofów. Gryzły go pluskwy, pchły i wszy. Zamarzł prawie na śmierć. Pracował siedemnaście godzin na dobę przy siedemdziesięciu stopniach poniżej zera, dostawał dziennie dwadzieścia dekagramów chleba, trafił do karceru za nieposłuszeństwo, omal nie umarł na dyzenterię, zdobył szacunek strażników i oficerów, malując odważne komunistyczne plakaty na ścianach baraków, został mianowany oficjalnym obozowym projektantem plakatów propagandowych i rzeźbiarzem w śniegu (stworzył wysokie na trzy metry popiersia Lenina i Stalina, by wznosiły się nad placem apelowym), nauczył się rosyjskiego i zgłosił na tłumacza, został wezwany do przesłuchiwania węgierskich nazistów, widział setkę strzałokrzyżowców przesłuchiwanych, skazywanych i w niektórych wypadkach likwidowanych, został napadnięty przez potajemną koalicję strzałokrzyżowców, którzy połamali mu nogi, wracał do zdrowia w szpitalu przez pół roku i wreszcie pewnego ranka został poinformowany, że skończył się okres jego pobytu w obozie jenieckim, a kiedy zapytał, czym zasłużył sobie na przywilej zwolnienia do domu, dowiedział się, że to ze względu na oficjalne określenie jego i pięciuset dwudziestu innych więźniów, które zostało zmienione z „Węgra pochodzenia żydowskiego" na „węgierskiego Żyda". W obozie jenieckim nie zamierzano przetrzymywać Żydów, nie po tym, co zrobili im hitlerowcy.

Ale nic z tego, co przeżył przez te trzy zimne lata, nie przygotowało go na to, co zastał w domu. Nic nie przygotowało go na wiadomość, że czterysta tysięcy węgierskich Żydów trafiło do obozów śmierci w Polsce; nic nie przygotowało go na widok zbombardowanych ruin Budapesztu z sześcioma zerwanymi mostami. I nic nie przygotowało go na wiadomość, że jego matka i ojciec, brat, bratowa i bratanek, wszyscy zniknęli z powierzchni ziemi. To Andras mu o tym powiedział. Mátyás, który wyrósł na szczupłego mężczyznę o twardych oczach i krótkim, ciemnym zaroście, usiadł przed nim na sofie i przyjął to w milczeniu; jedyną oznaką tego, że cokolwiek do niego dotarło, było lekkie drżenie szczęki. Potem wstał i wygładził nogawki spodni, jakby wziął właśnie udział w odprawie

wojskowej i był gotowy realizować przedstawiony plan. A potem nagle jakby coś zmieniło się pod skórą jego twarzy, jakby mięśnie otrzymały wiadomość z opóźnieniem, niczym w przypadku rozmowy zamiejscowej. Opadł na kolana, a jego rysy wykrzywił ból.

– Nieprawda! – zawołał, machając rękami nad głową, jakby atakowały go ptaki. To te wiadomości, pomyślał Andras, nieubłagane wiadomości, krążące wokół niego jak stado wron o skrzydłach pachnących popiołem.

Ukląkł przy bracie i wziął go w objęcia, przytulił go do własnej piersi; Mátyás zawodził. Wypowiadał na głos imię brata, jakby chciał mu przypomnieć o tym zdumiewającym fakcie, że on, Mátyás, nadal żyje. Nie wypuszczał go z objęć, aż wreszcie Mátyás odsunął się i rozejrzał po nieznanym pokoju; kiedy jego spojrzenie znów spoczęło na Andrasu, było przytomne i pełne rozpaczy.

„Czy to prawda? – zdawał się pytać, chociaż nie wypowiedział ani słowa. – Powiedz mi szczerze. Czy to prawda?".

Andras wytrzymał wzrok Mátyása, odpowiadając mu spokojnym, pewnym spojrzeniem. Nie było potrzeby nic mówić ani wykonywać żadnych gestów. Jeszcze raz objął Mátyása, przyciągnął go do siebie i przytulił, a on płakał.

Andras siedział z nim tej nocy, następnej i kolejnej, kazał mu jeść i zmieniał wilgotną pościel na kanapie, na której spał. Zajmując się tym, poczuł po raz pierwszy, że mgła, która spowijała go od czasu, kiedy dowiedział się o śmierci Tibora, zaczyna rzednąć. Przez ostatni miesiąc niemal zapomniał, jak być człowiekiem w świecie, jak oddychać, jeść, spać i rozmawiać z innymi ludźmi. Pozwolił sobie na wyślizgnięcie się, chociaż Klara i dzieci przeżyły wojnę, okupację; chociaż Polaner był przy nim każdego dnia. Trzeciej nocy po powrocie Mátyása, po tym, jak brat usnął, a on i Klara poszli do swojej sypialni, wziął ją za ręce i poprosił o przebaczenie.

– Wiesz, że nie ma nic do wybaczania – powiedziała.

– Ślubowałem, że będę się tobą opiekował. Chcę znów być dla ciebie mężem.

– Nigdy nie przestałeś – odparła.

Pochylił się nad nią, by ją pocałować; ona żyła, jego Klara, i trzymał ją w swoich ramionach. Gniazdo moich dzieci, pomyślał, kładąc rękę na jej łonie. Kolebka mojej radości. Przypomniał ją sobie z pomarańczową dalią za uchem, dotyk jej skóry pod przejrzystą warstewką wody w kąpieli i uczucie, kiedy

napotkał jej spojrzenie i wiedział, że myślą dokładnie to samo. Uwierzył, po raz pierwszy od czasu, kiedy zobaczył nazwisko Tibora na liście na Bethlen Gábor tér, że być może uda mu się wyrwać z matni tych okrutnych dni i żyć dalej; że będzie mógł patrzeć w twarz Klary, której płaszczyzny i wypukłości znał lepiej niż jakikolwiek krajobraz na ziemi, i poczuć spokój. I wziął ją do łóżka, i kochał się z nią, jakby to był pierwszy raz w jego życiu.

Rozdział czterdziesty drugi

Nazwisko

BYŁ RZEŚKI I BŁĘKITNY P O R A N E K, początek grudnia. Z okna kamienicy na Pozsonyi út Andras widział rządek dzieci, które nauczycielka prowadziła do Szent István Park – szare wełniane płaszczyki, szkarłatne szaliki, czarne śniegowce, które zostawiały jodełkowy wzór śladów. Za parkiem widać było żyłkowaną połać Dunaju. Jeszcze dalej rysowała się, podobna do białego dziobu okrętu, Wyspa Małgorzaty, gdzie latem Tamás i Április pływali w kąpielisku Palatinus. Kiedy podczas spaceru przez park ubiegłej wiosny Andras powiedział im, że kiedyś Żydom nie wolno było tam pływać, Április spojrzała na niego ze ściągniętymi brwiami.

– Nie rozumiem, co bycie Żydem ma wspólnego z pływaniem - powiedziała.

– Ani ja – odparł Andras i położył rękę na jej karku, z którego zwieszał się złoty łańcuszek.

Tamás popatrzył przez ogrodzenie na kompleks basenów, opierając dłonie o pomalowane na zielono sztachety, i odwrócił się, by spojrzeć ojcu w oczy. Wiedział już, co działo się z jego rodziną podczas wojny, co stało się z jego wujami i dziadkami. Pojechał z ojcem do Konyáru i Debreczyna, żeby zobaczyć, gdzie Andras mieszkał jako chłopiec i gdzie żyli jego rodzice; patrzył, jak ojciec kładzie kamień na progu domu w Konyárze, jakby to był grób.

– Będę tu trenował przed olimpiadą – powiedział. – Ustanowię nowy rekord świata.

– Ja też – powiedziała Április. – Ja pobiję rekord w stylu dowolnym i do tego w grzbietowym.

– Na pewno tak będzie – powiedział Andras.

To było, zanim perspektywa ucieczki stała się realna, zanim dzieci zaczęły sobie wyobrażać przyszłe życie, które będzie się toczyć po drugiej stronie Atlantyku. To już niedługo; zostało jeszcze tylko kilka szczegółów, w tym sprawa,

którą Andras miał załatwić tego dnia w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych. Tamás chciał iść razem z nim, Klarą i Mátyásem, żeby odebrać nowe dokumenty. Poprzedniego wieczoru stał przed Andrasem w salonie, z poważną miną i ramionami skrzyżowanymi na piersi. Przerobił już lekcje na następne dwa dni, oznajmił. Nic go nie ominie, jeśli pójdzie z nimi.

– Musisz iść do szkoły – odparł Andras. Wstał z krzesła i położył Tamásowi dłoń na ramieniu. – Chyba nie chcesz, żeby amerykańscy uczniowie cię wyprzedzili.

– Tego się nie boję. Na pewno nie z powodu jednego dnia bez szkoły. Oni co tydzień mają wolne soboty i niedziele.

– Położę ci nowe dokumenty na biurku – powiedział Andras. - Będą na ciebie czekać, jak wrócisz ze szkoły.

Tamás zerknął na matkę, która siedziała przy swoim sekretarzyku obok okna; pokręciła głową i odezwała się:

– Słyszałeś, co powiedział ojciec.

Wzruszając teatralnie ramionami, wzdychając, oświadczając, że to wielka niesprawiedliwość, Tamás dał za wygraną i powlókł się korytarzem do swojego pokoju.

– Wcale bym przez to nie był od nich gorszy.

Klara podniosła oczy na Andrasa, usiłując powstrzymać śmiech.

– Jest już dorosły, nie sądzisz? – zapytała. – Co on ze sobą pocznie w Ameryce, wśród tych wszystkich dzieciaków z ich coca-colą i rock and rollem?

– Będzie pić coca-colę i słuchać rock and rolla – przepowiedział Andras.

Rzeczywiście, okazało się to prawdą.

Andras i Mátyás wzięli wolne w pracy, by pójść do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Pracowali w „Narodzie Madziarskim", drugorzędnej gazecie komunistycznej, w której kierowali działem graficznym; zeszłej nocy nie kładli się do późna, oceniając rysunki nadesłane przez gimnazjalistów na konkurs o tematyce zimowej. Zwycięska praca przedstawiała wyścigi łyżwiarskie; sport był bezpiecznym tematem, bo wedle regulaminu dyskwalifikowano każdy rysunek nawiązujący do Bożego Narodzenia. Te święta należały do starych Węgier, w każdym razie oficjalnie. Oczywiście ludzie dalej obchodzili Boże Narodzenie – Andras i Mátyás, Klara, Tamás i Április, wszyscy to wkalkulowali

w swoje plany. Za kilka tygodni, w wigilię Bożego Narodzenia, pojadą pociągiem do Sopronu, a potem piechotą przejdą w śniegu dziesięć kilometrów do miejsca, w którym będą mogli niezauważeni przekroczyć granicę austriacką; prześlizgną się, podczas gdy ludzie ze straży granicznej będą pić wódkę i słuchać kolęd w swojej ciepłej kwaterze. W Austrii wsiądą do pociągu, który zabierze ich do Wiednia, gdzie mieszkał Polaner od czasu, gdy sam przekroczył granicę w listopadzie. Stamtąd wyruszą razem do Salzburga, a potem do Marsylii. Dziesiątego stycznia, jeśli wszystko dobrze pójdzie, wsiądą na pokład liniowca do Nowego Jorku, gdzie József Hász znalazł dla nich mieszkanie.

Najpierw jednak musieli uregulować sprawy związane ze zmianą nazwiska i nowymi dowodami osobistymi. Podania złożyli osiem tygodni wcześniej, w październiku; procedura się przeciągnęła, jak wszystkie inne sprawy urzędowe w chaosie będącym następstwem nieudanej próby przeprowadzenia rewolucji. Nawet teraz, niecały miesiąc po jej stłumieniu, Andras z trudem mógł uwierzyć, że rewolucja naprawdę wybuchła – że publiczne debaty Stowarzyszenia Petőfiego, niewielkiej grupki budapeszteńskich intelektualistów, doprowadziły do potężnych demonstracji studenckich; że studenci i ich stronnicy pozbawili urzędu Ernő Gerő, marionetkę Moskwy, i na stanowisku premiera osadzili reformatora Imre Nagya; że zburzyli dwudziestometrowy pomnik Stalina koło placu Bohaterów i w jego pustych butach zatknęli węgierskie flagi. Demonstranci domagali się wolnych wyborów, systemu wielopartyjnego i wolności prasy. Chcieli, żeby Węgry wystąpiły z Układu Warszawskiego, a najbardziej ze wszystkiego chcieli, żeby Armia Czerwona wróciła do domu. Chcieli znów być Węgrami – nawet po tym, co bycie Węgrem oznaczało podczas wojny. Początkowo Chruszczow wyraził zgodę. Uznał Nagya jako premiera i zaczął ściągać wojska okupujące Węgry z powrotem do Rosji. Przez kilka dni pod koniec października Andrasowi wydawało się, że rewolucja węgierska będzie najszybszą, najspokojniejszą i najskuteczniejszą rewolucją, jaką kiedykolwiek widziała Europa. Ale potem pewnego wieczoru Polaner przyszedł do domu, przynosząc wieści, że sowieckie czołgi gromadzą się na granicy z Rumunią i Rusią Zakarpacką. Tego wieczoru, w kawiarni Erzsébetváros, dokąd poszli Andras i Polaner, żeby posłuchać, jak żydowscy artyści i pisarze spierają się do późna w nocy, przedmiotem najgorętszej debaty było to, czy państwa Zachodu przyjdą Węgrom z pomocą. Wielu słuchaczy Radia Wolna Europa wierzyło, że tak się stanie, ale inni twierdzili, że żadne zachodnie państwo nie zaryzykuje własnej skóry dla państewka z bloku sowieckiego. Jak się okazało, cynicy mieli rację. Francja i Wielka Brytania, pochłonięte kryzysem sueskim, rzadko spoglądały

w stronę Europy Środkowej; Ameryka była zajęta sobą, zaabsorbowana wyborami prezydenckimi.

Zginęło ponad dwa i pół tysiąca ludzi, a dziewiętnaście tysięcy odniosło rany, kiedy czołgi i samoloty Chruszczowa nadciągnęły, by zgnieść powstanie. Imre Nagy ukrył się w ambasadzie Jugosławii, ale został wtrącony do więzienia, gdy tylko ją opuścił. Walki zakończyły się w ciągu kilku dni. W tygodniach, które nadeszły po nich, blisko dwieście tysięcy osób uciekło na Zachód – a wśród nich Polaner, którego zdjęcie pojawiło się w jednej z licznych gazet, powstałych w czasie dwóch tygodni wolności Węgier. Sfotografowano go, jak zajmuje się młodą kobietą, którą postrzelono w nogę na placu Bohaterów; kobieta okazała się organizatorką ze środowisk studenckich, a Polanera mianowano rewolucjonistą. Z aresztu tajnej policji przy Andrássy út 60 zaczęły dochodzić budzące grozę opowieści o torturach; zamiast sprawdzać ich prawdziwość, Polaner postanowił zaryzykować przekroczenie granicy. Na szczęście dla niego i dwustu tysięcy innych uciekinierów ten krótki konflikt pozostawił po sobie sporo dziur w żelaznej kurtynie: wielu pograniczników zostało odwołanych, by zwalczać mniejsze powstania w miastach i miasteczkach w centralnej części kraju.

Te konflikty także zostały stłumione, ale granica była strzeżona najgorzej od wielu lat. Zdecydowano, że reszta rodziny dołączy do Polanera. Od jak dawna czekali na szansę wyjazdu? Na Węgrzech nie było dla nich przyszłości; zdawali sobie z tego sprawę już przed rewolucją, a teraz stało się to jeszcze bardziej oczywiste. József Hász, który uciekł do Nowego Jorku pięć lat wcześniej, starał się ich przekonać, że pozostanie w kraju byłoby głupotą. Znalazł dla nich mieszkanie i obiecał, ze pomoże im w znalezieniu pracy. Tamás i Április byli na tyle duzi, że mogli przekroczyć granicę pieszo; wigilia Bożego Narodzenia dawała szansę. Zatem w końcu zdecydowali się zaryzykować. Starannie zawoalowanymi słowami przekazali wiadomość Józsefowi, Elisabet i Paulowi. A teraz, po drugiej stronie oceanu, Elisabet zaczynała szykować mieszkanie, meblować pokoje i gromadzić wszystko to, co będzie im potrzebne. Andras starał się nie myśleć o samym mieszkaniu; takie szczegółowe wyobrażanie sobie przyszłości przyzywało pecha. Razem z Klarą powiedzieli jednak dzieciom o gimnazjum i liceum; do których będą chodzić, o kinach z wieżami podświetlonymi różowymi neonami, o sklepach z wielkimi koszami owoców z całego świata. Elisabet pisała do nich o tych wszystkich rzeczach od lat; zdążyły już nabrać charakteru wizji i legendy.

Andrasowi jeszcze bardziej fantastyczna wydawała się perspektywa powrotu na uczelnię, perspektywa zdobycia dyplomu architekta. Razem z Polanerem zawarli pakt, że tak zrobią, a Mátyás zgodził się do nich przyłączyć. Przez ostatnie jedenaście lat, wyczerpani codzienną pracą, Andras i Polaner robili, co w ich mocy, żeby zachować w pamięci to, czego nauczyli się w École Spéciale. Zadawali sobie ćwiczenia, jeden przed drugim stawiając wyzwania z zakresu projektowania. Byli nawet na kilku kursach wieczorowych, ale monotonia komunistycznej architektury okazała się tak zniechęcająca, że nie znaleźli w sobie woli, by je kontynuować. Nowy Jork przedstawiał się zgoła inaczej. Nie wiedzieli nic o tamtejszych uczelniach, ale József pisał, że w mieście jest ich pełno. Razem z Polanerem przypieczętowali swój pakt nad kieliszkiem tokaju tego wieczoru, kiedy przyjaciel wyjeżdżał.

– Będziemy emerytami wśród chłopców – powiedział Andras. – Już nas widzę.

– Nie jesteśmy emerytami – odparł Polaner. – Nie mamy nawet czterdziestki.

– Nie pamiętasz, jak to było? Nie wiem, czy jestem dość wytrzymały.

– I co się stanie? – zapytał Polaner. – Zacznie ci lecieć krew z nosa?

– Na pewno. A to będzie dopiero początek.

– Za początek – powiedział Polaner, a dwie godziny później wyszedł w noc pełną niepewności, niosąc tylko tornister i zieloną metalową tubę z rysunkami.

Teraz, w ten jasny grudniowy poranek, Klara stała przy oknie obok Andrasa, patrząc razem z nim w stronę parku i rzeki. Po wojnie przestała się zajmować nauczaniem i skupiła się na choreografii. Sowieci byli zachwyceni tym, że uczyła się u Rosjanina i mówiła po rosyjsku; nieważne, że jej profesor był białogwardzistą, który uciekł z Petersburga w 1917 roku. Węgierski Balet Narodowy zaoferował jej stałą posadę, a gazeta państwowa pochwaliła siłę i siermiężność jej dzieł. „K. Lévi to choreograf w prawdziwie sowieckim stylu", napisał oficjalny krytyk, specjalizujący się w balecie; a Klara, która od lat planowała potajemnie ucieczkę rodziny do Stanów Zjednoczonych, usiadła przy stole kuchennym z gazetą w ręce i wybuchnęła serdecznym śmiechem.

– Czas na nas – powiedziała teraz. – Mátyás będzie czekał.

Andras podał jej szary płaszcz i owinął jej szyję szalikiem w kolorze cynamonu.

– Jesteś śliczna jak zawsze – powiedział, dotykając jej rękawa. - W Paryżu nosiłaś czerwony kapelusik. W Ameryce znów będziesz taki miała.

– Jak zawsze! – zawołała. – Do tego już doszło? Czyżbym była już taka stara?

– Wiecznie młoda – odparł. – Ponadczasowa.

Spotkali się z Mátyásem na rogu Pozsonyi út i Szent István körút. Dla uczczenia okazji miał w butonierce różowy goździk; ten gest przywołał Mátyása sprzed lat. Z Syberii przyjechał jako mężczyzna, twardszy i ostrzejszy, z zaciętym, dzikim błyskiem w oczach. Nigdy nie wrócił do tańca, nie chciał więcej wkładać cylindra, białego krawata ani fraka. Ta część jego osobowości, która skłonna była do fizycznego wyrażania radości, została ociosana na Syberii. A jednak dziś, w dniu zmiany nazwiska – różowy goździk.

Kiedy przechodzili przez Perczel Mór utca, Klara przycisnęła do siebie ramię Andrasa.

– Wzięłam aparat – powiedziała. – Mam nadzieję, że czujecie się dziś fotogeniczni.

– Jak zawsze – odparł Andras, który nie mógł patrzeć na siebie na zdjęciach. Ale Mátyás poprawił sobie goździk w butonierce i przybrał wdzięczną pozę, opierając się o latarnię.

– Jeszcze nie – powiedziała Klara. – Gdy już odbierzemy dokumenty.

Dotarli do szarego gmachu, w którym mieściło się Ministerstwo Spraw Wewnętrznych – budynek, przypomniał sobie Andras, stał na miejscu osiemnastowiecznego pałacu słynnej kurtyzany. Pałac zniszczono podczas oblężenia w 1944 roku, ale pojedynczy wiąz, który pojawiał się na przedstawiających go rycinach, stał nadal, otoczony niskim żelaznym ogrodzeniem. Andras dotknął kory, na szczęście, usiłując wyobrazić sobie, jak to będzie, gdy zamieszka w mieście, w którym nie będzie widział wszędzie duchów budynków i ludzi, w miejscu, w którym nie będzie dla niego przeszłości. A potem on, Mátyás i Klara wspięli się po schodach i weszli do jaskini ze szkła i betonu. Czekali przez godzinę, podczas gdy urzędnik zajmujący się zmianami nazwisk przerzucał niezliczone dokumenty, z których każdy musiał mieć na sobie trzy pieczątki i trzy podpisy nieuchwytnych funkcjonariuszy, by mógł zostać wydany. Ale wreszcie wywołano ich nazwisko – stare nazwisko, już po raz ostatni – i oto trzymali w rękach papiery: nowe dowody osobiste, legitymacje pracownicze i zaświadczenia o zameldowaniu. Dokumenty, które, miał nadzieję Andras, już

niedługo będą im niepotrzebne. Ale było dla niego ważne, że nowe nazwisko zostało zapisane w węgierskich aktach, że dokonało się to oficjalnie.

Na dworze wysokie niebieskie niebo przybrało metaliczny odcień szarości; weszli w chmurę padającego śniegu. Klara zbiegła po schodach, żeby naszykować aparat, a Andráas i Mátyás stali z nowymi dokumentami w rękach. Andras nie spodziewał się, że na widok zaświadczeń i legitymacji łzy napłyną mu do oczu, ale stał teraz i płakał. Wreszcie się dokonało: to pamiątka, znak, który będą nosić przez całe życie i przekażą go dzieciom i wnukom.

– Przestań – powiedział Mátyás, przeciągając rękawem po swoich oczach. – To nic nie zmieni.

Miał oczywiście rację. Nic nie zmieni tego, co się wydarzyło – ani żal, ani czas, ani pamięć, ani odwet. Ale mogli stąd wyjechać, wyjadą za kilka tygodni. Mogli przepłynąć przez ocean i zamieszkać w mieście, gdzie Április będzie mogła dorastać już bez tej powagi, która naznaczyła jej brata, bez tego poczucia tragedii, które zdawało się wisieć w powietrzu jak brązowy pył z węgla bitumicznego. Andras znów będzie studentem – może nie tym samym młodzieńcem, który przyjechał do Paryża z walizką i stypendium, ale za to mężczyzną, który wiedział sporo na temat piękna i brzydoty świata. A Klara będzie tam razem z nim – Klara, która stała teraz przed nimi z rozwianymi ciemnymi włosami, podniesionymi rękami i twarzą ukrytą za szklanym okiem aparatu. Objął brata ramieniem i powiedział:

– Gotowi.

Policzyła do trzech po angielsku – prawdziwa brawura w cieniu Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. I zrobiła im zdjęcie, dwaj mężczyźni na schodach: Andras i Mátyás Tiborowie.

Epilog

WIOSNĄ, W TE POPOŁUDNIA, kiedy nie miała treningu piłki nożnej, opuszczała ostatnie zajęcia – orkiestrę – i jechała szóstką do centrum, do budynku dziadka. Tak właśnie o nim myślała, chociaż dziadek ani w nim nie mieszkał, ani nie był jego właścicielem. Był to czteropiętrowy budynek ustawiony pod kątem do ulicy; fasada składała się z setek prostokącików ze szkła oprawionego w stal, gwałtownie i asymetrycznie wyrzuconych w niebo, jak eksplodujące japońskie drzwi przesuwne. Smukłe brzozy rosły na kawałku ziemi w kształcie trapezu, pomiędzy budynkiem a chodnikiem. Na marmurowym nadprożu ponad drzwiami widniał napis AMOS MUSEUM OF CONTEMPORARY ART; nazwisko jej dziadka wyryte było na kamieniu węgielnym, powyżej słowa ARCHITEKT. W budynku znajdowała się niewielka kolekcja obrazów, rzeźb i fotografii, które widziała już z tysiąc razy. Na dziedzińcu muzeum znajdowała się kawiarnia, w której zawsze zamawiała czarną kawę. Jako trzynastolatka uważała się za osobę u progu kobiecości. Lubiła siadać przy stoliku i pisać listy do brata na Uniwersytecie Browna albo do przyjaciół z obozu w górach Berkshire. Przesiadywała tam godzinami, prawie do kolacji, a potem biegła na ekspres, z nadzieją, że uda jej się dotrzeć do domu, zanim rodzice wrócą z pracy.

Dziadkowie nie mieszkali w mieście. Mieszkali w północnej części stanu, przy tej samej ulicy co jej stryjeczny dziadek i osiem kilometrów od człowieka, do którego mówiła „wujku", ale który tak naprawdę był przyjacielem dziadka. Czasem jeździła do nich na weekend. Trzy godziny pociągiem mijały szybko, jeśli trafiło się miejsce przy oknie. Dziadek miał stodołę, którą przerobił na pracownię z wysokimi oknami, wpuszczającymi północne światło. Wszyscy nadal tam pracowali, dziadek i stryjeczny dziadek, i wujek-nie-wujek, chociaż wszyscy mogliby już przejść na emeryturę. Pozwalali jej siadać przy swoich pochyłych biurkach i używać poplamionych tuszem narzędzi. Lubiła rysować skośne wejścia, łamane dachy, krzywoliniowe fasady. Dawali jej książki o architektach, których znali osobiście, Le Corbusierze i Pingussonie. Uczyli ją łacińskich nazw łuków i pokazywali, jak używać krzywika i cyrkla drążkowego. Nauczyli ją pisma romańskiego, którym podpisywali swoje plany.

Przeżyli wojnę. Od czasu do czasu pojawiało się to w rozmowach: „W czasie wojny", a potem opowieść o tym, jak mało mieli do jedzenia albo jak przetrwali mrozy, albo ile czasu się nie widzieli. W szkole, rzecz jasna, uczyła się o wojnie – kto zginął, kto kogo zabił, jak i dlaczego – chociaż w jej książkach nie było wiele o interwencji na Węgrzech. Innych rzeczy na temat wojny dowiedziała się, patrząc na babcię, która przechowywała torebki foliowe i słoiki, trzymała w domu butelki z wodą na wypadek katastrofy, piekła torty, oszczędzając masło i cukier, i czasami płakała bez powodu. A także od taty, który miał wówczas kilka lat, ale wciąż pamiętał, jak szedł ze swoją mamą przez ruiny.

Czasem w opowieści wplatały się mroczniejsze wątki. Nie wiedziała, jak i kiedy je usłyszała; zdawało się, że musiała wchłonąć je przez skórę, jak lekarstwo albo truciznę. Coś o obozach pracy. Coś o kimś, kogo zmuszono do jedzenia gazet. Coś o chorobie, która brała się od wszy. Nawet kiedy nie myślała o tych urywkach opowieści, one i tak tkwiły w jej głowie. Kilka tygodni temu miała sen, z którego obudziła się, krzycząc przerażona. Razem z rodzicami stała w zimnym pokoju z czarnymi ścianami, w piżamach zrobionych z worków po mące. W kącie babcia klęczała na betonowej podłodze i szlochała. Dziadek stał przed nimi, za chudy, nieogolony. Niemiecki strażnik wyszedł z cienia i kazał mu wspiąć się na podwyższony taśmociąg, coś w rodzaju urządzenia, z którego odbiera się bagaż na lotnisku. Strażnik założył mu kajdanki na ręce i na kostki, a potem podszedł do drewnianej dźwigni przy taśmociągu i przesunął ją do przodu. Chrobot maszynerii, zgrzyt żelaznych trybów. Potem taśmociąg zaczął się przesuwać. Dziadek znalazł się za zakrętem i zniknął w prostokącie światła, spoza którego dobiegł ogłuszający huk, oznaczający, że dziadek nie żyje.

Wtedy właśnie obudził ją własny krzyk.

Rodzice przybiegli do jej pokoju. „Co się stało? Co się stało?".

Lepiej, żebyście nie wiedzieli.

Tego dnia siedziała na dziedzińcu muzeum ze swoim notesem i gorzką kawą po raz pierwszy od czasu tego snu. Popołudnie miało odcień głębokiego błękitu, promienie słońca padały ukośnie na dziedziniec i coś w tym przypominało jej las na północy i obóz. Nie mogła przestać myśleć o taśmociągu i tym straszliwym, ogłuszającym hałasie. Nie mogła się skoncentrować na pisaniu listu do brata. Nie była w stanie pić kawy ani nawet głębiej odetchnąć. Spróbowała powiedzieć sobie, że dziadek żyje. Babcia żyje. I stryjeczny dziadek, i wujek-nie-wujek – oni wszyscy żyją. Nawet jej tata przeżył, i ciocia Április, która urodziła się w samym środku tego wszystkiego.

Ale był ten inny dziadek stryjeczny, ten, który zginął. Miał żonę i syna, który byłby teraz w wieku jej taty. Wszyscy zginęli podczas wojny. Dziadkowie prawie nigdy o nich nie rozmawiali, a kiedy się to zdarzało, mówili przyciszonym głosem. Po stryjecznym dziadku zostało tylko zdjęcie wykonane, kiedy miał dwadzieścia lat. Był przystojny, miał mocną szczękę i ciężkie, ciemne włosy, i nosił okulary w srebrnej oprawie. Nie wyglądał jak ktoś, kto ma umrzeć. Wyglądał na kogoś, kto powinien żyć długo i zostać siwowłosym staruszkiem jak jego bracia.

Było tylko to zdjęcie. I ich nazwisko, pamiątka po nim.

Chciała usłyszeć całą tę historię: jaki ten brat był, gdy był mały, czy dobrze mu szło w szkole, kim chciał zostać, gdy dorośnie, gdzie mieszkał, kogo kochał, kiedy umarł. Gdyby jej brat umarł, opowiedziałaby wnuczce o nim wszystko. Jeżeli wnuczka by zapytała.

Może w tym tkwił problem: ona nie zapytała. A może oni ciągle jeszcze nie chcą o tym mówić? Ale zapyta, następnym razem, gdy do nich pojedzie. Wydaje się, że teraz powinni jej już powiedzieć, w końcu ma trzynaście lat. Nie jest już dzieckiem. Jest wystarczająco duża, żeby wiedzieć.

Podziękowania

AUTORKA DZIĘKUJE następującym instytucjom za zezwolenie na przedruk opublikowanych wcześniej materiałów:

Continuum International Publishing Group: wiersz *D'Anne qui luy jecta de la Neige* ze zbioru *Les Epigrammes* Clémenta Marota (Athlone Press, Londyn 1970). Przedrukowane za zgodą Continuum International Publishing Group.

New Directions Publishing Corp., Hamish Hamilton, and Carl Hanser Verlag GmbH & Co.: *It is* ze zbioru *Unrecounted* W.G. Sebalda w przekładzie Michaela Hamburgera, © 2004 The Estate of W.G. Sebald. © 2003 Carl Hanser Verlag München. Przekład © 2004 Michael Hamburger. Przedrukowane za zgodą New Directions Publishing Corp., Hamish Hamilton, and Carl Hanser Verlag GmbH & Co.